

Autorka książek:

Przybysz, Najeźdźca, Spadkobierca

C.J. CHERRYH



**FORTECA
W ZRENICY CZASU**

CHERRYH C J

Tristen #1 Forteca w zrenicy
czasu

C. J. CHERRYH

Tristen 2 – t. 01

**Tytuł oryginału Fortress in the Eye
of Time**

Tłumaczył Dariusz Kopociński

Wydanie polskie: 1999

Książka ta jest fikcją literacką. Postaci, zdarzenia i dialogi są dziełem wyobraźni autora i nie są ze świata rzeczywistego. Jakiegokolwiek podobieństwo do aktualnych wydarzeń, osób żyjących lub zmarłych, jest zupełnie przypadkowe.

Dla Lynn i Jane

za wspólnie spędzone godziny...

i za wszystko, co otrzymałam

Rozdział pierwszy

Miasto zwało się ongiś Galasjen – skupisko ruchliwych bazarów, szerokich ulic oraz nabrzeży przystrojonych wielobarwnymi żaglami rzecznych statków. W ciągu długich lat radości i dostatku świątynie bogów i herosów – których ołtarze dymiły ofiarnymi kadzidłami – opiekowały się handlem i polityką, czuwały nad władcami i władczyniami, nad robotnikami i wieśniakami pospołu.

Później miasto objęli w posiadanie sihhijscy monarchowie i ci nadali mu nowe imię – Ynefel. Pod tymże imieniem cztery wieże sprawowały władzę przez dziewięć stuleci, podczas gdy las zakradał się pod bramy. Dawna galasjeńska cytadela nie stanowiła w owych dniach serca miasta, ale opasaną ruinami twierdzę – bastion przybyłych na te ziemie sihhijskich królów, za panowania, których brzegi Lenalimu poznały jarzmo bezprzykładnej i dalekosiężnej władzy, władzy ciemnej u jej zarania i jeszcze ciemniejszej, kiedy upadała.

Obecnie wśród kamieni niegdysiejszych ulic rozpychał się las. Sterczące kikuty prastarych galasjeńskich ruin dusiły się w objęciach jeżyn i ciernistych jałowców, gdzie pokarm znajdowało ptactwo nawiedzające strzeliste wieżyce. Sędziwy i ciemny las, las pełen wiekowych dębów, na których żerowały pnącza i jemiola, ze wszystkich stron (prócz tej skierowanej ku rzece) okalał ostatnie ocalałe wieże Ynefel.

Przez las ten biegła droga – wspomnienie po dawnym gościńcu – przechodząca po upiornym moście, połatanym w wielu miejscach i na pół zapadniętym. Ciemne wody Lenalimu, opływając omszałe, rozsypujące się kamienne nabrzeża, niosły jedynie szczątki, jakie udało im się zebrać w czasie sporadycznych wylewów. Królestwa trzeciej, młodszej epoki rozwijały się w dolnym i górnym biegu rzeki, lecz mieszkańcy tych młodych krajów z rzadka decydowali się na podróże do tego nawiedzonego zakątka. Daleko na południu rozciągało się morze, natomiast na północy, u źródeł Lenalimu, leżały krainy spośród wszystkich najstarsze, krainy legendarnych narodzin zarówno Sihhijczyków, jak i zaginionych Galasjenów: Wzgórza Cienia, płodne szczyty Hafsandyru, ziemie mitycznych Arachimów i rozległe, skute odwiecznym lodem pustkowie.

Być może wciąż istniały owe miejsca, wszelako od nastania trzeciej epoki nie nadpłynął z północy żaden okręt o czarnych żaglach. Port w Ynefel legł w gruzach; kamienie pokryły się mchem, zapadły w muł i obrosły drzewami, wchłonięte przez las. Bez względu na swą nazwę, Galasjen czy Ynefel, miasto było wymarłe – świadczyło o wiekach, które również wymarły. Wieże, pochylone i stargane upływem czasu, wznosiły się na skale będącej ongi podstawą wspaniałej cytadeli. Owo siedlisko potęgi dwóch epok czarnoksięstwa za panowania ludzi stało się siedzibą osobliwych, niepokojących mamideł. Ynefel, zatopiona w morzu drzew, stanowiła pierwszy bądź ostatni przyczółek Starych Ziem... Pierwszy, jeżeli stanąć z twarzą zwróconą na zachód, gdzie przeminęli morskcy

włodarze, ustępując miejsca nowym królom, którzy rychło zapomnieli, jak to kiedyś służyli Sihhijczykom; mogła być też zewnętrzną krawędzią starszego świata, gdy spojrzeć na północ i na wschód w stronę Elwynoru i Amferel, leżących poza lasem Marna i niezliczonymi meandrami Lenalimu.

Na całym wschodzie jedynie w tych dwóch prowincjach skarłale wzgórza zachowały stare, galasjeńskie nazwy. W owych krainach hardych ludzi przetrwały, aczkolwiek w niewielkiej liczbie i w ustronnych miejscach między wzgórzami, wiejskie kaplice poświęcone dziewiętnastu bogom, jakich znali Galasjeni; w Elwynorze tymczasem rządcy wciąż zwali się regentami, pomni na sihhijskich królów.

Dzisiaj w Ynefel ptaki żywiły się jeżynami i wiły gniazda, gdzie im się podobało, ale głównie u podstrzeszy i wysoko na strychach. Jedna z kolonii jerzyków osiedliła się w wielkim kominie, druga w sklepionej sali tronowej sihhijskich monarchów. Deszcze i upływający czas nadgryzły obce twarze, spozierające z resztek zachowanych murów.

Wypaczone oblicza – oblicza herosów, oblicza zwykłych mieszkańców i możliwych zaginionej galasjeńskiej rasy – zdobiły fantastycznie połączone wieże oraz zdruzgotane bramy; fragmenty posągów, jakby za sprawą czyjegoś dziwnego kaprysu, toczyły uważnym wzrokiem z murów fortecy: niektóre spoglądały promiennie, inne zdawały się złośliwie uśmiechać, a jeszcze inne – oblicza” galasjeńskich królów – tchnęły spokojem i pustką.

Taki właśnie widok przedstawiały sobą mury Ynefel.

Taki właśnie widok ukazywał się oczom pewnego starca, był to, bowiem jego świat, a on w nim żył. Zgarbiony i brodaty. Osamotniony.

Starzec dumiał przez chwilę, co też wróżą mu późna pora oraz chmury, ołowianoszare w półmroku, po czym zmarszczył czoło i zaczął dość spieszenie schodzić rozchwianymi schodami, świadomy niebezpieczeństw budzących się o zmierzchu, przyczajonych wśród Cieni pełznących wzdłuż kalenic i nad szczytami okien. Wolał ich dłużej nie kusić. Osaczała go starość. Moc jego, dzięki której tak długo bronił się przed upływem lat i groźnym Cieniem, słabła i będzie słabnąć w jeszcze szybszym tempie, gdy dzieło tej nocy zostanie dokonane. Starał się zachować przy sobie resztkę sił, osłaniał ją i hołubił z pasją skąpca.

Dotychczas.

Doszedł do drzwi i zamknął je za pomocą Słowa, stuknięcia laską oraz dotknięcia gruzłowątą dłonią. Zabezpieczywszy się w ten sposób, wyrównał oddech i zaczął schodzić stromymi, krętymi schodami, a stukot jego laski i odgłosy kuśtykania odbijały się echem w labiryncie trzeszczących galerii i schodów. Schodził coraz niżej i niżej, ku drewnianym czeluściom Ynefel.

Mieszkał w samotności. Żył tak od... Już dawno przestał rachować lata, aczkolwiek policzył je tego wieczoru, gdy śmierć czaiła się o krok i wydawała się taka... nęcąca w obliczu zadania, które miał wkrótce wykonać.

Lepiej już, dręczyły go myśli, odejść po cichu.

Lepiej, zawyrokował w duchu, przestać wchodzić w konszachty z Cieniem i trzymać się promiennego słońca. Lepiej skończyć z przysłuchiwaniami się, jak czas żłobi bruzdy w drewnie i kamieniu tej starej ruiny. Wobec przyszłości nie miał żadnych zobowiązań. Jeszcze mniej zawdzięczał przeszłości.

Zasłużyliśmy na nasz los, pomyślał z goryczą. Zbyt dufni byliśmy w swoją siłę. A czy cnotliwi? Nie, z pewnością nikt z nas nie był cnotliwy. A zatem cóż w tym dziwnego, że u schyłku dni pozabijaliśmy się nawzajem? Nic dziwnego również, iż zabrakło nam stanowczości i sumienności, nawet w krytycznym momencie. Do każdej prawdy dopisaliliśmy wyjątek, do każdej odpowiedzi – następne pytanie. Szarpały nami rozliczne wątpliwości. Gardziliśmy demonem, który tkwił w naszym ciele, wąpiąc zarazem w realność owej wzgardy. Tak więc, do samego końca niepoprawni, trwamy. Nie dowierzamy nawet w prawdziwość własnej klęski.

Stukot sękatej, poskręcanej laski oraz skrzywienie wydrążonych przez czas drewnianych schodków budziły echa, które niosły się aż na samo dno, do zagraconego gabinetu w sercu fortecy. Dźwięk nie ścichnie w Ynefel, chyba, że on odejdzie w połowie swego dzieła. Ściany tych pomieszczeń owiewać będzie tchnienie żywej istoty, dopóki on nie przestanie oddychać.

Odwieczna udręka, naznaczona zwątpieniem. Brak nadziei na spokój, ciągła niepewność.

Mógł wprawdzie wyruszyć Drogą na północ, wymknąć się z Elwynoru i poszukać Starych Królestw, które być może – aczkolwiek nikłe było prawdopodobieństwo – przetrwały gdzieś pod Hafsandyrem. Niewykluczone, że zdołałby iść tak długo i dotrzeć tak daleko, mimo słabości starczego ciała. Gdyby go wcześniej zmogło wyczerpanie, mógłby położyć się na Drodze w akcie prostodusznej niewinności – choć niewiele jej pozostało w starym czarodzieju – pozwalając deszczom i wichrom, by go ukoili do wiecznego snu.

Prawdopodobnie tym sposobem odnalazłby spokój i zakończył rozdział, na co nie zdecydowali się jego pobratymcy.

Niemniej jednak należał do ludu Galasjenów. Nie wierzył nawet w możliwość własnej śmierci, a niewiara ta stanowiła jego zgubę i źródło siły zarazem. Wywodził się ze Starej Magii, gardził, więc współczesnymi uzdrowiaczami, znachorkami i pomniejszych magikami z tą ich pocieszoną, iluzoryczną sztuką; jeszcze mniejszym szacunkiem darzył wróżbiarzy i tych, co zgłębiali arkana zapomnianej wiedzy, aby osiąść moc, której nie byli w stanie objąć rozumem. A jakże – potrafił stwarzać iluzje, umiał rzucać uroki. Teraz jednak, kucając przy ogniu, nie zamierzał posługiwać się żadną iluzją. Nie potrzebował ksiąg ani podręczników, niczego prócz esencji własnej mocy.

Tak naprawdę nie potrzebował nawet ognia. Wystarczyłoby mu samo powietrze.

Ręce wszakże sięgnęły, by uchwycić istotę żaru, zaczęły szarpać materią płomienia, wysuplując włókna, które wiły się i rosły w gasnącym świetle. Włókna te karmiły się powietrzem, spijały soki z kamiennych murów i starości drzew, które użyczyły budulca na zakurzone krokwie Ynefel: pęczniały, wyplatając się i przeobrażając w... pewną możliwość.

Dotąd tylko jeden człowiek chełpił się podobną biegłością, tylko jeden – w epoce Starych Królestw.

Drugi był jej bliski u zarania sihijskiego władztwa.

Trzeci spróbował ją osiągnąć tej nocy. Nazywał się Mauryl Gestaurien. A czary, jakie rozsnuwał, nie prowadziły bynajmniej do pokoju.

Takie zachowanie również było charakterystyczne dla jego ludu.

Wymówił Słowo. Wbił wzrok w naładowaną niematerialność powietrza, drobniejszą od pyłku kurzu. Przytłaczała go świadomość wielkich zwałów kamieni, zebranych wokół tego pomieszczenia, oraz Cieni rozpostartych pod okapami dachów, próbujących przeplatać swe nici przez pęknięcia i nieszczelności okiennic, pełznących wzdłuż belek w poszukiwaniu drogi do jego gabinetu. Ściągnął ku sobie całe światło Ynefel, aż znalazło się w tej jednej komnacie.

W tymże momencie Cienie wsunęły się pod drzwi i rozbiegły wzdłuż zakamarków w ścianach. Dostały się do przewodu kominowego i oto ogień przygasł.

W tym samym niemal momencie wicher zagwizdał, a Cienie zaczęły skakać i pisać pośród belek powały, spływając niczym sadza w dół komina.

Pojawiła się drobinka kurzu, odbiła światło, ledwie dostrzegalna, ledwie materialna, nic więcej.

W drobinie owej skrzesła się iskierka, a potem zabłysła płomykiem, który przywodził na myśl mdłą poświatę księżycy lub migotanie gwiazdy.

Wszystkie obluzowane belki w twierdzy zatrzeszczały zgodnym chórem, Cienie rozsypały się gwałtownie wśród umieszczonych na ścianach twarzy, zdających się przybierać nowe miny i ze strachu otwierać usta.

Kurz posypał się ze ścian, drewnianej powały i kamiennego sklepienia. Kurz padł na punkcik światła i punkcik ów zabłyszczał.

Podmuch wichury przedarł się przez gardziel komina, by zionąć chmurą ognia i popiołu. Cienie zatopiły pazury w kamienie, próbując zagarnąć wirującą w kurzawie iskierki.

Iskierka wybuchła błyskawicą, oblewając szare ściany białym blaskiem, zasysając mętną poświatę ogniska i

stwarzając oszałamiające widowisko z udziałem lśniących włókien, rozedrganych i roztańczonych, to splatających się w węzły, to znów od siebie odskakujących.

Mauryl jęknął, gdy wzburzone pierwiastki odmówiły posłuchu. Ogarnęły go wątpliwości. W tej decydującej chwili pozwolił sobie na wyjątek, dwuznaczność, rewizję celów.

U progu niepowodzenia zgodził się desperacko na zwyczajne życie.

W sercu skręcających się nici powstał, zrazu niewyraźny, widoczny w mroczniejącym blasku, cień człowieka. Cień ten przybierał coraz bardziej materialną formę, okrył się kośćmi i żywym ciałem, uzyskał wygląd nagiego młodzieńca – pięknego na tle posępnej szarości zaśmieconego gabinetu.

Nozdrza młodzieńca wciągnęły powietrze. Otworzyły się oczy. Były szare jak kamień i spokojne niczym milczenie.

Mauryl drżał z wysiłku, a także na myśl o tryumfie magii.

Wcześniej targano nim zwątpienie w sens całego zamierzenia, w posiadane zdolności i wiedzę... Teraz wszak stał przed nim owoc udanego eksperymentu.

Światło zagasto, jedynie z paleniska, spośród popiołów rozsypanych po kamieniach, sączyła się niewyraźna smuga. Mauryl wyprostował rękę, drugą wspierając się na lasce.

Pomieszczenie wydało mu się duszne i zatęchłe, zwyczajne już cienie błąkały się wśród stert pergaminów, ptasich skrzydeł, alembików i pęczków ziół.

Skinął zakrzywionym palcem; jedna ręka trzęsała się gwałtownie, druga spoczywała zaciśnięta kurczowo na lasce. Skinął po raz drugi, niecierpliwie, gniewnie, lękając się katastrofy, nakazując posłuszeństwo.

Młodzieniec poruszył się bardzo powoli, wykonał ostrożny krok, potem drugi i trzeci.

Zaniepokojony Mauryl wznosił niczym barierę pokrytą sękami laskę, a wtedy młodzieniec znieruchomiał. Czarodziej wbił wzrok w jego szare, łagodne oczy i po głębokim, uświęconym tradycją namyśle opuścił zaporę, by obiema artretycznymi rękoma podeprzeć się na lasce, wyzuty z sił i pomysłów.

Cienie tymczasem wciąż czały się w kątach gabinetu, poruszając się delikatnie w rytm podmuchów wiatru w kominie. Grom wstrząsnął rozszalałym i złowieszczym firmamentem.

Młody człowiek stał nieruchomo, ani na moment nie zogniskowawszy spojrzenia na wzniesionej lasce, rozglądając się wkoło. Zerknął na korytarz: na pokryty pajęczynami labirynt belek, drewnianych schodów oraz galerii biegnących nad galeriami i nad galeriami... Wodził wzrokiem po szufladkach, stołach i porzrzuconych bezładnie pergaminach, liściach i szczątkach martwych zwierząt. Żaden szczegół nie przykuwał na dłużej jego uwagi. Być może wszystkie przedmioty były dlań równie nieistotne albo też równie ważne i fascynujące – nie zdradzał miną, który z tych wariantów odpowiadał prawdzie. Położył dłoń na sercu i zerknął w dół na swe nagie ciało, zdające się wciąż połyskiwać blado, niby płomień świecy widziany poprzez wosk. Zginał palce rąk i z widocznym zdumieniem obserwował poruszające się pod skórą ścięгна, jakby miał do czynienia z największą, najtrudniejszą do wytłumaczenia magią.

Dziwi się, pomyślał Mauryl, dodając sobie odwagi, aczkolwiek ostrożnie, do dalszych rozważań. Podeszedł wystarczająco blisko, aby uchwycić, aby złowić spojrzenie szarych, przepełnionych podziwem oczu, pałających przerażającą niewinnością.

– Chodź – odezwał się do Formy, wyciągając rękę. – Chodź! – nakazał ponownie i miał już powtórzyć to słowo po raz trzeci, ostrzej niż poprzednio, jakby w przypadku groźnych i niesfornych tworów trzy zawołania miały siłę zaklęcia.

Młodzieniec wszak posunął się o krok do przodu. Mauryl czuł postępujące zmęczenie w kolanach, zaprowadził więc Formę do ławeczki przy kominku, odsuwając laską stertę przykurzonych pergaminów, z których niektóre wpadły do ognia.

Forma sięgnęła ręką, by uratować skóry od zniszczenia. Mauryl powstrzymał wyciągniętą dłoń o włos przed

plamieniami. Pergamin zajął się, kopcił i śmierdział, jego spopielone resztki zabierał do góry ciąg powietrza. Forma spoglądała na sypiące się iskry, oczarowana blaskiem; nie stawiała najlżejszego oporu ani nie wydawała się pogrążona w jakichś głębszych rozmyślaniach.

Mauryl wetknął koniec laski w szczelinę między kamieniami paleniska, zrzucił płaszcz i okrył nim swe dziecko, które właśnie pochylało się na ławeczce; blask ognia tańczył w jego żrenicach, na dłoni...

–Nie! – krzyknął Mauryl i uderzył w sunące ku płomieniom palce.

Młodzieniec spojrział na niego, zdumiony bólem. Płaszcz niepostrzeżenie zsunął się na podłogę.

Strach ścisnął pierś starca. Chcąc otrząsnąć się z przykrego uczucia, powtórnie okrył płaszczem ramiona młodzieńca i wsunął jego brzegi w bezwładne, nieczułe palce. Ku swemu zniecierpliwieniu sam musiał zacisnąć dłonie młodzieńca, aby nie wysunęła się spomiędzy nich szata.

–Chłopcze. – Mauryl usiadł opodal na ławeczce i złapał oburącz poły płaszcz, zmuszając tym samym młodzieńca, żeby się odwrócił i spojrział mu prosto w oczy. – Chłopcze, czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz?

Młodzieniec zmrużył powieki. Pochylił głowę, co mogło oznaczać odpowiedź twierdzącą.

Albo też uchylenie się od odpowiedzi, gdyż spojrzenie powędrowało w stronę ognia.

Mauryl siłą odwrócił jego głowę.

–Chłopcze, czy ty cokolwiek pamiętasz, masz jakieś wspomnienia? Obojętnie jakie?

Kolejne odwrócenie wzroku, zmrużenie i przygaśnięcie szarych oczu, pustych i nagich niczym mglisty poranek, mogło oznaczać potwierdzenie lub nieudolne zdziwienie.

–Pamiętasz jakieś miejsce? – pytał Mauryl. – Nazwę?

–Światło. – Głos młodzieńca, zrazu cichy jak oddech, stopniowo nabierał siły. – I głos.

–Nic więcej?

Młodzieniec potrząsnął głową, wpatrując się poważnie w oblicze starca. Ramiona Mauryla obwisły. Ból związany z porażką przenikał do szpiku kości.

Oczy wciąż czekały na niego, nadal nie wykazywały cienia zrozumienia. Mauryl wciągnął powietrze: przyszło mu do głowy pewne słowo, zaprawione goryczą, ale zamienił je na inne, które zastąpiło wszystkie pozostałe słowa.

–Tristen, nazywasz się Tristen, chłopcze. Takie ci imię nadaję. Takim imieniem będę na ciebie wołał. Na imię to musisz zawsze odpowiedzieć. Tak ci nakazuję. Ja z kolei nazywam się Mauryl. Takim imieniem będziesz się do mnie zwracał. Bardzo cię potrzebuję, Tristenie, jesteś mi niezwykle potrzebny.

Być może w szarych oczach błysnęła isierka ożywienia, jakiegoś rodzącego się pytania. Mauryl, wypuściwszy z rąk płaszcz, wlepił wzrok w młodzieńca, podczas gdy ten odwzajemniał to spojrzenie, otwarty do głębi, nieskończenie nagi, w ubraniu czy bez ubrania.

–Czyżbyś nie posiadał – zapytał Mauryl – żadnej własnej myśli? Nie masz pytań? Nie doznajesz uczuć? Czy ty w ogóle cokolwiek czujesz, Tristenie? Czegoś chcesz, pragniesz? O czymś rozmyślasz?

Usta przez chwilę wyginały się, jakby chcąc wygłosić jakąś myśl. Na czole pojawiła się delikatna zmarszczka, ale nic, zupełnie nic nie nastąpiło.

Tracąc resztki nadziei, Mauryl poderwał rękę, odsunął się od chłopca i namacał laskę, która jednak – zbuntowany przedmiot – wyśliznęła mu się i odskoczyła od ściany.

Wystrzeliło ramię. Młodzieńcza dłoń zacisnęła się na sędziwym drewnie, ciało i kość, pewne jak młodość, szybkie jak myśl. Mauryl wstrzymał oddech, wyciągnął rękę w nagłym i natarczywym geście, po czym zacisnął palce na

lascie, bojąc się, czy to, aby nie wróżba.

Pociągnął delikatnie i chłopiec zwolnił uścisk. Wydawał się równie, co poprzednio zmieszany.

–Jesteś odbiciem – stwierdził Mauryl, troskliwie przyciskając laskę do piersi i rozpaczliwie spoglądając na Formę.
– Jesteś tylko odbiciem, jakie widać w wodzie. Byłem nazbyt przezorny.

Pohamowałem przyzywane siły, co cię okaleczyło, biedaku. Nie posiadasz niczego, niczego, a ja tyle potrzebuję...

Odpowiedzią była jego twarz poorana troskami, odbita w zwierciadle chłopięcego oblicza. Odwrócił wzrok od tego widoku i przez pewien czas w komnacie panowała cisza.

Ostrzegł go szelest podszewki płaszcza: nagie ramię kierowało się w stronę ognia. W przyпіływie furii Mauryl złapał za wyciągniętą rękę i silnie zacisnął na niej palce.

–Nie, nie! Nie bądź taki popędliwy! Czy ty w ogóle masz pojęcie o bólu? W ogniu się spalisz, w wodzie utopisz, a wicher zmrozi twą skórę. – Popchnął młodzieńca, stracił go z ławki, a kiedy ten upadł, rozkopał żarzące się węgle w palenisku, trzymając się ogniotrwałych cegieł kominka.

Chłopiec wrzasnął, odskoczył, zwinął się z bólu i zaczął kiwać jak dziecko, podczas gdy dym unosił się z brzegu płaszcza, który tlił się, leżąc w ogniu.

–Ty głupcze! – krzyknął Mauryl wściekle i odciągnął chłopca od pełzających płomieni.

Nadepnął przy tym na rąbek własnej szaty, stracił równowagę i upadł na kolana, przytrzymując się młodzieńca.

Młodzieńcze ręce objęły jego kruche kości, młodzieńcza siła tuliła go w swym uścisku, młodzieńcze ciało drżało w takt jego drżenia; czuł swąd dymiącej tkaniny i piekący ból w goleni oparzonej rozżarzonym węglem. Zacisnęły się jego palce. Nie miał sił, by się puścić. Chłopiec nie miał woli, by uczynić to samo, więc trwali tak, twórca i twór, a minuty upływały, upływały, upływały...

Czyżby to ból wycisnął wilgoć spod jego szczelnie zamkniętych powiek? A może uczyniło to jakieś poruszenie serca, którego znaczenie, wobec długiego braku towarzystwa żywej, oddychającej istoty, zatarło się w jego pamięci?

Możliwe też, iż doświadczał wyrzutów sumienia. Te zaś... zanikły jeszcze dawniej.

Mam odczytać moje dzieło? Unicestwić Formę? Kto wie, może znalazłbym w sobie dość siły? Ale to by mnie wykończyło.

Chłopiec uspokoił się w jego objęciach. Zabłąkany węgielek napiętnował nogę czarodzieja i zgasł w osmalonej tkaninie. Ból wynikły z oparzenia i ból spowodowany dotkliwą stratą nałożyły się na siebie, jakby nigdy nie były rozdzielone, jakby nigdy – w trakcie planowania i przygotowań – nie miał wyboru. Nie powinien – on, starzec – siedzieć na podłodze wśród popiołu i węgla; czuł, że tak nie przystoi. Czuł również, że nie wolno mu łudzić się płonną nadzieją. Nade wszystko jednak czuł, iż snucie dalszych planów po tak druzgocącej i dotkliwej klęsce zakrawa na czyste szaleństwo.

Podniósł twarz chłopca zgrabiętymi palcami. Łzy obeschły, pozostały jedynie szkliste oczy i zaczerwieniony nos. Cera nie wydawała się już taka gładka. Coś się na niej zapisało. Oczy przestały świecić pustką. W szarym, otwartym spojrzeniu zamrugnęła – żywa, acz napełniona boleścią – skierka świadomości. Znalazło się w nim miejsce na „przedtem” i na „później”. Na „wtedy” i na „teraz”. Zrodziło się pytanie i zrodziła się potrzeba, paląca potrzeba zaprowadzenia jakiegoś ładu wśród myśli.

–Wiem, wiem – rzekł Mauryl – zgotowałem ci chłodne powitanie. A ty musisz się jeszcze tak wiele nauczyć, tak wiele dowiedzieć. – Uniósł rękę młodzieńca, przejechał kciukiem po zaczerwienionej dłoni, tworząc prostą, uśmierającą ból iluzję. – Już nie boli, prawda?

Tristen zmrużył oczy. Popłynęły łzy, pokłósię doznanego uczucia. Spuścił wzrok i zaczął pocierać gładkie koniuszki palców.

–Zagoi się – powiedział Mauryl z niejasnym, acz złowrogim (być może za sprawą jakiejś złośliwej magii) przeczuciem, że rybak tym razem wpadnie we własne sieci. Cały jego gniew był chybiony wobec młodości, długie dni pustelniczego życia nie umiały się bronić przed czarem gorących ramion i rodzącym się... nie zrozumieniem, ale młodzieńczymi oczekiwaniami; ich koncentracją na starym człowieku, którego własne rachuby dawno już zawiodły. A jednak skłamał. Po raz drugi odezwał się ochryłym, niezwykłym głosem, sam zdziwiony jego tonem. –Zagoi się, chłopcze. – Sięgnął po leżącą laskę, a potem z jej pomocą spróbował wyprostować obolałe kolana. Ostatecznie stanął na równe nogi. Tristen wstał także – osmalony płaszcz ześliznął się na ziemię, jakby podobna rzecz nic dlań nie znaczyła.

Mauryl zdusił w sobie gniew, końcem laski podniósł szatę i cierpliwie otulił nią nagie ramiona chłopca. Tristen przytrzymał ją i odsunął się na bok, ponieważ uwagę jego zaprzętnęło coś innego – bogowie wiedzą co – prawdopodobnie rzędy naczyń lub pęczki ziół wiszące w pomieszczeniu na zapleczu.

–Stój! – rzucił Mauryl, więc Tristen zatrzymał się i obejrzał; na jego twarzy nie odbiło się żadne uczucie. Czarodziej podszedł doń i puknął laską w pojedynczy stopień, chcąc zwrócić młodzieńcowi uwagę na ryzyko, jakiego ten dotąd najwidoczniej nie dostrzegał. – Tristenie – rzekł – powiem ci coś, co musisz zapamiętać na zawsze: okrywa cię skóra, ale masz też rozum, składasz się zarówno z ciała, jak i ducha. Kiedykolwiek oddzielisz jedno od drugiego, spodziewaj się nieszczęścia. Czy zrozumiałeś to, Tristenie?

–Tak – odparł chłopiec cicho. Łzy znów napłynęły mu do oczu, jakby oparzenie i nagana sprawiały podobny ból.

–Tristenie, ty jesteś...

Odkrył coś dawno zagubionego, dawno odrzuconego, co rosło i rosło w jego sercu, aż zdawało się ono niemal pękać z bólesci. Usiłował się roześmiać, on, który nie zapłakał ani się nie uśmiechnął od... od czasu jakiejś zapomnianej zmiany, jakiegoś nierozważnego pofolgowania skłonnościom. Z gardła dobył mu się dźwięk, którego nie rozpoznał; nie wiedział, jak ma się zachować w takiej sytuacji. W końcu tylko odchrząknął i nastąpiła cisza. Młodzieniec wbijał weń wzrok. Pod nieobecność zdrowego rozsądku starzec wyciągnął rękę i przetarł spolegliwą twarz.

–Jesteś jak czysta karta, prawda? Niosąca w sobie zgubę, jeśli zacząć na niej pisać. Ale pisać mam zamiar. Ty zaś będziesz się uczył. Cóż ty na to, Tristenie?

–Tak – padła odpowiedź. Łzy znikły (albo zostały zapomniane), chmura przeszła.

Nastąpiło drżące oczekiwanie, jakby nauka miała rozpocząć się już teraz, natychmiast, zanim zdąży odetchnąć.

Może tak właśnie powinno się stać? Może bezpieczniej nie czekać do rana?

–Podejdz do stołu i usiądź – powiedział. – Nie, nie, na Boga, głuptasie, trzymaj płaszcz, uważaj na nogi... – Nieszczęście otaczało ich kręgiem, przyczajone. Utrata równowagi groziła na każdym rozchwianym, nadszarpniętym zębem czasu kamieniu, tak, więc starość musiała ująć rękę młodości, a niedołęstwo służyć za przewodnika sile, która rozstawała się z rozumem na czas poszukiwań zsuniętego płaszcza... by wnet, gdy noga krzesła zaskrzyiała na posadzce, rzucić ów płaszcz ponownie w krańcowym zaskoczeniu.

Starość wkrótce zgłodniała i odgrzała sobie w kociołku wczorajszą kolację. Cienie czaiły się i drgały w zakamarkach komnaty. Krople słabnącego deszczu bębniły coraz ciszej po dachu. Takie odgłosy jednak Forma ignorowała z większą łatwością, być może uważając je za naturalną część świata.

W chwilach, kiedy nie mieszał łyżką w żelaznym garze, Mauryl podchodził do stołu, gdzie młodzieniec z wlepionymi weń z namaszczeniem oczyma wsłuchiwał się uważnie w każde słowo, choć tylko bogowie wiedzieli, ile strzępów i skrawków informacji ten bezmyślny chłopiec mógł zmagazynować w swej pamięci, a także, czy w ogóle je rozumiał.

Nalał mu to, co miał najlepszego, czyli jęczmiennego piwa, którego młodzieniec skosztował ze zdziwieniem i grymasem na twarzy. Następnie podał mu wczorajszą fasolę.

Tristen zjadł ją, trzymając łyżkę dziecięcym sposobem. Zanim miska została opróżniona, a ostatni kubek piwa dopity, chłopiec zapadł w twardy sen z głową podpartą na ręce.

Mauryl zabrał miskę wraz z łyżką, zmienił pozycję ramienia chłopca i zostawił go śpiącego z czołem wtulonym w leżącą na blacie stołu rękę, odzianego w źle pozapinany płaszcz.

Wystarczyła szczypta magii, aby go uśpić. Mauryl stał, zaciskając ręce na lasce, w przystępie rozpaczy zadając sobie pytanie, co zrobił i w jaki sposób może naprawić swój błąd. Pozostało mu okryć chłopca kocem, pomyślał, skazany od tej pory na wykonywanie prostych, codziennych obowiązków. Piwo spełniło swoje zadanie. Magia zrobiła, co mogła, na skutek, czego ciało z krwi i kości drzemało w spokoju, budząc w czarodzieju zapomniane uczucia, dzięki którym jednak niczego nie mógł zyskać... Nie mógł zyskać zupełnie niczego, za to stracić – cały świat.

Rozdział drugi

Krople rozpryskujące się w kurzu.

Drzewa szepczące, kiwające się i zrzucające liście; fruujące gałązki. Zapach kamieni, zapach pokruszonych liści, zapach piorunów i wykapanego w deszczu powietrza.

Smak wody. Chłód wiatru. Porażający oczy rozbłysk błyskawicy. Łoskot gromu, który wprawia w drżenie serce i kości.

Jakby wypił za dużo piwa. Jakby za dużo zjadł. Jakby ogarnął go palący żar, a jednocześnie srogi mróz. Wszystko składało się z deseni, kształtów, dźwięków, światła i cieni, było ciche, głośnie, szorstkie, gładkie, chłodne jak kamień lub ciepłe jak życie, niedające się uchwycić jedną myślą i nagiąć do jednej woli. Czasami z trudem się ruszał, tak rwące i obfite były wody promiennego świata.

Tristen stał na kamiennej balustradzie, skąd obserwował, jak światła błyskawic rozjaśniają las i niebo, jak drzewa u podnóży twierdzy pochylają czoła ku kamiennym murom. Rozległ się grzmot. Ulewa szarą kurtyną wody smagała wieżę, burzyła powierzchnię bajorek i kaskadami strumieni spływała po dachówkach. Tristen śmiał się i wdychał przesiąknięty deszczem wiatr, podnosił twarz i ręce, wystawiał je na kanonadę kropel. Kłuły go w dłonie i powieki, toteż nie śmiał na nie patrzeć. Czuł chłód i doświadczał dziwnych wrażeń, gdy strugi wody obmywały jego nagie ciało, wciąż przecierając nowe szlaki, odnajdując puste przestrzenie i określając jego kształt.

Nie mógł wyjść z podziwu. Spoglądał na swe bose stopy, poruszał palcami w wodzie, która tworzyła w zagłębieniach kałuże i łączyła je kanałami, wykorzystując szpary między kamieniami. Dzięki niej zakurzona szarość załśniła świeżym blaskiem. Deszcz przybierał postać pochyłych welonów, odcinających się wyraźnie od prostych, pionowych strumieni, które zlewały się z podstrzeszy, zdając się wygrywać melodie przy akompaniamencie dudniących gromów. Tristen okręcił się na wygładzonych kamieniach i pośliznął, ale szybko odzyskał równowagę, chwytając się niskiego murka balustrady. Śmiał się, gdyż ku swemu zaskoczeniu ujrzał w dole – tam, gdzie rynsztoki wystąpiły z brzegów, tworząc istną powódź – brązową wodę, a przecież krople deszczu były szare. Przy jednym z ciemnych kamieni zatrzymał się zielony liść. Zastanawiał się, czemu nie płynie dalej.

–Tristenie!

Wisiał z głową wysuniętą do przodu, ale na dźwięk gniewnego głosu wyprostował plecy, wspierając się ręką o kamienny występ. Zamrugawszy, aby oczyścić oczy z wody, ujrzał odzianą w brązowe szaty sylwetkę przemoczonego do suchej nitki Mauryla. Siwe włosy i broda ociekały wodą, pod mokrymi brwiami ciemnoniebieskie oczy ciskały błyskawice. Mauryl chwycił młodzieńca za rękę.

Chłopiec najwidoczniej postąpił niewłaściwie. Kiedy czarodziej odciągał go od poręczy, próbował odgadnąć, na czym to zło mogło polegać. Doskwierał mu uścisk Mauryla i opierał się, ale nie za bardzo, aby nie nadwerężyć palców starca.

–Chodź ze mną – nakazał Mauryl i wzmógł uścisk, przez co chłopiec pomyślał, że próba oswobodzenia ręki musiała być również czymś złym. Znosił, więc ból i dał się prowadzić wzdłuż balustrady; jego bose stopy wespół z czarnymi butami Mauryla rozchlapwały kałuże. Szaty czarodzieja ociekały wodą, włosy poskręcały się w kapiące powrozy. Płaszcz, ściśle przylegający do szczupłych ramion, łopotał koło nóg i butów. Laska stuknęła rytmicznie o kamienne płyty, lecz starzec tylko nieznacznie kuśtykał, tak wielki gniew i pośpiech nim powodowały.

Mauryl zaprowadził Tristena do obmytych deszczem drzwi, gałką laski nacisnął klamkę i wepchnął go bezceremonialnie do środka, do małego pomieszczenia z wyłożoną kamieniami posadzką. Przez poźółkłe rogowe

szyby wpadało światło, przyciemnione deszczem i jakieś obce. Szum ulewy był tu o wiele cichszy.

Choć Mauryl ostatecznie puścił jego rękę, nadal kipiał gniewem.

–Gdzie twoje ubranie?

Czyżbym tym właśnie zawinił? – zastanawiał się Tristen.

–Na dole, w mojej komnacie – odrzekł.

–Na dole, na dole! Jaką masz z niego korzyść, kiedy jest na dole?

Był kompletnie zbity z tropu. Zdawało mu się, iż Mauryl przykazał mu, żeby je oszczędzał. Ubranie czarodzieja ociekało wodą. Podobnie rzecz się miała z jego butami, gdy tymczasem Tristen pozostawił obuwie na dole, gdzie było suche. Wówczas takie postępowanie wydawało mu się uzasadnione i nadal by tak myślał, gdyby nie gniewnie uniesiona dłoń Mauryla, przed którą się skulił.

Mauryl złapał go za ramię i potrząsnął nim, decydując się – taką nadzieję miał Tristen – powstrzymać się od uderzenia. Bywało, że starzec go uderzał, kiedy ponosiły go nerwy, innym razem zaś kazał mu coś zapamiętywać. Czasami niełatwo było rozróżnić, co jest co, tyle że w tym drugim przypadku Mauryl wydawał się zadowolony, a w pierwszym ogarniała go jeszcze większa złość. Tristen wolałby już, żeby Mauryl go po prostu uderzył i kazał zapamiętać nauczki.

Zamiast tego czarodziej przywołał go do drewnianych schodów i zaczął prowadzić w dół i w dół po rozchwianych stopniach. Przemoczony skraj szaty Mauryla zostawiał po sobie mokrą smugę na drewnie, mieniając się w bladym, smutnym świetle, jakie sączyło się poprzez rogowe szyby i ścieliło na ich drodze.

Stuk-puk, stuk-puk-puk – coraz niżej i niżej. Gołe stopy Tristena wydawały znacznie cichsze dźwięki na wygładzonych, zakurzonych deskach. Przypuszczał, że deszcz w rzeczywistości nie niszczy ubrania i że jego poprzednie założenie było błędne. Woda pokrywająca kurz, po którym stąpał, wydawała się dziwnie gładka. Nie czuł skruchy, aczkolwiek miał wrażenie, że zachowuje się niewłaściwie.

Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy dotarli do korytarza prowadzącego do jego komnaty. Mauryl wściekle huknął laską o ziemię. Z płaszcza posypały się krople, na podłodze powstała kałuża.

–A teraz się ubierz! Kiedy to zrobisz, zejdz do sali. Chcę z tobą pomówić.

Tristen uklonił się i ruszył do swej komnaty, gdzie na łóżku zostawił ubranie. Małe kałuże, które tworzyły się za nim na deskach, lśniły mętnie w świetle wpadającym przez niezastłonięte okiennicami rogowe szyby. Woda z włosów ściekała mu na plecy i ramiona, napływała do oczu. Odgarnął kosmyki z czoła i spróbował je wyjąć. Włosy opadały na ramiona ciemną płataniną. Ubranie lepilo się do ciała i trudno je było nałożyć. Buty zachowywały się w podobny sposób. Wilgotne włosy zmoczyły koszulę na ramionach, więc zaczesał pukle, tak, aby się jak najlepiej prezentować.

Być może Mauryl zapomni. Być może zapomni, po co wzywał Tristena na dół, i odprawi go z powrotem. Czynił tak czasami, gdy pochłaniały go książki.

Grzmoty piorunów nadal nie cichły, rozmawiając niejako nad jego głową, woda natomiast spływała niestrudzenie po rogowych szybach; róg był żółtawy, czasem brunatny, przylegał ściśle do metalowych ramek, a zdobiły go osobliwe kręgi i warstwy. Róg użyczał koloru światłu, które przepuszczał. Cienie deszczowych kropli pełzły po jego powierzchni, co Tristen uwielbiał obserwować. Na parapecie utworzyła się kałuża, w miejscu, gdzie na styku dwóch rogowych zakończeń woda przenikała do środka. Niekiedy rysował na kamieniu mokre figury. Niekiedy też nad wyraz cierpliwie czekał, aż woda przeleje się przez parapet.

Teraz jednak było mu zimno, a na skutek tego, że mokre włosy spadały na ramiona, całe ciało przeszywał chłodny dreszcz. Zdjął płaszcz z kołka i zarzucił go sobie na plecy, a potem otulił się nim szczelnie, kiedy szedł drewnianym korytarzem i ciężkim krokiem schodził drewnianymi schodami, do gabinetu, wywołując echa, których Mauryl nie mógł nie dosłyszeć. Oto nadchodził. Był posłuszny – jak wyrażał się czarodziej.

Mauryl stał przy kominku. On też się przebrał i owinał suchym płaszczem. Jego włosy – srebrna, nieuczesana

siatka wokół uszu – zaczęły wysychać. Założył ręce na piersi, tak, iż wyglądał jak nastroszone ptaszysko, zmarznięte i zagniewane.

–Panie – przywitał się młodzieniec. Mauryl jakby go nie zauważał. Chłopcu wydawało się, że musiał długo czekać, by starzec raczył zwrócić wzrok w jego stronę. Zastanawiał się, czy Mauryl zapomniał, że przedtem wrzał złością. Albo czy zmieni zdanie.

Wtem, zupełnie niespodziewanie, żywiłowo, Mauryl odwrócił się bokiem do ognia i popatrzył na Tristena, omiół go wzrokiem od stóp do głów i z powrotem, szukając, być może, kolejnych powodów do rozczarowania – rozczarowanie widoczne było w linii ramion Mauryla, z jego oczu wycierała świadomość dostrzeżonych usterek. Tristen stał nieruchomo, ze splecionymi dłońmi, również przygnębiony faktem, że tak bardzo zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Po raz kolejny.

Stopy ścierpły mu z zimna. Zginał palce w butach, przeświadczony, że zasłużył na to zimno. Mógł, co prawda spaść z balustrady, ale patrzył przecież pod nogi, naprawdę patrzył. Miał szybki refleks. Pamiętał, jak się pośliznął. Stał z szanowaniem w łukowatym przejściu, czekając, kiedy zostanie zaproszony bliżej ognia, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć Maurylowi, jakim sposobem uratował się od upadku.

Doszedł do wniosku, że ze względu na nastrój, w jakim obecnie znajdował się starzec, lepiej mu niczego nie mówić.

–Nie jestem w stanie – zaczął Mauryl wolno – nie jestem w stanie przewidzieć, co zamýślasz robić. Po przebudzeniu i zanim pójdiesz spać, między jedną chwilą a drugą. Co zamýrasz wtedy robić?

–Nie wiem, Maurylu. Jeszcze o tym nie myślałem.

–Czyżbyś nie potrafił myśleć o konsekwencjach, Tristenie?

–Staram się – odparł młodzieniec słabym głosem. – Staralem się, mistrzu Maurylu, naprawdę starałem się myśleć.

–Ależ z ciebie...

„Głupiec” – dokończył w myślach Tristen. Mauryl jednakże tylko potrząsnął głową i skulił ramiona, widać również ziębnięty. Czarodziej nie marzył chyba o wychodzeniu na deszcz i chłód, aby go zaciągnąć z powrotem pod dach. A zatem nie zauważył cudów towarzyszących deszczowi, nie widział welonów zawiewanych wzdłuż murów. Być może, gdyby mu wytłumaczył...

–Deszcz tworzył kurtyny – powiedział. – Powietrze pachniało jakoś inaczej. Wyszedłem, żeby je poczuć.

–A uderzenie pioruna mogło cię Zabić. Zabić, słyszysz?

–Zabić – powtórzył. Czasami Mauryl wypowiadał Słowa, które Tristen słyszał i których znaczenia mógł określać. Chłód przeszył mu serce, gdy odczytał znaczenie nowo poznanego Słowa. Oznaczało ono ciemny pokój, pozbawiony świec, podłogi, ścian i sufitu, spijający ciepło, osaczający i odbierający tchnienie, tak, że Tristen nie mógł odetchnąć powtórnie. Nagle okazało się, że siedzi na podłodze po drugiej stronie komnaty, a ogień w palenisku obok trzaska głośniejsz niż zazwyczaj. Ujrzał blask na kamieniach i był to dowód, że widzi i że wciąż istnieje ciepło.

Zamrugał i oto powrócił na dawne miejsce przy kominku. Mauryl kucnął przed nim, dotykał jego twarzy dłonią wytartą i gładką niby kamienie i zakurzone deski podłogi, dłonią tak czułą, jak tylko potrafi być dłoń Mauryla, czasami, z powodów równie niezrozumiałych, co jego napady gniewu.

–Chłopcze – rzekł mu Mauryl, jakby go budził ze snu. – Tristenie. – Dotknął jego policzka, przejechał po nim palcem, odgarnął mu na kark mokre włosy. Kamień, na którym siedział, był nagrany od ognia. Tristen nie wiedział, jakim sposobem znalazł się w pozycji siedzącej, ale przypuszczał, że Mauryl znów wypowiedział Słowo, jedno z tych bezgłośnych. Moknął na deszczu i oglądał błyskawice. Mauryl powiedział, że piorun może go zabić, ale Mauryl wypowiedział równocześnie Słowo i wysłał go w to ciemne miejsce. A potem następne Słowo przywróciło go w poblizko kominka. Nic równie odległego jak błyskawica nie mogło mu zagrozić. Powinien się obawiać tylko i

wyłącznie Mauryła.

I być mu posłusznym, a nie doprowadzać go do gniewu.

Gdy grzmot rozdarł ciszę, wzdrygnął się, przeszyty nagłym dreszczem, chowając głowę między kolana, dopóki Maurył nie podważył jednej z jego dłoni i nie uściśnął jej kurczowo, każąc mu powstać. On jednak drżał jak osika i nie mógł wyprostować nóg. Jeszcze jeden grzmot przetoczył się wysoko nad wieżami i zaparł mu dech w piersiach, lecz Maurył ciągnął go tak długo, aż znalazł w sobie dość siły, by podźwignąć się na równe nogi.

Wówczas, pomagając też niezgrabnie Mauryłowi, odzyskał równowagę i wyplątał się z gmatwaniny płaszcza. To jednak Maurył wskazał mu dalszą drogę, zaprowadził go do ławeczki blisko paleniska i kazał tam usiąść, sam wielce oszołomiony. Maurył usiadł obok młodzieńca, ujął jego dłoń, ścisnął ją mocno, bardzo mocno, gdy wtem gdzieś nad nimi coś nieoczekiwanie trzasnęło.

Chłopiec podniósł wzrok, serce waliło mu jak młotem.

–To tylko niedomknięta okiennica – wyjaśnił Maurył, nie wypuszczając jego ręki. – Wiatr nią huśta. Nie bądź niemądry, popatrz na mnie. – Maurył złapał młodzieńca za ramiona, przerażonego kolejnym trzaśnięciem, a potem wziął w ręce jego twarz, aby zmusić go do posłuchu.

Trząśł się, niemal dzwoniąc zębami, podczas gdy wichura łomotała i huczała, chcąc

wedrzeć się do wieży. Oczy Mauryła przykuwały wzrok. Szept Mauryła dominował nad

rykiem burzy.

–Wysłuchaj mnie, chłopcze. To tylko pusty wiatr. To tylko deszcz. Lecz w burzy kryje się groźba. Czasem możesz pokusić się o jakieś zuchwałe ryzyko, ale nie czyn tego w czasie burzy. Strzeż się ciemności. Kiedy niebo zasnuje się cieniem, zawsze chowaj się pod dachem, zawsze zamykaj szczelnie okiennice, drzwi miej zawarte. Chyba mówiłem o tym wcześniej?

Chłopiec wciąż szczął zębami.

–Zdjąłem ubranie – rzekł, doszedłszy do wniosku, że w tej kwestii ma rację. – Przykro mi, że twoje zamokło. Przykro mi, że musiałeś przeze mnie wychodzić na deszcz.

Nie miał jednak racji. Niczego nie zrozumiał. Obwieściło mu to spojrzenie Mauryła.

–Byłeś Nagi – stwierdził starzec. Słowo to dotarło do młodzieńca; wyczuł, jak wielkie rozczarowanie sprawia Mauryłowi swoimi błędami.

Wicher kołatał i dobijał się do wieży. Cały świat był zły i ciemny, zakłopotany postawą tego, który błąkał się niedołącznie między błędem a głupstwem i robił wszystko, byle tylko rozgniewać Mauryła. Znow pragnął, żeby starzec po prostu go uderzył i na tym zakończył sprawę. Bał się kolejnych Słów, wołał już zostać ukłuty ręką Mauryła, który w następstwie będzie przeproszał i mówił łagodniejszym tonem. Uderzenia Mauryła przypominały uczucie mrowienia, kiedy czarodziej słodził herbatę, a chłopiec trzymał kubek.

Uderzenia Mauryła kłuły i wywoływały wrażenie mrowienia, dzięki nim mógł później delektować się uczuciem spokoju związanego ze świadomością, że świat się z nim pogodził.

Teraz jednak Maurył nie pozwalał mu odwrócić wzroku. Napełniał go lękiem, każąc patrzeć sobie prosto w oczy przez długi, długi czas.

–Znasz Słowa – ozwał się wreszcie Maurył.

Tristen wołał, żeby to było tajemnicą.

Lękał się Słów. Pojawiały się znienacka, kąsały go prosto w serce, nie pozwalały złapać oddechu. Znał Słowa, którymi raczył go Maurył. Starzec skądś je wybierał, wymawiał, a wtedy stawały się realne, niektóre dodawały słodczy do potraw, inne uśmierzały ból.

Niektóre pomagały zrozumieć rzeczy, inne napełniały strachem lub wstydem.

–Tristenie, wiesz przecież, że byłeś nagi.

–Tak, mistrzu Maurylu. – Teraz już wiedział, że źle postąpił, wychodząc na zewnątrz nago. Tylko jeszcze nie miał pojęcia dlaczego. Jakkolwiek ubranie należało szanować, nie powinien był bez niego wychodzić na zewnątrz. Mauryl swoje miał na sobie. Zdawało mu się, że rozumie strzępy gniewu czarodzieja. Bądź, co bądź, chodziło o zniszczone ubranie.

Popełnił błąd.

–Wiesz, że groziło ci niebezpieczeństwo?

–Tak, panie.

–A czy wtedy wiedziałeś, że grozi ci niebezpieczeństwo?

–Nie, mistrzu Maurylu. I przykro mi, że musiałeś zmoknąć. Mauryl potrząsnął nim. A więc znów dał niewłaściwą odpowiedź.

–Chłopcze, Tristenie, zapomnij na chwilę o tym przeklętym ubraniu. Tu nie chodzi o ubranie. Chodzi o niezaradność. Chodzi o wystawianie się na niebezpieczeństwa, chłopcze. Tutaj, w środku, nic ci nie grozi. Kiedy wychodzisz na zewnątrz, nie jesteś tak do końca bezpieczny. Bądź ostrożny. Patrz pod nogi. Uważaj na głowę, nie zapominaj moich słów, a nade wszystko nie zapominaj o myśleniu. Na bogów! Czy każdy ruch, oddech i głupi, frunący z wiatrem motyl zasługuje na twój niemy podziw?

Przypomniał sobie motyla. To wtedy otarł sobie łokieć na zewnętrznych schodach.

Pamiętał wszystko, nawet ukłucie, nawet mrowienie związane z dotykiem palców Mauryła.

Pamiętał, jak słońce oświetlało wyschnięte kamienie.

–Chłopcze. – Palce Mauryła wystrzeliły ku policzkowi młodzieńca i dotknęły go lekko, znów skupiając na sobie jego uwagę. Oczy starca były jak czarne węgliki, oblicze srogie i przejmująco nieszczęśliwe. – Nie będę tu z tobą na zawsze, chłopcze. Nie możesz w nieskończoność szukać u mnie odpowiedzi lub czekać na moje polecenia.

–Dlaczego? – Słuchał tego z rosnącym niepokojem. Zdjął go strach. – Gdzie wtedy będziesz?

–Nie będzie mnie tutaj, chłopcze. I lepiej, żebyś wiedział, jak wtedy postępować.

–Ale ja nie chcę wiedzieć, jak postępować! – Usiłował rozmawiać z Maurylem bez ogródek, czego ten zawsze się domagał. Teraz jednak zaczynał się bać. – Jak długo cię nie będzie, panie? Dokąd pójdziesz? – Nie umiał sobie wyobrazić żadnego miejsca znajdującego się poza obrębem twierdzy. Nie ogarniał umysłem czegoś takiego.

–Wszystko ma swój kres, chłopcze. Ludzie odchodzą.

–Nie. – Złapał Mauryła za ręce. – Nie odchodź, Maurylu. – Nie przypuszczał jak dotąd, że można gdziekolwiek odejść, że istnieje inne miejsce, z którego można spoglądać w dół, na bezmiar lasów, i w górę, na słońce i chmury. Tymczasem okazało się, iż są gdzieś inne miejsca. – I ja pójdę.

–Nie z mojego wyboru – odparł Mauryl – i nie teraz. Jeżeli będziesz dobry, jeżeli będziesz dużo myślał, jeżeli weźmiesz się do nauki, być może nie będę musiał wcale odchodzić. Bo mogę się mylić. Jest nadzieja, że tu pozostanę. Jeśli będziesz bardzo, bardzo dobry. Jeśli będziesz się pilnie uczył.

–Będę się uczył. – Potrząsnął rękoma Mauryła. – Będę. I spróbuję nie popełniać więcej błędów.

–Czy zdajesz sobie sprawę, chłopcze, że twoje błędy mogłyby otworzyć Cieniom drogę do wnętrza strażnicy, że mógłbyś zapomnieć zaryglować drzwi, że mógłbyś wyjść na zewnątrz w celu rozkoszowania się wietrzykiem lub deszczem i przez swoją nieświadomość upływu czasu popełnić tak kapitalne głupstwo, iż mogłyby cię one pochwytać. I co byś wtedy zrobił, masz pojęcie? Dopiero, co mnie zmusiłeś, żebym wyszedł po ciebie na deszcz, bezmyślny młodzieńcze, a co by się stało, gdyby to było coś gorszego od deszczu, gdyby jedynie wydawało się

miłe dla oka i w dotyku, gdyby wydawało się takie tylko chwilowo, hę? Co byś zrobił, gdyby pootwierało drzwi i pootwierało okna i nie miałbyś dokąd uciekać? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

–Nie wiem, Maurylu!

Starzec rozplótł swoje ręce i teraz pochwycił jego dla odmiany.

–Cóż, dobrze by było, gdybyś się namyślił za każdym razem, kiedy najdzie cię ochota popełnić jakieś głupstwo. Co ty na to, chłopcze?

–Chcę się namyślać, chcę, Maurylu!

–Chcieć to za mało. Próbować to też za mało. Gdy zostaniesz złapany, nic ci już nie pomoże. „Przedtem” to jedyny czas, jakim dysponujesz, młodzieńcze, a jedyne „przedtem”, któremu możesz zaufać, jest „teraz”. A ty nawet nie wiesz, jak długo potrwa to twoje „przedtem”. A może wiesz, bezmyślny chłopcze?

–Nie. – Sądził, że Mauryl udziela mu odpowiedzi, być może objaśnia sposoby, dzięki którym nigdy nie odejdzie, lecz nie potrafił, jakkolwiek desperacko natężał umysł, ogarnąć wywodów starca. – Nie wiem, Maurylu. Chciałbym wiedzieć, ale jestem głupcem. Niczego nie rozumiem!

Mauryl puknął palcem w jego podbródek, każąc mu podnieść wzrok.

–Toteż zanim zrozumiesz, miej uważne baczenie na drzwi i okna. Nie wyczyniaj harców na balustradach. Nie narażaj się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie wychodź podczas burzy. Nie pozwól, by słońce skryło się za murami pod twoją nieuwagą.

–Nie pozwolę, Maurylu!

–Kiedy burza szaleje, ćwicz się w elementarzu. Pisz i czytaj. To pożyteczne zajęcia. – Mauryl wstał i zaczął buszować wśród leżących na stole pergaminów, zrzucając na zakurzoną podłogę kilka z nich wespół z cynowym talerzykiem i brudną łyżką. Tristen zanurkował, uratował spadające przedmioty i położył je z powrotem na stole, lecz trzy lub cztery dalsze brzęknęły jednocześnie o ziemię. Mauryl chwycił go za rękaw i wskazał na małe kodeksy, wydobyte spośród sterty pergaminów. Wcisnął mu go do ręki i przykrył palcami wyswiechtaną skórę.

–Oto odpowiedź, chłopcze. Tu znajdziesz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Oto sposób. Ucz się, studiuj. Szukaj mądrości.

Tristen otworzył książeczkę pośrodku. Kartki miała pokryte gąszczem liter naniesionych śmiałym, zamaszystym charakterem pisma, nieprzypominającym w żadnej mierze zapisków wypełniających pergaminy, które Mauryl rozdeptał na ziemi, ani nie podobnym do delikatnych, pośpiesznie bazgranych znaków, jakimi posługiwał się czarodziej.

Ktoś inny przepisał tę książkę, pomyślał Tristen. I chociaż zwrot „ktoś inny” nie objawił mu się wraz z piorunowym hukiem Słowa, stanowił myśl, jaka nigdy dotychczas nie powstała w jego głowie, myśl sugerującą istnienie również kogoś innego, nieważne kogo i nieważne czy teraz, czy też kiedykolwiek.

W podobny sposób istniały – wspominał o tym Mauryl – inne miejsca. A skoro tak, musieli też istnieć inni ludzie.

Musieli przebywać w tych innych miejscach; tą samą koleją rzeczy słońce świeci nad tamtymi miejscami i wiatr stukocze tamtejszymi okiennicami. Tak, musiał mieszkać tam ktoś podobny do Mauryla i ktoś przypominający jego samego. Przecież w gołębniku nie siedział tylko jeden gołąb!

W sali na dole nie biegła tylko jedna mysz. Było ich przynajmniej sześć; Mauryl nazywał je chytrymi złodziejaskami, a mimo to częstował kawałkami chleba, gdyż twierdził, że i one są bardzo stare i że nie poruszają się już tak żwawo jak kiedyś.

A zatem wszystko należało traktować w liczbie mnogiej, myszy się starzały, gołębie wyfruwały nad las, którego Mauryl kazał się lękać, choć przecież powracały cało na swoje grzędy w gołębniku, niemającym żadnych skobli i okiennic. Gołębi było mnóstwo.

Ktoś inny, nie Mauryl, zapisał tę książkę, używając prostych, czarnych liter, których surowe, ciemne masy

zalewały stronice, podczas gdy pismo Mauryła przypominało ślady myszy na kurzu.

–Chłopcze!

Szedł prosto przed siebie, tak pogrążony w rozmyślaniach nad zawartością drogocennej książki, że nie zauważył schodów. Wypadła mu z pamięci pierwsza z lekcji, nauka o schodkach. Ocknął się jednak na dźwięk głosu Mauryła i bezpiecznie wszedł na niewielki stopień. Obejrzał się, czując, jak rumieniec wstydu zalewa mu policzki.

Mauryl potrząsnął głową, zniecierpliwiony zachowaniem głupca.

Przygnębiony, zaniósł książkę na dół, położył ją na stole, obok którego w ścianach zatknięto kinkiety. Wyciągnął z pojemniczka nawoskowaną słomkę, zapalił ją od świecy strażniczej (zadanie wymieniania jej każdego ranka i wieczoru spoczywało na jego barkach) i zapalił trzy świece.

Świece nie pojawiają się jak krople rosy, wyjaśnił mu Mauryl, gdy pewnego razu zapomniał zamknąć drzwi narażonej na przeciągi kuchni i wypaliła się świeca strażnicza.

Mauryl wściekł się i kazał mu odpalić słomkę od węgli w palenisku, co kosztowało ich połowę jej długości. Mauryl przez cały czas zrzedził na temat głupców pozostawiających drzwi otwarte na oścież oraz mówił, że trudno zdobyć świece i zamiast nich będą zimą palić wiechcie słomy, jeśli w gospodarstwie zapanuje rozrzutność.

Zima była słowem wyjąłym bielą i ścinającym mrozem. Słomka była mała, bladożółta i gorąca. Krople rosy znał ze zwisających z okiennic pajęczyn, a w starej twierdzy roiło się od pajaków.

Skąd jednak brały się świece, że były tak rzadkie, a jednocześnie, co parę dni pojawiały się nowe i zapełniały puste oprawki?

Przywodziły na myśl książkę wypełnioną obcym charakterem pisma, stanowiąc świadectwo istnienia innych miejsc oraz występowania rzeczy w większych od jedności liczbach. Po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że świece skądś przybywają.

A kto dostarczał im ubrań, skoro Mauryl nie dalej jak tego ranka powiedział, że jedną rzeczą jest zakląć coś, by zachowało się tak, jak i bez zaklęcia mogło się zachować, inną kwestią sprawić, by rzecz wydawała się lepsza, niż jest w istocie, a już zupełnie inną – Mauryl stwierdził to z goryczą – wyczarować nową koszulę, podobną do tej, która pojawiła się w zamian za wiele pięczków ziół, a którą Tristen rozerwał o drzazgę na poddaszu.

Mauryl uczył go cerować dziury, tak długo każąc mu powtarzać tę czynność, aż wreszcie została wykonana poprawnie.

Mauryl podarował mu niezwykle ważną książkę, od której ponoć wszystko zależało, a on tymczasem rozmyślał o koszulach i świecach, rozpraszając uwagę, jak to zawsze czynił, schodząc rozlicznymi schodami swoich wyobrażeń, ku wszystkim tym pomieszczeniom, za których znajomymi drzwiami znajdowały się drzwi nieznane. Usiłował otrząsnąć się z tych rojeń. Próbował nie szukać odpowiedzi na pytania.

Usiadł przy pulpicie stołu, na obszernym krześle, niezwykle wygodnym, tyle, że nie dla Mauryła. Otworzył książkę i wygładził sztywne stronice. Świadectwa jego własnych prób kopiowania, rozrzucone wszędzie wokoło, pokrywały pergaminy wielokrotnymi warstwami, dając wyobrażenie wysiłków włożonych w opanowanie sztuki pisania, gdy kopiował „mysie” pismo Mauryła, palcom udawało się pokryć atramentem nie tylko właściwy pergamin, ale też resztę ciała, pióra i inne pergaminy. Piórkiem rozrzucał malutkie plamki inkaustu, których istnienia nie podejrzewał, dopóki nie położył na nich ręki. Umiał napisać „Tristen” prostymi literami.

W tym jednak przypadku linijki następowały po sobie w równym szyku, uwiecznione mistrzowskimi pociągnięciami pióra, tak ciemne i intrygujące, że gdy już przyciągnęły wzrok, nie sposób było wyzwolić się spod ich uroku.

Tristena ogarnęło cudowne uczucie. W piśmie kryły się słowa mogące lada chwila objawić swą moc, dlatego pismo owo należało czcić, obchodzić się z nim ostrożnie i rozważać jego zawartość, jako że niektóre kształty przypominały znaki Mauryła, choć wiele zaopatrzone w ogony i proste, wyraziste linie, gdy tymczasem u czarodzieja w tych miejscach widniały kolanka; zarazem pojawiały się kształty, które rozróżniał z najwyższym trudem, albo też nie potrafił stwierdzić, gdzie kończy się jeden znak, a zaczyna drugi.

Bez cienia wątpliwości pismo to nie wyszło spod ręki Mauryła.

Wyszło spod ręki kogoś innego. Kogoś, kto preferował proste, zamaszyste pociągnięcia, a gardził biczami i ogonkami, o których Tristen mniemał, że są nieodłączną częścią liter, a które kopiował niewprawną ręką, prowadząc pióro w niewłaściwym kierunku, rozsiewając kropelki atramentu i robiąc kleksy potrzebujące czasem dnia, żeby wyschnąć. Jakiś inny czarodziej? – pytał sam siebie. Mauryl wyjaśnił mu, że jest czarodziejem, a on, Tristen – tylko chłopcem. A tacy we wszystkim słuchają się czarodziejów.

Czyżby nie słyszał, co mu Mauryl powiedział? Powiedział, że jest czarodziejem, a nie, że to on jest czarodziejem. Oczywiście, wszystko występowało w większej liczbie. Mauryl zawsze dawał mu to do zrozumienia. Nigdy nie powiedział, że jest tylko jeden czarodziej.

Mauryl mówił, że niebezpieczeństwa są i czyhają na zewnątrz. Podobnie jak Cienie, występujące w gromadach. Na świecie istnieje całe mnóstwo rzeczy, a żadna z nich nie jest pojedyncza.

Mauryl odnosił się do Książki, jakby stanowiła Słowo i wypełniała ją więcej donioślejszych znaczeń, niż spotkać można w zwyczajnych książkach. Podobno znajdowało się w niej źródło potrzebnych mu mocy. Mauryl powiedział, że nie będzie musiał odejść, jeśli Tristen zdoła w niej znaleźć odpowiedzi.

Jakkolwiek chłopiec ze wszystkich sił próbował poukładać litery w zrozumiałe słowa, debatował nad obcymi znakami i podstawiał w ich miejsce różne poznane litery – nie potrafił odczytać ani jednego wyrazu.

Gołębie skalne zawładnęły podłogą na poddaszu, gołębie perukarze umiejscowiły się natomiast na najwyższych krokwiach pod samym dachem, w kąciach niedostępnych dla ich dzikich kuzynów, zamieszkując na różnych poziomach stryżku i wypełniając go cichymi głosami. Poddasze było cudownym, zakurzonym pomieszczeniem. Częściowo pokrywały go gonty, a jeden spad – dachówki. Niektóre z dziur wypełniała strzecha, lecz ptaki żywiące się jeżynami wykradały z niej słomę na gniazda, którą wpychały w niedostępne zakamarki wzdłuż pozostałych krokwi, wszczynając zamęt i bijąc skrzydełkami o zakurzone deski, kłócąc się o miejsce.

Ptactwo wszelkich gatunków dowiedziało się, że chłopiec przynosi okruszynki.

Również kilka zmyślnych myszy postanowiło skorzystać z jego szczodrości, nie bacząc na sowę – cóż za odwaga! – władającą zachodnim zakątkiem strychu. Wewnętrzna ścianka dzieliła ów strych na dwie części i wyglądało na to, że sowa rządząca po zachodniej stronie, zawsze samotna i posępna, nie poluje na myszy i gołębie zamieszkujące stronę wschodnią, aczkolwiek Mauryl powiedział, że sowy zjadają myszy.

To wydawało się okrutne.

Sowa nie przyjmowała jednak niczego, co jej przynosił, była ptakiem wiecznie ponurym i ospałym, osamotnionym w swoim królestwie. Najwyraźniej nie lubiła być niepokojona, mierzyła przynoszone łakocie złym spojrzeniem żółtych oczu i pozwalała, by leżały nietknięte. Zdaniem Mauryła, przesyiała dnie, a polowała nocą. Tristen pomyślał, że musi się gniewać, kiedy ją budzi.

Sowa wylatywała wieczorem między cienie i powracała szczęśliwie, by odpocząć na poddaszu. Ostatecznie chłopiec domyślił się, że Sowa nie lubi towarzystwa – po tym mianowicie, iż ani jeden ptak i ani jedna mysz nie przeszły nigdy na jej stronę, gdzie deski były gołe, pozbawione gniazd i słomy.

Młodzieniec mógł przypuszczać, że Sowa nie tylko swą zgryźliwością różni się od innych ptaków: wędrując wśród Cieni, a może nawet będąc ptakiem, którego bały się inne ptaki. Kto wie, dumiał Tristen, czy Sowa nie jest ich Cieniem, powodem, dla którego przed zmrokiem zlatują do domu, gdzie zostają aż do wschodu słońca. Być może istnieje też Cień ścigający czarodziejów, nękający chłopców, czy wreszcie Cień polujący na myszy i ptaki, a on odnalazł jego dzienną kryjówkę; przypuszczał, że Cienie – podobnie jak Sowa – muszą mieć takie kryjówki. Ale jeśli naprawdę Sowa jest jednym z tych okropieństw, powinien się cieszyć, myślał, że rozpościera tylko skrzydła i przesywa go wzrokiem.

Zastanawiał się, czy przypadkiem wysoko, między belkami, nie drzemią inne Cienie. I czy, rozbudzone, nie mogłyby go osaczyć. Podejrzewał jednak, że Cienie przestrzegają pewnych zasad, które każą im spać w dzień, i – o ile nikt nie zechce zakłócać ich spokoju – nie budzą się ze snu.

Tak więc przestał odwiedzać zakątek Sowy. Zwierzył się Mauryłowi ze swych przypuszczeń, jakoby na strychu

sypiały Cienie. Mauryl odparł Tristenowi, iż sypiają one w przeróżnych miejscach, ale po zachodzie słońca nie wolno mu odwiedzać poddasza. Zawsze zresztą powinien tam uważać, mówił starzec, a to ze względu na przegniłe ze starości deski.

Gdyby któraś pękła, co mogło w każdej chwili nastąpić, chłopiec złamałby sobie kark.

Mauryl zawsze myślał o nieszczęściach. Widocznie tacy już są czarodzieje, przypuszczał Tristen, a chłopcy muszą uczyć się czytać. Zabrał na górę swoją Książkę i usiadł w świetle dnia.

Myszy oswoiły się z jego obecnością, a ptakom (z wyjątkiem Sowy) smakował przynoszony przezeń chleb – trzepotały skrzydłami i walczyły o niego desperacko; przynajmniej wróble, bo gołębie skalne (miały lepsze manieri, jak mawiał Mauryl) wypychały tylko piersi, podskakiwały i nurkowały w stronę jedzenia. Wróble uwielbiały figle i sztuczki, a szare piersi gołębi mieniły się w słońcu zieloną tęczą; nauczyły się podchodzić blisko i siadać mu na nogach, gdzie mogły grzać się w promieniach słonecznych i wydziobywać prosto z rąk okruszki chleba. Gołębie domowe próbowały tego samego, ale były zbyt nieśmiałe, wróble zaś trzymały się z tyłu i toczyły z sobą wojny; złodzieje – jak Mauryl je określił. Niemądre ptaki.

Już po kilku dniach gołębie skalne nabrały przesadnej śmiałości, zaczęły skakać mu po głowie, bić się o miejsce na jego ramionach. Wtedy się przekonał, że obecność ptaków nie przynosi samych tylko korzyści. Mauryl orzekł, iż w gruncie rzeczy to one jego wykorzystują, tak już się, bowiem przejawia natura zwierząt, gdy coś dostają, nie muszą w zamian spełniać żadnych żądań. Zupełnie jak chłopcy, skonstatował. A zatem, być może, powinien nauczyć się być rozważnym i myśleć o przyszłości, czego ptaki nie umiały, i dlatego posiadały ptasie mózdzki, a nie mądrość przebiegłej Sowy.

Bądź wobec nich stanowczy, doradził mu Mauryl, ucz ich przestrzegania manier.

Od tego czasu zaczął postępować z nimi jak Mauryl z nim, no cóż, prawie zawsze. Strząsał je z ramion, przepędzał z kolan. Tolerował jednego czy dwa spokojne osobniki i – co odkrył – kiedy brakowało chleba, większości nie zależało już tak bardzo na jego towarzystwie.

Tym sposobem nauczył się obchodzić z ptakami.

Zwierzył się Maurylowi, że myszy są o wiele bardziej kulturalne, na co czarodziej odrzekł, że stworzenia te, jako dużo mniejsze, boją się, żeby ich przypadkiem nie rozdeptano.

Powiedział, że przy lada sposobności i one pokazałyby pazurki, co stanowiło różnicę między chłopcami a myszami; chłopcy są uprzejmi, ponieważ można im wytłumaczyć, dlaczego tacy mają być, podczas gdy myszy są uprzejme ze strachu; jednak obdarzone większym wzrostem, mogłyby stać się naprawdę niebezpieczne, ponieważ miały nikczemną naturę.

Wiadomość ta przejęła go smutkiem. Położył się na podłodze na brzuchu i próbował zachęcić myszy, żeby do niego podchodziły, ale one czuły przed nim lęk i zbliżały się jedynie na zwykłą odległość. Wówczas zrozumiał, że Mauryl mówił prawdę i że myszy spodziewają się po nim czegoś złego, chociaż on nigdy nie wyrządził nikomu krzywdy. Zastanawiając się nad przyczyną takiego stanu rzeczy, doszedł do wniosku, iż Mauryl dobrze określił ich charakter.

W przerwach między tymi rozmyślaniami czytał Książkę, a przynajmniej ją studiował. Niekiedy wpadał w złość, że nic nie rozumie. Czasami natrafiał na krótkie słówka, które coś mu przypominały. Czasami sporządzał palcem notatki na kurzu. Bezmyślne gołębie jednak wciąż po nich deptały, tak, że zapiski nigdy nie mogły długo przetrwać.

Gołębie nie miały szacunku zarówno dla pisma, jak i dla chłopców. Nie bały się go nawet wtedy, gdy przeganiał je z kolan. Wydawało mu się, że zaczynały o nim myśleć nie jak o chłopcu, ale jak o innym gołębiu, który trzepocze skrzydłami, aby zrobić sobie miejsce.

Całe to jego machanie skrzydłami wytrącało tylko ptaki z równowagi, co znały z własnego doświadczenia. Nigdy nie odrzucało żadnego na dobre, skoro tliła się nadzieja na dodatkowe okruszki chleba.

–Maurylu – westchnął Wiatr.

Mauryl zatrzymał się, złapał laskę i wyskoczył z za stołu w swej komnacie w wieży, rozrzucając na wszystkie strony

pergaminy i kodeksy.

W pustym powietrzu rozległ się śmiech, wyraźniej niż zwykle.

–Jesteś dzisiaj słabszy – rzekł Wiatr. – Maurylu, wpuść mnie do środka.

Czarodziej uderzył laską o drewnianą podłogę, następnie zastukał podkutą złotą stopką w zaryglowaną okiennicę. Rygiel trzymał pewnie.

–Maurylu – ponowił Wiatr – Maurylu Gestaurienie. Widziałem go dzisiaj. Naprawdę.

Nie zniżył się do odpowiedzi Odpowiedź burzyła zapory. Wsparł się na lasce z zamkniętymi oczyma, wzmacniając wewnętrzne linie obrony; na czoło wystąpiły mu chłodne krople potu.

–Ongiś powstrzymywałeś mnie bez najmniejszego problemu. Zdaje się, że Forma cię osłabiła, Gestaurienie. Jak myślisz? A czy było w ogóle warto?

–Nie potrafisz go odczytać – pomyślał Mauryl. Nie traktował wprawdzie tego jak odpowiedź, ale Wiatr mimo wszystko usłyszał. Następną myśl obwarował więc murem fortyfikacji, ukrył i owinął pieczołowicie, uzbroił otuliną dawnych wspomnień. Poczucie teraźniejszości rozmyło się na moment.

–No dalej, wpuść mnie do środka – głos dobiegł z innej strony, głęboki, cichy i przesywający chłodem. – Słabiesz, Gestaurienie. Coraz ciężiej i ciężiej jest ci mnie odegnąć. Powiedz, czego spodziewasz się po tej twojej odzianej w ciało Formie?

Niebezpiecznie odpowiadać. Nic nie rób, o niczym nie myśl.

–Ach, Gestaurienie, Zgubo Królów, jakże go nazywasz? Tristen, pomyślał, na próżno żałując, że wymknęło mu się to słowo.

Śmiech wypełnił komnatę w wieży, wprawiając w drżenie wszystkie okiennice.

–Tristen, Tristen, Tristen. Czy on mi zagraża, Gestaurienie? Ta kwiląca niewinność? Nie sędzę.

–Precz ode mnie, łajdaku!

Okiennice zagrzechotały, jedna po drugiej. Wiatr zachichotał, zawył, zaryczał i wzruszył cienie w kątach.

–Ach, te tajemnice – parsknął Wiatr, chrobocząc delikatnie skoblem przy okiennicy. – Być może wielką, zadziwiającą tajemnicą jest twoje niepowodzenie. Tak wspaniała magia. Tyle ambicji. I wszystko na nic.

–Precz ode mnie, powiadam!

Cienie się wycofały. Wiatr ucichł raptownie. Okiennice milczały. Wdarł się zbyt arogancko, za wcześnie.

Mauryl klapnął na krzesło, zatopił głowę w drżących dłoniach.

A potem, tknięty przerażającą myślą...

...zerwał się na równe nogi, jedną ręką pochwycił laskę, a drugą złapał lichtarz. Był jednak słaby – trzęsły mu się kolana. Podpierając się laską, wyszedł na trzeszczące galerie, oświetlając drogę migotliwym, niepewnym blaskiem, który ani na jotę nie rozpraszał dalszych ciemności.

Zaczął schodzić po schodach o wiele za szybko, jak na kulawego starca, w rezultacie czego do drugiej galerii dotarł obolały, nie mogąc złapać oddechu. Nieustannie sondował magią otoczenie, aż zjawił się pod zapieczętowanymi drzwiami Tristena. Otworzył je i oparł się o framugę, próbując zaczerpnąć powietrza.

Chłopiec spał spokojnie, oddychał cicho i miarowo. Zapewne niczego nie słyszał.

Okiennice tego pomieszczenia nigdy nie grzechotały, nigdy nie przyciągały Wiatru.

Rozdygotaną ręką ustawił świecę na małym stoliczku, opodał świecy strażniczej, pachnącej – podobnie jak ta,

którą przyniósł z góry – jarzębiną i rutą, rozmarynem i gorzknikiem.

Przechylił stojący obok łóżka kubek, by sprawdzić, czy jest pusty, potem zatrzymał się jeszcze i okrył kocykiem nagie ramię Tristena.

Młodzieniec poruszył się, niemal niedostrzegalnie. W czasie snu rysy chłopięcej twarzy były zawsze surowe i ściągnięte, zbyt kamienne – jak na ten wiek. Lecz...

Gładką skórę przyciemniał cień zarostu. Kiedy to się zaczęło, rozmyślał Mauryl?

Czyżby to się stało w przeciągu zaledwie jednej nocy?

Magia nadal w nim kipiała, wciąż nad nim pracowała. Wciąż... wzbierała – tego się nie spodziewał.

Mauryl zanurzył się w sny młodzieńca: tej nocy, wypełnionej dziwnymi najściami, wołał zachować wszelkie środki ostrożności. W snach nie znalazł jednak nic bardziej porywczego od wspomnień deszczu, kół na wodzie czy chmur przepływających ponad drzewami.

Wziął swoją świecę, zamknął po cichu drzwi, wyszedł na korytarz i zapieczętował wejście Słowem.

Wokół wież wzdychał wiatr, ale teraz wydawał się czymś naturalnym. Starzec począł wspinać się do swego gabinetu, światłem i dymem świec zmuszając cienie do chwilowej ucieczki za i pod schody, ku niedostępnym zakamarkom wśród rozlicznych galerii twierdzy.

Rozdział trzeci

Kiedy myśl się już zrodziła, mogła popłynąć wszędzie i gdziekolwiek. Tristen powoli tracił nadzieję na to, że kiedyś uzyska pełną równowagę ciała i umysłu. Myśli jego nie przypominały uporządkowanych myśli Mauryła, skupionych na jednym celu; skakały, podrygiwały, wędrowały, śmigaly od jednej błahej kwestii do drugiej niczym gołębie polujące na rzucone okruszki, co to dziobną tu, dziobną tam, bez ładu i składu. Uwagę jego potrafił rozproszyc płomień świecy, motyl lub – kiedy otarł sobie rękę – odkrycie, że łokcie nie poddają się łatwo oględzinom, a pewnych części własnego ciała, na przykład twarzy, człowiek nie jest w stanie zobaczyć; tak więc Tristen dość osobliwie podchodził do porządkowania własnych spraw.

Zdarzyło się to na tym wstrętym stopniu – upadek prosto na kamienie niższej kondygnacji. Szczęściem miał wtedy puste ręce. Pozbierał się jakoś, a gdy usiadł na kamieniu i spróbował obejrzeć swój łokieć, zobaczył czerwone palce. Bardzo go piekło. Wstał i udał się do Mauryła, lękając się jakiegoś trwałego urazu, ale nie, powiedział czarodziej, to była tylko niewielka Rana. Mauryl kazał mu patrzeć pod nogi, zaaplikował wywołujące mrowienie lekarstwo i posmarował skaleczenie maścią. Rana była Słowem, strasznym Słowem, które zapełniało jego myśli koszmarnymi wyobrażeniami czerwieni i ruiny, przyprawiało o mdłości i zapisywało w pamięci wspomnienie bolącego łokcia.

Niemniej jednak nauczył się, iż z takiego chaosu myśli można czerpać korzyści, a mianowicie zapominać o kłopotach – teraz dopiero przypomniał sobie, że wciąż jeszcze nie zobaczył łokcia. Wobec tego poszedł do Mauryła, który na podwórku ścinał zioła, i zapytał go, czy oglądał swój łokieć.

–Wątpliwe – odparł Mauryl. – Ostatnio jakoś nie miałem na to ochoty.

Młodzieniec ruszył z powrotem, pocierając podbródek. Wtem przyszło mu do głowy, że podbródek ten stał się niedawno szorstki i zaczął go swędzić. On również był niewidoczny.

–Maurylu, ty widzisz swoją twarz?

–Nie częściej niż łokieć – odparł czarodziej chłodno. W powietrzu roznosił się silny zapach suchych ziół. – Co za niemądre pytanie. Oczywiście, że nie.

Młodzieniec odszedł, zauważając przy tym – nie po raz pierwszy, aczkolwiek dotychczas nie poświęcał temu większej uwagi – szeregi kamiennych głów, zawieszonych na murach. Niektóre były wielkie, inne małe, ich wykrzywione oblicza prześladowały go niekiedy podczas niespokojnych nocy, gdy Mauryl złościł się z niewiadomego powodu, a on musiał samotnie wędrować do swojej komnaty; albo gdy wzmagał się wiatr,

trzeszczały dachy i strychy, a trzeba było pozapalać kinkiety na półpiętrach. Twarze zdawały się ulegać zmianie w blasku świecy, kiedy koło nich przechodził, lecz Mauryl powiedział, że nie mogą mu nic zrobić, gdyż są z kamienia.

Co poniektóre miały spiczaste zęby i spiczaste uszy. Tristen wodził językiem po swoich zębach oraz dotykał palcami uszu, aż nabrał przekonania, że chłopcy nie przypominają wyglądem tych okropnych postaci. Jedne kamienne twarze były brodate, w czym przypominały Mauryla. Drugie miały gładkie rysy. Z jeszcze innych wyzierał bardziej strach niż gniew. Wyraz twarzy Mauryla często ulegał zmianom, za każdym razem zwiastując coś zupełnie innego, lecz zmieniające się rzeźby – zapewnił czarodziej – niczego nie wróżyły.

Wraz z rosnącą ciekawością twarzy uświadomił sobie, że włosy jego są ciemne, podczas gdy Mauryla – srebrne; że Mauryl ma długą brodę, jego twarz natomiast jeszcze do niedawna była gładsza od tych wyrzeźbionych w kamieniu. Poza tym, w odróżnieniu od Tristena, na dłoniach czarodzieja wiły się bruzdy zmarszczek, przez co jego ręce wyglądały jak te, które miejscami sterczały z murów (nie te zaopatrzone w pazury, ale zwyczajne, z palcami). Teraz, gdy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że na jego obliczu muszą zachodzić pewne zmiany i że nie tylko broda odróżnia je od twarzy Mauryla.

Rozmyślał o podobnych sprawach, kiedy to następnego dnia u wejścia do pomywalni pochylił się nad beczką na deszczówkę i ujrzał w niej wyraźne kontury chłopca, cień za ledwie, aczkolwiek, rzecz jasna, nie ten złośliwy i groźny Cień, jakim Sowa była dla ptaków.

Cień należał do niego, owszem, nie odzwierciedlał wszakże powodów, dla których jego twarz miałaby się stać surowa, nie pozwalał również określić, czy jest pogodna, czy też sroga. Promienie słońca, pomyślał, padają z niewłaściwej strony i włosy zaciemniają wodę, więc się przesunął, zgarniając pukle na kark – daremnie. Beczka była ciemna i słońce nie umiało jej rozświetlić.

Niemniej jednak dokładniejsze oględziny pokazały, że jego nos jest prostszy, skóra gładsza, a brwi węższe niż u Mauryla. Był podobny, a zarazem niepodobny do kamiennych postaci. Zaczął robić miny do cienia na wodzie, który zmienił się w niewielkim stopniu, tam gdzie światło dotarło zza jego ramienia.

Otworzyły się drzwi do kuchni. Mauryl wyjrzał na zewnątrz, a chłopiec podniósł wzrok.

–Co tam robisz? – zapytał starzec.

–Przyglądam się swojej twarzy – odparł, ale własna odpowiedź wydała mu się nieco dziwna. – Przyglądam się cieniowi swojej twarzy – poprawił się.

–Bystry chłopak – stwierdził Mauryl, aczkolwiek w jego głosie zabrzmiała nuta niezadowolenia. – Widzisz to drzewo?

Tristen spojrział we wskazanym kierunku na wielki, nieuporządkowany stos drewna, który zawsze piętrzył się przy drzwiach.

–A skoro już jesteś taki bystry – kontynuował Mauryl – z pewnością widzisz także siekierę?

Siekiera stała wewnątrz, przy drzwiach. Mauryl podniósł ją i wyszedł na podwórze.

Tristen sądził, że to Mauryl będzie rąbał drwa, gdyż robił to od czasu do czasu; zawsze mawiał o siekierze jako o bardzo niebezpiecznym narzędziu. Przy pracy czarodziej nie potrafił się obyć bez laski: opierając się na niej, wyciągał najmniejsze kawałki i dziabął je na rozpałkę.

Chłopiec stał i patrzył, jak Mauryl kładzie małe polanko na większym, ustawionym jako pniak, i zabiera się do dzieła, jedną ręką wsparty na lasce, drugą rozszczepiając bierwiona.

–Widzisz – tłumaczył Mauryl – najpierw z tej strony, potem z tej. – Drewnienka pofrunęły w powietrze. Tristen lubił im się przyglądać. Drewno szarych klocków było jaśniejsze, a świeżo pocięte kawałki odcinały się żywszym odcieniem niż te zaścielające już ziemię. W czasie pracy Mauryl robił miny. Mały kawałek stawał się dwoma kawałkami. – Widzisz?

–Tak, mistrzu Maurylu.

–No to zmierz się z czymś większym, skoro jesteś takim silnym mężczyzną i masz tyle wolnego czasu.

Tristen wybrał polano o sporych rozmiarach. Położył je we wskazanym przez Mauryła miejscu, po czym sięgnął po topór. Starzec pokazał mu, jak ma go chwycić oburącz, gdzie ma postawić stopy, i przestrzegł, by uważał na przelatujące ostrze. Serce zabiło Tristenowi żywiej na samą myśl, że Mauryl powierzył mu pracę, którą dotychczas wykonywał osobiście.

Toporzysko było gładkie i ciepłe w miejscu, gdzie dotykały go ręce Mauryła. Kiedy podniósł siekiere i na znak starca zamachnął się powoli, odniósł wrażenie, że jej ciężar usiłuje przygnieść go do ziemi.

–Bardzo dobrze – pochwalił go Mauryl. – A teraz, pamiętaj, gdzie masz postawić nogi, i uważając na tor lotu siekiery, machnij nią szybciej i dobrze wyceluj. Nigdy nie ścigaj drewna. Jeżeli drewno się przesunie, zatrzymaj się i ustaw je ponownie. Nigdy, przenigdy nie goń za nim siekiere. W ten sposób ostrze nie trafi cię w nogę. W przeciwnym razie stracisz stopę. Słyszysz, co do ciebie mówię, Tristenie?

–Tak, panie – odrzekł, przekonany o słuszności tej rady. Mauryl odsunął się krok do tyłu i pozwolił chłopcu rąbnąć na poważnie.

Siekiera, niczym nie skrępowana, poruszała się o wiele, wiele łatwiej. Uderzył dwa razy, z jednej strony i z drugiej strony. Mauryl skinął głową z aprobatą, zatem nie przestawał rąbać, zadając po dwa uderzenia, aż topór zdawał się szybować niby ptak, któremu nie pozwalał odfrunąć, za każdym razem uderzając szybciej i trafiając celniej.

Mauryl czekał, póki nie zostanie porąbana cała porcja drzewa. Wtedy kiwnął z zadowoleniem głową, mówiąc:

–Ułóż je pod ścianą. Jak wrócisz do kuchni, wlej wody do rondelka. Ale wcześniej umyj się porządnie.

Mauryl wrócił do środka, a wtedy Tristen zabrał się z wigorem do roboty, aż cały dziedziniec dudnił, gdyż spodobały mu się odgłosy rąbania. Uczucie szybującej siekiery stało się niemal słowem, przy każdym oddechu i uderzeniu czuł strumień przepływającej przez siebie siły. Drzazgi fruwały na lewo i prawo, czepiały się ubrania. Wybierał co większe polana, które unosił bez najmniejszego problemu i z łatwością rozszczepiał, wyposażony w dwie pewne nogi, parę sprawnych rąk i głęboką świadomość, że sprawi Mauryłowi przyjemność, robiąc więcej, niż po nim oczekiwano, i szybciej, niż czarodziej mógłby przypuścić.

Pod koniec wyszukiwał jedynie najgrubsze kłocę. Zabrakło mu oddechu. Pot spływał z twarzy i po bokach, zatem usiadł i pozwolił, aby powiew wiatru ochłodził jego ciało. Potem wstał i znów natarł na stos. Nie wyobrażał sobie wcześniej, że z porąbanych drzew wzniesie się tak wysoki stos.

Nadeszła wreszcie pora przyrządzenia kolacji. Zmył z siebie kurz i pot. Wyplukał także koszulę i powiesił ją do wyschnięcia, po czym wylał brudną wodę w pewnej odległości od drzwi, jak go kiedyś nauczył Mauryl.

W następnej kolejności napełnił rondel wodą i spieszenie pognął na górę, by włożyć nową koszulę i zdążyć jeszcze pomóc Mauryłowi w przygotowaniu kolacji.

Po raz pierwszy – naprawdę pierwszy – udało mu się wykonać tak wiele czynności naraz. Mauryl wyszedł na podwórze, gdy w tym czasie piekły się ciastka w piecyku podsycanym narąbanymi przez starca drewniakami. Mauryl nie ukrywał zadowolenia na widok wielkiego stosu porąbanych kłoców. Nakazał chłopcu zanieść do środka, jeszcze przed kolacją, naręczę zarówno grubych, jak i cienkich drewniaków. Po posiłku Tristen zebrał i pozmywał naczynia, po czym wrócił do kominka, usiadł przy nim i czytał, dopóki Mauryl nie kazał mu pójść spać.

Z zadowoleniem udawał się na spoczynek, głównie, dlatego, iż Mauryl był szczęśliwy – pomyślał o tym, gdy Mauryl przyniósł mu kubek i usiadł na skraju łóżka, mówiąc, iż – oprócz tego, że jest bardzo śpiący – jest coraz silniejszy, bystry i musi uczyć się pilnie, aby być nie tylko byстрыm, ale i mądrym.

–Tak, panie.

–Czy codziennie pracujesz nad Książką?

–Tak, panie – odpowiedział, czując mętlik w głowie. – Czytam w niej wszystko, co tylko potrafię.

Mauryl pogłaskał go po włosach. Rękę miał gładką i chłodniejszą od jego czoła.

–Dobry chłopiec.

Nie pamiętał piękniejszego dnia, na przekór burzy, która w późnych godzinach zaatakowała ogniem błyskawic i hukami piorunów.

Mauryl jednakże wydawał się smutny, gdy tak siedział nieruchomo, a smutek ten był dla Tristena jedynym utrapieniem na świecie.

Po chwili czarodziej przemówił:

–Gdybyś tylko mógł czytać więcej, chłopcze. I gdybyś nie ograniczał się jedynie do czytania.

Tristen nie wiedział, czego Mauryl od niego wymaga. Ogarnęła go nagła rozpacz, lecz czarodziej podniósł się z łóżka. Sen sklejał mu powieki, sen cichy, mroczny, głęboki. Mauryl zamknął drzwi.

Usłyszał jeszcze, jak wiatr dobija się do okiennic, dobiegło go trzeszczenie drewnianych stopni tudzież cichnące stukotanie laski.

Same próby nie wystarczają, pomyślał, zapadając w sen. Jedynie robienie więcej od tego, o co go proszono, mogło zadowolić Mauryla.

W nocy przeszła gwałtowna burza, poznał to rano po kałużach, jakie zebrały się przed kuchennymi drzwiami.

Po zjedzeniu śniadania i spełnieniu wszystkich porannych obowiązków wyszedł na poddasze, niosąc z sobą Książkę i okruszyny w serwetce. Otworzył drzwi i ujrzał smugi światła w nigdy dotąd nieoświetlonych miejscach. Uderzyły go jasność i piękno. Przez otwory w dachu wlatywały i wylatywały wróble oraz wszelkich gatunków gołębie.

Ujrawszy mokrą słomę, zdał sobie sprawę, że deszcz wdarł się do miejsc, które wcześniej zapewniały bezpieczną kryjówkę. Ptaszkom nic się nie stało i wszystkie fruwały, ale tej nocy ucierpiały gniazda.

Co gorsza, gdy spojrział w drugą stronę, okazało się, że wypadła deska w przepierzeniu odgradzającym gołębnik od królestwa Sowy.

Tak być nie może, powiedziałby Mauryl. Tak po prostu nie może być. Bał się pomyśleć, co się już mogło zdarzyć; a jeżeli jeszcze się nie zdarzyło ze względu na rozszalały żywioł, kolejna noc groziła katastrofą.

Niestraszna mu była Sowa. Deska nie znajdowała się po tej stronie przegrody, odpadła po drugiej stronie, wsunął więc na razie Książkę pod koszulę, otworzył drzwiczki i znalazł się w rozległym, opustoszałym strychu, gdzie rządy sprawowała samotnie Sowa.

W dachu widniała dziura, pękła jedna z krokwi, tu i ówdzie leżały pokruszone dachówki. W kryjówce Sowy hulały przeciągi i zrobiło się jaśniej, co jej przypuszczalnie nie ucieszyło.

Siedziała napuszona i posępna na swej grzędzie.

Tristen podniósł oderwaną deskę. Kołki nadal tkwiły we właściwych otworach i odrobina wysiłku wystarczyła, by z powrotem osadzić na nich deskę, acz nie dość głęboko. Podniósł, zatem dachówkę i zaczął nią uderzać, a kiedy pękła, uderzał odłamkiem, dopóki deska nie zaszła na swoje stare miejsce.

Sowa nastroszyła pióra, poirytowana hałasem. Nie raczyła spojrzeć na młodzieńca, gdyż prawdopodobnie nie miała nic przeciwko dziurze prowadzącej do gołębnika. Nic się jednak nie dało zrobić z otworem w dachu, którego naprawa wykraczała daleko poza umiejętności chłopca. Podeszedł do niego i wyrzwał na zewnątrz. Dziura okazała się oknem wychodzącym na tę stronę twierdzy, której nigdy wcześniej nie widział. Przed jego oczyma roztoczył się widok niezmiernych lasów. Gdy podeszedł bliżej, dostrzegł taras z balustradą, również widziany poraz pierwszy.

Zachodził w głowę, jak się do niego można dostać.

Wszedł na leżącą belkę, wspiął się wyżej, położył rękę na dachówkach i z tego punktu widokowego – wystawiając głowę i ramiona ponad otwór – poniżej, w okalającym twierdzę murze, ujrzał bramę. Zobaczył ciemną wstęgę wody liżącej kamienie fortecy i ciąg spinających ją kamiennych przęsł. Patrząc poza te przęsła, w stronę lasu

rosnącego na przeciwległym brzegu, ujrzał starożytną, niknącą między drzewami budowlę. Był zdumiony i zarazem zaniepokojony. Wyobrażał sobie wygląd tej części budowli, która kryła się w lesie. Dostrzegł ślad linii biegnącej wśród wierzchołków drzew, gdzie nie rosły one tak gęsto, jak w pozostałych partiach puszczy. Most i Droga, pomyślał. Wstrzymał oddech. Słowa przybywały nie wiadomo skąd.

Droga sugerowała odejście i nagle...

Nagle uzmysłowił sobie, że jeśli Mauryl odejdzie, wybierze właśnie tę Drogę, wyjdzie za bramę, przeprawi się przez ciemną wodę i zagłębi w las.

Gdy opuszczał swoje stanowisko, poczuł ciężar Książki i przypomniał sobie o brzemieniu powinności, od której Mauryl tak wiele uzależniał, a której on wciąż nie potrafił wypełnić. Tymczasem Droga mogła w każdej chwili zabrać Mauryła i tylko Książka była temu w stanie zapobiec. Postanowił nie zdradzać się z tym, iż zobaczył Drogę, gdyż bał się, że ujrzał przypadkiem coś, o czym Mauryl nigdy mu nie powiedział, a co, być może, uczyniłby tylko wtedy, gdyby Tristen nie potrafił wywiązać się z zadania.

Załatanie wszystkich dziur, które wiatr wydłubał w dachu, przekraczało jego możliwości. Zamocował, co prawda kilka desek, ale dziury były przeważnie za wysoko. Udało mu się przynajmniej – z myślą o gołębiach – załatać otwór, przez który mógłby wniknąć ich Cień, a deszcz wlewałby się ku udręczeniu zarówno gołębi, jak i Sowy.

Po zejściu ze strychu nie rzekł nic o dziurze w dachu. Sądził, że Mauryl wpadnie w gniew, gdy się dowie, że Tristen zobaczył Drogę, i znów będzie opowiadał o swoim odejściu, co było najstraszniejsze. Uczył się pilnie. Przypuszczał, że w Książce odczytał imię Mauryła, poszedł więc go zapytać, czy mogło to być prawdą.

Mauryl powiedział, że wcale by się nie zdziwił. I na tym stanęło. A zatem, gdy od żmudnego badania Książki wzrok Tristena zasnuwał się mgłą, chłopiec zabierał się do czytania i kopiowania prostego pisma Mauryła.

Niemniej jednak niektóre rzeczy przychodziły łatwiej niż inne.

–Czasami – powiedział Tristen pewnego wieczoru, wodząc po wargach miękko-twardą chorągiewką pióra, zabezpieczając jednocześnie łokciami brzegi swego wysłużonego pergaminu do ćwiczeń, aby się nie zwinął – czasami wiem, jak robić jakieś rzeczy, których mnie nie uczyłeś. Jak to się dzieje, Maurylu?

Mauryl podniósł wzrok znad własnego pergaminu, co przejawiało się uniesieniem krzaczastych brwi i znieruchomieniem końcówki pióra nad kałamarzem. Po chwili jednak pióro zanurzyło się i zapisało ze dwa słowa.

–Jakie rzeczy na przykład?

–Pisanie liter, czytanie.

–Przypuszczam, że niektóre z tych rzeczy objawiają się same, inne nie.

–Gdzie się objawiają, Maurylu?

–Gdzieżby indziej, jak nie w twojej głowie? Na księżycu? W wiedzy bramnej?

–Ale są jeszcze inne rzeczy, Maurylu. Nie wiedziałem, że znam Słowa. Widzę coś lub czegoś dotykam i od razu wiem, co to takiego albo do czego służy. Niekiedy dzieje się tak z rzeczami, na które natrafiam codziennie, wielokrotnie, i zniemacka poznaję Słowo. Nagle wyrazy pasują do siebie w sposób dotychczas przeze mnie niezauważony, a rzeczy nabierają zupełnie nowego znaczenia. Czasami się boję.

–Czego się boisz?

–Nie wiem. Zastanawiam się, czy czegoś mi nie brakuje. Próbuję czytać Książkę, Maurylu, widzę wszystkie litery, ale słowa... Nie pojmuję żadnego słowa.

–Tak to już jest z magią. Być może jakiś czar spętał tę Książkę. A może nie Książkę, tylko twoje oczy. Bywa i tak.

–Czym jest magia?

–Czymś, czym zajmują się czarodzieje.

–Czy i ty czasem poznajesz Słowa w ten sposób, kiedy ich dotykasz?

–Jestem już stary. Niewiele rzeczy pozostało, które mógłbym poznać.

–Ja też będę stary?

–Możliwe. – Mauryl znowu umaczał pióro. – Jeśli będziesz posłuszny. Jeśli będziesz się uczył.

–Czy i ja będę taki stary, jak ty?

–Do licha z twoimi pytaniami.

–A więc będę stary, Maurylu?

–Jestem czarodziejem – burknął Mauryl – a nie wróżbitą.

–Kim jest...

–Do licha, powiadam! – Mauryl zmarszczył czoło i podsunął sobie nową pergaminową kartę, później ją odrzucił, po czym uniósł rożek, aby spojrzeć na stronicę znajdującą się poniżej, a potem na następną. Ostatecznie wysupłał jedną z czeluści stosu.

–Maurylu, nie chcę, żebyś stąd odszedł.

–Dałem ci Książkę. Co mówi Książka?

–Wstydział się i nie miał nic do powiedzenia.

–Ona ci odpowie, chłopcze.

–Nie umiem czytać słów!

–Skoro tak, masz co robić, prawda? Na twoim miejscu zabrałbym się do nauki.

Tristen oparł podbródek na rękę, później przejechał po nim dłonią, ponieważ go swędziało; poczuł w palcach dziwne łaskotanie.

–A czy ty potrafisz czytać tę Książkę?

–Widzę, że nie możesz się dzisiaj skupić na nauce. To ci nie daje spokoju, tamto ci nie daje spokoju, jak ja mam pracować w takich warunkach?

–Przepisujesz?

–Obliczam. Na bogów, zostaw mnie samego, przez ciebie zalałem kleksem odpowiedź. Rozerwij się na powietrzu. Daj mi święty spokój. Bacz jednak – dodał ostro, gdy Tristen, skrzypiąc krzesłem, zerwał się na nogi, by nagle znieruchomieć – bacz, byś trzymał się północnych alejek, a kiedy cienie zasnują cały dziedziniec...

–...wtedy wracam. Zawsze tak robię, Maurylu. Dlaczego północnych alejek? Dlaczego nie wolno mi odwiedzać południowych?

–Bo tak ci każę. – Mauryl machnął ręką, zniecierpliwiony. – Idź już, idź i pozwól starcowi uporać się z cyframi.

–Jakimi cyframi? Co ty właściwie...

–No, idźże wreszcie, na miłość boską! Zabieraj się stąd, a pytania zanieś gołębiom. One ci jaśniej odpowiedzą.

–Gołębie?

–Pytaj ich, a zrozumiesz. Są cierpliwe. Ja cierpliwości nie mam za wiele, niedorosły gdzie. Biegnij bzyć sobie gdzie indziej.

Kolejne machnięcie ręką. Tristen wiedział, że nie uda mu się już nic więcej osiągnąć, ruszył więc do wyjścia. Przypomniawszy sobie o swoich pergaminach do ćwiczeń, zatem odłożył je w bezpieczne miejsce na półkę, z dala od powodzi zaścielających blat stołu, wypełnionych obliczeniami pergaminów Mauryła, z dala od astrolabium przyciskającego środkowy stosik.

Wybiegł na schody, ścierając z palców plamy z atramentu, wypatrując, czy aby jakaś nie zamierza dopaść jego ubrania albo – niezauważona – ciągle swędzącej twarzy. Przypuszczał, że mógłby poprosić Mauryła o jakąś radę na tę dolegliwość, czarodziej był jednak zapracowany, a poza tym po jego kuracji Tristen doznawał jeszcze dziwniejszego uczucia niż to, którego doświadczał za sprawą swędzenia, i tak zanikającego, kiedy się czymś zajmował.

–Maurylu – rzekł Wiatr i zagrzechotał okiennicami w wieży: bęc, bęc i łup, łup, łup.

Tym razem Maurył nie spojrział nawet w kierunku zapieczętowanej okiennicy. A więc wytchnienie okazało się krótsze, niżli się spodziewał, Wiatr zaś – bardziej zgryźliwy. Nie towarzyszył mu już śmiech.

–Gestaurienie, wpuść mnie do środka. Wpuść mnie, i to zaraz. Razem możemy zastanowić się nad tym twoim wyglupem.

Zatem dręczył go niepokój. Maurył słuchał uważnie, a następnie – nie wstając – sięgnął pod ścianę, gdzie stała laska.

–Wiesz chyba, że możesz siebie zgubić. To jest zupełnie niepotrzebne, zupełnie zbyteczne.

Spróbował z drugim oknem. Ale tylko z przyzwyczajenia, Maurył pomyślał. Nie pomyślał jednak o niczym więcej, nie stawiał żadnego oporu, podobnie jak trawa – wichurze.

–Śpi teraz – zamruczał Wiatr poprzez szczelinę w najbliższej okiennicy. – Obleciałem dokoła jego okno. Czyżbyś zaiste sądził, że ów młody głupiec ziści twoje nadzieje? Cóż on umie? Spijałem jego sny, naprawdę, Maurylu. Pragniesz, bym widział w nim groźnego przeciwnika? Wątpię, czy nim jest. Szczerze wątpię. Z czymże on może wyskoczyć, ten chłopiec? Jest taki niewinny.

–Ma słodką, niewinną buzię – przyznał Maurył – lecz jest poza twoim zasięgiem. Daleko poza twoim zasięgiem, nieszczęsny, martwy cieniu. Nieszczęsna, stargana duszo.

–On jest niczym. Dzięki niemu wciskasz mi tylko oręż do ręki, wiesz to chyba. – Okiennica łupnęła dwukrotnie i Maurył podniósł żywo wzrok: zobaczył, jak podskakuje zasuwka; poczuł, jak pękają zabezpieczenia. – Gdybyś dawniej raczył do mnie przystać, Gestaurienie, moglibyśmy obdarzyć sihijskich królów władzą, o jakiej nie marzyli. Nowi lordowie nigdy by nie powstałi, a ja i ty nie musielibyśmy się teraz spierać o tę kupę zmurszałych, fortecznych murów.

–W większym stopniu niż kiedykolwiek panował nad emocjami, mówił przekonująco. To nie było dobre.

–Maurylu Gestaurienie, czyżby coś cię dręczyło?

–Nie, po prostu nigdzie mi się nie spieszy. Cierpliwości u mnie dostatek. Nie chcę wyliczać twoich pomyłek ani wyjaśniać, na czym polegały. Niechże będą dla ciebie tajemnicą, podobnie jak rada, której ci udzieliłem.

–Twoja tajemnica pełzła po murze. Widziałem go. Wystarczyło chuchnąć, ale nie chciałem.

–Gdybyś tylko miał ciało, Hasufinie. Jakaż szkoda! Zrobiłbyś to, zrobiłbyś tamto. A tak jesteś tchnieniem powietrza, przejawem zabląkanego przygnębienia, nadętym balonem. Idź, podokuczaj jakiemuś kapłanowi.

–Jak brzmiało jego imię, Gestaurienie?

Poruszyły go miotane zaklęcia i zasiały niepokój w sercu, ale odegnał je uderzeniem laski, potem wstał i stuknął w okiennicę.

–Wynoś się, wietrzny duchu. Wynoś się, no dalej, nawet gołębice mają ciebie dosyć!

Wiatr dmuchał cicho, myszkował, próbował to tego, to tamtego okna, długo.

O wiele dłużej niż w czasie poprzednich nocy.

A gwiazdy... gwiazdy zbliżały się ku złowieszczej koniunkcji.

Rozdział czwarty

Gdy zakłęcie suszy przestało działać, na północy lunął deszcz i począł się zbliżać olbrzymim, niebotycznym bastionem chmur, którego brzuszysko rozjaśniały ognie błyskawic.

Tristen dojrzał go z murów i od razu poznał, że ma przed sobą mroczną i niebezpieczną odmianę burzy, żaden tam kapuśniaczek wypełniający migoczące w promieniach słońca kałuże.

Relację ze swych spostrzeżeń przekazał Mauryłowi, lecz on odparł tylko burkliwie:

„Więc nie wychodź na dwór” – i zabrał się z powrotem do swojego pisania i wyliczania. Przez cały ranek Mauryl przecierał pergaminy, gdyż potrzebował ich do jakichś pilnych zapisków, no i zupełnie przypadkowo stał część zawartości pergaminu, który wolałby zachować. Nie był z tej przyczyny w najlepszym humorze, zatem Tristen po cichu doglądał wszystkich swoich codziennych obowiązków w komnacie.

Pod wieczór przetaczała się nad lasem rozhukana burza. Tristen przygotował kolację zgodnie z wcześniejszymi wskazówkami Mauryła; zdołał nie przypalić jęczmiennych podkłomyków, które ułożył na tacce i wraz z kubkiem piwa postawił obok ramienia Mauryła, mając nadzieję poprawić tym jego nastrój. Mauryl mruknął jednak coś tylko pod nosem i machnął ręką, co oznaczało, że jest zapracowany i chce mieć spokój.

Tak więc Tristen siedział samotnie przy ogniu i jadł jęczmiennie podkłomyki z miodem, a skoro Mauryl nie przejawiał najmniejszego nim zainteresowania, zostawił garnki do rana; nie wątpił, że beczka na deszczówkę wypełni się po brzegi.

Doszedł do wniosku, iż tego wieczoru nic się już nie wydarzy. Jako że Mauryl tak był zajęty, iż nawet nie tknął kolacji, chłopiec wziął świecę i ruszył na górę, na każdym półpiętrze zapalając kinkiety, tak aby Mauryl – kiedy będzie się wspinał do swej komnaty, zapewne wyczerpany – nie musiał wędrować po omacku. Był to pomysł Tristena i niewykluczone, że Mauryl będzie się dąsał z powodu marnotrawstwa świec, ale dąsałby się jeszcze bardziej, gdyby ich nie zapalono.

Postanowił położyć się wcześniej spać, żeby tylko nie zrobić czegoś, co by zdenerwowało Mauryła, i tak już będącego w posępnym nastroju.

Otworzył drzwi do swojej komnaty, zapalił świecę strażniczą, usiadł na skraju łóżka, położył Książkę na nocnym stoliku, ściągnął buty i koszulę, tę ostatnią wieszając na kołku przy drzwiach.

Blask dwóch świec płaśał i podskakiwał wraz z powietrzem wpadającym przez szczelinę pod drzwiami. Mauryl wytłumaczył mu, że to właśnie dlatego ogień się porusza.

Młodzieniec rzucał teraz dwa nachodzące na siebie cienie i patrzył, jak drżą na ścianie. Deski podłogi trzeszczały – jak zwykle, kiedy dął północny wiatr. Zaobserwował tę tajemniczą zależność – Mauryl pochwalił go za bystrość – osobiście.

W trakcie rozbierania pierwsze krople deszczu zabębniły o rogowe okna i rozległ się wyraźny huk gromu.

Zdjął bryczesy i odwiązał koce, gdy przeraźliwy łoskot pioruna kazał mu skoczyć na łóżko i po same uszy nasunąć kołdrę, chroniąc się tym sposobem w bezpiecznych objęciach chłodnej pościeli. Kolejny grzmot rozległ się dokładnie nad wieżą, a on trząśł się, czekając, kiedy pod kołdrą zrobi się ciepło i przytulnie.

Obie świece nadal płonęły. Opodal stał kubek z napojem, który musiał wypić – Mauryl przynosił mu go, co wieczór. Kiedy jednak zdmuchnął przyniesioną przez siebie świecę i w blasku tłustej, bladej świecy strażniczej sięgnął ręką po kubek, okazało się, że jest pusty.

No cóż, Mauryła pochłaniała praca. Był bardzo zajęty i drażliwy, kiedy siedział przy tych swoich obliczeniach, posługując się liniami, okręgami i wielką ilością liczb mącących wzrok, gdy się na nie patrzyło. Rozmyślał, czy nie zanieść kubka na dół i nie poprosić Mauryła, żeby wyjaśnił mu, w jaki sposób sam może sobie przyrzadzić napój;

nie pamiętał, by kiedykolwiek poszedł spać, nie wychyliwszy uprzednio kubka, ale przypuszczał, że jedna noc bez ceremonialnego napoju nie robi tak wielkiej różnicy. To go uspokoiło; Mauryl mówił, że ma każdego wieczoru wypić kubek, lecz z drugiej strony każdego ranka miał zjeść śniadanie, a przecież niejednokrotnie Mauryl zupełnie o tym zapominał, aż w końcu Tristen nauczył się przyrzadzać je samodzielnie.

Westchnął zatem i doszedł do wniosku, że sprawa ma się podobnie jak w przypadku śniadań. Jeśli Mauryl przypomni sobie o cwieczornym obowiązku i jeśli to jest aż takie ważne, z pewnością go obudzi i każe mu wypić napój. Położył się na wznak, opuszczony i zapomniany, wsłuchując się w bębnienie deszczu na rogowym oknie.

Wtem – gdy zobaczył, jak błysk pioruna rozściela desenie na nierównych rogowych szybach, jak kropelki pełzną i ścigają się z sobą na pomarszczonej, żółtej powierzchni – dotarło do niego, że okiennice, które każdego wieczoru były zamknięte i zaryglowane (podobnie jak czekał nań zawsze pełny kubek), zamknięte nie są. Wcześniej tego nie zauważył: blask dwóch świec pogłębiał cienie znajdujące się w większej odległości od łóżka.

Obecnie, gdy tliła się tylko jedna, w świetle błyskawic ujrzał całą prawdę.

Wiedział, że powinien teraz wynurzyć się na zimne powietrze, zatrzasnąć okiennice i założyć rygle, lecz przerażały go bijące pioruny, nieustający deszcz oraz samo niezastłonięte okno. W łóżku czuł się bezpieczny. Kiedyś myślał, że jeśli zostanie w łóżku, błyskawice go nie osiągną, a Cienie nie ośmielą się zbliżyć... Teraz zmienił zdanie: nie miał wątpliwości, iż powinien wstać, zamknąć okiennice, natychmiast...

Nawet, jeśli jego powieki przestały się nagle kleić, a oddech nie był już taki równy i głęboki, materac stał się miękki, nad podziw miękki, miękki niczym woda spływająca z okna, które było zastłoniętym oknem, zaryglowanym, wiedział o tym. Nigdy nie odmykał okiennicy. Woda spływała rynsztokami coraz dalej i dalej do...

...do cysterny, pomyślał i zaczął śnić o wiadrach, które musiał wyciągać, i o tym, jak cysterna pachniała chłodem i wilgocią, kiedy ściągał drewnianą klapę... Jak uwielbiał spuszczać wiadro w dół ciemnej i tajemniczej czeluści, nie znając rzeczywistej głębokości cysterny, gdyż sznur, na którym uwiązane było wiadro, nie starczał, by sięgnąć dna. Odwijał sznur coraz bardziej i bardziej, aż rozlegał się plusk...

Deszczówkę z beczki używano w kuchni. W deszczówce się prało. W cysternie, mrocznej i głębokiej, gnieździły się cienie...

...cienie, które poruszały się i płynęły jak wzbierająca woda, biegnąc wzdłuż kamieni, tak jak woda biegnie, wlewając się na stopnie i sącząc się – wraz z kałużą – przez szczelinę pod drzwiami kuchni.

Obudził się w nieprzeniknionym mroku, serce waliło mu w piersi jak oszalałe.

Wypaliła się druga świeca.

Być może obudziło go nagłe zapadnięcie ciemności. Tak sądził. Nie dostrzegał zmiany w jednostajnym szumie deszczu. Wicher zawodził za feralnym oknem; błyskawice przy akompaniamencie gromów krzeszały na rogowej szybie fantastyczne kształty.

Coś postękiwało, jakby tarły się o siebie drewniane belki twierdzy.

Odgłosy wiatru. Odgłosy nocy. Fortecę wypełniały trzaski, pomruki i chroboty, które nocą zdawały się głośniejsze.

Działo się tak, ponieważ twierdza była stara. Mauryl tak powiedział, kiedy pewnego razu pobiegł do niego, wystraszony. Wiekowe, ściśnięte bale trzeszczały wraz ze zmianą pogody, myszy wałęsały się wszędzie bezkarnie. Każdej bezchmurnej nocy wyfruwiała Sowa.

Ale on wolał nie myśleć o Sowie, a nade wszystko o jej przenikliwych oczach.

I znów dobiegło go głucho postękiwanie drewna, co kazało mu przypuszczać, że wiatr musi wiać z tej strony, z której nie wiał nigdy przedtem. Choć było mu dość ciepło, leżał rozdygotany pod kołdrą, zastanawiając się, skąd się bierze jego strach, i żałując, iż brak mu odwagi, ażeby wyskoczyć szybko z łóżka i domknąć okiennice. Wyobrażał sobie, że tuż za oknem coś się pojawia, a on stoi zbyt blisko...

Mógł wybiec na korytarz i poszukać Mauryla, lecz pod drzwiami nie było smugi światła. Blask zawsze ścielił się

daleko po ziemi, jeśli paliły się świece ściennych kinkietów. Na zewnątrz jednak panował mrok i Tristen nie miał pojęcia, czy Mauryl położył się na górze spać, czy wciąż pracuje na dole.

Nagle ściany jęknęły chóralnie, a jęk ów przeszedł we wstrząsający powietrzem ryk.

–Maurylu! – krzyknął chłopiec, po czym odrzucił kołdrę i przyskoczył do drzwi, zupełnie nagi, nie mogąc wytrzymać tego wycia przenikającego sam rdzeń twierdzy.

Otworzył drzwi i wyrżał w czern korytarza.

Z wielkiej sali poniżej nie napływało żadne światło: ciemność ogarnęła serce fortecy, dotarła na samo dno i do zakątka, gdzie mieścił się gabinet Mauryła i gdzie świece wygasaly najpóźniej. Obecnie nie płonęła ani jedna, nawet świece strażnicze na zakrętach schodów, a echa ryków niesły się z niższych partii wieży i zarazem spływały od krokwi. Ogarnięty paniką, starał się znaleźć po omacku drogę. Prowadził rękę po zimnym kamieniu ściany, aż dotarł do zakrętu, gdzie z muru sterczały trzy złączone z sobą twarze. Poczuł ich rozdziawione usta i zaostrome, kamienne zęby. W całkowitej czerni zaczął szukać poręczy, która powinna znajdować się przed schodami. Zamiast niej natrafił stopą na krawędź pierwszego ze stopni; w ostatniej chwili złapał poręcz i odzyskał równowagę. Od tego miejsca schody biegły zarówno do góry, jak i w dół, on jednakże wolał nie zapuszczać się na niższe piętra. Gabinet Mauryła musiał być bezpiecznym miejscem, lecz skoro na dole panował mrok, czarodzieja nie było tam z pewnością. Mauryl udał się na górę na spoczynek. Mauryl wyjaśni mu, że to tylko dźwięki, nic więcej. Nazwie go niemądrym chłopcem, uspokoi i zapewni, że nic nie może wedrzeć się do środka.

Wobec powyższego pobiegł, potykając się, na górę. Ani na chwilę nie puszczał węzowych poręczy, podczas gdy cała twierdza grzmiała echemi i rykami, jakby wszystkie usta wszystkich kamiennych twarzy odzyskały równocześnie dar mowy.

Głowa Tristena wynurzyła się nad poziom schodów. Młodzieniec dostrzegł smugę światła pod drzwiami Mauryła, po której poznał, że znalazł się na wyższym piętrze. Pokonał ostatnie stopnie, podbiegł do drzwi, nacisnął klamkę i pociągnął – drzwi jednak zamknięto od środka, a ryk rozdzierał mu uszy, ścisnął serce i tamował oddech.

–Maurylu! – wrzasnął i uderzył w drzwi zaciśniętą pięścią. Zewsząd otaczała go ciemność, lecz poczuł, że podłoga trzeszczy i trzęsie się, jakby coś stąpało po niej oprócz niego, również odgródzone w ciemności od pomieszczenia Mauryła. To coś zbliżało się.

–Maurylu!

Wewnątrz rozległo się uderzenie, jakiś trzask, pośpieszne kroki dotarły do drzwi i odsunęła się ze zgrzytem zasuw. Wówczas drzwi otworzyły się do środka i w przejściu stanął Mauryl – cień na tle jaskrawej pozołoty, która przenikała przez rozczochrane srebro włosów i okrywające starca szaty.

W pomieszczeniu tłoczyły się pergaminy i przeróżne naczynia, na niezasłanym łóżku leżały mapy i butelki. Stęchłe zapachy piwa, starej bielizny i siarki wręcz zatykały nozdrza. Pomruki dobiegały ze wszystkich kierunków, głębokie i porażające. Mauryl machnął ręką w przystępie wściekłości, wykrzykując Słowo...

Zaległa grobowa cisza, w której Tristen słyszał wyraźnie łomot własnego serca i dzwonienie w uszach.

–Ty głupcze! – krzyknął Mauryl. Chłopiec chciał się cofnąć w popłochu, lecz starzec chwycił go za ramię i pociągnął do środka, tam gdzie on bał się wchodzić.

Wtedy jakimś cudem wpadł między nich nocny stolik, zazgrzytał i wywrócił się. Ręka Mauryła puściła ramię chłopca, roztrzaskały się garnki, pergaminy wysypały za próg leniwą strugą.

–Wracaj tu natychmiast! – wrzasnął Mauryl w ślad za nim. On tymczasem pobiegł w panice ku schodom i – zanim zorientował się, gdzie się znajduje – potknął się o pierwszy ze stopni prowadzących na górę. Gdy upadł rękami i kolanami na schody, usłyszał wściekły stukot laski Mauryła, który gonił go wzdłuż balustrady.

–Głupcze! – krzyknął, kiedy chłopiec niemal na czworakach zaczął wspinać się po schodach, nie wiedząc jeszcze, że droga ta wiedzie na poddasze. – Tristenie! – Młodzieniec usłyszał kolejny okrzyk. Zerwał się na równe nogi i co tchu pobiegł krętymi schodami, aż dotarł na ostatnie z rozchwianych stopni, a później do ostatniej zmurszałej galerii i najgłębszego sekretu fortecy: ciemnych schodków, które zawsze były ciemne, jeśli nie liczyć sączącego

się spod drzwi światła.

Teraz jednak miejsce to rozjaśniały ognie piorunów. Tak czy inaczej, gołębnik stanowił jego schronienie, azył wypełniony znajomymi istotami. Rzucił się ku drzwiom i wtargnął do swej przestrzennej kryjówki. Drogę oświetlały mu błyskawice, których srebrzysty blask przedostawał się między połamanymi deskami oraz dziurami po obsuniętych dachówkach i gontach. Wicher wył i gwizdał przez otwory w dachu, deszcz lał mu się na twarz i spływał po szyi, gdy wędrował ostrożnie wzdłuż krokwi. Zewsząd dochodził trzepot skrzydeł przelęknionych gołębi.

Podskoczył ze strachu, gdy wiatr z hukiem zatrzaskał za nim niedomknięte drzwi. W końcu jednak dotarł do najczęściej odwiedzanego kącika, mokrego obecnie i wystawionego na furię burzy. Dopiero wtedy ośmielił się odpocząć, przypuszczając, że Maurył nie będzie go tak daleko ścigał. Ta ucieczka z pewnością nie ucieszy Mauryła, który jednak po pewnym czasie przestanie się gniewać.

Usiadł w mrocznym zakamarku; bolał go bok, serce tłukło się w piersiach. Ptaki mogły przecież uciec przed niebezpieczeństwem. Skoro zostały na swych grzędach, z pewnością nie groziło im nic złego. Gołębnik stanowił bezpieczne miejsce, nie miały się czego lękać... Powoli uspokajały się po jego najściu. W rozbłyskach burzy dostrzegał krokwie i stłoczone wśród nich pierzaste kulki, zmrużenie zdziwionego gołębiego oka tudzież szare, połyskujące skrzydła.

Rozległ się huk pioruna, mniej wyraźny niż chwilę przedtem. Uczucie duszności, podobnie jak hałas, ustępowało. Serce zaczęło bić wolniej. Oddech, niedawno tak świszczący, iż zagłuszał niemal szum ulewy, ucichł, tak, że Tristen rozróżnił wprawdzie dźwięk deszczu pluskającego o dachówki tuż nad jego głową, potem delikatny odgłos wody sączącej się po słomie, a wreszcie cichy szelest skrzydeł gołębi walczących o suche grzędy.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi, wzbudzając echa.

Raptem na schodach rozległo się skrzywienie, bardzo różne od tego, jakie towarzyszyło rykom i pomrukowi, niemniej równie złowieszcze: zwiastowało nadejście Mauryła. Miarowe pukanie laski dochodziło coraz wyraźniej – stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk. Mdła poświata przesączała się poprzez szparę nad drzwiami. Maurył niesie świecę, pomyślał Tristen, wstrzymując oddech, wsłuchując się w skrzywienie schodów i postukiwanie laski. Drzwi stanęły otworem i na strychu pojawiło się światło. Wiatr zatrzepotał płomykiem świecy trzymanej przez Mauryła i między belkami nad jego głową pojawił się olbrzymi, przerażający cień.

Na widok tego cienia i światła Tristen splótł ręce na piersi i wcisnął się do kąta. A więc Maurył wszedł do gołębnika. Cień jego ogarnął krokwie i gołębie po raz drugi zatrzepotały szarymi skrzydłami, po raz drugi zburzyły się ich szeregi, gdy zastanawiała się, czy nie rzucić się hurmą do ucieczki.

On jednak nie miał wyjścia.

–Tristenie.

W głosie Mauryła wciąż pobrzmiwał gniew, więc Tristen zamarł w bezruchu. Z oddali dobiegało żalosne dudnienie cichnącej burzy. Z wolna sylwetka Mauryła oddzieliła się od gąszczy pełzających po dachu cieni; trzymana w dłoni świeca nadawała obliczu obcy i wrogi wyraz. Gołębie, wystraszone tym rozrośniętym cieniem, przefruwały obłąkańczo między belkami. Roztańczone cienie splotły się nad głową i przeobraziły w jakiś przerażający kształt.

–Tristenie, wyjdź stamtąd. Wiem, że tam jesteś. Widzę cię. Chciał odpowiedzieć.

Próbował złapać oddech i zebrać myśli, aby wytłumaczyć, że nie zamierzał popełnić głupstwa, lecz powrócił zapierający dech w piersiach zaduch. Jakby pozbawiono go rąk i nóg – cały zamienił się w strach.

–Tristenie?

–Ja... – Złapał oddech, ale tylko na moment. – Ja... słyszałem...

–Nigdy, nigdy przede mną nie uciekaj. Nigdy, rozumiesz? Cokolwiek byś usłyszał. Nigdy, powtarzam, nie biegnij w ciemności.– Maurył podszedł bliżej i nachylił się nad nim z płonąca świecą i oczyma pałającymi porażającym gniewem. – No dalej, wstawaj, na co czekasz? Marsz z powrotem do łóżka!

W łóżku było przynajmniej cieplej i bezpieczniej niż w tej ciasnej, zdemaskowanej przez Mauryła kryjówce. A skoro Mauryl zamierzał jedynie wystąpić do łóżka, lepiej żeby się tam szybko znalazł. Poruszył się ostrożnie, chcąc wstać.

Mauryl ustawił laskę w ten sposób, żeby i Tristen mógł się na niej wesprzeć – młodzieniec był za ciężki i starzec by go nie podniósł. Gdy chłopiec wstawał na nogi, Mauryl nie spuszczał zeń gniewnego wzroku. Kiedy wskazał mu schody, ten posłusznie skierował się w ich stronę, spoglądając z ukosa na rozjaśnione blaskiem świecy oblicze starca oraz straszne cienie. Nogi trzęsły się pod nim, podpierał się więc najpierw o ścianę, później o poręcz, aby nie stracić na schodach równowagi.

Miarowy stukot laski Mauryła i jego butów podążał za nim po skrzypiących schodach.

Gdy czarodziej go dogonił, ich cienie zlały się w blasku świecy w jeden nieokreślony kształt, biegnący po kamieniach i deskach, sięgający krokwi wewnętrznej sali, przelatujący nad wielką czeluścią wnętrza; kształt nieustannie podrygujący wśród belek wspierających twierdzę. Wyglądało na to, że na twarzy, setki twarzy wyzierających powyżej i poniżej ze ścian, padał strach, gdy łuna przesuwiała się po ich rozwartych ustach i wytrzeszczonych oczach, a później, kiedy światło odpływało dalej, gdzieś tam przymykały się powieki lub pokazywały gniewne miny.

–Prędej – ponaglił Mauryl posępnie, gdy dotarli do galerii, na której znajdowała się jego komnata. Tristen ruszył ku schodom prowadzącym na niższe piętra. Poza wewnętrzną balustradą światło Mauryła pograżało się w ciemności i nikło. W miarę jak młodzieniec schodził, rytmiczne stukanie laski ścigało go na każdym zakręcie, aż wreszcie znaleźli się na piętrze Tristena.

Stukanie owo ścigało go jednak dalej, pod same otwarte na oścież drzwi; światło promieniejące znad ręki Mauryła rozpraszało ciemności przed chłopcem, który, bojąc się mroku własnej komnaty, zczekał, aż dogoni go blask czarodzieja.

–Świeca się wypaliła – powiedział.

–Do łóżka! – odparł Mauryl z tą samą nieustępliwą zawziętością, więc Tristen wszedł pod chłodną pościel, drżąc z zimna. Z zadowoleniem patrzył, jak Mauryl opiera laskę o drzwi i odpala od swej świecy tę stojącą przy łóżku. Po świecy strażniczej pozostał okapany ogarek.

–Nie chciałem cię rozgniewać – powiedział Tristen. – Usłyszałem hałas. Przepraszam.

Mauryl podniósł kubek ze stoliczka i przetarł wnętrze palcem; zmarszczył czoło i nie wydawał się już taki zagniewany. Tristen czekał, zastanawiając się, czy Mauryl odejdzie, czy go złaja, czy też zrobi coś innego. Pościel wydawała się zimna w zetknięciu z ciałem. Z miny Mauryła wnosił, że zapadnie łagodny wyrok, a przynajmniej sprawiedliwy.

–To moja wina – oświadczył Mauryl. – Moja wina, nie twoja. – Przykrył kołdrą nagie ramię chłopca.

Tristen doszedł do wniosku, że wybaczone mu jego brzemienne w skutki wybiegnięcie z sypialni. Chciałby zrozumieć słowa słyszane z tak niezwykłą wyrazistością, mówiące o niedawnym zagrożeniu i o przyczynach gniewu Mauryła. Zdawało mu się, iż rzeczy, które pojmuje szybko i łatwo, nie są ważne, ale zawsze trywialne.

Wówczas Mauryl usiadł na łóżku i położył dłoń na kołdrze, tam gdzie znajdowało się kolano Tristena, jak to niekiedy czynił, gdy zbliżała się pora spania. Gest ów przypominał młodzieńcowi szczęśliwe chwile pierwszych dni z Maurylem.

–Obu nas naraziłeś na niebezpieczeństwo – rzekł Mauryl i poklepał Tristena po kolanie, aby nie przygnębić go zbyt cierpkimi słowami. – Niemądrze postąpiłeś, uciekając. Wystraszyłeś mnie. Następnym razem... następnym razem nie ruszaj się z miejsca. Już ja znam czające się tu groźby. Rozpostarłem wokół nas ochronny pierścień. Ściągnąłeś na siebie uwagę, rzecz jasna, niebezpieczną uwagę... Równie niebezpieczną, jak otwarte drzwi.

–Czy to może dostać się dziurą? Gołębie tak robią.

–To nie jest gołąb, nie może. Potrzebne mu są drzwi lub okno.

–Dlaczego?

Mauryl wzruszył ramionami. Blask świec wydawał się teraz bardziej przyjazny. Mienił się w srebrzystych włosach starca i nadawał jego skórze żywszy odcień.

–Albowiem tak być musi. W drzwiach i oknach drzemie magia. Kiedy położy się fundamenty jakiejś budowli, stają się one Liniami na ziemi. Do wchodzenia i wychodzenia wyznacza się drzwi i okna, ale nic poza nimi. Murarze znają się na tych sprawach. Podobnie jak Duchy.

To były Słowa, smakowały, pierwsze z nich kamieniem i sekretami, lecz drugie...

Przeszył go dreszcz, gdyż poznał teraz, że boją się ducha. Nadpłynęły nowe Słowa:

Umarli, Zjawy, Nawiedzenia. Zdał sobie sprawę, że Mauryl obawia się tego ducha i dlatego właśnie ryglują drzwi i okna. Ten duch chciał wtargnąć do środka.

–Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego on chce wtargnąć do środka?

–Chce nam wyrządzić krzywdę.

–Dlaczego?

–Bo jest nikczemny. I okrutny. Pewnego dnia także w tobie zechce wzbudzić strach, chłopcze, na razie jednak straszy mnie. Idź spać. Możesz już spać spokojnie. Nie będzie więcej hałasów.

–Skąd się wzięły? Czy to były Cienie?

–Tym się nie przejmuj, to ciebie nie dotyczy. No, idź już spać. Zostawię ci świecę. – Mauryl wstał, sięgnął ku twarzy chłopca i koniuszkami palców przymknął mu powieki. – Śpij.

Nie mógł już ich otworzyć. Za bardzo ciążyły. Słyszał, jak Mauryl wychodzi, zamyka drzwi i stukocze o nie laską.

Potem docierało doń już tylko skapywanie wody z podstrzeszy i ciche pomrukiwania belek twierdzy, w miarę jak Mauryl schodził po schodach i przemierzał galerię piętro niżej.

Powrócił, i to silniejszy.

Znacznie silniejszy, pomyślał Mauryl, czując chłód w wilgotnym, nocnym powietrzu.

Kontakt nie nastąpił natychmiast. Czekał, wciąż wycieńczony ostatnim pojedynkiem.

Wzbierał w nim gniew, ale utrzymywał go w ryzach. Gniew też był oznaką słabości.

–Twoja Forma jest bezradna – szepnął Wiatr, trącając okiennicę.

–Oczywiście, że jest bezradna – odparł Mauryl. – Czy ty się kiedyś mylisz?

–Na marne, Gestaurienie, wszystkie twoje lata poszły na marne. Ta Forma ci nie wystarczy. Pracujesz i pracujesz: naprawiasz swego żalosego, nieudanego manekina, ale jaką masz Z tego korzyść? Gdzież się podziela twa osławiona magia, co? Wyczerpała się. Została roztrwoniona. Czymże możesz mi teraz zagrozić?

–W takim razie do dzieła. Czy pieką cię jeszcze palce? Ach, mało co, a bym zapomniał, przecież ty nie masz palców. Nie masz palców, serca... Nie ma w tobie człowieczeństwa. Twe mięso pożywiło glisty, stało się przekąską robaków. Żuk wymościł sobie gniazdo w twojej czaszce, a z oczu urządził okna... Tłusty, dobrze odchowany Żuk, zacny, poczciwy jegomość. Bardzo go polubiłem.

–Koniec twojej siły, Gestaurienie. Słowa, słowa, słowa, nic, tylko próżne tchnienie. Odniosę rany? Pierzchnę w popłochu? Nie sądzę... Widzę obluzowany rygiel. Naprawdę...

Bum! – trzasnęła okiennica i odtąd nie przestawała grzechotać.

–Tristen, mam rację? Tristen. Chłopiec. Beztroski jak wszyscy chłopcy. Mógł zapomnieć o ryglu, podobnie jak ty

zapomniałeś o jego kubku, no i o okiennicy, tego wieczoru. Czyżby to był przypadek? Przypuszczasz, że to był przypadek?

Powietrze wydawało się duszne, wypełnione groźbą. Okiennica grzechotała alarmująco. Mauryl wstał, złapał za łaskę, a wtedy umilkła.

Prask! – huknęła następna okiennica, aż podskoczyło mu serce.

–Czyżbyś się bał? – spytał Wiatr.

–Wyłaż, mówię ci! Dlaczego by nie? Ile lat musiałeś lizać rany po tym, jak mnie ostatnio nie doceniłeś? Ponad dwadzieścia? Wtargnij jeszcze raz do mojej twierdzy. No, rusz się, spróbuj, ty gnieździe robaków. Być może dopisze ci szczęście. Choć może ci też nie dopisać.

Nie odpowiedział. Zwinął się i odplynął bez śladu zwykłego sobie szyderstwa.

Posiadał tajemnicę, dziś w nocy. Zachowywał dla siebie pewne rzeczy, których za nic nie chciał ujawniać.

Mauryl pochylił głowę ku lasce i postawił w stan pogotowia wszystkie swoje zabezpieczenia, świadom nagłego zwrotu. Nic jednak nie nastąpiło. Nie wychwycił żadnego oddechu ani szmeru czyjejs obecności.

Rozesłał więc swe myśli w jeszcze większym kręgu, wokół skały będącej fundamentem twierdzy, zagłębiając się w jej szczeliny i wydrążenia.

Dalej się jednak nie posunął. Odkrył opasującą jego wolę granicę, której wcześniej nie było – być może granicę linii obrony albo też obcy twór, ściany więzienia tak chytrze wzniesione, że do tej pory nie miał o nich pojęcia.

Pot perlił mu się na czole, gdy usiłował pochwycić wiatr w swoje sieci. Choć jednak utkał je misternie, nie wykrył nawet najdelikatniejszego powiewu.

Chciałby uwierzyć, że więzienie jest wytworem iluzji i że – podobnie jak za dawnych, dawnych dni – sam jest dla siebie jedynym ograniczeniem. Bał się jednak, że prawda jest inna. Bał się i na tym polegała trudność. Strach tak łatwo przeradzał się w wątpliwość, wątpliwość natomiast rodziły podejrzenie, że jego odwieczny wróg, jeśli stawi mu czoło, to tylko na swoich warunkach.

Tym razem nie będzie miał luksusu wyboru odpowiedniej chwili.

Wiedział o tym w głębi serca. Wiedział o tym również jego dawny uczeń, dlatego też póki, co unikał bezpośredniej konfrontacji.

Rozdział piąty

W srebrnym odbiciu Tristen dostrzegł stojącego z tyłu, za ramieniem, Mauryla.

Mauryl czekał, kiedy się zatnie – nie miał co do tego wątpliwości, gdyż sam wierzył, że się pokaleczy. Starzec ostrzegł, iż ostrze jest ostre, i pokazał, jak należy je trzymać w ręce.

Mauryl powiedział mu, że może zapaść brodę, tyle tylko, że brody są dla kapłanów i czarodziejów, a on nie jest żadnym z nich, a poza tym broda wcale by mu nie pasowała.

Wobec tego dał mu bardzo ostry nóż, osełkę i – przy okazji – cudowne, wypolerowane Lustro ze srebra.

Oczywiście, pomyślał. Oczywiście, ludzie przecież muszą widzieć swoje twarze. Mauryl powiedział, że magia jest czymś, czym zajmują się czarodzieje, a lustro z całą pewnością stanowiło czarodziejski przedmiot. Tristen stroił miny, sprawdzał różnorakie wyrazy twarzy, by przekonać się, czy odpowiadają one jego wyobrażeniom, lecz nade wszystko badał swe niedoskonałości: okazało się na przykład, że usta jego są nadąsane, gdy marszczy czoło, kolor oczu natomiast nie jest tak wyrazisty, jak w przypadku Mauryla, to znaczy ciemnobłękitny.

Broda, którą Mauryl kazał mu usunąć, składała się z kilku zaledwie nieregularnych skrawków i cienia wąsa: one to były sprawcami owego dokuczliwego swędzenia. Tristen zgodził się je usunąć, widząc, że w żaden sposób nie przypominają zarostu Mauryla, podobnie jak jego ciemna, zmierzwiona szopa włosów nie przypominała

kredowobiałej grzywy czarodzieja. Niemniej w swym odbiciu dostrzegł również zalety, ukazane w srebrzystej aureoli. Miał regularne rysy twarzy, którym umiał nadać przyjemny wyraz, a skórę, w przeciwieństwie do Mauryła, gładką. Usta wydawały się pełniejsze w porównaniu z zasłoniętymi wąsem ustami Mauryła; nos był prosty, gdy tymczasem ten należący do Mauryła – zakrzywiony; brwi miały ten sam kolor, co włosy, z którymi zdążył się dobrze zaznaczyć, jako że opadały w czasie pracy to na jedną, to na drugą stronę i podczas czytania zachodziły na oczy.

Pośród widniejących na ścianach wizerunków znajdowały się niewątpliwie gorsze podobizny. O wiele gorsze. Przypuszczał, że powinien się cieszyć. Przypuszczał, że jest właścicielem przyzwoitej twarzy.

Brzytwą o rękojeści z brązu wykonał ostatnie przycięcie.

–Maurylu, to szczypie. – Pojawiła się ciemna plamka. Startł ją i na dłoni pozostała krew.

–Dalej cię szczypie?

Ponownie potarł podbródek, nie czując już ukłucia noża, tylko mrowienie wywołane lekarstwem Mauryła.

–Nie – odparł. Umył w misce nóż i palce, po czym spojrzał jeszcze raz na siebie.

Twarz wydała mu się zbyt... nieostra. Włosy miał zawsze w nieładzie, w odróżnieniu od schludnie zaczesanej fryzury Mauryła. Gdyby jednak zapuścił brodę równie długą, co broda czarodzieja, mając przy tym tak ciemne włosy, zakryłyby go cienie.

Maurył natomiast mienił się srebrzyście.

Był lekko rozczarowany, chociaż nie wiedział, dlaczego powinno mu na tym zależeć...

Już wcześniej na podstawie cienia w beczce z deszczówką namalował w duchu obraz swojej twarzy, a teraz okazało się, że w rzeczywistości jest ona bardziej ożywiona i mniej przypomina Mauryła.

Być może powinien ściąć także włosy, a przynajmniej część zachodzącą na oczy. Nie miał jednak pewności, w którym miejscu przyciąć i jaki byłby tego rezultat.

–Czysta twarz – rzekł Maurył. Gdy chłopiec oddawał mu nóż wraz z osełką, dodał: – Porządna twarz. Nie, zatrzymaj je sobie. Ja ich nie potrzebuję. Ty natomiast będziesz ich odtąd używał.

Ostatnimi czasy Maurył przestał wspominać o swym odejściu, ale od dnia, w którym czarodziej zagroził, że tak się kiedyś stanie, oraz wręczył Tristenowi Książkę, ilekroć chłopiec usłyszał wzmiankę o jakiejś zmianie, ilekroć Maurył mówił, że nie potrzebuje już tego lub nie dba o tamto, bez względu na błahość sprawy – przebiegał po nim zimny dreszcz.

Próbował. Z całych sił próbował odczytać pismo będące według zapewnień Mauryła sprawdzianem dla Tristena, czymś mogącym wybawić ich obu z kłopotów. Nie mógł się jednak pochwalić wynikami. Nie czynił tak szybkich postępów, jak w przypadku zapisków Mauryła. Upływały dni, a on nic nie rozumiał, za wyjątkiem kilku słów, o których zrazu sądził, że potrafi je odczytać, ale i w to z czasem zwątpił.

Nader często Maurył bez widocznej przyczyny wyglądał na znużonego, na zwyczajnie zmęczonego – stan ów pogłębiał się z biegiem dni. Objawiało się to głównie w jego wejrzeniu; niejednokrotnie odwracał wzrok, jakby dręczyła go jakaś nieznośna myśl. Nie było w nim ducha, żywiołowości. Coraz częściej tracił wątek w rozmowie i błędził myślami w nieznanym kierunku.

–Ja ich nie potrzebuję – rzekł Maurył, jakby zapomniał, że przed chwilą powiedział to samo.

–Maurylu – zagadnął go Tristen. Maurył szedł w stronę swego biurka, ale się zatrzymał. – Maurylu, co ja zrobiłem? Czy zrobiłem coś złego?

Maurył mierzył go przez chwilę pustym spojrzeniem, jakby błędził myślami gdzieś bardzo daleko. Milczał. Wtem podjął jakąś decyzję, gdyż zmarszczył brwi i powiedział:

–Nie, chłopcze. Nie ma w tym twojej winy.

–A więc czyja jest wina, mistrzu Maurylu?

–To trudne pytanie – odrzekł Mauryl. – Naprawdę trudne. Pewnego dnia, Tristenie, mój chłopcze, być może prędzej, niżbym sobie tego życzył, będziesz musiał dokonać własnego wyboru. Pójdiesz tam, dokąd uznasz za stosowne. Słyszysz mnie? Powinieneś pójść tam, dokąd uznasz za stosowne.

Nie na taką odpowiedź czekał, nie na słowa „prędzej, niżbym sobie tego życzył” czy „pójdiesz tam, dokąd uznasz za stosowne”. Inaczej niegdyś brzmiały obietnice Mauryla.

–Powiedziałeś, że jeśli przeczytam Książkę, mistrzu Maurylu, powiedziałaś, że wtedy zostaniesz.

–Czyżbyś przeczytał Książkę? – Mauryl świdrował go ostrym, dzikim wzrokiem. – Mów zaraz!

–Nie – musiał przyznać. – Znam litery. Widzę kształty. Ale one nią pasują do siebie, mistrzu Maurylu.

–A zatem bardzo wątpliwe, czy potrafisz zapobiec mojemu odejściu, mam rację?

–Co mam zrobić, mistrzu Maurylu? Powiedz mi, czego powinienem szukać. Powiedz, czego muszę się nauczyć!

–W swoim czasie wszystko ci się objawi. Wtedy zrozumiesz.

–Maurylu, proszę!

–Tristenie, mój chłopcze, na niektóre sfery naszego życia nie mamy wpływu. W pewnej mierze magia jest uzależniona od ślepego trafu i czasem, zrzędzeniem losu, zawodzi. To, na co zasłużymy, działając w pojedynkę, nie dorówna temu, co możemy osiągnąć wspólnym wysiłkiem. Nielicznym udaje się odkryć tę głęboką tajemnicę. Większość ludzi wierzy, że żyje samotnie. To poważny błąd.

–Nie rozumiem. Nie rozumiem, Maurylu. Jacy ludzie? Gdzie oni są?

–Istnieją. Wierz mi, Tristenie, poza tą twierdzą rozciąga się wielki świat. Znajdziesz w nim przeszłość, teraźniejszość i to, co się jeszcze nie wydarzyło. Wszystko ma znaczenie. Ale żeby poznać, jakie jest to znaczenie, trzeba wiedzieć... trzeba wiedzieć więcej, niż mogę cię nauczyć. Tristenie, mój chłopcze, sam musisz poszukać odpowiedzi.

–Gdzie? Gdzie mam ich szukać? Jeżeli je znajdę, czy wtedy nie odejdiesz?

–Ach, wątpię w to, Tristenie. – Mauryl wydawał się przygnębiony i mówił coraz bardziej tajemniczo. – Nie powinienem być ulegać skrupułom, gdy cię Wzywałem. Kiedy ty się Formowałeś, ja zawiodłem. Rozterka, ręczę ci, to najwierniejsza sojuszniczka głupców i największa zdrajczyni mędrców. Po dziesięcioleciach trudów... zawahałem się. Naprawiłem jednak, co było w mojej mocy. Jeżeli odejdę, nie dopuszczaj do siebie wątpliwości i trzymaj się Drogi, która ci się ukaże.

–Ale ona wiedzie na południe – odparł młodzieniec. – Sam powiedziałaś, żebym nigdy nie wychodził na południową stronę.

–Skąd wiesz, że prowadzi na południe?

–A nie prowadzi? – Tylko tę Drogę znał, była Słowem i gryzącym sumienie sekretem dręczącym go, odkąd wspiał się tam gdzie, wiedział to w głębi duszy, nigdy nie powinien był się wspinać. Stanowiła Słowo od samego początku pachnące kurzem, smutkiem i niebezpieczeństwami. Była ścieżką, na którą w jego mniemaniu miał wstąpić Mauryl, jeśli spełni swą groźbę dotyczącą odejścia.

Teraz zrozumiał, że oszukiwał samego siebie. Przedtem przypuszczał, pomny na słowa Mauryla, iż czarodziej być może zamierza w przyszłości pokazać mu Drogę – najwyraźniej jednak był w błędzie, co oznajmiło mu szybkie, piorunowe zmarszczenie czoła.

–A gdzież to, młody panie, dowiedziałeś się o istnieniu tej Drogi?

–Zobaczyłem ją z poddasza – odparł chłopiec, zażenowany. – Ale nie wychodziłem na taras. Wyjrzałem tylko przez dziurę, którą zrobiła burza.

–I nic mi nie powiedziałaś?

–Widziałem ją... tylko raz, Mauryłu. Drugi raz tam nie wychodziłem.

Mauryl wciąż marszczył brwi, ale już z mniejszym gniewem.

–Co jeszcze zobaczyłeś z tamtego miejsca?

–Wodę, lasy. Kamienie.

–Ruiny. Ruiny zamierchłej przeszłości. Co więcej?

–Góry. – To Słowo wdarło się do jego serca, gdy przypomniał sobie linię widnokręgu nad lasem.

–Wzgórza. Pogórze Ileneluinu, które rozciąga się hen, aż po Wzgórza Cienia. Na świecie są dużo wyższe góry... Czego się jeszcze dowiedziałeś podczas tej eskapady?

–Widziałem niebo. Chmury. Tylko tyle.

Przez dobrą chwilę Mauryl stał ze skrzyżowanymi rękoma, ciągle nadąsany.

–Znajomość imion daje władzę, czy to czarodziejowi, czy też człowiekowi. Ta forteca posiada swoje imię: Ynefel. Las zowie się Marna. Pomiędzy murami Ynefel a lasem Marna płynie rzeka, która dalej zakręca w ten las: nazywa się Lenuaim. Tak brzmią ich nazwy. Czy wszystko pojmujesz, Tristenie?

To nie były nazwy. Każda z nich była Słowem. Słowa te napływały ku niemu wraz z ciemnością, chłodem i strachem; wraz z drzewami, konarami, głębią i zimnem. Słowa te poszerzały horyzonty świata, ukazywały groźby, jakich wcześniej sobie nie wyobrażał, zwierzęta, ptaki i stwory o wiele straszniejsze od Sowy.

Ileneluin: kamień, burza i lód.

Lenuaim: sekrety i podział, i przerażający mrok.

Ynefel:...

Wolał tego nie wiedzieć. Widział kamienie wokół siebie, zbiór rozchwianych schodów, spirale galerii piętrzących się wzwyż kamiennych murów, kamienne twarze wytrzeszczające oczy, kamienne ręce, które sięgają w próżnię, ale nigdy nie mogą oderwać się od ściany.

–Pewne rzeczy dzieją się wbrew naszym życzeniom – podjął Mauryl – a niektóre pragnienia spełniają się w taki sposób, że chętnie byśmy się z tych pragnień wycofali. – Mauryl położył mu rękę na ramieniu. Wymagał od niego maksymalnej koncentracji, co przerażało chłopca w większym stopniu niż cała reszta. – Tristenie, nadejdzie kiedyś dzień. Wkrótce. Masz wszystko, co mogłem ci dać, wszystko, co mogłem później naprawić. Wystrzegaj się ślepego zaufania, chłopcze, ale nade wszystko strzeż się wątpliwości. Obie te rzeczy są śmiertelne.

Słowa Mauryła napełniły Tristena dławiącym strachem.

–Próbuję zrozumieć wszystko, co mi mówisz, Mauryłu. Naprawdę, próbuję.

–Idź się uczyć. Idź po swoją Książkę. Jest na górze, co?

–Tak, ale... – Nabrał pewności, co do istnienia jakiegoś sekretu, oszustwa, które odbywało się jego kosztem. Wiedział, że swymi pytaniami nuży, błędami denerwuje Mauryła, a powolnością doprowadza go do rozpacz. – Czy możesz mi pomóc, choć trochę, Mauryłu, tylko trochę? Wytłumacz mi ze dwa słowa. Inne rzeczy przychodzą mi łatwo, nie muszę nawet próbować. To jednak, czego najbardziej pragnę się nauczyć, jest dla mnie za trudne. Nie mogę tego zrozumieć.

–Zrozumiesz. Zrozumiesz, kiedy przyjdzie właściwa pora. Taka już jest magia. – Palce Mauryła zacisnęły się na jego ramieniu. – Kieruj się rozsądkiem i nie bądź głupcem, Tristenie. No, idź już.

Ogarnął go nastrój zwątpienia. Zabrał podarunki, które dostał od Mauryła – lusterko, brzytwę i osetkę do

ostrzenia, pokłonił się grzecznie i ruszył w kierunku schodów.

Nagły dźwięk przetoczył się po murach, dziwnie zduszony łoskot pioruna. Chłopiec zerknął na ścianę gabinetu. Grzmi, pomyślał. W czasie deszczu nie będzie można wysiedzieć na poddaszu. Zejdzie wtedy na dół i, być może, Mauryl w końcu zlituje się nad nim i udzieli mu jakiejś wskazówki.

Oparł rękę o poręcz. To wcale nie piorun wprawił galerię w drżenie. Gdy łomot rozległ się ponownie, rozejrzał się, przestraszony.

–Idź już – powiedział Mauryl.

–Co to za dźwięk, Maurylu?

–Idź na górę.

–Ale... – Miał już zaprotestować, że dźwięk ów doleciał właśnie z góry, gdy wtem ze wszystkich stron podniósł się hałas; chłopiec nie słyszał dotąd, by coś tak głośno grzmiało i huczało. Mauryl odsunął się od niego i utkwilił spojrzenie w przeciwległym korytarzu, gdyż w tej chwili łomot zdawał się dolatywać właśnie stamtąd. Potrząsał drzwiami, których nigdy nie otwierali, nigdy nie śmieli odryglowywać. Walił jakby młotem. Grzmot odbijał się echem od kamieni.

–Maurylu!

–Na górę! – Mauryl zatrzasnął gruby kodeks, aż uniosła się chmurka kurzu. – Nie lękam się takich gróźb. To tylko drobna niedogodność. Trywialny szkopał... Biegnij na górę, mówię!

Uderzenia młota przeszły w miarowy, regularny łomot. Zamykając opasłą księgę, Mauryl potracił kałamarz i strużka atramentu pociekła po stole, węzowym ruchem wpłynęła między pergaminy i zaczęła kapać na ziemię, podczas gdy Tristen wahał się, czy posłuchać Mauryla, czy też przystąpić do ratowania pergaminów. Nagle Mauryl wykrzyknął pod jego adresem bezgłośnie Słowo i zawładnął nim strach rozpędzający wszelkie myśli z wyjątkiem jednej – zastosować się do polecenia. Tymczasem łoskot uderzeń rozlegał się w dolnej sali, trzęsły się ściany i schody z drewna.

Nigdy nie biegł po schodach szybciej niż w tamtej chwili. Dotarł na wyższe piętro i rzucił się ku swej komnacie, potem pchnął drzwi, zatrzasnął je za sobą i oparł się o nie, rozdygotany, pokładając w czarodziejskim kunszcie Mauryla nadzieję na bezpieczeństwo.

Grzmoty na dole zdawały się potrząsać drewnianą podłogą. Pomieszczenie ziało wilgocią i grozą, przytłaczało i więziło.

Tu nie jest bezpiecznie, to żadna kryjówka, coś mu podpowiadało. Ogarnęło go wrażenie tak bliskiego zagrożenia, że postanowił otworzyć drzwi w obawie przed uduszeniem. Lecz Mauryl kazał mu tego nie robić. Mauryl polecił mu tutaj zostać, jednakże uderzenia o ścianę wydawały się dobiegać z miejsca położonego tuż pod jego oknem. Ujrzał zarysowanie tworzące się na murze. Z przerażeniem obserwował, jak szczelina pędzi wzdłuż zaprawy między kamieniami wprost ku drewnianej framudze okna z rogową szybą, a później okrążyła okno w stronę mocowania zasuwy. Zasuwa odskoczyła, szpara się powiększyła i do wnętrza wpadły promienie słońca.

Nie potrafił zebrać myśli, dławiony przerażeniem. Pamiętał wyłącznie o Książce, o Książce Mauryla, który powiedział, że ponieważ zawiera ona wszystko, ca powinien wiedzieć, nie wolno mu się z nią rozstawać. Porwał ją ze stołu, wsunął za koszulę i przypadł do klamki.

Teraz już nic nie mogło ugasić jego paniki. Wskoczył z komnaty, puścił się pędem wzdłuż galerii, podczas gdy drewniane bale drżały w takt uderzeń o drzwi. Na górę, tak powiedział Mauryl, idź na górę, a przecież w jego sypialni nie było bezpiecznie. Wspinał się spiesznie na schody wijące się spiralami do góry, gdy cała konstrukcja galerii trzeszczała i pojękiwała. Gnał coraz wyżej, ku płataninie belek i wiązarów, i wąskich, biegnących nisko nad powalą schodków, które prowadziły na cieniste poddasze.

Z trudem oddychał. Zbliżył się do przepierzenia z desek, szukając schronienia wolnego od dziur i prześwitów między gontami, jakieś gwarantującej spokój kryjówki. Wpełzł do ciemnego kącika, uważając, by nie uderzyć głową o krokiew, ocierając się rękoma o drewno pokryte jedwabistą warstwą kurzu. Pajęczyny, dzieło cierpliwych

pająków, oplatały mu twarz i czepiały się włosów; ścierał je na bieżąco, gdy tymczasem forteca odpowiadała na uderzenia wielokrotnionym echem, a w powietrzu niosły się brzęki i dudnienia.

Nagle rozległ się jęk, jakby cała twierdza zwiwała się z bólu, oraz wzrastający szmer, przywodzący Tristenowi na myśl wodę spływającą do cysterny. Młodzieniec wcisnął się jeszcze głębiej do swojej kryjówki, otulił się ramionami. Wstrząsały nim dreszcze, a zaniepokojone gołębie trzepotały skrzydłami i w coraz to większej liczbie wyfruwały przez szpary między deskami gołębnika.

Szmer przybierał na sile, przypominając teraz czyjeś głosy, jakby – dochodził do wniosku – forteca zapełniła się tłumami ludzi, którzy przekrzykiwali się nawzajem. Uderzenia ustały, a w chwilę później rozbrzmiały na nowo, lecz miały teraz inne zabarwienie, ostrzejsze, odbijały się echem od ścian. Odgłos topora, pomyślał, zrazu zmieszany, lecz po chwili poznał, podobnie jak poznawał Słowa, iż dźwięk ten niesie z sobą groźbę dla drzwi.

I wówczas rozległo się wycie; ten sam koszmarny hałas wygonił go niegdyś z łóżka, a skoro dobywał się z wnętrza, musiał go wszczać Mauryl – tak to sobie tłumaczył. Poczuł, jak zbliża się do niego fala dźwięku. Poczuł w powietrzu obecność czarodzieja, mrowie przechodziło mu po skórze. Wicher wpadł na poddasze i wzburzył leżącą na ziemi słomę; wicher tworzył wyrwy między gontami, którymi załatano dziury po dachówkach; wicher poderwał spod szczytu deszcz słomy. Tristen skulił się i zasłonił uszy, a na ostatek w akcie desperacji schował głowę w ramiona i zacisnął powieki, chroniąc oczy przed zawieruchą.

Wycie boleśnie przeszywało uszy, kurz dławił w przełyku. Głosy nakładały się na siebie, gromkie głosy, głębokie, piskliwe i przeszywające. Być może kamienne twarze z rozdziawionymi ustami, wiszące na murach, ożyły nagle. Kto wie, czy kamienie tak właśnie nie krzyczą? Czy i on tak nie krzyczy? Wzdrygnął się. Podciągnął nogi pod brodę, gdy tymczasem od jęków, wrzasków i dudnień trzęsły się deski.

Ptaki zapewne uciekły. Miały skrzydła. On ich nie miał. Mógł jedynie zatkać uszy palcami i, dopóki nie opadnie z sił, wytrzymać ten rwetes. Wtedy światło, które dostrzegał, zaczęło gasnąć. Pomimo wiatru otworzył ostrożnie oczy, bojąc się, że słońce, jeśli teraz zniknie, nie pokaże się już nigdy więcej. W tej chwili podmuch wichury oderwał kilka desek z wiązania dachu, a kiedy odpadły, przez powstałą dziurę wpadł ze skowytym jeszcze silniejszy wiatr.

Tristen zadrżał i złapał się krokwi, oślepiiony fruującą słomą, piaskiem i kurzem. Poczuł, że Książka wyslizguje mu się spod koszuli, sięgnął więc do niej ręką i popatrzył załzawionymi oczyma na miotane podmuchami stronicę. W podłodze pojawiła się szpara, a zakurzone deski rozsunęły się, kiedy pod nimi, między kamieniami, powstała luka. Szczelina poszerzyła się, i to tuż obok Książki, której kartki skręcały się dziko ku dziurze. Książka zaczęła wysuwać mu się z ręki...

Musiał puścić się belki, aby ją uratować, przy czym pozaginał kilka stronic. Przyciskał Książkę do piersi, a cała konstrukcja gołębnika trzeszczała i jęczała pod naporem wiatru.

–Maurylu! – zawołał, tracąc resztki odwagi. – Maurylu, pomocy!

Nie usłyszał odpowiedzi.

Brakowało mu siły. Myszy wyginęły – nieszczęsne, zastępcze ofiary, licha zemsta za Galasjen. Ptaki wlatywały na sam szczyt twierdzy, gdzie zderzały się o kamienie, traciły przytomność i spadały, umierając...

Wicher wciąż zawodził; Mauryl drżał na widok chaosu wdzierającego się wyrwami w murach.

–Na bogów – mrucał – na bogów, Hasufinie, ty wariacie.

–Bogowie przeminęli – odparł Wiatr. – Pierwsi, jacy od nas odstąpili, byli tymi, którzy nam zawsze najbardziej sprzyjali, zauważyłeś to, Gestaurienie? Ale ja mogę Zaweźwać cię z powrotem do mojej służby. Cóż ty na to?

–Brednie – odparł Mauryl i poderwał się, o włos od zguby, ku Zgrozie oplatającej twierdzę. Uwięzione duchy skomlały, oszalałe Z rozpaczy, skomlały i plątały się na wietrze, teraz bezsilne.

–No więc gdzie się podziała twoja Forma, stary Mistrzu? – spytał Wiatr. – Gdzież twój obrońca, szermierz broniący tej sypiącej się w gruzy sali? Kuli się między gołębiami? Ukrywa przede mną?

–Myślałem, że wiesz. Zadawaj mądrzejsze pytania. Czekam, żeby mnie czymś zadziwiono.

–A szydź sobie do woli. No powiedz, kto z nas jest potężniejszy, cherlawy głupcze? Nie zamierzasz mnie czasem stąd przegnać?

–Czas... – rzekł Mauryl i wciągnął do płuc ciężkie od kurzu powietrze. Zastukał laską o kamienie, raz, drugi i trzeci, aż zatrzęsły się wieże i ze ścian posypał pył. – Czas wyrwał się na wolność, głupcze, rozszedł się w szwach: egzystujemy, ty i ja, tylko dla tego, co będzie; marzymy, ty i ja, ale jakież wpływ mamy na losy świata? Wszystko przeminęło, Hasufinie, żyjemy już tylko przeszłością, Zwieńczoną niepowodzeniem, nasza świeca zagasła, a rezultatem długiej waśni są jedynie robaki. Dopełnij swego dzieła, ty żaloszny, gadatliwy głupcze, niech to się wreszcie zakończy.

Wiatr powiewał w nagłej ciszy między porywami, tańczył na dziedzińcu, bawił się uschniętymi liśćmi, które... przez chwilę... ukazały pokryty kurzem płaszcz i kaptur.

–Zniszcz Formę – zaproponował człowiek z kurzu. – Zrób to, mój stary wykładowco, a zaprawdę prześnimy razem ten sen. Czy to cię zadowala? Chodź, ujmij moją dłoń, pocałujmy się jak bracia. Zniszczysz go, a zaśniemy w pokoju.

–Ty bękarcu łgarzu! Robactwo, powiadam, robactwo będzie ci łożem, nadęty Hasufinie, przekupny i pomyłony głupcze. Znużyła mnie już ta wojna.

–A więc kłamstwo za kłamstwo, wirtuozie ułudy.

Kurz wirował w powietrzu, kłuł w twarz, oślepił oczy. Mauryl go odegnał, na co Hasufin odpowiedział pięknym za nadobne.

Kamienie, dawni mieszkańcy Galasjen, krzyczały wielkim głosem.

Wkoło zapanował chaos. Grzmot laski huczał, odbijał się echem, rozłupywał kamień.

A potem nastąpiła cisza. Długa cisza.

Rozdział szósty

Nadal dzwoniło Tristenowi w uszach. Wciąż mroziły go podmuchy wiatru. Niemniej Cień odszedł, a źdźbła słomy łaskotały po twarzy i kłuły poprzez koszulę i spodnie; kłuły tak bardzo, że świadomy był, po pierwsze, iż leży na zakurzonych deskach, po wtóre, że jedno z kolan utknęło w szczelinie między deskami i, po trzecie wreszcie, że Książka jest bezpieczna – przygnieciona jego ciałem.

Dziury powiększyły się niemal na całą powierzchnię dachu, wpuszczając do środka szerokie, przykurzone smugi światła. Pomrukiwały gołębie, których garstka zajmowała się swymi zwyczajnymi czynnościami na krokwiach i przy głównej, podtrzymującej dach belce.

W gołębniku płażał delikatny wiaterek.

Kłopoty minęły, pomyślał Tristen, próbując zmienić karkołomną pozycję, w jakiej się znajdował. Podciągnął kolana i usiadł, wyprostowany, z Książką przyciśniętą do piersi; Mauryl będzie zadowolony, że się uratowała. To Mauryl z pewnością przegnał wiatr i to on przywróci porządek na dole...

Lecz Mauryl nie będzie wcale w dobrym nastroju.

Zdecydował, że powinien jak najciszej zejść na dół, uporządkować pergaminy i zebrać w bibułę rozlany atrament, zanim Mauryl spostrzeże bałagan i wpadnie w złość. Miał już dosyć grzmotów, wrzasków i okrzyków wściekłości: chciał przypodobać się Mauryłowi; przede wszystkim pragnął ciszy, spokoju i dobrego nastroju Mauryła.

Wstał i ruszył po skrzypiących deskach, wywołując lekki niepokój i poruszenie wśród gołębi. Po drodze ścierał z siebie kurz, wygrzebywał z włosów zabłąkane źdźbła słomy, tak, aby Mauryl nie dostrzegł w nim żadnej skazy. Kiedy jednak opuścił poddasze, zszedł wąskimi schodkami i wreszcie znalazł się na galerii, zauważył, że, co się nigdy wcześniej nie zdarzyło, światło wpada do sali poprzez otwory w dachu twierdzy, a galeria skręciła się w zdradzieckim przechyle.

–Maurylu! – wykrzyknął, czekając na ratunek. Żaden dźwięk nie zmącił ciszy.

–Maurylu, jestem na górze! Czy mnie słyszysz?

Podczas najbliższej burzy deszcz mógłby padać do środka, sięgnąć tam, dokąd nigdy nie sięgał – zalać pergaminy i książki w gabinecie Mauryła. Trzeba było znaleźć na to jakąś radę, to nie ulegało wątpliwości – ktoś musiał wspiąć się na dach.

Nagle galeria zatrzęsała się i obsunęła w dół ze stęknieniem; Tristenowi serce podeszło do gardła. Puścił się biegiem ku schodom, chwilowo nie słysząc stęknień i trzasków, które z kolei ożywiły krokwie.

Zbiegał coraz niżej i niżej, najszybciej jak potrafił. Poręcze trzęsły się pod jego palcami, a skrzypiące deski na piętrze Mauryła podniosły przeraźliwy lament, gdy zaczęły przesuwac się dźwigary. Trzy twarze na zakręcie jego własnej galerii wydawały się zmienione, porażone jakąś nową grozą – choć może efekt ten wywołały cienie powstałe wśród niezliczonych smug świetlnych, które przesywały wypełnione kurzem powietrze, po raz pierwszy docierając do dolnej sali.

Gdzieś z wysoka doleciały kolejne stęknienia i chroboty. Opodal przeleciała dachówka, by roztrzaskać się na kamieniach posadzki.

Tristen zaczerpnął powietrza i pobiegł dalej schodami, muskając wolną ręką poręcz, w prawej ściskając Książkę. Nareszcie dotarł do gabinetu, gdzie ujrzał skłębioną masę pergaminów, które pospadały z półek i zostały przysypane gruzem połamanych dachówek.

Dachówki spadły na stół i stłukły przewrócony kałamarz. Pochylił się i podniósł naręcze pergaminów, położył je na stole, a później zabrał się do odgrzebywania pozostałych, układając je w stosiki o jak najrówniejszych brzegach, chociaż pergaminy były sztywne i miały różne rozmiary.

Nastąpiło potężne tąpnięcie. Oderwała się nieużywana galeria, jedna z tych przegniłych po drugiej stronie, na którą nigdy nie wchodzili – jęknęła, wykrzywiła się i runęła z wielkim impetem, zabierając ze sobą belki, strącając kawałki muru i wzbijając chmurę pyłu.

–Maurylu?! – zawołał w kierunku zwałowiska. – Maurylu! – Czarodziej powinien o tym wiedzieć; on nie puści tego płazem, zapobiegnie dalszemu rozpadowi galerii.

Od chwili tej katastrofy na Tristena z prawej strony padały promienie słońca.

Odwrócił głowę i ujrzał smugę światła oraz otwarte drzwi, a przynajmniej uchylone, niedaleko od niego, w głębi małej alkowy, wypełnionej głównie pergaminami Mauryła.

Nigdy nie widział tych drzwi odemkniętych. Nawet raz zapytał Mauryła, czy dokądkolwiek prowadzą, na co czarodziej odparł, że Drzwi zwykle dokądś prowadzą.

Drzwi prowadzą, Maurył wyjaśnił, w każde miejsce na świecie.

Następna dachówka rozbiła się na posadzce, potem jeszcze jedna. Czmychnął pod sklezione przejście do kuchni, gdy spadła trzecia i czwarta.

Maurył nigdy nie otworzył tych wychodzących na południe drzwi i nie pozwalał mu podnosić sztaby. Chłopiec nie podejrzewał, że po drugiej stronie świeci słońce.

Drzwi jednak zostały wyrwane z żelaznych zawiasów, a sztaba zwisała, jednym końcem trzymając się muru. Przez szczelinę wpadał blask słońca – blask będący wrogiem Cieni.

Tamto miejsce wydało mu się bezpieczniejsze niż to, w którym obecnie przebywał. Zaryzykował i wśród szczątków dachówek przemknął ku sklepieniu alkowy, a skoro szczelina była dość szeroka, aby móc przedostać się przez nią na drugą stronę, zaczął się przeciskać, aż znalazł się za drzwiami.

Stał na niskich schodkach w miejscu nigdy dotąd nieodwiedzanym – na otoczonym wysokimi murami kamiennym dziedzińcu, środkiem, którego biegła dróżka z białego kamienia, przecinając kępy chwastów i puste przestrzenie, prowadząc do bramy. Wiedział aż nadto dobrze, że tam zaczyna się Droga, zagłębiająca się w otaczającą fortecę

puszczę.

Mauryl powiedział mu, że kiedyś Drogę tę odnajdzie i będzie musiał pójść tam, dokąd go ona zaprowadzi.

Dotychczas sądził, że Mauryl odejdzie jeszcze przed nim. Miał nadzieję pójść tropem czarodzieja.

Po prawdzie Mauryl mógł już wyruszyć, spodziewając się, że chłopiec będzie miał dość oleju w głowie, by się tego domyślić.

–Maurylu?! – zawołał wśród otaczającej go pustki. Czasami Mauryl czynił zadziwiające rzeczy, zupełnie zaskakujące, więc być może nawet w tych okolicznościach przemówi do niego ze słońca lub z kamieni albo też udzieli mu wyraźniejszych wskazówek odnośnie do dalszego postępowania.

„Maurylu?... Maurylu?... Maurylu?” – odpowiedziało mu echo jego własnym pytaniem, podobnie jak przedtem zwielokrotniało uderzenia topora.

Wolał już więcej nie wołać. Głos na dziedzińcu dźwięczał przerażającą pustką.

Droga jednak napawała go jeszcze większym strachem. Nie znał jej, a nie chciał omyłkowo wyruszyć zbyt wcześnie; pomyłki były jego specjalnością, a gra toczyła się o zbyt wielką stawkę, aby podejmować lekkomyślne kroki.

Tak więc usiadł na stopniu przed drzwiami, przycisnął Książkę do ciała i usiłował wmówić sobie, że Mauryl jest gdzieś w pobliżu i nie nadeszła jeszcze pora, by ruszać w podróż. Powinien tylko czekać i nie tracić otuchy.

Mauryla nie było wewnątrz. Słońce wisiało wysoko i młodzieniec przypuszczał, że o wiele bezpieczniej jest na dziedzińcu niż w twierdzy, gdzie galerie zapadają się z hukiem, a dachówki roztrzaskują o posadzkę.

Mauryl umiałby uspokoić galerie, gdyby nie był zajęty. Powiedział, że łatwo jest zakląć coś, aby zachowało się tak, jak i bez zaklęcia mogło się zachować, a z pewnością galerie nie zachowywały się zwyczajnie.

Gołębie sfruwały na dół, zajęte wykonywaniem swych prywatnych misji, być może spodziewając się ziarna. On jednak bał się zdobyć dla nich pokarm, wracać pod dach, gdzie w każdej chwili mogło mu coś spaść na głowę. Wolał poczekać, aż dachówki przestaną spadać lub powróci Mauryl, żeby zaprowadzić porządek, na co miał w duchu wielką nadzieję.

–Proszę – odezwał się słabym głosem. – Maurylu, proszę, usłysz mnie.

Czuł się tak samo jak w swojej sypialni, kiedy ogarnął go strach. Mauryl nie zawsze przybywał w chwili, gdy sobie tego życzył. Mauryl nie znalazł odpowiedzi na każde pytanie. Mauryl miał zadania do wykonania, których chłopiec nie mógł pojąć. Milczenie Mauryla może oznaczać, że jest po prostu pochłonięty pracą. Groziło im niebezpieczeństwo, ale czarodziej je zażegnał. Gdy tylko znajdzie chwilę wolnego czasu, zajmie się Tristenem, który wobec tego powinien czekać cierpliwie, pamiętać o przestrojach i nie podejmować nierozważnych działań.

Siedział, zatem na niskich stopniach, siedział tak długo, aż wreszcie słońce schowało się za wieżę i cień jej padł na dziedziniec.

Gdy tak siedział, próbował ze wszystkich sił, gorliwie, czytać Książkę, podejrzewając, że być może teraz właśnie nadszedł oczekiwany moment i że rozpozna Słowa, i zrozumie wszystko, co Mauryl miał na myśli, gdy nakazywał mu studiować Książkę; tym samym zapobiegnie odejściu czarodzieja, dzięki czemu sam nie będzie musiał nigdzie wyruszać.

Mijały godziny wypełnione strachem i próżnym wysiłkiem. Cień ścian twierdzy połączył się z cieniem wieży i długim pasmem rozścielił na kamieniach dziedzińca. Ostatecznie dotknął zewnętrznych murów i wypełnił całą przestrzeń. Tristen wiedział, że normalnie o tej porze powinien wrócić do środka, unikając tarasów i dziedzińców. Myślał o tym, kiedy raptem zerwał się wiatr i spod narożnika pod murem wymiółł suche liście. Unosiły się coraz wyżej i w płasach zbliżały ku wieży. A potem zaczęły zawracać. Ten wiatr zachowywał się dość dziwnie. Gdy owiał młodzieńca, okazał się przenikliwie zimny. Gołębie, gdy czytał, pierzchły z kamieni dziedzińca w poszukiwaniu noclegu w wieżach. Cienie, gdy czytał, zakradły się do zakątków, w południe skąpanych w słońcu. Oblicza spoglądających z murów rzeźb wydawały się mętne i dwuznaczne, niczym zjawy.

Zawsze sprawdzaj, mawiał Mauryl, czy drzwi i okna są na noc zaryglowane. Strzeż się ciemności. Kiedy niebo zasnuje się cieniem, zawsze chowaj się pod dachem, zawsze zamykaj szczelnie okiennice, drzwi miej zawarte. Chyba mówiłem o tym wcześniej?

Wstrząsały nim dreszcze. Włożył między kolana ściśnięte na Książce ręce. Wiatr wciąż zabawiał się liśćmi. Podniósł wzrok i wpatrzył się w barwę, jaką przyoblekało się niebo. Twarze osadzone na murach zmieniły się wraz z nadejściem cienia. Teraz wydawały się struchlałe ze strachu.

Tristen omiółt spojrzeniem piętrzące się nad jego głową mury i... ujrzał nad sobą oblicze Mauryla, kamienne jak wszystkie pozostałe, z otwartymi ustami i zagniewanym czołem.

Zsunął się ze środkowego stopnia, wyrzucił na dolny i poderwał na nogi: obudziło się w nim straszne podejrzenie. Wycofywał się coraz głębiej i głębiej na dziedziniec, nie spuszczając wzroku z twarzy Mauryla, osadzonej wśród kamiennych wizerunków, które oglądał od zarania swej egzystencji, twarzy z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi ustami, jakby lada moment miała zawołać wściekłym głosem. Albo też bolesnym.

–Maurylu? – bąknął i w tejże chwili, z przeraźliwym łoskotem pękającego drewna, gdzieś w sali runęły belki. Kolejna galeria, pomyślał. – Maurylu! – zawołał, nie ważąc się przyznać, że nadal nie potrafi przeczytać Książki. Musi istnieć jakiś wyjątek. Jakies wyjście. – Maurylu, co mam robić? Proszę, powiedz mi, co mam robić!

Z wnętrza wieży doleciał cichszy, acz ostrzejszy niż poprzednio hałas: trzask padających dachówek.

Wokół uszu zawył zimny wicher.

Jakaś olbrzymia masa rozsypała się w środku, zatraskując drzwi, jakby ktoś zamknął mu je przed nosem. Spoglądał osłupiały ze zgrozy.

Nie pamiętał później, jak się odwracał, wspominał tylko drogę ku bramie. Kiedy do niej dotarł, nie sięgnął w stronę wielkiej sztaby, ale spróbował ruszyć zasuwkę zamykającą mniejszą furtkę, dość dużą jednak, żeby mógł się przez nią wydostać na zewnątrz. Gdy mu się to udało, zamknął ją za sobą i zadał sobie niemądre pytanie, w jaki sposób zdoła ją zaryglować, a potem drugie – przeciwko komu? I w celu zabezpieczenia czego? Mauryl przykładł wielką wagę do zamykania i ryglowania drzwi, ale domknięcie tej bramki przekraczało jego możliwości. Odwrócił się i spojrzał na most oraz rzekę, a także na porastający przeciwny brzeg las, zaczynający się już chować w mrocznym cieniu. Skoro chciał dokądkolwiek dojść, musiał wkroczyć na Drogę. Pójdiesz tam, dokąd uznasz za stosowne, powiedział Mauryl. Trzymaj się Drogi, która ci się ukaże.

Tak też uczynił: wkroczył na przegniłe deski i skruszone kamienie Mostu spinającego rzekę Lenuaim.

Woda ukazywała swą ciemną toń pod dziurami, które uważnie omijał, Ignąc bojaźliwie do kamiennych poręczy wygiętego w wysoki łuk mostu. Rzeka, pogrążona w cieniu, miała mroczny, zielonkawy odcień, a na jej powierzchni tworzyły się rozmaite wzory, pręgi i zawirowania; dawniej być może skusiłby się, aby przystanąć i podziwiać, teraz wszakże trwoga i pośpiech stłumiły w nim wszelką ciekawość; śpieszył się, aczkolwiek nic odstępował starożytnej, rozsypującej się balustrady, gdyż pod jego stopami kruszyła się zwietrzała zaprawa. Gdyby spadł, rozmyślał, zanurzyłby się pod powierzchnię, gdzie musiało być równie ciemno i zimno, jak w cysternie lub w beczce na deszczówkę. Wówczas wszystko, co Mauryl z nim zrobił, i wszystko, co mu powiedział, poszłoby na marne; nie mógł okazać się aż tak niemądry.

Z tyłu coś zajęczało, jakby otworzyła się brama. Zerknął przez ramię i upewnił się, że wciąż pozostaje zamknięta. To wiatr zapewne przygrywał smętnie na jednej z obluzowanych desek gdzieś na wieży – tyle tylko, że nie było wiatru. Rozglądał się dokoła, gdy nagle od wysokiej poręczy oderwał się kamień i bez widocznego powodu spadł z Drogi. Plusnął do wody, burząc jej toń, i znikł, podobnie jak on mógł zniknąć, bez śladu, gdyby Droga zapadła się pod nim.

Przyśpieszył gorączkowo kroku, chwytając się murka, słysząc równocześnie kolejne pluśnięcia: jedno, drugie, trzecie. Nie śmiał marnować czasu na oglądanie się wstecz. Nęcił go solidny grunt cienistego brzegu, tam gdzie Droga wybiegała na bezpieczną ziemię, prosto pod korony rozłożystych drzew. Gdy pozostawił most za sobą, jego znużone stopy z wielkim zadowoleniem poczuły twarde podłoże.

Wtedy jęki dotarły do drzew, a te zakołysały głowami i wypełniły przestrzeń potokiem szeptanych dźwięków; nigdy nie słyszał, żeby drzewa tak się odzywały, nawet w czasie burzy. Wraz z wiatrem zrobiło się chłodniej, liście i mialki

piasek wzbiły się w powietrze i zaczęły się wciskać do oczu. Wicher zadał z taką mocą, że pątyki i mniejsze gałązki zatańczyły na podobieństwo liści. Cały las zdawał się drżeć i nagle...

Nagle nastąpiła głucha cisza, w której nie poruszał się żaden listek, a powietrze zrobiło się duszne i zatęchłe; cisza nie mniej przerażająca w swej martwocie od niedawnej furii wiatru. Wahał się wykonać jakikolwiek ruch, a kiedy tak się wahał, odniósł wrażenie, iż poruszanie się nie jest już takie proste, podobnie jak oddychanie, jakby jakieś bezdźwięczne

Słowo rozkazało mu zastygnąć w bezruchu i czekać, wiecznie czekać.

Jakkolwiek serce podeszło mu do gardła, posłuchał rady Mauryła. Teraz, gdy zawiodły wszelkie znane mu bezpieczne schronienia, wskazówki czarodzieja wydawały się niejako bardziej godne uwagi. W dusznej ciszy gęstniał mrok i zlatywały się Cienie, które, choć dotąd nie wyrządziły mu krzywdy, tutaj dopadły go bezbronny; nie mógł liczyć na to, że Mauryl je stąd odegna, nie miał dachu nad głową, a światło nie rozjaśniało nadchodzących ciemności.

–Tristenie – kpiły Cienie, wołając go tonem, jakiego używał Mauryl. Czarodziej nigdy jednak im nie ufał, więc i on przestał na nie zwracać uwagi. Szedł nie dlatego, iż wiedział, dokąd ma iść, ale dlatego, że tak kazał mu Mauryl. Nigdy dotychczas nie spotkała go krzywda, gdy stosował się do rad swego mistrza.

Jakiś kształt spłynął w ślad za nim, mroczny i milczący. Poczł, jak mija go w bliskiej odległości. Gdy jednak zwrócił nań wzrok, niczego nie zobaczył.

Takie już były Cienie: zdradzieckie i skryte. Tego wieczoru nie mógł spodziewać się, że Mauryl przyjdzie, ażeby zapieczętować jego sen, nie mógł liczyć na drzwi, łóżko, kolację i kubek, którego prawdopodobnie już nigdy nie otrzyma.

Droga to zniknęła, to znów wyłaniała się z ciemności. Wyglądało na to, że wije się bez celu, ale Tristen nie miał wyboru, musiał pójść tam, dokąd zechce go zaprowadzić. Wydawało się, że wędruje bez wyraźnego powodu, ale on także go nie miał, a zatem, poniekąd, wszystko było w porządku. Jeśli w ciągu tej męczącej nocy w sercu jego wzrosło jakiegokolwiek pragnienie, dotyczyło powrotu do Mauryła, który dałby mu kolację i zaprowadził do sypialni; jego polecenia chętnie by wykonywał w nieskończoność. Jednakże wszystko było posłuszne woli i pragnieniom nie jego, tylko Mauryła. Nie mając czarodzieja przy sobie, musiał godzić się z tym, co go spotykało, i postępować możliwie najrozsądniej.

Gdyby, myślał, udało mu się przeczytać podarowaną mu przez czarodzieja Książkę, być może zapobiegłby katastrofie, która odebrała mu Mauryła. Nie podołał jednak zadaniu. Mauryl zdawał sobie sprawę z bezradności chłopca. Czarodziej przez cały czas wiedział, Tristen był teraz tego pewien, że zawiedzie on go w tej najważniejszej próbie; był także pewien, iż stanowił dla Mauryła udrękę, gdyż Mauryl gryzł się czymś ostatnio. Wyczuwał, niekiedy całkiem wyraźnie, troskę Mauryła i jego niezadowolenie z popełnianych przez niego błędów, a niedawno również rozpacz Mauryła i pogodzenie się z porażką. Wiedział, że powinien być bardziej zdolny, szybciej pojmwować, przyswajając sobie lekcje Mauryła i robić postępy – On jednak zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Trzymaj się Drogi, powiedział Mauryl.

Niemniej Mauryl ostrzegał go także, by chronił się pod dachem. Po zachodzie słońca.

Tymczasem słońce znikło i świat otulił się szarością, a dachu nie było nigdzie widać. Mauryl powiedział, żeby strzec się Cieni, lecz on maszerował w nieprzerwanym cieniu, w coraz ciemniejszym cieniu, aż na koniec dokuśtykał w mrok głębszy nawet od tego, który panował w zakamarkach fortecy, jeśli nie liczyć jej najczarniejszych otchłani.

Delikatne buty nie uchroniły od siniaków. Bolała go prawa kostka i zrazu nie pamiętał dokładnie, kiedy ów ból się zaczął, aż przypomniał sobie ucieczkę po schodach i potknięcie na stopniu. Uważaj zarówno na ciało, jak i na ducha, przestrzegał Mauryl, a nim upłynęła godzina od rozstania, Tristen zapomniał o pierwszej lekcji, jakiej mu udzielono, upadł i zrobił sobie krzywdę, dokładnie na przekór ostrzeżeniom.

Szedł i szedł, przygnębiony swoją postawą, kierując się starożytnymi ruinami, dopóki drzewa nie zaczęły rosnać tak gęsto, że nie sposób było odnaleźć kolejnych białych kamieni.

Wtedy popełnił następny błąd. Zgubił Drogę. Trząsł się ze strachu, stojąc samotnie w ciemności i zastanawiając się, co zrobić w miejscu, gdzie skończyła się ścieżka. Wydało mu się, że skoro zabrakło białych kamieni, rozciągająca się przed nim długa, wolna od drzew linia wyznacza kierunek dalszej marszrut.

I rzeczywiście – kiedy przeszedł spory odcinek drogi tym bezdrzewnym szlakiem, w poświacie gwiazd ujrzał coś, co złudnie wyglądało na biały kamień.

Podniesiony na duchu tym widokiem, ruszył naprzód z przeświadczeniem, iż nadszedł kres jego rozterek.

Było to jednak tylko złamane drzewo, białe w środku, jego poszarpane brzegi mieniły się blado w ciemnościach nocy.

Wówczas przeraził się nie na żarty i rozejrzał dokoła, ale nie ujrzał nic, po czym mógłby poznać, którądy tu przyszedł. Być może, pomyślał, popełnił właśnie najpoważniejszą pomyłkę ze wszystkich swoich pomyłek: zszedł na dobre z Drogi, wbrew ostatnim, najsurowszym zaleceniom Mauryła. Teraz już nie miał zielonego pojęcia, co ma robić dalej.

W tejże chwili jakiś cień otarł mu się o policzek, wystarczająco rzeczywisty, aby go przestraszyć. Usiadł na gałęzi zmurszałego drzewa, wtulił głowę w ramiona i czekał.

–Sowa? – zdziwił się Tristen. – Sowo, czy to ty?

Sowa, posępny ptak, rozpostarła jedynie skrzydła i nastroszyła pióra, mącąc panującą w lesie ciszę.

–Czyżbyś wiedziała, którądy dalej iść? – zapytał chłopiec, lecz Sowa milczała. – Obrąłeś tę samą Drogę? – spytał wówczas, ponieważ wyruszyli z tego samego miejsca i przybyli tu prawdopodobnie o tej samej porze, a Maurył przykładał wielką wagę do tego, aby Tristen doszedł do celu. – Czy Maurył kazał ci tu przybyć?

Sowa nie dała po sobie poznać, by cokolwiek rozumiała.

Nigdy nie ufał Sowie. Nie miał pewności, czy przypadkiem nie zniknęły w jej gardzieli najmniejsze z ptaków, aczkolwiek pewność tę posiadał w odniesieniu do myszy. Nie przypuszczał dawniej, że kiedyś tak bardzo ucieszy go obecność Sowy. Była żywą istotą i Cieniem równocześnie, a także siłą, której zachowanie dobrze znał. On zaś czuł się zniechęcony i zagubiony.

–Wiesz, gdzie biegnie Droga? – zapytał Sowę.

Sowa rozpięła swe szerokie, zaokrąglone skrzydła i Cień jej przeciął mrok nocy, by usadowić się na innym drzewie. Znów na mnie czeka, pomyślał Tristen i podążył za Sową w desperackiej nadziei, że przynajmniej ona wie, dokąd zmierza. Gdy przeskoczyła na następne drzewo, postanowił za nią pójść. Za trzecim razem Sowa wzbiła się w powietrze; Tristen już tylko w niej pokładał swe nadzieje, bo kiedy spojrzał wstecz, utwierdził się w przekonaniu, że zupełnie nie wie, skąd przyszedł i gdzie znajduje się miejsce, w którym zboczył z Drogi.

Sowa przelatowała w krótkich przeskokach z drzewa na drzewo, nigdy nie tracąc go z oczu. Tristen zaczął się lękać, że postąpił w sposób, jakiego Maurył nigdy by nie pochwalił, i zaufał ptakowi, którym Maurył nigdy nic wyraził się, że jest godzien zaufania. Na gołębiach mógł polegać, nie kwestionując ich charakteru i zamiarów, lecz Sowa była najbardziej podejrzanym ze znanych mu stworzeń nie widział powodu, dla którego chciałoby jej się podejmować trud doprowadzenia go do Drogi. On z pewnością by jej pomógł. W tym cała rzecz: stworzenia zapewne wspierały się nawzajem i Sowa nie miała wyboru wobec jego niedoli.

Nie zauważył jakoś wcześniej, by Sowa okazywała mu zbyt wielką cierpliwość. Nie widział również powodu, dla którego nie miałyby wyprowadzić go na manowce, a później odlecieć. Z drugiej strony, także Maurył łatwo wpadał w gniew, a mimo to nigdy go nie zawiódł i nie skrzywdził.

Wobec powyższego Tristen brnął przez las pod przewodnictwem Sowy, roztrącając na boki gałęzie, odnosząc zadrapania, rozdzierając ubranie o ciernie i patyki. Doskwierała mu kostka i bolały go ręce. Z każdym przelotem Sowa pokonywała większą przestrzeń, niekiedy tracąc go z oczu. Usiłował nie zostawać w tyle, co rusz wołając: – Sowo, poczekaj! Jestem od ciebie wolniejszy!

Ona jednakże wołania te uważała za słowa zachęcające do przelecenia ponad podmokłą łączką lub zwabienia go

na błotnistą skarwę.

Sapał ciężko z wyczerpania.

–Sowo, zaczekaj! – krzyczał. – Proszę, zaczekaj! Sowa frunęła jakby nigdy nic.

Gdy spróbował biec, potknął się o ukryty w gmatwaninie zarośli kamień i upadł na kolana; posiniaczył nogi i ręce, w lewą dłoń powbiły mu się kolce. A jednak kamień, o który się przewrócił, był wyblakłą, przekrzywioną, na wpół zakopaną w ziemi płytą Drogi. Usiadł, łapiąc oddech i patrząc na rząd dalszych kamieni.

–Hu! – doszło go dziwne wołanie. – Hu, hu? – Nigdy nie słyszał głosu Sowy, ale coś mu podpowiadało, że to właśnie ona woła w ciemności nocy.

Odniosł wrażenie, że głos ów wyraża jakieś niezrozumiałe pytanie, podobne do pytań Mauryła, na które nie znał odpowiedzi, gdyż świat był o wiele większy, a Droga – o wiele dłuższa, niż to sobie wyobrażał.

–Wróć do mnie! – krzyknął do Sowy, zrywając się na nogi. W dalszym ciągu próbował podążać za nią, ale odfrunęła od bladej smugi Drogi, wobec czego zaniechał pogoni, wyzuty z sił i spocony w wilgotnym, nocnym powietrzu.

Nie mógł uskarżać się na Sowę. Ruszył przed siebie, pocieszony myślą, że nie jest samotny w lesie. Od czasu do czasu dolatywało z oddali tęskne pytanie Sowy.

Wyglądało, jakby w smolistej, poprzetykanej gałęziami jednolitości lasu Droga zaczynała mienić się przyćmionym blaskiem – poświatą, w której kontrastowały konary, pozwalając Tristenowi dostrzec szczegóły przydrożnych drzew. Z wolna poszerzał się świat czarnych gałęzi i białych, wyścielających Drogę kamieni, aż gdy chłopiec podniósł wzrok, na tle szarego nieba odróżnił zarysy konarów. To świt niespiesznie rozlewał się po niebie, ale nie w towarzystwie nagłego wschodu słońca, tylko ukradkiem, chyłkiem, nader opieszale wślizgując się pomiędzy czernie i szarości lasu. Tristen nie wiedział, czy w ogóle posunął się naprzód. Wszystko wyglądało tak samo, jak w momencie, kiedy zeszłego wieczoru gasło światło.

Przez całą noc maszerował bez odpoczynku, przypuszczał więc, że skoro udało mu się bezpiecznie dotrzeć do rana, pokonał jakąś znaczącą trudność, co zasługiwało na pochwałę Mauryła; mimo to nie czuł satysfakcji. Chciało mu się pić, nie miał nadziei na śniadanie, był cały posiniaczony od upadków, tęsknił za radami Mauryła i zadawał sobie pytanie, czy czarodziej wspomniał kiedykolwiek, wspomniał choćby zdawkowo, o tym, czy jeśli odejdzie, Tristen będzie w stanie go odnaleźć, gdyż bez Mauryła nie miał pojęcia, co dalej robić lub nad czym się zastanowić.

Ruszył głową, zwykł mawiać Maurył, lecz w pierw trzeba wiedzieć, w jakiej kwestii ruszyć tą głową. Czy w pierwszej kolejności powinien zastanowić się, jak długo będą bolały go kolana i kostka, skoro Maurył nie może dać mu lekarstwa, czy też – jak daleko biegnie Droga, czy wreszcie – skąd pochodzi Sowa i dlaczego ów ptak, którego spośród wszystkich innych najbardziej polubił, towarzyszy mu w wędrówce?

Rozmyślania Tristena wezbrały strugą podobnych pytań, na które brakowało odpowiedzi, i jak długo szedł, tak długo widok nie zmieniał się ani na jotę, a każde następne drzewo w jego opinii nie różniło się od poprzedniego.

Czasem, gdy nogi uginały się pod nim ze zmęczenia, siadał, lecz wtedy nasuwały mu się coraz to nowe pytania, szedł, więc wolnym, acz miarowym krokiem, czując ból nie tyle ostry, co uporczywy, mogący, jak podejrzewał, trwać w nieskończoność (podobnie jak Droga w jego najgorszych wyobrażeniach).

Po – zdawałoby się – nieskończenie długim czasie natrafił na mały strumyczek, wypływający tuż przy Drodze spod opłatanych korzeniami kamieni. Strumyk ten znikał zaraz pod grubą warstwą liści, lecz tam, gdzie wynurzał się spod gładów, był czysty i przejrzysty. Sam fakt, że istniał, czynił z tego miejsca Miejsce, a nie tylko cząstkę nieskończonej Drogi. Miejsce to nie stanowiło zwyczajnego fragmentu drzew i fragmentu ścieżki, ale funkcjonowało jako zaburzenie jednolitej struktury, oferowało zaspokojenie pragnienia, toteż nachylił się i napił. Potem w dobrej, czystej wodzie umył twarz, ręce po łokcie i głowę, nie zważając na jej przenikliwy chłód. Szorował się i szorował, aż lekkie powiewy wiatru zaczęły wywoływać w nim dreszcze; Maurył wpoił mu upodobanie do czystości.

Poznał, więc Miejsce na Drodze, mogące zapewnić mu wodę, gdyby poczuł pragnienie – czystą wodę, równie

nieskazitelną, jak ta zbierająca się w cysternie w Ynefel. Przyszło mu na myśl, że mógłby przy niej zostać i uchronić się tego dnia od pragnienia. A przynajmniej posiedzieć chwilę i wypocząć. Mógłby ułożyć głowę na omszałym glazie i w świetle słońca przymknąć na moment oczy, wiedząc, że napije się, kiedy tylko zapagnie.

Nad powiekami ujrzał ciemnoszarą nicość. Skrzydłami swymi, przypominającymi skrzydła gołębi z poddasza, rzucała nań cienie, przemykające nad jego głową niczym ptaki po niebie; na kilka upojnych chwil dał się ponieść wrażeniu, utulić i wchłonąć.

Sowo? – zapytał w swojej wizji, przypominając sobie, że ów ptak go śledził. Znów ujrzał strych, lecz wokół niego fruwały jedynie niemądre gołębie, mrużąc kołysankę, aż zapadł w głębszy sen.

Jakież to dziwne, pomyślał, że śni o zasypianiu. Taki podwójny sen. Ten sen we śnie wydawał się nad podziw głęboki, jego kolejne warstwy otulały go niczym kołdra w chłodną noc.

Później, w szarości gołębnika, rozejrzał się za Mauryłem. Szukał czarodzieja, ale zamiast niego zobaczył tylko wałęsające się ptaki. Widział kurz na deskach. W przepierzeniu burza wyrwała dziurę, do której, wiedział o tym, nie powinien zaglądać. Dziwił się, dlaczego nie powinien tego robić, skoro w Ynefel dokładnie przebadał całą drugą stronę. Wydawało się jednak, że dziura w tej barierze stanowi źródło potwornych krzywd.

Skrył się w gołębniku, gdy coś się zjawilo, ażeby go odnaleźć, coś o nieokreślonych kształtach i intencjach. Myślał, że to Cień. Wcisnął się w zakamarek między krokiewmi w nadziei, że to coś zechce odejść.

Otarło się o niego. Powróciło. Zdało mu się, że nie jest już w gołębniku, tylko leży na porośniętym mchem kamieniu, wśród igliwia, i z jakiegoś powodu wisi nad nim cień wielkiego liścia, chroniąc go przed zjawą wędrującą Drogą. To mnie szuka, pomyślał. Nie miał pojęcia, kogo innego mogłaby szukać.

Książka parzyła go pod koszulą u pasa, gdy zjawa przystanęła opodal jego skąpanej w świetle dnia kryjówki. Teraz nie chronił go już gołębnik, z ptasich dziobów nie wydobywały się dziwne odgłosy, a tylko krople deszczu bębniły po odrzuconych przez las liściach.

Ledwie to sobie uświadomił, zniknęła zjawa, której obecność tak wyraźnie wyczuwał.

Zamiast niej pochylała się nad Tristenem jakaś inna sylwetka, rozpościerając skrzydła między nim a niebem. Odnalazła go Sowa, opuściwszy za dnia swą sadybę. Przysiadła na nagiej gałęzi i swym zwyczajem wlepiła dziki wzrok w stronę, gdzie ginęła Droga. Sowa przeczuwała różne rzeczy i tym razem wydawała się czymś szczególnie zaabsorbowana.

–Co tam widzisz, Sowo? – zapytał, obudziwszy się, jak wywnioskował po tym, że w żadnym śnie serce nie łomotało mu równie głośno. – Co to było?

Sowa tylko załopotowała skrzydłami i, nie patrząc na niego, pofrunęła wzdłuż Drogi.

Wciąż się bał, ale czego – nie miał pojęcia, aczkolwiek Miejsce przestało wydawać się bezpieczne, podobnie jak Droga za nim, skoro Sowa uciekła stamtąd w takim pośpiechu. Zerwał się, przeto na równe nogi i tropem ptaka wyruszył w dalszą wędrowkę. Świadomość groźby czającej się za nim w nieskończonym lesie oraz tego, że w sercu puszczy, również za nim, znajduje się Ynefel, zrodziła zupełnie nową myśl: Droga posiadała przynajmniej jeden koniec, a on „stamtąd” przyszedł. Woda była Miejscem. Wówczas w jego umyśle zaczęła się formułować koncepcja, według której Droga, tak samo jak drzwi, mogła prowadzić do różnych Miejsc, a „tam” było nie mniej ważne niż „stamtąd”.

Pomyślał następnie, że „wieczorem” lub „jutro” są, co najmniej tak samo rzeczywiste jak „wczoraj” i że „jutro” oraz nieznanne jeszcze Miejsce stanowią wytyczone przez Mauryła cele. Sowa tymczasem odleciała, wskazując mu w wielkim pośpiechu drogę.

A więc istniało „gdzieś”, gdzie się jest, i „gdzieś”, gdzie się było, jak też „gdzieś”, dokąd należało udać się bezzwłocznie i dokąd pójść polecił mu czarodziej. A przez swą opieszałość omal nie wpadł w sidła Cienia. Nadmierne przedłużanie odpoczynku było kolejnym błędem – podobnie jak cała tułaczka bez pewności, czy czeka gdzieś na niego jakieś miejsce. Tak naprawdę nie chciał – musiał to przyznać w duchu – kierować się wskazówkami Mauryła i opuszczać Ynefel, ponieważ wbrew Nazwom, jakie wyjawili mu czarodziej, nie potrafił ogarnąć umysłem żadnego odległego zakątka. Istniały, rzecz jasna, inne Miejsca.

Mauryl usiłował mu to wytłumaczyć, lecz słowa jego, niczym krople deszczu po gontach, spływały ze świadomości Tristena, zupełnie jak codzienne widoki, chyba, że pojawiało się Słowo. Zdarzało się również, jak w tym przypadku, że Słowo objawiało się częściowo i wówczas przez cały dzień, czasem przez kilka dni, dołączały doń kolejne elementy, zespalały się w całość, aż oświecała go nowa i podniecająca idea.

Zaczął się lękać, że Miejsce, do którego zdąży, może go uwięzić, na zawsze odgradzając od Miejsca, gdzie do tej pory przebywał. Starał się nie wyobrażać sobie świata, w którym Mauryl odszedł na dobre. Przerażeniem napełniało go takie Miejsce, z pewnością istniejące, jak wynikało z jego przemyśleń dotyczących, „jutra” i „pojutrze”.

Sowa frunęła z karkołomną szybkością i musiał gnać, co tchu, rozpaczliwie i ze strachem, nieprzywykły do takiego wysiłku.

A kiedy ciemność po raz drugi ogarnęła wędrowca na Drodze, bał się usiąść i zasnąć – jakkolwiek głodny, spragniony i nieszczęśliwy – gdyż po lesie hasały Cienie. Szedł tak długo, dopóki nie zaczął zataczać się ze zmęczenia i ślaniać z głodu.

–Sowo? – zwrócił się płaczliwie ku bezkształtnej czerni. – Sowo, czy mnie słyszysz?

O tej godzinie Sowa zwykła wyprawiać się na żer. Być może była zajęta. Albo go ignorowała, jak to czasami czynił Mauryl, kiedy przeszkadzał mu w obliczeniach; jeżeli się naprzykrzał, odpowiedzi Mauryła – w przypadku Sowy mogło być podobnie – nie należały do grzecznych.

Z jakim utęsknieniem oczekiwał na powrót Sowy! Bez wątpienia po obu stronach Drogi las ciągnął się niewyobrażalnie daleko, las, w który ptak mógł się zapuścić, a od którego on wolał trzymać się z daleka. W miarę jak szedł, robiło się chłodniej, a drzewa przybierały niepokojące kształty. W zaroślach, z których za dnia nie dobiegał żaden szmer, teraz coś się poruszało i chrobotowało. Czuł się nieswojo, podobnie jak wśród galerii i schodów twierdzy – w dzień bezpiecznych i znajomych, tchnących zaś groza, gdy Cienie włóczyły się po kątach.

Nie było Sowy, Mauryła, schronienia i drzwi z rygłem. Tej nocy nie miał się gdzie zatrzymać, nie znalazł bezpiecznej kryjówki. Dopiero, gdy szarość poranka wkradła się między drzewa, usiadł, podciągnął kolana pod brodę, by mniej zmarznąć, i zwiesił bezładnie obolałą głowę. Wiedział, że znajduje się przy Drodze, ale nic ponadto. Nie potrafił ustalić, dokąd zmierza i jak daleko już zaszedł. Zewsząd otaczał go, niezmierny świat.

Po przebudzeniu osłabienie i rozpacz kazały mu skosztować liścia zerwanego z osłaniającego go dotąd krzaka, lecz smakował on gorzko i obrzydliwie, parząc w język.

Marzył o wodzie, której zeszłego dnia miał pod dostatkiem, chociaż i tak przy niej nie było jedzenia, o czym wiedział z całą pewnością. Postanowił nie jeść więcej liści i po kilku godzinach marszu język przestał go piec.

Wówczas żołądek niejako wyrzekł się jedzenia. Tristen nie był już taki głodny.

Wmawiał sobie, że da radę iść – zaszedł przecież dalej i okazał się silniejszy, niżby wcześniej przypuścił, a jakkolwiek znajdował się w rozpaczliwym położeniu, nic go nie dopadło, nic go nie powstrzymało i zdołał wytrwać przy danych Mauryłowi obietnicach.

–Hu? – rozległo się wysoko. Wróciła Sowa, po czym odfrunęła, nie tracąc czasu na wysłuchiwanie pytań.

Nie wiadomo, czy Sowa zamierzała dodać mu otuchy, gdyż nie okazywała znajomości zbyt wielu słów, a po zadaniu swego pytania nigdy nie czekała na odpowiedź.

Hu? – dobre sobie.

–Tristen! Mam na imię Tristen, Sowo! Słyszysz mnie?

–Hu? – zabrzmiało tym razem nieco dalej. Głos był nagły, znajomy, niemal przyjacielski.

–Sowo, zjadłaś mysz?

–Hu?

Sowa wszystkiemu przeczyła, odlatując na większą odległość, zbyt dużą na rozmowy.

Tristen widział, jak jej upierzona sylwetka przemyka w dali między gałęziami.

Była mu przewodnikiem. Wydawało się, że chowa jakiś sekret, nieustannie odlatywała poza zasięg głosu. Mauryl postępował podobnie, gdy chciał, żeby Tristen uczył się sam.

Młodzieniec znał sztuczki czarodzieja.

Zawołał:

–Należysz do Mauryła, Sowo? Czy to on cię przysłał?

–Hu, hu! – odparła Sowa i zniknęła z pola widzenia. Tymczasem dźwięk głosów – Sowy i jego własnego – ożywił ciężkie powietrze, czyniąc wyłom w otaczającej ciszy. Kiedy już śmiertelna cichość została przełamana, wzrok chłopca po raz pierwszy od kilku dni przestał dostrzegać wyłącznie szarość i czerń obumarłych gałęzi, a ujrzał smugi światła, zieleń mchów i liści oświetlonych promieniami słońca.

Być może promienie te zawsze dokonywały swych niewielkich retuszy, lecz Marna, gdy Słowo to po raz pierwszy doń dotarło, wydawała się stanowić nazwę dla ciemności i zguby; prawdopodobnie jego oczy aż do tej chwili widziały tylko mrok. Teraz jednak, gdy rozejrzał się, nie spodziewając się ujrzeć posępnego widoku, Marna ukazała mu swe nowe, radośniejsze oblicze – widocznie była zmiennym i zwodniczym miejscem.

Z drugiej strony, twierdza Ynefel również obfitowała w grozę i ciemności, gdy Cienie przejmowały w niej władzę, lecz później promieniła ciepłem, palił się ogień w kominku, pachniało smacznym jedzeniem, a Mauryl, zaczytany, siedział beztrąsko przy palenisku. Czyż oba wizerunki fortecy... razem i każdy z osobna... nie były w jego świadomości równie rzeczywiste?

Tak więc istniała możliwość, iż las Marna jest czasem jasny i bezpieczny, a czasem przybiera zupełnie odmienne oblicze, gdy wśród drzew rozchodzą się Cienie.

Przypuszczał, że gdyby umiał wyobrażać sobie na różne sposoby charakter lasu, a gdyby on z kolei potrafił dostosowywać się wyglądem do jego oczekiwań, nie powinien myśleć o nim źle, tylko spodziewać się, że promienie słońca rozświetlą puszcę, podobnie jak rozświetlały gołębnik, i będą padać na ścieżkę tak samo, jak padały na stronicę Książki, kiedy uczył się w towarzystwie ptaków.

Być może i inne problemy da się rozwiązać, myśląc o nich najlepiej, jak to tylko możliwe.

Szybkim ruchem wyciągnął zza koszuli Książkę, zatrzymał się w blasku słońca, otworzył ją i spojrzał na pismo w nadziei, że skoro jedna rzecz uległa zmianie, to, kiedy w pełni, prawdziwie, z całego serca wyobrazi sobie czytanie Książki, objawią mu się Słowa, choćby kilka z nich. Zaczął gorliwie wertować kartki.

Litery pozostawały jednak ciągle pustymi kształtami, a nawet te, które kiedyś zdawał się rozumieć, obecnie wyglądały obco i nieczytelnie. Widać jego oczekiwanie nie było dostatecznie wielkie albo nie cechowało się wystarczającą pewnością, z jaką na przykład

Mauryl twierdził, że siniaki nie są bolesne lub Cienie nie wyrządzą im krzywdy.

Bezspornie nie dysponował mocą Mauryła, niemniej jednak...

Narzucał się wniosek, zgodnie, z którym Mauryl nigdy nie oczekiwał, że Tristen przeczyta Książkę, bądź też nie spodziewał się tego dostatecznie mocno. Taka konkluzja była wielce kłopotliwa. Mauryl spodziewał się, że przestanie boleć Tristena ręka, no i przestawała. Mauryl spodziewał się, że zacznie padać deszcz, i wkrótce padało. Mauryl spodziewał się, że Cienie nie będą nękać chłopca w jego komnacie, ryglował przed nimi drzwi, uderzał laską o kamień i rozkazywał im trzymać się z daleka; Cienie były posłuszne Mauryłowi.

Czyżby jednak Mauryl powątpiewał w to, że Tristenowi uda się przeczytać Książkę?

W tej sprawie czarodziej wątpił w młodzieńca i w jego zdolności, lecz co do całej reszty, nawet tej trudnej dla Tristena do wypełnienia, wydawał się zupełnie przekonany. Chłopiec nie wiedział już, co w rzeczywistości Mauryl o nim sądził i czego od niego oczekiwał.

Zdjęty lękiem, schował Książkę i ruszył w dalszą drogę. Gdy słońce wspięło się na najwyższy punkt nieba, przysiadł na powalonym, skąpanym w świetlistych promieniach pniu, wyciągnął na powrót Książkę i zabrał się do czytania. Starał się, pamiętając o wątpliwościach Mauryła, starał się dopóty, dopóki nie rozboleły go oczy, a rozpacz i wątpliwości nie zaczęły osnuwać szarością lasu.

Wówczas jednak słońce, nieco przybladłe, zaświeciło świeżym blaskiem w nowym miejscu, dalej nad Drogą.

Wydało mu się, że mówi mu, podobnie jak wcześniej Sowa: „Ruszaj Drogą”, wstał więc, wsunął Książkę pod koszulę i podjął wędrówkę, polegając na słońcu i polegając na Sowie, żywiąc nadzieję na koniec tułaczki.

Zapadł kolejny zmierzch, niebo ponownie powlekło się szarością, sylwetki drzew pociemniały. Tristen nie tylko był już zmęczony, ale dostawał zawrotów głowy, ślaniał się i chodził zygzakiem.

Zaczął sobie obiecywać, aczkolwiek ze słabą nadzieją, iż u kresu Drogi znajdzie miejsce podobne do Ynefel, otoczone potężnymi murami. Rozmyślał o ogniu w kominku i małym, ciepłym pokoiku, gdzie mógłby bezpiecznie przesypiać noce. Takie miał właśnie marzenia, być może dlatego, że nie potrafił wyobrazić sobie niczego innego poza obrębem puszczy i bardzo chciał, żeby się ona wreszcie skończyła.

Kto wie, czy w owym zrodzonym w wyobraźni miejscu nie spotka kogoś przypominającego Mauryła – przecież będzie tam ktoś musiał pilnować porządku. Spotka, zatem kogoś takiego jak Maurył, kto będzie dla niego uprzejmy i nauczy go niezbędnych rzeczy.

–Dlaczego odszedłeś? – rzucił w szarość, którą czuł w środku. Odezwał się na głos, gdyż łudził się nadzieją, że czarodziej po prostu czeka na pytanie. – Co mam teraz robić, Maurylu? Dokąd mnie wysyłasz?

Nikt mu nie odpowiedział, nawet wiatr.

–Sowo? – spytał następnie, gdyż ją mógł przynajmniej zobaczyć. Przyszło mu na myśl, że nie widział Sowy od dłuższego czasu.

Rażniej mu było wędrować w jej kompanii, bez względu na to, jak posępna miała naturę.

Może jeszcze spała, chociaż zaszło już słońce? W końcu i ona go opuściła.

Ruszył w dalszą drogę słabo widoczną ścieżką, której przylegające do siebie kamienie to znikaly pod leśną darnią, to znów wyłaniały się spod czarnego kobierca gnijących liści, wijąc się podnóżami pagórków, grożąc, że zapadną się pod ziemię i już się nie pokażą. Bał się. Wyobrażał sobie tamto podobne do Ynefel Miejsce. Wciąż rozmyślał... o kominku i przytulnym pokoiku, gdzie świece płoną wiecznym ogniem.

Wreszcie Droga znikła pod okrywającym się nocną otuliną poszyciem, w miejscu gdzie drzewa zarosły i porozsuwały kamienie.

–Hu, hu? – zapytał głos z wysokości.

–Tam jesteś! – wykrzyknął Tristen.

–Hu! – rzekła Sowa i wzleciała nad pagórek.

Starł kożuch zgniłych liści z pokłutych przy upadku dłoni i poobijanych kolan.

Zziębnięty, siedział i dygotał z osłabienia.

–Jesteś inny niż pozostałe Cienie? – zapytał Sowę. – Należysz do Mauryła? A może jesteś czymś innym?

–Hu, hu – orzekła Sowa i wyskoczyła w ciemność.

–Zaczekaj na mnie! – Teraz był zarówno przestraszony, jak i rozgniewany. Uklęknął, po czym wstał ociężale i postarał się nie zgubić śladu ptaka.

Sowa jednakże nie miała zamiaru czekać. Kolka kłuła go w boku, lecz nie zatrzymywał się, czasami tracąc orientację, czasami zaś słysząc w oddali kpiące zawołanie Sowy.

Stopa obsunęła mu się w dziurze między kamieniami, skutkiem, czego wyładował na łokciu i potłukł się boleśnie. Nie mógł złapać oddechu, kilkakrotnie bez powodzenia usiłował się podnieść, aż w końcu zdołał podeprzeć się kolanem, a następnie wstać i ruszyć przed siebie, o wiele wolniej niż poprzednio.

–Hu? – dobiegło z dali napomnienie Sowy. Upadek zagasił w chłopcu złość, ale nie chęć kontynuowania marszu. Niemniej posuwał się do przodu ostatkiem sił. Nigdy w Ynefel nie czuł się bardziej obolały niż obecnie, ale w tej ponurej puszczy tego właśnie należało się spodziewać: bólu i wyczerpania. Szedł długo, aż na koniec nie był w stanie poruszać nogami.

Zanim jednak opadł zupełnie z sił i pomyślał, by – bez względu na niebezpieczeństwa i mimo ostrzeżeń Mauryła – usiąść i poczekać na nadejście świtu, okrążył ramię wzgórze i usłyszał zew Sowy. Gdy szukał wzrokiem ciemnej sylwetki ptaka, dostrzegł kamienną, budowlę o trzech przęsłach z łukiem na każdym końcu.

Przypominała Most w Ynefel. Młodzieniec nadto był przygnębiony, by żywić wygórowane nadzieje, niemniej ufał w głębi serca, że dotarł do jakiegoś Miejsca w ciemności. Chociaż Miejsce owo było mroczne i ponure, zbudowana z kamienia i zaopatrzona w łuki budowla stanowiła schronienie, jedno z tych, o których Maurył powiadała, że pozwalają bezpiecznie przetrwać ciemność nocy.

Szedł zatem dalej, roztrzęsiony i omdlewający, aż jego oczy przekonały się, że sklepienie przejście nie prowadzi do wnętrza budynku, ale w atramentową czernią. Sięgając spojrzeniem ku drugiemu łukowi, zobaczył drewniane belki i przekonał się, iż mrok poza balustradą nie pochodzi od drzew, ale od błyszczącej ciemności wody.

To na pewno Most, pomyślał. Łuk i Most rozpoczęły jego podróż. Nabierając otuchy, wspomniał słowa Mauryła i przepowiednię, że rzeka Lenuaim pożegna go na początku wędrówki, a powita po przeciwnej stronie lasu Marna. Dalej znajdował się Amefel. Nazwa ta była Słowem kojarzącym się z zielenią i bezpieczeństwem.

Wyteżył siły, byle jak najszybciej dotrzeć do przęsła, a kiedy na nim stanął, pod łukiem, ujrzał gwiazdy odbijające się bladym światłem na wodzie poniżej kamiennej balustrady i ku swemu zdziwieniu zobaczył żywą istotę, jak wyskakuje nad mroczną powierzchnię i wpada w nią z cichym pluskiem.

–Hu? – odezwała się Sowa gdzieś wysoko.

Ten Most był mniej zrujnowany od tamtego w Ynefel. Drugi łuk, wyglądający solidniej od pierwszego, stał nad samym brzegiem po drugiej stronie, tam gdzie połyskujące lustro wody ustępowało miejsca nieskazitelnej ciemności lasu. Stał pod pierwszą arkadą, kolana mu się trzęsły, a bliskość wody potęgowała uczucie pragnienia. Widział gwiazdy, naprawdę – po raz pierwszy w życiu widział gwiazdy, gdyż widoku nie przesłaniały mu wierzchołki drzew, a niebo było bezchmurne. Ujrzał płynący wśród nich księżyc o kształcie ostrej, wygiętej klingi. Dotychczas widywał go jedynie za dnia, wieczorem lub rankiem. Nocą jego majestat zaskoczył go i olśnił; czuł, że to światło nad nim czuwa.

Nie zboczył z Drogi, aby zejść nad sam brzeg rzeki. Usiadł tam, gdzie stał, składając pod sobą nogi. Oparł się o kamień. Wiedział, że nierozsądnie jest schodzić z Drogi w tym miejscu, choćby tylko ku płynącej opodal rzece. W mętym świetle gwiazd wyglądała na szeroką, o nieregularnych brzegach. Ty głupcze, rzekłby Maurył, gdyby teraz, po tych wszystkich przeżyciach, wpadł w pułapkę, z której nie miałby sił się wydostać.

Nadleciała Sowa i usadowiła się na kamiennej poręczy. Później odleciała, by znów powrócić, tym razem przynosząc coś, co połknął z pewną trudnością. Nie miał pojęcia, co to mogło być, lecz wołał się nie dowiadywać. Sowa była dzikim stworzeniem, ale tylko ona mu pozostała, starał się, więc nie myśleć o niej źle.

Rozdział siódmy

Woda płynęła pod nim wartkim, brązowozielonym nurtem, gdy przechodził przez Most błyszczący w pierwszych promykach jutrzeńki, unikając biegnących pośrodku desek: już w gołębniku nauczył się im nie ufać. Kamień wydawał się znacznie bezpieczniejszy, toteż trzymał się skraju i poręczy, gdzie deski leżały na kamiennej podstawie.

W którymś momencie w nocy opuściła go Sowa, musiał więc przekroczyć Most bez przewodnika. Na szczęście nie odrywały się tutaj kamyki, co dodało mu otuchy. Prócz tego kusił drugi brzeg, bardziej zielony od lasu Marna i oświetlony promieniami słońca. Chociaż dygotał z głodu, pragnął puścić się biegiem, popędzić entuzjastycznie ku temu zielonemu, jaskrawemu miejscu. Zamiast tego aż do ostatniego przęsła poruszał się ostrożnie – pewien, iż

Mauryl w tej sytuacji doradzałby przezorność.

Zanim jednak minął sklepienie przejście, prowadzące do młodszego, jaśniejszego lasu, zerknął wstecz i zadał sobie pytanie, co będzie, gdy zamknie się za nim droga powrotu albo, gdy na tym moście wyczerpią się wskazówki Mauryla.

Nie zatrzymał się. Nie widział wyboru. Droga wyprowadziła go na twardej gruntu i dalej, do pachnącego życiem lasu. Mdły blask słońca wydawał się tu przesycony zielenią listowia, poprzez które przeciskały się promienie. Na krótką chwilę Droga znikła pod grubym kobiercem złocistych liści, lecz nieco dalej kiwała zachęcająco na wędrowca.

Rzeczywiście, las Marna skończył się przed mostem; oznajmiły mu to wszystkie zmysły, kiedy dotarł na drugi brzeg i poczuł tchnienie świeższego, cieplejszego wiatru. Usłyszał śpiew ptaka witającego wschodzące słońce i następnego Słowo dotarło do jego świadomości: Pliszka, aczkolwiek ptak odfrunął zaraz i zniknął mu z oczu.

Jako że od zeszłej nocy męczyło go pragnienie, pierwszym jego przedsięwzięciem, odkąd poczuł się wreszcie bezpieczny, było zejście do rzeki. Kiedy przedarł się między trzcinami i dotarł nad skraj wody, zatrzymał się i po raz drugi spojrzął w stronę przeciwnego brzegu.

Las Marna ciągnął się okryty szarością i czernią, wyglądając nie mniej posępnie niż nocą, kiedy Tristen wędrował przez tę puszczy.

Wtem w miejscu, gdzie drzewa schodziły do brzegu, dostrzegł na gałęzi okrągłą sylwetkę.

–Sowo! – krzyknął na cały głos, aby usłyszała go po drugiej stronie rzeki. Pomachał ręką. – Sowo, czy mnie słyszysz?! Jestem tutaj!

Nie uzyskał odpowiedzi i zaniepokoiła go myśl o rozstaniu się z ptakiem. Miał nadzieję, że Sowa wie, iż przeszedł przez Most. Miał także nadzieję, że odnajdzie go wieczorem łam, dokąd zaprowadzi go Droga.

Suchą nogą wszedł na otoczoną wodorostami kępę trawy, gdzie nachylił się, żeby ugasić pragnienie. W płytkiej wodzie zobaczył brązowe i żółte kamienie. Zanim się napił, do brzegu podpłynęła żywa istota i lypnęła nań okiem spod powierzchni.

Ryba – usłyszał Słowo. A więc tak wyglądał ów rzeczny skoczek, którego wypatrył nocą. Był brązowy i upstrzony cętkami; Tristen siedział nieruchomo, podobnie jak to czynił w towarzystwie myszy. W końcu ryba machnęła płetwą i pomknęła wśród kamieni, wolna w swoim żywiole.

Ryby są jadalne. Ta myśl dotarła do niego wraz ze Słowem i nappełniła odrazą. Nie zamierzał upodabniać się do Sowy połykającej swoich sąsiadów.

Gdy pil, rzeka wydawała jeden ciągły, chrapliwy, znamionujący siłę odgłos. Drzewa szeptem wymieniały uwagi. Rozlegało się jednak o wiele więcej dźwięków. W powietrzu brzęczały pszczoły, a z pobliskich zarośli wydobywał się wesóły świergot. Po umyciu głowy i rąk rozejrzał się w poszukiwaniu źródła owej wrzawy.

Wokół rosnącego na skarpie krzewu zebrały się ptaki, pozornie kłócąc się i przeganiając z miejsca na miejsce. Gdy Tristen podszedł bliżej, okazało się, że krzak czerwieni się jagodami, a wiele dojrzałych owoców opadło na ziemię, gdzie także roilo się od rozradowanych ptaków, z których jedno wyprawiały swawolne harce, a inne siedziały z napuszonymi piórami niczym gołębie w chłodny poranek. Choć był dla nich kimś obcym, ptaki, zbyt łakome na jagody, nie uciekały od niego, a te, co siedziały pod krzakiem, nie zwracały nawet uwagi na jego nogi, musiał, zatem uważać, gdzie stąpa. Zerwał dla siebie garść owoców – były słodkie, przejrzałe i plamiły ręce. Po drugiej porcji ptaki, które pierzchły na moment, powróciły, aby wydziobać upuszczone na ziemię łakocie.

Z przykrością zabierał im śniadanie. Usiadł na skarpie i dzielił się owocami, odrzucając je na bok, gdzie nie bały się podejść. Niektóre ścigały się i walczyły o rzucone kaski, podczas gdy inne, najedzone do syta, ruszały się leniwie nawet wtedy, gdy jagoda upadała im opodal dzioba. Jeden pozwolił się podnieść. Tristen wygładził mu piórka i posadził go na gałązce, ale on przekręcił się do góry nogami, zawisł na jednej stopce, po czym spadł na ręce młodzieńca. Był bardzo napuszony, niemądry i najedzony, wyglądał na zdrowego, ale śpiącego. Chłopiec pozostawił na krzaku nieco jagód dla ptaków i ruszył w drogę, po raz pierwszy od wielu dni mając coś w żołądku. Kręciło mu się w głowie, lecz dzięki wypitej wodzie i zjedzonym jagodom czuł się znacznie lepiej.

Mógłby upiec ciastka, pomyślał, gdyby miał mąkę, olej i ogień. Ciastka jagodowe. Piekł je często dla Mauryła.

Zaledwie pomyślał o mące, oleju i ogniu, pomyślał też o Młynie i Polach, a w następstwie o Ludziach, Domach, Wołach i Płotach. Wszystkie te wyobrażenia objawiły mu się bezładnie, niby przekomarzające się ptactwo, jedna myśl uganiała się za drugą, zdobywając grzędę, by w chwilę potem umknąć lub zeskokczyć; umysł jego ogarnął taki chaos, że usiłował nie myśleć o niczym, skupiając się jedynie na poruszaniu nogami i kontynuowaniu marszu bez względu na osłabienie.

Tego ranka jednak na Drodze myśli napływały doń nieprzerwanym strumieniem. Po całym lesie niosły się szczebioty i śpiewy ptaków. Wypełniały go Słowa, a te pobudzały do myślenia, w czasie, którego pojawiało się jeszcze więcej Słów. Rozum błędził, nogi szły tam, gdzie same chciały. W szczelinie ukrytej między kamieniami skręcił boleśnie kostkę, ale fakt ów nie powstrzymał oszalamiającego napływu Słów: drzewa, porosty, liście, kamienie, kierunki, nazwy ptaków, tropy Borsuka – głowa rozboleła go od nadmiaru wciskających się do głowy pojęć. Gdyby nie kamienna Droga, raz znikająca, raz wyłaniająca się spod liści, Tristen błąkałby się po lesie bez celu.

Na długo, długo przed wyczerpaniem się zasobu Słów – zanim zdołały spleść się nawzajem – odróżniał Dąb od Jesionu, rozpoznawał Żołędzie, liście i wszelkie pojawiające się odgłosy. Nie nadążał z zapamiętywaniem ogromu poznawanych rzeczy, nie będąc jednocześnie w stanie znacząco uszczuplić leśnych zapasów Słów.

Gdy znużyło go poznawanie i oszołomił natłok dźwięków i widoków, usiadł dla wytchnienia i – choć tego nie chciał – zapadł w sen. Po otwarciu powiek ujrzał niebo zaciągające się przedwieczną szarością.

Po przewyciężeniu tylu niedogodności, gdy wędrówka stała się bezpieczniejsza, pozwolił sobie na zamknięcie oczu. Teraz zamierzał maszerować przez całą noc, nie zstępując z Drogi: nie śmiał zasypiać, kiedy wyłaniały się Cienie.

Tymczasem pogmatwane Słowa, aczkolwiek w mniejszej liczbie niż za dnia, znów dawały o sobie znać, podnosząc wrzask w tej szarości wewnątrz jego umysłu, gdzie być może krył się Mauryl. Znał już Księżyc i Gwiazdy, a teraz poznał Kunę i Lisa.

Chciał uciszyć wrzawę, tak, aby usłyszeć Mauryła, jeżeli czarodziej pośle mu z tej szarości Słowo.

Nasłuchiwał pohukiwania Sowy, która nie pokazała się w dzień, lecz śpiewające obecnie stworzenie było Żabą – rozpoznał ją po pieśni. A to oznaczało, że zbiera się na deszcz.

Gdy nurtowały go podobne myśli, lekki powiew wiatru przyniósł z sobą zapach dymu snującego się wzdłuż Drogi, dymu oraz czegoś, co kojarzyło się z kolacją. Nie był do końca przekonany, czy to istotnie kolacja, ale zdawało mu się, iż czuje gotującą się strawę, tym bardziej, że uczucie głodu, jakie wzmogły w nim rano jagody, pogłębiało się z każdym krokiem.

Ogień był ciepły i jasny; ogień oznaczał także Ludzi, jak poinformowała go nowo nabyta świadomość. Cokolwiek tam się gotowało – lub przypalało, jak myślał od czasu do czasu – mogło nadawać się do jedzenia. Zapach utwierdzał go w tym przekonaniu, aczkolwiek niosła się też woń spalenizny.

Nie potrafił wprawdzie wyzbyć się strachu, a poza tym nie wiedział, jak zwracać się do ludzi, którzy sami mogli bać się Cieni tego lasu. Postanowił podkraść się ostrożnie, czego nauczył się podczas napadów furii Mauryła, i sprawdzić wprzód, w jakim są nastroju i czy rzeczywiście szykują kolację, a nie palą tylko drewno i śmieci.

Zszedł, zatem z Drogi i ruszył pod wiatr w stronę źródła zapachów, poruszając się tak cicho i ostrożnie, jak na to pozwalały suche liście. Spomiędzy gałęzi i chaszczów sączył się blask ogniska, toteż z podwójną ostrożnością podkładał się, aby podpatrzeć, kto siedzi wokół ognia.

Rzeczywiście, zobaczył ludzi. Na oczyszczonym z liści miejscu rozpalili niewielkie ognisko. Nie byli tak starzy jak Mauryl i młodzi jak on sam. Mieli na sobie ubrania z burej tkaniny i skóry, ubrania gorszej jakości niż jego biała koszula i bryczesy. Ich brody były ciemne i bujne. Piekli coś na patyku – nie miał pojęcia co, lecz obudziło się w nim jakieś Słowo, które przeraziło go i wyjaśniło, że jedzenie żywych stworzeń... jest dozwolone. Zwyczaj ów leży w naturze ludzi, a i on zapewne dostosuje się do niego, jeżeli zaproponują mu udział w kolacji.

–Panowie – rzekł, wyłaniając się z mroku. Czwórka mężczyzn zerwała się na równe nogi. Błysnęło żelazo, gdyż

posiadali noże, których teraz dobyli, aby mu pogrozić. Na ich obliczach odbijały się gniew i obawa. – Panowie – powtórzył cicho – panowie, proszę, jestem bardzo głodny. Mógłbym dostać coś na kolację?

–Toż to żaden drwal – rzucił jeden, zezując zza ogniska. – Ktoś ty?

–Tristen, panie.

–Panie – parsknął drugi i dał kuksańca temu, który odezwał się jako pierwszy. – Ejże, toś ty teraz pan.

–Skądżeś? – zapytał ów pierwszy. – Z Lanfarnesse? – Wskazał na kierunek, skąd biegła Droga.

–Z twierdzy, panie. Ze strażnicy Mauryła. Z Ynefel.

Jeden z mężczyzn przełożył nóż do drugiej ręki, aby wykonać gest na wysokości serca, pośpieszny i napiętnowany strachem. Pozostali również wyglądali na przelęknionych.

Wycofali się na drugą stronę ogniska.

–Proszę – rzekł Tristen, bojąc się, że dają mu tym samym odmowną odpowiedź. – Koniecznie muszę coś zjeść.

–To jego gadanie – zauważył trzeci z mężczyzn. – Tak nikt nie mówi w Elwynorze, Lanfarnesse czy gdziekolwiek w sąsiedztwie, to pewne. Na bogów, od razu coś mi tu źle pachniało. Powywieszałbym tych dragonów z Lanfarnesse! Trzeba było trzymać się stąd z daleka, nie mówiłem ja tego? W tym lesie lichy śpi, mówiłem wam, że łączy się z Marną. Nazwy odbijały się echem w uszach Tristena: w gąszczu nowych Słów otwierały się przed nim widoki nieznanych krain, pól i wzgórz, a także przypominały się Słowa wymówione przez Mauryła.

–Ty tam! – warknął pierwszy z mężczyzn. – Nie wiem, cóż za jeden, ale zabieraj się stąd! Nie chcemy mieć z tobą nic do czynienia ani z twoim przeklętym panem. Wynocha, ty cholerna zjawo!

–Proszę, panowie! Gdybyście, choć dali mi kawałek... Jeden z nich rzucił mu coś, co trafiło go i spadło pod nogi. Było okrągłe i lekkie – rozpoznał bochenek chleba.

–A teraz wynoś się, no już! – wykrzyknął mężczyzna. – masz, czegoś chciał, zostaw nas tedy w spokoju. Wracaj tam, skądżeś przybył.

Młodzieniec podniósł chleb, zerkając, czy aby w ślad za nim nie leżą inne przedmioty.

–Dziękuję – powiedział słabym głosem i skinął głową. Gdyby im nie podziękował, Maurył uznałby to za nieuprzejmość.

–Wypchaj się swoimi parszywymi podziękowaniami – odparli. – Masz, o coś prosił. Precz, a kysz! I nie nachodź nas więcej, przekłeta istoto, w imię dobrych i sprawiedliwych bogów!

–Nic złego wam nie zrobię – zaprotestował, lecz wtedy jeden z nich nachylił się, podniósł kij i zagroził, że nim rzuci.

–No, jazda!

Kij wzleciał w powietrze. Tristen czmychnął od ognia. Coś precyzyjnie się za nim wśród zarośli i uderzyło go boleśnie w plecy.

Zaczął biec w obawie, że będą go ścigać, łokciem jednej ręki rozsuwając gałęzie, z drugiej nie wypuszczając bochenka chleba. Gałązki szarpały go za włosy i drapały po twarzy, czepiały się koszuli i bryczesów, pękając z trzaskiem. Lawirował wśród drzew, w pierw pod górkę, później w dół niewielkiego zbocza, cały czas w stronę, z której przyszedł. Ostatecznie dotarł do Drogi i ruszył biegiem po nierównych kamieniach, dopóki nie złapał kolki i nie zaczęły trząść się pod nim kolana.

Przynajmniej, pomyślał, oglądając się za siebie, nikt go nie gonił. Przez jakiś czas szedł jeszcze; jego słabe kolana wciąż nie chciały się uspokoić. W miejscu, gdzie został uderzony, bolały go plecy. Domyślił się, że był to kawałek drewna, zarazem ucieszony, bo mogli też rzucić w niego nożem. Zaschło mu w ustach, lecz teraz, chociaż posiadał chleb, ze względu na tę suchość i ściśnięte rozpaczą gardło nie był w stanie niczego przełknąć.

Niemniej głód tak mu doskwierał, że podzielił część chleba na małe kawałeczki i połykał je na siłę, nie zatrzymując się na odpoczynek, gdyż jak najszybciej chciał znaleźć się daleko od tych gniewnych ludzi.

Nie mieli powodu, by rzucać w niego kijem.

Nie mieli też powodu, aby się go bać, chyba, że wzięli go za Cień. Przypuszczał, że powinni byli zauważyć, iż nim nie jest.

Obrzucili go Nazwami, takimi jak Przeklęty i Zjawa, wspomnieli też o Wieszaniu, a wszystkie te pojęcia wywoływały w jego myślach przerażające obrazy. Rozgniewali się na niego bez wyraźnej przyczyny, ale podejrzewał, że się bali, a być może mieli już wcześniejsze doświadczenia z Cieniami i wzięli go za coś równie okropnego i groźnego, jak najgorsze z nich, z rodzaju tych hałaśliwych, dudniących.

Zaprawdę mogli rzucać nożami. Po kiju go piekło, ale nóż mógł go...

Mógł go zabić, pomyślał, przeżuwając kawałeczek chleba. Umrzeć. Śmierć.

Podobnie jak poszarpana, czarna rzecz, piekąca się nad ogniskiem. Zabita. Łączyła w sobie dwa pojęcia: Mięso i Martwy.

Teraz z wielką trudnością przełykał nawet małe kęsy. Zmusił się do zjedzenia jeszcze kilku kawałeczków, po czym resztę wetknął za koszulę, gdzie trzymał również Książkę. Przeszedł długą drogę, zanim poczuł chęć zjedzenia kolejnej porcji ziarnistego chleba, aby uśmierzyć ból żołądka.

Zostawił ognisko ludzi tak daleko za sobą, że nie obawiał się już ich pościgu. Szedł jednak dalej, gdyż ludzie ci z całą pewnością nie byli tymi, których miał odnaleźć z polecenia Mauryła, a także dlatego, że obudzili w nim ważne Słowa: Lanfarnesse, Dragoni i Elwynor, brzmiące w uszach nieustannym echem, nie pozwalając na wytchnienie. Bali się Cieni, dzięki czemu zrozumiał, że Cienie docierają do tego miejsca i wobec tego wciąż powinien się ich wystrzegać.

Wciąż słyszał rechot wróżących deszcz żab. Wypatrywał powrotu Sowy, miał jej tak wiele do opowiedzenia, bo choć była posępna, okazała się dlań o wiele bardziej przyjacielska od ludzi, których spotkał, a prócz tego stanowiła więź łączącą go z Ynefel.

Jeżeli nie byli to uprzejmi i właściwi ludzie, z pewnością musieli też gdzieś mieszkać lepsi od nich. Słowa ukazały mu Domy, a on jeszcze nie zetknął się z ludźmi mieszkającymi w Domach, gdyż mężczyźni przy ognisku z pewnością do takich się nie zaliczali. Słowa ukazały mu również Pola, a bez wątplenia nie była nimi ta knieja.

Myśli o Polach przywodziły przed jego oczy przeważnie wielkie lufury i bardzo podobną do Ynefel twierdzę.

Jej to właśnie poszukiwał. Nagle zrozumiał, że stanowi ona cel jego wędrówek.

Szedł dopóty, dopóki nie padał z nóg, a wówczas odpoczywał i ruszał dalej. Nie czuł więcej zapachu ludzi i nie słyszał Sowy, lecz usiłował odnaleźć Ludzi szlachetniejszego usposobienia, a nade wszystko Miejsce i Wieżę przypominającą Ynefel. Wieżę z pokoikiem, czystym i miękkim łóżkiem, kolacją oraz czarodziejem, który by mu objaśnił dalsze postępowanie.

Rozdział ósmy

Poranek nastał taki, jakim przepowiedziały go żaby: krople dżdżu sączyły się przez listowie, niebo było powleczone szarością, rozlegały się odległe pomruki burzy. Tristen zjadł większość chleba, bojąc się, żeby się nie zniszczył, jeśli otworzą się niebiosa i luną ulewną strugą, jak to zwykły czynić w Ynefel.

Zanim jeszcze zdążył zjeść, słońce wyjrzało zza chmur i opromieniło liście, znacząc szare kamienie drogi deseniami światła i cienia. Przy każdym powiewie wiatru z drzew spadał deszcz kropielek.

Rozśpiewały się ptaki, ubranie zaczęło wysychać, a włosy – wicherzyć się na wietrze, gdy wyciągał z nich liście i patyczki.

Wtem, zanim, wspiąwszy się na kolejne wzgórze, zdał sobie sprawę z tego, co widzi, drzewa zrzędy, ustąpiły miejsca najpierw krzewom, a później-co wiązało się z nawałą nowych Słów – rozległym Łąkom, środkiem, których

biegła Droga, przeważnie porośnięta trawą. Po niebie przesuwały się ciemne od spodu obłoki, sporadycznie przysłaniając słońce i cętkując smukłe pagórki ornamentami cienia.

Nigdy dotąd nie widział łąki. Znał tylko Słowo. Wszystko, co zobaczył, było cudowne i nowe. Szedł Drogą, uważnie stąpając po splekanych, porośniętych kępkami trawy kamieniach, wsłuchując się w odgłosy nowych ptaków, Skowronka i Makolągwy, szybujących po otwartym niebie.

Gdy Droga prześliznęła się między dwoma wzniesieniami, ujrzał przed sobą odmienny krajobraz: szachownicę przypominającą jego dawną koldrę, złożoną z zielonych i brązowych skrawków. Pola, pomyślał, zdając sobie sprawę, że nareszcie trafił w jakieś prawdziwie inne Miejsce, gdzie mieszkali Ludzie.

Zszedł ku tej krainie, aż otoczyły go wkoło brązy i zielenie. Droga miejscami przechodziła w błotnisty gościniec, wzdłuż którego ciągnęły się ogrodzenia i murki, niektóre z białego kamienia, takiego, jakim wyłożona była Droga. Ludzie kradli najwidoczniej ten kamień, aby wznosić własne budowle; Tristen żywił nadzieję, iż nie rozebrali całej Drogi.

Na polach uwijali się ludzie. Przerywali pracę, marszczyli czoła i gapili się na niego z daleka, ale nie podchodzili bliżej.

Po jakimś czasie zbliżył się do Wioski leżącej przy samej Drodze, tyle, że nieco na uboczu. Skoro jednak Droga nie prowadziła bezpośrednio do niej, doszedł do wniosku, że nie jest to Miejsce, którego szuka. Domy były przysadziste, kolor ścian zlewał się ze strzechami.

W dali zobaczył ludzi, ku nim też biegła ścieżka, lecz raz spotkało go już nieszczęście z powodu zboczenia z Drogi, więc nie dał się zwieść głodowi i ciekawości.

Szedł tak aż do zmierzchu, kiedy to znalazł na drzewie zielone Jabłka, z których zjadł dwa, zszedłszy z Drogi tylko po to, aby przeskoczyć przez ogrodzenie. Przypuszczał, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Zasnął na poboczu, chroniąc się pod murkiem z grubo obciosanych kamieni, stanowiącym jak dotąd największą namiastkę schronienia przy Drodze.

Rankiem zjadł jeszcze jedno jabłko, a drugie schował na potem. Bolał go od nich żołądek, ale była to inna odmiana bólu od tej, która wiązała się z głodem. Poza tym do pewnego stopnia ugasił pragnienie.

Połknął garść zauważonych na przydrożnym krzaku jagód, a później napił się wody ze strumienia.

Mijał kolejne wioski, które zawsze leżały z dala od Drogi, i podobnie jak płoty nigdy jej nie przegradzały. Pewnego razu spotkał człowieka, pierwszego do tej pory na Drodze. Pozdrowił go grzecznym „dzień dobry”, na co ten upuścił na ziemię naręczę chrustu, wspiał się na zrujnowany murek i raczej uciekł przed nim, niż go ominął; Tristen pomyślał, że znalazł się we właściwym Miejscu, ale ów człowiek nie mógł powiedzieć tego samego o sobie, dlatego ratował się ucieczką przed konsekwencjami. Młodzieniec czuł wyrzuty sumienia. Miał ochotę zadać kilka pytań. Przynajmniej nie obrzucono go niczym ani nie postraszone nożem. Najspieszniej jak potrafił, oddalił się od wioski, ku której pobiegł człowiek.

Nikt go jednak nie ścigał ani nikt nie pojawił się na Drodze.

Następną noc spędził pod żywoplotem z jagodami, gdzie wdychał płynący z wiatrem zapach płonących ognisk, dopóki gwiazdy nie poczęły blednąć. Na wspomnienie uciekającego człowieka ogarniało go uczucie samotności, a aromat piekącego się chleba wzmógł w nim głód. Wiedział, że kilka jabłek i parę garści jagód to marna kolacja. Chleb otrzymany od ludzi przy ognisku wydawał mu się teraz czymś niezwykle wykwintnym, mimo że zawierał drobiny piasku, lecz dawno już się skończył i Tristen miał nadzieję nazywać nazajutrz więcej jabłek i jagód.

Wyruszył nad ranem na czczo, gdyż nie zdołał znaleźć nic do jedzenia. Zauważył, że ubranie wisi na nim luźno i – chociaż je prał – pokrywają je brudne plamy. Golił się każdego dnia. Miał przy sobie brzytwę i lustro, kiedy więc natrafiał na wodę, co zdarzało się obecnie dość często, golił się, mył i dbał o staranny wygląd, stosownie do pouczeń Mauryła. A jednak na jego policzkach pojawiły się dołki, a pod oczami cienie; zrozumiał, że wygląda teraz na dużo bardziej zaniedbanego i zropaczzonego niż na początku podróży.

Trzeciego dnia od przekroczenia Mostu wyszedł na szczyt wzniesienia, skąd zobaczył, że pola rozdzielają się, aby wielkim kołem okrążyć wzgórze wraz z rozłożystymi murami, nad którymi górowały wysokie baszty.

Forteca, pomyślał, i – doświadczony zachowaniem spotkanych wcześniej nieznanymi – stał zdjęty lękiem i nękany wątpliwościami, co powinien w tej sytuacji uczynić.

Jednakże Droga, złożona z luźno rozsianych, białych kamieni, zdążyła nieuchronnie do zamku. Chłopiec przypomniał sobie słowa Mauryła, przepowiadające taki stan rzeczy.

Zebrał się na odwagę i ruszył przed siebie.

Wąski, zarośnięty trawą trakt, prowadzący wśród pól, rozszerzył się znacznie po południu, gdy Tristen zszedł w dolinę, i zamienił w wyboisty, ogołocony z kamieni, zwyczajny gościniec, biegnący wzdłuż murków, przecinający inne drogi. Po obu stronach ciągnęły się uprawy poznanych już wcześniej roślin: Jęczmienia i Owsa, które można było jeść na surowo, choć nie smakowały wtedy najprzyjemniej. Poznawał także Sady i Jabłonie. Na stokach wzgórz bielili się stada Owiec. W dali przed sobą widział mury, szersze i wspanialsze, niż to sobie początkowo wyobrażał, które bądź to znikaly mu z oczu, bądź się pojawiały, w miarę jak pokonywał dolinki i pagórki.

Na polach pojawiało się więcej ludzi i z niepokojem mijał tych, którzy pracowali blisko Drogi. Tacy jednak trafiali się coraz częściej, jakby tutaj Droga nie stanowiła dla nich zagrożenia albo nie lękali się obcych.

W pewnej chwili napotkał człowieka idącego mozolnie gościńcem, uginającego się pod ciężarem zawieszonych na kiju koszy. Mężczyzna zbliżał się w jego stronę i młodzieniec z najbliższego powodu sam wzięby nogi za pas i uciekł na przełaj przez pola. Skoro jednak człowiek szedł wolno, ze zwieszoną głową, Tristen przypomniał sobie, że Droga jest jego Miejscem, a Maurył kazał nią iść. A zatem niech się dzieje, co chce, szedł na spotkanie z nieznanym; na koniec przystanął i poczekał na to, co powie lub zrobi mężczyzna.

Człowiek z białą jak u Mauryła brodą po prostu go wyminął, spoglądając nań z ukosa, co kazało mu przypuszczać, że zastanawia go wygląd młodzieńca albo też spodziewa się po nim czegoś złego. Ostatecznie okazało się, iż nie żywi względem niego żadnych nieprzyjaznych zamiarów, tylko spokojnie idzie dalej.

Po jakimś czasie Tristen zobaczył mężczyznę kopiającego dół przy Drodze. Człowiek ten przestał pracować i przyglądał mu się z nie-krytym zdziwieniem, jakby spodziewał się po nim czegoś godnego uwagi.

Uklonił się lekko, gdyż taki gest Maurył uważał za grzeczność, na co robotnik podniósł Kapelusze i powiódł za nim badawczym spojrzeniem.

Będąc bliżej murów, znacznie bliżej, ujrzał żelazne wrota i z wolna objawiło mu się najdziwniejsze i najbardziej olśniewające ze wszystkich Słów: Miasto. Później pomyślał o Ulicach i Ludziach, o Murach i Umocnieniach, o bramach i sztabach podobnych do tych, które pamiętał z Ynefel. Zobaczył, jak za bramą wyjeżdża wóz ciągnięty przez Wołu, a koło niego kroczą dwaj ludzie. Wóz wyładowano słomą i wielkimi glinianymi garnkami. Koła chwiały się na boki i jęczały z piskiem drewna trącego o drewno, kiedy wreszcie się spotkali i wyminęli. Zszedł na pobocze, aby zrobić im miejsce, zaniepokojony, ponieważ jeden z mężczyzn trzymał w ręce kij, którego nie szczędził zwierzęciu za przewinienia, których Tristen nie był w stanie wychwycić. Nie spodobał mu się ten człowiek, więc mierzył go powłóczystym, przenikliwym spojrzeniem, gotowy w każdej chwili odsunąć się, gdyby ów człowiek zechciał go uderzyć.

Mężczyzna jednak obszedł go trwożnie i ruszył w swoją stronę, przeciwną do tej, w którą udał się Tristen; jego Droga wiodła ku bramom wciąż stojącym otworem przed każdym, kto by zechciał wyjść lub wejść, jakkolwiek drzwi i okna Ynefel w obawie przed Cieniem były zawsze zamknięte i zaryglowane.

Tutaj widocznie nie ma takiej groźby, rzekł sobie w duchu; wprawdzie ludzie patrzyli nań spode łba, ale nikt z nich mu nie groził ani nie starał się wyrządzić krzywdy, być może, dlatego, że byli to ludzie o lepszych manierach, tacy jakich Maurył mógł zaaprobować. Zbliżył się zatem, bojaźliwie, acz bez przeszkód, do sklepionej łukowato bramy wjazdowej. Wówczas ujrzał siedzących i rozmawiających z sobą ludzi z Dzidami – cóż za straszne Słowo! Straże, pomyślał; Żołnierze. Broń i Zbroja, umocnienia, zabezpieczenia i rygle. Bał się strażników, chociaż nie zwracali na niego żadnej uwagi, widać pogrążeni w rozmowie.

W gruncie rzeczy nie uważał za oszustwo tego, iż nie niepokoi zajętych swoimi sprawami ludzi, zwłaszcza, że stosował się do zaleceń Mauryła. Na uboczu pod bramą stał wóz załadowany stosami koszyków; Tristen nie czuł się jak rzezimieszek, kiedy chował się za niego i, nikomu nie zwracając głowy, przemykał na drugą stronę.

A tam ujrzał Ulice, jak to już dawniej przewidział, lecz jakże różniące się od tych z jego wyobrażeń. Zrazu nie wiedział, co począć, próbując uporządkować myśli; na koniec postanowił pójść prosto przed siebie, skoro taki kierunek utrzymywał od dawna. Ludzie gapili się na niego, ale bardzo nieliczni, gdyż większość potraçała go tylko, zmierzając w gorączkowym pośpiechu ku jakiemuś miejscu. Śledził wzrokiem tego i owego, zastanawiając się, czy i on nie powinien pójść w ich ślady, ale nie ujrzał nic, co by do tego zachęcało. Idąc pod górkę, dotarł do miejsca, gdzie zawężało się światło dnia, gdzie budynki coraz ciaśniej tłoczyły się nad głową, gdzie ludzie rozstawiali kramy i dzbany na brzegu ulicy, każąc wszystkim chcącym przejść lawirować w gąszczu przeszkód.

Następnie ulica prowadziła na nieduży, regularny dziedziniec, gdzie zobaczył Studnię i ludzi, nie – Kobiety zebrane przy niej z wiadrami i dzbanami.

Oczywiście, kobiety i Dzieci... Dzieci biegające wokół studni, ścigające się wzajemnie.

Żal ścisnął mu gardło, doznał nieodpartego uczucia niesprawiedliwości, którego nie chciał głębiej rozpatrywać. Musiał się jednak dziwić, gdyż dzieci rzuciły się ku niemu, odcinając mu na chwilę dalszą drogę. Dwójka zaczęła skakać koło niego, śpiewając piosenkę złożoną z niezrozumiałych Słów. Dzieci zdawały się dostrzegać w nim jakąś dziwaczność, którą dorośli ignorowali lub, na którą nie zwracali uwagi; śpiewały o tym jego dziwactwie.

Nie śmiał się do nich odezwać. Były niebezpiecznymi istotami. Z tą samą pewnością wiedział, że woda może go utopić, a ciężar przygnieść. Cieszył się, kiedy w końcu zrezygnowały z zabawy i zostały daleko w tyle, a jeszcze bardziej, że zaniechały pościgu. Szedł dalej ulicą, wsłuchując się w Nazwy i Słowa kołaczące w uszach: Powóz, Bazar, Woźnica, Kowal, Kuźnia, Ciastkarz, Wieprzowina i Rzeźnik, Druciarz, Gorzelnik, Tkacz i Osnowa, i Wątek, Młodość i Wiek; Ślepotą; Żebrak i Łachmaniarz. Szaleństwo krzewiło się wszędzie wokół niego płataniną obrazów i oczekiwań. Nie przypuszczał z daleka, jak złożonym Miejscem jest miasto, ile zawiera mieszkań rozdzielonych wąskimi Uliczkami i Zaułkami, tak ściśniętych, że nie mogły liczyć na pełny dostęp promieni słońca. Była już późna godzina, cienie wypełniły ulicę i zaczęły wspinać się na wschodnie ściany, dając Tristenowi do zrozumienia, iż dzień chyli się ku końcowi. Powinien szybko znaleźć jakieś Miejsce, lecz miasto rozwijało się przed nim niczym szeroki postaw płótna, pokryty Słowami i obrazami: Stolarz i Murarz, Brukarz i Krawiec, Straganiarz i Urzędnik, i...

–Złodziej! – ktoś wrzasnął i Tristen uskoczył do tyłu, kiedy Chłopiec, przepychając się w jego stronę, przemknął mu pod ramieniem w pogoni za jakimś człowiekiem. – Złodziej! – podchwycili inni i pognali krętą alejką.

Stał i patrzył. Złodziej, nie mylił się. Złodziej. I Kradzież. Rabunek. To tak, jak z myszami. Jak z ptakami w Ynefel, które kradną jeżyny. Podniósł upuszczony wianek z Kielbaskami, lecz rozszłoszczona kobieta wyrwała mu go z ręki.

Tutaj kradzież to nie przelewki. Tu się wieszają złodziei, myślał.

Nawet Chłopiec, Dziecko... takie małe, a zarazem jakże tajemnicze...

Kobieta dostojnym krokiem odeszła do stoiska Rzeźnika, gdzie wisiały martwe rzeczy, przedstawiając sobą dziwny i przerażający widok. Ludzie obchodzili Tristena dokoła. Mężczyzna z wózkiem manewrował na bruku, aby móc go swobodnie wyminąć, i choć nie mówił przy tym ani słowa, Tristen zrozumiał, że stanowi przeszkodę, toteż ruszył w dalszą drogę, wycierając tłuste dłonie jedna o drugą, gdyż nie miał niczego innego, a Mauryl powiedział z naciskiem, by nigdy nie wycierał ich o koszulę.

Nogi trzęsły się pod nim od ciągłego marszu pod górkę, w ciągu całego dnia nie znalazł nic do jedzenia. Tak często i od tak dawna Tristena dręczył głód, że zaczął traktować go jako pewien stan, a nie dolegliwość. Ale głód ten wzmógł się znacząco, gdy poczuł zapach świeżego pieczywa, gdy spotkał kobietę z koszykiem pełnym chleba i ujrzał, gdzie ludzie się weń zaopatrują. Wydało mu się zrazu, że to kolacja, którą wystarczy zabrać sobie i zjeść, ale kiedy podszedł bliżej, skąd mógł obserwować wymianę Monet za chleb, zdał sobie sprawę, iż nie posiada ani jednej Monety i nie ma pojęcia, w jaki sposób jakąś zdobyć. Żebrak na ulicy poszukiwał Monet. Tristen wyciągnął rękę podpatrzonym u żebraka ruchem, lecz ludzie nie zamierzali dawać mu ich w zamian za prośbę. Odsuwali się bojaźliwie, co go ostrzegło o zbliżającym się zagrożeniu, zatem szybko opuścił to miejsce, zagłębiając się w labirynt wąskich uliczek.

Zbliżała się godzina wyjścia Cieni; głodny i zrozpaczony, przyglądał się wielkiemu nagromadzeniu kamieni: kamieni ulic, kamieni bram, kamieni murów okalających Miejsce, kamieni pnących się wysoko do góry wokół wielkiej, szarej twierdzy, dominującej nad miastem. Doszedł do wniosku, że tutaj przestroga Mauryla, mówiąca o chowaniu się pod dachem, może mieć uzasadnienie; dotychczas jednak nie znalazł schronienia, podobnie jak nie udało mu się zdobyć kolacji.

Ścieżka jego wiła się miarowo pod górkę, przecinając ciasne przejścia, gdzie po obu stronach ulicy budynki, w gąszczu belek i otynkowanych płaszczyzn, wypinały się na wyższych piętrach coraz bardziej ku sobie, aż pozostawał między nimi tylko niewielki prześwit, co o tej porze sprzyjało Cieniom; odpowiadały im zwłaszcza wąskie zaułki, których ciemne wyloty widniały na lewo i prawo. Niektóre alejki spowijał tak głęboki mrok, że bał się na nie patrzeć. Brukową nawierzchnię pokrywała warstwa błota i piachu, do czego Mauryl nigdy by u siebie nie dopuścił, a w szparach między kamieniami częstokroć płynęła woda.

Zobaczył, jak człowiek beztrąsko wylewa przez próg kubel pomyj; przechodzącym akurat w pobliżu dzieciom nie udało się w porę uskoczyć i wygrażały teraz pięściami w stronę

winowajcy, cienkimi, piskliwymi głosikami wykrzykując obraźliwe słowa.

Mężczyzna zatrzasnął im drzwi przed nosem. Dzieci obrzuciły je kamieniami. Nie był to przyjemny widok.

Przynajmniej nikt nie ciskał kamieni w Tristena ani nie oblewał go brudną wodą. Kilka stojących w drzwiach kobiet odprowadziło go nieufnym spojrzeniem, a jedno czy dwoje drzwi zatrzasnęło się gwałtownie, lecz robiła się niebezpiecznie późna godzina i bez wątpienia każdy chciał możliwie najszybciej skryć się w domu i ujść przed Cieniami. Miasto w żadnej mierze nie przypominało Ynefel. Było dużo bardziej niechlujne i mieszkało w nim o wiele więcej ludzi, niż można by przypuszczać. Nie cechowała go szlachetność, jak to sobie wcześniej wyobrażał, i dobroduszość, na którą miał nadzieję. Bał się nadchodzących ciemności, a jego żołądek skurczył się boleśnie z głodu. Zastanawiał się, czyby nie podejść do którychś z drzwi – takich, gdzie w progu stał mężczyzna, kobieta, bądź nawet dziecko o łagodnym wyrazie twarzy – i nie poprosić o kolację i nocleg. Obawiał się jednak kogoś rozżłościć.

Obecnie promienie słońca zniknęły z najwyższych szczytów domów i nadeszła pora, kiedy zgodnie z zaleceniami Mauryła powinien schować się pod dachem i pozamykać za sobą drzwi. Rozważni mężczyźni i kobiety właśnie to robili, co kazało mu przypuszczać, że i on musi znaleźć sobie jakieś schronienie na noc, i to prędko. Cokolwiek to było, czego lękał się Maurył, nie dopadło Tristena w lesie, więc albo dopisywało mu szczęście, albo czarodziej wciąż jakimś sposobem nad nim czuwał, jako że Maurył miał władzę nad Cieniami.

Kto wie, czy twierdze i miasta nie stanowiły wyłącznych siedlisk Cieni? Widział ich liczne zastępy w ciasnych zaułkach i w nielicznych szczelinach między budynkami. Bał się, że nawet w lesie nie groziło mu większe niż teraz niebezpieczeństwo.

Wciąż szedł przed siebie, gdyż chwilowo nie miał innego wyjścia, obmyślając plan spędzenia nocy. Wtem uświadomił sobie, że od jakiegoś już czasu słyszy za plecami podejrzany dźwięk.

Odwrócił się z niepokojem i ujrzał małą, brudną twarz dziecka, chłopca z porwanymi rękawami i sięgającymi kolan spodniami, idącego za nim krok w krok w półmroku. Chłopiec założył ręce na plecy i wyszczerzył zęby.

W Tristenie obudziła się nadzieja, słaba nadzieja, zaryzykował, więc i odwzajemnił uśmiech. Chłopiec nie zamierzał odejść, kiwał się tylko na bosych stopach.

–Skąd jesteś? – zapytał.

–Z Drogi. – Spotkanie przy ognisku i ucieczka pierwszego spotkanego na Drodze człowieka nauczyły go ostrożności w posługiwaniu się Nazwami.

Momentalnie oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu.

–Święci bogowie, jaśnie panie... Tyś szlachcic,co?

–Tristen – przedstawił się w obawie, że chłopiec rzuci się do ucieczki, uzmysławiając sobie równocześnie, iż w dziecinnym głosie przebijał oprócz strachu szacunek. Wyciągnął rękę, ale nie śmiał dotknąć chłopca. – Mam na imię Tristen. Jest tu jakieś miejsce, gdzie można bezpiecznie spędzić noc? Czy mógłbym zatrzymać się w twoim mieszkaniu, chłopcze?

Dzieciak wyglądał na zaskoczonego. Znów zaczął się kiwać, nadal z rękoma założonymi na plecy, by na koniec roześmiać się nerwowo.

–W moim mieszkaniu, jaśnie panie? Dyc ja nie mam mieszkania, choć znam takich, co to mają.

–Miejsce na nocleg i coś do jedzenia. Proszę. Jestem bardzo zmęczony. I głodny.

–Ha, czemuż to wyżej nie pójdziesz? Tamoj się zatrzymują wielmożni panowie. Czyżbyś nie rozmawiał z nimi w Zeide?

Zeide. Podniósł wzrok na mury. Ale to chyba brzmiało inaczej. To była jedynie połowa Słowa. Kathseide. Kathseide to forteca Amefińczyków. Dotarło do niego echo innych Słów. Eswyllan i Sadyurnan... Henasamrith...

–Mogę cię tam zaprowadzić, jaśnie panie – rzekł chłopiec.

–Dziękuję – odparł Tristen gorąco. – Dziękuję, chłopcze. Odczuwał głęboką ulgę, gdyż dosłownie w ostatniej chwili przed zapadnięciem zmroku doczekał się skutecznego ratunku.

Chłopiec ze swej strony nie marnował czasu, tylko kiwnął niedbale głową, okręcił się na bosej stopie i ruszył naprzód ekstrawagancko rozhuśtanym krokiem. Zanurzył się w alejkę ciemniejszą i brzydszą niżli droga prowadząca od bramy, którą Tristen do tej pory przemierzał. Każda okiennica i każde niemalże drzwi były tu na głucho zamknięte. Chłopiec maszerował buńczucznie, stawiając śmiałe, pewne kroki, gdy nieoczekiwanie rozległ się przeciągły, posępny dźwięk, mosiężny, miarowy i napełniający lękiem.

–Co to? – zapytał Tristen, przypominając sobie dudnienie i skowyty Cieni w fortecy.

Podniósł głowę, aby popatrzeć na ostatnią, blednącą smużkę światła. Zdawało się, że dźwięk, podobnie jak pomruki w twierdzy, wydostaje się prosto ze ścian.

–Nic takiego, Dzwon Zeide, jaśnie panie – odpowiedział przewodnik tonem mówiącym „oczywiście, a cóżby innego?” Tristen żałował, że zadał tak nierozważne pytanie.

–Dzwon Zeide ostrzega, że zamkną zaraz miejską bramę.

–Ale chyba nie bramę Zeide? – Tristen zaniepokoił się o ich bezpieczeństwo, dodatkowo

oszołomiony myślą o Dzwonie, Alarmie i ostrzeżeniu. – Czy i one są już zamknięte? Spóźniliśmy się?

–Skądże znowu, jaśnie panie. One są rzadko zamykane. Pójdź za mną, jaśnie panie, o nic się nie martw.

Z tego, co Tristen zrozumiał, chłopiec miał poprowadzić go dalej i nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Szedł więc posłusznie za swym przewodnikiem, doznając uczucia ulgi i zadowolenia, kiedy alejka rozszerzyła się w czystsza, prowadzącą pod górkę ulicę. Chłopiec ruszył rażno przed siebie, a on obok niego żwawo przebiegał nogami, z rosnącą nadzieją, iż wszystko w końcu ułoży się po myśli Mauryła. Znajdzie się jakiś mędrzec, znajdzie się ktoś, kogo znał Mauryl, znajdą się masywne drzwi, czysta pościel, kolacja i wanna.

Ach, jakże tęsknił za kąpielą! Za nic nie położyłby się w czystej pościeli w obecnym stanie. Może podadzą mu gorące pieczywo, masło, piwo i rzepę? Ślinka ciekła mu na myśl o kromce chleba i kawałku sera. Zaprosiłby wtedy chłopca, także pilnie potrzebującego kąpieli i czystego ubrania. Mądry pan zamku, do którego zmierzali, znajdzie coś przecież dla niego – dobry obiad, pokój do spania – a chłopiec w zamian zobowiąże się pokazywać Tristenowi różne rzeczy i rozmawiać z nim, kiedy pan będzie zajęty, gdyż czarodzieje często nie mają czasu.

Ujrzał przed sobą wysoki mur z kamienia i bramę, która połykała ulicę. Mrowie przebiegło mu po plecach, kiedy rozpoznał budowlę: oto przed nim wznosiła się Kathseide. Zerknął przez otwarte wrota do wnętrza warowni. Forteca na wzgórzu. Miejsce podobne do Ynefel.

Te mury nie kruszały, nie niszczały. Jakkolwiek poza ich obrębem zaułki wypełniał brud, a pomyje spływały beztrąsko środkiem ulic, tu było inaczej. Okiennice budynków w śródmieściu szczelnie pozamykano w strachu przed nadchodzącą nocą, gdy tymczasem okna Kathseide mieniły się kolorami tęczy, rodząc cudowne skojarzenia. Zastanawiał się, jak by pojaśniały sędziwe szczyty ścian i okiennice Ynefel, gdyby chociaż jego liche, rogowe okno zostało otwarte na noc.

Zobaczył widok, jaki równie dobrze mogła przedstawiać sobą strażnica Ynefel.

Jeżeli nie liczyć ludzi. I kobiet, i dzieci.

Jeżeli nie liczyć gładkości ścian, z których nie spozierało ani jedno oblicze. Gładkości wręcz nieskazitelnej, cudownej.

Bolały go nogi w kolanach, gdy pokonywał ostatni brukowany odcinek ulicy.

Podejście to było bardziej strome od tego w Ynefel, tak samo jak wyższe były mury. W otwartej bramie wjazdowej ujrzał ciemnozłote, czyste, nienaruszone zębem czasu kamienie, a w głębi, poza ciężkim sklepieniem, brukowany dziedziniec i wewnętrzną zabudowę,

oblaną w półmroku bladą poświatą.

Utkwił spojrzenie we wnętrzu warowni, zamiast rozejrzeć się wokół siebie, bo nagle ciemne postaci poruszyły się po bokach i jak spod ziemi wyrosli przed nim zakuci w żelazo mężczyźni.

–Sam żem go przyprowadził – stwierdził chłopiec. – Jam go przyprowadził, panie Amanie.

Tristen struchlał ze strachu na widok posępnych twarzy, przypominających Mauryła w chwilach gniewu. Chłopiec wyglądał na zadowolonego z siebie i wydawało się, że spodziewa się czegoś po tych ludziach, którzy dzierżyli broń i czekali, jak przypuszczają, na jego wyjaśnienia.

–Mam na imię Tristen, panie. Czy ty jesteś tu panem? Jeden z mężczyzn wyszczerzył zęby, bynajmniej nie w przyjacielski sposób.

–Powiadasz, że spieszno ci do pana, he? – zapytał drugi, wsparty na przedmiocie budzącym nowe Słowa: Włócznie, Wojna, Zabijanie. – A do którego pana, rad bym usłyszeć, nieznajomy wędrowcze?

–No, chyba... do pana całego tego Miejsca.

Parsknęli śmiechem, chociaż wydawali się zmieszani jego postawą. Ów wsparty na włóczni wyprostował się i zmierzył go bacznym spojrzeniem znad nosa chronionego metalową przykrywką. Hełm z żelaza powleczonego skórą rzucał na jego oczy cienie obwiedzione bladym światłem. Trzeci z mężczyzn, bez hełmu, ani razu się nie uśmiechnął, od samego początku poważny.

–Chodź no ze mną – powiedział i skinął na Tristena włócznią, aby młodzieniec wszedł za nim pod sklepione przejście.

–Weźcie też chłopca – rzekł Tristen, przypominając sobie o dobrych manierach. – Zapewne z chęcią coś zje, jeśli łaska, i spędzi tu noc.

–O, czyżby?

–On nie ma gdzie spać – wyjąkał, zdając sobie sprawę, że nie idzie mu najlepiej. Czuł się jak podczas jednej z charakterystycznych rozmów z Maurylem. – Jestem pewien, że ma ochotę na kolację, panie.

–On chce kolację. – Człowiek, zdumiony tymi słowami, pogrzebał w kiesie i rzucił monetę chłopcu, który złapał ją w locie nad podziw zwinnym ruchem. – A teraz zmykaj. I żadnych Plotek albo skrócę cię o te łasicze uszy.

Łasica posiada cztery łapy i jest brązowa.

A więc tak wyglądał jeden ze sposobów na zdobywanie monet. Strażnicy rozdawali monety. Nie widział powodu, dla którego sam miałby jakąś dostać, ale zdecydował się iść tam, gdzie go poproszą, i poczekać, aż mężczyźni postanowią, co z nim zrobić.

–Chodź ze mną – odezwał się ten, którego chłopiec nazwał „panem”, podczas gdy drugi trącił go w ramię (niezbyt uprzejmie i bez wyraźnego celu). Młodzieniec przypomniał sobie, jak gołębie trzepoczą skrzydłami i zderzają się z sobą. Jeżeli człowiek ów faktycznie był w tej twierdzy panem, wyglądał na nieokrzesanego i opryskliwego. Pamiętał jednak, w jaki sposób zareagowali mężczyźni przy ognisku i jak stali się nieprzyjaźni, kiedy zaczęli się go bać. A broń, jaką posiadali ci ludzie, była o wiele groźniejsza od noży.

Postanowił wykonywać ich polecenia i nie dawać im powodu do niepokoju. Później się dowie, czy człowiek ten istotnie jest panem Kathseide, czy tylko panem tych tu ludzi. Być może istniał ktoś inny, kto zaprosi go do środka i porozmawia z nim bardziej zrozumiałym językiem. Niewykluczone, że nawet spodziewa się jego nadejścia.

Ruszył sklepieniem przejściem, spodziewając się, iż pójdą od razu na dziedziniec, a następnie do zamkowych komnat, ale zaledwie znalazł się pod łukiem, jeden z mężczyzn machnął mu tuż przed twarzą drzewcem włóczni i kazał się zatrzymać. Tristen nie przewidywał takiego grubiaństwa z ich strony, uważał je za objaw nieodpowiedniego zachowania.

Nie miał jednak pewności. Mógł się przecież mylić. Pozwolił drugiemu człowiekowi wziąć się za ramię i zaprowadzić ku bocznym drzwiczkom. Strażnik otworzył je, a potem wskazał mu rozjaśnione blaskiem świec pomieszczenie z prostym wnętrzem, wyposażonym w stół i krzesła. Siedział tam jeszcze jeden człowiek, który – o dziwo – wykladał nogi na blat stołu. Widział kto takie rzeczy?

Nikt, przynajmniej w komnacie Mauryła.

–Trafił nam się cudak – oznajmił mężczyzna bez hełmu. – Chce się zobaczyć z panem zamku Zeide, powiada.

–Doprawdy? – Siedzący przy stole zmarszczył nos. – A jaką ma sprawę, chciałbym wiedzieć? To o nim mówił raport z miasta?

–Tak, to chyba nasz nieznamy wędrowiec.

–Któryś z was widział go wcześniej?

–Ja nigdy – odparł jeden, a drugi potrząsnął przecząco głową. – Po prawdzie to Pairsi nam go dostarczył, gdyż ten tu nijak się nie opierał.

–Pairsi, hę? Dostarczył go, powiadasz?

–Mnie też dziwno było. Takem kombinował, co ten mały Szczur każdy mętny zapach wywęszy, tedy go i posłał. Alem się nie spodziewał, że sam z nim tu przybędzie. Chytry Szczurek, nie ma co. A ten tu – usiadł częściowo na stole – jako Lord gada. Zachowanie, manieri i tak dalej. Nie spotkał się z nikim znacznym w grodzie. Czepiał się niektórych na ulicach, atoli nikogo znacznego, błąkał się tu, błąkał się tam. Jeśli o mnie idzie, nie wiem, co robił i gadał.

–Lord jakowyś, hę? – Mężczyzna wolno zdjął nogi ze stołu. Mauryl byłby oburzony, skonstatował Tristen z zażenowaniem. Sposób bycia otaczających go ludzi pozostawiał wiele do życzenia i młodzieniec zaczynał nabierać pewności, że Mauryl by tego nie pochwalił. Przyrównywał ich do mężczyzn spotkanych w lesie. Zrazu był jeden pan, a teraz wyglądało na to, że jest ich dwu, a poza' tym zastanawiali się, czy nie jest on przypadkiem lordem, co wywołało w nim jeszcze większe zdziwienie.

Z drugiej strony, zaprowadzili go pod dach, gdzie mógł czuć się bezpiecznie.

Obchodzili się z nim bez ceregieli, to prawda, lecz nie zrobili mu nic złego.

–Jakże to – chciał wiedzieć mężczyzna na krześle – jakże cię zowią?

–Tristen, panie, dziękuję. Przybyłem, aby spotkać się z panem zamku Kathseide.

Pytający zmarszczył czoło, posępny strażnik wyglądał na zmieszanego, trzeci kichnął albo też się zaśmiał – Tristen nie był w stanie tego rozstrzygnąć.

–Od początku Bęcwała udaje, czyli tylko teraz?

–Zda się, bęcwał w lordowskim przyodziewku. Po mieście się szwendał, awantur nie wszczywał, niczego nie zwędził, tak przynajmniej donoszą. Dzieciak miedziaka swego bez trudu zarobił. Przyszedł prosto z dołu, świecąc jako mosiądz w słońcu. Musiał jakowymś sposobem przez bramę smyrgnąć, choć Ness i Selmwy klną się, że nikogo takiego nie widzieli.

–Długo tedy po ulicach myszkujesz, łajdaku?

–Nie myszkuję, panie – odparł Tristen; zdawało mu się, że uprzejmie, lecz mężczyzna za plecami szturchnął go między łopatki.– Chodzę.

–Od dawna żeś w mieście? – zapytał pierwszy rangą strażnik. Tristen z zadowoleniem przyjął to proste pytanie, pragnąc jak najszybciej zwierzyć im się ze wszystkiego.

–Przybywam z Drogi, panie. Przeszedłem przez dolną bramę, a chłopiec przyprowadził mnie tutaj, abym przed zapadnięciem ciemności mógł się zobaczyć z panem tego Miejsca.

–Doprawdy? – Mężczyzna za stołem oparł się wygodnie. Jeden z pozostałej dwójki zamknął

drzwi, które zatrzasnęły się z głuchym, złowieszczym stuknięciem. Zgrzytnęła ciężka zasuwka.

–Paisi spisał się o niebo lepiej od Nessa i tego jego przygłupiego krewniaka – stwierdził ów poważny.

–Jakimże cudem, racz wyjawić – ciągnął śledztwo główny strażnik – minąłeś bramę, mości bęcwale?

–Przeszedłem, panie. – Przypomniawszy sobie, jak uskoczył za wóz. Wiedział, że nie mówi prawdy.

–Czyżby? – Krzesło opadło na ziemię z głośnym stukotem, a siedzący na nim machnął ręką na tych, którzy przyprowadzili Tristena. – Sprawdźcie, czy nie ma gdzie broni?

Jeden z wartowników przytrzymał go za ramię, podczas gdy drugi obmacał, zaglądając mu za pas i do butów. Tristena zdjął strach, który pogłębił się jeszcze, gdy zza koszuli zostały wydobyte Książka, lusterko i brzytwa.

–Cóż my tu mamy?

–To moje, panie. – Obserwował uważnie, jak strażnik zagląda do środka, wertuje kolejne strony, a potem potrząsa odwróconą do góry nogami Książką. – Proszę się z nią obchodzić ostrożnie.

–Ostrożnie, co? – Mężczyzna położył Książkę na stole i podsunął ją, otwartą, pod nos swemu przełożonemu. – Cosik mi tu śmierdzi.

–Obce jakieś pismo.

–To moje, panie. Proszę. – Tristen sięgnął po Książkę, ale człowiek z tyłu złapał go za ramię, a później wykręcił mu boleśnie rękę.

Tristena przeszywał ból i dławił strach. Odwrócił się, aby uśmierzyć ból, a wówczas został popchnięty na ścianę, przez co uderzył się o drugie ramię. Usiłował ich powstrzymać i odebrać swoją Książkę.

Wtedy zaczęli bić go i kopać, próbując poskromić swą ofiarę. Młodzieniec nie miał dotychczas do czynienia z podobnymi ludźmi i nie przychodziła mu do głowy żadna myśl, oprócz tej o ucieczce: strząsnął z siebie przeciwników, pochwycił Książkę i rzucił się do drzwi, usiłując podnieść zasuwę.

Coś ciężkiego spadło mu na kark oraz na ramiona, a wtedy wyrznął czołem o drzwi. Zamachnął się, żeby powstrzymać napastnika, lecz w tejże chwili czyjeś ręce owinęły mu się wokół kolan, dłonie złapały za pas, a ciężar dwóch ciał ściągnął go na ziemię. Trzeci

człowiek wylądował na jego boku i objął go za szyję, dusząc, od innego zaś otrzymał uderzenie w głowę.

Ciemność przesłoniła mu oczy. Szamotał się, by złapać oddech i uciec, ale nie miał pojęcia dokąd, a nawet jak. Tymczasem ciosy w plecy i głowę nie słabły, skutkiem, czego mrok przed oczyma rozbłysnął czerwienią.

Jeden ze strażników wyrwał mu Książkę z ręki, drugi siedział na nogach – nie bijąc go jednak – a trzeci, który również zaprzestał bicia, kontynuował przeszukiwanie. Tristen zanadto był oszołomiony i zadyszany, by zaprotestować. Chętnie zgodziłby się zostać na ziemi i leżeć nieruchomo w ciemności, gdyby tylko przestali zadawać ciosy.

Mrok zrzędął, pojawiło się mętne światło. Bolała go głowa, tym bardziej, że został chwycony za włosy i podciągnięty do góry – wprawdzie nie na równe nogi, ani nawet nie całkiem na kolana.

–Miarkujesz coś z tego? – zapytał człowiek przytrzymujący Tristena.

–Żaden ze mnie Skryba. Ani z niego, sądząc po wyglądzie. Złodziejem mi on pachnie – odparł najwyższy rangą, obracając Książkę na wszystkie strony.

Złodziej. Kradzież. Złodziejstwo. Przestępstwo. Szubienica. Wieszanie.

Straszne obrazy. Przeróżające obrazy, musiał przyznać, obolały i przewrócony. Czuł kolano na plecach, a z oczu ciekły mu łzy, tak bolesne było szarpanie za włosy.

–No, jak tam? – potrząsnął nim strażnik. – Skądżeś to wziął, złodzieju?

–Książka jest moja – odparł Tristen. – Nie jestem złodziejem, panie.

–To mi nie wygląda na przyzwoite pismo – wtrącił ponurak. Drugi, podnosząc Książkę do oczu, zapytał:

–Co tu pisze? Gadaj!

–Nie umiem tego przeczytać.

–Przeczytać nie umiesz, co? A więc żeś złodziej. Zbój. Rabuś. Kogoś zabił, żeby oblec się w te piękne szatki, he?

Od Kradzieży do Zabijania. Potrząsnął głową.

–Nie, panie, nikogo nie zabiłem.

–Następny, co jeno patrzy, jak by tu się dostać do Marhanena – rzekł jeden do swych towarzyszy.

–Całkiem możliwe – zgodził się trzeci. – Całkiem możliwe, ale któżby posyłał takiego gamonia?

–Nie jestem żadnym złodziejem – zaprzeczył Tristen. Samo słowo „złodziej” z trudem przeszło mu przez usta. Spróbował podciągnąć stopę i kolano, na co przystał strażnik, choć nie pozwolił mu na nic więcej. – To moja Książka, panowie. Proszę, pozwólcie mi wstać.

–A na co ci ta książka, hę, kiedy nie umiesz czytać?

–Kapłan to w nowicjacie, na takiego wygląda mi z gadki – orzekł mężczyzna opodal głowy Tristena. – Buchnął książkę i dał nogę, tak sędzę. Zadźgał kogoś i zdarł zeń ubranie.

–Nie, panowie – zaprzeczył Tristen rozpaczliwie. – Ona należy do mnie. Nie wolno mi jej stracić.

–Stracić ci jej nie wolno? – mruknął dowodzący. – Bo kto tak powiedział?

–Mój mistrz, panie.

–Ach, tak. Owóz Jego Lordowska Mość ma swego mistrza. A kimże on jest, hę?

–Mój mistrz powiedział... – Miał już wystarczające doświadczenie w rozpoznawaniu niebezpiecznych pytań. Wiedział też, że nie należy beztrosko używać Nazw. – Mój mistrz polecił mi trzymać się Drogi.

–Kto on zacz, pytam?

–To mój mistrz, panie. – Wzdragał się przed odpowiedzią na postawione pytanie. Obawiał się, że strażnicy są przeświadczeni, iż schwytali winowajcę, a leśnym ludziom najmniej podobało się właśnie to, skąd pochodził. Z powodu głodu i wyczerpania dręczyły go zawroty głowy. Bał się, że znowu go uderzą. – Proszę, oddaj mi Książkę, panie.

–To szaleniec – stwierdził człowiek siedzący mu na nogach.

–Jakoś nie kwapi się odpowiadać... Kimże jest ów mistrz, człowieku? Odpowiedz albo rozzłoszczę się nie na żarty.

Tristen bał się udzielać odpowiedzi. Bał się jej też nie udzielać, ale nie umiał posługiwać się kłamstwem.

–Mauryl – oświadczył, a z wyrazu, jaki przybrała twarz mężczyzny, gdy wypowiedział tę Nazwę, wniósł ze strachem, że o wiele mądrzej byłby postąpił, gdyby nie pisnął ani słówka, bez względu na zachowanie strażników.

Rozdział dziewiąty

Obrady sądu wiecowego zostały zamknięte. Wieczorny ból głowy, podsycony dysputami na temat granic i nieznośną wrzawą głosów, ustąpił, złagodzony teraz przyjemnym ciepłem wina; zachodni wiatr nawiewał świeże powietrze znad parapetu otwartego okna ku oświetlonej blaskiem świec kotłowaninie w jedwabnej pościeli. Łoże wypełniały rudowłose Orien i Tarien, dostarczając Cefwynowi w nocy zasłużonej rozrywki, kiedy chciał zapomnieć o dziennych obowiązkach. Wespół bliźniaczki przewyższały mądrością połowę zebranej rady, wydawały bardziej wnikliwe osądy i tryskały żywszym humorem; wonny olejek na dłoniach Orien i ustach Tarien był skutecznym, rozkosznym środkiem perswazji, zabraniającym mu o czymkolwiek myśleć i każącym trzymać się tak długo, jak to tylko możliwe...A miał sporo do myślenia. Dwóch przygranicznych lordów skakało sobie do gardeł, bijąc się o prawo dostępu do wód strumienia Assumbrook. Czasami, gdy trafiała się chwila, by na moment odsapnąć, zadawał sobie pytanie, jak powinien odpowiedzieć głupcom – przekupstwem, akcją dywersyjną czy frontalnym atakiem. A może należało węzłem małżeńskim połączyć niefrasobliwego syna Esrydda – thane'a Assurn-Hawasyru – z kapryśną, pulchną córką Durella; oboje byli ambitni, oboje lubieżni, oboje...Czyż nie po linii żeńskiej odziedziczone miały być ziemie Payny? Córka earla z drugiego małżeństwa... Stąd mogły wyniknąć problemy.

Zawiłość amefińskich tytułów również przyprawiała o bóle głowy, thane tego, earl tamtego, a prowincja Amefel jako całość rządzona przez Aswyddów, ród książęcy na gueleńskim dworze w Guelemarze w prowincji Guelessar, tytułujący siebie aethelingami, aczkolwiek dyskretnie i tylko na własnym prowincjonalnym, opływającym w dostatki dworze...

–O bogowie – jęknął, gdy łasica udowodniła, że ma ostre ząbki. Druga zagroziła Tarien poduszką, a on natychmiast włączył się do zabawy, wciągnął Tarien pod siebie, narażony tym samym na obstrzał pierzem i flankowe ataki Orien, skarżąc się na brak należytego zainteresowania z jego strony. A może to właśnie była Tarien?

Pozwolił się przewrócić na wznak i wówczas rozgorzała zażarta walka pomiędzy bliźniaczkami, w której stawką było terytorium jego ciała i podczas której rozkoszował się urokliwym widokiem dwu szlachetnych dam, aż w końcu przyduśliły go zgodnym szturmem, bynajmniej nie poduszkami.

Wybrał pierwszą lepszą, podejmując niebezpieczną decyzję, gdy wtem ktoś zastukał dwukrotnie do drzwi.

Zastukał jeszcze po raz trzeci, co doprowadziło Cefwyna do gniewu, zrujnowało na wpół rozpoczęte działania i pograżyło go w bolesnej rozterce między bliźniaczkami – które chciały, żeby ich nie odstępował – a drzwiami będącymi celem zajadłej napaści jakiegoś szaleńca.

–Niech to piorun spali! – zawołał, rozłożony plackiem na polu bitwy, przytłoczony i wybity z rytmu. – Niech piorun spali to twoje pukanie i łomotanie! Czego chcesz w zamian za swoją głowę?

–Panie mój – doleciało zza drzwi – wybacz mi...

–Do cholery, nawet o tym nie marz!

–Ale w sali czeka nieznajomy. Mistrz Emuin powiedział, że powinieneś go wysłuchać.

–Mistrz Emuin jest pozbawiony naturalnych popędów – mruknął i zakrył twarz poduszką, aby skorzystać z chwilowego azylu. – Mistrz Emuin nie...

Znów zakołatano do drzwi.

–Panie?

Warknął i odrzucił na bok poduszkę. Orien – a może Tarien – pocałowała go w usta i przywarła do jego ramienia. Jej bliźniaczka wstrząsnęła grzywą rudozłotych włosów nad bladym ramieniem i wstała, owinąwszy się prześcieradłem z plamami po winie.

Mężczyzna potoczył się na bliższy drzwiom koniec łóżka, z westchnieniem dotknął stopami wełnianego dywaniku, usiłując namacać resztki swego ubrania.

–Panie?

–Idrysie – rzekł do sprawcy łomotów – Idrysie, niech cię licho porwie, zejź na dół i powiedz im, że zostałem powiadomiony, rozbudzony, zirytowany, postawiony w stan alarmu, zobligowany do działania i stawię się na dole w przeklętym okamgnieniu... Sam potrafię się ubrać, nauczyłem się tego jeszcze na kolanach mojej zacnej matki, niech was wszystkich licho porwie...

Orien krzyknęła, kiedy złapał ją za nadgarstek, pisnęła, kiedy upadł na nią, przywrócony do stanu używalności, pobudzony do działania.

Po pewnym czasie powiedział:

–Wołają mnie pilne sprawy. Jutro też jest wieczór.

–Być może – odparła Orien (zdawało mu się, że to Orien). Siostry lorda Heryna postępowały zawsze wedle własnego uznania i teraz chciała mu dać dowód swej kapryśnej natury, choć nie wiadomo, czy nie była to Tarien i czy słowa te nie odnosiły się do obu sióstr.

Zabawiały się kosztem swych kochanków, liczniejszych od zastępu kochanek, jakimi mógł poszczycić się Heryn Aswydd... ale tylko nieznacznie liczniejszych, jak łatwo zgadnąć. Ich możliwy brat, Jego Miłość diuk Amefel, aetheling Amefel, udzielał się na dworze, wędrując od łóżka do łóżka i sącząc plotki w każde ucho, które gwarantowało określone korzyści.

O sprawach państwa nikt nie rozmawiał z bliźniaczkami, nigdy nieproszącymi o prezenty, a

zwłaszcza tego, o którego względy jakże chętnie zabiegały, odkąd Lurriel opuściła niespodzianie dwór... Cefwyn gotów był się założyć, że owo stukanie nie w porę rozlegnie się tuż obok ucha Heryna, bez względu na to, co oznacza.

Emuin o tej godzinie! Obcy przybysz z na tyle ważną sprawą, by wyciągać starca z łóżka? Idrys spieszy do drzwi i dopóty kołacze, dopóki on nie zgadza się zejść na naradę?

Pojawianie się nieznajomych pachniało zamachami, wymierzonymi bądź to w niego, bądź w kogoś, kto nie zamierzał trzymać języka za zębami. Intryga była czymś nader pospolitym w tej przekłętej i często nękannej rebeliami prowincji, zatem cała sprawa mogła poczekać do rana, do późnego rana. Albo do trzeciego z kolei ranka – tak się dobrze bawił tej nocy. Powracał ból głowy.

Naciągnął pończochy, z mozołem – pod nieobecność służby – nałożył buty, odnalazł koszulę... nie tak bardzo wymiętą. Dublet – nie. Nie znosił podobnych formalności. Dół koszuli rozpuścił na wierzchu, skropił twarz chłodną, pachnącą różami wodą, sięgnął po ręcznik i przyłożył go do brody i brwi, tak aby wsiąkła weń wilgoć. Opuszczając sypialnię, przeczesał pobieżnie włosy i poprawił warkocze. Do diabła z tym wszystkim, pomyślał i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi do foyer.

Szczęknęła broń, gdy przeszedł przez przedpokój i opuścił swoje apartamenty, rozprasząc nudę czterech znużonych nocnym czuwaniem gwardzistów i nakazując im zachowanie wieczystej dyskrecji. Dwóch starszych rangą ruszyło za nim bez polecenia. Młodsza i mniej uprzywilejowana para powtórnie hałaśliwie zasalutowała, po czym usiadła, żeby pilnować do rana jego pokoi, podczas gdy on sam zmierzał ku wschodnim schodom.

Bliźniaczki ubiorą się i same opuszczą jego komnatę, a gwardziści zignorują ich wyjście, podobnie jak ignorowali obecność.

Jakże monotonne gry prowadziły, gdy rzecz dotyczyła dynastii, amefińskich dam, płodzenia następców tronu czy też łoża księcia Marhanena.

Unikając plotek. Unikając... przeniknięcia do publicznej wiadomości powszechnie znanych faktów.

Maszerował korytarzem, głośno stukając obcasami o marmur, potem schodził szerokimi, białymi schodami, wzdłuż których gueleńska służba pod dyktando majordomusa w rozrzutnych ilościach poumieszczała świece. „Twój ojciec, nasz król” – takie między innymi słowa padły, gdy protestował przeciwko temu marnotrawstwu.

Jego koronowanego ojca na stołecznym dworze w Guelemarze, w samym sercu królestwa Ylesuinu, zżerał nieprawdopodobny strach przed ciemnościami. I zamachowcami. Przykład dziadka uzasadniał te obawy w dostateczny sposób. Stąd właśnie gwardziści.

Jednakże nie z braku świec zginął dziadek.

Z tyłu rozlegał się brzęk i szczęk: to jego przyboczna straż, gotowa bronić księcia Ylesuinu przed wymachującymi toporami kapłanami i zazdrosnymi kochankami.

Sam bał się jedynie wilgotnego, popólnocnego chłodu marmurowych korytarzy, nieumniejszonego obecnością płonących świeczników. Ścigany pobrzękiwaniem i klekotem, zmierzał ku otwartym drzwiom, zbiegowisku gwardzistów, krzątaniu i irytacji rozbudzonej czeladzi na niższych piętrach. Dogonił go zaspany paź z płaszczem, który w lecie i po gorączce niedawnej namiętności był mu najzupełniej zbyteczny, ale skoro już został przyniesiony, a w sali audiencyjnej panował zawsze większy chłód, Cefwyn narzucił go na ramiona, uwolnił spod niego włosy i podszedł do Emuina stojącego zaraz za progiem wespół z grupką strażników i służących.

–Lepiej, żebyście mieli jakiś słuszny powód – mruknął do starca, którego habit, ongiś z pospolitej tkaniny i wiecznie poplamiony atramentem, teraz mienił się nieskazitelną szarością zakonu terantynów (aczkolwiek na dworze Emuin rozporządzał świecką władzą, gardząc klasztorem i medytacjami).

–Zapewniam Waszą Wysokość... – zaczął Emuin, lecz księżę minął go, coraz bardziej śpiący i w nie najlepszym nastroju.

–Wasza Księżęca Mość...

Komendant gwardii, Idrys, sunął już ku niemu niczym szczupak w kierunku przepływającego kąska, szczupak czarny, przebiegły, weteran walk z haczykami. Cefwyn machnął ręką, powłóczyście, po okręgu, niezbyt grzecznie sygnalizując mu to samo, czego przed chwilą dowiedział się Emuin, po czym wspiął się na stopnie podwyższenia, prowadzące do połączanego, antycznego i nader niewygodnego tronu, na którym rozsiadł się w niedbalej pozycji. Przewiesił nogę nad poręczą, westchnął przeciągle i zmrużył przymglone oczy, wodząc wzrokiem po zbieraniu politycznych narzędzi, które zeszyły się na tę nocną audiencję. Mógłby wymienić frakcje stojące za tym niewątpliwym spiskiem, mającym na celu doprowadzenie go do stanu nieświadomości i niedoinformowania, w którym się teraz znajdował. Co poniektórzy dworzanie z ochotą bawili się podobnymi gierkami, tacy, co mierzyli w jego ucho, stół lub łożę, członkowie gueleńskich rodów ze stolicy, uprawiający w tejże sali swoją politykę, miejscowi notable, w dni świąteczne przyczajeni wśród ław, gdzie z nim obradowali, wręczali petycje i umawiali go na schadzki ze swoimi siostrami.

Byli mu obojętni, ale obrzydzenie wywoływali w nim ci, którzy zjawiali się po północy, zdecydowani zwierzyć mu się na osobności i niezwykle rozwlekłe na temat jakiejś nieudanej machinacji, zanim druga strona, nie mniej i nie bardziej winna, nie wystosuje własnych argumentów i not protestacyjnych.

Emuin. I Idrys. Cefwyn przynajmniej od swoich serdecznych przyjaciół oczekiwał wyrozumiałości. I srodze się zawiódł.

Spodziewał się, że – obudzony o tej nieludzkiej godzinie przez tych samych przyjaciół – zobaczy jakieś widowisko, elwynimskiego zamachowca, gromadę wysoko urodzonych konspiratorów... Zgwałconą i wzburzoną damę szlachetnego rodu.

A tymczasem co? Ciemnowłosa, brudny człowiek, okryty żalonymi szczątkami kosztownych szat, przytrzymywany przez dwóch gueleńskich strażników. Okaz desperacji, to prawda, ale czy koniecznie musieli go trzymać aż dwaj uzbrojeni ludzie?

Wysoki jak na Elwynima. Być może mieszkaniec Lanfarnesse; spotykało się wśród nich wielu wysokich i szczupłych, chociaż większość miała jasne włosy, takie jak Gueleńscy, a tylko nieliczni w Lanfarnesse nie nosili brody. Więzień wpatrywał się uporczywie w ziemię, wobec czego trudno było cokolwiek powiedzieć o rysach jego twarzy, lecz nagie, dobrze umięśnione przedramiona i delikatne dłonie świadczyły o młodym wieku.

Zważywszy na dziewięć czaszek niedoszłych zabójców, których kości zostały oskubane przez kruki i wyblakły nad południową bramą Zeide w czasie jednorocznego pobytu księcia w tym miejscu – tylko młodość mogła tłumaczyć porywczą głupotę, z jaką ów śmiałek podjął się go zgładzić, za namową bądź też – niech mu bogowie wybaczą – powodowany dziedziczną, amefińską urazą.

Cefwyn żywił głęboką nadzieję, że nie będzie musiał powtórnie przechodzić przez dobrze mu znaną, nużącą procedurę.

–A zatem kogo my tu mamy? – zapytał, kołysząc stopą na dowód pogardy, którą budziły w nim amatorskie intrygi. – Łowcę mułów? Porywacza świń? I dwóch musi go pilnować? Święci bogowie!

–Wasza Wysokość – odezwał się Idris – lepiej byłoby porozmawiać gdzieś na osobności.

–A jakże, moja sypialnia była na osobności, ale do czasu. Jutro z rana by wam nie pasowało? Naprawdę musiałem schodzić na dół po zimnym kamieniu i jeszcze zimniejszych...?

–Wasza Wysokość – napomniał go Emuin swym mentorskim tonem.

Cefwyn machnął ręką.

–A więc zaczynajcie spektakl. Do dzieła. – Sala wypróżniała się ze służby i z ciekawskich, ostatni marudzili pod drzwiami. Skrybowie jednak, margines przydatnych dworskich narzędzi, zostali. – Precz! – rzucił pod adresem ociągających się. – To się nie znajdzie w kronikach. Wracajcie do łóżek. I zamknijcie za sobą drzwi.

Drzwi zamknięto. Zakołysał stopą i spojrzał chmurnie na więźnia, nadal studiującego marmurowe stopnie.

–Co my tu mamy? – zwrócił się do niego, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Idrys podszedł i wręczył mu niewielką książkę, kodeks oprawny w skórę, stary i podniszczony. Książkę przekartkował kilka przypadkowych stron, patrząc na kanciaste, starożytne pismo w zapomnianym – zapewne czarodziejskim – języku.

Serce w nim zamarło – tylko na chwilę, zgoda, lecz nie dał tego po sobie poznać, nie zmienił postawy, nie, nie dał się wciągnąć w coś, co uważał za jedną z tych intryg, które prowadzili kapłani. Nie przypuszczał, aby Emuin był w to zamieszany. Sprawa pachniała księżmi, nielegalnymi i heretyckimi praktykami, co oznaczało, że wiara w bryalt, dominująca w tej prowincji, znów ściera się z ortodoksyjnymi quinaltynami, którzy prawdopodobnie przebyli długą i zakurzoną drogę ze stolicy, ażeby bronić jakichś niejasnych teologicznych dogmatów i wygłaszać przed księciem gruntowne wykłady z zakresu coraz liczniejszych na pograniczu kultów i konspiracji.

Wydawało się jednak, że Emuin nie traktuje całej sprawy jako nieistotną i czysto teologiczną gierkę.

Zamknął książkę, położył ją bez troski na kolanach i badawczym wzrokiem zmierzył swego starego nauczyciela.

–No cóż, sędziwy mistrzu. Zakładam, że ledwie świniokrad dotarł z tym na zamek, musiałem zostać zawezwany, i to w pilnym trybie.

–On twierdzi, że książka należy do niego, Wasza Wysokość.

Nie wygląda na to, żeby do niego należała, pomyślał Cefwyn: młodzieniec był młodzieńcem, brakowało mu uwiarygodniającego towarzystwa okolicznościowego starca, który podburza wieśniaków i, choćby na jeden sezon, rozpala nadzieje Amefińczyków, kusząc ich oderwaniem się od Korony.

Myśli jego powędrowały ku Amanowi i Nedrasowi, strażnikom bramy, stanowiącym anomalię w zgromadzeniu dworzan i gwardzistów – nie byli li tylko dozorcami oskarżonego, ale tymi, o których udziale w tym bez wątpienia podszytym intrygą wykroczeniu zapewne wnet usłyszy. To oni, podejrzewał, przyprowadzili tu tego okrytego w postrzępione piórka młodzika ze zwieszoną głową, będącego wbrew sobie centrum całego zamieszania. Był skłonny przypuszczać, wyłączając z całej sprawy strażników bramnych, że to quinaltyni i terantyni posprzeczali się na temat jakiegoś aksjomatu logiki abstrakcyjnej – ale, na bogów, o Emuinie miał wyższe mniemanie i nie sądził, że starzec będzie go budził z powodu jakiejś kapłańskiej waśni; poza tym cała sprawa wiązała się ze stawieniem się kogoś u bram Zeide.

–Człowieku – rzekł, powodowany rosnącą ciekawością – świniokradzie. Unieś głowę. Spójrz na mnie. Czyja to książka?

Więzień był dość poturbowany. Potrzebował chyba wsparcia strażników, aby ustać na nogach, i dopiero potrząśnięty przez Amana skierował uwagę na księcia.

Uniósł głowę, skoncentrował się... i przez moment do świadomości Cefwyna nic nie docierało, nic, oprócz łzawego spojrzenia.

Boi się, pomyślał Cefwyn, czując przyspieszone bicie swego serca – instynkt wyostrzony na rozprawach sądowych utwierdził go w tym przekonaniu. To strach właśnie ogłądał na większości twarzy przywiedzionych pod przymusem przed jego oblicze; znacznie rzadziej oskarżeni znajdowali odwagę, by spojrzeć mu prosto w oczy; a gotów był przysiąc, chociaż nigdy nie spotkał się z nią na swoim dworze... że zobaczył również niewinność.

Absolutną, krystaliczną, przerażającą niewinność.

Poruszał się bezwiednie: zdjął nogę z poręczy tronu, zupełnie machinalnie, i wstrzymał oddech, obawiając się, że zobaczyły to oczy wszystkich zgromadzonych na sali, że wciąż to widziały. Gniewał się na samego siebie, gdyż nie przywykł do tak łatwego ulegania emocjom. W spojrzeniu młodzieńca nie czaiła się groźba; czuł osobliwy, nieodparty pociąg ku tej istocie, pociąg niemal fizyczny, bezprzykładny i intymny, tak wyraźny, iż miał wrażenie, że zdradza go głośnie bicie własnego serca. Nigdy dotąd nie był tak zbity z tropu. I obudził się w nim lęk, ponieważ ta istota również wydawała się wystraszona, ten... młodzieniec, ten... mężczyzna, ten...

Nie potrafił nazwać tego, co czuje i widzi. Stracił rachubę upływającego czasu, kiedy istota unosiła głowę, kiedy potrząsała zmierzwioną grzywą włosów, kiedy zatapiała wzrok w jego oczach.

Wiedział, że strażnicy pilnujący więźnia nie stanowiliby dlań żadnej niewygody, gdyby ta wytarmoszona, krucha, wspaniała istota uznała za stosowne zmierzyć się z nimi.

Czyżby nikt oprócz niego tego nie dostrzegał? Czyżby Emuin, ze swą reputacją znawcy w takich sprawach, nie wiedział, iż ten straszny młodzieniec nie jest pod żadnym względem trzymany przez strażników? Zbili go. W jego ciemnych włosach tkwiły źdźbła słomy, miał pobrudzone ubranie. Jeżeli strażnicy nie czuli przed swym więźniem panicznego strachu, byli chyba głupcami.

A może w końcu i oni poczuli strach, bo czyż – najwyraźniej – sprawa nie przekroczyła kompetencji ich dowódcy?

A czyż ich rozkazodawcy nie zawołali innych, aż całe zamieszanie dotarło do uszu Emuina?

A czyż Emuin nie nalegał, poprzez Idrysa, aby Jego Wysokość zwlec bezzwłocznie z łóżka, gdyż interwencja księcia okazała się nieodzowna? To nie był zwyczajny przypadek.

Pod żadnym względem.

–Podejść bliżej. – Cefwyn skinął na młodzieńca, a wówczas dwóch strażników podprowadziło go pod najniższy stopień podwyższenia. Znowu obrzucił księcia intymnym i strasznym spojrzeniem, jakby, co wydawało się nieprawdopodobne, znał tajemnice, które mogły zgubić duszę Cefwyna. Wrażenie było tak silne, że księżę miał ochotę odesłać strażników z sali, bojąc się, aby młodzieniec nie powiedział za dużo lub nie przedstawił jakiejś sprawy życia i śmierci... Nie wiedział nawet, czy tak naprawdę chowa przed światem, choć jedną straszną tajemnicę. Nie dostrzegał jednak wyraźnych powodów do obaw, a poza tym młodzieniec wydawał się słaby i staniał się na nogach, gotów przewrócić się na marmurową posadzkę, jeśli puszcza go ręce strażników.

Gdy próbował uporządkować skołatane myśli, w sali panowała cisza, w której można było niemal usłyszeć ciche trzaskanie płomyków świec; topniejący wosk – podobnie jak stapiające się z sobą ciała w komnatach na wyższym piętrze – nasycił powietrze słodkim zapachem. Czuł perfumy Orient, którymi przesiąkł na wskroś. Myśli jego biegały na wszystkie strony w rozpaczliwym poszukiwaniu odpowiedniego podejścia do problemu. Znalazł je dosłownie pod ręką.

–Czy to twoja książka? – zapytał, podnosząc ją z kolan.

–Tak, panie.

–I naprawdę jesteś złodziejem?

–Nie, panie. Nie jestem.

–Gdzie byłeś i co robiłeś, gdy aresztowały cię straż?

–Byłem przed bramą. Prosiłem o spotkanie z panem. Gueleńskim strażnikom coś się nie spodobało. Potrząsnęli nim i dali mu kuksańca.

–Uważaj, jak się zachowujesz, człowieku. Mów: „Tak, Wasza Wysokość”, „Nie, Wasza Wysokość” i „Jeśli łaska, Wasza Wysokość”.

Cefwyn skrzywił się, omal nie zaprotestował, lecz Aman dodał:

–Jest kapkę przygłupi, Wasza Wysokość. Zdało nam się, że to Elwynim jakowyś z tym swoim pismem, niech Wasza Wysokość raczy zwrócić uwagę na jego ubiór, mowę i tak dalej; no i nikogo tu nie zna.

–Kto go przyprowadził? – zapytał Cefwyn; oficer straży bramnej mruknął w odpowiedzi pokornie i z zażenowaniem, a Idrys skinął potwierdzająco. Księżę machnął zdawkowo ręką w jego kierunku. Znał hierarchię stopni dowódczych, podobnie jak, nie ulegało wątpliwości, oskarżony młodzieniec. – Uważasz, że to Elwynim? Że w takim przebraniu przechadza się po mieście, na dodatek w świetle dnia?

–Wasza Wysokość, on wręcz przefrunął pod nosem żołnierzy strzegących miejskiej bramy, jakby coś ich oślepiło, a to dobrzy ludzie. Pono stary Mauryl jest jego mistrzem. Powiada, jakoby przyszedł drogą z Marny, prosto z przeklętej wieży.

Serce księcia znów zamarło na chwilę, co potwierdziło tylko jego przypuszczenia. Wiedział już, że przybycie młodzieńca stanowi zły omen. Książka wróżyła przyszłe nieszczęścia. Był co do tego święcie przekonany, aczkolwiek nie znał ich natury. A sądząc po tym, jak Emuin nalegał, aby wezwać go do rozstrzygnięcia tej sprawy, również starzec snuł własne opinie i zmagał się ze spędzającym sen z powiek strachem – a to już coś znaczyło.

–Ze starej warowni – rzekł Cefwyn, czując na rękach gęsią skórkę i doznając uczucia zagrożenia i doniosłości każdego ruchu, uczucia niewyraźnego, niejednoznacznego, niemniej dostrzegalnego. Młodzieniec patrzył na księcia, który unikał jego wzroku, zerkając na dowódcę swej gwardii. – A ci tu nie szczędzili mu razów. Niezbyt rozważnie. Mógł się zdenerwować.

–Nie róbmy z tego krotchwili, Wasza Książęca Mość. – Odezwał się również Emuin, nieproszony:

–Racz zapytać go, z czym przychodzi, Wasza Książęca Mość. O ciebie on pytał.

Nie takich nowin pragnął wysłuchiwać. Wsparł podbródek na dłoni, przybrał kamienny wyraz twarzy i rzucił okiem na młodzieńca, usiłując... znaleźć skazę i usterkę na jego obliczu, w tej porażającej sile młodzieńczych nadziei.

Bo one tam były: nadzieje. Nieugięte, pewne siebie.

Oraz wiara. Zatrważająca, bezgraniczna wiara, skierowana ku niemu, który, na litość boską, nie nawykł do podobnych wyzwaniań.

–No, dobrze. Jak się zwiesz, młodzieńcze, obcy w moich stronach? Kimże jesteś, by w środku nocy wyrywać mnie z dobrze zasłużonego łóża?

–Mam na imię Tristen, panie.

–Masz tylko jedno imię?

–Tylko jedno, o którym wiem, panie.

–Zwykle mieszkasz w Ynefel, czy może wędrujesz po krajach, dobijając się do bram i ucinając pogawędki ze strażnikami?

W młodzieńczych oczach pojawiła się konsternacja i spotęgował strach.

–Kiedyś tam mieszkałem, panie. Ale przyszedł wiatr, zaczęły się sypać dachówki, a

Mauryl... – Głos Tristena ucichł, ale nie z powodu łez, aczkolwiek młodzieniec był zrozpaczony, tylko ze zwyczajnego oszołomienia.

–A więc co słyhać u Mauryla? – zapytał go Cefwyn.

–Boję się... że coś się z nim stało.

–I mnóstwo dachówek spadało – odezwał się książę niczym echo.

–Tak, panie, tak było. Nie wszystkie, ale...

–Z powodu wiatru spadały?

–Tak, panie.

–A co sprowadza cię na mój zamek?

–Szukam miejsca na nocleg. I kolacji.

Wśród gwardzistów rozległy się nerwowe śmiechy. Lecz młodzieniec wyglądał tak mizernie. Zachowywał się jak dziecko, wystraszone i zahukane.

Cefwyn się nie śmiał.

–Szukasz kolacji? Szedłeś tak daleko jedynie po kolację?

–I miejsce na nocleg, panie.

–Przynosząc z sobą jedną z książek Mauryla?

–Ja nie ukradłem tej książki. Dostałem ją od Mauryla. Powiedział, że powinienem ją przeczytać.

–Naprawdę? – Nie potrafił dostrzec w młodej twarzy owej niewinności, którą widział w niej przedtem. Być może dał się omamić? Kto wie, czy nie ma do czynienia z jakimś obmyślonym przez Amefińczyków oszustwem mającym na celu podkopać jego majestat i autorytet? Wobec tego sam postanowił przejść do natarcia. – Ile dni wędrowałeś z wieży Mauryla?

–Cztery. Pięć. Chyba pięć.

–Szedłeś pieszo? Taka podróż musi trwać przynajmniej dwukrotnie dłużej.

–Dni i nocy, panie.

–Dni i nocy, jakże to?

–Bałem się spać, panie.

–Można by mieć co do tego wątpliwości – zauważył Idrys chłodno i wydawało się, że urok prysnął, albo też został wzmocniony. Cefwyn z niepokojem słuchał słów Tristena, odnosząc wrażenie (przeglądał przecież mapy), że sprawozdanie młodzieńca znacznie odbiega od prawdy, aczkolwiek mogła go zawodzić pamięć. Większy niepokój wzbudzał w nim sposób, w jaki Idrys zaogniał całą sprawę. Sytuacja stawała się napięta.

–On wydaje się niewiarygodnie głupkowaty, Wasza Wysokość – rzekł dowódca straży bramnej – ale jeno od czasu do czasu. Kiedy indziej tak nie jest.

–W każdym razie świetnie grałeś – powiedział Idrys. – Świetnie grałeś, chłopcze.

–Książka – przypomniał Emuin. – Książka.

–Ach, książka. – Idrys machnął ręką. – O świcie pokażę wam ze dwie podobne. Amefińskie gryzmoły. Lyrdyjskie poezje. Bóg wie co. Schowajmy ją do biblioteki. Może kiedyś wyzna się w niej jakiś spróchniały zakonnik.

–Nie sądzę.

–Spis zawartości klasztornej spiżarni – dodał Idrys pod nosem. – Książka rachunków.

–Niech cię zaraza!

–Dosyć! – uciszył ich Cefwyn, nie spuszczać wzroku z młodzieńca, który obserwował to jednego dysputanta, to znów drugiego.

Rzeczywiście, przez las Marna biegła Droga i legendy mówiły, że gdy już człowiek wstąpi na tę Drogę, dojdzie do Ynefel, gdyż zejść z niej nie jest tak łatwo.

Ta mowa, te maniery, ta nieczytelna książka w jego posiadaniu...

Czyżby Mauryl miał służącego? – Cefwyn zadawał sobie w duchu pytanie.

Może, niech bogowie bronią, znalazł sobie ucznia?

A może – najstraszniejszy wariant – sukcesora?

Nawet mieszkaniec Amefel – w którego żyłach wciąż płynęła, aczkolwiek wielce rozrzedzona, starożytna sihijska krew – nie wybrałby się ochoczo tą Drogą, nie zagłębił w las, a już z pewnością nie prosił o gościnę pod wiekową bramą Ynefel. Ponoć jednak stary czarodziej od czasu do czasu ruszał się ze swej siedziby, acz nie odwiedzał dworu, i podobno również utrzymywał kontakt z tymi, którzy decydowali się żeglować po zdradliwej rzece – jeżeli to był rzeczywiście, jak utrzymują niektórzy łatwowierni, ten sam Mauryl, który handlował ongi z jego dziadem, a i dziś płacił sihijskim złotem i czarodziejskimi ziołami

chłopakom z Olmern za to, że mieli odwagę zapuszczać się daleko w górę rzeki, dostarczając mu kosze mąki, oliwę i tym podobne artykuły.

Synowie Olmernu nigdy nie oszukiwali starca ani nie ujmowali od miary. Wprost przeciwnie – jak donosili księciu szpiedzy – dodawali do miary jak najwięcej, a nawet załączali podarunki.

A zatem Olmemeńczycy, zwłaszcza ci z wioski Capayneth, nadal czcili Dziewiętnastu, bogów uznawanych przez czarodziejów. Podobny do nich w tym względzie był wieśniaczy lud Amefel, podczas gdy miejscowi kapłani quinaltyńskiego obrządku w zamian za złoty kruszec zwracali oczy w innym kierunku. Jako bóstwo Mauryl przez stulecia skutecznie udowadniał swoje istnienie – a przynajmniej, jak uważali sceptycy, czyniło tak wielu czarowników o tym samym imieniu, zamieszkujących wieżę od czasu legendarnego wstępu sihhijskich monarchów. Co więcej, dzięki recepturom i zaklęciom, którymi starzec płacił, w Capayneth owce rodziły bliźniaki, kobiety nigdy nie roniły, łany zbóż nigdy się nie kładły i zawsze zdążyły wyschnąć przed nadejściem gradobicia pustoszącego pola sąsiadom; w Capayneth ludzie żyli długo i szczęśliwie. Tak mówiono.

Na przekór szemraniom quinaltynów, Sihhijczyków darzono głęboką czcią długo po tym, jak przeminęli.

Mauryl miałby upaść? Równie dobrze słońce mogło wzejść na zachodzie. Albo komety wypełnić niebo.

Dotychczas napięta uwaga Tristena osłabła. Głowa młodzieńca zwiśla pod brzemieniem śledztwa, jakby utrzymanie się na nogach pochłaniało jego wszystkie siły. Jeżeli ten chłopiec miał być miejscowym bóstwem, spadkobiercą nieśmiertelnego Mauryla, nosił niewłaściwe imię i sprawiał wrażenie śmiertelnego i znużonego bożka, ochłapanego błotem i poznaczonego gdzieś tam plamami krwi, więdnącego w oczach. Wydawało się, że iskra, która wyskoczyła z młodzieńca, zagasła nieodwracalnie, a cała siła uleciała – za co księżę Ylesuinu mógł być tylko wdzięczny. Stał oto przed nim wycieńczony człowiek o zaniedbanym wyglądzie, przekonującym jedynie, co do niewinności w sprawach kradzieży świń, bicia żony i pomniejszego łotrostwa.

–Tristenie.

–Tak, panie? – Głowa uniosła się, oczy spojrzały na niego i w tejże chwili powrócił niemalże tamten moment, moment wypełniony intensywną, dojmującą niewinnością młodzieńca... tak przerażającą i bezprzykładną, że człowiek nie potrafił odwrócić wzroku, chcąc raz po raz upewniać się, że naprawdę ją widzi i że zawsze tam była.

Księżę nie umiał odnaleźć jej na nowo, nie o takiej sile. Być może młodzieniec miał swoje sekrety. Być może odnalazł je w sobie i nie był aż tak niewinny.

A może doszedł do wniosku, iż gospodarz nie spełnia jego oczekiwań?

–Amanie.

–Wasza Wysokość?

–Temu młodemu człowiekowi włos nie spadnie z głowy. Zrozumiano?

–Tak, Wasza Wysokość. – W odpowiedzi tej nie pojawiła się najcichsza nawet nutka fałszu. Aman wiedział, kiedy księżę Ylesuinu wymaga posłuchu i że niedotrzymanie zobowiązania pociąga za sobą przykre konsekwencje.

–Idrysie. Zachodnie skrzydło. Błękitna komnata.

–Ależ, Wasza Księżęca Mość...

–Idrysie. Zachodnie skrzydło. Błękitna komnata.

–Tak, Wasza Księżęca Mość.

–Tristenie.

–Wasza Wysokość?

Zmiana. Pojawiły się poprawne formułki. Umysł został rozbudzony – albo też zdjęta maska. To wróżyło kłamstwa. Lub zupełną ignorancję. Cefwyn nawet nie zmrużył powieki.

–Tristenie, tych kilku zacnych ludzi zaprowadzi cię do twego pokoju, a słudzy spełnią wszystkie twoje uzasadnione życzenia. Twoje życzenia będą umiarkowane, ufam...

–Kolacja?

–Bez wątplenia. – Nie przerywało się księciu Ylesuinu, kiedy przemawiał. Co poniektórzy wstrzymali oddech. Nie on. On pozostawał niewzruszony i ciągnął tym samym spokojnym tonem: – Sugeruję także gorącą wodę. – Młodzieniec wydawał się przyzwyczajony do czystości i jeżeli naprawdę przez pięć dni i nocy wędrował lasem, jak twierdził, kąpiel powinna zajmować najwyższą rangę wśród jego życzeń.

–Byłbym niezmiernie wdzięczny, Wasza Wysokość.

Ach, uprzejmość. Dworska grzeczność. Dobry moment, niespodziewany, na zarzucenie haczyka.

–Wszystko to – powiedział Cefwyn – jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

–Tak? – A więc powróciły uprzednie błędy protokolarne, gdy tylko zostało wznowione przesłuchanie. W okamgnieniu równowaga młodzieńca zaczęła chwiać się w posadach. Na próżno, być może, strażnicy go wyłajali: groźby uczynienia krzywdy nie naruszyły spokoju

ducha młodzieńca ani nie przyczyniły się do odsłonięcia prawdy. Teraz jednak, gdy groźby ustały, a zaczęto mówić o wygodach, by nagle cofnąć słowo, głos młodzieńca zadrżał.

Nie czas na przypadkowe taktyki. Ani uprzejme. Książę nie mógł pozwolić sobie na zbytnią uprzejmość, jeśli chciał dotrzeć do sedna sprawy.

–Proste pytanie, Tristenie. Łatwe pytanie.

–Tak?

–Kto cię posłał?

–Mauryl, panie.

–Czy to prawda, w którą muszę uwierzyć?

Rozterka. Chwila ostrożnego, najwidoczniej szczerego namysłu.

–Nie, panie.

–A więc jak brzmi prawda?

–Mauryl powiedział, abym trzymał się Drogi.

–No i?

–Nic więcej, panie. Tylko żebym trzymał się Drogi. Myślałem...

–Mów dalej, Tristenie bez imienia. Myślałeś...

–Myślałem, że skoro Droga dociera tutaj i przechodzi przez bramę, musi to być miejsce, które Mauryl miał na myśli.

Uczeń Mauryla. Prawdopodobnie. Młodzieniec dość zręcznie wyłuszczał swoje pobudki, punkt po punkcie, i mówił tylko to, co uważał za stosowne. Prosty wieśniak tak się nie zachowuje. Takie maniery trącą pobytem na dworze. Lub kapłańską nauką.

Każdy książę był w stanie dokonać gramatycznego rozbioru swych argumentów, korzystając z listy: ja, ty, on, skąd, dlaczego, ku czemu. Sztuka ta przychodziła przybyszowi dość łatwo.

–Z jakiego powodu, Tristenie bez imienia, Mauryl Gestaurien posłał cię – ach! – kazał ci trzymać się Drogi?

–Nigdy mi tego nie powiedział.

–A czy mówił, skręć w lewo lub skręć w prawo?

–Nie, panie. Tylko, wydawało mi się... tam, dokąd wskazuje brama.

–I Maurylowi coś się mogło stać?

–Tak, panie.

–W jakim sensie?

–On... – Najwidoczniej dotarli nagle nad krawędź jakiejś przepaści w rozumowaniu. Albo do gwałtownej zapory w zrozumieniu. – Ja... zobaczyłem jego twarz nad drzwiami. W murze, Wasza Wysokość. Podobną... do innych twarzy.

Od niepoprawnego „Tak, panie” do pewnego siebie „Wasza Wysokość”. I to podczas tak przerażającego oświadczenia. W różnych miejscach na sali zapanowała konsternacja. Miał nadzieję, że on jej nie przejawiał – usiłował przynajmniej zachować spokój. Sprawa twarzy pojawiała się często w pogłoskach: były dziełem ostatnich Galasjenów, bądź też pozostałością po Maurylach, wszystkich zwanych Gestaurienami; sprawozdania różniły się między sobą i w żadne z nich nie wierzył. Nie zamierzał dać się zwieść słowom ani pobrzmiwającej w głosie niewinności.

–Podobną do innych twarzy. Doprawdy, zadziwiające. Chociaż, z drugiej strony... Czy na murach mieszkają przypadkowi obcy? Czy tylko zużyci czarodzieje?

–Ja... nie mam pojęcia, panie.

–Czy sam jesteś czarodziejem?

–Nie, panie.

–Czym zatem jesteś? Żebrakiem, sługą... kapłanem podrzędnych bogów?

–Nie, panie. – W spojrzeniu szarych oczu pojawił się strach, jakby Tristen zdawał sobie doskonale sprawę z szyderstwa, lecz nie potrafił wychwycić istoty kpiny.

–A teraz ty – rzekł Cefwyn – wyrównaj rachunki, mości wędrowcze. Zadaj mi pytanie.

–Jesteś panem tego miejsca?

–Tak – odparł książę z równą zwięzłością, z jaką zadano pytanie, ignorując pochylające się nagle głowy i z trudem kontrolowane grymasy na twarzach, nie uginając się przed tym, co czarodziejskie i nieprawdopodobne. – Jestem Cefwyn, wprawdzie książę Ylesuinu, ale i pan tej sali, tego miasta, tej prowincji. Jeżeli ofiaruję ci gościnę, naprawdę możesz czuć się jak u siebie w domu, Tristenie niegdyś z Ynefel... a więc Mauryl jest niedysponowany. Wmurowany. To zadziwiająca, doniosłej wagi wieść. Czy przypadkiem masz mi coś jeszcze

do powiedzenia?

–Boję się – rzekł młodzieniec cicho – boję się, że Mauryl jest zgubiony. Myślę, że wróciłby, gdyby mógł. Ale on jest na murze.

–A co z resztą ksiązek Mauryla? – zapytał Emuin. Wciąż ta żądza czarodzieja, przypominająca kamień zręcznie rzucony do stawu. On także nie dawał się łatwo zbić z tropu.

Oczy młodzieńca zrobiły się natychmiast skupione i wylękłe.

–Chyba w środku, panie. Wszystko się waliło. Siedziałem na zewnętrznych schodach. Bałem się wracać do wieży. Kiedy zrobiło się ciemno... wyruszyłem Drogą.

–Założę się, że postąpiłeś słusznie – stwierdził Cefwyn, kontrolując swój głos, tak aby brzmiał szczerze. – Mauryl był naszym długoletnim sąsiadem, dużo wcześniej niż rozpoczęło się moje panowanie tutaj. Lub mojego ojca czy dziadka, jeśli chodzi o ścisłość. Trzymał się swoich granic i nie mieszał do moich. Trudno oczekiwać więcej od sąsiada, który tak długo mieszka obok ciebie. Idrysie, być może zamiast błękitnej komnaty, w której bez wątpienia ciągnie wilgocią, przygotujesz szarą komnatę na przyjęcie gościa?

Idrys wątpił, czy chodzi o wilgoć, ale zdawał sobie sprawę z wagi, jaką książę przykłada do sposobu ugoszczenia przybysza.

–Komnata Cedriga – podsunął – jest znacznie przestronniejsza, Wasza Wysokość.

Idrys chciał przez to powiedzieć, że jest czysta, niezamieszкана i posiada kilka zalet, takich jak możliwość umieszczenia pod jej drzwiami gwardzisty, który miałby na wszystko oko, gdyż znajdowała się na górze u końca ślepego korytarza. W znacznie większym stopniu odpowiadała zamysłom Idrysa – czego nie należało lekceważyć.

–Dopilnujesz wszystkiego – powiedział Cefwyn lekkim tonem, zdając sobie doskonale sprawę, że Emuin pragnąłby gdzie indziej umieścić młodzieńca i położyć łapę na książce, którą książę teraz wyciągnął w stronę Tristena. Strażnicy, ludzie prości, lecz z pewnością nie tępi, puścili więźnia i młodzieniec wspiął się niecierpliwie na drugi i trzeci stopień. Cefwyn umyślnie trzymał książkę przy sobie, nie pochyliwszy się do przodu, tak aby Tristen musiał po nią wejść na podwyższenie. Obmyślił pułapkę; chociaż chłopiec położył rękę na książce, książę nie wypuszczał jej z dłoni, pragnąc porozmawiać z Tristenem w cztery oczy.

–Czy Gestaurien nauczył cię swojej sztuki? – zapytał cichym głosem niedocierającym do postronnych uszu. Z najbliższej odległości spojrzał na więźnia, na rzeczywistość brudnej skóry, zmierzwionych włosów i tych oczu pozbawionych barier. – Mów prawdę, Tristenie z Ynefel, jeśli oczekujesz u mnie gościny. Jesteś czarodziejem?

–Nie, panie.

–Co jest w tej książce?

–Powiedział, że powinienem ją przeczytać. Potrafię rozróżnić kilka liter, ale nie znam słów. A ty umiesz ją przeczytać, panie?

Zastawiacz sideł wpadł we własne wnyki... powagi i nadziei, z jaką nigdy u nikogo wcześniej się nie spotkał.

–Parę słów. – W rzeczywistości nie potrafił nawet tyle. – Zapewne Emuin wie więcej. Być może zechce cię nauczyć, jeżeli go poprosisz.

–Mam nadzieję, panie.

–Co ci powiedział Emuin?

–Powiedział, żebym przestał odpowiadać na pytania zadawane przez strażników. Kazał mi pójść za sobą, mówiąc, że zatroszczysz się o mnie.

–Doprawdy? – zerknął w stronę Emuina, który stał z rękoma włożonymi w rękawy, przypominając bajkowego kota w mleczarni. – A dlaczego to niby miałbym się o ciebie troszczyć?

–Chyba dlatego, że jesteś tu władcą, panie.

–No, skoro tak powiedział, cóż, to mnie do czegoś zobowiązuje, czyż nie tak, mistrzu Emuinie...? Musisz mu ufać, młody podróżniku. Tak samo, jak Idrysowi, który tam stoi, widzisz go?

–Idrys jest niezwykłym ponurakiem, człowiekiem nader niebezpiecznym. Ale jeśli cię polubi, no i jeśli ja tak rozkażę, nikt nigdy w tej sali nie podejdzie do ciebie na tyle blisko, aby ci zrobić krzywdę, rozumiesz mnie?

Tristen zerknął z ukosa na Idrysa, wcale nie wydając się pocieszony tym, co zobaczył.

–Tak, panie.

–To ci obiecuję. – Książkę oddał Tristenowi książkę i splótł palce na kolanach. – Idrysie, zaprowadź naszego gościa na górę. Amanie, dziękuję ci, a ty podziękuj ode mnie twemu kapitanowi za rozagę, jaką się wykazał, powiadamiając Emuina. Dobrej nocy, niech bogowie nad wami czuwają, wracajcie na posterunki, wszyscy. Ty zaś, Emuinie...

Emuin tymczasem, na podobieństwo ducha, zniknął już za otworzonymi bez pozwolenia drzwiami. Zatrzymał się jednak w pół kroku i wpłynął z powrotem do sali audiencyjnej, podczas gdy Idrys tymi samymi drzwiami wyprowadzał gościa i strażników; książkę na razie przestał o nich myśleć.

–Zakładam – powiedział, kiedy zatrzasnęły się drzwi, a w sali zostali tylko oni dwaj – że potrafisz odczytać co nieco z wiadomej książki.

–Proponuję jutro udać się na przejażdżkę.

Dawał tym samym do zrozumienia, że sprawa powinna zostać omówiona poza obrębem murów.

–Dzisiaj już ani słowa, stary mistrzu?

–Nie o tym.

–Ostrożność?

Emuin przemierzył salę od drzwi do podwyższenia, gdzie stanął, krzyżując ręce na piersi.

–Chcesz, żebym mówił jaśniej? Grozi ci niebezpieczeństwo.

–Mam się go lękać? – Oparł się wygodnie i rozstawił nogi, z premedytacją przyjmując postawę skupionego studenta. – Mistrzu Emuinie, raczysz żartować.

–Na bogów, nie udawaj przede mną uczniaka! Nie ścierpię, byś znów grał tę komedię. Doprawdy, obrażasz mnie!

–Ja obrażam ciebie, mój miły panie? Pobudka w środku nocy tudzież żadnej narady, a teraz ty czujesz się obrażony moimi decyzjami? Chowasz przede mną jakieś sekrety? Nie lubię, kiedy ktoś wodzi mnie za nos. – Stuknął butem o but. – Nie lubię, kiedy ktoś zmusza mnie do pośpiesznych wniosków lub udziela rady na drżącej, walącej się w gruzy krawędzi decyzji, nie lubię być pionkiem czyichkolwiek ambicji, których – podniósł palec, uśmierzając w zarodku słowa protestu – oczywiście bractwo terantynów nie posiada, ani ty w tym bractwie, ani też Idrys względem mnie, ani, na bogów, kapitan nocnej warty, jakichkolwiek względem kogokolwiek. A więc, przyznaję, jestem całkowicie skonfundowany, mistrzu Emuinie. Skąd się wzięła ta książka, skąd ta tajemniczość i alarm w środku nocy, którego nie słyszeli niektórzy z moich rozespanych dworzan?

–Ach, zatem dlatego byłeś taki rozrzutny, jeśli chodzi o gościnność. Aby pomieszać mi szyki...? A już myślałem, że omamił cię urok bijący od młodzieńca.

Słowa te ubodły księcia, ponieważ oznaczały, że Emuin właściwie zrozumiał wymowę tamtej chwili. Przyjął je jednak jako ostrzeżenie – również inni mogli dostrzec jego zauroczenie.

Musiał zadać sobie pytanie, co w istocie wtedy – i wciąż – czuł: afekt do nieznanego człowieka, młodzieńca powiązanego ponadto z czarodziejem wątpliwej reputacji i legendarnej wiekowości? Podczas przesłuchania miał przez chwilę wrażenie, iż jeden nierozważny krok może pozbawić go obecności gościa, a gdyby przypadkiem pozwolił mu

odejść, po wsze czasy będzie pamiętał, że stracił jedyne go przeznaczonego mu przez los przyjaciela.

To głupstwo. Spośród wszelkich ruchomości, jakie posiadał książę, ludzie byli najbardziej niestali i najłatwiejsi do wymiany. Gdyby tylko Emuin popadł w niełaskę, co czasami wydawało się nieuniknione, dwa tuziny aplikantów wychynęłoby spod żywopłotów o zachodzie słońca, kierując się do gabinetu Emuina i obiecując znosić zmienne humory księcia z bardziej filozoficznym spokojem.

Często to sobie powtarzał. Ale Emuin znał go, Emuin się go nie obawiał, a to – będąc wprowadzicie grzechem u kanclerza, którym ów mędrzec był na dworze w Guelemarze – stanowiło przymiot u prywatnego doradcy i konieczność u nauczyciela, kim Emuin wciąż był, kiedy „Jego Książęca Mość” chciał, żeby mu wytłumaczyć jakąś trudną lekcję.

A więc rysy twarzy odzwierciedliły fakt, że książęca fortuna została związana z tym bezgranicznie ufnym uczniem-znajdą czarodzieja?

–Nie potrzebuję go – zastrzegł się.

–Czyżbym kiedykolwiek powiedział, że go potrzebujesz?

–Za to potrzebna mi rada, mości szara opończo, udziel mi jej z twych ascetycznych i niebosiężnych wyżyn, ty, który bezsprzecznie górujesz nad rozwiązłymi śmiertelnikami. Kim jest ta istota, dlaczego pojawiła się w moich progach, dlaczego pośrodku mojej nocy, dlaczego przybywa zbrojna w okultystyczne księgi z niewiadomym złem i dlaczego wreszcie, w imię bezimiennego, podczas mojego urzędowania w Amefel? Mógł pójść do Elwynimów. Równie dobrze mógł pójść do Elwynimów. Na dobrą sprawę sam może być Elwynimem. Czy musiał dobijać się do mojej bramy, żebrząc o kolację? Przeklęte niech będzie takie szczęście, mości nauczycielu, jeśli w ogóle szczęście ma z tym coś wspólnego!

–Nie ma w nim przemocy – rzekł Emuin. – Spokojnie, Cefwynie. Jeszcze go nie rozgryzłem, ale mądrze byłoby traktować go pobłażliwie. Szczerze wątpię, czy to taka bezrozumna istota, za jaką uważają ją twoi ludzie. Krzyczał o Ynefel i o Maurylu. A twój strażnik w przystępie rozsądku powiadomił swego kapitana, który, po wtrąceniu chłopca do śmierdzącego i plugawego lochu, stał się niespokojny, zanim wypaliła się świeca, zbudził komendanta zmiany i wnet o wszystkim dowiedziało się dowództwo i Idrys. On z kolei wyrwał ze snu mnie, a ja, po krótkiej indagacji, ciebie. Przez cały czas, z wyjątkiem sprzeczeki ze strażnikami przy bramie, nie bronił się, słowem ani uczynkiem.

–Kim on jest?

–Według moich podejrzeń?

–Jestem skłonny przyjąć tve najbardziej ryzykowne i zaskakujące przypuszczenie.

–Formą Mauryła.

Forma była słowem o korzeniach wyrastających z mrocznych ruin i lasów... i raczej nie odwiedzała ludzi po domach, nie stawała u ich stóp, nie patrzyła im prosto w oczy.

Ale to tłumaczyło, pomyślał, czując ciarki na plecach, brak zmarszczek na twarzy, które w ciągu dwudziestu kilku lat życia powinny były się na niej wycisnąć. Mogła przybrać każdy wyraz – sam widział, jak w lot przechodzi ze skupionej w oszołomioną – lecz żaden nie pozostawał na dłużej. Tym przejawiała się owa jakże pociągająca niewinność.

Która teraz zmroziła mu krew w żyłach.

–Upiór z zaświatów.

–Umarli są źródłem dusz, jak mówią kroniki.

Wsparł podbródek na dłoni. Ogarnął go obezwładniający chłód, który przenika człowieka, gdy wstanie nagle z łóżka; mrowie przebiegło po jego ciele, jakby nie wiedział, co tak naprawdę czuje. Ta twarz nie była straszna. Nie była okrutna. Była – odniósł na koniec wrażenie – dziecięca.

–Czy takie istoty są złe, mości szara szato?

–Nie same w sobie.

–Dlaczego? – Ręka opadła ciężko na poręcz tronu. Obawiał się, ale nie o królestwo ani o gościa pod swoim dachem; lękiem przejął go fakt, że ów gość tak bardzo go poruszył.

Więcej niż poruszył. Z pewnością nie zaśnie dzisiaj. Wiedział, że przez kilka następnych nocy nie zaśnie spokojnym snem po zetknięciu się z tym przenikliwym spojrzeniem... i wysłuchaniu opinii Emuina.

–Dlaczego? – Emuin odpowiedział echem na jego pytanie. – Dlaczego co? Dlaczego Mauryl przywołał taką rzecz? Czy dlaczego przybyła tutaj?

–I jedno, i drugie. Czego chciał Mauryl Gestaurien, władca zamku pełnego myszy? Na co czekał ten starzec, mieszkając w takim miejscu, przecież Elwynimi chętnie by go przyjęli? Czego ta rzecz tu chce? I dlaczego pozwoliłeś mi użyć mu gościny?

–Wyraziłem tylko swoje przypuszczenia, Wasza Książęca Mość. Nic pewnego.

–Licho niech porwie twoje przypuszczenia, Emuinie! Jest to, czy też nie jest – człowiek? Mów, jestże to człowiek?

–Powiem tylko, że gdybym tyle wiedział w tej kwestii, ile zapewne wiedział Mauryl Gestaurien, sam byłbym wielce niebezpiecznym człowiekiem. Ja tylko przestrzegam, lecz

nic nie wiem na pewno.

–Doradziłeś mi, bym przyjął go pod swój dach, oddał mu tę przeklętą książkę i przydzielił komnatę tuż nad moim apartamentem...

–Przynajmniej – wtrącił Emuin – jeśli wzbije się w powietrze i zacznie fruwać po salach, jako pierwszy się o tym dowiesz.

Dalsze zwlekanie nie miało sensu. Niczego więcej Emuin nie był pewien, a przynajmniej niczego więcej nie zamierzał wyjawiać. Nadszedł czas na trzeźwe, bezpośrednie pytania.

–Cóż zatem radzisz? Odłóżmy na bok wzajemne oskarżenia. Mów, co mi radzisz, skoro go tak chętnie do mnie zaprosiłeś.

–Niech tu zostanie; traktuj go jak szlachetnie urodzonego, ale nie nadawaj całej sprawie rozgłosu. Są rzeczy, których nie potrzebuje on wiedzieć. Są też tacy, którzy nie muszą nic o nim wiedzieć. Poinformuj Jego Królewską Mość, jeśli to konieczne, ale nikogo więcej. Nikogo więcej. Surowym okiem oceniaj rozkazy Idrysa, nie pochwała on bowiem obecności naszego gościa.

–A co mam zrobić, racz mnie pouczyć, jeżeli młodzieniec zacznie fruwać?

Emuin spojrzął do góry spod swych białych brwi – z ukosa, ostrzegawczo, przypominając staremu uczniowi, że stary nauczyciel nie jest błaznem.

–Mauryl służył Ylesuinowi dla własnych korzyści. Czy w ogóle służył? No i dlaczego zwrócił się z taką zaciekłością przeciwko Sihhijczykom? Mauryl wciąż stanowi wielką zagadkę.

Mauryl samotnik; Mauryl nieprzekupny; Mauryl morderca własnych ziomków; Mauryl strażnik pokoju w marchiach na zachodzie. Relacje różniły się treścią. Niczego, jeśli chodzi o Mauryla, nie dało się przewidzieć.

Nie dało się w żadnej mierze przewidzieć również jego śmierci, jak też – co nie ulegało wątpliwości – ostatniego daru, jaki pozostawił. Jeśli rzeczywiście był to ostatni prezent, a nie źródło kolejnych prezentów wątpliwego pożytku.

Cefwyn z sykiem wypuścił powietrze z ust.

–Wróćmy do mojego pytania: jeśli zacznie fruwać albo przenikać przez ściany, co wtedy, do stu piorunów, powinniśmy z nim zrobić?

Emuin pochylił głowę w ironicznym geście poddaństwa.

–Teraz ty jesteś władcą tej prowincji, młody Cefwynie. Do ciebie należy powiedzieć „tak” lub „nie”. Ja tu jestem tylko po to, aby asystować.

–W tej sprawie, przysięgam, zamierzam skorzystać z twojej rady, Emuinie. Czego tu chce ta Forma?

–Jestem pewien, że nie mam pojęcia. – Emuin strzepnął niewidoczny kurz z rąk i ze swej szarej szaty. – Czas na mnie, muszę odprawić modły, Wasza Książęca Mość. Robię się stary, nie dla mnie już nocne rozrywki.

–Emuinie!

Emuin zatrzymał się u podnóża schodków i obejrzał za siebie z wyrazem twarzy ojca poirytowanego zachowaniem rozpieszczonego syna.

–Tak, Wasza Książęca Mość?

–To ty go tu przyprowadziłeś. Żądam jasnej odpowiedzi. Co reprezentuje sobą taka Forma, do czego jest zdolna i co mamy z nią zrobić?

–Ach, nie, nie, nie – odparł Emuin cicho. – To nie ja go tu przyprowadziłem. Wygnaj tę myśl ze swoich rozważań, mój książę. On tu przyszedł z własnej woli. Sam nie ma pojęcia, czym jest, a i ja się nie domyślam. Jeśli nie chcemy narazić się na jakieś niebezpieczeństwo, lepiej dobrze się z nim obchodźmy.

–Czy już swoją osobą stanowi zagrożenie?

–Wiem tyle, co ty, mój młody książę. – Emuin po raz wtóry odwrócił się plecami do Cefwyna, na co nie ośmieliłby się żaden trzeźwy człowiek w mieście Henas'amef, po czym odszedł spokojnym krokiem, traktując swego księcia jak ucznia, którym ten był niegdyś. – Muszę się pomodlić, a potem do łóżka. Cierpliwie czekajmy na wyjaśnienie zagadki; siłą nic żeśmy nie wskórali. Tak, tak, młodzieniec być może jest bardzo niebezpieczny, podobnie jak Mauryl był bardzo niebezpieczny. Zdobądź jego miłość, Cefwynie. Jest to, gdy się chce obłaskawić niebezpieczną istotę, zawsze najmądrzejsza metoda.

–Emuinie.

Drzwi się zamknęły. Cefwyn zaklął, zszedł, tupiąc, z podwyższenia, pełnym godności krokiem wyszedł z sali i ruszył poprzez tłum skonsternowanych żołnierzy, z roztropną gorliwością, ustępującym z drogi zagniewanemu władcy.

Zdażył już pokonać kilka stopni prowadzących do jego apartamentu w zachodnim skrzydle, gdy zdał sobie sprawę, że – na skutek zamieszania, w którym żołnierze rzucali komendy i wyznaczali sobie posterunki – żaden z gwardzistów nie ruszył za nim, Idrys znajdował się wraz z więźniem na najwyższym piętrze, a on sam pozostał bez ochrony. Żaden książę Ylesuinu nigdy nie spacerował samotnie, a w progu sypialni zawsze musiała czuwać stać.

–Kerdinie! – zawołał do jednego z kapitanów na dole. – Będziesz mi służył. Do mnie!

Kiedy żołnierz dobrał pośpiesznie gwardzistów i ruszył za swoim panem, Cefwyn odwrócił się i wspiął z godnością na swoje piętro, potem doszedł do właściwego korytarza i wreszcie do komnat, gdzie – ze szczękiem i wojskowym tupaniem – pokaźna liczba gwardzistów dokonywała zmiany warty przed jego foyer. Niczym burza przeleciał przez dwoiste drzwi, kierując się ku wejściu do sypialni, do wzburzonego łóżka, nad którym wciąż unosił się zapach piżma, ożywiający wspomnienia o bliźniaczkach.

Zatrzasnął za sobą ostatnie z drzwi, szukając nieosiągalnej prywatności. Piżmo śmierdziało równie wstrętnie, jak więzienna słoma. Zdjął płaszcz i buty, spustoszył łóżko, rozrzucając prześcieradła na wszystkie strony w przyływie histerycznej złości, po czym położył się na wznak na gołych materacach, nie zamierzając ściągać reszty ubrania.

Dopalała się świeca. Na chwilę rozbłysła żywszym blaskiem, po czym zaczęła przygasać w serii nieregularnych prychnięć i syków. Cefwyn leżał z rękoma podłożonymi pod głowę i z oczyma utkwionymi w malowidło na suficie. Serce jego rwało się do walki, nie do snu.

Jakże mógł zasnąć, skoro piętro wyżej przebywała ta dziwna istota?

Czarodziejstwo. Przyzywanie. Formy. Nieczytelne książki okultystyczne. Tutaj, w Amefel, każda wioska miała swego czarownika-szarlatana, który za pomocą szachrajstwa, zwinnej ręki lub – czasem dość przekonujących – uzdrowień bywała podtrzymywał amefińską tradycję znachorstwa i nieszkodliwego na ogół zielarstwa, na co apostołowie zakorzenionej wiary w bryalt przymykali oko. Otrucia przez tych uzdrawiaczy były zazwyczaj przypadkowe, sporadycznych przekleństw lub wyleczeń nie dało się udokumentować, a talizmany z cyny i srebra nazbyt często wystawiano w oknach lub oddawano rysunkiem na owczych dzwonek, aby uważać je za obrazę moralności i zagrożenie dla publicznego dobra.

Lecz wyższą magię, czarnoksięską sztukę Starego Królestwa, Marhanen wytępił, raz na zawsze zatrzasnął wieko tej skrzyni okropności, wieńcząc upadek Sihhijczyków i koniec Althalen.

Jego własna dynastia, Marhanenowie, skorzystała ongi z pomocy Mauryła, aby zdobyć tron. Cóż, ten rodzinny dług sięgał korzeniami w zamierzchłą przeszłość, dwa długie pokolenia wstecz; pamięć o nim żyła po dziś dzień, o ile było mu wiadome, jedynie w umysłach Mauryła Gestauriena, Emuina i diuka Lanfarnesse, znanego z przesadnych opowieści; prócz nich pamiętali o nim co poniektórzy ojczulkowie na wsi, z wiekiem coraz mniej wiarygodni, których szeregi szybko się wykruszały. Czarodziej... no tak, nawet Emuin mógł uchodzić za takowego, i to za znawcę Starej Magii; Emuin wyrzekł się jednak sztuki czarnoksięskiej, by przywdziać szare szaty świętego zakonu.

Jeśli chodzi o Mauryła Gestauriena, ponoć najpotężniejszego z żywych magów, odsunął się on od świata, żeby uprawiać kapustę lub – bogowie brońcie! – przyzywać błędne duchy, kiedy już stare sihhijskie siedziby w Althalen zamieniły się w ruinę. Od setek lat, Ynefel była siedliskiem sów i myszy, niczym więcej, a jej straszne mury podsycaly legendy krążące

wzdłuż granicy. Mauryl nigdy nie odwiedził ani dworu w Amefel, ani królewskiego pałacu w Guelemarze, choćby po to, aby odnowić przyrzeczenia wobec marhaneriskich królów. Nic dziwnego, że nikt nie zaprzętał sobie głowy poczynaniami starca, z wyjątkiem żeglarzy z Olmernu.

Większy jednak niepokój od talizmanów i owczych dzwonek wzbudzał zwyczaj palenia w czas żniw słomianych kukieł przez okolicznych wieśniaków – pozostałość po dawnych, krwawych obrzędach; pomimo zakazu uprawiania sztuki czarnoksięskiej na ziemiach podległych władzy Marhanenów, sihhijka gwiazda, ociekając świeżą farbą, uparcie pojawiała się na skałkach będących nieodłącznym elementem amefińskiego krajobrazu.

Stare monety ze srebra i miedzi z tym wyrytym znakiem Amefińczycy wieszali na szyjach w charakterze amuletów, nie zważając na prawo ustanowione przez króla i zakazy quinaltyńskich kapłanów. Nawet tu, w Henasamef, wieśniacy sprzedawali podobne fetysze, i to otwarcie, na jarmarkach, wespół z innymi, straszniejszymi talizmanami, podobno wykonywanymi z kości składanych w ofierze ludzi.

Kto wie, czy nie ostały się tu i ówdzie wśród ustroni i splątanych wzgórz Amefel miejsca, gdzie jawnie czciło się Dziewięciu: nie dalej jak przed miesiącem gueleński patrol natknął się w prastarej kapliczce niedaleko Ansford na półmisek z czymś szkodliwym, czerwonym i tylko w niewielkim stopniu wyschniętym. Wystarczyły konie i mocne liny, ażeby rozsunąć stare kamienie i rozrzucić je po okolicy, co rokowało nadzieje na zniechęcenie okolicznych mieszkańców do dokonywania w tym miejscu tradycyjnych obrzędów. Potrzebni wszak byli – co świadczyło o tym, jak przedstawiają się sprawy w Amefel – gueleńscy żołnierze, aby przeprowadzić rozbiórkę. Amefińczycy, nawet ci strzegący bram Henas'amef, nie chcieli przyłożyć do tego ręki.

Cefwyn przewracał się z boku na bok, przeklinał całą zacofaną prowincję, życząc podobnej wizyty swemu bratu, Efanorowi, rezydującemu na dostatnim dworze w Llymarynie (ulubiony syn ojca, myślał o nim Cefwyn z goryczą), nie zmuszonego do cierpień na tym zesłaniu, na tym utrapionym, czarodziejskim pograniczu, gdzie zamachowcy czaili się na ulicach, a w winie można było spodziewać się trucizny.

W winie darowanym przez uśmiechniętych panów i damy amefińskiego dworu, którzy podczas uroczystości państwowych zasiadali po drugiej stronie stołu i bardzo żalowali, że nie biesiadują z łagodnym Efanorem, sprawiedliwym Efanorem, „odległym” Efanorem, bezpośrednim następcą marhaneńskiego tronu.

Albo też żalowali, iż nie mogą zasiąść do wieczerzy w towarzystwie mieszkańców leżącej za rzeką wrogiej krainy Elwynor, którą niegdyś, wespół z Amefel i większością dzisiejszych ziem Ylesuinu, władali sihhijscy monarchowie. Dziewięć wyblakłych czaszek ku ozdobie południowej bramy Zeide (uzyskała dzięki temu nowe, ponure miano) i dwunastu gueleńskich gwardzistów zabitych w jego obronie stanowiło Elwynimski wkład w spokój ducha Cefwyna.

Mauryl Gestaurien panował nad ziemią będącą pomostem między starym i nowym porządkiem, wierny starym i nowym zwyczajom – sługa, jak niektórzy utrzymywali, pierwszego sihhijskiego lorda, który obalił galasjeńską dynastię; ów kłopotliwy i wciąż nieobecny sługa Marhanena, zdetronizował z kolei ostatniego sihhijskiego króla.

A teraz Mauryl nie żył – tak należało wnosić z relacji młodzieńca. Nie żył. A przynajmniej został wmurowany.

Co mogło zabić takiego człowieka w tak straszny i nienaturalny sposób?

Jeśli wierzyć młodzieńcowi, który wydawał się odpowiadać szczerze na pytania, wieść, jakoby magia zdławiła Mauryla Gestauriena, była bardziej niż złowieszcza, sugerowała, iż w ruinach Althalen wciąż tłą się popioły dawnej sztuki, a czarny kunszt, który oglądały tylko nieliczne oczy, nie stanowi jedynie treści wieśniaczych bajek i zagadek mędrców. Sam Emuin, tak młody, jak młody mógł być uczeń Mauryla, widział upadek Althalen, a Mauryl już wtedy miał sporo lat na karku, nawet, jeśli był ostatnim ze swej linii – i nie o wiele, wiele starszym, jak twierdzili wieśniacy i jak Emuin czasami sugerował. Mauryl nie był Sihhijczykiem, lecz czystej krwi Galasjenem, rodzonym mieszkańcem zagubionego Galasjen, ostatnim z jego baśniowych budowniczych – tak mówiły podania.

Podania mówiły również, że Mauryl służył Sihhijczykom od czasu panowania wiedzminiego lorda Barrakketha aż po ich upadek wraz ze śmiercią Elfwyna, by potem opuścić swych panów za przewinienia zrozumiałe wyłącznie dla czarodziejów.

Czarodziejów pokroju Emuina, nie chcących się jednak nad tym rozwodzić, którzy, jak głosiły legendy, wkrótce po tamtej strasznej nocy powiększyli szeregi świętych zakonników.

Co rozmijało się z prawdą. Nawet on mógł zadać temu kłam: Emuin w cichości oddawał się swej sztuce i przebywał na dworze w Guelessarze przez dziesięć lat swego młodego życia, a dopiero niedawno przyoblekł się w szare szaty religijnego bractwa... Z taką skwapliwością jednak amefińscy bardowie brali sobie do serca treść legend i przekazów, że lata pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami, spośród których większość zaszła w Amefel, nic dla nich nie znaczyły: liczyło się jedynie to, aby spełniły się ich oczekiwania. Jeśli prawda nie spełniała oczekiwań, no cóż – zawsze można było ją odrzucić.

Na bogów, tę nową prawdę przyjmą z niemałym poruszeniem.

Mauryl nie żyje. A ów... ów pustooki młodzieniec zjawia się zamiast niego... Wnet zaczął krążyć pogłoski. Wartownicy przy bramie wymieniają się plotkami z kompanami z miasta, strażnicy miejscy pogadają z piekarzem i rzeźnikiem, ci z kolei z młynarzem i świniarzami, a potem wieść ponad polami poniesie się do wioski, na wzgórze, do Elwynimów zarzeka i do Olmernu, którego mieszkańcy zaopatrywali wieżę w mąkę; później wieść ta powróci. Kiedy już odbędzie trzecią podróż, okaże się, że Mauryl spłonął w czarodziejskim ogniu, Mauryl zamienił siebie samego w kamień, Mauryl rzucił zaklęcie na ruiny wieży, by uwięziła

każdego głupca, który ośmieli się do niej wtargnąć, Mauryl rozbudził wreszcie kohorty umarłych...

Mauryl przysłał tego młodzieńca...

Po co? Z jakiego powodu, w imię bogów, Mauryl przysłał tę istotę wyglądającą tak niewinnie, i to do niego? Do niego, a przecież wszystkie legendarne interwencje Mauryla zapowiadały upadek królów, którym służył.

Świeca zaczęła topić się i migotać, a sufit – szarzeć w kątach. Cefwyn potoczył się na bok i uratował płomyk, strząsając wosk, tak, że świeca rozbłysła świeżym blaskiem, a wosk zaczął zbierać się w kałuży i schnąć na marmurowym blacie stolika. Książę bał się rozmyślać w ciemności, a sen, jak wcześniej przewidział, uciekł od niego na dobre.

W małej, tajemnej kapliczce, ukrytej wewnątrz świątyni bryaltynów, na niskiej ławce, ze splecionymi palcami i zroszonym od potu czołem, siedział Emuin.

Myślami odbiegał uparcie od głównego toru medytacji, w której był pogrążony, a domysły osaczały jego świadomość niczym wilki polujące w mroku duszonym niejako przez blask świec. Znajdował się w kamiennej niszy; zwarte mury wokoło zawierały więcej takich nisz, a każdą z nich poświęcono innemu bogu, gdyż w przybytku tym ścierały się różnorakie wierzenia. Był odizolowany, otoczony ciszą i innymi modlitwami, które powinny uczynić go niepodatnym na strach i wpływ czarodziejskich mocy. Zacisnął dłonie i odmówił na głos starożytną formułę, usiłując opanować chaos myśli, który stał się nagle wielce niebezpieczny, gdyż pobłazał zgubnej nieostrożności.

Mauryl, Mauryl, Mauryl, brzęczało mu w uszach; nie spodziewał się nigdy, że tak wielka żalność ogarnie go po stracie tego starego grzesznika; na chwilę, wbrew świecom płonącym tuż przed nim na ołtarzu, w kaplicy zapadły niemal zupełne ciemności, tak sroga rozpacz targała jego duszą.

A więc jestem ostatnim, pomyślał, próbując odkryć osobiste, prawdziwe znaczenie śmierci Mauryla. Nieuniknionym owocem tych rozmyślań było to drugie imię: Hasufin.

Pot zaczął spływać ze skroni, a ręka sięgnęła ku terantyńskiemu medalionowi na piersi, odlanemu ze srebra, które – czy to chłodne, czy gorące – zawsze zdawało się parzyć dłonie. Otworzył oczy i spojrzał na zapalone przez siebie świece, ułożone wewnątrz owej prywatnej kaplicy w pewnym układzie o zatartej już nawet w Amefel wymowie, aczkolwiek początki tej prowincji sięgały korzeniami w zamierzchną przeszłość. Jasnym, gorącym płomieniem płonęło trzydzieści osiem świec – zalewały światłem wspomnienie morderstwa i ciężkim zapachem wonnego wosku tłumili woń krwi.

Lata płynęły jak rzeka. Płynęły między palcami, kiedy jako młodzieniec zaciskał pięść, a potem nagle był stary, ludzie kołatali do jego drzwi w nocy, aby pokazać mu młodego człowieka, którego sama obecność dowodziła olbrzymich, niedościgłych umiejętności

Mauryla – wiedzy, jakiej nie dostał przed nim żaden czarodziej, nie licząc ohydy Hasufina dokonanej w Althalen. Mauryl wykonał chłopca, stworzył go. Zawezwał.

Nie zwierzywszy się nikomu ze swoich planów. Nie prosząc o pomoc.

Ale czy Mauryl Gestaurien prosił kiedykolwiek o pomoc Emuina?

Tylko raz.

Niech będzie przeklęty! Emuin wstrzymał oddech i zdusił w sobie gniew, roztropnie dając się ponieść przejmującej dreszczem trwodze. Jeszcze teraz odczuwał strach przed napadami dzikiego szału starca. Strach przed potęgą starca. Strach przed głębokimi i niezbadanymi tajemnicami starca, dotyczącymi jego przeszłości, teraźniejszości oraz ambicji.

Strach... biorąc pod uwagę stan umysłu młodzieńca, a właściwie pustkę w nim panującą. Strach przed jego niewinnością, bezmyślną ufnością. Strach, że Mauryl mógł ponieść fiasko przy swej ostatecznej, być może zabójczej próbie Uformowania owej istoty, by potem – w ostatnim i okrutnym akcie cynizmu – wręczyć mu ów skażony dar.

Niech będzie po dwakroć przeklęty!

Mauryl opuścił ten świat. Wprost nie do wiary!

Tak trzeba, szepnął Mauryl owej nocy, trzy pokolenia wcześniej wedle rachuby ludzi.

Zniszcz jego ciało. Pochwyć go w sidła, kiedy będzie wędrował. Niech się błąka na wieki. W walce z nim to nasza jedyna szansa.

O bogowie, jak to się stało, że posłuchał wtedy Mauryla? Jak to się stało, że przełamał zaklęcia broniące tamtej komnaty i śpiącego dziecka, niosąc nóż, którego ostrze powinno uderzyć w rękę nim władającą?

Na razie przytrzymam go w innym miejscu, rzekł wówczas Mauryl. Tylko się pośpiesz... i nie okazuj lęku. On nie jest dzieckiem, na jakie wygląda. On nie jest dzieckiem, pamiętaj. Nie jest nim od dziewięciuset lat. Hasufin to imię ducha. Dziecko umarło czternaście lat temu. Przy narodzinach.

Ciało zawierało tak wiele krwi, tak wiele krwi. Nie przypuszczał wcześniej, że tryśnie na ściany, popłami mu szaty i twarz. Nie przypuszczał też wcześniej, jakiego dozna uczucia, gdy będzie wysychała na jego skórze podczas długiej nocy naznaczonej zabójstwem i płomieniami, podczas nocy oczekiwania na Mauryla mającego uratować go z pękających sal zamku, nie wiedząc przy tym, czy demoniczna dusza rzeczywiście została przegnana, czy też, uwolniona tylko z pęt, towarzyszy mu w komnacie.

Odejdź, ruszaj w drogę, nakazał mu później Mauryl. Nie mieszaj się więcej do tych spraw,

człowieku nękany wątpliwościami. Wątp sobie gdzie indziej. Wątp za tych, co są zbyt pewni siebie, a nigdy nie zabraknie ci zajęcia.

Upiór ten, przysięgał Mauryl, powrócił do prastarego grobu, rozproszony, zdruzgotany i pokonany, aczkolwiek wkrótce się okazało, że jeszcze niezniszczony. Mauryl zajął wieżę zagubionych dusz i sihijskiej magii, przez dziesięciolecia opierając się temu rozwścieczonemu, niszczycielskiemu duchowi.

Naonczas się wydawało, że wieża jest nie do zdobycia. Że dzieło zostało uwieńczone sukcesem, a pomoc – przynajmniej Emuina – jest już zbyteczna. Mauryl nie chciał powierzyć mu opieki nad straszną wieżą, a i on nigdy nie złożył podobnej oferty. Mauryl nie powołał go do dalszej nauki. Chociaż Emuin był posłuszny i przetrwał to, co zgubiło wszystkich jego poprzedników, Mauryl odprawił go bez ogródek, każąc mu wieść spokojne, przyzwoite życie i strzec swej duszy wszelkimi możliwymi sposobami.

Nie będę cię już wzywał, powiedział Mauryl. Koniec z nami. Nie przyjmę więcej uczniów. Wystarczy już głupstw w tym pokoleniu.

W tym pokoleniu. W tym pokoleniu i podczas dwóch następnych. Emuin ukrywał prawdę przed dwoma królami z dynastii Marhanenów i uczył ich spadkobiercę... osiągając zarówno mniej, jak i więcej od tego, czego oczekiwał.

Wstał ociężale z ławki, kulejąc na skutek bólów i sztywności starczego wieku, by na tuzin uderzeń serca zamrzeć w głębokiej zadumie. Przejechał wzdłuż warg sękatą dłońią, przenosząc się myślą to tu, to tam, zbaczając z wyznaczonej przez medytację i sumienie ścieżki, która miała zaprowadzić go do zbawienia.

Nie dam rady, pomyślał, wzdragając się przed odpowiedzialnością, podobnie jak wzdragał się tamtej nocy, kiedy Althalen legł w gruzach. Mauryl zrugął go za jego skrupuły. Nazwał tchórzem. I polegał na nim, gdyż nie miał pod ręką nikogo dość głupiego, a zarazem wprawnego w magii, kto mógłby wtargnąć do strzeżonej komnaty, podczas gdy on sam walczył za pomocą mniej materialnych środków.

I po tym wszystkim Mauryl przystępuje do tworzenia Formy, nie radząc się go i nie prosząc o pomoc. Teraz Mauryl nie żyje, a efektem całej jego pracy jest ten ułomny, nieszczęsny młodzieniec, osaczony niebezpieczeństwami i bezradny. I Mauryl miał czelność posyłać ów zdeformowany i podatny na ciosy owoc własnego szaleństwa jemu pod opiekę?

Gdzież w jego kalkulacjach podział się Emuin – tchórz? Co się stało z pogardliwą radą, by ratował duszę, zarzucając czarną magię dla pobożnej samoobrony?

A może chciał go zachować na tę właśnie godzinę? Czyżby tak rozumował Mauryl?

Niezauważony, z dala od waśni i wojen, marnując swą młodość i czas na ascetyczne medytacje, uważając, by nie przemienić się w kogoś, kim (gdyby mu dano wolną rękę)

mógłby zostać, tracąc lata, zamiast dodawać je do swego życia – czyżby czekał, póki Mauryl nie podejmie decyzji?

I Mauryl mu nigdy o tym nie powiedział?

Pokuśtykał ku drzwiom, gdzie mógł zażyć świeższego powietrza, wolno oddychając.

Dokuczał mu ból w piersi, pojawiający się zwykle w momentach uniesień i wysiłku. Tego roku czuł go znacznie częściej.

To śmiertelność, pomyślał. Równie dobrze mógłby żyć całe stulecie dłużej, a nawet osiągnąć baśniowy wiek Mauryla, gdyby nie wyrzekł się swej sztuki, i to w zamian za co? Za sławną, acz bezpostaciową nieśmiertelność – nieśmiertelność kapłana – której kapłani nie potrafią opisać w konkretnych słowach, nie potrafią jej stworzyć ani bodaj częściowo udowodnić? Wściekłość z powodu zmarnowanego życia przejmowała strachem. Jego wątpliwości szydziły ze wszystkich lat świadomej i z rozmysłem obranej ascezy. Wątpliwości wzmagaly gniew, dawały impuls do działania i rozgrzeszały z każdej decyzji, jaką kiedykolwiek podjął.

Ciągle się odwracasz plecami? – słyszał głos Mauryla. – Wciąż uciekasz, chłopcze?

Nadal trzymasz rękę na klamce, chłopcze, i boisz się otworzyć drzwi?

Niemniej jednak od owej pamiętnej nocy magia stanowiła dlań zagrożenie, zagrożenie wprost nieznośne. Wolał o nim nie rozmyślać, wiedząc, że skąpał się we krwi, zawiódł pokładane w nim zaufanie, przeszedł przez progi, za którymi mógł znaleźć dostęp do mroczniejszej i złośliwszej magii, o jakiej nawet nie chciał myśleć – do czarnej sztuki i wiekuistego potępienia.

Jego słabością była własna siła, jego słabością była zarazem własna wiedza. To przed nimi schronił się u terantynów w poszukiwaniu łagodniejszych dogmatów.

Wśród nich odnalazł wyznawców łączących swe nadzieje z rzeczami delikatniejszej natury. Zaiste wyznawców. Niekwestionujących wyznawców, którym wydawało się, że kwestionują wszystko; głuchych wyznawców, którzy nie słyszeli niczego, co by w bodaj najmniejszym stopniu przeczyło prawidłom ich świętej krucjaty, mającej na celu zdobycie zbawienia, jakiego istnienie założyli. Jeśli coś podważało ich nauki – cóż, należało to zignorować. Jeśli coś im zagrażało – było nierealne. Wszystko, co usiłowało zachwiać ich pewność siebie, dla prawdziwie zdeterminowanych wyznawców nie miało uzasadnienia.

A teraz pojawiło się to – świadectwo Mauryla na możliwość dostępu do dusz, które odeszły, na potęgę, której istnieniu przeczyli terantyni.

Pojawiło się – budząc wspomnienia koszmaru, który zagnieździł się w Althalen, ruinie ostatniego przyczółka Starych Czasów, błyszczącego ongi po tej stronie Lenalimu,

wspomnienia śmierci jedynego adepta magii spośród uczniów Mauryła, mającego szansę na osiągnięcie prawdziwej wielkości... mogącego, gdyby żył – jeśli wierzyć obietnicom wciąż nawiedzającym sny co poniektórych – przywrócić chwałę zagubionego Galasjen i zniweczyć siłę zaklęć Sihhijczyków.

Hasufin stałby się – na tyle, na ile terantyni wyobrażali sobie taką potęgę – bogiem.

Ze względu jednak na wątpliwości ci, którzy, poprzez Hasufina, mogli odziedziczyć Starą Magię – zamordowali dawnego ucznia Mauryła i nałożyli nań więzy drugiej śmierci: przynajmniej w takim przekonaniu utwierdził ich Mauryl. Drugiej śmierci, ponieważ Hasufin nie był tym pogodnym, uprzejmym dzieckiem, na jakie wyglądał, przebywającym na świecie zaledwie od czternastu lat, i z pewnością nie był młodym bratem sihhijskiego króla. Zginęli, wszyscy czarodzieje z Althalen, wszyscy prócz niego i Mauryła, w tym desperackim ataku na magię Hasufina, podczas gdy Marhanenowie biegali po salach z mieczami i pochodniami.

Wszyscy czarodzieje polegli, z wyjątkiem jego i Mauryła, który rozstał się z nim wkrótce potem, nazywając go tchórzem.

Jego – tchórzem. Wciąż drżał na wspomnienie tamtej zniewagi.

Dowiedzieć się... czym jest ta Forma. Dowiedzieć się czegoś o niewinności tego tułacza napiętnowanego pieczęcią Mauryła, dowiedzieć się tego z książki, w której rozpoznał dotyk czarodzieja.

Uczuł przejmujący chłód, jakkolwiek świece paliły się jasnym płomieniem. Odwrócił się od drzwi i zwalczył w sobie narastającą panikę, nakazującą ucieczkę od odpowiedzialności, szukanie schronienia w kaplicy w Anwyfarze, między pobożnymi, skromnymi terantynami, gdzie mógł oddać się, przynajmniej pozornie, hymnom i litaniom.

Dlaczego? – nurtowało go podstawowe pytanie. Ponieważ Mauryl wiedział, że umiera? Ponieważ w jakiś sposób to, co niegdyś złapali w pułapkę i przegnali, znalazło Miejsce, którym weszło z powrotem i o którym ci, co go pojмали, nie mieli pojęcia?

Naszła go pokusa: można było zdobyć te odpowiedzi. Potrafił jeszcze sięgać umysłem ku odległym stronom; sztuki tej, raz opanowanej, czarodziej nigdy nie zapominał. Wydawało mu się czymś rozsądnym, a nawet uzasadnionym koniecznością, spojrzenie, choćby przelotne, na Ynefel, gdzie nie ośmiewał się zapuszczać żaden z patroli Cefwyna; chciał sprawdzić, czy jakiś człowiek maczał palce w tym... rozbudzeniu starej, starej groźby.

Z przerażającą łatwością zdołał wyruszyć w tę krótką podróż, odpłynąć w dal...

Członkowie bractwa w dawnym Althalen nie ograniczali się jedynie do tworzenia iluzji. Nie był najsłabszym z uczeni Mauryła, a tylko – na pewien czas, jedynie na pewien czas po tamtej strasznej i krwawej nocy – ostatnim.

Wędrował coraz dalej i dalej, poprzez szarobiałą przestrzeń.

Potem wycofał się z drzeniem; wciąż miał przed oczyma błysk oślepiającego światła, dręczyło go wspomnienie czegoś nader znajomego, nader kuszącego – ostatecznego sięgnięcia po władzę, wpiersz po to, aby rządzić tymi, co władzy nie mają, a następnie, by współzawodniczyć o jeszcze większą władzę, silniejszy przeciwko słabszemu, zaspokajając ambicje bogów...

Podniósł do ust terantyński krążek, włożył go między ręce, usiłując w medytacji znaleźć spokój ducha. Umysł jego nazbyt był potężny, by trwonić go na rytualne banały i nieskończone powtarzanie modlitw. Z tejże przyczyny znalazł się w kręgu tajemniczego niegdyś bractwa terantynów: nie szukał pociechy w panteonie, który w większej części składał się z tych samych bóstw, jakim hołd składali quinaltyni; znajdował raczej upodobanie w ich skomplikowanych, zawiłych i wymagających wtajemniczenia modeli medytacji, której istotę stanowiło błaganie, poprzez zawiłe formuły, wszystkich bogów naraz, tak, aby żaden nie został zaniedbany.

Komuś, kto nie wierzył w sprowadzonych przez Gueleńczyków nowych bogów, zakon wydał się czymś bardzo atrakcyjnym. Komuś, kto nie do końca porzucił bogów swej młodości i swojej sztuki – zapewniał spokój i stabilność w świecie uważanym przez nich za niepewny i chwiejny.

Obecnie, ze względu na to, czego się dowiedział, i ze względu na strach przed owocem prac Mauryła, medytacje budziły w nim zarówno lęk, jak i wyzwalały magiczne moce, o których terantynom nawet się nie śniło.

Częstokroć w modlitwach zwracał się do Starych, do Dziewiętnastu, szukając odpowiedzi na pytania mogące przerazić nawet wyrozumiałych terantynów: aby nie zranić ich uczuć, wolał im nie tłumaczyć, że sihijska ikona, dla której – nie stroniąc od przekupstwa – wyprosił cichą wyrozumiałość (pomimo że podobna znajdowała się w bryaltyńskiej świątyni), nie jest jedynie hołdem dla idei. Nie wspominał również, że sihijska gwiazda jest starsza od samych Sihijczyków, niepotrzebujących bogów. Podczas modlitw nigdy nie wymawiał na głos Starych imion. Poświęcił się złożonym i wielowątkowym rytuałom o założeniach, które urodzeni na wschodzie terantyni, sroki wszystkich religii, przywłaszczyli sobie od wychowanych na zachodzie Amefińczyków. Czasami wprowadzał do sposobu medytowania innowacje nie będące w istocie innowacjami, metodykę wraz z ćwiczeniami na koncentrację, które z jego pisemnych zaleceń przenikały do praktyki ortodoksyjnych terantynów na obszarze całego Ylesuinu. Bryaltyni byli wyłącznie Amefińczykami, heretykami w mniemaniu quinaltynów, praktykowali niebezpieczne medytacje i kolekcjonowali bogów jak talizmany, gdyż bali się utracić wsparcie któregośkolwiek z nich. Dzięki terantynom, pogrążonym w sprawach duchowych i w znacznie mniejszym stopniu zainteresowanym nawracaniem, zdobył poważanie na królewskim dworze i miał wygodne życie: w owym zakonie, cieszącym się patronatem Marhanenów, pozwalano inteligentnym ludziom myśleć.

W samym bractwie darzono go szacunkiem, a terantyńskie obrządki wciąż się rozwijały, adaptując coraz to większą ilość relikwów galasjeńskich wierzeń, co było jego osobistym dziełem.

Sądził, że powinien mieć głębokie poczucie winy ze względu na te domieszki, gdyż terantyni byli niewinnym produktem nowej epoki, w przeciwieństwie do niego; jak dotąd jednak uważał zapożyczenia z galasjeńskich praktyk za błahostki, źródło nostalgicznych myśli, niezdolne wyrządzić bractwu krzywdę czy przyczynić się do waśni z quinaltynami – był nader ostrożny, a swymi argumentami dowodził gruntownej wiedzy o przekonaniach quinaltynów. Pielęgnował swoje drobne dewiacje, uważając je za ostatnie ogniwo łączące świat ze Starym Porządkiem, aby ochronić nowe czasy spuścizną po dawnych obrządkach, cichymi i zapobiegawczymi darami, takimi jak to sanktuarium, wzniesione dzięki jego darowiźnie w obliczu zmian i prześladowań. Świece tu nigdy nie gasły podczas jego nieobecności, przez te wszystkie lata, w dzień i w nocy. Podtrzymywały – dosłownie – światło sztuki czarnoksięskiej w tym starożytnym kraju: na swój nikły sposób wzmacniały zasieki i bariery, których czarna magia nigdy nie porzuciła, ani za dominacji Sihhij-czyków, ani za panowania Marhanenów, a przecież okres trwania tych dwóch rządów wynosił, niemal dokładnie, tysiąc lat.

Emuin zacisnął sękatę dłoń. Z jakąż łatwością mógłby, gdyby tylko zechciał, pogрузić się w myślach o dawnych czasach, co nietrudno przychodziło czarodziejom raz wprawionym w tej sztuce. Bardzo stary i na wskroś zły, Hasufin był niegdyś w Galasjen uczniem Mauryła; dziewięć stuleci wcześniej chciał zaprowadzić swą władzę, a teraz powrócił z grobu, aby ją zagarnąć; wciąż należało wierzyć temu, co Mauryl im powiedział, że nie mieli dość sił, żaden z wychowanków Mauryła, aby pokusić się o zniszczenie czarownika, który był w stanie przywrócić do życia zapomnianą sztukę i opromienić ją minioną chwałą – a potem rzucić przed nimi świat na kolana.

Powstrzymywanie się od władzy, pomyślał, wpatrzony w ośmioramienną gwiazdę błyszczącą na gzymsie ołtarza, to najbardziej pożyteczna umiejętność, jaką nabyłem w ciągu tych wszystkich lat. Mauryl z pewnością by nas nie okłamał. Wierzę w to. A jednak...

Wątpliwości są moją jedyną obroną, jedyną skuteczną zaporą przeciwko bezdyskusyjnym ciemnościom. Cały jestem okryty szarością. Najbezpieczniej i najrozsądniej byłoby teraz schronić się w Anwyfarze, gdzie nie miałbym nic wspólnego, bez względu na skutki, z tym tworem Mauryła.

Wkrótce umrę – wkrótce, przynajmniej, zgodnie z rachubą ludzi. Zadbalem o swoją duszę. Nie muszę wystawiać jej na próbę w służbie Mauryła. Nie muszę spełniać jego zamysłów, występować przeciwko jego wrogowi, przedwiecznemu – nie znanemu w mojej epoce. Jak on śmiał? Jak śmiał mi to zrobić?

Emuin pomyślał o swoich uczniach, o Cefwynie i innych, dużo młodszych, nierozumiejących sensu dokonanych przezeń czynów, bezbronnych wobec nieprzyjaciela, którego wychował

sam Mauryl, a przeciwko któremu kiedyś poprosił go o pomoc, nigdy nie dziękując. Nękanie tą myślą, zaciskał pięści i łkał z hamowanej wściekłości. Sługa przechodził od kinkietu do kinkietu, dotykając nawoskowaną słomką świeżych zestawów świec, podczas gdy stare, na wpół wypalone i dawno nieużywane, zostały wyciągnięte ze swych oprawek i wymienione.

Co Tristen uznał za rozrzutność i najzupełniej zbędną czynność.

Po jednej stronie pokoju, blisko ognia, stał duży stół, służący według niego do jedzenia i studiowania. Poza czymś przypominającym niewielkie sklepienie znajdowało się łóżko; gdyby był u siebie w domu, rzuciłby się na nie bez względu, czy jest zasłane, czy też nie, ryzykując nawet narażenie się na gniew Mauryla.

Teraz jednak bał się choćby poruszyć bez pozwolenia Idrysa, który czekał – uzbrojony, ponury i cierpliwy – na twardym krześle pod drzwiami.

Porządki zdawały się trwać wieczność, chociaż on nie miałby nic przeciwko tej komnacie, nawet gdyby była zakurzona. Ynefel też była zakurzona. Nie przeszkadzałyby mu kurze na stole i na pościeli, podobnie jak nic by sobie nie robił ze starych i na wpół wypalonych świec. Za pozbawionymi okiennic oknami dawno już zapadły ciemności i świadomość przygotowywanego dlań łóżka – słudzy rozścielali nowe prześcieradło, nową kołdrę – powodowała, że kiwał się sennie, jakkolwiek siedział i próbował zachować dobre maniery.

W kominku rozniecono niewielki ogień, ponoć po to, aby palone rośliny odświeżały powietrze, niszcząc zgniłe zapachy. Jeśli takowe w ogóle były, dawno już musiały się rozwiać. Słudzy poprawiali świece, którym niczego nie brakowało. Jakiś czas przedtem kazali mu nieznośnie długo czekać na korytarzu, sprzątając to tu, to tam, wnosząc naręcza płócien.

Obecnie siedział przy palenisku, próbując w bijącym od ognia żarze uśmierzyć dreszcze i bóle – rezultat forsownej podróży – coraz bardziej ulegając senności, gdy tymczasem oni odnajdywali wciąż nowe przedmioty wymagające odkurzenia i wypolerowania.

Nareszcie spostrzegł z ulgą, że słudzy kończą swe dzieło i przygotowują się do wyjścia. Płonącymi z wyczerpania oczyma i z nadzieją, która – tak jak reszta jego ciała – dygotała od uporczywych pragnień, obserwował, jak wszyscy zbierają się u drzwi, najwidoczniej zamierzając opuścić jego pokój.

Miał nadzieję, że Idrys także wyjdzie, ale został.

Owszem, słudzy wyszli, lecz zamiast nich pojawili się nowi, przynosząc wielką, mosiężną wannę, którą – co znów trwało nieskończenie długo – ustawili w narożniku za parawanem i napełnili sporą liczbą wiader parującej wody. Potem zaoferowali mu pomoc w kąpieli.

–Potrafię się wykąpać, panowie – rzekł im. Zgodziłby się na każde ich zalecenie, aby tylko położyć się do łóżka, ale dosyć miał obmacujących go rąk nieznanym, był posiniaczony i

obolały.

–Rób to, o co cię proszą – odezwał się Idrys posępnie. Sam sprawiał wrażenie zmęczonego i zniecierpliwionego. Tristen zatem postąpił wedle ich życzenia, zrzucił brudne ubranie i usiadł w wannie pełnej cudownie ciepłej wody, wydzielającej silny zapach aromatycznych ziół. Pochylał się i zanurzał głowę. Umył włosy pachnącym cierpko mydłem i starł linie brudu z rąk i z ciała znajdującego się zarówno pod, jak i nad powierzchnią wody.

Idrys podszedł i stanął nad wanną, założywszy ręce na biodra.

–Dobrze się wyszoruj. Na pewno oblaźło cię robactwo.

–Tak, panie – odparł Tristen, przyjmując te słowa po namyśle jako swego rodzaju pojednanie i nader rozsądne pytanie. Tarł się, aż skóra przybrała czerwony kolor, mętna woda stała się brunatna, a on sam poczuł się w końcu dostatecznie czysty.

Idrys odszedł na bok, najwidoczniej usatysfakcjonowany. Tristenowi omal nie zabrakło sił, aby podnieść się z wanny, ale podołał temu zadaniu z nieoczekiwaną pomocą dwóch służących, po czym owinął się podanym mu prześcieradłem, dygocząc od stóp do głów na chłodnym powietrzu, lecz doznając równocześnie niewysłowionej ulgi.

Usiadł następnie na wskazanym miejscu, aby słudzy mogli wytrzeć mu włosy; w czasie tej czynności o mało co nie ześliznął się z ławy, taki był śpiący.

–Ejże – powiedział Idrys, szturchając go lekko, aby podniósł głowę, kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszli kolejni służący, z których jeden przydreptał i podał mu jedzenie.

Wyciągnął rękę i wziął kawałek sera, gdy tymczasem drugi człowiek wręczył mu kubek napoju o ostrym i jednocześnie słodkim zapachu. W smaku okazał się wyborniejszy od piwa, którym Mauryl raczył go w skąpych ilościach. Wypił, przełknął kęs sera, a wtedy łzy zaczęły spływać mu po twarzy, puste i daremne. Ścierał je wierzchem trzymającej ser dłoni i łąpczywie łykał wino, żeby ugasić pragnienie.

Wówczas palce jego zwiotczały, tak, że nie potrafił dłużej utrzymać kubka.

Idrys złapał kubek, zanim upadł na ziemię, słudzy pochwycili młodzieńca, zanim stoczył się w ślad za kubkiem. Tristen zachował świadomość, kiedy niesiono go do miękkiej, jedwabistej i bardzo zimnej pościeli.

Potem spał, spał jak kamień, po raz pierwszy od czasu, kiedy miał do dyspozycji własne łóżko w Ynefel.

Rozdział dziesiąty

Gdy się obudził, Idrys siedział naprzeciw niego na krześle, z rękoma założonymi na piersi, z

pochyloną głową. Ale nie spał. Tristen zmierzył baczny spojrzeniem ów czarny kształt blisko światła wpadającego przez okno z szybkami o rombowym wykroju i z niepokojem przypomniał sobie, w jaki sposób znalazł się w tym łóżku oraz dlaczego ten człowiek trzyma przy nim wartę.

Idrys się nie poruszał. Choć bez żadnej wyraźnej przyczyny, na pociągłej, urozmaiconej czarnym wąsem twarzy strażnika malowało się tylko jedno uczucie: dezaprobata, chłód zdający się czymś dużo większym i znacznie straszniejszym od oziębłości cechującej wartowników przy bramie lub gueleńskich żołnierzy, którzy, kiedy zmierzał na ostateczne przesłuchanie, śmiali się nawet czasami i dotykali przyjaźnie jego ramienia albo podawali mu wodę. Wyobrażał sobie zapach jedzenia, lecz w pomieszczeniu roznosiła się przede wszystkim woń spalonych ziół. Przypuszczał, że mimo wszystko pokój ten jest o wiele przytulniejszy od stróżówki gwardzistów i że rzeczy, nad którymi czuwa Idrys, są znacznie bardziej wyrafinowane od tych, które oferowali mu żołnierze. Wolałby już jednak towarzystwo gueleńskich żołnierzy, gdyby i oni mogli zapewnić mu kąpiel i łóżko.

Jeszcze przez chwilę udawał sen, mając płonną nadzieję, że Idrys straci cierpliwość i wyjdzie, albo też zawoła kogoś innego, by czuwał nad snem gościa. Idrys musiał czuć się znudzony. Tristen chciał go wziąć na przetrzymanie.

–Dostaniesz jedzenie i ubranie, gdy tylko wyrazisz taką chęć – odezwał się nagle Idrys. A więc nie dał się zwieść.

–Tak, panie. – Skoro został zdemaskowany, Tristen usiadł posłusznie, krzywiąc się z bólu, i podążył wzrokiem w stronę wskazaną kiwnięciem głowy Idrysa, ku przyległemu pokojowi, gdzie podano śniadanie na, co dostrzegł ze swego miejsca, srebrnych tacach.

Ze smutkiem zdał sobie sprawę z przespania całej krzątanim związanego z przygotowaniem posiłku.

Przypuszczał, że skoro dają mu śniadanie, zamierzają się nim zaopiekować, a skoro tak, przydzielili mu zapewne jakieś prace do wykonania, które zaniedbał, leżąc w łóżku.

Wytoczył się wolno z pościeli, owinał pomiętym prześcieradłem i rozejrzał za ubraniem.

–Najpierw zjedz śniadanie – przykazał Idrys, więc bez słowa sprzeciwu podszedł i omiół wzrokiem stół przesadnie wypełniony serami, owocami i zimnym chlebem, podczas gdy strażnik, nadal nie ruszając się ze swego krzesła, obserwował go spod na wpół przymkniętych powiek z wiecznie tą samą chmurną miną.

Tristen wskazał ręką na stół.

–Chcesz może trochę, panie?

–Nie jadam z gośćmi Jego Wysokości.

Wyglądało na to, że Idrys dość ma rozmowy, poirytowany już tym jednym pytaniem.

Zakłopotany i skrępowany, młodzieniec zasiadł za stołem, wybrał kromkę chleba, posmarował ją masłem i zjadł bez specjalnego apetytu, ponieważ w ciągu dni głodówki odwykł od jedzenia, a Idrys przez cały czas świdrował go oczami. Popił, zagryzł kawałkiem owocu i to było wszystko.

–Już się najadłem, panie. – Przerazało go marnotrawstwo takiej ilości doskonałego jada. – Z trudem przełknąłem nawet tyle. Czy teraz siądziesz do stołu, panie?

–Ubierz się – polecił Idrys, pokazując na ką, gdzie na stoliku leżała, jak wcześniej sądził, sterta ręczników.

Okazało się, iż są to czyste ubrania i bielizna, nie jego własne brudne i podarte łachy, ale cudownie miękkie tkaniny w kolorach nieskalanej bieli i najczystszej brązu. Obok stały miednica, dzban, wspaniałe szklane lustro, pokazujące jego odbicie, a także wiele innych przedmiotów, zastosowania, których sobie nie wyobrażał. Najmilej zaskoczyła go obecność srebrnego lusterka, brzytwy i osetki, gdyż podejrzewał, że przywłaszczyli je sobie pilnujący bramy strażnicy; cieszył się z odzyskania swego niewielkiego przybornika, prezentu od Mauryła.

Przez cały czas czuł za sobą Idrysa siedzącego z założonymi rękoma, wodzącego za nim baczny spojrzeniem. Usiłował zignorować obecność strażnika, gdy sięgał po brzytwę, i usiłował nie zwracać uwagi na wpatrzone w siebie oczy, kiedy zaczynał, aczkolwiek niewprawnie, pozbawiać twarz porannego zarostu. Idrys pozostawał niewzruszony, stanowiąc rozmyty obraz w srebrnym lustrze, które Tristen przedkładał nad szklane.

Zaczesał włosy i przywdział przygotowane ubranie, ściśle przylegające do ciała i zaopatrzone w wiele skomplikowanych zapiek, przy których musieli pomóc mu służący. Nie czuł się w nim zbyt swobodnie. Dostał mianowicie taki sam ubiór, w jakim chodził Idrys i Cefwyn: szare pończochy, koszulę z białego płótna, buty z miękkiej, brązowej skóry, dublet z brązowego aksamitu – szaty bez porównania delikatniejsze od tych darowanych mu przez Mauryła; dotykał ich jak zauroczony. Niemniej jednak wolałby przyoblec się w znajome ubranie, to otrzymane od czarodzieja. Chciałby być przy nim i wysłuchiwać jego ostrzeżeń przed rozerwaniem koszuli. Gdy o tym myślał, żal ścisnął mu gardło.

–Twoje szaty musiały zostać spalone – wyjaśnił Idrys w odpowiedzi na jego nieśmiało zapytanie. Tristen zmartwił się, że spalone zostało to, co dał mu Mauryl, i ze zdziwieniem patrzył na marnotrawstwo dobrego jedzenia i ubrania oraz świec trudnych według Mauryła do zdobycia. Nie śmiał jednakże dyskutować na ten temat z ludźmi, którzy go nakarmili i dali mu schronienie. Przypuszczał, że w tym Miejscu obowiązują inne reguły i mniejszą wagę przykładają się do podobnych rzeczy.

Idrys mierzył go wciąż tym samym chłodnym spojrzeniem, kiedy, dokończywszy porannej

toalety, stał ogolony, uczesany i ubrany. Nie umiał stwierdzić, czy Idrys znalazł w nim jakiś defekt, czy też niecierpliwiał się jego nieporadnością, czy wreszcie – co również nie było wykluczone – nudził się.

–Co mam teraz zrobić, panie? – zapytał Tristen. Miał nadzieję, że uzyska odpowiedzi na swoje pytania i że zostaną mu przydzielone w tej nowej twierdzy nowe powinności. Kto wie, może każą mu rozmawiać z mistrzem Emuinem, najbardziej przypominającym mu Mauryla?

–Odpoczywaj – odparł Idrys. – Rób to, na co masz ochotę. Nie zwracaj żadnej uwagi na moją obecność. Zostanę tu tak długo, aż przywoła mnie do siebie Jego Wysokość. On prawdopodobnie obudzi się późno.

–A czy ty spałeś, mistrzu Idrysie?

–Nigdy nie śpię na służbie – odparł strażnik z założonymi rękoma.

Tristen powędrował z powrotem do stołu, gdzie ujrzał, jak niewiele zjadł; powściągliwa, zrozumiała odpowiedź Idrysa musiała na nowo rozbudzić jego apetyt. Usiadł, posmarował kolejną kromkę chleba i odciął cieniutki plasterk sera. Idrys usadowił się w pobliżu na krześle, wciąż obserwując go wzrokiem, jakim Sowa mogła obserwować mysz.

–Mistrzu Idrysie – spytał w przychylnym odwagi – jeśli wolno zapytać, jaka jest nazwa tego miejsca?

–Miasta? Henasamef. Zamek nazywa się Zeide.

–Kathseide.

–Tak go niegdyś zwano. Mauryl ci o tym powiedział?

–Nie, panie. Mistrzu Idrysie. – Tristen przełknął niespodziewanie suchy kawałek chleba, ciągle bojąc się owego posępnego mężczyzny. Cieszył się, że w nastroju Idrysa zniknęła irytacja, a pojawiła się posępna i pusta, acz przyjacielska nuta.

–Dlaczego tu przyszedłeś? – zadał Idrys nagłe pytanie, z szybkością Sowiego ataku.

–Aby uzyskać pomoc, mistrzu Idrysie.

Idrys nie spuszczał zeń wzroku. Wydawało się, że istnieje tylko jedna rozsądna rzecz, jaką można powiedzieć Idrysowi, jak też wszystkim ludziom, których sen zakłócił.

–Jeżeli mi pozwolicie odejść – rzekł nieśmiałym, pełnym szacunku głosem – odejdę. Gdybym tylko wiedział, dokąd się udać. Czy jestem w złym miejscu? Jak myślisz, mistrzu Idrysie?

Oblicze zapytanego pozostawało nieprzeniknione, a w powstałej ciszy bicie serca Tristena

brzmiało głośnym echem.

–Gdybanie nic nie znaczy – odezwał się w końcu Idrys. Tristen nie uznał tego za odpowiedź, a jedynie za znak, że strażnik usłyszał złożoną ofertę i, prawdopodobnie celowo, zignorował właściwe pytanie dotyczące jego ogólnej sytuacji.

W tymże momencie rozległo się pukanie do drzwi, wobec czego Idrys wstał i poszedł, aby zobaczyć, kto puka. Na zewnątrz panowało pewne zamieszanie: Tristen pomyślał, że czekają tam służący albo gwardziści; wnet drzwi się otworzyły i do środka wszedł sprawca całego zamieszania – Emuin.

Tristen podniósł się od stołu, ucieszony widokiem starca, który zeszłej nocy wysłuchał z cierpliwością przybysza i dotrzymał obietnicy zaprowadzenia go przed oblicze pana tej twierdzy. Emuin uśmiechnął się doń ciepło i odprawił Idrysa. Za starcem pojawił się sam Cefwyn, darzony przez Tristena mniejszą sympatią, wchodzący niechętnie i będący w złym nastroju. Cefwyn dotknął ramienia Idrysa, kiedy się mijali, szepcząc mu coś do ucha, na co ten skinął głową i wyszedł.

Drzwi się zamknęły. Tristen stał nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić, co powiedzieć, czego po nich oczekiwać i czego oni oczekują po nim.

–No, od razu widać poprawę – mruknął Cefwyn, obrzuciwszy go badawczym spojrzeniem.
– Dobrze wypocząłeś?

–Tak, mistrzu Cefwynie.

Cefwyn spojrzał nań spode łba. Tristen natychmiast poprawił się, spostrzegłszy swoją pomyłkę:

–Tak, panie.

Księżę usiadł na jeszcze niedawno zajmowanym przez Idrysa krześle. Emuin usadowił się przy stole, a Tristen odwrócił krzesło, którego niedawno używał, po czym usiadł, w pełnym szacunku oczekując na słowa Cefwyna.

–Możesz usiąść – rzekł księżę oschle; takim samym tonem Mauryl zwykł się do niego zwracać, gdy popełnił jakąś bezmyślną gafę.

–Tak, panie. – A więc mylił się, sądząc, że wolno mu siedzieć. Dopiero teraz Cefwyn na to pozwolił. Nie miał pojęcia, co począć z dłońmi, włożył je więc pod ramiona, aby nie sprawiały kłopotu. Czekał, aż ktoś objaśni mu, co będzie robił w tym miejscu.

–Dzisiaj nadszedł czas na niemiłe pytania – ozwał się Emuin cicho – ale zadać je trzeba. Tristenie, chłopcze, czy możesz powiedzieć nam coś więcej na temat wskazówek, których udzielił ci Mauryl?

–Nie, panie, nic więcej nie pamiętam. Wiem tylko, że miałem czytać Książkę i trzymać się Drogi aż do miejsca, do którego mnie zaprowadzi.

–Ależ ty wcale nie potrafisz czytać tej Książki.

–Nie, panie. Nie potrafię.

–A czym zajmował się Mauryl? Jakimi sprawami? Mówił ci coś?

–Nigdy nic mi nie mówił, panie.

–Jak to możliwe, żeby nie wiedział? – parsknął Cefwyn, lecz Emuin potrząsnął głową.

–Jest jeszcze młody. O wiele młodszy, niż ci się wydaje. Nie wszystkie przesłanki okazują się prawdą. Posłuchaj go tylko... Powiedz mi, chłopcze, czy pamiętasz Śnieg?

Śnieg był Słowem kojarzącym się z Bielą, Wilgocią i Mrozem, leżał na ziemi, czepiał się drzew, niczym deszcz padał z nieba.

–Wiem, co to takiego, panie. Pojmuję.

–Ale go nie widziałaś?

–Nie, panie.

–Nigdy?

–Nie pamiętam go, panie. Być może okiennice były wtedy zamknięte.

–To nienaturalny przypadek – rzekł Cefwyn, krzyżując ramiona. – Mówię ci, wcale mi się to nie podoba. Emuinie, jesteś w stanie rozsądzić, o czym on mówi?

Tristen bał się Cefwyna: w jego oczach, podobnie jak w oczach Idrysa, pojawiał się raz po raz chłód, w głosie pobrzmiwały ostre nuty, a wypowiedzi najeżone były mnóstwem zakrętów, w których młodzieniec nie potrafił się połapać.

Tymczasem głos Emuina był ciepły i pobłażliwy.

–On należał do Mauryla, Wasza Książęca Mość, a Mauryl nie miał w zwyczaju kłamać, tej jednej rzeczy nie można mu zarzucić.

–Czego nie da się powiedzieć o jego gorszych uczynkach.

–Zachowajmy spokój – rzekł Emuin ostro, po czym spojrzał na Tristena łaskawszym wzrokiem. – Chłopcze, powiedziałem ci, że znałem twego mistrza. On kiedyś był także moim nauczycielem. Nie chciałby, żebyś mnie okłamywał.

–Nie, panie – odparł Tristen. – Raczej nie.

–Podejrzewasz może, dlaczego umarł?

–Nie wiem, czy on nie żyje, panie.

–Co mu się według ciebie przytrafiło? Dlaczego sądzisz, że być może żyje?

–Nie wiem, panie. Ale wiem... – Niełatwo mu było popierać twierdzenia argumentami i zdawać sprawę z przypuszczeń. Nigdy dotąd nie wypowiadał ich na głos. Uważał, aby się z nich nie zdradzić, kiedy wypytywali go żołnierze. Emuin jednak wyznał, że sam był kiedyś uczniem Mauryla, toteż jemu powinien chyba powiedzieć prawdę. – Wiem, że Mauryl wierzył, iż pewnego dnia gdzieś odejdzie. Sądziłem, że ma na myśli Drogę. Dał mi Książkę i powiedział, że być może nie będzie musiał odejść, jeśli zdołam ją przeczytać. Ale zawiodłem jego nadzieje. – Z bolącym sercem przyznał się do porażki. Ogarnął go głęboki wstyd i czuł się zakłopotany pewną myślą, która go nękała, odkąd wpadł w łapy gwardzistów. – Może niepotrzebnie wychodziłem za bramę. Może Mauryl chciał, żebym wyruszył kiedy indziej. Na pewno bym go zapytał, gdybym go znalazł, panie. Szkoda, że nie mogłem go zapytać.

–Nie wydaje mi się, żebyś popełnił głupstwo – powiedział Emuin, co Tristen przyjął z radością. – Zrobiłeś dokładnie to, czego od ciebie wymagał Mauryl, postąpiłeś bardzo mądrze.

–Mam nadzieję, panie.

–Jestem tego pewien.

Łzy nabiegły Tristenowi do oczu, poczuł ucisk w piersi. Spuścił głowę, gdyż Mauryl twierdził, że mężczyźni nigdy nie okazują swych łez, a on staje się już dorosły. Łzy jednak nie chciały go słuchać i płynęły po twarzy, starł je, więc chyłkiem, najszybciej jak mógł, próbując udawać, że nigdy ich nie było.

–Sam widzisz – zwrócił się Emuin do Cefwyna – pod wieloma względami to jeszcze dziecko. Mauryl nie osiągnął wszystkiego, na co liczył, dokonując swego dzieła.

Tristen nie miał pojęcia, o co chodzi Emuinowi. Podniósł wzrok, ciekawy, czy starzec marszczy czoło. W tym momencie Cefwyn odchylił się na krześle i spojrzał nań bystro.

–Zostaniesz tutaj – rzekł surowo, po czym zerknął z ukosa na Emuina. – Jak wiele potrafi on w takim razie pojąć?

Rumieniec wypłynął na policzki Tristena.

–Rozumiem, panie, co mówisz.

–Naprawdę? – Cefwyn zawsze wydawał się zachowywać z rezerwą, tak samo jak Idrys. Być może książę złościł się na jego brak manier. Wiedział, że całkiem niedawno popełnił gafę.

–Chłopcze – zapytał Emuin – co właściwie rozumiesz?

–Rozumiem większość rzeczy, panie, lecz niektóre Słowa objawiają mi się powoli albo zapominam, co znaczą. Ale – dodał prędko, ażeby Emuin nie pomyślał o nim przypadkiem, iż może sprawić mu więcej kłopotów, niż starzec jest skłonny znieść, nawet na prośbę Mauryła – ucze się szybko. Tak powiedział Maurył.

–Na litość boską – Cefwyn wyrzucił z siebie jednym tchem. – A więc odpowiadasz za siebie, mój panie?

–Tak, panie. Tak, Wasza Wysokość.

–Byłeś adeptem Mauryła?

Adept. Nie wiadomo skąd, Słowo to spłynęło na niego, wprowadzając zamęt w myślach.

–Chyba coś takiego, panie, ale... Maurył nazywał mnie uczniem.

–Naprawdę?

–Tak, panie.

–Jeśli zezwolę ci poruszać się swobodnie po twierdzy, po całym tym wielkim budynku, czy zgodzisz się nie wychodzić poza jego mury?

Tristen uzmysłowił sobie, że Cefwyn prosi go o pozostanie. Według słów Emuina postąpił słusznie i zgodnie ze wskazówkami Mauryła. Zaczął mieć nadzieję, że sprawy przybierają pożądaną obrót i że mimo wszystko nie złamał rozkazów Mauryła.

–Tak, panie – oświadczył z wielką powagą, przyrzekając sobie w duchu nie okazywać braku posłuszeństwa.

–Zobowiąziesz się ponadto nie rozmawiać z nikim oprócz mnie i Emuina, pod żadnym pretekstem.

–Dobrze, nie będę z nikim rozmawiał, panie.

–Chłopcze – wtrącił Emuin – książę Cefwyn wydał ten zakaz jedynie dla twojego bezpieczeństwa. Kręcą się tu pewni ludzie, którym nie należy ufać, którzy wykorzystaliby cię do swych niecznych zamiarów, a niektórzy mogliby ci nawet wyrządzić krzywdę. Tylko nam dwóm możesz ufać, nikomu więcej.

–Nawet Idrysowi, panie?

–Idrys służy księciu Cefwynowi. Wolno ci rozmawiać z Idrysem. On jest lordem komendantem Gwardii Książęcej. Prócz tego zawsze możesz mówić służącym, czego potrzebujesz, a czego nie. Jego Wysokość ma po prostu na myśli, że nie powinieneś dyskutować ze spotkanymi na zamku przygodnymi znajomymi.

–Tak, panie, rozumiem. – W Ynefel, w całym świecie, jaki podówczas znał, istniał wyłącznie Mauryl. Nigdy nie musiał się uczyć, że są zarówno dobrzy ludzie, jak i niebezpieczni ludzie; w drodze do tego miejsca zdobył jednak bogate doświadczenie i teraz cieszył się z istnienia jakiejś reguły, której powinien się trzymać. Dzięki owej regule łatwiej mu będzie dogodzić tym ludziom i ustrzec się kłopotów.

–To dobrze. – Emuin powstał i, jak przedtem, przed wyjściem poklepał go po ramieniu. Również Cefwyn podniósł się do wyjścia, a wtedy i on wstał. Cefwyn ociągał się przez chwilę, taksując ze zmarszczonym czołem postać młodzieńca. Potrzęsnał na koniec głową i opuścił komnatę, jakby Tristen znów zawiódł jego oczekiwania.

Chłopiec wpatrywał się w drzwi, po tym jak się zamknęły, zaciskając dłonie na poręczy krzesła. Nie powinien, powiedział sobie stanowczo w duchu, złościć się lub dąsać na Cefwyna, który dał mu wszystko, co obecnie posiadał; który, bądź, co bądź, dał mu wszystko, co przyjemne i dobre.

Wszystko... za wyjątkiem życzliwości.

Po ich wyjściu po raz pierwszy, odkąd przybył w to miejsce zeszłej nocy, został zupełnie sam; po raz pierwszy stał pośrodku pomieszczenia należącego, jak mniemał, wyłącznie do niego. Było o wiele większe i znacznie się różniło od jakiegokolwiek komnaty w Ynefel, przestronnością zaś dorównywało dolnej sali w twierdzy Mauryla. Zamek ten nie miał drewnianych galerii, a wyłącznie kamienne posadzki, utrzymujące się na swych miejscach za pomocą jakiejś magii, jak sobie wyobrażał, gdyż nie zawały się pod własnym olbrzymim ciężarem.

Jednak w momencie, gdy się nad tym spokojnie zastanawiał, zrozumiał pojęcia Łuków, Sklepień Kolebkowych, Zworników oraz inne Słowa, takie jak murarstwo i kamieniarstwo tudzież rusztowania, spostrzeżone w śródmieściu; wszystkie te Słowa i wspomnienia, zarówno miasta, jak i Ynefel napływały ku niemu falami. Podobnie jak gołębie walczyły o chleb, tak i jego myśli zmagaly się z sobą, kiedy rozmyślał o przestrzeni na zewnątrz murów, zatem przyłożył ręce do głowy i obracał się wokół własnej osi, nie znajdując jednak żadnych nowych Słów, wszystkie znajome i bezpieczne: łóżko, stół, krzesło i Firanka, no tak, była jeszcze Firanka – ozdoba nieznana w Ynefel.

Poznał też Kryształ i Złocenia, a kiedy (gdy wreszcie złapał oddech) ośmielił się wyrzeć za okno, kładąc kolano na ławce, ujrzał – jakkolwiek zniekształcone przez pomarszczone szkło

– dachówki i kominy, a na parapetach, zaiste, spacerujące gołębie.

Natychmiast podszedł do stołu z resztkami obfitego śniadania, zabrał chleb, po czym ostrożnie odemknął mały lufcik o rombowym kształcie, mający osobną ramkę i zatrzask.

Gołębie odfrunęły przerażone, gdy okno się otwarło, a on kładł chleb na parapecie pod szybą i ufał, że wkrótce go znajdą.

Bardzo się ucieszył z ich towarzystwa. Zastanawiał się, czy niektóre z gołębi nie są przypadkiem jego znajomymi, również uciekinierami z Ynefel.

Ciekaw był, czy zjawi się też Sowa oraz które miejsce tutaj nadawałoby się dla niej na dzienną kryjówkę, gdyż Sowa za dnia lubiła spać. Być może w jednym z budynków znajdował się gołębnik. Być może gołębnik mieścił się w samym zamku Kathseide. Stał i patrzył, aż wreszcie – co było do przewidzenia – ptaki odważyły się podejść bliżej, przeskoczyły na dachówki poniżej okna, a następnie wylądowały na parapecie tuż pod szybami. Tristen trwał w bezruchu (przywykł do takiego zachowania jeszcze na poddaszu w Ynefel), obserwując, jak gołębie rozprawiają się z chlebem.

Gdy przyniósł im więcej, znów je wystraszył; wiedział, że powrócą, gdyż na widok chleba stawały się całkiem odważne.

W następnej kolejności zbadał każdy detal i sekret swojego pokoju oraz (po żmudnych oględzinach) odkrył ciekawą właściwość zwyczajnej na pozór szafki z przemyślną obracającą się półką, do której można było...czego dowiedział się na czworakach, sięgnąwszy z korytarza na zewnątrz. Tkwiące tam drzwiczki mogły jednak zostać zamknięte od środka na bardzo mocny zatrzask.

Kołatanie w te właśnie niewielkie drzwi musiało zaalarmować ludzi na zewnątrz, gwardzistów w brązowych kaftanach ze skóry i czerwonych płaszczach, którzy weszli natychmiast przez przedpokój, aby zapytać, czy czegoś mu nie potrzeba.

–Nie, panowie – odparł, zażenowany. Potem zapytał, czy może wyjść z pokoju.

–Jego Wysokość zezwolił, panie, nie wolno ci wszak rozmawiać, nawet z nami, za przeproszeniem. Mam jeno baczyć, iżbyś w jakowąś kabałę się nie wplątał.

„Panie” – tak się doń zwrócili. A zatem okazywali mu szacunek. Myśl ta, zgoła inna od poprzednich, w pewnej mierze uśmierzyła jego obawy.

Zakładał, że zgodnie z obietnicą daną mu przez Cefwyna odzyskał wolność, toteż wyszedł na salę. Z ulgą przyjął fakt nieobecności Idrysa, wobec czego ruszył przed siebie; dwóch gwardzistów zostało przed komnatą, dwóch następnych śledziło go w pewnym oddaleniu; gwardzistom tym najwidoczniej nie tylko przykazano, aby nie rozmawiali z Tristenem, ale również zabroniono spacerować z nim ramię w ramię. Żałował, że wydano oba te zakazy.

Miał chęć zadać im kilka pytań. Pocieszeniem była mu jednak perspektywa zwiedzenia tego wspaniałego miejsca.

Zbadał wypolerowaną górną salę, gdzie echo potęgowało stukot jego kroków. Żaden ze służących nie odpowiadał na jego nieśmiałe uśmiechy, każdy za to starał się zejść mu z drogi, podobnie jak ludzie w mieście. Przypuszczalnie im także przykazano, aby z nim nie rozmawiali.

Zszedł ostrożnie na dół, ścigany spojrzeniami szykownie ubranych mężczyzn i kobiet, stojących w grupkach, wlepiających weń lodowaty wzrok i szepczących słowa za zasłoną dłoni i odwróconych ramion. Wydawało się, że mierzą go od stóp do głów i nie życzą sobie, ażeby podchodził do nich zbyt blisko. Tristen miał na sobie ubranie z nader delikatnej tkaniny, lecz nie stroiły go złote ozdoby i wyszukane hafty – najwyraźniej uważali szaty, jakie dostał od Cefwyna, za proste i pospolite. Być może słyszeli też, że przybył z Ynefel, w co jedynie Emuin wierzył. Mężczyźni, gdy koło nich przechodził, zwracali ku niemu marsowe oblicza, lecz kobiety, przynajmniej niektóre, zerkały nań przez ramię, a jedna, o intensywnie rudych włosach, nawet się uśmiechnęła.

Tristen wpatrywał się w nią chyba dłużej, niż powinien, zauroczony tą okazaną mu wyjątkowo uprzejmością, marząc o rozmowie. Pamiętał jednak o zaleceniach Cefwyna, a kobieta oddaliła się, kołysząc wyzywającą, jaskrawą spódnicą. Mężczyźni będący świadkami tej wymiany spojrzeń zmierzyli go nad wyraz chłodnym i gniewnym wzrokiem, dając do zrozumienia, że nie powinien był się do niej uśmiechać. Prawdopodobnie istniała jakaś reguła, zgodnie, z którą nie wolno było na nią patrzeć. Prawdopodobnie ustanowił ją Cefwyn.

–Czy popełniłem jakieś wykroczenie, panowie? – zapytał gwardzistów. Wymienili między sobą zakłopotane spojrzenia, a jeden odpowiedział:

–Nic nam o tym nie wiadomo, panie. – Przy tych słowach reszta się roześmiała, ale nie w sposób nieprzyjemny, toteż czuł, że nie zrobił niczego złego, a przynajmniej gwardziści nie umieli stwierdzić, na czym by jego przewinienie miało polegać; w ich oczach zachowywał się poprawnie.

Nagle zdał sobie sprawę, że – rozmawiając z nimi – złamał przyrzeczenie dane Cefwynowi. Słyszał wręcz głos Mauryła, mówiący z naganą: „Czyżbyś miał kłopoty z pamięcią, chłopcze?”

Wydawało mu się, że bardzo niewiele nauczył się w przeciągu tak długiego czasu. Mauryl by rozpaczał nad jego losem. Mauryl potrząsałby głową, wyzywając go od głupców uganiających się za motylami, zamiast uważać na wiele, wiele rzeczy, o których należy pamiętać.

Nie schronił się jednak w swej komnacie. Niejedno jeszcze pozostawało do zobaczenia i

poznania. Jak mógł się czegokolwiek nauczyć bez wypróbowywania nowych rzeczy? Sądził, że nic mu nie grozi, skoro Cefwyn dba o jego bezpieczeństwo. Cefwyn był najwidoczniej panem tych wszystkich ludzi, Emuin zaś – mistrzem, kiedy więc jeden z nich powiedział, że może chodzić, gdzie mu się spodoba, Tristen chodził, gdzie mu się podobało, próbując ignorować chmurne miny napotykaną na swej drodze.

Szedł dalej, aż znalazł się w dolnej sali, gdzie marmurowe płyty ustąpiły miejsca wysłużonym kamieniom. Ta linia podziału w planie budowli uderzyła go niczym Słowo: zdawała się czymś osobliwym, a jednocześnie ważnym. Zatrzymał się i rozejrzał wokół, patrząc na ściany po drugiej stronie Rozgraniczenia, mniej zdobne od tych, które wcześniej oglądał. Spodziewał się znaleźć drzwi, tam gdzie nie było żadnych drzwi; spodziewał się znaleźć salę – i znalazł jedną, lecz obwieszoną niepasującymi do tego miejsca Sztandarami; kamienie ścian zostały pokryte tynkiem i pomalowane. Coś tu się nie zgadzało. Drzwi się nie Zgadzały.

Mauryl powiedział mu, że w drzwiach i oknach drzemie magia. Murarze znają się na tych sprawach. Podobnie jak duchy.

–Panie? – usłyszał głos swego gwardzisty, nikły i odległy w jego uszach. Dobiegł go szcęk maszerujących hufców. Zobaczył Cienie i odwrócił ku gwardziście spłoszony wzrok.

Sala uległa zmianie. Znowu była tylko salą.

–Dobrze się czujesz, panie? Zechcesz wrócić na górę? Tędy nigdzie nie dojdiesz.

Rzeczywiście. Nie teraz. To Miejsce, wiedział o tym, miało niegdyś drugie wyjście.

Lecz drzwi wprowadziły ich jedynie do ślepego zaułka, obwieszzonego sztandarami i wypełnionego wszelkiego rodzaju bronią. Znał jedną Nazwę, ale najwyraźniej nie była ona właściwa, tak samo jak Kathseide była niewłaściwą Nazwą; ludzie wiedzieli, co ma na myśli, ale nazywali ten zamek inaczej, uważali, więc go za głupca, a także za prostaka. Tak właśnie nazywali człowieka gubiącego się w korytarzach i potykającego o progi, które tam w jego mniemaniu nie powinny się znajdować.

Lękał się owej sali wyłożonej wytartymi kamieniami. Z ulgą się z niej wycofał. W przejściu czuł się nieswojo. Obfitowało w możliwość spotkania Słów, a on posiadał zapas Słów na dobrych kilka dni. Miał głęboką nadzieję na uporządkowanie tych już poznanych, a także na spotkanie Sowy, jeśli Sowie uda się odnaleźć jego okno.

Zrazu nie wiedział, dlaczego to miejsce, położone w dolnej części twierdzy, przypominało mu o Sowie. A potem zrozumiał: panowała w nim podobna atmosfera, jak na poddaszu w Ynefel. Niegdyś wieńczyło je wyniosłe, spiczaste zakończenie, odsłonięte krokwie. Promienie słońca sączyły się do środka w miejscu, gdzie teraz był kamień. Ptaki wlatywały i wylatywały przez nieistniejący już otwór, zamieszkiwały tam Sokoły żywiące się gołębiami i myszami, ptaki nie mniej dzikie niż Sowa.

Usłyszał łopot skrzydeł i ujrzał cienie w miejscu nieruchomej ekspozycji ułożonych rzędem zakurzonych sztandarów. Sowa mogłaby tam przybyć. Ale Sowa nie umiałaby znaleźć wejścia, tak samo jak on nie potrafił zawezwać ptaka.

Sądził, iż z upływem czasu Sowa będzie dziczeć i powoli zapominać o nim, aż zapomni całkowicie.

Żałował, że nie może zapytać gwardzistów, czy nie widzieli gdzieś u podstrzeszy dużej sylwetki, bardzo nieszczęśliwej sylwetki, mianowicie Sowy.

Cefwyn wszakże zabronił mu z nimi dyskutować. Tristen czegoś się nauczył. Miejsce w Kathseide, gdzie Sowa mogłaby czuć się jak u siebie w domu, było przed nią zamknięte – tym samym chłodem, z jakim przed nim samym odwracały się ramiona.

I znów... brak życzliwości. Ani śladu życzliwości, zarówno wobec niego, jak i wobec Sowy. Wnet staną się sobie obcy. Okna były za ciasne, oprócz tego tutaj, ale wydawało się, że powinno tu przeważać drewno, a nie kamień, że powinien być przewiew i że wreszcie powinno pachnieć słomą. Bał się. Słowa ani Nazwy nigdy wcześniej go nie zdradziły.

Zaczynał wątpić w inne rzeczy, o których dotąd sądził, iż są prawdziwe. Nie było jednak, z wyjątkiem Emuina, nikogo, kto jego zdaniem mógł mu wytłumaczyć to, co zobaczył.

A Emuin nie pojawił się tego dnia, ani następnego, ani też następnego.

Budowla miała wielce zwodnicze rozmiary. Rozpościerała swe skrzydła i korytarze w zaskakujących kierunkach, tworząc dziedzińce, wąskie szyby i labirynty korytarzy, w których Tristen łatwo by się pogubił, gdyby nie towarzystwo gwardzistów.

Wystarczyło mu sześć dni do przebadania każdego dozwolonego zakątka zamczyska.

Mieściła się w nim malutka biblioteczka, pełna stłoczonych pergaminów i kodeksów, zamieszkała przez dwóch niedarzących się miłością starców. Siódmego dnia, kiedy gwardziści pochłonięci byli w dolnej sali grą w kości, zdarzyło mu się trafić do obszernego, słonecznego pomieszczenia z dużymi oknami, gdzie damy przybrane w jaskrawe stroje zajmowały się szyciem i gdzie bawiły się dzieci. Nie był tam jednak mile widziany.

Przysporzył kłopotów gwardzistom, z których dwóch nie zobaczył nazajutrz. Poczuwając się do winy, wysłał do Cefwyna list z przeprosinami, na co książę odpowiedział mu, również na piśmie, iż są to mężczyźni, nie dzieci, i znają swoje obowiązki.

Przyjął tę odpowiedź jako surową naganę i znak, że sam nie jest mężczyzną w opinii Cefwyna.

Znalazł też kuchnię, niewyczerpane źródło pożywienia o każdej porze; Cefwyn nie wzbraniał mu żadnych luksusów.

Poznał także Baraki, tych jednakże unikał: gwardziści prowadzili tam długie i żywiołowe dysputy ze swymi kompanami, a on musiał milczeć, toteż czuł się wtedy znudzony oraz zakłopotany, żołnierze używali, bowiem wielu niemiłych i krępujących Słów.

Nie omieszkał zwiedzić zbrojowni, pachnącej i rozbrzmiewającej echemi Broni; gwardziści powiedzieli mu, że to nie miejsce dla niego. W pobliżu jednak znajdowała się Kuźnia, gdzie mistrz Kowal wraz z pomocnikami nadawał żelazu intensywne lśnienie i czynił niemal przezroczystym, wykrzywając je i formując wśród sypiących się iskier.

Była także Stajnia, która już na pierwszy rzut oka podnieciła jego ciekawość, lecz żołnierze zagrodzili drogę jemu i gwardzistom, mówiąc o przestrzeganiu rozkazów. A więc istniały ograniczenia w swobodnym poruszaniu się po twierdzy: jedno dotyczyło Broni i było mu obojętne, lecz drugie wiązało się z Końmi, Słowem tchnącym czystą Wolnością, Słowem kojarzącym się z Sianem, Skórą i miękkimi nosami. Słowa napływały potokami: Ciężki Koń i Rączy Koń; Klacz i Żrebię; Kopyto, Pęcina i Nadpęcie. Z przyjemnością zostałby, ażeby popatrzeć i nasycić się tymi Słowami, lecz strażnicy mieli swoje rozkazy i udało mu się tylko przelotnie zobaczyć owe stworzenia przyprawiające o szybsze bicie serca i wywołujące swędzenie w rękach pragnących dotykać i poznawać.

W długim skrzydle mieściły się magazyny pełne szarego ziarna, miejsce przyjemnych zapachów i szcurów przemykających ukradkiem pod nogami. Odkrył je trzeciego dnia i przypadło mu do gustu, lecz tamtejsi archiwiści również wydawali się poirytowani jego obecnością, a gwardziści przejawiali znudzenie, więc po piątym dniu nie odwiedzał więcej spichlerzy.

W czasie tych wszystkich oględzin nie znalazł poddasza, jedynie piętra na górze.

Dowiedział się, że wyżej niczego już nie ma, żadnego miejsca dogodniejszego niż jego własna komnata z oknem, z którego rozpościerał się widok na inne dachy i na wąski dziedziniec. Tego okna nie wolno mu było otwierać, z wyjątkiem małego prostokątka, przez które wpadało świeże powietrze. Przymuszalnie tego wymagało jego bezpieczeństwo.

Nie podobało mu się, że okna nie mają wewnętrznych okiennic z zamknięciami; czytając w blasku świecy bądź leżąc w łóżku w ciemności, zerkał bojaźliwie na połyskującą czerń szyb, zwłaszcza nocami, kiedy wicher dał i wzdychał wśród podstrzeszy; zapewne w Zeide mniej się lękano Cieni i nikt poza nim nie przykładał do tej sprawy większej wagi.

Pewnej nocy otworzył nawet okno i położył na parapecie kawałek kielbasy, po czym pośpiesznie zamknął małą szybkę. Miał nadzieję, że Sowa wyczuje mięso i rano po jego zniknięciu będzie można poznać, iż ptak do niego przyleciał – niestety, gdy wzeszło słońce, kielbaska wciąż znajdowała się na swoim miejscu, aż do popołudnia, kiedy to zniknęła.

Służący wcześniej robili porządki, sądził więc, że to oni ją znaleźli, a nie jakaś złośliwa istota.

Odkrył jedno szczególne sanktuarium, gdzie mógł spacerować i przesiadywać do woli: zachodni ogród, na który natrafił zupełnie przypadkowo, a który polubił najbardziej ze wszystkich miejsc, jakie wolno mu było odwiedzać. Przypominał mały, bezpieczny zagajnik w obrębie murów; gałązki były tu starannie przycięte, brzegi stawu czyste i wypielęgowane.

Ptaki zlatywały się spoza fortecy i siadały na drzewach i w żywopłotach; nie wyobrażał sobie, by to samo mogły robić na brukowanych ulicach rozłożonego u stóp wzgórza miasta. Z góry sfruwały gołębie, spośród których przynajmniej pięć rozpoznawał jako gości swego parapetu. Tutaj, w ogrodzie, czuły się bezpiecznie i nie musiał ich straszyć otwieranym lufcikem, toteż niemal bez obaw zaczęły wydziobywać chleb z jego ręki.

Inni jednak nie pochwalali karmienia gołębi, co okazywali minami. Dworzanie odwiedzali ogród, kiedy kładły się długie cienie, obwieszeni klejnotami i piękni, gdy na nich patrzeć z daleka, w szatach przetykanych złotogłowiem, błyszczących i skrzących się w skąpych promykach słońca; ich spojrzenia jednak, rzucane w jego kierunku, kiedy siedział na ziemi i karmił ptaki, wyrażały oburzenie; sami zapewne nie mogli sobie na to pozwolić ze względu na wykwintne stroje.

Gołębie zaczęły do niego podchodzić, ledwie siadał na ławce przy stawie – wśród nich para sikorek, które stawały się coraz sprytniejsze. Karmił je, a także rybę mieszkającą w wodzie, podczas gdy wszyscy lordowie i każda lady (takimi tytułami bowiem należało się do nich zwracać) wespół z earlami i ealdormanami ignorowali jego obecność, tak samo, jak on ich ignorował. W pełnym świetle dnia czytał swoją Książkę – czy też próbował ją posłusznie czytać – gdy zaś dni chyliły się ku końcowi, kusił ptaki ziarnem, które na jego życzenie dostarczali mu słudzy.

Były to, podejrzewał, głównie ptaki z miasta, nie tak ufne jak te w Ynefel, podrywające się do lotu przy każdym żywszym geście, oprócz sikorek i gołębi, te, bowiem zaczęły darzyć go pełnym zaufaniem i stały się bardzo odważne.

W czasie tych wszystkich dni nikt nie złamał zakazu Cefwyna i nie rozmawiał z Tristenem. Obserwował lordów i damy, pewien swego bezpieczeństwa, podpatrując grację ich ruchów i przyswajając sobie dworskie maniery, te, które umiał rozszyfrować; myślał, że jeśli bardziej się do nich upodobni, obecność jego w tym miejscu przestanie kogokolwiek razić.

Skoro ostatnio ani Emuin, ani Cefwyn nie wzywali go przed swoje oblicze, a słudzy, kucharze, archiwiści i zarządcy spichlerza pozbywali się możliwie najszybciej jego towarzystwa, na dodatek w milczeniu, przyszło mu do głowy, że Cefwyn będzie zadowolony, jeśli nabierze więcej oglądy i w większym stopniu zacznie przypominać mieszkających na zamku ludzi.

Nie chciał jednak opuścić swych ptaków, które gwarzyły z nim i uderzały go po uszach swymi skrzydełkami.

Pewnego dnia siedział nad stawem, jak to często czynił, kiedy już zaspokoił ptasie apetyty. Miał dwie książki do czytania: jedną otrzymał od Mauryla, rzecz jasna, i czytał ją co dzień, póki nie rozboleły go oczy, drugą natomiast potrafił naprawdę czytać, mówiła o Prawdzie i o Szczęściu. Pochłaniał ją dzień po dniu, kiedy już nakarmił ptaki i uśmierzył głód ryby. Każdego popołudnia (teraz, gdy gwardziści znaleźli sobie wygodne miejsce pod starym, kamiennym łukiem, gdzie siedzieli, wbijali leniwie noże w ziemię i gawędzili z sobą) czytał, zagłębiając się w Słowa dotyczące ludzi i Filozofii, dobra i zła. Nie wszystkie pokrętne argumenty trafiały mu do przekonania. Słowa wyłaniały się ślamazarnie z tej gmatwaniny, ale że wydawały się niezwykle ważne, usiłował je zrozumieć.

Rozmyślał właśnie o Sprawiedliwości, kiedy cień padł na stronę, napędził mu strachu i kazał unieść głowę.

Nie słyszał jej nadejścia. Popatrzył na spódnicę z brokatu, na gustowne pantofelki, a następnie podniósł wzrok ku opromienionej uśmiechem twarzy pięknej damy o czerwonych ustach, ciemnych oczach oraz gęstwie kasztanowatych włosów. Ta właśnie dama obdarzyła go niegdyś uśmiechem.

–Dzień dobry – przywitała się.

Odłożył książkę i zerwał się na równe nogi. Musiał teraz spoglądać na nią z góry,

ponieważ przewyższał ją wzrostem. Była piękna, radosna i zgrabna, ze świecidełkami w oczach

sugerującym, że cała jej wesołość tryśnie lada chwila na zewnątrz. Czuł się zauroczony, zafascynowany – i przerażony, gdyż pamiętał, pod jakim warunkiem zgodzono się, by tu został. Rozpostarł ręce w geście przeprosin.

–Nie mogę – powiedział.

–Czego nie możesz, panie?

–Rozmawiać z tobą. Cefwyn mi zabronił.

–Doprawdy?

–Proszę mi wybaczyć i odejść. Moi gwardziści będą się gniewać.

Kasztanowate rzęsy zatrzepotały nad ciemnymi oczyma, a gdy się uniosły, znów na jej twarzy zagościł wyraz ciepłej serdeczności. Błysnęła uśmiechem wyrażającym przyjaźń i zarazem szyderstwo.

–Twoi gwardziści będą się gniewać? Jestem Orien Aswydd. A kimże ty jesteś, panie,

którego książę Cefwyn tak dokładnie izoluje w moim domu?

–W twoim domu? – Cały ustalony przez młodzieńca porządek rzeczy legł nagle w gruzach. Pytanie przywołało grymas na twarz damy.

–W moim domu, jakżeby inaczej? Jak ci na imię, panie?

–Tristen – bąknął. Przypuszczał, że powinien się do niej zwracać „jaśnie pani”, bez względu na to, czy jest to żona thane’a, czy też żona earla, lecz bał się obrazić ją kolejną gafą.

–Tristen z Ynefel? Czyżby słuch mnie zwodził? Mauryla... kto? Adept?

–Uczeń, jaśnie pani. Byłem jego uczniem.

–I teraz książę Cefwyn więzi cię tutaj. Dlaczego?

–Nie wiem.

–Jak to, nie wiesz? – Roześmiała się, lecz na widok kogoś zbliżającego się za plecami młodzieńca zrzędała jej mina.

Gwardziści poruszyli się i jeden z nich odgrodził bronią Tristena, prosząc, aby się odwrócił. Wprzód jednak ukłonił się lekko. Wiedział, że zbyt długo zwlekał.

–Lady Orien!

Emuin. Tristen patrzył z przerażeniem, jak starzec drepcze ścieżką w ich stronę.

–Wasza Miłość – rzekł Emuin, również się kłaniając – miłego dnia. – Po chwili milczenia powtórzył ostrzejszym tonem: – Miłego dnia, lady Orien.

Orien wpatrywała się w Emuina z wyraźną niechęcią, po czym zaszleściła swą piękną spódnicą i oddaliła się zwirową dróżką drobnym, acz pewnym krokiem. Słońce lśniło w jej kasztanowatych włosach niczym płomienista mgiełka.

Tristen odprowadzał ją wzrokiem, lecz Emuin położył mu na ramieniu ciężką rękę, zmuszając go do skupionej i napiętej uwagi.

–O czym mówiliście? – zapytał.

–Powiedziałem jej moje imię, panie. Chciała wiedzieć, dlaczego jestem więźniem. Stwierdziła, że to jej dom. A ja myślałem, że należy do księcia Cefwyna.

Emuin był trochę zadyszany. Pociągnął go ku ławce i usiedli.

–Czy czujesz się tutaj więźniem?

–Obiecałem księciu Cefwynowi, że stąd nie odejdę, i...

–A chcesz odejść?

–Nie znam żadnego innego miejsca, panie. Ale skoro nie jestem tu mile widziany, wiem, jak wrócić do Drogi, za pozwoleniem, oczywiście.

Emuin wpatrywał się w żwir pod nogami.

–Nie ufaj – rzekł w końcu – tej damie. Ona jest jedną z głównych osób, które księżę Cefwyn miał na myśli, gdy przestrzegał cię przed rozmowami z obcymi.

–Tak, panie – odparł Tristen. Musiał to powiedzieć. Emuin rozkazywał Orien, a Cefwyn być może rozkazywał Emuinowi. Ze wszystkich sił starał się wyrozumieć w tych zależnościach. Emuin nadal próbował złapać oddech. Młodzieniec domyślał się, że jego gwardziści, zwracający mniejszą uwagę na ich rozmowę, niż początkowo przypuszczał, mogli zawezwać Emuina, albo też sam Emuin zobaczył z któregoś okna, co się dzieje na dole.

Nigdy dotąd nie widział mistrza Emuina w ogrodzie.

–A co się tyczy powrotu na Drogę – mówił Emuin – wierz mi, nie jesteś dostatecznie przygotowany, by nią wędrować, młody panie. Wielu niebezpiecznych ludzi trzeba brać pod uwagę.

–Takich jak lady Orien? – Niecierpliwie czekał na odpowiedź. Emuin z pewnością pamiętał, jak brzmiało pytanie, lecz rozmyślnie wolał na nie nie odpowiadać.

–Lady Orien – powiedział zamiast tego – i jej siostra są Amefinkami, a ten dom w gruncie rzeczy jest własnością ich brata. Heryn Aswydd jest diukiem Amefel, a lordowie Amefel zwali się ongi królami... poślednimi, ale zawsze królami. Obecnie zowią się aethelingami, co znaczy mniej więcej to samo, lecz czynią to po cichu. Księżę Cefwyn jest gościem lorda Hery na z woli króla w Guelemarze, który nie jest, pamiętaj, poślednim królem: Inareddrin jest władcą Ylesuinu, czyli osiemnastu prowincji, przeważnie dużo większych od położonego na uboczu Amefel, którym także włada, choć w jego imieniu zasiadają tu diukowie. Księżę Cefwyn jest spadkobiercą króla Inareddrina i spełnia tu, w Amefel, królewską wolę, będąc wicekrólem. Oznacza to, że diuk Amefel jest zobligowany, jako lojalny poddany, gościć u siebie księcia, jego dwór, gueleńską gwardię, obie Księżęce Gwardie i zawodowych oficerów. A zatem zachodnie skrzydło Zeide tak długo będzie należeć do księcia Cefwyna, jak długo spodoba mu się pozostać w Amefel, a spodoba mu się tak długo, jak tego będzie sobie życzył król. Jesteś wobec tego gościem księcia, który się tobą opiekuje, za sprawą funkcji Mauryła w Ynefel, jaką Jego Wysokość przynajmniej z grzeczności szanuje. Nie odpowiadasz, zatem przed lady Orien, ale bezpośrednio przed księciem.

Wypowiedź mistrza Emuina zawierała oszałamiającą wprost liczbę Słów. Ale płynął z nich wniosek, że księżę Cefwyn dba o Tristena i czuwa nad jego bezpieczeństwem. Myśl o tym

dodawała otuchy. Przypuszczał, że gdyby przyszło mu zdecydować, kto mówi najwięcej prawdy, wybrałby Emuina.

–Cieszę się, że tak jest, panie – powiedział.

–Co czytasz? Książkę Mauryla?

–Tak, panie. Ale nadal nie potrafię nic z niej zrozumieć. Tę drugą pożyczył mi archiwista.

Emuin wziął do ręki książkę i spojrzał na nią bystro.

–Filozofia. Ciężka rzecz dla początkujących. Czytasz ją bez żadnych trudności ze słowami, prawda?

–Wydaje się pękać w szwach od dyskusji.

–Dyskusji, to prawda. – Emuin wyglądał na zadumanego i rozweselonego zarazem. – Podobają ci się dyskusje uczonych?

–Zdaje mi się, panie, że ta książka jest o Słowach. Uczę się ich.

–A jak poza tym spędzasz swój czas?

–Karmię ptaki. Spaceruję.

–Musisz czuć się samotny.

–Chciałbym, żeby Mauryl był tutaj. Albo żeby ja był z Maurylem.

–Tęsknisz za nim. Poczł ucisk w piersi.

–Tak, mistrzu Emuinie, to właściwe Słowo. – Dalsze słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Odwrócił wzrok, chcąc coś powiedzieć, teraz, kiedy ktoś był przy nim, chociaż na krótko, aby porozmawiać. Lecz słowa utknęły na dobre. Pomyślał, że Emuin odejdzie, znudzony.

Emuin jednak położył mu rękę na ramieniu i nie zdejmował jej, gdy tymczasem Tristen usiłował przełknąć ślinę, co okazało się dziwnie trudnym zadaniem, gdy ktoś go obserwował.

–Rano – zaczął Tristen możliwie spokojnym głosem – rano pomyślałem, że w Ynefel wiedziałem bardzo mało. Sądziłem, że rzeczy zmieniają się bardzo szybko. Teraz jednak jestem Na Zewnątrz, rzeczy w Zeide wydają się zmieniać bardzo powoli.

–Jesteś spostrzegawczy. – Emuin zdjął rękę. – Wszystko ulega zmianie. Przeważnie jednak ludzie zarówno prości, jak i szlachetnie urodzeni spędzają życie w bezpiecznych murach, nie

wybierają się nigdy na zewnątrz ani nie podróżują, tak jak ty podróżowałeś.

–Czy większość ludzi jest szczęśliwa, panie? Widzę, jak się śmieją. Ale nie jestem pewien.

–Ani ja – odparł Emuin posępnie. – Ani ja, Tristenie.

–Emuinie, widziałem dzieci.

–Tak?

–Człowiek powinien być kiedyś dzieckiem, prawda? A ja nie byłem nim nigdy.

Emuin siedział nieruchomo i wlepił wzrok w Tristena z tą swoją chmurną miną, której – jak wiedział – tak obawiali się ludzie: budziła w nich trwogę. Aby jednak zatrzeć to wrażenie, uśmiechnął się pogodnie i poklepał Tristena po kolanie.

–Jeżeli jest to czyjaś wina, to z pewnością tego starego grzesznika Mauryla, nigdy twoja. O twoje przyzwolenie nikt nie pytał i nikt się nim nie posłużył. Istniejesz. Wszystko, co teraz robisz, zależy od ciebie. Cokolwiek Mauryl z tobą zrobił, nie zależało to od ciebie w najmniejszym stopniu.

–Czy i ja byłem dzieckiem, Emuinie? Bo nie pamiętam. Mauryl nazywał mnie chłopcem, ale sądzę, że nigdy nim nie byłem.

–Pomyśl lepiej o terażniejszości, młody panie. Do ciebie należy terażniejszość. Do ciebie należy przyszłość.

–Ale ja nie byłem dzieckiem, mistrzu Emuinie. Czym ja jestem? – Zaczął drżeć i dłonie Emuina zacisnęły się mocno na jego ramionach. Pragnął, aby starzec wziął go w objęcia, jak to czynił niegdyś Mauryl, i aby tak jak on dał mu schronienie; wtedy uzmysłowił sobie, że nie znajdzie już takiego na świecie. Trzymany na wyciągnięcie rąk, ujrzał, jak w oczach Emuina odzwierciedla się jego trwoga; czuł, że uścisk starczych dłoni bardziej go odpycha, niżli przyciąga; nie mógł zbliżyć się do tego człowieka ani od niego uciec. Cefwyn rościł sobie do niego prawo. Ale nie Emuin.

–Nie zadawaj teraz żadnych pytań – powiedział starzec.

–Ty wiesz, mistrzu Emuinie. Mógłbyś mi odpowiedzieć, prawda? Wszyscy ci ludzie wiedzą. I boją się mnie.

–Tu, w środku... – Emuin puścił jego ramiona i szturchnął go obcesowo w pierś. – Tutaj. Tu, w środku, leży twoja natura, Tristenie. Powód ich strachu albo ich podziwu, albo też ufności w twoje osady, co nie jest tym samym, Tristenie. Uwierz mi, masz większy wpływ na te sprawy, niż ci się teraz wydaje.

Tristen zamrugał; ból w piersi rozszedł się i zniknął pod nieprzyjemnym dotknięciem starca, dzięki czemu przez chwilę oddychał z większą swobodą. Podobnych słów użyłby zapewne Mauryl i kto wie, czy palec Emuina nie posiadał uzdrawiających właściwości, jakkolwiek nie pojawiło się mrowienie, nierozłącznie związane z kuracjami czarodzieja.

–Ważne jest teraz, abyś tu pozostał – stwierdził Emuin. – Słuchaj uważnie, co do ciebie mówią, i nie pakuj się w kłopoty, dopóki będzie trwać twoja nauka.

–Znałeś Mauryla. Czy rozmawiał z tobą o mnie? Czy uprzedził cię, że nadejdę?

–Po raz ostatni widziałem go bardzo dawno temu.

–Ale sam powiedziałaś, że cię uczył.

–Kiedy byłem młodzieńcem, na jakiego ty teraz wyglądasz, był moim nauczycielem. Ale to dawne dzieje.

–A później?

–Nie mogłem z nim zostać. – Emuin potrząsnął głową. Obracał w dłoniach złoty wisiołek, umocowany na szyi. – Poróżniliśmy się. Przeszedłem tę samą Drogę, co ty, mój chłopcze, Drogę prowadzącą z powrotem do świata. Nie wpadaj w panikę, to o wiele mniej niebezpieczne miejsce od Ynefel.

–Przynajmniej nic mi tam nie groziło.

–Wierz mi, chłopcze, groziło ci straszne niebezpieczeństwo. Podobnie jak Maurylowi. Czego dowiodły, lękam się, przyszłe wydarzenia. Mauryl cię chronił. Mauryl zadbał o twoją ucieczkę. Mauryl nie mógł zrobić dla ciebie nic więcej, a tym bardziej dla siebie.

Wspomnienie tamtego miejsca było wszystkim, co mu pozostało, a słowa Emuina zagrażały spójności owego wspomnienia.

–Byłem tam szczęśliwy. Chcę tam wrócić, mistrzu Emuinie.

–Mauryl był wymagającym nauczycielem, a mógł być strasznym człowiekiem. Dobrze się stało, że go pokochałeś, skoro dzięki temu nie zobaczyłeś drugiej strony jego natury. Cierpliwość zawsze przychodziła mu z trudem.

–Dla mnie był dobry.

–Tristenie, usłyszysz jeszcze o nim wiele smutnych rzeczy, przeważnie prawdziwych. Napęlił serca strachem, siał nienawiść. Większość tego złego, co się o nim mówi, odpowiada prawdzie. Podobnie jak, wierzę w to mocno, wszystkie rzeczy, które pamiętasz. Mówię ci to wszystko, gdyż zapewne usłyszysz, jakie zło zarzucają mu ludzie, a nie

chciałbym, żebyś czuł się zakłopotany. Trzymaj się prawdy i tego, co o nim wiesz; nie jest to prawda gorsza od innych; równie rzetelna, jak wszystkie, o których ludzie słyszeli. Jestem głęboko przeświadczony, że okażesz się o wiele szlachetniejszym mężczyzną niż mistrz, którego znałem.

Czuł się podobnie, gdy niegdyś dotknął węgla w palenisku. Ręka, która znalazła się w ogniu, nie była potem taka jak poprzednio, zdobyła wiedzę, lecz nigdy już nie cieszyła się tak bardzo światłem. Ręka została oparzona. Ból wniknął do umysłu. Niewielka, gładka blizna przypominała o tamtej chwili wbrew słowom otuchy Mauryla. W ten sam sposób usłyszał prawdę o Maurylu, dowiedział się, że czarodziej żył jeszcze przed nim, poza nim, że miał innych uczniów, którzy darzyli go chłodniejszym uczuciem. Nie miał powodu przypuszczać, iż Emuin go okłamuje, wydając tak niepocholebny opinię o Maurylu będącym dawniej sędzią złych i dobrych uczynków Tristena – podobnie jak teraz Emuin był jego mistrzem.

–Tristenie – zapytał Emuin – powiadasz, że siedziałeś na schodach w dniu, kiedy opuścił cię Mauryl?

–Tak, panie. – Promienie słońca straciły wtedy swą moc. – Siedziałem.

–Co wówczas zobaczyłeś? Co usłyszałeś? Co poczułeś?

–Kurz. Wiatr. Wiatr przybrał kształt. Dmuchał i zamienił się w liście. Zaryczał w twierdzy i zaczęły spadać dachówki.

–Wiatr przybrał kształt. Jak ten kształt wyglądał?

–Jak człowiek.

Emuin zamilkł na dłuższą chwilę. Oblicze jego zdawało się poorane głębszymi zmarszczkami, posępniejsze, powleczone bladością. Tristen wiedział, że nie spodobały mu się zasłyszane wieści. Ale tak przedstawiała się prawda.

Emuin puścił młodzieńca i przez chwilę z oczu starca wyzierały zarówno powaga, jak i gniew.

–Cefwyn będzie się o ciebie troszczył.

–Tak, panie. – Tristen przestraszył się nie na żarty tego, iż zostanie rzucony na pastwę opiekuńczych skrzydeł Cefwyna; mniej się lękał nawet wędrowek po lesie.

–Cefwyn to zacny człowiek, Tristenie. Był moim uczniem, więc dobrze poznałem jego serce, prawe, acz powściągliwe. Wielu ludzi zabiega o jego przychylność, nie zawsze z czystych i mądrych pobudek, więc księżę stara się o to, by droga ku niej obfitowała w zakręty i przeszkody. Ale kiedy już pokonasz wszystkie bariery, możesz liczyć na jego dobre serce. To także księżę Ylesuinu i prawa ręka swego ojca w tym regionie, musisz go tedy

szanować jako twego pana. Tylko pamiętaj, pamiętaj o jednym, skoro już przy tym jesteśmy: nie wierz na ślepo w każde słowo Cefwyna. Czasami wydaje mu się, że uczciwie stawia sprawę, lecz w każdym momencie może przyjść mu do głowy lepsza myśl. Podobnie jak ty, jest młody. Podobnie jak ty, popełnia błędy. Wreszcie, podobnie jak tobie, grozi mu niebezpieczeństwo. Ucz się od niego ostrożności, lecz pamiętaj, ma on złe nawyki, których nie naśladuj! Możesz liczyć na jego sprawiedliwość. Nawet na hojność. Której po mnie nie oczekuj. Której ja nie ośmieliłbym się okazać.

–Tak, panie.

Miejsce, w którym się znajdowali, jaśniało i jaśniało, aż zaczęło przypominać perłę, przyobleczone wyłącznie w szarości i biele. Emuin promieniał przenikającym go na wskroś blaskiem, obejmującym również Tristena.

–Zaprawdę – stwierdził Emuin, chyba nareszcie zeń zadowolony – zaprawdę stanowisz jego dzieło, młody Tristenie. Ujmij moją dłoń i nie puszczaj. Nie puszczaj!

Tristen z trudem łapał oddech, stojąc przy ławce u brzegu stawu. Emuin był już jednak daleko, w połowie drogi do drzwi; odwrócony doń plecami, przemierzał kamienną dróżkę.

–Odejdźcie stąd nie wchodzi w rachubę, młody panie. Nie zdołasz już odnaleźć Mau ryła. Możesz jednakże odnaleźć mnie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie przychodź tu częściej niż to konieczne. Stanowczo ci tego zakazuję, mógłby cię tu, bowiem wysledzić Nieprzyjaciel. Nie przyprowadzaj go w to miejsce. I nie marudź zbyt długo w tym świetle. Jedynie w wyjątkowych przypadkach, Tristenie. Jeżeli postąpisz wbrew tym przykazaniom, obaj znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Tristen odniósł wrażenie, że dłoń Emuina musnęła jego policzek. Jakby dotknęła go z czułością przywodzącą na myśl Mauryła. I ostrzeżeniem przed Nieprzyjacielem, które wystraszyło go w niewiele większym stopniu niż samo ulotne Słowo. Wiedział, że Emuin odchodzi, lecz w inny od Mauryła sposób – istniało Miejsce, do którego Emuin zmierzał, położone w pewnej mierzalnej odległości, gdzieś przy Drodze; jakkolwiek nie znajdowało się tutaj, nie było śmiercią.

Wiedział, że coś przytrafiło się Mauryłowi i że istnieje groźba – zarówno w świetle, jak i w Ynefel, przez co nazbyt długie przebywanie w szarej przestrzeni wiąże się z niebezpieczeństwem.

Emuin zniknął za drzwiami ocienionymi winoroślą tworzącą nad ścieżką zielony baldachim.

Podmuch wiatru zaszeleścił na żwirze, wzbijając obłoki pyłu.

Kartki porzuconej książki, ożywione beztroskimi powiewami, zatrzepotały głośno.

Tristen zachował się nierozważnie. Nie lubił takich wiatrów. Podszedł i zabrał z ławki

Książkę Mauryla oraz Książkę o Filozofii, pod czujnym okiem cierpliwych gwardzistów zamknął i ścisnął cenne stronicę.

Nie miał jednakże dokąd pójść, nie miał żadnego zadania do spełnienia, zobligowany jedynie do wypełniania poleceń Emuina. Usiadł na kamiennej ławce i oddał się rozmyślaniom, obserwując ruchy ryby pod połyskującą powierzchnią stawu, dopóki cień muru nie nadał wodzie przejrzystości. Zdawał sobie sprawę, że gwardziści nieprzejawiający zainteresowania książkami, ptakami czy rybami stają się niecierpliwi i chcieli już odejść z tego miejsca.

Rozdział jedenasty

Z rana obudził go zgiełk na dziedzińcu, istny harmider. Zerwał się z łóżka i podbiegł do drzwi, aby zasięgnąć informacji u gwardzistów, którzy, na swój sposób, wiedzieli niemal o wszystkich wydarzeniach.

–Rozkaz był z tobą nie gadać, panie – napomniał go jeden, zwany Syllanem.

–Mistrz Emuin wyjeżdża – oznajmił Aren, który czasami odzywał się do niego, w pojedynczych słowach i z przekrzywioną głową.

–Wyjeżdża? – powtórzył poruszony do głębi Tristen, po czym wbiegł z powrotem do pokoju, nie dbając o służbę, nie dbając o śniadanie ani o zewnętrzny wygląd. Nigdy w życiu tak szybko się nie ubierał, ani w Ynefel, ani w Henas'amef. – Chcę zejść na dół, panowie – rzucił na korytarzu.

–Młody panie – zaproponował Aren – wiesz przecie, iż zakazano ci schodzić, kiedy konie...

On jednak biegł, nie czekając, ścigany przez strażników.

–Chociaż ze schodów – poprosił, zwalniając kroku dla zaczerpnięcia oddechu, a następnie puszczając się biegiem wzdłuż sali i po schodach. Gwardziści, dogoniwszy go, biegli z nim razem.

Na dolnym piętrze panowało wielkie poruszenie, drzwi pośrodku sali rozwarły na oścież, a kiedy Tristen wyszedł na wspaniałe południowe schody, których nigdy dotąd nie ośmielił się odwiedzić, dziedziniec rozbrzmiewał stukotem końskich kopyt. Sypały się przekleństwa i rozlegały okrzyki, niezabarwione bynajmniej gniewem, ale takie, jakimi posługują się ludzie, gdy im dokądś spieszą i gdy w dobrym nastroju wykonują powierzone im zadania. Tristen zszedł do połowy szerokich schodów, lecz wtedy jeden z gwardzistów przytrzymał go za ramię.

–Jeszcze trochę – poprosił, lecz oni odsunęli go na bok, poza gwarny nurt ludzi schodzących i wchodzących w rozmaitych sprawach. Przytrzymywali Tristena, dopóki nie wdali się nagle w dyskusję z którymś z żołnierzy oczekujących na mającego lada chwila

nadejść kapitana.

Tristen podziwiał zebrane na placu konie oraz obserwował ludzi wspinających się na siodła, doglądających broni i sztandarów. Było kolorowo i hałaśliwie, toteż całemu widowisku przyglądałby się z dużą przyjemnością i zaciekawieniem, gdyby nie bolesna świadomość powodów całego zamieszania.

Emuin pokazał Tristenowi sposób, w jaki mógł on nawet podczas największego zamętu odnaleźć starca w razie nagłej konieczności.

Nie, sprostował w duchu, pomylił pojęcia. Emuin powiedział, że to niebezpieczne i że jeśli zajdzie po temu konieczna potrzeba.

Stał więc posłuszny zaleceniom, gdy wtem u stóp schodów ujrzał przechodzącego Emuina. Zszedł o dwa stopnie niżej, nieświadomie badając granicę cierpliwości strażników. Emuin tymczasem spojrzał w górę i skinął na Tristena ręką; wobec takiego przyzwolenia zbiegł on natychmiast ze schodów.

–Pamiętaj, co ci powiedziałem – rzekł Emuin, biorąc go w ramiona.

–Tak, panie. – Popatrzył na twarz Emuina, pozbawioną wyrazu zarówno aprobaty, jak i gniewu, lecz pełną niepokoju. Za nic w świecie nie chciał przysparzać mu powodów do zmartwień. – Mauryl przestrzegł mnie o niebezpieczeństwach. Kazał zawsze zamykać okiennice.

–W Zeide nie ma okiennic – stwierdził Emuin – ale unikaj ciemnych zakamarków, młody panie.

–Będę ich unikał – zapewnił gorliwie. – Proszę, proszę, uważaj na siebie, mistrzu Emuinie.

–Tyle ci mogę obiecać. – Emuin uściskał go po raz drugi, tym razem z żarliwością, jakiej nie okazał zeszłego dnia, po czym odszedł w kierunku wysokiego, nakrapianego, czekającego w gotowości wierzchowca.

Emuin wspiął się na grzbiet z pomocą stajennego. Pozostali jeźdźcy otoczyli go kręgiem, otworzyły się bramy Zeide i oddział wyruszył wśród stukotu podków rażno idących koni.

W tymże momencie straż przyboczna pojawiła się obok Tristena, ażeby przejąć go pod swoją opiekę. Młodzieniec, wracając spokojnie z gwardzistami, zatrzymał się w połowie wysokości schodów i spojrzał na ostatniego jeźdźca w kolumnie.

Żelazne wrota zamknęły się ze zgrzytem. Gwardziści podjęli rozmowę z żołnierzami.

Znikła jedyna ważna przyczyna, dla której mógł przebywać na dziedzińcu; większość ludzi wspinała się na schody, powracając do komnat, bądź przemierzała plac w stronę stajni, on

jednak nie czuł żadnej palącej potrzeby pójścia dokądkolwiek.

Dostrzegł cię kątem oka. Gdy podniósł wzrok, ujrzał marsowe oblicze stojącego na półpiętrze Idrysa.

Zobaczyli go również gwardziści i zrobili zakłopotane miny, przyłapani, obawiał się Tristen, na poważnym przewinieniu.

W towarzystwie strażników pokonał resztę schodów, ścigany lodowatym spojrzeniem Idrysa.

–To wszystko moja wina, panie.

–Czyżbyś lekceważył książęce rozkazy? Czyżbyś zamierzał traktować je wedle własnego uznania?

–Nie, panie – odpowiedział. Bał się, że Idrys uczyni coś w celu ograniczenia jego wolności. Albo, że niesprawiedliwie oskarży gwardzistów. Idrys zniknął jednak za drzwiami naprzeciwko, nie racząc się nawet obejrzeć.

–Wielceś, panie, uprzejmy – mruknął Syllan.

–Jako żywo, panie – dodał Aren.

–Przecież to ja zawiniłem – utrzymywał Tristen, zgodnie z prawdą, ciesząc się jednocześnie, iż mógł po raz ostatni zobaczyć się z Emuinem i zostać przezeń gorąco uściskany, dzięki czemu czuł, że Emuin naprawdę troszczy się o niego i w razie potrzeby pośpieszy mu z pomocą.

Nic już jednak nie powiedział, jako że gwardziści, którym nakazano milczenie, ponownie złamali zakaz.

W następnej kolejności Tristen poszedł do ogrodu wypełnionego tą samą, co na ogół liczbą spacerowiczów. Ludzie śmiali się jednak i rozmawiali, gdy zazwyczaj panowało wśród nich skupione milczenie. Wyglądało na to, że wszyscy, którzy porzucili swe obowiązki, aby obejrzeć wyjazd Emuina, zebrali się z zamiarem poplotkowania o starcu i o kierujących nim pobudkach. Stali, gawędząc w grupach, uważając przy tym, aby ich głosy nie niosły się zbyt daleko.

Ogród jednakże, traktowany przezeń zwykle jako azyl i schronienie, przypominał mu tylko, że Emuin nie pojawi się tutaj, w tym miejscu wydającym się jeszcze niedawno promieniować jego osobowością, a teraz posępny i umniejszony przez nieobecność starca.

Nie chciał porzucać rozglądających się za nim ptaków, a jednak, nakarmiwszy je, opuścił ich towarzystwo i wrócił do swej komnaty.

Pogrążył się w lekturze, siedząc na ławeczce skąpanej w świetle padającym przez okno z szybkami w kształcie rombów; zamykany na zatrask lufcik, zbyt mały, żeby wystawić przezeń głowę, szeroko otworzono. O mało nie udało mu się zwabić gołębia na wewnętrzny parapet, ale nawet najodważniejsze z ptaków wciąż patrzyły nań z nieufnością.

Posiadał tajny schowek na okruszyny chleba, które co jakiś czas wysypywał na parapet za oknem. Była to jego codzienna rozrywka.

Przypuszczalnie Idrys zrugął porządnie gwardzistów, gdyż zachowywali się bardzo spokojnie, a z ogrodu odprowadzili go ze spuszczonego wzrokiem.

Przez wiele następnych dni otaczały go jedynie pustka i cisza. Jakże chętnie z kimś by porozmawiał! Słudzy przynosili mu jedzenie; sami je wybierali, gdyż nie umiał poprosić o żadne szczególne danie. Jadał, rzecz jasna, wykwintne potrawy, będąc przeświadczonym, że w kuchni przygotowywano je z wielką pieczołowitością, lecz z coraz to mniejszym apetytem pochylał się nad talerzem, a trzeciego wieczoru po wyjeździe Emuina zdecydowanie odmówił spożycia kolacji, zadowolając się wyłącznie kromką chleba.

Służba dbała o jego ubiór. Służba zmieniała świece. Kiedy pewnego razu, w przypiływie wywołanej samotnością desperacji, ośmielił się życzyć parobkowi dobrego dnia, człowiek ten poderwał się, uklonił i odszedł. Wiedząc, że swoim zachowaniem spowodował kłopoty na gwardzistów, bał się do nich odzywać, ograniczając się wyłącznie do informowania, gdzie ma zamiar iść; stali się ostatnio niezwykle milczący, nawet między sobą.

Sowa nie przyleciała. Gołębie powinny się z tego cieszyć, ale jego dręczył smutek z powodu rozłąki z ptakiem. Podejrzał, że Sowa kręci się w pobliżu miejsca, gdzie ją pozostawił – to znaczy na skraju lasu Marna, niedaleko mostu. Na brzegu rzeki pojawiały się ptaki i małe stworzenia, z których Sowa będzie sobie sporządzać kolacje, stając się prawdopodobnie postrachem okolicy, bezlitosnym Cieniem. Nie tracił nadziei, że Sowa ma się dobrze.

Wreszcie zaświtał czwarty poranek; zszedł po schodach, zaczynając kolejny dzień samotnej tułaczki pod eskortą strażników. U podnóża schodów zatrzymał się na dłużej, zadumany i zniechęcony do podejmowania swej zwyczajowej włóczędzy. Nie widział przed sobą celu, nie nęciło go absolutnie żadne miejsce, żadne zajęcie; nie miał ochoty niczego oglądać ani o nic pytać.

Ruszył wzdłuż sali, przyglądając się wzorom przebiegającym pod stopami na marmurowych płytach, odnajdując w nich kształty, ciągle świadom śledzących go gwardzistów, sprawujących nad nim codzienną pieczę, niechętnych rozmowom.

–Panie Tristenie – powitał go cichy, zdławiony głos. Ów zakazany głos dolatywał gdzieś z przodu.

Chcąc nie chcąc, musiał podnieść wzrok. Serce zamarło mu na moment, gdy z lękiem

wspomniał na zdenerwowanie Idrysa. Była to, czego się obawiał, lady Orien. A właściwie dwie lady Orien, podobne do siebie co do joty, o płomienistych czuprynach, ubrane w identyczne stroje – zielone, przetykane złotogłowiem aksamity. Obie się uśmiechały.

–Nie wolno mi z wami rozmawiać – powiedział i zaczął iść w przeciwnym kierunku, lecz Orien (o ile to była ona) pokonała z szelestem sukni dzielącą ich przestrzeń i zawisała z uśmiechem na jego ramieniu.

–Tristenie – zagadnęła – dokąd to w takim pośpiechu? Do zakurzonych ksiązek?

–Mauryl przykazał mi...

–Ach, Mauryl – parsknęła lady. – Też mi coś! Druga, zupełnie taka sama, dodała:

–Jakżeś smutny na twarzy, panie Tristenie.

–Czcigodne panie – odparł, usiłując strącić najpierw jedną, potem drugą lady z ramienia – już wyjaśniłem. Proszę, zakazano mi z kimkolwiek rozmawiać.

–Toż to istne tortury, a nie żadna gościnność. Jakim sposobem naraziłeś się księciu?

–Proszę – powtórzył Tristen. Oderwał się od nich, roztrącił zakłopotanych gwardzistów i ruszył w stronę, z której przybył. Prawdopodobnie obraził lady Orien, ale Emuin wyraźnie rozkazał mu jej unikać. A magia uczyniła dwie z jednej. Nie patrząc za siebie, pośpiesznie wspiął się na schody.

Gdzie stanął oko w oko z dwójką strażników spod bramy.

Twarz jednego z nich nawiedzała go w koszmarach. Wbrew sobie zajrzał mu w oczy, po czym odwrócił się i zbiegł ze schodów, a następnie ruszył bocznym korytarzem prowadzącym do ogrodu.

Podążyli za nim tylko przyboczni gwardziści. Usiadł na ławce nad stawem i splótł dłonie pod pochyloną głową; powoli łapał oddech.

Strażnicy spod bramy, wmawiał sobie, nie przyjdą tu po niego. Nie zauważyli niestosownego zachowywania Tristena. Nie złożyli nań raportu. A gwardziści tego z pewnością nie uczynią. Stali teraz w ciszy, posłuszni rozkazom, ale byli to wciąż jego przyboczni opiekunowie, którzy z pewnością wyratowaliby go z opresji, gdyby mieli czas, podobnie jak interweniowali, aby uchronić go przed innymi niestosownymi spotkaniami. Miał nadzieję, że nie spotka ich żadna nagana.

Resztę dnia spędził nad stawem. Tylko raz odwiedził kuchnię z prośbą o kawałek chleba, którego połowę odstąpił ptakom i rybce, nigdy niewypominających mu potknięć, głupstw i nieostrożnego zachowania.

Po południu podciągnął kolana pod brodę, wsparł głowę na rękach. W ciepłych promieniach słońca odważył się uciąć sobie krótką drzemkę, jako że przestał dobrze sypiać nocami. W snach słyszał wycie wiatru. Skrzydła trzepotały w panicznym przestraszeniu, trzeszczały belki i dźwigary. Z łukowatych nadproży sypały się kamienie. Między pniami Cienie skradały się bezgłośnie i złowieszczo, a wichur burzył korony drzew, chrobocząc wyschniętymi patykami i ciężkimi od liści gałęziami, aż zdawały się odzywać ludzkim głosem.

Tutaj – wiatr nie umiał się wydostać poza mury okalające ogród, drzewa były przyszczone przez ogrodników, a głosy wydawali ignorujący jego obecność przechodnie.

Ktoś jednak stąpał po żwirze nad wodą.

I znieruchomiał.

Tristen podniósł wzrok na posępną twarz Idrysa i zerwał się na nogi. Stał z bijącym sercem, gdyż Idrys nie pochwalał nigdy jego uczynków.

–Księżę Cefwyn cię wzywa – rzekł Idrys. Najgorsze obawy Tristena przybrały widomą postać.

Pod drzwiami apartamentów Cefwyna, jedno piętro poniżej komnaty Tristena, stały strażnicy: chmurni mężczyźni w czerwonych płaszczach i złoto-czerwonych bluzach z emblematem złocistego smoka. Przyboczna gwardia Cefwyna składała się z gueleńskich żołnierzy. Idrys bez wahania wkroczył w ich środek, a po nim Tristen minął pilnowane drzwi, następnie przedpokój, by na koniec znaleźć się w komnacie wypełnionej luksusem, o jakim – nawet wyobrażając sobie trzykrotnie wspanialszy wystrój swego pokoju – nigdy by nie pomyślał.

Wzorzyste kobierce, pozłacane ozdoby na upiękuszonym niezliczonymi malowidłami suficie, meble z rzeźbionymi splotami stylizowanych liści, palenisko z czołem pokrytym złotymi i ciemnozielonymi kafłami, błyszczącym od wypolerowanego mosiądzu. Idrys przystanął przy ogniu, skrzyżował ramiona i czekał. Tristen zamarł w bezruchu; nie śmiał podnieść wzroku, tylko rzucał na boki spłoszone spojrzenia, udając, że patrzy na ziemię.

Były tu okna – wysokie, oszklone okna, podobne do tych, które widział w szklarni na dole, z szybkami przezroczystymi pośrodku i bursztynowo-zielonymi na obrzeżach; bursztyn i zieleń przywiodły mu na myśl, ku udręczeniu sumienia, szaty napotkanych dam. Zauważył, że okna wyglądają na dachy domostw rozłożonego za murami miasta, na upstrzone gmatwaniną załamań czarne dachówki i kominy, z których tu i ówdzie ulatywały szare pióropusze, tworząc obłoki dymu – plamy na wieczornym niebie.

Na lewo, obok wnęki z oknami, otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł Cefwyn, zatrzymał się, popatrzył...

Tristen pochylił głowę w ukłonie, wiedząc, że tak zachowują się ludzie w obecności księcia.

–Dzień dobry – pozdrowił go Cefwyn, podchodząc do stołu.

–Dzień dobry, Wasza Książęca Mość.

–Emuin prosił mnie, żebym się z tobą zobaczył.

Tristen domyślił się z ulgą, że nie chodzi o popełnione przezeń wykroczenie.

Czyżby teraz, po wyjeździe Emuina, książę przejmował nad nim, niechętnie, bezpośrednią władzę? Prawdopodobnie tak właśnie wyglądał naturalny porządek rzeczy. O wiele, wiele bardziej wolał Emuina.

–Nie potrzebujesz niczego? – zapytał Cefwyn.

–Nie, panie.

–Niczego? – powtórzył książę, nie wydając się zbytnio uszczęśliwiony rolą opiekuna.

Tristen wolał sprawiać mu jak najmniej kłopotów. Znał takie nastroje. Cefwyn budził w nim lęk. Stracił Emuina. Byłby zadowolony, gdyby Cefwyn na wiele dni zechciał o nim zapomnieć.

–Nie, panie – odparł posłusznie.

–Jeśli kiedykolwiek będziesz miał jakąś prośbę, zwrócisz się z nią do mnie.

–Tak, Wasza Książęca Mość. – Zrazu przypuszczał, że słowa te oznaczają koniec audiencji, lecz przeszywające spojrzenie Cefwyna pozbawiło go złudzeń.

–Pamiętasz o swym zobowiązaniu? – przypomniał mu Cefwyn. – Nie wolno ci rozmawiać z nikim na zamku.

–Tak, panie. – Nie dopuścił się wprawdzie kłamstwa, ale postanowił zbliżyć się bardziej do prawdy. – Czasami ludzie odzywają się do mnie, ale ja nigdy nie szukam rozmowy.

–A jak spędzasz dni, mości uczniu?

Wzruszył ramionami, czując, jak złość dławi go w gardle. Skierował wzrok poza ramię Cefwyna, poza okna, na dachy i obłoki dymu.

–Karmię ptaki.

–Karmisz ptaki? – Książę najwidoczniej odebrał to jako żart.

–Są wdzięczne, panie, jak tylko wdzięczne potrafią być ptaki. I uprzejme, jak to one.

–Czy chcesz mnie obrazić?

–Nie, Wasza Książęca Mość, nie zamierzam nikogo obrażać.

–I nie brak ci niczego?

–Nie, Wasza Książęca Mość.

Cefwyn zmarszczył czoło i zatknął dłonie za pas.

–Idrysie.

–Panie.

–Niech Annas przyniesie wino... A ty usiądź – skinął na Tristena, nagłym ruchem wskazując na rząd krzeseł stojących w kącie obszernej komnaty.

Tristen zasiadł niechętnie na najbliższym z brzegu. Cefwyn siedział z twarzą zwróconą w jego stronę; skrzyżował w kostkach nogi i oparł się wygodnie, zaplatając ręce na brzuchu.

–Nie masz żadnych rozrywek – zauważył Cefwyn. – Przestałeś jeść, jak mnie powiadomiono. Spacerujesz po salonach lub beczynnienie przesiadujesz w ogrodzie.

–Karmię tam ptaki, panie.

–Nie próbowałeś uciekać.

–Nie, panie, nigdy.

–Emuin utrzymuje, że nie kierujesz się złą wolą. Przekazał cię pod moją opiekę. I co ja mam teraz z tobą począć?

Cefwyn potrzebował odpowiedzi, która pozwoliłaby mu zamknąć całą sprawę, to wszystko.

–Niczego mi nie potrzeba.

–Czy masz jakieś życzenia? – zapytał Cefwyn. – Pal lichu, czego potrzebujesz. Mam władzę. Co chciałbyś, żebym zrobił?

–Pozwól innym rozmawiać ze mną.

–Jesteś jednym z najdelikatniejszych pośród moich gości. Nie mogę wysłać cię pomiędzy tych amefińskich lordów. Rozszarpaliby cię jak wilki.

–Nie będę rozmawiał z lordami. Tylko z moimi gwardzistami, jeśli łaska, panie.

Otworzyły się drzwi. Sędziwy służący przyniósł wino i, napełniwszy dwa kubki, pierwszy z nich podał Cefwynowi, a drugi – Tristenowi. Cefwyn podniósł swój do ust i wypił jednym haustem, lecz młodzieniec tylko umaczał usta, gdyż w ciągu ostatnich dni bardzo mało jadł i trunek z trudem spływał do jego żołądka.

–Idrysie – rzucił niespodziewanie Cefwyn.

–Wasza Wysokość?

–Możesz spać spokojnie. Nie znajduję w nim żadnego zagrożenia.

Idrys opuścił ramiona i osunął się na ławeczkę niedaleko ognia, podciągnął kolano i wsparł na nim rękę. Spojrzenie jego ciemnych oczu ani na chwilę nie przestało krążyć po komnacie, na czole utrzymywały się bruzdy.

–W Henas’amef brakuje cywilizowanych rozrywek – rzekł Cefwyn – z wyjątkiem polowań. Oczywiście, o polowaniach w okolicy Ynefel nie może być mowy.

Tristen potrząsnął głową. Polowanie było słowem kojarzącym się z krwią i śmiercią.

Po plecach przeszło mu mrowie.

–Na bogów, czym ty się tu zajmujesz? Okultyzmem? Gusłami? Pogańskimi obrzędami?

–Czytam, panie.

–Masz ochotę na przejażdżkę, Tristenie?

Konie, no i otwarte przestrzenie. Pęd powietrza. Blask słońca.

–Tak – odpowiedział bez zastanowienia.

–Wasza Książęca Mość – zaproponował Idrys, prostując się na ławeczce.

–Z pełną eskortą – rzekł Cefwyn.

–Ależ panie mój, okolica nie jest bezpieczna.

Cefwyn zmarszczył brwi, skrzyżował gniewnie ramiona na piersi, potoczył wokoło roziskrzonym wzrokiem.

–Bez wątpienia. Dlatego też wyruszymy ze świtą.

–Panie – Idrys wciąż protestował.

–Nie, nie i jeszcze raz nie. – Cefwyn rozżłościł się nie na żarty; nie patrzył już na Idrysa,

tylko na stół. Oczy jego gorzały szaleństwem niczym źrenice nadąsanej Sowy. – Do pioruna, już się duszę w tej amefińskiej gościnności. W otoczeniu gwardzistów, z odziałem ciężkiej jazdy i Smoczą Gwardią na dodatek, ale pojedę, Idrysie. Jutro, na bogów! – Przednie nogi krzesła opadły z hukiem, gdy księżę obrócił się do Tristena z marsową, nasrożoną miną. Młodzieniec wiedział, że to nie jego zachowanie jest źródłem irytacji Cefwyna. – Jutro – ciągnął księżę – jutro z rana, o pierwszym brzasku, wyruszymy na zachód, spędzimy wspaniały dzień przy dobrej pogodzie i wrócimy na sutą kolację. Czy to cię zadowala?

–Tak, Wasza Książęca Mość.

–Idrys dba, by nic nie zagroziło mej osobie. Wszędzie węszy niebezpieczeństwo, ale po to tu jest... Idrysie, co z tym Annasem, podaje obiad, czy też zbiegł do Elwynimów? Gdzie on się podział?

–Czy skończyłeś już, panie, załatwiać bieżące sprawy?

–Tak. Skończyłem, podpisałem, zalakowałem, opieczętowałem i basta! Nie życzę sobie więcej jegomościów z zażaleniami ani żadnych rejestrów podatkowych. Stanowczo odmawiam. Wyrzekam się ich. Powierzam to wszystko piekielnym ogniom. Nie, do licha, ty zostajesz, Tristenie. Zjesz tu ze mną kolację, prawda?

–Tak, panie – rzekł, zmieszany. Zaczął się podnosić, nabrawszy pewności, że owa powódź gorzkich, zaprawionych zniecierpliwieniem słów wyraża chęć pozbycia się i jego, lecz oferta wspólnego posiłku oraz możliwość porozmawiania z kimś pobudziły w nim nagle, pomimo ciągłego strachu, apetyt. Opadł z powrotem na krzesło; wypił wino: miał sucho w ustach. Idrys wyszedł, aby zawezwać Annasa, wskutek czego powstał wnet rozgardiasz z tackami, miskami, talerzami i paziami w roli głównej; jeden z paziów, nie prosząc o zgodę, pośpieszył napełnić kubek Cefwyna oraz Tristena.

–Cóż zatem porabiałeś tu w wolnych chwilach, oprócz karmienia ptaków?

–Czytałem, panie – odrzekł Tristen.

–Grasz w kości? Brzdąkasz na lutni? Robisz cokolwiek oprócz czytania i karmienia gołębi?

–Ja... raczej nie, panie.

–Dwór trzęsie się od plotek na twój temat. Mężczyźni pękają z zazdrości. Kobiety są pod wrażeniem. Wszyscy zadają mi pytania.

–Jakie, panie?

Cefwyn spojrział nań, jakby dokonał czegoś doniosłego albo popełnił jakieś głupstwo. Siedział nieruchomo, a Cefwyn nie zadawał więcej pytań.

Tymczasem stary służący Annas wraz ze swiątą paziów zastawił z magiczną szybkością błyszczący stół w przyległym pomieszczeniu i ogłosił, że kolacja czeka. Tristen podążył za Cefwynem i zasiadł na końcu stołu. Cefwyn zajął miejsce naprzeciwko niego, podczas gdy Annas spacerował między nimi, serwując białą, pachnącą delikatnie zupę o smaku grzybów. Była bardzo smaczna. Od dawna, pomyślał, nie kosztował niczego równie dobrego.

Idrys wciąż stał na straży, jakby nigdy nie bolały go nogi, a plecy nie umiały się zginać. Od czasu do czasu Tristen zerkał na niego z ukosa, rozmyślając o tym człowieku, zakłopotany faktem, że wzrok strażnika wlepiony jest w jego plecy.

–On później zje swoją kolację – wyjaśnił Cefwyn, zapytany. – Jeszcze nie rozumiesz panujących tu obyczajów.

–Nie, panie.

–To twoja zaleta.

–Tak, panie.

–Czyżbyś nie umiał przemawiać? – zapytał Cefwyn. – W kółko słyszę to samo: panie, Wasza Książęca Mość, i nic więcej.

–Potrafię... dyskutować, Wasza Książęca Mość. Cefwyn potrząsnął głową.

–Milczenie Idrysa nie jest mi ciężarem, gdyż wiem, co się za nim kryje. Tak samo może być z twoim milczeniem, jeśli to ci odpowiada... Idrysie!

–Panie?

–Bez żadnych ceremonii. Przez ciebie nasz gość czuje się niezręcznie. On nie jest Amefińczykiem. Już z tego powodu jestem skłonny mu ufać.

Idrys podszedł do kredensu, gdzie odpiął z hałasem swój miecz. Usiadł na brzegu długiego stołu, na przygotowanym przez Annasa miejscu. Popuścił kilka spinających czarną zbroję rzemyków i nadstawił kubek, do którego paż nalał wina.

–Idrys jest człowiekiem, któremu powinieneś zaufać, Tristenie. Musisz go zrozumieć. To jedna ze stałych gwiazd na firmamencie, a takie są już rzadkością. On i Emuin, i Mauryl, każdy na swój sposób. Myślę, Idrysie, że powinniśmy jutro wybrać się do Emwy. Z wioski tej docierają do mnie skargi na ginące owce. Sądzę, że dobrze będzie zająć się tą sprawą.

–Trochę to za blisko rzeki – zauważył Idrys. – I za daleko stąd. Trzeba by było zostać na noc.

–Za blisko rzeki. Za blisko wzgórz. Za blisko lasu. Na całym bożym świecie nie znajdziesz miejsca, Idrysie, skąd nie byłoby do czegoś blisko. – Cefwyn zaczął oddychać spokojniej. – Na prowincji wzrosną sympatie do mnie, czyż nie, jeżeli wykażę się pewną osobistą troską o lokalne sprawy? Nie pozwolę, by ktokolwiek myślał, że kulę się ze strachu przed zamachem na moje życie. Wolałbym też nie polegać na zapewnieniach Heryna ani na jego mapach.

–Nie wyruszajmy z dnia na dzień. Nie w to miejsce. Na dodatek z niewprawnym jeźdźcem.

–Emwy.

–Wasza Książęca Mość...

–Emwy, Idrysie. Albo Malitarin. To osada lojalna wobec Marhanenów. I w odległości czterech godzin jazdy, o ile dobrze pamiętam.

–Wolę już ruszać skoro świt do Emwy – odparł Idrys cierpko.

–To spokojna wioska. Dobrzy bogowie, tam tylko brakuje owiec! Leży w dystrykcie Arys. Od dawna szukam pretekstu, aby obejrzeć tamtejsze wzgórza, z bezpiecznej odległości, ma się rozumieć. Pragnę przekonać się, jak wygląda tam ziemia, jak szeroko rozciąga się urocza puszcza, zweryfikować mapy Heryna. Chętnie bym się również dowiedział, co doskwiera okolicznym mieszkańcom, poza utratą owiec. I o czym się mówi na pograniczu.

–Minimalne środki ostrożności to podwójny Patrol, Wasza Książęca Mość. I kwatery w Emwy, a nie nocleg przy drodze. Ściany i obecność w wiosce uzbrojonych ludzi.

–Zgoda, ale wyruszymy bez uprzedzenia. Ani słowa nikomu o celu naszej wycieczki. A na kwaterach obowiązuje grzeczne i powściągliwe zachowanie. Chciałbym, żeby ta wieś pozostała lojalna.

–Ośmielę się zauważyć, że nasz gość posiada jedynie lekki ubiór.

–Więc się tym zajmiesz. – Cefwyn przeniósł nagle wzrok na Tristena. – Nigdy nie jeździłeś konno?

–Nie, panie. Wasza Książęca Mość... Mauryl nie miał...

–A zatem żadnego doświadczenia z końmi. Umiesz obchodzić się z bronią?

–Nie, Wasza Książęca Mość.

–Idrys napomina mnie, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo napotkania Elwynimów na naszym brzegu rzeki. Pomniejszych grup, co prawda, ale lepiej, żebyśmy mieli się na baczności.

–Elwynimi są niebezpieczni, panie?

Cefwyn, rozbawiony, starał się stłumić śmiech; ostatecznie wsparł czoło na dłoni, trzęsąc głową.

–Stanowią zagrożenie – powiedział Idrys beznamiętnym tonem.

–Zaiste – dodał Cefwyn i podjął, nareszcie opanowany: – Ynefel zapobiegała ongiś tego typu sytuacjom, ale teraz moi kapitanowie spodziewają się serii zamieszek na Granicy, która mimo wszystko znajduje się w znacznej odległości od Emwy i przypuszczam, że w chwili obecnej nie mamy się czego lękać.

–Twoi wrogowie modlą się, byś tylko dał im dogodną okazję – stwierdził Idrys. –

Przypominam także, iż nasz młody gość, nie ujmując jego dobrej woli, nie zachowuje całkowitej dyskrecji.

–A ja – odrzekł Cefwyn – nie przypuszczam, by owce z Emwy zwyczajnie zabłądziły. Mniemam, że stoją za tym bandy wygłodniałych Banitów, wypartych z lasu przez naszego prawdziwego nieprzyjaciela zza rzeki.

–Banici – wtrącił Tristen, pogrążony w rozmyślaniach o Maurylu i Elwynimach, o owcach i o Granicy. – Ludzie z lasu.

–Ludzie z lasu?

–Widziałem kilku. Gotowali coś na ognisku. Wiem jednak, że nie była to owca, tylko jakieś dużo mniejsze zwierzę. Dali mi chleba.

–Niedaleko przeprawy Mauryla? – zapytał Idrys z niepokojącym zainteresowaniem.

–Chyba tak, panie, blisko mostu, albo nie... szedłem tak długo... Paziowie uprzątnęli wazy z zupą i wnet podali pikantny gulasz i doskonale pieczywo. Rozszedł się upajający zapach i Tristen połknął łyżkę sosu, zagryzając chlebem. Żołądek dokuczał mu w coraz mniejszym stopniu.

–Wielce prawdopodobne – powiedział Cefwyn – że zaginione owce to sprawka zbójców. Banitów.

–Strażnicy przy bramie myśleli, że jestem jednym z nich – zauważył Tristen.

–I zostałeś odpowiednio potraktowany – zapewnił go Idrys – gdyby nie twoja książka. A tak przy okazji, jak się ma ta precudowna księga, lordzie Tristenie? Nadal ją czytujesz?

Pytania Idrysa nigdy nie brzmiały przyjaźnie. Pytania Idrysa nigdy nie były przyjazne.

–Czytasz ją w ogóle? – dołączył się Cefwyn. – Emuin powiedział mi, że nic z niej nie rozumiesz.

–Staram się, panie – odrzekł Tristen słabowitym głosem, usiłując przełknąć kęs chleba, który ugrzązł mu w przełyku. Paź natychmiast napełnił jego kubek winem. Tristen sięgnął po trunek i przepłukał gardło. – Ale niczego nie pojmuję.

–Niczego nie pojmujesz – powtórzył Cefwyn niby echo.

–Nawet liter – wyznał Tristen. Pochwycił nieufne spojrzenie Idrysa.

–Emuin nic na to nie powiedział? – spytał Cefwyn. – Nie służył ci pomocą?

–Nie, panie, ale ciągle się staram.

–Trąci mi to czarną magią – mruknął Idrys. – Radzę zapytać kapłana. Być może bryaltyn umiałby coś przeczytać.

–Mam diabelną pewność, że nie zapytam żadnego quinaltyna – odrzekł Cefwyn. – Jedz. Do licha z książką. Pewnie w niej piszą, jak wyleczyć kiłę.

–Mauryl powiedział, że jest bardzo ważna, panie.

–Z kiłą też nie ma przelewek.

–Jeśli uda mi się z niej czegoś dowiedzieć...

Z wyrazu twarzy księcia wniósł, że palnął jakieś głupstwo. Cefwyn przerwał posiłek i położył na wargach zakrzywiony palec, powstrzymując się od śmiechu.

Także Tristen przestał jeść. Cefwyn opanował się, ale nie wyglądał na zagniewanego.

–Czasem nie wiem – powiedział Tristen – kiedy ludzie mówią poważnie.

–No toś znalazł się w złym miejscu – orzekł Idrys. Cefwyn wciąż walczył z wesołością.

–Tristenie, mało obchodzi mnie kiła, choć życzyłbym jej lordowi Herynowi. Jest to – dodał, zanim Tristen pomyślał o jakiejś odpowiedzi – nad wyraz nudny człowiek, podobnie jak cała ta sprawa. No, jedz.

–Tak, panie. – Czuł się niezręcznie, lecz Cefwyn nie wracał do tematu. Gulasz rychło znikł z talerza, podczas gdy Idrys ustalał z księciem liczbę ludzi, którzy powinni im towarzyszyć w planowanej wyprawie.

Jednakże Nazwa Elwynor nie dawała młodzieńcowi spokoju. Podobnie jak oskarżenia, które względem niego wystosowali pilnujący bramy. Podobnie jak wspomnienie ludzi z lasu. Sięgnął po wino. Przypomniawszy sobie gwardzistów, którzy cisnęli w niego tą Nazwą pomiędzy poszczególnymi uderzeniami pięści. Nazwa ta nie chciała, jak to zdarzało się w przypadku pospolitych rzeczy, wypłynąć na powierzchnię i ukazać swej definicji. Usiłował ją wyciągnąć, jakby była czymś, co ugrzęzło głęboko w bagnie.

–A czy... – odezwał się nieśmiało –...czy Heryn Aswydd nie rządzi zarówno Elwynimami, jak i Amefińczykami?

–Mauryl musiał posiadać przedawnione mapy – odpowiedział Cefwyn.

–A może starzec nigdy nie pogodził się z rozwojem wydarzeń?– dorzucił Idrys.

Cefwyn zmarszczył brwi.

–Wystarczy, mój panie.

–Nie włada już nimi jeden i ten sam monarcha – rzekł Idrys. – Aswyddowie przestali być królami. Przeniesiono stolicę. Czyżby Mauryl nigdy ci o tym nie opowiadał, mości czarowniku?

–Teraz rozumiesz, dlaczego nie zasiada do wspólnego stołu – powiedział Cefwyn, odchylając się na krześle z kubkiem wina w dłoni, gdy paziowie zaczęli wynosić naczynia. – Prowokuje wszystkich moich gości.

–Jedynie do prawdy, Wasza Książęca Mość.

–Ale dlaczego – wyrwał się Tristen, zmieszany, nie chcąc być powodem sprzeczki – Elwynimi przeprawiają się przez rzekę, by kraść owce Heryna Aswydda?

–To proste, zaraz sam się przekonasz – rzekł Cefwyn i zerwał się na nogi.

Idrys odsunął krzesło z zamiarem powstania, więc Tristen poszedł w jego ślady, zaambarasowany, gdyż sądził, że odchodzą od stołu. Zastanawiał się, dokąd ma pójść. Cefwyn rychło jednak odnalazł to, czego szukał, wyciągnąwszy ze stosu leżących na kredensie pergaminów jeden duży manuskrypt. Odsunął niedbale zawadzające mu naczynia, podczas gdy paziowie rzucili się do uprzątnięcia ostatnich talerzy. Solniczka posłużyła do przytrzymania jednego z narożników pergaminu, tak samo jak dzban z winem, którego wilgoć zagrażała atramentowym literom. Nie wszystkie słowa były czytelne. Tristen zbliżył się nieśmiało, gdy Cefwyn gestem kazał mu popatrzeć.

Jasne, wyblakłe barwy i zbrązowiałe ze starości kontury tworzyły mapę. Palec Cefwyna i udzielone przezeń wyjaśnienie zwróciły uwagę Tristena na miejsce opisane jako Henas'amef. Inny wzór oznaczał Puszcę Amefińską, a jeszcze inny, ciemniejszy – Mamę. Jej środkiem wiała się rzeka Lenuaim.

–Tu leży Ynefel, a tu płynie rzeka. To stary most Arys. Nasze królestwo Ylesuinu kończy się tutaj. – Palec Cefwyna powędrował do punktu, gdzie Lenuaim zakręcała w puszczy i gdzie kończył się las Marna. Z tej wielkiej otwartej przestrzeni wydzielono mniejsze obszary, wyrysowano wizerunki fortec, a całość opisano jako Elwynor. Jedna z warowni, Ilefian, obudziła w Tristenie niejasne wspomnienia. Ashiym stanowił siedzibę lorda, budowlę o siedmiu wieżach; na rysunku jednak przedstawiono ich tylko sześć... Nazwy i nazwy.

–To Elwynor. Czyżby Mauryl nie pokazywał ci w ogóle map? Głos Cefwyna dolatywał jakby z oddali. Tristen starał się uważać, lecz mapa zalewała go ogromem Nazw.

–Pokazał tylko niektóre. Wiem, że miał ich wiele, ale reszty nigdy nie widziałem. Ale wiem, czym one są, panie. One...

Coś na kształt mgły zaczęło zasnuwać jego oczy.

–Tristenie? – usłyszał.

–Elwynor był niegdyś znacznie większy – powiedział, gdyż wydawało mu się to prawdą, jakkolwiek, co innego przedstawiała mapa. Serce mu łomotało. Czuł, jak spowija go milczenie.

–Tak. – Głos Cefwyna zmącił tę niesamowitą ciszę.

Z łatwością odnalazł Emwy. Leżało dokładnie tam, gdzie wydawało mu się, że powinno leżeć. Ośmielił się dotknąć tej Nazwy, wcześniej mu nieznaney, choć Idrys i Cefwyn wymienili ją w rozmowie. Dopiero na mapie ją rozpoznał; Słowa posiadały nieuchwytną naturę: niby były, a jakby ich nie było, aż wreszcie objawiały się w przerażającym mgnienu oka i mógł je zobaczyć. Ujrzał cały Amefel, a powietrze wokół stało się duszne, ciepłe, napawające obawą.

–Tak, to Emwy – powiedział Cefwyn. – Tu właśnie owce giną na pastwiskach.

–O wiele za blisko stamtąd do rzeki – mruknął Idrys. – Wśród tamtych kamieni człowiek czuje się nieswojo. Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, panie, omówić całą sprawę.

–Też coś! Sihhijscy królowie. Jeszcze przed moim dziadkiem... Czy Mauryl uczył cię historii Althalen?

–Nie, panie, ani trochę. – Tristen czuł się osłabiony, przytłaczały go Miejsca i odległości.

–Tego należało się spodziewać. To... Dobrze się czujesz, Tristenie?

–Tak, panie. – Mgła rozwiała się, jakby prosto w twarz zawiął mu chłodny, rzeński wiatr. Poczul pod rękami twardy blat stołu. Zaczerpnął powietrza i odsunął od siebie kubek. – Mauryl powiedział, żebym uważał z winem. Jest mi po nim trochę za ciepło, panie.

–Na bogów, a my tak się staramy, żeby cię nie zepsuć! Annasie, otwórz okno. Świeże powietrze dobrze mu robi.

–Nie – zaproponował Tristen szybko. – Nie, nic mi nie jest, Wasza Książęca Mość, tylko dość już wypilem. – Przyjął wyprostowaną postawę, choć ciągle dręczyły go zawroty głowy, a świat zdawał się uciekać. – Nic dzisiaj nie jadłem. Nie jem... do syta... od wielu dni.

–Tak też mi doniesiono. Nasz kucharz po części jest szpiegiem.

–Nie wiedziałem tego, panie. – Zauważył, że doprowadza Cefwyna do wesołości, czasem większej, czasem mniejszej. Bał się, czy nie popełnia jakichś głupstw, ale opuściły go siły i nie mógł dłużej utrzymać równowagi.

–Niebezpieczny młodzieniec – stwierdził Idrys. – Wasza Książęca Mość, przez wzgląd zarówno na niego, jak i na siebie nie dopuszczaj go do swego towarzystwa. On swą

bezbronnością tworzy wyłom, z którego niejeden chętnie by skorzystał. I skorzysta, ku jego i twojej zgubie.

Musisz mu zaufać, powiedział kiedyś Cefwyn. A tymczasem Idrys nazywał go niebezpiecznym, mówił o zgubie, podczas gdy on pragnął jedynie odrobiny wolności. Idrys mógł, zatem mieć rację, biorąc pod uwagę słowa Cefwyna. Całkiem możliwe, że Idrys miał rację.

–Pójdę już do swojego pokoju, jeśli łaska, panie. Chcę się położyć. Proszę, panie.

–Aż tak dużo nie wypił – zdziwił się Idrys.

–Dla niego to może i dużo. Lepiej zaprowadź go do łóżka.

–Tak jest, Wasza Wysokość.

Tristen odwrócił się wówczas do drzwi, lecz musiał oprzeć się o stół, a wtedy przewrócił solniczkę.

–Czasem – próbował im wyjaśnić – czasem... zbyt wiele Słów, zbyt wiele rzeczy naraz...

–Zbyt wiele amefińskiego wina – dodał Cefwyn, potrząsając głową. – I to fechtowanie mapami. Niewątpliwie tej nocy będziesz spał jak kamień. Idrysie, znajdź jakiegoś godnego zaufania Gueleńczyka, aby osobiście trzymał nad nim straż, kogoś, komu chłopiec mógłby się zwierzać. Ale pamiętaj: ów ktoś musi być zarówno uprzejmy, jak i dyskretny. Młodzieniec znajduje się w opłakanym stanie. Dbaj o niego.

–Panie – bąknął Tristen. Poddał się pewnemu uchwytowi Idrysa i dołożył starań, aby przynajmniej iść o własnych siłach, skoro nie dało się wymazać głupstw, które niechybnie popełnił. Zastanawiał się, czy Cefwyn posłucha rady Idrysa i odeśle go w jakieś ustronie.

Dobrze wiedział, na czym polegała rada Idrysa, wobec czego nie zadawał żadnych pytań.

Idrys znał swoje obowiązki, można, więc było założyć, że odprowadzi zataczającego się młodzieńca i odda go pod opiekę wyznaczonych gwardzistów.

Bez żadnego istotnego powodu, a jedynie z kilku błahych, Cefwyn podszedł do komody w sypialni i sięgnął do szkatułki, która wkrótce po przekręceniu tkwiącego w zamku kluczyka ukazała małą, owalną tabliczkę, wtopioną w złoto, z łańcuszkiem przetykanym perłami.

Kość słoniową, na której artysta z Elwynoru uwiecznił czarne włosy, zieloną suknię, twarz...

Twarz na tyle piękną, że najprawdopodobniej sam twórca był nią urzeczony. Twarz na tyle piękną, że człowiek mógł uwierzyć w szczerłość składanych przez Elwynimów ofert pokoju i przymierza, na przekór elwynimskim kościom, bielejącym nad bramą na znak wysiłków

mających na celu skrócić jego kadencję w Henas'amef.

Twarz promieniejąca dobrocią i inteligencją, rozsądkiem i stanowczością. Czyż tak czyste oczy mogły podżegać zamachowców? Czyż to piękno mogło stanowić zagrożenie?

Książę domyślał się, że w grę wchodzi jakiś urok, niezwiązany z artystą, ale z samym przedmiotem, który przyciągał niejako do siebie jego dłoń. Powinien był odesłać to cacko wraz z ostatnim wymachującym sztyletem głupcem albo utopić je w rzece – nie uczynił tego jednak. Miał dość oleju w głowie, aby nie odpowiadać jawnie, a jedynie powiadomić chyłkiem domniemanych szpiegów, że chciałby dowiedzieć się czegoś więcej; czyż którykolwiek mężczyzna czy książę nie chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tak pięknej twarzy, bodaj z ust swych śmiertelnych wrogów? Nie nadeszła wszakże żadna odpowiedź, nie przy płynęła z nurtem rzeki, nie przyfrunęła na gołębich skrzydłach ani nie przywędrowała amefińskim traktem.

Z braku odzewu powinien był wyrzucić miniaturę za okno, pozbyć się jej, zapomnieć, że ją kiedykolwiek posiadał, zatrzymując tylko szkatułkę misternej roboty, wyrzeźbioną w drewnie i ozdobioną mosiądzem.

Niemniej, co jakiś czas sięgał po ów wizerunek, zadając sobie w duchu pytanie, co naprawdę zawiera oferta złożona przez regenta z Ilefianu i ogniwem, jakiej intrygi było ofiarowanie jedynaczki w celu zażegnania groźby wojny, do której doradcy i lordowie zdawali się dążyć, wojny, którą Elwynimi z pogranicznych marchii przyzywali sztyletem, trucizną i kradzieżami bydła. Elwynimi wykorzystywali każdą okazję, aby utrudnić mu panowanie, więc otrzymaną propozycję potraktował jako jedną z ich kolejnych sztuczek: gdyby wyznał o wszystkim ojcu na dworze w Guelemarze, ten na długo straciłby apetyt.

Z drugiej strony, kto wie, może w Elwynorze postanowiono ułatwić zadanie skrytobójcom? Dlatego właśnie szkatułka trafiła doń potajemnie, za pośrednictwem amefińskiego woźnicy, który powiedział, iż obcy człowiek wręczył mu kasetkę, zapewniając, że książę w Henas'amef zapłaci za nią więcej niż Heryn Aswydd.

Bo też miała rację. Rodziły się pytania, jakie jeszcze pravidła handlu znało pospólstwo w Amefel.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Wrócił Idrys.

–Aha – mruknął, znów przyłapawszy księcia na rozmyślaniach o granicy.

–„Ahaj” sobie do woli – odparł Cefwyn. – Jestem gotów przysiąc, że on nic nie wie o Elwynorze.

–A, ten? Mości półgłówek? Gotowym przysiąc, że nie wie niczego, czego nie powiedział mu Mauryl.

Zaiste hojnie wynagrodził dostarczyciela owej miniatury z kości słoniowej, przywiezionej znad granicy przez amefińskiego wieśniaka. Ani przez chwilę nie wątpił, że Heryn Aswydd chciałby przechwycić szkatułkę.

Lecz składanych przez Heryna ofert przymierza nie zawierały żadne obrazki na kości słoniowej. Jego oferty przychodziły prosto do łóżka. Często. W podwójnej liczbie.

Cefwyn włożył miniaturę z powrotem do szkatułki, zamknął wieczko i przekręcił kluczyk, jakby dzięki zamkowi zawartość kasetki miała nie wyjść na jaw.

–Czyż jest jakiś powód – spytał Idrys – dla którego Wasza Wysokość medytujesz nad podarunkami Elwynimów w przededniu wyprawy niemalże pod samą granicę?

–Mógłbym, rzecz jasna, poślubić, dajmy na to, Orien. Albo Tarien. Wzmocniłbym tym samym prowincję.

–Książę pan raczy żartować.

–Heryn nie uważa tego za żart. Ani Orien. Z czego chyba zdaje sobie sprawę mój lord komendant? – Cefwyn podszedł do okna, gdzie patrzył, jak promienie słońca ustępują miejsca posępnej ciemności. Nad dalekim horyzontem gorzała czerwona łuna.

Stąd niewidoczne były wieżyce Ynefel. Nikt nie mógł wiedzieć na pewno, chyba, że wierzył w relację Tristena, czy forteca się rozsypała. W tych niespokojnych czasach lepiej było znać aktualną sytuację na obrzeżach Marny oraz domysły miejscowych mieszkańców i ich obawy związane z ubytkami na pastwiskach.

Magicznymi metodami, jakimi Emuin zwykle zdobywał informacje, czarodziej potwierdził, że Ynefel wraz ze swym panem rzeczywiście runęła, lecz czy książę mógł zdawać się wyłącznie na opinię takich źródeł, jak Emuin, Heryn, czy nawet Idrys, kierujących się własnymi zamiarami i pobudkami?

Za pomocą znacznie mniej tajemniczych środków książę zdobył pewność, że bliźniaczkom przyświecają własne cele, niepowiązane z celami Heryna, a ich bratem, którego księgi podatkowe pękały w szwach, również kierują prywatne interesy i nieco mniej prywatne ambicje. Cała ta przekłęta sfera: Elwynimi, Amefińczycy, Aswyddowie i baronowie z Elwynoru, wszyscy oni mieli własne pomysły na zdobycie – czy to poprzez łóżko, czy też innym szachrajstwem – tego, czego nie potrafili uzyskać od spadkobiercy Indredrina, wypowiadając mu wojnę; chyba, że spadkobierca Inaredrina stanie się na tyle nieostrożny, by zaprzestać osobistego weryfikowania składanych mu raportów.

Ciekawe, jak upadek Mauryła wpłynął na przygraniczne stosunki i co mówiono na ten temat?

Albo co mieszkańcy takich wiosek jak Emwy sądzą o wysokości podatków

odprowadzanych do skarbcza Heryna?

I do jakiego stopnia królewskiej krwi księżę Ylesuinu powinien zignorować całą sytuację.

Każdy mieszkaniec pogranicza uważał za pewnik, że Ylesuin będzie w końcu musiał dojść drogą małżeństwa do jakiejś ugody, ażeby rozstrzygnąć odwieczną kwestię przynależności przygranicznych terenów. To, że taka ugoda jest nieuchronna i pewna w tym pokoleniu, było wręcz artykułem wiary dla mieszkańców pogranicza. To zaś, że księżę Ylesuinu miał w tej sprawie nie więcej do powiedzenia od sióstr lorda Amefel, stanowiło artykuł wiary ojca Cefwyna; spadkobierca tronu Ylesuinu nie przyjął wszak jeszcze proponowanej mu roli. Spadkobierca tronu miał własne plany, zakładające przyjmowanie w łóżu bliźniaczych sióstr Heryna, dobrą zabawę z tego powodu i wpajanie Aswyddom przeświadczenia, że ich tradycyjnie skłonna do buntów prowincja uzyskała korzystne wpływy.

A skoro spadkobierca tronu Ylesuinu sypiał z bliźniaczkami z rodu Aswyddów, stawał się nazbyt cenny, by go obrażać czy mordować, przynajmniej dla partyzantów w Amefel, jeśli już nie dla innych amefińskich notabli, nienawidzących Heryna za jego podatki.

Jak dotąd, obowiązywała wygodna, niepisana umowa i nie ulegało wątpliwości, że Aswyddów zdjąłby strach, gdyby Elwynimi chcieli ich przelicytować córką na wydaniu. Heryn Aswydd zdradził ostatnio dwóch elwynimskich zamachowców, którym się wydawało, że mogą polegać na wsparciu ze strony Aswyddów. Póki co (przynajmniej do czasu, gdy – zależnie od jego kaprysu – sprawa podatków odbije się echem w Guelemarze i dotrze do uszu królewskiego skarbnika) siostry Heryna – zwłaszcza najstarsza, Orien – stanowiły dlań miłą rozrywkę i miało tak być dopóty, dopóki apetyty i ambicje Aswyddów będą się mieścić w rozsądnych granicach. Heryn strzygł jeno amefińskie owce, na co dotychczas nikt nie skarżył się monarsze.

Teraz jednak do gry włączył się Mauryl wraz z tym swoim magikiem – należało się spodziewać, że nim właśnie jest ów młodzieniec – nieudolnymi czarami wprowadzając nieład w przekonania i wątpliwości trzeźwo myślących ludzi, mówiąc ni stąd, ni zowąd: „Zaufaj mi, mości księżę. Odłóż na bok dotychczasowe plany, mości księżę. Wspomnij na poprzednich sojuszników, księżę Marhanenie. Tych z Ynefel”.

–A nuż to Sihhijczyk? – odezwał się Idrys, przerywając długotrwałe milczenie.

Dreszcz przebiegł po plecach księcia.

–Kto wie? – odparł, ciągle wpatrzony w gęstniejące ciemności i na ostatnie czerwone promyki, malujące niebo gdzieś hen, hen nad Ynefel. – Ale to nam Mauryl służył.

–Mauryl Twórca Królów. Mauryl czarownik.

–Mędrzec.

–Quinaltyni dostaną białej gorączki.

–Kapłani szybko przychodzą do zdrowia.

–Trzy wyzwania, książę Cefwynie. Wyobrażasz to sobie? Elwynimi, Aswyddowie, a na dodatek Mauryl. Ku ilu kierunkom możesz naraz zwrócić swoje oczy?

Zwlekał z odpowiedzią. Światło znikało, dzięki czemu horyzont stawał się – choć widok zniekształcały szklane gomółki – sprawdzianem na ostrość wzroku. Wreszcie powiedział:

–Ty tylko pilnuj moich tyłów, mości kruku. Ja zajmę się resztą.

Rozdział dwunasty

W powietrzu drgały Słowa, czarne i czerwone litery, Nazwy takie jak Ashiym, Anas Mallorn, Ragisar, Malitarin... Wioski, jak kojarzące się z owcami Emwy i Asmaddion; na przyrzeczu władzę sprawował Anas Mallorn...

Sowa przeleciała nad pergaminem, spowijając krainę cieniem. Skrzydła Sowy, pasiaste i zaokrąglone, przysłoniły wioski. Sowo! – zawołał Tristen z jakiejś wyniosłości, której na razie nie umiał określić. Sowa wykonywała jednak misję albo polowała na myszy nie zwracając nań żadnej uwagi.

Sowa ominęła go i kontynuowała swój lot, odsłaniając przed nim coraz większą połąć kraju, Nazwy wijące się w czerwonym atramencie i czarne fortece. Strumienie ślizgały się węzowym ruchem pod szerokimi skrzydłami Sowy, aby połączyć się z Lenalimem i w końcu zniknąć pod ptakiem.

–Panie! – zawołał ktoś w jego stronę, lecz Sowa była coraz dalej.

Sowo, wracaj! – krzyknął, gdyż zdawało mu się, że ptak wyfrunie poza krawędź i utonie w mroku. Mapa rozszerzała się jednak, ujawniając takie Słowa, Nazwy i ziemie, jak Guelessar i Imor... Marisal i Lanfarnesse...

–Panie. – Ktoś go dotknął, więc zmrużył oczy, wyobrażając sobie, że słyszy burkliwy głos, należący być może do jednego z pilnujących bramy gwardzistów, który stanął i świeci mu w oczy.

Wciąż tak myślał, gdy otworzył szeroko oczy i popatrzył na pokrytą bliznami twarz z szerokim nosem, zwieńczoną jasną czupryną, siwawą i rzednącą na czubku głowy. Z początku bał się tego człowieka.

Ale jego oblicze nie wydawało się nieprzyjazne.

–Jestem Uwen Lewen'sson, panie. Przysłał mnie kapitan. Rzeki, bym cię zbudził.

Przykro mi, ale ino patrzeć świtu. A ty masz ruszać z Jego Wysokością, lepiej więc wstań co żywo i zjedz jakieś śniadanie.

–Tak, panie.

–Panie, jam niczyj pan, co to, to nie. Wystarczy „Uwen”. Sługa już czeka z małym śniadaniem, które cię przed podróżą wzmocni, jeśli łaska.

–Dziękuję – odpowiedział, skoro Uwen nie chciał być tytułowany „panem”. A jednak Cefwyn dotrzymał obietnicy, wyruszał na konną wyprawę, zatem po raz pierwszy od wielu dni wstawał ochoczo z łóżka. Wytoczył się spod kołdry i natychmiast przystąpił do ubierania się i mycia, podczas gdy służba wносиła naczynia i zapalała więcej świec, rozjaśniając mrok wczesnego poranka.

–Oto twa szata, panie – Uwen zarzucił mu pelerynę na ramiona, gdyż dotychczas siedział w samej koszuli. – Radzę coś przekąsić. Bo jeśli nie, będziesz żałował przez połowę wycieczki.

Uznał, że to dobra rada, zasiadł więc za stołem zastawionym ciepłym pieczywem, masłem i miodem. Uwen w tym czasie mocował się z czymś z metalu, watanego sukna i oliwy, skracając – jak się zdawało – rzemyki.

Tristen szybciej niż zwykle uporał się ze śniadaniem. Wstał, a wtedy Uwen podał mu podwatowaną bluzę, jaką nosili żołnierze wałęsający się wokół baraków i jaką niewątpliwie także Uwen założył pod swą kolczugę i skórzany kaftan.

Był oszołomiony i zarazem oczarowany, gdy wymieniał pelerynę na żołnierski przyodziewek. Uwen zawiązał mocno wszelkie rzemyki, mówiąc:

–Ha, szczuplejszy niż na pierwszy rzut oka, panie. Chociaż po śniadaniu. Jak ci się zdaje, panie, wszystko dobrze spięte?

–Tak – potwierdził, a Uwen podniósł drucianą koszulę.

–Uwaga na głowę, panie. – Uwen skręcił w warkocz włosy Tristena i pomógł mu włożyć kolczugę. Błyszczący metal przylgnął do ciała jak woda, jak... Tristen przejechał palcami po ogniwach, z jednej strony gładkich, z drugiej ostrych. Gdy wreszcie odetchnął, poczuł ciężar będący ni to Słowem, ni to Nazwą, nakładający się na ramiona i żebra, stający się niejako integralną częścią ciała. Ale on przecież nie był tą Rzeczą. Nie był Ciężarem. Należał do Mauryla, a nie do wojska... Nie był tą rzeczą, która otulała go stalowym kostiumem.

–Z czasem przywykniesz – oznajmił Uwen. – To niespokojny kraj, panie. Dość tu bandytów, dość Elwynimów i Amefińczyków, cała rzesza głuptasów, którzy omyłkowo za cel łącno wziąć by cię mogli. Proszę.

Uwen przytrzymał płaszcz i Tristen włożył ręce jak do koszuli. Uwen zapiął go na klamerkę, po czym ciasno obwiązał Tristena w talii paskiem.

–Jego Wysokość naszykował ci miłego, spokojnego konika. Nie bryka jak zwariowany. Gotowyś, panie? Wszystko leży jak trzeba?

–Chyba tak. – Płaszcz był czerwony, jak u gwardzistów Cefwyna i jak u Uwena. Wyglądał w nim niczym zwyczajny żołnierz, tyle, że nosił brązowe pończochy i buty, podczas gdy żołnierze – czarne.

–Twe buty są zdadne do noszenia po domu – stwierdził Uwen, śledząc spojrzenie Tristena. – Kapitan mnie nie uprzedził. Proszę wybaczyć, panie, ale muszą wystarczyć. Trzymaj się jeno końskiego grzbietu i bacz, by nie dźwigać ciężarów.

–Nie będę żadnych dźwigał – zapewnił. Uwen z pewnością otrzymał zezwolenie i mógł z nim rozmawiać. Mówił żartobliwym tonem, który wydał się śpiewem w uszach Tristena. Kiedy wyszli, Uwen w ten sam sposób przemawiał do gwardzistów, znając chyba ich wszystkich, gdyż śmiał się z nimi, a jednego nawet, o imieniu Lusin, poklepał po ramieniu.

Ruszyli w stronę schodów pogrążonymi w cieniu salami. Słońce właśnie wstawało.

Śludzy usuwali wypalone świece, krzątając się przy porannych obowiązkach, czasem niosąc obrusy, czasem wychodząc z kuchni. Na dole następowała zmiana warty, a kilku wcześniej wstających urzędników spieszyło do archiwum.

Uwen poprowadził go zewnętrznymi schodami, minął gwardzistów, także mu znajomych, aż zeszli na sam dół, skręcili za węgiel i znaleźli się na dziedzińcu przed stajniami oświetlonymi pierwszymi promieniami jutrzeńki. Oddział żołnierzy wespół z gromadą stajennych siodłał wierzchowce, paziowie zaś stali ze sztandarami lub przynosili ekwipunek. Uwen podniósł broń leżącą na skraju dziedzińca, broń sprawiającą wrażenie często używanej. Przypiął sobie miecz i sztylet na oczach Tristena czującego mdłości w żołądku i żywiącego nadzieję, że nikt nie oczekuje po nim, by uzbroił się w podobny sposób.

Zbroja utrudniała oddychanie, ustawicznie przypominając o czającej się na zewnątrz nie tylko wolności, ale i niebezpieczeństwie. W towarzystwie Uwena mijał ubranych w czerwone płaszcze żołnierzy... aż nagle dojrzał wyróżniającego się na tle reszty Cefwyna, ubranego w brązowy, skórzany kaftan oraz czerwony płaszcz z naszytym złotym smokiem – podobne nosili gwardziści. Wprawdzie ani zbroją, ani uzbrojeniem nie odróżniał się od swych podkomendnych, jednak jego prosty, stalowy hełm przepasany był srebrną przepaską.

–Tristenie – pozdrowił go książę i ruszył mu na spotkanie, mijając swoich żołnierzy.

Niczym czarny cień, Idrys kroczył w ślad za Cefwynem, z ręką na gardzie, tam, gdzie owa ręka zawsze, nawet w komnacie, wydawała czuć się najlepiej.

Na skinienie Cefwyna jeden z mężczyzn przyprowadził konia z zaplecioną grzywą, czerwonego od łba do pęciny, ucieleśnienie cierpliwości i spokoju.

–Ona cię nie poniesie – zapewnił księżę. – Ma na imię Gery i starszy stajenny klnie się, że lekko chodzi.

Tristen ujął wodze, pogłaskał czerwony, ciepły bok, przerzucił lejce przez grzbiet, włożył stopę w strzemień i wzbił się w powietrze, jak to nieraz widział u innych, doznając na chwilę zawrotu głowy, gdyż klacz poruszyła się pod nim, a zewsząd docierał nawał nieznanych wrażeń, zapachów i dźwięków. Spojrzał w dół na zafrasowane oblicze Cefwyna i na chmurną minę Idrysa.

–Całkiem nieźle – pochwalił księżę, klepiąc go po bucie, klepiąc również Gery.

Odwrócił się, a wtedy stajenny podprowadził jego wierzchowca i przytrzymał za cugle, kiedy księżę wskakiwał na siodło. Koń był ciemny; Gniady – objawiło mu się Słowo. Miał czarne skarpety i czarną grzywę, jak to u gniadoszy. Idrys dosiadł czarnego olbrzyma, a Uwen kolejnego gniadosza, gdyż taka maść przeważała wśród koni gwardzistów.

Idrys wydał rozkaz, rozchyliły się żelazne wrota Zeide i konie wpierw zebrały się razem, by potem rozciągnąć się w szereg przy przejeździe przez wąską bramę.

–Podjedź do przodu – nakazał Idrys Tristenowi, gdy go mijał, toteż młodzieniec zbliżył się tak bardzo do Cefwyna, że znalazł się niemal na samym czelu; przed nim jechał tylko Idrys wraz z garstką gwardzistów. Niespodziewanie pewna liczba jeźdźców przetoczyła się z głośnym tętentem po obu stronach kawalkady i powiększyła jadący na szpicz zastęp.

Podkute kopyta stukotały po bruku wzgórza, wprowadzając zamęt na ulicach, gdzie mieszkańcy, którzy wcześniej wstali z łóżka, pierzchali na boki. Otwierały się okiennice. Niesamowite wrażenie zrobiły na Tristenie widok miasta z wysokości końskiego grzbietu, jak też szybka jazda tą samą ulicą, którą niegdyś maszerował, obolały i głodny.

Jakieś dziecko uskoczyło przed jeźdźcami, zawołała kobieta. Tristen uściskiem kolana kazał Gery zjechać na bok i okręcił się w siodle, aby zerknąć do tyłu, przestraszony okrzykiem trwogi, lecz dziecku udało się szczęśliwie odskoczyć na chodnik. A gdy tak patrzył wstecz...

Zobaczył Kości. Czaszki wiszące nad bramą. Kości ludzi.

Omali nie wypuścił cugli; wstrzymał oddech, gdy Cefwyn rzucił ostro:

–Tristenie!

Gery obita się o wierzchowca Cefwyna – wiedział, że to jego wina. Kolano wciśnięte w żebra sprawiło, że Gery odskoczyła w bok; szarpał niewprawnie za wodze, szarpał się w siodle – aż nagle pojął, gdzie dokładnie znajdują się jego ręce i nogi i że Gery rozumie i

reaguje na każdy ruch, każde przeniesienie wagi jeźdźca. Tristen wyprostował się w siodle, złapał równowagę, dobrał właściwe napięcie cugli, tak, iż Gery wiedziała już, jak ma iść; od razu chód jej stał się inny, bardziej pewny siebie.

Sądził, że Gery patrzy na niego, tak jak on patrzył na swoich nauczycieli; Gery, podobnie jak on, chciała się właściwie zachowywać, chciała rozumieć, toteż rozmawiał z nią językiem kolan i cugli, kiedy z dość dużą szybkością przejeżdżali ze stukotem przez ulice, mijając budynki z rusztowaniami i pozamykanymi okiennicami, budynki biedniejsze i budynki bogatsze, aż wreszcie znaleźli się na płaskim dziedzińcu przed bramą miejską, przez którą kiedyś, chowając się za stojącym wozem, przemknął pomimo strażników.

Brama stała teraz otworem, a strażnicy przybrali pozycję na baczność, gdy oddział pośpiesznie wyjeżdżał na otwartą przestrzeń zakurzonego gościńca, by następnie skierować się poprzez pola, w stronę jego Drogi...

Ale do niej nie dotarli. Pędzili wzdłuż muru, objechali miasto, kierując się ku pofałdowanym polom na widnokręgu.

Wówczas Idrys i jeźdźcy z czoła nieco zwolnili, a za ich przykładem poszedł Cefwyn i cała kolumna.

Poza murami miasta ludzie już pracowali, dreptali polnymi drózkami, niosąc motyki, oskardy i tym podobne narzędzia. Jak okiem sięgnąć, okolica wiejska tętniła życiem, gdy pierwsze promienie słońca rozjaśniały pagórki.

–Jesteś zręcznym jeźdźcem, Tristenie – zauważył Cefwyn.

–Panie? – Otrząsnął się z zamyślenia, zamrugał, aż poranek i otaczający go ludzie znów stały się wyraziste. Także pola, trzeszczenie skór i pobrzękiwanie upręży, elastyczność i solidność otaczającej go zbroi.

–Jesteś zręcznym jeźdźcem. Dobrze ci szło na ulicach. A mówiłeś, że nigdy nie siedziałeś na koniu.

–Niektóre rzeczy same mi się objawiają. – Poglaskał kark Gery, oczarowany jej bliskością tudzież dobiegającymi zewsząd zapachami i dźwiękami. Drżał na całym ciele.

Pragnął to ukryć, lecz Cefwyn spojrzał nań tak przenikliwie, że wiedział, iż nie zwiódł księcia udawaną obojętnością. Obawiał się rezultatu chłodnego obrachunku, jaki malował się na twarzy Cefwyna.

–To robota Mauryła, mam rację?

–Poznaję różne rzeczy. Umiem czytać i pisać. I... jeździć konno. – Ciepło Gery dodawało mu otuchy. Nie odrywał ręki od jej skóry. Czuł pod sobą siłę i dobrą wolę klaczy. – Ale nie

wiedziałem wcześniej, że umiem, Wasza Książęca Mość.

Cefwyn zmarszczył czoło. Konie szły równym krokiem i jeśli Uwen bądź Idrys słyszeli cokolwiek z tej rozmowy, niczego nie dali po sobie poznać.

–Umiesz, i to cholernie dobrze – rzekł Cefwyn. – Wystarczyło popatrzeć, jak zjeżdżasz ze wzgórza i wylatujesz za bramę.

–To tak jak ze Słowami. Znam je, panie. Wiem, co oznaczają.

–Mam ci wierzyć? – spytał Cefwyn po chwili.

–Tak, panie – odrzekł nieśmiało, bojąc się spojrzeć księciu w oczy. Wszystko, co dobre, wydawało się zawsze balansować na krawędzi, zawsze gotowe upaść. Ostatecznie przełamał się i spojrzał na Cefwyna, a ten wpatrywał się w niego inaczej niż inni ludzie, nawet Mauryl, nawet Emuin, jakby się go lękał. Ale bez gniewu, pomyślał, nie zamierzając go też opuścić.

Nie wiedział, jak ma się zachować i co powiedzieć. Zażenowany, odwrócił wzrok, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, że spostrzegł wyraz twarzy Cefwyna. Mury zostały daleko w tyle i przez jakiś czas truchtali w milczeniu wąskim traktem, gdzie obok siebie mogło jechać dwóch jeźdźców. Droga, po ominięciu miasta od strony zachodniej, kierowała się ku falistym polom i pastwiskom. Sztafki ze Smokiem powiewały przed nimi i łopotały, trzymane przez młodych mężczyzn. Poranne słońce rozświetliło srebrzyście mały strumyczek w dolinie. Na wschodnim widnokręgu, gdy spojrzeć przez ramię, wznosiły się wzgórza, a za nimi z rannej mgły wyłaniały się być może Wzgórza Cienia, być może nawet góry, których nazwę wyjawiał mu Mauryl – Ileneluin.

Na zachodzie widniały niższe wzgórza. Tam też ciągnęły się puszcze. Tam znajdowała się Marna, tam oraz na południu. Wiedział o tym. Spojrzał w tamtym kierunku, wspominając mroczne ścieżki, wspominając wiatr wśród gałęzi.

–To była długa droga. – Głos Cefwyn na wyrwał go z odrętwienia.

–Tak, panie.

–Przerażająca droga.

–Tak, panie.

–Czy i dziś bałbyś się nią wędrować?

–Bałbym się, panie. – Nie sądził, aby zamierzali udać się w tamto miejsce. Miał nadzieję, że mają inne plany.

–Konie nie przeszłyby przez most – nasza go myśl.

–Mosty można naprawić.

–Kamienie są stare.

–Most ułożono czarnoksięską sztuką, więc można go chyba naprawić, prawda?

–Nie wiem, panie. Mauryl pewnie by wiedział. Może nawet Emuin. Nigdy nie widzieliśmy żadnych ludzi.

–Wśród Elwynimów są rozruchy. Widziałaś czaszki nad bramą? To właśnie Elwynimi.

–Czy to oni kradli owce w Emwy?

–Przybyli, żeby mnie zabić. Wiadomość ta była dla Tristena wstrząsem.

–Nic o tym nie wiedziałem, panie.

–Naprawdę?

–Nie, panie. Wasza Księżęca Mość. Nic a nic.

–Mauryl wiedział. Mauryl z pewnością wiedział.

–Nic mi nie powiedział, panie. On mi wszystkiego nie mówił. – Zaczął się bać, gdy tak jechał samotnie obok Cefwyna, nie mogąc liczyć na niczyją radę, gdy rozmowa zbacziała na tematy zabijania i kradzieży. – Co powinienem wiedzieć?

–Uleman.

–Czy to imię, panie?

–Owszem, w pewnej mierze – odrzekł Cefwyn, jakby w gorszym nastroju. Dodał jednak: – To regent Elwynoru. Chyba coś ci to mówi?

Nazwy, znowu. Słowa. Tristen zamknął na chwilę oczy, lecz w myślach niczego nie znalazł: panował w nich chaos Słów, które nie chciały, tego ranka, przyoblec się w kształty.

–Nie wiem. Nie wiem, panie.

–Myślałem, że po prostu... wiesz wszystko.

–Czytanie, pisanie, konna jazda, Słowa, Nazwy, ale nie znam nikogo w Elwynorze, panie. Nic mi się nie objawia.

Bał się, że nie zda egzaminu. Przez jakiś czas Cefwyn przyglądał mu się z poważną i zamyśloną miną, lecz Tristen, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi, zajął się grzywą Gery. Miała twardsze od ludzkich włosy. Grzywa została krótko zapleciona i stała na sztorc. Lubił ją dotykać. Przez to się nie nudził.

–Tristenie – odezwał się Cefwyn ostro.

–Panie. – Podskoczyło w nim serce. Był ciekawy, w czym znowu przewinił. Być może nawet swym pełnym uszanowaniem milczeniem. Cefwyn wpatrywał się w niego, gdy jechali obok siebie. Bał się Cefwyna, gdy ten robił taką minę.

–Ninevrise, czy ta nazwa coś ci mówi? A może Ilefian?

–Ilefinian to warownia Elwynimów.

–A Ninevrise? Z czym się wiąże ta nazwa? Potrząsnął głową.

–Nie mam pojęcia, panie.

–Takie nazwy nie objawiają się tobie?

–Nie, panie.

–Uważasz mnie za głupca?

–Nie, panie. Nie sądzę, żebyś nim był.

–No to gdzie odnajdujesz właściwe odpowiedzi? Czy one ci się objawiają... – Cefwyn machnął ręką -...tak z niczego? Może gołębice ci mówią?

–Nie, moi nauczyciele.

–Twój nauczyciel nie żyje, człowieku. Emuin wyjechał. Zbiegł do sanktuarium. A zatem ktoś cię teraz uczy?

–Ty, panie.

–Ja? Jestem tym i owym, zgoda, ale nie nauczycielem, tego możesz być pewien. Cholernie daleko mi do moralnego autorytetu.

–Ale ja muszę ci wierzyć, panie. Jesteś moim jedynym źródłem wiedzy. – Targały nim obawy i czuł się roztrzęsiony tym gwałtownym domaganiem się księcia, by wszystko, co wie, uznał za prawdziwe. – Filozofia, którą czytam, nie tłumaczy znaczeń Nazw. Rzadko wyjaśnia Słowa.

–Biorę bogów na świadków – rzekł Cefwyn po chwili – biorę ich na świadków, że jestem

zwyczajnym człowiekiem, nie jakimś przeklętym kapłanem. Wybierz sobie kogoś innego. Gdy wybierzesz kogoś na chybił trafił, pewnie lepiej ci się poszczęści.

–Emuin kazał mi ciebie słuchać.

–Do licha z Emuinem! Nie jestem twoim przewodnikiem, człowieku! W kwestiach moralnych ani jakichkolwiek innych. Uwierzysz we wszystko, co ci powiem?

–Wierzę we wszystko, co mi powiedziałaś, Wasza Książęca Mość. – Na myśl o wątpliwościach, które wkradały się w rzeczy uznane wcześniej za prawdziwe, oblał się zimnym potem. – Muszę ci wierzyć, panie. Nie mam się do czego odnieść, oceniam świat poprzez słowa ludzi.

–Święci bogowie! – Cefwyn osunął się w siodle, potem nagle szarpnął za wodze. – Za mną! – zawołał, dźgnął konia ostrogami, objechał Idrysa i wysforował się przed awangardę oddziału.

Tristen ruszył za nim. Idrys i Uwen zamierzali się przyłączyć, lecz księżę odwrócił się i krzyknął, powstrzymując przybocznych. Powiększała się przestrzeń dzieląca ich od reszty oddziału, aż w końcu mogli być pewni, że nikt nie usłyszy ich rozmowy.

–Nigdy – powiedział Cefwyn – nigdy nie mów żadnemu człowiekowi tego, co przed chwilą mi wyznałeś.

–Tak, panie.

Przez pewien czas jechali w ciszy.

–Nigdy cię nie okłamałem – rzekł wreszcie Cefwyn cichym głosem. – A przynajmniej nie przypominam sobie, żeby tak się stało. Czy wiesz, kim ja jestem, Tristenie? Czyżbyś naprawdę tego nie rozumiał?

–Jesteś synem króla Ylesuinu – odparł Tristen, patrząc na niego.

–Synem Inareddrina, króla Ylesuinu, jego spadkobiercą, to prawda. A także, z łaski Jego Królewskiej Mości, wicekrólem w Henas'amef, rządcą Amefel i jego niespokojnych granic. – Cefwyn popatrzył na Tristena spode łba, przenikliwym wzrokiem. – Większość mężczyzn, a zarazem kobiet, o tak, kobiet w szczególności, ma ambicje czerpać z tej łaski. Otacza mnie nieprzebrany tłum oddanych popleczników, lecz od nikogo, prócz garstki moich gwardzistów, nie przyjąłbym nieskosztowanego wina. Cóż o tym myślisz, Tristenie?

–O nieskosztowanym winie?

–O truciźnie. Truciźnie, człowieku! Truczyna w kielichu, nóż w ciemności. Bronię z mazołem tych przeklętych granic przed zadawnionymi waśniami, a Amefińczycy, zwłaszcza ci, którzy

nie cierpią Aswyddów ze względu na nakładane przez nich uciążliwe podatki, woleliby innego spadkobiercę, gdyż ze mną nie potrafią się uporać, co dawno odkryli. Teraz, skoro nad bramą Henas'amef pojawiło się dziewięć głów, Elwynimi zabiegają o pokój, a regent ofiarowuje mi rękę swojej córki. Amefińczykom to się podoba, ale nie Herynowi Aswyddowi i jego ślicznym, wiecznie podróżującym siostram, które mają najmniej powodów do zadowolenia. – Wyciągnął rękę ku wschodowi, gdzie widniało Henas'amef, odległe i coraz mniejsze w miarę, jak się posuwali do przodu. – Gdyby ci tylko brakowało grona przyjaciół lub podejrzanych związków, albo nawet towarzystwa do łóżka, weź pod uwagę Guelemarę, przyjacielu. Stolicę. Mój ojciec z całą świtą krewnych i znajomych to stado wilków, ale mające o wiele lepsze, dworskie maniery. Stolica to nieporównanie bardziej cywilizowane miejsce od Henas'amef. Tam się zatruwa tylko najlepsze roczniki. Tu jesteś traktowany grubiańsko, a nasza gościna musi wydać ci się niezbyt wyszukana.

–Zazwyczaj traktują mnie tu uprzejmie – rzekł Tristen.

–Chybaś oszalał.

–Spotykałem się raczej z życzliwością.

–Szalony, to pewne.

–Sądzę, że nie jestem szalony, panie.

Dłoń Cefwyna powędrowała do zawieszzonego na szyi medalionu; Emuin nosił podobny.

–Czyżbyś nie budził się w środku nocy z myślą o zemście? Czyżbyś nie wspominał z goryczą tego, co wyrządzili ci niektórzy ludzie? Czyżby nie korciło cię odpłacić im pięknym za nadobne?

–Komu, panie?

–Człowiek ma prawo... – Słowa Cefwyna wystrzeliły jak z procy, by urwać się raptownie.

–Panie?

–Nie patrz na mnie takim wzrokiem! Nie jestem Emuinem. Nie spodziewaj się po mnie odpowiedzi, do diaska, nie waż się szukać u mnie odpowiedzi! Nie zajmuję się arbitrażem dobra i zła! Nie zwabisz mnie do tej pułapki!

–Emuin powiedział, że jesteś dobrym człowiekiem. Ale powiedział też, bym nie powiełał twoich uczynków.

Cefwyn otworzył usta, a następnie je zamknął. Wlepił wzrok w młodzieńca.

–Nie powinienem być chyba tego mówić – zmartwił się Tristen. – Prawda?

–Na bogów! Będziesz postrachem dworu.

On też czuł się przestraszony. I skonsternowany. Cefwyn niezwykle zręcznie dobierał słowa, nadając im znieścacka kierunek odmienny od tego, który – jak sądził Tristen – obiorą.

–A może masz takie poczucie humoru? – spytał Cefwyn.

–Jakie, panie?

–Niech to jasny piorun, Tristenie! Jeszcze nigdy nie spotkałem uczciwego człowieka.

–Wprawiasz mnie w zakłopotanie, panie – odpowiedział Tristen. Czuł chłód, jakkolwiek świeciło słońce. – Nie rozumiem, panie. Obawiam się, że nie rozumiem.

–Nie proszę, byś zrozumiał – stwierdził Cefwyn – tylko żebyś nie wymagał ode mnie za wiele. Emuin powiedział ci prawdę.

Słońce wspięło się na szczyt nieba, miasto dawno znikło im z oczu, skończyły się nawet pola uprawne. Skręcili bardziej na zachód, droga wiodła teraz pośród niskich pagórków. Eskorta już dawno zagarnęła księcia i Tristena między swe szeregi, a Idrys z kilkoma żołnierzami wysunął się na czoło, chowając się niekiedy za rozlicznymi zakrętami.

Wydawało się jednak, że teren się obniża. I rzeczywiście – pagórki ustąpiły wnet miejsca łąkom, gdzie wietrzyk, czyniący dzień dotąd nieco chłodnym, wzmógł się i ocieplił, szarpiąc sztandarami i proporcami.

Poruszali się średnim tempem, zatrzymując się mniej więcej co godzinę, by dać odpocząć zwierzętom. Na jednym z postojów, gdy słońce minęło już zenit, pszczoły brzęczały nad kępą białych i różowych kwiatków, konie skubały trawę i kwiecie polnych ostów. Cała kompania rozlokowała się na trawiastym zboczu i wszyscy spożywali część zabranych zapasów.

Tristen napawał się cudownymi wrażeniami: siedział sobie na trawie w towarzystwie Cefwyna, Idrysa i Uwena, dopuszczony do serdecznej komitywy z wytrawnymi żołnierzami. Przysłuchiwał się wymianie żartów, które Cefwynowi i całej reszcie bardzo się podobały, a w czasie której respekt, jakim ludzie zwykle darzyli księcia, został szybko zarzucony. Rozbrzmiewały śmiechy, trącały się łokcie, gdy padała jakaś uznana za ciętą uwaga, lecz oto obiekt kpiny stoczył się z kamienia, udając śmiertelną ranę, po czym powstał ze śmiechem.

Tristen był urzeczony, śledząc sposób, w jaki ci ludzie z siebie żartowali; śmiech był nieco jadowity, ale nie złośliwy. Na tyle dobrze pojął reguły ich gry, iż rozumiał znaczenie flaszki, która się opróżniła, zanim zdążyła wrócić do właściciela; nastąpiła udawana walka, człowiek parsknął śmiechem i Tristen pomyślał, że gdyby to on był obiektem żartu, też by się roześmiał. Przyjemnie było znajdować się w centrum wydarzeń, a nie na zewnątrz. Cefwyn

się śmiał i nawet Idrys okazywał wesołość.

Tristen cieszył się, że nie znajduje się już pod pieczę, której elementem jest wymóg milczenia. Chciałby, żeby i z niego żartowali żołnierze. Wcześniej nie rozumiał żartów, a przynajmniej żartów tego rodzaju. Mauryl nie cechował się zbytnim poczuciem humoru. Widział Cefwyna w pogodnym usposobieniu, Uwena szczerzącego zęby – nawet Idrys błysnął na moment półśmiechem. Do dzisiaj nie wiedział, że ów człowiek zdolny jest przybrać taki wyraz twarzy; gdy jego mina spoważniała, znów zaczął w to powątpiewać, lecz teraz miał o nim inne mniemanie.

Wszelako później, gdy dosiadali koni, Cefwyn nakazał zachowanie ostrożności i Uwen oznajmił Tristenowi, że powinien trzymać się blisko, gdyż będą teraz przejeżdżać przez mniej bezpieczne tereny. Przed nimi rozciągał się las, który ludzie króla chcieli wyciąć, lecz lord Heryn Aswydd, nazwany przez Uwena diukiem Amefel, wystosował zdecydowany protest, a to ze względu na polowania i drwali z wiosek takich jak Emwy, postanawiając samemu stanąć na straży prawa.

–Dlaczego w takim razie – zaciekawiał się Tristen – diuk Amefel nie znajdzie tych owiec?

–Trafne pytanie – rzekł Idrys.

Cefwynowi jednak było ono nie w smak, więc Tristen domyślił się, że poruszył drażliwą sprawę. Niewątpliwie Idrys prosił Cefwyna o wybranie jakiejś innej drogi. Ale Cefwyn nie był wychowanym przez czarodzieja chłopcem, tylko księciem, robił więc to, co mu się żywnie podobało i kiedy mu się podobało. A spodobało mu się właśnie jechać w kierunku lasu. Tak sądził Tristen i zaczął go dręczyć niepokój... Niemniej żołnierze ze spokojem przyjęli wiadomość o kierunku jazdy, a wkrótce Idrys nawet się zaśmiał. Ludzie wydawali się przekonani, iż uda im się wypełnić w Emwy wszystko, co im polecił książę, czy miało to być odnalezienie owiec, Elwynimów czy też banitów.

Rozmyślał o tym bez przerwy, głaszcząc kark Gery i zastanawiając się, czy konie zważają na niebezpieczeństwa; zdawało mu się – była to jedna z tych rzeczy, które poznał wraz z umiejętnością konnej jazdy – że może polegać na instynkcie Gery i oczekiwać od pozostałych zwierząt, iż będą mieć się na baczności przed czymkolwiek, co rozumieją jako niebezpieczeństwo.

Późnym popołudniem po lewej ręce pojawiły się lasy, a sam teren zrobił się bardziej uciążliwy. Łąk ubywało, zamiast nich pokazywały się kamieniste, porośnięte kępami drzew wzniesienia.

Nareszcie drogę przegrodził im pas lasu. Ta puszca nie była Marną, osądził Tristen: przeważał w niej żywszy odcień zieleni. Całkiem jednak możliwe, że stanowiła fragment tamtego lasu, porastający amefiński brzeg Lenalimu, podobnie gęsty i głęboki, budzący wspomnienia głodu i żmudnej wędrówki.

Żołnierze rozmawiali o płynącej w pobliżu rzece.

–Czy to Lenalim? – zapytał Uwena.

–Ano – odparł Uwen. – Płynie tu zaraz Emwysbrook, a i do strumienia Lewenbrook stąd dwa kroki. Ocieramy się o złe miejsce, panie, już od jakiejś godziny.

–Chodzi o las, czy może o Elwynimów? Uwen nie odpowiedział od razu.

–O Duchy – rzekł wreszcie, a Słowo to kojarzyło się ze śmiercią, żalem i złością.

Wzbudzało strach. Rozglądał się po drzewach rosnących po obu stronach drogi, gdy zagłębiali się w zielony cień. Żołnierze zachowywali się podobnie, rozmawiali półgębkiem i okazywali niepokój.

On jednak spoglądał na zielone gałęzie, wciąż mając nadzieję ujrzeć brązową, upierzoną sylwetkę, przycupniętą na którymś konarze. Skoro plan wyprawy zakładał nocleg gdzieś w tej lesistej okolicy, nie wykluczał, że Sowa go odnajdzie – gdyby Sowa postanowiła zapolować poza obszarem Marny, miejsce to chyba spełniłoby jej oczekiwania. Szept liści przypominał mu o domu. Przywodził na myśl czasy, kiedy stawał na balustradzie w Ynefel i wsłuchiwał się w odgłos drzew targanych wiatrem. Marzył o odnalezieniu Sowy i sprowadzeniu jej do Henas'amef. Pomimo to ludzie wokół nie sprawiali wrażenia ucieszonych tym, co widzieli i słyszeli.

–Tu nie jest tak ciemno, jak w Marnie – powiedział, aby obudzić w Uwenie poczucie bezpieczeństwa.

–Rzadko gdzie jest tak ciemno – odparł Uwen i wykonał gest właściwy tutejszym ludziom, gdy się czegoś bali, toteż Tristen wątpił, czy usłyszy od niego coś więcej.

Nie musieli jednak długo jechać, by trakt, którego się trzymali, usłany liśćmi i niewiele wyraźniejszy od Drogi, którą wędrował przez Mamę, wyprowadził ich spomiędzy rzednących drzew i zarośli w szeroką dolinę z bujnymi pastwiskami, polami i wzgórzami skąpanymi w promieniach popołudniowego słońca.

–To Arys-Emwy – obwieścił Uwen. – Głównie wypasają tu owce.

A zatem nadal przebywali w Amefel, domyślił się Tristen. Przypomniał sobie blade linie na mapie. Ujrzał w pamięci Nazwę. Owce pozostawiły ślady na łące i na drodze, aczkolwiek nie zobaczyli ani jednej pasącej się sztuki.

Za następnym wzgórzem pojawiły się kamienne, opasujące pola murki, łany dojrzewających zbóż, a w dali przed nimi kryte strzechą dachy wioski – wioski Emwy, jak powiedział Uwen, wydającej się miłym miejscem. Nie broniły jej zewnętrzne obwarowania, tylko zbiór niskich murków. Domostwa zbudowano z szarego kamienia, dwa pokryto

dachówką, resztę zaś słomą. Okiennice były przeważnie otwarte, podobnie jak większość drzwi. Na polach przylegających bezpośrednio do wsi pracowali mężczyźni i kobiety, a z kilku kominów ulatywały białe smużki dymu.

Chłopi odrywali się od pracy na widok nadjeżdżającego ich traktem orszaku i schodzili z pól. Psy miały się, ujadając wokół koni. Ludzie z wolna zbierali się w gromadę.

–Stać! – zarządził Cefwyn i kolumna się zatrzymała. Wydał jakieś rozkazy Idrysowi, dotyczące przeszukiwania budynków, po czym komendant wraz z otaczającymi go ludźmi, wyłączając chorążych ze sztandarami, popędził galopem ku głównej uliczce osady.

–Gdzie podziali się młodzi mężczyźni? – zapytał Cefwyn milczących wieśniaków, wspartych na motykach lub wypatrujących spoza kamiennych murków.

Wśród nich byli wyłącznie starcy, młode kobiety i dzieci.

–Książę zadał pytanie! – warknął jeden z gwardzistów i pogroził mieszkańcom grotem włóczni.

–Dyć na pastwiska wyszli – odezwał się starzec. – Ano owiec szukają, panie.

–Który tu jest naczelnikiem?

–Która, panowie; Leciwa Syes. – Mężczyzna skinął w stronę wioski; ten sam kierunek wskazali wszyscy pozostali.

Cefwyn okręcił konia i nakazał wjechać do wsi, gdzie, w awangardzie, Idrys na czele swoich ludzi powypędzał z chat pewną liczbę mieszkańców, w tym – jak zauważył Tristen – kilkoro dzieci. Psy czekały zawzięcie.

–Coś mi tu śmierdzi – rzekł Uwen. – Skoro młódź szukać owiec ruszyła, winna psy wziąć z sobą. Oni łżą, panie.

Słowa Uwena rozbrzmiewały echem w głowie Tristena, gdy wjeżdżali między opłotki i na główną ulicę osady. Zobaczył dwie dziewczyny wśród sporej grupki dzieci, w tym paru małych szkrabów. Mieszały się ze starcami. Ludzie Cefwyna, zarówno jezdni na koniach, jak i ci, którzy posiadali z wierzchowców i zajmowali się przetrząsaniem domów, rozglądali się uważnie na wszystkie strony z bronią w ręku. Idrys wolno podjechał do swego pana.

–Żadnego z młodzieńców, których mamy w rejestrach – zawołał jeszcze z pewnej odległości. – Wieśniacy żyją tu na bakier z prawem Heryna.

Tristen odetchnął gwałtownie, czując poruszenie w powietrzu. Tumany kurzu wzniosły się nad drogą, gdy wiatr zawiał nagle w ich kierunku. Podmuch poderwał źdźbła słomy i osmagał krosno z zafarbowaną przędzą, stojące w drzwiach jednej z chat. W progu stała

stara kobieta.

–Tyś jest Leciwa Syes? – zapytał sierżant.

–A juści – odparła staruszka, wznosząc patykowate ramię z palcem wycelowanym w Cefwyna. – Marhanen! Krwawy Marhanen! Widzę krew na ziemi! Krew kraj ten czyszcząca! – Wiatr zatańczył wokół spódnicy z lichego samodziału, zawirował wśród frędzli siwego szala i kosmyków jeszcze bardziej siwych włosów. Kobieta nosiła naszyjniki nie z klejnotów bynajmniej, ale z pospolitych, brunatnych kamyków i słomianych supłów. Za bransolety służyły jej splecione rzemyki. Tristen popatrzył na kobietę, a kobieta popatrzyła na niego.

Przestraszyła się. Znał to spojrzenie. Wyciągnęła ku niemu rękę, wymierzyła palec i wykrzyczała bezgłośnie Słowo; z przerażającą opieszałością ludzie Cefwyna tworzyli zaporę ze swej broni.

Wiatr nieustannie płąsał wokół starej kobiety, podwiewając szal i spódnice, aż zamieniła się w siwo-brązowe zawiniątko pośrodku kurzawy.

Słowo nadal wisiało w powietrzu, niesłyszalne dla ucha. Ludzie biegali z krzykiem, Gery parskająca i tupająca kopytami, ogłupiała, gdy wichur pognął dalej, zabierając z sobą słomę i kurz, wciąż mijając niektóre zagrody, wciąż zabawiając się motkami przędzy. Krosno przewróciło się na kobietę i przykryło ją kłębkami lnu. Psy jazgotały jak oszalałe, część z nich uciekła. Garstka starców i kobiet wraz z jednym chłopcem bez stopy pozostawała na swoim miejscu. Cefwyn wrzeszczał na jeźdźców.

–Dalej, tą dróżką! Nie zjeżdżajcie na boki!

–Wszystko przez to przeklęte majsterkowanie Mauryła – mówił Wiatr setką głosów naraz. – Przez te jego zabawy z pierwiastkami. Jakże niemądre. Zawsze odrzucał mądre rady.

–Kim jesteś? – zapytał Tristen i pomyślał o Emuinie, znalazł się, bowiem jak gdyby w szarym miejscu. Ale Gery była przy nim; Gery miała opory, spłoszyła się i odwróciła...

–Tristenie! – krzyknął Cefwyn; wiatr znów się poderwał, oślepił Tristena wiechciami słomy, które fruwały i kłuły. Gery bryknęła tak gwałtownie, że młodzieniec uderzył się o tylny łęk siodła, próbując poskromić klacz, podczas gdy stare baby wyciągały spod krosna bełkoczącą staruszkę, a młode kobiety, uskoczywszy na dróżkę między chałupami, dały drapak.

–Ona... – zaczął Tristen, lecz nie umiał wyrazić tego, co usłyszał na wietrze. Słowa ulatywały niby sen z jego głowy; wiedział jedynie, że mowa była o Maurylu i domu.

–Wasza Książęca Mość – rzekł Idrys z mieczem w ręku – to już nie jest zamiejska przejażdżka dla przyjemności. Przywołaj eskortę i wyjedź stąd. Natychmiast!

Cefwyn nie posiadał się z wściekłości.

–Niech to szlag! Nie dam się przegnać domorosłej guślarce i podmuchom wichru! – Wierzchowiec Cefwyna rwał wodze, lecz księżę okiełznał go i wjechał w środek swych żołnierzy. – To tylko stara, bezmózga jędza!

–Niech licho porwie zagubione owce! – wykrzyknął Idrys. – To pułapka, Wasza Książęca Mość! Oni marzyli, żeby cię tutaj zwabić. Tu idzie o twoje życie. Nikt siłą nie zaciągnął ich synów na drugą stronę rzeki. Oni zbiegli, by przystać do wroga... Nie, Wasza Wysokość! – Gdy Cefwyn zjechał ze ścieżki, Idrys ośmielił się zagrozić mu drogę. – Pognaj między te wzgórza, a sprawią cię jak kaczkę. Taki cel im przyświeca. Tego właśnie chcą!

–Nie podważaj książęcych decyzji, mój panie! Kobiety wiedzą, dokąd iść!

–Prosto do braci i mężów! – rzekł Idrys. – Daj spokój, panie, bo na tym skorzystają jeno twoi wrogowie. Jeśli można się czegoś dowiedzieć, wysłany przeze mnie patrol dokona rozpoznania!

Ponownie wiatr dmuchnął im w oczy. Powietrze brzęczało i bzyczało niczym rój owadów w pogodny dzień. Uwen trzymał cugle Gery, a Cefwyn nadal spierał się z Idrysem, chociaż wydawało się, że ten ostatni rozstrzyga dyskusję na swoją korzyść.

Dwaj jeźdźcy, którzy ich wcześniej opuścili, ciągle gnali po polach, przeskakując ogrodzenia, lecz chorąży oraz reszta oddziału zebrali się wokół Cefwyna.

Zostali sami w wiosce, jeśli nie liczyć wlepiających w nich wzrok sędziwych chłopów, kalekiego chłopca i oszołomionej staruchy.

–Gdzie wasi mężczyźni? – Cefwyn powtórzył pytanie, na co odpowiedziały mu chaotyczne wskazania palcami i zapewnienia:

–Jakżeby inaczej, na pastwiska poszli!

–Szukają zagubionych owiec? – ryknął. – Zabłąkanych owiec, będących powodem waszej skargi? A może nie powinienem był czytać waszej wiadomości? Może wysłaliście ją do Heryna Aswydda? I co miała mu powiedzieć? O zdradzie? Rzecz idzie o owce, czy też o Elwynimów?

Wieśniaków zdjął strach. Podobnie jak Tristena. Wciąż wyczuwał wiszącą groźbę w powietrzu. Podstarzali chłopci zaklinali się, że są bez winy. Powietrze jednak powodowało ciarki na skórze. Dziwne było światło.

–Uwenie Lewen's-sonie – rzekł Cefwyn – zabierzesz swego podopiecznego i popędzisz co koń wyskoczy do Henas'amef, gdzie powiesz, że zostaliśmy w wiosce, aby zadać kilka pytań, i że potrzymamy tych ludzi pod strażą, dopóki nie wrócisz z patrolem... Nie

zapominaj o Tristenie!

–Rozkaz, Wasza Wysokość. – Uwen zwrócił konia, sięgnął po lejce Gery i pociągnął klacz za sobą.

–Nie! – sprzeciwił się Tristen, usiłując odebrać mężczyźnie wodze.

–Panie – rzekł Uwen, nie zamierzając chwilowo puścić cugli; Gery szarpała się i potrząsała łbem. Tristen spostrzegł jej cierpienie, toteż zaniechał prób przejęcia nad nią kontroli. – Po pomoc dla księcia jedziemy, panie! Jego Wysokości nie trza tu sprzeczek. Ruszajmy!

Gery postąpiła do przodu, zrazu jeszcze walcząc, ale wtedy Uwen puścił jej wodze, spodziewając się, że Tristen za nim podąży. Młodzieniec wiedział, że Uwen nie ma czasu zmagać się z jego strachem. Ścisnął konia kolanami i puścił się w cwał za wierzchowcem Uwena, z powrotem głównym gościńcem.

–Księżę Cefwyn da sobie radę – stwierdził Uwen. – Bezbronny i niedoświadczony, zdałbyś się tu na niewiele, panie. Mamy rozkaz do wykonania, musimy raz jeszcze przeciąć na wskroś ów przeklęty las i wracać w te pędy do miasta.

–Czego oni szukają?

–Niech cię o to głowa nie boli, księżę wszystkim się zajmie! Ty się jeno mnie trzymaj, panie. Trzeba nam wprzód minąć te drzewa. Gdyby tak wyjechać gdzie za tę kępę wedle tych skał, tam już ciągnie się jeden las, hen aż za Lanfamesse, mnóstwo w nim ścieżek... Zdatnyś do szybkiej jazdy?

–Tak – odpowiedział Tristen. Ciężko mu się oddychało. Idrys mówił wcześniej o wrogach, a z tym słowem był już zaznajomiony: Mauryl też miał wrogów. Wrogami były Cienie, a las wydawał się najdogodniejszą dla nich kryjówką. Galopując obok Uwena, obejrzał się przez ramię: jeszcze dwóch gwardzistów popędziło traktem na złamanie karku, ich konie wyciągały kopyta, byle jak najszybciej zrównać się z Tristenem i Uwenem.

–Hawith, Jeony – rzekł Uwen, pokazując ręką na gościniec i las widniejący na przedzie. – Ruszajcie, a żywo, na szpicę, bo mamy dowieźć cało panicza na zamek. – Zdjął hełm, kiedy zetknęli się strzemionami, i podał go Tristenowi. – Włóż go lepiej, panie. I żebym słowa sprzeciwu nie usłyszał.

Tristen założył hełm, rozgrzany i wilgotny od potu, nie chcąc być przyczyną dalszych strapień Uwena. Zbliżali się do lasu, gdzie należało umknąć – z czego zdawał sobie jasno sprawę – jakiemuś niebezpieczeństwu, wywikłać się z kłopotów chcących zagrozić im drogę.

Rozumiał, dlaczego z takim uporem usiłowano dowiedzieć się, gdzie podziiali się mężczyźni ze wsi, skoro powinni znajdować się w polu, jednakże niektórzy z ludzi Cefwyna rozproszyli

się po porośniętych łąkami stokach wzgórz w pościgu za uciekinierkami – a co te zbiegłe kobiety przeskrobały lub zamierzały zrobić, nie miał pojęcia. Tymczasem ich ścieżka napawała grozą, wiła się pośród szarych, skalistych pagórków, pogrążona w gęstym cieniu puszczy. Kiedy podjechali do miejsca, gdzie droga zagłębiała się w las, konie zaczęły wykazywać oznaki zmęczenia, zatem Uwen powściągnął wierzchowca i przeszli w krótkiego stępa, aby konie zaczerpnęły oddechu.

–Przemkniemy pełnym cwałem – rzekł Uwen. – Co tchu. Nie ma co się oszukiwać. Jeśli na nas natrą i gdybym przypadkiem przebić się nie zdołał, pognasz prosto do grodu, słyszysz? Przez lasy i pola, na przelaj, gdziekolwiek uda ci się najść drogę. Dojedziesz do bram Zeide i powiadomisz pana kapitana straży; zwie się Kerdin, na nocnej zmianie strażuje zawsze, przyjdzie nam z pomocą. Pamiętaj jeno, wioska zwie się Emwy. I nie gadaj do żadnych amefińskich oficerów, słyszysz, młody panie?

–Tak, panie – odrzekł. Zagłębiali się w zielony cień i Uwen ponaglił wierzchowca. Eskortujący ich Hawith i Jeony znikli już z pola widzenia wśród splatających się smug światła, które niczym mgła utrudniały widoczność.

Tętent kopyt pary koni dudnił głucho na drodze. Dźwięki zaczęły dobiegać dziwnie zniekształcone, promienie wydawały się jaśniejsze, a kontury przedmiotów – nienaturalnie ostre i wyraziste. Gery potknęła się i wstrząsnęła łbem, wszędzie dokoła raziła wyrazistość obrysów, tchnąca nieokreśloną grozą.

–Uwienie! – zawołał zdławionym ze strachu głosem. Ściągnął w przerażeniu wodze; usłyszał furkot – przed lub po tym, jak poruszył ręką. Coś trafiło go w bok pośród szumu przelatujących pocisków i Gery dała susa do przodu, przedarła się przez zarośla i pod gałęzią.

Okręcił się ponad łękiem siodła i, nie wypuszczając z rąk cugli Gery, spadł na plecy w krzaki. Mężczyźni pokrzykiwali, pędzili traktem, różnorodnie ubrani i różnorodnie uzbrojeni. Kamienie fruwały między liśćmi, odbijały się od pni drzew. Strzały świszczwały, a jedna z nich zaśpiewała i uderzyła tuż koło niego.

Wstał, odnalazł strzemień i wydzwignął się, zadyszany, na grzbiet klaczy. Wyjechał na drogę, pochylił się na koński kark i usiłował nie spaść w czasie jazdy.

Nie słyszał tętentu kopyt. Znajdował się w owej jasnej poświacie, w owej szarości, wraz z Gery, jakkolwiek gałązki chłostały go po twarzy i szarpały za ramiona. Stracił Uwena.

Stracił pozostałych dwóch żołnierzy. Gdy Gery wyleciała z lasu, zamiast powrotnej drogi do grodu ujrzał wioskę, gdzie pozostawił Cefwyna z resztą oddziału.

A więc obrał niewłaściwy kierunek. Teraz jednak nie miał wyboru. Pędził szalonym cwałem, aż w końcu otoczyli go ludzie Idrysa. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z własnego bezpieczeństwa.

–Wszystkich Zastrzelili. – Nie mógł złapać oddechu. Drżał na całym ciele. Podobnie jak Gery. Niemniej nikt go nie ścigał, przestały furkotać strzały. – Może Uwen zdołał im uciec – powiedział, dzwoniąc zębami, jakby mu było zimno. – Nie wiem, panowie. Przepraszam.

–Do stu czartów! – warknął Cefwyn.

–Na przełaj – orzekł Idrys. – Pojedziemy na przełaj. Znam mapę, panie. Damy radę. Palicho wiedźmę i całą tę wioskę! Niech no poczekają do nocy.

Cefwyn nie był zadowolony. Zaciskał wargi i płonął gniewem.

–Zaprzestać poszukiwań! – rozkazał, po czym jeden z gwardzistów przytknął róg do ust i dobył serię dźwięków, które odbiły się echem od wzgórz.

Tristen miał nadzieję, że Uwen żyje. Słyszał warkot strzał: do końca życia nie zapomni tego odgłosu. Wciąż dygotał, próbując w miarę możliwości uspokoić Gery, również wstrząsaną dreszczami. Wiatr owiewał mu twarz i czuł, jak staje się chłodna, tym razem jednak tylko ze strachu, a nie z powodu złowrogiego przeczucia, które ogarnęło go w lesie. Ludzie wysłani przez Idrysa powracali teraz zza wzgórz, dróżką biegnącą wzdłuż sadów; sześciu mężczyzn na zmęczonych koniach ponownie wzmocniło oddział.

–Na przełaj – zarządził Cefwyn. – Co żywo. Idrysie, na czoło! Nie takich plonów księżę spodziewał się po dzisiejszym dniu.

Niczego nie zyskali. Rozczochrana starucha wysunęła się na chwiejnych nogach spomiędzy grupki kobiet i ruszyła ulicą, wywrzaskując:

–Król, król powrócił! Lordzie Marhanenie, dobrze miarkuj, co mówię! Król nareszcie powrócił!

–Ktoś powinien uciszyć tę jędzę – stwierdził Idrys. Tristen zaczerpnął już oddechu, aby wstawić się za kobietą starą i przestraszoną, której obecności w powietrzu niemal się nie czuło.

Cefwyn oświadczył jednak, że szkoda zachodu, więc młodzieniec milczał. Idrys objął przewodnictwo, zjeżdżając z gościńca na dróżkę prowadzącą środkiem wioski w stronę łąk z pastwiskami.

Chorążowie ruszyli zaraz po nim, a następnie reszta z Cefwynem na czele, jadąc ścieżką, po której niedawno przeszły owce.

Tristen rozmyślał, czy nie powinien był pomóc Uwenowi, ale przecież sądził, że stosuje się do jego zalecenia.

Popełnił błąd, gruby, wynikający z głupoty błąd, gdy po wspięciu się na siodło zwrócił Gery

z powrotem w stronę Cefwyna, zaślepiiony strachem, myląc kierunki. Ty głupcze, powiedziałałyby Mauryl.

I miałyby rację.

Rozdział trzynasty

Jeden z mężczyzn powiedział, że zna drogę i że przeprowadzał tu kiedyś rekonesans, więc będzie mógł poprowadzić ich wokół lasu i znów wyjadą na gościniec, w miejscu gdzie droga wychodzi spomiędzy drzew.

–Jutro z rana dostaniemy posiłki – zwrócił się Cefwyn do Idrysa. – Na nic się zda nasza jazda na południe, do drogi, a potem z powrotem. Zajeździemy tylko konie. Rozbijmy obóz!

–Nie wdzialiśmy zbroi przeciwko strzałom i procom pastuchów, Wasza Książęca Mość. Chcę, żebyś znalazł się w bezpiecznej odległości. Podpalimy stogi siana, to ich zajmie na jakiś czas, a ty w tym czasie uchodź stąd, panie! Jeśli poległ Lewen's-son, w Henas'amef dopiero jutro wieczór zaczną się martwić, co się z nami dzieje. Nie wiemy wprawdzie, jak liczny jest nieprzyjaciel, ale mogę go zająć i wymknąć się cichaczem.

–Obaj w takim razie możemy!

–Nie, Wasza Książęca Mość! Nie ryzykuj utraty królewskiego dziedzictwa w bitwie z jakąś gromadą wieśniaczek w łachmanach na pastwisku owiec! Są bitwy godne książąt i takie, które im nie uchodzą. Ta właśnie nie uchodzi, panie. Proszę, byś wykazał się zdrowym rozsądkiem, jakiego brakło twemu wujowi, i dożył czasu swojej koronacji!

Na chwilę zapadła cisza. A nuż Uwenowi udało się przedrzeć, pomyślał Tristen, i nadciąga już pomoc? Mimo to może przybyć za późno. Idrys i książę mierzyli się nawzajem ognistymi spojrzeniami.

Na koniec Cefwyn powiedział:

–Nie myślę zabierać ci ludzi, których potrzebujesz. Pojedziemy wzdłuż wschodniej doliny. Potrafię odnaleźć ją w ciemnościach. Dogonisz nas później na drodze. To rozkaz, mój panie. I masz się nie guzdrać, bo cię potrzebuję. Zabiorę z sobą Tristena i dwóch ludzi do ochrony.

–Ależ ów magik nie jest mężczyzną, brak mu rozumu i doświadczenia, powiększy tylko ryzyko, panie. Rzucił się do panicznej ucieczki, wzywając pomocy, gorzej niż dziesięcioletnie dziewczę! Nawet wstydliva panienska została przy swej eskorcie!

–Panie... – zaczął Tristen, ukłuty do żywego.

–Tristen – przerwał mu Cefwyn – a także Nydas i Lefhwyn. To moje postanowienie.

–I Brogi – dorzucił Idrys. – Przynajmniej trzech ludzi, Wasza Książęca Mość. I jeszcze sześciu, dla pewności.

Tristen zagryzł wargę, niezdolny zaprotestować. Cefwyn uciał krótko:

–Do zobaczenia, mości kruk. – Spiał konia do szybszego marszu, podczas gdy Idrys wraz z pozostałymi zwracali się na powrót w stronę wioski.

A zatem ich świta liczyła dziewięciu ludzi. Tristen jechał wraz z nimi, chcąc jakoś podważyć opinię, jaką wydał o nim Idrys, choć z drugiej strony nie znajdował argumentów, które mogły mu w tym pomóc. Nie spisał się najlepiej, gdy pobłądził w lesie. Znalazł się w szarej przestrzeni, myśląc, że patrzy w dobrym kierunku, a tymczasem pogalopował w odwrotnym. Nie wiedział już teraz, czy obrócił się w tym Miejscu wokół własnej osi, czy też po prostu stracił orientację w terenie i zapomniał, miotany strachem, dokąd Gery zmierzała.

Czuł się niczym głupiec, jakim go nazwał Idrys bez ogródek. Niemniej miał w zanadrzu pewne jeszcze nie użyte środki. Mógł zawezwać Emuina, gdyby wymagała tego sytuacja.

Emuin przebywał jednak niezmiernie daleko i nie był w stanie wysłać im żołnierzy z odsieczą ani udzielić – w przekonaniu Tristena – jakiegokolwiek pomocy. Emuin powiedział, że w szarym miejscu niebezpiecznie jest mitrężyć. Zastanawiał się, czy Cefwyn o tym wie lub czy może tam dotrzeć, i czy wreszcie jakikolwiek człowiek potrafi tego dokonać; rozmyślał, czy powinien zwierzyć się Cefwynowi z tej możliwości i czy książę jest wtajemniczony w poczynania Emuina, a jeśli nie, czy należy go wtajemniczyć.

Tymczasem ich położenie nie było rozpaczliwe: ziemia uciekała spod kopyt – zielona trawa, szary kamień i czarna gleba-w trakcie jak przemierzali łąki usiane skalistymi pagórkami, przypuszczalnie nazbyt małymi, aby mieć swoje nazwy. Mapa wciąż rozbrzmiewała echem Słów w jego głowie, Słów nakreślonych czerwienią, czernią i brązem, towarzyszących delikatnym liniom, które biegały, rozmywały się i próbowały się dopasować do ukształtowania terenu.

Zła, coś mu podszeptywało. Zła jest ta mapa; jednakże pomylił się już raz co do kierunków i Idrys napiętnował go jako głupca i zawałdrogę w każdej kompanii. Nie umiał dowieść pomyłki Idrysa.

Konie nie potrafiły długo wytrzymać szybkiego, narzuconego przez Cefwyna tempa, gdy posuwali się obok ostatnich zabudowań wioski i okolonych murkiem zagród. Obecnie mijali pola i pastwiska w pewnym oddaleniu od wzgórz na północy. Cefwyn zwolnił nieco, ciągle w posępnym nastroju, rozmawiając z ludźmi przydzielonymi mu przez Idrysa tylko po to, aby uzgodnić kierunek i ocenić możliwości dotarcia do szukanego przez nich miejsca, posługując się pewnym wzgórzem jako punktem orientacyjnym. Człowiek, który podobno znał tę okolicę, utrzymywał, że ich gościec biegnie na południe od owego punktu.

Myli się, gdyż biegnie na południe od nas, ale znacznie dalej na wschodzie, pomyślał

Tristen, lecz doszedł do wniosku, iż roztropniej będzie to przemilczeć. Cefwyn nie był w najlepszym humorze, a kierunek na południe mógł póki co uchodzić za właściwy, ponieważ w pewnej mierze przybliżał ich do drogi.

Jechali przez długi czas, aż dotarli na miejsce, gdzie wedle założeń powinno znajdować się wspomniane wzgórze, a gdzie go wcale nie było. Człowiek błagał księcia o wybaczenie, gdy nagle dojrzeliby ów pagórek, co dało im pewność, w którym miejscu się znajdują.

Wiem, pomyślał Tristen. Sowa szybująca we śnie nad mapą pokazała mu całe to miejsce. Pokazała rozmieszczenie wzgórz oraz strumieni, które wpływały jedne do drugich, aż docierały na Równinę Leweńską, gdzieś po drugiej stronie wioski.

Ale nie dojechali. Nadal zdążali dokładnie na południe, co mogło wyprowadzić ich w dzikie strony, pomyślał Tristen. Wtedy marsz się spowolni. Nikt nie pytał go jednak o zdanie, Cefwyn wciąż wyglądał na poirytowanego. Miał po temu słuszny powód, sądził Tristen, zważywszy na straconych ludzi i sprzeczkę z Idrysem.

Wciąż o tym dumał, kiedy zbliżyli się do rzeczonego wzgórza, wzgórza osobliwego ze względu na bezdrzewny, pokryty kamieniami wierzchołek, zwany przez miejscowych mieszkańców Łysą Górą, a formalnie Kruczym Wierchem. Raptem natknęli się na ciemną smugę w trawie, przecinającą w poprzek ich drogę. Tristen zdziwił się na jej widok, gdyż była jedyną skazą pośród atłasowo gładkich łąń traw, przypominając ślad pozostawiany przez ich własne konie. Ktoś, pomyślał Tristen, przejeżdżał niedawno przez tę łąkę w kierunku zupełnie innym od tego, jaki oni obrali. Trop zakręcał poza występ Kruczego Wierchu. Cefwyn także go ujrzał, lecz nie zatrzymali się, jeden tylko z jadących na szpicie mężczyzn wypuścił się po śladach, by po jakimś czasie powrócić do oddziału.

–Samotny jeździec – zameldował ów mężczyzna, Brogi – a co najwyżej dwóch, Wasza Wysokość. Lekko obciążony wierzchowiec objechał Wierch, jak się wydaje. Wołałem nie podchodzić bliżej bez wyraźnego rozkazu, Wasza Wysokość. To punkt obserwacyjny, z którego całą dolinę można by przepatrzeć.

Była to zła wiadomość, nawet głupiec mógł to wywnioskować. Cefwyn jeszcze bardziej zmarszczył czoło, skoro zapewne, jak pomyślał Tristen, ludzie na koniach, bez względu na prawdziwe zamierzenia, powinni trzymać się dróg, nie zaś szukać owczych ścieżek w dzikim terenie, chyba, że pragnęli kogoś uniknąć, podobnie jak ludzie Cefwyna.

W wiosce nie napotkali najeźdźców, nie umiał jednak stwierdzić, czy nie było ich przypadkiem w lesie.

–Dałbym sobie łeb ściąć, Wasza Wysokość, że trop powstał parę godzin temu – dodał Brogi.

–Może to Uwen? – wtrącił Tristen nieśmiało. – Kazał mi zboczyć z drogi w razie potrzeby.

–Sam żem wcześniej deliberował o tym, panie – rzekł Brogi. – Sierżant winien był dawno już skręcić na południe. Skoro to jego ślad, człek ten pewno zbłądził. Mogą to być ludzie lorda Hery na, nie chcę wszelako oceniać pochopnie, panie, po tym, cośmy widzieli.

–Nawet, jeśli to ludzie Heryna – stwierdził Cefwyn – i tak bym im nie dowierzał.

–Wasza Wysokość – wtrącił inny, starszy mężczyzna – konie nam się srodze pomęczyły. Bez odpoczynku daleko nie zajdą. Jeżeli nie trza nam wzruszać gniazda os, lepiej tego nie czyńmy, jeno drogi szukajmy.

–Samiście mówili, że to ledwie jeden, dwóch jeźdźców.

–Tylu ich ślady zostawiło, racja, Wasza Wysokość. No, góra trzech, ale kto zgadnie, skąd jechali albo ilu czeka na nich ludzi gdzieś tam w obozie?

Wszyscy doradzali przezorność. Żołnierze, nie mogąc sprzeciwiać się otwarcie Cefwynowi, w możliwie oględny sposób starali się wyłuszczyć swoje obawy.

–Wasza Książęca Mość – odezwał się Tristen cicho, słabiutkim głosikiem, z wielkim szacunkiem zwracając na siebie uwagę Cefwyna. – Mistrz Idrys nie wie, co się z nami dzieje. Można go jakoś powiadomić?

–Bogowie wiedzą, gdzie jest w tej chwili mistrz Idrys – parsknął Cefwyn. – Kto wie, czy nie przelatuje właśnie gdzieś w pobliżu, gdzieś za tamtymi łąkami, a my nawet się tego nie domyślamy? Idrys może być nadal zajęty w wiosce, mógł udać się na południe w stronę gościńca albo też wprowadzić spieszenie w czyn, z bardzo wzniosłych pobudek, jakiś własny zamysł, niech lichy porwie te jego tajemnicze, skryte metody! My ruszamy prosto przed siebie, trzymamy się owczych ścieżek, cały czas ku drodze, gdzie, miejmy nadzieję, mistrz Idrys będzie nas oczekiwał. Tylko bogowie wiedzą, kto tu w pobliżu obozuje i czy przypadkiem nie wypatrzone nas z góry.

–Margreis – rzekł Tristen, gdy nagle objawiła mu się Nazwa określająca zapamiętaną z mapy wioskę. – Czyż nie leży blisko Emwy?

–To same ruiny – odparł Cefwyn. – Ale skąd ty o nich wiesz?

–Z mapy, panie.

–Margreis to czasowa przystań banitów. Znajduje się blisko Wierchu. Nie, lepiej odjedźmy stąd wolno i nie przemęczajmy koni, zanim nie znajdziemy drogi. Nie będziemy ryzykować połamaniem karku na tych przeklętych owczych ścieżkach.

Cefwyn wydał rozkaz i basta. Tristenowi wciąż się jednak wydawało, że o wiele roztropniej byłoby skręcić do wioski, gdzie ściany i ryglowane drzwi broniły dostępu ludziom i Cieniom. Wydawało mu się również, że pozostawanie na otwartej przestrzeni po zapadnięciu

ciemności, szybko ogarniających ziemię, nie zostałyby uznane przez Mauryła za najlepsze rozwiązanie. Wydawało mu się wreszcie – pamiętał przecież mapę – iż nie znajdą drogi przed zmięciem, nawet, jeśli przyśpieszą, a pomysł błąkania się po omacku owczymi ścieżkami w poszukiwaniu wzgórz, które mógłby rozpoznać ich przewodnik, nie należał chyba do najmądrzejszych.

Niemniej rozbijanie obozu i trwanie w jednym miejscu wydawało się najgorszym wyjściem, bo czyż mieli siedzieć i czekać, aż wróg zaatakuje ich w ciemności? Tristen cieszył się, że Cefwyn przynajmniej postanowił dokądś dotrzeć, skoro już nie chciał wracać do ścian i drzwi, które mogli zaryglować.

Poza tym nie był wcale pewien, co do słuszności swoich przekonań; przecucia zwykle go nie zwodziły, jednakże Nazwy i wrażenia nie objawiały mu się jednostajnie: napływały w postaci skrawków i fragmentów mapy; szczegóły ukształtowania terenu przybierały znajome kształty, gdziekolwiek spojrzeł, jakby zniemacka cała okolica stała się mapą Cefwyna, a on potrafił przejrzeć na wskroś wzgórze, odgadnąć, gdzie leżą osady, a gdzie płynie rzeka.

Ludzie Cefwyna nadal nie mieli całkowitej racji odnośnie do kierunku jazdy, ale obrana przez nich droga wydawała się najkrótsza, jeżeli nie chcieli przecinać niskich wzgórz na zachodzie i zbliżać się do śmiercionośnych lasów; Cefwyn naglił teraz do najszybszej jazdy, jaką mogły wytrzymać konie, a grunt, w miarę jak wydłużały się cienie, stawał się coraz trudniejszy i bardziej kamienisty.

Dobrze po zachodzie słońca owcza ścieżka, której dotąd trzymał się przewodnik, urwała się nad rzeczka. Obu brzegów broniły wysokie skaliste półki, wobec czego przez pewien czas jechali wzdłuż niższego nasypu, by wreszcie, pośród drzew, przeprowić się przez koryto i wspiać na stromy drugi brzeg.

Teraz jednakże utarty szlak skończył się definitywnie, a oczom ich ukazało się usypisko kamieni niebędące z pewnością dziełem natury, porośnięte z rzadka drzewami. Nie był to fragment lasu, przez który wcześniej przejeżdżali, ale wierzbowy gaj, ustępujący dalej miejsca krzakom i kamieniom.

Między zaroślami prześwitywał stary mur. Wszędzie ścielił się bruk przypominający Drogę, aczkolwiek ten miał bladozłoty odcień. Na niektórych kamieniach u podstawy muru wyryto liście, na innych ptaki lub koła, a na jeszcze innych twarze, przy czym spomiędzy liści wglądała jedna o zaostrzonych zębach, jakby czaiła się tam w zasadzce.

Powietrze wywoływało uczucie mrowienia. Szare miejsce Emuina było tu nader łatwo dostępne; pulsowało tuż pod powłoką powietrza i napawało Tristena strachem.

Żołnierze czynili znaki ochronne, na twarzy Cefwyna malowały się złość i troska. Strome, kamieniste podejście przegradzały gęste chaszczki i musieli się z mozołem przeciskać wśród gmatwaniny na wpół zagrzebanych w ziemi kamieni; w dodatku gęstniały ciemności.

Nareszcie kierowali się bardziej w stronę gościńca. Tristen nie miał, co do tego wątpliwości.

–Sądzę, że teraz wszystko jest jak należy – powiedział. – Droga znajduje się dokładnie przed nami.

–Niech lichy porwie takie szczęście – odparł Cefwyn, wcale niepokieszony. – Ani przez myśl mi nie przeszło, by trafić w to miejsce. Musimy skręcić bardziej na wschód i wyplątać się z tej gmatwaniny.

Wkrótce natrafili na mury budowli, od których nie wiało bynajmniej miłą atmosferą.

Sadza osiadła wokół pustych okien i drzwi, jakby wewnątrz strawił niegdyś ogień.

–Althalen – odezwał się ktoś. – To Althalen. Bogowie, miejcie nas w swej opiece!

Kolejna Nazwa. Niewzbudzająca w Tristenie niepokoju. Choć wszyscy inni się bali.

–To tylko kamienie – powiedział Cefwyn ostro. – Martwe kamienie. Nikomu nie uczynią krzywdy. Strzeżcie się jednak zasadzki, bo jedynie to nam tutaj zagraża.

Dogasały ostatnie światła. Cienie przejęły władzę nad ruinami, wylażąc z dziur, gdzie czały się za dnia. Wcale mi się to nie podoba, pomyślał Tristen; wyraziłby swą myśl na głos, gdyby sądził, że ktoś go wysłucha lub, że to komuś przyniesie jakąś korzyść, lecz i tym razem tak by się pewnie nie stało: żołnierze w dalszym ciągu postępowali stosownie do posiadanych informacji, zdążając na południe z zamiarem późniejszego zwrócenia się na wschód; obecnie zaszli już tak daleko, że nie mieli żadnego wyboru, a w zasadzie mogli wybrać jedynie gorsze rozwiązanie.

Jeszcze rozminą się z Idrysem na gościńcu, pomyślał Tristen. Miał nadzieję, że Idrys ich tu odnajdzie. Zewsząd otaczały ich ruiny, a na wzgórzu powyżej piętrzyły się znacznie wyższe i potężniejsze, acz nagie zgliszczka. Atmosfera pogarszała się z każdą chwilą. Niebo przybrało barwę brudnej wody. Powietrze stało się zimne i wilgotne, gdy światło opuściło ziemię.

Tymczasem Cienie przemykały nieustannie po murach, opuściwszy swe mateczniki w głębokich szczelinach między kamieniami.

Linie na ziemi, jak wyraził się kiedyś Mauryl. Tajemnice znane murarzom i kamieniarzom. Cóż jednak powstrzymywało Cień, skoro budowla została zburzona, a konie i ludzie przechodzili miejscami, które dawniej były drzwiami i oknami? Zapewne tak wielka katastrofa osłabiła ich moc.

Zerwał się wiatr, bez żadnej zapowiedzi. Wierzchowce rżały i gryzły wędzidła, chcąc rzucić się do ucieczki.

Coś się za nimi skradało. Czuł to. Konie też to czuły. Obejrzał się przez ramię, zauważając,

jak niema trwoga gromadzi się między kamieniami, przy czym ogarniało go wrażenie czyjejś obecności; podobnego doznał w lesie, gdy na Drodze prowadzącej przez Mamę minęła go jakaś postać. Nigdy więcej nie widział czegoś równie szczególnego. Sierść Gery drgnęła przy jego kolanie, gdy Cefwyn prowadził ich w dół rozmytym przez erozję stokiem. Weszli w mroczną, osłoniętą konarami drzew lukę wśród zburzonych fundamentów i noszących ślady pożaru ruin.

Naraz wicher dmuchnął im w twarze, rozhuśtał gałęzie, westchnął szelestem listowia.

W dali rozległo się rżenie. Tristen poczuł dym i usłyszał podniesione głosy – wiele, wiele głosów, niewyraźnych i odległych, bijących na alarm. Przypomnił sobie, co Idrys mówił o paleniu stogów siana.

–Coś się pali – powiedział.

–Niczego tam nie ma – odparł Cefwyn cierpko. – Masz się mnie trzymać.

Utarta ścieżka prowadziła wzdłuż kolejnego szeregu fundamentów dawnych ścian. W powietrzu wisiała przenikliwa, trudna do zniesienia woń spalenizny, konie dyszały wobec tempa, jakie narzucił Cefwyn, biała piana pryskała spod wędzideł w gęstniejących ciemnościach.

–Zdałby się jaki łuk – rzekł jeden z żołnierzy.

–Tylko z konia mi nie zleć – szepnął drugi. – Nie masz strzały, co by się miała przekłętego umrzyka.

–Spokój tam! – syknął Cefwyn.

–Ogień – nalegał Tristen.

Powietrze wydało się raptownie szare i poznał, że znów wśliznął się w to niebezpieczne miejsce. Co gorsza, wypełniały je rzesze Cieni.

Ujrzał, jak ogień rozprzestrzenia się w cienistym lesie, bladym i niewyraźnym, jak razi pomarańczową barwą na tle czarno-białego krajobrazu; jechał dalej, jakkolwiek stracił z oczu Cefwyna i pozostałych ludzi.

–Wstrzymaj no się – rzekł mu głos. – Wstrzymaj się, pisklątko. Poczuj tylko, jak ci się piórka smalą. Ogień nic ci nie zrobi. Uwierz mi. Zaufaj mi. Pójdź za mną. Zaprowadzę cię bezpiecznie do domu.

–Emuinie! – zawołał. – Emuinie, jesteś tam?

–Zatrzymajcie go! – rozległy się wzburzone głosy. Wyciągnęły się ręce, Cienie zafalowały i

pomknęły przez szarość, błądź i dym; mdły blask ognia odcinał się od perłowszarego nieba.

Dostrzegł przed sobą otchłań ciemności i popędził Gery, by przefrunęła jej środkiem, gdyż był to jedyny skrawek przestrzeni wolny od ognia.

Trafił na równą płaszczyznę, po której Gery chyżo przemykała, byle dalej od ognia, byle dalej od płomieni, byle dalej od głosów i usiłujących go pochwycić Cieni.

On i Gery szybowali przez pustą przestrzeń, a przed nimi, między pękającymi gałęziami, zionął otwór przejścia, którym mogli umknąć otaczającym ich zewsząd ogniom, ponieważ prowadził hen, ku perłowszaremu powietrzu.

Mrok zakrył cały świat; końskie sylwetki zagroziły Gery dalszą drogę. „Łapcie za lejce!” – ktoś krzyknął, po czym ręce wyciągnęły się w stronę Gery; ręce także szarpały Tristena, aż klacz przeszła w stępa, a następnie się zatrzymała.

Szarość przestała być wyraźna, wypełniły ją wyglądające na ludzi cienie, pokrzykujące ostro i wymachujące rękoma...

–Stój! – rzucił Idrys głosem z trudem rozpoznawalnym ze względu na chrypę. – Stój, do kroćset! Dość tego! Wasza Książęca Mość!

Za nim ukazały się dalsze sylwetki. Wciąż siedział na grzbiecie Gery. Na całym niebie wiły się i kłębiły pośledniejsze Cienie, z rodzaju tych będących dziełem człowieka, a więc bladoszarych, nie zaś tych o prawdziwie czarnej i zabójczej naturze. W powietrzu niosły się echa opowieści o pojawiających się na wzgórzach jeźdźcach.

–Przeklęta ziemia! – ktoś zauważył.

–To martwi Sihhijczycy – dodał drugi; Nazwa ta napawała ludzi strachem.

–Czemu czepiacie się chłystka? – inny zapytał.

–Toż to jego kamraci. Chciał nas zaciągnąć do samego piekła!

–Wyprowadził nas na gościniec – wzbił się gromki głos. – I lepiej stulcie już pyski!

Wśród całej tej wrzawy Tristen usłyszał pytanie Cefwyna:

–Jak tu trafiłeś?

–Przez ten las z pomocą cholernego łutu szczęścia – odpowiedział Idrys. – Był tam nawóz, co to nie pochodził ani od owiec, ani od kóz, Wasza Książęca Mość, koński nawóz, rozsypany po sadzie w Emwy, grubo jak się patrzy. Podpaliłem siano, posłałem w ślad za tobą przez pola dziesięciu ludzi, a potem sam ruszyłem na skrót... Czterech dzielnych

Gueleńczyków, Wasza Książęca Mość, czterech dzielnych ludzi straconych w tej przeklętej wyprawie, nie licząc Lewen's-sona!

Tristen nie trzymał już cugli Gery, która poruszyła się, aż nim zakołysało, a następnie wysunęła się spod niego i ktoś krzyknął ostrzegawczo; nie miał się czego chwycić, znów dryfował w szarej przestrzeni, lecz czyjaś ręka popchnęła go od tyłu i wyprostowała w siodle; wtedy Gery powróciła na swoje miejsce.

Tymczasem pojawiali się kolejni jeźdźcy; niektórzy zrazu brali ich za wrogów, ale byli w błędzie. Znał ich (co prawda nie z imienia), wyczuwał ich obecność i wiedział, że są to ludzie Cefwyna. Okazali się tymi wysłanymi przez Idrysa dla wytropienia księcia; skarżyli się na duchy i upiory, zapewniając, że i oni czuli zapach dymu, którym przeszły ich ubrania. I że słyszeli głosy oraz płacz dzieci.

Nastała jasna noc: miejsce, czyli droga, otwierało się na niebo usiane połyskującymi gwiazdami. Gdy znaleźli się na gościńcu, Idrys mówił o zasadzce.

–Powinniśmy czym prędzej wracać, Wasza Książęca Mość. Nic tu nie zdziałamy, bo jest nas za mało. Wpadliśmy w jakoweś wnyki, zanim się przygotowali na nasze przyjęcie... Lepiej skorzystajmy z przewagi, nie gubmy ludzi w pogoni za duchami. Widma snują się po okolicy.

–Niech piekło pochłonie zaginione owce Heryna! – warknął Cefwyn. – Wystosujemy zapytania w sprawie dystryktu Emwy. Jeśli nie chcą uszanować mojego proporca, jeszcze będą się modlić, abym tu wrócił. I odpowiedzą na moje pytania.

Odjechali z tego miejsca. W miarę upływu czasu kształty stawały się wyraźniejsze, mrok zwyczajnej nocy w oczach Tristena zastąpiła szarość. Powiedzieli jednak, że wracają do miasta, gdzie człowiek czuje się bezpiecznie i skąd być może wyślą ludzi mających zorientować się w sytuacji w dystrykcie Emwy.

–Althalen – usłyszał, jak ktoś mruczy. – Zdatne miejsce, by zamordować potomka rodu Marhanenów.

Nazwa, która się podniosła i rozścieliła wzdłuż drogi; Nazwa wypełniająca noc chaosem i podejrzeniami.

Nazwa zapisana na wiekowym pergaminie, gdzie rzuciły na nią cień szerokie skrzydła Sowy.

Szarość przybrała wnet na sile, a światło w tym miejscu zatętniło usilnie chcącymi mu coś powiedzieć głosami. Tak wiele ich mówiło naraz, że nie był w stanie wychwycić pojedynczego słowa.

Siedział oto na skale, konie czekały w pobliżu. Siedząc, przechylił się, a wtedy dotknęła go

ręka – sięgnął, aby ją pochwycić, gdyż szukał czegoś rzeczywistego w tym rozkołysanym, trzepotliwym świetle.

Coś wymierzyło mu policzek. I jeszcze raz.

–Zimny jak trup – szepnął Cefwyn. – Tristenie.

–Panie – odparł. Świat był wyrazisty, pomijając niewielką, ciemną przestrzeń, gdzie Cefwyn klęczał na jednym kolanie... To nie było w porządku. Cefwyn nie powinien tego robić; wszędzie poza nim panowała jednak szarość i chłód, które na zmianę napływały i odpływały, w trakcie jak księżę dłużej przy swoim kołnierzu, aby wyciągnąć metalowy krążek na łańcuszku.

–Weź to. – Cefwyn zdjął łańcuszek i siłą wetknął ów przedmiot do ręki Tristena.

Młodzieniec czuł jego kształt. Czuł go niby coś żywego i obdarzonego mocą. Oszołomiony, zacisnął kóleczo w pięści, przytknął je do serca i odetchnął, widząc świat ogarnięty ciemnością, wypełniony Cieniami i lśnieniem gwiazd.

–Zgubiłem się – bąknął, próbując im wytłumaczyć. – Cefwynie...

–Hm, Marhanenowie. Zdradzili nas już parokrotnie, istotą Mauryla Gestauriena. Nie pokładaj w nich złudnych nadziei. Mauryl by cię od tego odżegnywał, możesz być pewien. Znajdujesz się w niewłaściwym miejscu. Musisz ich opuścić. Porzucić.

–Dziwy jakoweś – mruknął jeden z żołnierzy. – Duchy z nami igrają. Na tym gościńcu nic dobrego Marhanena ni Gueleńczyka nie spotka.

–Podnieście go. Posadźcie na konia – powiedział ktoś, kogo Tristen usiłował zobaczyć, lecz zewsząd napierały Cienie. Wiedział, że stoi. Wiedział, że Cefwyn wyciągnął z jego ręki przedmiot na łańcuszku, przełożył mu przez głowę i zawiesił na szyi, nalegając, aby się z nim nie rozstawał. Chłód bijący od przedmiotu przenikał nawet przez kolczugę.

–Boję się – wyznał. – Cefwynie, ja nie wiem, jak stąd wrócić. Nie umiem znaleźć drogi do domu.

–Już dobrze – rzekł Cefwyn. Albo Mauryl. Sam nie wiedział, który. Bez ceregieli szarpnęły nim czyjeś ręce, nakierowały go, podniosły i usadziły w siodle, gdzie pragnął się jak najszybciej znaleźć, zdając sobie sprawę, iż dzięki temu dotrze do domu, w bezpieczne miejsce.

Po długim czasie usłyszał głosy koni. Powiedział o tym, ale nikt nie chciał go słuchać. Później, po kolejnym odpoczynku, gdy znów pędzili drogą – upłynęło chyba kilka godzin – oni także je usłyszeli; słyszał ludzi rzucających przekleństwa bądź wzywających bogów. Słyszał metaliczny brzęk i poznał odgłos dobywanych mieczy.

Sięgnął do boku, lecz nie znalazł broni. Podobnie jak w gołębniku, kiedy Mauryl umarł, w czasie, gdy inni przygotowywali się, by stawić czoło grożącemu niebezpieczeństwu, on czekał, niczego nie rozumiejąc, poszukując w szarości odpowiedzi na pytanie, czy zbliżający się jeźdźcy są wrogami czy też przyjaciółmi.

Ktoś zawołał z oddali.

–Wasza Książęca Mość? – ten sam głos odezwał się z mniejszej odległości. Wkrótce rozbrzmiał inny, ochrypły, z którym Tristen zaznajomił się tamtego poranka, wydającego się teraz zamierzchną przeszłością; głos, który wczoraj o świcie wywołał go z zacisza pościeli, z jego ciemnego pokoju.

–Wasza Książęca Mość? Lordzie komendancie? Czy to wy? Zadrżał, rozpoznawszy głos Uwena. Dostrzegł, jak Uwen – pochylony na koniu i z przepasaną bandażem głową – prowadzi pozostałych jeźdźców, wynurzających się na tle bladej łuny rozlanego nad wzgórzami świtu.

Wśród owych jeźdźców znajdował się Jego Miłość lord Heryn w atłasowych, dworskich szatach. Heryn pośpiesznie zsiadł z konia i uklęknął przy drodze, składając Cefwynowi wyrazy uszanowania i troski.

–W samą porę – mruknął Cefwyn. – I to z gueleńską strażą. Jakże miło z twojej strony, żeś przywiódł moich żołnierzy. A może to żołnierze ciebie tu przywiedli?

–Słyszałem już wieści – powiedział Heryn. – Wasza Wysokość, nie mam powodu, najmniejszego powodu, podejrzewać, że na tym obszarze ludność się buntuje. Moi ludzie, którzy zajeżdżają tu często, niczego nie zauważyli. Przyrzekam dowiedzieć się prawdy. Dotrę do samego jądra. Wyłapię winowajców, a także ich znajomków. Niech ich wszystkich piekło pochłonie!

Heryn mówił dłużej, a Cefwyn udzielił mu jakiejś odpowiedzi, lecz ich głosy rozmyły się i ucichły. Uwen podjechał bliżej i spytał Tristena o samopoczucie.

–Myślę... – zaczął odpowiedź, ale jej nie dokończył.

–Tristenie – westchnął Wiatr. – Tristenie, Tristenie. Czul chłód i wzdragał się przed dotykiem.

–Nie – orzekł Wiatr, jakby zalękniony. – Ty nie nazywasz się Tristen.

–Uwencie... – zdołał wyjąkać. Stał na ziemi. Zsiadł z Gery, gdy zatrzymali się na odpoczynek. Czekał bezradnie z cuglami w dłoni, ze względu na dreszcze nie będąc w stanie nimi się posłużyć. – Uwencie, pomóż.

–Tak, panie. Masz tu wolne strzemię. Zaraz cię złapię. – Ręka sięgnęła ku Tristenowi,

schwyciła cugle Gery i zawisła, aby ująć jego dłoń. – Włóż tu stopę, panie, a ja pociągnę.

Włożył stopę w strzemię Uwena. Uwen pociągnął Tristena za rękę, gdy ten usiłował się wspiąć, ciągnął dopóty, dopóki młodzieniec nie złapał się płaszczu Uwena, a potem jego ramienia, siadając okrakiem na siodle. Usadowił się wygodnie i uchwycił siodła, niepewny, co ma zrobić z rękoma. Uwen wszakże nastawał, by objął go wpół.

–Koń da jakoś radę i obu nas poniesie – powiedział. – Masz na sobie ledwie kolczugę, a i ja niewiele więcej, panie. Oprzyj no się na moich plecach... Tak, grzeczny chłopiec.

Tristen znów opuścił głowę, ufając Uwenowi, starając się ze wszystkich sił nie wpaść powtórnie w szarość, w miejscu tym, bowiem groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dowiedział się tego, gdy rozpoznał Słowa, które mu się objawiły. Szara przestrzeń (Emuin uprzedzał, że jest dla nich obcym miejscem) nie stanowiła tu żadnej kryjówki, a to wobec bliskości nawiedzanych zakątków. Nie zdołał dotrzeć do Emuina. Zamiast niego, przyciągnął ów wrogi Głos, który wołał i ponaglał. Za nic na świecie nie chciał go ponownie usłyszeć.

Za plecami Uwena, po długim oczekiwaniu i długim marszu, odnalazł wreszcie bezpieczeństwo. Żołnierz zapewnił mu ochronę oraz godną zaufania, życzliwą obecność, wystarczająco silną, aby móc go wyręczyć w odganianiu cieni.

Wsparłszy głowę na ramieniu Uwena, zapadł w sen, twardy i głęboki.

Rozdział czternasty

–Zrobiłem, co mogłem – oświadczył Uwen. Głos weterana drżał. A przecież, pomyślał Cefwyn, Uwen Lewen's-son nie należał do ludzi lękających się zbytnio bogaczy diabła... czy też nadwornego medyka. – Przez całą drogę żem z nim gadał, Wasza Wysokość. Mówiłem: „Nie masz się czego bać”, mówiłem: „Aby nie spadnij, chłopcze”, a on się mnie trzymał. Słyszysz, co się do niego mówi... Nie jest głuchy, panie. – Ostatnie zdanie skierował pod adresem medyka, który wsunął dłonie w czarne rękawy i nachmurzył czoło.

Cefwyn zmierzył gniewnym spojrzeniem zarówno Uwena, jak i doktora. Uczony dureń potrząsnął siwiejącą głową, odsuwając się od łóżka Tristena.

–We śnie, wbrew zapewnieniom ignorantów, nie funkcjonuje świadomość – oznajmił medyk. – To może być uzdrawiający sen, Wasza Wysokość. Oko śmiertelnika nie znajdzie na nim żadnej rany, prócz niewielkich sińców i zadrapań, jakie niewątpliwie spowodowały upadki...

–Nawet półgłówek stwierdzi to samo! Dlaczego on śpi?

–Żadna naturalna siła nie sprowadza na człowieka tak mocnego snu. Rzekłbym, zauroczenie. Gdyby choć można go było przepyttać... – Medyk zwilżył wąskie, wydęte w dezaprobacie wargi. – Na razie wygląda na to, że przydałby się tu bardziej kapłan. A może,

jeśliby zawiódł, należałoby zapalić gromnice? Hm, terantyński medal... Czy przyjął go z własnej woli?

–Sam mu go dałem – odparł Cefwyn ostro i dyskusja o sektach, jeśli medyk chciał wszcząć takową, została stłumiona w zarodku. – Gromnice, powiadasz?

–Potrzebny mu kapłan.

–Potrzebny mu medyk! – warknął książę. – Sprowadziłem cię ze stolicy, przeświadczony o twoich umiejętnościach. Czyżby mnie źle poinformowano, mój panie?

–Wasza Wysokość, chodzą słuchy – odchrząknął – o jego wyrodnej proweniencji. A skoro prawdą jest, że przybył z Ynefel, rozumiem, czemu nie nająłeś kapłana. Mimo to rozpytywałem się ostrożnie, Wasza Wysokość, i znalazłem kogoś odpowiedniego. Być może świecki członek...

–Do diaska z twoimi świecami! Cóż mu dolega, na miłość boską?

–Nie jest to przypadłość ciała.

–Kapłan, powiadasz?

–Choćby o duszę mą szło, ani godziny bym nie wytrzymał w Althalen. Chorobliwy nastrój tego miejsca, zwłaszcza wieczorem...

–Niech cię lichy! Tyś nawet nie przejeżdżał koło Althalen!

–I nie zamierzam, Wasza Wysokość. – Chroniony szatami medyka, naczelnymi stanowiskami w gildii oraz podeszłym wiekiem, mężczyzna układał medykamenty, każdy flakonik, lusterko i tajemnicze narzędzie na swoje miejsce, podczas gdy pacjent jak spał, tak spał, a niepiśmienny wojak wykonywał jedyną rzecz, jaka wydawała się przynosić efekt, to znaczy klęczał obok łoża i po prostu mówił.

Gdy już torba została spakowana, staruch podreptał i otworzył drzwi.

Zamknęli je za nim gwardziści – Gueleńczycy z Gwardii Książęcej, ludzie cieszący się zaufaniem Cefwyna, podobnie jak cieszył się nim do niedawna gueleński medyk, o którym książę sądził, że nie wystraszy się nieortodoksyjnych poczynań w przeważnie heretyckiej prowincji.

Uwen jednakże pozostał, ciągle na kolanach, z rękoma na skraju łożka, szepcząc do ucha śpiącego, jak to nazajutrz ryża Gery ma zostać wyprowadzona na pastwisko wraz z jego własnym koniem, aby mogła zażyć zasłużonego wypoczynku, czy też jak nie stała jej się większa krzywda w czasie ucieczki, do której przynaglił ją Tristen, czy wreszcie jak jest mu przykro, iż opuścił go w lesie, aczkolwiek miał rozkazy od księcia i musiał je wykonać.

Uwen rzeczywiście wykonał rozkazy. Dwóch kompanów Uwena zginęło, a on sam dostał w głowę wystrzelonym z procy kamieniem mogącym roztrzaskać mniej twardą czaszkę, lecz pomimo to Le-wen's-son omal nie zajechał konia, aby w zadziwiająco krótkim czasie postawić na nogi kapitana Kerdina i szwadron gwardzistów. Następnie, zamiast się wyłgać od uczestnictwa w wyprawie ratunkowej, co wobec rany na głowie mógł z czystym sumieniem uczynić, zmienił wierzchowca i ruszył z żołnierzami, oczywiście w towarzystwie Jego Miłości Heryna Aswydda we własnej, jakże gorliwej osobie.

Uwen Lewen's-son czuwał nad swoim podopiecznym przez cały dzień i noc, wyłączwszy karkołomną galopadę, która zaowocowała guzem wielkości jajka. Uwen wykapał młodzieńca, ogrzał go, przeganiając wstrząsające nim zimno, i dopóty przemawiał do najwidoczniej niesłyszającego ucha, dopóki nie ochrypl. Udręczony, nie ruszał się ze swego miejsca, nie zważając na wydany niezbyt zobowiązującym tonem rozkaz kapitana, zgodnie, z którym miał udać się na spoczynek. Za przedłużanie swej służby nie oczekiwał od księcia nagrody.

–Przysłużyłeś mi się bardziej niż rada tego uczonego matoła – oświadczył Cefwyn. – Ale wciąż nie ma zmiany. Postawię na straży godnych zaufania ludzi, a ty idź się wreszcie przespać, człowieku.

–Z twego polecenia – rzekł Uwen swym cienkim głosikiem – z twego polecenia, Wasza Wysokość, w lesiem porzucić go musiał. Nie porzucę go na pastwę jakiegoś kapłana, który palcem nie kiwnie, chociażby zagrzaiało. Lepiej już zostanę.

A zatem także Uwen spojrział dziełu Mauryla prosto w oczy, nieszczęsny, zauroczony głupiec. Idrys nazwał Uwena weteranem pogranicza, człowiekiem związanym bardziej ze wsią niż z gueleńskim dworem, niemniej to długie przebywanie nad granicą oswoiło go z magicznymi sztuczkami i zręcznymi szalbierstwami; dzięki nim zapoznał się teraz z czymś – dreszcz przebiegł księciu po plecach – co zaledwie imitowali podrzędni czarodzieje.

Przypomniął sobie podmuch wiatru, który owionął staruszkę w Emwy. Albo w samą porę dopisało jej szczęście, albo też w grę wchodziło coś zupełnie innego, w co zamieszany był Tristen. A więc i Mauryl. Kerdin – w tajemnicy przed Herynem – chciał wysłać oddział gueleńskich żołnierzy, aby zajęli Emwy oraz wyśledzili i wydobyli miejscowe sekrety; Idrys, odwiedziwszy osobiście ów dystrykt, gotów był się prywatnie założyć, że wojsko napotkałoby zarówno winnice, jak i czarownice, przy czym radził – już na spokojnie, gdy księżę znalazł się w bezpiecznym schronieniu – by dobrze rozpatrzyli, jak wiele pragną się dowiedzieć i kiedy.

Heryn podczas powrotnej jazdy stwierdził, iż jeźdźcy, których ślady dostrzeżono przy Kruczym Wierchu, nie zapowiadają zapewne żadnych poważnych kłopotów, co najwyżej dowodzą obecności w tamtych stronach jego własnych zwiadowców, wykonujących ustalone zadania i starających się nie rzucać w oczy.

–Gdzież się w takim razie podzieli młodzi mężczyźni z Emwy? – zapytał Heryna bez osłonek, na co ten, zawsze mający na podorędziu gotową odpowiedź, wyznał, jakoby polowali na banitów, a w dystrykcie Emwy istotnie zaginęło mnóstwo owiec, zatem książę jest źle poinformowany i ma mylne wyobrażenie, jeśli uważa, że w Emwy dzieją się jakieś podejrzane rzeczy.

A to oznaczało, iż książę, lord komendant oraz jego drużyna – wszyscy oni wpadli w nieuzasadnioną panikę na widok nastawionych przyjacielsko amefińskich wywiadowców i rzucili się do beładnej ucieczki. Nikt inny, tylko banici – banici, jakkolwiek w okolicy roito się rzekomo od żołnierzy Hery na! – szyli z łuku i miotali pociski z zasadzki, zabijając ludzi księcia, za co mieli przykładnie zapłacić, jeśli wierzyć zapewnieniom Heryna Aswydda.

Na stojącej przy łożu świecy, pachnącej ziołami, nie zaś świętym olejkiem, pękła skrzepnięta, otaczająca płomyk korona i struga stopionego wosku spłynęła w dół lichtarza do umieszczonej pod spodem miseczki. Strużka ta błyszczała niczym skóra śpiącego, blada, wilgotna, nieskazitelna.

Ze słów Heryna wynikało, że zarówno książę, jak i lord komendant Gwardii Książęcej – który wcześniej dowodził samodzielnie wojskiem Jego Królewskiej Mości w przygranicznych utarczkach – są pierzchającymi przed byle cieniem głupcami.

A może Heryn jest święcie przekonany, że książę i jego lord komendant są głupcami, których łatwo wyprowadzić w pole za pomocą cieni?

Cieni będących w Amefel pod dostatkiem, ozywających podczas mistycznych obrzędów i przyczajonych w tajemnych ustroniach – a także na terytorium odwiecznego sojusznika, w Srebrnej Wieży. W Wieży Mauryła, jak nazywali ją ludzie, odkąd wymarli sihhijscy królowie.

Heryn mniemał, że książę nie draży podobnych sekretów. Heryn mniemał również, że książę z linii Marhanenów, na obcej ziemi, uświęcony przez quinaltynów, nie ma dostępu do osobliwych studni, z których on sam pija w trakcie swoich wędrówek po kraju. Książę wszelako pobierał u Emuina nauki i nauczył się wystarczająco wiele, ażeby zabezpieczyć się przed uzurpatorami sztuki Emuina. Nadto książę, pod wieloma względami bardziej wykształcony od Heryna Aswydda (mógł się o to założyć), nie był uległy ani ślepy.

Książę zastanawiał się na przykład, biorąc pod uwagę tutejsze luksusy, którym jakoś nie udawało się dotrzeć do królewskich składów, skąd Heryn czerpie swe dochody. Polerowany kamień – no tak, mają tu przecież kamieniołomy. Rzeźby – jakżeby inaczej, rzemieślnicy z Amefel, jakkolwiek nigdy się nie nawrócili, byli nad podziw biegli, a tradycyjne wzory, właściwe dla tego regionu, wyróżniały kwiecistość i brak symboliki obraźliwej dla quinaltynów, których miejscowy patriarcha we własnej rezydencji posiadał podobne rzeźby, tyle, że wysadzane złotem i perłami, rzecz jasna. Można by snuć przepuszczenia, jaką Heryn zapracował na nie przysługą albo skąd złoto napływało i dokąd zmierzało.

Ponoć sihijscy monarchowie nagromadzili nie odnalezione dotąd stopy bogactw.

Sihijscy monarchowie znali sposoby na przyzywanie ich z morza – bądź też mniej atrakcyjnych miejsc.

Sihijscy monarchowie posiadali takie dostatki, w jakich płał się Heryn; Heryn być może mający, niczym Elwynimi, nieco owej starożytnej, tajemniczej krwi w żyłach, podobnie jak podtrzymywał starożytne, tajemnicze związki z różnymi wioskami pokroju Em-wy, obwieszał się przedziwnymi amuletami i uczestniczył w dziwacznych obrzędach, uwzględniających słomiane kukły i stare kamienie.

Wyglądało na to, że Heryn łupi wieśniaków podatkami – gdy tymczasem księżę nie był pewien, pomimo wyłożonej pracy swoich księgowych, czy sprawy przedstawiają się tak przejrzysto, jak to wynika po dwukrotnym sporządzeniu bilansu księgowego, czy też istnieje jakaś inna przyczyna, dla której, do tej pory, wieśniacy prędejm podciąliby gardło zniechęconemu Marhanenowi, niż zbuntowali się przeciwko podatkom Aswydda. Zgodnie z prawem, znalezione dobra miały zasilać królewski skarbiec, lecz w cholernych księgach nie sposób było dopatrzeć się jakiegokolwiek nieprawidłowości. Wydawało się, że Heryn płaci swe podatki. Amefel wydawał się bogatszy od swych pól i pastwisk.

–Panie – powtarzał Uwen, trącając policzki śpiącego. – Panie, czy mnie słyszysz? – Uwen ujął dłoń Tristena, po zabiegach medyka porzuconą na pastwę chłodnego powietrza, przełożył ją przez pierś młodzieńca i podciągnął mu koc pod brodę.

Oblicze Tristena, nazbyt idealne, wyszło jakby spod dłuta, ponadto we śnie wydawało się starsze, pozbawione owego przenikliwego wejrzenia, jakim swą istotę obdarzył Mauryl. Policzki zapadły się głębiej, a twarz przyobekła powaga, gdy zamknęły się szare, ciekawe świata oczy, zniechęcające i zmuszające niebacznego śmiałka, by na nich koncentrował uwagę, a nie na rysach twarzy, nie na wysokim wzroście i szerokich ramionach, czy choćby na dłoniach – kształtnych, silnych i potrafiących trzymać pewnie cugle ryżej Gery.

Twór Mauryla zachorował w sihijskiej ruinie, uskarżając się na dym, który przed i po jego ostrzeżeniu tylko nieliczni wyczuli, a który, jak się Uwenowi zdawało, unosił się nawet w tej komnacie.

Twór Mauryla wypuścił swą dzielną klacz takim szlakiem, iż dziw nad dziwy, że nie połamała nóg, a on nie skręcił karku, przedzierając się przez młodniki i wśród pokruszonych murów, zakrytymi przed światłem gwiazd ścieżkami i ponad ciernistymi żywopłotami, prosto ku wypatrywanej przez wszystkich drodze; wysforowany o włos przed resztą oddziału, z zastanawiającą dokładnością zlokalizował szukającego ich rozpaczliwie Idrysa.

Później nastąpiły mdłości, młodzieniec to budził się, by być z nimi, to znów omdlewał niczym dogasająca świeca, wyczerpany psychicznie i fizycznie. Uwen sporo się napocił, chcąc utrzymać swego podopiecznego w siodle, a zeszłego wieczoru potrzebni byli dwaj ludzie,

aby wnieść go do tego pomieszczenia.

Tristen nie odzyskał przytomności, odkąd ją po raz ostatni stracił na gościńcu, szmat drogi od Henas'amef; nie odzyskał przytomności, choć mijał hałaśliwe ulice miasta i bramę; nie odzyskał przytomności, gdy gwardziści nieśli go na górę, rozbierali i kładli do łóżka; nie odzyskał przytomności pomimo wysiłków trzech różnych lekarzy, z których ostatni był osobistym medykiem księcia.

Cefwyn popatrzył na Uwena i wypuścił z płuc powietrze, potrząsając głową.

–Kapłan nazwałby Althalen niebezpiecznym miejscem. Jesteś pobożnym człowiekiem, Uwenie Lewen's-sonie?

–Nie na tyle, bym go teraz miał opuścić, Wasza Wysokość. Widziało się już trochę zła w życiu. Zła wyraźnego, prawdziwego. To mi nie straszne.

–Mówią, że to upiór, dobrze o tym wiesz.

–Kto mówi, Wasza Wysokość?

–Och, mędrkowie, którzy wszystko wiedzą najlepiej. Plotkarze na korytarzu, słudzy w pomywalni, żołnierze w wartowni, kapłani przy modlitwach. Ten i ów mógłby rzec, że zagrożona jest twoja dusza. Albo, że możesz zostać opętany. O ile już się tak nie stało.

–Ten i ów mógłby rzec, że ma kielbie we łbie... Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość. – Uwen spuścił wzrok, miał czerwone uszy. – Źle się wyraziłem.

–Idrys chwali twoją uczciwość, którą i ja doceniam.

–Nie wiedziałem o tym, Wasza Wysokość, ale skoro lord komendant tak mówi.

–Dziś wieczór zjawi się służba. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, czegokolwiek, dla siebie albo dla niego, daj im znać. Nie krępuj się, tylko proś. Rzeczy osobiste Tristena znajdują się pod strażą w jego komnacie na górze. Moi gwardziści, stojący po drugiej stronie sali, dadzą mi znać, jeśli się obudzi. Albo gdy mu się pogorszy.

–Wasza Wysokość – Uwen podniósł się z klęczek. – Dziękuję Waszej Wysokości.

–Ułóż się spać koło niego na materacu. Sam potrzebujesz snu, człowieku. On nie będzie miał nic przeciwko temu.

–Tak, Wasza Wysokość. Ja...

–Słucham?

–Medyk nie wymienił aby jakowejś przyczyny, Wasza Wysokość? Widziałem ludzi

palniętych w głowę, panie, albo w brzuch bitych, dyć i oni takoj spali. – Zadrzał pobrużdżony podbródek Uwena. – To pewne, że on nie spadł, Wasza Wysokość. I nie wyczułem nic podejrzanego, ale może pęknięta czaszka albo ktoś z procy...

–Miał dobry żołnierski hełm, dopóki go nie stracił, Lewen's-sonie. A co się stało z twoim?

–Zdaje się, że dał go jemu, Wasza Wysokość.

–A zatem to z twoją głową może być różnie, nie sądzisz? Nie, Lewen's-sonie. On powstał za sprawą Mauryła i za jego sprawą będzie żył lub umrze.

–Ponoć Maurył nie żyje, Wasza Wysokość.

–Zaiste tak mówią. Być może dzieło starca zaczyna się rozpadać. Albo i nie. Gdybyśmy to wiedzieli, sami bylibyśmy czarodziejami, a naszym duszom groziłaby zagłada, toteż wolę nie pytać, człowieku. Najlepiej będzie przykryć głuptasa i wlać w niego trochę brandy, kiedy już się obudzi. Na bogów, można by ustawić w tej komnacie piec chlebowy, a on i tak by się przy nim nie ogrzał!

–Myślałem o gorących kamieniach. Upały przecie, Wasza Wysokość. Gdyby udało się go zagrzać...

–Przynajmniej nie zaszkodzi. Powiedz służącym. – Potrząsnął głową i wyszedł poprzez przedpokój, gdzie stało nieużywane łóżko Uwena, na salę, w której gwardziści bronili dostępu do jego własnych apartamentów. Tym razem przydzielił Tristenowi większą komnatę. I wygodniej urządzoną, choć niewielkie to miało znaczenie dla człowieka mogącego się już nie obudzić. Uczynił tak w akcie skruchy, zdając sobie sprawę, iż nie wypełnił wyraźnego polecenia Emuina, zgodnie, z którym miał troszczyć się o gościa.

Zeszłej nocy, z nakazem najwyższego pośpiechu, pchnął do Emuina królewskiego kuriera, przypiąwszy mu jedną z dwunastu posrebrzanych szarf, w jakie król na wypadek nieszczęścia zaopatrzył swego syna i spadkobiercę. Pod groźbą surowych kar nakazywały one ludziom udzielać kurierowi w drodze wszelkiej niezbędnej pomocy. Cefwyn nigdy z nich nie korzystał. Do wczoraj.

Do wczoraj nie zaszła taka potrzeba. A w zasadzie zaszła, zważywszy na to, co po kryjomu działo się w dystrykcie Emwy niezauważone przez niego.

Banici. Wyposażeni w pastuszą broń. Ponadto, jeśli wierzyć słowom Heryna Aswydda, konni wywiadowcy, rzadko, kiedy spotykani w owym lesistym dystrykcie. Cóż to za wywiadowcy, którzy nie pokazują się nawet wobec rozwiniętych w pełnej krasie książęcych proporców?

Podejrzanе zachowanie, z której strony spojrzeć.

Minał przedpokój i wszedł do swej komnaty, gdzie służba szykowała kąpiel i słała łóżko. Idrys studiował rozpostartą na stoliku mapę.

–Wciąż żadnej zmiany – poinformował go Cefwyn.

Idrys milczał. Książę rozsznurował mankiety, kołnierz oraz boczne sznurowania, ściągnął dublet razem z koszulą, zanim słudzy zdążyli zdjąć zeń każdą z części osobno.

–Co z ludźmi, po których posłałem? – Cefwyn zwrócił się do Idrysa. – Chcę się z nimi rozmówić między kąpielą a łóżkiem.

Idrys zmarszczył czoło. Sprzeczkę mieli już za sobą i daremne wydawało się poruszanie tej samej kwestii w obecności służących.

–Tak, Wasza Książęca Mość. – Idrys odwrócił się i wyszedł.

Czterech posłańców.

Do czterech lordów południa, poza diukiem Henas'amef, dumnym Herynem Aswyddem. Należało udzielić pewnej lekcji, rozpocząć ją już teraz, zanim promień jutrzeńki oświetli tego słodko uśmiechającego się amefińskiego lorda, który z taką troską zapytywał o bezpieczeństwo księcia, który wyjechał w dworskich szatach na targany wiatrem gościniec, ażeby zapytać, jak się wie dzie Marhanenowi.

Cefwyn zrzucił resztę ubrania, wkroczył do wanny i zanurzył głowę w ciepłej wodzie.

Wyciągnął ją dopiero wtedy, gdy doliczył do dwudziestu i gdy zaczęło mu brakować powietrza; gdy ze skóry i włosów zszedł żar komnaty chorego Tristena. Kąpiel okazała się jednak zbyt ciepła po dusznym, gorącym powietrzu, wypełniającym pomieszczenie po drugiej stronie sali. Tylko bogowie wiedzieli, jak Lewen's-sonowi udawało się tam wytrzymać.

–Wasza Wysokość – odezwał się Annas, zaniepokojony, gdy książę powtórnie wynurzył się nad powierzchnię: być może obawiał się, że książę utonie. Cefwynowi podmuchy powietrza od strony lufcików dawały więcej przyjemności aniżeli gorąca woda.

Wyprostował się i sięgnął po ręcznik, który podał mu z wahaniem onieśmielony sługa.

Owinął się nim w pasie, po czym wyszedł z wanny, rozpryskując wodę po marmurowej posadzce i otynkowanych ścianach. Część służących rzuciła się do wycierania zmoczonych tkanych mat, część natomiast podawała pośpiesznie świeże szaty i dodatkowe suche ręczniki.

Nad wodą unosiły się omdlewające zapachy róż i rozgrzanych olejków. Wokół kłębiła się gorąca para. Książę wstrząsnął szlafrokiem i osobiście wytarł płóciennym ręcznikiem mokre

włosy, ignorując zabiegi służby, podczas gdy Annas kazał usunąć dopiero, co napełnioną wannę, potem ją wytrzeć, a ręczniki pozabierać.

–Daj spokój – zaprotestował Cefwyn, rzucając ręcznik najbliższemu stojącemu chłopcu. – Niechaj ostygnie. – Sześciu służących zwykle mitrężyć pół godziny na opróżnianiu przeklętej wanny. – Posprzątasz tu rano, Annasie; proszę, marzę o chwili ciszy.

Annas zrozumiał. Trzech najbardziej doświadczonych spośród jego służby paziów również zrozumiało, lecz ów niedawno przyjęty chyba nie. Księżę usiadł przed otwartym lufcikiem okna, okryty ciepłymi szatami, wystawiając się, jakkolwiek jeszcze nie wysechł, na niezdrowe nocne powietrze, napływające zza uchylonej szybki, wbrew przeciwwskazaniom medyków wróżących ujemny wpływ przeciągów na jego samopoczucie – samopoczucie owo i tak było już w znacznej mierze popsute, lecz podmuch wilgotnego powietrza rozjaśniał przynajmniej umysł i studził zapał do wydania rozkazu, by w trybie doraźnym stracono służącego, który zaproponował niebacznie Annasowi, że podpali w kominku – nie ulegało wątpliwości naszykowane tam już drwa.

–Precz! – krzyknął (dość opanowanym głosem, jak mniemał), po czym zbliżył się do biurka, wyciągnął pióro, odkręcił kałamarz i napisał cztery krótkie wiadomości skierowane do czterech władców prowincji. Opieczętował je własnym sygnetem, co wykluczało próby naruszenia opasujących koperty wstążek. Potem czekał.

Przed nim leżała szkatułka. Szkatułka Elwynimów. Z wizerunkiem przyszłej panny młodej.

Być może uniesienie wieczka oraz wyciągnięcie miniatury zakrawały na brak rozwagi i podsycaly trudny do powściągnięcia gniew księcia, który mógł przekonać się o stanie swego ducha, patrząc w szeroko otwarte oczy, pełne usta, kaskadę atramentowych loków i bujne piersi, odważnie sportretowane, a wszystko po to, aby uwieść mężczyznę ofertą luksusowego pokoju – aby złapać w sidła następcę tronu Ylesuinu.

Księżę chciałby dowiedzieć się, czy wzdłuż brzegów Lenuaimu nie odnowiono starych przyczółków. I jak należy traktować całą ofertę w kontekście szaleńczych marzeń Heryna Aswydda, który, gdyby miał więcej oleju w głowie, wiedziałby, że jego dwie siostrzyczki, grunt pod każdy lemiesz, stanowią łakomy kąsek dla pomniejszych wielmożów, lecz nie dla dziedzica Ylesuinu, nie będąc w stanie wywindować Jego Miłości Heryna Aswydda z buntowniczego, wciąż heretyckiego Amefel na wysokie stanowisko na dworze w Guelemarze.

Heryn miał wielkie oczekiwania w zamian za ochłapy w postaci kotłowaniny w pościeli, ostatnie nowinki, zdradzane półgębkiem zamierzenia Heryna oraz noce wypełnione pomysłowością, do jakiej zdolne były tylko nieliczne dziwki – jak też za bystre uwagi, którym mogli sprostać jedynie nieliczni doradcy: och, po prawdzie bliźniaczki (działające w zespole na skutek, jak wierzył, wzajemnej nieufności) same snuły nici intryg. Z tego, co słyszał, Tarien nigdy nie wybaczyła siostrze wcześniejszego – o minutę – wyjścia na świat i bez

wahania pchnęłaby ją sztyłem, gdyby narodziło się podejrzenie, iż Orien zdobywa nad nią przewagę.

Czyż nadawały się na matki królewskiego potomka? Nie. Taka godność przysługiwała damom bogatszym, mniej wszechstronnym, bardziej religijnym, mniej podatnym na przekupstwa, a zwłaszcza pochodzącym z większych, bardziej ortodoksyjnych prowincji.

Księżę potrafił wymienić okrągły tuzin kandydatek o wyższych kwalifikacjach: dam niepokalanych, dam z wpływowymi braćmi, ojcami, wujkami.

Dam trzymających blisko siebie kolana, pobożnych, uległych i bezwolnych.

Niemniej ta... Elwynimka. Zauroczył go ów obrazek na kości słoniowej, w który wpatrywał się od czasu do czasu, wyobrażając sobie, że oglądane oblicze znamionuje zarówno skromną pannę, jak i rozpuszczoną psotnicę. Korona z pereł i dziewiczych fiołków, wesole iskiery w oczach, drgające figlarnie kąciki ust...

Córka regenta, panna na wydaniu, jedyna latorośl, propozycja pokoju, kres wiekowej rywalizacji.

Równocześnie w okolicach Emwy roili się rzekomi banici, podchodzili pod sam Althalen i snuli się wśród brzegów granicznych wód Lenalimu, urągając otwarciu księciu Ylesuinu, chcąc doprowadzić go do podobnego końca, jaki spotkał Sihhijczyków. Aswyddowie tymczasem poszukiwali więzów pokrewieństwa, łózkowych przygód i bękartego potomka (wnoszącego im być może wielkie ziemskie majątki i pomagającego wypełnić skarbiec), przy czym nieustannie upiększali swój wspaniały połączony pałac, którego rozbudowę, jak podejrzewał księżę, finansowały nie ukryte sihhijskie skarby, tylko jakieś inne źródła.

Elwynimska piękność na kości słoniowej stanowiła iście śmieszoną ofertę.

Towarzyszyła jej wiadomość, że Elwynor nie zamierza zrzec się swej suwerenności, a linia regencyjna, która wygasła na córce bez perspektyw na innego małżonka z królewskim rodowodem, rozważa możliwość zawarcia paktu matrymonialnego z zastrzeżeniem rozgraniczenia tytułów dla ewentualnych potomków.

Tupet. Cholerny tupet ze strony ojca pozbawionego męskich potomków, oczekującego przez te wszystkie lata, że Sihhijczycy podniosą się z dymiącego jeszcze stosu pogrzebowego albo, że Mauryl Gestaurien wymaże swą zdradę, przysyłając im króla.

Obawy potęgował ów pogrążony w śnie po drugiej stronie sali nieporadny młodzieniec, siedzący w siodle z godną pozazdrosczenia wprawą, chociaż umiejętności jazdy miał rzekomo nie posiadać.

Przeklęty Emuin. Niech będzie przeklęty za to, że czmychnął, by pogrążyć się w modlitwach i pobożnych ceremoniach, zostawiając go sam na sam z młodzieńcem o tylu tajemnicach.

Wszystkie możliwości i wszystkie jego lęki odnosiły się potencjalnie do młodzieńca, który leżał w łóżku zimny jak trup – który wiał być może, w miarę jak moc Mauryła uchodziła z tego świata, który mógł zostać porażony jakimś zaklęciem, który mógł cierpieć na nieznaną dolegliwość, dokuczającą-naturalnie? – na bogów! – wskrzeszonym umarłym.

Źródło dusz, tak wyraził się Emuin.

Nadto zapadł w letarg w Althalen, dokładnie tam, gdzie sześć ostatni sihijski monarcha.

Usłyszał głosy ludzi wchodzących do przedpokoju i z prostego faktu, że gwardziści nie porwali się do broni, wywnioskował, iż powrócił Idrys z Annasem, natomiast ciężkie stąpanie w połączeniu z szuraniem żołnierskich butów informowało o nadejściu ludzi, których na jego prośbę miał odszukać Idrys.

Schował miniaturę do szkatułki, zamknął wieczko i podniósł wzrok, gdy Idrys prowadził do stołu wybranych przezeń ludzi. Żołnierz stanął z boku ze skrzyżowanymi rękoma i wyrazem dezaprobaty. Cefwyn zignorował postawę Idrysa, podobnie jak ignorował jego obiekcje w dyskusjach.

Czterej mężczyźni, odziani w proste zbroje i lekko uzbrojeni, Gueleńcy. Tak samo jak ci z podjazdu wyruszającego w pościg za zbójcką watahą, oskarżoną oficjalnie o napaść na księcia z rodu Marhanenów. Podjazd ów otrzymał wskazówki, aby nie wierzyć w żadne baśniowe plotki na temat pochodzenia zbójców, tylko zbadać dokładnie, czy aby jakieś więzy pokrewieństwa nie łączą ewentualnych jeńców z mieszkańcami Emwy bądź Henas'amef, jeżeli jacyś jeńcy zostaną pojmani, a można było postawić złotego suwerena, że tak się nie stanie.

Owi czterej ludzie nie mieli wszak przez cały czas jechać wraz z podjazdem.

Podobnie jak cztery pergaminy z emblematem Smoka Marhanenów i Goździka, widniejącego na osobistym sygnecie Cefwyna Marhanena, wicekróla, który wprowadził sprawował swe rządy w ramach ściśle określonych środków, lecz trzymał w rękach naczelną władzę w Amefel, a więc mógł wymuszać poszanowanie królewskich praw na całym niespokojnym pograniczu i każdy baron południa, chcący lekceważyć jego zwierzchność, musiał się liczyć z przykrymi konsekwencjami.

–Wysyłam właśnie podjazd pod komendą sierżanta Kerdina Ansurina – rzekł Cefwyn. – Skoro tylko znikną wam z oczu mury miasta, wszyscy czterej ruszycie w swoją drogę, w miarę potajemnie, bo to ważne. Ty, mój panie, zawieszysz to Pelumerowi w Lanfarnes-se; ty, Sovragowi w Olmernihome; ty oddasz to Cevulirnowi z Toj Embrel w jego letniej rezydencji; ty zaś pojedziesz do Umanona w Imorze Lenuialimie. Z treści waszego posłannictwa nie wolno wam się przed nikim zwierzać, przed mężczyzną, kobietą, kochanką czy kompanami w koszarach. Bezpośrednio z tej komnaty udacie się po konie i dołączycie do oddziału przy bramie. Jeśli wiernie i dyskretnie wywiążecie się z poruczonej wam misji,

możecie liczyć na nagrodę i dobre rekomendacje. Podjazd, który opuścicie, wyrusza do dystryktu Emwy, by odnaleźć ciała waszych towarzyszy. Wiedźcie, że grozi wam niebezpieczeństwo. Wiedźcie, że są tacy, co dybią na życie Gueleńczyków. Śpieszcie się, bądźcie rozważni, gaście pragnienie wyłącznie w źródłach i potokach, sypiajcie jeno pod gołym niebem.

Pochyliły się głowy. Twarde spojrzenia świadczyły, iż żołnierze zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Byli to młodzi ludzie, lecz wybrał ich Idrys, a on stosował surowe kryteria doboru.

–Co więcej – ciągnął książę – nie informujcie nikogo o waszym odjeździe prócz dowódcy oddziału, a jeżeli lordowie, do których jesteście posłani, zechcą was wypytywać o moje sprawy lub poznać podłoże waszej misji, powiecie, iż prawdopodobnie wzywani są z jakiegoś zwyczajnego powodu; nic więcej nie mówcie. Nic więcej nie wiecie. Cała reszta jest w sferze domysłów, z których nie wyniknąłby żaden pożytek... Jeżeli macie pytania, zadajcie je teraz.

Potrząśnięto głowami, a z dwóch gardeł dobyło się słabe: „Nie, Wasza Wysokość”.

–W takim razie w drogę. – Cefwyn oparł się wygodnie na krzesło, gdy ludzie wychodzili gęsiego.

I czekał, założywszy stopę na stopę na listewce stołu. Powrócił Idrys i niczym cień zatrzymał się w progu z założonymi ramionami.

–Słyszałem już twoją opinię – stwierdził Cefwyn.

–Teraz będziesz zapewne potrzebował piątego posłańca.

–Jak to? Dokąd?

–Do króla, twego ojca, aby wyjaśnić, co zrobiłeś.

–Znowu ta twoja impertynencja! Jesteś zanadto przewidujący.

Idrys pozostawał niewzruszony.

–Zatem on wyśle kogoś do ciebie, Wasza Książęca Mość.

Bosa stopa zsunęła się z listewki. Cefwyn wziął głęboki oddech i podsunął kolana pod brodę, patrząc z ukosa na Idrysa.

–Powiedz mi prawdę, mości kruk. Jesteś moim sługą, czy też jego?

–Twoim, panie. Oczywiście, że twoim.

–Przyjmij, więc do wiadomości, że nie jestem półgłówkiem. Że muszę zrobić to, do czego przymusza mnie konieczność.

–Być może tak jest, Wasza Książęca Mość. Ale sam wiesz, że to się w żadnej mierze nie spodoba Jego Królewskiej Mości. Dobrześ uczynił, posyłając po Emuina.

–Bo Tristen wysłucha Emuina?

–Bo sytuacja na granicy robi się coraz mniej wesoła. I tak podpowiada zdrowy rozsądek.

–Wzywam lordów na naradę.

–Zbierasz wojsko, aby zastraszyć Amefińczyków, to każdy łatwo zrozumie. Lepiej już, żeby to było gueleńskie wojsko, nie zaś zbieranina z różnych prowincji, w tym ościennych, rozłożona obozem wokół miasta.

–Pozostawić śledztwo ojcu? Paść mu do nóg i powiedzieć, że nie umiem sobie poradzić?

–Znacznie więcej byś zyskał synowską pokorą niż tym, co planujesz, Wasza Książęca Mość. Prośba o dodatkowych żołnierzy nie zostanie poczytana jako przyznanie się do błędu czy porażki.

–Czy ty naprawdę mi służysz, Idrysie?

–Przysięgałem ci wierność, Wasza Książęca Mość.

–A więc bądź wierny.

Idrys pochylił wolno głowę, z lekką kpina, wystarczającą jednak, by ukłuć.

–Panie mój, po raz drugi: zaczekaj na Emuina.

–Ponieważ nie chcę się zgodzić na twoje warunki, Idrysie?

–Ponieważ zagraża ci tu niebezpieczeństwo, a ja nie mam dość środków, aby cię ochronić. Kiedy niebezpieczeństwo dotrze do tej komnaty, tylko ja zagrodzę mu drogę, pozbawiony wsparcia. Siły gueleńskie tracą wciąż nowych ludzi: nie są to, co prawda wielkie straty, niemniej odchodzą dzielni żołnierze. Dopiero, co wysłałeś w teren podjazd. Ci, którzy pozostali, będą musieli pełnić dłuższe wachty z ciągłą świadomością, że pośród Amefińczyków są w znacznej mniejszości. Królestwo może tu stracić następcę tronu, panie, co by się niekoniecznie spodobało Jego Królewskiej Mości. Sam nie wiem, jak bym się wytłumaczył. Wybacz, panie, ale chybam postradał twego syna? O nie, książę Cefwynie.

–Mam nadzieję oszczędzić ci tej przykrości. Żadnych raportów dla mojego ojca. Daj mi czas, bym spotkał się z margrafami. Skoro tylko wykonam posunięcie, skoro tylko zbiorę wystarczającą siłę, by wymusić pokój, mój ojciec i mój brat, postawieni przed faktem

dokonanym, zaakceptują porządek rzeczy.

–Znam trochę Jego Królewską Mość i śmiem powątpiewać.

–Ależ on mnie kocha – odparł Cefwyn, wykrzywiając usta. – Rzecz tylko w tym, iż nie mogę popełnić błędu. Mój brat jednak, Efanor... Napędzę mu sporo strachu, gdy zgromadzę tu armię.

–Nie sposób zgadnąć dlaczego.

–Jestem przyszłym następcą tronu, nieprawdaż? I czyż w niezbyt bliskiej, mam nadzieję, przyszłości nie stanę na czele wojsk osiemnastu prowincji, włączając w to te, które dzisiaj zawezwałem? Dlaczego zatem mój brat przejmowałby się czterema armiami, gdybym miał powód, by porzucić swoje obowiązki tutaj i przejąć jego przywileje? Czy i ja bym się przejmował na miejscu Efanora, gdyby zmobilizował armię? Niemniej jednak twierdzę, że on się przejmuje, Idrysie. Omal nie wyskoczył ze skóry, że byłeś akurat pod moją komendą, kiedy ojciec przekazywał mi tę prowincję. Jakby mój brat potrzebował generała w Llymarynie. Na bogów, przysięgaliśmy sobie braterską miłość! Rzecz to osobliwa: ludzie zakładają, iż ktoś zachowa się dokładnie tak, jak sami by się zachowali na jego miejscu, Idrysie. Czy intrygują cię czasem podobne ciekawostki? Ludzie tą drogą zdradzają swoje własne zamiary.

–Twój brat zdaje sobie sprawę z przykrego precedensu. Ze śmierci twojego wuja...

–Przypadek.

–Doradcy sugerują mu, co innego.

–Mój ojciec kocha Efanora. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ojciec go kocha i nie przesadzałby z pewnością z żalobą, gdyby jakiś Elwynim wbił mi nóż w plecy.

–Ojcowie często mają słabość do najmłodszych synów. Podobno. On wcale nie jest pierwszy.

–Ojciec nałożył na mnie ten obowiązek, abym się nauczył odpowiedzialności. Osobiście mi to powiedział.

–Tak słyszałem.

–Cóż, obowiązek nakazuje mi przedsięwziąć takie, a nie inne kroki. Mój koronowany ojciec wie, że nie musi się obawiać, iż odciągnę wojska od granicy z Elwynorem i poprowadzę je na niego lub na Efanora. Bez względu na to, co o mnie myśli, uważa mnie przynajmniej za poczytalnego, o czym mój brat będzie miał okazję się przekonać.

–Twój ojciec jest już stary i nie przystoi, przez wzgląd na jego wiek i strach twego brata, by

gdzieś na peryferiach jeden syn grupował wojska, podczas gdy drugi mieszkał sobie wygodnie w Llymarynie. Niezależnie od tego, co twój ojciec sądzi o całej sprawie, baronowie z północy zaczną się niepokoić. To jasne jak słońce.

–Jestem bezpośrednim następcą tronu; jeżeli z moich działań wyniknie szkoda, niechaj mój ojciec zaspokaja ambicje baronów, na których radach tak bardzo polega, łącznie z Herynem Aswyddem, jego głównym zauszniakiem. Sam już nie wiem, czy ojciec każe mi obserwować Heryna, czy też każe Herynowi obserwować mnie. Do diaska, cóż mogę zyskać, czego jeszcze nie mam?

–Mimo to byłoby rozsądniej, Wasza Księżęca Mość, posłużyć się jedynie gueleńskim wojskiem.

–Czyli mam powiedzieć: „Drogi ojcze, przyślij mi swoją armię. Obiecuję nie poprowadzić jej na ciebie”?

–Chyba naostrzę miecz. – Idrys po raz drugi uklonił się ironicznie. – Heryn i jego ludzie będą ci wnet brzęczeć koło uszu, niech tylko wieść się rozniesie. Kto sieje wiatr, Wasza Księżęca Mość, ten zbiera burzę. Czasem nawet z gradobiciem.

–Jakże w obecnej sytuacji, Idrysie, zażegnałbyś groźbę rokoszu w Zeide, nie zwiększając przy tym załogi?

–Rozbroiłbym Amefińczyków, i to zaraz, zanim się dowiedzą, co zrobiłeś. Na wszystkich posterunkach wystawiłbym gueleńskie stráže, a amefińskich gwardzistów trzymał z dala od zbrojowni i zwykłych powinności.

–Zrób tak. Jeszcze dziś w nocy. Idrys uniósł brwi.

–To ostateczność, Wasza Księżęca Mość.

–Twierdzisz, żeś moim sługą. Dajesz mi rady. Udzielam ci zatem mojego upoważnienia do użycia wszelkich niezbędnych środków, aby w całym Ylesuinie stało się jasne, w kogo skierowana jest ta mobilizacja wojska: w amefińskie wiarołomstwo, a nie w chorobliwe rojenia mojego brata, który bezpodstawnie posądza mnie o wrogość. Co innego porachunki w rodzinie, a co innego rozkaz utrzymania prowincji przy pomocy dwustu trzydziestu ludzi. Toż to absurd, lordzie komendancie, podobnie jak obstawianie Amefińczykami posterunków po wydarzeniach w Emwy. Oni nie żywią względem nas żadnych przyjaznych uczuć, wyczekują tylko na oznaki naszej słabości. Stąd mój apel do południowych prowincji, co ojciec może uważać za głupstwo popełnione przez starszego syna bądź za chęć urzeczywistnienia przedwczesnych ambicji. Chyba, że zawczasu potrączę wystarczającą ilość kamieni. Ażebyś nie musiał główkować, wiedz, że nie wierzę Herynowi, ani w jego ratunek, ani w zapewnienia.

–Czy tej nieufności nabrałeś niedawno czy też znacznie wcześniej?

–Och, narastała stopniowo. Nie może się już doczekać dalszych incydentów. Wziąłem sobie do serca każdą twoją przestrożę dotyczącą Amefińczyków. Wszystkich ciekawskich informuj, że zbrojownia została zamknięta, aby zapobiec kradzieżom. Zdarzały się przecież ostatnio jakieś kradzieże, prawda?

–Skoro tak twierdzisz, panie.

–Mów też, że wśród gwardzistów ukrywa się elwynimski szpieg, a ja nie chciałbym obwinie nikogo uczciwego. Niech następną wachtę obejmą sami Gueleńczycy. Zmiana straży powinna nastąpić spokojnie i bez przeszkód. Któż się domyśli, że na posterunkach stanęli tylko Gueleńczycy, przed powrotem do baraków? Chcę, by przejrzano rozkłady służby i spisy wydawanej broni. Przez kilka najbliższych dni wysyłajmy ludzi na krótsze patrole, byśmy mogli się dowiedzieć, jakie wieści dotrą do poszczególnych miejsc w Amefel. Każ poza tym sierżantom sporządzić wespół ze skrybami listy naszych amefińskich gwardzistów, wszystkich po kolei, z uwzględnieniem nazw rodzimych wiosek, posiadłości, krewnych, osób mogących poświadczyć o ich rodowodach i wydać o nich opinię; każ przepytać ludzi należących do tej ostatniej grupy, a potem sprawdzić wszystko od nowa. Jesteśmy tutaj cudzoziemcami. Jak inaczej możemy oddzielić lojalnych od przeniwierców? Nad całym przedsięwzięciem niechaj czuwa Mesinis.

–Mesinis? Mesinis, czyja dobrze słyszę?

–To potrwa tak długo, iż w tym czasie można by zmobilizować piechotę w Sassury, gdyby zaszła potrzeba posyłać tak daleko.

–Panie – rzekł Idrys – niechże będzie Mesinis.

–Jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, budź mnie bez wahania.

–Wasza Książęca Mość, jeżeli w trakcie zmiany straży zaczną się swary, niechybnie usłyszysz w nocy alarm.

–Alarm podniesiony przez Amefińczyków ześle na mojego brata twardszy sen, czyż nie? A Heryna wypędzi z łóżka?

–Jeśli wszystko zakończy się naszym sukcesem, panie, nie zaś Aswydda. Ten człowiek może podjąć pewne kroki, Wasza Książęca Mość.

–Dopilnuj, więc, aby zakończyło się naszym sukcesem. Aha, Idrysie... niech mistrz Tamurin jeszcze raz zerknie na księgi podatkowe Heryna, zarówno te z zeszłych lat, jak i z tego roku. Niech mistrz Tamurin wejdzie bez ostrzeżenia do archiwum. Wybierz paziów, którzy pomogą mu wynieść stosowne księgi, bez względu na protesty tych matolów, co ich wyznaczył Heryn. Tym razem mają zostać uwzględnione księgi rachmistrzów miejskich. To odwróci uwagę jaśnie pana Heryna od jego drobnych kłopotów z Emwy i przetasowań w szeregach gwardzistów, a wśród earłów, thane'ów i całej tej czeredy rozniosą się

sprzeczne pogłoski, więc co poniektórzy, niepewni jutra, szybko zaczną do nas przychodzić.

Idrys uniósł jedną z brwi, sprawiając wrażenie zadowolonego i ubawionego.

–Jak każesz, Wasza Książęca Mość.

–Dobrej nocy, lordzie komendancie.

Idrys wyszedł bez dalszych obiekcji. Radośnie, co się rzadko zdarzało.

Jakiś czas potem Cefwyn położył się na szerokim łożu, przykrył kapą ze względu na wdzierające się przez okno powietrze i wpatrzył w miernej jakości malowidło ściennie, paradę wrózek i obfitość kwiecia, gdzie chochliki skradały się pod liśćmi i kochały między gałązkami. Na wymalowanym niebie błyszczała gwiazda. Na wzgórzu stała szara wieża – a może srebrna? Gwiazda i wieża, emblematy zarówno Sihhijczyków, jak i Mauryła, strażnika Ynefel, były zakazane na terenie Ylesuinu. Heryn zapewne nie ulokowałby księcia w tej komnacie, pod tym malowidłem, gdyby stanowiły coś więcej niżli tylko przypadkowe fragmenty kompozycji. Być może książę był podejrzliwy i nastawiony na tyle nieprzychylnie, że w całej tej aranżacji dopatrywał się amefińskiego poczucia humoru – podobnie jak był podejrzliwy i nieprzychylnie nastawiony, by dopatrywać się amefińskiego poczucia humoru w wyprawie Heryna, odzianego w dworskie szaty, w letnim płaszczku, z gwardią, narażonego na niebezpieczeństwo...

...który, przybywszy już po czasie, zapewniał o swej niewinności. Diukowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo ze strony zbrojnych kup rzekomych banitów, których prawdziwa natura – Cefwyn śmiało stawiałby o to w zakład swoje apanaże – była Herynowi dobrze znana.

Książę ułożył swój jeździecki ubiór wraz z mieczem i skórzanym płaszczem na ławce tuż przy łożku, nie radząc się Annasa ani nie prosząc o pomoc paziów czy służących. Nie chciał, by jakiegokolwiek pogłoski zaczęły krążyć po salach, zanim sztaba zabezpieczy drzwi do zbrojowni.

Wcale nie zakładał, że uda mu się, bez użycia siły i z ledwie garstką lojalnych gwardzistów, poskromić Heryna Aswydda, niebędącego nowicjuszem w sztuce oszustwa i posiadającego wielu przebiegłych i jak dotąd nieujawnionych doradców. Jakkolwiek polegał na wprawie Idrysa w unikaniu zasadzek, znał jego dyplomatyczne potknięcia w odniesieniu do krnąbrnych cudzoziemców i wiedział, że jest on zdolny rozjątrzyć urazę tam, gdzie żadnej wcześniej nie było – a przynajmniej na tyle głębokiej, by podjudzić Amefińczyków do napaści na księcia królestwa, które, nawet, jeśli nie kochane, utrzymywało prowincję we względnym posłuszeństwie.

Wydawało mu się jednak koniecznością podjęcie stanowczych działań. Jego oficerowie zwykli ostrożnie podchodzić do tajemnic związanych z możliwą secesją Amefel i przed wykonaniem jakiegokolwiek posunięcia dokładnie zapoznawać się z sytuacją, a wszystko to z powodu strachu przed wszczęciem czegoś znacznie większego od wypłoszenia Heryna z

kryjówki – to znaczy przed zachęceniem Amefińczyków do zawarcia przymierza z ich odwiecznym sojusznikiem, Elwynorem, i wywołaniem konfliktu o wiele poważniejszego od utarczki z kilkoma łotrzykami schowanymi w krzakach wokół Emwy.

Rozbroić nocą Amefińczyków, najzwyczajniej w świecie odsunąć ich od dalszych wacht, kiedy już zdadzą broń do zbrojowni. Już sam ten fakt wywołał nad ranem wzburzenie i konsternację, ale też napędzi strachu mieszkańcom, którzy doświadczyli zemsty Marhanenów w poprzednich pokoleniach. I aby wywołać zamęt w strwożonych sercach, do przeprowadzenia rozmów i sporządzenia spisu wyznaczono skrybę, który nie był bynajmniej mściwy – uprzejmego i potulnego staruszka, entuzjastę drobnych szczegółów. Mesinis stanowił wręcz ucieleśnienie cierpliwości, choć nie potrafił – wielu tak przypuszczało – prowadzić starannych notatek już na długo przed tym, jak stał się nieco przygłuchy. Co więcej, Mesinis zawsze miał kłopoty z amefińskimi imionami i amefińskim dialektem.

Księżciu spodobał się ów manewr, bardzo mu się spodobał. Wyglądało na to, że jeżeli ktoś, po wprowadzeniu bezwzględnego terroru, zamierza wywołać zamieszanie w szeregach wroga, powinien zadbać, aby powstało ono wokół małych, denerwujących przeszkód – taką stanowił Mesinis – maskujących te bardziej oburzające działania. Małych, denerwujących przeszkód, które księżę mógłby łaskawie usunąć, tak by Amefińczycy z wdzięcznością przyjęli interwencję Marhanenów w ich sprawie.

Cefwyn w każdej chwili spodziewał się wrzawy w korytarzach, pogrózek z ust Heryna i jego pachołków lub, co gorsza, rozruchów w mieście i mieszkańców wbiegających do komnat, by rozszarpać wszystkich na sztuki.

Sen odchodzi od człowieka wobec takich myśli. Skoro jednak godzina zmiany warty minęła bez żadnych zamieszek, sprawa nareszcie wydawała się załatwiona. Podjazd w tym momencie przemieszczał się wśród ciemności nocy, a czterej wysłannicy szykowali się już zapewne do opuszczenia kolumny i rozjechania się do baronów sąsiednich prowincji, których wszak nie łączyły z księciem bezpośrednie stosunki lenne.

Gdyby jednak Jego Miłość z Amefel sprzymierzył się z jakimś elwynimskim możnowładcą, zrywającym się ze smyczy regenta (Amefel zbrata! się już niegdyś z Elwynorem, kiedy ośrodek władzy znajdował się w Althalen), i gdyby wybuchła otwarta wojna, Jego Wysokość Księżę Cefwyn Marhanen z pewnością okryłby się na zawsze niesławą, jako ten, który utracił prowincję. Ojciec, rzecz jasna, odzyskałby ją z powrotem, wszelkie zasługi zapisano by na jego konto, przy czym na syna spadłaby hańba i na zawsze straciłby szansę na spokojne rządy. Ojciec przysłał go tutaj, ażeby sprawdził się lub poniósł porażkę, z nadzieją, jaka przyświecała przynajmniej pewnym baronom w Guelessarze, Llymarynie i innych zakątkach królestwa, że starszy z książąt Ylesuinu, znany z rozpusty, poniesie spektakularną klęskę, ulegając pokusom dworu Heryna – albo zginie i nigdy nie zasiądzie na Smoczym Tronie.

Jednakże to głównie lordowie z północnych prowincji byli mu nieprzychylni, podczas gdy

baronowie bardziej pod względem religijnym urozmaiconego południa nie darzyli zbyt dużym zaufaniem owej koalicji interesów większościowego, ortodoksyjnego quinaltu, które pojawiły się na dworze w Guelemarze za panowania jego ojca. Nawet w heretyckim Amefel, podejrzewał, wielu żywiło nadzieję, że sprawiedliwy los przekaże władzę w ręce młodszemu, spokojniejszemu synowi Inareddrina, Efanorowi.

Jeśli książę chciał odnieść jakąś osobistą korzyść z przeprowadzenia tej całej inwentaryzacji w Amefel, to było nią rozbudzenie u południowych baronów nadziei na to, że następca monarszego tronu, władając południem i będąc przez to południe popieranym, mógłby je nagrodzić i przeciwstawić się stanowczo wszelkim obcym wpływom. Efanor nigdy tego nie dostrzegał. Efanor ostatnio stał się pobożnym quinaltynem. Efanor wreszcie, wpatrzony w bogów, nie miał ochoty bawić się w konspirację. Z tejże przyczyny baronowie z północy tak bardzo go kochali.

Z tej samej przyczyny Cefwyn z taką gorliwością rozesał posłańców.

Dwukrotnie w nocy budził nieszczęsnego Annasa, aby sprawdził, jak się czuje Tristen.

Za każdym razem odpowiedź brzmiała tak samo: „Jeszcze się nie obudził, Wasza Książęca Mość”. Oraz, co było do przewidzenia: „Jego sługa nadal przy nim czuwa”.

Prezent od Mauryła. Ta kukułka w amefińskim gnieździe jeszcze się nawet nie opierzyła. Ów mniejszy, przelęknięty fragment książęcego serca życzył sobie, aby dar Mauryła obrócił się wniwecz, podczas gdy ten większy i szlachetniejszy bał się utracić podarunek, cokolwiek mógł on oznaczać i jakiegokolwiek nasuwał wątpliwości.

Oddany rozmyślaniom, leżąc z zamkniętymi oczami, książę usłyszał jakiś odgłos. Nie miał pewności, czy mu się nie przyśnił. Ogień w palenisku przygasł; wstał, aby dorzucić dREW, nie chcąc równocześnie niepokoić Annasa, a kiedy podniósł wzrok, okazało się, że już świt szarzeje za oknami.

Odgłos się powtórzył. Bum. Gwardziści wpuszczali kogoś do komnat, toteż myśli Cefwyna pobiegły zaraz do miecza. Przetarł oczy i twarz; uspokoił się jednak, wiedząc, że w ciągu nocy gwardziści zmieniali się przynajmniej raz, a przecież nikt nie krzyknął na alarm ani nie uderzył w gong.

Drzwi od foyer stały otworem i ukazał się Idrys, chmurny i nieogolony, lecz w pełnej zbroi i z przypasanym mieczem, kłaniając się ze zwykłym sobie wdziękiem.

–Wasza Książęca Mość, Amefel prosi o posłuchanie. Doskwiera mu twoja niełaska.

–Co z moimi rozkazami?

–Wykonane. Kiedy Zeide spało, podczas zmiany warty, zgodnie z rozkazem, gueleńscy

żołnierze zabezpieczyli bramy, zbrojownię, stajnie, składy i kuchnię, prócz tego stanęli na straży pod drzwiami Heryna i bliźniaczek. Wśród amefińskiej gwardii narasta wzburzenie, co było do przewidzenia, niemniej żołnierze oczekują rozkazów od Heryna, Heryn zaś... czeka na twoją łaskę, panie.

Rzadko, kiedy Idris sprawiał wrażenie tak bardzo zadowolonego z sytuacji.

–Dobra robota – powiedział Cefwyn.

–Panie.

–Sądzę... – zaczął książę, podsuwając na węgle dogasającego ogniska mosiężny imbryk z wodą na wczorajszą herbatę. Dorzucił kilka patyków z kupki obok kominka, podczas gdy Idris obserwował go z założonymi rękoma. – Sądzę, że Heryn powinien poddusić się jeszcze chwilkę we własnym sosie. Jak długo, uważasz, nakazuje roztropność?

–Dopóki nie wypijesz herbaty, Wasza Wysokość, i nie zjesz porządnego śniadania.

–A może by tak jego zaprosić na śniadanie?

–Czy mam mu przekazać zaproszenie, Wasza Wysokość?

–Przekaż mu je osobiście. On się ciebie boi.

–Z największą przyjemnością, Wasza Książęca Mość.

Idrys oddalił się, a Cefwyn, zadumany, sprawdził wodę w imbryku, wciąż się wahając po długiej, nużącej nocy, czy wezwać rozgadanych i hałaśliwych paziów i służących.

Zadzwoił wszakże dzwonkiem, a kiedy Annas nadszedł od strony swego łóżka, nakazał:

–Śniadanie dla mnie i dla Heryna Aswydda. Gwardziści będą eskortowali ciebie, kucharza i paziów z każdym garnkiem, kubkiem i spodkiem. Rozłam i rozbrat wiszą w powietrzu.

–Będę miał się na baczności, Wasza Książęca Mość – mruknął starzec.

Cefwyn podszedł do szafy, by przebrać się w nowe szaty, gdy tymczasem Annas przygotowywał poranną filiżankę herbaty. Nadpłynęli paziowie w poszukiwaniu zajęcia i dzięki ich uczynności książę się umył, a właściwie przetarł gorącym ręcznikiem: wanny z zimną wodą wciąż nie wyniesiono. Na bieliznę zarzucił skórzany, nabijany ćwiekami kaftan, bez porównania lżejszy od ważącej trzydzieści bez mała funtów koszuli założonej na wyprawę do Emwy. Kaftan chronił przed delikatniejszą bronią (z rodzaju tych używanych w walce wręcz); połyskiwał stosownymi ornamentami, acz nie pozostawiał wątpliwości, co do swego wojskowego przeznaczenia.

Ponadto dobrze leżał pomiędzy Amefińczykiem a sercem Marhanena.

Na rękach Annasa, dwóch starszych gwardzistów i dwóch paziów pojawiło się śniadanie; mapy zostały dyskretnie zwinięte, z wyjątkiem tej przedstawiającej dystrykt Emwy, gdyż książę z rozmysłem kazał ją pozostawić na widoku. Książę polecił paziom przesunąć jadalny stół do oświetlonej alkowy pod oknami.

Annas przygotował im prosty i gorący posiłek, pozwalający bądź to najeść się szybko do syta i wcześniej zakończyć śniadanie, bądź marudzić przy pieczywie i dżemach. Cefwyn zasiadł do stołu i czekał, wolno sącząc herbatę.

Wkrótce nadszedł Idrys z Herynem w ogonie, ponurym i nachmurzonym Herynem, który zatrzymał się i pokłonił w nakazanej etykietą odległości od stołu, gdy tymczasem Idrys podszedł aż do okna, gdzie skrzyżował ręce na ramionach i znieruchomiał w ciepłych promieniach słońca.

Cefwyn powstał, ukłonił się i wskazał miejsce na drugim końcu stołu.

–Witaj, Wasza Miłość.

Heryn stanął przy wskazanym krześle, zaciskając ręce na poręczach.

–Wasza Wysokość...

–Ależ usiądź wreszcie, Amefel. Nie wątpię, że dręczą cię pytania.

–Uzbrojeni gwardziści...

–Nie mogłeś mnie chronić, Wasza Miłość. Amefińskie patrole znajdowały się w pobliżu Emwy, zgoda, wierzę ci na słowo, uważam jednak, iż powinny być zauważyć nasze wywieszane proporce i mój sztandar. Obawiam się, że zostałeś źle poinformowany o naturze napaści w Emwy, co oczywiście nie rzuca cienia na ciebie, ale na pewne założenia. Wobec powyższego postanowiłem zabezpieczyć pałac, dopóki nie potwierdzimy nowin, których udzielili twoi informatorzy. Ponad wszelką wątpliwość twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo. Zaufaj moim gwardzistom, to uczciwi ludzie.

Przystojne oblicze Heryna pokryło się trupią bladością.

Cefwyn uśmiechnął się, wyłącznie wargami, pewny tego, że Heryn wychwycił dwuznaczność jego wypowiedzi.

Heryn osunął się na krzesło, uniósł filiżankę i przystawił ją do ust; Annas zaczął serwować śniadanie. Heryn zamarł w połowie łyku z badawczym, przerażonym wzrokiem, utkwionym w lokaja.

–Twoje zdrowie – rzekł Cefwyn, nadal uśmiechnięty, po czym napił się herbaty.

Pot perlił się na twarzy Heryna. Cefwyn odwrócił się nieznacznie.

–Idrysie.

–Wasza Wysokość.

–Jakiś ślad po koniach z Emwy?

–Tak, panie, znalazło się kilka. Cisawy i trzy gniadosze wróciły nocą. Chłopi przyprowadzili je dla nagrody, gdyż rozpoznali królewskie piętna.

–Nagrodziłeś ich?

–Sowicie, panie.

–Doskonale. – Spojrzał na Heryna i przepołowił kielbaskę. – To jasne, na wsi wciąż szanują Koronę.

–Zapewniam Waszą Wysokość, że to prawda – odparł Heryn.

–Nasze patrole będą bardzo skrupulatnie przeczesywać okolicę. Chcemy przydybać tę bandę zbrojczyków i wziąć ich na spytki.

–A mogło by się zdawać, że wszyscy twoi ludzie naraz pełnią służbę – powiedział Heryn z przekąsem; kielbaska gładko przeszła przez gardło. – Tylu ich było na salach.

–Możesz być pewien, że będzie to z pożytkiem dla ciebie, gdy Korona przejmie wyłączną odpowiedzialność za moje tu bezpieczeństwo. Za śmierć spadkobiercy rodu Marhanenów przyszłoby miastu zapłacić słoń i krew. Smutne to, ale bez względu na twoje starania, koszt ów ty musiałbyś ponieść. Jego Królewska Mość i ja czasem się kłócimy, lecz zażartość naszych sporów jest mocno przesadzona. Mocno. Cóż z tego, że Marhanenowie kłócą się co jakiś czas? Gdy ktoś nas zaatakuje, ojciec jest głową rodu.

–Zapewniam Waszą Wysokość...

–Och, bez wątpienia obaj uważamy, że twoje wysiłki mogłyby zakończyć się powodzeniem. Ja jednak nie zamierzam obarczać tego typu odpowiedzialnością zarówno tej prowincji, jak i ciebie, Amefel. Gueleńczycy są zaprawionymi ludźmi. Znają zakres swoich powinności, żaden nie opuści samowolnie posterunku, póki nie dopilnujemy, aby winowajcy zostali wyłapani i powieszani... Kielbaskę, Wasza Miłość?

Annas odbył wycieczkę na drugi koniec stołu, lecz Heryn przyjął jedynie chleb.

–Wasza Wysokość – rzekł – twoją przyboczną gwardię czeka z pewnością niezwykle trud. Zapewniam, że mi osobiście wystarczą moi ludzie. Mógłbyś odwołać gwardzistów przynajmniej spod moich drzwi...

–Nie ma mowy. Dobro tej prowincji leży mi szczególnie na sercu. Moi gwardziści zostaną. – Napelnił usta chlebem i miodem i zaczął jeść, zadowolony ze śniadania. – Amefiński miód. Chyba pošę trochę ojcu z osobistą rekomendacją.

–Dziękuję, panie – mruknał Heryn, aczkolwiek zdawało się, że ma trudności w oddychaniu, nie mówiąc o jedzeniu.

–Tylko nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Zrobiłeś, co mogłeś, aby zapewnić mi bezpieczeństwo. Teraz pora na mnie... A może się skusisz na pieczywo, lordzie Herynie?

Heryn sięgnął po nóż, lecz jego knykcie pobieleały na rękojeści, gdy zatapiał ostrze w maśle.

–Wyznaczyłem – mówił Idrys – Anwylla, by pilnował Tarien, natomiast sierżant Gedd czuwa pod drzwiami Orien.

Cefwyn uśmiechnął się posępnie. Anwyll był nieugięty, Gedd zaś ze względu na swe upodobania – uodporniony na Orien i wszystkie jej służące.

–Przyrzekłem żołnierzom hojną premię, Wasza Książęca Mość – dodał Idrys – jeśli ta podwójna wachta dobiegnie bezpiecznie do końca. Ludzie z tego tytułu są w wyśmienitych nastrojach.

–Możesz powoływać się na moje upoważnienie. – Cefwyn pochwycił miecz i przypasał go do boku. – Dopilnuję, by premie zostały wypłacone.

–Dokąd idziesz, Wasza Książęca Mość?

–Zobaczę, co u naszego gościa.

Idrys natychmiast zmarszczył czoło. Cefwyn ruszył ku drzwiom, a żołnierz jak cień wyszedł za nim na salę.

–Pozbądź się tego złowieszczonego gościa – powiedział. – Odeślij go do pustelni Emuina. Odeślij go do quinaltynów w Guelessarze, jeśli prosisz o moją radę w tej sprawie, panie.

–Nie, w tej nie.

–Wolałbym, żebyś zaczekał na przybycie Emuina.

–Już o tym wspominałeś. – Zerknął na Idrysa. Gdy znów spojrział przed siebie, słowa uwięzły mu w gardle. Pod drzwiami Tristena czuwała zaledwie jedna para strażników. – Co tu się dzieje? – zapytał. – Gdzie pozostali dwaj?

–Poszli z nim, Wasza Wysokość – odrzekł jeden. – I z Uwenem.

–Obudził się.

–Normalnie, jak to z rana, Wasza Wysokość. Zjadł śniadanie i poszedł.

–Kazałem, by mnie o tym powiadomiono!

–Miałeś gościa, Wasza Wysokość. Jakże nam było przeszkadzać?

–Psiakrew! – Cefwyn czuł na sobie uważny wzrok Idrysa i wstrzymał się od roztrząsania winy, jaką niewątpliwie było wydanie sprzecznych instrukcji. – Dokąd poszedł?

–Do stajni, Wasza Wysokość. Chyba po konia.

Cefwyn cisnął przekleństwo.

–Zostańcie na posterunku – rozkazał i zamaszystym krokiem ruszył w stronę schodów, z Idrysem i zaciekawioną parą gueleńskich strażników za plecami.

Rozdział piętnasty

Stojący za drzwiami gwardziści wyprężyli się na baczność, podobnie jak ci u bramy prowadzącej na dziedziniec przy stajni: świadectwo skutecznych zabiegów Idrysa. Wobec szczęku broni w otoczeniu czeredy chłopców stajennych pojawił się stary Haman – ów człowiek, ku lekkiemu zdziwieniu Cefwyna, nadal znajdował się na swoim posterunku, lecz Haman miał pogodne czoło i był w dobrym nastroju.

–Wasza Wysokość. – Pochylił głowę. Był wprawdzie synem tej ziemi, lecz nie mieszał się do intryg amefińskiego dworu. Jediną jego politykę stanowiło dogłądanie powierzonych mu zwierząt i nic więcej go nie obchodziło. Nawet księżę powściągał swój temperament, szanując tego człowieka. W trakcie odwoływania z posterunków amefeńskich gwardzistów pozostawiono w spokoju zarówno kucharza, jak i masztalerza.

–Hamanie. Mój gość, ten młodzieniec. Gdzież on się teraz znajduje?

–Wstąpił tu w trosce o swego konia, Wasza Wysokość. Potem wrócił do pałacu.

Cefwyn zagryzł wargę; gdyby teraz się szybko odwrócił, napotkałby bez wątpienia wymowne spojrzenie Idrysa, więc zamiast tego wpatrzył tylko w kierunku stajni, gdzie łeb wychylał jego własny Danvy. Podeszedł do drzwi boksu, pogłaskał swego ulubieńca i dał mu wyciągnięte z beczki jabłko.

–W dobrej on ci jest formie, Wasza Wysokość – rzekł Haman. – W całym tym zamieszaniu ledwie podkowę zagubił. Kowal już go podkuł. Dobrze by mu zrobił tydzień na zagrodach, jeśli łaska, Wasza Wysokość.

–Tylko dobrze się nim opiekuj, mości Hamanie. Nie mam żadnych obiekcji. Niech będzie pastwisko. I lepiej, żeby wszystkie moje konie miały trochę ruchu. Kanwy jest tłusty jak

beczka... Czy mój gość nie wspominał, co zamierza rano porabiać?

–Nie, Wasza Wysokość. Troskał się jeno o swego konia. Chciał go zobaczyć, nim pójdzie na pastwisko. Po wybiegu pospacerował, własnymi rękoma ziarna mu naniósł i pogawędkę krótką z nim uciał. Potem ze sługą do pałacu wrócił. Straszliwie był blady, Wasza Wysokość. Zrazu wiadomość chciałem wysłać, atoli sługa i twoi gwardziści byli przy nim bez przerwy, wiecem pomyślałem sobie, że on tu w słusznej sprawie przyszedł.

–Jestem pewien, że tak właśnie było. Dziękuję, mości Hamanie. – Gdy odwrócił się, by odejść, zupełnie przypadkowo napotkał wzrok Idrysa i nachmurzył czoło. Minął Idrysa, ocierając się o niego, przemaszerował przez podwórzec i zaczął wspinać się na prowadzące do dolnej sali schody, słysząc podążających za nim gwardzistów.

–Wasza Książęca Mość – rzekł Idrys, kiedy znaleźli się na korytarzu – pozwól, że ja się tym zajmę. Znajdę go.

–Razem go znajdziemy. – Zerknął przez ramię i pochwycił dokładnie takie spojrzenie, jakiego się spodziewał.

–Ogrzej to jajo przy swojej piersi, Wasza Książęca Mość, a może się okazać, że wykluje się coś niepodobnego do wróbla. Z lordem Amefel poszło nam całkiem nieźle. Radzę, byś zamknął w klatce tego Maurylowego ptaszka. Zapewnij mu w niej wszelkie wygody, jakie tylko uznasz za stosowne, lecz miej na oku. Przynajmniej dopóki Emuin się nim nie zajmie. Ten człowiek jeszcze zaskoczy cię jakimś wybrykiem i będziesz gorzko żałował.

Książę odwrócił wzrok i ruszył przed siebie, szukając okien wychodzących na ogród, lekceważąc Idrysa i jego radę. Również w ogrodzie nie było Tristena.

Końcem końców, książę musiał stanąć i poczekać, poirytowany, aż Idrys rozmówi się z przypadkowo spotkaną w korytarzu grupką amefińskich służących. Wskazali mu oni drogę do archiwum, kłaniając się strachliwie, gdyż nie mieli pojęcia, w jakie sprawy zostali wmieszani tego niepewnego dnia, w którym wszystkie posterunki przejęli Gueleńczycy, a dziwne wieści krążyły po salach.

–Biblioteka, Wasza Książęca Mość – oświadczył Idrys. – Koń... i archiwum.

Cefwyn wypuścił z ulgą powietrze i ruszyli ku wschodniemu skrzydłu; tylko pomyśleć, że Tristen nie zajmował się niczym bardziej złowieszczym od książek... Z drugiej strony – zaczął się zastanawiać – jakże nalegać musiał Tristen, ażeby zmusić do posłuchu Uwena i gwardzistów, oraz dlaczego, obudziwszy się z głębokiego snu, wielce nienaturalnego snu, zapragnął lektury nedorzecznych poezji, filozofii...?

Książki, w tych szczególnych rękach, przestawały być nieszkodliwe... Z pewnością właśnie o tym Idrys przez cały czas myślał. W każdym jego słowie Cefwyn słyszał echa przestroóg.

Oprócz tego widział, jakże wyraźnie, pozbawione zmarszczek i uśpione oblicze Tristena z zeszłego wieczoru – Idrys widział je także. Widział też tamtą przerażoną twarz w Althalen, kiedy dogonił młodzieńca na drodze, tę samą twarz z tymi niezwykłymi oczyma, porażonymi do głębi bezgraniczną trwogą; również i ją widział Idrys.

Nie zapomniał tamtego widoku, nigdy go już nie zapomni. A teraz, proszę bardzo, nienaturalny sen prowadzi prosto do, jak wyraził się strażnik, normalnego przebudzenia i wizyty w stajni, co jak ułał pasowało do tego szlachetnego, niezrównoważonego psychicznie młodzieńca, którego przyjął na niejasnych, ustalonych przez Emuina warunkach i poprowadził w zasadzkę urządzoną pośród nieziemskich zgliszcz.

Teraz znowu książki. Archiwum? Bogowie wiedzą, co amefińskie archiwa kryją w zakurzonych stosach i szufladach.

Przyśpieszył kroku i przekroczył próg zatęchłych archiwalnych pomieszczeń, gdzie książki i chaotycznie poukładane sterty cywilnych zapisków wypełniały całą komnatę, która podobno od wieków nie zakosztowała porządków, gdzie nader skutecznie wymieszano kwity podatków i gdzie, zgodnie z wydanymi nocą rozkazami, jego własny księgowy wciąż dowodził batalionem paziów buszujących pod zachodnią ścianą.

–Wasza Wysokość – przywitał się Tamurin, nie znając celu misji księcia ani przedmiotu jego poszukiwań. – Natychmiast przygotuję wymagane rejestry, natychmiast, Wasza Książęca Mość.

–Idzie ci całkiem sprawnie, mistrzu Tamurinie. Czyń, co uznasz za stosowne.

Mistrz Tamurin przestał go nagle interesować. W mdłym świetle sączącym się przez szarą szybę, w pewnej odległości pod wschodnią ścianą, przy biurku zawalonym stertami pergaminów i kodeksów, kolumnami zmurszałych papierów... tam właśnie, nareszcie odnaleziony, siedział Tristen, ślęcząc nad opasłym kodeksem; obok niego czuwali dwaj gwardziści i Uwen, pochyleni na krzesłach po obu stronach młodzieńca; zerkali na dzieło, sprawiając wrażenie umiejących odczytać coś więcej niżli tylko kwity z wysokością poborów, i czekali cierpliwie, jakby lada moment Tristen miał wygłosić jakąś niezwykłą mądrość.

–Precz! – rozkazał im Cefwyn; książęcy, zamaszysty gest ręki uwzględniał także Uwena.

Tristen uniósł głowę. Twarz okrywał mu cień, włosy odcinały się czarną plamą na tle przyćmionego blasku słońca. Była to – mrowie przebiegło Cefwynowi po plecach – jakaś obca twarz, zwłaszcza teraz, gdy promienie padały jedynie na płaszczyzny, nie docierając do zagłębień. Była to męska twarz, twarz złowroga.

Gwardziści, współpiskowcy w wędrówkach Tristena, być może w końcu uzmysłowili sobie, że mieli złożyć raport w przypadku zauważonej u śpiącego zmiany, gdyż wymknęli się chyłkiem, usiłując nie rzucać się w oczy. Żołnierze, którzy przyszli wraz z księciem, zostali w

pobliżu, acz nieco bardziej z tyłu. Tylko Idrys przysunął się dostatecznie blisko, aby uczestniczyć we wszystkim, co się wydarzy. Cefwyn rozważał, czyby i jego nie odprawić, lecz względy zasadnicze i chęć wysłuchania obiektywnej opinii kazały mu się powstrzymać.

–Wasza Książęca Mość. – Tristen wstał i zaczął zamykać opasłe tomisko. Cefwyn postąpił dwa kroki do przodu i przytrzymał ręką opadające karty; młodzieniec ani drgnął.

Cefwyn przyciągnął kodeks, powtórnie otworzył ciężkie stronicę i odwrócił księgę, roztrącając zawadzające mu papierzyska. Ujrzał niewyraźne amefińskie pismo, prymitywne iluminacje oraz miniaturową mapkę niegdysiejszego Ylesuinu, z czasów, kiedy był on zaledwie prowincją hołdowniczą, rządzoną przez czarnoksiężników zachodu, rozległego królestwa sihhijskich monarchów.

Na wpół zamknął księgę, po czym otworzył ją na pierwszej stronicy z tytułem: Annały królestwa Selwyna Marhanena.

–Ach, mój dziadek – mruknął Cefwyn z przekąsem, zaglądając w twarz Tristena. Ciągłe na stojąco, powrócił do czytanych przez młodzieńca stronic, przysuwając je do smugi światła padającego od strony przykurzonych szyb. – Althalen – odczytał na głos. Wśród niezgłębionych uczuć, które odbijały się na nadal pogrążonym w cieniu obliczu Tristena, gościł strach.

Cefwyn oparł stopę na siedzeniu krzesła, położył wielki kodeks na kolanie i przechylił całą powierzchnię karty, tak, aby została oświetlona wciąż tym samym mdłym blaskiem. O tym, jak Marhanenowie zdobyli Althalen.

Podniósł wzrok na Tristena, żeby się przekonać, czy na jego twarzy maluje się skrucha, zmieszanie, gniew czy jakiegokolwiek inne uczucie. Światło zza okna czyniło z niej białą, złowieszczą maskę. Wziął ze stołu luźny skrawek pergaminu i użył go jako zakładki, po czym zamknął kodeks i cały ten zakurzony, opasły tom przekazał na przechowanie Idrysowi.

Popatrzył na Tristena, ciekaw, co też on o tym pomyśli, lecz wyglądało na to, iż ani na jotę nie zmienił wyrazu twarzy od początku interwencji księcia. Wystraszony amefiński księgowy stał w cieniu stert papierów w sklepionym łukowato przejściu naprzeciwko.

–Jakim cudem znalazł on tę książkę? – zapytał Cefwyn, świdrując mężczyznę bacznym spojrzeniem. – Pytał cię o nią? Sam mu ją zaproponowałeś?

–On... pytał o dzieje Althalen, Wasza Wysokość.

Cefwyn rzucił okiem na piętrzące się wokół na stołach wolumeny: spisy ludności, księgi podatkowe, akty sprzedaży, skromne pozycje z dziedziny nauki, filozofii, poezji. I historii. O tak, Amefel miał swoją historię.

Zwrócił się w stronę czarnej sylwetki Idrysa i jego marsowej miny.

–Nie przy świadkach – przestrzegł żołnierz, dając tym do zrozumienia, że zadawane przez księcia pytania zawierają za wiele szczegółów i zbyt dużo zdradzają.

–Tristenie – rzekł Cefwyn łagodnie – chodź za mną.

–Tak, panie – odparł Tristen tonem uległości. Składając ukłon, zanurzył się w blasku, a wówczas jego szare oczy wydały się równie jak dawniej wyraziste. Czał się w nich strach. Tak przynajmniej Cefwyn przypuszczał. I oszołomienie. Wszystkie te rzeczy, które mogły udobruchać zagniewanego księcia.

Tristen odwrócił się, w drodze do drzwi zaczął już mijać Idrysa, lecz ten, bez rozkazu, odłożył na bok księgę, przytrzymał ramię młodzieńca, by bez ceregieli sprawdzić, czy nie chowa gdzieś broni. Tristen skamieniał w pół kroku i spokojnie poddał się zabiegowi.

Tego było za wiele, czyż mógł pozwolić na taką samowolę? Słowa protestu cisnęły się na usta Cefwyna, tym razem w obronie Tristena; niemniej jednak, przebywając o tak wczesnej godzinie w twierdzy wroga, głupcem jest ten książę, który gani swych gwardzistów za nadmiar ostrożności. Kiedy przeszukiwanie dobiegło końca, Tristen podjął marsz wzdłuż regałów biblioteki, wydając się jedynie w niewielkim stopniu poruszony obrazą, jakiej echo rozbrzmiałoby przed królewskim tronem, gdyby Idrys dopuścił się jej wobec Heryna lub jednego z jego przyjaciół. Książę podążał z tyłu wraz z Idrysem, podczas gdy Tristen szedł przodem w posępnym odosobnieniu i z niezmaconym dostojeństwem, którego Idrys – jak sądził Cefwyn – nie mógłby zachwiać, choćby rozebrał młodzieńca do naga. Nie był to już ten sam zadziwiony, bezbronny wyrostek, przyprowadzony przez Emuina nocą do mniejszej sali.

Tego ranka szczęka była zaciśnięta. Szerokie ramiona, okryte aksamitem i jedwabiem, dowodziły panowania nad sobą, niewynikającego bynajmniej ze strachu, ale z nieustraszoneości. Idrys zapewne również się zorientował, że Tristen nie przeląkł się owego brutalnego wmieszania się w jego sprawy, zupełnie je bagatelizując.

Tristen maszerował wzdłuż przeładowanych stołów, obok podekscytowanych archiwistów, wśród rozgardiaszu związanego ze sprawdzaniem rachunków. Przy drzwiach dołączyli do nich gwardziści, by odprowadzić ich w dół korytarzem, a później do góry po schodach.

Książę spostrzegł teraz, że zaślepia go gniew, któremu nijak nie może dać upustu.

Gniew wrzał w jego sercu i przyćmiewał rozum. Naszło go dziwne uczucie żalu, zdrady – sam nie umiał tego określić; straty... jakiegoś rzadkiego i cennego klejnotu, widzianego przez mgnienie oka, który pragnąłby znów ujrzeć w tym człowieku.

To prezent od Mauryla, wmawiał sobie owego ranka pełnego utarczek ze zdrajcami, ranka tuż po śniadaniu z Herynem Aswyddem. To Forma Mauryla, złożona z obecnego ciała i

czegoś jeszcze; skoro był wystarczająco rozgarnięty, aby rządzić prowincją, powinien dostrzec groźbę ukrytą pod płaszczkiem pokory Tristena i jego niezwyklej bezradności.

Powinien był zrozumieć, że nie wynikała ona ze słabości, a z planu Mauryła. Powinien był się uzbroić i zmrozić zawczasu serce.

Czego jednak nie uczynił. Nie uczynił...

Na górze, bezpieczny za drzwiami swego apartamentu, znowu zajął w te nazbyt wyraziste oczy i napotkał owo bezdyskusyjne wezwanie do zaufania, właściwe Tristenowi.

–Wyjść! – zwrócił się do straży, lecz Idrys nawet nie drgnął. – Wyjdź, Idrysie.

–W tej jednej sprawie jestem sługą twego ojca, Wasza Książęca Mość. Zostanę.

Tristen stał przy stole, obok niego leżała książka. Cefwyn usiadł opodal i zaczął wodzić palcami po skórzanych brzegach.

–Dlaczego – zapytał, podnosząc wzrok na Tristena – dlaczego Maurył przysłał cię do mnie?

–Nie przysłał mnie do ciebie, panie, żadnym słowem.

–No tak, zapomniałem. Droga cię tu przyprowadziła.

–Tak, panie, właśnie droga.

–Dobrze się wyspałeś?

–Tak, wyspałem się, panie.

–Dość długi to był sen.

–Uwen to samo powiedział, panie. – Pojawił się nieuchwytny niemal cień niepokoju. – Sam bym się o tym nie dowiedział.

–Co wydarzyło się w Althalen? Co tam zobaczyłeś? Duchy?

–Nie, panie. – Zakradła się nuta ostrożności. – Nic się nie wydarzyło.

–Pędziłeś, jakby goniło cię stado diabłów. Obierałeś ledwo widoczne ścieżki i nikt z moich ludzi, łącznie ze mną, nie mógł cię dogonić. A podobno wcześniej nie jeździłeś konno. Jakżeś tego dokonał?

–Nie wiem, panie.

–Czary?

–Nie, panie. – Głos był cichy. Pełen szacunku. Przekonujący. – Bałem się.

Tristen miał zdolność dodawania czegoś niespodziewanego, zabawnego, co nawet w człowieku ogarniętym gniewem budziło ochotę do śmiechu.

–Bałeś się.

–Było tam coś bardzo złego, Wasza Książęca Mość.

–Coś złego – niczym echo powtórzył Cefwyn. Dziecięce wyrażenie. Dziecięcy wyraz oczu szarych jak niezmiernie morze. Tym razem nie pohamował złości. – A zatem wyrwałeś się z oddziału, ryzykowałeś życie ludzi, uciekłeś ode mnie, uciekłeś od pilnujących cię żołnierzy, pognałeś jak szalony i wpadłeś w nie wiadomo czyje łapy, ponieważ przestraszyłeś się czegoś złego?

–Tak, panie.

–Tak, panie. Powiedz coś więcej niż tylko „tak, panie”, „jeżeli łaska, Wasza Książęca Mość”. To są poważne sprawy, Tristenie, i nie pozwolę się zbyć jakimś „tak, panie”. Skoro cię pytam, żądam pełnej i przemyślanej odpowiedzi. Czego się przestraszyłeś? Czegoś złego? Wielkie nieba, człowieku, uwierz w moją dobrą wolę i powiedz, co właściwie widziałeś!

Westchnięcie. Decyzja.

–Nie wiem, panie. Nie pamiętam wszystkiego, co zobaczyłem, ani też wszystkiego, co robiłem. Myślałem, że się właściwie zachowuję. Cały czas myślałem, że ty i żołnierze jesteście zaraz za moimi plecami. Że jesteście za mną.

–Niech cię licho! Wiedziałeś. Wiedziałeś, gdzie jesteśmy!

–Nie, panie. Nie wiedziałem.

–Ludzie podobne pomyłki przyplacają życiem, Tristenie.

–Tak, panie – padła stłumiona odpowiedź.

–Cholernie mało brakło, abyś zabił konia, zabił mnie i połowę ludzi. Jeśli to nie czary przeniosły cię cało ponad tymi wszystkimi przeszkodami, wartość żrebiąt od tej klaczy powinienem chyba oceniać po skrzydłach! Do licha, nie patrz na mnie jak prostak! Powiadasz, żeś uczony. Uważasz Mauryła za swego nauczyciela. Powiadasz, że nie ma niczego nienormalnego w twojej jeździe, wyglądzie i przybyciu w to miejsce. Powiadasz, że nie ma niczego nienormalnego w twoim śnie i przebudzeniu. Czy ty uważasz mnie za głupca?

–Nie, panie.

Jeszcze ciszej. Z większą skruchą. Cefwyn oderwał wzrok od tych oczu, które zmuszały do uwierzenia. Otworzył wielką księgę w miejscu zaznaczonym pergaminową zakładką.

–Czego szukałeś w tej książce? – zapytał, nie podnosząc wzroku. – Czego szukasz w tamtej, którą dostałeś od czarodzieja? Kimżeś był, zanim zajął się tobą Mauryl?

Cisza. Spojrzał na powleczonej śmiertelną bladością twarz Tristena.

–Nie wiem, panie.

–Po co cię przysłał?

–Nie wiem, panie.

–Żądam wyczerpującej odpowiedzi. Chcę usłyszeć uczciwą, przemyślaną opinię.

–Wiem, panie. Ale nie... rozumiem... co miałem robić. Nie rozumiem nawet... czym jestem. Myślę... myślę...

Skończ z tym, rzekł sobie w duchu Cefwyn; serce trzepotało mu w piersi z trwogi, ponieważ Tristen wyszedł poza zadane mu pytanie, wyszedł – skutkiem jego ciekawości -poza wszystko, czego chciałby się kiedykolwiek dowiedzieć na temat dokonań czarodziejów, gdyż istniały odpowiedzi i istniała-uzmysłowił to sobie nagle w kontekście rozdarcia Tristena pomiędzy bezradną łatwowiernością a straszną, nieugiętą konfrontacją z samym sobą – istniała jakaś prawda. Był uczniem Emuina, tak samo jak Tristen był uczniem Mauryla. Nie nauczył się żadnych czarów, ale pojął ich szczególną logikę. Nie bez powodu Tristen nie umiał przeczytać dziwnej książki Mauryla. Nie bez powodu Tristen dosiadł ryżej kłaczy, niepewnie powodując cuglami, by kilka godzin później napędzić mu strachu karkołomną galopadą, odskakując wyraźnie od jego szybszego wierzchowca.

–Myślę – rzekł Tristen słabym, zdławionym głosem – myślę, że inni ludzie różnią się ode mnie.

Kolejna zaskakująca konkluzja Tristena, z której niejeden mocno by się uśmieł. Ta jednak stanęła księciu kością w gardle. Odbiła się echem od ścian jego własnego, ograniczonego świata i zrodziła następującą myśl: Ja, księżę Ylesuina, także różnię się od innych ludzi; w oczach młodzieńca odbijał się jak w lustrze jego własny skrywany strach. Co gorsza, napotkał także spojrzenie człowieka, który swe słowa wypowiedział zupełnie szczerze, spojrzenie człowieka, który poszedł do archiwum i poprosił o wiadomą książkę. Samotny. Śmiertelnie samotny. Rozumiał ów strach. Musiał przyjąć do wiadomości deklarację Tristena, lecz nade wszystko szanował odwagę potrzebną do stawienia czoła temu przypuszczeniu i szukania odpowiedzi bez względu na to, jak mogłaby wyglądać.

–Tristenie, co poniektórzy są zdania, że to bandyci na nas napadli, za nic sobie mając mój sztandar. Co poniektórzy twierdzą, że wprost przeciwnie, doszło do pomyłki, spotkaliśmy

jeny amefińskie patrole i zabląkanych pastuchów. Co ty o tym sądzisz?

–Ktoś miał złe zamiary.

–I ja tak uważam. Wystawiłem strażę do ochrony pewnych ludzi i, zrozum, wielce mi pomożesz, jeśli nie będziesz wędrował po salach wbrew radom twoich opiekunów.

–Tak, panie. Przepraszam.

–Dobrze się czujesz, Tristenie?

–Tak, panie.

–Sam powiedziałeś, że nie potrafisz rozpoznać kłamstwa. Teraz cię proszę, byś odstąpił prawdę, tak jak w rozmowie z Mauryłem. Albo mi powiesz prawdę, albo nigdy mnie nie proś, żebym ci zaufał. Co takiego zobaczyłeś, że wpadłeś w przerażenie?

–Dym. Strach. Ogień. Chciałem, żebyśmy przeszli na drugą stronę, panie. Chciałem, żebyś ty przeszedł; myślałem, że jesteś zaraz za mną, naprawdę tak myślałem. – Na chwilę zaległa cisza. – Chyba tak właśnie myślałem.

–Wydawało ci się, że prowadzisz mnie w bezpieczne miejsce... A nawet, jeśli tylko uciekałeś, przyznaj się, to ci wybaczę. Tylko powiedz.

–Nie, panie. Myślałem, że jadę w stronę bezpiecznego miejsca. Byłem pewien, że jesteś za mną i że gdybym się obejrzał... gdybym się obejrzał... sam nie wiem, panie. Tylko tyle pamiętam.

–Cóż za dogodna okoliczność – odezwał się Idris, zapomniany w swym zwykłym bezruchu. Cefwyn drgnął, czar przysł.

–Ale ty pojechałeś za mną – powiedział Tristen.

–A ty zapadłeś wnet w sen, z którego nikt nie potrafił cię wyrwać – rzekł Idris chłodno. – Czy to jakieś czary? A jeśli nie, to co?

–Ja... – Tristen potrząsnął głową, a wtedy, wtedy... Cefwyn mógłby przysiąc, że wychwycił oznakę winy, cień wykrętu. Skoro to rzeczywiście była wina, cała reszta stanowiła stek kłamstw lub próbę ukrycia prawdy.

–Miałeś jakieś sny? – zapytał. Tristen spojrział na niego wzrokiem złapanej w potrzask sarny.

–Nie, panie.

–Co właściwie zrobiłeś? Chcę usłyszeć prawdę, Tristenie. Taką jak wcześniej. Zaufaj mi

teraz albo nie ufaj mi nigdy. Nie masz wyboru.

–Były nazwy. Zbyt wiele nazw. Zmęczyłem się. Zasnąłem. Zasypiam, kiedy jest zbyt wiele nazw.

–Nazwy czego?

–Althalen, Emwy. Inne nazwy. Mógłbym je poznać, gdybyś je wypowiedział, panie. Mogę myśleć. Mogę spróbować o nich pomyśleć.

–Czy dowiedziałeś się czegoś z tej zakurzonej księgi?

–Jeszcze nie, panie.

–Nie przeczytałeś jej.

–Nie miałem czasu, panie.

Cefwyn odchylił się w krześle, zagryzł wargę i zerknął na Idrysa.

–Pozbądź się go – doradził Idrys. – A przynajmniej zamknij do powrotu Emuina. Ani ty, ani ja nie damy sobie rady z czymś, co wyszło spod ręki Mauryła Gestauriena. Ta Forma nie jest zabawką jakiegoś tam kuglarza. Pozbądź się jej.

–Niech cię licho porwie, Idrysie! – Zobaczył, jak z twarzy Tristena odbiegają kolory. – Tristenie.

–Tak, panie?

–Zrobiłbyś mi krzywdę?

–Nie, panie, za nic w świecie.

–Wróć zatem do swego pokoju po drugiej stronie sali. Nie opuszczaj go pod żadnym pozorem. Rozkażę, by dostarczono ci tam twoje rzeczy osobiste.

–Tak, Wasza Książęca Mość.

–Wieczorem... – zaczął Cefwyn. Skłonny był złagodzić nieco swój rozkaz, który oznaczał areszt i więzienie. Poza tym nie chciał korzystać z niefortunnej rady Idrysa, nawet nie zamierzał sprawiać takiego wrażenia. Niemniej wyglądało na to, że tylko tym sposobem zapewni bezpieczeństwo Tristenowi, Koronie oraz wszystkim dokoła. – Wieczorem oczekuję cię na obiedzie, jeśli raczysz wyświadczyć mi tę przyjemność.

–Panie. – Tristen podniósł się z krzesła, wyraźnie uradowany. Idrys odprowadził go do drzwi, grzecznie, acz z rezerwą.

Idrys następnie stanął przed stołem ze skrzyżowanymi ramionami, tak by nie można go było zignorować.

–Nie oddawaj mu tej książki, Wasza Książęca Mość. Nie odsyłaj mu jej.

–Mam z ciebie duży pożytek, Idrysie, nie waż się jednak zrobić mu krzywdy. Żadnej... A tak w ogóle, czym ty jesteś sługą?

–Kiedy rzecz dotyczy twego bezpieczeństwa... twoim, oczywiście. Co jest w tej książce, Wasza Książęca Mość?

–A niech to, dlaczego to właśnie ty jesteś przy mnie?

Na jakiś czas zaległo milczenie. Idrys odetchnął głęboko, spokojnie, gdy Cefwyn usiłował złapać oddech.

–Przejawiasz dziwne upodobania, Wasza Książęca Mość, uporczywe upodobania do rzeczy żywiących względem ciebie wrogie zamiary.

–Podejrzewasz wszystko i wszystkich z mojego otoczenia! Ty i Emuin...

–Chodzi o Orien i Tarien, panie?

–Obyś pękł! – Spojrzał w bok, czując ogień w oczach, który wolałby ukryć przed Idrysem.

–Wasza Książęca Mość – rzekł wiarus, oparłszy się z nadmierną poufałością o krzesło Cefwyna – ostatni z sihhijskich władców zginął w Althalen z ręki twojego dziadka. To właśnie wyczyta w tej książce.

Cefwyn odsunął skrawek pergaminu z zaznaczonego miejsca i wygładził ciężką kartę.

Litery wirowały mu przed oczyma, pismo przywodziło na myśl galasjeńskie pierwowzory wszystkich rękopisów, przypominało o historiach, które jeszcze niedawno, wobec codziennych zmartwień, były bezpiecznie odległe.

–Marhanenowie – mówił Idrys – nie byli podówczas królami, tylko zaufanymi szambelanami długiego rodu sihhijskich półkrólów w Althalen. Twój dziadek służył Elfwynowi. Być może nasz niewinny chłopaczek chciałby, żebyś przywrócił mu dawne stanowisko.

–Ostrzegam, nie zapędzaj się za daleko, Idrysie.

–To ja cię ostrzegam, Wasza Książęca Mość. Przeklęty Althalen zamienił się w popiół wcale nie tak dawno. Wciąż żyją ludzie, którzy pamiętają. Chociażby Emuin. Był tam wtedy. Jego zapytaj. Ponad wszelką wątpliwość uczestniczył też w tym Mauryl, otworzył bramy przed twoim dziadkiem i uczynił go królem. W zamian za tę jawną zdradę twój dziadek odstąpił Maurylowi ruiny Ynefel i kazał pościągać jego godła z budynków w całym

cywilizowanym świecie. Przedni żart, rzekłbym. W ciągu następnych lat las porastał Althalen, maskując wszelkie przewinienia okrutnych Marhanenów.

Cefwyn spojrzał surowo.

–Porozmawiaj kiedyś z moim ojcem równie szczerze, Idrysie.

–Do mordów dochodzi w związku ze sprawami dużo błahszymi od walk o trony. Najgorzej, kiedy zasiadający na tronach zapominają, jakim sposobem je objęli. Twój ojciec, podobnie jak twój dziadek, ustanowił karę śmierci za posługiwanie się sihijskimi godłami lub kultywowanie starych rytuałów.

–A mimo to zatrudnił Emuina!

–Co mówi księga, Wasza Książęca Mość?

–Do licha z twoim uporem!

–Jest na twe usługi. Co mówi księga, panie?

Cefwyn przykrył stronicę rozpostartą dłonią, poczekał chwilę, aż wyrówna mu się oddech, a roztańczone literki znów staną się wyraźne.

–Potrzebuję Emuina.

–Od razu mówisz rozsądniej, Wasza Książęca Mość.

Cefwyn razem z krzesłem odwrócił się gwałtownie do Idrysa.

–Ty też zaczekasz na jego radę. Zrozumiałeś, Idrysie? Nie waż się tknąć Tristena!

–Wasza Książęca Mość. – Idrys nie spuszczał z tonu, nie dawał się przekonać. – Dla swego własnego bezpieczeństwa...

–Dla własnego bezpieczeństwa nie przekraczaj moich rozkazów.

–Czy wiesz, panie, dlaczego Emuin w takim pośpiechu opuścił Hemas'amef? Wiesz, dlaczego umknął z Amefel, zanim Forma Mauryła zaczęła zadawać mu niedyskretne pytania?

–Wciąż tylko malujesz przede mną jakieś złowróżbne wizje. On po prostu postanowił w zaciszu rozważyć kilka kwestii.

–Jakich kwestii, Wasza Książęca Mość? Wiadomości od ciebie?

–Niech cię licho porwie, on wróci, kiedy przemyśli wszystko, jak należy...

–Panie mój, sporo się nad tym zastanawiałem. Myślałem długo i intensywnie. Jeżeli Mauryl zdołał wezwać kogoś z upadającego Althalen, przypuszczasz, że spośród dwóch tysięcy zabitych tam ludzi wybrał któregoś z potulnych kuchcików, którzy obracali rożny? Forma stanowi śmiertelne zagrożenie. Mauryl nie był prawym przyjacielem zarówno Marhanenów, jak i Elwynimów. Służył Sihhijczykom, dopóki nie zwrócił się przeciwko nim wskutek jakiejś swady z podobnymi mu czarodziejami. Zabił własnego króla. Zamknął się później w Ynefel, rozpamiętując bogowie wiedzę, jakie urazy i snując niewiadome plany. A przed śmiercią posłał ci tę Formę o dworskich manierach. Zapytaj go o imię, panie. Każ mu wyjawić swe prawdziwe imię.

–On nie zna swego imienia.

–Można się go domyślić.

Cefwyn zacisnął wargi i starł pot z czoła.

–To tylko twoje domysły. Nic, tylko domysły, Idrysie.

–To Sihhijczyk, panie. Niczego gorszego Mauryl nie mógł ci przysłać.

Książę nie znalazł na to odpowiedzi.

–Żaden tam chłopiec stajenny – dorzucił Idrys. – Żaden pomywacz.

–Czemu zatem zdecydował się na króla półkrólów? Czemu nie wybrał jednego z pięciu pierwszych sihhijskich władców, tych czystej krwi?

–Doprawdy, czemu ich nie wybrał? To dobre pytanie.

Cefwyn poderwał się w zdenerwowaniu z krzesła i wyjrzał za okno, chcąc zająć wzrok czymś mniej drażliwym.

Spacerującymi po gzymsie gołębiami.

–W tym dystrykcie nadal pali się słomiane kukły – rzekł Idrys. – Widziałeś stare symbole na kamieniach granicznych, utrapienie kapłanów?

–Owszem, widziałem. I pamiętam twoje raporty, mości kuku. Mam uszy otwarte.

–Poczytaj kroniki, Wasza Książęca Mość. Sihhijczycy byli łaskawymi władcami. Przynajmniej niektórzy z tych ostatnich. Ostatecznie krew Barrakketha rozrzedziły poślednie domieszki. Nie zjadali dzieci. W rytuałach zamiast jeńców stosowali słomiane kukły...

–Nigdy nie zjadali dzieci. Tę bajeczkę wymyślili quinaltyni.

–Ale czy zawsze na uroczystościach palono kukły ze słomy?

–Tego dziś już się nie dowiemy. Przekazy mogą kłamać. Wiesz, że i mój dziadek miewał swoje humory.

–Elfwyn, jak powiadają, był wielce szlachetnym człowiekiem. Zginął w Althalen, tak jak oni wszyscy. Ostatni sihhijski król. Ostatni z wiedźminich władców.

–W takim razie nie ma się czego bać. Szlachetny człowiek. Sam tak powiedziałeś.

–Wątpliwe nawet, czy za śmierć swoją obwiniał Mauryła. Kto wie, czy jego jedyne z całej dynastii Mauryl nie żałował?

–Gdyby on był Elfwynem, gdyby był Elfwynem...

–W gruncie rzeczy Mauryl pragnął śmierci młodszego brata Elfwyna. Podobnie jak Emuin i wszyscy z tego kręgu. Tak mi opowiadano. Uparli się, że najmłodszy sihijski książę jest czarnym mędrcom, co zapewne oznacza czarnoksiężnika. Oczywiście, sam Mauryl ze swą swiłą nie miał żadnych czarodziejskich ambicji, choć kto by tam wiedział, czego takie ambicje mogłyby dotyczyć. Niemniej książętko zginęło podczas upadku Althalen, tak samo jak Elfwyn i wszyscy, podpisujący się imieniem Sihijczyków, jako że czarodzieje nie mogli uzyskać zbrojnej pomocy Marhanenów i równocześnie zapobiec krwawym jatkom. Ambicje Marhanenów zostały zaspokojone koroną. Elwynimscy doradcy wycofali się, aby ustanowić rządy regencyjne, dopóki sihijscy monarchowie nie powstaną z dymiącego grobu, jak mniemam, i nie zasiądą na tronie w Elwynorze. Ciekawym, czym zadowolili się Mauryl. Wieżę pośrodku puszczy?

–Kto wie, czego Mauryl pragnął lub pożądał? – odparł Cefwyn. – Można by sądzić, że to otrzymał, skoro zostawił nas w spokoju.

–Jeśli jednak wierzyć Elwynimom...

–Nie ma podstaw, aby im wierzyć.

–Nawet w sprawie propozycji małżeństwa?

–Czyżbym ją przyjął?

–Tak czy inaczej, Elwynimi wierzą w powrót sihijskich królów. Jak myślisz, kto im to obiecał?

–Elwynimi nie opierają swoich nadziei na żadnych racjonalnych pobudkach, chcą tylko uprawomocnić panowanie lorda Ilefnianu, człowieka bez kropli królewskiej krwi, tak samo jak pozbawieni jej są wszyscy elwynimscy możnowładcy. Lord z Ilefnianu mianował się regentem, gdyż nie mógł przybrać innego tytułu, z pewnością nie króla czy nawet aethelinga.

–Czyżby w żyłach Marhanenów płynęła czysta, królewska krew?

–Błędnie, mości kruk.

–Co jest błędniństwem dla gminu, u królewskiego doradcy stanowi oznakę lojalności. Spójrz tylko na fakty, Wasza Książęca Mość. Oto Mauryl powołał do życia Formę. Możliwe, że starzec chciał zadośćuczynić za swą zbrodnię, wskrzeszając króla, którego pomógł zamordować, czy to dla zaspokojenia własnych ambicji, czy też ulegając nadmiernej gorliwości twego dziadka. A nuż Mauryl obiecał lordowi Ilefnianu powtórne przyście króla?

–Musiałeś rozmyślać nad tym godzinami. Nie dręczyła cię czasem wypełniona fantazjami bezsenność, mości kruk? Sugeruję chwilkę zapomnienia w łóżku, ona pomoże ci zasnąć.

–Spokojne sny miałbym tylko wtedy, gdyby w tej buntowniczej prowincji księżę raczył zadbać o własne bezpieczeństwo. Wypocząłbym w nocy, gdyby ktoś podał herbatkę z muchomora temu przybłądzie, którego tak serdecznie przyjąłeś. Ty jednak nie chcesz wysłuchać mojej rady, panie.

–Czytałeś tę książkę?

–Znam, Wasza Książęca Mość, historię wszelkich żyjących pretendentów oraz rodów, które należy brać pod uwagę. Teraz wygląda na to, że muszę przestudiować rody już wygasłe.

–A jeśli Mauryl rzeczywiście wskrzesił Elfwyna z sihhijskiej dynastii? Co możesz o nim powiedzieć, poza tym, że królował krótko i skończył tak nieszczęśliwie?

–Słaby to był król, trwonił zasoby skarbcza na budowę kaplic, wspierał uczonych i kapłanów wszelkiej maści i powołania. Już w pierwszym roku panowania stracił trzy miasta na rzecz Chomaggarów, lecz mimo to nadal karmił uczonych, a żołnierzom żałował na buty. Gdyby nie Mauryl Gestaurien, już wcześniej zostałby obalony. Z drugiej strony, gdyby nie Mauryl Gestaurien, mógłby nie zostać obalony nigdy, a Marhanenowie ciągle byłiby królewskimi szambelanami. Na czele rebelii musiał stanąć znamienity wódz. Takim wodzem był twój dziadek. Na nieszczęście dla sihhijskiego monarchy, twój dziadek był jego własnym dowódcą.

–Jakim ty masz nadzieję zostać pod moją komendą? – zapytał Cefwyn, przyglądając się z satysfakcją minie Idrysa. – W wojennej zawierusze na pograniczu?

Idrys uniósł podbródek.

–Mniemam, że służę mądrzejszemu księciu. Ostatni Sihhijczycy pokładali ślepą ufność w Maurylu, wobec czego, mój ufny księżę, bramy otwały się przed ich następcami i wraz ze swoim królem ponieśli straszną śmierć w płonących murach Althalen. A kogóż ty teraz zapraszasz do swego stołu, Wasza Książęca Mość?

–Uprzejmego i grzecznego młodzieńca, z którym się przyjemnie rozmawia, w którego towarzystwie nie czuję się molestowany prośbami, jak w towarzystwie na przykład Heryna, na którego obecność sam w gruncie rzeczy przystałeś.

–Twój dziadek wrzucał sihhijskie dzieci do ognia – przypomniał Idrys – wieszał kobiety i wbijał na pal mężczyzn w wieku powyżej dwudziestu lat w wielkim kręgu wokół murów Althalen. Czy więc Sihhijczyk darzyłby cię miłością, Cefwynie Marhanenie, nawet zza grobu? On nie pamięta tych rzeczy. Nie mógłby pamiętać tych rzeczy przy tym czystym, niewinnym spojrzeniu, jakim na ciebie patrzy. Pomyśl o tym, kiedy najdzie cię ochota komuś nadto zaufać. A całe sprawozdanie znajduje się, gotowym się założyć, w tej księdze, Wasza Książęca Mość. To kronika, nad którą ślęczał twój gość, i chętnie się założę, że jest Sihhijczykiem, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

–Cóż więc mamy uczynić? Cóż uczynić, powiesić nad bramą jego głowę? Nie jestem moim dziadkiem! Nie morduję dzieci! Elfwyn za życia był szlachetnym człowiekiem. Do ostatniego dnia nawiedzał dziadka, który na łożu śmierci przysięgał, że słyszy płacz dzieci. Nie życzę sobie podobnie umierać. Nie życzę sobie jego snów ani jego sumienia. Nigdy nie kładł się spać, jeśli w sypialni nie zapalono gromnicznej świecy.

–Miał spokojne rządy. Bali się go wrogowie. W rezultacie egzekwował niższe podatki niż Elfwyn czy twój ojciec. W Ylesuinie mówi się o jego panowaniu jako o złotej epoce.

–Złotej, bo zbudowanej na sihhijskim złocie. To stąd jego podatki były niższe.

–Nieprzyjaciół wygubił bądź zasiał trwogę w ich sercach.

–Nie chcę być takim królem.

–Wasza Książęca Mość, co się stało«z miniaturą na kości słoniowej?

Kolejny fortel Idrysa. Pokonany na jednym froncie, Idrys wszczynał bój na drugim. I diabli wiedzieli, do czego zmierzał.

–Piękna rzecz – ciągnął Idrys. – Ciągłe masz ją w szkatułce? Wciąż się z nią nie rozstajesz? A może odesłałeś ją ojcu, aby zasięgnąć jego opinii na temat oferty Elwynimów?

–Mój ojciec, jak się doskonale orientujesz, wrzuciłby ją na kupę gnoju.

–Aha. Dlatego ją trzymasz przy sobie? Chcesz zyskać na czasie?

–Nie rozumiem, co to ma wspólnego z moim dziadkiem lub moim gościem.

–Córka na wydaniu, elwynimski król bez męskiego potomka... no tak, regent. Uleman z Elwynoru dostrzega zlatujące się kruki. Wie, że nie ma władzy nad własnymi lordami, którzy skorzy są toczyć z sobą wojny o rękę nadobnej Ninevrise, toteż, hm, oferuje ci córkę, oferuje krwawemu Marhanenowi ostatnie sihhijskie królestwo w zamian za ślub i pozyskanie potomka. Co cię jeszcze powstrzymuje, by skorzystać z tej oferty, Wasza Książęca Mość?

–Dziewięć czaszek nad bramą to za mało?

–No tak, oczywiście, jesteś dziedzicem Ylesuinu. Nie życzysz sobie, by w małżeńskim łożu poczęła się jakaś nikczemna istota.

–Owszem, zaświtała mi podobna myśl.

–I zaświtałaby twojemu ojcu. A także bratu, Efanorowi. Żadna nikczemna latorośl nie zasiądzie na Smoczym Tronie. A mimo to wciąż hołubisz ten obrazek.

–Kunsztowna robota. Piękna twarz. Czemu nie?

–Ciągłe grasz na zwłokę. Zapytując siebie, jak tańszym kosztem można by wysunąć pretensje do tronu Elwynoru.

–To nieprawda!

–Wątpisz, czy Uleman podżegał zamachowców. Sam tak powiedziałaś. Wewnętrzny rozłam. Zagniewani lordowie, zazdrośni konkurenci, zabiegający o rękę lady...

–Ja do niej nie konkuruję, cóż to za brednie! I jak to się ma do Tristena, mości kruku, ha? Widać za bardzo popuszczamy wodze fantazji. A może już zupełnie straciłaś wątek?

–A zatem teraz to „Tristen”, nie zaś „dar Mauryla”?

–Bezczelny kruku. Kruku fruujący na granicy mojej tolerancji. Co ma z nim wspólnego cała ta sprawa zamachowców i Elwynimów?

–Cóż, chodzi o motywy Mauryla. One są źródłem naszych lęków.

–Co? Zabłąkany twór z Wieży Mauryla? Ułomny wysiłek konającego starca? Mauryl miał niby wydobyć sihhijską duszę z miejsca, do którego Sihhijczycy po śmierci odchodzą? Emuin rzekł mi, bym obchodził się z nim delikatnie. Uważam to za najlepszą radę, dlatego wpierw musisz znaleźć twardsze podłoże dla swych obiekcji...

–Mauryl kierował się jakimiś motywami. A król Uleman...

–Żaden król, o czym dobrze wiesz. Do rzeczy.

–Widzę, że sam się domyślasz, Wasza Książęca Mość. W Elwynorze nie ma królów. Są tylko regenci; regent czekający na powrót króla, podobnie jak jego ojciec i dziadek. Czekający na kogo? Na króla zabitego przez twojego dziadka. Chciałbym wiedzieć, jakie związki łączyły Ulemana z Maurylem przed śmiercią czarodzieja oraz co zawierała obietnica, wobec której przez te wszystkie lata Elwynorem władali regenci. Nie byli tacy głupi i uparci, jak nam się wydawało, skoro czekali na coś, co im Mauryl przyrzekł... a teraz dostarczył.

–Dlaczego więc posłał sihhijskiego upióra właśnie do mnie, kruku? Zaczynam się gubić w twoim rozumowaniu.

–Błędy się zdarzają. Mauryl nie żyje, być może Forma obrała niewłaściwą drogę? A może nie? Tylko Mauryl zna prawidłową odpowiedź. Najwyżej jeszcze Uleman.

–W takim razie gubię się w logice Ulemana. Nie rozumiem sensu jego propozycji.

–No cóż, Mauryl jak dotąd nie spełnił danej obietnicy. A nawet jeśli ją spełnił, Uleman nic o tym nie wiedział. Widzi, jak jego królestwo sypie się z braku potomka; gdyby go miał,

Wasza Książęca Mość, nie posyłałby swatów do zażyłego wroga. Jestem pewien, że wstrętą jest mu myśl o Marhanenie w łożu jedynej córki. Ale z tego, co słyszałem, Uleman to uczciwy i ckliwy człowiek, kocha swoją żonę, kocha swoją córkę, a lordowie gryzą wędzidła, chcąc czegoś więcej niżli tylko regencji dla przyszłego króla. Każdy z earłów widzi, w miarę jak starość zbliża się do trzeciego i pozbawionego synów regenta, że małżeństwo z regencką córką (nie ważyłbym się nazywać jej księżniczką) posadzi go na królewskim tronie Elwynoru. Tak oni to widzą. Jeśli wierzyć w przezorność czarodziejów, można by wysunąć wniosek, że na trzeciego z rzędu regenta rzucono urok i że sędziwy Mauryl rozmyślnie zesłał nań bezpłodność, aby, gdy historia właśnie tak się potoczy, mógł przedstawić pretendenta i spełnić swą magiczną obietnicę.

–Na bogów, powinienes być u mnie architektem, nie zaś lordem komendantem mojej gwardii. Cóż za konstrukcja wymysłów i hipotez! Czyż powstaną z niej wieże?

–Nie powinniśmy czasem rozważyć, czy ta Forma Mauryla nie zechce rywalizować o władzę twojego ojca? Czy to nie ona ma być wybrańcem panny młodej? A może pojmie to Uleman, kiedy tylko się dowie o istnieniu Formy? Prześlij Ulemanowi odpowiedź, że zgadzasz się na jego propozycję, a zobaczysz, czy wyśle ci córkę. Sądzę, że wolałby na zięcia martwego Sihhijczyka niż żywego Marhanena.

Cefwyn starał się oddychać wolno, podbródek wsparł na dłoni, łokieć na poręczu krzesła, słuchając, po prostu słuchając i zastanawiając się, czy infantylna Forma Mauryla wie przynajmniej, co zrobić z panną młodą – z Elwynoru bądź skądkolwiek.

Z drugiej strony, Tristenowi nie było też nic wiadomo o koniach, dopóki nie dosiadł ryżej Gery. Tristen jeździł konno – każdy książę marzyłby o równej mu wprawie – dużo lepiej niż on sam, chociaż miał lichego wierzchowca. To bolało, w rzeczywistości dużo bardziej od spodziewanej rywalizacji o rękę córki elwynimskiego regenta, stanowiącej, na miniaturowym wizerunku, jedynie źródło estetycznych wrażeń i przedmiot teoretycznych zainteresowań.

Zainteresowań niewspółmiernie mniejszych w porównaniu z ryzykiem skażenia dynastii Marhanenów domieszką sihhijskiej krwi. Quinaltyni podnieśliby głosy. Quinaltyni powstałoby przeciwko Koronie.

–Niewykluczone – powiedział Idrys – że Mauryl obdarł Formę z rozumu. Ale Mauryl podarował jej książkę, która według mnie nie jest rejestrem domowych wydatków. Forma nie ma nic wspólnego, choćbyś nie wiem jak ją oceniał, z niewinnym chłopcem, jaki się do nas przypadkiem zabłąkał.

–Och, dajże spokój, powierzyłbyś mu ochronę spichrza przed chłopcami z kuchni? A cóż dopiero mówić o władaniu królestwem! Nagle zaczęłaś bać się przekleństw i przepowiedni? Nigdy nie byłeś taki łatwowierny.

–Wasza Książęca Mość – odparł Idrys śmiało – nie wierzyłem w podobne rzeczy. Nie

wierzyłem, że ten sam Mauryl Gestaurien, który zdradził Elfwyna, w podobny sposób zdradził również Galasjenów. Teraz zakładam, że to prawda.

–Na jakiej podstawie?

–Święci bogowie, rozmawiamy i zasiadamy do stołu z Formą, panie, za dnia i po ciemku. Co jest bardziej prawdopodobne? To, że Mauryl jest wciąż tym samym człowiekiem, czy to, że zaprosiłeś dziś na obiad umarłego?

–To trudne pytanie – przyznał ksiązę.

–Nawet jeśli Mauryl pozbawił go rozumu, i tak dzisiejszy Tristen nie jest tym samym młodzieńcem, który zawitał w nasze progi. Potulny chłopaczyna przestał istnieć, Wasza Książęca Mość. Obserwuj go uważnie przy stole. Dużo bezpieczniejszy byłbyś na obiedzie u Heryna. Herynowi przynajmniej nigdy nie ufałeś na tyle, by zamknąć uszy na słowa własnych doradców. Gdybym był łatwowiernym człowiekiem, a w szybkim tempie zacznym wierzyć w coraz więcej rzeczy, powiedziałbym, iż zostałeś opętany.

–Ja oraz elwynimski regent. Po cóż mamy wić się jak piskorze? Jesteśmy skazani, nie możemy wyswobodzić się z zastawionych przez czarodzieja sideł. Jak w to wierzyć, Idrysie? Oglądałem portret Elfwyna, również na kości słoniowej, który mój ojciec dostał w schedzie po dziadku i trzyma w szkatułce razem z innymi bezcennymi ciekawostkami ze skarbca w Althalen. Pamiętam tamtą twarz, w żadnej mierze nieprzypominającą twarzy naszego gościa. Czym w ogóle jest Forma? Jeżeli dusza Zawezwanego jest ta sama, dlaczego nie ciało, które ją okrywa?

–Ponieważ ciało pożarły robaki, panie, a kwestię, czy Forma powinna przypominać okryciem zmarłego, pozostawiam czarodziejom. Ale czyż dusza nie ma jakiegoś wpływu na formowanie się ciała? Bardzo bym się zdziwił, gdyby się okazało, że Tristen był sihhijską królowną. Królem, to prędeż. Królem, którego Elwynimi spodziewają się lada dzień ujrzeć. No dalej, przyjmij ślubną propozycję Elwynimów. Gwarantuję, że żadna panna młoda nie przepływie z drugiego brzegu rzeki.

–Jestem tylko ciekawy, czemu Mauryl nie wysłał go do Elwynoru. Jakim cudem mędrzec umiejący wskrzesić zmarłego tak bardzo rozminął się z celem?

–Być może wcale się nie rozminął.

–Jakże to?

–Aby wprowadzić jak największy zamęt, Wasza Książęca Mość. Jestem przeświadczony, że na wiosnę wydarzą się gorsze rzeczy od tych, jakich byliśmy świadkami w Emwy. Sądzę, że z nastaniem odwilży zaczną powstawać mosty, o ile już się tak nie dzieje, w przeciwnym, bowiem razie radziłbym z większym naciskiem, byś nie wzywał baronów. Niechaj król, twój ojciec, dopatruje się w twoim posunięciu przezorności, czym ono jest w

zasadzie poddyktowane. Ale to tylko przezorność wobec jednego wroga, Wasza Książęca Mość. Najgorszego z nieprzyjaciół ulokowałaś tuż obok własnej sypialni. Nowego, z dawien wyczekiwanego króla, panie. Dobrze się stało, żeś posłał po Emuina.

–Emuin był uczniem Mauryła. – Książę nie miał ochoty wysłuchiwać bajek Idrysa, skoro jednak zaczęły już żeglować mu po głowie myśli, z każdą chwilą rozwijały więcej żagli. – Jak mam ufać Emuinowi, skoro i on może być zamieszany w spisek? Komu powinienem zawierzyć, mości krukowi? Tobie, arbitrowi moich uczuć?

–Nielicznym – odpowiedział Idrys. – Ufaj nielicznym, Wasza Książęca Mość. I tylko tym, których możesz mieć na oku. Prawdę powiadasz: Emuin był uczniem Mauryła.

–Zostaw mnie samego. Muszę przemyśleć sporo spraw i nie chcę, żebyś mi brzęczał za uchem.

Idrys powstał, uklonił się, podszedł do drzwi. W sercu Cefwyna wrzał gniew. Na usta cisnęły mu się słowa małostkowej złośliwości... obcesowe zlekceważenie obaw Idrysa. Niemniej wyrządziłby tym Idrysowi niesprawiedliwość.

Pozwolił żołnierzowi wyjść do przedpokoju: wąska przestrzeń między drzwiami była jego domem. Idrys sypiał tam z mieczem u boku, każdej nocy gotów bronić dziedzica tronu i swego życia, gdyby gwardziści na zewnątrz polegli lub nie dopełnili obowiązków. Nic dziwnego, że wszędzie wietrzył zdradę i wiecznie nękały go wątpliwości.

Książę posłał po Emuina i teraz już musiał tylko czekać, najpierw, by wiadomość dotarła do starego nauczyciela, a później, by Emuin zarzucił swe stare kości na konia i przybył do grodu. Zaczął się zastanawiać, czy naprawdę chce, aby Emuin mieszał się do całej sprawy. Potrzebował czasu, gdyż musiał dokładnie przetrawić słowa Idrysa. Potrzebował czasu, żeby rozważyć w sercu, komu właściwie użyczył gościny pod własnym dachem i w jakiej postawił się sytuacji.

Zdobądź jego miłość, powiedział Emuin. Zdobądź jego miłość.

O bogowie, jak dużo wie Emuin, ile zgaduje lub przewiduje odnośnie do tworu Mauryła? Rodziły się wciąż nowe pytania. Mnóstwo pytań.

Z drugiej strony żałował, że nie ma pod ręką Emuina. Nie mógł jednak powierzyć mu rozwiązania problemu – sam musiał go rozwikłać, i to w taki sposób, aby zachować spokój na pograniczu, jeśli Maurył faktycznie zamierzał zburzyć obecny porządek rzeczy.

Czarodzieje i ich zaklęcia. Podobnie jak Uwen, skłonny był podchodzić z rezerwą do wszelkich domniemanych przejawów magii. Sztukę czarnoksiężników porównywał zawsze z tym, do czego przyzwyczały go znaki czynione przez Emuina lub osoby pokroju spotkanej w Emwy kobiety: barwne widowisko, wykorzystanie przypadkowego podmuchu wiatru, przypisywanie sobie autorstwa każdego naturalnego zdarzenia i naturalnej klęski.

Jeśli dać wiarę słowom Emuina co do tożsamości Tristena – a przecież coraz to nowe umiejętności młodzieńca dowodziły czegoś nienaturalnego, podobnie jak jego maniery świadczyły o osobistej uczciwości – sceptycyzm był nie na miejscu, a rozsądny książę powinien dogłębnie rozpatrzyć, Idrys miał tutaj całkowitą słuszność, nawet gminne klechdy i zabobony, ostrzegające zawczasu, do czego Mauryl był zdolny i jak mógł tego dokonać: czy zaklęcia działały na dużą czy też na małą odległość, i czy potrafiły przybrać na sile nawet po śmierci czarodzieja? Nie ulegało wątpliwości, iż czarnoksiężnik z Ynefel umiał nie tylko leczyć bydło lub błogosławić prośne maciory. Przypuszczalnie łaska Mauryla zapewniała wiosce Capay neth dużo więcej niżli tylko szczęśliwe zbiory.

Łatwiej było nie myśleć o działaniach, do jakich mógłby się uciec mniej łaskawie nastawiony Mauryl. Łatwiej było uważać dar czarodzieja za taki, na jaki wyglądał, a wszystkie zamiary Mauryla – za przyjazne i wielkoduszne.

Zdobądź jego miłość, zaiste, zdobądź jego miłość. Wydawało się, że słowa Emuina pobrzmiwają pobożną terantyńską uczuciowością, lecz w gruncie rzeczy zawierały wyraźną instrukcję czarodzieja.

Rozdział szesnasty

Płowy, przetykany srebrnymi nićmi aksamit, błękitne pończochy, srebrny łańcuszek i para miękkich, brązowych butów: na wieczór, jak wyjaśnili służący, rozkładając szaty. Tristen był w siódmym niebie.

Przysłał je Cefwyn, tak samo jak służących, którzy przynieśli jeszcze inne stroje i inne podarki, łącznie z piękniejszym ubraniem dla Uwena, a wszystko z okazji oczekiwanego zaproszenia na obiad.

–Zbyt strojne jak dla mnie te piórka – ocenił Uwen, kiwając głową. Ogolił się, a służący przyciął jego siwe włosy. – Zerknij ino na to piórko, panie. – Potarł łysinę. Włosy Uwena lśniły blado i srebrzyście od specyfików, jakie zaaplikowali służący; teraz obaj pachnieli wonnymi olejkami i wodą z kąpieli.

Cieszył się, skoro i Uwen był zadowolony. Zachwycaly go miękkość i delikatność materiałów oraz lekkość nowych butów, a kiedy przemierzali salę, był tylko nieznacznie stremowany, tym bardziej, że służba zapewniała, iż o tej właśnie porze książę zasiada do wieczerzy, a stół już czeka zastawiony.

Gwardziści bez zwłoki wpuścili ich do środka – znaleźli się w komnacie przesiąkniętej smakowitymi aromatami i wonią pachnących świec. Na stole w blasku świeczników mieniło się złoto, siedzący w rogu Harfiarz zaczął wygrywać cichą Melodię. Już przy pierwszych dźwiękach Tristenowi objawiły się Słowa – dźwięki poraziły go, przeszły uszy, nappełniły serce, przeniknęły do kości, tak, że stał jak skamieniały, wytrzeszczał oczy i nie ruszał się, dopóki Idrys nie podszedł i nie trącił go w ramię, wskazując miejsce przy stole.

Muzyka wprost go urzekła. Była czymś zupełnie niespodziewanym.

Uklonił się przed Cefwynem, zanim świadomość odpowiedziała mu, że tak właśnie powinien uczynić. Oprzytomniał, spostrzegł, że zwyczajowy brunatny aksamit księcia ustąpił miejsca czerwieni ze złotymi haftami, a nawet stateczna czerń Idrysa jest teraz srebrzyście ozdobionym aksamitem. Muzyka wyostrzyła jego zmysły, zapachy, jaskrawe refleksy na złocie i cudownie kolorowe szkło; słuch, wzrok, powonienie, myśl o dobrych manierach – wszystko nabierało nowego wyrazu.

–Usiądź – nakazał mu Cefwyn, zasiadając u końca stołu, podczas gdy harfiarz pobrzękiwał z cicha; dźwięki płynęły niczym woda, darzyły pieśczętą równą tej, z jaką palce muzyka dotykały strun.

Usiadł. Cefwyn skinął na Idrysa i Uwena, aby dołączyli do nich przy stole. Był tam również Annas, jak też młodzi i starzy służący, którzy nalewali im wina i serwowali dania na talerzykach ze srebra i złota.

Pomiędzy daniami harfiarz raczył ich śpiewem, przy czym śpiewał Słowami Pieśń o pastuszkach i jego owcach, Pieśń o podróżowaniu rzeką oraz o człowieku z dala od domu. Tristen słuchał, zauroczony. Cefwyn opowiadał następnie o koniach i przeszłości Gery, mówił, jak to on sam ma dwa konie, Danvy’ego i Kanwy’ego, jak to na innym pastwisku trzyma Dysa, brata Kanwy’ego, którego kiedyś powinni odwiedzić.

Tak wiele działo się w jednej chwili, tak dużo można było usłyszeć i tak dużo sobie wyobrazić, że Tristen nie miał czasu na jedzenie, aczkolwiek jego zmysły odurzała również fala smaków, słodkich i gorzkich, gorących i zimnych. Nie wiedział już, czego ma słuchać i co oglądać, począwszy od szkła ustawionego na stole i dźwięków harfy, a skończywszy na kilku odcieniach wina i wartkiej rozmowie, w której on też brał udział, dorzucając, co chwila:

„Tak, Wasza Książęca Mość” bądź: „Nie, Wasza Książęca Mość” – idiotyczne, bezradne odpowiedzi na, czego był pewien, wysiłki Cefwyna w celu wciągnięcia go do bardziej otwartej pogawędki.

Nawet Idrys rozmawiał z ożywieniem, nawet on miał wesołą minę i wybuchał śmiechem. Uwen, początkowo nieśmiały, też zaczął się w końcu uśmiechać, a czasem wręcz odzywać. Harfiarz przygrywał do kolejnych pieśni, tym razem pozbawionych słów, radosnych i zabawnych. Wreszcie Cefwyn kazał Annasowi sprzątnąć talerze, a Idrysowi i Uwenowi pozostać przy stole.

–Poczekajcie tu chwilę – powiedział. – Mam z Tristenem kilka spraw do omówienia. Annasie, czegokolwiek sobie zażyczą. Dwóch żołnierzy chętnie spędzi czas nad dzbanem wina... Tristenie, zbliż no się, wychylimy po kielichu.

–Tak, panie – odparł, podążając za Cefwynem do rzędu stojących na uboczu krzeseł, gdzie książę kazał mu usiąść. Annas nadszedł i wręczył mu pucharek z winem różniącym się od

tego, które pił przy stole. Umaczał w nim usta, trzymając kielich oburącz, aby nie dostało się doń więcej wina bez jego wiedzy: nauczył się podchodzić ostrożnie do hojności Cefwyna.

–A zatem – rzekł książę, mając w rękach swój puchar, który trzymał w podobny do Tristena sposób – co słyhać u Gery?

–Skaleczyła się w nogę – odpowiedział Tristen – ale mistrz Haman mówi, że to nic groźnego. Nie powinienem był popędzać jej do tak szybkiego biegu. Bardzo mi przykro, panie. Przykro mi, że odniosła ranę.

–Cieszę się, że nie skręciłeś karku.

–Tak, panie. – Brzmiało to niczym jedno ze stwierdzeń Mauryla, w ślad, za którymi zwykle następowały bury.

–Pamiętasz, jak Uwen zabierał cię na swoje siodło?

–Niezbyt wyraźnie, Wasza Książęca Mość.

–Zdaje się, że rzuciłeś jakiś czar na Uwena. Zarówno on, jak i twoja obstawa dostają stanowczy rozkaz, aby powiadomić mnie, skoro się tylko obudzisz, no i proszę: łążą za tobą tu i tam, do góry i na dół, a moje rozkazy jakby wywietrzały im z głowy! Kazałeś im się tak zachowywać?

–Błagam, abys go nie karał. To wszystko moja wina. Prosił, żebym poczekał. Nie usłuchałem. Próbował mnie złapać. Aleja się uparłem. Naprawdę się uparłem. Nie wiedziałem nic o twoim rozkazie. Ale wiedziałem, że będzie chciał mnie złapać, bo wychodziłem na zewnątrz. Wiem, że źle postąpiłem.

Cefwyn uniósł czoło. Przez dłuższy czas wpatrywał się w młodzieńca.

–Wiesz chyba, że Uwen wypełnia twoje rozkazy tak samo, jak moje?

–Wiem, panie.

–A mimo to jesteś mu posłuszny, co?

–Jest moim strażnikiem, prawda, panie?

–Jest twoim służącym. – Cefwyn machnął ręką, mając już dość tej kwestii. – Dziś rano postanowił przyrzec ci posłuszeństwo, wobec czego zezwalam mu złożyć ci przysięgę wierności, a potem możesz nim rozporządzać na dobre i na złe... Wodziłeś nas dziś za nos, wybiegłeś na dziedziniec, później zaś uciekłeś do archiwum, gdzie odszukałeś książkę. Doprawdy, nie spodziewałem się w takim miejscu znaleźć młodego człowieka w

towarzystwie żołnierzy.

A więc to nie były zwyczajne pytania. Tristen pragnął znaleźć się z powrotem w swoim pokoju, w swoim dawnym pokoju, nie w tej olbrzymiej komnacie naprzeciwko apartamentów Cefwyna. Domyślał się, że wpędził Uwena w tarapaty.

–Czyżbym cię uraził? – zapytał księżę. – Dlaczego poszedłeś do archiwum, dlaczego wybrałeś właśnie to miejsce? Czemu cię tam ciągnęło, a nie, weźmy na to, do ogrodu czy gdziekolwiek, gdzie zwykłeś przebywać?

–Chciałem... – Czuł, jak ogarnia go coraz większy strach. – Chciałem dowiedzieć się czegoś o Althalen.

–Dlaczego?

Z trudem się wysławiał. Wcześniej nie zdołał wyjaśnić tego Uwenowi. Teraz przynajmniej spróbował wytłumaczyć się przed Cefwynem.

–To Nazwa, panie. Wiem o tym. Zapytałem archiwistę, czy mógłbym dostać coś na temat Althalen. Wtedy on dał mi tę książkę. Popełniłem coś złego?

–Niczego złego w tym nie było. Ale być może szukałeś czegoś innego. Bo to jest historia mojego dziadka. Wiedziałaś o tym?

–Nie, Wasza Księżęca Mość.

–Nazywam się Cefwyn Marhanen. Czy to ci coś mówi?

–Nie, panie. – Nie mówiło. – Tyle tylko, że masz dwa imiona.

–Elfwyn. Znasz to imię?

–Tego imienia także nie znam, panie.

–Sihhe?

–Ludzie mówią, że jestem Sihhijczykiem.

–To prawda?

–Czytałem... – We wszystkich tych pytaniach wyczuwał, że chodzi tu o coś znacznie ważniejszego i donioślejszego od zwyczajnego zaspokojenia ciekawości Cefwyna. Zaczął podejrzewać, iż cały ten wieczór został tak przygotowany, ażeby doprowadzić do owego osobliwego łańcucha Nazw i Słów. – W tej książce przeczytałem, że Sihhijczycy byli okrutnymi czarodziejami. To Nazwa, panie, ale jej nie rozumiem, nie umiem jej rozwikłać. Mauryl był czarodziejem, ale nie był nigdy okrutny. Mówił, że mam być uprzejmy, że

powiniennem brać pod uwagę życzenia innych ludzi, że nie wolno mi dotykać niczego, co do mnie nie należy. Nie sądzę, aby to prowadziło do okrucieństwa, panie.

–Chyba masz rację. – Pociągnawszy łyk wina, Cefwyn popatrzył na Tristena uważniej i nie spuszczał zeń wzroku, sprawiając wrażenie dziwnie zakłopotanego. – To Mauryl wyniósł do władzy sihhijskich królów. Słyszałeś o tym? Sądzisz, że to może być prawda?

–Ja... nie wiem, panie.

–Ale to ci nie przeszkadza?

–Nie rozumiem, dlaczego by miało mi przeszkadzać, panie.

–Czyżbyś niczego nie pamiętał? Przecież sam mi mówiłeś, że słyszysz nazwy i je rozpoznajesz.

–To prawda. Ale niektóre Słowa... za każdym razem nic dla mnie nie znaczą, aż nagle, pewnego dnia, w pewien sposób, odsłaniają się.

–Odsłaniają.

–Tak, panie.

–A czy słowo „Sihhe” odsłoniło ci się już kiedyś?

–Ono... – Czuł się niepewny. To Słowo leżało poza zasięgiem. Zdawał sobie sprawę z jego obecności, tej Nazwy, i że posiadał jej część, ale nie całość. – Myślę, że mógłbym być Sihhijczykiem. Ludzie w ogrodzie często tak o mnie mówią.

–Wobec tego im wierzysz?

–Nie, panie. Nie wiem, co to oznacza. Czy księgi mogą się mylić?

–Mogą zawierać wierutne bujdy. I prowadzić ludzi na manowce.

–Jak kłamstwa.

–Albo popełniane błędy.

–Ja popełniam błędy. Popełniam ich o wiele za dużo. Tak powiedział Mauryl. Wciąż je popełniam. Nie gniewaj się na Uwena.

–Powiadasz, żeś nie jest czarodziejem.

–Nie, panie. Nie jestem.

–Kimże więc chciałbyś zostać? Gdyby dano ci wybór, kim chciałbyś być w przyszłości? Księciem? Królem?

–Tak naprawdę, panie... chyba wolałbym zostać Hamanem.

Cefwyn słuchał z podbródkiem wspartym na rękę. Zakrzywiony palec spoczął na wargach, niemal doskonale maskując ochotę do śmiechu.

–Jesteś kimś niezwykłym – przyznał w końcu. – Wolałbyś zostać koniuszym?

–Palnąłem jakieś głupstwo.

–Ale byłeś szczery. Potrafisz już czytać tę twoją książkę? Tę, którą dostałeś od Mauryla?

–Nie, Wasza Książęca Mość, nie potrafię. Próbowałem dziś po południu. Ale nie potrafię.

–Uważasz się za mojego Przyjaciela, Tristenie? To było Słowo, ciepłe i dobre.

–Tak, Wasza Książęca Mość, jeśli łaska.

–Miałeś kiedyś jakieś imię oprócz tego, które nadał ci Mauryl?

–Nic mi o tym nie wiadomo, panie. – Słyszał bicie własnego serca. Poczuli się nagle zmęczony, niezwykle zmęczony; ogarnęła go senność, chociaż jeszcze przed chwilą sen był ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

–Powiedz mi, Tristenie, dlaczego przyszedłeś akurat do Henas'amef, a nie, załóżmy, do Emwy?

–Droga wydała mi się właściwa.

–Wciąż ci się taka wydaje?

–Chyba tak, panie.

–Mogłeś mieszkać w Althalen, zanim zawezwał cię Mauryl. Rzekłbym nawet, iż to wielce prawdopodobne. W Althalen zginęły setki Sihhijczyków. Także Elfwyn tam poległ. Mauryl i Emuin byli tam wówczas, aby wspomóc mojego dziadka, Selwyna Marhanena, w walce o tron Ylesuinu. Zabili Elfwyna, jego królową oraz wszystkich Sihhijczyków, wyłapywanych przez kolejne trzy lata. Czy to cię nie dziwi?

Bał się. Wolałby rozmawiać z Cefwynem na inny temat.

–Nic o tym nie słyszałem, panie. Nic.

–Wybuchł pożar. Stolicę Althalen pochłonęły płomienie. A ty poczułeś dym, kiedyśmy tam

zajechali. Przypomniałeś sobie, jak się jeździ konno. Z pewnością byłeś niegdyś jeźdźcem, i to przedniej marki. Wyglądasz na uczonego, znawcę literatury i filozofii. Twoje maniery znamionują szlacheckie urodzenie. Mówisz z akcentem rodowitych Amefińczyków, choć z drugiej strony to Mauryl nauczył cię mówić, mam rację?

–Tak, panie – odparł Tristen. Gubił się w domysłach, w istnym natłoku domysłów, które utrudniały śledzenie różnorodnych wątków Cefwyna.

–Mój ojciec jest królem – stwierdził książę. – Ja będę nim w przyszłości. Zamiar, jaki przyświecał Maurylowi, gdy cię tu wysyłał, jest dla mnie wielką niewiadomą. Niejeden z mieszkańców tej prowincji przyjąłby moją śmierć z radością. A czy ucieszyłaby cię? Albo sprostuje: czy ucieszyłaby Mauryła?

–Nie, panie. – Z trudem łapał oddech. – Wątpię, czy by go ucieszyła.

–Ten medalion, który ci dałem. Nadal go nosisz?

–Tak, panie. – Tristen poczuł jego dotyk na ciele. – Pragniesz go z powrotem, Wasza Książęca Mość? Nie wiedziałem...

–Nie, nie, noś go sobie. Noś go każdego dnia. Pozwól, że pokażę ci inny. – Obok krzesła Cefwyna stał niewielki stolik; książę sięgnął doń po biały medalion na złotym łańcuszku z nanizanymi perłami. Pochylił się, aby młodzieniec przyjrzał się uważniej. – To Ninevrise. Czy Mauryl kiedykolwiek wypowiedział to imię?

–Nie, panie. Ani razu. – Czubkami palców dotknął powierzchni medalionu. Wpatrywał się w piękne, nieznane mu oblicze. Patrzył na nie z przyjemnością. – Ma miłą twarz.

Cefwyn odchylił się do tyłu i odłożył medalion na blat stolika.

–Jej ojciec jest regentem Elwynoru. Proponuje mi, żebym wziął z nią Ślub.

Poślubić. Ślub. Mąż. Żona. Łóżko. Dzieci.

–Czy ją Poślubisz? – zapytał.

–Brałem to pod uwagę. Napadnięto na nas w Emwy, w całym dystrykcie pachnie rewoltą, a wszystko być może, dlatego, że co poniektórzy Elwynimi są przeciwni naszemu związkowi. Choć mogą to być, co poniektórzy Amefińczycy.

–A czy pragniesz ją poślubić?

Cefwyn uniósł nieznacznie brwi i upił nieco wina.

–Niejedne zęby zgrzytnęłyby ze złości. Zrozum, lordowie nie żenią się z miłości, tylko po to, aby mógł ktoś po nich dziedziczyć. A dziedzic zarówno Elwynoru, jak i Ylesuinu... miałby

ogromną władzę.

Pajęczyna Słów. I pojęć. Tristen słuchał.

–Jednocześnie – ciągnął Cefwyn – aby księżę mógł długo i spokojnie sprawować rządu, potrzebna mu jest pewna grupa lojalnych, godnych zaufania lordów. Czyż sam nie powiedziałeś, Tristenie, że chcesz być moim przyjacielem? Chcesz więc bronić mnie przed nieprzyjaciółmi?

–Tak, panie.

–Złożyłbyś na to Przysięgę w obliczu świadków?

Przysięga stanowiła Słowo związane z bogami, rozerwane pomiędzy Prawdą, Kłamstwem a składaniem uroczystych obietnic. Pojęcie to zawierało się w szerszych ramach, znacznie szerszych, niektóre wątki nikły gdzieś w ciemnościach, dając wyobrażenie ogromu zagadnienia. Sprawa wydawała się całkowicie uzasadniona: oczywiście, będzie bronił Cefwyna, jeśli ktoś spróbuje zrobić mu krzywdę.

–Tak – odparł, ku wielkiemu zadowoleniu księcia.

Cefwyn jakby pozbył się troski, z którą początkowo zadawał pytania.

–Słyszysz? – zapytał gromko Idrysa gawędzącego z Uwenem przy stole. – Słyszysz, Idrysie? On przysięgnie bronić dziedzica Ylesuinu.

Idrys podniósł się od stołu. Również Uwen. Tristen wstał, idąc za przykładem Cefwyna. Nie przypuszczał, by jego deklaracja miała aż tak doniosłe znaczenie, niemniej Cefwyn był odmiennego zdania, a Idrys zmarszczył czoło i nie sprawiał wrażenia zanadto uszczęśliwionego obrotem sprawy.

–A czy dotrzyma przyrzeczenia? – powątpiewał. – Potrafisz dotrzymać przyrzeczenia, mości czarowniku?

–Nie jestem czarownikiem – odparł Tristen. – I wiem, panie, co to słowo oznacza.

Cefwyn podszedł do stołu, gdzie umaczał pióro w kałamarzu i napisał coś w pośpiechu na pergaminie. Tristen podszedł bliżej, aby się przypatrzeć, jak księżę topi nad świecą воск do pieczętowania i wylewa nieco na pergamin. Potem została odcisnięta pieczęć.

–Wezwijcie Margolis – rozkazał Cefwyn. – Ona umie trzymać język za zębami. Trzeba się pośpieszyć. Tristen zgodził się złożyć mi przysięgę wierności. – Księżę przeniósł wzrok na młodzieńca. – Ty zaś odtąd będziesz miał imię, pod warunkiem uzyskania przyzwolenia od mojego ojca, którego, jak sądzę, nie odmówi. Z mego nadania włości Ynefel oraz Althalen mają nowego pana. W posiadanie obejmuje je Tristen, jedyny i niekwestionowany

spadkobierca Mauryła. Oba dobra znajdują się w granicach mojej jurysdykcji. Nadanie uważa się za prawomocne zaraz po udzieleniu zgody przez króla.

–Nie wiem tylko, czy quinaltyni zgodzą się dać błogosławieństwo – zauważył Idrys. – A może najmiesz wiedźmę z Emwy?

–Ich wzburzenie, jak każde zresztą, wnet minie, mości kruk, natomiast amefińscy rebelianci, a także Elwynimi, dostaną nowy orzech do zgryzienia. Niech mnie licho porwie, dostaną!

–Panie mój – zaprotestował Tristen, oszołomiony ową debatą nad jego losami i pochlebnią opinią osób, których w ogóle nie znał.

Cefwyn jednakże położył mu rękę na ramieniu i serdecznie go uściśnął, podobnie jak mógł to uczynić Maurył, co wywarło na nim piorunujące wrażenie, poruszyło serce i zmaćło myśli.

–Będziesz stał po mojej stronie – rzekł Cefwyn. – To mój przyjaciel, mości kruk. Emuin przykazał mi, abym go dobrze traktował, i tak go właśnie traktuję. Oto lord strażnik Ynefel, marszałek wielki Althalen, Tristen aetheling, uprawniony do herbu, godła i honorów stąd wynikających.

–Ho, ho, Aswyddowie będą wniebowzięci – zakpił Idrys.

–Zamilcz, kruk. Margolis zadba o detale. Czekają pracowita noc... Tristenie – Cefwyn po raz drugi uściśnął ramię młodzieńca – przydzielę ci służbę, jaka ci się z rangi należy. A ty, Uwenie...

–Panie.

–...dołożysz wszelkich niezbędnych starań, aby to była gueleńska służba. Żadnych Amefińczyków, włączonych przez nieuwagę. I ani słowa o tym, co tu postanowiono. Nikomu. Baczcie, by was nikt nie podsłuchał. Poza tym nie ruszajcie się nigdzie bez wystarczającej straży. Niektórzy będą mocno wzburzeni. Idźcie już, dobrej nocy, dobrego odpoczynku... Uwenie, zwalniam cię z przyrzeczenia wiążącego cię bezpośrednio z moją osobą, ale zostaniesz w gwardii. Przydzielam cię do posiadłości Tristena; bogowie świadkami, będziesz tam potrzebny. Przyrzekniesz mu wierność i niech bogowie mają was w opiece... Tristenie, noś na szyi dzień i noc ów medal, który ci dałem.

–Tak, Wasza Książęca Mość. – Tristen uklonił się najgrzeczniej jak potrafił. – Dziękuję. – Z kolei Uwen złożył ukłon, a potem otworzył drzwi i wyszedł z Tristenem do foyer.

Wewnętrzne drzwi zatrzasnęły się za Tristenem i jego sługą, a niebawem zamknęły się też drzwi zewnętrzne – znak, że nastąpiła chwila prywatności.

Będąc wreszcie sam na sam z Idrysem, Cefwyn spojrzał w jego stronę, by napotkać pusty

wyraz twarzy, czyli dokładnie taki, jakiego się spodziewał.

–Cóż powiesz? – zagał.

–Nie kwestionuję decyzji księcia pana – odparł Idrys spokojnie.

–Tylko jego rozum.

–I to nie, Wasza Książęca Mość. Uważam to za sprytne posunięcie. Wręcz bezlitosne posunięcie. Zdziwiasz mnie. Aswyddowie i Elwynimi złajani jednym smagnięciem... Zamierzasz mu oddać także wizerunek panny młodej?

–Słyszałeś, co mówił. Rozumie znaczenie obietnicy. Przekonałeś się chyba, że nie żywi względem mnie żadnych wrogich zamiarów.

–Wątpię, czy dostrzega prawdziwe znaczenie przysięgi.

–Gdy coś przyrzeka, czuje się bardziej zobligowany niż Heryn Aswydd, zasiadający na stosie świętych relikwii.

–Zaprawdę, mój książę, gotów jestem przedłożyć jego najłżejsze słowo nad solenne przyrzeczenie Heryna, jeśli ma świadomość znaczenia, choć jednego z wypowiedzianych przez siebie zdań. Kto wie, może będzie ci wiernie służył. Ale on jest teraz zupełnie bezbronny, Wasza Książęca Mość. Włóż go jako zbroję, a coś się przedrze, poprzez niego, do twojego serca. On wciąż należy do Mauryła. Moja rada jest taka: zaczekaj na Emuina i nie zwalnij ze służby Uwena Lewen's-sona. Nazbyt polubił rękodzieło Mauryła. Bacz, by ostrze nie odwróciło się w twej dłoni.

–Jeżeli Emuin nie będzie marudzić i wróci do nas w pośpiechu, zasięgnę jego opinii, niemniej lordowie z południa zapytają, i to wkrótce, jaką pozycję piastuje przy mnie Tristen, a ja będę musiał coś im odpowiedzieć.

–Zamierzasz wywiesić jego proporzec? Herbu, jaki mu przyznałeś, z rozkazu króla nie wolno pokazywać, nie wolno wywieszać, a już zwłaszcza tutaj, w Amefel.

–Wywiesza się go w całej prowincji.

–W wiejskich obejściach! Nie pod tym dachem! Nie z honorowego nadania księcia!

–To obiecany król. To król, którego wyczekują Elwynimi, zgodnie z twoją własną teorią.

–To Sihhijczyk. Jakkolwiek łaskawy i potulny mógł być Elfwyn, nie wszyscy z jego dynastii grzeszyli dobrymi manierami: wielkie nieba, Wasza Książęca Mość, spośród pięciu legendarnych sihhijskich władców Harosyn cisnął ojca na stos pogrzebowy matki, Sarynan szczał swych braci niczym sarny w lesie. Barrakketh wmurowywał wrogów żywcem w

ściany Ynefel, a syn jego, Ashyel, uzupełnił kolekcję o pół tuzina mniej przychylnych mu lordów, między innymi o przodka z rodu Marhanenów, który tym jeno przewinił, że na polowaniu zajechał królowi drogę. Tak powiadają. Nie widziałem twarzy, ale mieszkańcy Olmernu przysięgają, jakoby takie istniały, a nawet poruszały się od czasu do czasu. Ostatnimi dniami z dużo mniejszym dystansem podchodzę do miejscowych pogłosek niż w dniu mego przybycia do tej zacofanej prowincji. Chętnie widziałbym cię na dworze w Guelemarze, Wasza Książęca Mość, bez elwynimskiej małżonki, bez czarodzieja w roli nauczyciela, a już w szczególności bez przyjaciela z roszczeniami do sihijskiego tronu.

–Emuin kazał mi zdobyć jego miłość.

–Mistrz Emuin jest nieobecny, więc cóż nam po jego radach? Mistrz Emuin nie może zobaczyć bezpośrednich skutków swoich rad. Miłość nie zapobiegła sihijskim wybrykom.

–Czarny jedwab dla pani Margolis. Czarny jedwab i biały. Srebrne nici. Ufam, że znajdą się takie w przepaścistych składach Zeide.

–Panie mój, zgodziłem się na ten szalony plan. Ale herbu, który mu przyznałeś, nie wolno pokazywać, chyba, że za królewską dyspensą.

–Sam jej udzielam. W tej prowincji to ja jestem głosem mojego ojca, niech nikt o tym nie zapomina.

–Zanim wywieszisz w Henas'amef sihijski proporzec, poślij gońców do ojca. Choćby to był najlepszy z planów, nie jesteś królem. Być może on zaaprobuje twój plan, ale postąpisz o wiele roztropniej, jeśli nie będziesz polegał li tylko na własnym osądzie. To prawda, sprawujesz władzę z ramienia króla, nie wąż się jednak łamać zakazu swego dziadka.

–Nie mogę wszakże stracić prowincji. Zapytaj mego ojca, co mu bardziej odpowiada.

–O czym my tu mówimy, Wasza Książęca Mość? Daleko nam do takiego dylematu, mamy w odwodzie jeszcze sporo środków.

–A więc jeszcze dziś wieczór poślę do niego z moją radą. Powiem, że jestem przeświadczony o jego poparciu i że to uspokoi pogranicze, pomoże mi wypełnić powierzone mi przezeń zadanie. Wiem, quinaltyni zaczną brzęczeć koło niego niby rój rozjuszonych pszczoł, obiegną go, zanim zdąży przemyśleć całą sprawę. Ale po to oddał mi we władanie tę prowincję, ażebym uporał się z każdym zagrożeniem. Zakładam, iż uwzględnią to werbowanie wojsk do jej obrony.

–Nie jestem pewien, czy obejmuje unieważnienie królewskiego dekretu.

–Będzie nosił godło Ynefel.

–Lepiej już ozdób go feniksem. Dodasz mu również koronę?

–Szwankujesz na umyśle, mój panie.

–Wiem, co mówię. Radzę, nie zaskakuj ojca w tej sprawie.

–Masz ponaglić Margolis. Powiedz jej, że to pilne zlecenie. Powiedz, że jeśli mnie zdradzi, ona bądź któraś z jej służek, wszystkie powydaję za Hamanowych łotrzyków. Zajmij się tym.

–Wiadomość – rzekł Idrys. – Do miłościwie nam panującego króla, Wasza Książęca Mość.

–Mości kruku, nadużywasz mej cierpliwości.

–Z rozkazu twojego ojca, Wasza Książęca Mość. List.

Cefwyn podszedł do stołu i napisał:

Najłaskawszy Panie i drogi ojcze, wymogiem za radą Emuina przysięgę wierności od króla, którego wypatrują Elwynimi, nadając mu zarazem tytuły, ziemie i prawo wywieszenia własnego proporca. Proszę, byś mi zaufał wbrew jakimkolwiek raportom i wiedział, iż darzę cię synowską miłością oraz pozostaję lojalny.

Ów list również zalał woskiem i przypieczętował sygnetem.

–Nie wiem, co chcesz dzięki temu uzyskać. Mogą mu się nie spodobać moje sukcesy. Ale niech ci będzie, mości kruku. Kto wie, czy nie rozczaruję go boleśnie, odnosząc zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, zamiast po prostu zginąć.

–On nie jest twoim wrogiem, Wasza Książęca Mość. Nie jest głupcem, aby pozbywać się własnego spadkobiercy.

–To tylko czcza gadanina. Nie jestem jego ulubionym synem. – Opadł na krzesło przy stole i rozpostarł zwiniętą wiadomość. – Kiedy to do niego dotrze, wszystko będzie już jasne: miałem rację, czy też popełniłem fatalną pomyłkę.

Wśród dyrygowanych przez Uwena służących i gwardzistów panowało zamieszanie, a przy ciemnym oknie sypialni – za którego falistymi szybami widniały szare dachóweczki – stał Tristen, wyszukując na szkle nowe faktury, przyglądając się nieznanym kształtom powstającym na ścianie w blasku świecy.

Czeladź. Jedwabie i aksamity. Myślał o gołębiach, które – błakając się po gzymsie piętro wyżej, z drugiej strony budynku – musiały tęsknić za okruszynami chleba, które im niegdyś sypał. Było mu ich żal. Pocieszał się myślą, że dadzą dowód swej inteligencji i odszukają jego nowe okno. Wyglądało na to, iż wciąż się przeprowadza, wciąż szuka nowego łóżka, nowego okna, nowego miejsca w życiu – pędzącym z prędkością uniemożliwiającą zaplanowanie lub zrobienie czegokolwiek, oddanie się jakimkolwiek nadziejom.

Niemniej dziś wieczór Cefwyn nazwał go przyjacielem. Cefwyn uściskał go, nie tak chłodno, jak Emuin, ale z serdecznością, której dawniej dawał wyraz Mauryl; a już się bał, że nikt tego nigdy nie zrobi.

Cefwyn nabił mu głowę Słowami i Nazwami, opowiadał o zasadach postępowania, zupełnie jak niegdyś Mauryl. I tak jak on, Cefwyn wymagał posłuszeństwa. W ciągu godziny świat niejako cofnął się do jednego z tych minionych, przyjemniejszych wieczorów, kiedy ściany nie były śnieżnobiałe, odpychające blask świec, kiedy w zakurzonych pomieszczeniach czuło się zaduch, pióro Mau-ryla skrobało po pergaminie głośniej od trzasku ognia w kominku, a sam czarodziej przytaczał Słowa zaczynające wręcz dźwięczeć w powietrzu.

Ale później, później: „Idź już spać, chłopcze” – zwykł mawiać Mauryl, a on zabierał wtedy świecę. Mauryl posyłał go na górę, gdzie miał pozapalać wszystkie świece na galeriach; w takich chwilach zdawało się, że twarze poruszają się albo zmieniają. Przysięgnij, rzekł Cefwyn i wymienił nic na razie niemówiące Nazwy, choć mogły przemówić w przyszłości na podobieństwo tych wszystkich pojęć, które” zbliżały się doń i zbliżały, by wreszcie odsłonić swe bogate wnętrza.

Cefwyn wymienił Nazwy i wypowiedział Słowa, które kłębiły się w nic zabezpieczonej okiennicami ciemności komnaty.

Otworzyły się drzwi, być może czeladź opuszczała sypialnię; płomyki świec zamrugały, a Cienie wpełzły w szczeliny biegnące wzdłuż futryn okna z czarnymi szybami, potem w szczeliny między kamieniami. Nie znał żadnych zaklęć pozwalających Maurylowi powstrzymać ich napór. Był wobec nich bezbronny, chroniły go zaledwie świece i zasuwka okna.

Zawsze sądził, iż świece zapalane z polecenia Mauryla stanowiły jego ochronę. Ale tu nie było czarodzieja. Teraz już wiedział, że – oplatająca każdy kamień w Ynefel – moc Mauryla zapewniała mu bezpieczeństwo i odzegnowała Cienie. Tutaj ta moc nie istniała. A wszystko ulegało tak szybkim przemianom.

–Emuinie – rzekł, sięgając ku szaremu miejscu. – Emuinie, jesteś mi potrzebny.

Widział przed sobą blady punkt w szarości, usiłował podążyć w jego kierunku. Na barkach spoczął mu ciężar, zimny i przytłaczający, przez co poznał, że ktoś jest tuż za nim. Wiedział, iż Cienie biegają z kąta w kąt, szydząc z jego potknięć.

–Emuinie, Cefwyn nazywa mnie swoim przyjacielem. Prosi mnie, bym go bronił. Chętnie będę to robić. Ale to inni muszą bronić mnie, tak się zawsze składa. Chciałbym wiedzieć, jak właściwie wykonać rzeczy, które powinienem wykonać, mistrzu Emuinie. I nie umiem zabezpieczyć tego pomieszczenia. – Miał nadzieję uzyskać odpowiedź. Żadna nie nadeszła. Spróbował ponownie. – Na pytania Cefwyna udzielam niemądrych odpowiedzi, mistrzu Emuinie. No i ciągle nie potrafię przeczytać Książki. Ciągle nie wiem, czego Mauryl ode

mnie wymagał. Miałem Sowę za przewodnika, ale ją zgubiłem. Chciałbym, żebyś nauczył mnie, jak być mądrzejszym... Czy nie mógłbyś, panie, odpowiedzieć mi... chociaż raz?

Poczuł skierowaną na siebie uwagę. Emuin znajdował się bardzo daleko i ślęczał nad książkami, nad całą górą książek. Jak Mauryl. Jak Mauryl, Emuin poszukiwał czegoś, o czym zapomniał. I Emuin nareszcie go zauważył.

–Wracaj natychmiast, chłopcze! – polecił głos Emuina; coś mniej przyjaznego zaczęło przemykać w szarości. – To już nie jest bezpieczne miejsce. Wystrzegaj się ciemnych zakamarków. Nigdy nie wracaj do starego pałacu. Tam leżą jego szczątki. I on cię widzi. Widzi cię, chłopcze! Odejdź już!

Uciekł za radą Emuina. Cienie ruszyły nań ławą, niemal go dopadły, a głos nienależący ani do Emuina, ani do Mauryła, rozbrzmiał łagodnie:

–Ach, tutaj jesteś. Zamieniłeś pokoje, hę?

Uciekł z szarego miejsca, powrócił roztrzęsiony do komnaty i okna.

Z jakiejś przyczyny zadrżała klamka. Zgrzytnęła, aczkolwiek bardzo cicho.

I znieruchomiła; czyżby go oczy zawiodły?

Serce kołatało mu w piersi. Ręce i twarz lepiły się od potu. Zauważył, że cisza panuje w sąsiednim pomieszczeniu, skąd przed chwilą przez uchylone drzwi wpadały do sypialni głosy Uwena rozmawiającego z nowo przyjętymi służącymi. Ruszył w stronę wyjścia, lecz ze względu na zawroty głowy osunął się na najbliższe krzesło i zakrył twarz rękami, walcząc z owym szarym światłem, które niestrudzenie usiłowało zagnieździć się w jego umyśle.

Usłyszał kroki Uwena.

–Panie – zapytał Uwen, przyklękając obok niego – cosik ci dolega?

–Zimno mi, Uwenie.

–W jedwabnej koszulinie można zmarznąć jak diabli na przeciągu, panie. Już ja wolę płócienne. Proszę, chłopcze. – Uwen powstał i oto z chłodnym podmuchem powietrza narzuta na łóżko, jak Tristen przypuszczał, opadła z szelestem na jego ramiona. Uwen zebrał ją pod brodą młodzieńca i pokazał mu, jak ma ją trzymać. – Otul się tym, panie, a ja łóżko zaścielę. Nie trza do tego służących.

–Uwenie, zapal więcej świec. Nie chcę, żeby tu było ciemno.

–Tak, panie. – Uwen zarzucił na łóżko pościel, przy czym znów zawiało chłodnym powietrzem, a następnie ją wygładził, wziął jedyny płonący stoczek i obszedł z nim całe

pomieszczenie, zapalając wszystkie świece, zmuszając Cienie do ustąpienia. Potem wrócił i opadł na kolano.

–Załatwione. Już ci lepiej, panie?

–Cefwyn nadał mi Ynefel. Nazywa mnie przyjacielem. Słyszałeś?

Ściągnęła się pokryta szramami twarz Uwena.

–Jego Wysokość może dysponować włościami swoimi jako zechce, panie.

–Powiedz mi, Uwenie, czy ludzie czują strach przed Ynefel? A może przed Maurylem lub przede mną?

–Nie wiem, panie. Ynefel nie cieszy się dobrą reputacją. Lud w tych stronach przesądny wielce.

–Odejdź – powiedział wreszcie Tristen. – Odejdź, Uwenie, jeśli się mnie lękasz.

Uwen podniósł wzrok, w strachu przed nim, tego był pewien, a także z jakimś dodatkowym wyrazem, który czasem gościł na twarzy Mauryla. Lecz Uwen spochmurniał i wrażenie prysło.

–Żadnemu człowiekowi pomocy jeszcze nie odmówił, a cóż dopiero takiemu jak ty morowemu chłopakowi, panie.

–Nie musisz uciekać, Uwenie. Możesz zwyczajnie dołączyć do pozostałych gwardzistów, robić to, co oni.

–Zostaję i basta. Starczy już tych głupstw, panie. Spać pora.

–Nie. – Zacisnął pięści przed ustami. Wspomniął na małą bliznę i potarł ją kciukiem, wlepiając wzrok w płonące świece. Pojawiła się przed nim twarz podobna do jego twarzy, przyćmiona, lustrzana, jakby stanowiła odbicie na brązie. Jeszcze mocniej zacisnął powieki, a gdy otworzył oczy, wizja się rozwiąła. – Uwenie, Cefwyn wierzy, że jestem Sihhijczykiem.

–Tako ludzie gadają.

–Co to oznacza, Uwenie?

–Żeś ze starego rodu, panie. Rodu czarnoksiężników.

–To nieprawda. Szkoda, że nie mogę tego, co mógł Mauryl. Ale Mauryl zaginał, a Emuin mnie opuścił i drży ze strachu. Uwenie, tylko ciebie mogę zapytać. Czym jest Althalen i co o mnie myśli Cefwyn? Czemu Idrys zarzuca mi kłamstwo? Czemu Cefwyn pyta mnie bez końca o różne Nazwy? Czemu opowiada o zabijaniu i paleniu? Czemu chce, Uwenie, bym

zaprzysiągł mu przyjaźń i bronił go, skoro uważa mnie za kogoś, kogo nie lubi?

Oblicze Uwena pokryło się szarością. Przysunął do warg wyciągnięty spod koszuli amulet.

–Lękam się, panie, że źle ci życzą niektórzy ludzie. Nie twierdzę, by Cefwyn też ci źle życzył, atoli inni... Przed innymi miej się na baczności.

–Tak sądzisz? Ale ja naprawdę chcę zaprzysiąc mu przyjaźń! Muszę to zrobić. Cefwyn jest moim księciem panem i muszę spełniać jego wolę, czyż nie?

–Tak, panie – mruknął Uwen. – Co racja, to racja. Lecz ani mi, ani tobie nic nie wiadomo, co im po łbie chodzi. Wątpię, czy księżę pan pozwolenie ma od swego ojca, króla, na to, co zrobił. Król się o wszystkim dowie, rzecz pewna, a wtedy bogowie miejcie nas w swej opiece!

–Cóż zatem powinienem uczynić, Uwenie?

–Rób, co ci księżę każe. Złóż przysięgę i służ Cefwynowi, nie ma na to rady. Pan to łaskawy. Lepszego nie znajdziesz. Tylko go nie gniewaj. Porywcza w żyłach Marhanenów krew płynie, panie. A żaden Sihhijczyk nie ostał się przy życiu. Marhanenowie przeklęli ich imię, przeklęli herb, który właśnie dostałeś. Z teje przyczyny Jego Królewska Mość pewnie się nie zachwyci postępkami Jego Wysokości.

Słuchał. I bolało go serce.

–W takim razie muszę cię odesłać. Wykazałeś się odwagą, kiedy zostałeś ze mną dziś wieczór w apartamencie Cefwyna. Ale nie chcę, żeby stało ci się coś złego, Uwenie. Nie chcę, żeby kiedykolwiek stało ci się coś złego.

–Niczego złego on mi nie robi, panie. Swój honor ma, ręki na mnie nie podniesie. Zanim przeszedłem na służbę do ciebie, to jemu służyłem. Nadal jestem w gwardii, a on nie pakuje swoich ludzi w kłopoty. Co innego Jego Królewska Mość. Wolałbym się nie przyglądać, jak twoją głowę na Bramie Czaszek będą wieszali. Wolałbym też nie zobaczyć tam głowy księcia Cefwyna po tym, jak król usłyszy, co tu się wyrabia. – Musnął wargami zaciśniętą dłoń, w której trzymał talizman. – Jeno nie powtarzaj niczego. Może i brak ci jeszcze wyczucia, panie, aleś wyrastał w Ynefel, co musiało nauczyć cię ździebko przezorności. Nie denerwuj Cefwyna. Nie próbuj nigdy denerwować Cefwyna.

–Nie mogę, nie będę, Uwenie...

Uwen uściskał mu rękę.

–Chłopcze... panie... Przysięgam służyć ci wiernie i wytrwale, przysięgam na łaskawych bogów i na ich majestat. Daję słowo honoru. Ale ty się strzeż. Nie drażnij księcia ni lorda komendanta. Dla własnego dobra.

–Będę się starał ze wszystkich sił, Uwenie.

–Pozwól, że zżuję ci buty. Lepiej, byś już spał.

Tristen wyciągnął kolejno nogi, zapierając się, aby Uwen mógł mu ściągnąć buty.

Zdjął ubranie i dał się ułożyć do łóżka. Trząsał się pod chłodną pościelą.

–Mam pogasić świece, panie?

–Nie, Uwenie, proszę. Niech się palą. Niech się palą aż do rana.

–Tak, panie. Jeśli łaska, pošlę po więcej świec. Będzie tu jasno jako na festynie, tylko żebyś spał.

Rozdział siedemnasty

Dzwon u dolnej bramy miejskiej obwieścił przybycie znamienitych gości. Cefwyn nie przestawał przeglądać ksiąg skarbowych, lekceważąc głos dzwonu, dopóki jeden z gwardzistów nie otworzył zewnętrznych drzwi i nie przeszedł przez foyer, aby zameldować, że lord Heryn Aswydd prosi o spotkanie.

Cefwyn nie miał pod ręką Idrysa. Namyslał się przez chwilę, w końcu wstał i wydał zarządzenie, aby wpuszczono gościa, zachowując przy tym odpowiednie środki ostrożności.

Lord Amefel przyprowadził z sobą bliźniaczki. Heryn pokłonił się, Orien i Tarien dygnęły, Cefwyn skrzyżował ręce na piersi i oparł się o gzyms wygasłego paleniska, spokojny ze względu na strażników, którzy wprowadzili całe trio do środka.

–Co tam się dzieje pod bramą? – zapytał Heryn.

–Jakże mi to wiedzieć, Wasza Miłość, skoro jestem tutaj, nie tam, i brak mi daru jasnowidzenia? Ale przypuszczam, że mogłoby to być kilku naszych sąsiadów.

–Odeślij z powrotem swoich ludzi.

–Cierpliwości. – Cefwyn powrócił do stołu i usadowił się na rogu, między rejestrami podatków. – Choć wprawdzie i moja cierpliwość już się wyczerpuje. Twoje rachunki są dla mnie wielkim utrapieniem, lordzie Amefel. Mój rachmistrz nęka mnie codziennie wciąż nowymi zawłościami z dziedziny rachunkowości. Uwierz mi, nie jestem dziś w najlepszym humorze.

Heryn przybrał pozę formalności.

–Seneszal złoży mi raport dotyczący wszelkich uchybień. Ale zapewniam Waszą Książęcą Mość, że Korona zawsze otrzymywała swoją należność.

–W wielkim stylu urządziłeś swą siedzibę, Amefel. Ja bym jednak przedkładał żelazo i konie nad złocenia i aksamity, zważywszy, jak sprawy stoją na dalekim pograniczu. A może wychodzisz z założenia, że Elwynimi nie stanowią poważnego zagrożenia dla twoich interesów?

–Utrzymuję wymaganą ilość żołnierzy. – Heryn odetchnął i wykonał szeroki gest ręką. – To jednak nie należy do rzeczy, Wasza Wysokość. Pod moją bramą czekają obcy, których ty może i nazywasz sąsiadami, ale ja nie. Nie życzę sobie, by w ten sposób traktowano mnie i mój dom. Protestuję przeciwko zwolnieniu mojej straży przybocznej. Traktują tu mnie jak przestępcę. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Wasza Wysokość daje posłuch złośliwym insynuacjom.

–Masz na myśli Idrysa? Racz go nie posądzać. Obawiam się, że jest nieobecny i nie może odeprzeć zarzutów. Wypełnia misję, którą sam go obarczyłeś.

–Wasza Książęca Mość?

–Mam na myśli posłańca, którego wyprawiłeś w drogę. – Cefwyn podniósł głos, a bliźniaczki cofnęły się o krok. – Gdzie twój sługa Thewydd?

Heryn pobladł. Przez chwilę nikt się nie ruszał, ani on, ani podobne do siebie jak dwie krople wody siostrzyczki, ani też bliźniaczo podobni gwardziści z eskorty.

–Wyprawiłem go do twojego ojca – wyjaśnił Heryn ma koniec – aby Jego Królewska Mość poznał moją sytuację, moją niedolę i moją skargę.

Cefwyn odetchnął głęboko, poirytowany, mając nadzieję, że fakt przesłania wiadomości do Guelemary nie jest tylko półprawdą.

–Przecież przysługuje ci prawo dochodzenia wszelkich krzywd u króla. Nie musisz uciekać się do forteli, wysyłać o północy kurierów czy przebierać ich dla niepoznaki.

–Mam prawo poruszać się bez przeszkód po własnym domostwie, ale po tym, jak obszedłeś się z tym prawem, zacząłem wątpić w pozostałe.

–Zawsze to możesz powiedzieć. Możesz wnieść skargę do mojego ojca. Jeśli chcesz, sam przypieczętuję wiadomość. Ale przyjdzie ci się rozliczyć ze mną i z moim ojcem, królem, kiedy nadejdzie pora rozliczenia.

–Mogę to w każdej chwili uczynić, Wasza Wysokość, z czystym sumieniem.

–Zaryzykowałeś życie swojego sługi. Jeśli zostanie ujęty, zapłaci za to, żeś mi nie zaufał, ponieważ Idrys, jak ci wiadomo, jest popędliwym człowiekiem.

–Wasza Książęca Mość – Heryn rozłożył szeroko ręce w błagalnej pozie – protestuję

przeciwko mojemu aresztowaniu. Nie zrobiłem...

Cefwyn wskazał na księgi.

–...niczego niewłaściwego? Wyssałeś z tej prowincji ostatnie soki, mój panie. Przez ciebie Korona sprawia wrażenie zachłannej bestii, a ty swoją kiesę napełniasz podatkami, które, jak głośisz w prowincji, idą do królewskiego skarbcza. Czy to nam pomoże obronić zagrożoną granicę? Czy zapewni lojalność chłopstwa? Gdybym chociaż miał za to oddział kawalerii. A tu co? Złote zastawy. – Podeszedł pod samo okno, gdzie zdusił gniew, po czym wrócił do stołu. Heryn stał z Orien i Tarien po bokach: pobladłe towarzystwo, nagle mu obrzydłe. – Jeszcze możesz pożalować swojej petycji do króla, Herynie Aswyddzie, ponieważ, powoławszy się na królewskie prawo, będziesz się teraz musiał przed nim bronić. A ja, mój wystrojony panie, moje damy, sporządziłem długą listę pytań, które mój ojciec będzie miał na względzie, wzywając cię do Guelemary. Mówimy tu o zdradzie, mój panie, jak też o kradzieży.

–Panie – zaczęła Orien i syknęła z bólu, gdy brat chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu.

–Ty się w to lepiej nie mieszaj – doradził jej Cefwyn. Odwrócił się do nich bokiem.

Przy zewnętrznej bramie biły dzwony; chociaż daleko, w przejrzystym powietrzu dźwięk niósł się wyraźnie. Raptem zawtórował mu głos dzwonu Bramy Czaszek, a od wewnętrznych murów odbiły się echa kopyt.

–Co zrobiłeś? – zapytał Heryn.

Cefwyn wyjrzał przez okno, ignorując Heryna i wszystkich, których sobą reprezentował.

Otworzyły się drzwi. Do środka wszedł jeden z gueleńskich paziów, mocno zadyszany. Miał na imię Sasian, gorliwy młodzieniec. Cefwyn przywołał go do siebie.

–Wasza Wysokość – wyszeptał chłopiec. – To sztandar Ivanoru. A drugi Imoru.

Usta Cefwyna uśmiechnęły się powściągliwie. Cevulirn i Umanon ramię w ramię, sąsiedzi i sojusznicy, jeźdźcy z równin południa i ich mieszkający w miastach sprzymierzeńcy z drugiego brzegu Lenalimu.

Przybyli. Cało i zdrowo. W bezzwłocznej odpowiedzi na jego wezwanie. Westchnął przeciągle, zerkając z ukosa na pobladłą twarz Heryna.

–Mamy gości, Amefel.

–Za których gościnę przyjdzie mi zapłacić?! – wykrzyknął Heryn. – Chcesz w moim mieście rozłokować Iwanimów?

–Zapłacić, zapłacić, wiecznie ta sama śpiewka, lordzie Herynie. Roztrząsamy tu sprawy wielkiej wagi dla całego regionu; pozostali zapewne zjadą przed zachodem słońca.

Heryn otworzył usta i zamknął je natychmiast.

–Racja – pochwalił go Cefwyn. – Na twoim miejscu nie wyrażałbym sprzeciwu, Amefel. – Rycerskim gestem skinął na Orien: bladą, miedzianowłosą, ambitną Orien. – Będziesz mieć okazję odegrać rolę gospodyni całego regionu; okazję do wykorzystania całej tej przepysznej, złotej zastawy stołowej, całego tego tabunu służby i wszystkich paradnych sprzętów. Powinnaś być szczęśliwa, droga, próżna... lady.

Policzki Orien spąsowiały. Twarz Tarien pobieliała jak płótno.

–Wynocha! – rozkazał Cefwyn siostrze. Orien odwróciła się i rzuciła do ucieczki, zatrzymując się na chwilę dla oddania pokłonu. Tarien otworzyła i zamknęła usta, a następnie poszła w ślady siostry; towarzyszyli im dwaj gwardziści.

–Wasza Książęca Mość – rzekł Heryn, zachrypnięty z wściekłości – sposób, w jaki potraktowałeś moje siostry, nie przynosi ci chwały.

–Twoje siostry to urocze dziwki. I ty się powołujesz na chwałę, ty, który każesz im służyć tam, gdzie sam nie dasz rady?

Heryn rzucił przekleństwo. Gwardziści poruszyli się ze szczękiem żelaza, dłoń Heryna zamarła w drodze do sztyletu. Przez chwilę gość zdawał się zawieszony na krawędzi zgubnego szaleństwa, wnet jednak zapanował nad odruchami, postanawiając zaatakować księcia bardziej dyplomatycznymi metodami. Cefwyn taksował go z udawanym rozczarowaniem.

–Możesz odejść, Wasza Miłość.

–Nie jestem twoim sługą, byś mnie tak grubiańsko odprawiał. Chyba ci się nie ubzdurało, że jesteś już królem?

–Tobie się zapewne ubzdurało, że nim nie zostanę.

Przez chwilę twarz Heryna pozbawiona była wyrazu i ciarki przeszły Cefwynowi po skórze. Popełnił błąd, drocząc się z tym człowiekiem. Nie docenił zagrożenia. Będąc fircykiem, łgarzem, lichwiarzem i bezczelnym naciągaczem podatkowym, Heryn Aswydd był w gruncie rzeczy niebezpieczny.

Dziwięciu zamachowców, a ostatnio cały ich hufiec na patrolowanej przez Heryna ziemi.

Oczywiście, ten człowiek nie da się sprowokować do sięgnięcia po broń. Ten człowiek wiedział, że księżę stoi na niepewnym gruncie, mobilizując wojska.

Heryn jednak nie miał pojęcia o innych rzeczach, nabierających kształtu pod czujnym okiem pracowitych kobiet. Ufał, że tak jest w istocie. Księgi rachunkowe dowodziły istnienia horrendalnie oprocentowanych pożyczek, zaciągniętych u niego przez innych lordów, a nawet kupców, dzięki czemu cała szlachta z Amefel nurzała się w korycie Aswyddów.

Cefwyn odwrócił się do pazia, który stał struchlały z przerażenia.

–Wracaj, chłopcze, i dopilnuj, aby czekającym pod bramą lordom nie szczędzono wszelkich uprzejmości i gorących powitań. Niechaj kwatermistrz wywiesi obok mojego i amefińskiego proporce wszystkich naszych gości. No dalej, ruszaj.

Chłopiec uklonił się niedbale i czmychnął. Cefwyn powrócił do stołu, usiadł, odnalazł miejsce, w którym skończył przeglądać spisy.

–Być może – rzekł do Heryna – zechciałbyś wesprzeć mnie w prawidłowych wyliczeniach podatków. Bez wątplenia mógłbyś wytłumaczyć, skąd się wzięły te rachunki, jakie jest źródło tych przychodów i gdzie ulokowane zostały kapitały.

Panowała absolutna cisza. Nikt się nie poruszył, ani Heryn, ani żaden z gwardzistów.

Heryn oparł się bezczelnie o stolik przy drzwiach, rudobrody, elegancki Heryn, który zdołał jednak zaskoczyć księcia swą arogancją i lotnością umysłu – większą, niżby się księżę spodziewał po tym człowieku.

Cefwyn, kipiąc gniewem, przewrócił ciężką stronicę; cyfry wirowały mu przed oczyma.

Opodatkować mieszkańców stawką wyższą od tej, jaką ustaliła Korona, a następnie pożyczać im pieniądze na zapłacenie danin – potracając odsetki za pośrednictwem miejskich lichwiarzy, przez których palce przechodziły trwonione zyski. Jego ludzie poszukiwali już stosownych ksiąg, tym razem w mieście. Doszedł do wniosku, że poddanie tego człowieka sprawdzianowi przyniosło mu dużą korzyść. Wprawdzie przez chwilę żałował, iż przycisnął Heryna zbyt mocno, teraz jednak znał jego temperament, dotychczas niedoceniany.

–Zejdziemy na dół – powiedział – i powitamy pozostałych gości w Amefel. Już chyba czas. Dotrzymasz mi towarzystwa, Wasza Miłość?

–Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł Heryn. Zatrzasnął księgę, a jego własna gwardia ogarnęła pilnujących Heryna gwardzistów, mężczyzn o spojrzeniu mętnym na skutek godzinu przepłatanych godzinami służby. Służba stanie się wkrótce lżejsza, a sprawią to czekające pod bramą posiłki, wojska wprawdzie nie gueleńskie ani amefińskie, niemniej nadające się do rozdysponowania po Zeide.

Wyszli z komnaty, zwawym krokiem przemierzili salę, zeszli po schodach i – ledwo minęli narożnik, kierując się w stronę wyjściowych drzwi – do środka weszła grupa osób; ich

ciemne sylwetki wyraźnie odcinały się w blasku dnia.

Cevulirn wraz z Umanonem, obaj noszący ślady odbytej podróży, pokryci kurzem gościńca, zmęczeni całodzienną jazdą.

–Paziowie! – zawołał Cefwyn. – Zanieście bagaże lordów do ich pokoi. Poszukajcie lorda Kerdina i sprawdźcie, czego trzeba ich ludziom! – Powitał lordów, ściskając dłonie i klepiąc ich po ramionach, aż uniosła się chmurka kurzu, konsekwencja podróżowania dużym oddziałem po drogach w okresie suszy. – Witajcie, witajcie obaj. Długi dzień, długa jazda. Jesteście pierwsi. Mam nadzieję, że moi ludzie wyszli wam naprzeciw do bramy, aby spełnić życzenia waszych kapitanów.

–Niezwłocznie i dobrze przygotowani, Wasza Wysokość. Wasza Miłość. – Ostatnie pozdrowienie Cevulirn wystosował pod adresem Heryna, który przywitał gości, jakby pozostawał niekwestionowanym panem w Henas'amef.

–Wasza Wysokość, Wasza Miłość. – Umanon był niewysokim, krzepkim mężczyzną z sumiastymi wąsami i herbowym wizerunkiem białego koła na zielonym płaszczu: lord Imoru Lenalimu oraz pan żyznych ziem i wielkiego gościńca. U jego boku stał Cevulirn, szczupły i wysoki człowiek. Płowe włosy i wąsy oraz szary płaszcz czyniły go osobliwie niewyraźnym dla oka; w herbie miał białego konia, symbol rozległych równin Ivanoru, bujnych pastwisk i rumaków o błyszczącej sierści, będących chlubą bezkresnego południa.

–Zadbano już o wodę i drewno dla waszych obozów – oznajmił Cefwyn. – Ufamy, że wszystkie sprawy powierzycie na razie swoim kapitanom, a sami przyjmiecie gościnę na zamku. Spodziewamy się przyjazdu kolejnych zaprzyjaźnionych lordów, a wieczorem w wielkiej sali nastąpi formalne powitanie, zakładając, że nie spadnie deszcz i że pozostali goście dotrą w miarę na czas. W najgorszym razie ci, którzy się spotkają, mogą liczyć na dobre jedzenie i dobre towarzystwo.

–Wedle woli Waszej Książęcej Mości – odparł Umanon; jego ciemne oczy, podobnie jak przenikliwe wejrzenie Cevulirna, zdradzały niezwykle zaciekawienie; rozważa nakazywała im jednak powstrzymać się od zadawania pytań, skoro odpowiedzi nie zamieszczono w listach ani nie udzielono zaraz na poczekaniu.

–Nie wybuchła wojna – oznajmił Heryn – nikt też ciężko nie zachorował. Jestem równie jak wy zaskoczony tym całym apelem. Niemniej witajcie, lordowie, witajcie.

Cefwyn uśmiechnął się powściągliwie wobec świadomej złośliwości Heryna i jego bezczelnego zuchwalstwa. Spostrzegł, jak w oczach obu lordów pojawia się konsternacja, jak zerkają nań uważnie, czujnie.

–Jego Miłość lord Heryn jest dzisiaj w niełasce, jak sami widzicie. Posłał nawet list do Jego Królewskiej Mości ze skargą na moje rozkazy. Życie mi jednak nie zbrzydło, panowie, tak samo jak mojemu ojcu, możecie być pewni, a Heryn ostatnimi czasy przejawiał w tej kwestii

ogromną bez troskę. Zauważyliście niewątpliwie dekorację naszej południowej bramy. Zalecam zachowanie wszelkich środków ostrożności: tego lata mamy tu w Amefel srogie utrapienie ze zbójcami. Heryn oczywiście przysięga, że to Elwynimi, ale przeciążeni podatkami farmerzy mogą uciekać się do czynów desperacji, a nawet winić księcia za swoje niedole.

Uniosły się czoła, podejrzliwe spojrzenia pobiegły ku Herynowi: lordów południa nie łączyły nazbyt ściśle więzi, a tymi paroma dosadnymi słowami książę naznaczył Heryna niczym dotkniętego zarazą. Swym ciętym językiem Heryn zasłużył sobie na wizytę w lochu, lecz wsadzić człowieka do więzienia w jego własnym zamku, zwłaszcza na oczach sąsiadów – to byłaby skrajność. Jak dotąd tupet Heryna uchronił go przed jego własnym więzieniem, a swoją zręczną wypowiedzią zdołał przestrzec przybyłych na wezwanie lordów, zawsze zazdrosnych o swe przywileje, by mieli się na baczności, gdyż książę Marhanen przekracza być może nadane mu przez króla uprawnienia.

Teraz jednak Heryn złożył ukłon, wzór pokory – jakże daleki od sięgania po broń, co dałoby księciu słuszny powód, by wpakować barona Ylesuinu do jego własnych, dobrze wyposażonych w dyby lochów. Chytra sztuka, pomyślał, i dużo odważniejsza, niżli wcześniej zakładał.

–A więc do zobaczenia wieczorem, panowie – mruknął Cefwyn, na co oni pokłonili się grzecznie, gotowi oddalić się wraz z całym komunikiem paziów i służących.

Również Heryn skorzystał ze sposobności, jaka nadarzyła się wobec tego ogólnego pożegnania, by odejść. Pochyliwszy głowę, ostentacyjnie odmaszerował w świetle przydzielonych mu gueleńskich gwardzistów, tak, aby nieproszeni goście mogli się przekonać, jak we własnym domu traktuje się gospodarza. Człowiek ów miał talent i zacięcie do heroicznego zachowań.

Heryn był Amefińczykiem i szlachcicem, akceptowanym jako syn tej ziemi – przez amefińskich lordów i zarazem ciemiężonych wieśniaków.

Do tej pory nie było wyboru, prowincją musieli władać albo Aswyddowie, albo przynajmniej ludzie ich pokroju. Teraz sytuacja mogła ulec zmianie. Annas pouczał Tristena w sprawach etykiety, protokołu dyplomatycznego, zachowania na dworze, wyrażając się o młodzieńcu jako o bystrym i wdzięcznym słuchaczu.

–Aż przyjemnie go uczyć, panie – oświadczył raz księciu.

Wspiął się po schodach, wrócił do swojego apartamentu i do, jak planował, przeklętych ksiąg, w których rachmistrz poumieszczał świstki papieru i notki z objaśnieniem maestrii, z jaką Aswyddowie wprowadzali to tu, to tam swe zabłąkane kwoty.

Przed drzwiami rozstał się ze strażą, a kiedy dowódca warty otworzył przed nim drzwi, wszedł do środka.

Kątem oka dostrzegł jakąś postać przy oknie, ciemną i niespodziewaną.

Idrys.

Cefwyn odsunął rękę od sztyletu, serce wznowiło pracę.

–Panie – zaczął Idrys – nie zdołaliśmy dogonić posłańca. Na rozstajach pod Averyne czekał na niego ukryty wierzchowiec.

–Jedzie do mojego ojca – odparł Cefwyn, wciąż mając trudności ze złapaniem oddechu. – Tak mnie zapewnił Heryn.

–Kierunek się zgadza, panie. – Szary pył pokrywał czarną zbroję Idrysa i podkreślał zmarszczki na twarzy, przydając oczom posępniejszego i okrutniejszego niż zwykle wyrazu. – Zawróciłem, gdy stało się jasne, że nie uda mi się go dognać i zdążyć przed zmrokiem do miasta. Puściłem za nim ludzi w pogoń, ale jeśli zechce zajechać konia, prawdopodobnie ucieknie. Czy zdąży do twego ojca? Może to i prawda, lecz gwardziści nie wyjdą z takiego założenia, jeśli zbliżą się doń na odległość strzału z łuku. Nieszczęsny człowiek.

Cefwyn zmarszczył czoło i skrzyżował ręce na piersi.

–Przyszło do ostatecznej rozprawy z Herynem. Wydaje mu się, że wie, do czego jestem zdolny, ale wkrótce się przekona, w jakim był błędzie. Cieszę się z twojego powrotu.

–Chyba pomyślałeś, panie, o konsekwencjach, zarówno osobistych, jak i ogólnych waśni z Aswyddami?

–Pomyślałem. Heryn Aswydd jest tylko z pozoru mięczakiem, lecz pod aksamitem kryje się stalowy pancerz, Idrysie. Trzeba będzie pozbyć się tego diuka Amefel. Dufa, że się nie odważę. Nie boi się środków, jakimi dysponuję. Dociekał, czy Tristen rzeczywiście pochodzi z Ynefel, i chyba podejrzewa, że zarzuty przeciwko niemu są wydumane, stanowią wyłącznie groźbę, nic poważnego, czego by należało się obawiać. Jakże grubo się myli w tej kwestii!

Rozdział osiemnasty

Słońce dogasało już krwawą łuną, kiedy przybyli pozostali lordowie. Czarnobrody Sovrag z Olmernu na czele swych rzecznych ludzi zjechał do miasta od północnego zachodu, przebywszy Mamę łodziami i wywołując wśród strażników dolnej bramy wielką konsternację, gdyż uparł się, by wprowadzić do miasta zastęp gwardzistów, ludzi spod chorągwi Czarnego Wilka, mniej delikatnych i okrzęsanych od swego pana.

Gdy wiadomość o tym dotarła z dolnego miasta do uszu Cefwyna, posłał ludzi do bramy Zeide z poleceniem wpuszczenia gościa wraz z jego eskortą, po czym spotkał się z nim w dolnej sali, osobiście – ku przerażeniu gwardzistów.

–Hejże, lordzie Marhanenie! – zawołał Sovrag; górował nad większością swych ludzi, ów czarny wilk z Olmernu, który swój urząd wziął sobie raczej, niżli odziedziczył. Był niemal tak szeroki, jak dwóch przeciętnych ludzi: musiał dosiadać wybitnie rosnących rumaków, choć z reguły podróżował łodzią, dokąd tylko dało się łodzią dopłynąć. Jego tubalny głos wprawiał w drżenie szyby delikatnych okien Heryna.

Idrys, który pojawił się nagle u ramienia Cefwyna, mruknął:

–Ta eskorta to pokaz siły dla Cevulirna i Umanona. – Nikt nie robił tajemnicy ze srogiej waśni, jaka między nimi istniała, wobec czego miejsce pod obozowisko wyznaczono Olmerneńczykom na północ od miasta, bliżej rzeki, z dala od Umanona.

Cefwyn postąpił do przodu i podał rękę olmerneńskiemu lordowi.

–No, no – powiedział – witaj na zamku, mój rządcu Olmernu. Wątpię, czy będziesz potrzebował tylu żołnierzy. Z najwyższą radością pożyczylbym kilku, by obstawili posterunki. Moja własna gwardia ślania się na nogach, a przypuszczam, że twoi ludzie ucieli sobie drzemkę na rzece, mam rację?

Po raz ostatni widział Sovraga przy okazji inwestytury, jako młody dziedzic tronu.

Sovrag wydawał się wówczas księciu prawdziwym gigantem, nie to, co dzisiaj, gdy przybyło mu ze dwie piędzi wzrostu.

Cefwyn dobrze wiedział, że Sovrag wypuszczał się niegdyś rzeką na łupieżcze wyprawy – nie na kupieckie, jak teraz. Mógłby nawet prowadzić handel z Elwynorem, nie dbając wcale o pozory, tyle, że brakowało mu po temu manier.

Uścisk dłoni na powitanie zapewne nieczęsto przytrafiał się Sovregowi, który nie mógł się go spodziewać zwłaszcza w świetle swego zbrojnego najścia. To był sprawdzian, zakładał Cefwyn; sprawdzian książęcego nastawienia i być może sprawdzian Aswyddów, z którymi stosunki nie należały do serdecznych. Zarośnięte oblicze błysnęło uśmiechem.

–Wasza Wysokość – rzekł Sovrag, racząc go poklepaniem po ramieniu zdatnym pozostawić blizny. – Jeśli znajdziesz zajęcie dla tych moich łajdaków, bądź pewien, że będą służyć rozkazów. Wielkie nieba, wyrosłeś na mężczyznę jak się patrzy, lordzie Marhanenie.

–Przy północnej bramie twoi ludzie znajdą wodę i drewno, tobie zaś wraz z obstawą przydzieliłem kwatery w południowo-zachodniej wieży, jest tam dosyć miejsca. Iwaniami oraz Imorimi rozlokowani zostali we wschodnich skrzydłach, ja natomiast będę spać pośrodku.

Sovrag wybuchnął śmiechem.

–Rozkaz, Wasza Książęca Mość!

–Wobec tego natychmiast was tam pošę... Chłopcze! Zaprowadź jaśnie pana do południowo-zachodniej wieży i niech zajmie się nim czeladź.

Zdany na przewodnictwo rzutkiego gueleńskiego pazia, Sovrag udał się na swoje kwatery w otoczeniu powłóczącej nogami obstawy, obładowanej brezentowymi tobołami, zbrojnej w sztylety i haki, bardziej użyteczne w ich fachu od mieczy.

Nim upłynęła godzina, na dziedzińcu przed stajnią wybuchła bójka pomiędzy Ivanimem a przyjezdnym z Olmernu, w czasie, której nadjechał oddział Pelumera z Lanfarnesse.

–Potrafią ustać na nogach? – zapytał Cefwyn Idrysa.

–Ivanim i Olmerneńczyk? Z ledwością, ale jakoś się wykaraskają, Wasza Książęca Mość, chyba, że zażadasz sprawiedliwości. Rozdzielili ich Gueleńczycy, Amefińczycy porobili zakłady.

–Przyprowadź tę dwójkę. Przyjmę też tutaj Pelumera.

Idrys wyszedł. Cefwyn potrząsnął głową i kazał Annasowi przynieść wina, a kiedy się pojawiło, wypił je powoli, aby odzyskać spokój ducha.

Zaczynał się bać tego, co zrobił, zgromadziwszy w Zeide właściwie wszystkich okolicznych lordów – kłopotliwy melanż szlachetnie urodzonych osobistości i zadawnionych waśni, jątrzących się wśród wojaków obozujących za murami miasta.

Do tego wszystkiego dochodziły gospody, winiarnie, amefińskie kobiety, wieśniacze obejścia i obecność w obrębie murów miasta Olmerneńczyków, którzy byliby pospolitymi rzeczonymi piratami, gdyby król nie nadał łaskawie włości człowiekowi, którego później Sovrag pchnął nożem podczas gry w kości.

Księcia tymczasem nękały obawy związane z rozgoryczeniem Heryna, które mógł okazywać podczas wieczornej ceremonii: „Spójrzcie tylko, jak mnie pokrzywdzono”. Obawiał się również rozgoryczenia czeladzi Heryna, gdyby wyłączył lorda Amefel z uroczystości odbywających się w jego własnym zamku.

Orien i Tarien wykorzystają swe talenty w podobnym celu. Cevulirn był dla nich zbyt oziębły, Pelumer nazbyt mądry, lecz Sovraga i Umanona, każdego na swój sposób oddanego próżności, z pewnością dało się podejść.

Do drzwi zbliżyli się mężczyźni. Zasiadł przy stole, przed księgami rachunkowymi, wciąż z kielichem w ręku, mierząc ukośnym spojrzeniem okrwawioną, przykutą do siebie kajdanami dwójkę, przyprowadzoną przez gueleńskich gwardzistów.

Książę ignorował ich przez chwilę, zajęty rachunkami, jakkolwiek musiały im mocno doskwierać rany; mieli czas, aby uzmysłwić sobie, że swoją bijatyką naruszyli spokój

domu, choć gościnę ofiarowywała im sama Korona.

Za podobną obrazę karało się stryczkiem.

–Panie – rzekł drugi z paziów. – Pelumer, diuk Lanfarnesse. Słowa okazały się zbyt cenne, albowiem tuż za zamkniętymi drzwiami wyrosła sylwetka Pelumera.

Cefwyn wstał z krzesła, odstawił wino i powitał gościa z promiennym uśmiechem. Pelumer był najstarszym baronem Ylesuinu, białowłosym i brodatym mężczyzną – czapla na jego proporcji stanowiła zimą częsty widok w Guelemarze, kiedy przyjeżdżał na dwór w odwiedziny. Ogorzała twarz budziła w księciu wspomnienia domu, jakkolwiek ziemie Pelumera w Lanfarnesse rozciągały się najbardziej na południe spośród wszystkich, którymi zarządzili lordowie południa.

Nie skończyło się na zwyczajowym potrząśnięciu ręki: Cefwyn uściśnął podstarzałego lorda z tą samą radością, którą czuł, gdy był jeszcze chłopcem, a włosy Pelumera miały ciemniejszy odcień. To właśnie Pelumer udzielał mu pierwszych lekcji w strzelaniu z łuku. Teraz wyczuwał serdeczność przyjaciela Marhanenów i wiedział, iż jest w bezpiecznym towarzystwie.

–Ach, Pelumerze, jak dobrze znów cię zobaczyć!

–Bogowie byli łaskawi – odparł Pelumer; linie zmarszczek zaokrągliły się w szerokim uśmiechu.

–Jesteś jak tarcza za moimi plecami, Pelumerze. Jedyne człowiek w królestwie, mogę to śmiało powiedzieć, który nie toczy z nikim żadnych sporów. Obstaw swoimi dragonami granicę, niech dyskretnie przeczesują lasy i mają baczenie na rzeki.

–Różne raporty do mnie docierały, Wasza Książęca Mość. Niektóre dałyby ci wiele do myślenia. A moja dragonia już teraz pilnuje granic.

–Wysłucham treści tych raportów, wysłucham z najwyższą uwagą. Mój paż zaprowadzi cię teraz do kwater wyznaczonych dla ciebie i dla takiej liczby gwardzistów, jaką tylko zechcesz się obstawić. Może ich być dużo, gdyż powinieneś zachować środki ostrożności. Wiem, że nie omieszkasz przestrzec swoich ludzi. Spotkamy się dziś wieczór na sali. Za godzinę. Dość czasu na rozgoszczenie się w pokojach, ale na nic więcej.

–Ani słowa na temat powodów?

–Na razie nie.

–Wasza Wysokość. – Pelumer uklonił się i wycofał. Złoczyńcy tymczasem czekali na boku. Licząc na to, że książę musi się jeszcze przebrać na uroczystość i przygotować do rozmów, dzięki czemu nie będzie zbyt wnikliwie dociekał przyczyn sporów pomiędzy zwykłymi

żołnierzami.

–Olmerneńczyku, jak brzmi twoje imię?

–Denyn, panie.

–A twoje, Ivanimie?

–Jestem Erion Netha, Wasza Książęca Mość, z Tas Arin. Ale zapewniam Waszą Wysokość, że to nie ja...

–Milczeć! – uciął książę; mężczyźni znieruchomieli niczym jelonki w zaroślach.

–Kto sięga po broń wbrew koronnym dekretem bądź rozkazom oficerów, ponosi śmierć. Tak stanowi prawo, czy ktoś jest lordem, czy tylko sługą. Erionie i Denynie, nie uszanowaliście mojej gościnności. Zwalniam was ze służby u waszych panów, by wymierzyć wam sprawiedliwość. To wymóg królewskiego prawa.

Obaj pobladli, aczkolwiek z ust ich nie wyszło żadne słowo. Nie różnili się wzrostem, lecz Erion z Ivanoru był szczupłym, dojrzałym wiekiem mężczyzną o twardym spojrzeniu, podczas gdy młodemu, barczystemu Olmerneńczykowi dopiero zaczynała wyrastać broda.

–Za taką zbrodnię winowajców spotyka stryczek, wcale niehonorowa śmierć, nie taka, jaką wasi krewni mogliby pocieszać się w żalu. Prawdę mówię, moi panowie?

Chłopiec zacisnął zęby, mimo że jego wargi drżały. Ivanim zmarszczył czoło, lecz nie ważył się protestować, żadnej brawury.

Myśl o stracie takich ludzi – jednego zapewne świeżo upieczonego rekruta, zbyt młodego, by powściągnąć temperament i ochotę do głupstw, drugiego na tyle doświadczonego, że nie powinien pakować się w podobne bijatyki – napełniała księcia odrazą.

–Należycie do mnie – powiedział. – Zdeptaliście moje prawo, toteż teraz będziecie mi służyć, obaj. Staniecie na straży pod moimi drzwiami.

–Panie! – zaprotestował sierżant gwardii.

–Martwi na nic się nam nie zdadzą. Macie tak długo pełnić swój obowiązek, panowie, dopóki Idrys nie uzna za stosowne was zwolnić. Będziecie jeść z żołnierzami z gueleńskiej jednostki i razem z nimi spać, cały czas przykuci do siebie łańcuchami. Nikt pod żadnym pozorem łańcuchów tych nie rozepnie, a gdyby któremuś zmarło się w tym czasie z jakiegokolwiek powodu niezwiązanego z wypełnianiem swoich powinności, żywcem obedrę drugiego ze skóry i spalę dom jego ojca. Słyszycie, Erionie i Denynie?

Do oczu młodzieńca napłynęły łzy, na poszarzałym obliczu Ivanima zaś nie odbijało się

żadne uczucie – żołnierz tylko skinął głową.

–A zatem na posterunek – rzekł Cefwyn. Pokłonili się i odeszli, okrwawieni, nie umyjni, kulejąc, złączeni z sobą łańcuchem.

Minął ich tego samego wieczoru, stojących wśród Gueleńczyków mających pilnować komnat, ale nie towarzyszyć mu na sali. Krew zakrzepła na ranach, twarze pobladyły z bólu i fadygi. Książę zawahał się, obejrzał ich od stóp do głów, a oni popatrzyli nań z niepokojem.

–Gueleńczykom nie w smak ich towarzystwo – stwierdził idący obok niego Idrys.

–Czy jakaś prowincja w tym królestwie darzy miłością inną? – zapytał Cefwyn. – To trzecie pokolenie, odkąd wyginęli sihijscy królowie. Spójrz tylko na nich. Czyż nie odzwierciedlają całego królestwa mojego ojca?

–Chcesz to zmienić, dając się zabić?

–Nie wzruszysz mnie, Idrysie.

–Dobrowolnie ryzykujesz życie.

–Idź już. Wiesz, czego od ciebie wymagam.

–Panie. – Idrys zatrzymał się przy schodach. Cefwyn nie obejrzał się za siebie.

Wystarczali mu gwardziści, którzy przy nim zostali, a gdyby nawet zawiedli, w odwodzie pozostawały nabijana świekami skóra, sztylet i miecz u pasa.

Rozdział dziewiętnasty

Wielką salę wypełniały przepyszne sprzęty, należące, podobnie jak cała reszta, do Heryna. Cefwyn nie używał ich od czasu formalnego przyjęcia, jakim przywitani go Aswyddowie zeszłej jesieni: złoto Heryna i jego kwieciste ornamenty były tu najbardziej widoczne – bogactwo prowincji ukazane w pełnej krasie. Sam Heryn też się pysznie wystroił, otoczony z musu gueleńską strażą, z Orien i Tarien u boku, w szczupłej kompanii naburmuszonych amefińskich earłów ithane'ów ze swej świty; zjawił się też tłumek gości i ealdormanów z samego miasta. Amefińczycy stanowili jednak mniejszość wobec przyjezdnych wraz z obstawami, którzy wypełnili gościnne kwatery, a wnet mieli wypełnić salę bankietową. Jak na razie nie wniesiono stołów, więc tłum czekał na stojąco.

Cefwyn wziął głęboki oddech i ruszył ułożonym pośrodku dywanem, nie oglądając się na boki, zastanawiając się, czy nic nie grozi jego plecom, na których czuł drapieżne spojrzenia Heryna oraz rozjuszonych amefińskich szlachciców.

Dotarł na środkowy poziom podwyższenia, odwrócił się i usadowił na prawym siedzisku

ustawionego tam tronu. Następnie, palony nienawiścią, na trzeci stopień od góry wszedł Heryn, zgiął się w pokłonie i zajął miejsce przysługujące diukowi Amefińczyków, kiedy ksiączę-wicekról zasiada na tronie powyżej.

–Wasze Lordowskie Mości – pozdrowił ich Cefwyn, a amefiński szambelan zastukał laską w posadzkę, by zaprowadzić spokój.

Jeden po drugim padały imiona poszczególnych lordów, w kolejności uwzględniającej honory i rangi – jego własne, Heryna, Pelumera, Cevulima, Umanona i Sovraga, przy wtórze fanfar, rozwijania sztandarów, wymieniania rozwlekłych tytułów i proklamacji dziedzicznych przywilejów; żmudna, zwyczajowa procedura, podczas której ksiączę królewskiej krwi, a może nawet wymieniany właśnie lord, mógłby liczyć świece, dodawać w pamięci długie liczby lub odmieniać antyczne czasowniki – cokolwiek, byle nie zasnąć.

Tego wieczoru zgromadzenie zebrało się wszakże o niezwykle późnej porze. Spod olbrzymich, zamocowanych na łańcuchach kręgów wypełnionych oliwą lampek spływała ciepka woń, by mieszać się z ostrym zapachem perfum i dobiegającymi z przyległej sali aromatami jedzenia. Tego wieczoru odbywały się bezlitosne zmagania na słowa, bogactwa, fantazyjne stroje, wojskową postawę, w czym każdy chciał prześcignąć rywali. Cefwyn siedział nieruchomo, cały czas czujny, cierpliwie przyjmując wyrazy szacunku i wysłuchując próśb o osobiste wstawiennictwo, wodząc częstokroć oczyma po przestronnej, udekorowanej sali, gubiąc się w gąszczu węzowatych kolumn i rozpostartych sztandarów wszelkiej maści lordów. W ciżbie Amefińczyków i przybyszów z dalszych stron przy każdym nowym nazwisku następowało poruszenie, oceniano się wzajemnie, baczano, kto nie został wymieniony, a kto został i z jakimi tytułami. Oczy księcia dłużej niż przy owych detalach zatrzymywały się na strategicznym rozmieszczeniu gwardzistów, na metalicznym połysku broni (nie od parady), czy wreszcie na kursujących po komnacie służących i posłańcach, wykonujących pozornie uzasadnione zadania.

Jako ksiączę, musiał przewodniczyć całemu zgromadzeniu. Jako ksiączę, musiał żywić nadzieję, iż nikt nie wyciągnie łap po dyskusyjne tytuły bądź terytoria, dając tym samym asumpt do sięgnięcia po noże. Sovrag tylko czekał na odpowiednią prowokację, Umanon zaś na dowody, że ksiączę istotnie miał upoważnienie, by ich wzywać – jakkolwiek i tak stawiliby się niechybnie jako jeden z pierwszych, gdyby tylko podejrzewał, że pod jego nieobecność mogą zapaść niekorzystne dlań decyzje. Nioswojone byki, jak ojciec zwykł nazywać lordów Imoru; zaprzęgnięci w jarzmo, wszczynają swary, z którymi ojciec umiał sobie radzić.

Obserwuj ich, rzekł do siebie ksiączę; baronowie poddadzą cię próbie, to cholernie pewne.

–Panowie – oświadczył na koniec, kiedy zadość się stało ceremoniałom – witajcie na sali.

–Wasza Książęca Mość – rozległ się gromki głos Sovraga wśród stojącego po lewej stronie tłumu.

Książę przeniósł wzrok na lorda, którego błękitne spodnie, zielony obszywany złotem płaszcz i ciemnoczerwony dublet w większym stopniu znamionowały herszta zbójckiej watahy niż rządcę prowincji. Domyślał się, jaką to sprawę chce poruszyć Sovrag; mógł załatwić ją w miarę szybko, wykazując się odrobiną zręczności. Sovrag był nieokrzesany i na swój sposób łatwiejszy do okiełznania od, dajmy na to, Cevulirna niedającego się zbyć byle słowem. Tak więc kiwnął przyzwalająco głową, skinął ręką, a wtedy olbrzymi lord z nadrzeczka wystąpił na środek sali i założył ręce na biodra, mącąc wszelki ustalony porządek i wszelkie protokoły, by interweniować w czysto osobistej sprawie.

–Wasza Książęca Mość, z całym szacunkiem, może i jesteście tu mile widziani, ale chodzi o jednego z moich ludzi. Rad bym poznać szczegóły, zanim nas zajmą dworskie zabawy. Toż to ledwie chłystek, a tu jeden z Iwanimów zadziera nosa, bo przeszedł przed jego przeklętym koniem.

–Popelniono zbrodnię, za którą prawo przewiduje stryczek, i o to się rozchodzi, lordzie Olmernu, a nie o jakiegoś przeklętego konia. Sięgnięto po broń, naruszając spokój królewskiej siedziby. Nie tylko Wasza Lordowska Mość jest w to zamieszana.

Cevulirn wystąpił do przodu, równie bezbarwny w swej szarości i bieli, co Sovrag pąsowy. Na bladym obliczu malowały się chłód i gniew.

–Skoro publicznie poruszono tę sprawę – zaczął lord z Ivanoru spokojnym, acz przenikliwym głosem, który kazał się wszystkim uciszyć. – Znieważyleś człowieka honoru, który od dawna wiernie mi służy. Wasza Wysokość. Jeszcze tego wieczoru otrzymałbyś bez rozgłosu moją notę protestacyjną, która niewątpliwie w tej chwili dociera do ciebie odpowiednimi kanałami, ale skoro lord Olmernu publicznie rozgłasza sprawę i skoro Wasza Wysokość wydaje się skłonny, by jej wysłuchać, powiem, że złożono mi raport z całego zajścia. Prawo stanowi: szubienica. Nie przewiduje haniebnej kary, jaką mu wyznaczyłeś.

–Czyżby służba u mnie miała przynosić ujmę? Nie sędzę.

–On był stroną niewinną, Wasza Książęca Mość.

–Obu uznaję za winnych. I chcę was powiadomić, moi lordowie, z całą sympatią i przekonaniem o waszej dobrej woli, że jeśli w tym zamku albo na tej sali dojdzie do kolejnych bójek, osobiście zajmę się żywymi uczestnikami i postąpię z nimi zgodnie z królewskim prawem. Tych dwóch, Olmerneńczyka i Iwanima, stawiam jako przykład mojej łaskawości. Będą mi wiernie służyć, a poznają, że jestem hojnym panem; nie będą, cóż, wydałem już wyrok na tego, który pozostanie przy życiu, a jest to zaprawdę wyrok surowy, Wasza Miłość, obojętne, czy zawini twój człowiek, czy też Olmerneńczyk. Jestem bezstronny. Nie pozwolę, by na tej sali lub wśród żołnierzy dobywano broni lub przelewano krew. Na sali panowała cisza.

–Czy sprzeciwiasz się temu, że zwolniłem ich z waszej służby? Cevulirn pochylił głowę.

–Nie, Wasza Wysokość.

–Olmern?

–Racja, możesz zatrzymać chłopaka, Wasza Książęca Mość, powitać go w swoich szeregach. To dobry chłopak. – Sovrag spojrział chmurnie na Cevulirna. – Ale jeśli moi ludzie zostaną sprowokowani przez, Jego Miłość, tego tam...

–Zależy mi – uciął Cefwyn, głośniejszym niż poprzednio – aby na sali panował spokój. Przypuszczam, żeście mnie słyszeli. A może mam zadeklarować to poprzez herolda, który ma silniejszy głos?

–Strzeżcie się, bo wszyscy skończymy w obstawie Gueleńczyków – odezwał się Heryn.

–Drogi lordzie Herynie – odparł Cefwyn, odchylając się wygodnie na oparcie i obrzucając Heryna ukośnym spojrzeniem. – Polegam na honorze naszych gości, a każdy z nich jest honorowy, czego nieraz dowiódł w służbie dla Korony; ciebie jednak, Herynie Aswyddzie, darzę taką sympatią, że wręcz nie mogę poskąpić ci gueleńskich gwardzistów. Doprawdy, na twojej ziemi tak bardzo rozpanoszyli się zabójcy – dodał, omiatając wzrokiem wszystkich pozostałych – że radzę wam przed spaniem postawić strażę pod drzwiami. Mauryl Gestaurien nie żyje. Dotarła już do was chyba ta smutna wiadomość. Dziesięciokrotnie nastawano na moje życie, o czym świadczy południowa brama, z wyjątkiem ostatniego razu, kiedy to zamiast mnie zginęli dobrzy ludzie. A mimo to lord Heryn przysięga, że jego dystrykty są pod kontrolą... Ach, czyżbym pominął jakąś część plotek? No tak, uzbrojeni bandyci na gościńcach, których obecnie jest mniej. Może mieliście jakieś kłopoty w podróży, moi lordowie? Jeśli tak, szczerze pragnę poznać szczegóły.

–Przy południowej granicy mijaliśmy jedną wioskę – odezwał się Pelumer. – Zwała się Trys Ceyl... Trys Ceyl i Trys Drun... Tamtejsi mieszkańcy prosili nas, byśmy zostali. Jak przystało na dobrego sąsiada i wiedząc, że uznasz to za słuszne, Wasza Książęca Mość, zostawiłem tam garstkę ludzi. Przez ostatnie dwa lata mieliśmy kłopoty w leśnych marchiach: zbójcy, kradzieże bydła, kryjówki w stogach siana. Nasi dragoni nie donoszą o żadnych konkretnych siłach, przeciwko którym moglibyśmy zorganizować większą obławę. Jakieś ruchy w kniei, kilku przelęknionych pastuchów, zagubione kozy. A jednak dwóch wieśniaków z Trys Ceyl zaginęło ponoć bez śladu, tak tam opowiadają, ojciec i syn, uznałem więc, że warto zostawić pięciu ludzi, by zorientowali się w sytuacji.

–Dobra robota, mam nadzieję, że nie znajdą niczego równie niepokojącego jak to, co my w Emwy. Czy jeszcze ktoś z was coś zauważył?

–W dolnym biegu Lenalimu spokój – oświadczył Sovrag. – W górnym... trudno powiedzieć. W Ynefel cisza i dziwny jakiś nastrój, podobnie w pobliskich lasach. Wprawdzie przepływaliśmy tamtędy za dnia, aleśmy do brzegu woleli nie dobiegać. W Ynefel nigdy nic nie wiadomo, a ostatnio wszystko zaczyna się gmatwać. Osobliwe wieści dochodzą

naszych uszu.

–Osobliwe wieści z Elwynoru?

–Słyszałem, co prawda z trzeciej ręki, racja, Wasza Książęca Mość, jakoby z leśnych chaszczy Marny wyłaniały się zastępy zbójców, siejąc zamęt. Czego, rzecz jasna, nie widzimy na własne oczy, szanując ustalony przez Mauryla podział wód. Chyba, że wzywasz nas na północ, oczywiście.

Cefwyn nie zamierzał podawać tych słów w wątpliwość. Ani wyjawiać, co wysledzili jego szpiedzy w odniesieniu do okolicznościowych podróży Sovraga.

–A co z mostami dalej na południe?

–Mosty, racja, sam nie wiem. Tamtą połąć Marny przepłynęliśmy nocą, ale mógłbym przysiąc, że nie było kładek. Zdaje się, że prześwitywało przez nie niebo i świeciły gwiazdy, mości książę.

Cefwyn zerknął na marszczącego brwi lorda stojącego z boku i nieco z tyłu za Sovragiem, którego ziemie także przylegały do rzeki, granicząc jednocześnie z Amefel i Olmernem.

–Imor?

–Na południu – zabrał głos Umanon, obrzucając Sovraga posępnym wzrokiem – zmagamy się jeno z lokalnymi kłopotami, gdyż, w przeciwieństwie, do co poniektórych, nigdy nie wyprawiamy się na północ. Dręczą nas obawy związane z wypadami Olmerneńczyków, bez względu na to, jak są częste, czego nie waham się powiedzieć.

–Także większość naszych kłopotów ma miejscowy zasięg – odezwał się Heryn, niepytany.
– Moi szanowni lordowie, przestrzegajcie własnych praw i róbcie, co się wam żywnie podoba, ale co się tyczy mojej osoby, nie podejmę żadnych kroków, dopóki król nie odpowie na moje zapytania. Chyba zdajecie sobie sprawę, że to zgromadzenie odbywa się bez wiedzy i aprobaty króla?

–Ale jest zgodne z prawem. – Cefwyn podniósł palec.

–Zgodne z prawem – przyznał Heryn. – Jak w przypadku Iwanima i Olmerneńczyka, cokolwiek książę zamyśli, staje się zgodne z prawem.

Na sali zaległa śmiertelna cisza. Heryn oczekiwał jakiejś reakcji na swą hardą wypowiedź. Milczał i cisza się przedłużała.

I nagle w przyległej sali rozległy się kroki gwardzistów. Cefwyn odprężył się, uśmiech powrócił na jego wargi, gdyż dzięki Herynowi zapanowała odpowiednia atmosfera, której by nie wzbudził wyraźny rozkaz księcia. Zaczęły odwracać się głowy. Przybył Idrys, wraz z nim

Uwen, a z tyłu, uderzając blade w czarnym dublecie i kusym czarnym płaszczu, podążał Tristen w eskorcie ubranych w czerwone płaszcze gueleńskich gwardzistów.

A herb wyszyty na ramieniu Tristena z okazji jego zaprzysiężenia był herbem, którego nie widziano od dwóch pokoleń na dworach Ylesuinu: srebrzysta Wieża Ynefel na głównym polu, a powyżej ośmioramienna Gwiazda Sihhijczyków.

Jeden z paziów wniósł i rozwinął sztandar, czarny i srebrzysty, z takim samym emblematem. Pomruk konsternacji przetoczył się po sali, kiedy amefińscy mieszczanie i lordowie Ylesuinu zdali sobie sprawę, na jaki sztandar patrzą. Szambelan stukał, aby przywrócić porządek. Heryn zszedł stopień niżej z przysługującego mu miejsca na podwyższeniu, Cefwyn natomiast podniósł się powoli, zstąpił na najniższy stopień i wyciągnął rękę do Tristena.

Nie rozglądaj się na boki, przestrzegł osobiście młodzieńca, którego szklane oczy spoczywały teraz na twarzy księcia jak oczy tonącego na wyciągającej się doń pomocnej dłoni.

Ich ręce się spotkały, a wtedy Tristen, jak go nauczono, uklęknął na jedno kolano i przytknął do warg książęcą dłoń.

–Cóż to za maskarada?! – rozdarł się Heryn. – Ten człek jest obłąkanym przybłądą, półgłówkiem znanym każdemu w Henas’amef!

Cefwyn pociągnął Tristena za rękę i postawił go na nogi, zamierzając odwrócić się i porachować z Herynem, ale ku jego zaskoczeniu Tristen sam się odwrócił, zatopił w Herynie przenikliwe, chłodne spojrzenie, a potem zmierzył wzrokiem wszystkich pozostałych lordów.

Na sali panowała niesamowita cisza, tak, że stukot laski szambelana rozbrzmiał nagle z podwójną siłą.

–Tristen, lord strażnik Ynefel i marszałek wielki Althalen – przerwał Cefwyn milczenie – utwierdzony w tych honorach przeze mnie i uprawniony do wynikających z nich włości oraz przywilejów i całego dziedzictwa w tychże włościach, do których, jako spadkobiercy Mauryla Gestauriena, przysługuje mu prawo.

–Nie! – ryknął Heryn, przekrzykując powstałą naraz wrzawę. – Moi lordowie, gdy ten cudak przyplątał się pod bramę, bełkotał coś o Maurylu i na tej jednej jedynej przesłance oparto całą mistyfikację! On nie jest synem ani dziedzicem Mauryla Gestauriena! Nie jest też żadnym krewniakiem Elfwyna Sihhijczyka, co najwyżej wiejskim głupkiem, który mógł, ale nie musiał, być służącym Mauryla, stąd jego szlachetna mowa! Wszyscy wiemy, że Mauryl nie miał ani żony, ani spadkobiercy, z prawego łoża czy jakiegokolwiek innego (władał przecie nienaturalnymi mocami), jeśli rzeczywiście stary pustelnik z Ynefel był Maurylem Gestaurienem. Jeśli, jeśli, jeśli, i na podstawie tych, wszystkich „jeśli” ów przypuszczalny

sługa człowieka będącego przypuszczalnie Gestaurienem, który przypuszczalnie mieszkał w Ynefel i przypuszczalnie był tym samym Maurylem, sojusznikiem Amefińczyków, zostaje postawiony na równi z nami, szczącymi się długą i wierną służbą dla Marhanenów. Stanowczo protestuję, Wasza Książęca Mość! Protestuję bardziej niż ostro; nie przyjmę do wiadomości tej parodii przedstawionej kosztem czcigodnego nieboszczyka, mieszkańca naszej prowincji, dopóki nie ujrzę dostatecznych dowodów!

Powstałe pomruki szybko zamarły wobec łomotu laski szambelana. Cefwyn uniósł dłoń, niespiesznie, spokojnie, zadowolony ze skierowanej na niego uwagi.

–Należał do Mauryła, aczkolwiek nie był jego sługą – obwieścił. – I zaprawdę ów starzec był Maurylem Gestaurienem, zaprawdę nie miał ni żony, ni naturalnego spadkobiercy.

Nastąpiła cisza, grobowa cisza, w ślad za tym oświadczeniem; w komnacie całkiem spora rzesza słuchaczy uczyniła pobożne znaki i wkrótce zaraziła większość obecnych. Patriarcha miejscowych quinaltynów również się przeżegnał, z szeroko otwartymi oczyma i zaciśniętymi ustami śledząc przebieg wydarzeń. Rywalizujący z nim posępny opat zakonu bryaltynów, zżyty z amefińską ziemią, stał sztywno między swoimi popiecznikami – zlepek trzech czarnych habitów w cieniu. Patriarcha quinaltynów sprawiał wrażenie, jakby przygotowywał się do zabrania głosu.

–Ależ panowie, panowie – rzekł Cefwyn, zanim to się stało.

Najmniej ze wszystkiego potrzebował teraz, by kapłan wygłaszał mowy do wzburzonej i zaniepokojonej gawiedzi.

Złapał spojrzenie patriarchy i błysnął ostrzegawczo oczyma. Starzec, który nie dalej jak zeszłego wieczoru przyjął nader sowitą darowiznę od Korony, zamknął usta i tylko łypał spod oka.

–Moi panowie, Heryn stwierdził, że nie ma wystarczającego powodu, ażeby was tu wzywać; w niektórych zakątkach dominium Heryna moje motywy są, jak się wydaje, podejrzane i z pewnością daje on tylko wyraz nastrojom panującym wśród jego lordów. Niemniej rozważcie waszą sytuację, panowie, jeżeli rozpocznie się skrycie naprawa mostów, Elwynimi zaś przygotowują plany napaści, a pewne osoby przekonują mnie, że tak właśnie się dzieje. Mauryl upadł, nikt już nie broni naszych zachodnich granic. Obecnie zamachowcy usiłują pozbawić mnie dowództwa, ostatnio nawet chcą podważyć wolę Mauryła i prawa jego spadkobiercy. Lord Tristen mógłby opowiedzieć wam, co widział. Zapytajcie go sami, jeśli macie taką wolę.

Martwa cisza; Heryn jako pierwszy zaatakuje, pomyślał Cefwyn.

–Jakże to zginął Mauryl? – wyskoczył Sovrag, ważąc się na to, do czego nawet Heryn podchodził z ostrożnością.

Tristen odwrócił się w jego stronę.

–Nadciągnął wiatr – rzekł – i rozpadły się galerie. To był nikczemny wiatr, panie. A Mauryl powiedział, żebym trzymał się drogi. Tak właśnie zrobiłem. Droga zaprowadziła mnie tutaj i przybyłem do księcia Cefwyna. I mistrza Emuina.

Znów zaległa cisza. Cefwyn spostrzegł się, że zaciska boleśnie pięść. Rozluźnił palce. Czar głosu Tristena spadł na całą salę. Zrozumiał, że dobrze go ocenił i że moc drzemie w samej prostocie młodzieńca; że jego spojrzenie i głos mają siłę rzucania uroków, które zbijały już z pantałyku daleko mniej dwornych ludzi; a nade wszystko, że Tristen mógłby, jeśli go zapytać, powiedzieć dokładnie to, co uważa za prawdę, choćby niebo się waliło, choćby siarka buchała, nie bacząc na czary czy blade twarze quinaltynów.

–Zamierzasz posłać go do Ynefel, Wasza Książęca Mość? – zapytał z nagłą Pelumer. – Ma zająć miejsce Mauryla?

–Nie – odrzekł Tristen. To było wszystko, choć zapadła cisza jak po znacznie dłuższej wypowiedzi.

Sovrag odchrząknął.

–Nie, żebyśmy mieli jakieś poważniejsze kłopoty, to pewne. Racja, handlujemy z Maurylem, racja, jako że królewskie prawo nam tego nie wzbrania, przyznaję to szczerze, łódź zwykle dobija przy moście w Ynefel, a do rana towar znika, w łodzi zaś czekają wiązki ziół i złoto, nasi ludzie nigdy nie wiedzą, jak...

Rozległy się pomruki wzburzonego Umanona i jego gwardzistów, ale ucichły.

–Rankiem, jak powiadam, towar znikał, lecz teraz... teraz, przypuszczam, skończył się handel.

–Chyba nie mówisz o sihijskim złocie – zapytał Cefwyn spokojnie; Korona zagarniała wszelkie znalezione skarby, gdziekolwiek je znajdowano.

–Żadne sihijskie złoto, żadnej gwiazdy na nim. Niemniej zawsze rzetelny, spory stosik. I płacimy od niego podatek, jak przy każdym handlu, co Wasza Książęca Mość może sprawdzić w książkach; spisywaliśmy wszystko razem z królewskim rachmistrzem. Powiem jedno: był spokój z Maurylem i był spokój na tamtejszej granicy, musieliśmy jeno trzymać się z dala od lasu Marna, no chyba, że wieźliśmy towary. Wiem, że Elwynimi co jakiś czas ruszali na południe, lecz nigdy z lasu tego nie wychodzili. Jeszcze rok nie minął, jak niektórzy z moich, zaślepieni chciwością, wysiedli z łodzi, by popробować się z bramą starca. Z tych, którzy weszli, nikt już nie powrócił. Człek, co to pozostał w łodzi, rozpowiadał potem, jakoby z twierdzy dochodziły wrzaski i wołania, że aż włosy dęba stawały. Nic złego mu się jednak nie stało, zapadł zwyczajnie w sen, a po przebudzeniu towar zniknął, obok zaś leżało złoto i wiązki ziół. Ludzie, którzy zeszli z łodzi, przepadli bez śladu. Klnę się, jako i człowiek ów

mógłby wam przysiąc, że stary Mauryl zaiste zamieszkiwał strażnicę w Ynefel. Co więcej, zapotrzebowanie Mauryla na mąkę, oliwę i całą resztę, ku naszemu niepomiernemu zdziwieniu, wzrosło dwukrotnie od wiosny.

Po tych słowach gwar powstał na sali. Cefwyn bacznie się przysłuchiwał, przypuszczając, że ma przed sobą źródło informacji, z którego nieliczni korzystali – Sovrag wiedział więcej o rzece, niż oficjalnie przyznawał, gdyż raz po raz łamał królewskie prawo i próbował naruszać ustanowiony przez Mauryla przed osiemdziesięciu laty podział rzeki na dwie części: północną dla kupców z Elwynoru i południową dla Ylesuinu, z której profity ciągnęły Olmern i Imor.

–Dziękuję, lordzie Olmernu – rzekł Cefwyn. – A teraz ty, Tristenie.

–Panie?

–Czy przyrzekasz pokój zebranych tu lordom, w zamian za Ynefel i Althalen?

–Z największą chęcią, panie.

–I będziesz lojalnym poddanym Korony Marhanenów?

–Tak, Wasza Książęca Mość. Z największą chęcią.

–Oraz pobożnym poddanym Jego Królewskiej Mości?

–Z największą chęcią, Wasza Książęca Mość.

Było niezwykle spokojnie, jak na wypowiedanie ceremonialnych formuł. Było spokojniej niż podczas inwestytury przyszłego następcy tronu, książę dobrze o tym wiedział; spokojniej, z większą powagą, z głębszym rozważeniem implikacji słów, które wszyscy lordowie wcześniej czy później musieli zapamiętać i wygłosić, składając być może szczerą przysięgę, lecz nigdy nie rozumiejąc, dlaczego miałby się do nich odnosić zakaz uprawiania czarów.

Powtórne uklęknięcie, powtórne muśnięcie ustami palców księcia i złączenie dłoni. Podniósł Tristena, złożył na jego policzku braterski pocałunek, a cała sala odetchnęła zgodnym oddechem.

Na lewo coś się poruszyło, obejrzał się zaniepokojony i odsunął o krok, kiedy tuż u jego stóp Heryn padł na kolana. Zrazu przyglądał się rękóm, wypatrując broni, lecz ręce były puste, a wszędzie wokół Gueleńczycy wzmoogli czujność: ich ręce spoczywały na rękojeściach mieczy, piki pochyliły się do połowy.

–Wasza Książęca Mość – zaczął Heryn przy cichnym pomruku strachu. – Błagam o wybaczenie zarówno ciebie, jak i jego. Myślałem... Byłem mocno przeświadczony, że to jakaś podła maskarada. Bogowie świadkami, jak bardzo się myliłem. Jestem lojalnym

poddanym króla i jego synów. Jaśnie łaskawy panie, wybacz mi podejrzliwość.

–Za późno już na to.

–Wycofam swój protest, przysięgam.

–Nie wycofam swoich Gueleńczyków, przysięgam.

–A więc zniosę to jakoś – odparł Heryn; wyglądało na to, że pojawi się sarkazm, ale w głosie nie zabrzmiała żadna ostrzejsza nuta, jedynie ból.

Coś należało z tym zrobić; cała sala czekała niecierpliwie, również skonsternowana zachowaniem Heryna, być może zażenowana jego poniżeniem, być może zamyślając porwać się do broni – Cefwyn nazbyt dobrze wiedział, jak niestabilny to region; rozważał jednak, czyby nie odtrącić Heryna, nie odrzucić jego próśb i jego ksiąg podatkowych – rozważał nieco dłużej niż zwykle, kiedy obmyślał posunięcie w celu wywołania wzburzenia.

Jednakże po tej zwłoce – wystarczającej, aby twarz Heryna powlekła się szarością – nakazał mu skinieniem powstać i, ciągle z chmurną miną, ucisnął go oschle, jak po takiej jawnej kapitulacji nakazywały uprzejmość i dworski zwyczaj.

Mimo to serce jego przeszył dziwny chłód, gdy dotknął Heryna. Cieszył się wielce, iż założył skórzany napierśnik, powtarzając sobie w duchu ze złością, że był w łóżku jedynie z dwiema spośród dziwek o nazwisku Aswydd, i to z tymi mniej bezwstydnymi.

Odsunął chłodno Heryna i odwrócił się doń bokiem, jako że pozostali lordowie i ich stronnicy zaczęli podchodzić do stopni, aby co prędzej zapewnić o własnym poparciu, w bardziej honorowych słowach, nie korzystając z przykładu, jaki dał im Heryn. Nawet nieprzejednany Cevulirn ofiarował bardziej niż ceremonialne wsparcie przeciwko, jak się wyraził, domniemanemu odbudowywaniu mostów.

Podszedł także jeden urzędnik miejski z Henas'amef, trzęsąc się ze starości, który ujął dłoń Tristena – ku wyraźnemu zaskoczeniu młodzieńca – ukląkł i ją pocałował, przy czym łzy spływały mu po policzkach.

–Panie mój, Sihhe – pozdrowił go. – Tyś naszą ostoją.

Niech ci to będzie nauczka, pomyślał Cefwyn ze złością, zdziwiony zuchwałym uczynkiem człowieka; i wtedy dostrzegł minę Tristena, poruszonego tym zdarzeniem i kompletnie oszołomionego, gdy łzy starca dotknęły jego dłoni.

Wstyd ogarnął księcia, ponieważ zrozumiał, że we łzach i drzeniu starca nie ma nawet cienia polityki. Zdrada nie wchodziła w rachubę, był tylko stary człowiek, który wiele lat czekał, aby ujrzeć to – księżę mógł się z tym zgodzić – co właśnie widział... i na lepsze czasy dla mieszkańców Amefel i Elwynoru, jeśli wszystko okaże się prawdą i zostanie

zaakceptowane przez Marhanenów: tak właśnie wyglądał dar Cefwyna dla ludności Amefel.

Doskonale to teraz rozumiał. Stary, cherlawy urzędnik uklęknął i pocałował również jego dłoń, a on pomógł mu wstać oraz, co więcej, wziął go w ramiona. Bał się – strach targał jego sercem – własnych, podyktowanych zazdrością odruchów.

Znał poglądy swojego dziadka, jego skłonność do podejrzeń, napady złości, zazdrość, w której wychowywał dwóch synów – tę samą zazdrość, która powodowała księciem i wszystkimi Marhanenami, stanowiącą ich przekleństwo, ich wadę wrodzoną. Pocałował starca w policzek, demonstracyjnie, z wyrachowaniem uznając prawa rodowego Amefińczyka.

Był Marhanenem. Nie mógł się obejść bez politycznych rozgrywek, które, wraz z temperamentem, płynęły w jego żyłach.

Wszczął się istny rwetes. Ciżba amefińskich ciał irytowała gwardzistów.

Amefińczycy, którzy nigdy do tej pory nie odważyliby się zbliżyć do księcia Ylesuinu, składali mu (i Tristenowi) wyrazy szacunku.

Ta godzina należała do Cefwyna. Zaprowadził pokój w swoim dystrykcie. Sihhijski sztandar prezentował się okazale na sali, gdzie niegdyś wisiał jako chorągiew królewska, dzisiaj wciśnięty między sztandary Ylesuinu. Sihhijski, aetheling w umysłach ludzi, złożył przysięgę na wierność i posłuszeństwo księciu Marhanenowi, jego tytuły zostały prawnie ogłoszone i uprawomocnione – wobec powyższego sam stał się księciem. Przepowiednia, według której Elwynor miał znów połączyć się z Amefel, została spełniona, choć inaczej, niżby sobie tego życzyli regenci Elwynoru.

Czeladź wносиła tymczasem stoły. Wszystkim dowodził Annas. Annas umiał prawidłowo odczytywać niuanse danej chwili, tak samo jak mistrz Tamurin odczytywał rachunki; wiedział, kiedy się w mieszać i kiedy zrobić to stanowczo i z hałasem.

Była dziczyzna i prosięta, podawano zające i pasztet z kuropatwy – regionalną specjalność. Pojawiły się dzbany z winem, kręgi białego i żółtego sera, jasne i ciemne pieczywo. Talerze śmigły na stoły i ze stołów z precyzją przywodzącą na myśl żołnierską musztrę. Dania napływały nieskończoną rzeką, pieczenie, cielęcina z rożna i pieczone ryby, serwowane nie tylko w głównej sali, ale też na placu musztry, gdzie zaproszona przez księcia szlachta z Henas'amef, w przepysznych szatach, ucztowała przy zastawionych wieczorem stołach.

Każdego wejścia pilnowali guieleńscy gwardziści; nie wymachiwali co prawda ostentacyjnie bronią, lecz byli zrównoważeni, czujni, świadomi tego, że każdy potencjalny zamachowiec bądź osoba chcąca nająć zamachowca spośród Amefińczyków prawdopodobnie gości tego wieczoru na zamku lub na dziedzińcu. Niemniej zabaw i jadła było w bród zarówno na podwórku, jak i na sali, nie wspominając o kotłach z gulaszem, wystawionych na rynku w dolnym mieście, oferujących kolację każdemu, kto tylko przyniesie miskę, a kolację i

deseczkę z chlebem dla tych, którzy nie mieli nawet miski – w ten sposób książę dawał wyraz swej hojności.

Wyświadczając wątpliwą grzeczność gwardzistom, zmęczonym już i śpiącym, Idrys przestrzegał każdego z osobna, powołując się na rozkaz księcia, że nie może być żadnych skarg na popychanie czy na grożenie piką lub mieczem; w razie, czego nie wolno się wahać, lecz nie wolno też zaogniać amefińskich temperamentów. Na dziedzińcach Zeide rozbrzmiewały radosne okrzyki, dolatujące przez okna na salę, słyszalne ponad gwarem uczujących: krzyczano na wiwat, wznoszono toasty, sporadycznie komuś zakręciło się w głowie, ale tylko raz do tej pory zaszło poważniejsze naruszenie spokoju, a to z przyczyny młodej szlachcianki z miasta i trójki zalotników. Królewskie prawo mogło doścignąć winowajców. Mogło skończyć się na aresztowaniach.

Jednakowoż, powiadomiony o powodach zajścia, Cefwyn postanowił je zignorować i nakazał gwardzistom, by i oni przymknęli na to oczy. Siedział przy najwyższym stole pomiędzy Herynem i Umanonem, opodal ucztowali Sovrag z Pelumerem, Cevulirna i

Tristena rozmieszczono tak, aby nie mogli się z sobą łatwo porozumiewać.

Za plecami księcia bez przerwy czaił się Idrys, Uwen strzegł Tristena, a służba pozostałych lordów krążyła tu i tam, wypełniając podobne zadania. Gdyby ktoś spożył sos z muchomora albo został nagle pchnięty nożem, jego świta z pewnością dokonałaby zemsty.

Bezpieczeństwa Heryna nie strzegł jednak żaden Amefińczyk, tylko Gueleńczycy, co mogło mu wyjść jedynie na dobre, jak uważał Cefwyn. Zanim jeszcze zszedł na salę, aby wysłuchać Herynowych zapewnień o całkowitym oddaniu, przykazał gueleńskim żołnierzom rozpowiadać wśród swych amefińskich komilitonów o księgach rachunkowych Heryna, puszczając w obieg pogłoski z tym samym zimnym wyrachowaniem, z jakim podpisuje się wyrok śmierci.

Jeśli tego wieczoru jakieś niepokoje ogarnęły Henas'amef, a zwłaszcza ten dziedziniec – wykluczając te związane z rozwinięciem sihhijskiego sztandaru wbrew królewskim zakazom – dotyczyły właśnie owych ksiąg. Dotychczas dwie wiadomości dotarły doń zza bramy Zeide, według których nadawca dysponował informacjami na temat przejawów lichwiarstwa i prosił, ażeby z samego rana książę posłał ludzi pod umówiony adres.

Cefwyn schował za koszulę oba świstki. Z umiarem popijał wino, podczas gdy Heryn pił o wiele za dużo, Umanon zaś za mało, aby się dobrze bawić.

Sovrag pochylił się nad stołem, omal nie przewracając kielicha.

–Wasza Książęca Mość! Czy Elwynimi wiedzą coś o tym młodym Sihhijczyku?

–Stawiam zakład, że się dowiedzą! – odkrzyknął.

–A chcesz, by wiedzieli, panie? Jeśli wola, do rana wszystko załatwimy.

–Chyba z tym poczekamy, lordzie Sovragu, niech wieść dotrze do nich zwykłym trybem. Z drugiej strony... – Pewna myśl przyszła mu do głowy, myśl ogólnie nie nowa, lecz nowa w tej chwili.

–Cóż takiego? – Paź podawał ciastka. Sovrag zagarnął pełną ich garść, przy czym ani na moment nie spuszczał wzroku z Cefwyna. – Cóż takiego, panie?

–Hm, mosty! Chciałbym mieć pewność, co do tych mostów!

–Tych w zasięgu Elwynimów, panie?

–Co? Tak, w ich zasięgu. Nie, miałem na myśli mosty Arachimów! Ciekaw jestem, czy przygotowuje się kładki, lekkie i poręczne, które można szybko położyć i szybko zdjąć.

Sovrag wyszczerzył zęby.

–No cóż, przepływałem tuż obok Emwy, lecz nic nie wpadło mi w oko. Chociaż nie wypatrywałem kładek pochowanych po chaszczach. Mógłbym tam wysłać łódź na przeszpiegi, i jeszcze dalej w górę rzeki, Wasza Książęca Mość, gdybyś jeno raczył obiecać chłopakom suwerena.

–Zgoda – odparł ku zgorszeniu Umanona, będącego świadkiem owej niegodnej lordów transakcji. – Dwa suwereny, jeśli się nie wygadają przed Elwynimami!

Sovrag rąbnął pięścią w stół i ryknął śmiechem.

–Załatwione, panie, załatwione! Hej, Brigoth! – Zawołał na swego sługę, przyciągnął go za wyłogi dubletu i krzyknął mu do ucha coś o łodzi i wypłynięciu o zachodzie księżycy.

–Idrysie – rzekł Cefwyn; zawołany nachylił się ku księciu.

–Dwa suwereny.

–Tak, Wasza Wysokość. – Akcent położony na tytule wyrażał to samo, co cichy gniew Umanona: książę Ylesuinu nie potrzebował targować się z wasalem i płacić mu za usługi. Dwa suwereny trafią w końcu do kiesy Sovraga, tego Cefwyn był pewien; wielce polubił lorda, który za swą przysługę wyznaczał przynajmniej jasno określoną stawkę.

–Dość miły z niego magik! – oświadczył następnie Sovrag. – Wygląda na zwyczajnego chłopaka.

–Jest uczciwy – odrzekł Cefwyn, wiedząc, że ich głosy są słyszalne w dużej odległości. – I prostolinijny.

–Mauryl zawsze postępował uczciwie. Skoro on przybył z woli Mauryla, a złoto na handel przestało się pojawiać, mówi zapewne prawdę, starzec nie żyje. Ja tak uważam. A więc przysiągł ci, panie, a także królowi?

–Złożył swoją przysięgę, to prawda.

–Niezła sztuczka – rzucił Sovrag, przy czym na kilku twarzach odmalowało się zdumienie. Potem złapał pazia. – Nalej dla sihhijskiego lorda – nakazał mu. – Zdrowie Jego Lordowskiej Mości, Sihhijczyka!

Paż co tchu pobiegł wykonać polecenie człowieka o wzroście giganta. Wlazłeś między wrony, więc teraz krakaj jak i one, pomyślał Cefwyn, wyrzucając sobie teraz, że tak rozochocił tego człowieka; nie dał się jednak zbić z tropu rubasznym nastrojem lorda z nadrzecza, wstał i wzniósł toast, najpierw za króla, później za zebranych na sali, a na koniec za sihhijskiego lorda.

Sam Annas napełniał po brzegi puchar Sovraga, jeden z tych większych, przy każdym toaście, po rozwlekłym wystawieniu króla, zacnych gości i niespodziewanego spadkobiercy Mauryla. Sovrag wypijał zawartość do dna.

W następnej kolejności Cefwyn zaproponował toast za zdrowie amefińskich gospodarzy, nie wspominając o Herynie, który niewątpliwie trząśł się z oburzenia.

Oszczędzono jednak księciu podejmowania decyzji odnośnie do wznoszenia na końcu toastu za zdrowie Heryna, gdyż Sovrag zsunął się z ławy i pozostało mu jako ostatniemu, samotnie, wychylić kielich.

Chociaż zaczął skromniej. Dzięki czemu – zgodnie z przypuszczeniami zatwardziałych opojów, którzy pozostawali jeszcze na dogasającym bankiecie – mogła narodzić się legenda, jak to książę Cefwyn, na stojąco, spił Sovraga z Olmernu, aż ten skończył pod stołem.

Nie chciał, żeby taki raport dotarł do uszu ojca.

Niemniej oceniał, że wieczór się udał, a wszyscy lordowie zostali należycie powitani.

Pomimo to później, wspinając się po schodach do swych apartamentów, z Tristenem u boku oraz Idrysem i Uwenem Lewen's-so-nem z tyłu, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wieczór nie zakończył się tak, jak sobie wymarzył, i że lordowie w trakcie uczyty nie zdołali przełamać wzajemnych animozji.

To Heryn okazał się trucizną, pomyślał. Heryn nie miał powodu cieszyć się z wieczoru, tym bardziej, że na uczcie pojawił się Tristen z zakazanym godłem i, co szczególnie zabolowało diuka, pozostali lordowie dosyć ochoczo spełnili toast za zdrowie młodzieńca.

Czary goryczy dopełniał fakt, iż – mimo że pod własnym dachem został zlekceważony przez Cefwyna – lordowie z południa, zwłaszcza pomniejsi lordowie z Amefel, tradycyjnie przeciwni Marhanenom, nie udzielili mu wsparcia w potyczce z księciem. To, że człowiek pokroju Heryna przystał na poniżające przeprosiny, nie zaskakiwało, zważywszy na resztę jego przedstawienia. Jednakże w ich szczerość Cefwyn mocno powątpiewał, czując się nieswojo nawet w otoczeniu gwardzistów. Zadawał sobie w duchu pytanie, dlaczego dał się schwytać w pułapkę, jaką stanowiło przyjęcie publicznej skruchy Aswydda, i dlaczego – zrazu zdeterminowany, by pozbyć się Heryna – zaczął następnie obmyślać sposoby zatrzymania diuka, zapominając na pewien czas o jego podatkowych przewinieniach na rzecz dobrodziejstw, jakie Heryn i jego przodkowie nader usłużnie wyświadczyli Marhanenom, stojąc na straży pokoju w kluczowej i kłopotliwej prowincji. Heryn zbyt dobrze znał amefińskich rebeliantów, by pozwolić na jakiś przedwczesny zamach stanu. W gruncie rzeczy Herynowi nie uśmiechał się bunt przeciwko całej dynastii Marhanenów. Pragnął on tylko i wyłącznie śmierci Cefwyna Marhanena: Cefwyn znał jego sztuczki, Cefwyn wścibiał nos w jego księgi, Cefwyn mógł zostać zbyt aktywnym i agresywnym królem. Efanor, zawsze nienawidzący pogranicza, nigdy by tu nie przyjechał po objęciu tronu, co byłoby na rękę Herynowi Aswyddowi. Podobnie jak był mu na rękę ojciec Cefwyna – dopóki nie postarał się o potomka być może nieco zbyt bezpośredniego w swoich opiniach i zbyt znanego ze swoich wybryków; potomka, którego ostrze król Inareddrin zamierzał zetrzeć na krnąbrnych karkach oraz w realiach rządzenia nieprzyjazną i przesiąkniętą czarami marchią.

Heryn jednak znajdował się (decyzja o jego losie została jedynie odroczone) pod baczną opieką gwardzistów. Siostry diuka, zwykle barwne ćmy przy lordowskim płomieniu, odrzuciły do komnat pilnowanych przez strażę i lordowska cnota nie miała się, czego lękać pod tym dachem, przynajmniej ze strony Aswyddów.

Dotarli na szczyt schodów, na bezpieczne terytorium rozległej, oświetlonej pochodniami sali, która ciągnęła się ku sporadycznie rozjaśnionej ciemności. Maszerowali w zupełnej ciszy, aż eskortujący Tristena gwardziści odłączyli się przepisowo od pozostałych, otaczających księcia żołnierzy, by odejść ku przeciwległej stronie sali.

Wówczas Cefwyn spostrzegł się, w jak głębokiej tonął zadumie. Zerknął na Tristena, aby życzyć mu dobrej nocy i – co wydawało mu się stosowne – zapewnić go, że godziny nauk pobieranych u Annasa wydały spodziewany owoc.

Zwlekał jednak minimalnie za długo. Tristen zdążył odwrócić się plecami i oddalał się już z pochyloną głową wraz z Uwenem i swoją eskortą – wysoka, groźna postać dla kogoś, kto nie znał jego pełnego łagodności usposobienia; czerń upstrzona srebrem w mdłym świetle kinkietów wydawała się zbyt posępnym kolorem, jak dla owego niewinnego gościa.

Jakże przygnębiające Tristen robił wrażenie, gdy tak szedł, bezbronny i dziwnie zasmucony, w świetle żołnierzy, jakkolwiek nad większością z nich górował wzrostem.

Elfwyn, nasunęła mu się nieproszona myśl i dreszcz nim wstrząsnął. Słabowity,

zamordowany sihijski król.

Elfwyn nawet w ostatniej chwili nie walczył o swoje życie. Nie chciał porzucić swego zamku ani swoich badań, dopóki nie przybyli żołnierze Marhanena, by wywlec go na śmierć.

Elfwyn troszczył się wyłącznie o swoje książki, a oni spalili je wraz z Althalenem.

Tak wiele, wiele mądrości i wiedzy o Sihijczykach przepadło tam na wieki.

Tej nocy wszczął wojnę albo zaprowadził pokój. Wzniósł sztandar, jakim jego dziadek i ojciec zabronili się posługiwać w obawie przed elwynimskimi pretendentami.

Ale co nadał Tristenowi, to nadał, choćby miał na tym skorzystać Elwynor. Z uwagi na Tristena oraz wymierającą linię elwynimskich regentów nadzieja na pokój i rozstrzygnięcie długoletniego sporu stawała się uzasadniona. To właśnie zaproponował mu Mauryl, być może poddając próbie ylesuińskie pragnienie pokoju, a także królewskość księcia, jaki będzie i jakim mógłby być, gdyby udało mu się uśmierzyć ów stary spór i doprowadzić do trwałego pokoju z królestwem Elwynoru – zawierającym w samym sobie sześć prowincji – które niegdyś, wraz z Ylesuinem, Amefel, Marną oraz ziemiami położonymi dalej na zachód i południe, stanowiło imperium Sihijczyków.

Spięci łańcuchem mężczyźni pod drzwiami zburzyli tok jego zawikłanych myśli. Młodzieniec z Olmernu i Ivanim wciąż stali na warcie. Ujrzał oczy chłopca, szkliste w blasku świec.

Przystanął.

–Czy ten człowiek jest chory? Ivanim zachowywał ponure milczenie.

–Nie, Wasza Wysokość – stwierdził chłopiec. Księżę spojrzał na gueleńskiego sierżanta.

–Zmień wartę, sierżancie. Idrys, zakładam, przekazał ci moje warunki co do tych ludzi?

–Tak, Wasza Księżęca Mość.

–Obowiązują ich takie same racje żywności i taki sam rozkład wart, jak twoich ludzi. Postępujcie z nimi łagodnie, o ile oni będą postępowali łagodnie wobec siebie. Jeśli jeden zabije drugiego, chcę mieć natychmiast meldunek. Znają konsekwencje.

–Wasza Wysokość.

Cefwyn wszedł do swojej komnaty, stęskniony za ciepłem z kominka. Skrzyżował ciasno ramiona i stanął z pochyloną głową, zdając sobie nagle sprawę z ciężaru skórzanego, nabijanego metalowymi guzami napierśnika. Bolały go stawy.

–Panie?

Przestraszył się Idrysa. Nie wiedział, że jest komnacie.

–Straże mają pozostać niezmienione, Wasza Książęca Mość?

–Na bogów, tak, niezmienione.

–Tak, Wasza Książęca Mość.

Idrys wyszedł, wyglądając na zadowolonego. Cefwyn udał się do drugiego pomieszczenia, do sypialni, tocząc odruchowo oczyma po zacienionych kątach w poszukiwaniu zasadzki. Przyzwyczajenie na całe życie. Spodziewał się pewnego dnia zginąć z ręki skrytobójcy. W jego rodzie była to dosyć powszechna śmierć. Nie lękał się cieni, w przeciwieństwie do dziadka i ojca. Obywał się bez świec. Nie dowierzał quinaltynom ani poświęconym przez kapłanów świecom. Być może taką naturę odziedziczył po przodkach – skłoną to posępnych, fatalistycznych przemyśleń.

Być może zdołał rozwiązać zagadkę Mauryła, związaną z Formą, którą czarodziej postawił u progu siedziby Marhanenów. Był trzecim pokoleniem po Althalen, pokoleniem, gdzie wszelkie przekleństwa i możliwości, jak się wydawało, nareszcie się ziściły. Był przyszłym królem Ylesuinu. A Tristen... Tristen mógł pełnić rolę rękoi bezpieczeństwa na tym pograniczu, prowincjonalnego lorda, może nawet wasalnego króla błahego królestwa, w którym ludzie ze wschodu nie byliby podporządkowani sihijskim lordom ani sihijskim monarchom. Cefwyn zaczął budować pokój, umarzać zadawnione spory. Śnił o królestwie, w którym połowa wieśniaków nie musiałaby być nieustannie postawiona w stan gotowości bojowej lub trzymać broni w pogotowiu; o królestwie niemuszającym lękać się własnych zachodnich prowincji, wylęgarni zamachowców. Widział dosyć zabójców, uczestniczył przy wystarczająco wielu egzekucjach, dość miał pogrzebów.

Jeżeli król sądził, iż w czasie roku jego spadkobierca spuści z tonu i okrzepnie, powinien również wiedzieć, że przekazanie mu naczelnego dowództwa niekoniecznie musi prowadzić do zbieżności myśli. Coraz mniej, zamiast coraz więcej, przypominał ojca. Bawił się w litość. Folgował wiedźmom. I – na bogów! – pomyśleć tylko, na oczach quinaltynów i południowych lordów wywiesił zakazany sztandar.

Niemal słyszał słowa swego brata: „Ojcze, on postradał zmysły. Coś go opętało”.

Tyle, że nie słyszał jakoś: „Ojcze, poślij mnie, abym zaprowadził porządek”. Efanor nie przepadał za Amefel i długimi niewygodami.

Efanor, młodszy brat, został sownie wynagrodzony Llymarynem, prowincją, gdzie żaden przejaw rebelii nie wzruszał latem liści, gdzie winnice wydawały bujny owoc, gdzie ziemią władała pobożna ortodoksja quinaltynów, a nikt nie miewał przeciwnych i kłopotliwych myśli. Trudno było splamić swe sumienie w Llymarynie, w świętym sercu narodu o czysto gueleńskim rodowodzie, w krainie niemuszającej bronić granic przed sąsiadami; lordowie rywalizowali tam między sobą jedynie w komplementowaniu młodszego syna króla, mówiąc,

jaki jest prawy, dobry i sprawiedliwy, jak to boski trybunał przyznaje słusność jego poczynaniom.

Efanor spędził rok swej administracyjnej próby w raju, wychwalany, pieszczony i wciąż pewnie cnotliwy: Llymarynem władał quinalt, który zawładnął chyba ostatnio wszystkimi myślami Efanora.

Zdjął czerwony dublet i odrzucił go na bok; nie na podłogę: nie utrudniał życia paziom wraz z nim cierpiącym na tym wygnaniu, chłopcom, którzy stali się ostrożni, nauczyli chodzić dwójkami i zmizernieli na twarzy.

–Chłopcze! – zawołał, na co jeden ze śpiących na ławie paziów poderwał się na równe nogi i pośpieszył, by złapać dublet. A potem koszulę.

Wszedł Idrys. Usłyszał trzask zamykanych zewnętrznych drzwi i kroki Idrysa w sąsiednim pomieszczeniu. Idrys rozmawiał z którymś z paziów, najprawdopodobniej wbijając mu do głowy wskazówki dotyczące opieki nad gościem księcia.

Lord komendant nie pochwalał postępowania Cefwyna, ale nic służył też królowi. Księżę zaczynał w to wierzyć. Idrys przebył z nim dzisiaj długą drogę, przekroczył granicę decyzji, która obecnie bądź to upoważniała ich do negocjacji z Elwynorem, bądź oznaczała, jeśli nie wybuch wojny, to przynajmniej okres nader chwiejnego pokoju. Teraz księżę miał wojsko i mógł pozwolić sobie na upór. Zademonstrował, iż w każdej chwili może je zawezwać. Zademonstrował zdolność do niebanalnych posunięć.

Zastanawiał się, co odkryją chłopcy Sovraga, czy rzeczywiście, czego się lękał, budowane są lub wzmacniane mosty, by szybko można je było pokryć kładkami, i czy rzeczywiście Elwynimi pod przykrywką ślubnej oferty gotują się do wojny.

Wkrótce się okaże, pomyślał, czy panna młoda wciąż na niego czeka lub co zrobi elwynimski regent, gdy się dowie, iż w rękach Marhanena znajduje się przyszły król sihhijski.

Rozdział dwudziesty

Promienie słońca wlewały się przez szyby w komnacie, do której przywykł w ciągu dni niewoli. Na tę pozbawioną niemal wypukłości stronę budynku przylatywało mniej gołębi, gdyż gzymsy i pochyłości były tu rzadsze i niezbyt dogodne. Tristen przez chwilę leżał beczynnym w łóżku, wpatrzony w sączące się przez szkło światło, nie widząc tego ranka żadnego powodu do wstawania, najmniejszego powodu, by cokolwiek robić. Zeszłego wieczoru zachował się wedle życzenia Annasa. Przypuszczalnie zadowolili Cefwyna.

Przypuszczalnie zadowolili też lordów, których imion nauczył go Annas, a być może nawet owego lorda, przed którym Annas go przestrzegał.

Ale to się już stało. Nie miał pozwolenia na jakiegokolwiek zajęcie. Skoro wczoraj nie dostał

żadnego pozwolenia, więc i dzisiaj nie spodziewał się takowego.

Gdy usłyszał krzątającą się czeladź oraz głos Uwena, zrozumiał, iż tylko patrzeć, a gwardzista wejdzie do środka, udając dobry humor, pytając – jak pytał od wielu dni – na co miałby dziś ochotę, i gawędząc dla zabicia czasu na błahe tematy.

Był wdzięczny Uwenowi. Zamierzał posłać go na dół, do biblioteki, po kolejną książkę z poezją lub filozofią, skoro Cefwyn zabronił mu czytania książek o innej treści. Zamierzał popróbować również swych sił z Książką od Mauryła, lecz z biegiem czasu wiązał z nią coraz to mniejsze nadzieje.

Wmawiał sobie, a w zasadzie kiedyś sobie wmówił, że jeśli zdoła ją przeczytać, sytuacja radykalnie się odmieni, przybędzie mu mądrości, przestanie robić błędy, tak, że

Cefwyn będzie zeń zadowolony, a on się stanie, jak mu to przepowiedział książę, jego przyjacielem.

Odkąd zgodził się zostać przyjacielem Cefwyna, usłyszał sporo na temat właściwego zachowania, odpowiadania, unikania błędów. Często widywał się z Annasem, uprzejmym i cierpliwym... choć w niewielkim stopniu przypominającym Cefwyna.

Przez większą część dnia książę był bardzo zajęty, jak powiedział U wen.

Książę miał na karku bardzo wielu ludzi, którym musiał poświęcić swój czas i uwagę.

Także Mauryl był zajęty swoimi obliczeniami, więc Tristen nauczył się cieszyć samą jego obecnością. Powinien cieszyć się obecnością Cefwyna, to wszystko.

Nie mógł dłużej wytrzymać w łóżku z tak natarczywą myślą. Wydostał się spod pościeli, po chłodnej posadzce, na bosaka, podreptał do paleniska, gdzie wrzucił pogrzebaczem kupkę popiołu i węgli, skarłała w porównaniu z rozmiarami kominka, aż strzelił niewielki ogieniek, na którym zwykle parzył herbatę i podgrzewał wodę – wszystko to słudzy z chęcią przynosili z dołu, chociaż zazwyczaj już chłodne; a czasami pojawiali się na tyle późno, że zdążył zapomnieć, iż w ogóle miał na cokolwiek ochotę. Wolał już osobiście spełnić ów obowiązek, a poza tym lubił ciepło kominka. Zauważył, że również Cefwyn trzyma w swym luksusowym apartamencie mały imbryczek, jakkolwiek miał służbę na każde skinienie, wobec czego doszedł do wniosku, iż nie będzie to nikomu przeszkadzać.

Uwen nadszedł przed służbą, by życzyć mu dobrego dnia. Czekając na ciepłą wodę, ogolił się w zimnej – czynności tej nie powierzał żadnemu służącemu – podczas gdy Uwen wybierał dlań ubranie, a czeladź czekała, by mu je podać. Umył się. Obejrzał swoje odbicie, nie w wielkim szklanym zwierciadle, zawieszonym w pokoju, ale w srebrnym lusterku, podarunku od Mauryła, z którym nie rozstał się pomimo wszystkich przeprowadzek. Lustro ukazało mu poważniejszą, bardziej zamyśloną twarz niż w dniu, kiedy dostał je od czarodzieja. Było to jego lustro prawdy. Ze względu na niewielkie rozmiary mieściła się w

nim jedynie twarz, brakowało miejsca na bogate stroje, na dekoracje wnętrz. Pokazywało mu zmiany zachodzące w nim samym, a nie w rzeczach darowanych bądź użyczonych przez innych ludzi; nie pozy, które przy nim przybierali.

Zastanawiał się, czy Mauryl pochwaliłby to, co się w nim odbijało.

Zaprzagnął zabrać do ogrodu swe książki. Ostatnio nie zezwalali mu na podobne wycieczki. Oni nie zezwalali, „oni” nie zezwalali albo zezwalali, tak usiłował myśleć, choć wiedział, że w istocie nie byli to żadni „oni”, tylko Cefwyn, który zabraniał lub zezwalał. Ci „oni”, sprzeciwiający się jego życzeniom i więżący go w tym pokoju, uzyskali anonimową osobowość i jej to przypisywał wszelkie mniej życzliwe uczynki Cefwyna. Cefwyn był wobec niego uprzejmy. Cefwyn uściskał go serdecznie. Cefwyn traktował go tak, jak traktuje ważne osoby. To „oni” zakazali mu wychodzić do ogrodu.

„Oni” mogli, bez potrzeby zbytniego popuszczania wodzy fantazji, uwzględnić także Idrysa, którego brak zaufania i złośliwość wyraźnie odczuwał.

„Oni” z powodzeniem mogli objąć swym zasięgiem przybyłych z daleka lordów, rozmawiających jedynie o wojnie i przemocy, którzy tamtego wieczoru zmusili Cefwyna, by się do nich upodobnił. Miał wątpliwości, czy ich lubi.

„Oni” mogli pomieścić w swoim gronie także czeladź i gwardzistów pragnących, aby nie rzucał się w oczy, aby nie narobił jakichś szkód, aby nie zaczął zachowywać się w nieobliczalny sposób. Popełniane przezeń pomyłki, kiedy jeszcze mieszkał z Maurylem, zagrażały bezpieczeństwu ich obu, toteż Mauryl go ostrzegał; teraz zaczął podejrzewać, iż owe pomyłki mogły przyczynić się do śmierci ludzi pod wioską Emwy – nie miał stuprocentowej pewności, lecz coś przecież spowodowało taki właśnie rozwój wydarzeń, a czynienie szkód należało (przynajmniej w Ynefel) do jego specjalności, wynikającej z braku doświadczenia.

Wiedział zatem, że wina może leżeć po jego stronie, a przedłużająca się niewola jest prawdopodobnie w pełni uzasadniona, a nawet zarządzona jako środek zapobiegawczy, ponieważ był skory do głupstw, jakkolwiek przez krótką chwilę podczas jazdy do Emwy, a nawet później, miał przeświadczenie, że wie, co robi. To absolutne przeświadczenie nie raz napytało mu biedy.

Tak więc przekonywał samego siebie, iż Cefwyn żadną miarą nie chce zadawać mu udręki. Cefwyn nie pragnie niczego poza wręczaniem mu pięknych strojów i pilnowaniem, aby zajął należne mu miejsce pomiędzy wykształconymi i kompetentnymi ludźmi.

Wydawało mu się, że wczorajszego wieczoru zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwali.

Tyle, że nie przypadła mu do gustu atmosfera niezgody; albo jawne nieposłuszeństwo, jakie Cefwynowi okazał Heryn. Zdeprymowały go grubiaństwo Sovraga i chłód Cevulirna. Nie

przywykł do tak przeciwstawnych zachowań. Nie wyobrażał sobie, kto mógłby im udzielić reprimendy – oprócz Cefwyna. Albo króla, z którym się nigdy się spotkał.

Nie sądził, aby Cefwyn opuszczał salę w zupełnie sielankowym nastroju. Nie sądził, aby wieczór zakończył się całkowitym sukcesem. Zdawał sobie sprawę z nieprzyjaźni między Cefwynem a Herynem i zastanawiał się, dlaczego Cefwyn go tam zaprosił i dlaczego Heryn tak bardzo starał się ściągnąć na siebie jego gniew. Nie rozumiał wielu aspektów tego zebrania, mając nadzieję, że przynajmniej on zachował się zgodnie z życzeniem Cefwyna. Bronić Cefwyna. Być może powinien był zabrać głos, kiedy Heryn wnosił swoje obiekcje. Kto wie, czy właśnie w tej sprawie nie zawiódł? Początkowo nie wiedział nawet, że Heryn postępuje niewłaściwie. Nigdy nie potrafił na czas zrozumieć podobnych rzeczy.

Stał nieruchomo, zapatrzony daleko przed siebie, a tymczasem Uwen podawał mu koszulę. Założył ją, przytomniejąc.

–Nie lubię czerni – powiedział, oglądając szaty rozłożone przez Uwena na łożku.

Uwen wzruszył bezradnie ramionami. Miał na sobie czarny płaszcz z miniaturową srebrzystą naszywką z wizerunkiem sihijskiego herbu. Pod płaszczem kryła się szara zbroja, do boku przypasano wysłużony sztylet. Postaci Uwena nie cechowała wprawdzie ta sama nieskazitelność, co zeszłego wieczoru, lecz niewiele jej brakowało; poznaczona szramami twarz była dokładnie ogolona, siwe włosy – przycięte i zaczesane.

Nie spodziewał się, by ta przemiana miała trwać dłużej; znać było, że Uwen nie czuje się swobodnie ani szczęśliwy w nowym przebraniu. Tristen przyjął oferowane szaty; nakazano mu stale nosić kolczugę, z trudem znosił to utrapienie, zwłaszcza wobec zakazu opuszczania komnaty. Usiadł, by włożyć buty; gdy poradził sobie z pierwszym, znieruchomiał i zapatrzył się przed siebie, rozmyślając o Ynefel i swoim własnym pokoju, zastanawiając się, jaki los spotkał gołębie, gdzie obecnie poluje Sowa i czy, gdyby powędrował nad brzeg rzeki w pobliże mostu, mógłby się z nią spotkać.

Drugi but. Uwen czekał opodal. Tristen poczuł zapach jedzenia. Napłynął niczym intruz w towarzystwie otwieranych drzwi i gwaru służących w przedpokoju. Rozpacz podpowiadała mu wystosowanie bezpośredniej prośby do Cefwyna, aby pozwolono mu przynajmniej pospacerować i zobaczyć się z tymi nowo przybyłymi lordami.

Być może robili ciekawe i ekscytujące rzeczy.

Być może spośród wielu przyjezdnych znalazłaby się choć jedna osoba, która by z nim zechciała porozmawiać.

Przypuszczał jednak, że przed tym właśnie Cefwyn pragnął się ustrzec.

Olmern – z tą nazwą nie spotkał się wcześniej. Ale Toj Embrel i Imor były Nazwami o osobliwym znaczeniu w jego umyśle. Wspominał twarz lorda z Toj Embrel, diuka Ivanoru,

medytując, czy darzy on przyjaźnią diuka Imoru; przypuszczał, że nie, aczkolwiek nie miał podstaw do takiej opinii, jeśli nie liczyć zwykle chmurnego oblicza Umanona i jego wzdorliwej miny.

A do tego ci ludzie, spięci łańcuchem, których Cefwyn postawił za swoimi drzwiami: to również pojawiło się wraz z przybyszami, ta niezwykła iskra okrucieństwa w Cefwynie, którego wyobrażenie bardzo nim wstrząsnęło i dręczyło w łóżku. Ciekaw był, czy ludzie ci wciąż stoją na swym posterunku.

–Dobrze się czujesz, panie?

Spojrzał na zatroskaną twarz Uwena.

–Dość dobrze. – Powstał i pozwolił, by Uwen pomógł mu nałożyć płaszcz, ten z zeszłego wieczoru, z naszytymi Wieżą i Gwiazdą. Uwen oświadczył, że rękaw i aksamitny naramiennik z herbem zostaną usunięte, ale jednolity rękaw nie jest jeszcze gotowy.

Nie dbał o to, czy będzie miał na rękawie sihijskie godło. Nie obchodziło go ani trochę, co się znajduje lub nie znajduje na jego ubraniu. Zapiął pas i zatknął zań sztylet o srebrnej rękojeści, stanowiący komplet wraz z resztą stroju. Przez chwilę stał wpatrzony w okno, dopóki nie połapał się, że Uwen nadal na niego czeka, no i że Uwen też już chce zjeść śniadanie.

–Niech podają – powiedział, obciążony zbroją, dusząc się w aksamitach. Jakże pragnął wyjść na zewnątrz i na rześkie powietrze, być może do archiwum! A nuż się zgodzą?

–Tak, panie – odparł Uwen poważnie. I mrugnął. – Jego Wysokość powiedział, że jeśli pojedziesz jak należy, możesz zapomnieć na razie o bakałarzach i krawcach. Ponoć ogród tylko czeka, a z pastwiska przyprawiono Gery. Pomyślał, że rad byś się przejechał do wschodnich stajen, poza murami. Tylko zjedz wprzód śniadanie, panie.

–Czy oni obiecują? – zapytał. Przywykł do tych „oni”. Lecz serce podskoczyło mu z radości.

–Dają uroczystą przysięgę – odrzekł Uwen. – Siadaj no do śniadania i pij tę herbatę, panie. Nie stój jak koń przy żłobie.

U miejskiej bramy uderzono w dzwon, choć do południa było jeszcze daleko. Takie dzwonienie o niezwykłej porze oznajmiło uprzednio przyjazd nowych gości.

–Myślałem, że są tu już wszyscy lordowie.

–I jam tak myślał – odparł Uwen. – Ale ty lepiej bierz się za śniadanie. Żadnego wybiegania. Mam swoje rozkazy.

Usiadł posłusznie i pozwolił się obsłużyć.

–Usiądź – zwrócił się do Uwena, który usiadł z ociąganiem, niezbyt zadowolony z tego pomysłu.

Podano poranną herbatę, jajka, świeże bułeczki i miód. Nie rozlał ani kropelki, pomny na nauki Annasa. Niemniej myślami był przy bramie, a także w stajni; zastanawiał się też, czy później spotka się z gołębiami. Owinął bułkę serwetką, postanawiając zejść do ogrodu po powrocie z przejażdżki.

Wtem rozbrzmiał dzwon u bram Zeide, obwieszczający przybyłego do fortecy gościa.

–Już skończyłem – oznajmił Tristen i podszedł do okna, aby spojrzeć na ową niewielką przestrzeń alejki prowadzącej ku stajniom, pomiędzy zachodnią wieżą a stajennym murem.

Usłyszał stukot podków na brukowanym dziedzińcu; szacował, podniecony, którądy przejadą goście, starając się nie mrugnąć, ażeby czegoś nie pominąć. Stajenni biegali, odmykali bramę. Pojawili się także strojni ludzie, których pamiętał z sali.

–To na pewno nie patrol, panie – mruknął Uwen. – Raban by taki nie powstał. Jacyś nowi goście nam się tu zjechali.

Począł, a dokładnie w wyliczonym momencie w szczelinie błysnęli jezdni, załopotali czerwone chorągwie.

–Gueleńczycy! – zakrzyknął Uwen. – Dobrzy bogowie, toż to gueleńska konnica, na dodatek pod Smoczym Sztandarem. Pewno z orszaku króla.

–Z Guelemary? – zapytał Tristen.

–Ano – zgodził się Uwen. – To rzecz pewna, a przynajmniej ktoś z bezpośredniego otoczenia króla.

–Emuin.

–Może być.

Tristen odwrócił się spiesznie od okna i pognął ku drzwiom.

–Chłopcze! – zawołał za nim Uwen.

On jednak minął już sprzątającą ze stołu czeladź i przestraszone straże, w takim pędzie, że zobowiązana do podążania za nim dwójka niewiele wyprzedziła Uwena w pościgu za uciekinierem. Zbiegał marmurowymi schodami z taką zwinnością, jakby pokonywał drewniane stopnie w Ynefel, napędzając strachu każdemu wartownikowi wzdłuż dolnej sali, aż w końcu zagrodzono mu drogę.

–Przepuście mnie! – powiedział, a wtedy nareszcie dogonili go strażnicy z Uwenem.

–Niechaj tak będzie – rzekł Uwen do gwardzistów, którzy odsunęli się zmieszani, lecz zanim precyzyjnie się wraz z dwójką przybocznych koło dwójki wartowników w odmiennych barwach, Tristen zdążył zbiec ze schodów.

Na dziedzińcu panowało wielkie zamieszanie, czerwone chorągwie, piękne konie, barwnie odziani ludzie – wcześniej, gdy przyjeżdżali lordowie, nie zezwolono mu zejść na dół. Oszołomiony feerią kolorów i niezwykłym poruszeniem, wypatrywał znajomych twarzy, spotkanych dawniej żołnierzy, a w szczególności Emuina.

–Emuinie – pomyślał, zagłębiając się w szarą przestrzeń.

–Chłopcze! – usłyszał. – Chłopcze, gdzie jesteś?

Zdał sobie natychmiast sprawę z własnej pomyłki: Emuina nie było w pobliżu. Emuin znajdował się gdzieś... przy strumieniu. Pod szarą, cienistą wierzbą. Emuin siedział i mył twarz w wodzie, której on nie potrafił dostrzec.

–Emuinie, myślałem, że to ty. Przepraszam.

–Chłopcze, co się dzieje? – Emuin zaniepokoił się raptownie. Poderwał się na nogi, opędzając się od wymaganych wierzbowych liści. Trzymał but w jednej ręce, książka zsunęła mu się z kolana.

–Tristenie! Kto tu?! Uważaj, powiadam!

Jeden z mężczyzn na dziedzińcu, cały odziany w złoto i czerwienie, dosiadał białego rumaka. Człowiek ów zeskoczył tuż przy schodach, strasząc tym Tristena, który powrócił do rzeczywistości.

Zanim jednak lord wstąpił na schody, biały koń stanął dęba, na co ów człowiek obrócił się na pięcie i chwycił zarówno lejce, jak i chłopca stajennego, rozdzielając jedno od drugiego i ciskając tak siarczyste przekleństwa, jakim nawet żołnierze nie mogliby sprostać.

Powstał zadziwiający zamęt; Tristen wytrzeszczał oczy, kiedy dotarli do niego Uwen i dwaj gwardziści. Ze stajni wyszedł mistrz Haman, aby przebłagać zagniewanego lorda w czerwieni. Haman zajął się osobiście pięknym wierzchowcem, a wówczas lord, nie racząc podziękować, wciąż nadąsany, na powrót wstąpił na schody z grymasem niezadowolenia na pięknej twarzy.

Tristen cofnął się, chcąc ustąpić miejsca lordowi, lecz ten zatrzymał się jak wryty i obrzucił go tak zdumionym i gniewnym spojrzeniem, że młodzieniec zamarł w bezruchu.

–A czymże ty jesteś, do diabła? – zapytał. – Cóż to za gburowate żarty?

Tristen zapomniał języka w gębie w obliczu tak wielkiej furii, która dopiero, co przetoczyła

się po dziedzińcu i wystraszyła nawet mistrza Hamana.

–Panie – podpowiedział mu Uwen półszepem, stojąc nieco z tyłu. – To Jego Wysokość księżę Efanor, młodszy brat księcia Cefwyna.

–Wasza Książęca Mość – wydukał Tristen; jeśli istotnie miał przed sobą książęcego brata, zamierzał go polubić ze względu na Cefwyna.

Efanor cofnął się jednak i położył dłoń na mieczu.

–Kimże jesteś, pytam?

–Tristen, panie. Zapewniam, że...

–Wasza Wysokość – wtrącił Uwen, zbliżając się skrajem schodów z wyciągniętą, pustą dłonią. – Jeśli wola Waszej Wysokości...

–Znajda Emuina. – Efanor się odprężył, lecz ręka pozostała na głowni, wyniosłe spojrzenie nie złagodniało, mina wciąż była chmurna. – Wyobrażałem sobie, żeś jest nieco młodszy, gdyż tak należało wnosić z raportów. Nie widzę nic zabawnego w przeklętym godle Ynefel, mój panie. Czyj to pomysł? Za czyją zgodą?

Tristen stał całkowicie zbity z tropu.

–Wasza Wysokość – rzekł Uwen. – Wasza Wysokość, proszę o łaskę, on nie jest zbyt lotny w rozumowaniu.

–A właśnie, że rozumiem – odezwał się Tristen ze strachu o bezpieczeństwo Uwena. – Nie ma w tym żadnej winy Uwena. Na to, co robię, mam pozwolenie od Cefwyna, panie.

–Nie wyładowuj na nim swego złego humoru, bracie – rozbrzmiał głos gdzieś nad głową Tristena, kilka stopni wyżej. – Ja tu jestem. Witam. – Cefwyn stanął obok niego. – Tristenie, wracaj do środka.

–Zostań! – nakazał Efanor szorstkim i oziębłym tonem, podobnym i niepodobnym do Cefwyna; również w innych szczegółach ci dwaj byli do siebie podobni i niepodobni zarazem. – Zaintrygował mnie ten człowiek, jeśli to w ogóle człowiek. Tak samo jak te wojenne przygotowania. Na kogo wyruszamy? I kiedy?

Czy prosi się mnie o pomoc? A może to czysto wewnętrzna rozgrywka?

–Skoro Ynefel upadła – odparł Cefwyn – zagrożona jest stabilność prowincji. To są zwyczajne środki ostrożności.

–Środki ostrożności – parsknął Efanor, wskazując zamaszystym gestem przepelnione stajnie. – Brak stosownego miejsca dla mojego wierzchowca. Wokół grodu obozy

zagrożające wydajnym sadom i dobrym pastwiskom. Nie masz upoważnienia do mobilizacji wojska, bracie. A to... – pokazał na Tristena. – Wśród całej tej wojennej krzątaniny, cóż za szczególny środek ostrożności. Czy sihijska gwiazda zdobi teraz twój proporzec? A może nadal używasz starego godła?

–Och, daj spokój, nie będziemy chyba omawiać polityki na dziedzińcu przed stajnią? Dysputować na oczach chłopców stajennych? Powinienem być się domyślić, iż wyruszysz niezwłocznie w drogę, skoro tylko dojdą cię wieści od Heryna. Chybaś dniem ni nocą nie popasał, co? A jak się ma król, nasz ojciec?

–I on śpieszy co tchu. Wyprzedził mnie po prawdzie na czele gueleńskich żołnierzy, zacny braciszku. Co może cię ucieszyć, ale nie musi.

–Co takiego? Ojciec tu jedzie?

–Czy to ci miesza szyki?

–W nieprzewidywalnych okolicznościach miesza, bracie. Skąd ów szczególny pomysł? Kto go podsunął? Emuin zapewne tego nie doradzał.

–Chodzi o wiadomość od twojego amefińskiego gospodarza. Poprosił króla o osobisty wgląd w sytuację nad Lenualimem. Podobno miała tu miejsce poważna agresja, której nie byłeś w stanie bądź, której nie miałeś ochoty zapobiec. Mianowicie w Emwy.

–W Emwy. – Cefwyn stał skonsternowany. Także Tristen miał wrażenie, że to nieprawda. – W Emwy?

–Czyż tak nie było?

–Gdzie on teraz jest?

–Przypuszczalnie znacznie wyprzedził mnie gościńcem, gdyż postanowił dotrzeć bezpośrednio na miejsce. Natomiast ja, maruder, zdecydowałem skorzystać z okazji i zorientować się w sytuacji właśnie tutaj. Sądziłem, że jesteś dobrym komendantem pogranicza.

–Ojciec przyjedzie najpierw tutaj.

–O nie, myślę, że zmierza prosto do samego Emwy, by przekonać się na własne oczy, jak tam stoją sprawy.

–Cóż za przekłety, podejrzliwy charakter! Nie wolno mu tam jechać! Efanorze, klnę się, że samemu sobie nie mogę zagwarantować tam bezpieczeństwa, cóż dopiero jemu.

–Czyż miał zatrzymać się tutaj? Rebelia w Amefel, Mauryl nie żyje, wsie splądrowane,

ogólny zamęt, nieuchronny rozpad...

–Heryn? Heryn przekazał mu takie wiadomości? I ojciec dał wiarę Herynowi Aswyddowi, a nie mi?!

–W rzeczy samej, Herynowi Aswyddowi. Prawowitemu diukowi Amefel. Powiedzmy, że Heryn wniósł na ciebie zażalenie, które ojciec zapragnął zbadać, zanim tu przyjedzie. Znasz ojca. A ja, jak przystało na brata, postanowiłem zaprowadzić ład w urzędniczych papierkach i ukryć przynajmniej twoje mniejsze grzeszki, z którymi się zetknąłem...

Cefwyn patrzył jednak gdzie indziej, jakby nie słyszał ani słowa.

–Na bogów! – westchnął. – Na łaskawych bogów! Stara droga. Do Emwy. Człowieku. Człowieku! – krzyknął, łapiąc towarzyszącego mu sierżanta gwardii.– Aresztuj Heryna Aswydda, jego kuzynów i siostry. Zajmij się tym! Prędeej!

–A to co znowu? – zdziwił się Efanor. – Łaskawi bogowie, Cefwynie...

Cefwyn zbiegł ze schodów i złapał Efanora za ramię, potrąciwszy Tristena.

–Jak daleko przed wami? Jak daleko, Efanorze?

–Nie jestem pewien, czy powinienem ci mówić. Spodziewałem się, że będziesz na granicy. Sam nie wiem, czy wierzyć moim oczom!

–Ja żyję na granicy, bracie! To właśnie jest granica! Nie znajdziesz tu nigdzie bezpiecznego miejsca! Wydaje ci się, że co ja tu robię? Heryn Aswydd poprosił ojca, żeby spotkał się ze mną w Emwy, na starym gościńcu do granicy, czyżbyś wciąż nie pojmował, bracie? Tak, nie jest tam spokojnie. Przeważnie kradnie się owce i rzuca kamieniami. Ale może buduje się również mosty...? Nadal czekam na najświeższe raporty. Jak daleko przed tobą, u licha?

–Zmitrężyłem nieco w Ansford. Nie mam pojęcia. Cefwynie, w imię bogów, co się święci? Czemu miałbym ci ufać?

–W takim razie zostań! – rzucił Cefwyn i rozejrzał się rozpaczliwie. – Żołnierzu, znajdź Idrysa! Kręci się gdzieś po dolnej sali. Jeśli go tam nie spotkasz, poślij oficera! Mistrzu Hamanie! Siodłaj lekkie konie, te najbardziej chyże, dla mnie i dwudziestu żołnierzy z mojej gwardii przybocznej. A żywo!

–Świeże konie! – zawołał Efanor nagle do swoich ludzi i całego dziedzińca. – Ruszamy ponownie w drogę! – Dogonił Cefwyna i obaj zeszli ramię w ramię ze schodów, podczas gdy Tristen odsunął się, oszołomiony. – Zaufam ci, Cefwynie! Ale jeśli wyprowadzisz mnie tam, a później każesz świecić oczami przed ojcem...

–Niech dziewięć głów nad południową bramą da ci pojęcie, co się dzieje w tej prowincji. Heryn łągał, aby skierować na mnie podejrzenia i wywabić ojca nad granicę. Przeklęty to człowiek, ale resztę wyjaśnię ci po drodze, bracie. Teraz szkoda czasu. Nie mamy go wiele... Tristenie!

–Pojadę z wami – zaczął Tristen.

–Nie! – odparł Cefwyn gniewnie. – Uwienie, zabierz go stąd i trzymaj pod kluczem, do diaska!

–Co to, to nie – sprzeciwił się Efanor. – Nie będziesz krył swych grzechów w domu! Chciałbym, żeby ojciec zobaczył owego gościa, który leży u podłoża całej tej tajemnicy. Niechaj nasz ojciec osądzi, cóżeś tu uchował, zanim przybędzie pod twój dach. Aresztowanie Hery na będę tolerował, dopóki nie ujrzę prawdy. Ale magik Mauryla pojedzie z nami, bracie, albo, przysięgam, dam ojcu radę, by się strzegł twej gościny, chyba, że powiesz mu prawdę, której i tak niechybnie od ciebie zażąda.

–Bracie, nie mam na to czasu!

–Ostrzegam, ten człowiek jedzie z nami albo moi ludzie aresztują go na oczekaniu i tak czy owak zabiorą ze sobą! Złamał królewskie prawo, nieważne, czy przy twoim współudziale, czy też bez niego.

Cefwyn ciskał spod oczu błyskawice, rozdarty, po czym odwrócił się, by wykrzyknąć rozkazy pod adresem pozostałych stojących przy bramie gwardzistów.

–Dawajcie go! – zawołał następnie przez ramię; Tristen domyślił się, że o niego chodzi.

–Panie mój, panie – mruknął Uwen, powstrzymując go ręką.– Wybłagajże zwolnienie. Ja z nimi pojedę, na pytania odpowiem. Widzisz przecie, że będzie tam niebezpiecznie. Wracaj na górę. Cefwyn cię zatrzyma, jeno udaj chorego. Nie da cię aresztować. Słusznie mógłbyś być chory, panie, a Efanor nie jest tu żadnym wicekrólem.

–Chcę jechać – oświadczył Tristen i zszedł na dziedziniec.– Potrzebuję Gery, Uwienie. Jest zdolna dojazdy?

–Ano, panie. Chyba tak. Powiem im. – W głosie Uwena nie było bodaj śladu zadowolenia i to bolało, ale nie mniej bolało pozostawanie w zamknięciu: rozumiał, czym pachnie aresztowanie, miał go po uszy tamtej pierwszej nocy pod bramą Zeide. Słyszał, jak Uwen wydaje rozkazy stajennym, przekrzykując zgietk związany ze szczękiem upręży, wprowadzaniem jednych koni do stajni, a wyprowadzaniem drugich (w liczbie czterdziestu czterech). Wezbrała istna powódź kolorów, zamęt powiększała jeszcze czeladź z kuchni,

straż zamkowa, a nawet amefińska szlachta i garstka chłopców z miasta, którzy wbrew przepisom przeszli przez otwarte wrota twierdzy, aby dociec przyczyny hałasów.

Gdy wyprowadzone ze stajni konie zostały już osiodłane, a Uwen w niemałej kompanii wracał ze zbrojowni – niemal biegiem, dopinając sprzączki i ściągając sznurowania – stajenni przyprowadzili z zagrody ryżą Gery i zarzucili jej na grzbiet czaprak. Gery strzygła uszami i toczyła dokoła wzrokiem, zaniepokojona wrzawą. Tristen uspokoił ją rękoma i pozwolił stajennym zamocować siodło. Tymczasem znaleźli się chorążowie, a paziowie Cefwyna nadbiegli z płaszczem i rękawicami; księżę właśnie wrócił ze zbrojowni z tarczą, hełmem i parą skórzanych bryczesów – ludzie Efanora byli podobnie wyposażeni. Gueleńscy gwardziści przywdziewali taki sam rynsztunek; żołnierze dociskali rzemienie i poprawiali siodła, stajenni pocili się przy podciąganiu popręgów.

W sumie oddział uformował się w bardzo krótkim czasie. Paż podał Cefwynowi jakieś zawiniątko, miecz i rękawice. Uwen miał na sobie swój prosty, skórzano-metalowy rynsztunek, ze Smokiem Marhanenów wciąż widocznym na ramieniu. Uwen posiadał miecz. Tristen nie miał żadnego. Żołnierze zaczęli wskakiwać na siodła, rozwinięto sztandary, chorążowie ruszyli na czoło, gdzie – jak się wydawało Tristenowi – było też jego miejsce.

Wspiął się na grzbiet Gery, jako że wszyscy czynili podobnie.

–Idrys – powiedział Cefwyn. – Gdzie jest Idrys?

–Nie znaleziono go – ktoś odparł.

–Psiakrew... Chłopcze! – Cefwyn wrzasnął na pazia. – Chłopcze, poczekaj no, przekażesz Idrysowi, co następuje. Ma kazać Cevulirnowi przyprowadzić setkę lekkiej jazdy na skrzyżowanie w Emwy. Przekaż wiadomość pozostałym lordom w obojętnej kolejności. Niech będą w pogotowiu... I słuchaj, chłopcze, bo to bardzo ważne: uwaga na jeźdźców bez chorągwi! Mogą to być zarówno Elwynimi zza rzeki, jak i wysłani na zwiady ludzie króla.

Cefwyn zwrócił wierzchowca i ruszył ku bramie, by poprowadzić tylu guleńskich gwardzistów, ilu miał pod swą komendą, czyli jakąś dwudziestkę. Dołączyło do nich sześciu ludzi spod Cevulirnowego znaku Białego Konia, a Efanor wiodł dwa szwadrony na świeżych, pożyczonych rumakach, ogółem ponad dwudziestu ludzi. Obecnie czoło oddziału zaczynało wyjeżdżać za bramę, formując szyk, gdyż na dziedzińcu brakowało miejsca, by pół setki kawalerzystów mogło rozciągnąć się w kolumnę. Przez bramę też trudno się było przecisnąć, lecz Tristen jechał możliwie najbliżej Cefwyna, a tuż za nim podążał Uwen.

Cefwyn się bał. Ufając słowom Efanora, jechał do Emwy, gdzie, co wszyscy wiedzieli, czaiło się niebezpieczeństwo; poza tym w wielkim pośpiechu, z ledwie garstką zebranych ludzi. I co gorsza, dumiał Tristen, Cefwyn jechał wraz z żołnierzami Efanora.

Ludzie kłamią. Zrozumiał to w ciągu krótkiego życia. Podobnie jak Słowem była Zdrada, Kłamstwo też było Słowem, uwzględniającym kłamstwa mówione królom.

Ktoś tu zapewne kłamał. Heryn Aswydd, bez wątpienia. Ale – z tego, co wiedział – Brat i Ojciec powinni oznaczać Miłość, a tymczasem Cefwyn nie wyrażał się nazbyt pochlebnie o swoich krewnych, co teraz zdawało się potwierdzać: nie zauważył szczególnej miłości ani zaufania pomiędzy Cefwynem i jego krewniakiem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Niech piekło pochłonie przekłętą podejrzliwość ojca, pomyślał Cefwyn; i powściągnął szarpnięciem wodze Danvy'ego, kiedy pożyczony wierzchowiec Efanora spłoszył się i poniósł w bok na ulicy w Henas'amef, ledwo omijając regały garncarza i wystraszonego psa. Efanor nie był w najlepszym nastroju: narowisty karosz, jakiego sobie wybrał, szedł tyle samo w bok, co i naprzód; Efanor, ów wielki jeździec, wybrał zwierzę, kierując się wyglądem, nie zdrowym rozsądkiem, a wszystko, dlatego, że chciał, by w czasie gonitwy przez pola podziwiano jego księżęcą sylwetkę. Niech go lichy porwie, przez całą drogę będzie walczył z tym koniem!

Wyniosła duma. Wyniosłe usposobienie. Wszystkie figury na planszy niech grają przeciwko sobie. W ich rodzie to było dziedziczne. Ojciec wyruszył, nie informując Efanora o przyczynach, nie ufając w swych planach żadnemu doradcy. Prędko w działaniu, nieskory do jakichkolwiek zwierzeń, nawet wobec sojuszników: Inareddrinowi przypisywano umiejętność wydobywania informacji, których w mniemaniu swych wrogów nigdy nie powinien uzyskać, oraz stosowanie gwałtownych i bezlitosnych środków tudzież zadawanie ciosów, zanim zdrajcy lub wrogowie zaczną mieć się na baczności...

Strategia ta obrosła w legendę, lecz sprawdziła się w praktyce w czasie długiego życia, pełnego pomniejszych buntów i niepokoików na wszystkich granicach. Ale żeby powiadomić Efanora o swych podejrzeniach, nie oskarżając jawnie syna? Żeby wyruszyć z takim impetem ze względu na wiadomość od amefińskiego lorda, i to przeciwko niemu, po tym jak rok przesiedział na tym przeklętym, wrogim, usianym wiedźmami pograniczu królestwa, zmagając się z księgami podatkowymi Heryna Aswydda? I teraz ojciec wierzy Herynowi, nie jemu?

To go ukłuło. Ukłuło do żywego i sam już nie wiedział, czy to synowska powinność, czy też wewnętrzna obawa, czy wreszcie dzika wściekłość wygoniła go wedle ojcowskiej modły: w szalonym pośpiechu, bez narady ani powiadamiania pozostałych lordów – za wyjątkiem Cevulirna, który posiadał lekkie konie, mogące przydać się cokolwiek w tej sprawie.

Cóż jednak miał powiedzieć pozostałym? Wybaczcie, panowie, lecz ojciec udziela mi reprimendy za to, że wezwałem was, by zrobić to, co do niego należy?

Wybaczcie, panowie, lecz król, mój ojciec, wierzy człowiekowi, którego ojciec oszukał wcześniej własny naród?

Wybaczcie, panowie, mój ojciec uważa, iż wszyscy ludzie oszukują, a jeśli oszukują w znany

mu sposób, wierzy im w dwójnasób?

Czy to się dzieje dlatego, że uzyskałem wgląd w należności finansowe Heryna, od lat tolerowane przez mojego ojca?

Na bogów, czy to moja wina, ojczy? Natknąłem się na coś, na co zezwalałeś, byle tylko nagiąć amefińskie karki pod jarzmo złodzieja i jego lichwiarzy?

Konie przeszły w lekki kłus, kiedy wyjechali z miasta i ruszyli wzdłuż murów obok obozu Cevulirna, wzbijając chmurę pyłu, który ze względu na posuchę ścielił się na drodze, a który teraz zgrzytał między zębami jeźdźców, nawet tych jadących na szpicy. Żołnierze spod znaku Białego Konia, obozujący niedaleko bramy, odwracali się, by popatrzeć.

–Powiedzcie kapitanom – nakazał Cefwyn Iwanimom, przywołując ich na czoło – powiedzcie wszystko, co wiecie. Niech każą siodłać sto koni, zanim jeszcze nadjedzie wasz lord, a potem śpieszcie za nami co koń wyskoczy. Być może to bezzasadna gonitwa, ale nigdy nic nie wiadomo.

–Tak, Wasza Książęca Mość – odparł sierżant, który przez chwilę jechał obok księcia, po czym znów odskoczył, by przekazać wiadomości komu trzeba.

Wieśniacy w polu przerywali robotę i wlepiali wzrok w kawalkadę. Z rozlokowanego dalej przy towarzyszącej murom drodze obozu Lanfarnesse wysłano ludzi: krzyczeli oni do przejeżdżających, by dowiedzieć się, co też odbywa się w takim pośpiechu.

Zakładając, że Heryn został natychmiast aresztowany, najstarszym rangą lordem w Zeide był teraz Pelumer. Najpierw on, potem Umanon i, jako trzeci, niech bogowie mają ich w swej opiece, Sovrag. Najważniejszym i nagłym obowiązkiem Pelumera będzie pilnowanie, aby Umanon i Sovrag nie skoczyli sobie do gardeł; licho wie, gdzie podział się Idrys, lecz chętnie, gdyby nie zdołał ich szybko dogonić, widziałby go w funkcji rozjemczej między Umanonem i Sovragiem. Kapitan gwardii, Kerdin Qwyll's-son, sprawował teraz funkcję bezpośredniego zastępcy księcia; nieobce mu były amefińskie gościńce: gueleńskie podjazdy krążyły po Amefel i sąsiednich dystryktach, mając baczenie na poddanych króla i poznając ukształtowanie terenu.

Zasadzka? Zerknął w stronę brata dosiadającego tego przeklętego, rozhukanego konia, który zaczął toczyć pianę z pyska, ledwie wyjechali za miasto. Efanor zostanie bezpośrednim następcą tronu, jeżeli coś przytrafi się Cefwynowi. Bez względu na lojalność, jaką przysięgali sobie w dzieciństwie, i miłość, którą obiecywali się kierować, musiał zadać sobie pytanie, jaki obrót przybierze sprawa, jeśli to nie Elwynimów Heryn przez cały czas wspierał, tylko drugiego, bardziej zgodliwego księcia. Księcia potrafiącego docenić złote zastawy Hery na i jego szlachetnej krwi konie, księcia, co to nigdy w życiu nie spał w błocie, nie wpadł w bandycką zasadzkę, nigdy nie naruszył porządku ustalonego przez wyznawaną przezeń religię.

Pewna była jedynie ojcowska miłość do Efanora – miłość i chorobliwe węszenie za spiskiem, będące nieodłączną częścią natury Marhanenów. Cefwyn pochwycił spojrzenie Efanora, jakim ten obrzucił jadącego po jego drugiej stronie Tristena. Efanor marszczył czoło, usiłując najwidoczniej pogodzić z sobą braterską miłość i myśli o Sihhijczyk.

–Emuin radził, byśmy nic wyrządzili mu żadnej krzywdy, bracie – stwierdził Cefwyn. – Powiedział, by obchodzić się z nim łagodnie.

–Rady Emuina nie zawsze są pobożnymi radami. Był przecież uczniem starego Mauryła. Cóż innego miałby powiedzieć?

Słowa, jakich należało się spodziewać z ust księcia, którego quinalt kochał bardziej niż Inaredrin swego starszego syna.

–Emuin powinien mówić to, co służy Koronie – rzucił w odpowiedzi Cefwyn, gdy jechali bok w bok – a nie pomnaża dochody innych, wynosząc do władzy. Strzeż się tych pobożnych typków, młodszy bracie. Quinaltyni moszczą swe gniazdko jak wszyscy inni ich pokroju, a pozostało im jeszcze sporo do wymoszczenia.

–Czegóż uczą w tej prowincji? – zapytał Efanor, zgorszony.

–Wnikliwego spojrzenia – odrzekł Cefwyn, lecz brat, który niegdyś na każdą ripostę odpowiadał ripostą, zrobił tylko urażoną minę, jakby przeświadczony o własnej słuszności.

To niepowtarzalna okazja dla Efanora, pomyślał Cefwyn. Gdybym stracił łaskę, gdyby zarzuty Heryna okazały się uzasadnione, wówczas on i jego popiecznicy mogliby liczyć na zaszczytne względy u ojca, ja zaś popadłbym w niełaskę lub w gorsze jeszcze tarapaty. W owym dniu quinaltyni ustanowiliby święto narodowe.

To kapłani podjudzili Efanora, przekłęci kapłani wyrwali go z jego medytacji, a także zaczęli brzęczeć nad uszami króla, skoro tylko nadeszła skarga od Heryna.

Stąd wizyta Efanora, ale w jakim celu? By wspomóc mnie w kłopotach z księgami rachunkowymi? Co im Heryn naopowiadał?

Oby łaska bogów pozwoliła nam przybyć na miejsce o czasie. To najbardziej rozpaczliwe posunięcie diuka: napaść na króla, winę zwać na spadkobiercę. Bogowie świadkami, że nie podejrzewałem go o podobne zdolności.

Tyle, że Heryn nigdy nie wierzył, iż może dojść do jego aresztowania. Heryn nie wierzył, że wykonam ruch. A więc niech ma nauczki na całe życie.

Cefwyn ufał ponadto, że boska opatrzność pomoże Idrysowi dopaść Heryna, zanim ten znajdzie schronienie w jakimś niewygodnym zakątku, na przykład w Elwynorze. Oby dobrzy bogowie sprawili, by mógł odbyć rzeczową rozmowę z ojcem, ustrzegając się sromotnej

porażki w starciu z marhaneńską tendencją do przedkładania słów łajdaków nad słowa drugiego Marhanena. Heryn musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań, pytań – czego można się było obawiać – mogących zahaczyć również o Efanora, gdyby Heryn zechciał mówić, choćby nawet kłamać; kto wie, czy nie poruszono by przy okazji tematów, które król chętniej pominąłby milczeniem, zastanawiał się Cefwyn w oparciu o wcześniejsze przemyślenia, co do tego, jak Aswyddowie ustrzegli się wpadki, dopuszczając się swego oszustwa od dwóch, może trzech pokoleń.

Wolał nie myśleć, że Inareddrin poświęciłby własnego dziedzica, byle tylko Heryn nie odstonił kulisów całego szachrajstwa. Wolał też nie myśleć, że jego ojciec zdaje sobie sprawę ze skali zła wyrządzonego w związku z wykroczeniem Aswydda, podobnie jak wciąż nie chciał myśleć – pomny na swoje dzieciństwo, które upłynęło na sporadycznej tylko rywalizacji z bratem – że w tajemnicy Efanor żyje w przyjaźni z Herynem Aswyddem. Nie śmiał jednak zwierzać się nikomu z podobnych podejrzeń – z wyjątkiem Idrysa, niech go licho, który mógł przyznać mu rację, a który jednak nie znajdował się przy nim z przyczyn – oby – służbowych. Cefwyn lękał się o bezpieczeństwo Idrysa. Wiedział, że Idrys jako pierwszy ucierpi w spisku mającym na celu pognębienie księcia. Nie mógł omawiać tych spraw ze swym bratem. Po co gueleńscy gwardziści oraz ich ivanimscy pobratymcy mają przyglądać się, jak dwaj Marhanenowie skaczą sobie do oczu?

Z wolna z obydwu stron otoczyły ich wzgórza, te same skaliste, zwieńczone koronami drzew pagórki, które niegdyś mijali – najpierw podczas sielankowej wycieczki do Emwy, następnie pod koniec koszmarnej nocnej galopady. Po przecięciu starego gościńca do Althalen (nikt nie ważył się wymówić tej nazwy), w miejscu gdzie biegł on do dystryktu Emwy, natrafili na świeże ślady sporej gromady jezdnych; ojciec miał pod sobą stu dwudziestu ludzi, jak powiedział Efanor, i to właśnie w tej okolicy, jeśli chciał ominąć chyłkiem Henas'amef, powinien wjechać na drogę do Emwy.

Zostawili już za sobą pola uprawne i teraz mijali pastwiska, łąki należące do mniejszych i odleglejszych wiosek. Przy przecinającym drogę strumieniu pozwolili koniom odetchnąć i ugasić częściowo pragnienie; ziemia była stratowana kopytami koni, obecnie przebywały tu owce. Pastuszek wymachiwał laską i wołał na psy, aby zgoniły stado do kupy. Owce beczwały przelękłe, pierzchając od koni w dół wąskich zboczy przy rzeczce.

–Widziałeś dziś jakichś jeźdźców? – Cefwyn starał się przekrzyczeć zgiełk, zeskakując z siodła.

–Ano, panie – odparł pastuszek. Psy ujadają, owce zaś, skłębione w panice, wspinały się jedna na drugą na krawędzi skarpy.– Zaiste widział ja możnego lorda z czerwoną chorągwią, panie, możnego lorda, jakoby króla jakiegoś...

–To właśnie był król – uciął Cefwyn. – Jak dawno temu, człowieku?

Mężczyzna popatrzył na słońce i pogroził kijem warczącemu psu.

–Dyć wcale niedawno. Stał ja tam gdzieś na górze, panie, poganiał stado... a wtedy tej zwariowanej owcy zachciało się biec w dół zbocza, toć ja ruszył w te pędy i obszedł, ot, tamtędy, panie...

Ślady kopyt, wypełnione wodą, gdzie nie zdeptały ich owce, mówiły same za siebie.

–Całkiem świeże – zawołał Cefwyn, przeszedłszy kawałek w górę strumienia, aby się dokładniej przypatrzeć. Wiódł za sobą Danvy'ego, nie pozwalając mu napełnić brzucha wodą.

Efanor nie zsiadł jednak z konia, tylko pozwolił mu stać, zamiast tego zmagając się z cuglami, co samo w sobie drażniło Cefwyna. Oby kiedyś zaszła potrzeba, by jego wymuskany brat Efanor pytał amefińskiego pastucha o to, co ten zobaczył na własne oczy, zmuszony rozumieć w miejscowym żargonie. Brata wyprawiającego się z nim kiedyś w poszukiwaniu przygód na łąkach już nie było; młodszy książę Ylesuinu wolał raczej borykać się ze swym koniem, niż zabrudzić buty czy łaskawie towarzyszyć mu w odczytywaniu tropów. Cefwyn nie rozumiał ani nie chciał zrozumieć, w jakim stanie umysłu obecnie znajduje się Efanor.

–Możemy ich dogonić jeszcze przed Emwy – oświadczył, wskakując na siodło. – Trudno, konie nie mogą dłużej odpoczywać.

Tymczasem nie tylko oglądane z daleka chorągwie przykuły tego dnia wzrok pastuszka. Wlepił teraz wzrok w godło Tristena. Widząc, że oddział gotuje się do wymarszu, postanowił nagle zbliżyć się do młodzieńca. Uwen jednak roztropnie obrócił Tristena w stronę koni, a sam ustawił się plecami do mężczyzny, udając, że go nie dostrzega.

Lecz wtedy Tristen obejrzał się przez ramię, sam z siebie, i wbił spojrzenie w owczarza, który w tej sytuacji sięgnął po bogowie wiedzą, jakiego rodzaju amulety na szyi. Uwen wprowadził pomiędzy nich ryżą Gery, wcisnął cugle do zwiotczalej dłoni Tristena i, aby go wyrwać z zamyślenia, nakazał mu szorstkim głosem dosiąść konia.

Oby to nie był żaden z jego napadów, modlił się w duchu Cefwyn, żadne omdlenie w obecności Efanora. Oby tylko pastuch nie padł na kolana przed zakazanym godłem.

Niedaleko stąd leżał Althalen, przeklęta ziemia; wyklinał po cichu cały ten niewydarzony dzień, podjeżdżając na Danvym, by zapobiec kłopotliwym wieśniaczym hołdom.

–Dobra robota, Uwenie – powiedział, pochylając się z kulbaki, aby jego słowa zabrzmiały tym dobitniej. – Bacz, by nie narobił jakiejś szkody, czy to słowem, czy uczynkiem. Posłuchaj mnie uważnie. Bardzo blisko tej drogi leży Althalen. Nie pozwól mu, powtarzam, nie pozwól mu oddalać się od nas na krok, nie pobłażaj jego zachciankom, choćbyś miał od niego siłą przejąć cugle.

Nic więcej nie śmiał powiedzieć, jako że natychmiast zjawił się przy nim Efanor.

Oddział uformował się w kolumnę.

–Dobrze, że o tym wspomniałeś – rzucił Cefwyn pod adresem Uwena i przekroczył strumień, podczas gdy sztandary, Efanora i jego, zgrupowały się razem na czele.

–O co chodzi? – zapytał Efanor, kiedy go dogonił. – Czego się boisz? Heryna? Kogoś innego?

–W Emwy – odrzekł Cefwyn – zginęli nasi ludzie z powodu, jak podejrzewam, zaniedbań Heryna, o ile nie spisku z jego udziałem. Żołnierze przeczesują właśnie okolicę w poszukiwaniu odpowiedzi. Nasz ojciec może połączyć się z nimi... albo się z nimi zetrzeć, bogowie jedni wiedzą. Ze słów pastucha wnoszę jednak, że mamy dużą szansę, aby go dogonić, zanim wjedzie do Emwy. Znacznie nas wyprzedzał, ale mamy świeższe konie.

–Co tam się wydarzyło? – zapytał Efanor. – Co wydarzyło się w Emwy? Do kroćset z twoimi wykrętami!

–Zdrada. Po prostu zdrada, bracie. Heryn wszedł w konszachty z Elwynimami. To żadne wykręty. I słuszną porą, abyś o to pytał. – Heryn to złodziej i syn złodzieja. Albo spiskuje z pewnymi Elwynimami, gdyż chce mojej śmierci, albo też spiskuje zwyczajnie po to, aby podsycać wrogie nastroje na granicy, z których czerpie zyski. Gdybym znał odpowiedź, już dawno skróciłbym go o głowę.

–Masz jakieś dowody? – spytał Efanor. – Masz jakieś cholerne dowody, bracie?

–Księgi. Jego księgi. Napisałem do ojca, choć nie wiem, czy ktoś czyta moje raporty. Albo czy moi ludzie, niech ich bogowie bronią, w ogóle do niego dotarli.

–A raporty o małżeńskiej ofercie z Elwynoru?

–Czyżby właśnie to legło u podstaw całego zamieszania?

–Właśnie to? Mówisz to takim tonem, jakby chodziło o jakąś błahostkę.

–Bo to jest błahostka, dopóki nie odpowiem na propozycję, twierdząco lub negatywnie, a jak dotąd milczę w tej sprawie i nie podjąłbym żadnych kroków bez rady ojca. Nie ode mnie wszak nadszedł ten raport. Kto mu o tym doniósł? Heryn?

–Słyszałem o tym w obozie ojca. Zeszłej nocy. – Efanor uniósł dłoń w rękawicy. – Ja niczego nie wiem. Mnie nikt nie dopuszcza do poufności.

Cefwyn przygryzł język. Efanor nie wyrażał jasno swoich myśli, co nie nastrajało do zadowolenia i rodziło zarzuty: przecież wiedziałeś, że przyjeżdża ojciec. Przecież słyszałeś, bracie, przecież nie zajął się badaniem twoich sprawek, po tym jak posłał cię, byś wy badał swego gospodarza.

A może Heryn miał mnie szpiegować?

–Czyż nie tak właśnie postępował nasz dziadek – powiedział zamiast tego, gdy jechali strzemię w strzemię – wobec swoich synów? I czyż nie przysięgaliśmy sobie, że ojciec nigdy nie zrobi nam tego samego?

–No i proszę, podejrzewasz mnie, choć nie ma po temu powodów. Przysięgam, przybyłem tylko po to, by cię ostrzec, bracie, oraz zabezpieczyć księgi.

–I nic nie zwiastowało owego kaprysu naszego ojca?

–Nic.

–Wierzę ci na słowo, bracie. Nie wiń mojej podejrzliwej natury.

–Nie wiń ojcowskiego serca, że wołało, by Efanor odziedziczył tytuł króla Ylesuinu; nie wiń owego niemałego grona północnych i wschodnich lordów, których ojciec szczuł nawzajem, za to, że również chcieli na Smoczym Tronie zobaczyć Efanora – lord Heryn, preferując młodszego księcia, kierował się bez wątpienia zbliżonymi pobudkami. Jakże mógł powiedzieć Efanorowi: oni cię wcale nie kochają, lecz uważają za głupca. Otrząśnij się ze swoich wzniosłych snów. Nie myśl li tylko o własnym zbawieniu, ale i o wzywających cię obowiązkach. Królestwo potrzebuje księcia o zdrowych zmysłach.

A mimo to owa śmiała postawa Efanora na nowo rozbudziła w nim nadzieję. Młodszy brat, którego znał z dzieciństwa, umiejętnie prowadził grę dziadka, udając brak opinii na jakikolwiek temat. Zapewne rozglądanie się na wszystkie strony nastawiało przychylnie do Efanora niektórych lordów, podobnie jak jego pobożność zdobywała mu serca kapłanów.

Cefwyn poznał jednak prawdziwą naturę swego brata, zanim dojrzały wiek przydał mu powściągliwości, rozwagi oraz – bał się wręcz mieć nadzieję – nałożył nań maskę pobożności. Jeżeli w jakimś stopniu były to pozory, Efanor zasługiwał na wiele epitetów, ale z pewnością nie był, jak chcieliby ambitni baronowie z północy, głupcem.

Chociaż rozpaczliwie usiłowali dogonić króla, nie mogli zajeździć koni w obliczu ewentualnych gonitw lub potyczek: już teraz kolumna rozciągała się niebezpiecznie, gdyż wolniejsze wierzchowce i ciężsi jeźdźcy zostawali coraz bardziej w tyle. Utrzymywano rozsądne tempo, czasami nieco zwalniając, by zaraz przyśpieszyć, wciąż prac do przodu, wytrwale, gdyż wszyscy byli wytrawnymi jeźdźcami. Podobnie wytrwale słońce przemierzało nieboskłon i po godzinie Cefwyna zaczęły dręczyć pytania: czy powinien uznać za pewnik, że ojciec dotarł już do Emwy; czy mogliby nadrobić trochę czasu, jadąc na przełaj i przez nawiedzony zakątek, czy może wygodniejsza jazda gościńcem zrównoważy pokonywanie dłuższego dystansu. Rozważał możliwości wyboru dalszej drogi i tak upłynęła kolejna godzina.

Wtem, gdy wyjechali na szczyt wzniesienia, skąd od zakrętu ku Emwy dzieliła ich długość

stoku, ujrzeli nad wzgórzami obłok kurzu. Cefwyn dostrzegł go w tym samym momencie, kiedy Efanor i kilku ludzi wydało głośny okrzyk. Przed nimi znajdowali się jeźdźcy. Choć mieli prawo domniemywać, iż to oddział króla, nie śmieli ponaglać koni.

Jechali i jechali, odpoczynki stawały się krótsze. Wspinali się właśnie na ostatni pagórek odgradzający ich od królewskiego pocztu, konie dyszały ze zmęczenia, gdy raptem, wzbijając się ponad hałas ich własnych wierzchowców, rozległ się szczęk oręża, dźwięk jedyny w swym rodzaju na całym bożym świecie.

–Zasadzka! – zawołał Cefwyn, choć zimny strach ścisnął mu gardło, gdyż znaleźli się oto w jednym miejscu obaj książęta Ylesuinu, a król odpierał atak. – Efanorze, dobierz dziesięciu gwardzistów i ratuj się ucieczką! – Efanor zaczął protestować, lecz Cefwyn dodał ostro: – Bracie, gdzieś na gościńcu spotkasz Cevulirna, weźmiesz też z sobą Tristena i jego sługę. Zbyt wielu Marhanenom grozi tu niebezpieczeństwo. Potem wracaj z odsieczą. Możesz ufać Cevulirnowi.

Efanor puścił się wówczas wstecz, a Cefwyn odwrócił głowę i zakrzyknął na Uwena i Tristena, by jechali razem z księciem. Odprowadzał ich przez chwilę wzrokiem, po czym całą uwagę skierował na to, co działo się z przodu, wjeżdżali, bowiem na szczyt wzgórza: przed nimi, pośród borów, wił się gościniec, na którym wrzała bitwa: uczestniczyło w niej jakichś dwustu, trzystu ludzi.

Cefwyn popędził wierzchowca, uważając przy tym, by mieć wokół siebie gwardzistów. Zobaczył jeźdźców na lekkich koniach, dobrze uzbrojonych, niewyróżniających się żadnymi szczególnymi barwami, nacierających na połyskliwy szkarłat chorągwi ze Smokiem. Założył tarczę na ramię i dobył miecza, pędząc wprost na wychodzących im na spotkanie żołnierzy; Kerdin i pozostali cwałowali tuż przy nim.

Zderzenie było niczym rozmyta, rozedrgana plama, kości od nadgarstka po łokieć zadrżały Cefwynowi od potężnego ciosu miecza, ciała błyszczały w ciżbie, zewsząd dobiegały piski oszalałych rumaków i szczęk broni, gdy zagłębiali się w szeregi zbrojnych w najprzeróżniejszy oręż nieprzyjaciół.

Niby żywe srebro, nieświadczący się żadnym proporcem napastnicy rozjechali się na boki przed szturmującym oddziałem, pozwalając dostrzec środek, gdzie czerwoni i różnobarwni zmagali się w gąszczu ciał, a przeważająca liczba wrogów w każdej chwili mogła zgnieść garstkę ludzi z czerwonymi chorągwiami. Tam właśnie walczył ojciec Cefwyna. Tam właśnie czaiło się niebezpieczeństwo.

Książę szarpnął za cugle, by w tamtą stronę skierować Danvy'ego, przy czym zgał konia ostrogami, żałując, iż nie ma pod sobą Kanwy'ego. Lekkie konie były szybsze w pogoni, inaczej nie zdążyliby na czas, lecz nie mogły się równać z ciężkimi rumakami, kiedy zachodziła potrzeba runięcia z impetem na pierścień walczących wojowników, wewnątrz którego powiewał królewski sztandar i gdzie wróg szykował się do stawienia oporu,

podczas gdy nieprzyjacielskie wysunięte szeregi pierzchały na lewo i prawo, aby umożliwić im przejazd. Książę wiedział, że brnie prosto w potrzask, w pułapkę starszą od amefińskich wzgórz, która teraz zamknie się za nim; skoro jednak w grę wchodziło życie ojca, nie widział wyboru.

–Trąb naszą obecność! – rozkazał Kerdinowi. – Najgłośniej, jak potrafisz! – Miał nadzieję zwrócić na siebie uwagę ojca, by ten spróbował cofnąć się ku nim, nie śmiał jednak wstrzymać własnej szarży w obawie przed utratą impetu i ugrzęźnięciem w osobnej potyczce.

Danvy, spięty do szybszego biegu, potknął się i odzyskał równowagę na zrytym koleinami poboczu, a tymczasem kolejni napastnicy spływali jak w koszmarnym śnie ze stoku na prawej flance.

Raptem wpadł księciu w oko czarny jeździec na ryżym koniu, pomykający wzdłuż podnóża owego stoku ku tym przerażającym jeźdźcom – nikt inny, tylko Tristen, a tuż za nim Uwen; być może także Efanor – straszna myśl przemknęła Cefwynowi przez głowę.

Przeklinał ich głupotę, jeśli nie skorzystali ze sposobności ucieczki.

Nie mógł im jednak przyjść z pomocą, musiał bowiem połączyć się z oddziałem króla, skłębioną masą ciał otaczającą chylące się sztandary, odpierającą wściekłe ataki lekkobrojnnych jeźdźców. Mając na uwadze ten jeden cel, z przekleństwem na ustach kłął Danvy'ego ostrogami. Nie miał czasu, by zajmować się wybrykami Tristena: kto wie, czy nie straci przyjaciela, a może nawet drugiego dziedzica tronu Ylesuinu, lecz szeregi ojca walczyły w okrążeniu, tak ściśnięte, że nie tylko lance, ale wręcz miecze i tarcze nie nadawały się do użytku pośrodku ciżby wokół osoby króla. Wyciskał z Danvy'ego ostatnie poty, by wespół z ludźmi, którzy dotrzymywali mu jeszcze kroku, uderzyć z mocą na wroga, przedrzeć się do środka zamykającej się pułapki, otworzyć ją i dać ludziom króla szansę na użycie broni przeciwko siłom nieprzyjaciela, które, jak wiedział, zamykały obecnie oba ich oddziały, co mogło szybko skończyć się klęską, jeśli nie uda mu się rozerwać pierścienia wokół królewskiego pocztu.

Danvy uderzył bokiem o innego konia. Cefwyn przyjął cios na tarczę, zamachnął się i ciął na oślep; poczuł, jak miecz zatapia się w ciało, gdy tymczasem Danvy pośliznął się, odzyskał równowagę i chwiejnie przepchnął do przodu. Teraz Cefwyn dźgał i ciął cokolwiek weszło mu w drogę, aż napotkał zwarty mur końskich i ludzkich ciał, który kazał mu się zatrzymać.

Nagle zawisła nad nim groźba odcięcia od pozostałych towarzyszy. Danvy omal nie padł na kolana przy leżącym ciele, pozbierał się jednak, a wtedy uderzenie wstrząsnęło tarczą, w szczelinie ugrzęzło żeleźce topora. Cefwyn rąbnął w odpowiedzi, chociaż, zasłonięty, niewiele widział, szarpiąc się z topornikiem chcącym wyrwać mu tarczę, dopóki przeważająca siła nie wydzwignęła go na poły z siodła Danvy'ego, tak, że mógł dostrzec swego przeciwnika.

Jeden z ludzi księcia grzmotnął napastnika, aż ten puścił topór i przekręcił się na bok. Danvy starał się nie upaść, gdy Cefwyn usiłował wyrwać z tarczy siekierę, siekąc mieczem na chybił trafił, na wpół oślepiony i dodatkowo obciążony, aż na koniec otoczyły go czerwone stroje, czerwone proporce i uzmysłowił sobie, że zarówno ludzie króla, jak i jego własni gwardziści wspólnymi siłami dają odpór wrogom.

Danvy zderzył się z impetem, kiedy jakiś jeździec wpadł prosto na niego, potem zachwiał się i przewrócił. Cefwyn upadł z rozkrzyżowanymi ramionami, przetoczył się na bok, by uniknąć kopyt, ociężałe powstał, nadal uzbrojony w miecz uwiązany rzemykiem do nadgarstka, nadal z resztką tarczy na ramieniu. Oczy przysłaniała mu mokra mgielka, rozmazując widok nacierających jeźdźców.

A więc to tutaj umrę, pomyślał, dziwnie zaskoczony. Gdy potrząsnął głową i przesunął rękawem po oczach, ścierając krople krwi, zdał sobie sprawę, iż stracił hełm, a za jedyną osłonę ma połówkę tarczy. Szeregi książęcych gwardzistów zostały zepchnięte i widział już tylko wrogów. Znalazł pewne oparcie dla stóp między trupami, patrząc na szarobrazową ścianę jeźdźców – każdy detal zdumiewająco wyraźny, jakby ostatnie chwile życia były rozciągane, by w końcu pęknąć, by książę miał szansę zrozumieć, że przywiódł królewskie wojsko do zguby.

Ryży koń wyrósł przed nim jak spod ziemi. Niebo zasłoniła czarna sylwetka Tristena, Uwen pędził ledwie o włos z tyłu... Tristen obrócił klacz; Uwen usiłował go dosięgnąć, lecz młodzieniec podrywał już konia prosto na zbliżających się jeźdźców.

Klinga przecięła powietrze. Bezradny Uwen obserwował z boku, jak Tristen pochyla głowę i gna dalej – ostrze prześliznęło się nad nim ledwie o ćwierć włosa – wpadając na hufiec wroga; a przecież Uwen odpowiadał za człowieka, który mu się wymknął.

–Panie! – rozległ się głos w pobliżu. Kolejny jeździec pojawił się przed księciem i wyhamował gwałtownie. Gwardzista zeskoczył na ziemię, a Cefwyn wydzwignął się na oferowane mu siodło, poprawił uchwyt na mieczu i przygotował się na mającą niebawem zalać ich obu powódź.

Atak jednak nie następował. Któremuś spośród tych pstrych wojowników, żywemu bądź umarłemu, Tristen wyszarpnął miecz i teraz nim wymachiwał, bez tarczy, kierując kolanami ryżą Gery to w jedną, to w drugą stronę. Na ciemnej, śmiercionośnej klindze odbijało się światło, wrogowie padali z koni. Tristen wciąż nacierał niby czarna, straszliwa, powalająca nieprzyjacielskie szeregi siła, metodycznie niszcząc ludzi, nagląc do przodu ryżą klacz. Wokół niego zaczęła tworzyć się przestrzeń – wokół jeźdźca w czarnym aksamicie, bez tarczy, z jednym człowiekiem u boku.

–Sine! Sihe! – rozlegało się w szeregach wroga.

Zobaczyli, pomyślał Cefwyn, jego godło.

Tristen jednak nie okazywał litości, choć gromione szyki nieprzyjaciół zaczęły się wycofywać. Ryża klacz rozpychała się uporczywie i szukała luk między uciekającymi. Ramię zdawało się nieomyślne, kosiło ludzi, każdy ruch był wyrachowany. Brzęk przeciwstawiających się mu mieczy zabrzmiał w uszach księcia niczym odległa muzyka, płynne ruchy nabrały osobliwego piękna, jak w tańcu; ruchy niszczycielskiego żywiołu, który wciąż spychał przeciwników.

Cefwyn usiłował złapać oddech, sól szczypiąca w oczy sprawiała, że cała sceneria okryła się mgłą. Opuszczony przez wszystkich wrogów, nie miał z kim walczyć. Siedział w siodle z obwisłymi ramionami, poobijany tak bardzo, że nie był w stanie unieść miecza ni tarczy. Gdy opuszczały go siły, poczuł nikłe ukłucie i opuchnięcie na nodze. Zdał sobie sprawę, że został ranny, a ból dopiero nadejdzie. Niemniej noga usłuchała, kiedy dźgnął konia piętą, odwrócił się i rozejrzał za królem.

Następni jeźdźcy przybyli jak huragan. Natężył wzrok, przerażony, uniósł rękę – dwukrotnie cięższą niż zwykle – a wtedy dojrzał Białego Konia Cevulirna, jak wpada z łopotem na ciche już pole bitwy.

Księżę ujrzał obok siebie żołnierza. Złapała go ręka, podtrzymała w siodle; nie mógł rozróżnić rysów tego człowieka, dopóki kilkakrotnie nie zamrugał.

– Idrys. – Cefwyn rozpoznał swego niedoszłego wybawiciela, odzianego w czarną zbroję, który wprawdzie spóźnił się na bitwę, lecz teraz go wspierał, by nie zsunął się z konia; wreszcie inni zsiadli i stanęli naokoło. – Nie – zaprotestował, nie chciał, bowiem zostać ściągnięty na ziemię. Odtrącił pomocne dłonie i, położywszy miecz w poprzek przedniego łęku, gdyż wskutek braku sił nie był w stanie schować go do pochwy, zaczął kluczyć pod eskortą Idrysa pomiędzy trupami oraz ludźmi, którzy utrzymali się na koniach.

Dostrzegł sztandar ze Smokiem, ponaglił konia, by jechał możliwie szybko po stratowanym poboju, zdając sobie sprawę, iż ludzie wokół sztandaru stoją w milczeniu i z pochylonymi głowami. Wśród klęczących dojrzał Efanora, który zapewne przybył wraz z oddziałem Cevulirna, a z jego powleczonego smutkiem oblicza wywróżył najgorsze.

Zsiadł z konia. Idrys przypadł doń momentalnie, chcąc wesprzeć go swym ramieniem, pomóc dokuśtykać do leżącego ojca. Smocza Gwardia otaczała króla zwartym kręgiem.

Cefwyn przestępował nad ciałami ludzi, których by z pewnością rozpoznał, gdyby chciał na nich patrzeć, lecz spojrzenie zogniskował jedynie na białych włosach ojca. Ojciec jest tylko wyczerpany, wmawiał sobie. Ranny, ale nie martwy. Ojciec był siłą natury, faktem w ich życiu – nie mógł umrzeć.

Żołnierze ustąpili przed nim, a wtedy zobaczył to, czego nie chciał zobaczyć: ciemną krew sączącą się z rozcięcia, ranę, jakiej nie mógł wyleczyć żaden medyk. Twarz Efanora poszarzała, łzy opływały mu usta. Cefwyn padł na kolana z bolesnym westchnięciem,

wsparł się na ramieniu Efanora i przez chwilę ojciec patrzył na obu klęczących nad nim synów.

Słabowita dłoń króla uniosła się i zamknęła na dłoni Efanora.

–Mój syn – rzekł Inareddrin.

Nie popatrzył, nawet nie zerknął przelotnie na Cefwyna, który trwał w milczeniu, podczas gdy światło gasło w oczach króla, a siły opuszczały rękę. Obserwujący ich w kręgu ludzie czekali.

Jeszcze chwila. Ostatni oddech. Spokój, a potem nagle odprężenie, z którym żaden sen nie mógłby współzawodniczyć.

–Pomóżcie mi wstać – mruknął gniewnie Cefwyn. Stracił gdzieś miecz, upuścił go, zapomniał, obojętne, tyle, że nie miał się teraz czym podeprzeć i, klęcząc na ziemi, wpadł niejako w pułapkę. Wyciągnął rękę do Idrysa, który podźwignął go z wysiłkiem.

Doprowadzony niemal do szału otępieniem w nodze i rozdzierającym serce smutkiem, zapragnął rozsiekać widownię, ciąć, kogo popadnie, pozabijać wszystkich mogących zaświadczyć o złości ojca, o tym, że leżał na niegodnej ziemi, pośród trupów.

Nie było jednak wrogów. Nie wybuchł żaden spór. To on teraz stanowił centrum uwagi. Gueleńscy gwardziści razem z Ivanimami, wśród nich Cevulirn, wszyscy nań patrzyli, by poznać jego myśli, kim był, czym będzie i co teraz robi.

Wówczas Cevulirn zgiął kolano i przyklęknął, sztywno. Inni również uklękli. Ktoś – nie zauważył kto – zdjął z okrwawionego czoła ojca wojenny diadem i podał mu go w brudnej dłoni.

Cefwyn wziął diadem do ręki. Złota przepaska. Mógł ją wygiąć. Mógł ją cisnąć w błoto, wetrzeć obcasem i kazać im wybrać Efanora. Uchwycił jednak diadem oburącz i założył z powagą na czoło – trafił na ranę, pojawił się ból, lecz on go nie zauważył. Nikt nie wiwatował.

Efanor podniósł się z ziemi; stał nieruchomo, beczynn timer, wpatrzony tylko w ojca, łzy spływały mu po policzkach. Gwardie Królewska i Księżęca oczekiwały na jakiś pierwszy ruch, jakiś omen, rozkaz przywracający porządek świata. Wyciągnął ręce z chłodnym wyrachowaniem i ujął dłonie brata, które trzymał beznamiętnie, gdy Efanor klękał, gdy Efanor posłusznie jak w sztuce teatralnej całował jego dłoń, gdy wreszcie Efanor wstawał, by spojrzeć mu w twarz. Cefwyn przybrał obojętną, pozbawioną gniewu minę, całując z kolei czerwony policzek Efanora i puszczając jego ręce, zimne jak lód. Przedśmiertna sztuczka ojca wprowadziła Cefwyna w dziką, palącą zazdrość, a Efanora umocniła w przeświadczeniu o słuszności jego racji i poświęceń, czemu przypatrywali się ludzie, a on nawet, niech ich licho porwie, nie uronił jednej łzy.

Ale dlaczego miałyby się tym gryźć? – pomyślał. Czyż chwila śmierci odmieni prawdę?

Ojciec kochał jego, nie mnie.

Ojciec był wierny opracowanej przez dziadka strategii aż po ostatnie tchnienie, dał Efanorowi swe jedyne zwycięstwo, jedyną możliwą rekompensatę za to, że jednoroczna zwłoka odebrała mu prawa do tronu.

Jednak żaden z żołnierzy na polu bitwy nie uważał owego ostatniego gestu za odebranie Cefwynowi prawa do tronu. Cevulirn, diuk Ivanoru, był człowiekiem z południa, jego człowiekiem. A Efanor ukląkł, pocałował dłoń Cefwyna, szanując – jako prawy sługa boży – obowiązujące prawo. Chociaż nigdzie go nie było, nigdzie, kiedy ojciec walczył o swoje życie; gdzież był wtedy pobożny Efanor?

Należało jednak sprawiedliwie przyznać, że sam wysłał Efanora po Cevulirna. Efanor wykonał jego rozkaz. Przyprowadził Cevulirna – cholernie późno. Efanor przybył na pole bitwy wraz z ivanimskimi żołnierzami, na koniu spienionym już podczas galopady do diuka Ivanoru; zawsze dbały o pozory, Efanor z pewnością ubłagał Cevulirna – Cefwyn gotów był przysiąc – by ten nie zostawiał go haniebnie na drodze, samemu pędząc w najwyższym pośpiechu na ratunek króla.

Cefwyn otrząsnął się z owych niegodnych przypuszczeń. Koniecznie chciał obarczyć kogoś winą.

Idrys podtrzymał go, a ktoś znalazł płócienną podkładkę i przytknął ją do rany na nodze, którą następnie owinięto bandażem przykrywającym też utwardzaną skórę. Kiedy żołnierz zawiązywał węzeł, oczy Cefwyna znów zaszyły mgłą na skutek bólu, lecz ból zelżał, a rana wydawała się zabezpieczona.

–Zaprowadź mnie do konia, Idrysie – powiedział, po czym omiółszy spojrzeniem Iwanimów, dostrzegł Cevulirna. – Dobrze się stało, że usłyszałeś moją wiadomość i ruszyłeś za mną. Dziękuję.

–Wasza Królewska Mość – odparł diuk, co zmroziło mu krew w żyłach.

–Dowiedziałem się za późno – odezwał się Idrys z drugiej strony. – Ale otrzymałem twoją wiadomość. – Idrys pomagał mu możliwie delikatnie.

–Czy Danvy padł? Został ranny? – usłyszał samego siebie, niby dziecko pytające o ulubionego zwierzaka, choć, jako mężczyzna, wiedział przecie, że na polu bitwy nie zdarzają się cuda.

A wtedy sobie przypomniał, myśląc o cudach – albo przeklętych czarach:

–Na bogów, Tristen. Gdzie Tristen?

–Nic mu nie jest, Wasza Królewska Mość – odrzekł Idrys spokojnie, chłodno. – Każę ludziom poszukać Danvy’ego.

–Zostań – nakazał mu Cefwyn słabym głosem, z trudem łapiąc oddech. Postanowił zatrzymać się przy wysokiej na piędź nierówności terenu, na której mógł stanąć, tak aby Cevulirn i oficerowie ojca mogli go zobaczyć i usłyszeć jego polecenia. – Podnieście króla. Zróbcie nosze. Zaniesiemy go... – Stracił oddech i jasność myśli zarazem; stał, trzęsąc się jak liść.

–Do stolicy, Wasza Królewska Mość?

Olśnił go ów pomysł, ponieważ po raz pierwszy zrozumiał, że jego osobiste obowiązki, jak i te wynikające z urzędu, wykraczają daleko poza Amefel. Stolica: Guelemara.

Komnaty nienękanie przez elwynimskich zabójców.

Przynajmniej chwilowe bezpieczeństwo od rewolty w Amefel. A także od najazdów zza granicy.

Doszło jednak do morderstwa, którego król marzący o długim panowaniu nie mógł puścić płazem.

Powierzyć wyprawienie pogrzebu, w stolicy – Efanorowi? Pozwolić quinaltyńskim ortodoksom urządzić wszystko wedle własnego widzimisię? Aby mówili, co im się spodoba?

Pozwolić Efanorowi na powrót do stolicy? Pozwolić mu stanąć w pojedynkę obok quinaltynów błogosławiących ceremonię, w świetle północnych lordów, pszczoł łasych na wonne, pobożne wpływy Efanora, szepczących mu do ucha?

–Nie – zawyrokował. Nie odda swego brata. Będzie walczył o Efanora, przynajmniej o niego. – Do Henas’amef. – Dostrzegł wymieniane spojrzenia, lekką konsternację wśród gwardzistów ojca.

I nikt się nie poruszył.

Kwestionują moją osobę, pomyślał ze złością. A potem, w dzikiej furii, zadając kłam logice: Przybyli tu na skutek oskarżeń Heryna. A mój ojciec nie żyje. Myślą, że ja... ja ponoszę za to winę.

–Zapewne... – odezwał się kapitan Smoczej Gwardii imieniem Gwywyn – zapewne powinniśmy wysłać wiadomość do stolicy, Wasza Królewska Mość.

Serce waliło, jakby miało zamiar pęknąć. Nie posiadał się z gniewu. Trząsał się jak osika, doskwierał mu ból. Powstrzymał się jednak od okrzyku, nie dał upustu wściekłości. Ręce nadal mu dygotały, więc zatknął je za pas, aby ukryć to drżenie.

–Lordzie komendancie, nie omieszkamy tego uczynić, wieści do Guelemary wysłamy jednak z Henas’amef, skąd wyszły rozkazy do dzisiejszego ataku. Wpierw uzyskam odpowiedzi odnośnie udziału w tym wszystkim Heryna Aswydda. To on jest autorem owej wiadomości, na podstawie, której, jak informuje mnie brat, przybyliście tutaj. Bratu mojemu winniście wdzięczność za to, że jestem tu z wami. – Oddał Efanorowi sprawiedliwość. Pełną. Równocześnie zadał cios prosto w serce fałszywego raportu Heryna. – Przybyłem z Henas’amef, jak mogłem najprędzej. Że też bogowie nie dali, byście mnie tam chcieli szukać, lordzie komendancie.

–Że też bogowie nie dali, Wasza Królewska Mość. – Lord komendant odczuwał zarówno dotkliwą stratę, jak i ulgę w sercu wobec owego drobnego, acz znamienego strzępu wiadomości. Padł na kolana, złożył hołdowniczą przysięgę i pocałował dłoń nowego króla, co powinien był uczynić wcześniej. Niemniej uczciwy to człowiek, pomyślał Cefwyn. Nie znał zbyt dobrze Gwywyna, lecz to bohatersko późne przyrzeczenie powiedziało mu, iż ma przed sobą człowieka, którego chciałby mieć po swojej stronie. Pomógł mu wstać i obiecał zatrzymać go na dotychczasowym wysokim stanowisku. Wówczas Gwywyn wydał rozkazy ludziom jego ojca.

Jego ludziom, pomyślał ze zbolałym sercem.

Inne sprawy tymczasem czekały na załatwienie, natychmiastowe, i było ich wiele – przede wszystkim jednak należało się zabezpieczyć przed następnym atakiem.

–Cevulirnie! – zawołał. – Jedną część swoich ludzi racz łaskawie posłać na czoło, druga niechaj ubezpiecza tyły! Wciąż nie wiadomo, czy nie szykują nam jeszcze jakiejś niespodzianki w tym parszywym miejscu. Przepłynęli wpraw z końmi albo naprawili mosty, a my nie mamy dość siły, aby się teraz o tym dowiadywać.

–Zajmę się tym, Wasza Królewska Mość – odparł Cevulirn, po czym wydał rozkazy, z większą werwą i precyzją, niż to się udało Cefwynowi. Cefwyn bełkotał. Nie wydawał rozkazów, tylko wysuwał argumenty. Nie tak wygląda dowodzenie żołnierzami bądź lordami, których czasami nachodzi pokusa, by zbijać argumenty, zamiast działać. Nie tak postępował jego ojciec. Nie tak powinien brzmieć królewski głos i nie tak powinno się okazywać królewską, mającą wzbudzać zaufanie pewność siebie na polu bitwy.

Wydane przezeń polecenia zostały wszelako spełnione. Myślał uporczywie, czy przypadkiem czegoś nie pominął. Diadem ocierał ranę na głowie, kiedy zaciskała się szczęka lub marszczyło czoło, stając się jego wielkim utrapieniem.

–Efanorze – powiedział. Brat podszedł do niego z zaczerwienionymi oczyma, bladą twarzą, nadal roniąc łzy niczym ów mały chłopczyk, który przeżywał wielkie jak na tamte czasy tragedie, niczym młodszy braciszek, który zawsze był jego sprzymierzeńcem w rodzinie. Pod wpływem impulsu uściśnął brata, co rzadko czynił, odkąd dorośli. – Efanorze, czuję w sercu wielki żal, żeśmy wszyscy nie przybyli bodaj chwilę wcześniej. – Oznajmił to z rozmysłem i publicznie, aby Efanor nie gryzł się swym spóźnionym przyjazdem i aby upewnić go, co do swej aprobaty. Efanor stał się jednak oziębły w ramionach brata.

–Wasza Królewska Mość – odparł poprzez łzy. W momencie uścisku rysy jego twarzy stwardniały, głos zabrzmiał chłodno. Bez wątpienia nie była to odpowiednia chwila, by wymagać czegokolwiek od Efanora, a już na pewno by powoływać się na rodzinną lojalność, w którą księżę powątpiewał i miał po temu wystarczająco wiele rodzinnych powodów. Cefwyn raz już pofolgował sercu: nie mógł powtórnie podejmować podobnego ryzyka, by się nie załamać na oczach świadków; przypuszczał, że Efanor odczuwa to samo. Przybrał zatem pozę nieczułości, wyzbywając się smutku czy zdziwienia na rzecz chłodnej kalkulacji, mówiącej mu, iż kłopoty Ylesuinu nie sprowadzają się bynajmniej do nieszczęścia, jakie spotkało ich na tym polu bitwy. Czuł pot na twarzy, zaczynający wysychać i krzepnąć na policzkach, lecz nie dał poznać po sobie, że cokolwiek zauważa.

–Zasmucał się będę jutro – rzekł wreszcie. – Wybacz mi, Efanorze.

–Co z twoimi łzami?

–Znajdą się. Niech już tak zostanie.

–A gdzież twój sihijski czarodziej, królu Cefwynie? Wciąż był oszołomiony, świadom, że Efanor zaatakował jego towarzyszy, i świadom gorzkości, jaka się kryła w tym ataku – a jednocześnie powróciła paląca kwestia losów Tristena. Rozejrzał się dokoła, lecz nie było po nim śladu.

–Wasza Królewska Mość – ozwał się Idrys – jeśli trzeba, możemy i dla ciebie zrobić nosze. Nie powinienes dosiadać konia.

–Nie – sprzeciwił się. – Gdzie jest Tristen? Dokąd pojechał?

–Miłościwy panie – odparł Idrys – cały czas go szukamy. Po bitwie nikt go nie widział.

–Ten człowiek uratował mi życie, do licha! Uratował wielu naszych. Macie go znaleźć!

Powietrze rozbrzmiewało brzęczeniem much. Ludzie kaszleli, przeklinali lub stękali z bólu, opatrując rany. Wśród stratowanej, zroszonej krwią trawy, zgoła bezładnie, błąkały się

konie i waleśali żołnierze, czekając, by ktoś zaprowadził porządek i udzielił im wskazówek.

Wtem dzwonię tręzli i podniesione głosy obwieściły Cefwynowi odnalezienie Danvy'ego. Natknął się nań jeden z żołnierzy; Danvy miał rozcięcie na łopatce, nie doznał jednak żadnych trwałych urazów. Co więcej, mógł być użyty pod wierzch w czasie powrotnej jazdy. Cefwyn nie chciał się rozstawać z Danvym: pogłaskał konia po karku i chwycił wodze, mając wyrzuty sumienia, iż odzyskał ukochane, jakże miłe mu stworzenie, choć królestwo poniosło tak bolesną, niepowetowaną stratę.

Udzielono mu pomocy przy dosiadanu konia. Pozostali także wspinali się na siodła. Duża liczba poległych wykluczała zabranie ciał, a w okolicy czaiło się zbyt wielkie niebezpieczeństwo, by wydzielić więcej niż jeden szwadron kawalerzystów Cevulirna do pilnowania zwłok przed grabieżcami z wioski. Słyszał, jak Idrys wydaje niezbędne zarządzenia, by pozbierano broń z pobojuwiska – nie mogła dostać się w nieprzyjacielskie ręce – oraz by przeszukano zabitych wrogów w celu dowiedzenia się czegoś o ich przynależności.

Było to wszakże zmartwienie Idrysa i to on właśnie wydawał rozkazy tym, którzy zostawali; Cevulirn i Efanor siedzieli już na koniach. Cefwyn wciąż nie dostrzegał nigdzie Tristena, a nie chciał jak dziecko zanudzać pytaniami: Idrys robił, co mógł, żeby upewnić się, czy teren jest bezpieczny i kto się na nim znajduje, a jeżeli Tristen i Uwen leżeli gdzieś wśród poległych lub rannych, pozostali żołnierze dadzą mu znać i zrobią więcej, niż on sam mógłby zrobić.

Korona tymczasem miała inne obowiązki, wielce naglące, między innymi zapewnienie mu bezpieczeństwa, no i Efanorowi, jako dwóm jedynym Marhanenom, a w dodatku bezpotomnym.

–Mamy jechać? – zapytał Efanor, nagląc go do wydania rozkazów, których nie mógł wydać nikt oprócz niego.

–W drogę! – rzucił obojętnym tonem.

Ruszyły nosze z królem. Pododdziały Cevulirna i gueleńscy gwardziści wyrównali szyki, nad Królewską Smoczą Gwardią załopotaly poszarpane czerwone chorągwie; żołnierze z Gwardii Książęcej – myśl ta do pewnego stopnia wstrząsnęła Cefwynem – musieli obecnie przejść pod komendę Efanora, jako przyszłego następcy tronu (ale nie Idrys, przysięgał w duchu: Efanor nigdy nie odziedziczy Idrysa). Na przedzie szły dwa oddziały gwardzistów w czerwonych płaszczach, a za nimi szaro-białe, wymieszane hufce z Toj Embrel i Ivanoru pod własnymi sztandarami i własnym dowództwem.

Po pewnym czasie dogonił ich Idrys i towarzyszył Cefwynowi w dalszej drodze, trzymając się z dala od Efanora, który z kolei jechał obok Gwywyna.

–Nie nadajesz się do jazdy – marudził Idrys. Twarz jego, poszarzała od kurzu, stanowiła maskę. – Powinieneś być skorzystać z noszy. Zaczynasz coraz bardziej krwawić.

–Gdzie byłeś? – warknął Cefwyn. Doskwierała mu noga, puchła pod bandażem, gdyż siedząc w siodle, napinał mięśnie.

–Heryn o mało nam nie umknął. Zmusił mnie do pościgu. Aleśmy go dopadli. Wysłał jeszcze jednego posłańca. Człowiek Heryna bełkocze coś o zdradzie... i jeszcze niejedno powie.

Ta wiadomość skrzesała w nim nowe siły. Oczyszczenie się z zarzutów. Dowód dla ludzi ojca. Poza tym dla całego królestwa. Wciągnął głęboko powietrze. Konie człapały nieznośnie wolno, dzień bowiem nastał upalny, jakkolwiek na zachodzie przybywało chmur.

Ścigały ich muchy. Przepaska na głowie zdawała się złośliwym, palącym ogniem.

–Uwierz mi – powiedział Cefwyn, myśląc o Efanorze. – Mój brat nareszcie mi uwierzy.

–Panie?

On jednak milczał. I tak już powiedział za dużo, nawet Idrysowi.

Przed nimi na drodze ukazała się dwójka jeźdźców, poruszając się z tak nikłą prędkością, że nawet wlokący się noga za nogą oddział z wolna ich doganiał. Cefwyn obserwował wędrowców z czoła kawalkady; rozpoznał jeźdźców na długo przed tym, jak odległość zmniejszyła się na tyle, by każdy mógł dostrzec ryżą sierść klaczy, czarny kolor jeźdźca i przysadzistą sylwetkę mężczyzny na gniadoszu.

–Miłościwy panie – odezwał się Gwywyn. – Mamy wyjechać naprzód i zbadać, co to za jedni?

–Nie trzeba. Wiem, kim są. Wszystko w porządku.

Lord komendant umilkł, jadąc wraz z Efanorem po jednej stronie Cefwyna, podczas gdy z drugiej strony podjechał Cevulirn, by usłyszeć to samo.

–Miłościwy panie – szepnął lord komendant jego ojca, słusznie zaniepokojony, jako że tych dwóch otaczała pewna aura tajemniczości: żaden się nie oglądał, by sprawdzić, kto za nimi nadjeżdża, jakby kondukt pogrzebowy króla i pochod jego następcy niewiele ich obchodziły.

Ostatecznie ów przysadzisty obejrzał się przez ramię. Drugi jechał jakby nigdy nic, oklapnięty w siodle, z pochyloną ciemną głową.

Jest ranny, pomyślał Cefwyn z trwogą, a mimo to... mimo to – promienie zachodzącego słońca w połączeniu z kurzem, jaki dwa konie wzbijały na zjeżdżonej drodze, dawały złudzenie, że oto przed nimi posuwają się dwa duchy, istoty nienależące do tego czasu i tego miejsca, nieosiągalne.

To nie Elfwyn, skonstatował. Jakąkolwiek duszę zawezwał Mauryl, na ratunek z pewnością

nie pośpieszyła im nastawiona pokojowo dusza Elfwyny. Nie był ostatnim sihijskim monarchą ten, którego dłoń, ramię i ciało dały pokaz tak wielkich żołnierskich umiejętności, że okryci zbrojami przeciwnicy pierzchali przed nim w popłochu.

„Sine!” – krzyčili napastnicy, cofając się w konsternacji. Nigdy nie zapomni tamtej chwili, kiedy wrogowie szykujący się do zadania decydującego ciosu ugięli się pod presją dwóch ludzi, z których jeden, jeśli nie liczyć sztyletu, przystąpił do boju bezbronny.

Tristen jechał odrętwiały, jakby został ciężko ranny, pomyślał Cefwyn, jakby nie oczekiwał ratunku, gotów odtrącić każdą zaoferowaną mu pomoc. Król ostrożnie ponaglił konia, podczas gdy główna kolumna utrzymywała stałe tempo.

Zrównał się z jeźdźcami, spojrzał na udręczone oblicze Uwena... oraz na profil Tristena, ocieniony gęstwą kruczonych włosów. Młodzieniec zwieszał głowę na piersi, jak gdyby tylko instynkt utrzymywał go w siodle. Twarz, tak samo jak i ręce, zbryzgane miał krwią, czarny aksamit został porozcinany, ukazując pod spodem błyszczącą zbroję. Krew zaschła na aksamicie, a także na grzywie, karku i pęcinach ryżej klaczy. Cugle wisiały luzem.

Na obnażonym mieczu, po którym pełgały delikatne promyki zachodzącego słońca, zaciskały się ręce Tristena, przyklepione krwią do jelca i klingi ułożonej w poprzek łuku siadła.

–Tristenie – odezwał się Cefwyn. – Tristenie.

Uniosła się ciemna głowa. Poza tą spryskaną krwią maską zwróciły się nań blade oczy, jak zawsze przepaściste i niewinne.

Dreszcz przeszedł Cefwynowi po plecach. Spodziewał się jakiejś straszliwej przemiany, ale żadna nie zaszła.

–To także umiem – przyznał Tristen posępnie, po czym uniósł skrwawiony miecz, trzymając go jedną ręką za jelec. Potem odłożył broń. I chociaż twarz nie przybrała żadnego wyrazu, chociaż rysy nie ugięły się, znamionując jakiegokolwiek uczucie, w oczach zabłyśły łzy i potoczyły się po policzkach.

–Uratowałeś mi życie, Tristenie.

Młodzieniec kiwnął głową; twarz wciąż niczego nie wyrażała, oczy nadal były zdumiewająco przejrzyste, obie dłonie nie odrywały się od miecza.

–Mój ojciec nie żyje – oznajmił Cefwyn, w dalszym ciągu zamierzając powiedzieć, że został królem. Raptem jednak tama, która powstrzymywała jego własne łzy, pękła przy tych słowach, jakby dopiero po ich wypowiedzeniu wszystko stało się realne. Przetarł twarz, by łzy co prędzej wyschły na wzbijającym kurz wietrze, gdyż zauważył doganiających go świadków.

–Jesteś ranny? – spytał.

–Nie – padła odpowiedź, cicha i powściągliwa. Powieki Tristena zamknęły się, jakby w bólu, i nie otwierały przez dłuższą chwilę.

–Uwienie, masz się nim opiekować.

–Wasza Wysokość – mruknął żołnierz i strach pokazał się w jego oczach, gdy skorygował:
– Wasza Królewska Mość.

Jeźdźcy dołączyli do nich z tyłu. Tylko dowódcy, reszta kolumny coraz bardziej odstawała, ponieważ szybki marsz dawał się we znaki rannym.

–Panie – zabrzmiał chłodny głos Idrysa, gdy lord komendant zrównał wierzchowca z końmi Efanora i Cevulirna. – Sihhijczyk nie powinien cię poprzedzać, nie w tej kolumnie, nie podczas wjazdu do grodu. To by zrodziło wątpliwości. Wykarmiłeś tę rzecz. Teraz rośnie. Lepiej już, żeby znikła. Królom nie potrzeba takich sojuszników. Poślij go w jakieś ustronie, gdzie będzie bezpieczny, a wtedy i ty będziesz bezpieczny.

–Był przy mnie – odparł Cefwyn z goryczą. – Odgrodził mnie od zabójców. O mało nie uratował mojego ojca. Gdzie ty wtedy byłeś?

–Służyłem Waszej Królewskiej Mości, być może niezbyt dobrze. Powinienem być zostawić Heryna innym. Głęboko tego żałuję. Ale tak czy inaczej, on nie powinien cię poprzedzać. Przez wzgląd na nas wszystkich, Wasza Królewska Mość.

Mówił prawdę. Był to konieczny wymóg, mając na uwadze przyszłe bezpieczeństwo Tristena. Uległ więc, nadal zły na siebie, na Idrysa, na los, na bogów lub na ojca za ów przedśmiertny gest: sam nie wiedział na kogo.

–Załatw to.

Idrys podskoczył do przodu. Cefwyn patrzył, jak rozmawia krótko z Uwenem, po czym dwójka natychmiast zjeżdża na pobocze, aby kolumna mogła ich wyminąć.

Cefwyn nie był już w stanie strzec Uwena i Tristena. Musiał uwierzyć, że dojadą bez przeszkód, że zdrowy rozsądek Uwena wystarczy im obu, bez względu jak daleko zostaną zepchnięci przez wyprzedzające ich wojsko. Miał nadzieję, iż Tristen trafi wraz z resztą do domu, gdyż spośród wszystkich osób, których bezpieczeństwo leżało mu na sercu, najbliższy był mu właśnie Tristen. Chociaż został królem, nie mógł chronić tych ludzi, którym najbardziej pragnął zapewnić bezpieczeństwo.

Wiatr zaczął dmuchać im w plecy, zimny wiatr z północy, podrywający tumany kurzu, kładący przydrożną trawę, aż szerokie sztandary Marhanenów poczęły trzeszczeć i wyrywać się z drzewc, przysparzając sporo kłopotów chorążym.

Idrys powrócił na swoje miejsce. Nic nie mówił. Efanor jechał po drugiej stronie.

Nikt nie przerywał milczenia. Nie zachodziła taka potrzeba.

Słońce wstawało na widnokręgu, kiedy dotarli do Henas'amef; najpierw odezwał się dzwon przy dolnej bramie, potem – gdy przemierzali brukowane ulice – rozbrzmiały wrota Zeide.

Król Marhanen, pomyślał Cefwyn, widząc zebrane tłumy. Król Marhanen odwiedza owo miasto po raz pierwszy od czasu masakry Sihhijczyków.

A teraz to Marhanenowie krwawią.

Wysłał Idrysa przodem, by zaniósł wiadomość do bram Zeide. Jednakowoż, być może niepowiadomieni, mieszkańcy wybiegli czym prędzej, by gapić się i wiwatować na widok wjeżdżającej do grodu kawalkady z łopoczącymi sztandarami i gromadą cudzoziemców.

Tłum, pierwaj podekscytowany, umilkł raptem i spoważniał na widok rannych; gdy rozpoznano królewskie chorągwie, rozległy się pomruki. A kiedy kondukt maszerował ulicą, skądś doleciał okrzyk: „Król nie żyje!” W całym mieście podniosły się krzyki, z domieszką strachu. I słusznie, bo winą mogła zostać obarczona prowincja.

–Sihe! – zaczęto wnet przekazywać sobie z ust do ust i słowo to przeplatało się z głosem dzwonów. Cefwyn zrozumiał, że nareszcie Tristen zawitał do grodu; wiedział, iż nie sama jego obecność tak poruszyła ludzi. Król Marhanen leżał martwy, a żyjący Sihhijczyk powracał cało z bitwy. Dla nich to mógł być omen graniczący wręcz z prorocstwem.

Przed nimi, na wzgórzu, ział otwór wrót Zeide; posępne czaszki spoglądały zwycięsko znad południowej bramy, gąszcz dachów poza sklepionym przejściem odcinał się cieniem na tle ołowianego nieba.

–Wkrótce ujrzysz miecz sprawiedliwości – rzekł Cefwyn Efanorowi, kiedy przejeżdżali pod posępną bramą. – Obiecuję ci odpowiedź na zdradę, która się za tym wszystkim kryje.

Efanor nie raczył nań spojrzeć, tak samo on na brata. Zachowywali pogrzebowy nastrój, podczas gdy procesja wspinała się żmudnie, okrążając czoło Zeide ku wschodniej fasadzie, gdzie znajdowała się kaplica świętych i ortodoksyjnych quinaltynów. Cefwyn wydał rozkazy Idrysowi, aby ciało wystawiono w obrębie murów Zeide.

–Obiecuj mi inną jeszcze odpowiedź – rzekł wreszcie Efanor, kiedy wjechali na brukowany dziedziniec, z dala od gapiów. – Odpowiedź na kwestie, które sprowadziły tu naszego ojca.

A więc znów dała znać o sobie gorycz. Oraz podejrzliwość.

–Nie dość ci tego, coś zobaczył, Efanorze? Heryn posłużył się kłamstwem, aby zastawić na was pułapkę, wykorzystał naszą przeklętą rodzinną podejrzliwość. Raport Heryna nie

zawierał ani cienia prawdy. Nasza nieufność była jego sojuszniczką, Efanorze. Pora, byś okazał mi nieco zaufania.

–Widziałem zbójców spod niewiadomego znaku. Nie wiem, dlaczego zginął nasz ojciec. Ale nie musisz się nadwerężyć, aby mnie zadowolić, bracie. Obecnie jestem zobligowany do czerpania zadowolenia z czegokolwiek, co zrobisz.

Była to najodważniejsza, najbardziej wyzywająca mowa, jaką słyszał od Efanora-mężczyzny. Wzbudziła w nim szacunek dla odwagi młodszego brata, taki, jakim darzył odwagę lorda Gwywyna. I ukłuła jego krwawiące serce.

–Stój po mojej stronie, Efanorze. Błagam cię. I proszę. Odwaga przynosi zaszczyt, ale skieruj ją na naszych wrogów. Nie na mnie. Przysięgaliśmy, że nigdy nic nas nie rozdzieli. Przysięgaliśmy, że ojciec nigdy tego nie zrobi.

Milczenie.

–Efanorze.

–Nie jest moim życzeniem – odparł Efanor chłodno – opuścić cię kiedykolwiek, bracie. Nie bój się, nigdy tego nie uczynię.

Przed kaplicą quinaltynów zapalono pochodnie. Ognie płąsały dziko w szarości świtu.

Mary odpięto od koni – prowizoryczne, żołnierskiej roboty, zbudowane z włóczni, pasów i płaszczy. Mężczyźni dźwignęli je i ponieśli ku drzwiom. Na spotkanie wyszedł im kapłan, czego wymagał od niego rytuał. Wiatr targał szatami, kołysząc zakrytą kapturem sylwetką bez twarzy.

–Król nie żyje – oznajmił Cefwyn wśród furkotu i łopotania chorągwi i płomieni. – Zginął z rąk zabójców na drodze do tego miasta. Niechaj tak ogłoszą. Módlcie się za jego duszę.

Ciało ojca znalazło się w świątyni pierwsze. Ułożono je na ołtarzu, a po obu stronach zatknięto sztandary: Smoczej Gwardii, rodu Marhanenów, Guelemary, Guelessaru i Ylesuinu. Cefwyn wszedł do środka, by zapalić kadzidło i odmówić modlitwę, po raz pierwszy od lat wczuwając się w słowa. Pocałował przy tarte srebrne litery, osadzone w kamiennym ołtarzu, i podniósł się, by stanąć jak wryty na widok ciemnej postaci w drzwiach kaplicy; Gwiazda i Wieża na czarnym aksamicie mieniły się srebrzyście. Druga sylwetka pojawiła się w progu: Uwen.

–Zobacz, twój sprzymierzeniec – odezwał się Efanor nad jego ramieniem.

Tristen czekał. Cefwyn postąpił niepewnie krok w stronę złowieszczej postaci, świadom obecności Efanora. Rodzinne przekleństwo, pomyślał, czując się jak w potrzasku. Żywe i

wciąż z nami.

–Cefwynie – powiedział Tristen. W cichym głosie zabrzmiała nuta konsternacji. Król usłyszał jedynie trwogę będącą dziecinnym znamieniem, które stanowiło szlachetnego człowieka, za jakiego go uważał.

Objął Tristena, jak nie mógłby objąć własnego brata w tej chwili, wsparł obolałą głowę na jego ramieniu, podniósł wzrok i dostrzegł w oczach młodzieńca współczucie i czułość, za którymi tęsknił u swego brata.

Tylko to mi pozostało, pomyślał. Jak świat długi i szeroki, nie ma dla mnie czułości, oprócz tej. Efanor nie będzie mnie przekonywał.

–Przyjacielu mój – zwrócił się do Tristena – nie powinieneś był tu przychodzić... Uwienie, odprowadź go do jego pokoju. Czeka mnie dzisiaj sporo obowiązków.

Tristen nie ruszał się z miejsca, lecz Uwen pociągnął go za rękę, a wtedy, niby znużone dziecko, uległ i poszedł, gdzie mu kazano.

Zawodzenia kapłanów odbijały się echem od ścian sklepionej sali. Płomienie pochodni, kołysane podmuchami wiatru, chwiały się i sypały iskrami, kłując niekiedy, gdy udało im się trafić na skórę.

Cefwyn odwrócił się, by napotkać posępną minę Idrysa.

Czekała go jakaś powinność. Idrys miał coś na myśli.

–Posłaniec – przypomniał sobie raptownie. – Heryn.

–Obaj aresztowani. Panie, zajmij się tym, co potrzeba, a oplakuj później. Posłaniec na pewno nie zdążył w stronę zasadzki na gościńcu. Na to było już za późno. Gdzie indziej go wysłano.

Cefwyn zwlekał przez chwilę z oczyma wbitymi najpierw w rozedrgane płomienie, potem w Efanora stojącego wśród milczących oficerów koronnych.

Rozległ się donośny dźwięk wielkiego dzwonu quinaltyńskiej kaplicy, uroczysty i straszny.

–Dowiedz się dokąd – polecił Idrysowi.

Rozdział dwudziesty drugi

Nękały go sny.

Tristen uciekł od brzęku żelaza i odgłosów ludzi i koni. Obudził się, ciągle słysząc, jak dzwony wybijają swą upiorną melodię.

Gdy spał, zstąpiły ciemności. Teraz przyciskał dłonie do oczu, aby odpędzić senne wizje. Ostatecznie wysunął z bezpiecznej, acz niedodającej otuchy pościeli obolałe kończyny, zarzucił szlafrok na ramiona, podszedł do kominka. Rozgrzebał węgle i dołożył małą szczapkę, przy czym nie chodziło mu o ciepło, ale o światło.

Po świecach pozostały jedynie okapane ogarki. Szukał zapasowych w szufladach, bosy na zimnej posadzce. Z uczuciem ulgi natrafił na kilka, zdjął wypalone świece i zatknął świeże w kinkietach, zapalając jedne od drugich, tak aby przegnać Cienie do kątów, pod łóżko i daleko ku nieosłoniętemu okiennicami oknu.

Uwen spał, nie ulegało wątpliwości, ponieważ ani drgnął, gdy Tristen dokładał do ognia i kręcił się w poszukiwaniu świec. Nie zamierzał niepokoić Uwena, bez względu na niewygodę. Uwen i tak już zrobił zbyt wiele, co przyplącił siniakami. Sam też był znękany, wysiłkiem i jazdą, do jakiej nie nawykł. Nabawił się kilku stłuczeń; ramię bolało go od zadanych ciosów, kilku, jak mniemał, przy wyszarpywaniu miecza człowiekowi. Ale na tym koniec. Nie odniósł żadnych ran. Położył się spać zaraz po dotarciu do domu. Nie miał pojęcia, która była godzina.

Kopyta jeźdźców zadudniły na bruku, na krótko zagłuszając uporczywe bicie dzwonów. Dudnienie przesunęło się i ucichło; w Zeide, w labiryncie zaułków, dachów i skrzydeł, echa rozchodziły się w zwodniczy sposób, niemniej jednak przypuszczał, że duża liczba jeźdźców wyrusza dokądś nocą z podwórca przy stajniach.

Wcześniej słyszał niewyraźnie tupot zbrojnych mężczyzn na sali. Wchodzących i wychodzących z apartamentów Cefwyna, jak zakładał. Przez sen słyszał również głosy dzwonów dobiegające od bramy miejskiej, jak też od kaplicy i bram Zeide.

Chętnie zostałby przy Cefwynie, lecz Cefwyn wolał być sam, no może w towarzystwie Annasa i Idrysa. Cefwyn polecił mu z naciskiem wrócić do komnaty i położyć się spać.

Działo się tak być może, dlatego, rozmyślał, że nie rozumiał posiadania i utraty ojca, czy też kwestii, jakie normalni ludzie poruszają przy podobnych okazjach.

Doświadczył przynajmniej, co znaczy ponieść stratę i czuć się zagubionym. Gdyby umiał, pocieszyłby Cefwyna, chociaż nie wiedział, jak pocieszyć samego siebie, kiedy stracił Mauryła: szedł tylko i szedł, póki sen go nie zmorzył, odgradzając się szeregiem dni od owej fatalnej chwili. Przypuszczał, iż nie jest to zbyt mądra metoda i że on nie ma nikomu do zaoferowania niczego prócz wiecznych kłopotów – nader skromny dar dla Cefwyna zmagającego się z własnymi problemami.

Zadrzał, klękając przy palenisku, próbując się ogrzać. Płomienie objęły drewno i roztoczyły przed jego twarzą złocistą kurtynę, jaskrawą, żywą, odpędzającą wspomnienia.

Niemalże.

Zacisnął powieki, usiłując nie myśleć o zgiełku, kurzu, postaciach. Zatopił twarz w dłoniach i trwał tak przez chwilę, nie oddychając, dopóki z braku powietrza nie zakręciło mu się w głowie – wtedy opuścił ręce i dyszał jak człowiek bliski utonięcia; ciało i duch zarazem, jak powiedział Mauryl.

W cieniu obok paleniska stał nagi miecz, sztychem do ziemi, oparty o ścianę. Uwen stał z niego krew.

Miecz wyszarpięty napastnikowi. Wyniesiony z pola bitwy, zrazu bez żadnej przyczyny. Tristen trzymał go po prostu w rękach. Dopiero później zwrócił ku niemu swoje myśli. Ostatecznie postanowił zachować miecz jako coś użytecznego: taka rzecz nie mogła być bezużyteczna wobec dramatycznych wydarzeń, jakie się wokół rozgrywały.

Zaraz po powrocie na zamek wziął kąpiel, niemniej jednak, choć został dokładnie wyszorowany, odór krwi nie chciał opuścić jego nozdrzy, przez co nadal – pomimo pachnideł, którymi obdarzyli go słudzy – czuł się brudny. W blasku płomieni przyjrzał się swoim dłoniom i ramionom, nie pokrytym ranami mogącymi zaświadczyć o tej rzeczy, która mu się przytrafiła. Ze strachem się zastanawiał, dlaczego zdołał przeżyć bez szwanku; brak obrażeń napęłniał go wielką trwogą, tym bardziej, że tak wielu, wielu innych odniosło rany, które naznaczyły ich do końca życia.

Jestem w tym dobry, pomyślał. Mam wprawę. Nasunęło mu się wspomnienie z Ynefel: kiedy niewprawne ręce zabrały się do pisania, wnet spostrzegły, iż dobrze znają tę sztukę.

Mauryl pochwalił jego pracę. Mauryl powiedział...

Mauryl nie posiadał jednak w tym wspomnieniu wyraźnej twarzy. Cała Ynefel wydawała się obca, nie do odzyskania. Jakby pozbawiono go dobrych wspomnień o niej. Powrotna droga do owych dni, owej niewinności, została zamknięta. Mógł teraz jedynie zadawać pytania, wciąż nowe pytania mniej mądrzejszym od Mauryla ludziom, pytania prowadzące niezmiennie dalej i dalej od domu i bezpieczeństwa.

Cefwyn mówił, Idrys mówił, wszyscy ludzie mówili, więc była to chyba prawda, że Tristen jest Sihhijczykiem; że wszyscy Sihhijczycy zmarli straszną śmiercią i że Mauryl powołał go zza grobu, by dać mu kształt i ciało; czeladź mówiła i Cefwyn mówił, że on nie tyle uczy się rzeczy, co je sobie przypomina.

Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślał z dreszczem, przypomnę sobie umieranie. Oby nie. Służący prowadzili rozmowy, kiedy sądzili, iż ich nie słucha, zatem dowiedział się, jak wielki czują strach przed jego naturą, aczkolwiek traktują go z życzliwością. Wiedział, że jest uważany za czarodzieja. W świetle ich domysłów prawdziwe jego imię brzmiało Elfwyn; podobno też umarł w Althalen.

Co mogło być prawdą – przypuszczalnie słudzy dowiedzieli się tego od sprawdzonego informatora – lecz imię Elfwyn nie stanowiło dlań Nazwy, jakkolwiek wyraźnie pamiętał, że

Cefwyn wymówił je przy nim, usiłując, teraz to wiedział, odkryć, czyje sobie przypomni... Nie przypomni. Sam Althalen, będący wprawdzie Nazwą, stanowił miejsce, które w jego mniemaniu powinno kwitnąć, a nie leżeć w zarośniętej ruinie. W myślach kłębiły mu się o wicie gorsze miejsca, Nazwy, których nie potrafił wydobyć, i inne, jak Galasjen, Aryceillan czy Arachis – Nazwy nigdy przy nim niewypowiedziane, krążące na rubieżach świadomości, nawiedzające go w chwilach senności niczym ptaki, co to nie potrafią wylądować wobec braku oparcia w świeżej pamięci.

Służący twierdzili, jakoby ostatniego ataku doznał w związku z odwiedzinami w nawiedzonej okolicy, a o niemoc przyprawiły go bytujące tam duchy. Doszedł do wniosku, że duchy znane są z tego, czyli z wykradania ludziom życia. Nie spotkała go tam bynajmniej żadna kradzież: krzywdy nie wyrządził mu żaden duch, tylko przesył Słów, Słów w przerażającym nadmiarze, Słów wzburzonych, które nie zaćmiły mu jednak zmysłów tego dnia, gdy ujrzał Cefwyna w niebezpieczeństwie. Skoro tylko dostrzegł bitwę, skoro tylko dostrzegł królewskie chorągwie, ściśnięte do kupy, oraz spychane bezradnie wojska, wraz z Cefwynem usiłującym dokonać wyłomu w tym gąszczu – zrozumiał jasno, co należy zrobić.

Zrozumiał, podobnie jak wtenczas, gdy uchwycił pióro w dłoń i od razu umiał pisać, gdy usiadł na końskim grzbiecie i natychmiast opanował sztukę jeździecką. Z jakąż wyrazistością rozumiał, co należy uczynić, ażeby rozwinąć szeregi skazanego na zagładę wojska tak, by znów mogło uderzyć na wroga.

Poznał nie tylko zastosowanie miecza, ale istotę i sposób prowadzenia bitwy. Wiedział, dokąd się udać i co zrobić, aby wyswobodzić ów osaczony zlepek ludzi – prócz tego bezbłędnie rozpoznał na polu bitwy ludzi, których należało zgładzić, żeby wywołać zamęt w nieprzyjacielskich szeregach i zmusić je do ucieczki.

Pot wystąpił mu na czoło, pot niemający nic wspólnego z ogniem. Wicher, który uderzył w nich na gościńcu, był zimny. Wicher ten wciąż dął – słyszał go za oknem.

Postąpił w zgodzie z własnym sumieniem. Nie przeczytał Książki Mauryła, ale odkrył w sobie moc wyrządzania dotkliwych krzywd, dotychczas uszpiętą umiejętność w rękach, w owych ścięgnach i kościach stworzonych przez Mauryła. Zdawał sobie sprawę, że rozmaite pojęcia nadal się przed nim otwierają i że dokona jeszcze niejednego odkrycia. Nie był już tym cherlawym chłopcem, który przewrócił się na drewnianych schodach Mauryła i stłukł kolano na kamiennej posadzce w Ynefel. Stawał się chyba taki, jakim chciał go widzieć Maurył, aczkolwiek nie podejrzewał na razie, kim będzie. Nie przypuszczał, by jego obecna tożsamość wiązały tak ściśle więzy z przeszłością, jak tego obawiali się słudzy i Cefwyn – nie przypuszczał, by jego przeszłość miała aż tak wielkie znaczenie, chociaż z chęcią by się dowiedział, w kogo się przeobraża i czego powinien po sobie oczekiwać.

Oto co przejmowało go dreszczem: nie wiedział, jakie nowe zdolności mogą się w nim rozwinąć. Tego dnia odkrył, iż nie jest kimś przeciętnym. Był wysoki i silny, mógł dopaść człowieka i wyrwać mu broń z ręki; był zwinny i mógł uderzać szybciej od przeciwnika.

Galopował, przy czym nie musiał na tej czynności koncentrować myśli – w biegu Gery stanowiła nierozłączną część jego osoby, dzięki swej odwadze wychodząc zwycięsko z sytuacji, gdzie inne konie, spłoszone, popadały w tarapaty. Przeskakiwała nad trupami, i to na nierównym gruncie; nie zawiódł Gery, ona zaś nie zawiodła jego – rzecz zadziwiająca. Podczas gdy razem robili to, co uznawał za słuszne, czuł się, jakby frunął, miecz przestawał cokolwiek ważyć, a Gery dokonywała rzeczy, do których, jak przysięgał

Uwen, nigdy nie była szkolona, ponieważ posiadał dar, właściwy według słów Uwena wszystkim sihijskim władcom, dar przemawiania do koni i rzucania na nie uroku.

Wątpił. Przypuszczał raczej, że po prostu umiał siedzieć w siodle i że niegdyś, żyjąc w innym czasie, jeździł wiele, wiele godzin, a czynność tę uwielbiał ponad wszystko. Nie wiedział, czemu postanowił zaryzykować życie Gery – choć z drugiej strony nie wiedział, czemu miałby nie ryzykować jej życia, swojego i Uwena, spiesząc na ratunek Cefwynowi zagrożonemu śmiertelnym niebezpieczeństwem – jakże wielu rzeczy nie umiał jeszcze wyważyć i oszacować. Nie umiał oszacować wartości podniesienia miecza, ratowania jednych ludzi, a zabijania drugich, wołających pod koniec: „Sihe, Sihe!”, odmawiających podjęcia z nim walki, tak, że jego głównym orężem stała się sama obecność, dzięki niej tworzył pustkę wokół siebie, gdziekolwiek wjechał, gdziekolwiek kazał Uwenowi wjechać za sobą, gdziekolwiek skierował konia, tak mu ostatnio drogiego – podobnie jak Uwen, jak Cefwyn i spokój, który odnajdywał w jego obecności.

Znów mocno zacisnął powieki, czując cisnącą się na rzęsy wilgoć. Starł ją obiema rękami, po czym przycisnął oczy, tak aby czerwone światło, jakie się pokazało, przyćmiło inne obrazy: Wdychał dym z palącego się drewna, dym przypominający mu o Althalen.

Poczuł na plecach kamień paleniska; tylko po tym poznawał, iż nie dryfuje w czerni i czerwieni, nie znając żadnej wartości, nie wiedząc, co robić i jak oszacować to, co już zrobił, albo życie, albo ból i strach. Słowa i umiejętności wybuchały w nim tak gwałtownie, że nie mógł ich okiełznać – wręcz przeciwnie, wyglądało na to, iż to one próbują okiełznać jego, cisnąc go w wir szalonych, niemożliwych do pogodzenia możliwości, ku wydarzeniom, gdzie na każdym kroku zadawano gwałt Maurylowym prawdom dobra i zła. Napotkał potrzeby zmuszające go do okropnych rzeczy, nawet... nawet przy równoczesnej radości z dosiadanania Gery, z pułapu, na jaki mógł wznieść się miecz, niby żywa istota, jak tamtego dnia na dziedzińcu, kiedy uczył się używać siekiery i zrozumiał, że nic nie waży w jego rękach. Był wówczas pełen dobrych myśli. Uważał ów dzień za udany, choć nie wiedział, co może z niego wyniknąć.

A może każdy wybór jest równie trudny dla kogoś, kto naprawdę, naprawdę rusza w szeroki świat poza lasem? Czyżby nie istniało żadne przejrzyste, proste rozgraniczenie pomiędzy dobrem a złem? Czyżby nie było sposobu na podejmowanie dobrych decyzji, nie siejąc przy okazji zła, nie wzbudzając strachu nawet w Uwienie?

Ustalił dla siebie jasne reguły, mające prowadzić go w świecie chaosu: nie wyrządę zła

Cefwynowi, pomyślał. Nie wyrządę zła Uwenowi. Z pewnością to skromny początek.

Niemniej zło odznaczało się wielką złożonością, rozgałęziało na tak bardzo wiele stron. Czy złem jest postępowanie wbrew życzeniom Cefwyna albo robienie tego, co się uważa za najlepsze rozwiązanie, choć Cefwyn jest temu przeciwny? Czy złem było ryzykowanie życia Uwena dla ratowania Cefwyna?

Słyszał głos Idrysa, oskarżycielski, domagający się, by Tristen przekroczył bramę jako ostatni, w przeciwnym, bowiem razie mógłby ucierpieć honor króla – ale którego króla, Tristen nie wiedział dokładnie, ani wtedy, ani teraz.

„Sihe!” – wołali mieszczanie, patrząc nań z radością, ci sami ludzie, którzy stronili od niego na ulicach, kiedy znajdował się w rozpaczliwym położeniu, samotny i głodny. „Lord Sihe!” – krzyczeli, podobnie jak żołnierze podczas bitwy, lecz jedni biegli ku niemu, a drudzy przed nim uciekali. „Miłościwy królu!” – wrzeszczeli, chociaż jeden król nie żył, drugim był Cefwyn, a on przecież nie piastował tego stanowiska, nie chciał zostać królem – co to, to nie.

Wicher zabrzęczał szybami. W tej nocy czaiła się jakaś groźba, wicher ów przypomniał mu o tamtym, który zwykł hulać wokół wieżyc Ynefel. Ten zaczął wiać zupełnie tak samo, dzikimi i gniewnymi podmuchami, potrząsając zasuwką przy oknie.

–Sihhiczyku – powiedział – otwórz okno.

–Nie – odparł, dziwiąc się, jakie to proste. Był na to o wiele za mądry.

–Lordzie Sihe – szepnął Wiatr; a potem smagnął jak z biczu, zakręcił się i umknął z gwizdem, pozostawiając za sobą wrażenie trwogi.

Choć najwyraźniej nie trwogi przed Tristenem, zbliżyło się bowiem coś innego. Zerwał się na równe nogi, porażony świadomością, że gość nie pojawił się za oknem, ale stoi przy nim w komnacie.

Nie powstrzymała go żadna bariera. Przemknął mimo uwagi młodzieńca, słaby, delikatny, rozsądny.

–Tristenie. Tristenie, powitaj mnie, szybko. Nie mam wiele siły.

–Emuinie.

–Król... – zaczęło pytać widmo, rozwiewając się, niemalże znikając.

–Król nie żyje, mistrzu Emuinie. Ojciec Cefwyna nie żyje. Teraz Cefwyn jest królem.

–Stał w miejscu skąpanym w oślepiającym świetle, gdzie nie było życia ani czasu. Rozejrzał się wolno dokoła. W blasku ukazał się cień, istota bez kształtu, tylko z treścią, która od

czasu do czasu wydawała się niknąć. Miał nadzieję, że to Emuin. – Trzymaj się, mistrzu Emuinie. Potrzebuję cię. Bardzo cię dzisiaj potrzebuję, panie. Próbowałem już przedtem.

Wówczas Emuin stał się jakby bardziej realny. I wystraszony widokiem Tristena.

–Na bogów – mruknął. – Na bogów, chłopcze. Cóżes ty uczynił?

–Zrobiłem wszystko, co wiedziałem, panie. – Wysunął ręce, aby przyciągnąć Emuina, lecz krwawe, ciemne plamy odbijały się wyraźnie na jasnym tle, będącym jego skórą. Szybko je schował, przerażony tym, co zobaczył. – Walczyłem, panie. Myślałem, że tak trzeba. Wiedziałem jak. A Cefwynowi groziło niebezpieczeństwo.

Strach Emuina udzielił się i jemu. Pomyślał, że Emuin może uciec przed nim, tak jak ludzie na polu bitwy.

Jednakże Emuin się zbliżył, coś musnęło splamione palce Tristena – jedwabiste dotknięcie, jakby ktoś objął palcami jego dłoń i zacisnął, niemal materialny. Dotknięcie przesunęło się po twarzy i wyglądało na to, że obejmują go ramiona Emuina, podobnie jak niegdyś Mauryła, podobnie jak niedawno – Cefwyna. Nigdy dotychczas odczuwany przez Emuina strach nie był tak wyraźny.

–Nie wiem, jak ci pomóc – rzekł Emuin. – To, co się z tobą dzieje, przekracza moją wiedzę, chłopcze. Nie wiem już, co robić.

–Powiedz mi, co jest właściwe? – zapytał.

–W tym cała trudność, nieprawdaż? Co jest właściwe? Nie wiem, młody lordzie. Sam tego nigdy nie wiedziałem.

Nie taką prawdę chciał usłyszeć od Emuina.

Raptem poczuł, że inna istota skrada się w pobliżu. Istota zamieszkująca owo białe miejsce podsłuchiwała ich myśli, groźna, kiedy się tu znaleźli.

–Pora, byś wracał! – stwierdził Emuin, odpychając go od siebie. – Musisz wracać, natychmiast. Będę przy tobie, kiedy tylko zdołam.

Zobaczył, że coś wije się i porusza, czysty cień. Wiedział, że był dawniej człowiekiem... albo czymś w rodzaju człowieka.

–To Hasufin – usłyszał głos Emuina, teraz bardzo odległy. – Bądź ostrożny, Tristenie. Ostrożny!

Głos Emuina zaniknął. Tristen ujrzał Ynefel. Twierdza wydawała się w zasięgu ręki, widoczna poza lasami cienia, miejsce na skutek gry światła raz wyraźne i materialne, raz

migotliwe, kryjące się we mgle i w gęstszym cieniu. Coś straszego tam teraz siedziało.

Wysoko na murze zobaczył twarz Mauryła, a wtedy opuściła go cała poprzednia pewność, że tam właśnie chciałby przebywać. Pragnął uciec. Wyczuwał za sobą Emuina, wśród osobliwego poczucia miejsca i rzeczywistości. Podczas tej ucieczki nie śmiał pozostawić bezbronego starca.

–Przyrodzona Sihhijczykom – szepnął głos – jest umiejętność docierania do innych sfer. Stara krew nie woda. Będąc Formą, jest materialny zarówno tu, jak i tam, mam rację, Emuinie?

–To cię nie powinno interesować – przestrzegł Emuin Tristena. – Młody lordzie, nie wierz w nic, co on ci zaoferuje.

Tristen zamarł pół ruchu, dryfując w pobliże owego znajomego miejsca, a rysy Mauryła zaczęły się wykrzywiać i zachodzić cieniem, aż spojrzała na młodzieńca inna, młodsza twarz.

Wówczas ogarnął umysłem całą krainę, rozłożoną przed nim niby mapa na stole Cefwyna. Wąskie strużki ciemności wypływały z Ynefel, wiły się tu i tam po lesie, mknęły do Elwynoru, podczas gdy jedna nić przecinała Amefel, by dojść do samego Henas'amef, z każdą chwilą coraz grubsza.

Czuł zagrożenie związane z tą pojedynczą, czarną nicią, jakby dotykała czegoś znajomego, czegoś położonego gdzieś blisko. Albo była nim samym. Z przerażeniem stwierdzał, iż nie jest tego pewien.

Inne nici mnożyły się, im bliżej Elwynoru, tworząc misterną pajęczynę, której końca Tristen nie dostrzegał.

–Tristenie! – napomniął Emuin.

Omamił go tamten głos. Spróbował teraz wycofać się do Emuina. Groziło mu zwężenie do rozmiarów tych nici.

–Tristenie, to nieprzyjaciel Mauryła! To twój nieprzyjaciel! Wracaj zaraz do mnie! Wracaj, ale to już!

Jakaś dłoń chwyciła jego dłoń. Przeleciał w powietrzu z taką prędkością, że stracił równowagę i upadł.

Padł plackiem na posadzkę po swojej stronie. Kończyny miał rozkrzyżowane na zimnym kamieniu, obolałe. Poruszył rękoma, równie zadziwiony grą ścięgien pod skórą, jak za pierwszym razem, kiedy je zobaczył. Poczuł, że silne ramiona dźwigają go do góry i obejmują, między sobą a ogniem ujrzał nagle cień.

–Panie! Straże! Psia mać, pomóż no, człowieku! Znowu dostał ataku!

Usłyszał głos Uwena, którego cień przysłonił całą resztę. Zamroczony, mrugał ciężko powiekami. Naokoło tłoczyli się inni ludzie, przejmując go z rąk Uwena – ale nie całkiem.

Niesiono go w jakieś miejsce; okazało się, że z powrotem do łóżka, ku chłodnej, zwichrowanej pościeli, którą następnie wygładzono, rozciągając na wszystkie strony.

Większość wtedy wyszła, lecz Uwen pozostał. Krążył nad nim bez ustanku, szczesując mu włosy z twarzy, klękając u wezgłowia. Oblicze Uwena wydawało się wynędzniałe, blade i przestraszone.

–Jestem bezpieczny – powiedział Tristen. Kosztowało go to wiele wysiłku, lecz wypowiedziane słowa pozwoliły mu się uspokoić. Z mniejszym już trudem łapał powietrze.

–Przemarźleś, panie. – Uwen natarł gwałtownie jego rękę i ramię, potem wepchnął tę rękę pod przykrycie i spiętrzył nad Tristenem taki stos koców, że ich ciężar utrudniał oddychanie. Uwen wyglądał na usatysfakcjonowanego, lecz nadal nie odchodził, klęcząc przy łóżku i drżąc wobec chłodu nocy zimniejszej niż wszystkie, jakie Tristen pamiętał.

–Uwencie, wracaj do łóżka. Odpocznij.

–Jakże to tak? Co rusz padasz na ziemię, nękany atakami!

Uwen nie dawał wiary jego wykrętom, tego był pewien, aczkolwiek nie traktował wszystkiego poważnie. Tknęło go nagle złowieszcze przeczucie i strach o życie Uwena.

–Uwencie – powiedział – moi wrogowie są straszni. Uwen się nie poruszył. Z jego twarzy nie ustępował wyraz obawy.

Z drugiej strony wydawało się, że obawa ta nie dręczy go zbyt. Zbyt.

–Och, znam ja dobrze te twoje ataki. Wcale się ich nie boję. A któż prócz mnie zna cię tak dobrze? Miałbym gdzieś sobie iść, zamartwiać się i na laurach zasypiać, he? Żadna prośba mnie stąd nie ruszy i wybij to sobie z głowy. Żadna prośba. Bodajby sam król prosił.

Duma nie zezwalała Uwenowi na ucieczkę. Tristen to rozumiał. Sam nie miał ochoty uciekać, kiedy wisiała nad nim groźba niebezpieczeństwa, gdyż w takich chwilach nie widział po prostu wyboru. Rozumiał to i nie nazywał tego odwagą; z Uwenem było podobnie. To pozbawione możliwości wyboru miejsce znajdowało się teraz bardzo blisko niego. Uparcie usiłowało otworzyć się pod jego powiekami. Zadrżał – nie ze strachu bynajmniej, ale ponieważ w owym miejscu ciało nie czuło się najlepiej.

Z pochyloną głową i sztywnymi ramionami, Uwen dzielnie trzymał go za rękę, dopóki nie minęły dreszcze. Uwen nie zamierzał pozwolić mu na powtórny podróż do tego jasnego

miejsca, co było, pomyślał, nader rozsądne z jego strony, jakkolwiek Uwen nie mógł sięgnąć wzrokiem ku owej przestrzeni ani podążyć tam za nim. Uwen mógł trzymać jego ciało, tak, aby był go świadomy i znów się nie wymknął.

–Jak daleko do świtu? – zapytał, kiedy dygotanie ustało.

–Nie wiem, panie. Mam iść zapytać?

–Muszą być żołnierze. Muszę mieć żołnierzy.

–Panie?

–Wróg zajął Ynefel. Nie może tam zostać.

–Na bogów, nie! – Uwen objął go mocno. – Nie wolno ci znowu tam chodzić, panie. Co by tam nie siedziało, nie jest to wróg naturalny i lepiej mu nie leżać w łapy.

–I ja nie jestem naturalny. Wszystko, coś o mnie usłyszał, stanowi chyba prawdę.

–Żeś niby Sihhijczyk? Nic mi o tym nie wiadomo. Zacny z ciebie młodzieniec, panie, na wskroś zacny.

–Czyżby? – Tristen rozcapierzył szeroko palce dłoni, wyciągnął je przed siebie, patrząc przez nie na ogień. – On wie, czym jestem. Walczył o mnie. I dopiero co śniłem o Ynefel. Widziałem nici, które stamtąd wychodzą. Mój wróg mieszka tam teraz i pragnie tego kraju. Dociera do wszystkich krajów wokół nas. Dociera nawet do tej komnaty, Uwenie. Poczuję go.

–Rzeknijże o tym jaśnie panu Cefwynowi. Dyć on jest teraz królem. Zechce, to przywoła kapłanów. Albo mistrza Emuina, co łatwiej się stać może. Ten by znalazł, jaką radę.

–Nie, Cefwyn niczego nie rozumie. Ale ja tak. Odejdź ode mnie, Uwenie. Wracaj do gwardii, w której wcześniej służyłeś. Muszę zabrać tam wielu żołnierzy, lecz ciebie chciałbym oszczędzić.

–Król nie da ci iść z żadnymi żołnierzami – zapowiedział mu Uwen, potrząsając z lekka głową. – To dla kapłanów sprawa. Nie kocham ja ich co prawda, chłopcze, ale i oni na coś się przydają, właśnie na to.

–Kapłani. – Przypomniał sobie tych, których zobaczył niedawno w kaplicy quinaltynów, gdzie leżało ciało króla; kapłanów pierzchających przed nim, kulących się, żeby tylko nie dotknąć szatami młodzieńca. – Oni nawet mnie się boją, czyż mogą wobec tego zmierzyć się z moim wrogiem?

–Sam ja już w rozterce, panie. Król czy nie król, Jego Królewska Mość nie ma żołnierzy, co

by w tę drogę ruszyć zechcieli.

Tristen nie znalazł na to odpowiedzi. Jakiego planu powinien się trzymać, skoro nawet Uwen wmawiał mu, że się myli?

–Panie – rzekł Uwen – panie, poszedłbym ja z tobą. Poszedłbym ja z tobą do piekła samego, ale nie pójdę na zgodę taką, byś właśnie tamoj chadzał. Drogę ci w bramie zastawię, z całym szacunkiem, panie, ale chadzać tam nie pozwolę, mowy być nie może.

–Uwienie, a jeśli ten wróg wyjdzie z Ynefel? A jeśli przeniesie się do Althalen?

–Nie chcę nic o tym wiedzieć, panie. Nie chcę nic wiedzieć o czarodziejach, naprawdę. Przed każdym osłonię cię wrogiem, którego oko me złowi, podzielę go przez łeb czymkolwiek, co znajdę pod ręką, ale na bogów, to mi się wcale a wcale nie uśmiecha. Poślij po Emuina, panie. On znajdzie jakąś radę, człek to bowiem mądry, w gruncie rzeczy żaden z niego kapłan.

Tristen potrząsnął głową.

–Emuin nie ma pojęcia, jak się za to zabrać. Też się boi.

–A skąd tobie o tym wiedzieć, panie?

–Rozmawiałem z nim. Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałem, Uwienie.

–Miałeś sen panie, to wszystko.

–Naprawdę z nim rozmawiałem. – Powąta wydawała się teraz jakby solidniejsza, na snycerce pełgały światła. – Już mi ciepło. Wracaj do łóżka, Uwienie.

–Kiedy mi tu całkiem dobrze, panie.

–Nic mi już nie grozi. Idź odpocząć. Pomyśl o powrocie do gwardii. Służba zadba o moje potrzeby. – Sięgnął ku poznaczonej bliznami ręce Uwena, dotknął jej, uważając na świeże rany oraz siniec wielkości pięści, który odbijał się na przedramieniu ciemną plamą. – Chcę, żebyś był bezpieczny, Uwienie.

–Nie mam rodziny – rzekł Uwen po długiej chwili. – Gwardia jest moją panią, atoli nie mógłbym cię teraz rzucić dla baraków. Po prostu bym nie mógł. Bo cóż ja bym wtedy znaczył? Starość na mnie przychodzi. Zimą chłód czuję, o mojej żonie rozmyślam, o moich dziewczynkach i chłopcu, których zabrała zaraza. Jakże mi zaczynać teraz wszystko od nowa? Do licha, czyż mógłbym cię opuścić, panie?

Otulił Tristena kocem, wstał i podreptał do swego niewielkiego pokoiku pomiędzy drzwiami.

Młodzieniec odprowadził go wzrokiem. Po raz pierwszy słyszał o żonie i dzieciach Uwena.

To dzięki niemu Uwen sobie o nich przypomniał; zauważył, że żywi on względem niego uczucie, którym nie może obdarzyć nikogo innego. Podobne uczucie Tristen żywił wobec Mauryla i teraz też nie miał nim, kogo obdarzyć – nie mógł tym kimś być Emuin, nedorównujący Maurylowi ani mądrością, ani siłą: Emuin uciekł, chcąc zerwać więzi przyjaźni i znajomości, a Tristen szanował jego życzenie, dopatrywał się w nim, bowiem strachu. Cefwyn prosił go wprawdzie, by został jego przyjacielem, lecz Cefwyn miał tak wielu ludzi, o których musiał się troszczyć i dbać.

Uwen tymczasem miał tylko Tristena. Z jego słów wynikało, iż stracił wszystkich bliskich. Uwen nie był tak mądry, jak Mauryl: nie brakowało mu, co prawda odwagi, lecz w pewnym momencie Tristen przestał polegać na radach Uwena, gdy ten zaczął przyjmować od niego rozkazy.

I kiedy to się stało? Kiedy dorósł na tyle, by stać się dla kogokolwiek źródłem rad w tym świecie, którego sam przecież nie rozumiał?

Leżał nieruchomo w łóżku, tęskniąc za blaskiem jutrzeńki. Czas, którego upływu nigdy wyraźnie nie odczuwał, znów umykał ku jakiemuś wydarzeniu, którego nie potrafił przewidzieć ani zrozumieć.

Z sali dobiegały przytłumione odgłosy kroków. Na dziedzińcu rozlegał się z rzadka stukot kopyt: jeźdźcy kursowali w ciemności, zmierzając do miasta, za miasto lub do któregoś z obozów – albo też z powrotem; nikt nie galopował konno tylko po dziedzińcach Zeide. Być może to gońcy, pomyślał Tristen, zastanawiając się nad przyczynami owego poruszenia.

Odechciewało mu się spać na myśl o kolejnym koszmarze. Pot wystąpił mu na czoło, koce ciążyły niczym żelazo. Uderzenia serca odmierzały nieskończony czas, gdy tak leżał wpatrzony w bezświetlny połysk szyb.

Na zewnątrz ciemność jakby się rozjaśniła, mrok nabrał czerwonego odcienia (choć nie na wschodzie), poświata oblała najwyższe dachy i szczyty murów. Zza okien dobiegł jakiś dźwięk, którego zrazu nie potrafił rozpoznać, potem wszak doszedł do wniosku, że oznacza wiele krzyczących głosów. Po niebie przetoczył się grzmot.

Deszcz uderzył o szyby, kilka kropel, a powietrze wciąż pozostawało chłodne. Ogień wydawał się tej nocy czymś więcej niżli tylko wygodą.

Poświata na zewnątrz rozbłysła o wiele za wcześnie, chyba, że, pomyślał, tego upiornego dnia prawa natury zostały złamane, a ów mroczny blask obwieszcza przedwczesny świt albo rezultat burzy, jakiej nigdy dotąd nie widział.

Bez względu na przyczynę nie sposób było zasnąć czy wypocząć w takich okolicznościach, kiedy kumulowały się pytania bez odpowiedzi czy pojawiały nieokreślone światła i dźwięki. Wstał z łóżka, postanawiając się w końcu dowiedzieć, jakie to wydarzenia nie pozwalają spać innym ludziom. Poszukał czystego, ciepłego ubrania. Był już na wpół ubrany, gdy –

prawdopodobnie na skutek jego suwania skrzypiącymi szufladami komody – z sąsiedniego pokoju nadszedł Uwen, przecierając oczy i kulejąc.

–Co tam znowu, panie? – wymamrotał.

–Nie wiem – odparł Tristen, zamierzając natychmiast opuścić komnatę, zabierając ze sobą wyłącznie eskortę gwardzistów, tak aby nie trudzić Uwena i nie wyrwać go ze snu. Przypomnił sobie jednak rozkaz Cefwyna dotyczący zbroi, a był to rozkaz nazbyt poważny, aby go lekceważyć. Poszedł więc po zbroję. – Ciągłe ktoś wyjeżdża i przyjeżdża. Zejdę na dół i sprawdzę, co tam się dzieje.

–Ja się tym zajmę, panie. Nie musisz się nigdzie ruszać.

–Sam chcę to zobaczyć, Uwenie. Sam chcę się dowiedzieć. – Wydawało mu się, że całe jego dotychczasowe życie upłynęło na ignorancji otaczających go zjawisk, że zbyt często polegał na czyimś widzeniu i działaniu, co nie zawsze wychodziło mu na dobre. Tak wiele jeszcze nie wiedział, teraz, gdy Cefwyn stawał się królem, a brat Cefwyna rezydował na zamku. Tyle zmian zachodziło, nie tylko w Henas’amef, czego był pewien, ale i w Elwynorze oraz we wszystkich krainach, o jakich kiedykolwiek słyszał.

Kiedy zakładał buty, Uwen pokuśtykał do swego pokoju, by ukazać się po chwili z płaszczem i butami w rękę, poprawiając bryczesy. Uwen nie zamierzał puścić go samopas, to nie ulegało wątpliwości. Jakkolwiek Tristen zdawał sobie sprawę z gotowości Uwena do wykonania wszelkich jego rozkazów, przecucie mówiło mu wyraźnie, iż spotkałby się ze stanowczą i zdecydowaną odmową, gdyby polecił mu zostać.

Nagły wrzask podniósł się gdzieś w oddali. Obaj spojrzeli na okna.

–Panie – odezwał się Uwen – lepiej stąd nie wychodź. Nie wiem, co się tam wyrabia, ale chyba nic dobrego. Przysięgam, że na dół zlecę w te pędy i wiadomości dostarczę, zanim się pozbierac i zejść zdążysz.

–Nie – uciał Tristen; odwinął na bok pukiel włosów i zaczął mocować się z kolczugą, aż wreszcie Uwen przyszedł mu z pomocą.

Kolczuga spoczęła na ramionach i przylgnęła do ciała, przestając cokolwiek ważyć, stając się jego integralną częścią. Wyciągnął z komody płaszcz z czarnego aksamitu, z którego uszyto większość jego ubrań, najcięższy element całego stroju, mający chronić przed chłodem nocy. Narzucił płaszcz na kolczugę, a Uwen, kręcąc głową, pozapinał mu go zgrabnie na piersi; nie w smak mu było to wychodzenie z komnaty, niemniej pomagał Tristenowi wyglądać jak należy.

Korytarze na górze świeciły pustkami, nie licząc straży porozstawianych tu i ówdzie pod drzwiami. Wrzawa okrzyków dobiegała z niższego piętra, więc podeszli do schodów w towarzystwie dwóch gwardzistów, którzy zawsze za nimi chodzili, gdy opuszczali komnatę.

Brakowało również połowy gwardzistów strzegących drzwi Cefwyna, co oznaczało, że apartament jest opuszczony i zachodzi prawdopodobieństwo, iż Cefwyn jeszcze nie udał się na spoczynek albo też musiał opuścić sypialnię po tym, jak korytarze zatętniły stukotem nóg.

Ojciec Cefwyna leżał martwy. Tristen sądził – bez względu na wyczerpanie Cefwyna i stanowczość, z jaką odrzucał on oferty ludzi pragnących spędzić wraz z nim te godziny samotności – że najprawdopodobniej Cefwyn tej nocy nie zmruży oka.

Ale że Cefwyn będzie się błąkał po korytarzach – tego się nie spodziewał.

Zeszli po schodach do głównej sali, gdzie zebrali się żołnierze, a lokaje, lordowie i damy stali w grupkach i szeptali. Niektórzy pochlipywali. Tristen poczuł dym i przypomniał sobie Althalen, gdzie, zgodnie z zapewnieniami Cefwyna, nie zapłonął żaden ogień, odkąd śmierć ponieśli tam wszyscy Sihhijczycy. Ten dym wszakże nie miał chyba widmowego charakteru, skoro szczypał w oczy. Hałas dobiegał z położonych dalej sal.

–Ani kroku dalej – poradził mu Uwen. – Zostań tu, panie, sam sprawdzę.

Przestroga Uwena powiedziała mu, że nie spotka go nic miłego, jeśli będzie dłużej myszkował, aczkolwiek tej nocy wszelkie bezpieczeństwo wydawało się iluzoryczne. Nabrał przekonania, iż zagrożenie się zwiększy, gdy pozostanie nieświadomy wypadków rozgrywających się w miejscu jego zamieszkania, czy ich autorem będzie Cefwyn, czy też potoczą się bez jego wiedzy. Tristen musiał przysiąc Cefwynowi, iż będzie go bronił, ale jak miał tego dokonać w zupełnej ignorancji?

W głównej sali stali gwardziści, ale nie okrzyknęli go, kiedy mijał ich w towarzystwie Uwena oraz osobistej straży, podążając ku centralnym drzwiom w samym sercu Zeide, wiodącym na frontowy dziedziniec.

Te poczwórne drzwi stały teraz otworem. Przed nimi i w całym korytarzu pchali się żołnierze i rezydenci zamku w brokatach, aksamitach i prostych kapłańskich habitach. Paliły się tu lampy – jak wszędzie, gdzie panowały przeciągi – wszelako blask za drzwiami był czerwoną łuną od większego ognia, buchającego wśród gęstych kłębowi ciemnego dymu, którego smród sięgał daleko w głąb sali.

Z zewnątrz dolatywał ryk głosów, kakofonia dźwięków, w której żadne słowo nie brzmiało zrozumiale.

Niepodobna było trzymać się razem w tej ciżbie. Tristen przepchnął się obok kilku lordów, wydostał na podest i ruszył w dół schodami. Początkowo szukał wolnej przestrzeni, gdzie mógłby stanąć, lecz wnet się okazało, że tłum niesie go w stronę centrum wypadków.

–Panie – usłyszał zawołanie Uwena, jedyny wyraźny, piskliwy głos słyszalny w tym zgiełku. Znalazł lepszy punkt widokowy przy bocznych schodach i nie chciał go już opuścić.

Stał wystawiony na zimny, acz ogrzany dymem wiatr, który dmuchnął nań z deszczem. W powietrzu fruwały spopielone drobiny i błyskały iskry. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie płonie całe przeciwległe skrzydło budynku, ale kiedy wyminął tłumy na schodach, zobaczył po drugiej stronie dziedzińca olbrzymie ognisko. W bezpośredniej bliskości stosu z rzadka poruszali się ludzie, dzięki czemu mógł się przekonać, jak to ognisko jest wielkie – sterta drewna przewyższała człowieka. Płomienie oświetlały figury zwisające powyżej ze ściany przedmurza, ludzi dyndających na sznurach, kołaczących o mury obronne Zeide. Gdy tak patrzył, jeden z nich, wzbijając snop iskier, runął w ogień.

Ludzie. Ludzie wiszący na zaciśniętych na szyjach pętlach. Ludzie płonący w ogniu.

Tłum za nim wrzeszczał. Gwardziści wypadli przez drzwi, potrącając Tristena. W całym tym rozgardiaszu, przez jedną upiorną chwilę, ujrzał wykrzywione oblicze, krwawą ruinę człowieka popychanego przez gueleńskie strażę. Człowiek ów miał rude włosy, okrywały go strzępy niegdyś wykwiłtowanego stroju. Przez ułamek chwili mężczyzna patrzył prosto na niego.

Heryn, pomyślał, przerażony.

Heryn Aswydd. Cefwyn winił go za atak na króla.

Żołnierze utrzymujący tłum w ryzach odepchnęli Tristena pod ścianę, gdzie został z plecami przyciśniętymi do muru, śledząc pochód żołnierzy i innych ludzi przez dziedzińiec. Ochrypli śmiech wprowadził go w zdumienie. Chcąc z bliska obserwować całe zajście, zszedł na dół, gdzie wiatr niósł zapach gorącego dymu. Znienacka rozbrzmiał jakiś huk, w którym Tristen dopiero po chwili rozpoznał uderzenie pioruna. Zaczęły spadać krople deszczu – zagaszają ogień, pomyślał. Uratują lorda Heryna. Przepędzą kłęby dymu i wszystko będzie czyste.

Raptem uzmysłowił sobie, że nie są w stanie tego zrobić, gdyż nie mogą przywrócić dawnego stanu rzeczy, prostego, zrozumiałego i bezgranicznie bezpiecznego, mimo zapewnień ludzi, którzy władali jego życiem. Żaden deszcz nie zgasi ogniska, a spaleni ludzie nie ożyją.

–Panie. – Uwen dopchał się do Tristena i pochwycił go za rękę. – Panie, najlepiej, żebyś już wracał.

–Zamierzają go zabić – powiedział, nie mogąc pogodzić się ze spokojem Uwena, podczas gdy owa ostatnia grupa wspinała się na stopnie przed stosem, prowadząc między sobą Heryna. Przeszył go dreszcz. – Orien i Tarien również? – zapytał zdławionym głosem.

–Tako zarządził król Cefwyn, panie. Chodź ze mną. To nie miejsce dla ciebie.

Tristen nie zamierzał pozwolić, aby Uwen bądź ktokolwiek inny ukrywał przed nim prawdę. Spokojny głos Uwena tym bardziej go przestraszył, ponieważ wyraźnie sugerował, iż podobne rzeczy są tu na porządku dziennym. Wyrwał się Uwenowi i ruszył na przelaj

dzieńcem. Z nieba padały duże, zimne krople, rozpryskując się na bruku, każąc mu zmrużyć oczy, gdy wiatr zacinał deszczem w twarz.

Uwen złapał go za ramię, tym razem mocno.

–To królewska sprawiedliwość, nic tu nie poradzisz! Sprawiedliwość? Czyż to nie Słowo z archiwalnej Filozofii?

Czyż to nie Słowo mające ścisły związek ze Szczęściem?

Bał się otaczającej przemocy i lękiem nappełniała go utrata życia – bał się owego przejścia z życia do śmierci, którego sam raz był sprawcą, a które obecnie rozgrywało się przed jego oczyma; nie umiał go wyjaśnić ani zrozumieć – lecz świadomość, że to właśnie się dzieje, znajdowała się w jego wnętrzu jako Słowo szybujące wokół pozbawionej drzwi ciemności i usiłujące się z niej wydostać. Ludzie lękali się tego przejścia, jak nie lękali się niczego innego. Tristen rozumiał umieranie na polu bitwy, podobnie jak pojmował ogólne znaczenie śmierci. Niemniej w Zeide, gdzie mieszkał, Ludzie przyszli po to, aby się radować widokiem innych ludzi, których palono na stosie. Uwen był zdania, że to nic godnego uwagi – choć równocześnie nic, czemu powinien się Tristen przyglądać.

Deszcz bębnił po dziedzińcu, lecz nie miał najmniejszego wpływu na płomienie – ogień rozsyłał fale gorąca, z jakimi żaden deszcz by się nie uporał.

Wówczas błyskawica ubieliła kamienie na szczycie skąpanego blaskiem płomieni muru, grzmot rozległ się dokładnie nad dziedzińcem, a deszcz lunął oświetlonymi ogniem potokami. Przemoknięci do nitki gapie zaczęli się wycofywać, niektórzy biegiem, ku drzwiom. Ktoś pośliznął się i przewrócił na schodach. Powstał zamęt, a w całym tym tłumie nie było ani jednej osoby, którą Tristen chciałby odnaleźć lub z ust, której chciałby usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź. Ruszył w przeciwną stronę, usiłując dotrzeć w bezpośrednią bliskość ognia, dokąd – wiedział – nie wolno mu było podchodzić, tak samo jak nie wolno mu było robić wszelkich innych niestosownych rzeczy.

Uwen jednakże złapał go po raz trzeci, zaklinając na wszystkie świętości. Tristen uległ i cofnął się z powrotem na schody, by schronić się pod arkadą.

U drzwi jakiś cień zaczął się na nich w tak władczej postawie, że Tristen stanął jak wryty, częściowo na deszczu.

Idrys.

–Twoi gwardziści o wiele sumienniejszą składają meldunki niż twój sługa. To rozbudziło twoją cholerną ciekawość, Tristenie, lordzie Sine?

–Gdzie Cefwyn, panie? Gdzie go znajdę? Oczy Idrysa taksowały go od stóp do głów.

–Zaprowadzę cię tam, panie – rzekł Idrys ze zwykłą sobie oziębłością; odwrócił się i, kiedy już znaleźli się pod dachem, objął przewodnictwo, idąc w niewielkim od nich oddaleniu. Gwardziści wraz z Idrysem robili przejście wśród grup kobiet i mężczyzn, którzy trzęśli się z zimna i narzekali na korytarzu.

Minęli przecięcie sali i schodów i doszli do komnaty zwanej Mniejszą Salą, gdzie owej pierwszej nocy strażnicy przywiedli Tristena przed oblicze księcia.

–Poczekasz na zewnątrz – nakazał Idrys Uwenowi.

Zrób tak, Uwenie – rzekł Tristen, gdyż Idrys nie wydał swego polecenia grzecznym tonem. Uwen cały przesiąknął wodą; tak samo Tristen. Pragnął uzyskać odpowiedzi od Cefwyna. I jak najprędzej udać się wraz z gwardzistami na górę w celu włożenia suchego ubrania. Nie spodziewał się, że audyencja potrwa długo lub, że Cefwyn będzie w stanie poświęcić mu wiele czasu, niemniej postanowił zdać Cefwynowi sprawę z wypadków na dziedzińcu, jeżeli król był ich nieświadom. Pomimo zapewnień Cefwyna nie dowierzał Idrysowi. Dostrzegał powody, dla których otaczający króla lordowie mogliby wzbraniać się przed informowaniem władcy o pewnych wydarzeniach. Nadal nie dopuszczał do świadomości, by Cefwyn zdawał sobie sprawę z makabry na zewnątrz.

Tristen wszedł tuż za Idrysem na salę, gdzie obecnie znaczną przestrzeń zajmował olbrzymi stół. Wniósł z sobą dym, gdyż swąd przylegał do ubrania, ale nie miał pewności, czy sam jest jedynym jego źródłem. Wokół stołu zebrali się lordowie z południa i obcy, który przybyli w świetle brata Cefwyna. Zbrojne obstawy stały tłumnie pod ścianami; ten i ów ochlapany był wodą, co wskazywało, iż niektórzy z nich także przebywali na zewnątrz.

A więc Cefwyn prawdopodobnie wiedział, aczkolwiek jego szaty nie nosiły śladu wilgoci. Król i Efanor stali przy stole nad zestawem map. Zanim zdążył podejść bliżej, u boku Cefwyna pojawił się Idrys i szepnął mu coś ostrzegawczego na ucho.

Cefwyn podniósł na Tristena gniewny wzrok.

–Kazałem ci przecież nie ruszać się z komnaty!

Ów gniew wstrząsnął Tristenem i napełnił go strachem. Młodzieniec nie był wdzięczny Idrysowi za to, co ten powiedział. Przypomniawszy sobie, że Idrys doskonale zdaje sobie sprawę z wydarzeń na dziedzińcu. Nadal jednak żywił nadzieję, iż Cefwyn o niczym nie ma pojęcia.

–Powiesili lorda Heryna – zwrócił się do króla. – I innych ludzi. Nie rozumiem tego, panie.

Cefwyn wyglądał na zmieszanego, lecz wyraz gniewu nie zniknął z jego oblicza.

–Ścięli lorda Heryna. Szlachetna krew ma swoje przywileje. Ty jednak, mój panie, najwyraźniej wścibiasz nos tam, gdzie nic po tobie. Idrysie, czemu go do mnie

przyprowadziłeś? Niech to lichy, powinien siedzieć w swoim pokoju!

–Wasza Królewska Mość, lord Tristen prosił usilnie o osobistą audiencję. Pomyślałem, że sprawa może okazać się ważniejsza, niż z pozoru wygląda.

–Nie, panie – zaprotestował Tristen, lekceważąc gest Idrysa, zapraszający go do stołu między Cefwyna a lorda Pelumera. – Nie, panie. Muszę porozmawiać na osobności.

–Nie teraz, Tristenie.

–Panie... Emuin... – Opuszczało go przeświadczenie o posiadaniu jakichkolwiek argumentów w sprawie Heryna Aswydda, tej nocy wszakże niepokój wzbudziły w nim również inne rzeczy, o których Cefwyn powinien zostać powiadomiony. Pamiętał jednak, iż Uwen nie wierzył w rozmowę z Emuinem, a Cefwyn w tejże chwili nie miał cierpliwości do wysłuchiwanie jego historyjek i pytań. – Emuin przestrzegł mnie przed niebezpieczeństwem... A to... Wśród zgromadzonych lordów rozeszły się pomruki.

–Jakim niebezpieczeństwem? – zapytał Cefwyn. – Kiedy?

–Dziś w nocy, panie.

–Czy jest tu Emuin? Przyjechał?

–Wasza Królewska Mość – wtrącił Idrys – Emuina tu nie ma. – Z taką siłą pochwycił ramię Tristena, że sprawił mu tym ból.

–Nie! Panie, ja widziałem... – Opierał się próbującemu odciągnąć go na bok Idrynowi; na wszystkich twarzach odbijała się nieufność, a przynajmniej brak wiary w jego rozmowę z Emuinem. Nie szamotał się zbyt gwałtownie z Idrysem, ze spokojem znosząc ból, jaki zadawał mu żołnierz. – Zaczekam na swoją kolej, Wasza Królewska Mość, jeśli taka wola. Sądzę, że mógłbym wiedzieć coś wartościowego, ale nie chcę mówić czegoś, czego nie wiem. – Wspomniał na sługę drżącego za drzwiami z zimna. – Tylko pozwól mi zwolnić Uwena i gwardzistów, by mogli wrócić na górę. Przemokli do suchej nitki.

–A ty nie?

–Ja też, panie, ale pragnę zostać.

–A więc zwolnij swoich ludzi – zgodził się Cefwyn. – Paziu. Przynieś mu płaszcz.

–Z jego komnat, Wasza Królewska Mość?

–Daj mu mój! Święci bogowie! – Cefwynowi doskwierał ból: poruszał się, kulejąc.

Powinien właściwie leżeć w łóżku, pomyślał Tristen, lecz król usiłował za pomocą map rozłożonych na stole rozwiązać jakiś dylemat; razem z tymi ludźmi, z których nie wszyscy

byli mili i uprzejmi.

Tristen skorzystał z pozwolenia, aby podejść do drzwi i wysunąć głowę na zewnątrz. Uwen stał w pobliżu, szcękając zębami z zimna. W nie lepszej kondycji znajdowali się obaj gwardziści.

–Z powrotem odprowadzą mnie gwardziści Cefwyna – rzekł Tristen cicho, ponieważ za nim lordowie odbywali narady. – Uwenie, wróć, proszę, na górę i połóż się do łóżka. Niech gwardziści zmieniają szaty. Mnie tu nic nie grozi.

–Sam wodą ociekasz, panie. Czy mam ci przynieść płaszcz?

–Od nich płaszcz dostanę. Nie zabawię długo. A nawet jeśli, połóż się spać, proszę. Tutejsi gwardziści odprowadzą mnie na górę. Nie ma potrzeby, byś tu czekał.

–Tak, panie – odparł Uwen, niezmartwiony wcale tym, że wysłano go na górę, by mógł zmienić ubranie, tego Tristen był pewien. Przygnębionym Uwenem wstrząsały dreszcze, tak więc nie zamierzał protestować.

Tristen zamknął drzwi i odebrał ciężki płaszcz z rąk czekającego tuż obok pazia. Z ulgą owinął się grubym, podszytym aksamitem i wrócił między pozostałych.

–Na to, co zaszło zarówno w samym Amefel, jak i na pograniczu – mówił Cefwyn – musimy dać szybką i stanowczą odpowiedź. Heryn twierdził, jakoby oszustwa, których dopuścił się względem Korony, popchnęły go do owej haniebnej zdrady. Utrzymał ponadto, że zamierzał jedynie zwabić tu króla i zorganizować atak niewielkiego oddziału Elwynimów. Przysięgał, iż chciał przybyć królowi z odsieczą na czele własnego wojska. Miał czelność powiedzieć – Cefwyn wciągnął ze złością powietrze – że gdyby mój ojciec tak rychło nie wyruszył i gdybym ja nie kazał go aresztować, plan by się powiódł, a mój ojciec nie zginąłby.

Lordowie pomrukiwali pod nosem. Tristen ocenił, że był to bezmyślny plan ze strony Heryna, plan niebezpieczny i desperacki. Ujrzał w wyobraźni przemarsz wojsk, ujrzał ukształtowanie terenu.

I pomyślał, że w spisku uczestniczyło nazbyt wielu wrogów, by mówić o pozorowanej groźbie przeciwko ojcu Cefwyna.

–Tak twierdził Heryn – podjął król. – Nie udało nam się wyciągnąć od niego ani słowa więcej. Dwaj więźniowie, pospolici ludzie, zdradzili jedno imię: lord Caswyddian z Dolnego Saissonnd. Kształt puklerzy i rozmaite pozostałości na polu bitwy wskazują na nadrzeczne prowincje Elwynoru. Więźniowie nie widzieli go wprawdzie podczas bitwy, ale zaklinają się, że jego syn poprowadził ich do, jak to nazwano, odwetu za egzekucję pięciu saissonndimskich parlamentariuszy. Rzecz taka nigdy się nie zdarzyła, niemniej jednak kazano im w to uwierzyć. Ludzie Sovraga nie powrócili jeszcze z raportem, ale czy to za

pomocą mostu, czy też barek, Elwynimi przerzucają przez rzekę dużą liczbę przynajmniej lekkich koni, które mogli już wycofać. Odkładając na bok kwestię prawdopodobności Heryna, bez względu na to, czy oświadczenie więźniów jest odbiciem jakichś sprawek Aswydda, czemu on sam zaprzeczał, albo czy Elwynimi zdradzili Heryna i skorzystali z jego szaleństwa, aby posunąć się dużo dalej, niżby tego pragnął (możliwości tej nie wykluczam), nic nie każe mi przypuszczać, by za tą napaścią stał regent Elwynoru. Nie dysponuję tu żadnymi dowodami.

–Panie – rzekł Efanor – to nie była zwykła banda łachmaniarzy. To byli dobrze uzbrojeni żołnierze. Mamy imiona.

–Imiona lorda i ludzi nieświadczących się żadnym godłem, żadnym proporcem. Tu nie chodzi o regenta. To znak, że elwynimscy lordowie szarpią za wędzidła. Znak, w którą stronę powieje wiatr, jeśli regent umrze.

–Nasz ojciec nie żyje! Cóż za różnica, którzy z przeklętych Elwynimów przeprawili się przez rzekę? Regent ponosi całkowitą odpowiedzialność! Nie rozważaj przyjęcia od nich jakiegokolwiek małżeńskiej oferty! Nie wolno ci tego zrobić!

–Czyżbym powiedział lub uczynił cokolwiek wiążącego? Wskazuję tylko, że nie mamy do czynienia z dobrze zorganizowaną armią, bracie, a dzięki wiadomości przesłanej do elwynimskiego regenta być może, nawet, jeśli nie poznamy imion, podjęte będą jakieś kroki i kto wie, czy nie zostanie wzmocniona pozycja regenta względem kłopotliwych elementów wewnątrz jego własnego królestwa, a naszym krzywdom nie stanie się zadość?

–Ależ to mordercy! Bezbożni, heretyccy mordercy!

–Którzy, jeśli pewni elwynimscy lordowie działali bez porozumienia z regentem albo zgoła wbrew niemu, popełnili zdradę stanu, bracie. Zanim poślę ludzi do boju, chciałbym się dowiedzieć, z jakimi siłami przyjdzie im się zmierzyć i dlaczego, a także czy istnieje możliwość, by nie pogrążyć królestwa w wojnie wzdłuż połowy granic, mając u boku bogowie wiedzą, jakich sprzymierzeńców, poza tym w wielce niestabilnych czasach zarówno dla nas, jak i dla nich!

–Folgujesz mordercom! Oczekujesz prawdy od człowieka nieoddającego czci bogom!

–Wątpię, czy można być jednocześnie bezbożnikiem i heretykiem, bracie. A tu mamy Amefel.

–Zbyt długo żyjesz w tym heretyckim kraju, bracie.

–Ach, Efanorze, Efanorze. Jesteś śmiertelnie wyczerpany. Tak jak ja. I serce masz okrwawione. Wiem o tym. Lepiej pójdz już na górę.

–Nie dam się odprawić!

–Nie dam się pouczać! Ze względu na miłość, jaką się darzymy, albo udziel mi rady bez cytowania świętych pism, albo nie udzielaj jej wcale. Jeśli zapragnę kapłana, nie omieszkam go wezwać!

Efanor pobladł. Trzęsły mu się ręce.

–To nie pora na żarty, jaśnie panie bracie.

–Uwierz mi, jestem tego samego zdania. Uwierz mi, że odmawiam stosowne modlitwy, i uwierz, że w Amefel znajdzie się wielu godniejszych lordów niż Aswyddowie, a w Elwynorze wielu gorszych od regenta. Jeśli pozwolimy, by jakieś nieopierzone pisklę w gnieździe urosło w siłę za sprawą śmierci naszego ojca, nie tylko skalamy pamięć o królu, ale otworzymy mordercy drogę do fortuny i władzy. Jeżeli zaatakujemy i zabijemy regenta, zabójca naszego ojca może urosnąć w siłę, damy, bowiem owemu łajdakowi, który jest wszystkim winien, za jednym zamachem wojnę i tron do objęcia.

–A może – odezwał się Umanon – narobimy zamętu wśród Elwynimów i zaatakujemy przez rzekę?

–Spójrz tylko na mapę, Wasza Miłość. Po podbiciu całego Elwynoru mamy zbroić dwunastoletnie panienki i powoływać je do służby wojskowej? Elwynor to rozległy, rozległy kraj, równie wielki, jak nasze królestwo. Niezbyt mądrze jest ciągnąć smoka za ogon.

–Pusty, słabo zaludniony kraj. Same pastwiska.

–Ale na razie nie jest nam wrogi, a my w nim nie jesteśmy. W jakim oddaleniu musiałyby krążyć nasze patrole, aby nie doszło do wystąpień? A gdy zgasimy jedną iskrę buntu, czyż nie zapłonie ona gdzieś w ustronnym miejscu? Nie możemy okupować Elwynoru, mój panie. To mrzonki.

Tristen przyznawał w duchu rację Cefwynowi. Ale było coś jeszcze. Palił się, by to powiedzieć, lecz toczyła się i tak już zajadła dyskusja.

–Strach – stwierdził Umanon – zmniejsza liczbę potrzebnych patroli.

–Nie mogę się z tym zgodzić – odparł Cefwyn. – I nie dam się do tego namówić. Zajęcie Elwynoru skończyłoby się naszą katastrofą.

–Chyba, że napędzimy im strachu.

–Panowie. – Tristen nie wytrzymał dłużej. – Panowie, tu chodzi nie tylko o Elwynor. Jest jeszcze Ynefel.

–Kimże jest ten obcy – zapytał Umanon – byśmy mogli mu ufać? To Sihhijczyk, powiadasz, czyż, zatem nie powinien popierać stanowiska Amefińczyków... w najlepszym razie?

–Ufam mu – oświadczył Cefwyn – ponieważ uratował mi życie. Ponieważ odepchnął napastników z pola bitwy i uratował życie nam wszystkim, którzy byliśmy przy moim ojcu.

–Zaiste – poświadczył kapitan.

–Ale – wtrącił wytwornie ubrany lord, którego Tristen nie znał, a który przybył wraz z oddziałem ojca Cefwyna – czy i on jest członkiem naszej rady, Wasza Królewska Mość? Nie posiada żadnych włości z prawdziwego zdarzenia. Althalen i Ynefel stanowią siedlisko sów i myszy.

–Lordzie Murandys – rzekł cicho Cefwyn, pochyliwszy się do przodu – jego tytuły pochodzą z mego nadania, słusznie je odziedziczył. Tytuły na mocy krwi, mój panie. Zapadło grobowe milczenie.

–Czy czegoś w jej rodzaju – mruknął Efanor.

–Bracie!

Efanor schylił głowę i skrzyżował ramiona – lustrzane odbicie Idrysa.

–Zacni lordowie – rzekł Cefwyn – podobnie jak wy, nie zmrużyłem dziś oka. Posłałem gońców do północnych lordów z wieścią o śmierci mojego ojca oraz o tym, że postanowiłem utrzymać to miasto i przed powrotem do stolicy uporządkować przygraniczne sprawy. Presja wypadków nie daje mi wytchnienia i czasu na oficjalną żałobę ani na odbieranie od nich przysięg, które, mam nadzieję, zechcą mi złożyć zaocznie przynajmniej przez posłańca. Zagrożenie dla królestwa tutaj właśnie się kryje, bądź to w Amefel, bądź przy rzece. Podjąłem już decyzję. Mój ojciec – głos Cefwyna zadrżał – zostanie pochowany w tym mieście...

–Panie! – Efanor podniósł głowę.

–Tutaj, powiadam, w kaplicy quinaltynów, najstarszej spośród wszystkich quinaltyńskich kaplic w Amefel, w miejscu o wielkim znaczeniu, we wspaniałym i historycznym sanktuarium, którego zwierzchnikiem jest patriarcha południa. On to poprowadzi ceremonię pogrzebową, skoro tylko wybudujemy odpowiednią kryptę, gdzie nasz ojciec, bracie, będzie spoczywał, dopóki nie rozprawię się z jego mordercami! Król Ylesuinu nie powróci do domu, moi panowie, zamordowany i niepomszczony. Królowie Ylesuinu, jeden żywy, a drugi martwy, nie opuszczą tej prowincji, dopóki nie wymierzą sprawiedliwości, co też uroczycie przysięgam! Nie odwiedźcie mnie od tego.

Głowy się pochylały, nawet ta Efanora, w obliczu gniewu Cefwyna. Także Tristen spuścił wzrok, lecz udało mu się pochwycić spojrzenie króla, który przestał się chyba złościć i nie był tak zapalony, jakby to mogło wynikać z tonu jego wypowiedzi.

–Pora odpocząć, panowie, dam wam znać, kiedy już się nieco prześpię. Życzę dobrej nocy.

Niech bogowie ześlą wam spokojne sny.

Lordowie kłaniali się, mruczając grzecznościowe formułki. Tristen zastanawiał się, czy Cefwyn zmienił zdanie i chce, żeby i on wyszedł, ale gdy spojrział na króla, ten potrząsnął głową i złapał go za rękaw. Również Efanor pozostał, wyjątek od reguły, jak się wydawało.

No i Idrys, jakżeby inaczej, przystanął tuż za ramieniem Cefwyna.

Drzwi się zamknęły. Zostali sami, nie licząc gueleńskich gwardzistów.

–Efanorze – zwrócił się Cefwyn do brata.

–A zatem dopuścisz mnie nareszcie do swoich tajemnic? – zapytał Efanor. – Czyżbym już należał do rady, bracie? Czy i mi w końcu zdradzisz sekrety, które powierzasz Sihhijczykowi?

Cefwyn skinął z lekka w stronę gwardzistów: wycofali się i zamknęli za sobą drzwi. Wówczas oparł się o stół i pochylił głowę, dając wyraz swemu skrajnemu wyczerpaniu.

–Zaufaj mi, Efanorze. Po pogrzebie wyślę cię do stolicy, a sam zajmę się bieżącymi sprawami. Czyż to nie oznaka zaufania? Nie lada zaszczyt przypadnie ci w udziale. W niepamięć puszczam nasze spory. Tylko nigdy nie przeciwstawiaj mi się na naradzie w sprawach, które obaj ześmy wcześniej przedyskutowali. I wykaż się względem mnie, choć tą odrobiną cierpliwości, jaką ja okazuję tobie.

–Cóż się kryje za tą nagłą szczodrobliwością?

Do tej pory na twarzy Cefwyna malowało się zmęczenie. Teraz rysy stwardniały w wyrazie gniewu, ramiona się wyprostowały.

–Święci bogowie, Efanorze! Nie mogę walczyć z wrogiem zewnętrznym i z tobą równocześnie. Choć tego mi oszczędź. Śmierć naszego ojca zostanie pomszczona. Nie twierdzę bynajmniej, że zostanie pomszczona jutro, ale kiedyś tak się z pewnością stanie... Przynajmniej na tyle mi zaufaj! Okaż mi trochę uczucia, jeśliś do tego zdolny. Niemniej jednak zadowolę się twoją służbą, o ile, chociaż ją raczysz mi ofiarować’.

Efanor przesunął spojrzenie na Tristena, a potem znów popatrzył na brata.

–Znać, że wpływy, jakim tu podlegasz, przydały ci ogłady. A może znajomość tej ziemi nauczyła cię tak wielkiej delikatności?

–Jestem wycieńczony. – Cefwyn odsunął nieco krzesło, wyprostował zranioną nogę i, podtrzymując ją, usiadł. – O bogowie!

–Lepiej, żebyś posłuchał rady swojego medyka, Wasza Królewska Mość – ozwał się Idrys.

– Gwardziści zanoszą cię na górę do łóżka.

–Nie. – Cefwyn sięgnął po opinający mu czoło diadem i potarł miejsce, gdzie metal pozostawił ślady i zaczerwienił ranę. Potem włożył diadem z powrotem na skronie. Przytknął rękę do oczu, przetarł je i podniósł wzrok. – Nie zostało we mnie nic delikatnego, Efanorze. Wszystko zniszczyła ta prowincja. Proszę cię jeno, byś postępował jak mój lojalny brat, nic więcej.

–Jestem zdumiony – rzekł Efanor z przekąsem. – Prawdziwie zdumiony. Ale zgoda, obdarzę cię zaufaniem, jeśli ty mnie zaszczyisz swoim. Nie spodziewałem się bowiem wcześniej, byś raczył mi zaufać, Cefwynie.

–Potrzebni mi wszyscy godni zaufania sojusznicy. Zostaliśmy zaatakowani. Mauryl... to bolesna strata. Tristenie.

–Panie?

–Wyszedłeś tam. Dzisiaj.

–Widziałem to, panie.

–Wymierzyłem tylko sprawiedliwość.

–Wierzę – odparł Tristen, nie znajdując innych słów.

–Otrzymałeś wieści od Emuina. Goniec? Do ciebie, a nie do mnie? No bo jak?

Nie był to ten sam Cefwyn, który mógł być mu przyjacielem i znosić cierpliwie jego pokrętne i bezmyślne odpowiedzi.

Ale i Tristen nie był tym samym Tristenem, chociażby tym sprzed kilku dni. Rzekł więc beznamiętnie:

–Nie, panie. Emuin przemawia do mnie i próbuje pomóc. Ale mu się to nie udaje, nigdy. Chyba właśnie dlatego uciekł.

–Czarna magia – stwierdził Efanor.

–Nie, panie – odrzekł Tristen. – Myślę, że nie. Czuję, że nie. On mnie... po prostu słyszy.

–Jak można prowadzić podobne dyskusje? – zapytał Efanor Cefwyna. – Jak można rozpatrywać takie dylematy: czarna magia czy nie czarna magia? Czy normalni ludzie słuchają czarodziejów?

–A czyż normalnym człowiekiem był Mauryl, o którym tak często dyskutowaliśmy? – spytał Cefwyn szorstkim tonem. – Do diaska, bracie, powinniśmy wysłuchać zarówno Tristena, jak

i Emuina, skoro mają coś ważnego do powiedzenia.

–Wysłuchuj więc ich do woli. Ja się do tego nie mieszam!

–Gwarantuję, że nie usłyszysz niczego, co by uwłaczało twej kruchej świątobliwości. Zostań. Jako czarodziej Tristen jest delikatniejszy od Emuina.

–Już ja widziałem tę jego delikatność na polu bitwy.

–A on naszą; dziś wieczór natomiast twoją, bracie! Cierpliwości. Otrzymałem od ojca prowincję pod nosem czarodzieja i Emuina za doradcę, by pomógł mi ją utrzymać. I oto Mauryl upadł, lecz dał mi Tristena pod pieczę, którego Emuin przecież zaaprobował. Tristen przysiągł być moim obrońcą i słowa dotrzymał, jak przystało na zacnego i pobożnego człowieka, inaczej królestwo nie miałoby króla, ani ciebie, ani mnie, w ogóle żadnego Marhanena, natomiast Heryn dziś wieczór przejąłby ster własnego królestwa, wciśniętego pod baldachim El wy nora. Za czym regent zniknąłby ze sceny, a wkroczył na nią jakiś pretendent z córką na wydaniu. Heryn stałby się bastionem Elwynimów, których nie powstrzymywałyby już rzeka, którą Mauryl, co od dawna podejrzewałem, wyznaczył na granicę Elwynoru, aż do swego zaległego, acz niemile widzianego odejścia z ziemskiego padołu. Nie wiem, jaką zaporą starzec odgrodził Elwynimów, ale boję się, że zapora ta teraz pękła. Nie chciałbym, by mój strach ujrzeni amefińscy lordowie...

–Których ja bym nie dopuścił do rady, ot co.

–Bracie, znam tych ludzi; część z nich umiera ze strachu, by ktoś nie przypisał im udziału w przewinieniach Heryna, natomiast inni, z osobistych powodów, z całego serca nienawidzili Aswydda, aż do dzisiaj myśląc, że cieszył się bezspornym poparciem Marhanenów. Być może dla ojca był on użyteczny, dla ojca, który nic nie wiedział o wewnętrznych rozgrywkach w Amefel, ja jednak zdążyłem się przypatrzeć Herynowi Aswyddowi. Wystarczająco długo przebywałem w tej prowincji, aby przejrzeć na wylot jego nadużycia władzy i aby spotkać się z przynajmniej ostrożnymi sugestiami lordów, których owe nadużycia doprowadzały do rozpacz, tak, że Heryn przestał mi być potrzebny. A wobec powyższego jego głowa przyozdobi bramę.

–Swoimi machinacjami przywiodłeś ojca do tego...

–Jak śmiesz tak do mnie mówić! – Cefwyn rąbnął dłonią o mapy. – Ojciec wolał uwierzyć Herynowi, nie mi. Zapytaj doradców ojca, czy mogli mu to wyperswadować albo czy dolewali tylko oliwy do ognia. Ich pytaj! Boja nie pytam, gdzie ty wtedy byłeś.

Tristen zacisnął pięści, żałując, iż nie wie, co powiedzieć, by zapobiec bójce. Cefwyn jednak odezwał się spokojniejszym już tonem:

–Ja nie pytam, bracie. Zakładam, że twoja tu obecność wynika z tego, co mi powiedziałeś: chciałeś tylko zatuszować kilka spraw, które w twojej opinii mogły nie wyglądać najlepiej. Ale

nie sądzę, abyś spodziewał się mnie zastać w Henas'amef.

–Nie spodziewałem się, to prawda – odparł Efanor, także spokojnym głosem.

–Do jakiegoż stopnia zachwialiśmy się w naszym dziecięcym zaufaniu. Złożyliśmy przysięgę, ty i ja, że dziadek nigdy nas nie rozdzieli.

–Ja dotrzymuję przyrzeczenia. Ale co do ciebie, mam wątpliwości, bracie.

–I ja jej dotrzymam. Nie dam wiary temu, co mówią ludzie. Dziś w nocy Heryn zdał sobie ostatecznie sprawę, że okoliczności uległy pewnej niewielkiej zmianie. Obawiam się, iż ojciec mu ufał. Ale nie ja... Tristenie. Tristenie, przyjacielu, cóż mógłbym dla ciebie uczynić?

Dziesiątki Słów zalewały Tristena, Słów mających wielkie znaczenie w momencie ich usłyszenia, zanikających jednak bardzo szybko, co uświadomiło mu, że zaszło o wiele więcej, niż rozumiał, a w tej komnacie nic nie jest równie jasne i jednoznaczne, jak na polu bitwy. Jakże podobni do siebie byli ci dwaj lordowie, pomyślał, Efanor i Cefwyn, podobni z wyglądu, podobni w postawie i w niewielkich zmianach wyrazu twarzy – oprócz smukłego podbródka Efanora i korony na głowie Cefwyna.

–Przyszedłem, żeby powiedzieć... – zaczął, lecz myśli jego wciąż krążyły wokół Heryna i ognia, i wisielców, i faktu, że Herynowi ścięto głowę, gdyż był szlachcicem. I wokół Marhanenów. – Przyszedłem, by powiedzieć, panie, że się boję... boję...

–Tylko spokojnie – rzekł Cefwyn.

Wzrok Tristena przesunął się na Efanora, który, jak wiedział, nie pochwalał jego obecności. Potem na Idrysa z nachmurzonym czołem. Na koniec popatrzył, zmieszany, na Cefwyna.

–Widziałem Ynefel – bąknął. – Widziałem, jak wróg Mauryła sięga do wszystkich krajów.

–Skąd wiesz?

–Widziałem, panie.

–Stąd do Ynefel szmat drogi. Masz na myśli, że ci się przyśniło?

–Śniłem na jawie, panie. I sądzę, że zło nigdy nie opuściło Ynefel po... po śmierci Mauryła. Maurył powiedział, że powinienem odejść, chyba po to, aby to zło mnie nie dopadło. Nie należy pozwalać, by jego wróg tam przebywał. Jego wróg sięga aż do Elwynoru. Aż tutaj. Moje okno grzechotało, więcej niż jeden raz, a to samo działo się w Ynefel. On to robił.

–Ten człowiek oszalał – stwierdził Efanor z odrazą.

–Nie, poczekaj – powiedział Cefwyn. – Tristenie, mów dalej. On, powiadasz. To niebezpieczeństwo. Co mamy z nim zrobić?

–Musicie mieć okiennice, panie. Mauryl zamykał je co wieczór.

–Okiennice! – kpił Efanor. – Oczywiście, okiennice nas uratują. Na bogów, opamiętaj się, bracie!

–Ucisz się, Efanorze. Ani trochę nie pomagasz, by zabrzmiało to składniej... Tristenie, co z tymi oknami? Czy mówimy o magii? Czy chodzi o coś, co robił Mauryl? Przy Efanorze niełatwo było zebrać myśli. Idrys przewiercał go oczyma, wsłuchany w każdą głoskę, usiłując znaleźć usterkę w tym, co Tristen z trudem opisywał słowami.

Młodzieniec próbował zaprowadzić ład wśród swoich argumentów.

–Wróg Mauryla, Wasza Królewska Mość. Odwiedzał Ynefel, na ogół w czasie burzy. Nocą grzechotał okiennicami. A teraz tutaj grzechoczą okna.

–To przez wiatr! – przerwał mu Efanor.

–Cicho, bracie.

–Mauryl mówił... Mauryl mówił, że nie liczą się dziury w dachu. Że na ziemi są linie zrobione przez budujących Ludzi i że wróg nie wedrze się do środka, jeśli się dba o te linie. Powinieneś pozamykać wszystkie drzwi, gdy Cienie włączą się po dziedzińcu. Powinieneś mieć okiennice, panie, i zawsze je zamykać. Każdy w mieście powinien je mieć. Duch może wchodzić drzwiami i oknami.

–Zatem on usiłuje dostać się do środka?

–Wątpię, czy tutaj. Ludzie są beztroscy w mieście... ale nie sądzę, żeby miał tu władzę, na razie. Sądzę, że mógłby dojść do władzy, gdyby ludzie zaczęli go słuchać. Sądzę, że Heryn go słuchał. Sądzę, że słucha go chyba też ktoś w Elwynorze.

–Czy to jakiś bóg, ta istota? – zapytał Idrys. – Bo cóżby innego?

–To był człowiek. Ale teraz to chyba duch. Zjawą. Emuin nazywają Hasufinem, ale ja nie jestem pewien, czy to właściwe imię.

–Hasufin – mruknął Cefwyn.

–Bogowie brońcie – rzekł Efanor, bynajmniej nie tonem kpiny. – Mówiłem, że niczego dobrego nie należy się po tym miejscu spodziewać. Taka już jest ta przeklęta prowincja. Przynajmniej żadne zło nie wychodzi poza kaplice.

–Potrzebne mu Miejsce, panie, tyle wiem na pewno. Ale on nie tylko tam przebywa. Obawiam się, że nie. Nie wiem, czy ma środki, by wydostać się z Ynefel, albo czy chociaż tego chce. Gdybyś dał mi żołnierzy, panie, pojechałbym na zwiady.

–Nie – odparł Cefwyn – nic podobnego. Posłałem po Emuina. Spodziewam się jego rychłego powrotu. On sobie z tym poradzi, cokolwiek to jest.

–Nie sędzę. Emuin nie poradzi sobie z tym w pojedynkę. Mauryl chyba próbował. Ale był taki stary. Zabrakło mu siły. Myślę... – Trzęsły mu się dłonie, więc skrzyżował ręce na ramionach, by ukryć ów fakt. – Myślę, że właśnie dlatego tutaj zostałem przysłany. Ale nie potrafię przeczytać Książki. Nie wiem, jak się do tego zabrać.

–Święci bogowie – szepnął Efanor.

–Wrócę – oświadczył Tristen – wrócę do Ynefel. Jeśli dasz mi żołnierzy. Wrócę tam i dowiem się, w czym rzecz.

–Ciekawa propozycja, Tristenie, tylko co tam będą robić?

–Nie wiem, panie, lecz spróbuję go stamtąd przegnać.

–Może i byś próbował. Ale to nie jest zadanie dla żołnierzy.

–Zadanie dla kapłanów – dodał Efanor.

–Nie, panie – nalegał Tristen. – Z żołnierzy będzie większy pożytek niż z kapłanów. Tak myślę.

–W starciu ze zdegenerowaną magią?

–W starciu z czymkolwiek to jest, panie.

–Tristenie, lękam się, że nie pojedzie z tobą żaden z żołnierzy. Nie możesz wymagać od nich tak wiele.

–To samo mówił Uwen. Jednak myślę, niekiedy, że nie powinienem był stamtąd odchodzić. Myślę... że gdybym był tym, czym Mauryl chciał mnie uczynić, wiedziałbym, co należy zrobić.

–Zdaj się w tej sprawie na Uwena. Pozostaw to komuś z doświadczeniem.

–Kapłanom – dorzucił Efanor.

–Nie widzę w nich żadnej siły, panie. Wydają się bardziej wystraszeni niż chętni do pomocy. Ja widziałem tę rzecz. Widziałem ją na dziedzińcu.

–Tutaj?

–Nie, w Ynefel. Człowiek z kurzu. Opadł na liście.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

–Sihe – mruknął na koniec Efanor. – No i doczekaliśmy się, bracie. Stare zło, magia i gusta, wszystko wraz z nim powróciło. Co dalej?

–Tristenie – powiedział Cefwyn – nie będziesz działał na moją szkodę. Cokolwiek zamierysz, nie będziesz działał na szkodę moją lub królestwa Ylesuinu.

–Nie, panie. Nie będę.

–I nic ci nie przepowiedziało śmierci mojego ojca, żadne zdarzenie, słowo, pogłoska czy też czar? Powiedziałbyś mi chyba, gdyby coś cię przestrzegło?

–Nie, Wasza Królewska Mość! Niczego nie zauważyłem. Inaczej bym ci powiedział.

–I nie spiskowałeś z Herynem?

–Nie, panie. Nigdy. Byłbym go powstrzymał, gdybym potrafił.

Wyglądało na to, że Cefwyn już wcześniej o tym wszystkim wiedział. Tristen przypuszczał, iż każe mu to mówić ze względu na Efanora.

–Heryn podał imiona dwóch osób – ciągnął Cefwyn. – One zaś pod przymusem wyjawiają następne. A tymczasem... tymczasem możemy mieć nadzieję, że Elwynimi nie odważą się na kolejne posunięcie, skoro dotychczas nic się nie wydarzyło. Proponuję udać się na spoczynek, bracie. A tobie, Tristenie, powiem, byś zczekał na Emuina. On wróci. Zapytasz go wtedy, co powinieneś zrobić. – Cefwyn powstał, uważając na swą zranioną nogę, i uściśnął go serdecznie. – Jeszcze ci nie podziękowałem, co czynię niniejszym z całego serca. Wracaj do łóżka i obyś miał weselsze sny. Porozmawiamy znowu, kiedy wróci Emuin.

Ale, pomyślał Tristen, Cefwyn wcale go nie zrozumiał. Cefwyn nie pojął, iż grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo, z pewnością nie pojął tego także Efanor. Spojrzał na Idrysa, który przytrzymał drzwi, podczas gdy najpierw Cefwyn, potem Efanor opuszczali komnatę.

–Panie – zwrócił się do Idrysa – panie, powiedz mu, proszę...

–Jego Królewska Mość stracił ojca – rzekł Idrys oschle. – Musi się uporać ze swym pobożnym bratem, a nie jest to prosta sprawa. Krnąbrni lordowie rozpychają się, aby zdobyć jego względy, a na domiar złego quinaltyni nie posiadają się z oburzenia wobec twoich wpływów, lordzie Ynefel. Sugeruję, byś chwilowo i w ciągu kilku najbliższych dni nie podnosił głosu i nie wyrażał swej opinii na temat kapłanów w obecności Efanora. Człowiek to religijny, kapłanów w wielkiej estymie mający. Radziłbym, panie, nigdy więcej nie mówić tego, co mu powiedziałaś o nieudolności kapłanów.

–Ależ to prawda, panie. Gdyby potrafili nie dopuścić mnie rano do kaplicy, nie dopuściliby mnie. Ale nie potrafili.

–Lordzie Sine, jeśli będziesz uparty, możesz się jeszcze dowiedzieć, do czego zdolni są kapłani na tym świecie. Podjudzają książęta do okrutnych czynów, jakich byłeś świadkiem na dziedzińcu. Każą lordom mówić i postępować wbrew woli twojego króla, któremu przysięgałeś wierność i posłuszeństwo. Przez to, że uratowałeś mojego pana na polu bitwy, wiele zyskałeś w moich oczach. Niemniej w równej mierze zaszkodzisz Cefwynowi, jeżeli swoją gadaniną nastawisz quinaltyńskich kapłanów wrogo do Cefwyna, co łącznie mógłbyś uczynić. Ostrzegam, wystąpię wówczas przeciwko tobie.

–Ależ niebezpieczeństwo, panie...

–Żadną miarą nie jest tak poważne, jak to przedstawiłeś. Jeśli będziesz mógł dowieść, iż się mylę, przyjdź z tym do mnie, a ja wyważę drzwi do komnaty Jego Królewskiej Wysokości, byle tylko udzielił ci audiencji. W przeciwnym razie przyjmij do wiadomości, że chociaż słyszysz z daleka myśli Emuina, nic ci nie wiadomo o quinaltyńskiej ortodoksji, na którym to kamieniu się potkniesz, jeśli wciąż będziesz głosił te swoje opinie, prawdziwe czy nieprawdziwe. Dobrej nocy, lordzie Ynefel.

Cefwyn wspinał się na górę w towarzystwie Efanora i gwardzistów. Idrys z wielkim pośpiechem ruszył w ślad za nimi, gdyż został daleko w tyle.

Pod drzwiami sali obrad nadal pozostawali guieleńscy strażnicy, gotowi odprowadzić go do jego pokoju. Miał wrażenie, że Idrys go wysłuchał, lecz kazał mu też nie zwracać uwagi na prawdę i fałsz, a przecież powinien to czynić, zważywszy na nauki Mauryła. Nie ma miejsca na dwuznaczności w sprawach burz z piorunami, cóż dopiero w sprawach Cieni.

A nade wszystko, czego się obawiał, w sprawach związanych z tym, co ujrział w owym szarym królestwie, gdzie tylko Emuin wraz z nim się zapuszczał.

Nie wiedział, jak przekonać Idrysa, skoro sam nie rozumiał zagrożenia. Nie wiedział, jak przekonać Cefwyna, skoro sam był jedynie w połowie przekonany. Otulił się szczelnie płaszczem króla, rozmyślając, czy warto postępować zgodnie z oczekiwaniami Cefwyna i czy powinien poprosić gwardzistów, by zaprowadzili go z powrotem w miejsce, gdzie będzie chroniony, pilnowany i – czego się bał, doświadczony zachowaniem Ludzi – zamknięty na cztery spusty, by nie mógł oglądać nieprzyjemnych prawd.

A to by oznaczało, że wiedziałby coraz mniej, nie więcej, o sprawach Cefwyna, nie znalazłby odpowiedzi na żadne ze swoich pytań, a żadnemu ostrzeżeniu nie dano by posłuchu: im w większej nieświadomości byłby utrzymywany, tym mniej by zważano na jego przestrogi, wiedząc, że o niczym nie ma pojęcia.

Odszedł spode drzwi, opuszczając gwardzistów, którzy nie zadawali mu pytań i być może bez wyraźnego polecenia nie zamierzali robić czegokolwiek dla kogoś, względem, kogo nie

wyznaczono im żadnej powinności – Uwen wyjaśniał mu sposób myślenia gwardzistów i opowiadał o ich obowiązkach.

Zbliżył się do masywnych drzwi frontowych. Ciągłe padało, lecz stos całkiem nie zagasł. Płonął posępnie, garstka ludzi zaś – niektórzy już dobrze wstawili się piwem i winem – stała pod arkadami, obserwując ogień. Byli tu także gwardziści, ale ci mieli oko na ludzi bądź ze sobą rozmawiali. Poza tym, myślał, miał na ramionach płaszcz Cefwyna z wyszytym na skórzanych brzegach Smokiem Marhanenów.

A zatem nie sprawiło mu wielkiej trudności wyjście na schody w czasie mżawki, potem zejście schodami w cieniu ściany, obejście narożnika, dalszy marsz pod osłoną cienia i wśród kałuż u podnóży muru, w stronę rozdzielającego obmurowania i bramy, która za dnia zawsze stała otworem.

Na noc też jej nie zamykano. Przeszedł na drugą stronę, minął schodki i drzwi u końca skrzydła – drzwi teraz zamknięte, gdyż gwardziści schowali się przed chłodem i wilgocią do środka, gdzie powinni przebywać rozsądni ludzie.

Bramę prowadzącą na stajenny dziedziniec przymknięto, ale nie zaryglowano: w pobliżu kręciło się tak wielu gwardzistów, a miejsca do samowolnego wyprowadzenia konia było tak niewiele, że – jak przypuszczał – nikt się tym nie przejmował, skoro konie i tak nie mogły wyjść na zewnątrz. Drzwi do stajni zamknięto, ale nie na zamek, tylko na skobel. Tristen wszedł do środka i usłyszał poruszenie w słomie.

Zrazu pomyślał o Cieniach. Szybko jednak doszedł do wniosku, że konie nie stałyby tak spokojnie, gdyby gdzieś tu przyczaiło się niebezpieczeństwo; okazało się, iż był to tylko zaspany, na wpół wystraszony chłopiec stajenny.

–Kto tam?

–Tristen – przedstawił się.

–Panie? – Chłopiec wyszedł do drzwi i otworzył je na deszczową noc. – Nie wolno mi trzymać tu lamp, panie, żeby pożaru nie wywołać. Czymże służyć mogę?

–Potrzebuję konia.

–Tak, panie – cień chłopca odezwał się zdławionym głosem i podrapał po żebrach.

Błyskawica rozświetliła przejście, blask odbił się od obwiedzonego bielą oka ciemnego wierzchowca z dużym łbem, który wyrzwał ze swej przegrody, zaniepokojony hałasem. – Trza szybkiego czyli wytrzymałego?

–Najlepszego, jakiego masz. Konia, który dziś odpoczywał.

–Takich tu niewiele znajdziesz, panie. Ale dziś prosto z pastwiska Petelly’ego przywieśli. Tęga to sztuka, ogier rączy. Nie straszne mu zawieruchy, ale łeb ma uparty i ostróg nie cierpi, panie. Jak oszalały wtedy bryka.

–Ja też nie cierpię ostróg – odparł Tristen. Stajenny podszedł do konia, który wysuwał ku nim głowę; i który mierzył Tristena baczным spojrzeniem, kiedy chłopiec w świetle rozbłysków wyprowadzał go z boksu; stał cierpliwie, gdy stajenny wyszukiwał uprząż, z sennym spokojem poddał się siodłaniu i zakładaniu wędzidła; obwąchał dłoń Tristena, gdy ten ujął lejce, i parsknął, gdy młodzieniec wspiał się na siodło. Na koniec statecznym krokiem wyszedł na deszcz. Tristen poprawił na sobie płaszcz Cefwyna, a także okrył nim możliwie największą część grzbietu i końskiego rzędu. Podjechał wolno do bram Zeide, gdzie strażnicy, zaskoczeni podczas gry w kości, przepuścili go, pytając tylko o imię i przyświecając sobie lampką wytkniętą za drzwi od stróżówki.

–Tristen, panowie, z Zeide.

–W sprawie?

–Osobistej, panowie.

Jeden z nich trącił w ramię kompana ze słowami:

–Nie widzisz, że to królewski posłaniec? Drugi przysunął osłoniętą lampkę.

–Wybacz, panie.

Może pomógł mu płaszcz. Wątpił, czy go rozpoznali. Nie byli to ci sami strażnicy, którzy pełnili służbę owego dnia, kiedy tu przybył; była to zapewne druga, jeśli nie trzecia, wachta tej nocy. Nie próbował jednak wyprowadzać ich z przeświadczenia, iż wypełnia królewskie posłannictwo – przypuszczał, że postępuje niewłaściwie, choć, z drugiej strony, jego zachowanie od początku pozostawiało wiele do życzenia. Jeszcze bardziej niewłaściwą rzeczą była przecież ucieczka na grzbiecie Petelly’ego. Wiedział, że zaniepokoi mistrza Hamana, a nieszczęsnemu stajennemu przysporzy zapewne sporo kłopotów. Nie mógł jednak postąpić inaczej, więc nie powiedział strażnikom prawdy; otworzyli mu furtkę, a wtedy ruszył wolno śliskim brukiem głównej ulicy miasta w stronę miejskiej bramy. Podjechał pod budynek bramny.

–Kto tam jedzie? – zakrzyknięto. Otworzono drzwiczki, a wtedy z wnętrza wydobyło się blade światło lamp, oświetlając zalany wodą bruk, pocętkowany rozpryskującymi się kroplami deszczu w miejscach, gdzie kanalizacja nie działała jak należy. Jeden ze strażników z latarnią w ręku wszedł pewnym krokiem w tę wodę, by zgodnie z procedurą obejrzeć go od stóp do głów.

–Na bogów, anim cię poznał w tej ćmie, panie. Jakże to tak, bez eskorty?

–Owszem, dziś bez eskorty – odrzekł. Nie znał imienia strażnika, ale on chyba znał skądś Tristena. – Otwórz bramę, panie.

Drugi również wyszedł na zewnątrz, ujrzał go i uczynił szybki znak nad sercem.

–Święci bogowie, toż to Sihhijczyk. – Grzmot odbił się echem od murów, a błyskawica oświetliła twarze, bielsze od blasku latarni.

–Brama – powtórzył Tristen.

Na twarzach strażników odmalował się strach. Obaj uczynili znaki przeciwko złu i rażno doskoczyli, by unieść sztabę mniejszej furtki, Bramki Wycieczkowej, jak podpowiedziało mu Słowo. Ledwo wyjechał za bramę, strażnicy zaczęli ją spieszenie zamykać. Pomyślał wówczas o pewnej niedogodności, której nie wziął w rachubę, obmyślając uwolnienie się od straży Cefwyna.

–Kiedy tu się zjawi mój sługa – powiedział – o czym jestem przekonany, powiedzcie mu, że nie pojechałem do Ynefel.

–A dokąd to, panie? – jeden zapytał wśród tupania i pluskania niespokojnych kopyt Petelly’ego.

–Rozejrzeć się – odparł, co przynajmniej po części odpowiadało prawdzie. – Powiedzcie mu, że wrócę.

Skierował Petelly’ego na drogę prowadzącą wzdłuż murów. Wobec zachęty jeźdźca koń przyśpieszył, kładąc uszy przy uderzeniach piorunów, niemniej trzęsąc głową i rwąc się do szybszego biegu.

–Biegnij – powiedział Tristen i popuścił cugli, jak sobie tego Petelly życzył. Rumak wyciągnął szyję i puścił się galopem, rozchlapując kałuże i śmigając obok ivanimskiego obozowiska.

Ani razu, w miarę jak odbywała się jego ucieczka, nie miał pewności, że zdoła ominąć gwardzistów i prześliznąć się obok obozów – tymczasem nikt nie wychylał głowy z namiotów, żaden wartownik nie zagradzał mu drogi w czasie tej ulewy. Zostawił za sobą Iwanimów, zostawił za sobą żołnierzy z Lanfarnesse. Miejscy strażnicy nie popełnili błędu, skoro nie mieli rozkazu, by go nie przepuszczać. Wartownicy najdalej wysuniętych obozów, ci strzegący koni Cevulirna oraz ci od Pelumera, nie widzieli powodu, by go nagabywać: nadjeżdżał od strony miasta, musiał, więc minąć innych strażników.

Wreszcie, gdy w tyle zostały ostatnie z namiotów i najdalsze posterunki wartowników, przed nim rozpościerała się jedynie pusta, osnuta nocą droga.

Nikt przy nim nie został, przed kim musiałby składać raporty i komu mógłby wyrzucić krzywdę – był tylko on. Największy strach ogarniał go na myśl o Uwenie, który,

dowiedziawszy się o zniknięciu Tristena, mógłby niebaczenie wyruszyć za nim, obierając jakiś zły i nader niebezpieczny kierunek, ponieważ rozmawiali wcześniej o Ynefel. Nie miał wątpliwości, że Uwen – słysząc, jak wraca Cefwyn w otoczeniu gwardzistów, co się już zapewne stało – martwi się teraz, dlaczego Tristen zwleka z powrotem. Uwen zacznie się niepokoić; być może w tej chwili, ubrany, zbiega po schodach, by to sprawdzić.

Później zacznie wypytywać strażników, którzy zapewne wcale nie widzieli, dokąd się udał. Kiedy rozpocznie się przeszukiwanie stajennego dziedzińca – będącego jego ulubionym celem wycieczek, bardziej prawdopodobnym miejscem niż ogród ze względu na padający deszcz i panujące ciemności – chłopiec od razu się przyzna, że wydał mu wierzchowca.

Potem jednak... potem Uwen będzie musiał poprosić o konia, a przecież Uwen nie jest lordem: nie wystarczy mu prośba, aby konia dostać. Uda się wobec tego do komendanta straży, a ten prawdopodobnie obudzi kogoś wyższego rangą, być może kapitana Kerdina.

Albo Idrysa. Idrys wpadnie w złość i rozpocznie gorączkowe poszukiwania, wyładowując swój srogi gniew na wszystkich zadających pytania. Przykro mu było z tego powodu, nad wyraz przykro.

Idrys nie mógł przynajmniej winić niebędącego na służbie Uwena. Wina, jeśli w ogóle można mówić o czyjejkolwiek winie, leżała po stronie samego Idrysa, co, jak sądził, nie poprawi mu zbytnio humoru. Idrys pośle ludzi do miejskiej bramy z zapytaniem, dokąd pojechał Tristen, na co oni z pewnością odpowiedzą, że na zachód. Wtedy Idrys, tak samo jak Uwen, od razu odgadnie, dokąd, nie licząc Ynefel, Tristen mógł się udać.

Uwen wybląga następnie konia i rozkazy umożliwiające jemu i gwardzistom ruszenie w pościg. Miał nadzieję, że Idrys pozostanie na zamku.

Jednakże chłopiec twierdził, jakoby przyprowadzono z pastwisk konie nienależące do najlepszych. A jeżeli ów chłopiec dał mu jednego z najszybszych i najsilniejszych, Petelly'ego, oznaczało to, że ktokolwiek puści się za nim w pogoń, będzie dosiadał gorszego wierzchowca. Uwen nie należał do głupców. Uwen nie popędzi na łeb, na szyję, pozostawiając za sobą resztę oddziału.

To, co zrobił, nazywało się nieposłuszeństwem. Tak powiedziałby Mauryl. Było niebezpieczne. Tak z kolei powiedziałby Uwen. Ale było też sprytne. Tak pomyślał Tristen.

Bynajmniej nie złośliwe. A przynajmniej nie w sensie, w jakim ludzie rozumieli złośliwość. Nikogo nie skrzywdził, z wyjątkiem, być może, gwardzistów, którzy pozwolili mu na coś, do czego w ich mniemaniu miał słuszne prawo. Zlekceważył niegdyś rozkaz Cefwyna, zgodnie, z którym miał wracać do oddziału Cevulirna, za co później Cefwyn mu podziękował, ponieważ tak właśnie powinien być postąpić. A mimo że nie chciano wysłuchać go podczas narady, i tak ktoś musiał podjąć jakieś kroki, gdyż wróg nie zamierzał czekać na sposobniejszą chwilę. Oprócz tego Cefwyn pozyskał nowych doradców, którzy namawiali

go do słuchania kapłanów, chociaż wykazywali największą ignorancję odnośnie wroga Mauryła.

Gdyby powrócił Emuin, on także zabroniłby mu podejmowania jakichkolwiek prób, choćby po to, by rozeznąć się w zamiarach nieprzyjaciela – Tristen zaczynał dostrzegać przyczyny stojące za ucieczką Emuina: Emuin powątpiewał, czy zdoła cokolwiek zdziałać. Emuin bał się nieprzyjaciela i wolał nie stawiać mu czoła.

Ale jeśli Emuin zechce grać na zwłokę, aż wróg przestanie ograniczać się do grzechotania oknami Zeide, nici, które widział wychodzące z Ynefel, staną się bardzo gęste, bardzo ciemne. Pomysł ze zwłoką nie byłby najszcześniejszy.

Przebywał w dwóch miejscach, gdzie nader wyraźnie wyczuwał obecność Cieni.

Zaszedł Drogą Mauryła do samego Henas'amef, ale przyszło mu na myśl, dzisiejszej nocy, iż miasto to nie stanowi punktu docelowego w jego wędrówkach, a jedynie miejsce odpoczynku, gdzie miał okazję czegoś się nauczyć. Nie mógł sobie pozwolić na długi odpoczynek albo pobyt w nazbyt bezpiecznym miejscu – Maurył nie po to sprowadził go na świat, aby był bezpieczny, nareszcie to zrozumiał: Maurył też nie był bezpieczny. Maurył zmagał się z wrogiem zupełnie nieznanym Tristenowi, wrogiem, któremu ostatecznie uległ. Teraz, jakkolwiek wciąż nie udawało mu się przeczytać Książki Mauryła ani zrozumieć pobudek czarodzieja, dowiedział się przynajmniej czegoś o jego walce.

Pozostałe odpowiedzi nie kryły się, przekonywał samego siebie, w Henas'amef. Gdy odwiedził Emwy, w miejscu gdzie droga do Emwy przebiegała najbliżej Ynefel, czuł je wyraźniej niż kiedykolwiek, odkąd wyszedł z Marny.

Rozdział dwudziesty trzeci

Deszcz okazał się srogim utrapieniem, spływał po płótnie namiotu, uparcie rozmiękczał ziemię wokół palików. Świątobliwi bracia wyszli na ulewę, zmagając się przy przestawianiu palików u końca namiotu, a człowiek, który nie rozpoczął dzieła życia w stanie kapłańskim, doszedł w tym czasie do wniosku, że więcej dobrego dla namiotu uczyniłby pomniejszy czar niżli modły i nieporadne wysiłki braci. Usiądź sobie pod osłoną tej skały, zacny ojcze, odpocznij sobie, zacny ojcze; my już się zajmujemy namiotem, zacny ojcze, z bożą łaską, ojcze.

Z każdą chwilą coraz bardziej korciło Emuina, aby samemu uporać się z owym narożnym palikiem; podejrzewał, iż gdyby spróbował, zacni bracia nie poczuli by ukłucia ani mrowienia w powietrzu.

Dziś wieczór hasały wszakże moce, które mogłyby coś poczuć. Nie przypuszczał wprawdzie, aby zapuszczały się aż po Arreyburn, lecz nie szedłby o to o zakład.

–Kamienie! – zawołał na ostatek, zniecierpliwiony, żałując, że nie doglądał pilniej rozbijania

namiotu. Sprawy związane z drewnem powierzył dwóm spośród siedmiu synów pewnego burmistrza, niech bogowie mają go w swojej opiece, pozwalając, by sami dobrali właściwe ustawienie, kiedy zerwała się burza i przemoczyła ich do suchej nitki.

–Słucham, ojcze? – zapytał jeden grzecznym tonem, aczkolwiek cały ociekał wodą.

–Kamienie! Do stu piorunów, chłopcze, wetknąłeś paliki po lewej stronie prosto do strumienia spływającego z tego cholernego wzgórza, czego się więc spodziewasz?

Osobiście wygramolił się na deszcz, na stoku wyszukał trzy sporych rozmiarów kamienie i wcisnął je kolejno przy trzech palikach, po czym mocno je zdeptał.

Następnie umknął, przemoknięty, do środka namiotu, zrzucił mokre szaty i pochwycił w miarę suchy koc, aby się nim okryć podczas ściągania butów.

Emuin w swych pakunkach miał zamienne ubranie. Zacni bracia, wśród których się schronił, nie przydzielili mu żadnych najemnych gwardzistów – ci prawdopodobnie umieliby rozbić namiot. Najemni gwardziści strzegli w terenie dziesięciu braci zdążających na błogosławienie zbiorów na koniec sezonu oraz pomagali w zbieraniu czynszu za grunty dzierżawione od opactwa. Misji egzekwowania rocznej renty towarzyszyły często nadmierne wybuchy emocji, a sporadycznie utarczki ze zbójcami, toteż z rozsądku uciekano się do pomocy żołnierzy. Opat nie przewidział, że przyjdzie wiadomość od Jego Książęcej Wysokości lub – jeśli wierzyć Tristenowi, a on mu wierzył – teraz już od króla, nakazująca powrót do miejsca i niebezpieczeństw, których tak bardzo się wystrzegał.

Odziani w mokre szaty bracia starali się dygotać ze stosowną skromnością, lekceważąc cielesne katusze. Zapalili lampkę po tym, jak upadła, gdy zawałała się tylna część namiotu: przynajmniej to im się udało. Oliwa nie zajęła się ogniem, namiot nie poszedł z dymem, a bracia dziękowali bogom, mrużąc bezustannie: „Dzięki, łaskawi bogowie, dzięki, dobrzy bogowie”, co mogło doprowadzić człowieka do rozpacz. Mruczenie podobne do gołębiego w kłopotliwych momentach przybierało na sile. Pobłogosławili lampkę, pobłogosławili maszt namiotu oraz zaplamiony oliwą dywanik, który, wraz z błotem, przydawał całej trójce wyglądu mnichów żebrzących o świcie.

–Na litość boską, usiądźcie i się ogrzejcie, bracia. I nie opierajcie się o płótno, bo się potworzą przecieki. – Emuin owinał się swoim suchym kocem, zły, że do oliwy dodano olejku różanego. Rozchodził się mdły aromat, będący grobowym zaduchem dla kogoś, kto tej nocy z takim trudem bronił się przed grobem.

Dwójka usiadła. Krople deszczu hałaśliwie rozbijały się o płótno. Huknął gdzieś piorun i zacni bracia zmówili modlitwy, na szczęście po cichu.

Niemniej prawdziwi bogowie – co innego duchy – nie zważali na wezwania, nie ukazywali się na życzenie czarodzieja czy kapłana, nie odpowiadali na żądania śmiertelników; i nie znali, być może, potrzeb śmiertelników, ich strachów. Nawet Dziewiętnastu, Ci z Galasjen,

ukryci bogowie, stanowili eteryczne płomyki, tchnienie, nie-odgadnioną zagadkę.

Kapłan eks-czarodziej zaczął zadawać sobie pytania – cóż dobrego dla świata robili? Byli czymś więcej, czy też czymś mniej od Hasufina? Tym, do czego wznosili modły czarodzieje, a co Elwynimi uważali za świętość? Sam już nie wiedział, spoglądając sceptycznie na te wszystkie lata modlitw i prób zachowania starej wiedzy. Inareddrin nie żyje, Cefwyn królem, a na domiar złego Tristen obdarzony wolnością: żadna z wieści, jakie napłynęły do czarodzieja-kapłana zarówno poprzez ziemskiego posłańca, jak i nieziemskie wezwania, nie sprowadziła nań spokojnych snów. Wyczuwał groźbę w eterze, a każdorazowa ingerencja Tristena w ową na wpół urojoną, na wpół materialną przestrzeń dawała do myślenia nieprzyjacielowi, który siedział w Ynefel i gromadził siły. Każde muśnięcie wiatru w tym niematerialnym królestwie informowało potęgę, która za wszelką cenę powinna pozostać niedoinformowana, a Tristen nie miał najmniejszego pojęcia, jak potężnie manifestuje się jego obecność. Tristen nie widział samego siebie, nie widział wywołanego zamętu i nie mógł zrozumieć, że nie pojawia się tam w zwyczajny sposób, ale swoim przybyciem krzyczy pod niebiosa i przykuwa uwagę. Był Sihhijczykiem. Bez wątpienia był Sihhijczykiem, a jego moc zrodziła się razem z nim, o ile w ogóle się narodził. Moc ta tkwiła w jego kościach, nawet, jeśli wykształciły się w łonie utworzonym z powietrza i woli Mauryla.

Jeżeli kiedykolwiek ogarnęły go wątpliwości, odkąd po raz pierwszy zwrócił na Tristena oczy, dotyczyły rodzaju istoty, z jaką przyszło mu mieć do czynienia, nie jej mocy.

Nie, Tristen nie był czarodziejem. Nie musiał nim być. Nie, Tristen nie stosował czarów. Wystarczyło, że czegoś zapragnął, a eter ulegał zakrzywieniu, wypaczając równocześnie ziemskie królestwo – nawet bez udziału świadomości Tristena.

Będąc młodzieńcem, Tristen pragnął wzorować się na jedynym nauczycielu, którego spotkał; a może to on, niczym głupiec, wyczuł zaburzony eter i uczynił pierwszy krok? Nie pamiętał, jak to się zaczęło – lecz wpadł w sidła, a potem wpadł w nie Cefwyn, a po nim inni – niech się zlitują nad nimi bezradni bogowie!

Obecnie Tristen zaczął poszukiwać w śmiertelnym świecie siły, nad którą w nieziemskim królestwie nie mógł zapanować; poszukiwać – chociaż według założeń Emuina Tristen nie wiedział o tym do końca, nie widząc prawdopodobnie tego oczyma czarodzieja – punktów Obecności w ziemskim świecie, gdzie nieprzyjaciel jest najbardziej podatny na ciosy.

I gdzie w konsekwencji, jak się nieszczęśliwie składało, zgromadził największe siły.

Jedno wiązało się z drugim.

Nawet, jeśli Tristen powstrzyma się od niebacznego szturmu na samą Ynefel, pozostaną mu w Amefel inne miejsca, równie skażone wrogą obecnością. Emuin mógłby wymienić jedną taką wielce niebezpieczną okolicę bez chwili wahania.

Młodzieniec wyruszył w drogę. Od czasu do czasu Emuin doznawał wrażenia czyjejs

niewprawnej obecności, próbującej uniknąć rozpoznania, lecz osiągnącej cel daleko różny od zamierzonego.

Ów chłopiec – Forma, sihijski lord, potęga, którą umierający i zrozpaczony mędrzec posłał na niczego niepodważający świat, gdzie ludzie sądzili, iż kapłani potrafią ustrzec ich od cienia, powstrzymując napór ciemności – poszukiwał odpowiedzi w fizycznym królestwie, przez które mógł tylko popaść w tarapaty. Istniały miejsca mocy, choć, prawdę mówiąc, nie istniała ciemność dająca się powstrzymać; ciemność nie wyływała z żadnego źródła, nie posiadała rozgraniczenia, a przynajmniej czarodziej takowego nie znalazł.

Ciemność była wszechobecna, swoją granicę określała w każdej duszy, jaka kiedykolwiek żyła, a owi zacni bracia, gdy na nich zerkał, stanowili w swej zacności słabowitą i bezradną nicość. W eterze byli niemal niewidzialni, podobnie jak – w przeważającej mierze – wszyscy terantyni.

Niegdyś uważał ów zakon za schronienie, niegdyś uważał go za świętość – sanktuarium, gdzie czarodziej splamiony swą sztuką mógł znaleźć dla duszy przybytek, którego Cienie nie byłyby w stanie wysledzić ani dotknąć.

Obecnie powziął jednak podejrzenie, że zacni bracia nie rzucają cienia w eterze nie ze względu na swą dobroć, ale dlatego, iż założyli maskę przed światem, skrupulatnie wymazali wszystkie płóche myśli, wyzbyli się ludzkich tęsknot i opróżnili z pragnień, by wieść transparentną egzystencję, w której nie tylko odcięli się od zła, ale i od wszelkiego dobra. Przestali toczyć bitwy codziennego życia, przestali cokolwiek ważyć. Choćby tyle, co piórko. Choćby tyle, co ziarno. Rezygnowali z wszystkiego, aż w końcu znikli z szali spraw pierwszorzędного znaczenia, poddając się bezwarunkowo, zanim jeszcze wyzwalała ich w szranki jakakolwiek siła.

Inni rzucali cień w eterze. Ci, których obecność mogła przeistoczyć się w Miejsce i których Miejsca – nieważne, jak wiele ich stworzyli w przeciągu trwania i porzucania życia – stanowiły ogniwa łączące ich z materialnym światem. Dogodnie usytuowane, mogły stać się podłożem siły iluzorycznej i zarazem nieprzewidywalnej – przykładem Hasufin.

Wspominał młodego, uśmiechniętego chłopca, którego Cień czał się między czarodziejami w Althalen; Cień posłużył się dziecięcą sylwetką, grając na ludzkim współczuciu i ludzkich skrupułach, czego dowodził Mauryl, podczas gdy większość z nich, uczniów Mauryla, widziała jedynie dziecko, argumentując, że naturalna, dziecięca niewinność będzie ich tak długo wspomagała, aż poprzez etyczne nauki zmieni ją jego charakter.

Potem Mauryl powiedział rzecz, której echa pobrzmiwały teraz niejednokrotnie w koszmarach Emuina: Niewinność nie odpowiada na pytania, nic ma takiego zamiaru, a bardzo stara dusza liczy na ich niechęć do burzenia siedziby, jaką sobie obrała. Żadne inne przebranie nie mogło jej umożliwić tak skutecznego przeniknięcia przez ich linie obrony.

Nade wszystko pamiętał dziecięce ciało, które leżało nieruchome i bezbronne, podczas gdy zamieszkujący je duch wędrował po komnatach Althalen, zabijając ludzi zarówno uzbrojonych, jak i nieuzbrojonych, ludzi pospolitych i mędrców, starych i młodych bez różnicy, po wszystkich salach, dusząc oddechy, spijając z nich siłę, aby zerwać okowy, jakimi spętał go Mauryl.

Ten duch jest niewiele młodszy ode mnie, przestrzegał Mauryl całą ich szóstkę tamtej nocy. Tak, był moim uczniem, dawno temu, jeszcze w Galasjen. Siał popłoch wśród swoich wrogów, przede wszystkim jednak – mówił owej strasznej nocy – Hasufin traktował ze wzgardą wszelkie restrykcje. Będąc jego nauczycielem, ustalałem pewne reguły, on zaś natychmiast je odrzucał. Wyznaczałem mu prace, lecz one okazywały się zbyt żmudne i w sprzeczności z jego artystycznymi wizjami. Obmyślałem mu ćwiczenia, on je jednak zanieczywał, twierdząc, że są nieadekwatne do jego talentów, nie przyczyniają się do ich rozwinięcia.

Duch ów władał w Galasjen. Był to, jakżeby inaczej, człowiek szlachetnie urodzony.

Miał zostać królem Galasjenów. I podobnie jak wywyższyłem sihijskich władców, aby go obalili, tak samo teraz obalam Sihijczyków, ponieważ zaczęli z nim paktować i tylko niszcząc ich dzisiaj, możemy pokrzyżować mu szyki.

Po tych słowach Mauryl, zapatrzony w ogień, umilkł. Był to wówczas młodszy Mauryl – siwiejący, ale jeszcze nie siwy; siwieć musiał zacząć dość wcześnie, mając do czynienia z siłami, których nie radził swym uczniom próbować okiełznać. Zatrujecie swe serca, ostrzegał. O duszy nie będę wspominał: zepsucie żywych wieszczy zagładę umarłych.

Żaden z nas nie jest bezpieczny.

Żaden z nich w tej strasznej godzinie tuż przed upadkiem Althalen nie ośmielił się wyrwać Mauryla z zadumy, nie mając zupełnej pewności, acz wyczuwając, iż czarodziej wędruje gdzieś poza murami komnaty. A potem Mauryl powrócił, z zaciętym obliczem i żelaznym postanowieniem.

Coś wam powiem, a to przez wzgląd na najmłodszych spośród was, rzekł Mauryl i roztoczył przed ich oczyma wizję swej podróży na północ, jak to sprowadził pięciu prawdziwych sihijskich lordów; jak w ciągu jednej nocy terroru zrujnował Galasjenów i wprowadził potężniejszego maga od samego Hasufina; jak pomógł, dygocząc w sercu cytadeli Galasjenów, obalić jasne wieżyce i zdruzgotać ludzi, wmurowując ich w kamień Ynefel, gdyż Hasufin wciąż szukał nowych istnień, aby wzmocnić swą magię w starciu z sihijskim lordem, który naginał jego wolę. Mauryl zapieczętował wszystkich ludzi w murach jedynej ocalałej wieży – od tegoż dnia fortecy Sihijczyków: Ynefel.

Panowania Sihijczyków przeciągały się na długie lata, nienaturalnie długie, zgodnie z rachubą ludzi. Po nich nadszedł czas czterech dynastii półkrólów, nadal zdolnych utrzymać

w rękach całkowitą władzę, czy to dzięki wrodzonej sihijskiej magii, czy też świadomym i wyuczonym czarom. Aż wreszcie (rzecz sama w sobie nienaturalna, a w pojęciu czarodzieja – wielce złowieszcza) sihijska królowa porodziła dziecko, i dziecko to umarło, a potem ożyło – zaiste, cudem. Wobec takiego zaburzenia naturalnych procesów dojść mogło do kolejnych wynaturzeń, lecz cała przemyślność Mauryla nie zdołała zachwiać (następny przejaw przerażającej siły) macierzyńskiej miłości królowej do dziecka rzucającego w szarości ów straszliwy cień. Utalentowane – tak utrzymywała królowa – w wieku dziesięciu lat, nieuchwytnie i sprytnie, zamordowało swoich dwóch starszych braci.

Już w tych młodych latach był to duch znacznie nad swe lata rozwinięty i o wiele okrutniejszy, Mauryl przysięgał, niż ostatnio, kiedy chadzał po ziemi. Duch ten nie zapomniał swych umiejętności, swych poprzednich uczynków. Wszystkie... wszystkie etyczne uwagi poszły na marne.

Mauryl otworzył drzwi do sekretnych komnat w sercu Althalen, gdzie Sihijczycy przechowywali swą największą tajemnicę, pozwalając Marhanenom, lordom ze Wschodu, grabić, palić i zabijać bez litości tych, którzy uszli cało ze starcia czarodziejów, do jakiego w rezultacie doszło; Mauryl po prostu nie przejmował się zbyt, jak należało przypuszczać, że Marhanenowie skorzystają z szansy, jaką stworzy im otwarcie tych drzwi i kradzież czegoś, czego obecnej lokalizacji strach było dociekać.

Mauryl przekonał elwynimskich lordów, w których żyłach płynęło przynajmniej tyle samo sihijskiej krwi, co w żyłach członków ostatniej dynastii, aby nie atakowali Marhanenów podczas prześladowań, jakie wnet miały nastąpić. Mauryl zapewnił ich uroczyście, iż nie zdradził z kretelem Sihijczyków, iż pojawi się król z sihijską krwią i odziedziczoną mądrością – król, dla którego magia będzie równie zwyczajna, co oddychanie, jak to się przedstawiało w przypadku prawdziwych Sihijczyków, niebędących Ludźmi, jakimi Ludzie są dzisiaj. Ów przyszły król uratuje własny naród.

Człowiek, którym był, uczył się czarnoksięstwa najlepiej, jak potrafił. Człowiek – młody człowiek, raczkujący w tej sztuce – postępował zgodnie z przykazaniem starszych czarodziejów i próbował ochronić swą duszę przed konsekwencjami.

Obecnie nie ostał się żaden ze starszych czarodziejów – a raczej, co napawało większym niepokojem, to on był najstarszy. Mauryl odszedł, ale przedtem przysłał mu Tristena.

Sądzę – jak oznajmiała ostatnia i nagła wiadomość od Cefwyna – że nasz gość staje się tym, kim będzie, przy czym nadal jest przyjacielski i serdeczny. Za wierność odpłaca wiernością, przestrzega zasad etyki. Kazałeś mi zdobyć jego miłość, sędziwy mistrzu, a ja lękam się wielce, że on z kolei zaskarbił sobie moją. Czy to mądre? Ignorujesz moje listy. Wierzę, że posłaniec ci je doręcza. Skąd zatem to milczenie? Potrzebna mi twoja obecność. I rada. Przybywaj do Henas 'amef i pomóż mi zastanowić się nad owym prezentem, który przysłał nam Mauryl.

A więc przybywał. Był już w drodze, kiedy dotarł do niego ostatni z listów. Ale obawiał się, że i tak jest za późno. To, co Tristen zrobił, zostało podyktowane jego świadomym wyborem. Emuin unikał Tristena tak długo, gdyż dręczyła go obawa, że młodzieńca ciągle przekształca czar Mauryla – oby na lepsze. I oto jednego straszego dnia Tristen uczy się zabijania i ucieka przed perspektywą spotkania się z nim w materialnym świecie, gdzie Emuin mógłby wpłynąć na jego serce i gdzie Ludzie wykonujący jego lub Cefwyna rozkazy mogliby nałożyć nań fizyczne więzy.

Jakiegokolwiek motywy pokierowały Tristenem, zbiegł on wprost ku dominium Hasufina, za jaki uchodził Althalen, pędząc niczym sarna, kiedy psy kąsają ją po nogach. Nie, nie jak sarna. Nic równie bezbronnego.

Tristen postępował, jak nakazywała mu ukształtowana ręką Mauryla podświadomość, albo też wykraczał poza zamierzenia Mauryla ku... ku czemuś nieprzewidywalnemu.

Sihhijczycy nie byli normalnymi Ludźmi. Skądkolwiek się wzięli – z Arachis, co sugerowały krążące wśród mędrców pogłoski, czy też z tajemnego źródła, gdzie wyszukał ich Mauryl – nie ograniczali się do czarnej sztuki i potrafili działać bezwiednie. Z jajka, jak wyraził się Cefwyn, rzeczywiście zaczęło się wykluwać pisklę, a kiedy się wykluje, człowiek jego pokroju, który nauczył się swej sztuki, a nie odziedziczył ją po przodkach, mógł tylko dbać, by nie puściła trzymająca go przy ziemi kotwica.

Rozdział dwudziesty czwarty

Noga rwała go natarczywym bólem, stanowiącym źródło złego nastroju, strzykając co jakiś czas tak mocno, iż niemal popadał w obłęd, nic dziwnego, więc, że Annas i paziowie przemykali jak najciszej przez jego apartamenty. Nie dane mu było pospać. Ani przez chwilę.

Po ostatniej, późnej rozmowie z Efanorem, który tuż przed świtem udał się do swych komnat na drugim piętrze, Cefwyn zdążył zaledwie ściągnąć ubranie, kiedy Uwen Lewen'son zaalarmował straż pilnującą wejścia meldunkiem, że ze stajni wyprowadzono konia, a Tristen wyjechał poza bramę Zeide.

Gdyby którykolwiek z mieszkańców Zeide wyśliznął się zwyczajną nocą poza bramę, Cefwyn doszedłby do wniosku, że człowiek ów spieszy na spotkanie z jakąś córką kupca. Gdyby jeden z pozostałych lordów zabrał konia ze stajni, Cefwyn mógłby dojść do wniosku, że był to jeden ze stronników Heryna, a strażnicy przy bramach i obozowi wartownicy, którzy pozwolili mu przejechać, postąpili jak głupcy.

Straże znały wszak tego człowieka jako jego stronnika, pomimo sihhijskiej krwi, toteż ani razu nie poddano w wątpliwość prawa Tristena do wzięcia konia ze stajni czy przejechania dwóch strzeżonych bram po kolei, ponieważ Tristen nosił królewski płaszcz, a w całym mieście znana była jego przyjaźń z królem. Na domiar złego, Tristen miał na sobie nową

kamizelkę jeździecką z naszytymi Wieżą i Gwiazdą, znakami jednoznacznymi dla każdego gwardzisty, który by jakimś cudem nie rozpoznał Sihhijczyka, i dla każdego mieszkańca Amefel, który by zrazu chciał mu wchodzić w drogę.

I ponieważ, musiał to przyznać, pozostawił Tristena na dole pod opieką szeregowych gwardzistów, którym nigdy nie dano ostrzeżenia – jakie otrzymali gwardziści w królewskiej rezydencji – odnośnie Tristena. Uwen został odesłany na górę, a całonocny ulewny deszcz i właściwy zmianie pór roku chłód skutecznie przekonały wartowników, by nie wyściubiali nosów poza budynki bramne i spod płócien namiotów – nikt nie zadał właściwych pytań, nikt nie okrzyknął uciekiniera, nikt też nie powiadomił kapitana Kerdina: tylko on mógł wnieść jakieś obiekcje.

Jeśli Tristen rzucał uroki, musiały być z rodzaju tych, co ograbiają świadomych, zaabsorbowanych ludzi ze zdrowego rozsądku oraz przekonują zwykle wyczulonych i doświadczonych strażników, że mają oto do czynienia z najbardziej niewinną z pilnych misji, z jaką się kiedykolwiek spotkali, w dodatku poruczoną przez króla. Gdyby samodzielnie ułożył plan Tristenowej ucieczki, nie wpadłby na miłsze ucho historie niż te, które w swej obronie opowiadali poszczególni gwardziści; miał tylko nadzieję, że płaszcz Marhanenów nie ściągnie na Tristena niebezpieczeństwa w kraju, gdzie zbrojni żołnierze na służbie króla przemieszczali się dla bezpieczeństwa w gromadach. Takie właśnie prawo Heryn Aswydd zaprowadził w prowincji; pokój wisiał na włosku wobec zwłok Hery na, sześciu wisielców nad południową bramą i braku lorda, którego zwierzchność uznawaliby Amefińczycy.

Tymczasem Uwen Lewen' s-son, niewyspany i dręczony poczuciem niedopełnionego obowiązku, ruszył w drogę na poszukiwania Tristena, dosiadając jednego z lepszych rumaków Cevulirna, wraz z kapitanem i doborową elitą pięćdziesięciu jeźdźców z lekkiej ivanimskiej kawalerii. Dzięki bogom strażnicy z miejskiej bramy, karygodnie niedbali w pozostałych sprawach, przysięgali przekonująco, iż Tristen pozostawił wyraźną wiadomość, jakoby nie zmierzał do Ynefel.

Czyż Tristen znał jakieś miejsca na świecie poza Ynefel, dokąd mógłby się udać? Był wprawdzie Emuin, w kierunku przeciwnym względem wszystkich innych. Zgodnie z najlepszymi informacjami, jakie posiadali, wyruszył na zachód, co oznaczało Althalen, Emwy oraz Elwynor, piękny zestaw kłopotów.

Czyżby łgarstwo i wybiegi okazały się, podobnie jak sztuka jazdy konnej i sztuka fechtowania, dwoma kolejnymi, właściwymi lordom umiejętnościami, w które zaopatrzył się Tristen w swej składnicy pełnej dziwów? Nie wybijało się to, rzecz jasna, ponad wstrząsającą zdradę, królobójstwo i jego następstwa, jakich Tristen był świadkiem w ciągu ostatnich dwóch dni, niemniej frapowało, albowiem dopuścił się owych czynów z wielkim mistrzostwem i powodzeniem.

Chociaż tego brzemiennego w wydarzenia ranka Cefwyn długo i z niepokojem wyglądał przez okno na przepływające ponad murem i otaczającymi go dachami chmury o szarych

spodach, między którymi nareszcie zaczęło przebłyskiwać błękitne niebo, ból w nodze nie złagodniał, a odczuwane zniecierpliwienie nie zostało uśmierzone. Pragnął osobiście spotkać się z Tristenem, pogawędzić z nim bez obecności oficerów i sojuszników, aby dowiedzieć się, jakie argumenty kazały mu odejść – i zapytać, co spodziewał się osiągnąć, skoro tak niewiele wiedział o ataku na króla czy o wydarzeniach, które miały miejsce w Althalen.

Spacerował, nie mogąc z braku świeżych informacji czegokolwiek postanowić.

Wspierał się na lasce, choć nie godził się na nią w obecności obcych świadków; dostał wprawdzie odcisków na dłoni, lecz humor wcale mu się nie poprawił, rwanie w nodze nie ustało. Chodzenie sprawiało ból, ból innego rodzaju niż pulsująca bolesność, męcząca go w pozycji siedzącej, będąca urozmaiceniem, jakim obdarzył króla kapryśny los pierwszego dnia panowania nad podzielonym królestwem, pozbawioną diuka prowincją i pobożnym bratem, którego by chętnie – gdyby Efanor zdenerwował go tego ranka – utopił w najbliższej studni.

–Wracaj do łóżka – brzmiały pierwsze słowa Idrysa, gdy przyszedł złożyć raport, zakurzony i z zaczerwienionymi oczyma.

Nie odpowiedział Idrysowi. Nie był w nastroju, by dać się zagonić do łóżka, nie był także w nastroju na wiadomość, którą wyczytywał z twarzy Idrysa: sprawa Tristena nie posunęła się naprzód.

–Przypuszczam, że nie ma o nim żadnej wiadomości – rzekł Idrys.

–Czyż muszę informować o tym lorda komendanta? Sam dobrze wiesz, że nie ma.

–Lewen's-son nie podda się tak łatwo. Jestem dobrej myśli.

–Obym i ja tak mógł powiedzieć.

–Zechce Wasza Królewska Mość usłyszeć inną nowinę?

–Jakąś lepszą?

–Szukałem czegokolwiek o tym Hasufinie. Przez kilka godzin. Wyrwałem z łóżek kronikarzy i archiwistów, by wziąć ich na spytki, potem razem z najrzetelniejszymi urzędnikami przetrząsałem archiwa Zeide, miejscową bibliotekę quinaltynów... i zapiski gwardzistów. Następnie, z notatkami w ręku i z dostateczną znajomością Czerwonej Kroniki gueleńskiego autorstwa, złożyłem wizytę bryaltynom, zakładając, iż miejscowa społeczność amefińskich kapłanów może zachowywać pamięć o wydarzeniach, o których nasi bogobojni i przyzwoici gueleńscy quinaltyni dawno zapomnieli. No i, jak Wasza Królewska Mość może zauważyć, przeprowadziłem własne badanie. – Idrys przetarł z odrazą dublet. – Oplatają mnie pajęczyny i kurz minionych wieków.

–Opłaciło się? Do licha, mów do rzeczy!

–Owszem, pojawiają się pewni Hasufinowie wśród przebadanych przeze mnie wątków genealogii, łącznie, w bryaltyńskiej Księdze Królów, z pewnym Hasufinem zwanym Heltainem, mędrcom będącym wedle pogłosek jakimś duchowym praprzodkiem, albo, co lepsze, imiennikiem Aswyna, czternastoletniego brata Elfwyna Sihhijczyka, wzmiankowanego w gueleńskiej Czerwonej Kronice, którą, trzeba pamiętać, nasz gość miał w rękach.

–I nie miał czasu przeczytać. Jeśli sądzisz, że zmyślił tę opowieść...

–Skądże znowu! Wskazuję jedynie, iż interesował się starymi zapiskami. Ciekawe, czego właściwie szukał.

–Do rzeczy, kuku!

–Już dochodzę do sedna. Zdziwiło mnie, wyznaję, jak zdumiewająco często imię Hasufina pojawia się w bryaltyńskich przekazach, nawet w tych kilkusetletnich. Równocześnie, pozwól mi zauważyć, natrafiłem na kilku Mauryłów o różnorakiej reputacji, zanim dokopałem się do zapisków sporządzonych w starym galasjeńskim języku. Do jego odczytania będziesz, panie, potrzebował kapłana. Pewni bryaltyńscy urzędnicy przyznają się do biegłości w tym języku, ale bez twego rozkazu zrezygnowałem z ich wsparcia. Nieodzowne byłoby zadawanie pytań i wymienianie pewnych imion, które, zapewne przyznasz mi rację, nie powinny się stać przedmiotem plotek.

–Do cholery z bryaltynami! Tristen! Czy spotkałeś się z jego imieniem, przetrząsając szpargały?

Idrys westchnął przeciągle, wsparł się na oparciu krzesła i pochylił na moment głowę, najwidoczniej uzbrajając się w cierpliwość potrzebną w rozmowie z popędliwym i nader łatwo wpadającym w złość królem. Cefwyn żałował swego cierpkiego tonu. Idrys nie zażył więcej snu od niego.

–Nie, Wasza Królewska Mość – odpowiedział Idrys. – Napotkałem, co prawda na Triaultów, Trisaullynów, Trismindenów i Trisinome'ów, wszystkich wżenionych w cztery sihhijskie dynastie, lecz Tristena nie znalazłem w żadnym języku, w żadnej epoce, w żadnej kronice, chociaż z całą pewnością nie mogłem w ciągu kilku zaledwie godzin przeprowadzić gruntownych poszukiwań. Starcowi imię dla swej Formy podsunęła, rzekłbym, czysta fantazja... albo też starożytna historia Galasjenów. Któż by to wiedział? W każdym razie wyrzekłem się przekonania, jakoby należało brać pod uwagę Elfwyna. Maurył przysłał nam – czego się lękam, znacznie mniej łagodnego ducha.

–A zatem Hasufin, przebywający prawdopodobnie w Ynefel, jest jedynym pewnym imieniem w całej tej sprawie. Pamiętasz zapewne sprawozdania, których ja pamiętać nie mogę. Gdy się urodziłem, ojciec i dziadek rozmawiali już z sobą wyłącznie za pośrednictwem lorda

szambelana. O ile nie krzyczeli. W rezultacie nie docierały do mnie żadne plotki. Czego właściwie szukasz?

–Jeżeli ów Hasufin z tajemniczego snu naszego Sihhijczyka istotnie przebywa w Ynefel, kronik tych prawdopodobnie nie znajdziemy bez ryzykownej wyprawy do samej wieży, dokąd lord Tristen, jak przysięgał, oby szczerze, nie pojechał. Tej nocy rzuciłem się w wir gorączkowych poszukiwań, bowiem imię Hasufina wplecione jest w dzieje Amefel i, jak wynika z bryaltyńskiej kroniki, można je nawet powiązać z jednym z sihhijskich królów z Althalen, chociaż zachodzę w głowę, czym może zagrozić martwy książę, czy też jak zdołał pokonać Mauryla. Ażeby bardziej zawikłać sprawę, powiem, iż imię to można spotkać równie często, co imię Mauryla w kronikach bryaltynów, fragmentarycznych i pełnych przypowieści. Ale – dodał nie bez cienia satysfakcji – wielu o tym imieniu było ponoć czarodziejami, prawdopodobnie wszyscy wywodzili się od bardzo dawnego Hasufina Heltaina, który studiował z kimś, tak, Wasza Królewska Mość, z kimś o imieniu Mauryl, podobno w dystrykcie wymienionym w bryaltyńskiej kronice jako Meliseriedd. Nigdy nie słyszałem tej nazwy, lecz zaryzykowałbym stwierdzenie, że opis dotyczy Elwynoru. A przynajmniej ziem położonych na północ od rzeki. Drażąc cywilne księgi, nauczyłem się, że nie należy łączyć kilku imion w jedno, dopóki nie znajdzie się dowodu.

–Choć wielce możliwe, że nasz Mauryl jest tymi wszystkimi Maurylami. A zatem czyż nie jest możliwe, aby wszyscy Hasufinowie byli jedną i tą samą osobą?

–Śmiały skok, miłościwy panie. Ja bym był jednak ostrożny i nie przypisywał niczego imieniu, któremu nie potrafię, że się tak wyrażę, nadać żadnej formy.

Cefwyn zignorował szydrczy żart Idrysa.

–Niemniej jednak imię to pojawia się w rodzie Sihhijczyków. Co dowodzi pewnego powiązania z moim dziadkiem, Maurylem, Ynefel i Tristenem.

–Co sugeruje, owszem, pewne powiązanie, Wasza Królewska Mość. Ale może też zwiść nas na manowce. Wszystko to możliwe, lecz trudno cokolwiek udowodnić.

–A mimo to...

–Warto zbadać sprawę.

–W bryaltyńskiej kronice książę Aswyn wezwał Hasufina. Czyżby w momencie upadku Althalen wciąż żył jakiś inny Hasufin? Wujek o tym imieniu? Albo kuzyn? A może był nim sam Aswyn?

–Starłem się odnaleźć wszelkie wzmianki na ten temat. Trzeba wiedzieć, Wasza Królewska Mość, że kroniki, zwłaszcza te starsze, składają się w głównej mierze z przypowieści, nie przypominają formą ciągłej fabuły gueleńskich przekazów, odnotowując, jak to czarodziej zwany Maurylem zrobił to lub tamto, jak to czarodziej zwany Maurylem

pewnego roku zdjął kłątwe z bydła w Jorysal. Czarodziej zwany Hasufinem był przypuszczalnie związany z Maurylem, który mógł, ale nie musiał, być naszym Maurylem. Cały ambaras w tym, że przez historię dystryktu przewija się mnóstwo Hasufinów, jak daleko wstecz sięgają kroniki. Są też Aswynowie. Przynajmniej czterech. Najmłodszy brat Elfwyna (najmłodszy, nie zaś młodszy) według Księgi Królów narodził się martwy. I nagle w tej samej księdze pojawia się Aswyn jako brat Elfwyna bez wzmianki o żadnym martwo narodzonym dziecku; typowe dla tego rodzaju opracowań.

Cefwyn wsparł się ciężko na swej łasce, opadł na najbliższe krzesło i poprawił ułożenie nogi, dochodząc do wniosku, że to nie będzie zwyczajny raport.

–Co z chłopcem, który zmarł w wieku czternastu lat?

–Zgodnie z Czerwoną Kroniką, o czym wiemy, stronnicy Mauryla zabili czternastoletniego młodszego brata króla Elfwyna podczas ataku twego dziadka. Zgodnie z zapiskami bryaltynów, zapiskami amefińskimi, weź pod uwagę, owszem, niejaki książę Aswyn zmarł przy urodzeniu, a mimo to w dalszej części znów żyje. W tej samej księdze, bryaltyńskiej, nie zapominajmy, panie, nosi on nazwisko lub przydomek Aswyna Hasufina. W kronice nie pojawia się najmniejsza wzmianka o nim w wieku pomiędzy dwoma a siedmioma latami, o ile to ten sam Aswyn, a nie drugi bądź trzeci. Dwóch braci Elfwyna zginęło w wypadkach. Nie znamy ich imion, aczkolwiek pamiętam mgliście, że w młodości słyszałem o kimś jakby Halfysie czy coś takiego. Może Hasufinie, kto wie? I mnie nie było na świecie, kiedy runął Althalen.

–Choroby. Dziecięce nieszczęścia. W rodzie sławnym z czarnoksięstwa można by się spodziewać, czyż nie, mniej kłopotów z chorobami i mniejszej ilości nieszczęśliwych wypadków?

–Wspomniano coś o ślubach, jakie pewien sihijski król uczynił za życie owego noworodka, rzucając obelgę na galasjeński panteon, dobijając nikczemnego targu z bogami, jak to się zwykle odbywa przy podobnych okazjach... Ale to bryaltyńska kronika, w której mowa o dniu boskiego sądu. – Idrys nie należał do zabobonnych ludzi. W jego głosie wyczuwało się kpinę. – Reszta rządów owego sihijskiego króla okazała się pasmem nieszczęść: stracił dwóch synów i zmarł, co posadziło na tronie Elfwyna po upływie przypuszczalnie czternastu lat. Ta liczba nie jest przypadkowa. I, jak się zdaje, nawet na królewskim dworze kronikarze wykazują beztróskę, a imiennicy wprowadzają zamęt w annałach. Szperałem już nieraz w archiwach, z różnych powodów, i, proszę zrozumieć, miłościwy panie, nie uważam owego zamętu za coś niezwykłego. Pojawia się wzmianka, potem nikt nie wspomina o śmierci. Rodzi się drugie dziecko, nadają mu to samo imię, kronikarze nie raczą zamieścić sprostowania, a później ktoś próbuje uporządkować sprawy, przyczyniając się do jeszcze większego bałaganu.

–Młodszy brat Elfwyna nosił nieodmiennie, w każdej rozmowie z Emuinem czy z moją matką, imię Aswyna, żadnej wzmianki o Hasufinie.

–A gdyby tak na krótką chwilę pogodzić treść Czerwonej Kroniki z księgą bryaltynów i założyć, że jako Aswyn pojawia się tam jedyny brat Elfwyna, który przeżył, i że przy koronacji Elfwyna jest także Hasufin (choć mówi się o wieku nie dwunastu, a dziewięciu lat), i że nie jest on pewnym kuzynem, którego również odnalazłem pod imieniem Aswyna; Aswyn we właściwym wieku pojawia się w dalszych zapisach, książę wśród książąt, jako że z tuzin osób miało honor posługiwać się owym tytułem, aczkolwiek wszyscy byli dalekimi krewniakami. Był uczniem, podobnie jak Elfwyn, Mauryła Gestauriena, któż, bowiem spośród tych, co nie osiągnęli wieku pełnoletności, nie był wówczas uczniem Mauryła na tamtym dworze? Ale, ale, Wasza Królewska Mość, żebym nie zapomniał w tym wybujałym mętliku Aswynów i Hasufinów jeszcze jednego imienia, wartego odnotowania: pewien Emuin, zwany w kronice Emuinem Udamanem, był adeptem Mauryła w wieku trzydziestu czterech lat, chyba, że kronikarz popełnił błąd. Czyż to nie zadziwiające? Bo jeśli to nasz Emuin, a nie któryś z jego kuzynów, wówczas miałby ponad...

–...ponad sto lat.

–Rodzą się pytania. Jak daleko obaj sięgamy pamięcią, zawsze miał ciemne włosy. Debatowałem, czy o tym nie wspomnieć. I muszę.

Cefwyn przypomniał sobie Emuina w nieskazitelnych szatach terantynów – ale przed oczyma stanął mu również siwiejący człowiek w poplamionej atramentem siermiędze, wspinający się w zgoła nie czarodziejski sposób na wierzbę, gdzie najlepszy sokół królewicza zaplątał się w troczki i usiłował połamać sobie skrzydła.

Emuin, kościste nogi w całej okazałości, ściągający zabłąkanego ptaka, który uduł go do krwi w kciuk i w ucho w zamian za przysługę.

–Pod każdym liściem, mości kruk, doszukujesz się spisku. Nie wolno ci wątpić w Emuina. On by ci się zaśmiał w nos.

–Człowiek, którego ambicje i działania, jak te Mauryła, mogą być starsze od rządów Marhanenów? Po prostu uderzył mnie ów zbieg okoliczności i moim obowiązkiem jest złożyć o tym raport.

–Ja nie znajduję w tym nic złowieszczonego. Zawsze twierdził, że uczył się u Mauryła. Dlaczego miałby nie znaleźć się w kronice? Jeśli przyjmiemy, że Mauryl był tak stary, jak tego chcą Amefińczycy, a nasze doświadczenia każą przypuszczać, iż to prawda, czymże jest sto lat? Czemuż mamy bawić się w uniki, skoro zakładamy, że Mauryl widział stulecia? Gdy założymy, że Tristen jest... tym, kim jest... po co, na bogów, lawirować? Toż my szukamy w archiwach martwego człowieka!

–Pozwól, panie, na ostatnią uwagę. Jeszcze mogę cię zadziwić. Emuin, bezsprzecznie i z całą pewnością nasz Emuin, złożył wizytę bryaltynom nie gdzie indziej, tylko w tym mieście, kiedy opuścił Mauryła i przybył, by ofiarować twemu dziadkowi swoje usługi. Niemniej,

czego nie znajdziesz w Czerwonej Kronice, a co zawiera księga bryaltynów, odnotowano jego osobliwe życzenie: za pewną sumę w złocie nieznanego pochodzenia na ścianie wyryto napis literami dziwnego kształtu, a na srebrnym polu osadzono sihijską gwiazdę. Dniem i nocą miała płonąć pewna określona liczba świec.

–Racysz żartować.

–Wątpię, czy quinaltyni daliby się przekupić i zgodzili na taką kaplicę. Nawet terantyni nie ścierpieliby czegoś podobnego.

–I cóż się stało?

–Och, wszystko tam jest, panie. Gwiazda wielkości ludzkiej dłoni w otoczeniu dziwnych symboli, w odosobnionym kącie krypty.

–Po dzień dzisiejszy świece, trzydzieści osiem gwoli ścisłości, nie przestają płonąć pod czyjąś czujną, nieustającą opieką. W grę musiała wejść spora suma pieniędzy. Od tamtej chwili upłynęło osiemdziesiąt lat, rządy sprawował wówczas twój dziadek. Być może bryaltyni nie trzymają się ścisłych kanonów w swych obrzędach. Po wioskach, jak zauważyłem, bryaltynscy kapłani nie wydają się bardzo różnić od miejscowych guślarzy. Bądź co bądź, jesteśmy w Amefel, panie, czego nigdy nie czułem wyraźniej, niż stojąc w tej malutkiej kapliczce.

–Trzydzieści osiem. Czemu właśnie trzydzieści osiem?

–To proste, dwa razy dziewiętnaście, Wasza Królewska Mość. Drugich Dziewiętnastu. Powrót dawnych bogów? Kolejna dominacja czarnoksięstwa nad ludźmi?

–Do licha!

–Ano, panie.

–Emuin jest przecież terantynem. Człowiekiem racjonalnym, nie religijnym. Znam go, to mój nauczyciel, mój...

–W kronice jest wszystko spisane, panie, jeśli zechcesz, przyniosę ją ze świątyni. Bez wątpienia terantyni udzielają mu schronienia i głoszą jego pobożność. Ale zanim do nich przystał, by ziścić ich sny sławie i bogactwach, byli dość nieokreśloną sektą. W miarę jak Emuin urastał w przywileje w ciągu dwóch, obecnie już trzech, rządów, tak oni prosperowali z darowizn i przymilnych wyrazów poparcia od lordów, którzy nie mogli zaniedbywać szacownego zakonu, zwłaszcza teraz, gdy zaczął się cieszyć protektoratem Marhanenów. Czyż tak wywyższeni, terantyni wyrzekliby się go dobrowolnie dla jakichś tam jego prywatnych modłów, niezależnie, do których sił by je wznosił? Pomniejszy grzeszek, jedna z tych błahych spraw, o których wątpię, czy opowiadał twojemu dziadkowi albo ojcu, kiedy ten wyznaczył go na twego nauczyciela. Znam ja go dobrze. I nie wierzę, by mi się zwierzył

ze wszystkich swoich przewinień... czy też terantynom, którzy niewątpliwie woleliby nie brać na swe barki owego brzemienia, nawet, jeśli czegoś się domyślają. Jestem tolerancyjny, ale nie tam, gdzie chodzi o obalenie monarchii lub posłuszeństwo martwym czarodziejom.

–Na bogów – mruknął Cefwyn i dotknął piersi, gdzie dawniej wisiała srebrna obrączka, terantyński amulet. Darował ją jednak Tristenowi. Była mu pocieszeniem, gdy w dzieciństwie bał się ciemnych miejsc i płonących dzieci z koszmarów dziadka. Kiedy stał się mężczyzną, nosił ją na szczęście, uważając za cenny prezent od Emuina. Rzadko myślał o religijności, najczęściej o przyjacielu i doradcy. Teraz o niej pomyślał. Teraz, być może ponieważ, zaczął sobie wyrzucać, komu oddał swój mały skarb, swoją osobistą więź z Emuinem.

Emuin był mu ojcem bardziej niż jego rodzony ojciec; stracić zarówno jednego, jak i drugiego w przeciągu kilku dni...

Nareszcie, pomyślał ze złością – oczy piekły go i zachodziły mgłą – masz mnie tylko dla siebie, nieprawdaż, mości kruku? Mój ptaku złej wróżby. Mój zazdrosny cieniu. Udało ci się zdyskredytować nawet Emuina. No i oczywiście występujesz przeciwko Tristenowi. Czyż od tej pory mam ufać tylko tobie?

–Emuin jest w Anwyfarze – mówił Idrys. – Mogę wysłać wiadomość. Mogę go wezwać. O ile już nie wyruszył w drogę, na wiadomość o twoim ojcu...

–Zostaw w spokoju Emuina. Zostaw go, Idrysie! Święci bogowie! Rozpiera cię ochota do przewracania kamieni!

–Panie, nadmierna wielkoduszność zagraża twemu bezpieczeństwu. Wróć do stolicy, gdzie jest miejsce króla Ylesuinu. Zostaw bratu to niewdzięczne pogranicze. A nade wszystko radzę, abyś nie pozwalał Efanorowi jechać bez ciebie do Guelemary. Lepiej już, żeby został z tobą w Amefel, skoro nie zamierzasz wyjeżdżać.

–Aby Efanor tutaj, gdzie sprzyjają po temu okoliczności, zginął? Czy to masz na myśli? Czy to chciałeś powiedzieć?

–Jestem sługą mojego pana, nikogo innego.

–Nie ufasz Efanorowi jako mojemu reprezentantowi? Nawet, jeśli nie będzie musiał wyprawiać pogrzebu ojcu?

–On stał się, na co niewątpliwie wpływ miały modły w pobożnym Llymarynie, naiwnym i łatwowiernym człowiekiem. Niemądrą rzeczą byłoby rzucać go samego na pastwę intryg prowadzonych przez dworzan twego ojca, Wasza Królewska Mość, oraz lordów z zachodu. Każ mu tu zostać, tu, gdzie czai się groźba, a samemu wracaj do bezpiecznej stolicy. Zbytecznym księżętom przypada zwykle w udziale ciężka służba, zwłaszcza, gdy trzymają

się ich przekorne myśli. A jeśli lord Tristen jeszcze raz cię poprosi, użyj mu żołnierzy, ba, daj mu Amefińczyków i niechaj maszerują na Ynefel, skoro tego chce. To by się spodobało pospólstwu i większości lordów, którzy nie oplakiwali Heryna Aswydda wraz z jego poborcami i lichwiarzami, no i dało im wspólny cel: walkę z nieprzyjacielem, ale nie z tobą.

–A gdyby tak Tristen odniósł sukces i odebrał Ynefel temu domniemanemu nieprzyjacielowi, temu... Hasufinowi, bohaterowi rozmaitych kronik?

–Cóż, sukces to sukces. Sam będę wiwatował, skoro nie mogę przekonać cię, byś nie ufał temu sihijskiemu prezentowi. A jeżeli twój lord strażnik Ynefel zamiast tego przystanie do twych liczebniejszych wrogów za rzeką, przynajmniej wszyscy wrogowie będą stać przed tobą w jawnym szeregu, a nie czaić się za plecami.

Cefwyn wziął głęboki oddech.

–Skoro już tkamy tę sieć nieufności, cóż pocznjemy z Emuinem?

–Ach, za wszelką cenę musisz go tu sprowadzić. Być może twój sihijski lord będzie potrzebował Emuina i jego kapliczki.

–Idrysie...

–Mówię zupełnie poważnie i proszę, abyś tak mnie odbierał. Każda inna taktyka mogłaby położyć rychły kres twemu panowaniu.

–Już teraz dworzanie ojca sądzą, że przyłożyłem rękę do śmierci króla.

–Nie słyszałem, by ktoś dziś o tym mówił.

–Zgoda, ale wczoraj mówiono o tym dosyć często. Dlatego właśnie Efanor przybył do Henas'amef, mistrzu wszelkiej podejrzliwości! Być może mój brat spodziewał się znaleźć opuszczony dwór, gdzie mógłby urządzić się wygodnie wraz ze swymi quinaltyńskimi doradcami. W tym czasie ojciec przyłapałby mnie na konszachtach z Elwynimami i amefińskimi czarnoksiężnikami. Możliwe, że miał szczerą nadzieję wybawić mnie z sidła magii i herezji. Zabicie Heryna nie przeszkodziło moim wrogom w snuciu własnych wniosków, nie przeszkodzi im też w przyszłości. Czyż powinienem w podobny sposób zabijać brata, mój ty czarny, krwawy doradco? Efanor może być pobożny i łatwowierny, ale zaiste potrafi snuć nici intryg. Obaj przetrwaliśmy przecież dziadka, a nasz wujek spoczywa już w grobie. Nie opowiadaj mi tu o dworzanach oblegających słodką niewinność Efanora! Za nic bym nie chciał, abyś i ty uległ jego urokowi!

–Nie jestem ignorantem w kwestii zdolności Efanora, ani też ślepy na jego ambicje... Ani też na ambicje quinaltyńskich popleczników księcia. Rób, jak uważasz. To ty jesteś królem. A kiedy już będziesz starym królem, któż się odważy coś ci wypominać?

–Sam będę sobie wypominał. A później wszystko zostanie spisane, po mojej śmierci.

–Czym się zatem przejmować? Prawdopodobnie i tak to spiszą.

–Ja byłbym świadom rzeczy, a chciałbym spać po nocach. Kocham swego brata, do kroćset! Czyż to moja wada?

–Wasza Królewska Mość, wyjedź z Amefel, otrząśnij się z tutejszych wpływów. Za bardzo tu pachnie Starym Królestwem. Tobie należy się wschód, Guelemara. Gdy już odetchniesz tamtejszym powietrzem, wtedy zapomnisz o wszystkich ponurych chwilach... i tym sihijskim upiorze z zaświatów.

–Chyba nie obleciał cię strach, Idrysie? Czyżbym ostatecznie zaszedł tam, gdzie obawiasz mi się towarzyszyć? Czyżbym przypadkiem wysforował się na czoło?

–Jestem sługą mego pana.

–Niegdyś twych rad nie wypełniały jeno plany ucieczek.

–Mam dać ci radę, jaka mi się najbardziej podoba? Zabij Efanora, zabij Sihhijczyka i za jednym zamachem pozbadź się Emuina. Ale ty nigdy nie skorzystasz z tej rady. Zabij Orien Aswydd i jej siostrę; ale ty nie chcesz. Zabij czterech bezradnych kuzynów Heryna, którzy zbratają się z konspiratorami i zaczną miewać pomysły; ale ty nie posłuchasz.

–Nie – zgodził się. – Nie posłucham. Idrys zmarszczył czoło.

–No proszę, i kto wyszedł na czoło, Wasza Królewska Mość? Ja czy ty?

–Jak dotąd – zapytał Cefwyn – żadnych wieści od Sovraga?

–Nie, panie. Żadnych.

–Wciąż możliwe, że nawet strach Tristena bierze się ze zbyt obfitych deserów i skłonności do śnienia o tym miejscu podczas niespokojnych nocy. Być może to nic groźnego. Może wróci sam, z własnej woli, mieszając nam szyki.

–Odrzucasz od ręki wszystkie moje rady, a potem narzekasz, że mam nazbyt nieśmiały. Cóż innego miałbym powiedzieć? Śniesz, mój królu, o bezpiecznej i miłej prowincji?

–Słucham cię, Idrysie. Każde twoje słowo biorę za ostrzeżenie. A teraz ty mnie posłuchaj: wolałbym zobaczyć brata na dworze w otoczeniu baronów z północy niż na polu bitwy na czele baronów z południa. Ci margrabiowie, wyłączając Amefel, dowodzą najgroźniejszymi oddziałami w całym Ylesuinie, a Efanor o wiele bardziej niż ja przypada do gustu Amefińczykom. Dobrze o tym wiem. Wszędzie Efanora kochają bardziej ode mnie...

–Jakżeby inaczej? Nigdy nie musiał posługiwać się ciężkim biczem władzy: może tańczyć,

jak mu zagrają. Książę Efanor po prostu nadstawia ucha i pozwala, by każdy realizował przy nim własne plany. Panujący władca znajduje się w znacznie mniej komfortowej sytuacji.

–A więc żadnego lekarstwa.

–Nie, nie, nie, Wasza Królewska Mość. Powierz Efanorowi rzeczywistą władzę. Daj mu ją w nadmiarze i zbyt wcześnie. Niech się potknie, a ty wtedy uratujesz mu życie. Wówczas zostanie także twoim dłużnikiem.

–Co? Ma się potykać kosztem moich lordów z południa? Kosztem tego pogranicza? Gdyby tak stanął na czele południa, wszczął wojnę z Elwynimami, zdziesiątkował nasze najlepsze wojska, gdzież byśmy wówczas byli, Idrysie, ty i ja? W stolicy... z batalionem dworzan? – Noga zaboląta go przy gwałtownej zmianie położenia; skrzywił się i rozluźnił ją, potrząsając głową. – Nie oddam mu południa.

–Wystarczy, że odeślesz lordów do domów. Nie stawiać się na drugie wezwanie tego lata. Coraz bliższy czas zbiorów, wkrótce potem zima. Będą siedzieć na swoich stolicach. Tymczasem niech Efanor napuści na Amefińczyków swoich quinaltyńskich legalistów, a wiosną nie będzie już ulubionym księciem. Nie w Amefel.

–Jeśli napuści quinaltynów na Amefińczyków, ja nie zdołam utrzymać prowincji.

–Ależ panie...

–Podjąłem decyzję, Idrysie. – Machnął ręką w stronę stołu. Podpisałem rozkazy, by czyniono zaciągi w wioskach, a mistrz Tamurin sporządził dla ciebie listy z imionami i wiekiem rekrutów. Rozumiesz chyba, póki co ich nie ściągamy. Niemniej w razie potrzeby mogą w każdej chwili wyruszyć; poborcy Aswyddów przyznają, że to rzetelne listy... Ach, przy okazji, odnośnie Orien i Tarien...

–Tak, miłościwy panie?

–Panny Aswyddówny kajają się w skrusze, słyszałeś? Błagają, by je zwolniono z aresztu.

–Wasza Królewska Mość raczy żartować.

–Cóż, rozważam ich prośbę. Lepsze one niż ich rywalki, których ksiąg rachunkowych jeszcze żeśmy nie odkryli. Burmistrz miasta pragnie się ze mną zobaczyć. Podobnie jak rozmaici amefińscy thane'owie, earlowie, lordowie... jakkolwiek się tytułują i bez względu na relacje z Aswyddównami, które odwiedziły każde łóżko w prowincji. Tak samo miejscowy patriarcha quinaltynów prosi o audiencję, z góry odgaduję istotę sprawy. Opłacę nabożeństwa w stolicy. Ale nie odeślę ciała ojca wraz z odjeżdżającym Efanorem, obstaję przy słowie danym podczas narady. Żadnego pogrzebu, dopóki nie sprowadzę ojca do domu, żadnej sposobności danej Efanorowi na publiczne, choćby bezwiedne, okazywanie swego nadzwyczajnego smutku, ażeby przypadkiem nie zaczęto wiązać z nim nadziei, a

mnie podawać w obmowę. Na bogów! Ależ to okropne!

–Lecz mądre, panie. Zatrzymanie ojca w prowincji, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość, to dobra i chwalebna myśl. Sam ją poparłem.

–Czegoś się od ciebie nauczyłem. – Poruszył się i skrzywił. – Jestem ci bardzo wdzięczny za twe trudy w kurzu. Nie zapomnę przestrogi dotyczącej Emuina, ale nie mogę się już doczekać jego przyjazdu. Podziękuję ci także, jeśli dasz mi znać, skoro tylko przybędzie.

–Podziękujesz mi najlepiej, Wasza Królewska Mość, wracając czym prędzej do łóżka, zanim się okulawisz.

–Sam się zdrzemnij przynajmniej dwie godziny. Potrzebny mi twój świeży umysł, Idrysie.

–Miłościwy panie. – Idrys pokłonił się, chmurny, zgarnął listy i rozkazy czynienia zaciągów, po czym wyszedł.

Cefwyn założył ręce na piersi, rzucił przekleństwo, a potem, w gorączkowym nastroju, podniósł się i zaczął spacerować po komnacie, przy każdym kroku o lasce złorzecząc swej pięknej dłoni, dzięki której jednak zapominał o bólu w nodze i jeszcze bardziej zbolątych uczuciach. Miał dostatecznie mocne przeświadczenie o słuszności swoich postanowień i pałał takim gniewem, iż czuł się na siłach, by walczyć z całą rzeszą Aswyddów i quinaltynów.

Później wyszedł do przedpokoju i otworzył drzwi, tłumiąc w sobie dumę niepozwalającą mu używać laski przy obcych. Ból był potężniejszy. Spojrzał na drugą stronę sali, gdzie gwardziści nadal pilnowali pokoi Tristena, w oczekiwaniu na... bogowie raczyli wiedzieć na co; robiąc coś, co jedynie bogów mogło zainteresować. Zostali przydzieleni, pełnili służbę. Mało ważne, czy było kogo pilnować.

Tristen prosił o żołnierzy. Żołnierzy, na litość boską! W jakże krótkim czasie jakże dużej zmianie uległy troski Tristena!

Przypomniawszy sobie, jak klinga unosiła się metodycznie i opadała w ręku młodzieńca.

Ciemna postać, siejąca zniszczenie, nieznająca przebaczenia.

Pochylona, smutna postać, wracająca przed nimi do domu, na zmęczonej ryżej klaczy.

Wspart się boleśnie na lasce i odwrócił, wściekły ze względu na ów ból, by stanąć oko w oko z niewinnymi strażnikami, pilnującymi jego własnych drzwi: dwoma gueleńskimi gwardzistami, nadal należącymi do Gwardii Książęcej, oraz – część użyczonych mu zaufanych ludzi spod obcych znaków – dwóch żołnierzy z Lanfarnesse; dzięki takim jak oni mógł wyznaczać Gueleńczyków ze Smoczej Gwardii i Gwardii Książęcej na inne posterunki. Opodal, wciąż pełniąc swą surową służbę, stała skuta łańcuchem dwójka, wyniosły Erion i

nadrzeczny szkrab Denyn, jeździec i pirat, przynajmniej stwarzając pozory panującego między nimi rozejmu, ogarnięci niepokojem pod baczny spojrzeniem króla.

–Jak wam się wiedzie? – zapytał, walcząc z bólem, zmuszając się do cierpliwości i łagodnych słów, gdy tymczasem okrzyk wściekłości wydierał mu się wręcz z piersi.

–Dobrze, miłościwy panie – mruknął Erion.

–Rany się goją?

–Tak, miłościwy panie. Popatrzył na Denyna.

–Jak ci się układa z twoim towarzyszem?

–Bardzo dobrze, miłościwy panie.

Prawy nadgarstek Eriona i lewy Denyna owinięte były skórą, by łańcuch nie ocierał ciała.

–Czy zachowują się spokojnie? – zapytał Cefwyn gueleńskiego sierżanta.

Nastąpiło krótkie wahanie, ściągnęły się rysy twarzy żołnierza.

–Tak, Wasza Królewska Mość.

Nie uwierzył do końca temu raportowi, obejrzał sceptycznie więźniów od stóp do głów, aczkolwiek nie zdarzało się, by gueleński sierżant kłamał przez wzgląd na dwóch niegodziwych cudzoziemców. Wyłuszczył jasno sprawę niesfornym baronom. To, co mu pozostawało, było okrutne i niewygodne dla jego własnego gwardzisty, poza tym dokładało się do bólu.

–Uwolnić ich z łańcucha – powiedział i odszedł, wmawiając sobie, że sam jest wolny i że nie jest uwięziony do Tristena; że obawy młodzieńca są bezpodstawne, a jego przybycie na ten właśnie dwór i w tym właśnie czasie, jakże trudnym dla Ylesuinu, należy złożyć raczej na karb naturalnej śmierci starca niż kojarzyć z nieodwołalnym przeznaczeniem Marhanenów; i że strach Tristena zrodził się na skutek zderzenia niewinności z przerażającym obrazem królewskiej sprawiedliwości.

Która... nie wstrzymała ręki Tristena na polu bitwy w Emwy. Był on – o ile jakiegokolwiek założenia odnośnie Tristena miały rację bytu – wyczarowanym duchem, który zademonstrował straszliwą zdolność we władaniu bronią; wyczarowanym duchem, bez cienia wątpliwości niebędącym tym bezradnym, zatopionym w książkach Elfwynem z Czerwonej Kroniki. W tamtej godzinie po stronie Elfwyna walczyli obrońcy, niektórzy byli jego spadkobiercami. Tristen opowiedział się jednak po stronie Cefwyna. Uratował go od pewnej śmierci. Czyż tak postępuje wróg? Czyż temu człowiekowi miał nie ufać, bez względu na to, co Idrys znajdował w archiwach?

Być może powinien był posłuchać Tristena. Gdyby jednak wysłał wojsko do Althalen na bitwę z koszmarnymi snami, żołnierze nie poczytaliby tego za zaszczyt, a i reputacja Tristena znacznie by podupadła.

A gdyby obawy Tristena okazały się wsparte na realnym gruncie, gdyby wojsko nie starło się z koszmarami, ale z żywym wrogiem, przybyłym zza Leniialimu po odbudowanych mostach, Ylesuin wdałby się przedwcześnie w wojnę, do której Cefwyn chwilowo nie był przygotowany. Po prawdzie nie chciał jej w ogóle wszczynać, uważał ją za ostateczność i wolał podjąć z regentem Elwynoru rozsądne rokowania. Bez względu na swój gniew i podszepty pasji nie zamierzał pustoszyć w odwecie całej doliny Leniialimu. Królestwo jego składało się obecnie z prowincji utrzymywanych w chwiejnej równowadze, na południowym pograniczu Chomaggarowie tylko czekali dogodnej sposobności. Cefwyn nie mógł, dla gestu, dla zemsty czy dla jakiegokolwiek przyczyny dać się unieść temperamentowi i zaatakować Elwynimów, jakkolwiek szpiedzy donosili o wielkim poruszeniu w Elwynorze: nie śmiał zaangażować obu pokrewnych narodów w walkę dającą nadmorskim królestwom okazję do zabrania im przygranicznych ziem, o które od dawna toczyły się spory.

A przecież istniała nadzieja: regent był stary. Jeśli za tym poruszeniem i wskrzeszeniami wśród czarodziejów kryły się sihijskie przepowiednie, jeśli Elwynimi wiedzieli, iż w Henas'amef wzniesiono sihijski sztandar, a sihijski lord uczestniczył w walnej naradzie, coś istotnie mogło się zacząć zmieniać po drugiej stronie rzeki, a pokój, nie do pomyślenia od dwóch pokoleń, w trzecim miał szansę dojść do skutku.

Dajcie mi sposobność, prosił osobiście bogów, w których osobiście powątpiewał; w ciągu dwóch pokoleń rządów Marhanenów żaden król Ylesuinu nie sprawował pewnej władzy nad zachodnimi marchiami.

W ciągu dwóch pokoleń rządów Marhanenów żaden król Ylesuinu nie miał nadziei na zaprowadzenie długotrwałego pokoju na którejkolwiek z granic.

Nie mógł pozwolić, by opuścił go Tristen, a to ze względu na nadzieje zaprowadzenia pokoju i na perspektywę rządów, które nie będą zapamiętane z powodu wielkich zniszczeń.

Także ze względu na dobro młodzieńca, doszedł do wniosku; w swym gniewie i zmartwieniu nie widział nikogo prócz Tristena, komu leżało na sercu jego szczęście. Emuin zwykł prosić go o zdrowy rozsądek. Idrys przedstawiał okrutne możliwości i bezlitosne powody, by z nich skorzystać. Tristen natomiast zadawał proste pytania, dzięki którym Cefwyn znów mógł zauważać proste sprawy.

Jak długo żył, nie miał ani jednego przyjaciela, którego by ojciec nie poddał uprzednio skrupulatnym oględzinom pod kątem pełnienia tej szczególnej funkcji. Nie miał też żadnych widoków na przyszłość ani żadnych codziennych zajęć prócz piastowania królewskiej godności. Spośród ludzi stłoczonych wokół prawdopodobnego następcy tronu oraz tych o wiele liczniejszych, którzy musieli wiązać swe widoki na przyszłość i doraźne potrzeby z

osobą króla, miał trzech godnych zaufania: trzeźwo myślącego Annasa, zawsze dodającego mu otuchy; Idrysa z jego mrocznymi i praktycznymi radami; Emuina poruszającego zawile kwestie sprawiedliwości, z jakimi może się zetknąć król – niemniej nie poznał nikogo, kto sięgałby ku mniej definiowalnym potrzebom jego serca, dopóki, oczywiście, Tristen nie zaczął zadawać mu niemądrych pytań i dotykać tych rzeczy, którymi, jak przedtem sądził, ludzie przestali się już interesować. Tristen wskrzesił w nim chłopięce myśli, coraz częściej zdarzało mu się postrzegać otaczającą go rzeczywistość niejako innymi oczyma, a przecież od lat nic tylko bronił swoich myśli, czerpał dziką przyjemność z każdorazowego rzucenia swym pasożytom mniej witalnej kości do obgryzienia, służył Koronie i barykadował duszę przeciwko tym, co chcieli od niego coś uzyskać.

Król mógł żyć bez przyjaźni: bogowie wiedzieli, czy dziadek lub ojciec mieli bodaj jednego przyjaciela. Być może czeka go długie panowanie, zyska szacunek, by umrzeć w produktywnym, spokojnym, kto wie czy nie bezpieczniejszym, podeszłym wieku. W samotności.

Serce jego umrze jednak znacznie wcześniej.

Rozdział dwudziesty piąty

Petelly zmęczył się, i to już dawno: biegł, jak daleko potrafił, długimi, spieszenie pokonywanymi odcinkami, gościńcem do Emwy, u podnóży zwieńczonych drzewami wzgórz. Petelly nie dorównywał szybkością Gery, ale miał dużo siły. Nie wiadomo, czy nie dogoni go Uwen, pomyślał Tristen. Uwen znał się na rzeczy, jeśli chodziło o sprawy wojskowe. Na razie jednak Tristen cieszył się wolnością i nie miał chęci w ciągu przynajmniej jednego, dwóch dni przebywać w towarzystwie jakiegokolwiek znajomej osoby, chociaż odczuwał straszną tęsknotę za dźwiękiem głosu Uwena i zaczynało mu już brakować sługi. Bał się też, czy nie podąża on za nim zbyt blisko i czy otrzymał wiadomość; ufał wszelako, że Uwen wykaże się mądrością i odczyta ślady pozostawione na błotnistej drodze.

Rozpętał się wokół niego wielki zamęt, tyle ech i hałaśliwych głosów zaczęło domagać się jego uwagi i zrozumienia, że zapragnął nacieszyć się chwilą ciszy, zanim dogoni go Uwen bądź ktoś z Zeide. Przestał dostrzegać sens poszczególnych głosów. Czuł się stłamszony, zarzucony strzępami i odłamkami wiedzy o Henas'amef i rzeczach, które nic dlań nie znaczyły, a którym każdy przypisywał wielką wagę.

Nareszcie, nareszcie schowany między pagórkami, w towarzystwie jedynie znanych mu Słów, przez nikogo nienagabywany, mógł ze spokojem odetchnąć pełną pierś.

Zeszłej nocy nie zniósłby zapewne nowych więzów, wynikłych ze strachu Cefwyna, zabraniających mu ruszać się z pokoju. Nie zniósłby jakiegoś nowego, straszniejszego wydarzenia, które by mu się przytrafiło, zanim by zrozumiał poprzednie.

Nade wszystko jednak nie chciał, żeby Cefwyn znów podważał jego niezachwiane przekonanie albo żeby przyjechał Emuin pragnący wziąć go pod opiekę i oderwać od króla: Cefwyn wydałby go niechybnie na rzecz kogoś, kto miałby doń jakąś chwilową sprawę; a później na wiele, wiele dni zapomniał o jego radzie. Mógł go porzucić, lecz nie uważał tego za niesprawiedliwość, wiedząc, iż król jest niezwykle zajęty. Ale zdawał sobie również sprawę ze znaczenia swych obaw. Przyszło mu do głowy, że pod jego nieobecność Cefwyn częściej będzie o nim myślał i większą niż zwykle wagę przykładał do wypowiedzianych przezeń słów.

Gdyby jednak Cefwyn umieścił go pod kluczem i wiedział, gdzie on się znajduje, zapomniałby wnet o wszelkich przestrożach. Tak więc przypuszczał, że będąc nieobecny, jest dużo bardziej obecny, niż kiedy stał u królewskiego boku.

Tutaj czuł się wolny, nie musiał lawirować w gąszczu zakazów, bezlitośnie poniewierany przez los. Jechał przed siebie, rozdarty pomiędzy strachem a ciekawością oczekujących go przygód, chcąc przynajmniej odkryć więcej prawd o świecie, by dzięki nim okazywać mniejszą bezradność wśród ludzi znających swoją tożsamość.

Podróż nie przebiegała sielankowo: nadal był przemoknięty do nitki, chociaż promienie słońca ogrzewały płaszcz, a z dołu czuł ciepło końskiego grzbietu. Niewiele jadł w czasie ostatniej jazdy do Emwy, nic w drodze powrotnej, zeszłego wieczoru przespał kolację, nie zjadł śniadania i południowego posiłku, wobec czego kręciło mu się teraz w głowie, aczkolwiek nie tęsknił za krzątaniem swych życzliwych, mających najlepsze intencje służących. Już kiedyś cierpiał głód, na Drodze. Nie uważał go za zbyt wielką udrękę. W południe pozwolił Petelly'emu poskubać nieco trawy. Po opuszczeniu ciepłej, suchej stajni Petelly biegł na prośbę Tristena długo i chyżo, toteż z równą co on radością musiał powitać przejaśnienia i ciepłe promienie popołudniowego słońca na grzbiecie. Petelly opychał się ostowym kwieciami; najwyraźniej smakowały mu fioletowe, miękkie badyle, które obficie porastały skarpy i pobocza, ze srebrzystymi, postrzępionymi listkami i frędzelkowatymi puszkami, kołyszącymi się nad złocistozieloną trawą i wśród jałowcowych zarośli.

Wyjął wodę z pięknego płaszcza Cefwyna, wiedząc, że powinien go zwrócić wraz z przeprosinami za jego stan. W czasie porannej jazdy zdjął również i wyjął tunikę, potem ją nałożył, całą wymiętą, rozpuszczając brzegi płaszcza na zad Petelly'ego: tylko tak mógł suszyć wierzchnie ubranie, choć wcześniej rano, kiedy zatrzymał się na popas, rozłożył płaszcz na kamieniach: na słońcu stał się zaledwie wilgotny, a nieprzemoczony. Nowa kamizela ze srebrnym haftem wydawała się całkowicie zniszczona – nasiąknęła wodą, podobnie jak wyściółka pod kolczugą. Buty podczas jazdy nie zamokły od środka, ale gdy rankiem spacerował po mokrej trawie, prowadząc Petelly'ego, woda rozmiękczyła szwy. Nie chciał zsiadać i iść pieszo, taplając się w błocie, którym następnie ubrudziłby Petelly'ego i brzegi siodła.

Głupcze, rzekłby Mauryl, głupcze, znowu wyszedłeś na deszcz!

Teraz jednak reprimenda Mauryła nie kłuła do żywego. Stała się słodko-gorzkim wspomnieniem po starym, okazującym mu wielką cierpliwość człowieku, chociaż rozpaczliwe nadzieje Mauryła pryskały w zetknięciu z ciągłymi potknięciami Tristena.

W tej pustej okolicy słyszał poniekąd Mauryła, wspomnienia o Ynefel zaczęły wreszcie napływać z większą wyrazistością, zasobniejsze w detale i kolory niż w Henas'amef. Głowę i uszy miał wręcz wypchane obecnością Henas' amef, Słowami Henas' amef, Nazwami Henas'amef; niektóre dotykały go, uczyły i czyniły mądrzejszym. Jednakże obecnie, na wzgórzach, pod gołym niebem, zaczął bardzo intensywnie myśleć o Ynefel, Maurylu i bohaterach najwcześniejszych wspomnień. W mieście rady Ludzi napełniały uszy napastliwymi tonami. Tutaj słuchał Skowronka i śledził wzrokiem przemykającego na wzgórzu Lisa, myśląc, jak się wyrażał Mauryl, że łatwo jest sprawić, by rzeczy zachowywały się w naturalny dla siebie sposób.

Nawet, jeśli Ludzie z Henas'amef nazywali to czarną magią, nie pamiętał, by Mauryl kiedykolwiek użył podobnego sformułowania w odniesieniu do swej pracy, aczkolwiek mówił, że jest czarodziejem. Mauryl zwyczajnie oczekiwał, że jakaś rzecz zmieni się zgodnie ze swą naturą. I zmieniała się. Mauryl chyba nie widział w tym niczego osobliwego. Tristen podzielał jego zdanie.

Możliwe, zatem, że znalezienie się tutaj nie stwarzało trudności – ponieważ tego właśnie pragnął, ten właśnie kierunek chciał obrać. Nic nie zdołało go powstrzymać zeszłej nocy i nic mu nie zagroziło drogi tego ranka.

Wspominał słowa Mauryła, według których z nastaniem pory odejścia miał się dowiedzieć, co dalej robić. I zaprawdę, wiedział. Trzymał się Drogi, aż odnalazł Emuina.

Tym samym spełniły się obietnice Mauryła.

Teraz, skoro o tym myślał, nasunęło mu się przypuszczenie, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, prawdopodobnie pozna, co ma robić w dalszej kolejności, czy ma wstąpić na nowe Drogi, a może nawet tamtą niegdyś przemierzoną, o której dawniej sądził, że prowadzi przez bramę Henas'amef.

Choć może Droga tylko tam zakręcała, by dalej wieść wzdłuż miejskich murów? A nuż właśnie, dlatego znów go wyciągnęła, natomiast wrzawa i krzyki miasta tudzież zjazd lordów z orszakami służących, doskwierały mu ze względu na rozbieżność z życzeniami Mauryła?

Tak przedstawiał się pierwszy stan jego umysłu. Ale był też stan drugi. Ów pierwszy cechowały spokój i poczucie bezpieczeństwa; wiedział, że może odpoczywać w podróży, postępować wedle własnych upodobań, jeździć do wybranych przez siebie miejsc oraz zadawać dowolne pytania. Tak przedstawiała się wolność.

W drugim stanie umysłu spokój był już zburzony. Przepelniały go postrzępione krawędzie,

na w pół rozwinięte słowa, rzeczy, które mogą, ale nie muszą mieć w przyszłości miejsca, oraz wszystkie te więzi, którymi związał się z ludźmi. Ten stan umysłu uwzględniał oczekiwania, jakie wobec niego mieli Cefwyn, Emuin i Uwen, żadne z nich niespełnione.

Nie wiedział, gdzie rezyduje dobro, a gdzie zło, które z nich przebywało przy Maurylu i jego pragnieniach, które zaś wynikało z przyjaźni z Cefwynem. Myśli Tristena, jak na razie, były ze sobą w niezgodzie.

Nie musiał się szczególnie zastanawiać, by wiedzieć, że powinien był poczekać na Emuina i posłuchać jego rady, nawet gdyby nakazywała pozostanie w komnacie i zachowanie milczenia.

A jednak odnosił wrażenie, przeskakując do tego pierwszego sposobu myślenia, iż zdołał wydostać się bez przeszkód poza miasto, gdyż tak właśnie stanowił naturalny porządek rzeczy. Jeśli istotnie miało to cokolwiek wspólnego z czarami, to posłużył się nimi Mauryl – albo on sam.

Tego popołudnia lady Orien nie oczekiwała gości, co było oczywiste. Służące, poblądłe, chwyciły się za szycie i pierzchy z ław przy oknach. Nawet Orien odrzuciła fartuszek i powstała, cała okryta barwnymi nitkami.

Orien nie wyglądała najlepiej. Z twarzy odpłynęły kolory, szaty były szare, wyglądające na stare i znoszone – znać, że suknię założyła dla wygody, nie na pokaz. Rude loki odgarnięto bezlitośnie do tyłu i zapleciono w długi warkocz. Lewy policzek i podbródek znaczyły niewielkie sińce; Cefwyn nie znał ich pochodzenia, ale podejrzewał jednego ze swych gwardzistów. Wydawała się kompletnie zbита z tropu jego nagłym najściem. Delikatne dłonie splotły się, jakby chciały powstrzymać drżenie. Niemniej nigdy nie brakowało jej słów.

–Powinnam się była wprawdzie spodziewać, że wyświadczysz mi grzeczność, zapowiadając swą wizytę, miłościwy panie, ale to przecież twoje straże i bez wątpienia możesz tu wstępować, kiedy tylko przyjdzie ci ochota.

Z pewnością nie był świadkiem skruchy, o jakiej mu donoszono. Spokojny, wyważony głos drżał tylko nieznacznie, oczy patrzyły niewzruszenie.

Źle oceniłem Heryna, co doprowadziło do klęski mojego ojca, pomyślał. Czyżbym się również pomylił, wydając akt łaski? Trochę za późno na dokonywanie kolejnych egzekucji. Teraz nabrałoby to posmaku prześladowania.

–Nic ci tu nie grozi – rzekł chłodno. – Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele po mojej cierpliwości. Prosiłaś o posłuchanie. Oto jestem.

–Sądziłam, że to mnie się wezwie – powiedziała i przejechała dłonią po szarej sukni. – Tylko tak mogę dać wyraz żałobie. – Nareszcie głos zaczął się łamać. Co gorsza, nie wyczuwał udawania. – Czyż dowiem się teraz, jaki los czeka mnie i moją siostrę?

–A o co byś poprosiła, lady Orien?

Uniosła się głowa, przekrzywił podbródek.

–Poprosiłabym, Wasza Królewska Mość, o Amefel.

Zdumiała go jej bezczelność. Wspomnił ze wstydem, jak pochlebstwami dotarła do jego łóżka, knując jednocześnie z bratem śmierć księcia i króla. Własna naiwność napełniała go odrazą.

–Wywodzę się z rodu Aswyddów – oświadczyła. – Podobnie jak inni Aswyddowie, potrafię oddzielać sentymenty od polityki. Przekaż mi władzę nad Amefel. Przywdzieję żałobę i pogodzę się z okolicznościami. Tym samym oszczędzę Waszej Królewskiej Mości podziałów i zamieszania wewnątrz prowincji, i to w czasie, kiedy Królewskiej Mości najbardziej zależy na jedności. Zapobiegnę również walkom pomiędzy lordami o prawa do zdobyczy, przywoływaniu historii i rozgrzebywaniu starych waśni.

–Nie potrzebuję, abyście ty i twoja siostra doradzały mi w sprawach polityki.

–Racja, miłościwy panie, sam zapewne wiesz, że mówię prawdę.

W jej słowach widział głęboki sens, aczkolwiek wciąż żywił nienawiść do tej kobiety.

–Dostaniesz, o co prosisz – oznajmił, a wynagrodziła go jej zdumiona mina. Oblicze Orien całkiem poszarzało, widać, że z chęcią by usiadła. Ale bez pozwolenia nie mogła tego uczynić w obecności króla. – Twych kuzynów, wszystkich, wygnam daleko na wschód, pozbawiwszy wszelkiego majątku, który przekażę tobie. Tym sposobem zapewnię ci ich wielką miłość, Orien, duchesso Amefel, i ich niegasnącą nadzieję na twą szczodroblivość. Nie wolno ci im wszakże jej okazywać, pod karą śmierci. Tarien, twoja siostra, nie otrzyma żadnych włości. Wszystko należy do ciebie, lecz za życia nie możesz nikomu niczego darować. Pozostaniesz w areszcie, Wasza Miłość z Amefel i Henas'amef, dopóki nie spodoba mi się zwrócić ci wolności. Pod każdym względem będziesz... jedynym posiadaczem tego tytułu.

–A więc żaden lord nie wystąpi przeciwko tobie na naradzie, chyba, że ja? I nikt nie stanie po mojej stronie?

–Bynajmniej, ja stanę po twojej stronie. Czyż pradawna amefińska tradycja nie mówi, że kto pozbawia damę męskich krewniaków, musi zadbać o jej dobro? Gwarantuję ci opiekę Korony, Wasza Miłość. I opiekę lady Tarien oraz twoich kuzynów. Nikt cię nie skrzywdzi. Ale nie ścierpię, by tuzin moich lordów rywalizował o twe zszargane wdzięki albo żebyście ty i twoja siostra uprawiały politykę w pościeli. Kiedy wyjdiesz za mąż, Wasza Miłość, o ile w ogóle poznasz jeszcze jakiegoś mężczyznę, gdyż nie pochwalę żadnej niestosowności – stanie się to tylko za moim przyzwoleniem. A rządy Aswyddów nad Amefel skończą się wraz z twoim imieniem, takim czy innym sposobem. Bądź pewna, jesteś panią i zarazem

lordem Amefel.

Twarz Orien była niczym płótno. Dygnęła powoli.

–Wasza Królewska Mość...

–Pozwalam ci żyć. Pozwalam żyć twojej siostrze. Nie łudź się, gdybyś była bratem Heryna, daleko inny los by cię spotkał. Wejdiesz mi jeszcze raz w drogę, a nie będzie przebaczenia. Czy dokonam egzekucji kobiety? Bez wątpienia. Twój brat przysięgał, umierając, że byłaś jedynie posłuszna jego rozkazom, lorda Amefel, dlatego więc ty, twoja siostra i kuzynowie uchodzicie z życiem.

–Panie – westchnęła ze ściągniętą twarzą.

–Nigdy nie posuwaj się do zuchwałości, pani. W nikim nie znajdziesz obrońcy swych opinii, jeśli nie we mnie, a ja ich nie pochwalam. Pilnuj głowy, bo w każdej chwili może dołączyć do brata nad południową bramą.

–Proszę Waszą Królewską Mość o jego ciało, bym je mogła spalić.

–Przyzwalam. Ani ja, ani kruki nie będą już miały zeń pożytku. Ale jeden warunek: pogrzeb ma być skromny i przyzwoity. Ty, kapłani, twoja siostra... moi żołnierze.

Orien ponownie złożyła dyg, wolno i wdzięcznie, pokazując piersi. Popatrzył na nią w zadumie, zastanawiając się, co go kiedykolwiek pociągało w tej chłodnej intrygantce i czemu pozwala jej teraz żyć. Spoglądała nań inaczej niż Heryn, jakby śmieiej, bardziej wyzywająco.

–Krwawi Marhanenowie – powiedziała spokojnie. – Nieubłagani w zemście. Z wdzięcznością odkrywam w Waszej Królewskiej Mości szlachetniejszą naturę, która złagodziła wyrok.

Znów uderzyła go jej zmysłowość, słodząc epitet ogólnie używany, acz rzadko rzucony w twarz Marhanenowi. Wrócił na moment wspomnieniem do tamtej innej Orien, do bladej skóry, jedwabi i grzywy rozczochranych włosów. Raziała go jej posiniaczona twarz.

–My, Marhanenowie, strącaliśmy już kobietom głowy. Pamiętaj o tym. Nigdy ci nie zaufam. Ale nie będę cię też prześladował, lady Orien.

–Moje dworki i ja – powiedziała grobowym tonem – wzniesiemy dziękczynne modły za ów gest.

Zerknął bystro na służące poukrywane w ciemnych zakamarkach komnaty, niektóre być może szlachetnego urodzenia, nawet kuzynki z nieprawego łóża. Dwie jednak wyglądały na wieśniaczki, miały ciemniejsze włosy, w żyłach ich płynęła zapewne amefińska krew, o ile

nie starsza; nosiły talizmany, jakimi zwykle obwieszały się rodowite Amefinki. Przesunął wzrok z powrotem na Orien, lady Amefel nie tylko z jego nadania, czując lęk przed ich przekleństwami i gusłami.

–Módlcie się raczej, aby mój nastrój nie uległ pogorszeniu – powiedział. – Gdzie twoja siostra?

–Oddaje się modlitwom. Za duszę naszego brata. Jesteśmy pobożnymi ludźmi.

–Prędzej uwierzę w latające konie – odparł – niż w pobożnych Aswyddów.

Po tych słowach odwrócił się, świadomy utykania kolidującego z jego władcą postawą. W każdym razie odszedł niespiesznie i beztrosko, przystając w progę, aby obejrzeć się przez ramię. Żadna się nie poruszyła. Większość miała wystraszone miny, nawet Orien.

Petelly miał już dość ostowego kwiecica, przynajmniej na razie, truchtał z podniesionymi uszami ku leśnym cieniom, które wchłaniały drogę przed nimi. Tristen czuł jedynie lekki dreszcz niepokoju, wiedząc, że miejsce to uśmierciło jego towarzyszy, niemniej teraz nęciło zielenią i tętniącym życiem, w przeciwieństwie do Marny, choć mogło być odnogą tamtego lasu. Wobec powyższego wjechał weń ostrożnie, ale zanim pograżył się głęboko w owym cieniu, w błocie powstałym po nocnej ulewie ujrzał świeży odcisk podkowy.

Wiedział, że Cefwyn przyśle tu ludzi, aby pozbierali trupy. Wiedział też, że w dystrykcie tym podobno krążyły oddziały Heryna – również Cefwyn mógł tu mieć swoich ludzi, o których Tristenowi nic dotąd nie mówiono.

Należało także brać pod uwagę zabójców ojca Cefwyna. Tristenowi nie brakowało powodów do obaw przed otaczającymi go cieniami. Miał żywo w pamięci mknące ku niemu strzały, gdy pędził wraz z Uwenem, gdy tuż przy nim umierali ludzie; pamiętał też końskie ślady, które ukazały się jako ciemna linia w trawie blisko Kruczego Wierchu tamtego wieczoru, kiedy on i Cefwyn uciekali z Emwy – stanowiła ostrzeżenie, że oprócz nich ktoś jeszcze kryje się wśród wzgórz.

Heryn musiał wysłać wiadomość do ojca Cefwyna z nagłą prośbą o przybycie do Emwy. Nie należało także wykluczać, myślał Tristen, iż Cefwyn, wybrawszy się do Emwy, wpadł w pułapkę przedwcześnie: gdyby wtedy zginął, król tak czy inaczej tam by przyjechał; i tam, niewykluczone, także poniósłby śmierć. Wtedy nowym królem zostałby Efanor. Tym właśnie tłumaczył sobie podejrzania Cefwyna i niezręczną atmosferę, jaka panowała między nim a bratem.

Gdybanie nic jednak nie znaczyło, jak powiedział Idrys. Wypadki nie potoczyły się po myśli Heryna. A Heryn nie planował niczego więcej. Efanor, jak sądził, też nie podjąłby żadnych kroków w celu skrzywdzenia Cefwyna.

Co wcale nie oznaczało, że elwynimski lord, z którym Heryn wszedł w konszachty, spoczął

na laurach.

Takie to myśli snuły mu się po głowie, gdy wprowadzał Petelly'ego głębiej i głębiej w zielony cień.

Zaprzątnięty owymi myślami, zauważył nagle na błotnistej drodze, z której deszcz uczynił nie zapisaną kartę, odcisk buta: ktoś musiał źle stąpnąć, pośliznął się na błocie, po czym odzyskał równowagę i wszedł z powrotem na liście. Tristen spojrzał w górę stoku, gdzie pod paprociami ukryły się dalsze ślady.

Mógł to być mieszkaniec wioski Emwy. Wieśniacy mieli zapewne sporo powodów do wędrowania po lasach w poszukiwaniu zabłąkanych owiec, a znaki ich bytności rzeczywiście można było dostrzec w pobliżu. Wcześniej jednak Tristen widział koński trop, nie mógł więc nie martwić się o bezpieczeństwo Uwena podążającego za nim wraz z grupą naprędce skrzykniętych ludzi. Nie troszczył się o siebie, ale Uwen mógł zlekceważyć podobny znak: zacznie szukać z tym większą gorliwością i znajdzie się w opałach.

Tristen doszedł do wniosku, że powinien zawrócić, poczekać na drodze na Uwena i poznać jego zdanie, skoro już uznał za konieczne spotkać się z nim, a rzecz przestała tylko jego dotyczyć. Mógłby namówić Uwena, aby zaczekał i odesłał kogoś z powrotem, przy założeniu, że przyjedzie w towarzystwie żołnierzy, aczkolwiek wyglądało na to, iż ludzie Cefwyna nieustannie włóczą się po okolicy. Gdyby Uwen wyraził zgodę, Tristen mógłby poszukać okazji – zdobywszy, wprawdzie w zagmatwany sposób, żołnierzy, o przydzielenie, których prosił Cefwyna – by pokręcić się przez jakiś czas na obrzeżach Marny z mądrymi i doświadczonymi ludźmi pod swoją komendą w celu poznania sekretów, jakie las przed nimi chował. Nie miał wątpliwości, że są to znaczące sekrety, sekrety mogące rzucić nowe światło na jego tożsamość i intencje Mauryła. Porozmawia z Uwenem, a ten podrapie się – po głowie i wyrazi jedną ze zwykłych mu, praktycznych opinii, wprawdzie różniących się od rad Emuina, lecz nie mniej przemyślanych.

Tak, to najlepsze wyjście, pomyślał, zawracając na drodze konia.

Wtem rozbłysło gdzieś przed nim szare miejsce, sprawiając nieokreślone wrażenie, niczym promień światła między liśćmi, niczym muśnięcie jedwabistej pajęczyny o szyję.

Obrócił Petelly'ego w drugą stronę.

Wśród drzew stała siwa, kudłata postać w zielonej poświacie, postać w postrzępionych szatach, otulona szczelnie szalem z frędzelkami. Rozpoznał staruszkę z Emwy.

Niewykluczone, iż to ona była przyczyną, dla której trzymał się tej drogi. Choć może to z jego powodu stara kobieta przywędrowała tu, do tego groźnego lasu.

Nic nie powiedziała. Odwróciła się i ruszyła pod górkę, poprzez paprocie.

Tristen dotknął Petelly'ego i wspiał się na łagodną pochyłość. Wiedział, że naraża się na niebezpieczeństwo. I ona, jak przypuszczał, lękała się zapewne, czy nie stanie się jej jakaś krzywda z jego strony; musiał nią jednak kierować ściśle określony cel, inaczej nie zapuściłaby się w ten zielony, złocisty, duszny las.

Przystanąła. Czekwała przy tryskającym na wzniesieniu źródelku, gdzie ktoś ułożył kamienie na kształt łuku. Na środkowym wyryto sihijską gwiazdę, inny obciosano w formie głowy, podczas gdy pozostałe ozdobione zostały żółędziami i fragmentami winorośli; na jednym widniała ręka. Kamienie nie pasowały do siebie, ale tworzyły dekorację fontanny.

Ktoś je tu przyniósł, pomyślał Tristen, być może z Althalen, gdzie leżało więcej takich kamieni.

–Leciwa Syes – rzekł. Nie zapomniał imienia. – Dlaczego wystąpiliście przeciwko nam?

Starucha owinęła się szalem, przytrzymując brzegi w kościstych dłoniach. Siwe włosy płożyły się wokół twarzy będącej mapą lat. Usta były mocno zaciśnięte, a oczy równie szare, jak jego własne.

–Lordzie Sihe – odezwała się słabowitym, ochrypłym głosem – lordzie Sihe, któżże cię przysłał?

–Mauryl, pani.

Zaśmiała się – niebywale, że takie usta zdolne były do śmiechu! Wykonała jeden obrót, rozłożyła ramiona, a spódnice i frędzle szala nastroszyły się niby pióra w zielonej poświacie. Sytuacja mogła wydawać się zabawna, lecz w powietrzu nie czuło się wesołości.

Czuło się złowieszczą atmosferę, od której ciarki przechodziły po skórze. Kobieta nachyliła się, by spomiędzy okalających źródelko kamieni wyciągnąć srebrny kielich. Napelniła go, wypila, a potem i jemu podała pełne naczynie, sięgając ponad wysokim grzbietem Petelly'ego.

–Pijże, pijże z wód Emwy, lordzie Sihe. Pobłogostaw źródło. Pobłogostaw lasy.

Nie sądził, by picie aż tak wiele znaczyło. Wziął kielich i łyknął chłodnej wody. Zwrócił go, a staruszka wydawała się zadowolona, szczyrzyła zęby, biorąc się pod pachy.

Tristen poczuł znajome mrowienie, jakie zwykle następowało po kuracjach Mauryla. W jednej chwili znikły wszelkie ślady znużenia podróżą, natomiast Petelly, który nachylił łeb, by ugasić pragnienie, wyprostował się jak sprężyna i parsknął; z błyskiem białek zerknął z ukosa na starą kobietę, cofając się z większym wigorem i chyżością niż kiedykolwiek, odkąd wyruszyli nocą.

Tristen uspokoił wierzchowca odruchowym ściśnięciem kolan; czuł, że razem z Petellym

znów ociera się o szarą przestrzeń, gdzie płonęło białe światło, a świetliste smugi przepływały poprzez frędzle staruszki.

Ze światła wyłoniło się dziecko, podskakując w szarym cieniu lasu, jakby nagle osnutego mgłą. Dziecko poruszało się w szarym miejscu, a mimo to były w nim także drzewa.

–Seddiwy, owieczko – rzekła staruszka – wskażże sihijskiemu lordowi dukty, co je znasz. Wiesz, gdzie dobry człek bywa, prawda?

–Jużci – odparła dziewczynka – jużci, mamó, wiem. Niechże lord idzie za mną.

Dziewczynka odbiegła w podskokach między przysłonięte cieniem drzewa, oddając się samotnym zabawom, za którymi zwykle przepadają dzieci.

Nie zauważył, kiedy zaczął zjeżdżać ze stoku. Petelly po prostu ruszył i jechali. Nie widział nic prócz wietrzyka spływającego wzdłuż wzgórza, słabego wietrzyka, który jedynie szeleścił w listowiu.

Powiewał ku drodze i wzruszał drzewa po drugiej stronie.

Tristen nie ufał dzieciom, lecz nie dostrzegał niczego złego w tym, które egzystowało w szarej przestrzeni, miejscu nienadającym się dla niewinnych i bezbronnych; dziewczynka nie przebywała tu jednak długo. Była trzepotem liści i płasem kamyków na stoku poniżej drogi, nikłym poruszeniem kurzu, który tańczył, podskakiwał i tańczył.

Była kółkiem na wodzie, wklęśnięciem na trawie. Była przebłyskiem między liśćmi w brzozowym gaju. Niejako umykała zmysłom, tak niewiele sobą stanowiła. Poruszała się jeszcze ciszej od Leciwej Syes.

Jak to dziecko, nie szła po linii prostej. Raz się wspinała, raz schodziła, to znikwała w zaroślach, to znów się ukazywała. Niemądre dziecko, myślał Tristen, nie idąc po jej zagmatwanych śladach, tylko zmierzając w ogólnym kierunku, który obrała.

Po lewej ręce zobaczył wieś Emwy. Wszelako po budynkach, które tam niegdyś oglądał, pozostały pozbawione strzech zgliszczca – szare, poczerniałe ściany.

Idrys zamierzał podpalić stogi siana, sam tak powiedział. Tymczasem coś gorszego, o wiele gorszego przytrafiło się wiosce. Zafrasował go ten widok. Chciałby podyskutować z Idrysem... czy z kimkolwiek, kto to zrobił.

–Dziecko – zapytał. – Kto spalił tę wioskę?

Zwiewna istota fruwała, wlatywała jak ważka, wprawiając cień w drżenie.

I odleciała, bardziej wyrazista, bardziej zagniewana.

Tristen prowadził Petelly'ego czymś, co dawniej mogło być drogami lub ścieżkami, na południowy wschód, w ślad za owym trzepotem liści, który teraz zmienił swą naturę. Podmuchy wiatru przyginały długie pasma trawy. Petelly skubał raz po raz osty, a wiatr rozwiewał mu grzywę, targając ją na wszystkie strony.

Młode drzewka pochylały się, trzęsły. Trzy pasma przygiętych traw złączyły się razem i oto jedno z drzewek zgięło się i pękło, ukazując białe, poszarpane wnętrze.

Zapanował jeszcze bardziej złowrogi nastrój. Podczas spotkania z Leciwą Syes Tristen nie bał się o siebie ani o Uwena, teraz jednak ogarnął go niepokój. Kobieta nie dodała mu otuchy bodaj jednym słowem pocieszenia, zapewniając nie tyle o jego własnym bezpieczeństwie, co o bezpieczeństwie podążających za nim ludzi.

Trach! – pękały łodygi badyli. Trach! – padło kolejne drzewko, a potem drugie i trzecie... Pnie wszystkich drzewek w brzozowym młodniku uległy rozszczepieniu.

–Uspokój się! – powiedział. Cóż za bezmyślne niszczenie! Świadczyło jedynie o niewłaściwym zachowaniu. – Uspokój się – powtórzył, pragnąc, aby dziewczynka powróciła. – Są za mną ludzie, dobrzy ludzie. Nie strasz ich. Oni nie chcą wyrządzić ci krzywdy. Bądź grzeczna. Bądź dla nich dobra.

Być może w pewnym oddaleniu, głęboko w zaroślach, poderwało się na wietrze skupisko starych liści. Być może, ale on podejrzewał, że to stara kobieta. Pojedyncze pasmo wzburzonej trawy podążyło ku niej półkolistym torem, odskakując raz w jedną, raz w drugą stronę, figlując wzdłuż zagłębienia i szurając po kamykach. Liściasty kształt poszarpanych spódnic przemknął przez gąszcz i znów się rozplątał, małe pasemko dotarło natomiast w to miejsce i ruszyło dalej.

Rozzłoszczone wstęgi przygiętych źdźbeł pojawiały się co i rusz na stoku wzgórza, a słońce opadało ku zachodowi, wydłużając na trawie cień jeźdźca i wierzchowca.

Dotarł w okolice, które niegdyś przemierzał z Cefwynem, gdy uciekali z zasadzki, jaką ktoś urządził na nich w lesie – rozpoznawał wzgórza. Pokrywały się z kształtami – nie z kształtami będącymi częścią jakichś mglistych wspomnień (słudzy twierdzili, że to dzięki nim przypominał sobie różne rzeczy), ale wynikającymi z przeświadczenia, iż widział już kiedyś te wzgórza i wiedział, gdzie się znajduje. Niedaleko stąd wznosił się Kruczy Wierch, u podnóża, którego zobaczył ślady okrążające pagórek, ostrzegające o kryjówce ludzi.

W pobliżu leżał Althalen, choć nie ukazywało mu się nic związanego z tą Nazwą: po prostu Althalen, który niegdyś odwiedził z Cefwynem. Pomyślał, że być może ma za przewodnika swego rodzaju Cień, aczkolwiek pospolity i niegroźny. Kompanów jego nie uważał jednak za pospolitych i niegroźnych, a po zapadnięciu zmroku nie chciał mieć z nimi nic do czynienia. Ów przewodnik płaśał beztrąsko to tu, to tam, po zeschniętych liściach i świeżej trawie. W promieniach zbliżającego się ku szczytom wzgórz słońca zieleń ciemniała, obrysowana

coraz ostrzejszymi krawędziami cieni.

–Znasz to miejsce? – zapytał Leciwą Syes na wypadek, gdyby go słyszała. – Cefwyn myśli, że ja powinienem. Ale co mam znać? Możesz mi powiedzieć?

Nie usłyszał odpowiedzi.

Pomimo to nie ogarniał go już ów dławiący strach, który nań padł, gdy po raz pierwszy tędy przejeżdżał, związany z odczuwaną tamtej nocy nader przerażającą istotą, osobliwym Cieniem, a może wieloma Cieniami, które za dnia kryją się głęboko wśród korzeni zdziczałych żywopłotów i w czeluściach arkad, by wypełzać nocą, siejąc grozę i czyniąc szkody. Mauryl nie mówił, jak walczyć z Cieniami, tylko jak ich unikać, mianowicie za pomocą zamków i drzwi. Tutaj ich nie było, więc pewnie postąpił niemądrze, godząc się na przewodnictwo córeczki starej Syes.

Ale przecież nie przybył tu, ażeby zakłócać spokój Cieniom. Przybył wyłącznie po prawdę, omijał stare kamienie w ślad za kosmykiem swej przewodniczki, rozmyślając o Nazwie Althalen, usiłując przywołać do siebie więcej powiązanych z nią elementów.

Niemniej nadzieja, jaka nawiedziła go na skrzydłach owej Nazwy, była nadzieją na piękne ogrody, pobudzała do myśli o salach, gdzie wytworni ludzie poruszali się, śmiali i spotykali, gdzie dzieci bawiły się w chowanego i w ściganie obręczy, podobnie jak jego podskakująca wśród kamieni przewodniczka.

Prowadził Petelly'ego labiryntem fundamentów nie przypominających twierdzy Ynefel, wśród zwykłego skupiska budynków bez żadnych fortyfikacji. Nigdy nie stały tu obmurowania. Pewność ta objawiła mu się wraz z Nazwą Althalen: było to spokojne miejsce, gdzie nikt nie zaprzętał sobie głowy obroną, gdzie ufano ludziom. Szlachetnym ludziom, być może.

Lub potężnym.

Tymczasem wszędzie wokoło, podobnie jak w wiosce, ogień osmalił resztki drzwi i okien. Poczuł zapach dymu. Być może dym pochodził ze starego Althalen; albo z wczorajszego Emwy; a może okropny dym z dziedzińca w Zeide przylgnął doń i do Petelly'ego i przetrwał nawet nocną ulewę – nie wiedział, ale poczuł, że traci kontakt z otaczającymi go skałami i kamieniami, odepchnięcie, jakby jakaś istota, może wiele takich istot, nie chciało go tu zaakceptować, jakby... dławiący strach przesunął się o włos obok niego.

Świat osnuł się perłową szarością. Ściany stały nadal spalone, nadal popękane, a on i Petelly brnęli przez tę szarość, wzdłuż szeregu zrujnowanych murów, mniej materialnych teraz od cienia. Takie w szarym świetle występował zapach dymu i spalenizny. Tyle, że Strach, któremu Emuin przypisywał imię... Hasufina... przetoczył się przez jego świadomość, zdając się posiadać tu moc, moc wywołującą mrowienie niczym eliksiry Mauryla, leczące zadrapane kolana i stłuczone podbródki.

Owo uczucie mrowienia mogło zostać wywołane czarami, a skoro o tym pomyślał, obudziło się w jego pamięci wyraźne wspomnienie czasów, gdy wszystko było uporządkowane: nasunęła mu się myśl o Ynefel, a wówczas poczuł gwałtowny chłód i czyjąś straszną obecność; wycofał się spieszenie z szarego światła.

Wiatr tańczył na trawie; złowróźbny, przyginający drzewa rodzaj wiatru, przemykający po ziemi smukłą linią.

–Dziecko! – zawołał ostrzegawczo, gdyż wiatr ów obudził w nim wspomnienia o wichrze na dziedzińcu, który z pyłu i liści uformował postać; usłyszał odległy jęk, wystraszony głos, gdy powiało tuż za nim, przy ogonie Petelly 'ego. – Uspokój się, dziecko! – mówił. – Wracaj, gdzie będziesz bezpieczna. Znam dalszą drogę. Wracaj do swojej fontanny. Tu czyha zło!

–Jakże wielkodusznie – zagaił Wiatr, wzbijając kłęb liści. – Efanor postępował podobnie. I spójrz, co przez to uzyskał.

–Hasufin? – odparł. – Czy tak się nazywasz? Odpowiadaj!

Wiatr potrząsnął krzakami, dmuchnął liśćmi prosto w pysk Petelly'ego, a wtedy Petelly wspiął się na zadnich nogach; nie spodobała mu się ta istota.

Jeździec też jej nie lubił.

–Przepadnij! – zażyczył sobie Tristen.

Wiatr popędził przed siebie, znacząc na ziemi półkolistą linię, wzbijając wśród kamieni niewielkie kłębuszki kurzu, bardzo podobnie do dziecka, jednak znacznie, znacznie szybciej.

Ten wiatr również nie był naturalny. Umknął ku starym fundamentom, ku stercie gruzu, gdzie strącił liście z krzaków.

Linia wzburzonego kurzu pomknęła wnet z powrotem w ich stronę.

–To jest śmierć – rzekł Wiatr. – Zginęli tutaj wszyscy Sihhijczycy, nawet dzieci, o ile cię to w ogóle zasmuci. Mauryl i Emuin uknuli spisek, aby nas wymordować. Ongiś byłem dzieckiem, wiedziałeś o tym? Byłem dzieckiem z Althalen. To nie powstrzymało jednak Marhanenów. Wszystkie dzieci wymordowali na oczach ich matek i ojców. Mauryl też przyłożył rękę do owego mordu. Byłeś tu już kiedyś?

Czuł w tym jakąś podłość. Wiatr go okłamywał. Mauryl nie zabijałby dzieci.

Nagle w szarym miejscu pojawiły się sale oświetlone bladym, krwistym ogniem, dzieci i dorośli uciekali przed płomieniami. Umierali. Palili się. Biegali niby żywe pochodnie, ubrania zajmowały się owym bladym światłem, strzały kładły ich trupem.

Mały chłopiec spał na łóżku. Nadszedł mężczyzna, można by pomyśleć, aby go uratować. Mężczyzna dźgnął jednak uspionego chłopca. Twarz jego była twarzą Emuina.

–Nie!

Cóż za podłość! Cóż za łgarstwo! Przypadkowo ściągnął cugle Petelly’ego, ten zaś cofnął się i odwrócił. Tristen przetarł oczy, chciał odpędzić resztki snu, by znów zobaczyć krzaki i kamienie. Petelly musiał coś poczuć, albo też coś usłyszeć: Tristen wprawdzie trzymał krzepko wodze, lecz wierzchowiec rzucał łbem to w lewo, to w prawo, za każdym razem cofał się o krok i usiłował wykręcić, błyskając białkami oczu, chrapiąc nozdrzami. W końcu pewny uchwyt cugli oraz ciągle ściskanie kolanami uspokoiło serce Petelly’ego i zmusiło go do posłuszeństwa.

Że wróg ucieka się do kłamstwa i oszustwa? Czemuż by nie? Czymże jest kłamstwo w porównaniu z morderstwem?

Tristen szukał argumentów, nie chciał uwierzyć; przecież sam nauczył się oszukiwać, sam posunął się do oszustwa.

Wiatr dmuchnął mu kurzem w oczy, zmuszając do zmrużenia powiek i powtórnego spojrzenia w szarą przestrzeń, lecz on, choć łzy spływały mu po policzkach, uparcie wpatrywał się w punkt pomiędzy uszami konia, nie dając się ponieść panice wobec Cieni cisnących się na obrzeżach pola widzenia. Widział, jak szydery wiatr ze świstem wzbija tumany kurzu, jak wy wiją przed nim dzikie hołubce, tańcując w zaroślach, uderzając weń co chwila trawą i śmieciami.

–Tristenie – rzeki – Tristenie, nie waź się ulegać zaślepieniu. To nie są kłamstwa. Ja cię nie okłamuję. Uwierzyłeś Gueleńczykom, uwierzyłeś Emuinowi. To bardzo niemądre z twojej strony, choć może o tym nie wiesz. Mam ci powiedzieć, jak Mauryl nazwał Emuina?

Tristen ciągle czuł dym. Nawet wyraźniej. Widział, jak mroczne sylwetki pomykają ku kamieniom i między krzakami; w sylwetki te być może by uwierzył, gdyby nie fakt, że mijały najdelikatniejsze z kolczastych gałązek, ani jednej nie poruszając.

–Mauryl nazwał Emuina słabym. Mauryl nazwał go bojaźliwym. Mauryl nazywał go w wieloraki sposób. A ty na nim polegasz. Głupota. Absolutna głupota. Z pewnością tu umarłeś.

–Odejź! – krzyknął. – Przepadnij!

–Ależ brak ci siły Mauryla, czyż nie tak? Doprawdy, powinieneś słuchać. Mauryl był moim nauczycielem. Uczył także Emuina. Drogi Mauryl. Pamiętasz, jak przysłużył się sihijskim królom? Zdradził ich: nie chcieli przystać na jego pomysły, toteż zbratał się z Gueleńczykami i wciągnął do spisku Marhanenów, którzy byli jeno sługami Sihhijczyków. Wiesz, skąd ja o tym wiem? To ja bowiem... ja byłem tym zamordowanym dzieckiem, to ja byłem zajadłym i

przerażającym wrogiem Mauryła, z którym nie chciał zmierzyć się sam na sam. Do całej tej ruiny i śmierci doprowadził ze względu na mnie, na mnie, czy mnie słyszysz? Ze strachu przede mną Maurył otworzył bramy Marhanenom, uwięził mnie w komnacie i posłał Emuina, by dokonał mord. Pragniesz usłyszeć więcej?

–Heryn Aswydd wyglądał na uczciwego człowieka – powiedział Tristen, usiłując wznieść barykadę przed tym głosem, który brzmiał teraz jakże logicznie, pełen wyrzutu.

–Ech, wyglądał, wyglądał. Marhanenowie wyglądają. Czyż kiedykolwiek Maurył kazał ci ufać Marhanenom? Nie sądzę. Znam radę Mauryła. Posłał cię na Drogę, lecz odpowiedź znajdziesz w Ynefel, Formo. Ja potrafię ci jej udzielić. Wystarczy, że poprosisz.

Głos huknął w pobliżu i przetoczył się dalej, wicher zaszeleścił po ziemi. Dmuchał z mocą w chaszczę, ukazując kamienną płytę, na której coś niegdyś spłonęło.

–Och, wielu z nas, wielu z nas... – rzekł Wiatr. Rzekł... Hasufin. – Spalili zwłoki. Palili też żywych, ci twoi ukochani Marhanenowie. Nie zamierzali pozostawić bodaj osmalonej kostki, ogniwa mogącego zatrzymać nas na ziemi. Ale ja znalazłem takie jedno ogniwo. Pytaj! No, dalej! Poigraj z przeznaczeniem. Wyłóż mi wszystkie swoje pytania! A może mamy poszukać twego Grobu, sihhijaska duszo?

Petelly szarpał za wędzidło, uparcie próbując się odwrócić, powstrzymywany jednak uciskiem kolan. Tristen zobaczył szare światło, a w nim pogrążone w cieniu wieżyce Ynefel; łukiem zbliżała się ku niemu czerń.

–No więc gdzie i kiedy się urodziłem? – zapytał odruchowo, niemniej było to jego pytanie, na które tylko Maurył znał odpowiedź. – Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, przyznaj się lepiej do własnej ignorancji i nie mów mi niczego!

Wiatr smagnął po gałęziach, łamiąc je w porywie. Po niebie przetoczył się okrzyk wściekłości i frustracji.

Potem wszystko umilkło. Zapanowała głucha cisza. Znów głupstwo, pomyślał, powstrzymując Petelly'ego od pomknięcia między ruiny. Uświadomił sobie jeszcze jedną, dyskretną obecność, tak słabą i odległą, że niemal jej nie zauważył. Nie zażegnał niebezpieczeństwa w pojedynkę. Ta obecność wsparła go i przyniosła mu spokój, kiedy jej najbardziej potrzebował.

–Młodzieńcze! – powiedziała, wciąż cichutkim głosem. – Młodzieńcze, strzeż się! Uciekaj...

–Mistrzu Emuinie? – zapytał. Zdawało mu się, że wyczuwa obecność Emuina, lecz była ona zbyt iluzoryczna, aby ją zobaczyć czy dotknąć w tym miejscu. W tym drugim świecie ciemność zamknęła się nad rejonem srebrzystej szarości, gdzie znajdował się Tristen wraz z Petelłym. Była wszędzie prócz niewielkiego jasnego skrawka naprzeciwko, lśniącego i migoczącego jak gasnąca świeca. – Emuin? – zapytał raz jeszcze, nie mając pewności, czy

to rzeczywiście on. Nie śmiał jednak porzucić swego sojusznika w potrzebie, sprawiającego wrażenie słabego i niepewnego.

Wtem z chybotliwego światła wynurzył się pulchny mężczyzna z życzliwą miną, którego Tristen nigdy nie widział na oczy. Coś do niego mówił i nagłym gestem wyciągał ręce, lecz wiatry porwały go z sobą i palce minęły się z celem, zanim jeszcze Tristen zdążył pomyśleć, iż być może zdoła dotknąć nieznanego. Mężczyzna zniknął. Wdzierające się Cienie napływały jak woda, rozbijały się niczym fale o perłowoszarą strukturę świata. Tristen poczuł wtedy... strach. Znikąd nie widział pomocy. Potrząsnął głową, usiłując wyjść z szarego miejsca, gdzie bał się jakiejś sztuczki.

Siedział, dygocząc, na roztrzęzionym rumaku. Petelly stał z podniesionym łbem, grzebiąc kopytem i węsząc.

Przypuszczał, że postąpił właściwie. Powstrzymał ducha. Ów duch nie umiał odpowiedzieć na proste pytanie, kim był i czym był, co jakimś sposobem przeszkodziło mu... Hasufinowi... w jego złych zamiarach. Sądził, że dziecko uniknęło niebezpieczeństwa. Nie widział już trzepotu liści, oznaczającego obecność dziewczynki.

Zauważył ze zdziwieniem, że zna drogę wśród rozległej gmatwaniny zygzaków przeważnie na wpół zagrzebanych kamieni, niegdyś tworzących Althalen. Od czasu do czasu odbierał wrażenie, iż gdzieś w sercu tych ruin kryje się jakaś istota, aczkolwiek nie sądził, by mu zagrażała. Raczej na odwrót: podejrzewał, że powinien odszukać tego starca, kolejną osobę mającą prawo i zdolność podróżowania w szarej przestrzeni.

Petelly'emu nie spodobał się Cień, z jakim się zetknęli, ale nie okazywał trwogi: co jakiś czas skubał oset, stąpając po świeżej trawie obok kamiennych linii – pozostałości po ścianie.

Przejechał niewielki szmat drogi wzdłuż brzegów rzeczki mogącej być tą samą, którą wcześniej przecinał, nawet dopływem Lenuaimu, kto wie?

–Stójże! – ktoś zakrzyknął.

Spojrzał do góry, gdzie na krawędzi murka stał mężczyzna z napiętym łukiem, w każdej chwili gotów wypuścić strzałę. Miał szaro-brązowe ubranie, podobnie jak drugi, który się przed nim wyłonił.

Znów to błędzenie w obłokach, jak wyrażał się Mauryl, kiedy Tristen pograżał się w zadumie.

–Panowie – powiedział grzecznym tonem, tak aby nie poleciały ku niemu strzały. – Dzień dobry. – Żaden z nich nie był tym człowiekiem, którego obecność niedawno wyczuwał.

Przypuszczalnie uważali go za głupca, skoro nieświadomie zawędrował w to miejsce. Albo

też widzieli w nim zagrożenie.

Jeden z nich podszedł bliżej.

–Twój miecz – rzekł.

–Nie mam miecza – odparł. – W ogóle żadnej broni. Jesteś sługą swego mistrza, panie? Sądzę, że przybyłem, by się z nim spotkać.

Mężczyzna na kamieniach popuścił cięciwę i wsparł się na łuku.

–A czymże sługą ty jesteś, co?

–Cefwyna. A wy, panie?

–Należymy do Ulemana – odpowiedział łucznik. – Regenta Elwynoru.

Rozdział dwudziesty szósty

Posępni, przygnębieni ludzie podnieśli się ze swych miejsc obok jedyne go namiotu w obozowisku, gdzie nie płonął żaden ogień, i wytrzeszczyli oczy na Tristena, który wyłaniał się z wieczornego mroku w towarzystwie dwóch łuczników, prowadząc za uzdę Petelley'ego.

Opodal namiotu stał wóz służący do przewozu owego namiotu, natomiast w obrębie zrujnowanych murów, otaczających mały obóz, pasła się pewna liczba koni. Tu i ówdzie ze szczelin między kamieniami wystrzelała pognieciona trawa. Niegdyś w tym miejscu znajdowała się komnata lub sala; obecnie przebywało tu trzydziestu, może nieco więcej, ludzi.

–Cóż tam macie? – zapytał jeden z nich.

–Panie – odparł starszy z łuczników. – Panie, przyjechał bez broni. Powiada, że służy Cefwynowi.

–Ależ schlapany ten emisariusz! I bez towarzysza? Bez pierścienia, bez pieczęci? Prędeż to jakowyś zwiadowca. Gdzie żeście go znaleźli?

Łuczniczy zdali krótką i nieco chaotyczną relację, jak to podszedł pod ich posterunek i nie przeciwstawił się, kiedy poprosili, by się z nimi udał.

Mężczyzna nie wyglądał na przekonanego.

–Cóż ty na to?

–Panie – powiedział Tristen – jestem przyjacielem Cefwyna i z wielką chęcią zawiozę mu

wiadomości. – Nie wspomniał ani słowem, że w kraju Cefwyna to oni są obcymi i że, gdyby nie ich broń, sam zapewne zadawałby im pytania o cele i prawo przebywania na tej ziemi. – Ale przybywam, aby się spotkać z waszym panem.

Mężczyzna milczeniem skwitował słowa Tristena, odwrócił się i skierował kroki w stronę jedyne go namiotu, namiotu rozbitego w nieprawdopodobny sposób: odciągł biegi ku zrujnowanym ścianom, kołki powbijano w ziemię, gdzie uprzednio usunięto kamienne płyty.

Sporo wysiłku kosztowało Elwynimów ustawienie namiotu właśnie tutaj, podczas gdy zaraz za na wpół rozsypaną ścianą rozciągała się miękka, głęboka murawa. Uważał za rzecz dziwną i znaczącą, że z taką determinacją obstawali przy obozowaniu wewnątrz, a nie na zewnątrz.

Linie na ziemi, pomyślał. Ktoś tutaj wiedział.

A skoro regent Elwynoru obozował w Althalen, być może to on zabił ojca Cefwyna, będąc owym lordem, z którym spiskował Heryn Aswydd, co stawiałoby Tristena w znacznie gorszej sytuacji.

Spośród wszystkich kłopotów, w jakie się wpakował, i ze wszystkich błędów, jakie popełnił, pojmanie przez Elwynimów mogło okazać się najgorszym i najdrożej kosztować Cefwyna, chociaż jak dotąd nie narzekał na złe traktowanie. Z ogólnego zachowania Juczniaków wnosił, że są to uczciwi ludzie, wyrażający się dwornie z pewnością nie bandyci strzelający z ukrycia i bez ostrzeżenia.

Poza tym ludzie wodzili tylko za nim oczyma i rozmawiali z sobą, nie podchodząc bliżej ani mu nie grożąc. Miał na sobie płaszcz Cefwyna z widocznym Smokiem Marhanenów: już teraz źródłem plotek. Pamiętał jednak o ukrytej pod płaszczem kamizeli z sihhijskim godłem, chwilowo niewidocznym; nie łudził się nadzieją, iż zdoła ukryć przed nimi, kim jest naprawdę, nie zamierzał nawet próbować, aby nie pogarszać oszustwem swego położenia.

Wreszcie mężczyzna wynurzył się z namiotu i skinął nań, by wszedł do środka, albo też by ktoś go wprowadził – nie miał co do tego pewności. Niemniej jednak wszedł z własnej woli, pilnowany z tyłu przez łuczniaków, do ciepłego wnętrza, oświetlonego lampkami oliwnymi i podzielonego kotarami; jedna z nich była zsunięta.

Spodziewał się potężnego i pełnego werwy możnowładcy, tymczasem dwóch obecnych w namiocie lordów czuwało przy usytuowanym pod tylną ścianką łożu, na którym spoczywał starszy człowiek; dwaj kolejni mężczyźni stali nieopodal – słudzy bądź gwardziści.

A przy leżącym, trzymając go za rękę, klęczała ciemnowłosa kobieta.

–Pani – rzekł lord, ten co wezwał Tristena.

Kobieta rozejrzała się i podniosła wzrok. Zobaczył umalowany alabaster, chmurę czarnych

włosów, wianek z fioletowych kwiatów – i w tymże samym momencie, na łożu, otyłego człowieka o życzliwym obliczu; to on poprzednio, poprzez światło i na wskroś opadającego cienia, wyciągał doń rękę.

Nie był to ranny wódz żołnierzy, a jedynie starzec, który powinien raczej przebywać w bezpiecznym schronieniu niż wystawiać się na pastwę żywiołów, i to po złej stronie rzeki.

A więc nie pobłądził. Odnalazł cel swoich poszukiwań, źródło odpowiedzi – tak naprawdę nie miał pojęcia, czego właściwie szuka, a już najmniej spodziewał się spotkać regenta Elwynoru; w każdym bądź razie odnalazł go i pod wpływem wewnętrznego impulsu podszedł bliżej, w świecie materialnym i zarazem w świecie Cieni.

Stojący za nim mężczyzna pociągnął go bezceremonialnie do tyłu. Klamerka pod szyją pękła, znoszony płaszcz zsunął się na ziemię.

–Marhanen! – warknęła gniewnie młoda kobieta, a potem spojrzała do góry. – Dobrzy bogowie!

Patrzyła na jego czarną, będącą w opłakanym stanie kamizelę, na której srebrną nicią wyhaftowano sihijskie godło.

–Sihe! – zakrzyknął mężczyzna na łożu. – Miałem nadzieję, zaiste miałem nadzieję!

Starzec otwierał szeroko oczy. Wyrazem twarzy nie różnił się od człowieka z szarego światła, człowieka o niewyobrażalnej życzliwości i tak gołębiej, zniewalającej dobroci, że Tristen chciał pochwycić go za rękę i odciągnąć od ciemnej krawędzi, gdzie czaiła się groźba.

Przy tej myśli otoczyła ich nagle szarość, żołnierze ruszyli, aby uniemożliwić mu dotknięcie regenta, jakkolwiek starzec, w obu światach jednocześnie, wyciągał rękę.

We wszystko wmieszała się kobieta: pochwyciła wyciągniętą dłoń i przycisnęła ją mocno do siebie.

–Ojczy, ojczy, czy mnie słyszysz?

–On... – zaczął starzec, gdy szare światło drugiego świata opływało mu ramiona.

Tristen z trudem łapał powietrze, tak ważne wydawało się nieuchronne pytanie, przy czym cienie układały się w świetle we wzory, podobne do zebranych wokół twarzy, zasłuchanych.

–Lordzie z Ynefel. Kim jesteś? Kim ty jesteś?

Dokładnie to samo pytanie zadał mu Hasufin, usiłując przejąć nad nim kontrolę. Było to najistotniejsze z dotyczących go pytań, na które ani on, ani Hasufin nie znali odpowiedzi.

Nie bał się jednak tego człowieka, choć sam nie wiedział czemu, aczkolwiek jego obecność w szarym miejscu przypominała bardziej Emuina niż wroga.

–Mam na imię Tristen, panie. Byłem uczniem Mauryla. Owszem, lord Ynefel to ja, panie, tak mówi Cefwyn.

–Cefwyn – wtrąciła kobieta i mocno, mocno zacisnęła dłoń ojca, usiłując zmusić go do uwagi. – Papo, dość o tym. Każ mu odejść. Za późno na sztuczki Marhanenow. To nikt znaczący. Tylko na niego popatrz! Cały jest ochlapany i ubłocony po nocnej burzy. To zwyczajny człowiek, ojczy, zwyczajny człowiek.

–Lord Ynefel – odparł jak echo regent, jakby nie usłyszał ani jednego słowa sprzeciwu swej córki. – To naprawdę ty? Czyżbyś faktycznie był sukcesorem Mauryla i panem wieży?

–Przypuszczam, że tak, panie. Ale, o ile mi wiadomo, wieżę zajął Hasufin.

–Hasufin. – Starzec z trudem wsparł się na łokciach. – Spójrz na mnie, młody panie. Spójrz na mnie!

–Ojczy! – Młoda kobieta machnęła rękoma. – Tasienie, jemu nie wolno się męczyć. Zabierz stąd tego człowieka!

–Wciąż jestem regentem – rzekł starzec drżącym głosem. – Lordzie Ynefel, ja cię znam, nieprawdaż? Spotkaliśmy się przecież niedawno.

–On śni – oświadczyła córka, lecz Tristen odezwał się ze spokojem, świadom gniewów i żalów, jakie kipiały w tym pomieszczeniu:

–Tak, panie. To prawda. Pomogłeś mi. Pozwolisz teraz pomóc sobie?

–Nie zdołasz odciągnąć mnie znad tej krawędzi – odrzekł cicho regent. – Zbyt niebezpiecznie próbować. Ale miałem co do ciebie nadzieję. Och, bogowie, miałem nadzieję, że istniejesz. Choć nie śmiałem w to wierzyć. Bałem się, by nieprzyjaciel nas wszystkich nie usidlił.

–Mój ojciec jest chory! – orzekła córka z goryczą. – Powinien mieć spokój... Ojczy, proszę, odeślij tego człowieka. To tylko sny. Wszystko to są tylko sny. Zostaliśmy wypatrzeni przez wywiadowców, to jedyny logiczny wniosek. Musimy czym prędzej zwinąć obóz.

–Nie, to nie sny. To nie sny, córko. Nie bardziej, niż snami były pobudki, które nas tu przy wiodły. Grobowiec Hasufina. Miejsce pochówku Hasufina. Abyś mógł z nim stoczyć bitwę, nie mogę się stąd ruszyć. Nigdy nie mogę się stąd ruszyć!

–Hasufin nie żyje! – krzyknęła córka. – Nie żyje, ojczy. Dokładnie w tej komnacie Mauryl o to zadbał. Ty śniesz, to wyłącznie sny. Jak Marhanen śmie posyłać nam tego przebierańca?!

Nie wyjdę za niego, ojczy! Nigdy za niego nie wyjdę!

Uniosła się biała, drżąca dłoń regenta, by odgarnąć włosy opadające na twarz kobiety.

–Córko, tylko zobacz, zobacz, ja nie oszalałem. Czyż to nie Gwiazda i Wieża?

–Owinięta Smokiem Marhanenów. Ten człowiek jest pospolitym Amefińczykiem... Nawet czarni Gueleńczycy, z tego, co wiemy...

–Nie. Pogłoski... wszystkie pogłoski są prawdziwe. Oto dowód. Dobrze mu się przypatr. – Regent z powrotem opadł na poduszki. – Uczeń Mauryla. Ale nie tylko spadkobierca Mauryla. Jesteś... Mauryla, mam rację?

–Tak powiadają, panie. Mistrz Emuin powiedział...

–Zdrajca Emuin – wtrącił Tasien.

–Niech mówi! – rzekł regent. – No dalej, mój lordzie Sihe. Gdzieżeś mieszkał? Gdzieżeś się skrywał przed nami?

–U Mauryla. Potem zjawił się Hasufin i zburzył galerie. Zamienił Mauryla w kamień, panie.

–On wie! – wykrzyknął regent. Ciężko mu się oddychało. Oczy wędrowały od jednej twarzy do drugiej. – Widzicie, że wie? On tam był, niedawno, w moim śnie, nieprawdaż, lordzie Ynefel? Przepędziłeś Hasufina!

–Sądzę, że było zupełnie inaczej, panie. Uciekł, kiedy ty się pojawiłeś.

–Ależ on uciekł przed tobą, młody królu! Ośmieliłem się zapaść dalej, aby cię odszukać. Na bogów, odnalazłem cię wreszcie, miłościwy panie. Odnalazłem!

–Wyprowadźcie go! – krzyknęła córka. Ujęto go za ramiona z zamiarem wypędzenia z namiotu, lecz starzec zawołał:

–Nie! – Wszyscy obecni zamarli. – Jestem Uleman Syrillas – podjął starzec. – Póki nie skonam, jestem regentem. Jakże długo czekałem... Czekałem całe życie na mojego króla. Czyżbyś nie był owym królem, lordzie Sihe?

–Mauryl nigdy nie mówił, że jestem królem. Mauryl powiedział, że nie jestem taki, jakim chciałby mnie widzieć. – Ujrzał zbierające się wokół starca ciemności, lecz usiłował patrzeć tylko na szare światło. Zmagał się z samym sobą, aby nie stracić go z oczu. – Kiedy przyszedł Hasufin, Mauryl wiedział, że nie będę mu w stanie pomóc. Poleciał mi opuścić Ynefel i wyruszyć Drogą. A Droga zaprowadziła mnie do Cefwyna. Chociaż myślę, że zaprowadziła mnie także tutaj.

–Mauryl go wezwał – oznajmił starzec ledwo słyszalnym szeptem. – Ninevrise, córko, czy

mnie słyszysz? Mauryl go wezwał, on ma z sobą sihijski dar. Jakże wyraźnie widzę go w świetle! Widzę go. Cały błyszczący... Popatrz, popatrz na niego! Jakże on błyszczący!

–Ojciec. Ojciec? Tasienie, proszę, błagam, zabierz go stąd! Przez niego ojciec czuje się gorzej! Ojciec śni. Nie wie...

Tristen pragnął ująć dłoń starca. Pomyślał, że może go przytrzymać. Starca doszczętnie zasnuły cienie. Wyciągnął rękę, lecz strażę odciągnęły go siłą.

–Odchodzi – rzekł jeden, zaglądając w oblicze regenta. Przy uchu Tristena odezwał się łuczniczek grobowym głosem:

–Lepiej już chodź, lordzie Sihe czy kimkolwiek jesteś, panie. Wyjdź stąd po cichu. Będziesz miał gdzie usiąść, dostaniesz coś do picia, co zechcesz.

Bali się go, jak też dolegliwości swego władcy. Nie mieli wyboru, musieli zastosować się do polecenia lady.

Lady Ninevrise. Panny przyrzeczonej Cefwynowi.

–Nadałeś jej Amefel?

Idrysa niezwykle rzadko udawało się zbić z pantafelku. Cefwyn potrząsnął głową i zaczął schodzić do dolnej sali. Idrys następował mu na pięty, blisko też podążali pozostali gwardziści.

–Nie widzę innego rozwiązania. Niżsi rangą lordowie to istny gąszcz niezrozumiałych amefińskich koligacji, więzów krwi, roszczeń spadkowych, zawiści i waśni, jeden dystrykt przeciwko drugiemu. Od zjednoczonego Amefel gorszy jest taki, który się rozpada w wewnętrznej rozgrywce przy tych wszystkich kłopotach na pograniczu. Lady, rzecz jasna, świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

–A gdyby tak dołączyć Amefel do włości Ynefel? – mruknął Idrys, kiedy tak schodzili na bankiet.

–I to brałem pod uwagę. Tristen ugania się jednak gdzieś za księżycem, a Orien tak ślicznie prosiła.

–Mam nadzieję, że to wszystko żarty, miłościwy panie.

–Co? Że grzecznie prosiła? Bazyliszek na widok tej kobiety schowałby się pod ziemię. Ale mam ją w garści. Kiedy wyjdzie za mąż, jej tytuły w Ylesuinie przejdą na małżonka, bez względu na zapatrywania Amefińczyków. Niech no raz zajdzie mi za skórę, a przysięgam, dostanie takiego męża, który poderżnie jej gardło, gdy tylko zechce bruździć mi czy jemu. Choćby Sovraga. To dopiero byłaby para.

–Skorzystaj z mojej rady i wycofaj się z tego.

–Szukam jakiegokolwiek wymówki, przyznaję.

Zeszli do dolnego korytarza, a później wkroczyli tylnym wejściem do Alabastrowej Sali, gdzie zbierali się i snuli lordowie. Herold poprosił o ciszę, lordowie pochylili głowy i rozstąpili się przed nim, jakby ich burza rozpędziła, gwałtowniej niż zwykle do tej pory – sprawiła to jego posępna mina, pomyślał Cefwyn i, patrząc na lordów, spróbował wypogodzić oblicze. Zasiadł przy stole, wdychając zapachy jadła i piwa, które lada chwila miały zostać podane. Nadal nie dopisywał mu apetyt, nie tylko z powodu Aswyddów: znowu puchła mu noga. Patrzył z ukosa na jedzenie, gdy paziowie i kuchciki wnosili dwa spośród czterech dań mięsnych, pszenne chały, ciemne piwo, południowe wina i mocne, ale. Prócz tego miało być sześć gatunków sera, pochodzącego głównie z południowych prowincji, kapusta i kielbaski, pikle z jabłek i jajek, bób i rzepa z masłem, zielone zioła, groszek. Nie przepadał za wyszukanymi przysmakami wschodu i północy. Okazywał wieśniacze upodobania do rzepy i kapusty, które wpajał na dworze – mógł teraz posłużyć się królewskim dekretem. Amefińscy lordowie wyczekiwali na ptactwo nadziewane rodzynekami i morelami, które Cefwyn zamówił wcześniej, aby dogodzić ich gustom – w tym gustowi Umanona, skłaniającego się ku podobnym luksusom; Cevulirn upodobał sobie szczególnie piklowane jabłka i figi z Wysp Południowych; Pelumerowi posmakowały słynne ptasie paszteciki, a Sovragowi – szynki i kielbasy: kucharz poznał zawczasu ich słabostki i miał rozkazy wszystkie je zaspokoić.

W tym czasie Efanor i jego quinaltyński kapłan posilali się llymaryńskim wołowym mięsem i lokalnie pogardzaną baraniną; diuk Sulrigan z Llymarynu – przybyły tegoż popołudnia ze wspomnianym kapłanem, dwoma kuzynami, szóstką zbrojnych, dwudziestoma dziewięcioma wychowanymi w stajni końmi, co to ich Cefwyn nie miał gdzie pomieścić, i bezużyteczną garstką czeladzi i stajennych, którzy zdążyli się już pokłócić z podwładnymi mistrza Hamana – będąc zdania, że nadmiar czerwonego mięsa przyprawia o dolegliwości żołądkowe, przywiózł własny prowiant, własnego kucharza i własne rondle. Bez wątplenia diuk Sulrigan ze zdziwieniem przyjął fakt, iż Efanor nie rządzi prowincją, a brat Efanora nie popadł w niełaskę, co więcej, jest królem.

Kapłan i książę Efanor zamknęli się w quinaltyńskiej kaplicy na trzy godziny modlitw i bogowie wiedzą jak wielkich wybuchów żalu. Sulrigan przyłączył się do nich i doszło do wymiany ostrych słów między kapłanem a miejscowym prałatem w błahej sprawie zakupu

oliwy w niepoświęconych słoikach.

Na dziedzińcu, pod brezentowym zadaszeniem, kucharz Sulriggana przygotowywał dlań i dla jego llymaryńskiej świty specjalne potrawy: wcale nie dziwiły te dobrowolne przenosiny, wzięwszy pod uwagę gniew wzgardzonego amefińskiego szefa kuchni. Cefwyn był przekonany, że za wykrętami Sulriggana, jego opowieściami o delikatnym żołądku, kryje się strach przed trucizną; któż by jednak mordował wszystkich południowych lordów naraz?

Nad wszelkimi drobiazgami czuwał Annas, jego obrońca w kuchni, o znacznie lepszych od Sulriggana manierach. Diuk Llymarynu miał go prawdopodobnie w podejrzeniu. Gdyby urażeni Amefińczycy podjęli się otrucia Sulriggana, jego hardego kucharza i wyniosłych służących, król chętnie mógłby przymknąć na to oko, oczywiście ostrzeżony uprzednio, o który talerz chodzi.

Ptasie paszteciki, pieczywo i sery znalazły natychmiastowe uznanie. Podobnie ciemne piwo, ale i dwa gatunki wina.

Przybyła następna osoba. Król wsparł brodę na pięści i popatrzył tym swoim zjadliwym spojrzeniem.

Spóźniona, niemniej wzbudzając odpowiedni efekt, weszła Jej rudowłosa Miłość, lady Orien; nie została co prawda uwzględniona przy ustalaniu jadłospisu, chociaż, z drugiej strony, jej gusta nie należały do wybrednych. Gdy się pojawiła, już po pierwszym daniu, wśród rozochoconych piwem i pogrążonych w męskich rozmowach baronów nastąpiło najpierw poruszenie, potem głucho milczenie. Na koniec wzniósł się na sali jednostajny pomruk, komentarze, rozważania, nawet pośród obecnych amefińskich lordów i czeladzi pod ścianami.

Okrywał ją aksamit w ciemnozielonym, tradycyjnym w Amefel kolorze, na prawym ramieniu zawiązano nieco czarnych, żałobnych wstawek, jak u mężczyzny. Co więcej, Orien przycięła rude włosy na wysokości ramion, również na podobieństwo mężczyzny. Ten poniekąd rabunek wstrząsnął nim bardziej niż wszystko, czego się kiedykolwiek dopuściła.

Sama żałoba – w jakiej zgodnie z ustanowioną przez Selwyna Marhanena tradycją nie chodził żaden Marhanen – stanowiła ciężką, acz niemą obelgę, noszona w tej sali, w tym czasie, w dodatku po Herynie.

Zbliżyła się do jednego z dwóch pustych miejsc, na którym dawniej zasiadał Heryn, na lewo od Efanora: miejsce to przynależało prowincji będącej gospodarzem – w sali obrad, w sali audiencyjnej, czy też w sali biesiadnej. Orien powinna iść ze spuszczonego wzrokiem, ale zamiast tego omiatała uważnym spojrzeniem twarze wszystkich lordów po kolei, jakby szacowała ich wartość. Rozciągnęła spódnicę i usiadła.

–Jej Miłość Orien Aswydd złoży przysięgę na wierność w zastępstwie swego brata – oznajmił Cefwyn niskim głosem. – Jest pod moją kuratelą; siostra jej i kuzyni, ściągawszy

na siebie mój srogi gniew, wkrótce opuszczą dwór. Amefel znajduje się pod protektoratem Korony, póki przy Jej Miłości nie stanie mężczyzna. A może – dodał, patrząc spode łba na jej ścięte włosy – sama zamierza chwycić za oręż w swej obronie?

–Będę rządzić – rzekła uderzająco spokojnym głosem – dopóki i ja nie spotkam się z gniewem Marhanena.

–Nie brakuje ci wiele – mruknął, co dosłyszano bez wątpienia na pobliskich miejscach, na co też skrycie liczył. – Wasze zdrowie, moi lordowie! Nie dyskutujcie teraz o polityce. Lady Orien uda się po wieczery na spoczynek, z mojego rozkazu, a wówczas będziemy mogli omówić nasze sprawy.

Wnet dało się zauważyć niedostatek tematów do rozmowy, która dotyczyła wprzódy porównania zalet guelańskich i amefińskich win, potem obracała się wokół hodowli koni, przy czym przeciwstawiano wierzchowce Cevulirna wierzchowcom Sulriggana, aż wreszcie zahaczyła o łowiectwo; w końcowej fazie dyskusji, kiedy towarzystwo było już wprawione w dobry humor, zaczęto omawiać zwierzynę w poszczególnych dystryktach.

Natenczas rozległ się głos Orien, spokojny i dźwięczny:

–Ciekawi mnie, jak ma się myślistwo w Lanfarnesse, skoro jego granica biegnie wzdłuż Marny, lordzie Pelumerze. Nie zauważyłeś, czy wychodzą stamtąd jakieś dziwne rzeczy? A gdzie dziś wieczór podziewa się lord Ynefel? Chciałabym go zobaczyć.

Cefwyn zadzwonił nożem o filiżankę, nie chcąc urządzać publicznie scen, jakie zapewne ucieszyłyby Orien.

–Musimy rozpatrzyć pilne sprawy. Uprzątnąć stoły. Lady Orien, strażę odprowadzą cię do komnat. Twoje interesy będą tu reprezentowane za ciebie.

Nie ruszała się z miejsca.

–Jestem na tyle kompetentna, by osobiście je reprezentować, miłościwy panie.

–W takim razie chcę ci wyraźnie przypomnieć, że nie zdjąłem z ciebie jeszcze aresztu, a usunięta jesteś z tej narady nie przez wzgląd na brak kompetencji, tylko wobec swej dwuznacznej reputacji. Czy moi gwardziści muszą brać cię siłą? Zrobią to.

–Wasza Królewska Mość. – Wstała, odsunęła krzesło, złożyła głęboki dyg i odeszła dumnym krokiem; gwardziści dogonili ją i odprowadzili w długim marszu ku najdalszym drzwiom.

Idrys zamknął drzwi i powrócił, by znów stanąć za ramieniem Cefwyna.

–Moi lordowie – rzekł Cefwyn. – Okazujecie cierpliwość, znosząc niedole rozłąki z waszymi

ziemiami. Wasza łaska i oddanie nie ulegną zapomnieniu w czasie moich rządów. Zamierzam jednak prosić was o coś więcej... Abyście pozostali, aż baronowie z północy nadciągną, by złożyć przysięgę. A to oznacza, że nie wrócicie na zbiory. Wiem, rzecz to uciążliwa. Niemniej ze względu na stabilność królestwa i w obliczu groźby najazdu proszę, byście pozostali.

–Miłościwy panie – mruknął Umanon – nasz własny interes nakazuje nam pozostanie, skoro tak sprawa wygląda.

–Zatem Wasza Królewska Mość nie wraca do stolicy? – zapytał Sulrigger.

–Widzę, że cię nie poinformowano.

Nie takiej odpowiedzi Sulrigger oczekiwał. Zbity z kontenansu, nie mógł wystosować żadnego argumentu.

–Nie, Wasza Królewska Mość.

–Mojego ojca zamordowano. Zamordowano, mój panie. Jeszcze nie zamknąłem śledztwa. Na bogów, nie wyjadę do stolicy, skoro tutaj znajdują się dowody.

–Błagam Waszą Królewską Mość o wybaczenie – odparł Sulrigger roztropnie, nie wysuwając argumentów, które wcześniej sobie obmyślił.

–Ale o co chodzi z tą Aswyddówną? – rzucił Sovrag. – Chce zostać paziem? – Sovrag powiedział dowcip. Dał sółkę w bok swemu kompanowi z Olmernu. – Chętnie wziąłbym ją sobie. Razem z siostrzyczką.

–Coraz mniej wiem o postępkach lady Aswydd, prócz tego, że nadmiernie ryzykuje. Moja cierpliwość też ma swoje granice. – Zerkał nieustannie na pomniejszych amefińskich lordów przy dolnym stole; głowa ich pana, zdjęta niedawno znad południowej bramy, dołączyła do reszty ciała w bryaltyńskiej kaplicy, wespół z pozostałościami po dwóch earlach i ich krewnych.

Trzech pozostałych earłów prowadziło zażartą dyskusję na temat panowania Aswyddów, które sięgało wstecz aż do aethelingów i sihijskiej monarchii: słyszał podniesione głosy wzburzonych lordów; Annas, czuwający nad dworską etykietą, w trzech ostatnio otrzymanych zapewnieniach o lojalności wobec Korony zwracał uwagę na nowe roszczenia. W każdym przypadku dołączono petycję do króla Marhanena o przywrócenie im tytułów, jakie Aswyddowie niesprawiedliwym dekretem uznali za nieprawne, a które, jak przestrzegał Annas, mogły stanowić podstawę do ubiegania się o tytuł diuka Amefel. Gdyby Cefwyn przyznał komukolwiek rację, ludzie byliby skłonni uwierzyć, że wchodzi w rachubę takie posunięcie. A na domiar wszystkiego te odwiedziny w sali, bohaterski pokaz ze strony Orien prowokacja pozwalająca mniemać niedawnym wasalom brata, że każdy z nich może udowodnić słuszność swych roszczeń i zająć miejsce Heryna, jeśli tylko okaże się lepszym

człowiekiem niż Orien – w co Orien najwidoczniej powątpiewała.

Była aethelingiem, co oznaczało, że w jej żyłach płynie królewska krew niegdysiejszych Amefińczyków. Earlowie wystosowywali starożytne roszczenia, wszakże to poprzez nią miała przepłynąć prawomocność – na tego z amefirskich earłów, który ją poślubi i spłodzi z nią potomków. Tymczasem król Ylesuinu na czele wszystkich swoich jeźdźców nie śmiał zrobić afrontu drażliwej marchii, poniżając amefińską szlachtę. Innymi słowy, nie śmiał dać upustu frustracjom. Pragnął wprawdzie odstąpić Orien Sovragowi, tak jak ten sugerował (a była to niebezpieczna sugestia, która, dzięki bogom, nie dotarła do dolnych stołów), lecz miał związane ręce. To, co obecnie było wrzącym kotłem intrygi, momentalnie mogło zacząć kipieć.

–A zatem – podjął – zważywszy na sprawy, z jakimi mamy tu do czynienia, jak też na bezpieczeństwo ludzi i zwierząt hodowlanych w przygranicznym pasie, nie wrócę do stolicy, dopóki nie będę mógł przywieźć ciała ojca ze spokojnym sumieniem. W razie pilnej potrzeby do stolicy powróci książę Efanor, niemniej chwilowo i póki sprawy się nie ułożą, niezbędny mi jest tu, na granicy, jako moja prawa ręka. Nie namawiam, by cały dwór się tu zebrał. We właściwym czasie wrócę do stolicy, mam nadzieję, że jeszcze przed zimą. Co się tyczy was, którzy pozostajecie do obrony granic, zdaję sobie sprawę, iż obowiązki wzywają was gdzie indziej o tej porze roku, lecz jeśli tylko Korona okaże się w stanie w czymś wam dopomóc, rad będę rozpatrzyć wasze poszczególne prośby. – Pstryknął palcami, a wtedy Idrys podsunął przyniesione uprzednio mapy. Kiedy zostały rozłożone na pustej przestrzeni górnego stołu, lordowie podnieśli się, szurając krzesłami i otaczając kołem króla.

Wtem wszczął się jakiś zamęt, wzburzone głosy rozległy się tuż za drzwiami sali. Przy stołach zaległa cisza, na twarzach malował się przestach, dłonie sięgały ku kuchennym nożom.

W głosach przebijał olmerneński akcent.

–Mosty! – ktoś krzyczał poza drzwiami. – Wracamy ze zwiadu, oni kładą mosty. Widzieli my je w górze i w dole tej przeklętej rzeki!

W szarym świetle zaroilo się od Cieni, macki i nici ciemności przeplatały widnokrąg, podchodząc do starca, chociaż Tristen usiłował je odpędzić. Siedział we wskazanym przez gwardzistów miejscu, na niskim, okalającym obóz murku. Tam, gdzie murek się kończył, wierzchowce jadły siano (wśród nich Petelly), natomiast bliżej namiotu, rozłożonego niby pająk w pajęczynie sznurów pośrodku tego dziwnego i ponurego obozowiska, ludzie siedzieli na ułożonych na starej posadzce kamieniach. Siedzieli z obwisłymi ramionami, pochylonymi ku sobie głowami, rozmawiając niedosłyszalnym szeptem.

Miał świadomość, że zachodzi słońce, a na świecie zapada prawdziwa noc. Zbliżała się co prawda niebezpieczna pora, kiedy Cienie nabierały siły, lecz Tristen postanowił do samego świtu powstrzymać ich napór. Odkrył w sobie moc odpędzania pewnych Cieni,

jakkolwiek nie znał żadnych stosownych Słów, mogąc liczyć wyłącznie na swoją obecność i odmowę dopuszczenia ich do starca. Ledwie jeden z nich podpełzał w pobliże, on stawiał mu czoło w szarym miejscu, straszył go po prostu swą obecnością – i Ciebie się wycofywał.

Czymkolwiek jednak były, nadciągały gromadnie, choć jak długo był czujny oraz wystarczająco szybki, potrafił odstraszyć każdego z osobna, aby nie połączyły się w jeden wielki, zwinny Ciebie, który mógłby zagrozić staremu człowiekowi.

Pomimo to z wolna przegrywał. Dobrze o tym wiedział. Podobnie jak starzec.

Pojawiały się coraz to nowe macki. Byłoby łatwiej, gdyby mógł być przy nim, trzymać jego dłoń, utworzyć wraz z nim jedną linię obrony. Czuł ogarniające go zmęczenie. Z wysiłku pot wystąpił mu na czoło, choć przecież chłód panował w materialnym świecie. Miał jednak nadzieję, że jeśli dotrwa do świtu, jeśli stan starca ulegnie poprawie...

Wówczas ktoś, bardzo blisko, zapytał:

–Ej że! Co on tam robi?

–Siedzi tak już od dłuższego czasu – stwierdził inny. Odgłos dobywanego miecza podrażnił zmysły Tristena i przywołał gorzkie wspomnienia. Dotknięty żelazem, poczuł jakby parzący ogień, lecz kiedy zamrugał i ujrzał broń, okazało się, że miecz nie wyrządził mu krzywdy. Człowiek położył jedynie klingę obok jego dłoni.

–Panie, panie, uważaj! Regent powiedział, że to może być naprawdę Sihhijczyk. Może nawet król. Mamy go tylko pilnować.

–Tak mówi regent. A co na to Tasien?

–Powiadają przy ognisku, że to Lanfarneńczyk, choć zdaniem regenta to nie kto inny Jeno Sihhijczyk, panie. Kazał nam mieć na niego baczenie, lepiej więc nie czynmy mu tu wstrętów, panie, proszę.

–Toż to jakowyś cholerny quinaltyn, co rzuca klątwy na naszego regenta – wtrącił drugi. – I nikt inny. Sihhijczyk odziany w płaszcz ze Smokiem! Mocno podejrzane, twierdzą.

Postrzegał ich jako cienie w ciemnościach, pogrążone w dyskusji na temat jego pochodzenia i celów, co powinno go zaciekawiać, lecz w szarym świetle, z którego go niedawno wyrwali. Cienie mnożyły się z taką prędkością, iż nie śmiał rozpraszać swej uwagi: powrócił do szarości. Starzec szybko tracił grunt. Cienie łączyły się w motki i sznury: nabierały śmiałości, aż wreszcie stawiał-im czoło. Wtedy czym prędzej się rozplatały.

Ponownie przybierały kształt nici, próbując nowych sztuczek, aby go podejść.

Teraz jednak regent przeszedł do kontrataku. Starzec znał Słowo i wymówił je, aczkolwiek

Tristen niczego nie usłyszał, podobnie jak nie słyszał Maurylowych Słów, gdy otaczała ich magia.

Starzec był czarodziejem, Tristen nabrał co do tego pewności, chociaż nikt poza nim chyba tego nie dostrzegał. Polubił starego człowieka, darząc go owym bezpodstawnym i ufnym uczuciem, jakim wcześniej obdarzył Mauryła i Emuina. Kiedy starzec, znacznie już wyczerpany, skinął nań, by się zbliżył, Tristen z całego serca pragnął go posłuchać – miał jednak wrażenie, że mimo wytchnienia, które starzec zyskał dla nich obu, powinien raczej zostać i odganiać dalsze Cienie.

–Zbliż się – rzekł człowiek. – Zbliż się, miłościwy panie. Zapomnij o nich. Niewielką stanowią dla mnie groźbę. Niechże na ciebie popatrzę. Niechże cię dotknę.

–Panie – odparł – mogę zwyciężyć. Pozwól mi najpierw spróbować.

–Nie. – Starzec wyraźnie osłabł; pochwycił jego dłoń w uścisku, z którego Tristen mógłby łatwo się wyrwać. Nie powstrzymała go jednak siła uchwytu, ale wyraz twarzy; ta sama łagodna, życzliwa mina oczarowała go przy pierwszym spotkaniu.

–Ty jesteś tym jedynym. Tym, którego obiecał Maurył. Wątpiłem. Wybacz mi moje zwątpienie.

–Panie, nie jestem taki mądry, jak tego chciał Maurył, ani też taki silny. Ale się uczę. Uczę się nieustannie, panie.

Starzec zaśmiał się poprzez łyzy, uściśnął jego dłoń, potem zaśmiał się ponownie.

–Założę się, że to prawda. A Hasufin drży jak osika. Założę się, że tak jest. Uczysz się! Nie spodziewałem się odważnego młodzieńca. Spodziewałem się kogoś przebiegłego, skrytego i ostrożnego. Nawet okrutnego. Ale oto jesteś, oto jesteś, mój drogi chłopcze! Jesteś teraz pogodny i dzielny, a bez względu na to, kim się staniesz, jesteś moim królem, jesteś tym, na kogo czekaliśmy... Jesteś wypełnieniem obietnicy Mauryła.

–Ale co mam robić, panie? Maurył nigdy mi nie powiedział, co mam dla niego zrobić. Możesz mnie nauczyć?

–Uczyć ciebie, mój królu? Na bogów, od czego zacząć? Po pierwsze, po pierwsze i najważniejsze, masz strzec się forteli Hasufina. On chce wykorzystać twoje nadzieje, wykorzystać lęki. Pragnie wymieniać się z tobą snami. Posłuchaj uważnie: i mnie odwiedził kiedyś w snach, och, wiele, wiele lat temu. Obiecał mi wizję i zanim zdążyłem się wycofać, ujrzałem Ynefel, a w nim Mauryła.

–Poznałeś Mauryła, panie?

–Nigdy osobiście. I nigdy przed tamtą chwilą. Ale owszem, poznałem go, jak człowiek

poznaje rzeczy we śnie. Zobaczyłem Mauryła, starego i samotnego, strudzonego i bezradnego. Ten obraz nękał mnie jeszcze wiele dni. Bałem się wycofać, przez co wkrótce nie mogłem się już powstrzymać od słuchania, jak Hasufin rozwiewa moje nadzieje, przestrzega przed moimi własnymi lordami i odsłania prawdę, zauważ, prawdę o ich intrygach, które, jak mi się teraz wydaje, sam uknuł. Zacząłem wątpić w życzliwość moich poddanych, a wątpliwości te i ich poniekąd zmieniły. Zadawałem sobie pytania, czy tli się jeszcze iskra nadziei na przybycie króla i czy może sam nie powinienem założyć korony, by ubiec tych, co spiskują przeciwko rządowi regencyjnym. Przez swoją nieufność i środki ostrożności zraziłem do siebie ludzi, którzy powinni stać u mego boku. W taki oto sposób Hasufin wdarł się w moje życie. W taki sposób rozproszył stronników, którzy mnie popierali. Narosło we mnie poczucie winy. Nie wolno ci wątpić w przyjaciół, młody królu. Nigdy nie wyruszaj z nim w senne wędrówki. Nie waż się tego robić. A wiem, że cię zaprosi.

–Rozumiem, panie. Naprawdę, rozumiem. Ale ty oparłeś się Hasufinowi. Walczyłeś z nim.

–O, tak. Nadszedł w końcu czas, że zszedłem z jego ścieżki usłanej wątpliwościami i pytaniami. Powiedziałem sobie: Nie, nie potrzeba ci więcej wizji: twoi leśnicy pójdą do Ynefel i na własne oczy sprawdzą, jaka jest prawda. Jednakowoż moi leśnicy zaginęli w Marnie i nigdy nie wrócili. Ostatecznie towarzystwa dotrzymywały mi jeno domniemania; zacząłem targować się z Hasufinem. Zaproponowałem, by wziął rok z mojego życia, a w zamian pozwolił mi jeszcze raz ujrzeć Ynefel i zadać Mauryłowi dwa pytania. Pokazał mi wieżę – Dufałem w swoją chytrość. We śnie zapytałem Mauryła: „Dostojny czarodzieju, kiedy dotrzymasz danej obietnicy?” Maurył wpadł w gniew, gdyż od razu poznał, w jaki sposób i z czyją pomocą składam mu wizytę. Powiedział mi, że cena jest nader wygórowana. Tak czy inaczej, zadałem swoje pytanie. Zapytałem, kiedy dotrzyma obietnicy i jakim sposobem mogę odzyskać wiarę. Odparł tylko tyle: „Dotrzymam jej, kiedy zechcę i kiedy będę musiał, nie wcześniej. A co się tyczy twojej wiary, nic mnie ona nie obchodzi”. Wówczas sen się skończył. Wszystkie sny się skończyły. Wnet straciłem pewność nawet co do samej odpowiedzi, rozumiesz, ponieważ to za sprawą magii Hasufina tam trafiłem, a jego głos nadal mnie prześladował. Straciłem wszelką pewność, oto co mi uczynił. Maurył miał rację, sam powinienem zatroszczyć się o wiarę. A wiara podpowiadała mi, że nie zjawisz się za mojego życia, jak nie zjawiałeś się za Życia mego ojca. Wiara mówiła, iż umrę bez męskiego potomka, i tak się też stanie; Hasufin przepowiedział mi, że po mojej śmierci w Elwynorze rozpęta się wojna domowa – w to również uwierzyłem. Dwóch moich lordów wystawiło armie, a trzeci tylko czeka okazji. Wszyscy zaś domagają się ręki mojej córki, aby przejąć tron. W rozpaczy posłałem nawet do Marhanena, w nadziei na zapewnienie bezpieczeństwa córce i ocalenie państwa przez zbrojnym najazdem Marhanenów. Żywiłem nadzieję... nadzieję, że przybędzie tutaj... Głos regenta ucichł.

–Panie? – zawołał Tristen; wzmocnił uchwyt na starczej dłoni, która zdała mu się jak nitka babiego lata, niemal niewyczuwalna. – Lordzie regencie, czego chcesz? Co mam dla ciebie zrobić?

–Nie mogę stać się pomostem Hasufina, po którym dotrze do następnych miejsc. Zrozum,

zbyt długo go słuchałem i zachodzi obawa, że... że mnie kiedyś z niewoli. Z tejże przyczyny tu przybyłem. Muszę zostać pogrzebany tutaj, w Althalen, gdzie spoczywa Hasufin. Przybyłem, aby tu z nim walczyć, na świętej dla niego ziemi. Spraw, by zrozumieli. Spraw, by moja córka zrozumiała...

–Panie! – Dłoń regenta wysunęła się z uścisku Tristena. Młodzieniec sięgnął ponownie, a wtedy starzec znów uchwycił jego rękę, jakże jednak słabo.

Nagle wydało mu się, że widzi Althalen takim, jakim był za dni chwały, i że lała przemykają wokół niego, choć może to oni pędzili przez lata.

–Słuchaj, co ci powiem – rzekł starzec, zmuszając Tristena do uwagi. – Posłuchaj. Za czasów mojego ojca, za panowania ojca Ostatniego Króla, umarło dziecko. A potem ożyło, gdy chciano je pochować. Znasz może tę historię?

–Nie, lordzie regencie. – Cień zawisł nad nimi, w którym to Cieniu starzec zdawał się przyćmiony, otulony szarością, mimo że jego dłonie błyszcząły jasnym światłem.

–Hasufin nie umiał zrobić z sobą tego, co Mauryl z tobą zrobił. Pozostało mu tylko wykraść bezbronne, zmarłe dziecko, a potem dorastać, jak dorastają dzieci. Jednakże ty... ty jesteś wspaniałym arcydziełem, wykradzonym sprzed nosa samej Śmierci, ciałem i krwią, które dawno obróciły się w proch. Och, święci bogowie, miejcie nas w swojej opiece! Toż ja ciebie znam! Ty nie jesteś wcale Żadnym zagubionym, zmarłym księciem. O, nie! Domyślam się już, kogo przyzwał Mauryl!

–Jak brzmi moje imię, panie? Kim byłem? Powiedz! Nie odchodź!

Starzec wyrwał rękę, Cienie pierzchły, skotłowane. Blask bił od regenta; uniósł wysoko dłoń i wymówił Nazwę, której Tristen nie dosłyszał, Nazwę rozbrzmiewającą gmatwaniną ech i dźwięków, wśród których czuł się zagubiony. Przez krótką chwilę bał się, że starzec oszukał go odnośnie swej siły: był przerażający, oślepiająco jasny.

–Przede wszystkim – powiedział regent-kieruj się sprawiedliwością, Wasza Królewska Mość! Kochaj, jak możesz, wybaczaj, kiedy możesz, lecz sprawiedliwość i bystrość umysłu są największymi przymiotami królów! Nigdy o tym nie zapominaj!

Cienie zaczęły krążyć niczym ptaki, lądując wokół coraz gęstszymi stadami – cóż za niepoprawne zachowanie, miał ochotę upomnieć je jak gołębnie na poddaszu. Miał ochotę ścigać je jak gołębnie, wezwać Sowę i uratować starca...

–Hej, ty! – ktoś powiedział, potrząsając nim za ramię. – Hejże, ty! Czary czy co? Powstrzymajcie go! Niech ktoś go powstrzyma, na miłość boską!

Podniósł wzrok, przestraszony; kłębowisko Cieni ustąpiło miejsca nocnym ciemnościom i dobiegającym zewsząd gniewnym pomrukom.

–Strzeżcie starca! – zawołał do wszystkich, którzy mogli go usłyszeć. – Grozi mu niebezpieczeństwo! Pomóżcie mu!

Nie wiedział, czy cokolwiek z tego zrozumieli. Słyszał głosy, z których wnioskował, iż wyrządził jakąś krzywdę regentowi. Niektórzy obstawali, by go zabić.

Linie na ziemi, powiedział Mauryl. Duchy muszą je uszanować.

Okna, jak utrzymywał Mauryl, okna i drzwi miały szczególne znaczenie. Mauryl mówił o znanych murarzom sekretach. A to właśnie murarze zbudowali te ruiny. Kiedy rozejrzał się za innymi liniami, ukazały mu się, błyszczące w szarej przestrzeni, dosyć wyraźne, lśniąco jaśniej i jaśniej, w miarę jak ich szukał. Gdy zaczął śledzić wzrokiem utworzoną przez nie misterną sieć, zauważył, że jedna z nich przebiega tuż pod nim. W liniach tych kryła się znacznie większa moc niżli w kręgu uczynionym w pośpiechu przez niewprawnych Ludzi. W liniach murarzy, będących zarazem ścieżkami mogącymi zaprowadzić go do rozmieszczonych przez nich okien i drzwi.

Chociaż gorliwie przeszukiwał ów labirynt, nie natrafił na ślad starca. Gromady Cieni przemykały w beładzie, a on nie widział niczego prócz linii, żadnego towarzystwa w pobliżu.

Nie zapytał starca, kim są Cienie, co teraz wydawało mu się poważnym zaniedbaniem. Jeszcze raz zawołał:

–Lordzie regencie! Czy mnie słyszysz?

Posłyszał szmer, jakby dźwięk głosów. Obejrzał się w kierunku, z którego przyszedł, lecz nie dostrzegł opuszczonego przez siebie miejsca, dopóki nie pomyślał, że musi się ono znajdować tam, gdzie patrzy. W mgnieniu oka został osaczony i osmagany głosami; ciągle próbował odnaleźć starca, zarówno tutaj, jak i w szarym miejscu.

–Gdzie jest lord regent? – spytał, a wówczas echo jakby siekiery uderzającej o ścianę przyniosło mu odpowiedź:

–Nie żyje, nie żyje, nie żyje.

–Czarownik! – rozległy się krzyki w ciemności. – Zabił go! Rzucił urok!

Jeden głos podsunął:

–Poślijmy sługę Cefwyna razem z lordem regentem!

–Stać! – wrzasnął ktoś i zrobiło się cicho. Powstrzymał ich człowiek nazwany Tasiemem, w towarzystwie dwóch lordów.

–On zabił regenta! Trzeba ci było widzieć te jego oczy, panie. Siedział i siedział, i gapił się, jakby chciał człeka w kamień przemienić. Klątwę rzucił. Zabijmy go, nim on nas pozabija!

–Zaledwie przed chwilą zmarł lord regent – odrzekł Tasien. – Na miłość bogów, wyświadczone lady grzeczność i poczekajcie, jakie wyda rozkazy.

–Owinięty w godła Marhanenów – odezwał się jeden z lordów. – A do tego czarownik. Czyżbyśmy nie dość wycierpieli od czarowników? Skróćmy go o głowę! Jaki on nasz król? To podstęp Marhanenów!

Tristen pomyślał, że najwyraźniej chodzi o jego głowę, musi więc coś szybko przedsięwziąć, skoro do tego doszło. Tasien wszelako, nie wydający się darzyć go sympatią, zapowiedział:

–Zaczekajcie na postanowienie lady. Z tym, kto mu strąci włos z głowy, ostrzegam, porachuję się osobiście.

Tasien wraz z dwoma ludźmi oddalił się w stronę namiotu, pozostawiając go pod opieką pozostałych ludzi, oświetlonych blaskiem gwiazd. Poznawał poszczególne postaci wyłącznie po ich ekwipunku i konturach ubrań. Nie widział twarzy. Zwrócili się doń spokojniejszym, mniej zuchwałym tonem:

–Panie – nazwali go, po czym mówili: – Usiądź tu, panie czarodzieju. – Zaprowadzili go jeszcze raz ku fragmentowi starego murka, gdzie mogli nad nim czuwać.

Nie widział sensu z nimi rozmawiać. Znał z doświadczenia zachowanie gwardzistów, którzy mieli swoje rozkazy. Unikał ich wzroku. Nie zapuszczał się również do szarego miejsca: odbierał tylko delikatne wrażenie jego istnienia.

Niemniej Cienie dostały za swoje (zwrot często używany przez Uwena): czuł, że starzec jest bezpieczny w jakimś niedostępnym miejscu, przekroczył próg którejś z niewidocznych dlań i nieosiągalnych Linii. Starzec nie przegrał. A więc, być może, pomyślał, tym razem czując ciarki na plecach i oddychając gwałtownie, być może nie przegrał także Mauryla.

Być może Tristen przyszedł tam, gdzie miał przyjść. Może i on nie zawiódł. Nie wiedział, dokąd stąd się udać i jak przekonać ludzi regenta. Nie śmiał też zakładać, że Cienie z Althalen nie posiadają mocy, by wyrządzić krzywdę jemu lub zamierzeniom Mauryla. W tym miejscu Hasufin rządził i dowodził Cieniami, lecz regent chyba celowo postanowił tutaj się z nim zmierzyć. Starzec od lat prowadził walkę Mauryla. I czekał na niego. Swego, jak go nazwał, króla. Cóż miał począć z tym fantem? Najwyraźniej ci ludzie również nie mieli pojęcia.

Co więcej, nad całym tym miejscem wisiła groźba, zarówno w szarej przestrzeni, jak i w materialnym świecie. Pewien był, że Uwen szuka go w ciemnościach, a wobec rozpaczliwej wynikającej ze śmierci regenta łucznicy mogli się nie pohamować na widok pospolitego żołnierza i grupki gwardzistów Cefwyna. Lady była w stanie zapobiec katastrofie, gdyby

zechciała go wysłuchać, jakkolwiek nie chciała dostrzec tego, co dostrzegał jej ojciec – uporczywie broniła swego stanowiska, próbując zachować starca przy życiu i zatrzymać przy sobie. Wyniknęło z tego sporo zła, lecz jeszcze więcej mogło wyniknąć z jej dalszych postanowień. Zabranie lorda regenta z tego miejsca, o ile dobrze zrozumiał słowa starca, pozwoli Hasufinowi działać wedle woli i dopuszczać się wszelkich nieprawości bez jakiegokolwiek przeszkody, którą stanowił dlań regent. Ci ludzie nie mogą słuchać Hasufina.

Podobnie jak ona.

Ninevrise Cefwyna. Druga strona medalu. Nagle wydawało się, że jest zbyt wielu królów.

Wyruszył z miasta, aby wsłuchać się w odgłosy świata, a nie we wrzawę głosów.

Wyruszył z miasta z nadzieją na poznanie odpowiedzi, lecz u stóp roztworzył mu się nowy świat i pojawiły cele, o jakich wcześniej sądził, że nigdy nie staną się jego udziałem.

Nie skrzywdzę Cefwyna, takie złożył przyrzeczenie. Nie skrzywdzę Cefwyna.

Ale nawet to proste, rozpaczliwe ślubowanie wydało mu się teraz mętne i przeinaczone.

Mosty, jakżeby inaczej: w ich pobliżu, po elwynimskiej stronie rzeki, kryły się kładki, świeże deski pomalowano na ciemny odcień, a okucia, rozmieszczone przemyślnie wzdłuż starych kamiennych konstrukcji, tworzyły podkłady gotowe do przyjęcia pomostów. Co oznaczało, że mosty wyglądające na gołe i bezużyteczne w ciągu kilku godzin pracy inżynierów mogły się szybko przekształcić w przejezdne gościńce do Amefel, a nie wiadomo było, które spośród kilku przyczółków, jakie Elwynimi mieli do wyboru, zostaną uwzględnione w planach operacyjnych w ostatniej godzinie tuż przed przerzuceniem wojsk na wyznaczone im stanowiska.

Zdaniem Cefwyna, znikły ostatnie wątpliwości odnośnie elwynimskich przygotowań do wojny. Miejsce uderzenia pozostawało tajemnicą. Być może, czego Olmerneńcy nie zdążyli odkryć, nie będzie to wcale Amefel, ale jedna z północnych prowincji. Elwynimi mieli możliwość podjęcia jakiegokolwiek akcji, ugodzenia w najsłabszy punkt Ylesuinu albo wykonywania uników i wielokrotnego atakowania.

Ponure wieści. W grę wchodził bez wątpienia most w Arys-Emwy, między innymi, nader podejrzany był również przyczółek położony w obrębie nawiedzonych lasów Marny, których ani Elwynimi, ani Olmerneńcy nie bali się tak, jak inni śmiałkowie – gdzie, bądź co bądź, mieszkańcy Olmernu mogli jeszcze niedawno przebywać za pozwoleniem Mauryła: nie zdziwił się, gdy Sovrag ujawnił fakt prowadzenia handlu z Ynefel, i nie zdziwiłby się też zbytnio, gdyby mu doniesiono, iż do Marny wędrują elwynimscy dragoni i inżynierowie.

Gdyby okazało się to prawdą, jeszcze głębszy cień padłby na sprzymierzeńców Elwynimów... i na ucieczkę Tristena. Cefwyn nie chciał myśleć źle w tym ostatnim względzie, niemniej wciąż go napastowały nieprzyjemne myśli, nic na to nie mógł poradzić.

Rozmach i zaawansowane stadium działań wroga skłaniały Cefwyna do przypuszczeń, iż mylnie zakładał, że jego szpiedzy są wystarczająco lojalni i dobrze wynagradzani; i że zbierają wiarygodne informacje. Nadto stopień utajnienia i zakres przygotowań wskazywały na wielomiesięczne sterowanie pewną ręką, w którym to czasie otrzymywał oferty małżeństwa i uważał je za szczere.

Głupcze, oskarżał go wewnętrzny głos, tłumacząc, że powinien był mądrzej zarządzać prowincją; gdyby tak było, ojciec być może wciąż by żył, choć bogowie świadkami, że i on nie postąpił mądrze.

„Lepiej pošlijmy tam ludzi i zburzmy te kamienne konstrukcje” – brzmiała konkluzja Efanora, z którą Cefwyn się nie zgadzał, i to z kilku przyczyn; niemniej rzekł tylko:

„Przynajmniej tyle możemy zrobić” – aby nie wszczynać nowej publicznej dysputy z Efanorem, zanim zagoją się rany po ostatniej, odbytej nieszczęśliwie w obecności świadków, i zanim nie dojdzie do ładu z własnymi myślami. Wypito już sporo wina, a w takich warunkach można uzyskiwać zgodę lordów tylko w sprawach niewymagających debaty. Nie chciał roztrząsać zasłyszanych wieści, poty dymiło się z głów i nikt nie myślał poprawnie.

Choć może nie powinien był nawet wspominać o rozbieżności myśli. Efanor sposepniał i świdrował go wzrokiem, rozmawiając cicho z kapłanem. Widać дума Efanora miała pierwszeństwo nad zdrowym rozsądkiem – oczywistym też było, kto zajmował główne stanowisko wśród osobistych doradców księcia, co wielce irytowało Cefwyna.

Cefwyn pozwolił, by paż napełnił jego kielich, po czym nakazał dwóm zwiadowcom przysiąc się do stołu, gdzie mogli ucztować wraz z resztą: wyczerpani wędrowcy odbyli daleką podróż i niech zaraza wydusi tych bojaźliwych amefińskich biesiadników u najniższych stołów, którzy po pewnej ilości wychylonych kielichów zaczęli obawiać się aktów piractwa – czyżby myśleli, że dokonają się przy stołach? Para zdrożonych nadrzeczan miałyby porwać złotą zastawę Aswyddów?

Podano dość piwa i wina, aby rozweselić towarzystwo (choć nie Efanora i jego kapłana). Olmerneńscy wywiadowcy posnęli niemal z głowami w sosie, więc Sovrag wyznaczył ludzi, by wynieśli z sali obu osobników, podczas gdy nadęci Imorimi dyskutowali z Sulriganem na bogowie wiedzą, jakie tematy. Cefwyn, przed którym stał jeszcze jeden kielich, przyrzekł sobie w duchu, że zaraz po wypiciu połowy uda się na spoczynek. Efanor wychodził z sali razem ze swoim kapłanem, niewątpliwie by oddać się pobożnym i trzeźwym kontemplacjom.

Gdy jednak rozległ się huk gromu, Idrys, stojący dotąd przy drzwiach, przemierzył wąskie przejście między rzędem krzesel a ścianą i pochylił się nad Cefwynem, aby powiedzieć możliwie najcichszym szeptem:

–Mości szara szata czeka pod bramą, panie. Zerwała się dziś straszna wichura, przywiewa wszelkiego rodzaju szczątki i odpadki.

–Szkoda, że nie przywiała Tristena z nim razem – mruknął, nadąsany. Wypił nieco za dużo, odkąd przybyli zwiadowcy z nowinami. Skoro upadały przyczółki, które uważał za niewzruszone, nie był w nastroju do spotykania się ze starym nauczycielem, arbitrem jego sztubackich osądów, wybawcą z mniej przemyślanych przygód – by poinformować go, że nie, nie wywiązał się z obowiązku uchronienia Tristena od kłopotów.

Choć przecież Emuin odmówił mu stanowczo zarówno swej rady, jak i towarzystwa, umykając do kryjówki zakonników, podczas gdy on nie zdawał sobie sprawy z potencjalnego zagrożenia związanego z owym gościem, którego, zgodnie z radą Emuina, miał wziąć pod opiekę i obdarzyć przyjaźnią.

Tak więc zaklął pod nosem i powstał, jak już wcześniej zamierzał, aby opuścić salę.

Uderzył piorun. Ludzie dopatrywali się wróżby w takich znakach.

–Życzę dobrej nocy, panowie. Wygląda na to, że popsuła nam się pogoda. Odpowiednia noc, by posiedzieć sobie w ciepłej sali z przyjaciółmi. Pijcie do woli i szanujcie moich gwardzistów... oraz całe domostwo. Koło południa liczę na wasze jasne umysły i mądre rady. Dobrej nocy, dobrej nocy.

Także Cevulirn powstał, aby przeprosić towarzystwo wcześniej z trzeźwą głową, aczkolwiek jego porucznik postanowił zostać; Sovrag wraz ze swymi z kolei porucznikami zamierzali poddać próbie dobre humory czeladzi, a Umanon z Pelumerem popijali w cichej naradzie przy drugim końcu sali, rzucając spojrzenia w stronę Sovraga. Sulrigger i jego człowiek również zbierali się do wyjścia. Podnieśli się jak na komendę i złożyli ukłon, zmierzając do drzwi.

Król niewiele się tym przejmował. Król miał na głowie swego starego nauczyciela. Prywatnymi drzwiami przeszedł do drugiej sali, od której z kolei odchodził główny korytarz, wijący się pokrętnie wśród zamkowych komnat. Tuż za nim maszerował Idrys z gwardzistą – nie zmierzali ku schodom wiodącym do królewskich apartamentów, gdzie Cefwyn przyjmował większość gości, lecz w dół korytarza, w stronę zachodnich drzwi, które, gdy do nich dotarli, były szeroko otwarte na deszczową noc; w progu stało odziane w szare opończe trio zmokniętych zakonników.

Wśród nich czekał Emuin; strugi wody spływały na ramiona z brody i białych włosów, płaszcz przemókł – starzec przypominał pospolitego żebraka.

–Panie – rzekł, po czym zaczął wydawać rozkazy niezdecydowanym sługom, którzy się zlecieli ze swych posterunków: – Znajdźcie miejsce dla zacnych braci. Zabierzcie ich do kuchni. Niech coś zjedzą, bo umierają z głodu.

–Przybywasz w samą porę – stwierdził Cefwyn. W tym samym momencie łoskot gromu przetoczył się po niebie. Idrys milczał.

–W samą porę – powtórzył Emuin, odgarniając znad oczu ociekające włosy, po czym udał się w ślad za Idrysem ku pustemu przejściu. – Przybyłem tak szybko, jak na to pozwoliły stare kości, panie.

–Po której z moich wiadomości? – Cefwyn był poirytowany, na dodatek wino plątało mu język. Emuin jak dotąd nie uznał w nim króla: ów niuans nie uszedł jego uwagi.

–Pędziłem, jak mogłem, panie. Dlatego przybywam bez eskorty.

–Tristen też wyjechał bez eskorty. Udał się gościńcem. Ominął wszystkie moje straże. Ruszył na zachód.

–Chłopiec postępuje w zgodzie ze swoim sumieniem – stwierdził Emuin. – Ale wpadł w ciężkie tarapaty. Nie mogłem temu zapobiec.

–Nie po to cię wzywałem, aby słuchać podobnych rzeczy, mości szara szato. Potrzebuję skuteczniejszej rady!

–Udzieliłem już rady. Czy ktoś jej wysłuchał? On? Nie jestem wyrocznią, młody królu. Nigdy nią nie byłem.

Młody królu. A więc, ostatecznie, uznał jego stanowisko. Lecz słowo „młody” przywracało między nimi dawny związek, co ukłuło go do żywego.

–Cóż zatem mamy czynić? – spytał Idrys. – Jest jakaś rada, czy też pozostały lamenty?

–Rada – rzekł Emuin. – Rada. Każdy jej szuka, gdy już zwolnią cięciwę, ale nikt w momencie napinania łuku. Mam ja radę, panie, radę dla niego, jeśli dostanę go w swoje ręce. Oby bogowie sprawili, że znajdą go, zanim sprawy przybiorą rozpaczliwy obrót.

–Kto ma go znaleźć? Kto go szuka? – zapytał Cefwyn.

–Wysłani przez ciebie ludzie. Któżby inny? Kto jeszcze chciałby szukać Maurylowego rękodzieła, oprócz wroga, z którym nie może on walczyć, i ludzi nazbyt zrozpaczonych, by kierować się zdrowym rozsądkiem? Regent nie żyje, Wasza Królewska Mość, a nasza Forma, według moich ustaleń, stoi w tej godzinie wobec zadań, których nic jest w stanie zrozumieć.

–Według twoich ustaleń?

–Podróżowałem rubieżami materii, używając środków, o jakich nie chcę dyskutować, a o jakich ty, Wasza Królewska Mość, wolałbyś nic nie wiedzieć. Poproś mnie raz jeszcze o

radę, na litość wszystkich bogów. Nikt dotychczas nie potraktował poważnie żadnej z moich rad, niemniej i tak jej udzielę... Czar Mauryła wciąż wzywa, wciąż działa i bogowie wiedzą, co z tego jeszcze może wyniknąć. Nie mam nad nim władzy.

–Przebyłeś taki szmat drogi, aby mi o tym powiedzieć?

–Znajdź go dla mnie. Sprowadź go tutaj. Mam nadzieję, że wówczas zdołam przemówić mu do rozsądku. Ale on nie jest tym, za kogo początkowo go brałem. On jest...

–Czym, mości szara opończo? Jest Sihijczykiem? To nie ulega żadnej wątpliwości! Że jest wyczekiwany przez Elwynimów królem? I to wiem.

–To nie wszystko, Wasza Królewska Mość. – Oblicze Emuina było sine od deszczu, pobladłe. Być może tylko od deszczu. W każdym bądź razie człowiekowi temu przybył niejako tuzin lat, odkąd wyjechał z miasta. Wargi mu drżały. Czyż drżały mu kiedykolwiek? – Wręcz boję się myśleć, czym jeszcze on jest. Zaprawdę bać powinniśmy się... wszyscy.

Mężczyźni weszli do namiotu. Tristen obserwował ich rysujące się na płótnie cienie.

Wśród nich widział cień lady, gdy siadała na krześle i na krótką chwilę pochylała głowę ku dłoniom, zanim się wyprostowała, by wysłuchać ludzi, którzy weszli do namiotu. Przykro mu było, iż podglądnął owo osobiste doznanie. Wszyscy przechodzący w pobliżu stawali się cieniami na ścianie namiotu, podobnie jak noc była pełna Cieni; wciąż była ich pełna: spacerujący ludzie w obrębie obozowiska, gra świateł i kształtów na płótnie namiotu, a oprócz tego, nadal przyczajone wokół obozu, znacznie większe, bardziej złowieszcze Cienie, których obecność Tristen nieustannie wyczuwał. Jak dotąd trzymały się na dystans, być może zmęczone walką zakończoną śmiercią regenta, być może zadowolone, być może powstrzymywane przed wtargnięciem do obozu Liniami, które wciąż, chociaż błyszczały z każdą chwilą słabiej, definiowały mury – nie miał pewności. O szarym królestwie i obowiązujących w nim regułach posiadał szczątkową wiedzę – oczekiwał na objawienie się jakiegoś Słowa, gubił się w domysłach, lecz one wciąż prowadziły na manowce. Jeśli wierzyć Hasufinowi, także Tristen został tu Pogrzebany – osobliwa myśl, a mimo to, opierając swe założenia na poznanych już Słowach, dochodził do wniosku, iż jeśli to rzeczywiście prawda, powinien być przynajmniej w stanie znaleźć to miejsce – jako jego miejsce. Prawdopodobnie nie znał się jednak na tych rzeczach. Prawdopodobnie przydarzyłoby mu się coś okropnego, gdyby odnalazł owo miejsce.

Niemniej istnienie podobnego ogniwa sprawiało, że Hasufin domagał się Althalen, a starzec zamierzał z nim walczyć, by mu go odebrać. Skoro tak, funkcjonowało zapewne jakieś prawo własności, które mu coś przyznawało, tyle, że nie umiał z niego skorzystać. Czyż bowiem nie walczył z Cieniami? Czyż nie wiodło mu się całkiem dobrze?

–Emuinie – rzekł, chcąc być jednocześnie tam i tutaj. – Emuinie, spotkałem kogoś, kogo chyba powinienes poznać. Być może już go poznałeś. Potrzebuję cię. Muszę się wiele

nauczyć.

Nie natrafił nawet na echo Emuina, jedynie na nikłą, skuloną w szarości obecność, obecność, która z rozmysłem go unikała.

Zupełnie niespodziewanie napotkał owe złośliwe Cienie, które niestrudzenie okrążały mury, niby ptaki szukające dogodnego do lądowania miejsca. Ustąpił. Trzymając się swego Miejsca, próbował zignorować je na swoich.

Mężczyźni – sylwetki na tle rozświetlonego namiotu – wyłonili się gęsiego, cisi i pogrążeni w żalu Ludzie. Obserwował grę cieni na płótnie, widział, jak wszyscy pochylają głowy i ściskają dłoń siedzącej przy świetle córki regenta; jak potem stają się chaotycznym gąszczem obrazów przy leżącym starcu. Z tym nagłym, następującym po wyrazistości chaosem stykał się już w szarym królestwie i bał się podświadomie łączyć jedno z drugim: bał się rozdzielczości obrazów, tutaj i w szarym miejscu, mogącej zapowiadać jakieś niebezpieczeństwo.

Mężczyźni zbili się w małe, posępne grupki przed pajęczym namiotem. Ich gniew zamienił się w niepewność, kiedy chmura napłynęła nad krzaki i ruiny, odbierając im nawet blask gwiazd. Noc okazała się nad wyraz chłodna. Tristen swój płaszcz pozostawił w namiocie. Rozcierał zmarznięte dłonie, nie czując w ogóle palców. Obciągnięta aksamitem kolczuga, dociskająca wilgotną wyściółkę i koszulę do ciała, stanowiła pewną ochronę, jak długo nie zrywał się wiatr. Czuł wielkie zmęczenie, jakby przeszedł piechotą cały ten dystans, który przemierzył w szarej przestrzeni, i jakby mocował się z czymś materialnym, nie z Cieniem.

Nie wiedział, co robić, więc postanowił czekać. Choć i z czekaniem wiązały się niebezpieczeństwa.

Wreszcie, niczym zwieńczenie wszelkich niewygód, zaczęła opadać zimna mgła.

Ludzie porzucili kamienie pośrodku obozowiska i skłębili się przy wyższym fragmencie rozwalonego muru, patrząc to na Tristena, to w kierunku namiotu, wymieniając między sobą uwagi, których nie mógł dosłyszeć. Pomyślał, że przybyli tu zaopatrzeni w wygody jedynie dla starca. Powinno być więcej namiotów. Miał wrażenie – nie wiedział, kiedy mu się ono udzieliło, być może w rozmowie ze starcem – że obozują tu już od pewnego czasu.

Zastanawiał się, co też mogło im się przytrafić i czy uciekali przed czymś, tak jak on, również nie przygotowani. Rozmyślając, jak wyglądało ich życie, pomyślał, że wioska Emwy mogłaby im jakoś pomóc. Prawda, Emwy zostało spalone.

Sytuacja ich zapewne uległa przez to znacznemu pogorszeniu. Zastanawiał się, czy ludzie, którzy zaatakowali króla, wiedzieli, gdzie się znajdują, i co to dla nich znaczyło.

Zastanawiał się też, czy wysłani przez Idrysa jeźdźcy ominęli po prostu to miejsce, bojąc się tu zaglądać, czy może regent, będąc czarodziejem, wywiódł poszukiwaczy w pole.

Nie znalazł odpowiedzi w podsłuchanych przypadkowo słowach, jedynie złozenia na pogodę i sporadyczne pytania o możliwość powrotu.

–Nie – uciął ktoś wszystkie dociekania. Wyglądało na to, że mogą umrzeć. Albo, że przytrafi im się coś strasznego.

Na koniec wyszły doń dwie osoby, mówiąc, że lady chce go zobaczyć. Zsunął się z murka i poszedł za nimi, odprowadzany do samego wejścia przez gromadę markotnych i podejrzliwych ludzi.

Schylił głowę i wszedł do wnętrza, gdzie siedziała lady. Ninevrise nosiła ciasno opinającą jej smukłe kształty kolczugę. Na głowie, przytrzymując zwój ciemnych włosów, widniał diadem regenta Tristen przypuszczał, że to ta sama wąska przepaska. Opodal stali uzbrojeni strażnicy, a pomiędzy nimi lord Tasien.

Po drugiej stronie namiotu, poza przepierzeniem, leżał starzec, nieruchomy i blady.

Przy nogach i u wezłowia paliły się lampki.

–Mówią, żeś zabił mego ojca – rzekła Ninevrise. – Ponoć czar na niego rzuciłeś.

–Nie, pani, nic podobnego. Próbowałem mu pomóc.

–Czemu? Czemu miałbyś mu pomagać?

–Wydawał się miły – odparł szczerze, choć nie takiej odpowiedzi Ninevrise oczekiwała. Przybita, zacisnęła pięść i wsparła na niej podbródek; łokieć spoczywał na poręczy krzesła, po odwróconej twarzy toczyły się łzy.

–Nie wierzę niczemu, co przysyła gueleński książę – oznajmił człowiek stojący przy Tasienie. – Jutro przeprowadzimy się z powrotem przez rzekę, żeby zabiegać o pokój z rebeliantami.

–Prędzej umrę, niżli pojedę do Aseyneddina. – Ręka Ninevrise opadła z impetem na poręcz, ściągnęły się rysy mokrej od łez twarzy. Spojrzała na Tristena. – A co z tobą, panie? Czyżbyś był kolejnym zapowiedzianym kandydatem na mojego męża? Czemuż mój ojciec cię słuchał? Czemuż, wyłączwszy owo kłamliwe przebranie, które Marhanen kazał ci nałożyć, mój ojciec ogłosił cię królem? Sihhijskie godła owinięte płaszczem Marhanena? Łaskawy panie, bogowie nie uczynili mnie naiwniaczką! Ktoś zna położenie naszego obozu. Ktoś ci o nim powiedział.

–Płaszcz należy do Cefwyna, pani. Było mi zimno. Pożyczył mi go, to wszystko.

–Pożyczył. I posłał cię do mojego ojca? Marhanenowie zabraniają noszenia Wieży i Gwiazdy. Jak śmiesz im się przeciwstawiać?

–Cefwyn nigdzie mnie nie wysyłał.

–Nie udawaj głupka, mój panie. Skądżeś zdobył to godło? A może to żart księcia Cefwyna? Uważa nas za idiotów? Czego sobie życzy?

–Cefwyn powiedział, że mogę używać tytułu lorda Ynefel, gdyż ma prawo mi go nadać.

–Ynefel? Nadaniem księcia Ylesuinu?

–Króla Ylesuinu, pani, odkąd zginął jego ojciec. Ale był księciem, kiedy otrzymałem nadanie.

–Inareddrin nie żyje? – Zarówno lady, jak i jej poddani wyglądali na wstrząśniętych.

–Zginął niedaleko wioski Emwy. – Ci ludzie nie zaatakowali ojca Cefwyna, był tego pewien. Regent nie zrobiłby tego, a narastało w nim przekonanie, że i oni nie uczyniliby niczego bez wiedzy starca. – Wczoraj. Chyba wczoraj. Czas jest taki zawikłany...

–Jak zginął?

,– Zabili go ludzie, zanim zdaliśmy do niego dotrzeć. Cefwyn sądzi, że to sprawka Elwynimów. Ale zabił za to lorda Heryna. To Heryn wysłał wiadomość, która sprowadziła króla.

Nie zamierzał wyjawiać tego ostatniego: podejrzewał, iż będzie miał z tego tytułu kłopoty. Wydawało się jednak, że najlepiej od razu powiedzieć prawdę, niżby miała ona wyjść na jaw później.

–Aseyneddin – zawyrokował jeden z mężczyzn.

–Albo Caswyddian – dodał Tasien. Tristen, usłyszawszy to imię, poczuł chłód, jakby powiało od otwartego wejścia do namiotu. Ninevrise czuła chyba to samo. Skrzyżowała ramiona i zmarszczyła czoło.

–Możesz przekazać ode mnie królowi Cefwynowi – powiedziała – przy założeniu, że cię w ogóle do niego odeślemy, iż nic nam nie wiadomo o sprawkach Caswyddiana. Earl Dolnego Saissonnd już w przeszłości wchodził w konszachty z Herynem. Heryn spiskował z nim i z Aseyneddinem równocześnie, to oni pospołu wygnali z Elwynoru mojego ojca.

W rzeczywistości sprawa wyglądała nieco inaczej. Starzec co innego mówił, lecz Tristen postanowił to zignorować.

–Myślę, że powinniście udać się do Cefwyna – powiedział. – Myślę, że zechce porozmawiać z wami o szczegółach.

–Porozmawiać z nami? On zabił naszych posłów!

–Nie. – Wiedział, iż nie posiada pełnej wiedzy o poczynaniach w Henas’amef, niemniej nie wierzył słowom Ninevrise. – Nic, on nie zrobiłby czegoś podobnego. – Nie zdawał sobie jasno sprawy z powodów takiego założenia. Nie wszystko dało się przyoblec w słowa, gdy sprawa dotyczyła szarej przestrzeni, aczkolwiek żywił całkowite przekonanie, co do jednej rzeczy, o której lady powinna się dowiedzieć w związku z Cefwynem i regentem: – Twój ojciec przyjechał tu z nadzieją, że z nim porozmawia. Jednak nie mógł opuścić tego miejsca. – Wydawali się zakłopotani.

–Mój ojciec po prostu umarł w tym miejscu – orzekła Ninevrise. – Szwankował na zdrowiu. To złowieszcze miejsce, uciekanie, krycie się... Nie wytrzymał tego. Jestem zdania, że nie trzeba było czarów, by umarł. To pewne. Ale twoje przybycie... przyspieszyło rozwój wypadków. Każdą godzinę jego życia uważam za bezcenną. Chcę, żebyś o tym wiedział. Nie nadużywaj więc mojej cierpliwości.

–Ależ to właśnie czary go zabiły, pani. On wiedział, że tak się stanie. Hasufin posiadał Ynefel. Ma również to miejsce. Usiłował skrzywdzić twego ojca. Był wrogiem Mauryła, jest moim i Cefwyna, przez całe życie walczył z twoim ojcem. To dlatego tu przyjechał, aby tu być, aby tu zostać i powstrzymać Hasufina, a nie uciekać przed którymś z waszych lordów.

Ninevrise milczała przez chwilę. Oblicze jej zastygło, nagle wykrzywione strachem.

–Tasienie, zostaw mnie z nim.

–Nie, pani – zaprotestował. – Nie prosź mnie o to.

Ninevrise zagryzła wargę – przeciwstawiali jej się własni ludzie. Twarz powlekła się bladością przywodzącą na myśl portrecik z kości słoniowej.

–W takim razie, mój panie, cóż ci jeszcze wiadomo o sprawach mego ojca? – zapytała. – Mów dalej. Opowiedz mi o kolejnych dziwach, jakie od niego usłyszałaś.

–Targował się z Hasufinem, czego wielce żałował. We śnie odwiedził Mauryła.

–Zostawcie mnie samą, powiadam! – Ninevrise uderzyła piąstką o poręcz krzesła, tocząc wokół zjadliwym spojrzeniem.

–Ależ pani...

–Powiedziałaś, wyjść! Stanać przy drzwiach! Muszę mu zadać kilka osobistych pytań.

–Co moglibyśmy usłyszeć, już żeśmy usłyszeli – odparł Tasien. – Czy mamy, pani, uznać to za prawdę? Czy wiesz cokolwiek o związkach twego ojca, regenta, z Maurylem?

–To prawda – oświadczyła Ninevrise drżącym głosem. – Ojciec opowiedział mi swój sen, ale poza mną nikomu, to pewne, oprócz matki. A ten Hasufin... Skąd znasz to imię?

— Usłyszałem je wcześniej, zanim jeszcze opowiedział mi o nim twój ojciec. Chyba od Mauryła.

.– Gdzie i kiedy mój ojciec ci się zwierzał?

–W szarym miejscu.

–Mój ojciec śnił tylko. Mój ojciec miał słodkie nadzieje. Mój ojciec nie znał żadnych czarów!

Raptem uczuł szarpnięcie ku owemu Miejscu, jednak pozostał. Z całą pewnością był wzywany, lecz nie wiedział, kto lub co go wzywa. W Miejscu panował zamęt, toczyły się boje.

–Mój ojciec śnił o Hasufinie i Maurylu. Śnił, powtarzam! Nigdy nie spotkał ich na jawie! Skąd wiesz o rzeczach, o których mówisz? Cały czas nie ruszałeś się z miejsca, a ojciec ani na chwilę nie opuścił łóżka.

–Pani, twój ojciec chciał tu być. Walczył z Hasufinem. On pragnie... – Wobec poruszenia w Miejscu słowa jego stały się niezwykle ważne. – On bardzo pragnie zostać tu pochowanym. Powiedział mi, że tutaj znajduje się grób Hasufina, a więc i on musi tu spocząć.

–Nie pochowam go w tym podłym miejscu! – krzyknęła Ninevrise. – Nigdy!

–Myślę... myślę, że on chce przeciwstawić się Hasufinowi, tutaj. Myślę, że walka jeszcze się nie skończyła.

–Mówi to, co służy jego panu – oświadczył szorstko jeden z lordów. – A tylko bogowie wiedzą, kto lub co jest tym panem.

–Moim panem – odparł Tristen – był Mauryl. Posłał mnie do Cefwyna. I sądzę, że także przysłał mnie tutaj. Twój ojciec nie odszedł, pani. Nie mogę go dosięgnąć, lecz Cienie jeszcze z nim nie wygrały. Ale gdy go stąd zabierzesz, utraci wszystko, o co walczył.

Wystarczyło, że pomyślał o starcu. Szara przestrzeń otworzyła się szeroko, oblała go poświata. Dostrzegął wątle światelka gwiazd wiszące przed jego twarzą, tam, gdzie stali ludzie – widział szary kształt Ninevrise, coraz jaśniejszy, a z tyłu, wokoło, mnóstwo gwiazdek.

Doszedł nagle do wniosku, iż są to ludzie na zewnątrz i blisko namiotu. Przerazająca ciemność stanowiła rozległą, ostrą krawędź, biegnącą w jednym kierunku.

Ściany, pomyślał wtedy, tworzyły ową ostrą krawędź; ujrzał linie na ziemi, lśniące bardzo słabym światłem, a jedna z nich przebiegała tuż za namiotem: mur, do którego zamocowano odciążki. Cienie skakały po murze. Cienie skradały się uparcie wzdłuż tej linii, usiłując znaleźć wyłom.

–Bogowie!

Był to głos Ninevrise, wylękły i zdławiony.

–Pani! – Tristen wyciągnął rękę, proponując jej wsparcie, zdumiony, że spośród wszystkich obecnych tylko jedna Ninevrise za nim podążyła. Była zdrętwiała ze strachu, gdy ujął jej dłoń, ciepłą i twardą, w niczym nieprzypominającą zwiewnej ręki starca. Wokół nich, zaraz za murem, zbierało się zło: Cienie wskakiwały na barierę, próbując dostać się do środka. Lady popatrzyła na Tristena.

–To... – stwierdziła z otwartymi szeroko oczyma – to właśnie zobaczył!

Nie mógł jej odpowiedzieć: nie wiedział, co zobaczyła, ale zauważył, że się boi, i powiódł ją z powrotem w bezpieczne miejsce. Wszystko odbyło się szybko niczym myśl.

Okazało się, że stoi i trzymają za rękę, równie jak ona przestraszony. Wyrwała dłoń, zmieszana, a ludzie wokół nie wiedzieli chyba, czy chwycić go za ramiona, czy porwać za broń. Ona jednak gestem nakazała im spokój, niezdolna, jak się zdawało, dobyć głosu.

–Nie – rzekła już poniewczasie, łapiąc oddech. – Nie. Och, święci bogowie! – Dotknęła ust zaciśniętą ręką, drugą wachlowała, jakby nie miała czym oddychać. – Tasienie, ojciec miał rację, ojciec miał rację! Jest inne miejsce. Właśnie tam byłam, a on... on też tam był!

–Czary – skwitował Tasien. – Czyż nasz król przybyłby do nas, przynosząc obietnice Marhanenów? Albo każąc udać się do nich? Niechaj udowodni, że przysyła go Mauryl, nie zaś czarnoksiężnik nieprzyjaciel, z którym według niego zmagał się twój ojciec.

Nader mądre pytanie, pomyślał Tristen, bo i rzeczywiście, Tasien wyglądał na mądrego człowieka. Żałował, iż nie wie, jaki dowód okazać.

–Cóż ty na to? – zapytała lady.

–Powinnaś postąpić zgodnie z prośbą ojca. – Nie umiał wymyślić mądrzejszej odpowiedzi, lecz ta chyba utrafiła w sedno, zwłaszcza, jeśli chodzi o lady.

–Pochować go, gdzie sobie tego zażyczył?

–Nie wiem, czy to powstrzyma Hasufina, twój ojciec jednak sądził, że dzięki temu Hasufin nie przejmie tego miejsca.

–Tak ty powiadasz – wtrącił Tasien z przyganą, jakby dość się już nasłuchał. – Cóż z tego, że jakiś umarły czarownik zawładnie tą kupą gruzów?

–To niebezpieczne miejsce. – Przeraził go lekceważący stosunek Tasienu. Widział rzeczy niemające odpowiednika w Słowie, tchnienia ani ujścia, lecz nie mógł ich przed nimi

przestrzec. – Tutaj umarł Hasufin.

–I pozostanie martwy.

–Ale on już nie jest martwy, panie. Potrafi tu sięgnąć, choć może nie do innych miejsc, a przynajmniej nie tak łatwo. Lord regent wiedział o tym. Twierdził, że Hasufin może go wszędzie dosięgnąć. Chciał tu zostać.

–Pani – rzekł Tasien – prosiłbym o jakiś bardziej przekonujący dowód niżli słowo tego człowieka.

–A cóż możemy udowodnić? I jaki mamy wybór, panie? Wracać do Elwynoru? Do Aseyneddina?

–Wielu elwynimskich lordów zaciągnie się pod sztandar regenta, pani, jak zaciągnęliby się już dawno, gdyby twój ojciec trzymał się mocno i wyznaczył miejsce zbiórki, a nie wyruszał, by toczyć wojny z duchami na wrogim terytorium, bez namiotów... bez nadziei. Pani, twój ojciec, którego zawsze będę szanował, za którego oddałbym życie, nie chciał mnie słuchać. Każdy z nas, którzyśmy opuścili nasze ziemie, przybył tutaj, aby zginąć z nim razem albo przynajmniej uchronić go przed wpadnięciem w ręce wroga, ale gdy mnie tylko wysłuchasz, możemy działać znacznie więcej, za twoim przyzwoleniem, więc błagam o posłuchanie. Aseyneddin i pozostali rebelianci nie cieszą się ani zaufaniem pozostałych lordów, ani też ich poparciem. Caswyddian wszczął kolejną rebelię, również przeciwko niemu. Elwynor rozpadnie się na kawałki, a Ylesuin pozbiera kości, jeśli się nie wycofasz, i to szybko. Jesteś jego oficjalną spadkobierczynią. Masz pewne obowiązki, pani.

–Dwóch lordów rozpętało rebelię. Cóż my takiego mamy, czym możemy im zagrozić? Trzydziestu trzech ludzi? Trzydziestu trzech ludzi, którzy podążyli za moim ojcem, nie zważając na jego dziwactwa? Inwestytura, jakiej tylko ty i ci tutaj ludzie byli świadkami? Odpowiedz mi, Tasienie! Który z lordów pójdzie za mną, nie domagając się przy tym, bym wyszła za mąż za niego bądź jego syna? A jak na to spojrzą ich pobratymcy? Już samym istnieniem przyczyniam się do podziału państwa.

Na krótko zapadła cisza.

Wtedy jeden zapytał:

–A ilu pójdzie za tobą, jeśli sprzymierzysz się z Marhanenem?

–Wówczas mnie porzucicie? Prawda, Hauryddzie? Prawda, Ysdanie?

–Nie – odparli obaj.

–Ale czy możecie uczynić ze mnie lorda regenta, wznieść chorągiew Elwynoru i sprawić, by ludzie ciągnęli pod moje sztandary, lecz w taki sposób, że nikt z nich nie będzie chciał

zostać moim mężem? Oto stoicie przede mną we trzech, popatrzcie na siebie! Każdy musiał uchorzeć z własnej ziemi, pozostawiając żonę i dzieci w wielkim niebezpieczeństwie. Jaki mam wybór, moi panowie? Tasienie, kiedy byłam mała, ty nosiłeś mnie na barana. Dokąd chcesz mnie dziś zanieść?

–Miłościwa pani – odpowiedział Tasien, potrząsając głową – dokądkolwiek zapragniesz. Jesteś regentką. Zabrałbym cię do bezpiecznego miejsca w Elwynorze. Posłałbym po odpowiedzialnych ludzi. Nie chcę, abyś choć jeden dzień dłużej ryzykowała pobyt na ziemi Marhanenów, cóż dopiero mówić o proszeniu o azyl. Wybierz sobie małżonka spośród podobnie myślących ludzi, a wówczas będziemy walczyć w Elwynorze z kimkolwiek, kto przeciwko tobie wystąpi, do ostatniej kropli krwi. Po naszym powrocie Aseyneeddin nie zdoła zatrzymać przy sobie wszystkich sojuszników.

–A jeśli Aseyneeddin już nas znalazł? Jeśli ktoś zdradził miejsce naszego pobytu? Ludzie, którzy popierali mego ojca, umierają. Domy idą z dymem. Owce mrą od trucizny. Być może z twojego wysokiego stanowiska nie widzisz tego, na razie, ale spróbuj tylko przeciw niemu wystąpić, a i na ciebie on ruszy. Łacno uczynić to może. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze ów człowiek, nasz gość, panowie.

–Nie wolno mu ufać.

–Nie, nie, Tasienie, nie mogę zaprzeczyć świadectwu mego ojca. Nie mogę zaprzeczyć temu, co zobaczyłam. Nie mogę zaprzeczyć, że w tym miejscu drzemie magia. Nie mogę powiedzieć, że powinnam zostać regentką... albo, że w ogóle powinna trwać jeszcze regencja. Jeśli moja regencja miałaby odepchnąć oczekiwanego przez nas króla, wówczas...

–Pani, nie możesz przyjąć jego roszczeń. Człowiek nie może ot, tak sobie przyjechać do nas ochlapany wodą i twierdzić, że jest królem.

–A jak inaczej ma przyjeżdżać? – zapytała Ninevrise. – Ma wyłonić się z Marny przy dźwięku trąb i na czele armii? Wyrosnąć spod ziemi w Althalen? Nie wiem, nie wiem! Ojciec nigdy mnie nie uprzedził, po czym go poznam. Mój ojciec rzekł nam tylko w prostych słowach, że to jest nasz król i że go rozpoznał. Dopiero co byłam w owym magicznym miejscu, o którym opowiadał ojciec. Widziałam tego człowieka takim, jakim on go opisał. Jakiegoż jeszcze znaku winnam oczekiwać? Jakże mi zdecydować? Potrzebuję czasu, ażeby dowiedzieć się prawdy! A jeśli z Marhanenem wiąże się jakaś szansa, z szansy tej skorzystam, nim opuścimy tę ziemię.

–Zali jesteś tym królem, na któregośmy czekali? – zapytał lord Tasien Tristena bez ogródek.

–Panie, Mauryl mi tego nigdy nie powiedział – odparł zgodnie z prawdą, lecz nie dodał, po to by nie powiększać ich konsternacji, że nie chce być królem i że Cefwyn, który nadał mu

tytuł lorda Ynefel, sam nie wie dużo więcej na temat królów i ich roszczeń do tronu. Nie sądził, aby zaufanie, jakie w nim pokładał Cefwyn, uwolniło go od podejrzeń, uratowało lub ponagliło ich do szukania bezpiecznego miejsca. W pewnym momencie dyskusji zaczęło w nim wzbierać nieznośne uczucie zagrożenia, dławiący strach bardziej wyraźny niż kiedykolwiek, odkąd opuścił las Marna. Pragnął, by ich spór dobiegł końca, z obojętnie, jakim rezultatem, i żeby Pogrzebano starca pod kamieniami – pod kamieniami! – gdzie chciał być. Pragnął, by już stąd odeszli, najszybciej, jak to tylko możliwe.

–Pochowamy mojego ojca – oświadczyła Ninevrise – skoro sobie tego życzył. Potem udamy się do Marhanena z prośbą o podpisanie układu... pieczętując go małżeństwem, jeśli zajdzie potrzeba. I przysięgą, o ile jesteśmy w stanie jej dochować.

–Ledwie co zginął jego ojciec – wykrzyknął Tasien – i to z rąk Elwynimów!

–Podobnie jak mój! – odparła ostro Ninevrise. – Z rąk nie wiadomo czyich, na jego ziemi, za sprawą tych samych rebeliantów, którzy zabili mu ojca. Pojadę do Marhanena i wymogę traktat lub będę o niego walczyć! Czyż boskie prawo nie chroni posłów? Jestem posłem swego ojca, wysłanym od łoża śmierci, i albo dostanę odpowiedź na moją petycję, albo będzie wojna, panowie!

–Tedy niech nas bogowie mają w swej opiece – skonstatował Tasien.

–Marhanen spotka się ze mną. Nie uczyni mi żadnego afrontu. Lord Ynefel przyrzeka, że nie uczyni. Prawda?

–Poproszę go – odpowiedział Tristen. – Jest moim przyjacielem.

–Owóż mamy naszego króla – rzekł Tasien – który odstępuje Ynefel swemu panu, królowi Ylesuinu, by potem odebrać go w lenno. Na miłość boską, pani! Przyjaciel Marhanena? Człek ten winien składać hołd Marhanenowi! Sama go zapytaj!

–To prawda? – spytała Ninevrise, patrząc na Tristena. – Złożyłeś przysięgę hołdowniczą?

–Przysięgałem bronić Cefwyna i być mu przyjacielem.

W namiocie nastąpiło głębokie milczenie. Mężczyźni nie byli zachwyceni i nie zamierzali go zaakceptować, tego był pewien. Nie chciał jednak okłamywać lady, która w szarej przestrzeni i tak poznałaby prawdę – nie umiałby jej zwieść.

–Szlachetni panowie – powiedziała Ninevrise – należy przynajmniej spróbować. Mamy tu siedzieć, aż nas odnajdą?

–To czyste szaleństwo – twierdził Tasien.

–Mego ojca też zwaliście szalonym, a mimo to kochaliście go całym sercem. Przybyliście

tu, by wraz z nim umrzeć, nie zważając na rodzinną ziemię, na żony i dzieci. Nie poprowadzę was z powrotem do Elwynoru na niechybną śmierć, panowie. Mam inny wybór. Mogę poszukać sojuszu...

–Z Marhanenami? Niech bogowie bronią, pani.

–Wolę nie oglądać waszych głów nad bramami w Ieffnianie, panowie. Nie wyjdę też za Aseyneeddina! Nie proście mnie o to!

–A może poślubisz tego gadającego od rzeczy głupca i będziesz błagać lordów Elwynoru, by złożyli przysięgę Marhanenom? To, zdaje się, właśnie sugerują!

–Miejże szacunek! Miejże szacunek, chociaż dla mego ojca, Tasienie, jeśli już nie dla mnie. I mówcie ciszej! Czyż cały obóz ma słyszeć?

–Lordzie Tasienie – wtrącił Tristen cicho, zdjęty niepokojem, chociaż obawiał się, że jakakolwiek jego sugestia w tym momencie zachęci ich do dalszych sprzeciwów. – Panie, grozi nam niebezpieczeństwo, czary, skoro już chcecie tak to nazywać. Czuję w tym miejscu coraz gorszą i gorszą atmosferę... Pani, jeśli twój ojciec ma coś zdziałać, chyba powinniśmy zrobić dokładnie tak, jak powiedział, i to szybko.

–A więc w grę wchodzi czary? – zapytał jeden z lordów, Haurydd. – Czy mamy w nich pokładać nasze nadzieje?

–Tak, panie. Lord regent także wiązał z nimi nadzieje. A jeśli będziemy zwlekać, wszystkie te nadzieje mogą zostać stracone. Powinniśmy go pochować i odejść stąd czym prędzej.

–Mój ojciec – powiedziała Ninevrise – przestrzegał nas przed opuszczaniem tych murów po ciemku.

–Owszem, dopóki zapewniały bezpieczeństwo. W tym miejscu przestaje być jednak bezpiecznie. Tak samo w Ynefel zamieszkała groźba. Czuję to. Powinniśmy odejść. Pozostawić wóz. Nie można go stąd zabrać. Szukają mnie ludzie. To pewne. Spotkamy ich na gościńcu, oni nas ochronią.

–Pogonią jak łotrzyków, chciałeś powiedzieć. Prosto w łapy Marhanenów.

–Panie, to nie przelewki. Musisz usłuchać prośby regenta. Tu jest niebezpiecznie.

–Tylko mnie tu nie pouczaj w kwestiach służby dla mojego pana. Godzi się chyba poczekać na przyzwoite światło dnia – powiedział Tasien ze złością – przez wzgląd na człowieka, który, o ile istotnie jesteś naszym królem, być może zachował twój tron, panie, choć to pewnie niczym nie podparty domysł i choć pewnie nie spodobają ci się moje słowa.

–Ależ Tasienie! – zaoponowała lady.

–Pani, ja go nie szanuję. Nie szanuję łękiego człowieka, który lekceważy wszystkie zniewagi i na wszystko się zgadza. On nie reprezentuje żadnej zwierzchności, dostał jeno rozkazy, by nas wciągnąć w zasadzkę. A nuż w tych ruinach kryje się jakaś ochrona? Patrzcie tylko, z jakąż zjadłością próbuje nas stąd wygonić!

–Musimy iść, panie. – Spory łatwo wprowadzały zamęt w jego myśli. Zawodziły go słowa. Tymczasem niebezpieczeństwo ciągle się zbliżało, groźba rozpraszała uwagę, groźba ogromniejsza i z każdą chwilą zmieniająca kształt, jakby wyprawa do szarej przestrzeni, którą podjął wraz z lady, obudziła czyjeś niepożądane zainteresowanie, obracające się teraz przeciwko nim i chcące wyrzucić im coś złego. Bo oto prócz skradania się Cieni począł narastać jakiś dźwięk, ziemia drżała, nasuwając Tristenowi skojarzenie z tętentem koni. – Trzeba się ratować, lordzie Tasienie.

–Tasienie, lepiej chodźmy – przyłączyła się lady. – Pochowamy mojego ojca i odejdziemy stąd, jak on mówi, by porozmawiać z Cefwynem Marhanenem.

–Ten człowiek nie będzie walczył z twoimi nieprzyjaciółmi! – sprzeciwiał się Tasien. – To ma być król? Ów król, na którego czekamy?

–Panie. – Tristen popatrzył Tasienowi prosto w oczy. – Ja się was nie boję. Boję się o was.

Tasien przewiercał go wzrokiem i wyraz gniewu na jego twarzy ustąpił innemu uczuciu – prawie.

–Jeśli stąd odejdziemy, weźmiemy cię jako naszego Zakładnika, lordzie Ynefel.

Gdyby Cefwyn nie dotrzymał warunków Zawieszenia Broni i zaatakował naszą panią, zabiję cię osobiście.

Te Słowa brzmiały rozsądnie, oferowały sposób na opuszczenie tego miejsca, choć był on praktyczny i zarazem przerażający.

–Jeżeli to cię zadowala, lordzie Tasienie, i jeżeli zadowala lady, i jeśli będziemy mogli stąd odejść, nie boję się złożyć wam takiego przyrzeczenia.

–Myślałem... – mówił Emuin, zaciskając dłoń na kubku z grzanym winem – myślałem o tym i myślałem, Wasza Królewska Miłość, bo chociaż za dni mej wczesnej młodości widywałem całą królewską rodzinę Sihhijczyków, znałem ich wszystkie twarze, nie koniec na tym, znałem ich tak, jak to potrafią czarodzieje, nie odniosłem wrażenia, bym znał tego młodzieńca. Gnębiło mnie to już pierwszej nocy, kiedy go ujrzałem i doszedłem do wniosku, kim on jest: powiedziałem sobie wówczas, że spośród wszystkich martwych dusz w Althalen, którymi Mauryl mógł się posłużyć, czemuż nie miałby wybrać Aswyna, prawdziwego brata Elfwyna, zmarłego przy porodzie. Jako naturalne ograniczenie dla kogoś, kto opanował to ciało...

–Wszyscy znamy tę historię – przerwał mu Cefwyn niecierpliwie. Znajdowali się na górze, w jego apartamentach. Idrys stał pod drzwiami, upewniając się, czy nie ma podsłuchiwczy nawet wśród zaufanych gwardzistów. – To nie jest Elfwyn. Ani żadne martwo narodzone dziecko. Wykazuje znajomość fechtunku i jazdy konnej, której, jak mi się zdaje, człowiek nie uzyskuje w kołysce. Żądam imienia, stary nauczycielu. Racz wyjawić mi imię, nic ponadto, żadnych tłumaczeń, żadnych dywagacji.

–No cóż, Barrakketh, Wasza Książęca Mość... Wasza Królewska Mość. – Cefwyn jeszcze nie oglądał starca tak bardzo zmieszanego. – Założyciel dynastii. Albo jeden z jego kuzynów. Tak sędzę.

–Odważne przypuszczenie – rzucił Idrys ode drzwi. – Imię, które można zapisać. Czemuś nie posłał gońca, by nam o tym donieść?

–Spokojnie, panowie. – Cefwyn stawał się bardziej niż niecierpliwy. – W Emwy mieliśmy okazję się przekonać, iż nie jest to żaden król miłośnik nauki. Niemniej cóż to za pomysł? Tristen nie ma zatwardziałego serca, nie jest egoistą, nie lubuje się w zabijaniu. Czego nie można powiedzieć o Barrakkecie. Dlaczego Barrakketh?

–Mauryl nie lubił twego dziadka.

To było jak skok myślowy Tristena: pobudzało do śmiechu.

–Nikt z nas nie lubił mojego dziadka. Nawet moja babka nigdy za nim nie przepadała. Rzeknij mi coś straszniejszego, mój panie! Gdzież twe dowody? Udowodnij słuszność swego domysłu!

–Marhanenowie zostali następcami Sihhijczyków w najlepszym razie na skutek przypadkowej okazji, jaka się trafiła Mauryłowi. Marhanenowie znaleźli się w odpowiednim miejscu, by skorzystać z nadarzającej się sposobności, lecz twój dziadek nie czuł się dobrze w towarzystwie Mauryla. Musisz pamiętać, że czarodziej nie pochodził z tej epoki, w jego żyłach płynęła krew niespotykana u współczesnych mu ludzi. Nic go nie łączyło nawet z Galasjenami, z których się wywodził. Ojciec Elfwyna zaklinał – można rzec, bogów, bogów czczonych przez Sihhijczyków, o ile oni w ogóle czcili jakichkolwiek bogów – by wskrzesili jego martwe niemowlę. Krew rodu w owym czasie zmieszała się z krwią poślednią, toteż ojciec Elfwyna z pewnością nie mógł sam wskrzesić umarłego. Mógł jednak... otworzyć drzwi. W pewnym sensie. Martwemu czarodziejowi.

–Hasufinowi Heltainowi – uzupełnił Idrys, na co Emuin obrzucił go niespokojnym spojrzeniem.

–Sami musieliśmy szukać odpowiedzi – rzekł Cefwyn. Bolała go noga, nieznośnie, z trudem panował nad narastającą irytacją. – Wiele z nich, jak się zdaje, trafiło w sedno, mistrzu Emuinie. Mów dalej, nie rozdrabniaj się, jakbyś rzucał jałmużnę. Chcę poznać twoje argumenty. Opowiedz, co straszego zaszło według ciebie w Althalen i skąd się wziął ów

Barrakketh.

–Młody królu, Mauryl walczył z tym czarodziejem jeszcze w Galasjen. Mauryl widział w Barrakkecie i jego kuzynach niszczycielską siłę, bezlitosną siłę, tak bezlitosną, że jest na to specjalne określenie w galasjeńskim języku; siłę pozbawioną najmniejszych skrupułów. A mimo to był uczciwy. Mauryl uważał go za uczciwego. Zmagał się z czarodziejami za pomocą magii. Magii, zauważ, nie czarów. I ludzi z mieczami. Nie wiem, dlaczego. Mauryl powiedział, że nie byli to Ludzie w znaczeniu, jakiego dziś używamy. Prawdziwy Sihhijczyk posiadał wrodzoną, nie wyuczoną moc, której nie sposób było przełamać. Życzeniom prawdziwego Sihhijczyka, ja to tak rozumiem, przy czym ogarnia mnie strach, czary nie mogą łatwo przeciwdziałać.

–To jakiś bóg – mruknął Idrys cierpko z założonymi rękoma, podchodząc do stołu. – Opiszesz boga, mości szara opończo.

–Blisko celu – odparł oschle Emuin, pociągając pokaźny łyk grzanego wina. – O wiele za blisko, jak na mój gust. Polowanie na czarownice, wszczęte przez quinaltynów, wymiotło sporą grupę czarnoksiężników. Ostało się wprawdzie kilku czarodziejów godnych tego miana, Wasza Królewska Mość, lecz żaden z nich nie mógłby pomieścić Hasufina bądź Barrakketha.

–Och, daj spokój – powiedział Cefwyn. Do tej pory był żywo zainteresowany, lecz teraz wziął głębszy, lżejszy oddech, zabierając się za masowanie zaognionej rany na udzie. – Nasz Tristen? Krwiożerczym potworem? Nie wierzę.

–Zapytaj wrogów Barrakketha.

–Idrys śledził losy Hasufina Heltaina wśród stosów zapleśniałych kronik. I odnalazł jednego Hasufina w królewskiej rodzinie. Cóż się więc z nim stało? Nadal żyje? Czy też straszy w Althalen, hę?

–Panie, zabiłem to dziecko, ja, własnoręcznie, na polecenie Mauryla. Zabiłem ostatni ze śmiertelnych przyodziewków Hasufina. – Starzec kołysał się w przód i w tył, zafrasowany, po czym wychylił do dna kubek. – Jak ci się wydaje, Wasza Królewska Mość, zostało jeszcze co nieco w garncu?

Emuin miałby zabić dziecko?

–Idrysie. – Cefwyn też poczuł chłód. Idrys rozejrzał się, napełnił kolejną czarę i odlał trochę do garnca, który przysunął bliżej ognia.

Emuin napił się, sprawiając przy tym wrażenie, jakby w równym stopniu cieszył się z ogrzania rąk, co wnętrzości. Jakże krucho wyglądał. Skóra była blada i cienka, niedawno zmoczone włosy i broda wysychały białymi kosmykami. Ramiona stały się niezwykle wąskie.

Nie wolno mi go utracić, pomyślał Cefwyn. Nie wolno.

–Skąd się dokładnie wzięła – zapytał, chcąc ostatecznie wyjaśnić całą sprawę – kara; jaka spotkała Elfwynę ze strony Mauryla? Czy chodziło o grzech jego ojca? O odwet?

–Wszystko wzięło się ze strachu, Wasza Królewska Mość. Ze strachu nie tylko przed Hasufinem, choć i to był okropny strach, ale przed połączeniem wielkiego czarnoksiężstwa Hasufina z wrodzoną sihijską magią, jakkolwiek owego czasu znacznie już osłabioną. Nikt nie potrafił przewidzieć, co się stanie, gdy czarodziej dość silny, by wywinąć się śmierci, wniknie w ciało Sihijczyka. Nikt tego po prostu nie wiedział.

–Myślałby kto, że wy, kapłani, znacie te sprawy od podszewki – wtrącił Idrys.

–Wasza Królewska Mość, nie zniosę dłużej jego docinków. Nie sądzę, bym na nie zasługiwał. Dość mam trudności z wyjaśnieniami.

–Mogłeś tu być z nami – odparł Idrys ostro. Emuin zacisnął na chwilę usta.

–Racja, mogłem, by dowarzyć swoją porcję piwa. Kto wie, czy nie byłoby ci później przykro, gdybym tak odbił w lewo czy w prawo siłę, jakiej bieg nadał Mauryl. Jego czar wciąż Przyzywał, wciąż Przyzywa, panie. Ostrzegałem cię o tym; do dzisiejszego dnia nie chciałem zagrażać drogi owej sile moimi marnymi wysiłkami, gdyż równie dobrze mógłbym regulować wylaną rzekę, nie wiedząc, co leży w dole strumienia. Tak wygląda różnica między mną a tymi, którzy biorą się za rzeczy dla nich niezrozumiałe, panie, a jest to zwyczaj pewnych osób, które mógłbym wymienić z imienia!

–Spokój, spokój, na bogów, zapomniałem już, jaki hałas robicie, będąc pod jednym dachem. – Cefwyn nalał sobie wina z dzbana na stole, ostudzonego i nietkniętego, łudząc się nadzieją, że ustanie wreszcie ból w nodze, teraz odzywający się do wtóru z bólem głowy. – Krótko mówiąc, nie wiesz, z czym mamy do czynienia?

–Miałem dość czasu, by o tym myśleć.

–Więcej czasu, niż miewa większość ludzi, gwoli ścisłości – dodał Idrys.

–Spokój! Do licha, Idrysie, pozwól nam wysłuchać bez przeszkód jego sprawozdania.

–Tristen przebywa w Althalen – oznajmił Emuin.

–Jesteś tego pewien?

–Jestem pewien. Także, w czarodziejskim sensie, Hasufin. Oraz coś... uwolnione na skutek jego działań. Nie chcę o tym myśleć. Szybko! Zadaj mi następne pytanie!

–To samo pytanie! Co zamierzał Mauryl? Z czym mamy do czynienia? Dlaczego

Barrakketh?

–Ta sama odpowiedź, Wasza Królewska Mość: dziewięćset lat temu Mauryl wybrał Sihhijczyków na następców ludu Galasjenów. Mauryl napuścił Barrakketha na ziemię południa, z dalekiej krainy u szczytów Hafsandyru, która według słów Mauryla była jego kolebką. Nikt nie wiedział w tej materii niczego więcej. Barrakketh przybył w bojowym rynsztunku, z brutalną bezwzględnością podbił ziemię dzisiejszego Elwynoru, Amefel i Lanfarnesse. Nie chciał wejść między Ludzi, lecz jako Najwyższy Król władał z Ynefel, będącej w równie jak dziś opłakanym stanie: rozkazał wybudować Althalen wraz z jego luksusami, lecz rzadko ruszał się z Ynefel, chyba, że na czas wojny, i zawsze, z jednym wyjątkiem, płodzenie potomków pozostawiał garstce przybyłych wraz z nim Sihhijczyków, którzy ochoczo wywiązywali się ze swego obowiązku.

–To on czarną sztuką umieścił twarze na murach? – zapytał Cefwyn. – Wnoszę, bowiem, że treść pogłosek odpowiada prawdzie.

–Owszem, twarze są obrzydliwie prawdziwe, przyczyniają się jeszcze do wzmocnienia fortecy. Wiem tylko to, co mi powiedział Mauryl: mury Ynefel stały się takimi, jakimi są, podczas starcia między Barrakkethem a Hasufinem Heltainem.

–No i Maurylem.

–I Maurylem.

–Który musiał być cholernie zapracowanym człowiekiem. Czemu miałby się przejmować uczynkami Hasufina? Był stary. Umierał.

–Wasza Królewska Mość. On nie żyje. Ale nie wiem, czy umierał.

–To znaczy?

–Przegrał, panie. Przegrał ze swoim wrogiem. Teraz musimy uporać się z Hasufinem. Mauryl nie należał jednak do ludzi, którzy toną, nie pomyślawszy o zemście. Mamy jeszcze Tristena.

–Zemście na kim?

–Dobre pytanie. Co obiecał Marhanenom, kiedy po raz drugi powstrzymał Hasufina? Wieczyste panowanie? Wątpię. Mauryl obiecał Elwynimom króla. Czy zrobił to z miłości dla nich, czy też w celu niejakiego wyrównania krzywd Sihhijczykom? O wiele za słabo kochał twego dziadka czy ojca. O wiele za długo nie raczył opuścić Ynefel, by się dowiedzieć, jakim zostaniesz królem. Czy taki człowiek, zwany Twórcą Królów, złożony całą władzę w ręce Marhanenów i elwynimskich regentów, zamyka się przed dostępem wszelkiej władzy świata, by przez osiemdziesiąt lat nie pisnąć ani jednego słowa? Czy tak postępuje człowiek, który sprawował rządy spoza tronów dwóch królestw? Nie wierzę, by poszedł na

dno, nie wymyśliwszy jakiegoś sposobu na wyrównanie rachunków.

Znać było, że Emuina nie łączyły z Maurylem nazbyt przyjacielskie stosunki. Kto wie, czy ów fakt nie wypaczał całej relacji.

–Mógł zesłać zarazę na mojego dziadka. Któż z nas miałby coś przeciwko temu? Ale on przysłał nam miłego i skromnego młodzieńca.

–Czego się obawiałem. Mauryl nie złożył żadnej przysięgi twemu ojcu, ani hołdowniczej, ani nawet na wierność. Niewiele by sobie z niej robił.

–Ale Tristen złożył. Przysiągł mnie bronić. Uczynił to w pełni świadomie. Naprawdę przysiągł, Emuinie.

–Wiem o tym. Być może to rodzaj Maurylowego sprawdzianu: miałbyś poradzić sobie z młodym Barrakkethem.

–Coś na podobieństwo lekcji? Zgadnij powód. Zgadnij cel.

–Mój dawny uczeń pamięta.

–Cholernie dobrze pamięta, stary nauczycielu. Ale czy na tym kończą się twoje teorie?

–Ta jest najbardziej optymistyczna. Nawet najsroższą magię da się poskromić, choć czasem wydaje się to nieprawdopodobne. Dlatego też mówiłem: „Zdobądź jego miłość”. My, czarodzieje, mamy swojego bzika, jesteśmy niecierpliwi. Żyjemy długo (chyba, że zaniechamy swych praktyk), więc wobec głupców stajemy się cholernie nerwowi. To najgorsza rzecz związana z długim życiem. Widzi się tak wiele błędów popełnianych wciąż na nowo i na nowo. Człowiek robi się wówczas nieco szalony i srodze rozgniewany. Mauryl... był mistrzem wśród czarodziejów. Był Człowiekiem, jak zawsze sądziłem, w takim sensie, że sam nie był Sihhijczykiem. Nikt tak naprawdę nie wiedział, przy kim się opowiadał.

–Nikt tak naprawdę nie wiedział – odezwał się Idrys jak echo. – A któremu panu ty służysz? „Zdobądź jego miłość, Wasza Książęca Mość”, „Zdobądź jego dobrą wolę”, słowem nie wspominając o jego naturze. Cholernie późno, mości kapłanie, przybywasz ze swą radą!

–Nareszcie mnie zrozumieliście. Dopiero teraz, kiedy zalał wam za skórę. Dostrzegam strach, panie, który może cię zniszczyć; ale widzę też respekt dla czegoś, co w żadnym aspekcie nie przypomina ciebie. Masz do czynienia ze swym największym wrogiem. Jego dobra wola nadal jest twoją największą nadzieją.

–A nie mówiłem, że to czarodziej? – mruknął Idrys i podreptał z powrotem pod drzwi, drapiąc się po karku.

–On nie jest czarodziejem – bąknął Emuin podnosem.

–W owym człowieku – rzekł Cefwyn – czymkolwiek on jest, w tym, którego poradziłeś mi zdobyć, w tym przyjacielu, w tym moim zaprzysięgłym przyjacielu, nie mieszka żadne zło. Bodaj zaraza zjadła twoją podejrzliwość, Emuinie! Nie wierzę, by on był moim wrogiem. Nie dopuszczam do siebie takiej myśli.

–Może to i lepiej – odparł Emuin. – Biorąc wszystko pod uwagę, może to i lepiej.

–Cóż to za lekcji mi udzielasz! Coś innego chodzi ci po głowie, mój panie. Gadaj zaraz!

–Owe czary w swej najdoskonalszej formie nie mają nic wspólnego z rzucaniem klątw na bydło. Tym, czym są Sihhiczycy, czarodzieje desperacko usiłują zostać. Hasufin nie był większym czarnoksiężnikiem od Mauryla. Lecz skorym do oszustw. Zanadto chętnym do działań w fizycznym świecie, jak mawiał Mauryl. Tu jakiś zamach, tam jakiś czarodziejski fajerwerk... Mauryl nim pogardzał. Obawiam się, że przekazał Hasufinowi głęboką wiedzę, zanim uświadomił sobie charakter jego natury. Sztuka czarów wymaga, by człowiek zajrzał do swojego wnętrza i stanął twarzą w twarz z najgłębiej ukrytymi wadami, ażeby, zdaniem Mauryla, nie miały wpływu na zaklęcia: przychodzi taka chwila, kiedy człowiek uzmysławia sobie posiadaną moc, a wtedy wady mają równy wpływ na czarodzieja, co czarodziej na zaklęcia.

–Podobnie rzecz ma się z królami – stwierdził Cefwyn, czując, iż odbiegli daleko od tematu.

–Oraz z Tristenem. Oto pułapka, którą Mauryl zastawił na ciebie, na mnie i na Elwynimów pospołu.

–Uciekasz mi.

–Czy przeżyć życie bez niego, panie, czy też z własnego wyboru przywrócić królestwo magii w świecie Ludzi? Quinalt ze swym wstrętem do czarnej magii pozostawił nas bezbronnymi w starciu z bodaj najbliższym życzeniem tego chłopca i miejmy w bezsilnych bogach nadzieję, że uda nam się znaleźć na to jakieś lekarstwo. Mauryl pozostawił mi ostatniego, ostatniego nauczyciela magii wyższego rzędu, która by miała jakąkolwiek szansę przeciwstawić się życzeniom młodzieńca.

–O ile mi wiadomo – powiedział Cefwyn, ze złością doświadczając nader niezwyklej u niego wilgoci w oczach – Tristen życzy sobie przede wszystkim mojego szczęścia. O czym my tu mówimy? Tristen wskazał nam wroga! A mimo to mówimy o Tristenie jako o zagrożeniu!

–Tak czy inaczej – stwierdził Idrys – tak czy inaczej słucham tego, co mówi Emuin, Wasza Królewska Mość. Jego słowa budzą we mnie niepokój. A słowa was obu budzą we mnie niepokój wręcz gorączkowy.

Cefwyn obrzucił Idrysa chmurnym spojrzeniem, zdając sobie sprawę z jeszcze innego

niebezpieczeństwa, jakiego Emuin nie wziął pod uwagę: lojalności Idrysa i jego spostrzegawczości. Idrys złożył mu przysięgę hołdowniczą. Przysięgę wierności. Jednakże swoim podejściem do Marhanena, jakiego owe przysięgi nigdy nie dopuszczały, wywoływał w nim wątpliwości, komu właściwie on służy: czy jemu jako królowi, czy królestwu, czy też jakiemuś innemu człowiekowi; a może kieruje się niesprecyzowanym poczuciem honoru?

Idrys dokonywał oceny świata, posługując się jakimś schematem, który, dotychczas, nie okazał się sprzeczny z jego osobistym dobrem.

Musiał wobec tego zadać sobie pytanie, czym jest to jego dobro lub czym może być, a także czym jest dobro Tristena i czym ono być może.

Zgodnie ze słowami Emuina Tristen znajdował się obecnie w Althalen. Z Hasufinem.

Skąd, u licha, on to wiedział? Gdzie czarodzieje zdobywają podobne informacje?

Lecz Emuin twierdził, iż Tristen nie jest czarodziejem; i że przypuszczalnie nie używa czarów, cokolwiek to zgrabne słówko miałyby oznaczać. Nie wiedział już, w co ma wierzyć, siedząc przy stole obok człowieka, który, zamroczony winem, chylił się ku drzemce, a który robił rzeczy, jakich nikt by się po nim nie spodziewał.

W niewielkiej zrujnowanej niszy, w tej części murów, gdzie ostało się jeszcze kilka podobnych arkad, po wykopaniu grobu dla regenta Elwynimi usypali nad nim w dżdżystych ciemnościach stos pozbieranych na pobliskim gruzowisku kamieni. Przynieśli z namiotu lampkę. Jeden z mężczyzn osłaniał ją wyciągniętym ramieniem i płaszczem, podczas gdy pozostali pracowali w skąpym świetle, aby umocnić murek i zapewnić regentowi bezpieczne miejsce spoczynku.

Lady stała przy Tasienie i dwóch pozostałych lordach – spokojna, mała postać w kolczudze i ciężkim męskim płaszczu z kapturem; który należał przedtem do jej ojca, pomyślał Tristen, podobnie jak diadem doń należał i bez wątpienia kolcza koszula, nałożona na suknię i sięgająca niemal kolan.

Nie należała do wysokich kobiet, nigdy nad nikim nie będzie górowała, niemniej cechowały ją siła woli i wysoka inteligencja. Była bardzo młoda i przyzwyczajona do wydawanych przez lorda Tasiena decyzji, aczkolwiek nie zawsze się z nimi zgadzała; Tristen uważał, że lord Tasien przywykł do rozkazywania na skutek rosnącej słabości i niemocy regenta. Tasien sprawiał wrażenie zacnego i godnego zaufania człowieka, nawet, jeśli powątpiewał w uczciwość zamiarów Tristena. Tasien starał się chronić lady przez wzgląd na jej wiek, równocześnie szanując jej opinie – była przecież spadkobierczynią swego ojca.

W gruncie rzeczy Tasien, co wydawało się rozsądną postawą, usiłował tylko nie dopuścić, by lady za radą nieznanego wybiegła niebacznie w ciemności; chyba, że Tasien zdawał sobie sprawę z obecności złych mocy, których krąg z każdą chwilą zacieśniał się wokół ruin.

Tristen czuł, że Ninevise jest ich świadoma. Odnalazłszy owo szare miejsce, wciąż nim szarpała, działała nazbyt pochopnie, przez co groziło jej wielkie niebezpieczeństwo.

Stare linie murarzy jak na razie powstrzymywały napór Cieni. Wierzchowce zaczęły się niepokoić: one wiedziały. Ludzie zajęci ich siodłaniem mieli z nimi wiele kłopotów.

Zrezygnowano z wozu: Tasien roztropnie usłuchał rady Tristena, wychodząc z założenia, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócą po wóz i po cały pozostawiony na nim ładunek, a jeśli pójdzie źle, niczego im nie będzie potrzeba. Tasien zarządził jednak, by z namiotu zabrano kilka przedmiotów, między innymi sztandary, rozmaite skrzynki i przynajmniej część osobistych lady, które następnie przytroczono do grzbietów dwóch koni, tych ciągnących zazwyczaj wóz. Wszystko to odbywało się równocześnie z pochówkiem.

Gdyby zechciano skorzystać z jego pomocy, pomyślał Tristen, chętnie sam by pozbierał kamienie i ułożył na właściwym miejscu. Budowa posuwała się w przerażająco opieszałym tempie wśród miarowego klekotu kamienia o kamień, gdy wprzód tworzono sklepienie, a następnie, po uprzednim złożeniu do środka ciała regenta, pieczętowano otwór, znów kamień po kamieniu. Tymczasem świadomość Tristena wychwytywała pośród otaczających ciemności oznaki słabnięcia linii na ziemi, nadwątlonych wskutek zburzenia dawnego wzoru, oraz coś jakby czyjaś obecność, napierającą na nich coraz natarczywiej, zajęta poszukiwaniem, jak sądził. W grę wchodziły nie tylko czary, ale i ludzie, wielu ludzi. Dla takich oczu blask lampki, przy której pracowali, stanowił świetlny drogowskaz. Miejsce obrośnięte było zewsząd chaszczami: skrywały wprawdzie ludzi, lecz w równej mierze maskowały zbliżające się, przynajmniej w świecie materialnym, niebezpieczeństwo.

Nie śmiał sięgać w szarość zbyt często i zbyt daleko, aby nie sprowadzić na nich szybciej kłopotów, choć wiedział, że i tak nadciągają. Teraz obrały jednak określony kierunek. Stał pokornie i cicho, jak inni, lecz trapiło go złowrogie przecucie, wrażenie zagrożenia napływało wyraźnie od strony, gdzie ludzie rozbierali szczątki starego sklepienia, by wzmocnić nowe. W miarę jak przynosili kolejne kamienie, owo zagrożenie narastało w powietrzu, zawiewało od północy... Tak, teraz zdecydowanie od północy. Zastanawiał się nad ostrzeżeniem lady, lecz jego obecność i tak ledwie tolerowano, a nie chciał ich sprowokować do popełnienia jakiegoś jeszcze większego głupstwa.

Być może ona też to czuła, chociaż w Tristenie świadomość owego szarego miejsca dojrzewała powoli. Aby sięgnąć daleko w przestrzeń, należało wiedzieć o takiej możliwości. Ona sięgała co jakiś czas, lecz, zdaniem Tristena, robiła to przypadkowo: pragnęła zobaczyć swego ojca, z czym wiązało się niebezpieczeństwo. W tym drugim Miejsku jaśniała niby pochodnia. Była zdenerwowana i lojalna względem starca, a to bez wątpienia przyciągało uwagę.

Tristen sądził, że na zewnątrz, w szumiących deszczem ciemnościach, nie czai się li tylko jedna obecność. Postrzegał teraz dwa nieznacznie różniące się od siebie źródła: jedno szerokie i rozmyte wskutek odległości, drugie znajdujące się zatrwająco, paraliżująco

blisko. Owo nieuchwytnie, silne i chytre odpychało to rozmyte, które Tristen wyczuwał niezwykle słabo i postrzegał niby mgiełkę w szarej przestrzeni, zarysowaną na tle szarości.

Nieuchwytna istota znajdowała się bardzo, bardzo blisko, szczelnie zasłonięta, wypełniając powietrze, Ignąc do kamieni, jakby zawładnęła wszystkimi chroniącymi ich ścianami; nie czuł jej, dopóki nie przystąpili do pracy.

Wtem zerwał się wicher. Pochylane drzewa wzdychały i huczały na wietrze. Wzmogło się uczucie zagrożenia. Wichura szarpała płaszczami, rozchylała ich brzegi, wyszarpywała je z ramion, tak, że ich właściciele z trudem nad nimi panowali. Tristena okrywał Cefwynowy płaszcz; podmuchy wiatru przyciskały go do ciała i kołysały młodzieńcem. Jeden z koni zakwiczał głośno, wysyłając ostrzeżenie poprzez ciemności i strugi deszczu; w pomroce majaczyły cienie ludzi męczących się, by go uspokoić.

Pozostał już tylko mały otwór u szczytu wybudowanego przez nich muru, a tymczasem coraz wyraźniej czuło się, iż w powietrzu wisi coś złowieszczonego. Tasiem położył wielki kamień, a po nim, nareszcie ostatni, lady. Oparła czoło o mur i, jak się domyślał, rozmawiała z ojcem: wyczuwał zaburzenie w szarym królestwie, równie donośne, co niedawny kwik konia. Myślał:

–Prędeż, hej, prędeż, pani, idźmy już stąd! Czyżbyś niczego nieczuła?

Chyba go usłyszała. Odwróciła się z wystraszoną miną. Jęki gałęzi porastających pobliskie zbocze drzew i szумы listowiaomal nie zagłuszyły łoskotu pioruna.

Raptem rozległ się kolejny dźwięk, nie w powietrzu, ale na ziemi, jakby tętent biegnących koni, z każdą chwilą głośniejszy.

–Jeźdźcy! – wykrzyknęła, a jeden z pracujących nieopodal mężczyzn wyciągających kamienie ze spękanej arkady odskoczył wstecz, kiedy z hukiem i bez widocznego powodu runął! cały fragment muru.

W rumowisku znajdowały się blade kości, kości sterczące spomiędzy pokruszonych kamieni. A więc, grzebiąc między kamieniami, naruszyli czyjś grób. Szczątki leżały dobrze ukryte w obrębie chroniących je ścian, wraz z ich naruszeniem dławiący strach padł na ludzi.

Odpowiedzialny za lampkę człowiek przegrał starcie z mokrym podmuchem wiatru.

Światło zgasło. Wicher popychał coś hałaśliwego po płytach, a w szarym świetle błękitne linie zmętniały i poczęły powoli zanikać.

–Pani! – ostrzegł.

–Uciekajmy stąd! – zawołała Ninevrise. Tasiem chwycił ją za ramię i rzucili się do koni,

pozostali biegali w popłochu.

Tristen pędził wraz z resztą, zagryzając wargi i błagając w myślach o pośpiech, by przypadkiem nie wywiązała się kolejna dyskusja czy cokolwiek, co mogłoby ich spowolnić.

Wśród czekających koni, przewracając oczami i błyskając białkami, stał Petelly. Gdy Tristen odbierał lejce od trzymającego cztery konie mężczyzny, uszy i serce obwieściły mu, że od północy przez zarośla przedzierają się jeźdźcy.

–Caswyddian! – usłyszał jeden głos, a potem drugi, Tasiena: – Powstrzymaj ich, sierżancie! Jak długo się da, a później spróbuj do nas dołączyć! Regentka musi żyć!

–Tak, panie! – odparł zagadnięty, po czym szybko wyrecytował imiona tych, którzy mieli pozostać. Ninevrise usiłowała zaprotestować.

–Nie ma innego wyjścia, pani! W konie! W konie!

Lady, dwóch ludzi i lordowie rzucili się do ucieczki, Tristen szarpnął za łeb Petelly'ego i pognął z nimi ku południowej części kręgu murów, gdzie otwór drzwiowy zrujnowanej sali zapewniał wyjście z ruin. Dogoniła ich pewna liczba ludzi, ale nie wszyscy: została przynajmniej połowa żołnierzy.

Dla nich nie było już nadziei, pomyślał Tristen. Absolutnie żadnej nadziei wobec tego, co nadchodziło. Mógłby ich wesprzeć, nie miał jednak broni, a oni bali się go nie mniej niż swego wroga; prócz tego lady, lady należącej do Cefwyna, nic się nie mogło stać. Wiedział, gdzie biegnie droga – dostrzegał lśniąco w mroku linie, ostrzegające przed przeszkodami, których Tasien nie widział. Przestał się troszczyć o jadących z tyłu ludzi, wciąż popędzając Petelly'ego. Rumak rozpychał się, dopóki nie wysforował się na czoło.

–Widzę ścieżkę! – zakrzyknął i, czy to się Tasienowi podobało, czy nie, objął przewodnictwo, prowadząc resztę zawiłym szlakiem wzdłuż starych ścian, poprzez zrujnowane przejścia i wokół cysterny na wodę, po której ziała w ziemi dziura. Wiatr smagał ich po twarzach. Deszcz oblewał Tristena, woda szczypała w oczy. Usłyszał – w jednym ze światów – szcęk oręża, stukot kopyt na kamieniu, krzyki i wrzaski ludzi walczących za nimi o życie, podczas gdy ziemski wicher gwizdał setką głosów. Czuł, jak wszystkie jego zmysły zostają równocześnie osaczone; Petelly spłoszył się pod nim, próbując skoczyć dokładnie wtedy, gdy zamajaczyła przed nim ściana.

Nie wiedział, jak udało mu się przeskoczyć. Stracili dwóch ludzi. Minęły go konie z pustymi siodłami. Niemniej pozostali nadal trzymali się Tristena, a Petelly rzucał łbem, chcąc zobaczyć coś mimo dmuchającej im prosto w oczy wichury.

Kierował się nieustannie na południe. Zachęcał Petelly'ego rękoma i kolanami, widząc przed sobą linie murarzy, po czym skręcił nagle w dół zarośniętego chaszczami stoku, gdzie panowała niezmacona ciemność, by po chwili znów zwrócić się na południe, jakkolwiek w

uszach wyły mu głosy, a wokół przelewały się strumienie Cieni.

–Gdzie on się podział? – usłyszał czyjś przerażony krzyk.

–Tędy! – zawołał. Usłyszawszy przekleństwo, zatrzymał się u podnóża stoku. Petelly drżał i dysząc, łapał oddech.

Zjechał Tasien, a z nim lady. W blasku błyskawic ujrzał następnych jeźdźców, pędzących na łeb, na szyję. Wiedział, iż nie spisał się najlepiej. Powinien był trzymać cały oddział w całości, nie pozostawiać nikogo z tyłu na pastwę Cieni. Nie ulegało dlań wątpliwości, że spośród wszystkich, którzy mogli ich ścigać, ci z szarego świata są najbardziej śmiercionośni i najtrudniej przed nimi uciec.

Wówczas na szczycie skarpy rozległ się tętent kopyt, a skoro wszyscy uciekinierzy zjechali już na dół, tedy, pomyślał, albo pogoń minęła ich o włos, albo też reszta oddziału usiłowała się z nimi połączyć. Towarzysze Tristena szarpali za cugle oszalałych, sapiących ciężko koni. Wszyscy jak na komendę zadarli głowy w przestkach, próbując ustalić źródło owego dźwięku, lecz burza i krzaki zasłaniały całkowicie widok jeźdźców zmierzających do ślepego zaułka, przed którym Tristen zjechał ze skarpy.

–Za mną! – zawołał. Usłuchali.

Emuin udał się do łóżka w głuchej ciszy, jaka nastąpiła po tak strasznych zwierzeniach. Utykając, doprowadzony tego wieczoru przez ból do punktu rozpaczliwej wściekłości, Cefwyn przemierzał komnatę tam i z powrotem, świadomie przywodząc się do wybuchu, do jakiego normalnie brakowało mu odwagi. Idrys musiał to wyczuwać, ponieważ nie wspomniał ani słowem, iż go wcześniej ostrzegwał.

–No więc? – naskoczył na Idrysa. – Powiedz, że nie miałem racji!

–Lord Tristen uratował ci życie. Nie zapominam o tym ani nie zapomnę.

Jeszcze dwukrotnie Idrys wymknął mu się unikiem. Pozbawiał go chytrze możliwości wyładowania się na kimś, kto się będzie w stanie obronić.

–Emuin się go boi – stwierdził Idrys. – Być może za bardzo. Ty zaś... niedostatecznie.

–Tylko ty w sam raz, co?

–Niczego takiego nie twierdzę. Sądzę tylko, że Emuin miał rację, a ja się myliłem co do tego, jak z nim postępować. Z początku, nie teraz.

Trzeci unik.

–Co więc mamy robić? Cóż powiadasz? Do licha, Idrysie, nie jestem dziś w nastroju. Rana

piecze jak sto diabłów. Mów jasno.

–Powiadam, miłoścy panie, że nader słaby w sprawach magii, lecz jeśli Emuin bodaj w połowie mówi prawdę, Forma dopnie swego czy to usadowiona w Elwynorze, czy też w Ylesuinie. Ale czyżbym się przesłyszał? Wasza Królewska Mość uczył się od Emuina?

–Emuin jest pełen sprzeczności. Zastanawiam się, czyby nie odesłać go z powrotem do mnichów. Nazbyt krótko przebywa w towarzystwie pragmatycznych ludzi. Co, u licha, mam teraz począć? Słyszałeś dzisiaj choćby jedną rzeczową radę? Bo ja nie. Niczego konkretnego. Niczego, co pomogłoby mi zaprowadzić pokój na pograniczu. Obietnice Emuina biegną w przeciwnym kierunku, nie odniosłeś takiego wrażenia?

–Zawsze biegły w przeciwnym kierunku. Wasza Królewska Mość. Nie doradzam beczynnego siedzenia, ale... – Idrys podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, cień na tle błyszczącej, czarnej szyby. Po szkłe spływał deszcz. Błyskawica na chwilę rozjaśniła krawędzie, na zachodzie zadudnił grom. – Nie ufam lordowi Ynefel. Znacznie mniej jednak ufam osądom Emuina.

–Myślisz, że Emuin ulega jakimś złudzeniom?

–Zapewne nie dowiedzieliśmy się całej prawdy od niego i chyba nigdy już się nie dowiemy. – Uniosły się ramiona Idrysa, jakby zrobiło mu się nagle zimno, po czym żołnierz się odwrócił. – Rzekłem Emuinowi, zanim wyszedł, że źle ci się przysłużył. Zaprzeczył. Lordowi Tristenowi zapowiedziałem, że jeśli cię skrzywdzi, będzie miał we mnie wroga. Dobrze o tym wie. Niestety, nie przewidziałem jego rejterady do Althalen, przyznaję i poczuwam się do winy... Mogłem przynajmniej poinstruować gwardzistów, którzy wiedzieli, jaką darzysz go łaską.

–Szkoda, że i ja niczego nie przeczułem. Choć może naturalne przesłanki nie miały z tym nic wspólnego. Czarodzieje. Sięganie wzrokiem do Althalen. Emuin nigdy nie zwierzał się przede mną z podobnych umiejętności. Ale Tristen powiedział prawdę. I on jest podatny na te czarodziejskie sztuczki. Gdyby nie on, przysięgam, nie uwierzyłbym teraz Emuinowi. Daję głowę, jego ostrzeżenia pochodzą z jakiegoś innego źródła... Do diaska, zlekceważył moje wiadomości!

–Teraz już wierzymy, że martwi mogą chodzić po ziemi. Czyż mamy zatem prawo w cokolwiek nie wierzyć? Boję się, panie, o naszych ludzi w Emwy. Żaden z wysłanych wieczorem zwiadowców nie powrócił, z którejkolwiek strony. Być może z powodu ulewy. Na dodatek mistrz Emuin nie chciał rozmawiać o Althalen. To mnie w dwójnasób niepokoi. O tej porze ludzie powinni już wyruszyć na poszukiwania owych zaginionych zwiadowców, wzdłuż gościńców, by znaleźć ich, jeśli przyczyną zwłoki była pogoda lub na przykład okulawiony koń. Jeżeli ich nie spotkają, dojadą aż do samych granic w celu zorientowania się w sytuacji, po czym zawrócą, gdy tymczasem trzeci komplet posłańców rozjedzie się po okolicznych drogach.

Tak wyglądał nowy, dopiero co zaprowadzony przez Cefwyna porządek, specjalnie po to, aby co noc odbierać raporty z tego niespokojnego pogranicza; porządek, który już uległ zakłóceniu. Cefwyn miał nadzieję, że to ze względu na związany z wprowadzeniem nowego systemu bałagan, jakieś niezrozumienie rozkazów, a może przez pogodę, czemu by nie: mosty zerwane, wezbrane rzeki – zwyczajne rzeczy, nic straszego.

–Niech go lichy porwie! – powiedział. Mając na myśli Emuina.

–Mości szara opończa jest wielce zafrapowany – rzekł Idrys. – Nie chce wypowiadać się na temat zachowania Tristena. Milczy o Althalen. Pierwszy raz widziałem, by wypił tyle wina. Wcale nie chciał tu wracać. Dostrzega niebezpieczeństwo i być może nazwał je dziś szczerze po imieniu.

–Myślisz o tym Hasufinie? O martwym czarodzieju z Althalen?

–Miłościwy królu, on mówił o nim w tejże komnacie, a ty go nie słuchałeś. Kiedy mnie strofował, zdjęty strachem, strach ten dotyczył Tristena.

Droga przed nimi prowadziła labiryntem drzew, porośniętych ruin i zapomnianych fundamentów, ukrytych za zasłoną deszczu i ciemności, wobec czego Tristen nie śmiał zmuszać tu oddziału do szybszego marszu. W jego oczach, a być może też w oczach lady, mury i ślady fundamentów tej odnogi budowli wciąż błyszczały mętnie, pradawne zapory murarzy, jakkolwiek słabo, nadal trzymały, gdy prowadził ludzi wzdłuż zarysów starych ruin.

Mógł jechać szybciej, ale nie chciał ryzykować życia ludzi, zwłaszcza żołnierzy w zbrojach, posuwających się coraz to wolniej, z trudem pokonujących przeszkody. Rozgrywał się kuriozalny wyścig, w którym nie mogli jechać ani za szybko, ani też za wolno, gdyż, wbrew sztuczce na szczycie wzgórza, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ich prześladowcy, Ludzie lub ktokolwiek inny, podążają za nimi pod przewodnictwem kogoś bardziej niż Tristen obeznanego z tymi ruinami. Hasufin był zdolny do wszystkiego, a w szarym miejscu roilo się od Cieni.

Raptem doleciał ich koszmarny zapach, nikły swąd dymu, a potem, nim Tristen dwa razy zamrugał zalanymi deszczem powiekami, płomienne widmo uniosło się wśród zarośli, pobudzając cienie do płasów.

–Podpalili krzaki! – ktoś zawołał. Lordowie ściągnęli wodze w konsternacji, nie chcąc dalej jechać, skrzykując ludzi wokół siebie.

Czy ogień płonął w rzeczywistym świecie, czy też nie, Tristenowi zdawało się, że górne krawędzie prawdziwych murów połyskują czerwienią, że nieboskłon pojaśniał i poszarzał wśród skłębionych chmur, a na oświetlonych ogniem palach, ponad szczytami ścian, unoszą się postaci ludzkie, niczym krąg straszego lasu, na który nie chciał patrzeć po raz drugi.

Kiedy lady i jej ludzie zebrali się wokół Tristena – jedni przysięgali, iż czują dym, drudzy

zaprzeczali, by widzieli jakikolwiek ogień – lord Haurydd zażądał od niego, by poszukał wyjścia, podczas gdy Tasien nazwał go kłamcą.

–Znajdź ścieżkę, mój panie! – zawołała lady przenikliwym głosem, przekrzykując wrzawę. – Widzicie tylko widma, mary. To znane ich siedlisko, jedźmy dalej!

Tristen spał Petelly’ego w nadziei, że za nim ruszą. Wierzchowiec parsknął, oddychając ciężko, gdy Tristen spośród dwóch możliwych ścieżek wybierał tę bardziej na prawo, zrazu na chybił trafił, wnet jednak nabierając przekonania, iż dokonał słusznego wyboru drogi, jaką miał wyprowadzić oddział. Wiatr chlustał im w twarze strugami deszczu.

Tristen mrugał, czując, jak Petelly usiłuje utrzymać równowagę na mokrych liściach. Jeden z koni pośliznął się w czasie zjazdu w dół zbocza, popchnął drugiego, obaleni jeźdźcy i konie walczyli, by wyplątać się spomiędzy drzew i powstać. Tristen odczekał chwilę ze względu na nich, póki nie ujrzał pierwszego wierzchowca i pierwszego jeźdźca na nogach, potem ruszył w dalszą drogę, wyczuwając bliski ratunek.

Uwen, nie ulegało wątpliwości: Uwen znajdował się gdzieś niedaleko. Tristen nie wiedział, jak daleko przed nim, próbował więc wykrzesać więcej sił z Petelly’ego i jadących za nim żołnierzy, lękając się, by nie sprowadzili wroga na oddział Uwena, zapewne również wyczerpany. Kiedy Petelly sunął z wysiłkiem wzdłuż obrzeża ruin, Tristen zerknął przez ramię na starającą się nie zostać w tyle resztę drużyny.

–Stójcie! – ktoś wykrzyknął przed nimi.

Tristen osadził wierzchowca, sięgając ze strachem w mrok i w szarość jednocześnie, aby się dowiedzieć, kto ich okrzyknął. Nadjechała reszta oddziału.

–Ktoście? – zawołał Tasien.

–My w królewskiej sprawie! – odpowiedział głos. – A wy kto? Serce uderzyło żywiej w piersi Tristena. Znał ów głos.

–Uwienie, nie rób im krzywdy! – krzyknął na całe gardło. Gdy złapał drugi oddech, dodał: – Strzeż się ludzi za nami, Uwienie!

–Stójcie, hejże, stójcie! – znów rozległ się głos Uwena. – Wszyscy stać! Niechże przejadą! Toż to lord Tristen. Nie wiem, kogo tam z sobą wiezie, miejcie się tedy na baczności. Ciągną tu jeszcze jacyś inni, co nam pewnie wejść w paradę zechcą!

Z powodu oparów mgły trudno było dostrzec jezdnych na stoku – konie puszczały kłęby pary i dyszały ciężko. Tristen pozwolił Petelly’emu wyjechać na czoło. Obładowany deszczem wicher hulał po dolince, straszył wyczerpane wierzchowce, dmuchając im w brzuchy.

Nagle zabłąkany wietrzyk, ciepły i łagodny, powiał wokół Petelly'ego, za plecami i po bokach Tristena, następnie pod końskim łbem i znów naokoło.

–Źli ludzie – usłyszał szept na wietrze. – Nadjeżdżają źli ludzie, podli, podli ludzie. Uciekaj, uciekaj, uciekaj! Mama, uciekaj!

Był to dziecięcy głos. Głos Seddiwy.

–Dziecko! – zawołał za nią.

Jednakże niewyraźna, dziecięca figurka biegła już niby chochlik pośród żołnierzy, wymachując ramionami, strasząc kolejno konie.

Potem przyszło coś mrocznego i gniewnego. Drzewko rosnące na prawo od Tristena pękło z głośnym trzaskiem. Pękały następne, ich białe rany mieniły się w ciemnym gąszczu. Od strony wzgórza i rozciągających się tam ruin również dolatywał trzask łamanych krzaków, wkrótce zmieszany z wrzaskami przerażonych ludzi. Stojący opodal Elwynimi rozglądali się trwożnie, lecz w pobliżu przestały się łamać drzewa. Istota, nie, mnóstwo istot podążyło za dzieckiem w kierunku, z którego przybyli. Tristen usiłował je zobaczyć, lecz były ciemnością w szarości, ciemnością osnuwającą cały Althalen.

Po krótkiej chwili wiał już tylko zwyczajny wiatr. Rozległ się huk pioruna.

Raptem na stoku pokazał się jeździec, nie bacząc na wszystko, co było nienaturalne; nawet w mroku Tristen rozpoznał to zachowanie i tę sylwetkę.

–Uwen!

–Panie, cóż tam z tyłu się czai? – Uwen gotów był widocznie walczyć z czymkolwiek, co im zagrażało; Elwynimi, dobywszy mieczy i osłoniwszy swą panią, obrócili się, patrząc w stronę łamanych chaszczy i wichrowych podmuchów.

Jednak wróg, który powinien był już ich dopaść, znajdował się na szczycie wzgórza, gdzie nie dało się nic dostrzec prócz nocy i ulewy.

–Aleśmy się nagonili po tych przeklętych ruinach – mówił Uwen na lewo od Tristena, zasapany, spoglądając ku górze z mieczem w dłoni. – Czasem trafiał się szlak, czasem znikał, a potem, psiakrew, wybacz panie, czuć było ogień, choć przecie padało.

Ninevrise i Tasien podjechali bliżej, ten ostatni z mieczem w ręku.

–To twoi ludzie? – zapytał Tasien.

–Uwen należy do mnie – odparł Tristen. – Kim są tamci, Uwenie?

–Ivanimi, panie, wszyscy cię szukamy. Długi to był pościg, aliści zbawienny, żeś wpadł na

nas w końcu. Ruszajmy stąd precz, panie. Tu się coś złego święci.

Rada wydawała się dobra. Nawet Elwynimi ją zaakceptowali i ruszyli z nimi pod górę, ku czekającym tam ludziom.

–Lordzie Ynefel! – rozległ się głos w owej ciemności, pomiędzy cieniami postaci. – Kto tam za tobą jedzie?

–Córka lorda regenta, jego spadkobierczyni, trzech lordów i... – Obejrzał się, niepewny dokładnej liczby. Pozostała jedynie garstka żołnierzy, niemogąca dla nikogo stanowić żadnego zagrożenia. Oraz dzielny, prowadzony przez jednego z ludzi koń juczny, który ostał się przy nich jakimś trafem. – Lady regentka i jej świta, dziesięciu gwardzistów. Jadą na spotkanie z królem Cefwynem!

Tasien krzyknął do góry:

–Prosimy o bezpieczny przejazd, panie, dla Jej Oświeconej Miłości, regentki Elwynoru, wraz z eskortą, w skład, której wchodzi: Tasien, earl Cassissanu, Jego Miłość Haurydd, earl Górnego Saissonnd, oraz Jego Miłość Ysdan z Ormadzaranu. Lord Ynefel zgodził się zostać naszym zakładnikiem, rękojmią na wypadek niestosownego zachowania waszego króla, panie!

–Lordzie Tristenie z Ynefel! – doleciał ze szczytu okrzyk. – Jaka twoja wola?

Wiatr wciąż dął w stronę wzgórza. Ruiny powyżej rozbrzmiewały nowym dźwiękiem, jakby kamienie upadały z łoskotem, jakby mury waliły się wskutek gniewu Cieni – Cieni, pomyślał Tristen, nie umarłych w Althalen, ale tych z Emwy. Stamtąd właśnie przybyło dziecko. I tylko to dziecko ich broniło.

–Przystaję na jego życzenie, panie. Uważam, że powinniśmy jak najszybciej wydostać się na gościniec!

–W bogach nadzieja. – Iwanim zjechał na dół, by spotkać w ciemnościach jego i Uwena. – Kapitan Geisleyn z Toj Embrel, do usług, Wasza Lordowska Mość. Ilu ich tam jest, proszących o bezpieczny przejazd?

–Zaledwie piętnastu – odparła lady, niepytana. Zajaśniały błyskawice, nadając połysk mokrej skórze, mokrej sierści konia, mokremu żelazu. – Kapitanie, zaprowadź nas, proszę, do Jego Wysokości, króla Ylesuinu, o ile przebywa on w Henas'amef. A potem pragniemy w spokoju wrócić za rzekę.

Odważna pani – powiedział Geisleyn. – Jego Królewska Mość osobiście wypowie się na temat waszego powrotu, ale, na honor, ty i twoi ludzie dotrzecie doń bez przeszkód.

.– To brzmi rozsądnie – stwierdziła Ninevrise.

– Jeżeli któryś z Waszych Lordowskich Mości ma pojęcie – powiedział wówczas Geisleyn z pewną dozą nieśmiałości – gdzie biegnie gościniec, sprawimy się znacznie szybciej.

–Za mną! – rozkazał Tristen, jako że nie miał żadnych wątpliwości.

Może rzeczywiście, jak powiedział Uwen, gdy podążali w obranym kierunku, jakieś czary wspomogły jego i Uwena, umożliwiając im spotkanie po tak dalekiej wędrówce.

–Jedziemy w jedną stronę – opowiadał Uwen – i raptem jedziemy w drugą, jakim cudem, nie mamy pojęcia, ale oto jesteś, panie i – na bogów! – jakżem się ucieszył z tego spotkania!

–I ja się ucieszyłem – odparł Tristen. – Żałuję, że obszedłem się z tobą tak okrutnie, Uwenie, przysięgam, żałuję. Wiedziałem, że za mną pojedziesz. Nie chciałem tego. Postąpiłem względem ciebie bardzo niewłaściwie.

–Och, skoroś się tylko nie pojawił na górze, od razum zmiarkował, że gdziesik się wybrałeś. Niech bogom będą, dzięki, że nie do wieży.

–Miałeś całkowitą rację odnośnie wieży – stwierdził Tristen, czując nagły chłód. – Palnąłbym wielkie głupstwo, gdybym tam pojechał. Nie mógłbym mu sprostać.

–Komu, panie? – Uwen wydawał się zmieszany. Tristen pragnął, by Uwen nie miał niczego wspólnego z odpowiedzią na to Pytanie, nigdy.

Po przejechaniu pewnej odległości stary gwardzista powiedział:

–Szkoda, że nie zszedł wcześniej.

–Dobrze się stało, że zszedłeś, kiedy zszedłeś. – Tristen pytał siebie w duchu, czy podziękował już Uwenowi. Nie mógł sobie tego przypomnieć. – Jestem ci wdzięczny. Petelly nie potrafił biec szybciej. Pamiętaj jednak, Uwenie, miej się zawsze na baczności, kiedy przyjdzie ci do głowy pomysł zrobienia czegoś, o czym sam wiesz, że nie jest najbezpieczniejszą rzeczą. Mi też się czasem nasuwają pomysły, bardzo śmiałe pomysły. Nie wiem, czy tobie również. Ale niektóre pomysły zsyłają chyba czarodzieje. Inne pochodzą od mojego wroga.

Uwen uczynił znak na piersi. Rzadko tak postępował, choć, z drugiej strony, może inni ludzie zbyt często uciekali się do owego gestu, gdy prowadził z nimi szczerą rozmowę.

–Cóż za myśl – mruknął Uwen. – Taka myśl może człowiekowi sen z powiek nocą spędzić, panie.

–Chyba mądrzej jest nie rozmyślać za wiele o wieży albo o tym miejscu. Nie wiem, czy pospolici ludzie są w stanie udać się do szarego miejsca, kiedy o nim pomyślą, niemniej

stało się w nim bardzo niebezpiecznie.

–Szare miejsce.

–A więc i ty?

Uwen podrapał się po nosie.

–Chyba coś jakby, gdy zamykam oczy. Ale wtenczas przychodzą sny i takie tam.

–U mnie są cienie – oświadczył Tristen, przy czym Uwen po raz wtóry uczynił znak na piersi. Doszedł do wniosku, że nie powinien opowiadać Uwenowi więcej na ten temat, aby nie musiał on zastanawiać się nad rzeczami, o jakich być może nigdy wcześniej nie myślał. Poza tym sam nie znał wszystkich odpowiedzi – czym są Cienie i skąd się biorą. Kto wie... kto wie, czy i on nie był jednym z nich... Wolał jednak nie zaprzętać sobie głowy podobnymi myślami.

Regent chciał zostać pochowany w ruinach, gdyż dzięki temu uzyskiwał jakąś szczególną moc: prawdopodobnie przestawiając kamienie, wyznaczyli nowe linie, których częścią był teraz także starzec. Niemniej przy okazji wzruszyli jeszcze coś innego, przemieścili nieznaną kości. Nie wiedział czyje, lecz zaryzykował strasznym przypuszczeniem.

–Emuinie – powiedział, dotykając szarości. – Mistrzu Emuinie, jestem już bezpieczny. Wszyscy jesteśmy bezpieczni. Spotkałem Uwena i kilku ludzi Cevulirna. Jest ze mną lady, której wizerunek posiada Cefwyn; jedzie, by się z nim spotkać. Mam nadzieję, że nie popełniam błędu. Poradź mi, panie. Pilnie potrzebuję rady.

Nie usłyszał wszakże żadnej odpowiedzi, nie doświadczył nawet ulotnego poczucia obecności Emuina, jakiego wcześniej doznawał. W pobliże Althalen nie chciał się zapuszczać. Do wędrówki w stronę Ynefel miał najmniejszą ochotę.

Przynajmniej Cienie trzymały się na dystans, te należące do Althalen i te należące do Emwy, Cienie, które, jak podejrzewał, łącznie z dzieckiem wiedźmy, walczyły dziś za nich, choć nie znał po temu przyczyny.

Rozdział dwudziesty siódmy

Emuin miał kaca, potwornego – naturalny i spodziewany rezultat porzucenia pobożnego życia na rzecz dawnych przyzwyczajień. Emuin cierpiał, jak meldował Idrys, z powodu modłów odprawianych nad jego łóżem przez dwóch pobożnych braci, raczących go zabójczą herbatką.

Dobrze mu to służyło, pomyślał Cefwyn. Miał właśnie, tego ranka, na głowie wyjazd diuka z Murandys do stolicy: Murandys przyjechał wraz z królewskim pocztem, walczył w Emwy i teraz powracał do stolicy, obładowany nowinami.

Na biurku przed Cefwynem leżały rozkazy w sprawie przeniesienia lorda komendanta Smoczej Gwardii. Zadaniem Gwardii Książęcej była ochrona przyszłego następcy tronu. Czyli obecnie Efanora. Nie zamierzał pozbywać się Idrysa ze swej służby, co oznaczało przeniesienie Gwywyna, przy czym należało wziąć pod uwagę morale Smoczej Gwardii, mocno przywiązanej do swojego lorda komendanta. Narzucała się oczywista odpowiedź: promocja Gwywyna na wyższe stanowisko – tyle, że odpowiednie stanowisko musiał dopiero znaleźć.

Wkrótce, jako ukoronowanie wszystkich jego zmartwień, zaczęły napływać delegacje z Guelemary, wyrazy współczucia i dobre życzenia, składane przez lordów chętnych złożyć przysięgę, będących do tego zresztą zobligowanymi; prócz tego królewscy sekretarze z papierami do podpisu – nieunikniona powódź petentów, którym się wydawało, że nowy król oznacza nowe odpowiedzi. Widział, przez co ojciec przechodził po śmierci dziadka, zbierał więc siły, próbując zająć się tymczasem lokalnymi sprawami. Kończył przygotowania do odebrania przysięgi od kilku okolicznych baronów – wliczając w to Orien – którzy mieszkali nie dalej jak o dzień drogi od miasta. Ceremonia miała się odbyć zgodnie z ustalonym protokołem, z pełną pompą i przepychem dla podkreślenia godności zarówno dworzan, jak i króla.

Nie, chwilowo nie zamierzał łamać sobie głowy repertuarem zbliżających się uroczystości lub zawartością swych szaf – jego gueleński krawiec był w siódmym niebie, gdy powierzono mu raptownie pieczę nad królewskim odbieraniem przysięg od trzeciej części wszystkich prowincji. Mistrza Rosyna, który osiągnął niemal szczyt marzeń, prześladowała obsesja na tle zachowywania tajemnicy; krawiec przeklinał konieczność korzystania z tkanin, jakie dwaj rywalizujący z sobą i niewątpliwie skorzy do plotek kupcy z Henas'amef mieli akurat pod ręką.

Cefwyn nie stawiał wymogów tajemnicy krawca na równi z tajemnicą braku raportów, które powinny nadchodzić od granicy. Dręczyła go obawa, że nie dojdzie do żadnej ceremonii, a całe homagium odbędzie się na końskim grzbiecie, i to wkrótce: księgi rachunkowe przygniatały na stole zbiór map, również o wiele bardziej sekretnych od najazdów mistrza Rosyna na sklepy tekstylne. Księgi zawierały szacowania Aswyddów odnośnie stanu zbrojowni i poborów do amefińskiego wojska. Na osobnych, ułożonych w małe zwoje papirusach zamieszczono dobrowolne, lecz chyba znacznie dokładniejsze sprawozdania pozostałych baronów z południa, dotyczące środków będących do ich dyspozycji. Wojna, przynajmniej na pewną skalę, wydawała się nieunikniona wobec rekonstrukcji mostów, a śmierć regenta (o ile Emuina nie zawiodła czarnoksięska wiedza, natomiast Uleman Syrillas naprawdę był martwy, a nie przeprowadzał przez rzekę swe wojska) wcale nie wróżyła pokoju; nie wpłynie zapewne na elwynimskich rebeliantów, choć może stanowić przyczynek do podejmowania, przez co poniektórych nieprzemyślanych ruchów wewnątrz i na zewnątrz Elwynoru.

Jednakowoż w takich okolicznościach łąco mogło dojść do wewnętrznych rozgrywek, toteż Cefwyn żywił nadzieję, że w Elwynorze wybuchnie długa i wyniszczająca wojna, zanim

zwycięzca zwróci swoje oczy w innym kierunku.

Gdyby zechciał wykorzystać przewagę wynikłą z zaskoczenia elwynimów, natychmiastowym ruszeniem na wojnę uprzedzając przemarsz ich wojsk przez rzekę, mógł spotkać się z podzielonym i osłabionym przeciwnikiem. Gdyby jednak zwołał pospolite ruszenie, odciągnąłby ludzi od żniw na własnych ziemiach, a przecież żniwa były już w pełni, w dodatku utrudnione opadami deszczu – przyszłoby mu borykać się z rozgniewanymi lordami i głodnymi wieśniakami, zwłaszcza jeśli późniejszy rozwój wypadków ukazał bezzasadność tych poczynań. Musiał także wziąć pod uwagę, iż ewentualne zwycięstwo nie mogło przysporzyć im spektakularnych zdobyczy w postaci czy to ziemi, czy też dóbr materialnych: co prawda byli w stanie utrzymać Elwynor na wodzy, lecz nie mogli mieć nadziei na zajęcie i utrzymanie elwynimskiego terytorium – gdy tymczasem Elwynor mógł pozyskać nową prowincję, gdyby zdołał odłupać Amefel.

Kto wie, czy wojowniczy earlowie z Elwynoru nie zjednoczyliby się w przypadku jego ataku, aczkolwiek kruchy i targany swarami musiały to być sojusze. Cefwyn sam był królem od niedawna, wspierany popularnymi oczekiwaniami, które zwykły szybko przeradzać się w obawy: każda wczesna porażka naznaczyłaby nowego władcę Ylesuinu piętnem nieporadności, nie wspominając już o zrozumiałych lękach, związanych z odejściem Mauryla, i o naruszeniu równowagi sił w regionie – choć wspominali o tym zapewne jego baronowie. Niechby tylko okazał najmniejszą oznakę niezdecydowania, baronowie z południa i północy pochyliły głowy nad dwoma przeciwstawnymi stołami obrad, zamyślając osobiste podjęcie pewnych postanowień, aby zapewnić sobie przetrwanie.

Tak więc wszczęcie wojny wiązało się z wielkim ryzykiem. Z drugiej strony, jeśli założy, że Elwynimi zaczekają z uderzeniem do wiosny, spóźni się z działaniami i nie zdoła powstrzymać na granicy naporu wroga, Henas'amef zostanie otoczone, nie mając dostatecznych umocnień do wytrzymania tego oblężenia. Mury jedyne warownego miasta w prowincji nie należały do nowoczesnych. Jedyne obwarowania wewnętrznej cytadeli odpowiadały obowiązującym standardom – co dawało wyobrażenie, gdzie Heryn Aswydd widział realną groźbę – albowiem fortyfikacje miejskie, o czym przekonał się już w ciągu pierwszej godziny pobytu w Henas'amef, były na ogół za niskie w obliczu machin oblężniczych, jakie elwynimscy inżynierowie potrafili bez wątpienia budować (skoro jego inżynierowie też potrafili). Nowoczesne balisty mogły pluć ogniem i przerzucać olbrzymich rozmiarów kamienie ponad murem, którego dwa pokolenia marhanefiskich królów nie uznały za stosowne podnieść, o co też Heryn prawdopodobnie wcale nie zabiegał, woląc wydawać pieniądze na garderobę i marmurowe posadzki.

W ciągu dwóch pokoleń Marhanenowie nie dopuszczali wszakże możliwości, iż znajdą się kiedyś zamknięci w oblężeniu w Henas'amef, zamiast samemu oblegać. Wszystko to potwierdzało opinię Efanora: Cefwyn powinien niezwłocznie wracać do stolicy. Wszelako opuszczenie Amefel stanowiło dosłowne zrzeczenie się bogatej i na ogół przychyłnej prowincji na rzecz Elwynoru: Amefelem nie rządził żaden lojalny lord, wśród earłów nastąpiły rozłamy, wobec czego prowincja nieuchronnie upadnie, jeśli zabraknie silnej

królewskiej ręki, trzymającej za munsztuk. A kiedy już upadnie, zamiast głębokiej i zdradliwej rzeki, południową granicę Elwynoru z Ylesuinem wytyczy szeroka połać ziemi, określona co najwyżej krętymi strumieniami – rozległa, otwarta przestrzeń z dobrze utrzymanymi drogami, prowadzącymi prosto do serca Ylesuinu i do samego Guelessaru.

Zrzeczenie się Amefel, bądź to w drodze traktatu, bądź w wyniku wojennej klęski, stanowiło ostateczność: latem Amefel, następnej wiosny elwynimskie wojska maszerujące owymi zadbanymi gościńcami. Najeźdźcy nie musieliby trwonić czasu na umacnianie swojej pozycji w prowincji, której ludność, zachowująca te same, co oni zwyczaje i religię, stanowiła przecież przed zaledwie osiemdziesięcioma laty pępek sihhijskiej monarchii.

Jeszcze nigdy nie prowadził wojny. Potyczki, i owszem; obławy przy użyciu dobranych sił przeciwko zbójnickim hersztom na obrzeżach Ylesuinu... Ale nigdy otwartej wojny z obcym królestwem.

Miał do pomocy zbiór maksym dziadka, cennych rad w rodzaju: Wykonaj pierwsze uderzenie i wykonaj ostatnie; Branie jeńców skłania do uległości (słowa człowieka, który wymordował Sihhijczyków w Althalen), czy wreszcie: Nigdy nie uciekaj od swoich ekwipaży.

Ta ostatnia максима wydawała się szczególnie mądra. Kolacja i namioty stanowiły uzasadnione akcesorium ludzi mających dbać, by Elwynimi nie przedarli się hurmą przez mosty; niewykluczone, iż już to uczynili – o ile ciszę od strony Emwy traktować jako wskaźnik – i umocnili się na pozycjach obronnych wzdłuż rzeki. Cefwyn czytał o fortyfikacjach, jakie powstawały w środkowym okresie panowania Sihhijczyków, zwłaszcza pod rządami Tashanena. Resztki zachowały się pod postacią rowów wszędzie na obszarze Amefel.

Umocnienia ziemne, opisane przez Tashanena w jego Sztuce Wojny, doprowadzały Cefwyna do rozpaczki w czasie ciężkich nauk u Emuina. Nawet wersja spisana przez gueleńskiego kopistę w nowoczesnym alfabecie nie była łatwym orzechem do zgryzienia dla dziewięciolatka. Niemniej wiedza pozostała jako jego integralna część. W wieku dwunastu lat wykopał wraz z Efanorem miniaturową transzeję w ogródku zielnym, przez co dostali surową reprimendę: żona kucharza skrzyła kostkę i przewróciła się w czasie oblężenia tymianku i gorzknika.

Nie zapomniał wyuczonych lekcji. Dotychczas nie miał gdzie zastosować swej wiedzy. Umocnienia ziemne i szybko udoskonalane okopy nie nadawały się w wojnie z bandytami na kamienistym terenie u podnóży gór na wschodzie. Inną sprawą była obrona położonych w dolinie wiosek, farm i prosperujących miast.

W czasie swej wojny Tashanen pobudował sieć umocnień wzdłuż koryta Lenuaimu w jego dolnym biegu, łącząc możliwość operatywnego działania poza transzejami z przemysłnym ich rozkładem, przekształcając nawet teren, by wróg tym chętniej postąpił tak, jak on sobie tego życzył. Co więcej, Tashanen, rzadko polegając, jak wszyscy Sihhijczycy, na machinach

wojennych, preferował operatywność, a mimo to nie rezygnował z wznoszenia fortyfikacji w szerokim promieniu, aby nie zastosowano ich przeciwko niemu. Nie wahał się atakować zimą, w czas siewów lub żniw czy jakąkolwiek niedogodną dla przeciwnika porą – mógł sobie na to pozwolić, gdyż Sihhijczycy w tamtych czasach utrzymywali potężną, stałą armię, a żołnierze nie rozchodzili się do domów zgodnie z rolniczym kalendarzem: na ziemiach dotkniętych wojną panował straszny głód, lecz Tashanen nigdy nie walczył na swoim terytorium – stąd płynęła kolejna nauka.

Marhanenowie nie obmyślali nigdy strategii z tak wielką starannością i dbałością o szczegóły: dziadek był wprawdzie jednym z generałów Elfwyny, ale trzeba pamiętać, że król Tashanen podporządkował sobie całe południe, kiedy to w konsekwencji rozłamu w królewskim domu Sihhijczyków pretendent do tronu uciekł i, ufortyfikowawszy się w dzisiejszym Imorze Lenuaimie, dufał w swe bezpieczeństwo. Dziadek za swoich dni nie musiał się zmagać z równie wyzywającym zagrożeniem czy wymogami strategii: w czasie wojen prowadzonych dla Sihhijczyków spotykał się z tym, co istniało też dzisiaj: poskramiał odizolowane bandy rebeliantów i pacyfikował wiecznie niespokojną granicę z Chomaggarami – w potyczkach, w których bardziej od siły liczyła się operatywność, rozmaici lordowie Ludzi zdobyli sławę zdolnych dowódców.

Fortyfikacje ziemne wyszły z mody setki lat temu, gdy dynastia Tashanena zgnuśniała wraz z bezmyślnymi wnukami, którym geniusz Tashanena pozwolił na tę bezmyślność, jak też na przeniesienie dworu do przepysznego, nie obwarowanego Althalen. Sztuka Wojny istniała w jednym znanym egzemplarzu, lecz dziadek zabrał go i kazał skopiować na własny użytek razem z wyborem dzieł Sihhijczyków – na szczęście niespalonych przez quinaltynów, jak wiele innych. Owo ocalenie sihhijskiej wiedzy należało do najlepszych uczynków dziadka – co prawda dziadek puścił z dymem bibliotekę w Althalen, ale nieumyślnie, jak później twierdził.

Gdyby tak jakiś generał, posłużwszy się drugą kopią Sztuki Wojny, która mogła przecież gdzieś przetrwać, przejął komendę po elwynimskiej stronie, należałoby się spodziewać, iż nie ograniczy się on li tylko do odbudowania mostów w kilku – nie w jednym – miejscach na rzece, ale przeprowadzi serię wypadów, ażeby ufortyfikować przyczółki w rozmaitych punktach wzdłuż granicy, gdzie będzie się okopywał poza stromymi szanćcami, tak rozmieszczonymi, by konnica, skierowana w wąskie gardła, wpadała w brutalne pułapki; sytuacja taka mogłaby trwać przez kilka sezonów, nieprzyjaciel posiadałby – na pozór – zaledwie kilkaset kroków terytorium.

Jednakże od tych początkowych obwarowań odgałęziłyby się na lewo i prawo wały i transzeje, aż powstałaby potężna linia umocnień, niezwykle trudna do zdobycia – parawan, za którym nieprzyjaciel byłby w stanie przegrupowywać wojska i organizować nagle wypadu w okolicę. Jak tu później ich wyprzeć albo zapobiec utracie następnych i następnych wiosek?

Wojny Sihhijczyków, toczone swego czasu na tej właśnie ziemi, pokazywały, iż dało się

zając i utrzymać terytorium wielkości królestwa Jako pierwszy dokonał tego Barrakketh, prowadząc wojny, podczas których rzadko dochodziło do oblężeń. Półkról Tashanen, czy to dzięki genialnemu umysłowi, czy też posłużycy się jakimś zaginionym dzisiaj dziełem, powtórzył wyczyn Barrakketha i spisał prawidłajego strategii.

Lecz Barrakketh, jeden z pięciu prawdziwych Sihhijczyków, w tej samej mierze, jak na broni, polegał na magii, czarach i czymkolwiek, co stanowiło domenę jego rodu, a przybył z Hafsandyru, gdzie Ludzie pojawiali się co najwyżej w mglistych pogłoskach i gdzie, zgodnie z przypuszczeniami, wieże czarodziejów spotykało się równie często, co stogi siana – nawet częściej, a to ze względu na jałowy lód, którego połacie, wedle niektórych relacji, ciągnęły się tam jak okiem sięgnąć; bogowie tylko wiedzieli, co w owej krainie oprócz magii utrzymywało ludzi przy życiu.

Jak sprostac przeciwnikowi poslugujacemu sie magia? W ciagu ostatnich dwuch dni Cefwyn mial okazje ocenic skutecznosc magii w przekazywaniu wiadomosci, zwlaszcza w porownaniu z bezradnoscia jego wlasnych kurierow. Cala ta kwestie w ksiazce Tashanena poruszono nader powierzchownie, chociaz bez watpienia po obu stronach znajdowali sie wowczas zarowno Sihhijczycy, jak i magia. Tashanen, smiertelnie nudny dla dziewieciolatniego chlopca, ktory oczekiwal magii w nagrode za slęczenie nad niezwykle trudnym tekstem, nawet o niej nie wspomniat, nie liczac wzmianki o Barrakkecie. Cefwyn zastanawial sie teraz czemu. Czyzby byla zakazana, czy tez ukryto ja miedzy linijkami w tak rzeczowej formie, ze jego oczy niczego nie dostrzegly? Czy Sihhijczycy otaczali sie jakas magiczna bariera? Rzucali klątwy na wrogow? A moze po prostu czarami i wojna rządził swoisty kodeks honorowy?

Był jeszcze Tristen. Jeśliby zdołali go odnaleźć, mógł okazać się kartą atutową – o ile Tristen w ogóle wiedział, co należy robić. Podobna kwestia potrafi spędzić człowiekowi sen z oczu.

Co gorsza, Cefwyn nie znajdował się w sytuacji Tashanena, który jednym pstryknięciem palców mógł wyprowadzić w pole wojska, nie niszcząc przy tym źródeł swego zaopatrzenia: Cefwyn musiał uwzględnić ledwo co rozpoczęte żniwa, zbliżającą się zimą, słabość miejskich murów i brak obronnych fortyfikacji ziemnych, aczkolwiek tę ostatnią ułomność mógł w Henas'amef naprawić, gdyby się pogodził z myślą o poświęceniu trzystuletnich sadów i ogradzających pastwiska żywopłotów.

Z drugiej strony, wzniosłszy owe fortyfikacje, zamknąłby się w cholernie kłopotliwej pułapce: król Ylesuinu siedzi jak mysz pod miotłą, gdy Elwynimi przypuszczają zuchwałe szturm. Ta odbudowa mostów wysforowała ich na czoło. Mógł spróbować je zburzyć, zanim zostaną użyte, lecz rzeka była długa, a akcja w jednym miejscu wywołałaby reakcję w drugim; poza tym dysponował ograniczoną liczbą ludzi, których mógł pozbierać z pól, aby podjąć tak rozległe działania obronne.

W przypadku upadku Henas' amef nie tylko zbiory zostaną stracone.

Pomimo niekorzyści Henas'amef, uczynione trudnym orzechem do zgryzienia, związałyby siły elwynimskie w oblężeniu, w czasie którego wystawiliby się oni na ataki z sąsiednich prowincji, chyba, że minęliby spiesznie niezdobyte miasto, aby zaatakować Guelemarę. Takie posunięcie byłoby błędem, a to ze względu na potrzebę obrony linii zaopatrzenia, wystawionych na ataki z Henas'amef.

Rzecz jasna, okopanie grodu wałami nie ucieszyłoby ani chłopstwa, ani magnatów czerpiących dochody z żyznych, z dawien dawna kultywowanych pól, które z kolei kwitły na nawozie z lordowskich stajen.

Umocnienie zewnętrznych murów mogłoby wszakże zrównoważyć pozostałe niedostatki miasta w dziedzinie obronności.

Miał tę książkę przy sobie. Znajdowała się w kuferku z jego osobistymi rzeczami.

Znów ją czytywał, trzymając pod kluczem, aby nie zniknęła w rękach Amefińczyków; żywił przy tym nadzieję, że elwynimscy earlowie nie dysponują lepszą książką. A mogli.

Organizowane przez quinaltynów palenie bibliotek nie dotarło na ich stronę rzeki i tylko bogowie wiedzieli, co Elwynimi tak naprawdę posiadają, podobnie jak bogowie wiedzieli, co leżakuje w wieży Mauryła, zdane na łaskę myszy i wyimaginowanego wroga Tristena. Pragnął zrozumieć, jaką rolę w opracowaniu Tashanena grała magia. Emuin twierdził, że nie wie, napomykając tylko, jakoby Sihhijczycy jej używali – albo też czarów, gdyż takie rozróżnienie wprowadził przy okazji Emuin, do czego zirytowany dziewięciolatek nie przyłożył należytej uwagi: na bogów, zasługiwał na cięgi, lecz nie otrzymywał ich we właściwych chwilach.

Żałował też, że nie ma miesięcy na przygotowania. Wprowadzony przezeń system wywiadowców i gońców (nie uwzględniający magii ani zaufanego czarodzieja, który skłonny byłby go informować) tak został pomyślany, by między nim a czujkami rozstawionymi u każdego przyczółka mostu przepływały regularnie wiadomości, przy czym królewscy ludzie mieli stacjonować po wioskach i przydrożnych posterunkach, w każdym dogodnym miejscu.

Zgodnie z założeniami, Cefwyn powinien być powiadamiany na bieżąco o wszelkich ruchach nad rzeką, lecz, do licha, system, jak wszystkie nowe systemy, zaczął działać z problemami: gońcy z dwóch na trzy posterunków przy wlekli się, co prawda, ale jeden dwie godziny po czasie, narzekając na ulewny deszcz, drugi jeszcze później, wyznając, że na skutek ciemności i złej pogody skręcił na rozstajach w niewłaściwą drogę, by po godzinie jazdy dotrzeć do uspionej i przerażonej wioski.

Wszelako jeździec z Emwy-Arys jak dotąd nie wrócił do grodu. Cefwyn miał nadzieję, że nastąpiło to z jakiegoś błędnego powodu, niemniej z każdą chwilą ogarniał go większy niepokój – dawno minęło południe i dochodził do wniosku, iż najwyższa już pora wypatrywać powrotu człowieka, który ruszył, aby odszukać zaginionego gońca.

A jeśli i ten człowiek zawiedzie, będzie można założyć, iż cały plan działa, tylko coś złego dzieje się na przylegającym do Marny odcinku granicy, tam, gdzie wyruszyły patrole, tam, gdzie jego ojciec wpadł w zasadzkę i gdzie leżała niezbyt przychylnie nastawiona do nich wieś.

Jeżeli coś przydarzyło się gońcowi (zdesperowany, postanowił w tej materii wypytać Emuina, kiedy starca przestanie boleć głowa), mógł dać głowę w zakład, że dojdzie do obłężenia Henas'amef, zanim spadną pierwsze śniegi, gdyż Elwynimi zechcą przeszkodzić w zbiorach, tak by nie zdołano zgromadzić w mieście wystarczających zapasów żywności, oraz złupić wioski w czasie, kiedy stan dróg nie będzie pozwalał na szybką odsiecz. Oznaczało to, oczywiście, że Elwynimi przeszkodzą także w swoich zbiorach, wyciągając ludzi z zagród, lecz jeśli w minionych latach dalekowzroczność pozwoliła im zgromadzić rezerwy ziarna, w każdej chwili mogli je sprowadzić z głębi Elwynoru, by rozporządzać powiększonymi zapasami, które w mniemaniu dziadka stanowiły najważniejszą rzecz, jaką należało sobie z góry zabezpieczyć: „Nigdy nie polegaj na wieśniakach, jeśli chodzi o prowiant – tak brzmiała jego kolejna zasada. – Przez to chłopstwo dostaje białej gorączki, wróg z łatwością zasięga języka, a ilość i tak nigdy nie odpowiada potrzebom chwili”.

Dziadek milczał na temat wykarmienia chłopów w Amefel, kiedy armie pięciu prowincji i całe siły wroga rozłożyły się obozem na ich polach i wygonach, tym bardziej, że Amefińczycy byli najmniej lojalnymi rolnikami i pastuchami w całym Ylesuinie. Lepiej już, że to sam król stoi na ich pastwiskach; w przeciwnym razie niemożliwym byłoby utrzymanie Amefel w ryzach.

Niech licho porwie tego quinaltyńskiego kapłana Efanora: węszył po miejscowym targu i nie dalej jak tego ranka, w tak niepewny czas, kazał straży miejskiej aresztować handlarkę ziołami, która miała przypadkiem w sprzedaży amulety zrobione ze starych sihijskich monet. Efanor oczywiście poparł kapłana. Efanor...

Drzwi się otwały, przytrzymywane przez gwardzistę, i w progu zjawiał się zmierzwiony, zasapany paż, niezdolny wykrztusić wiadomości.

–Miłościwy panie! – rzekł chłopiec, który zamiast pokłonić się jak należy, wsparł ręce na kolanach i ciężko dyszał. Biegł widocznie po schodach. – Miłościwy panie, Elwynimi...

Nie ma gorszego słowa, przy którym można stracić oddech.

–...ze sztandarami i wszystkim zbliżają się pod bramę, miłościwy panie!

–Cała armia?

Dzikię potrząśnięcie głową.

–Nie, miłościwy panie. Nie. – Znów przerwa na złapanie oddechu. – Razem z Iwanimami, wedle ich obozu. Zaraz będą przekraczać bramę i jechać środkiem miasta! Tak powiedział goniec!

–Naprawdę? – Cefwyn był innego zdania. Odepchnął się od stołu i podźwignął na równe nogi. – Chłopcze, pędź do stajni, niech siodłają konie... Taywysie – zwrócił się do towarzyszącego paziowi gwardzisty – powiadom lorda komendanta i zbierz ludzi, by ze mną pojechali. A żywo! – Bolała go noga i nie tęsknił za schodami. Specjalnie tak ustalił harmonogram dnia, aby nie zaszła potrzeba schodzenia, a teraz ten przeklęty paż zniknął, gwardzista zniknął, czeladzi nie było pod ręką, on zaś musiał ubrać się do wyjścia, zniechęcony perspektywą samodzielnego wykonania tej czynności: zaczął odmierzać wszystkie niewielkie odległości, na przykład drogę do drzwi i z powrotem, jakby to były, odmierzane przezeń ledwie przed dwoma tygodniami, odległości między prowincjami. Tymczasem elwynimskie wojsko lada chwila wjedzie przez miejską bramę i zacznie odmierzać ułomne mury grodu, jeśli on będzie się bawił w wołanie Annasa i służących po to, by przywdziać zgrabną kolczugę bądź elegancki aksamitny płaszcz z królewskim godłem.

Skoro miał do czynienia z jakimś terytorialnym roszczeniem lub wyzwaniem do bitwy, zdołał przybrać dostatecznie wojskową postawę w siodle, zarzuciwszy na ramiona prosty, żołnierski płaszcz; i do licha z tym, co znajdzie się pod nim!

Pochwyił znieawidzoną laskę, przy wyjściu z komnaty rozkazał strażnikowi przynieść sobie płaszcz, po czym bezzwłocznie ruszył korytarzem: wolał nie schodzić po schodach obciążony dodatkową wagą lub zmuszony uważać na płaczącą się pod stopami tkaninę. Drugi z gwardzistów krążył nieopodal, natomiast młodzian z Olmernu, Denyn Kei'sson, powrócił spieszenie z płaszczem, zanim król zdążył zejść na sam dół.

–Na zewnątrz go zarzucę – rzekł cierpko do Denyna, do gwardzisty zaś, który omal nie następował mu na pięty, jakby chciał uchronić go od upadku na plecy, powiedział: – Co tak za mną fruwasz, do cholery? Skoro chcesz się do czegoś przydać, idź przede mną! – Rozmyślał, czyby zewnętrznych schodów nie pokonać bez laski, ale gdy oczyma wyobraźni ujrzał widowisko, jakie by z siebie zrobił, gdyby stoczył się na dziedziniec, i, co gorsza, gdy zdał sobie sprawę, za jaką złą wróżbę poczytano by upadek króla Ylesuinu, postanowił posłuchać głosu rozsądku.

Całe zejście trwało tak długo, że zdążono mu podstawić osiodłanego wierzchowca; nie Danvy'ego: Danvy przebywał na pastwisku, gdzie lizał się z ran i siniaków. Główny pomocnik Hamana przydzielił mu owego przeklętego paradnego karosza o płomiennym pysku, którego dosiadał Efanor, kiedy osiodłali w stajniach wszystko, co się dało, by przydzielić świeże wierzchowce Efanorowi i jego kompanii. Synanna pod wieloma względami był dobrym koniem, acz wysokim; w obliczu konieczności wspięcia się na strzemień, przy którym musiał skorzystać z pomocy gwardzisty, Cefwyn dziękował w duchu bogom, że ranny został w prawą nogę, nie w lewą.

Oddał laskę chłopcu stajennemu, przykazując mu jej pilnować, po czym wziął podany przez gwardzistę płaszcz, stopami i kolanami odbierając Synannie ochotę do wygłupów: prawa noga bolała go niemiłosiernie, kiedy zarzucał płaszcz na ramiona, powstrzymując kolanem wierzchowca od odchylenia się w bok.

Co więcej, koń wciąż był rozdrażniony po ostatniej karkołomnej galopadzie od stajni aż do Emwy. W konsekwencji położył po sobie uszy, zamierzając skorzystać z pierwszej nadarzącej się okazji, by w czasie tej wycieczki pokazać, jak bardzo liczy się jego własne zdanie. Czekał tylko sposobnej chwili, gdy Cefwyn zdążył do bramy, ścigany stukotem pięciu jadących tuż za nim gwardzistów; chorągwy królewski doganiał ich co tchu, rozwijając czerwony sztandar króla, przez co Synanna rzucał łbem i błaznował, przejeżdżając pod sklepioną bramą.

Tam dopędził ich kolejny jeździec i zrównał się z Cefwynem: Idrys na swym karym Drugynie, tym razem usłyszawszy wezwanie. Chorągwy królewski oraz chorągwy niosący osobisty proporzec Idrysa pośpiesznie zajmowali pozycje, przyczyniając się do ogólnego zamętu.

–Dostałem raport – rzekł Idrys.

–Bogowie wiedzą, o co tu idzie – odparł Cefwyn. Gdy pędzili przez miasto, na brukowanych ulicach Synanna chciał puścić się swym najgorszym biegiem i powstrzymanie go od tego kosztowało sporo wysiłku; król czuł ból, a zapobieganie większemu bólowi również bolało, więc wpadł w jeszcze posępniejszy nastrój, zanim dotarł do bramy miejskiej, otwartej na oścież... w celu powitania Elwynimów, można by sądzić. Nie okazywał nadmiernej uprzejmości, kiedy jako pierwszy Cevulirn na czele niewielkiej grupki jezdnych, wśród łopotu proporców i sztandaru z Białym Koniem, połączył się z nim przy rozwartej bramie.

W następnej kolejności dojechał Umanon wraz z trzema porucznikami, na tyle powiększając kolekcję chorągwi, by król, którego cierpliwość wobec obolałej nogi i podrygów Synanny z wolna się wyczerpywała, mógł liczyć na okazały orszak.

Szkoda tylko, że dwaj lojalni lordowie nie zamknęli bramy i nie spotkali się z przeklętymi Elwynimami tam, skąd nie można zajrzeć do środka ani policzyć dokładnie rozbitych wzdłuż drogi obozów.

–Macie przekazać wszystkim strażnikom – poinformował wartowników – że bramy tej nie wolno przekroczyć żadnej obcej chorągwi ani żadnemu obcemu kurierowi, dopóki oficer ze Smoczej Gwardii nie zjawi się we własnej osobie, aby wziąć sprawy w swoje ręce. Zrozumiano?

–Tak, miłościwy panie – padła odpowiedź. – Tak, miłościwy, panie – rozległy się pełne strachu głosy za jego plecami, kiedy w coraz to liczniejszej kompanii odjeżdżał w kierunku zachodnim.

A tam, na błotnistym gościńcu, widoczni niczym koń pośród kur, jechali Elwynimi pod sztandarem z emblematem złocistej Wieży na biało-czarnym polu, oznaczającym regenta Elwynoru; nieco z tyłu wisały chorągwie trzech earłów.

Obok powiewały proporce sześciu szwadronów lekkiej kawalerii z Ivanoru.

Sytuacja wyglądała znacznie lepiej: gości eskortowali ludzie Cevulirna. Na przedzie stał Uwen Lewen's-son. I, co najważniejsze, Tristen, dzięki niech będą łaskawym bogom! Cefwyn nie miał pojęcia, w jaki sposób zetknęły się z sobą owe trzy elementy, lecz czuł zarówno ulgę, jak i – z tej samej przyczyny – ponowny niepokój.

–Wykorzystując chwilową nieuwagę jeźdźca, Synanna znów puścił się swym konwulsyjnym kłusem. Król szybko go poskromił; cierpiąc katusze i spoglądając poza furkoczącą czerwień atłasu własnej chorągwi, ujrzał czarnowłosą kobietę w kolczudze i niebieskiej, schlapanej błotem, falującej spódnicy, którą wiatr podwiewał ponad bieliznę. Kobietę – jak powiadomił go błędny wzrok – poprzedzała jedynie przez chorążego ze sztandarem regenta, a jadącą przed pozostałymi chorągwiami. Co więcej, w gęstwie czarnych włosów przebłyskiwał diadem; Cefwyn rozpoznawał te włosy, tę twarz w kształcie serca, rezydującą od miesięcy w jego szkatułce w sypialni.

–Córka regenta we własnej osobie – oznajmił Idrys grobowym tonem. – Ani widu samego lorda regenta. I jeszcze w towarzystwie Ynefela. Któż to kołacze do naszych bram, Wasza Królewska Mość?

–Czas pokaże – mruknął Cefwyn, podczas gdy jego myśli krążyły dziko wokół kwestii bezpieczeństwa Tristena, mostów łączących brzegi Leniialimu, zaginionego gońca, losów lorda regenta Ulemana, oszałamiająco ślicznej młodej damy, najwidoczniej nieświadomej taksujących ją oczu, oraz przyczyn, dla których zbliżyła się do bram Henas'amef.

Ażeby bitewną rozgrywką przyśpieszyć królewski mariaż? Powątpiewał. Z pewnością jednak zapuściła się bez jego pozwolenia głębiej na amefińską ziemię, niż rozsądek nakazywał jakiegokolwiek dystyngowanej delegacji. Była to nadzwyczajna próba droczenia się z jego dobrym usposobieniem, które obecnie, czego Elwynimi powinni się domyślać, wcale dobre nie było.

W dodatku Tristen wmieszany w całą sprawę?

I jak tu liczyć na naiwną ufność Tristena? Niech lichy porwie Idrysa, jeśli waży mu się teraz przypominać, iż przewidywał wcześniej, że rozbijająca szczerłość młodzieńca okaże się kiedyś jego zgubą.

Wreszcie dwaj wysunięci chorążowie zbliżyli się na protokolarną odległość i oddziały stanęły. Cefwyn zrównał się z królewskim sztandarem, mając przy sobie Idrysa, gdy tymczasem Umanon i Cevulirn wraz ze swymi chorążymi czekali z tyłu. Podobnie jak on, młoda kobieta podjechała do sztandaru regenta; jeden człowiek stanął u jej boku.

–Przybywamy, by rozmówić się z królem! – zawołał ów człowiek.

–Zaczekaj tutaj – polecił Cefwyn Idrysowi, po czym podjął ryzyko, wysuwając się przed żołnierza. Tylko chorąży dotrzymywał mu towarzystwa.

Mężczyzna naprzeciwko wyglądał na skonsternowanego, twarz lady powlekła się zaś grymasem sprzeciwu, gdy jej kapitan wyciągnął rękę – widać nie życzył sobie, by odwzajemniała wyczyn Cefwyna. Niemniej młoda kobieta wysforowała się na czoło, tylko chorąży regenta dotrzymywał jej towarzystwa.

–Jam jest król Cefwyn – powiedział, gdy osadziła wierzchowca w odległości lancy.

Autor portretu nie skłamał, co nie ulegało wątpliwości pomimo błota i kolczugi. Obraz, który nawiedzał go wieczorami, kiedy oddawał się rozmyśleniom, przybrał niniejszym żywą postać; twarz była śniada, wysmagana wiatrem i złęczniona, mina wyrażała zdecydowaną nieustępliwość.

–Lord Ynefel zgodził się być naszym zakładnikiem – powiedziała – na wypadek, gdybyś odmówił mi i moim ludziom bezpiecznego powrotu za rzekę.

–Z pewnością nie odmówię. Będę wszelako wdzięczny, jeśli zwrócisz mi lorda Ynefelu i przyjmiesz moje słowo w tej sprawie, łaskawa pani. Czyżbym się mylił? Albo cię rozpoznaję, albo też masz siostrę.

–Jestem regentką. – Głos zadrżał nieznacznie. – Mój ojciec umarł, zeszłego wieczoru, miłościwy panie. Przybywam z prośbą, byś raczył tolerować naszą obecność na swej ziemi i zezwolił na ufortyfikowanie obozu na twoim terytorium.

A więc Emuin miał rację. Smutną wieść miała lady do zakomunikowania, jej żal był świeższy od jego własnego. Padło poza tym nader precyzyjne wojskowe sformułowanie, bez wątpienia pomysł doradców; prośbę kazano jej zapewne przedstawić dokładnie tymi słowy.

Zastanawiał się, czy w ogóle rozumiała, o co prosi.

–Na ufortyfikowanie obozu – powtórzył jak echo. Widok rozwiewanej spódnicy i białej, pochłapanej bielizny rywalizował ze świadomością, iż przed oczyma Elwynimów rozciąga się rozległy widok na jego pozbawione zabezpieczeń miasto. – Przyjmij ode mnie szczere wyrazy ubolewania i powiedz, dlaczego obóz ma być ufortyfikowany, Wasza Najczcigodniejsza Miłość.

–Jak mniemam, Elwynimi przekroczyli rzekę, by napaść na króla, twego ojca, w dystrykcie Emwy.

–Owszem – odparł, nie pojmując, czemu to stwierdzenie miałoby być odpowiedzią na zadane pytanie. – Tak się stało. W spisku z Aswyddami. Pozbieraliśmy tarcze z pola bitwy, jak też rannych, dzisiaj już nieżyjących, z których trzech pochodziło z Dolnego Saissonnd.

–To Caswyddian – zawyrokowała bez wahania. – Lord Caswyddian z Saissonnd. Wszczął bunt przeciwko mojemu ojcu i współzawodniczył z Aseyneddinem.

Cefwyn słyszał pogłoski, znał to imię i zakarbował sobie w pamięci, że człowiek ten zapłaci mu cenę Heryna, jeśli się okaże, iż był wtenczas na polu bitwy w Emwy lub cokolwiek o niej wiedział – no i jeśli wpadnie mu w ręce. Ale nie zamierzał wyjawiać lady, co właściwie słyszał i jak wiele wiedział.

–Tak więc przesadzasz kłopoty Elwynoru na amefińską glebę i chcesz ufortyfikować obóz, czyniąc z nas, przypuszczam, swego rodzaju sojuszników, gdyż tak to zapewne odbierze Aseyneeddin. Moglibyśmy znaleźć się przez to w trudnym położeniu. Wybacz moją podejrzliwość, Wasza Miłość, ale ilu ludzi ma pomieścić proponowany przez ciebie obóz?

–Tych tu ludzi... – Podbródek lady zadrżał z lekka, pierwsza oznaka zachwianej równowagi ducha. – Tychże piętnastu ludzi, panie. Trzydziestu trzech obozowało razem z moim ojcem. Jakaś banda, chyba należąca do Caswyddiana, zaatakowała nas zeszłej nocy i połowa drużyny została, by ubezpieczać nasze tyły, abym mogła przeżyć i złożyć niniejszą prośbę. Odnośnie tego chciałabym prosić, ażebyś raczył, ażebyś był łaskaw, gdyby przypadkiem wpadli w twoje ręce, im również zagwarantować bezpieczeństwo.

Te ostatnie słowa wydawały się zarówno szczere, jak i wypowiedziane przez usta damy, która nie nawykła uniżenie prosić nieznajomych o łaskę.

–Zgadzam się – odpowiedział Cefwyn – zgadzam się chętnie, a przy okazji nakażę moim poszukiwaczom wzmożoną czujność. Atoli powiadomić cię muszę, Wasza Miłość, iż ciężko jest obsadzić piętnastoma ludźmi ufortyfikowany obóz, zwłaszcza taki, przed którym drżałoby nieprzyjaciel.

–Mam wprawdzie przy sobie piętnastu ludzi, miłościwy panie, lecz gdyby tak udało się uczynić z tego obozu pewny przyczółek i posłać do Elwynoru...

–...zebrałoby się więcej ludzi, by wzmocnić ów obóz?

–Ufam, że tak, panie.

Ufała, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Lecz plan zdawał się rozsądny, o wiele lepszy, niż spodziewałby się po młodej kobiecie w równie rozpaczliwej sytuacji. Bez względu na to, kto był pomysłodawcą, przedstawiła go władcym tonem, dobierając właściwe słowa; no i dobrze wiedziała, dlaczego obóz miałby zostać ufortyfikowany. Elwynimska szkoła budowania umocnień mówiła: Kop głęboko i trzymaj się, potem ruszaj na boki.

Co więcej, ani razu nie odniosła się do propozycji małżeńskiej leżącej na widoku w jego komnacie sypialnej. Nawet nie wspomniała o istnieniu takowej, nie poprosiła też o wojsko, nie apelowała o sojusz z Ylesuinem. Niefrasobliwość, jaką artysta przydał jej oczom, była dziś żelazem i ogniem – szarością, w odpowiedzi na to, co artysta uczynił dwuznacznym. Oczy te nadal były dwuznaczne. Szare niczym mgła o poranku. Szare niczym świeżo wykuta stal. W kącikach ust widniały dołeczki, aczkolwiek komponowały się ze szczęką o

zarysie świadczącym o nieustępliwości, którą tak lubił oglądać w tamtym wyrazie twarzy. Na bogów, znał to oblicze. Żył z tym obliczem. Uległ fascynacji wbrew zdrowemu rozsądkowi – tak wielkiej, że wybiegał wyobrażeniami poza proponowany przez nią obóz i proponowaną rekrutację bliżej nieokreślonej liczby Elwynimów zza rzeki, by ze swego terytorium wszcząć wojnę przeciwko wrogom, nie pytając przy tym o liczebność armii, jaką Caswyddian i bogowie wiedzą kto jeszcze mają po tej stronie rzeki, gdzie prawdopodobnie zniknął jego goniec.

Musiał wypytać Tristena, co zobaczył. A także porozmawiać z kapitanem Wanimów i dowiedzieć się, jak do słów lady, od niedawna regentki, ma się to, co widział na własne oczy.

Bolała go noga i irytowała niesforność Synanny.

Dzień już chylił się ku wieczorowi, lady stanowiła potencjalne źródło wielu cennych informacji na temat intencji Elwynoru, nadto nie mógł wymagać od regentki, by rozbiła się obozem tuż obok lorda Lanfarnesse, w błocie i w trakcie zbioru jabłek, pozbawiona, co spostrzegł, namiotów i z dwójką koni z nader skąpym bagażem.

–Wasza Miłość – powiedział – rozważę twą propozycję. Pozwól, że zadam niedelikatne pytanie. Czy wiadomo ci jest o ofercie i medalionie przysłanym mi przez twojego ojca?

Jej zmarznięte policzki już wcześniej zdążyły spąsowieć. Rumieńce pokryły resztę twarzy, lecz czoło się nie rozchmurzyło.

–Skoro nasi wysłańcy nie powrócili i skoro o tym wspominasz, miłościwy panie, mogę tedy przypuszczać, że otrzymałeś wiadomość i że twoje milczenie samo w sobie stanowi odpowiedź.

–Wasi wysłańcy nie wrócili?

–Nie, panie. Ani jeden. Powiadasz zatem, iż nic ci o tym nie wiadomo? Iż nad twoją bramą nie wiszą elwynimskie głowy?

Heryn, pomyślał, przeklinając go w duchu.

–Pani, w tych okolicznościach okazywana przez ciebie odwaga jest iście zdumiewająca. Pragniesz wyjść za mnie?

Twarz spopieliała. Usta się rozchyliły... i na powrót zacisnęły.

–Ależ panie!

–Wyjdiesz za mnie?

–Drwisz sobie ze mnie.

–Składam solenne przyrzeczenie, że tak nie jest, lady regentko. Ani myślę drwić sobie z ciebie. Trudno, byś znalazła się w bardziej rozpaczliwym położeniu. Z drugiej strony, krwawy Marhanen dysponuje wojskiem i pragnie zapewnić spokój na granicy. Jakich warunków oczekujesz?

Wargi się poruszyły, jakby zamierzała wymówić jedno słowo, potem drugie, by na koniec, po głębszym oddechu, stwierdzić:

–Na nic się nie zgodzę, miłościwy panie, nie poradziwszy się uprzednio moich lordów. Wyrzekli się bezpieczeństwa i zaryzykowali życie rodzin, aby tu ze mną przyjechać.

–Będziesz się radzić czy zabiegać o przyzwolenie?

–Miłościwy panie, tytuł regentki Elwynoru prawnie mi się należy. A jeśli pragniesz poznać moje warunki, panie, to ci powiem, że nadal chcę być regentką Elwynoru, na mocy przyrodzonego prawa, nie zaś podległą jakiegokolwiek zwierzchności.

–Masz nadzwyczajne oczy. Wspomniane oczy rozszerzyły się i rozbłyły.

–Nie dam z siebie dworować, panie.

–Jestem władcą absolutnym i udzielam zgody bez moich doradców, którzy przeklęliby mnie z kretesem, gdybym przystał na takie warunki.

–Skorzystam z gwarancji nietykalności i ruszę do granicy!

–Jak już rzekłem, zgadzam się na to.

Nieprzeciętne oczy zamrugały, dwukrotnie.

Cefwyn zapytał:

–Rozmawiałaś z lordem Ynefel? Czy wydał cię się miły, uprzejmy... nieco szalony?

–Znów się ze mnie naigrawasz.

–Naigrawam się z samego siebie, droga pani; widzę nieuniknioną wojnę, jeżeli powiesz się twoim rebeliantom, a czary już nas dopadły. Przed nami wyzwania, z jakimi nie zmagali się nasi ojcowie. Mauryl Gestaurien nie żyje, mój przyjaciel jest ponad wszelką wątpliwość Sihhijczykiem, a być może również waszym królem, jak jedni mniemają, zmierzającym być może do przejęcia swego królestwa, o ile nazajutrz nie najdzie go ochota poświęcić się jakiemuś odmiennemu celowi.

Zachłysnęła się niemal powietrzem.

–Panie! Ja...

–Niemniej jednak, jeśli w takim wypadku zostaniesz pozbawiona możliwości władania królestwem, chętnie wezmę nasze przymierze pod ponowną rozagę i przedyskutuję pomysł dwóch oddzielnych zwierzchności.

–Żaden z poznanych przeze mnie ludzi nie zachowywał się aż tak oburzająco!

–Skoro poznałaś już Tristena, uważam to za dość radykalne stwierdzenie... A zatem się zgadzasz?

–Oszalałaś, mój panie!

–Zatem słucham. – Dostrzegł niemal jej dołki. W oczach błysnęło zdecydowanie.

–Ja... się jeszcze namyślę. Razem z doradcami.

–Masz na imię Ninewise, czyż nie tak?

Świdrowała go oczyma, głęboko urażona. Potem parsknęła śmiechem.

–Wiesz przecież doskonale!

–Zawsze dobrze jest się upewnić. A tymczasem, kiedy będziesz się namyślać – skończył żartobliwym tonem – zechcesz wraz ze swoimi doradcami zostać moim wielce honorowym gościem? Ręczę słowem, iż nic wam się nie stanie.

Jej przenikliwe spojrzenie powędrowało ku wzgórzom i z powrotem.

–W takim razie trzymam cię za słowo honoru. – Ujęła wodze i zaczęła zawracać wierzchowca. Obejrzała się jednak przez ramię. – Cefwyn. Czy tak masz na imię?

Po tych słowach odjechała chyżo do swych ludzi. Cefwyn zamknął usta i również powrócił, głównie do Idrysa, lecz zbliżali się doń też Umanon z Cevulirnem.

–Zamierzam ją poślubić – oznajmił.

–Pan mój raczy żartować – rzekł Idrys.

–Dawny pokój Tristena na piętrze ma zostać przygotowany dla lady. Wszystkie rzeczy Tristena zostały zniesione na dół, prawda? Przyległe komnaty dla lordów, reszta zaś może kwatrować z nimi lub gdzie indziej, według uznania. Poślij przodem ludzi, niechaj szczegółami zajmą się sprawdzieni lokaje. Za dzień, dwa zaręczyny, przysięgam.

–Wasza Królewska Mość – zaczął Idrys, po czym, w obecności świadków, postanowił roztropnie zamilknąć.

–Ech, myślałem już nad tym, Idrysie. Myślałem naprawdę poważnie. Ta kobieta domaga się wyłącznego prawa do regencyjnego tronu w Elwynorze. Ja zaś mam na uwadze sprawę niecierpiącą zwłoki. – Zerknął najpierw na pochmurną twarz Umanona, potem na twarz Cevulirna, nie wyrażającą, jak zwykle, żadnego czytelnego uczucia. – Wcale nie oszalałem, panowie. Ta kobieta jest naszą sojuszniczką, której nachalni zalotnicy czynią wypadki na nasze terytorium, próbując wysadzić się nawzajem z siodła. To się skończy. Jeśli zajdzie konieczność, chętnie wyruszę na wojnę, ażeby zaprowadzić na pograniczu trwałą pokój, a gdyby ślub okazał się ceną pokoju, trudno.

–Ależ to są Elwynimi! – powiedział Umanon.

–Ma się rozumieć. I tu leży pies pogrzebany, Wasza Miłość. Dama z pobożnego, quinaltyńskiego domu nie zapewni mi spokojnego pogranicza. A ta dama tak.

Cevulirn ani razu nie zmrużył powieki. Co się tyczyło Umanona, Cefwyn wiedział, jak z nim postępować: należało tylko przedstawić mu wszystko jako intrygę, plan, strategię działania – wtedy rozumiał.

Zakładał zrazu, że cień na wietrze i stukot kopyt obok niego oznaczają chorążego z porożcem Idrysa. Ten koń był jednak inny. Siedział na nim Tristen, Tristen nieogolony, upstrzony błotem, z kręgami pod oczyma.

–Na bogów, aleś mnie wystraszył!

–Zamierzasz ją poślubić – powtórzył Tristen jego słowa, jakby chciał się upewnić, czy dobrze słyszał. Oczy Tristena wydały się Cefwynowi nienormalnie mętne. Uciekające. Szare jak u regentki; dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę i wraz z tą świadomością zimny dreszcz przeszedł mu po kościach.

–Rzeczywiście, zamierzam ją poślubić. Jedź ze mną. Później mi opowiesz, co zaszło. – Bez względu na to, jaką historię Tristen miał mu do powiedzenia, Cefwyn wolał, by nie dotarła do wyczulonych uszu Umanona, a stamtąd na jego skory do plotek język. Nie chciał słyszeć o żadnych przygodach Tristena i lady, dopóki nie znajdzie się z młodzieńcem w prywatnym apartamencie. – Czy nasi Elwynimi pojedą z nami, czy też nie?

Wśród Elwynimów zbitych na drodze w gromadę panowało jakieś zamieszanie. Król przypuszczał, iż przynajmniej jeden z lordów powątpiewa w obiecaną im nietykalność i domaga się rozbicia obozu poza obrębem miejskich murów.

–Lord Tasiem patrzy niechętnym okiem na gošcinę w mieście – stwierdził Tristen ze swą zwyczajową bezceremonialnością. – Ale ona zrobi to, co sama uzna za stosowne.

–Czyli co? – zapytał, zanim przypomniał sobie, iż nie chce na razie słyszeć żadnych nowin.

–Znajdzie ludzi, by walczyć z wrogiem, panie. Z wrogiem Mauryła.

Na twarzy Umanona malowała się konsternacja. Nawet Cefwyrn obrzucił Tristena zakłopotanym spojrzeniem.

–To będzie stanowić przedmiot narady – powiedział Cefwyrn szybko. Religijne niepokoje w większym stopniu udzielały się pospolitym żołnierzom niż lordom, lecz reakcje lordów wróżyły zachowanie pospólstwa. Chwilę temu czuł się na wpół zakochany. „Cefwyrn” – rzekła lady, jakby do ich spotkania doszło przypadkiem, a on był zwyczajnym potencjalnym kochankiem, bez odrobiny oleju w głowie, ale za to z ujmującą twarzą.

W gruncie rzeczy nie musiała być piękna. Powinna być tylko regentką Elwynoru. A jeszcze lepiej, żeby, choć publicznie opowiadała się za quinaltynami.

A już najlepiej dla jego spokoju ducha, gdyby owe oczy nie wydały mu się nagle tak znajome, tak niepokojące. Nie pojmował, dlaczego nigdy nie dostrzegł, nawet pomimo ich sportretowanej dwuznaczności, że mogą być szare; albo dlaczego nie przypomniał sobie, kiedy ulegał ich czarowi i ofiarował się ożenić, że uważano je powszechnie, podobnie jak gęstwę czarnych, smolistych włosów, za wyróżnik Sihhijczyków.

W gruncie rzeczy nie miał się czego obawiać, lecz – na bogów – ileż rozbiegnie się plotek, nawet w Amefel, jeszcze tego wieczoru.

Elwynimi dołączyli do nich i padły imiona: lord Tasien z Cassissanu, lord Haurydd z Górnego Saissonnd, lord Ysdan z Ormadzaranu... Imiona dotychczas pojawiające się wyłącznie na starym pergaminie, wśród poskręcanych, atramentowych ścieżek.

–Panowie – rzekł Cefwyrn, przy czym nie mógł powstrzymać się od ukłonu, kpiąc z ich wyraźnego przestachu. – Krwawy Marhanen zaprasza w gościnę z nadzieją na mądre rady. Niechaj sztandar regenta zrówna się z moim sztandarem. O takie warunki prosiła lady regentką, a Ylesuin honoruje wszystko, o co ona poprosi. Nie wolno mi jej urazić, albowiem postanowiłem sprawiać jej przyjemność.

Elwynimi pochylili głowy. Lady, ku jego zdziwieniu, oblała się rumieńcem.

Ale kiedy Synanna, wskutek niedopatrzania cugli, otarł się o bok prugyna, szepnął do Idrysa:

–Zachodnia brama, na miłość boską, nie południowa. Każ komuś usunąć w nocy te głowy!

Cefwyrn oddawał się bez reszty rozmowie z otaczającymi go lordami, Tristen pomyślał więc, że najlepiej zrobi, jeśli będzie milczał. Czuł się wystarczająco dobrze, jadąc razem z Uwenem, przemierzając znajomą ulicę, gdzie i jego znano.

Niemniej jednak jazda pod górkę przeciągała się, mieszczanie Henas'amef wylegli przed domy, aby pogwarzyć, szerokimi oczyma śledząc wydarzenia i patrząc na elwynimskie chorągwie, których, czego Tristen był pewien, nie spodziewali się kiedykolwiek ujrzeć w

swoim grodzie.

Raptem ktoś gromko zakrzyknął:

–Lord Sine! – Wkrótce inni podjęli ów okrzyk.

Nie krzyczeli tak na widok innych lordów. Po minionej nocy Tristen dość już miał rzucania się w oczy. Czuł zmęczenie i ból, a podobnie jak jeszcze nie tak dawno uważał, iż za nic w świecie nie zniesie pałacowej niewoli oraz częściej paplaniny Uwena i czeladzi, tak teraz myślał, że nic innego nie jest mu droższe i na nic nie ma większej ochoty.

Deszcz padał na nich przez większą część nocy, nad ranem znów zaczęło siąpić.

Petelly strzygł uszyna i rozmyślał zapewne o owsie z miodem, natomiast pożyczony ivanimski rumak Uwena protestował zawzięcie wobec przyjętego tempa, wiedząc, że powinien się teraz znajdować w obozie Iwanimów, ponieważ wszyscy prócz nielicznych członków ich eskorty udali się na zasłużony odpoczynek. Iwanimi mieli z sobą prowiant, tak samo jak Elwynimi, toteż nie musieli głodować. W czasie podróży odpoczywano co najmniej trzykrotnie, lecz tylko raz, tuż przed świtem, postój był na tyle długi, by zwierzęta i ludzie mogli uciąć sobie krótką drzemkę.

O wiele za krótką: nikt nie wypoczął należycie. Tristen bardziej lękał się snów niżli duchów nawiedzających ruiny Althalen, toteż siedział tylko, przysypiając i zadowolając się widokiem uśpionego Uwena, który zarzekał się, że będzie nad nim czuwał. Uwen szybko zasnął, ukołysany ciszą i nieobecnością wiatru, która – w porównaniu z podmuchami smagającymi ich po mokrym ubraniu – wydawała się poniekąd ciepłą.

Dama miały sny. Śniły jej się dziecięce zabawy, dziecięce piosenki, a te dziecięce głosy straszyły Tristena nie mniej od duchów, wierszyki o drozdach i bieganie w podskokach, wspomnienia o kałużach po deszczu i o szarym kamieniu. Napęłniały go przerażeniem.

Wiedział, że to jej wspomnienia, nie jego. Czuł się w nich małym, jakim nigdy nie był. Ich wspomnienia niemal się nie różniły albo te jego przenikały do jej wspomnień, by znów się rozejść, raz będąc nią, raz będąc nim, mieszkając w jasnej komnacie w obawie przed ciemnością, to znów w twierdzy, która zawsze obfitowała w mroki.

Ynefel napęłniło jego senne myśli ujmującym ciepłem, tęsknotą za znajomym gołębnikiem i schodami prowadzącymi do jego komnaty, za znajomym stukotem laski Mauryla. Lady przebudziła się wszakże ze snu z okrzykiem, wystraszona kamiennymi twarzami; Tasien zapytał ją o przyczynę strachu.

Śnił mi się koszmar, odpowiedziała lordowi Tasienowi, po czym szczelniej otuliła się płaszczem, dygocząc.

To go bardziej niż ukłuło: zraniło. Siedział i obserwował regentkę, jak powtórnie zapada w

sen, rozmyślając, nękany własnym strachem, o nader dziwnym uczuciu, kiedy jest się tak małym, jak kiedyś ona była, kiedy waży się tak niewiele, ciesząc się jednocześnie z tych samych przyjemności, które i on zachowywał w sercu – z wyjątkiem... przemykania wśród kamiennych murów, oglądania twarzy i dostrzegania w nich znajomych rysów.

Nigdy nie wiedziała, że jej ojciec jest czarodziejem... albo co dawało mu siłę podróżowania w szarej przestrzeni. Niegdyś Tristen się zastanawiał, czy każdy może się w nią zagłębić. Zastanawiał się, czy nie jest to miejsce, które Emuin sporządził wyłącznie dla nich dwóch... i pozwolił mu do niego wejść. I oto nareszcie znalazł się ktoś, kogo to miejsce, tak jak jego, zadziwiło i przestraszyło.

Nagle poczuł się starszy – niejako. Nagle zapragnął, aby w ułamku chwili przekazać jej całą swoją wiedzę, po to by istniał ktoś, kto zawsze zrozumie, co znaczą i skąd pochodzą widziane przezeń rzeczy; zapragnął opuścić wszystkich, opuścić obóz, po czym odejść gdzieś samotnie, aby powiedzieć jej, aby zadawać jej... tak wiele pytań, które szemrały tej nocy w trawie, wśród listowia, we wspomnieniach o trzeszczącej nocami wieży Ynefel oraz sile nadciągającej nawałnicy Słów i Nazw; jakże wiele pytań o świecie, o którego zrozumienie mógłby się pokusić, gdyby tak nim nie miały wydarzenia i niebezpieczeństwa. Jak gołębie niesione porywem burzy: utrzymywały się w górze i fruwały, aczkolwiek nie próbowały zмагаć się z wicherem, nie tyle wybierając swoje własne ścieżki, co wybierając odpowiednie strumienie wściekłości, które niosły je w wybrane miejsca; smagane deszczem, nurkowały ostatecznie ku bezpiecznemu poddaszu, gdzie czekał na nie chłopiec nie będący nigdy tak naprawdę chłopcem, nie zważając na wicher rozdmuchujący wkoło słomę i wodę ciekącą szczelinami w dachu – chłopiec przyzywał je, by powróciły do domu, do gołębnika, machał rękoma i wykrzykiwał: Prędzej, prędzej! – nie mając pojęcia, iż są równie, co on bezradne.

Nie mógł nigdy być innym, niż był jeszcze dawniej. Nie mógł nigdy być dzieckiem, jakim kiedyś była lady. Nie potrafił przypomnieć sobie zamierzchłej przeszłości, którą ludzie wciąż mu przypisywali. Poza światłem w twierdzy Mauryła dostrzegał jedynie ciemność. Sztandary łopotały i trzeszczały na wietrze, wciąż chłodnym w blasku słońca.

Zerkając pomiędzy splatającymi się z sobą falami materiału, Tristen zauważył zachodnią bramę, prowadzącą do stajen. Minęli sklepione przejście i najkrótszą drogą w pierw wyjechali na dziedziniec, następnie dotarli pod zachodnie schody Zeide, z których zbiegli stajenni, by zająć się końmi, najpierw wierzchowcami Cefwyna i regentki, Cevulirna i Umanona, potem pozostałych lordów. Jeden z chłopców podbiegł, aby odebrać wodze Petelly'ego.

Tristen zsiadł spokojnie, gdy i Uwen zeskoczył na ziemię. Zobaczył, jak chłopak podaje Cefwynowi laskę, na której ten się wsparł, wydając się przez chwilę dręczony bólem; mimo wszystko Cefwyn znalazł się pod ręką, gdy Ninevrise ześlizgiwała się z konia wśród trzepotu spódnic. Również Tasiem pojawił się, by wesprzeć lady ramieniem. Cefwyn i lord Tasiem odnosili się do siebie uprzejmie; lord Haurydd i lord Ysdan, którzy pojawili się w

pobliżu, również zachowywali się grzecznie. Wszyscy wykazywali troskę o lady.

Tristen przypuszczał, iż niełatwo byłoby mu znaleźć się w tym ścisku. Mógł jednak rozmawiać z lady w sposób, jakiego oni nie znali. Mógł powiedzieć jej rzeczy, jakich oni nie byli w stanie wyrazić. Z wielką chęcią, gdyby kolana przestały mu się trząść z przemęczenia, pomógłby jej wytłumaczyć Cefwynowi, co się stało, dlaczego w Emwy czai się groźba i co się przydarzyło starcowi oraz elwynimskim rebeliantom.

Wiedział jednak z doświadczenia, że lepiej nie naprzykrzać się Cefwynowi, kiedy ten rozmawia z lordami – a zwłaszcza, podejrzewał, gdy rozmawia z regentką.

Chce ją poślubić?

Cefwyn już dawniej mówił o małżeństwie.

Małżeństwo to słowo o wielkim znaczeniu dla mężczyzny i kobiety. Małżeństwo pociągało za sobą inne słowa... Ich ogrom i obcość odbierały Tristenowi poczucie rzeczywistości. Nagle uzmysłowił sobie, że przemierza dziedziniec, obserwując, jak Cefwyn, Idrys, lady i lordowie wspinają się na schody, Cefwyn używa łaski i kuśtyka z grymasem bólu, nie zaprzestając rozmowy.

Nastąpiła jedna z tych chwil, w których czuł się odgradzony, niechciany.

Przypuszczalnie Cefwyn gniewał się nań za ucieczkę – i słusznie. Pragnął, aby Cefwyn ucieszył się na jego widok, jak wydawał się ucieszony widokiem lady – miał nadzieję, że owa lady będzie o nim mówić w dobrych słowach. Sądził, iż na to zasłużył. Mógł pokazać jej rzeczy, których Cefwyn pokazać nie potrafił. Ale nie, oni ułożą sprawę, jak im się spodoba, bez niego.

Gdy wchodził na schody, towarzyszył mu Uwen. Reszta zniknęła już w środku. Z piersi wyrwało mu się ciężkie westchnienie, łzy napływały do oczu. Zdał sobie sprawę ze swojego zmęczenia. Jakżeż mógł oczekiwać gorącego powitania po tym, jak ukradł Petelly'ego, okłamał strażników i wyrwał nocą sześć szwadronów jazdy Cevulirna na poszukiwania. Dobrze już, że Cefwyn okazał mu choć tyle uprzejmości i zadowolenia ze spotkania. Swoim postępkami nie zasłużył na zbyt wiele łaski Cefwyna.

Nie zasłużył zarazem na wybaczenie i dalszą wierność Uwena, który przemókł podczas nader długiej jazdy i gonitwy poprzez bardzo niebezpieczne miejsca. Uwen wszak mu wybaczył. Cefwyn, przypuszczalnie, również; a lady, jakkolwiek na to patrzeć, niczego mu nie zawdzięczała.

Wszedł do środka śladem lordów, podążających korytarzem ku jednej z sal obrad. Sam natomiast udał się na górę, do swych apartamentów, gdzie gwardziści, ku jego udręce, wciąż cierpliwie stali, jakby nigdy nie wychodził na zewnątrz.

Czyżby nie ruszali się stąd ani na krok? – rozmyślał. Zauważył, jak rozjaśniają im się oblicza na jego widok.

–Panie – jeden powiedział. Powitali go z radością, na co żadną miarą nie zasłużył.

Zrobiło mu się wstyd.

–Skocz no po służbę Jego Lordowskiej Mości – zwrócił się Uwen do najmłodszego. – Rzeknij tam, że już przyszedł i odpocząć pragnie, mają tedy się spieszyć.

–Tak, panie – odparł gwardzista i pognał wypełnić polecenie, podczas gdy pozostali wpuścili Tristena do środka, życząc mu miłego odpoczynku.

Każdy szczegół komnat, sam fakt powrotu do domu wobec uprzednich wątpliwości, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze to miejsce, wszystko to wypełniło jego zmysły uczuciem odurzającej sytości. Stał pośrodku pomieszczenia, patrząc na meble, jakby – cudowna myśl – na nowo odszukał zagubione miejsce.

Usłyszał czyjś krok za sobą i pomyślał, że oto nadszedł służący. Aczkolwiek muśnięcie szarości, równie delikatne jak usłyszane stąpniecie, obwieściło mu cudowną nowinę, zanim się jeszcze odwrócił.

–Mistrzu Emuinie!

–Tristenie. – Emuin podszedł i położył mu dłonie na ramionach. – Szkoda, że nie był bardziej przewidujący.

Tristen postąpił niewłaściwie, działając na własną rękę, to właśnie sugerował Emuin.

Stał przeto poddany ocenie jedyne go nauczyciela, jakiego miał w życiu; ocena ta była surowa.

–Postąpiłem zgodnie z posiadaną wiedzą, panie. Usiłowałem do ciebie dotrzeć.

–Z tyloma rzeczami się spotkałeś. Z mnóstwem zmian. Mnóstwem. Musiałeś odnaleźć własną drogę, młody lordzie. I chyba niegorzej ci poszło. Opowiedz, opowiedz mi, co robiłeś, co widziałeś, jak znalazłeś drogę.

Emuin rozbudził w nim nadzieję na aprobatę, jakże upragnioną; lecz Emuin zaczął ciągnąć go do szarej przestrzeni – której on bał się od zeszłej nocy przez pamięć na umierającego regenta, Ninevrise, a także Cienie i ich Nieprzyjaciela. Odmówił, a wtedy Emuin cofnął się raptownie, uciekając z rękoma.

Nie pamiętał, by na twarzy Emuina tak wyraźnie malowała się starość, by rysy jej były równie ściągnięte. Sam Emuin, który zrazu zdawał się tak mądry i opanowany, teraz

wyglądał na skołatanego i wystraszonego.

–Rozumiem – mruknął słabym głosem. – Rozumiem, młody lordzie.

–Czy wiesz, co się wydarzyło? Hasufin sięgał poza Ynefel. Ale lord regent powiedział, że nie wolno mu pozwolić na zajęcie Althalen, więc poprosił, aby go tam pochowano... – Znacznie składniej szło mu opowiadanie Emuinowi niż wcześniej regentce czy później, prawdopodobnie, Cefwynowi. – Powiedział, że za długo już słuchał Hasufina. Przybył do Althalen, gdyż chciał tam zostać pochowany, a to w obawie, by nie posłużyć za pomost dla Hasufina w przypadku pogrzebu w innym miejscu. Potem sprowadziłem tu lady, panie. Jej ojciec pragnął rozmawiać z Cefwynem, a Cefwyn mówi, że chce ją poślubić.

–Łaskawi bogowie! Chce ją poślubić?

–Sądzę... – stwierdził, ponieważ przez całą powrotną drogę mógł się nad tym zastanawiać – sądzę, że ludzie z wioski Emwy ukrywali lorda regenta. Sądzę, że od początku wiedzieli o jego obecności i go ochraniali. To był dobry człowiek. Ale teraz wszystkie domy zostały spalone, ludzie zmienili się w Cienie. Być może to sprawka Idrysa; zamierzał podpalić stogi siana; ale ja uważam, że zrobił to człowiek o imieniu Caswyddian, który szukał regenta. Znalazł nas, lecz przyłapały go Cienie. Wątpię, czy ścigał nas poza Althalen. Słyszałem pękające drzewa.

Emuin pogłaskał się dłonią po twarzy, podszedł do stołu i usiadł; czyżby przyznał, że zostało jeszcze wiele spraw do usłyszenia? Nie zostało. Tristen także usiadł, czując się znużony, jakby wiele dni spędził w siodle: najpierw śmierć ojca Cefwyna, potem jazda do umierającego regenta, tam i z powrotem. Jakże wielki zamęt panował naokoło, umierali ludzie – cokolwiek to oznaczało, wciąż nie mógł się w tym połapać. Pragnął, by Emuin przyznał mu słuszność i upewnił go, że nie wpakował Cefwyna w jeszcze większe kłopoty.

–Szkoda, że mnie tam nie było – stwierdził Emuin.

–Czyżbym popełnił błąd, panie?

–To się dopiero okaże.

–Zabiłem ludzi. Walczyłem z wrogami Cefwyna. Ale ja... umiałem, panie. To mi się objawiło, podobnie jak inne rzeczy.

–Postąpiłeś w zgodzie z sumieniem?

–Tak, panie. Chyba tak. – Pytanie Emuina zostało sformułowane w stylu Mauryla. Ukazywało mu ścieżkę, przy której leżały następne kwestie do rozmyślań. – Tylko czy właśnie to miałem robić? Czy Mauryl chciał, abym walczył z wrogami Cefwyna? Myślałem, że podążając Drogą, znajdę wreszcie odpowiedź, a znalazłem lady i lorda regenta. Chyba tam właśnie miałem pójść. Ale nadal nie wiem, czy tego chciał Mauryl. Gdzie mogę znaleźć

odpowieź?

–O bogowie! Chłopcze, żebym to ja wiedział! Niemniej spisałeś się bardzo dzielnie.

–Hasufin ciągle ma więzę, panie. Mimo to może jeszcze zająć Althalen. Sam nie wiem. Stary człowiek, lord regent, walczył, ażeby go powstrzymać. Był czarodziejem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

–Lord regent? – zapytał Emuin, zaskoczony. – A to niby czemu?

–Bo podróżował w szarej przestrzeni. Tak samo, jak jego córka, chociaż nie wiedziała wcześniej, że potrafi. Czy tylko czarodzieje mogą tamtędy podróżować?

–Córka potrafi, powiadasz?

–Tak, panie.

Emuin odetchnął głęboko, powoli.

–Czy to źle? – zapytał Tristen, nie rozumiejąc zafrasowanej miny starca.

–Nie, nic w tym złego. Ale to niebezpieczna sprawa, zwłaszcza w tamtym miejscu. Zawsze ci mówiłem, abyś miał się na baczności.

–Ze względu na Hasufina?

–Tak, ze względu na niego.

–Czy mógłbyś go pokonać, gdybyś tam był?

–Tam, gdzie Mauryl nie zdierzył? Nie jestem o tym przeświadczony. Daleko mi do pewności w tej kwestii. A ty musisz wystrzegać się tamtego miejsca. Zarówno ty, jak i ona!

–Lord regent powiedział... – Tristen próbował przytoczyć pokrętną argumentację lorda regenta, tłumacząc, jak łatwo jest wpaść w sidła sztuczek Hasufina, lecz w jego myśli zakradł się chaos podobny do oszołomienia, jakie czuł wtedy, gdy sływało nań zbyt wiele i zbyt szybko. Język zapomniał, jak wypowiadać słowa. Oczy pozostawały otwarte, lecz obrazy poczęły ulegać rozmyciu. Raptem poczuł się dojmująco, beznadziejnie wyczerpany, przy czym wiedział, iż znajduje się w bezpiecznym miejscu, a opodal stoi jego własne łóżko, o którym wręcz marzył.

–Biedaczysko – rzekł Emuin; podobnie powiedzieć mógłby Mauryl; a może tylko śnił, wsparłszy czoło na rękach? Usłyszał szuranie krzesła, gdy Mauryl wstał od stołu, chciał się zatem obudzić. Poczuł na plecach dotknięcie przyjacielskiej ręki. Może znów był w Ynefel? Może tylko zasnął?

–Nieszczęsny pan – ktoś stwierdził. Drugi głos dodał: – Połóżcie go do łóżka. Tego potrzeba mu najbardziej.

Poczuł kogoś przy ramieniu, usłyszał głos Uwena:

–Na nogi, panie.

–Emuinie...

–Mistrz Emuin na kolację poszedł, chłopcze. – Uwen objął go ramieniem, a on rozbudził się na tyle, aby mu pomóc, wstając z krzesła. – Służba szykuje gorące ręczniki, panie, łóżko czeka.

Mógł iść. Pozwolił się zaprowadzić do sypialni i posadzić na ławie pod oknem.

Wspomagany przez Uwena, ściągnął płaszcz, kolczugę oraz buty, po czym, dygocząc, siedział w ubraniu, które nigdy nie wyschło.

Wnet zjawili się służący z naręczem gorących, wilgotnych ręczników. Tristen zrzucił resztę ubrania, dał się cierpliwie uczesać, ogolić i ogrzać ręcznikami. Na skutek owych wygod powieki mu się zamykały i o mało nie zasnął na ławie.

Uwen podniósł go z pomocą jednego z lokajów i zaprowadził do łóżka po chłodnej posadzce. W palenisku płonął ogień, co dostrzegł, gdy Uwen układał go na pościeli i okrywał kocami.

–Czy Emuin się gniewał? Bo nie pamiętam.

–Nie gniewał się, panie. Rzekł, byś co nieco pospał. Masz się niczym nie frasować, on pomówi z królem.

–Jestem zmęczony, Uwenie, niewymownie zmęczony. To na razie wszystko. – Oczy jego już wcześniej zdążyły się zamknąć, wydawało mu się, że materace nie mają dna. – Boję się, że mogę przespać kolację.

–Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, chłopcze. Spisałeś się jak zuch.

–I ja chciałbym tak myśleć.

–Znać, w kość szaruga ci dała. – Delikatna dłoń Uwena zgarnęła mu z twarzy kosmyk włosów. – Trza ci się wystrzegać podobnych miejsc.

–Zdaje się, że tam najbardziej pasuję.

–Nieprawda, panie. Nigdy tak nie mów!

–Uwienie, wybacz, że wyciągnąłem cię na tę pluchę.

–Nie ma czego wybaczać, chłopcze. Alem się nadzieją ludził, że minie cię krew i zabijanie, że chcesz się li tylko po okolicy przejechać. A tyś na duchy trafił i zgoła gorsze rzeczy.

–Spotkałem Hasufina. Spotkałem go, ale wciąż był zbyt silny. Stary człowiek przywiódł mnie jednak do Elwynimów. A ja przywiódłem cię do nas, tak mi się przynajmniej wydaje. Miałem nadzieję, że będziesz się trzymał z daleka, lecz pod koniec niczego bardziej nie pragnąłem, jak zobaczyć ciebie zjeżdżającego ze wzgórza.

–I jam niczego bardziej nie pragnął, jak ciebie, chłopcze, obaczyć. Ale żeś chwacko się spisał, to pewna. Słyszał ja twoją rozmowę z mistrzem Emuinem. Nader dziwna sprawa, powiadam. Elwynimi gadali o ogniu i dymie, któryśmy czuli po prawdzie, choć przecie lało jak z cebra, jako z kadzi jakowejś. Iwanimi twierdzą, jakoby rzecz ta zwykłą była w tym miejscu, a w nawiedzanych przez widma ustroniach często dym się czuło. Cóż jednak drzewa połamało, panie?

— Myślę, że mieszkańcy Emwy – odparł Tristen, na próżno próbując odemknąć powieki. – Mów lepiej o czymś innym. Opowiedz o wiosce, z której pochodzisz. Opowiedz o mieście. Rozwesel mnie. Chciałbym się pośmiać.

Uwen mówił i mówił, dźwięki płynęły leniwie, miłe i zarazem odległe, opowiadające o ciotce, kapłanie i świni. Historia brzmiała zabawnie, doprowadzając go do śmiechu, jakkolwiek bez przerwy gubił wątek i tylko podświadomie zrozumiał pointę dowcipu; zapamiętał tylko, że świnią przed zachodem słońca sama trafiła do domu, a kapłan chciał ją zjeść na obiad. Wobec tego Tristen obrał stronę świni.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przez cały wieczór plotki obiegały sale i do rana, jak donosił Annas, przyrosło im wiele nowych głów.

W przeważającej mierze plotki odpowiadały prawdzie: w Elwynorze rzeczywiście wszczęto rebelię, wioskę Emwy do cna spalono, a król zamierzał poślubić regentkę Elwynoru.

Cefwyn żywił nadzieję na przynajmniej godzinę lub dwie spokoju, zanim będzie zmuszony sprostowywać, co zuchwalsze wersje krążących pogłosek. Do późnej nocy obradował z Cevulirnem i wypytywał jego kapitana, a potem jeszcze nie mógł zasnąć z powodu bólu w nodze. Nie zdążył jednak dopić porannej filiżanki herbaty, albowiem Efanor przepchał się przez skonfundowanych gwardzistów, wielce wzburzony.

–Nie myślisz chyba poważnie! – żalił się już od progu. – Nie wolno ci tego zrobić! Nie odważysz się tego zrobić!

–Wolno mi i odważę się – mruknął Cefwyn znad skraju filiżanki. – Tryumfował w duchu,

zdoławszy tak zręcznie zbić Efanora z pantaląku. Cieszył się, że działalność pewnych sił natury można z góry przewidzieć. – Wymień mi bodaj jedną niekorzyść, bracie, a poza tym usiądź i napij się herbaty. Tylko cicho sza! Wiesz, że nie cierpię hałasów, kiedy odpoczywam.

Annas wniósł dodatkową filiżankę, Efanor rozsiadł się w krześle. Wymieniono uśmiechy. Pokiwano głowami. Drzwi się zamknęły.

–Zapytam ją o to. Jeśli przystanie na moją prośbę.

–Król nie może poślubić heretyczki! Nie wolno mu bluźnić przeciwko bogom! Nie wolno mu ich lekceważyć!

I Naprawdę uważasz, że coś zauważą? – kusiło go, by powiedzieć. Noga od samego rana dawała mu się we znaki i był skory do gniewu. Zdecydował się jednak na ordynarne samolubstwo, godne kapłanów Efanora, dlatego z zimną krwią upiększył własny areligijny światopogląd iście kapłańską emfazą.

–Mocno wierzę, iż bogowie zsyłają nam szansę, Efanorze, mocno wierzę, iż szansę na uczynienie wielkiego dobra trafiają się nader rzadko, być może raz w ciągu życia. I oto dostałem swoją szansę. – Ślepe zrządzenie losu, tak to osobiście odbierał. Skoro już posunął się do pewnego nieposzanowania bogów, postanowił sypnąć wierutnymi wymysłami: – Dwie noce temu doznałem wizji, ujrzałem słońce rozjarzone po drugiej stronie Lenualimu. Uważam, że to opatrzność boska skierowała Tristena ku nam, zamiast za rzekę, gdzie Aseyneddin, prawdziwy bezbożnik, łącno by go pochwyił i użył do złych zamiarów; uważam również, że łaskawa opatrzność boska daje mi szansę pojednania obu królestw.

–Ależ to heretycy!

–Na świętych, miłościwych bogów, Efanorze! A kogóż innego można nawracać? Pobożnych? Bogowie już ich mają. To o heretyków bogowie muszą zabiegać. Przecież sprzeciwianie się boskiej opatrzności to czysta herezja, czyż nie? Przed naszymi oczyma rozgrywa się absolutnie bezprecedensowy, zrzadzony przez opatrzność łańcuch doniosłych wydarzeń! Łaskawi bogowie bezsprzecznie pragną nawróconych i wpływów w Elwynorze, co zapewnić im może regentka, o ile pobożni gueleńscy wyznawcy będą robić dobre wrażenie, zamiast obrażać lady poprzez aresztowania sędziwych handlerek, sprzedających na targu błyskotki. Zachowujmy proporcje, bracie, przypisujmy sprawom należne im znaczenie! Co w większym stopniu bogowie docenią: napędzenie strachu staruszce, czy też nawiązanie przyjaznych stosunków z Elwynorem z szansą na uspokojenie pogranicza? Pozwólmy bogom w późniejszym czasie zająć staruszkami, a sami zabierajmy się do pracy, jaką nam najwyraźniej zlecili wykonać, uwzględniając kwestie granicy i regencji; skorzystajmy ze sposobności, która od stu lat nie nadarzyła się żadnemu królowi. Jeśli zawiedziemy... jeśli zawiedziemy, potępią nas tysiące istnień. Utracimy wszystko, co cenimy, niweczając boskie plany. Nie chciałbym obciążać tym mego sumienia, o nie!

Usta Efanora otworzyły się i zamknęły – być może sięgną}, aczkolwiek z opóźnieniem, po rozum do głowy. Efanor zaczął od szczerego dziecięcego strachu przed nocnymi łomotami na klatce schodowej, a skończył na niezachwianym przekonaniu, że ponadnaturalne istoty wzbraniają mu przyjemności w życiu, lecz kiedyś zapewne dadzą się przebłagać. Efanor był w miarę rozsądnym człowiekiem, dopóki nie porzucił tolerancyjnych terantynow Emuina na rzecz bezwzględnej ortodoksji quinaltu, obfitującego w prawidła i zasady wstrzemięźliwości, nakazującego pokutę za grzechy. Wątpliwości Efanora i próby ich rozproszenia, które zapewne i tak zakończyłyby się pomyślnie, przywiodły go do sekty, gdzie każdy z jego poglądów obwarowano moralnymi zastrzeżeniami, każdą najmniejszą nawet myśl, by potem pokazać mu, jak ma odpokutować za owe niemoralne myśli, równocześnie poszukując w sobie kolejnych wad. Wszystko to w coraz większym stopniu odciągało jego uwagę od spraw tego świata.

Cefwyn domyślał się, iż taki a nie inny bieg wypadków spowodowało dorastanie u boku dziadka mającego świadomość, iż potępiono go i skazano na jakieś nieznanne piekło, oraz wujka, który w przeddzień zgonu wypowiedział pewne wieszczcze słowa na temat swojej śmierci. Efanor chwycił się zbawienia jak tonący brzytwy we wzbierającej powodzi niewytłumaczalnych zjawisk.

Lecz brat, jakiego niegdyś kochał, dawno temu miał bystry umysł; z niewiadomych względów przyszło Cefwynowi na myśl, że przerost niewytłumaczalnych idei, wykraczających stopniem skomplikowania poza ograniczone pojmowanie owego nieznośnego kapłana, może okazać się najlepszym sposobem na odratowanie brata.

Tak więc popijał herbatę i rozwodził się na temat swych wniosków w sprawach zarówno militarnych, jak i tych ściśle dotyczących Elwynoru. Widział zadowolenie malujące się na twarzy Efanora: brat jego – co ujrzał w wizji przynajmniej tak sugestywnej, jak ta, w której rzekomo uczestniczyły słońce i rzeka – nie znosił, gdy zaszeregowywano go do kategorii pospolitych lordów oraz gdy uzyskiwał informacje w tym samym, co oni momencie.

W związku z tym Cefwyn musiał poświęcić nieco czasu, aby sprawy wagi państwowej nie okazały się później dla Efanora niespodzianką. Księżę odprężył się nad filiżanką herbaty, potem nad drugą i trzecią, aż wreszcie – choć wymagało to ze strony Cefwyna wielkiej ostrożności wobec rozłożystych i kolczastych żywopłotów, strzegących religii Efanora – księżę poczuł się zupełnie zrelaksowany, zaczął rozumować, a czasem nawet podsuwać jakąś racjonalną myśl.

Efanor zawsze lubił wiedzieć o rzeczach, o których inni nie wiedzieli – skoro tylko zdał sobie sprawę ze złożoności argumentacji, wówczas, podobnie jak Umanon, lecz z większym polotem, zapuścił się ochoczo w gąszcz myślowych spekulacji i wpadał na pomysły – które szybko mogły stracić rangę tajemnic państwowych, gdyby zwierzył się swemu kapłanowi.

Dzięki tej strategii Cefwyn miał najlepszą okazję na uratowanie brata: wystarczyło wpłatać Efanora w dyplomatyczne intrygi, zrazu błahe, tak, aby księżę opowiedział się po jego

stronie i wybrał dochowowywanie tajemnic królewskich, a nie quinaltyńskich.

A wówczas uwaga na quinaltynów, pomyślał, przewidując niemałe kłopoty, kiedy kapłani spostrzegą, iż Efanor wymyka im się spod kontroli.

Miał powody do zadowolenia z wyniku rozmowy. Noga mniej go bolała.

Odprowadzając Efanora do drzwi, czuł, że panuje nad sytuacją, przynajmniej u zarania dnia.

Ledwie jednak powrócił do stołu i swych porannych zajęć, u drzwi stawił się Emuin, prosząc gwardzistów o przepuszczenie.

W trakcie dwóch kolejnych filiżanek herbaty Emuin snuł sieci bardziej przyziemnych intryg i tym razem to Cefwyn miał okazję poznać kilka sekretów.

–Nasz młodzieniec – obwieścił starzec, pośród innych miłych nowin – wie o istnieniu wroga Mauryla i utrzymuje z nim sporadyczny kontakt.

–Tutaj? – wyrwało się Cefwynowi.

–Czasem. Ale ważne jest Miejsce. Magia przywiera do miejsc, a raz zbudowane miejsca znaczą ziemię na bardzo, bardzo długi czas. On i nieboszczyk regent usiłowali wydrzeć Althalen z mocy Hasufina. Sądzę, że przynajmniej dał się poznać z dobrej strony. Zapobiegł całkowitemu zniszczeniu zrujnowanego grodziska, a przyzwały go tam jakieś nieznane mi czary. Nie wiem, kto ten plan obmyślił, i nie wiem, kto wpadł na pomysł, by regentka do nas przybyła. Nie orientuję się w poczynaniach Tristena. Jest młody, czasem nieświadomy... i nie wiem, jakim sposobem wróg mógłby podsuwać mu pomysły. Ja z pewnością tego nie potrafię. Chociaż Hasufin to zupełnie inna sprawa.

–Ależ to straszny Barrakketh! Czarodziej zdolny przekształcić Zeide w Ynefel! Raptem powiadasz, że to bezradne dziecko, podatne na złośliwe i subtelne wpływy!

–On nie jest czarodziejem. I twierdzą, że Mauryl nie nadał mu Formy, będąc u szczytu swej potęgi. Mauryl... Bogowie wiedzą, co zrobił Mauryl. Mauryl z pewnością nie przechwycił całej jego osobowości.

–Brawo! Pół-czarodziej.

–Nie drwij! Istnieje uzasadniona nadzieja, że on jest po prostu... młody, przy czym obstawałem od samego początku.

–Iz każdym dniem starszy, mości szara szato.

–Miej na niego oko. Tylko tyle. Być może wyświadczył ci w Althalen wielką i nad wyraz mądrą przysługę. Myślę sobie, że skoro się nieco uciszyło, Hasufin prawdopodobnie sparzył

sobie rękę. Ale, ale, czy wspominałem już o sihijskiej krwi w żyłach regenta? Swoimi pytaniami odwróciłeś moją uwagę, młody królu.

Cefwyn przełknął łyk herbaty.

–Nie, nie wspominałeś. Złożyłem ofertę małżeńską jego córce. Nie zapomniałem chyba o tym wspomnieć, mój panie? A ta dama ma szare oczy.

–Lord regent posługiwał się czarami. Czarami, czego się wcześniej domyślałem. Nie twierdzę, iż Sihijczycy nie mogą się stawać czarodziejami, przy czym uważam, o ile Wasza Królewska Mość zechce wysłuchać mej przemyślanej opinii, że regent był i jednym, i drugim.

–Święci bogowie, stary mistrzu, ja mówię o ślubie z tą kobietą. Nad ślubem z tą kobietą debatuję od miesięcy. A ty dopiero teraz przychodzisz do mnie z tą błahą wiadomością? Niech to diabli!

–Po pierwsze, nie wiedziałem niczego o lordzie regencji, póki nam Tristen nie powiedział. Czarodzieje to rzeczywistość. W świecie słychać ich szelesty. Po drugie, krew regenta jest bardzo, ale to bardzo rozcieńczona poślednimi domieszkami, w przeciwnym, bowiem razie sam by spełnił przepowiednię. Nie mógł. Przy Tristenie był nikim.

–Czy Tristen odziedziczy Elwynor?

–Jakże mi to wiedzieć?

–Powinienem brać z nią ślub?

–Skoro ci się podoba, czemuż by nie?

–Czemuż by nie? Na bogów, litości! I to ma być rada, mój panie?

–Bynajmniej, przyznaję. Czyż wolno mi wybierać komukolwiek żonę, samemu żyjąc w celibacie?

–Kolejny powód, by nie ufać czarodziejom.

–To żaden wymóg, ale pomocna okoliczność. Powiedziałem ci już wszystko, co miałem do powiedzenia.

–Cóż mam czynić, do diaska, mój panie? Gdzież twe rady?

–Idrys wie znacznie więcej o szerokim świecie. Jego zapytaj.

Po tych słowach Emuin wyszedł, udając się, jak zadeklarował, na modlitwy.

–Cholera! – rzekł Cefwyn w stronę czterech ścian.

–Panie? – zapytał Annas, przybywszy z sąsiedniego pomieszczenia.

–Niech to jasna cholera! – Wyrzwał za okno, na dachówki i poranne niebo. Za nim znikła zastawa śniadaniowa. Słyszał ciche pobrzękiwanie.

Przyskoczył doń jeden z paziów, aby nieśmiało wręczyć mu wiadomość.

Zalano ją pieczęcią z wizerunkiem Wieży.

Jej pieczęcią. Kogóż by innego? Przybyli pod sztandarami. Z objuczonymi końmi.

Miał przed sobą bez wątpienia pieczęć regenta – Podważył ją paznokciem kciuka i rozłożył świstek.

Przyjmuję twoją ofertę – przeczytał. – Wyjdę za ciebie.

Słońce wisiało już wysoko nad horyzontem, a czeladź krzątała się przy codziennych pracach, kiedy Tristen się obudził, wpatrzony w sufit własnej komnaty, leżąc we własnym łóżku, tak wygodnym, że aż czuł się nieswojo.

Nie miał ochoty sprawdzać, co przyniesie dzień. Wolałby poleżeć w bezruchu, nie przysparzając nikomu żadnych zmartwień.

Nie umiał jednak, leżąc nieruchomo i cicho w obawie przed zwabieniem służących, powstrzymać się od myślenia o tym, gdzie był i co się stało, oraz, co gorsza, o Cefwynie i powodach, dla których król gniewał się na Tristena.

Przypuszczał, że zaistniałej sytuacji nie może zignorować na skutek jakiejś swojej ułomności, która zapaliła w nim pragnienie pojednania się z Cefwynem. Nie był nawet do końca przekonany, czy król się na niego gniewa. Choć, wyglądało na to, miał po temu wszelkie prawo.

I to ostatecznie wygoniło go z łóżka.

Zjadł śniadanie, co służba przyjęła z zadowoleniem; z premedytacją przywdział podsunięte przez czeladź szaty – czarne – po czym, zdecydowany poprawić swoje maniery, porozmawiał uprzejmie z Uwenem; on także chętnie pospałby do późna, lecz prawie nigdy tego nie robił. Wziął trochę chleba i otworzył prostokątną, jedyną dającą się otwierać szybkę w oknie, by wystawić pokarm dla gołębi, co czynił każdego ranka w wolnej chwili – pragnął, żeby znów w jego życiu zagościł spokój. Postępował tak samo, jak za dawnych dni, kiedy w jego życiu nie miały miejsca żadne znaczące wydarzenia.

Niemniej po śniadaniu przeprosił Uwena i obwieścił mu, iż zamierza przejść się po sali.

–Obiecuję ci, Uwenie, uroczycie obiecuję, że wrócę po ciebie, gdy zechcę pójść gdzie indziej. Odpocznij sobie. Rób, na co masz ochotę.

–Ależ ja cię nie podejrzewam, panie – zaprotestował Uwen.

–Zasłużyłem na twoją nieufność. Zamierzam się poprawie, Uwenie. Obiecuję.

–Panie – rzekł tylko Uwen, jakby zażenowany. Cóż więcej mógł jednak powiedzieć?

Z liczby gwardzistów pod drzwiami Cefwyna można było wnosić, iż król jest u siebie i prawdopodobnie sam: nie stała w pobliżu eskorta żadnego lorda. Przeszedł salę, sunąc za dwoma żołnierzami ze swojej straży, którzy mieli za zadanie towarzyszyć mu nawet tutaj, i poprosił o wpuszczenie do apartamentów Cefwyna, na poły spodziewając się odmowy króla, na poły bojąc się ewentualnego spotkania.

Widać jednak strażnicy wciąż mieli rozkazy go przepuszczać, nigdy dotąd nie cofnięte. Tristen przemierzył zakątek Idrysa między drzwiami, teraz opustoszały, i wkroczył do komnaty Cefwyna, który siedział przy stole jadalnym, przysuniętym pod okno, gdzie było dużo jaśniej.

–Panie – przywitał się lękliwie.

–Tristenie. – Cefwyn uniósł się z widoczną udręką, potem opadł z westchnieniem i przywołał go skinieniem ręki.

–Nie wiedziałem, czy mnie przyjmiesz – powiedział Tristen. Podeszedł i usiadł na zaoferowanym mu krześle. – Bardzo mi przykro, panie.

Cefwyn sięgnął ponad stołem i pochwycił go za nadgarstek.

–Wezwałbym cię jeszcze wieczorem, Tristenie, ale podobno spałeś.

–To prawda, panie. Czego chciałeś?

Cefwyn roześmiał się i potrząsnął głową, puściwszy jego rękę.

–Równie niezmienny, co wschód słońca. „Czego chciałeś?” Chciałem zobaczyć cię żywym, głuptasie. Chciałem twego dobra.

–To bardzo uprzejmie, panie.

–Uprzejmie! Dobrzy bogowie! Co ma „uprzejmie” do rzeczy? Powinienem był się domyślać, że pokażesz się bez najmniejszego siniaka.

–Ukradłem. Skłamałem. Pojechałem tam, gdzie wiedziałem, że czyha niebezpieczeństwo.

–Pięknie podsumowane. – Cefwyn znów potrząsnął głową, wydając się raczej ubawiony niż zagniewany. – Wiedziałem o każdym cholernym kroku, jaki uczynisz. Uwen wiedział. Idrys wiedział, ledwie okazało się, że zniknąłeś, a mimo to udało ci się uciec.

–Uwen potrzebował czasu, żeby zdobyć konia.

–Żeby zdobyć sześć szwadronów kawalerii. Miał przynajmniej tyle rozsądku, by nie wyprawiać się samotnie.

–Tak, panie.

–Nie powinieneś być widzieć tego – Cefwyn spoważniał – co tamtej nocy widziałeś. Nie powinieneś być ruszać się z miasta.

Tristen niemal zapomniał o początku całej sprawy oraz o przyczynach, dla których udał się na zwołaną przez Cefwyna naradę.

–Tak, panie – powtórzył, uznając za słuszną wymówkę króla.

–Heryn – podjął Cefwyn – ponosił odpowiedzialność za śmierć mojego ojca. Jak się okazuje, także za śmierć Elwynimów. Heryn Aswydd krążył po obu stronach równocześnie, zawsze dbając, aby przez niego przechodziły wszystkie wiadomości. Jeśli wiadomość mu nie odpowiadała, goniec ginął. Spiskował z każdą elwynimską frakcją, spiskował ze mną, informował kłamliwie mego ojca o moich poczynaniach, informował mego brata i każdego lorda, który skłonny był nadstawić ucha jego jadowitym słowom. Był na wskroś winny, Tristenie. Jeżeli wybuchnie wojna, a obawiam się, że do tego dojdzie, nie mała w tym będzie jego zasługa.

–Myślę, że słuchał Hasufina.

–Tego twojego upiora z wieży. Nie wiem, kogo on słuchał, przyjacielu. Jednakże pazerność oraz panika, w jaką wpadł, gdy dobrałem mu się do ksiąg rachunkowych, pchnęły go do rozpaczliwych posunięć. Jestem niemal pewien, że to on krył się za zamachami na moje życie. Niewątpliwie w pośredni sposób podjudzał zabójców, może również dbał, by mieli swobodny dostęp do mej osoby. Oczywista rzecz: skoro to jego ludzie patrolowali dystrykt Emwy, Elwynimi mogli w spokoju odbudowywać most i przerzucić tamtym szlakiem dowolną liczbę zbrojnych; jego tak zwani strażnicy przepuszczali Elwynimów niczym sito.

–Sądzę, że masz rację – odparł Tristen; słowa Cefwyna rzucały nowe światło na ostatnie wydarzenia.

–Sądzisz, hę? – Cefwyn wydawał się czymś lekko rozweselony, wnet jednak się nachmurzył, odchylił na krześle i szurnął nim ku narożnikowi stołu, by z bliższa przypatrzeć się Tristenowi. – Wszyscy winni ci wdzięczność, skoroś zdołał namówić lady Ninevrise na przyjazd do Henas' amef. Wzdragam się przed nakłanianiem cię do dalszych głupstw, ale

coś mi się zdaje, że bez ciebie byłibyśmy teraz w daleko większych opałach... Emuin wyjaśnił mi, że wyczuwałeś, iż coś ma się wydarzyć, dlatego wyjechałeś.

–Nie zdołałem go pokonać.

–Kogo? Hasufina?

–Tak, panie.

–Przestań z tym „panie”, kiedy rozmawiamy bez świadków. Mów rzetelną prawdę. Opowiedz mi o wszystkich szczegółach, a nie przerwę ci ani słowem.

Tristen spróbował. Rozpoczął od kradzieży Petelly’ego, a zakończył na powrocie do Henas’amef. Raz przeszkodził im gwardzista, by oznajmić, że kanclerz pragnie zobaczyć się z Cefwynem, a raz, by wręczyć królowi liścik, za czym Cefwyn przeprosił na moment Tristena i spisał krótką odpowiedź, nie pozwalając mu kontynuować opowieści, dopóki nie zasiądzie z powrotem, by wysłuchać dokładnie wszystkiego. Cefwyn kazał mu opisać regenta i szarą przestrzeń tudzież przebieg spotkania z Ninevrise w owej szarości; Tristen musiał przypomnieć sobie, co powiedział Ninevrise w sprawie jej portreciku, podarowanego Cefwynowi. Nikt go jeszcze tak długo nie słuchał, nie licząc Mauryła, i z każdą chwilą, gdy docierał do wydarzeń na drodze, ogarniała go większa niepewność, czy król rzeczywiście pragnie usłyszeć nawet drobne szczegóły. Król jednak zapowiedział, że nic nie może zostać pominięte. Tristen obawiał się, iż relacja z rozmowy z Elwynimami na temat portreciku rozżłości Cefwyna, lecz obawy te okazały się płonne. Na twarzy Cefwyna nie odbijało się żadne odczucie.

Kiedy ogłosił koniec opowieści, Cefwyn kiwnął głową i na chwilę zatopił się w rozmyślaniach.

–Ów Hasufin nawiedza cię we śnie. Ale powiadasz, że istnieje naprawdę.

–Naprawdę, panie.

–I jest zdolny wyrządzić komuś krzywdę?

–Tak myślę. Myślę, że na pewno porusza Cieniami. I wiatrem. To on sprawił, że pojawiły się drzwi. To on rozłupał ściany. To on postrącał galerie.

–Zatem dość jest realny – zgodził się Cefwyn. – Ale chyba nie może przyjść tutaj?

–Lord regent powiedział, że Hasufin pójdzie wszędzie tam, gdzie będzie się mógł o coś zaczepić. Do kogoś, kto go wysłucha. Sądzę, że Heryn go słuchał. Bez wprawy. Inaczej niż lord regent, bo Heryn chyba nie był czarodziejem. Sądzę, iż w szczególności czarodzieje nie powinni go słuchać, gdyż to bardzo niebezpieczne.

–Niemniej w pewnej mierze Hasufin może nas tu nawiedzać?

–Jeśli zaczniemy go słuchać, tak, panie, mógłby, tak sądzę.

–Bardzo ważny powód, by tego nie robić, nieprawdaż?

–Zgadzam się, panie. Ale on jest o wiele za silny. O wiele za silny. I musimy tam pójść.

–Do Ynefel?

–Tak, panie. Należy go powstrzymać.

–Jak?

Tristen zagryzł wargę.

–Nie wiem, panie. Próbowałem. – Ogarnęło go przykre uczucie porażki. – Gdyby lord regent był silniejszy, być może razem moglibyśmy wypędzić Hasufina. Raz nam się to udało, na chwilę.

–A gdybyś tak spróbował z Emuinem?

Tristen nie chciał mówić prawdy. Niemniej jednak Cefwyn spodziewał się po nim szczerych odpowiedzi, a teraz pilnie nadstawiał ucha.

–Emuin się boi – wyznał. – Emuin się go boi. A lady nic nam nie pomoże. Ledwo mnie słyszy, gdy do niej mówię. Mogłaby popaść w wielkie tarapaty. Nie ma tej siły, co lord regent. Może by się nauczyła... ale trudno powiedzieć.

Cefwyn namyślał się przez chwilę.

–Nikommu nic nie mów o lady.

–Tak, panie.

–Złożyłem jej propozycję małżeństwa. Przyjęła. Oczekuję spotkania z nią... niebawem. Czyż powinienem się wstrzymać wobec tych jej magicznych uzdolnień?

Nie wiedział, co począć. Nie mógł wszakże odwodzić Cefwyna od tego, co słuszne.

–Raczej nie, panie.

Znowuż Cefwyn wpatrywał się weń długo, bez słów.

–I ja dzielam to zdanie. Nie napędzasz mi strachu. Czasami lękam się, to prawda, aczkolwiek nie jesteś w stanie mnie wystraszyć, kiedy mam cię pod ręką. Boję się tylko

wtedy, gdy znikasz.

–O mnie, panie?

–Nie, nie o ciebie. O twoją nieobecność. Bez względu na wszystko, Tristenie, zawsze bądź moim przyjacielem. Do licha, i nie mów mi wiecznie „panie”!

–Przepraszam.

–Ale nie wolno ci też kraść koni. Gdybym darował ci wierzchowca... którego byś chciał?

–Nie chcę, byś darowywał mi konia.

–No cóż, ale kraść ich przecież nie możesz. Jakże to wygląda: przyjaciel króla koniokrądem? Masz smykałkę do koni. Zaprawdę chciałbym doczekać się źrebięcia od tej ryżej klaczy. Jeśli zechcesz, weź sobie Gery. Rozejrzyj się w moich stajniach. Wybieraj do woli, lecz nie tykaj Danvy'ego. Powinieneś mieć przynajmniej trzy, cztery konie.

–Podoba mi się Petelly – odparł.

Nikła pociecha. Niemniej wydawało się, że Cefwyn prezentem pragnie zrobić mu przyjemność, a to już coś znaczyło.

–Który to Petelly?

–Ten, którego ukradłem. Lubię go.

–Nie masz wysokich wymagań. Posiadam znacznie lepsze konie.

–Petelly to bardzo dobry wierzchowiec.

–Cóż, nie wątpię. Skoro go wybrałeś, będę musiał lepiej mu się przyjrzeć. Ale nie udźwignie ciężkiej zbroi. Poza tym chcę, abyś spełnił kilka moich prośb.

–Jakich mianowicie?

–Po pierwsze – Cefwyn uniósł palec – zejdiesz do mistrza Peygana. Znasz go?

–Uwen go zna.

–Zbrojmistrz.

–No właśnie. Żyjemy w niespokojnych czasach, jeśli więc zdarzy ci się znowu wyruszyć na bitwę, święci bogowie, będziesz miał na sobie coś więcej niżli salonowe stroje. Wybierz, cokolwiek przypadnie ci do gustu. Wydam zbrojmistrzowi odpowiednie rozkazy. Potrzeba też konia, który to wszystko uniesie. Mam jednego na myśli. Po prawdzie jednego z moich

własnych, zrodzonego z mojej klaczy.

–Sprawi mi to dużą radość – bąknął Tristen, zamierzając powiedzieć, że nie bardzo wie, co zrobić z tak nadzwyczajnym prezentem. Dawniej przez wszystkich opuszczony, teraz był zasypywany prezentami, które, jak przypuszczał, dowodziły łaskawości Cefwyna. Być może nawet świadczyły, że Cefwyn postanowił go nie opuszczać. Ale i Mauryl dawał mu różne rzeczy, tuż przed tym... tuż przed tym, jak runęły galerie.

–Świetnie! – rzekł Cefwyn. – A więc ustalone. Dołączysz do mnie wieczorem, prawda?

–Z wielką chęcią.

–Wobec tego... – Cefwyn powstał ociężale, wspierając się o blat stołu.

Tristen zrozumiał, że oznacza to koniec audiencji, prawdopodobnie załatwienie kolejnej sprawy z harmonogramu. Cefwyn uściskał go jednak wbrew oczekiwaniom, przytrzymał na wyciągnięcie ramion i spojrzał głęboko w oczy.

–Przyjacielu. Cokolwiek los zrządzi, cokolwiek o mnie usłyszysz, cokolwiek ja usłyszę o tobie, nikt nigdy nie zasieje między nami ziarna nieufności. Za kilka dni, trzeba ci wiedzieć, złożysz kolejną przysięgę, atoli tym razem nie poproszę cię, byś przysięgał mi posłuszeństwo. Chcę, byś mi teraz powiedział, że dopuścisz mnie do poufałości. Królowie nie powinni być zaskakiwani. Królowie nigdy nie powinni być zaskakiwani. Tylko o tyle proszę.

–Uwenowi też to obiecywałem. Ale być może będę musiał wyruszyć.

–Czyżbyś już teraz to wiedział? Do licha, o czym ty wiesz?

Tristen nie potrafił odpowiedzieć. Cefwyn sięgnął ku niemu, do kołnierza, pociągnął za uwieszony u szyi łańcuszek, za podarowany kiedyś amulet.

–Czy to – zapytał – dodaje ci otuchy?

–Otuchy dodaje mi to, że mi go dałeś.

–Czy cię chroni?

–Nie zauważyłem. – Tristen nigdy nie szukał w amulecie ochrony. – Chociaż w szarym miejscu nigdy na niego nie patrzyłem.

–W szarym miejscu.

–Tam, gdzie mieszkają Cienie.

–Słuchaj. Możesz mi chyba powiedzieć, jakim bogom służysz? Bogom Emuina?

Bogowie powinni, podejrzewał, być Słowem. Ludzie zdawali się tale właśnie uważać. On wszelako pozostawał w rozterce. Wziął do ręki amulet i wsunął go za koszulę.

–Nie wiem, Cefwynie, nie wiem.

–U ciebie niewiedza... mieści w sobie wiele, nieprawdaż? Możesz powiedzieć, co robią Elwynimi w Emwy?

Potrząsnął głową.

–Ale dowiedzą się, że lady do nas przyjechała. Aseyneeddin słucha Hasufina. Jestem tego pewien. Przyśni mu się. Bardzo możliwe, że już teraz wie o wszystkim.

–Czyż jest czarodziejem?

–Nie wiem. Nie spotkałem go.

–Pamiętaj, zważam na twoje słowa – stwierdził Cefwyn na koniec. – Jesteś wolny. Ale proszę, poczekaj i jedź z nami. Zgadzasz się? Pojedziemy do Emwy i policzymy się z elwynimskimi rebeliantami. Jeśli dowiesz się czegokolwiek, jakimkolwiek sposobem, masz mi o tym powiedzieć. Obiecuj.

–Obiecuję.

–Nie mam zamiaru zachodzić w głowę, co porabiasz i o czym myślisz. Lubię cię, do ciężkiego licha! Jesteś mi potrzebny. Jeśli mnie opuścisz, będzie mi przykro do końca życia. – Cefwyn potrząsnął nim z lekka. – Muszę zostać królem. Jestem do tego zobligowany. Cóż to za cholerna nuda, możesz mi wierzyć... Dołączysz do mnie dziś wieczór, prawda?

A więc koniec audiencji. Cefwyn uściskał go jednak po raz wtóry, z żarliwością mówiącą, iż Tristen jest mile widziany, chciany i nie zostanie opuszczony. Młodzieniec szczerze odwzajemnił ów uścisk. Serce łomotało mu w piersi, choć zadawał sobie w duchu pytanie, czy rzeczywiście Cefwyn okazuje mu w ten sposób życzliwość, czy też próbuje ukryć swoje zamiary.

Był czas, kiedy Tristen miał pewność, iż Cefwyn będzie wiedział, co należy zrobić.

Był czas, kiedy miał pewność, iż Cefwyn go obroni.

Obecnie sprawy przedstawiały się zgoła odmiennie. Z odejściem lorda regenta stracił kogoś, kto wraz z nim mógł stanąć do boju z Hasufinem, gdyby Droga zaprowadziła go do niego zamiast tutaj – owo przeświadczenie kazało mu się zastanawiać, czy nie pobłądził w świecie. Wiedział bowiem ponad wszelką wątpliwość, że Emuin posiada wiedzę, ale brak mu odwagi, by stanąć do walki, Cefwyn natomiast odznacza się odwagą, lecz w rozgrywce z wrogiem równie jest bezradny, jak oni wszyscy w uśmierzeniu bólu jego nogi czy

zażegnaniu niebezpieczeństwa, które się doń zbliżało.

Mauryl być może pomógłby Cefwynowi. Mauryl poddałby go kuracji, a wówczas Cefwyn nie musiałby cierpieć nieznośnego bólu, który zaczynał znaczyć jego twarz.

Tymczasem żaden z nich, Uleman, Emuin ani Cefwyn, nie dorównywał Maurylowi. Nawet Tristen znał się na czytaniu, pisaniu i jeździe konnej; potrafił posługiwać się mieczem. Wiedział o nieistniejących już budowlach, znał na przykład starszy układ obecnej dolnej sali.

Wciąż jednak był ignorantem w najistotniejszych dlań kwestiach, czyli w umiejętności spełniania pokładanych w nim przez Mauryła nadziei oraz zapewnieniu Cefwynowi szczęścia, bezpieczeństwa i lekarstwa na ranę.

–Dziękuję – rzekł do Cefwyna na odchodnym, pragnąc z całej duszy stać się lepszym, silniejszym, mądrzejszym. Żałował, że nie ma przy nim jakiegoś mądrego starca, który wziąłby go w opiekę i pocieszył, oddalając wszystkie jego obawy jako bezpodstawne.

W rzeczywistości nie były jednak bezpodstawnymi. Musiał coś przedsięwziąć. Nie miał tylko pojęcia, co by to mogło być. Aczkolwiek Mauryl zlecił mu zadanie – nawet, jeśli jego najgorsze obawy były uzasadnione, nawet jeśli faktycznie, przybywając do Cefwyna, zmylił drogę, musiał znaleźć sposób, by zaprowadzić porządek; a jeżeli jej nie zmylił, musiał w istniejącym stanie rzeczy... dokonać koniecznych poprawek.

Ze stajni nadeszły raporty – Hamanowi niesporo szło pisanie, a skryba sporządzający notatki pod dyktando Hamana posługiwał się kwiecistym, utrzymanym w wyraźnie bryaltyńskim stylu charakterem pisma, który Cefwyn próbował właśnie rozgryźć, kiedy przybył Idrys z wieścią, że lady odpowiedziała na jego ostatni liścik – kolejny z szeregu liścików, jakie z coraz to większą ochotą wymieniali od śniadania.

W rzeczy samej: lady czekała przed drzwiami.

–Do licha! – krzyknął Cefwyn, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby schować raporty z pogranicza i mapy. – Bierz to! – rzucił papiery przechodzącemu paziowi. – Do gablotki z mapami, na miłość boską! Annasie! – Przybiegli następni paziowie. Przekazał im mapy i drażliwe dokumenty. – Zanieście je do sypialni.

–Gdzie do sypialni, miłościwy panie?

–Na łóżko! Rzućcie je gdziekolwiek... Idrysie, wprowadź lady.

Nie chciał podpierać się laską. Odstawił ją do kąta. Pod brunatny aksamit założył, zgodnie z radą Idrysa, przeklętą wysadzaną guzami koszulę i przypasał sztylet, czego również nie miał w zwyczaju czynić: uważał to za wystarczający środek ostrożności na wypadek morderczych zamysłów Elwynimów, ukrytych pod przykrywką rzekomego małżeństwa.

–Wszystko gotowe, panie?

–Otwieraj wreszcie te cholerne drzwi, Idrysie! – Zmusił nogę, by w naturalny sposób dźwigała wagę ciała. Stanie się tak, jeśli przewycięży początkowe rwanie. Podszedł do drzwi, przygotowany na formalne spotkanie, o jakie poprosił w ostatnim posłanym na górę liściku.

Ninevrise przyoblekła się w aksamity w najciemniejszych możliwych odcieniach błękitu, obszyte srebrzystą lamówką – była i żałobie, na co wskazywała gustowna, czarna szarfa; miała bufiaste rękawy, a na głowie koronę regentów. Włosy jej były skromnie zaplecione i przystrojone czarną kokardą, której pochodzenie wyjaśniała obecność Margolis, żony zbrojmistra, statecznej kobiety o usposobieniu pogodnym pomimo zesłania do najmniejszej cywilnej prowincji w królestwie. Margolis potrafiła zaprowadzić ład i każdej sytuacji – jeśli suknia regentki nie pochodziła z pakunków zwiezionych przez Elwynimów, Cefwyn był skłonny uwierzyć,; Margolis uszyła ją własnoręcznie i na poczekaniu. Nie wiedział, kto przydzielił ją do pomocy Ninevrise, ale cieszył się niezmiernie z tego powodu.

–Witam – powiedział – Waszą Miłość z Elwynoru. – Ujął najpierw wyciągniętą dłoń Ninevrise, potem pulchną rękę matrony.

–Droga Margolis, dziękuję. Jak zawsze, wytworna. – Ostatnie słowa skierował wprawdzie do starszej lady, lecz oczyma przewiercał Ninevrise, której zachowanie było pełne rezerwy, a której żałobna szarfa przypominała o należynej powadze. – Po całym dniu listów, dziękuję za przybycie. Żadną miarą nie śmiałybym nalegać na twe stawiennictwo...

–Mój ojciec nie zginął – rzekła Ninevrise stanowczo i ominęła go, by rozejrzeć się po komnacie. – Lord Tristen tak powiedział. Toteż nie oplakuję go jako zmarłego. Nie uważam też wojny za przegraną, zanim się jeszcze zaczęła. Czy możemy odesłać naszych gwardzistów, miłościwi panie, i porozmawiać bez osłonek?

–Pani – zwrócił się do Margolis. – Lordzie komendancie.

Idrys wskazał łaskawie żonie zbrojmistra drogę do drzwi; zapewne oboje zaczekają nie dalej jak w przyległym pomieszczeniu.

Dama z Elwynoru była tak piękna, tak... nieosiągalna, tak nie do zdobycia za pomocą żadnego wybiegu czy uroku, których używał dawniej w porywach namiętności; ofiarowała mu się, a jednocześnie nie mógłby liczyć na jej przywiązanie, gdyby dał jej, choć jeden powód do wzgardy. Już kiedyś w podobny zachwyty wprawiały go pewne damy, lecz motywy żadnej z nich nie stanowiły nigdy dlań podobnie trudnej zagadki, nigdy też nie był

tak niepewny ich uległości, będąc jednocześnie gotowym do równie przesadnych poświęceń.

–Twoją zgodę przyjąłem z entuzjazmem – powiedział – lecz teraz... – Jestem przygnębiony oziębłością, jaką mi okazujesz, chciał dokończyć na dworską modłę. Pomyślał jednak, iż błędem byłoby uderzać w taki ton przy tej kobiecie, gdyż mogła nie tak szybko zmienić chłodne, narzucone sobie nastawienie. – Lecz teraz – ciągnął zupełnie szczerze – dostrzegam w tobie pewien dystans, który nie pojawił się w dzisiejszych liścikach. Przymus wobec ciebie ani razu nie powstał w mojej głowie, Wasza Miłość. Przysięgam, słowa danego nie złamię. Smuci mnie, że tak niskie masz o mnie mniemanie. Będę twym sprzymierzeńcem w wojnie, zapewniam. Na przekór zdrowemu rozsądkowi. Tak więc... nie musisz wcale przyjmować moich starań.

Nie należała do tych kobiet, pomyślał, które uciekają się do łez. Niemniej w iście dramatycznym stylu odwróciła się i gwałtownym ruchem przetarła oczy.

Ogarnęła go złość wobec próby zastosowania wobec niego tak pospolitej metody.

Wciąż stała odwrócona doń plecami. Powtórnie przetarła oczy.

–Wybacz – powiedziała – nie uczyniłam tego umyślnie.

–Ależ proszę – odparł chłodno. Jeszcze do niego nie dotarło, ile poczynionych już planów będzie musiał zrewidować w wypadku odmowy małżeństwa i jak wiele ich może lec w gruzach, jeżeli obrazi jej dumę. Był bardziej niż zły. Czuł się odrzucony, grunt palił mu się pod nogami; desperacko pragnął uratować pokój, lecz nie mógł, jak mężczyzna zawiedziony w swych skrytych nadziejach, odpowiedzieć spokojnie. – Jeśli już nie twoją miłość, Wasza Miłość, mam przynajmniej nadzieję zdobyć twoją życzliwość. Nigdy nie zamierzałem uwarunkowywać mojej pomocy. O co mnie prosisz?

Obejrzała się z wolna, obróciła i wbiła weń wzrok, jakby nie wierzyła własnym uszom.

–Abyś pozwolił nam założyć obóz – powiedziała. – Abyś pomógł naszym ludziom przedostać się do Elwynoru i uzyskać tam możliwe wsparcie.

–Przychylam się do twej prośby. Bez zastrzeżeń.

–Dlaczego? – chciała wiedzieć.

–Wasza Miłość, ażeby cię znaleźć, przez rzekę przeprowią się zarówno twoi wrogowie, jak i przyjaciele. Zabili naszych ojców, obu równie niedawno. Jeśli twoi ludzie zatrzymają najeźdźców przy moście i zdyskredytują ich w oczach popleczników, poczytam to za wielką przysługę.

–A zatem mnie puścisz?

–Obiecałem ci przecież bezpieczeństwo. Oferuję ci także przymierze.

–Nie poprę żadnych roszczeń terytorialnych, Wasza Królewska Mość.

–Żadnych też nie wysuwam. O ile sobie przypominam, to ty przyszedłaś do mnie. Ja o to nie zabiegałem. Nie zabiegałem o wojnę, którą łaskawie z sobą sprowadziłaś. Ale stało się, w końcu i tak by tutaj dotarła; wolę poprzeć twoje prawomocne roszczenia i rozjaśnić twe nadobne lica, niż mieć za sąsiadów morderców mego ojca. Moja oferta, jak widzisz, nie jest nieprzemyślana. Przykro mi, skoro sprawiłem, iż odniosłaś inne wrażenie. Wczoraj myślałem, że się nawzajem rozumiemy.

Westchnęła lekko raz i drugi. Łzy wciąż nie obeschły, lecz na twarzy odmalował się spokój.

–Wczoraj, to prawda. Ale... – Kolejne zabójcze westchnienie. – Całą noc rozmyślałam... co tobą kieruje.

–A potem wysłałaś wiadomość?

–To wydawało się jedynym wyjściem. – Przekrzywiła głowę, zagryzła wargi i podniosła wzrok. – Nikt lepszy nie ubiega się o moją rękę. I widzę, że nie jesteś tym diabłem, którego sobie wyobrażałam. O wiele gorsze czekają w Elwynorze, one także mogłyby wystąpić przeciwko Aseyneddinowi.

–Nie uważaj mnie, proszę, za ostatnią deskę ratunku, pani. Mam w sobie trochę dumy. Wolno ci stąd odjechać.

–Mogłabym cię polubić. Chyba naprawdę cię lubię. I nie uważam cię za ostatnią deskę ratunku. Aby uratować mój naród, wyszłabym za Aseyneddina. A potem zakłuła go sztyletem. To mój ostatni ratunek.

–Święci bogowie, czyżbyś i mnie zamyślała zakłuć? Mam nadzieję, że nie.

–Nie. – Zbliżyła się do niego ze splecionymi dłońmi i popatrzyła mu w twarz. – Zaiste, chyba podobasz mi się dużo bardziej, niżbym wcześniej przypuściła.

–Wielce zachęcające słowa.

–No, może nieco bardziej.

–I tak jestem zaszczycony.

–Ale czy ja się tobie w ogóle podobam?

–Uważam, że jesteś...

–Jeśli powiesz „piękna”, znacznie mniej będziesz mi się podobał, mój panie.

–Na końcu języka miałem słowa: nadzwyczajna, wspaniała, zachwycająca, szlachetna, wielkoduszna, inteligentna. Uderzające podobieństwo do moich własnych niemożliwych wręcz zalet, wśród których poczesne miejsce zajmują ponoć postawność i intelekt.

–Naprawdę, jesteś niemożliwy.

–Tak twierdzą moi oskarżyciele.

W kącikach ust pojawiły się ślady dołeczków – usiłowała zachować powagę.

.– Mówią o mnie – powiedział, zadając kłam reputacji – żem wesoły jegomość. W żadnej mierze kłótniwy. W żadnej mierze wścibski.

–Moi kuzyni powiadają, że jestem obcesowa. Miewam zmienne nastroje. Płatam figle i bujam w obłokach.

–Mój dziadek był dziwakiem.

Otworzyła szerzej oczy.

–Jestem – powiedziała – kobietą wierną danym obietnicom, cnotliwą... aczkolwiek nie wstydliwą.

–I ja mógłbym być wierny, lecz cnotliwości nie znoszę, a wstydlivość jest dla mnie za trudna.

Pojawiły się głębsze dołeczki.

–Na bogów, uśmiech. Zdobyłem uśmiech!

–Zachowujesz się karygodnie, panie.

–Bom zaślepiony uwielbieniem.

–Bogowie, litości! Quinalt uważa mnie za heretyczkę. Takie doszły mnie słuchy.

–I mnie posądziliby o herezję, gdyby się dowiedzieli, jaką mam o nich opinię. Jeśli się zdenerwuję, porzucę ich i przejdę na bryalt.

–Przez sześć miesięcy w roku będę rezydowała i rządziła w Elwynorze. Jako udzielna królowa.

Ujął i pocałował jej dłoń.

–Pani, jeśli nie sprawię, że zechcesz skrócić ten czas, sobie tylko winę przypiszę.

Twarz Ninevrise pokryła się zdumiewającym szkarłatem. Zanim uwolniła rękę, zdążył ucałować jej trzy palce.

–Nalegam na sześć miesięcy.

–Przynajmniej postaram się, byś wówczas żałowała. Czy mogę założyć, że przyjmujesz moją prośbę? A może popełnimy łatwy do wybaczenia grzeszek?

–Panie...

–Powiedziałem już, że nie jestem cnotliwy. Odbiegła na kilka kroków wokół krawędzi stołu.

–Co się tyczy obrony w Emwy...

–Tak?

–Caswyddian nie żyje albo większość jego ludzi, bez względu na przyczynę... Tak przynajmniej myślę.

–Ten twój ufortyfikowany obóz to niezła myśl. Ale brak ci dostatecznej załogi.

–Cóż więcej mogę zrobić?

–Posłać więcej ludzi. Użyczę ci ich.

–Gueleńczyków? By mieli wspierać Elwynimów?

–Amefińczyków. I bryaltyńskiego kapłana, o ile zdołam wykrzesać któregoś z sanktuarium; mam nadzieję, że przyda się na coś. Po świecie hula zbyt wielu czarowników. Mógłby przynieść więcej korzyści niż szwadron kawalerii. Ale ty nigdzie nie pojedziesz.

–To ja dowodzę swoim wojskiem!

–Na bogów, ostatnio weszło to w modę! Wysłuchaj mnie, pani. Ci, którzy przybyli tu wraz z twoim ojcem, są dzielnymi ludźmi, o ile rozumiem treść raportów, a wierzę, że rozumiem. Są to ludzie zdeterminowani dotrzymać złożonej przysięgi i oddać życie za twego ojca; są gotowi oddać za ciebie życie. Lepiej jednak dla nich, by regentka była bezpieczna i pozwoliła im działać w określonym zakresie, dopóki moi ludzie nie staną w gotowości do przeprowadzenia ataku. Jeśli most został obelkowany, oni te belkowania rozbiorą. Jeśli nazbierają więcej drzewa, założony przez nas obóz pomieści wystarczająco liczny garnizon, by obronić most przed przejęciem go przez jakąkolwiek siłę usiłującą wymaszerować z Elwynoru. Rozstawimy strażę na pozostałych przeprawach, łącznie z miejscami, gdzie można przepłynąć rzekę łodzią. A jeżeli wyruszymy na wojnę, moja łaskawa i mądra pani, to ja stanę na czele wszystkich wojsk, chyba, że wymienisz mi, na jakich polach toczyłaś bitwy, i udowodnisz, że jednemu z twoich ludzi doświadczenie pozwoli

dowodzić twym wojskiem pod moją nieobecność. Jeśli nie, zostaw te sprawy w moich rękach. W kwestiach cywilnych podzielę się i tobą dowództwem, ale nie w tej; nie tam, gdzie potknięcie nowicjusza może wystawić resztę wojsk na niebezpieczeństwo.

Słuchała. W jej oczach odmalowało się, z wolna i niechętnie, zrozumienie.

–Mamy się pobrać? – zapytała. – Chętnie za ciebie wyjdę.

–Wciąż przy tym obstaję.

–Obstaję? – Najwyraźniej to nie wystarczało.

–Powiedziałem „tak”, pani. Czegóż chcesz więcej?

Cichutki, pokorny głos:

–Milszego „tak”.

Zauważył, że nie ma w tym cienia racjonalności i że nikt też o racjonalną postawę nie zabiega. Była sama. Co najmniej speszona. Obszedł stół i ujął jej dłoń.

–Tak – powiedział i zamiast pocałować ją w rękę, pochwycił raptownie w ramiona i pocałował, długo i namiętnie, aż zaczęła okładać go piąstkami po ramionach.

Nie od razu znalazła słowa. Próbowwała złapać oddech. Na koniec rzekła:

–To oburzające, mój panie!

–Nie chciałem pozostawiać cię w niepewności, lady. Ani poślubić posągu. Nie sądzę, byś była posągiem. Nic tego nie potwierdziło. I chyba już wiesz, że i ja nim nie jestem.

Oddychała wciąż z trudem. Znow odgrodziła się stołem.

–Nie wolno ci tego robić – powiedziała – dopóki nie poleje się atrament, panie, sporo atramentu. Dopóki nie zostaną zaprzysiężone i podpisane porozumienia.

–Wątpię, czy mogłabyś spisać punkty negocjacji. Wiem, że sam bym kilka pomiął.

–Jeśli mamy się pobrać – stwierdziła, ciężko dysząc – powinniśmy natychmiast zostać zaręczeni, zanim odjadą moi ludzie. Tylko ich mam tutaj. Chciałabym, żeby byli obecni.

–A zatem zaręczyny?

–Tak.

–Wkrótce?

–Tak, na bogów. Dajże mi nieco ochłonać. – Dla bezpieczeństwa stanęła dokładnie po drugiej stronie stołu. – Założyłam żałobę, ale mój ojciec zrozumiałby zapewne moje intencje. Nie nurtują mnie w tej kwestii żadne rozterki. A ciebie, panie?

–Zupełnie żadne. Nasza tradycja jest przeciwna żałobie.

–Spróbuję cię pokochać. Myślę, że bym cię polubiła, gdybyśmy spotkali się przypadkowo. Naprawdę, chciałabym cię kochać. Okaż mi jednak łaskawie trochę kokieterii. Chcę, by się do mnie zalecano... choć troszeczkę, panie.

W jej oczach pokazały się błyszczące łzy. Nie zwracała się bynajmniej z-jakąś wygórowaną prośbą ani, pomyślał, z fałszywą. Była młodzianka, nadal skora do romantycznych uniesień.

Podobnie, pomyślał, jaki on.

–Pani, małżeństwo jest moją i twoją powinnością. Niemniej trochę kokieterii... śmiało ci mogę obiecać, a może nawet skandalicznie natarczywe zaloty, które... mam nadzieję, zostaną przyjęte. Tymczasem przyjmij mą rękę i moje wyrazy uszanowania. – Przy tych słowach wyciągnął dłoń i już, już miała ją uchwycić, lecz się zawahała:

–Nic jak dotąd nie wspomniałeś o lordzie Ynefel.

–O Tristenie? Czegoż chcesz od Tristena?

–Ma prawo do sukcesji.

–Ach.

–I nalegam, byśmy nie jednoczyli naszych królestw! To ja będę władać Elwynorem; jedno dziecko z mego łona odziedziczy Ylesuin, drugie natomiast Elwynor.

–Trudno to będzie osiągnąć, trzymając się jeno za rękę, pani.

–A jeżeli Tristen... jeżeli Tristen jest naszym królem...

–Tristenowi niczego nie potrzeba do szczęścia.

–To twój przyjaciel. Czyż nie jest twoim przyjacielem? Nie możesz pozbawić Tristena jego praw. Nie możesz, prawda? Powinniśmy rozstrzygnąć tę kwestię przy ślubie.

–Wierz mi, Tristen nie zechce królestwa. – Cefwyn obszedł stół i ujął jej bynajmniej nie oporną rękę. – Sama go spytaj. On ma inne troski na głowie. Ale jeśli dojdzie do tego, że zechce wystąpić publicznie ze swymi roszczeniami, niewątpliwie to uczyni, a ja zwolnię go z każdej przysięgi, jaka stanie mu na drodze. Nie sposób bowiem uchronić czy odwieść Tristena od tego, co postanowi zrobić, niech się bogowie nad nami zlitują. Tę jego cechę poznasz, rękę, już na samym początku.

Krawiec o mało nie doznał załamania nerwowego – nazajutrz zaprzysiężenie, a jeszcze tego wieczoru królewskie zaręczyny, aby podnieść go na duchu, król obiecał mu nadzór nad zbliżającą się koronacją; i jeśli nie płaszcz, to przynajmniej kamizela była już gotowa. Poza tym nawet król nie musiał przyćmiewać swej narzeczonej – która przyjechała z klejnotami, jak informowała zabiegana Margolis, lecz bez zaręczynowej sukni. Krawiec stanął tryumfalnie na wysokości zadania, oświadczając, iż wie, skąd zdobyć aksamit w odpowiednim odcieniu, a Margolis, bogom tylko znanym sposobem, którego szczegóły przechodziły pojęcie króla, wytrzasnęła skądś ze dwadzieścia niewiast i klejnoty wnet zostały doszyte, czego krawiec nie omieszkał obwieścić, do rękawów i stanu, podczas gdy istna armia kobiet wzięła szturmem mniejszą salę i zabarykadowała się w niej, szyjąc i szyjąc, i szyjąc dla lady regentki.

Za sprawą kolejnego cudu, dokonanego przez bogów albo amefińskie kobiety, krawiec mógł osobiście zaprezentować królowi rękawy, niewątpliwie przepięknej roboty, w czerwonym odcieniu Marhanenów; przynajmniej na prawym wyszyto smocze godło. W konsekwencji król miał szansę następnego dnia ustanowić nową modę, uwzględniającą przekrzywiony i udrapowany wzdłuż lewego ramienia płaszcz.

Jakby tego było mało, zorganizowano zespół trębaczy – w bogach nadzieja, że zdołają, nie hańbiąc honoru Ylesuinu, zacząć wszyscy razem; Annas miał, co do tego wątpliwości. Przygotowano także – wprawdzie nie bankiet z rodzaju tych wydawanych w Guelemarze – ale dostatek mięsiwa, ciasta i chleba; kuchmistrzynie dała królowi do zrozumienia, iż wszystko rumieni się w piecach amefińskich szlachciców rozsianych wokół wzgórza oraz w dwóch piekarniach, choć nie wiadomo, czy kapitan przy bramie zezwoli wwieźć jedzenie z miasta.

Kuchmistrzynie zadbała, by przygotowania ukończono na godzinę przed wydarzeniem, lecz król musiał interweniować z pisemnym rozkazem na rzecz wozu z serami, nie mówiąc już o mięsnych wypiekach. Święci bogowie, powiedział, jeśli chcą nas otruć, otrują cały dwór. Dla mnie i dla panny młodej przynieście coś z kuchni, reszta niech idzie do diabła!

Na dziedziniec wtocono beczki z piwem, a w dolnym mieście ustawiono stoły dla pospólstwa. Nauczona doświadczeniem czeladź sprawnie się z tym uwinęła. Pojawili się muzykanci. Pojawili się artyści estradowi, mający zabawiać zgromadzonych na dziedzińcu.

Pojawił się człowiek, który zaproponował przyprowadzenie tresowanego niedźwiedzia, lecz ze względu na panującą na sali ciżbę zarówno Annas, jak i Idrys uważali ów pomysł za chybiony, z czym król się zgodził.

Król, dodając sobie otuchy i usiłując uśmierzyć ból w nodze, wpierw filiżanką mocnej wierzbowej herbatki, a zaraz potem kielichem wina, próbował nade wszystko określić, czy powinien wesprzeć się laską przy schodzeniu po schodach, a jeśli tak, gdzie dokładnie mógłby się z nią rozstać, a także jak długo przyjdzie mu stać podczas ceremonii.

Przypuszczalnie po kilku wstępnych toastach przyszła panna młoda z panięńską skromnością opuści salę, a wtedy i on znajdzie wymówkę, by wymknąć się z biesiady.

Doniesiono mu, iż amefińskie uroczystości zaręczynowe są zwykle hulaszczę i rozpustne, co oznaczało nawet możliwość potrącenia króla, który potrącony być nie chciał, jak również nie życzył sobie, by jego królewska osoba przebywała na sali, kiedy któryś z bałwanów sięgnie po broń – wydał Idrysowi surowe rozkazy, aby gwardziści byli możliwie pobłażliwi, aby próbowali odwozić od głupstw pijanych Elwynimów i aby przestrzegali przed karą śmierci za dobyte broni pod królewskim dachem obojętnie jakimi metodami, z uwzględnieniem dzielenia przez łeb nietrzeźwego winowajcy i odstawienia go poza budynek wartowni.

Cefwyn nie życzył sobie, co Idrysowi jasno zapowiedział, by wieczorną ceremonię zakłócił wyrok śmierci. Pragnął się jedynie bawić, nic więcej, a nazajutrz, gdy się zbudzi z mniejszym lub większym kacem, nie chciał rozstrzygać żadnych spraw karnych. Chciał być szczęśliwy. I do diabła z tymi, którzy się z tym nie zgadzali!

Ostatecznie posłużył się laską przy schodzeniu ze schodów, tylnym wejściem wszedł na dużą salę, gdzie zgromadzili się już wszyscy lordowie, łącznie z Efanorem i jego serdecznym przyjacielem, Sulriganem. Elwynimi przemieszali się z Ylesuińczykami, wielcy i mali lordowie, thane's, ealdormen i tym podobni; tytuły w Elwynorze odpowiadały tytułom amefińskim. Przybył Tristen wraz z Emuinem. Damy towarzyszące lordom z Amefel oraz gueleńskim kapitanom i porucznikom też się już pojawiły, wystrojone na wspaniałą uroczystość. Orien roztropnie przybyła o wyznaczonej godzinie, przybrana aksamitną zielenią jej rodu, przejawiając ognisty temperament, który jak na razie okazywała tylko służącym.

Przy pojawieniu się króla trębacze zagrali w miarę należycie. Ledwie monarcha zszedł na dół, Annas posłał na górę po Ninevrise, a kiedy muzykanci przygrywali i goście składali królowi życzenia, on sam z niecierpliwością przyglądał się twarzom zaproszonych, popijających już piwo i wino.

Huknęły fanfary (z nieznacznym tylko rozdźwiękiem), albowiem frontowym wejściem wśliznęła się Ninevrise w blasku swej niedawno uszytej sukni z ciemnoniebieskimi, aksamitnymi rękawami, na które naszyto mieniące się wszelkimi kolorami klejnoty i kremowe bufki z jedwabiu, przykrytej częściowo ciemnoniebieską pelerynką z różową, jedwabną podszewką. Błyszczącą złotem koronę regentów na znak żałoby owinięto czarną wstążką. Kiedy mijala tłumy, rozlegały się „ochy” i „achy”, zachwyty odbijał się w oczach licznych kobiet, na razie tylko nad jej pięknem, a gdy wreszcie dotarła do podwyższenia i podała królowi rękę, rozległ się spontaniczny aplauz.

Ucałował jej dłoń i nie wypuszczał długo, tak aby całe towarzystwo nasyciło się tym widokiem, po czym zapowiedział gromkim głosem, używając słów uzgodnionych z Ninevrise po burzliwej debacie, mających zatrzeć religijne rozbieżności:

–Panowie i panie, ogłaszam wszem, wobec, iż wiernie i lojalnie będę się prowadzić, zanim pierwszego miesiąca zimy, przed obliczem bogów i ludzi, poślubię tę oto kobietę!

Ninevrise powiedziała:

–Panowie i panie, przed bogiem i ludźmi ślubuję, iż wiernie i lojalnie będę się prowadzić, zanim pierwszego miesiąca zimy poślubię tego oto mężczyznę!

Zagrali muzykanci. Nastąpił kolejny aplauz. Cefwyn w równym stopniu co twarz Efanora obserwował twarz Orien – surową, pobladłą, istic dziką wskutek rozchylonych nozdrzy.

–Jej Najczcigodniejsza Miłość, lady regentka Elwynoru, przyznaje – powiedział, rozpoczynając mowę do zebranych – że elwynimski konflikt kosztował życie drogich dla niej ludzi. Pociągnął za sobą śmierć mojego ojca, śmierć przybyłych z nim ludzi, atak na moją osobę, rzeź i spalenie wioski Emwy... Poza tym w obronie Ylesuinu zginęli lojalni poddani. Nie żyje lord regent Elwynoru, który przybył, aby prowadzić z nami pokojowe pertraktacje; a ci, co go zabili, uczynili to w naszym kraju. W obronie przysługujących nam praw oraz ziem, nad którymi z woli bogów sprawuję władzę, mocą boską wspomogę regencję w Elwynorze; sąsiad ów w przeszłości nie zawsze się z nami zgadzał, lecz nigdy nie najechał naszego terytorium. Nie ubiegam się bynajmniej o władzę nad Elwynorem, podobnie jak Wasze Miłości z Elwynoru nie przybyły tu, mniemam, pragnąc panowania nad Ylesuinem. Ogłośmy wszyscy, że nie knujemy spisków w celu odebrania sobie nawzajem ziemi i że naszym największym bogactwem wcale nie jest złoto; jest nim dobra wola na pograniczu, są nim farmerzy zbierający plony bez obaw o grabieże rozwydrzonych żołdaków.

Nie życzę sobie za sąsiada człowieka, który według mnie uczestniczył w zamachu na życie mojego ojca i w zamachu na życie ojca mojej narzeczonej. Z pomocą bogów, dochowując danego przyrzeczenia, będę stał na straży przywilejów Ninevrise Syrillas jako prawowitej regentki Elwynoru i stwierdzam, że królestwo Elwynoru nie przejdzie pod moje berło czy to przysięgą małżeńską, czy jakąkolwiek inną. Jej Najczcigodniejsza Miłość pozostanie regentka Elwynoru we własnym imieniu i prawie, podobnie jak ja pozostanę królem Ylesuinu, nie nadając jej ziemi ani tytułów, a tylko pozycję małżonki, ona natomiast zachowa wszelkie tytuły i honory, nie nadając mi żadnego, a tylko pozycję małżonka. Razem, z pomocą naszych lojalnych poddanych, zapewnimy spokój na granicy, uczynimy ją otwartą na handel i bezpieczną dla położonych przy gościńcach wiosek.

Na sali panowała cisza. Ci wszyscy, którzy nie spodziewali się przyrzeczenia złożonego już teraz, pograżyli się w grobowym milczeniu, uzmysławiając sobie naraz, że życie i włości zarówno ich, jak ich dzieci zostały właśnie wzięte pod uwagę.

–Cóż powiesz, pani?

–Żałuję, że ojciec mój nie widzi zaręczyn swojej córki. Żałuję, że większa liczba moich lordów nie jest przy mnie w tej chwili, ale przebywa w Elwynorze, gdzie grozi im utrata

życia. Niemniej z waszą pomocą, moi lojalni i czcigodni lordowie z Elwynoru, jak i waszą, zacni lordowie i damy Ylesuinu, wspomagana mocą błogosławiących pokój bogów, przysięgam odzyskać moją ziemię i być sprawiedliwą regentką Elwynoru, przyjaciółką wszystkich spokojnych i uczciwych ludzi tego kraju, wierną żoną mego męża. Przysięgam wynagrodzić poświęcenie, zabezpieczyć przywileje i honory moich oddanych lordów. Tego pragnę najbardziej. Aby zabiegać to, mój ojciec przybył do Ylesuinu. Proszę was wszystkich, jedźcie pijcie pospołu i niechaj zacni świątobliwi mężowie tutaj obecni wymodlą bezpieczeństwo dla domów wszystkich ludzi, dla wielkich i tych małych.

Rodziło się drażliwe pytanie: którzy bogowie i którzy kapłani? Ostatnim słowem regentki towarzyszyły wstrzemięźliwe, acz przyzwoite owacje, nader żywiołowe tylko w pewnych kręgach Amefińczyków; quinaltynom i Orien Aswydd daleko było do zadowolenia.

Emuin skorzystał jednak ochoczo z okazji, zakrzyknął tubalnym głosem, wspierany po obu stronach przez zacnych terantyńskich braciszków, intonując litościwie krótkie błogosławieństwo dla wszystkich obecnych, powitane radosnymi okrzykami tłumu. Nabiwszy kabzę wartością oddanej w wieczyste użytkowanie kapliczki, miejscowy patriarcha quinaltynów, bynajmniej nie kapłan Efanora, ubiegnięty na chwilę przez śmiałe wystąpienie Emuina, rozpoczął ceremonialną modlitwę, która miała zapewne rozbrzmieć pierwsza – chyba wydłużył ją na poczekaniu, obawiając się potencjalnego zdyskredytowania przez terantynów;

Cefwyn tak właśnie przypuszczał, jako że kapłan zaczął błogosławić miasto i błogosławić zebrane na sali towarzystwo, błogosławić pokój, błogosławić króla, błogosławić lordów i damy, ich majątki i ogniska domowe, synów i córki, bydło i konie. Cefwyn zapłacił i, na bogów, modlitwa ta musiała zdystansować pozostałe długością i patosem.

Zerknął ukradkiem na kapłana stojącego u boku Efanora, który wyglądał, jakby rozgryzł ziarno pieprzu. Na dodatek – święci bogowie! – aby nie zostać na szarym końcu, bryaltyński przeor wystąpił z rozwlekłym apelem o religijną harmonię. Przy końcu, dając świadectwo pogardzie, z jaką bryalt odnosił się do kultowych podziałów, zacny człowiek przytoczył kilka quinaltyńskich błogosławieństw, kilka terantyńskich tudzież parę innych, których rodowodu Cefwyn wolał nie dociekać. Tymczasem wśród drobnej szlachty dały się zauważyć pochwalne kiwnięcia głowami, niektórzy wykrzykiwali słowa aprobaty, inni przecierali oczy.

Nareszcie, nareszcie formalnościom stało się zadość i tłum zaklaskał z entuzjazmem. Cefwyn mógł teraz pocałować swą wybrankę w policzek i wymienić pierścionki. Annas w jego imieniu zamówił u amefińskiego złotnika prostą obrączkę, ona natomiast swój przywiozła wraz z resztą klejnotów, a był nim matczyzny pierścień zaręczynowy. Zrazu nie udawało mu się trafić pierścionkiem na palec i czuł miękkość w kolanach, świadom, że nie wygłasza żadnej politycznej mowy, że zaprzysiągł nieodwołalnie i uroczyście przymierze z Elwynorem i że czekają go teraz rodzina, potomstwo i cała związana z tym reszta. Jakoś udało mu się włożyć przekłętą obrączkę na śliczny paluszek, ucałował drugi policzek, w

zamian sam otrzymał całusa i po chwili zamroczenia wszystko dobiegło końca. Trębacze uderzyli dziką fanfarą, każdy chyba osobno, i tym razem rozległy się głośnie owacje: amefińscy dygnitarze grodcy wraz z żonami, tłoczący się z tyłu sali w oczekiwaniu na rozpoczęcie biesiady, którzy najwyraźniej o wiele bardziej kochali pocałunki niż rozumieli treści traktatów, jakie lordowie wciąż roztrząsali z podejrzliwością, spostrzegli teraz, że czas przemówień minął i że lada chwila w poważnych ilościach poleje się wino.

Dzięki bogom muzykanci zaczęli wreszcie przygrywać do skoczego ludowego tańca, a tłum runął na stoły zastawione winami, serami i pieczywem, kuflami piwa i ciasteczkami, których sterty goście momentalnie spałaszowali.

–Wydajesz się naprawdę szczęśliwa, pani – rzekł Tasiem, podszedłszy do Ninevrise i ująwszy ją za rękę, podczas gdy Cefwyn zajmował się składającym mu życzenia mieszczaninem. – Czy tak jest w istocie? Możesz to śmiało powiedzieć?

–Sądzę, że mogę nią być – odparła, a Cefwyn, podsłuchawszy, wciągnął gwałtownie powietrze. – Naprawdę sądzę, że mogę być szczęśliwa. Tylko uważaj na siebie. Uważaj na siebie w Emwy. – Pozwoliła pocałować się w rękę, po czym Tasiem podszedł do króla.

–Jestem pod jej wielkim wrażeniem, Wasza Miłość – powiedział Cefwyn spokojnie.

–Poślę wam żołnierzy dla wzmocnienia. Chociaż moja pomoc dla was nie stanowiła warunku

ugody. Wczesne zaręczyny... To ona nagliła, abyś mógł być tutaj i stać przy niej jak ojciec.

–Wasza Królewska Mość – rzekł Tasiem, tylko tyle, i ukłonił się, najwidoczniej nie wierząc w szczerść wypowiedzi króla, zachowując chłodną postawę wyczekiwania. Cefwyn wiedział, iż nie udało mu się przejednać Tasiem ani, jak przypuszczał, pozostałych Elwynimów.

Ci jednak nie stronili odjadła i napitków, uczując wespół z pospolitymi ludźmi, którzy włożyli na siebie najlepsze ubrania, a których na prośbę Ninevrise wpuszczono na salę i usadowiono na zaszczytnych miejscach, powodem, czego był fakt, co wyjaśniła przed ich przybyciem, iż każdemu z nich przyznała skromny, aczkolwiek niewiążący się chwilowo z żadnymi posiadłościami tytuł oraz przyobiecała nagrodę ze skarbcza Korony w zamian za dotarcie do Ilefianu w Elwynorze; w przypadku śmierci ową nagrodę miał otrzymać najbliższy krewny.

Cefwyn gratulował każdemu z osobna, gdy podchodzili, aby złożyć życzenia swej pani, przy czym – tę sztuczkę podpatrzył u Emuina – rozpoznawał ich imiona i nowo nabyte tytuły, co wywoływało zdumione spojrzenia i zyskiwało mu, miał nadzieję, sporo uznania z ich strony. A więc tego wieczoru przynajmniej dziesięciu Elwynimów ucztowało radośnie. I czy to na skutek ich wrodzonej nieufności, czy też jakiegoś świeżo nabytego poczucia odpowiedzialności, z większą wstrzemięźliwością szturmowali czary z winem, niż co poniektóre damy, jeśli rozejrzeć się po sali; poza tym nie uczestniczyli w przywłaszczaniu

sobie przeróżnych kubków – żaden z nich nie należał do kompletu – które goście mogli zabierać zgodnie z życzeniem króla.

Ów amefiński zwyczaj zaręczynowy okazał się dość uciążliwy. W ścisłu wokół stołu rozlano niemało wina.

–Powinniśmy wysłać ze dwudziestu takich nad rzekę – mruknął Cefwyn do Ninevrise.

–Na bogów, cóż za maniery!

Orien nie raczyła złożyć im życzeń zaręczynowych, lecz inni amefińscy lordowie i damy podchodzili rozpromienieni. Również Tristen wstąpił na stopień i rzekł na swój sposób, najpierw do Ninevrise:

–Cefwyn dotrzymuje słowa. Jest uczciwy. – Potem zwrócił się do króla: – Ona uważa, że wszystko jest piękne, ludzie są mili, a ciebie lubi bardziej, niż ci ufa.

Ninevrise była wstrząśnięta i zażenowana. Król był wstrząśnięty i ubawiony. Ale Tristen już odszedł, jakby mając świadomość znaczenia swych słów, nie uświadamiając sobie zgoła zamętu, jaki za sobą pozostawiał.

–Czyż tak? – zapytał Cefwyn.

–Czyż co? – odparła. Starsza amefińska dama usiłowała wręczyć Ninevrise obwiązany wstążkami amulet.

–Na dzieci i wnuków – oświadczyła. – Powieś to nad łóżkiem, Wasza Miłość. Na mnie podziałało.

Cefwyn zauważył, że Tristen wziął sobie nieco sera i chleba ze stołu stojącego tuż poniżej podwyższenia. Tylko tyle Tristen mógł zdobyć bez wdawania się w boje z cisnącym się zewsząd tłumem; w pobliżu jednak znalazł się Uwen; sędziwy żołnierz zdołał na oczach króla pochwycić dwa kubki z winem, o które walczyło nieco mniej ludzi.

Rozpoczęły się tańce, a uczestniczyła w nich garstka par i pewna liczba młodzieńców, którzy, powtórnie napełniwszy swe kubki, nabrali animuszu. Cefwyn, chociaż porzucił zniechęconą laskę w przyległej sali i postanowił chodzić i wspinać się na stopnie bez jej pomocy, bezspornie nie był w stanie wziąć udziału w tym punkcie uroczystości. Narzeczona pozostawała na swym miejscu już znacznie dłużej, niżby wytrzymała Guelenka w tej samej sytuacji, jakkolwiek nieustająca kolejka pragnących złożyć życzenia stanowiła dostateczną wymówkę i ukręcała łeb plotkom.

Wkrótce jednak kolejka niemal całkiem stopniała i Cefwyn rozmyślał, czyby nie zachęcić Ninevrise do odejścia, kiedy to ostatecznie Efanor zbliżył się pod osłoną muzyki i hałaśliwych gwarów, ażeby zamienić słówko.

–Wasza Miłość – powiedział – przyjmij łaskawie mój prezent. – Podał jej książeczkę ze złocistym quinaltyrskim ekslibrisem na okładce. – To ci pomoże w medytacjach. Mój kapłan mi ją wręczył, kiedy składałem swe pierwsze przyrzeczenie, i byłbym ucieszony, gdybyś i ty ją raczyła przyjąć.

–Dziękuję, Wasza Wysokość. – Ninevrisie przyjęła książeczkę, po czym ujęła Efanora za rękę. Książkę wpierw pobrał, później oblał się rumieńcem. Wyglądał bardzo dziwnie; jakby, pomyślał Cefwyn, Ninevrisie miała zamienić się w obłok dymu przy dotknięciu ze świętą książką. – Jakże miło. Naprawdę, dziękuję. Z pewnością ją zachowam.

Puściła go. Efanor wrócił do swego kapłana, poprosił o wybaczenie i ruszył wzdłuż ściany, by zniknąć w tłumie, niewątpliwie dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Niebawem przestonili go tancerze.

–To bardzo miło z jego strony – stwierdziła Ninevrisie. – Czy to książka z zaklęciami?

–Nie – odparł szybko. – Schowaj ją... Ale nie tam! W jakieś czcigodne miejsce. Później ci wytłumaczę.

–Czy dał mi ją w złej woli?

–O, nie. Sądzę, że dobrze ci życzył. Nawet się poświęcił. Lecz musisz zrozumieć Efanora.

–Nie bardzo go rozumiem.

–Jest nieco bojaźliwy. Zobaczymy się z nim jutro rano. Obawiam się, że wychylił już ze dwa kubki. Pozbył się czegoś, co wysoce cenił.

–W takim razie powinnam mu to oddać!

–Nie, nie, zatrzymaj ją sobie. On nigdy nie cofnie swego hojnego daru. A teraz, skoro już okazał się hojnym, nie będzie wiedział, jak zmienić reguły. Bądź i ty hojna dla niego. Zaufaj mi w tej kwestii. To mu tylko wyjdzie na dobre.

Jeden z elwynimskich lordów rozmawiał z Pelumerem, niech bóg błogosławi starca. Elwynim, któremu tego wieczoru nadano szlachectwo, Palisan, zabójczo przystojny młodzik, padł łupem pulchnej córki lorda Durella, natomiast lady Orien znikła z pola widzenia.

Zapewne oburzyła ją sprawa z kubkami. Chociaż król czuł się usprawiedliwiony: darował jej przecież kilka podatków.

Prawdopodobnie największe oburzenie wzbudziło w niej samo zaproszenie – wolałby, żeby nie to było przyczyną, gdyż nie miał nic złego na myśli. Pociągnął za rękaw Ninevrisie i odezwał się szeptem:

–Droga lady, król, który jest już bardzo zmęczony, uda się wkrótce na górę. Etykieta wskazuje, aby przyszła panna młoda poprzedziła go w tym względzie. Towarzystwo podobno odda się tu takiej hulance, że tylko gwardziści będą bezpieczni. Wyświadczysz mi tę łaskę?

Położyła dłoń na dłoni Cefwyna i powiedziała, tak by tylko on słyszał:

–Dziękuję, panie. – Uścisnęła jego rękę z nikłym błyskiem w oku. – Dziękuję.

Podziwiał ją za odwagę, zważywszy na szalony bieg wydarzeń i fakt, iż nie miała przy sobie przyjaciół; regentce usługiwała jedynie Margolis wraz z dwójką amefińskich niewiast. Okazała wielką odwagę i dworskość w tym natłoku zdarzeń, wśród dam z amuletami na płodność i wobec modlitewnika Efanora. Król rzekł słowo Idrysowi, a ten posłał wiadomość do muzykantów i trębaczy. Muzyka umilkła, trębacze zadęli. Pozwolił, by Ninevrise pierwsza zeszła z podwyższenia, w towarzystwie Margolis i przydzielonych jej gwardzistów; potem patrzył, jak regentka rozmawia z Tasiem, Hauryddem i Ysdanem, rozmawia i wymienia braterskie uściski z każdym z nich, gdyż ustalono, że zobaczy się z nimi dopiero przy ich odjeździe do granicy. W przypadku Haurydda miało to nastąpić jeszcze tej samej nocy. Haurydd wyjeżdżał wraz z ludźmi Sovraga, by przeprowić się przez rzekę do Elwynoru, na bezpieczny ponoć skrawek brzegu.

Haurydd miał spróbować, jak zakładał plan, dotrzeć do lojalnych lordów, którzy gotowi byli zaatakować Aseyneddina wszelkimi możliwymi środkami.

Tej misji Cefwyn nie zazdrościł lordowi Hauryddowi.

Cefwyn i Ninevrise wychodzili. Tristen rozglądał się ponad głowami tłumu, mijając młodą damę, okrążającą młodego szlachcica, dochodząc do wniosku, że ściana stanowi dużo bezpieczniejsze miejsce. Tęga, acz dość ładna dama gawędziła z Uwenem, który spoglądał na nią z zaostrzoną uwagą.

Sądził, że dzisiaj nareszcie rozumie. Dotknął szarego miejsca, choć nie dotknęła go Ninevrise, nie wiedział, które z nich uczyniło to wcześniej. Emuin szybko położył temu kres, lecz po ciele Tristena zdążył przebiec dziwny dreszcz, młodzieniec doznał osobiście przyjemnego uczucia, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem; czuł wielkie podniecenie z małą domieszką strachu, gorąca, zimna; silne pragnienie czegoś, czego nie potrafił opisać żadną nazwą. Zakłopotanie wywoływał w nim widok Uwena tańczącego z pulchną damą, jak też widoki i odgłosy tak wielu, wielu par oddanych podobnemu zajęciu. Wyglądało na to, że cały świat jest podzielony w pary mężczyzn i kobiet. Całą salę wypełniało napierające nań ciepło, jakieś Słowo domagało się usilnie posłuchu...

Ktoś szarpnął go za rękaw, a wówczas zerknął w dół, by ujrzeć lady Orien.

–Proszę cię – powiedziała – chodź.

Nie wiedział już, jak traktować Orien Aswydd. Była siostrą lorda Heryna, a swego czasu Cefwyn zabronił mu z nią rozmawiać – przeszła jednak bez chwili zwłoki do przyległej sali, również pełnej ludzi.

Odmowa przyjęcia takiego zaproszenia wydawała się niemądra, być może rzeczywiście istniało coś, co powinien usłyszeć. Ruszył wzdłuż ściany, lawirując pomiędzy tancerzami i gapiami, po czym razem z trzema lub czterema osobami wszedł do jasno oświetlonej sali.

Orien czekała przy przeciwległej ścianie.

–Lordzie Tristenie. – Usta jej zbiegły się w cienką linię i zadrżał podbródek, jakby zwiastując bliski wybuch płaczu. – Bardzo dziękuję, żeś zechciał przyjść.

–Czego sobie życzysz, pani? – Tristen martwił się jej zmartwieniem. – W czym kłopot?

–Muszę z tobą pomówić. Muszę. Ale nie tutaj. Tu się boję. Tamten człowiek patrzy. Tak niewiele mam okazji, by się z kimkolwiek spotkać. I nie dopuściłam się zdrady. Naprawdę! Mam dowody. Wiem o kilku rzeczach... Wiem o rzeczach, o których bym opowiedziała, gdyby tylko król mógł mnie wysłuchać. Ale nie wolno mi z nim mówić. Musisz to dla mnie zrobić!

–Mogę przekazać mu wiadomość, pani, uczynię to z wielką chęcią. Możesz mówić.

–Nawet moi przyjaciele boją się do mnie odzywać. Opuścili mnie ostatni sojusznicy. Wszyscy, wszyscy mnie porzucili, Cefwyn zesłał na wygnanie moich kuzynów, nawet siostrę. Jakże za nią tęsknię!

–Bardzo mi przykro.

–Każdego z wyjątkiem paru moich służek strażnicy zawrócą spod drzwi. A one są bezradne. Chodź ze mną, proszę. Pokażę ci dowód mojej niewinności. Pragnę, byś zobaczył, na co natrafiłam wśród ksiąg mojego brata. Proszę. Wiem, że twój osąd będzie sprawiedliwy.

–Co chcesz powiedzieć Cefwynowi? Nie zawaham się mu tego powtórzyć.

–Nie! Nie będę go błagać, panie, z pewnością nie będę go błagać. Proszę tylko, byś poszedł ze mną, wysłuchał moich słów i obejrzał list, jaki posiadam. Zechcesz mnie wysłuchać? Jestem zrozpaczona. Podejrzewam, że on planuje mnie zabić, podobnie jak zabił Heryna, a przecież jestem niewinna! Tak się boję, panie. Ciebie nie zatrzymają strażnicy. Przyjaciół króla ma wolny wstęp do każdej komnaty. Tobie ufam, ale nikomu więcej. Proszę!

Tristen pomyślał, iż Cefwyn mógł popełnić błąd. Ta kobieta zawsze się doń uśmiechała, już od pierwszych dni jego pobytu w Zeide. Zawsze oszałamiała go i intrygowała – chociaż

Emuin powiedział, że to z nią przede wszystkim nie powinien rozmawiać, w tamtych czasach, kiedy zabraniano mu rozmawiać z kimkolwiek. Teraz jednak nie wiedział, czy zakaz nadal obowiązuje.

–Proszę – szepnęła nagle, zerkając na boki. – Oni są przy mnie. Moi gwardziści zawsze przy mnie są, widzisz ich?

Widział. Stali tam, gdzie kierowało się spojrzenie Orien.

–Chodź ze mną. I to zaraz. Boję się wracać do swojej komnaty, sama w ich towarzystwie. Oni napawają mnie strachem. Grożą mi, proszę, chodź ze mną.

–Powinienem powiadomić Uwena.

–Nie! – zaproponowała gwałtownie, ciągnąc go za rękę. – Ani słowa nikomu z ludzi Cefwyna. Nie zamierzam rozmawiać z ludźmi Cefwyna. Tylko z tobą... Proszę.

Po dwóch krokach spostrzegł, że i gwardziści poruszyli się w ślad za nimi: byli to gwardziści Cefwyna, toteż nie spodziewał się żadnych kłopotów. Podążał za lady, gdy wiodła go do końca sali, potem w górę, po schodach wschodniego skrzydła, a na koniec korytarzem ku drzwiom obstawionym przez dalszych gwardzistów Cefwyna.

Nie prowadziła go już za rękę: wsunęła mu dłoń pod ramię i szli jak kobieta z mężczyzną. Miło było iść z kobietą w ten sposób – czuł się jak inni mężczyźni. Takie zachowanie wydawało się właściwe, gwardziści otworzyli drzwi bez słowa i wpuścili ich do środka.

Kiedy znaleźli się w pustym przedpokoju, oświetlonym przez pojedynczą świecę, przesyconym zapachami sączących się zza drzwi apartamentu perfum, Orien objęła Tristena.

Ów gest był dlań zaskoczeniem, ale myśląc, że jest wystraszona, z kolei on objął ją delikatnie. Ona zarzuciła mu jednak ręce na szyję i przyciągnęła jego głowę, tak, że spotkały się ich usta. Wówczas zdał sobie sprawę, do czego zmierza Orien, i pocałowali się, ale nie tak, jak uczynili to Ninevrise i Cefwyn, w policzek. Wargi się spotkały, usta się spotkały – pod jej przewodnictwem – co wywarło na nim niesamowite i odurzające wrażenie. Zauważył, że próbuje porozpiąć jego ubranie; docierały doń Słowa, krążyły wokół świadomości, intrygujące Słowa dotyczące mężczyzn i kobiet.

Zdawało mu się jednak... zdawało mu się, że jest wciągany na łeb, na szyję ku poufałemu związkowi, na który nie miał ochoty z lady Orien. Poza tym pamiętał o ostrzeżeniach, a ona mówiła o dowodach i wiadomościach, których nie dostrzegał w przyciemnionym przedpokoju.

Spróbował cofnąć się o krok i odsunąć delikatnie jej ręce. Opierała się, więc pochwycił uciekające mu dłonie i siłą ściągnął je z siebie.

–Jesteś moim wrogiem? – zapytała, znów ze łzami w oczach. – A więc i ty jesteś moim wrogiem?

–Gdzie dowód, jaki chciałaś mi pokazać?

–Tam, w środku – odparła. Mając unieruchomione ręce, skinęła głową w stronę apartamentów. – Pokażę ci.

Z każdą chwilą nabierał większej pewności, iż Orien nie postępuje tak, jak mu to przyobiegała na sali. Nie zamierzał iść dalej, nękanym kłopotliwymi myślami.

–Sądzę – powiedział – że mnie okłamałaś, lady Orien.

–Nie kłamałam! Jak możesz mnie tak traktować? Jak możesz być taki okrutny?

–Pokaż mi dowód, pani. – Ciężko mu się oddychało. – Natychmiast.

Nie zwlekając, zaczęła rozpinąć stanik, ukazując mu miękkość i biel, które go frapowały i zarazem fascynowały – chciał i nie chciał ujrzeć więcej, co wzbudzało w nim te same uczucia, jakie wcześniej wzbudziły jej ręce. Pomyślał, iż znów usiłuje go zwieść, więc powiedział, chociaż słowa z trudem przechodziły mu przez gardło:

–Nie, Wasza Miłość. – Złapał za klamkę i otworzył zewnętrzne drzwi, by wyjść na zewnątrz.

–Bądź przeklęty! – wrzasnęła, dorzucając wiele epitetów, które dotychczas słyszał wyłącznie z ust gwardzistów.

Straże obrzuciły pytającym spojrzeniem Tristena, który, czując się nieco zażenowany, poprawił ubranie.

–Jej Miłość powiedziała, że ma wiadomość. Ale nie sądzę, by to była prawda.

–Lordzie strażniku – odezwał się jeden z gwardzistów – jużemy słyszeli tę historię z wiadomością. Proszę wybaczyć, aleśmy posłali człowieka do lorda komendanta, jako że nam cię zatrzymać nie wolno.

–Dziękuję – odpowiedział. – To bardzo uprzejmie z waszej strony. Tak właśnie powinniście byli postąpić.

Szedł korytarzem, zakłopotany i zły na siebie. Na schodach spotkał Uwena oraz Idrysa. Cieszył się w duchu, że Idrys nie musiał przynajmniej wchodzić do przedpokoju, aby go ratować:

–Pozwoliłem sobie wyjść, panie. Myślę, że kłamała w sprawie wiadomości.

–I ja tak uważam, Wasza Lordowska Mość. – Idrys był doskonale zrównoważony,

całkowicie trzeźwy. – Życzę dobrej nocy.

Idrys poszedł na górę. Uwen odwrócił się i zaczął schodzić z Tristenem bez słowa. Młodzieniec nadal czuł się głupio i był mocno zawstydzony, wspominając dotyk kobiecych dłoni.

–Zauważyłeś – odezwał się Uwen – tę wdowę, tę miłą kobietkę? Z werwą ci tańczy, aliści wątpię, czy do ożenku jej spieszno. Mi też, do licha, nigdzie już się nie śpieszy, panie. No i dałem drapaką.

–Nie powinienem był jej ufać. Wiedziałem, że muszę uważać, Uwenie. Naprawdę, wiedziałem. Przysięgałem sobie, że nigdy nie dam się tak nabrać, i oto mnie nabrano. Jest mi bardzo przykro.

–Ech, cóż tu, panie, po słowach? Martwiłem się, aleś, jako rzadko, który, po rozum do głowy poszedł, no i żeś wrócił. Pamiętasz, jakem dwie nocki temu ze wzgórza zjeżdżał? Klnę się, iżem z równą radością patrzył, gdyś teraz schodził po schodach. Pewnym był, że przyjdzie nam z kapitanem po drzwiach tarabanić i bogowie wiedzą, co jeszcze, aż tu raptem schodzisz jak się patrzy, przejrząwszy te jej sztuczki. – Na moment Uwen zarzucił Tristenowi ramię na szyję, zanim znaleźli się na uczęszczanym terenie, gdzie wciąż przygrywali muzykanci, a tłum był gęsty i rozochocony. – Niejeden na twoim miejscu głowę by postradał, młodzieńcze.

Tristen sądził, że powinien cieszyć się ze zrozumienia, niemniej czuł się roztrzęsiony, w pewnej mierze żalując, iż nie został dłużej i nie odkrył dalszych tajemnic; z drugiej strony był zadowolony: wątpił, czy chciałby zdobyć takie doświadczenie z Orien.

–Chyba wrócę do siebie – powiedział.

–Wcale niezła myśl – poparł go Uwen. – Postaram się jeno o butelczynę wina na rozgrzewkę. Posiedzimy przy ogniu, ty i ja, jak Przysłało na dobrych kompanów, golniemy sobie po kielichu i pójdziemy do łóżek.

Po chwili siedzieli wygodnie przy kominku w apartamencie Tristena, popijając wino.

Uwen opowiadał o podrywaniu dziewcząt, o swojej wiosce i o tym, jak poznał swoją przyszłą żonę.

Była to niezwykle oświecająca opowieść. Tristen upewnił się, co do istnienia miłszych od Orien kobiet, skutkiem, czego ogarnęło go jednak uczucie osamotnienia.

–Myślę, że twoja żona była nader miłą damą – powiedział, wywołując uśmiech na twarzy Uwena.

–W żadnym razie miłą damą, ale za to diabelnie miłą kobietą... no i dzielną, dzielną, dzielną

kobietą.

–Nie poznałem jej, szkoda – odparł Tristen, a Uwen przetarł oczy, odkaszlnął i oznajmił, że idzie spać.

I on postąpił podobnie. Ułożył się w chłodnej pościeli i zamknął oczy. Zrazu ujrzał Orien, o której nie zachowywał przyjemnego wspomnienia. Wnet wszakże zobaczył Ninevrise, opromienioną blaskiem świecy; widział jej twarz, gdy się śmiała, oraz oczy, gdy słuchała z powagą. Nie istniał żaden fragment Ninevrise, który nie byłby cudowny, ani żaden fragment jej serca, z którego nie biłaby dobroć.

Wiedział. Dotknął tego w szarym miejscu dzisiejszego wieczoru. Emuin co prędzej interweniował: zwrócił uwagę na zagrożenie i zakazał mu tego robić.

Nadal odczuwał to, co czuł przy Orien, która go okłamała, która w żadnym szczególe nie przypominała Ninevrise; nadal rozmyślał o regentce, przekonany, że małżeństwo oznacza dla Ninevrise i Cefwyna wspólne łóżce, wspólne życie i wzajemną miłość. Cefwyn wręczał mu prezenty i zabiegał o jego przyjaźń – zatem Tristen prawdopodobnie nie straci Cefwyna. Być może będzie miał okazję często rozmawiać z Ninevrise, a wszystko się jakoś ułoży.

Czuł dławienie w gardle. Czuł ból, do którego, jak przypuszczał, nie miał prawa, gdyż królewskie małżeństwo zostało już zaplanowane.

Tymczasem wyruszali na wojnę przeciwko nasłanym na nich przez Hasufina ludziom, co, biorąc pod uwagę jego sprawność w posługiwaniu się bronią, musiało mieścić się w zakresie intencji Mauryla, takie narastały w nim podejrzenia w świetle burzliwych wydarzeń, jakie się wokół rozgrywały.

Niemniej Mauryl pracował w pośpiechu i chociaż powołał Tristena do ważnych celów, lecz nie myślał wiele, czego należało się spodziewać, o innych rzeczach, jakie Tristen mógł odkryć i jakich mógł dla siebie zapragnąć, skoro nie zostały uwzględnione w planach mędrca. W przekonaniu tym utwierdzały go wspomnienia różnych błahych wydarzeń: czy to badał gołębnik, czy odkrywał coś, czego nigdy wcześniej nie widział – równie dobrze mógł być właśnie na tropie najwspanialszego znaleziska w Ynefel – jeśli Mauryl go potrzebował, natychmiast musiał porzucić swoje zajęcia; musiał bezzwłocznie odpowiadać na jego wezwania – czarodziej był pod tym względem nieprzejednany. Fakt, iż od tamtego czasu dorósł, a zarówno jego rozterki, jak i wola stały się silniejsze, niczego nie zmieniał, gdyż nadal obowiązywał stary układ.

Chętnie podążał tam, dokąd sobie tego życzył Mauryl. Pojechał do Althalen. Potem wrócił. Nie zauważył, by ktoś lub coś sprzeciwiało się powziętym wobec niego zamiarom Mauryla – by sprzeciwiało się im skutecznie lub bezkarnie: w związku z tym dręczyły go obawy o osoby, które kochał; nie śmiał dopuścić, by próbowały się przeciwstawić zamysłom Mauryla.

Mauryl był niewinny, ma się rozumieć: Tristena powołała na świat potrzeba czarodzieja, a to, że kierował swe zainteresowania w inne strony, nie mogło być winą Mauryla. Chętnie porozmawiałby z kimś, kto Mauryla rozumiał, lecz nie mógł tej nocy niepokoić Emuina w szarej przestrzeni: bał się, że nie zdoła dotknąć szarości, nie mącąc równocześnie snu Ninevrise, czego pragnął uniknąć. Nie chciał tego ryzykować zwłaszcza dzisiejszej nocy, nękanym dziwnymi uczuciami, jakie wobec niej żywił.

Leżał, obserwując cienie płaszące wzdłuż krawędzi ścian. Raz nawet usłyszał łomot i grzechotanie, jakby coś poruszyło zasuwkę przy oknie.

Jeśli był to Hasufin, lepiej dla niego, że tym razem nie zachowywał się napastliwie, pomyślał, ogarnięty nagle złością, którą chciał na kimś wyładować.

Nikt w jego mniemaniu nie zasługiwał jednak na to, z wyjątkiem Orien. Łączyły go kiedyś bliskie więzi z czarodziejami i obawiał się teraz swojej złości. Lękał się śnić lub przemykać w pobliżu szarego miejsca ze zranionymi uczuciami, porwany gniewem.

Wobec powyższego wstał i zabrał się za czytanie. Siedział przy palenisku do późnej godziny, aż wreszcie zasnął nad swoją Książką, by obudzić się z zeszywniałą szyją i ścierpiętymi nogami, przy ogniu ledwo tłącym się wśród popiołu.

Obudził się z poczuciem zagrożenia. Nie chodziło o okno. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Było bezwietrznie.

Coś się jednak zmieniło podczas jego snu, pomyślał. Coś – być może w szarej przestrzeni, której nie śmiał odwiedzać – coś będące dla innych ludzi sennymi marzeniami stało się tej nocy znacznie groźniejsze i bardziej natarczywe; zmiana ta wydawała się określona jakąś ostrą granicą, za którą stawała się nagle rzeczywistością. Nie wiedział, czy przyczyna kryje się w błędzie, jaki popełnił z Orien, czy też w modlitwach Emuina, czy wreszcie sama Ninevrise ingerowała w szarą przestrzeń, kiedy on nie miał o niczym pojęcia...

Ogarniał go coraz to większy niepokój, lecz nikomu nie śmiał się z niego zwierzyć.

Pomyślał o obudzeniu Emuina, wiedział jednak, że w takim przypadku mógłby powiedzieć i usłyszeć rzeczy, które wpędziłyby go w jeszcze większe zakłopotanie i naraziły na większe niebezpieczeństwo popełnienia jakiejś pomyłki. Siedział nieruchomo w ciemności, węgle żarzyły się mętnie, suchy i niemy pergamin Maurylowej Książki leżał na jego rękach. Raptem doznał olśnienia: Orien chciała skrzywdzić Cefwyna.

Wcale mnie nie pragnęła. Rzecz dotyczy Zemsty.

Postąpiłem bardzo, ale to bardzo głupio, idąc z nią na górę.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Gdyby w tym natłoku wydarzeń król mógł przeprowadzić własną wolę, z chęcią odciągnąłby swych baronów na chwilę na bok przed wczorajszą ceremonią, by przewodniczyć względnie trzeźwej naradzie, poruszającej sytuację na pograniczu; biorąc pod uwagę fakt, iż lekki rausz może zapewnić pewien stopień harmonii podczas drażliwych dyskusji – już nieraz uciekał się do tego wybiegu.

Mógłby tym jednak nadszarpnąć powagę uroczystości zaręczynowej, obrazie Elwynimów i uczucia lady, którym, ze zdziwieniem to stwierdzał, poświęcał w tej kwestii sporo uwagi.

Nie spodziewał się nigdy zapalać tak głębokim uczuciem względem kobiety, do której poślubienia będą go zmuszać sprawy wagi państwowej. Ze zdumieniem skonstatował, że tego dnia spędził nadzwyczajną ilość czasu na rozmyślaniu o córce regenta, a o wiele za małą na roztrząsaniu szczegółów nadrzecznych fortyfikacji, nieprzynoszących córce regenta praktycznego pożytku, zupełnie zaniedbując rozpatrywanie pozostałych spraw, o których nie wolno mu było pisać ani słówka, i – niech się bogowie nad nim zmiłują! – wciąż tylko myśląc ojej twarzy, głosie i oczach. O szarych oczach. I znów – niech bogowie mają go w swej opiece! – quinaltynom to się nie spodoba, quinaltynom roszcującym sobie prawo do obejmowania duchowego przewodnictwa nad królowymi Ylesuinu, a przecież tytułu tego wyrzekła się jego narzeczona. Jeśli wieść o tym się rozprzestrzeni, mogą podnieść się krzyki bijące na głowę te powstałe w chwili, gdy król zgodził się powierzyć Emuinowi nauczanie swego syna.

Nie zamierzał im jednak ulec, zarówno dla zasady (wciąż szukał sposobów, by ograniczyć ich wpływ), jak i z osobistego wyboru. Zdawał sobie sprawę ze swych słabości: łatwo ulegał zauroczeniom, które chwilę trwały, po czym pewnego nieprzewidywalnego ranka rozwiewały się wśród głębokiego rozczarowania. W żadnym z przypadków nie chciał kończyć romansu, lecz prędzej czy później wszystkie się kończyły, a mimo to tegoż ranka, po złożeniu zobowiązania, które powinno było być najwnikliwiej rozpatrzoną i najbardziej dojrzałą decyzją jego królewskich rządów, z przerażeniem stwierdzał, iż coraz silniej wrzeć w nim poczynają namiętności do kobiety, będącej, po pierwsze, zdolną wydać wojnę jego królestwu, po wtóre, posiadającą bez liku oszałamiających i pociągających zalet, jakimi nie szczyciły się, musiał przyznać, poprzednie faworyty.

Dostrzegł grożące mu wielkie niebezpieczeństwo, obudziwszy się z myślą o Ninevrise, nie będąc w stanie określić równocześnie w pamięci liczby wozów wyprawionych nad rzekę – ani przypomnieć sobie treści trzeciej tezy, jaką miał wysunąć w dyskusji, kiedy to ubrany w swe najlepsze królewskie szaty (z wyjątkiem korony) maszerował w otoczeniu gwardzistów i domowników (z wyjątkiem Idrysa i Emuina) na spotkanie z Ninevrise schodzącą po schodach w świcie niewielkiej grupki jej domowników i zaprzysięgłych ludzi.

–Pani – przywitał się.

–Wasza Królewska Mość – odparła.

Wymieniono ukłony. Wymieniono uprzejmości. Tasiem pozostawał markotny, gdy schodzili razem ze schodów.

Na bogów, do ślubu brakowało trzech miesięcy; trzy miesiące splecionych rąk i niewinnych pocałunków w policzki, takich jak zeszłej nocy.

Trudno mu było skupić myśli na ślubie. Musiał wpierw przetrwać uroczystość dorzuconą w pośpiechu do koronacji na polu bitwy, i to w dniu, kiedy wysyłał ludzi do obrony przeprawy przez Lenuaim – ale nawet Idris dostrzegał zmianę w jego nastawieniu: dotychczasowy stan rzeczy musiał ulec zmianie i nie wolno mu było dłużej pozostawać w nieświadomości, do kogo tak naprawdę skłaniają się sympatie najwierniejszych mu baronów. Równie wielką wagę przykładał do przekonania ich o słuszności swego postępowania, teraz, gdy zachwiały się wszystkie znane punkty odniesienia, skoro umarł jego ojciec, skoro ogłoszono zaręczyny z córką elwynimskiego regenta... i skoro powrócił Tristen.

Cefwyn wiedział, że to, co zrobi i powie tego ranka, wywoła szereg kontrowersji. Zeszłej nocy ludzie do pewnego stopnia wrogo do siebie nastawieni woleli nie wydawać pochopnych opinii, gdyż wiedzieli, że są już nieco wstawieni. Dzisiaj ujawnią się polityczne zapatrywania, oparte na trzeźwych poglądach, zimnych i niebezpiecznych; lord Tasiem przybył tu z dużą dozą sceptycyzmu odnośnie jakichkolwiek sojuszy. Był krewnym Ninevise ze strony matki, miał żonę, ale żadnych synów, toteż nie wiązał osobistych planów z osobą regentki – lorda Tasiema bezspornie można było zjednać.

Podobnie jak brata. I Sulriggana z Llymarynu. No tak, był jeszcze Sulriggan. I ten nieznośny kapłan Efanora.

Założywszy jednak, że Umanon i Sovrag tudzież lord Ysdan cierpieć mogą na przejmujący ból głowy, biorąc pod uwagę ilość trunków, jakie wchłonęli na oczach Cefwyna, przynajmniej ta poranna narada miała szansę upłynąć pod znakiem ich uległej postawy i mniejszej niż zwykle ochoty do hałaśliwych przemówień i debat. Nie musiał powiadamiać ich o żadnych alarmujących nowinach, gdyż ostatni gońcy z nadrzecza zawiadamiali o braku jakichkolwiek zmian czy śladów obecności wroga. Pomyślnych wieści również nie mieli, na przykład o błyskawicy porażającej Aseyneddina w łóżku.

Naradę baronów oraz uroczystość, jaką Cefwyn uznał za nieodzowną, zaaranżował wraz z Annasem i Emuinem w nieprzyzwoitym wręcz pośpiechu. Sytuacja na pograniczu nie pozostawiała wiele czasu na należyte zastanowienie; Cefwyn dość się już zastanawiał z lordami tamtej nocy, kiedy zginął jego ojciec. Poddanie całej sprawy pod ponowne obrady dawało tylko oponentom – w tym przypadku Sulrigganowi, a nie lordowi z Murandys – okazję do opóźnienia przygotowań, których król dłużej opóźniać nie śmiał. Za każdymi drzwiami w Zeide wrzało od plotek i dlatego należało wyjaśnić wszelkie dylematy, i to jeszcze dzisiaj. Głównymi drzwiami, w otoczeniu świty, na dużą salę weszła Ninevise. Król słyszał, jak herold obwieszcza jej przybycie. Nie zamierzał dać elwynimskim lordom czasu na stanie i rozmawianie w tym niewygodnym towarzystwie. Idris najwidoczniej podzielał

jego opinię, gdyż po wejściu na salę małym bocznym wejściem zbliżył się doń natychmiast i oświadczył:

–Wszystko gotowe na rozkaz Waszej Królewskiej Mości.

Cefwyn z niecierpliwością przyglądał się, jak Ninevrise i jej lordowie zmierzają w należyтым porządku do swych miejsc w przedniej części dużej sali.

Jeśli dopisze mu szczęście, rozmyślał, zdoła poprzeć swoje twierdzenia argumentami, tak by baronowie nie zdążyli otrząsnąć się z marazmu; upora się z zaprzysiężeniem i porozdziela im zadania, zanim dotrze do nich wiadomość, iż wojna z Elwynorem jest bliska i nieunikniona.

–Nie ma z nami Jej Miłości z Amefel – zauważył Idrys, gdy drzwi otwierały się po raz drugi.

Cefwyn wziął głęboki oddech i ruszył przejściem między rzędami stołów, tuż przed Idrysem i w otoczeniu gwardii przybocznej, przy wtórze pozdrowień: „Wasza Królewska Mość z Ylesuinu”. Podeszedł do pierwszego stopnia, odwrócił się i przedstawił – nie swą narzeczoną, ale głowę państwa – wymownym spojrzeniem i ręką wyciągniętą w zapraszającym geście.

–Wasza Najczcigodniejsza Miłość.

Ninevrise piastowała należną jej z urodzenia godność, na co wcześniej nalegała. Była opanowana, imponowała nieskazitelnym wyglądem, jasnością umysłu i manierami. To zauroczenie, obawiał się Cefwyn, składając pocałunek na jej dłoni, co ze względu na świadomość, iż nie może go złożyć nigdzie indziej, tylko rozproszyło jego uwagę. Wyprowadził ją z jej eskorty ku przedostatniemu stopniowi podwyższenia, gdzie oprócz nich stali tylko gwardziści z Idrysem.

–Bracie – zwrócił się do Efanora stojącego w pierwszym rzędzie arystokratów, zapraszając go do siebie, czego ich ojciec nie praktykował w stosunku do swego brata. Cefwyn postąpił jednak inaczej.

Następnie, wyszedłszy na najwyższy stopień, przyjrzał się zebranym baronom i domownikom.

Rzeczywiście, brakowało Orien. Można by przypuszczać, że lady Orien nadal rości sobie prawo do swych przywilejów w Amefel, ale skoro nie zjawiała się na powszechne wezwania, któż zechce protestować, kiedy umieści ją pod kluczem, co, do licha, z pewnością uczyni. Zeszłej nocy podczas uroczystości miała okazję zaprezentować się z dobrej strony, a nawet pokazem dworskich manier wykonać krok w stronę ulaskawienia. Miała okazję na wiele rzeczy oprócz tej, której się dopuściła, jak donosił raport Idrysa, dlatego też jego pobłażliwość wobec Orien Aswydd i wszystkich jej krewniaków wisiła tego ranka na włosku. Gotów był skazać ją na bezwzględny areszt jeszcze przed końcem

tej narady.

Idrys przyniósł wymagane, nieoznaczone mapy. Czeladź przyszykowała stoły z boku sali, dość obszerne, by rozłożyć je w pełnej okazałości. Wszystko było jak trzeba. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

–Czcigodni lordowie – rozpoczął. Zapadła cisza, zebrani mierzyli go zamglonym wzrokiem, całe towarzystwo wyczekiwało na słowa króla. – Lordowie z Elwynoru, wasz plan ufortyfikowania obozu przy moście w Emwy zyskał naszą aprobatę, tak więc, o czym niektórzy z was wiedzą, posłałem już ludzi i wozy z zaopatrzeniem, licząc, że szybko ich dziś dogonicie, co, jak mniemam, jest życzeniem lady.

Ninevrise pochyliła głowę.

–To prawda, moi lordowie.

–Ponadto – ciągnął – proszę, by pozostała ze mną ta część oddziałów Smoczej Gwardii, która przybyła do tego miasta w świcie mego zmarłego ojca; tę samą prośbę kieruję pod adresem Gwardii Książęcej. Chcę, aby do środkowego Ylesuinu dotarły oficjalne wiadomości z rozkazami dostarczenia zaopatrzenia i rozmieszczenia wojsk wzdłuż północnych granic z Elwynorem, co jest środkiem ostrożności na wypadek, gdyby agresja nastąpiła na niespodziewanym odcinku. Prócz tego, czemu poświęcam zgoła niemałą troskę, wydaję rozkazy uporządkowania spraw cywilnych w stolicy. Wieść o zabójstwie mego ojca zapewne dotarła już do Guelemary, a z przyczyn, jakie wkrótce wyłuszczę, nie chcę, by w obecnej chwili zbierał się tu dwór. Przygotowałem wstępne dokumenty, umożliwiające przekazanie zwierzchności w stolicy, wybrani przez mego ojca doradcy i oficerowie mają oczekiwać na rewizję ksiąg.

Nikt, nie licząc królewskiej gwardii, nie spuszczał oczu z przemawiającego króla.

Cefwyn widział względnie zadowoloną twarz Efanora: do jego komnaty zawitała tego ranka nader treściwa wiadomość – król kluczył wokół zdradliwych pułapek religijnej uczuciowości i przesądnych lęków, prosząc Efanora o pozostanie w Henas'amef przez przynajmniej dwa miesiące, dopóki nie uda im się umocnić na trwałych pozycjach przeciwko Aseyneeddinowi oraz przywrócić spokoju na granicy. Pozostawienie stolicy bez przywództwa wiązało się niewątpliwie z ryzykiem, niemniej przekazanie owego przywództwa Efanorowi, który łatwo ulegał religijnym fascynacjom, mogło okazać się daleko bardziej zgubne. Idrys przekonywał, że sprawne i stabilne rządy zapewni królestwu sędziwy lord Brysaulin, który, wprawdzie słaby i leciwy, był żelaznym administratorem, a zagrozi mu zamęt, jaki powstanie, gdy młodszy i obsesyjnie religijny książę obejmie niespodzianie nadzór nad państwowymi sprawami, obalając rozważne dekryty Brysaulina – które Wszak nigdy nie faworyzowały quinaltynów.

Nie wzruszaj niczego, co uporządkował twój ojciec, póki nie przyjdzie pora, by przejąć

sprawy w swoje ręce i nimi potężnie potrząsnąć – oto czego się trzymał. Drogi prowadzące do stolicy były dość dobrze utrzymane, toteż zima nie stanie im na przeszkodzie w powrocie do stolicy, kiedy ślub stanie się faktem, z którym quinaltyni będą musieli się nauczyć żyć, a wtedy...

Do tego czasu sytuacja na pograniczu wyświetli się, umożliwiając mu powierzenie tutejszych spraw Idrysowi i Cevulirnowi.

–Na razie – kontynuował – co jest największą zmianą w moich planach, zamierzam poczekać z zaprzysiężeniem północnych baronów, póki nie zgłębię okoliczności towarzyszących pogwałceniu naszych granic. Miałem nadzieję ukończyć przygotowania w czasie zimy. Boję się, że nie dano nam tyle czasu, i chociaż prosiłem was, panowie, abyście tu pozostali ze szkodą dla waszych spraw domowych, teraz muszę zmienić zdanie. Bez zbędnych ceremonii założyłem na polu bitwy koronę. Zapoczątkowałem układy z regentką Elwynoru. Uczyniłem mnóstwo rzeczy... – Stracił na chwilę oddech i pogubił się w myślach. Gdy jednak zaczerpnął powietrza, przypomniał sobie dalszy ciąg. – ...Mnóstwo nieprzewidzianych rzeczy. Jako król władający z łaski bogów przysięgam okazywać im należny szacunek i uwagę, co czynię ze szczerzej woli. Podobnie i wam przysięgnę. Nadto proszę, byście ze swej strony złożyli homagialne przyrzeczenia, wy, pierwsi spośród wszystkich prowincji, oraz przyrzeczenia wierności, jako i ja gotów jestem wam przysiąc, bez ceremoniału właściwemu stolicy, tak, że kiedy opuścicie to towarzystwo przyjaciół i braci, będziecie mieli we mnie ostoję, którą i ja chcę w was widzieć.

Zmieszane spojrzenia, zdumienie okazywane kiwnięciami głową, pomruki wśród poruczników Sovraga, którzy – wskutek wojny ogarniającej pogranicze i (o czym niekoniecznie wiedzieli) coraz większego zagrożenia ze strony Ynefel – nie mogli łodziami wrócić bezpiecznie do domu. Cefwyn nie mógł pozwolić, by choćby spróbowali. Tych łodzi potrzebował w zupełnie innym celu.

Zbliżył się Emuin w swych nieskazitelnie szarych szatach: jego osobisty terantyński kapłan, dobrze znany na dworze, obecnie doradca króla – niosąc wojenną koronę i pokazując ją wszem wobec.

Cefwyn mógł wreszcie przestać się martwić o wypowiedane słowa, teraz Emuin musiał je sobie przypominać i dbać o protokół, podczas gdy on tylko odpowiadał „tak” i „przysięgam”, trzymając wespół z Emuinem koronę.

Na sali panowała cisza. Nikt nie ważył się nawet zakaszleć, lordowie zapewne zachodzili w głowę, dlaczego ich wcześniej nie powiadomiono i gdzie należy doszukiwać się haczyka. Nastąpiły uroczyste skinienia i śluby, jakich wymagał terantyński rytuał. Włożono mu na skronie koronę, co stanowiło prawomocny pod względem religijnym akt koronacji, który oprze się próbom unieważnienia aż do jego śmierci i który położy kres wszelkim roszczeniom do tronu.

Pierwszego wezwał brata; Efanor uklęknął i złożył prostą przysięgę, podobnie jak i on przysiągł, ogłaszając go swym następcą, na uprzednio uzgodnionych warunkach, to znaczy gdyby nie miał własnego potomka. W dalszej kolejności postąpili oficerowie z jego domu, zgodnie z obyczajem Marhanenów. W trzeciej turze podchodzili baronowie, przestrzegając porządku, w jakim ich rody przysięgały dziadkowi Cefwyna: najpierw Pelumer, potem Cevulirn – w ich oryginalnej kolejności. Trzeci z książęcych domów reprezentował Umanon, czwarty Sulrigan, a na końcu, nader nisko w podyktowanej historycznymi względami hierarchii, do ceremonii przystąpił Sovrag, który po złożeniu przysięgi, że będzie bronił króla i darzył go przyjaźnią, że będzie troszczył się o życie, osobę i honor swego suwerena, oraz po odebraniu zwyczajowego przyrzeczenia władcy, obiecującego bronić jego życia, osoby i honoru, zapytał, czy mógłby włączyć powierzchnie statków do swego terytorium.

Cefwyn wyobrażał sobie minę diuka Umanona, do którego należał wykorzystywany przez Sovraga port, a który teraz pewnie nabierał oddechu, by stanowczo zaprotestować. Król znał argumenty, takimi Sovrag motywował swoją prośbę, ale się do niej nie przychylił.

–Nie – odparł uprzejmie, podsuwając Sovragowi dłoń do pocałowania.

–Nie wadzi spróbować – powiedział Sovrag.

–Potrzebuję dzielnego człowieka, lordzie z nadrzecza. Zakładam, że takim jesteś.

–A więc pogadamy?

–Złóż przysięgę i użyz mi pomocy, lordzie z nadrzecza. Naprawię twoje łodzie.

Albo zbuduję nowe. Możesz liczyć na moją przyjaźń.

Sovrag obdarzył go, jak zawsze, trzeźwym spojrzeniem. Cefwyn zastanawiał się, czy go czasem nie uraził.

–Racja – rzekł Sovrag ochryple. – Racja, miłościwy panie.– Potem z siłą niedźwiedzia uścisnął królowi rękę.

–Tristen, lord strażnik Ynefel – obwieszczono następnie, gdy Sovrag zszedł z podwyższenia. – Marszałek wielki Althalen.

Rozległy się pomruki. Cefwyn czuł rosnące wśród Elwynimów poruszenie. Od Tristena odebrał jednak tylko przysięgę na wierność, ustalając czas jej obowiązywania na okres od żniw do żniw.

–Co roku odnawiana, przysięga przyjaciół ku obopólnemu ratowaniu życia, ciała, praw i honoru, w obliczu błogosławionych bogów i z ich łaski. – Podniósł Tristena, objął go i szepnął na ucho:

–Powiedz: „W obliczu błogosławionych bogów”, ale tak, żeby słyszeli.

–W obliczu błogosławionych bogów, Wasza Królewska Mość – rzekł Tristen i dodał, jak to miał we zwyczaju, lecz z wyjątkowo przenikliwym i pełnym zrozumienia spojrzeniem. – Jestem twoim przyjacielem.

Dzięki niech będą wspomnianym bogom, że nie powiedział niczego więcej. Cefwyn dostrzegł zaciśniętą szczękę kapłana stojącego przy Efanorze, który z kolei zaciskał palce na modlitewniku.

Nikt nie wiedział, jakiego rodzaju przysięga wiązała Mauryla i dziadka Cefwyna. Nie istnieli żadni świadkowie, żaden kapłan, nic świętego. Baronowie przypuszczalnie zapytywali siebie, jak porównać godność Tristena z tytułami lordów, którzy zestarzeni się w służbie dla Ylesuinu. Żaden strażnik Ynefel nigdy nie zawitał na dwór królewski, nie widniał takowy nawet w protokole.

Cefwyn uściskał go po raz wtóry.

–Dziękuję – powiedział na ucho Tristenowi i pozwolił mu odejść.

Następnie na krótko zabrała głos Ninevrise, przemawiając jako suwerenna regentka:

–W obliczu bogów, przyrzekam darzyć szczerą przyjaźnią ziemię, naród i Koronę Ylesuinu.

Dopiero teraz odważył się odetchnąć. Nikt nie zanegował ich przyrzeczenia, nikt nie wniósł obiekcji, a lorda Tasiena wiązało słowo Ninevrise.

–Moi wierni przyjaciele – powiedział i zaraz dodał: – Prawdziwie pierwsi, tak samo jak wasze rody były pierwsze przy moim protoplastcie. Nie zapomnę, kto tu dziś stał i kto tu przysięgał.

–Ale nikt nie przysięgał za Amefel, Wasza Królewska Mość – zauważył Cevulirn.

–W sprawie Amefel zrobimy, co można – mruknął Cefwyn pod nosem, po czym znacznie już głośniejszym głosem podjął: – Szlachetni lordowie, sam złożę przysięgę w imieniu Amefel, gdyż pozwala na to prawo Ylesuinu. Jej Miłość duchessa Orien utrzymuje tę prowincję pod moją kuratelą. Nade wszystko umocnimy przyczółki, ponieważ uważam, że Aseyneeddin w pierwszej kolejności pragnie zdobyć Amefel, nie chce szturmować północnej granicy, co byłoby niepotrzebną brawurą. Aseyneeddin, co potwierdzają moje najświeższe informacje, jest zdania, iż z łatwością zdoła oderwać Amefel i wytyczyć nową, lądową granicę z Ylesuinem, sąsiadującą bezpośrednio z Guelessarem. Sądzi, że Amefińczycy uznają w nim swego pana. Ja tak nie sądzę. Sądzi, że nie ośmielimy się uzbroić prowincji. I znów jestem odmiennego zdania. Wybudujemy fortyfikacje wzdłuż rzeki, by ochronić amefińskie wioski przed zagrożeniem ze strony Aseyneeddina. Jej Najczcigodniejsza Miłość, lady regentka, równocześnie ze mną pośle ludzi do tych wioszek, by namawiali do oporu wobec

Aseyneddina. Ci wysłannicy ruszają jeszcze dzisiaj. – Owa polityka prowadzenia wspólnej namowy stanowiła żenujący fakt, do jakich Ylesuin nie zwykł się przyznawać. Otworzyły się usta gotowych do protestów lordów, lecz król brnął dalej: – Wysłaliśmy już ludzi i zaopatrzenie do tych fortyfikacji. O tej porze lord Haurydd w towarzystwie bratanków lorda Sovraga wkroczył do Elwynoru, by porozumieć się z siłami lojalnymi wobec lady Ninevrise i zniszczyć zbuntowanego Aseyneddina, tak by wierni słudzy regentki mogli przekazać jej zwierzchność w Ilefianie.

Ostrożnie stąpał w labiryncie złośliwych zawiści: uważnie ominął wszystkie stwierdzenia, które by mogły przypisać Ylesuinowi zasługę przywrócenia regencji w Elwynorze, tak jakby potrafiło tego dokazać piętnastu ludzi posiadających jeno konie i miecze. Wśród baronów podnosiły się pomruki wyrażające dezaprobatę, a nawet oburzenie, lecz on je ignorował.

–Nad budową elwynimskich fortyfikacji w Emwy, przy której użyczymy pomocy, czuwać będzie lord Tasien. Proszę, abyście wyznaczyli kapitanów, moi ylesuińscy lordowie, mających dowodzić rozbudową umocnień wzdłuż rzeki, budowanych zgodnie z planami, które wam przekażę. – Część tych instrukcji uwzględniała dokonane w ostatniej chwili zniszczenie belkowali dwóch mostów na północ od Emwy. Ale tą informacją chciał się podzielić wyłącznie z Sovragiem. – Zamiast zmuszać was do beczynnego tutaj przebywania, zwalniam was niniejszym, byście mogli doglądać spraw w swoich własnych prowincjach, a powrócić przy następnej pełni księżyca, przygotowani na wojnę z Aseyneddinem. Jeśli agresja nastąpi przed tym terminem, powiadomię was, żebyście przybywali natychmiast, tak, więc utrzymujcie ludzi w gotowości, by mogli bezzwłocznie dotrzeć do nas forsownym marszem. Zostawcie tu wszystkie bagaże, wozy, zaprzęgi i wozaków. Dołączymy ich do naszej karawany wozów. Jeśli zawezwę was przed oznaczonym czasem, musicie dotrzeć tu jak najspieszniej. Nie wątpię, że Aseyneddin zareaguje gwałtownie na wieść o moich zaręczynach z regentką Elwynoru. Musimy być gotowi na obronę całej granicy. Nie sądzę, by zwlekał z natarciem do wiosny, ale też nie sądzę, że uderzy od razu: musi jeszcze podporządkować sobie lojalnych Elwynimów. Nie wystąpi przeciwko nam, dopóki nie pozbiera dość wojska po różnych zakątkach Elwynoru, by utrzymać dystrykty, które w przeciwnym razie byłyby lojalne regencji. Jeśli teraz wycofa żołnierzy z regionów, gdzie porządek zaprowadził terrorem, mógłby się spodziewać ciosu w plecy. Mam szczerą nadzieję, aczkolwiek zdaję sobie sprawę z jej ułudności, że dostatecznie silna obecność, zagrażająca temu strategicznemu mostowi, odciągnie jego wojska z wymykających mu się spod kontroli terenów Elwynoru i zachęci lojalnych Elwynimów do próby odzyskania władzy. Ale jeżeli Aseyneddin przekroczy tę granicę, co jest prawdopodobne, w jakimkolwiek punkcie, napotka armię gotową do walki w każdych warunkach pogodowych i spotka go pomsta naszej sojuszniczki, prawowitej regentki.

Milczenie. Nawet Sovrag, który wysłał razem z Hauryddem swoich bratanków, a któremu wobec zagrożenia na rzece pozostało wracać do domu jedynie przez las, nie został powiadomiony w całej rozciągłości o znaczeniu tej nocnej misji; i po raz pierwszy od bardzo dawna do wiadomości ogółu nie przedostał się ani strzęp tego, o co Cefwyn miał ich poprosić.

Baronowie byli zaskoczeni, przyjmowali słowa króla z powagą na twarzach i rosnącą świadomością, że faktycznie w grę wchodzi sojusz z elwynimską regentką przeciwko Aseyneddinowi i zbliża się totalna wojna: kosztowna, niebezpieczna, nieobiecująca zdobyczy w postaci elwynimskich miast i pól.

–Nie! – wtrącił nagle Tristen. – Proszę. Muszę zabrać głos, miłościwy panie.

–Lordzie Tristenie – odparł Cefwyn, czując, że cała sprawa wyślizguje mu się niebezpiecznie spod kontroli. Usiłował spojrzeć Tristenowi w oczy, daremnie. – Omawiamy tu ważne zagadnienia. Zaczekaj. Później cię wysłucham.

–Miłościwy panie, wiem, że...

–Zaczekaj, mówię! – Głos króla zabrzmiał oschle. Posunął się o krok i ostry ból szarpnął jego nogą. – Na osobności, Tristenie.

–Nie mogę! – nastawał Tristen. – Sam powiedziałaś, że powinienem cię powiadomić, jeśli się czegoś dowiem. I ja właśnie coś wiem, panie. – Tristen przemaszerował przez salę, sięgnął ręką ku środkowej z leżących na stole map i wskazał palcem coś, co z daleka wydało się Cefwynowi dystryktem Arys-Emwy. – To tu trzeba uderzyć. Tu się czai groźba. On nie pójdzie na wschód, nie pójdzie w stronę tych drugich dwóch mostów, ponieważ chce was zwabić na zachód i północ, do Marny. – Oblicze Tristena było blade i błyszczało od potu.

Cefwyn czuł, jak strach niczym pięść sięga do jego serca; strach, że Tristen rzeczywiście słyszy, zgodnie z opinią Emuina, rzeczy niesłyszalne dla zwyczajnych ludzi.

–On nadejdzie – ciągnął młodzieniec. – Nie będzie czekał do wiosny, ponieważ mu zagrażacie, i nie pozwoli, byście dalej wzrastali w siły.

On, powiedział Tristen. Wszyscy chyba myśleli, iż mówi o Aseyneddinie... Wszyscy, którzy nie wiedzieli lepiej. Ale Cefwyn wiedział i czuł wyraźnie, że sprawy jego królestwa, jego panowania, grożą upadkiem wskutek zamysłów czarodzieja.

–Plan już został opracowany – odezwał się Efanor. – Resztę należy powierzyć wojsku, lordzie Ynefel.

Szare oczy Tristena osnuła na moment mgła, odwrócił się i powiódł spojrzeniem po pozostałych lordach, mierząc każdego po kolei, jakby chciał się z nimi lepiej zaznajomić. Na koniec wzrok jego zatrzymał się na Efanorze, co dostrzegł Cefwyn, wzrok naznaczony swoistą otwartością, która czyniła go tak trudnym do wytrzymania.

–Jakże wam to wyjaśnić? – rzekł Tristen cicho, niemal szeptem. – Ja to po prostu widzę. O, tutaj, blisko lasu Marna, znajduje się małe miejsce. Niechaj Cię ten rozłoży się nad całym krajem, a zabraknie miejsc, gdzie moglibyście go powstrzymać. – Dłoń opasała

wolno rozległe granice Amefel. – Zbudujecie tę fortyfikację, a wtedy on ją ominie i skieruje się prosto tu, na równinę. Wtedy nie będzie już szansy, żeby mu przeszkodzić. Jeśli uderzy na wasze tyły, poniesiecie klęskę, jaką poniosła Ynefel. I wszyscy zginiecie.

–On naprawdę jest Sihhijczykiem – stwierdził w końcu Pelumer. – Nie mam co do tego złudzeń. Pozwólcie jednak, że zapytam: bez względu na przysięgi, które tu wszyscy składaliśmy, jak on jest do nas nastawiony?

Tristen rozejrzał się po zebranych.

–Znam wszystkie wasze kraje, oprócz Olmernu – oznajmił tym swoim przyciszonym, dziwnym głosem.

Zaiste, pomyślał Cefwyn z trwogą, tylko Olmern spośród wszystkich dystryktów Ylesuinu nie liczył sobie nawet stu lat. Większość była niegdyś udzielnymi królestwami.

–A mimo to nie wiem, jak jestem do któregokolwiek z was nastawiony. Dobrze znam herby, jakimi się pieczętujecie. Znam nazwy, lecz... to nie są wasze nazwy. Wiem tylko, że musicie go tu zatrzymać, tu, w Emwy.

–Rodzi się pytanie – zabrzmiał ostry głos lorda Sulriggana – przy kim się opowiadasz, mój panie? Przy tych tu Elwynimach? Czy też przy królu Ylesuinu?

–W Emwy moje nastawienie nie będzie miało większego znaczenia. Cefwyn twierdzi, że jestem Sihhijczykiem, lecz pamięcią sięgam tylko do Mauryła. Cefwyn twierdzi, że zamordowali mnie Marhanenowie, ale nic mi o tym nie wiadomo, bo jestem, jak widać, żywy. Z Cefwynem łączy mnie przyjaźń. Jeśli jesteście jego przyjaciółmi, jesteście także moimi. Jeśli to się wam nie podoba, i tak chcę darzyć was przyjaźnią. Ale i to nie ma znaczenia. Wyruszacie nad rzekę, tutaj. Mieszka tam wróg, którego nie uwzględnia żaden z waszych planów. On jest również moim wrogiem, a Aseyneeddin go słucha. Wiedział o tym lord regent. I chyba Elwynimi to wiedzą. Jestem pewien, że wie o tym Aseyneeddin.

Efanor nie wyrzekł ani słowa, tylko uczynił znak przeciwko złemu. Podobnie jak jego kapłan.

Tasien przerwał milczenie:

–On jest w Althalen. I tam zabija. Zabił naszego pana.

–Może to i półgłówek – mruknął Cevulirn – albo szaleniec... albo i jakowyś odmieniec, jeśli wierzyć pogłoskom... Im to się jednak dalej rozprzestrzenia, wzdłuż rubieży Marny, tym gorsze przybiera oblicze. My z Ivanoru wiemy, o czym on mówi. To samo Lanfarnesse. Lepiej już toczyć bój na małym niż na rozległym terenie, skoro mamy za zadanie powstrzymać coś tego rodzaju.

–Możemy posłać w ten rejon całą armię – zauważył Umanon – i nie napotkać wroga. A

wówczas popadniemy w podwójne tarapaty. Z pochopną wyprawą wiąże się pewne niebezpieczeństwo... podobnie jak z wysyłaniem wojsk w jedno miejsce. Zgadzam się z Jego Królewską Mością. Jeżeli skupimy tam wszystkie siły, Aseyneeddin niezwłocznie uderzy w nasz najsłabszy punkt.

–Jeszcze gorzej będzie się spóźnić, gdzie naprawdę się zjawia – oświadczył Sovrag. – Mam krewniaków na łodziach, baczą na rzekę przy mostach, od domu dzieli ich Marna, a jakoś nie widać, żeby Imoryjczykowi groziło niebezpieczeństwo. Ja nie ufam gdybaniom, gdy rzecz dotyczy mych ludzi, miłościwy panie. To cholerne zdziury, te całe gdybania. Jestem za tym, żeby skierować tam armię, i to diabelnie szybko. Licho niech bierze zbiory!

–Tobie łatwo przeklinać, by licho porywało zbiory – odparł Umanon. – Ci spośród nas, którzy czerpią dochody z plonów ziemi, nie podzielą twojej opinii, mój panie. Tak się składa, że byłbym zainteresowany tym, aby odłożyć na później zbrojną akcję; niemniej wszyscy martwimy się o granicę, jak też o to, co wyłania się z Marny. Jeśli jednak jednostki z Ivanoru zjadą tu w obłokach kurzu, wielkie larum wszczynając, a Amefińczycy znad rzeki powstaną zbrojnie, nieprzyjaciół może rozpląnąć się na czas jakiś, by uderzyć bogowie wiedzą gdzie i kiedy. Elwynimi przeprawili się z pewnością na naszą stronę rzeki, i to w złych zamiarach.

–Caswyddiana z Saissonnd – oznajmił lord Tasien – bać się już nie musimy. Nie żyje.

–Ale pozostają jeszcze elwynimscy dragoni, którzy bez wątplenia krążą na tym brzegu Lenuaimu. Większość mu jednak nie służy, a żaden nie walczy w polu. Oni znają rozmieszczenie twoich wojsk, miłościwy panie. Ale skoro Ynefel twierdzi, że atak nastąpi od północy, zaprawdę mu wierzę.

Nachmurzyły się miny. Lordowie przejawiali niepokój, myśleli o prywatnych interesach. Cefwyn rzucił ukradkowe spojrzenie na Emuina, który, niech go licho porwie, w ogóle się nie odzywał, ani wobec wygłoszonej nie w porę deklaracji Tristena, ani wobec tych katastroficznych domniemań.

–Przeciąganie sprawy przysporzy nam sporo kłopotów – powiedział Umanon. – Każdy powracający do swej wioski człowiek będzie rozsiewał plotki i niezadowolenie. Większy pożytek mógłby być z mniejszych, bardziej elastycznych oddziałów.

Prawdopodobnie była to dobra rada, lecz Cefwyna nadal gnębił strach, że Tristen wiedział, co mówi, i że Tristen – oraz stojący niby statua Emuin – posiadają źródła informacji, jakimi nie dysponuje nikt inny.

–To twoja własna rada, lordzie Ynefel – zapytał Efanor – czy też sztuczka jakiegoś czarodzieja? A co na to wszystko Emuin?

Cefwyn zmierzył go gniewnym wzrokiem; na moment, w obecności świadków, zabrakło mu słów.

–Wybacz, miłościwy panie – mówił dalej Efanor – ale jesteś moim bratem, więc po raz drugi w obecności tych lordów proszę: wyrzeknij się czarnych mocy. Mam poważne wątpliwości, czy są nastawione przyjaźnie do ciebie i do nas. Trzymaj się planu. Nie słuchaj tego.

–Nie! – zaproponowała Ninevrise, przełamując złowieszczą ciszę. – Ja jestem skłonna uwierzyć Tristenowi. Ja widziałam tę rzecz, lordowie Ylesuinu. Widziałam ją. Wszyscy przy mnie widzieli. Spytajcie lorda Cevulirna, co widział jego kapitan. Wszyscy byliśmy świadkami. Za murami skupiły się Cienie, drzewa łamały się, choć nikt ich nie dotykał, a ludzie umierali.

–Wasza Królewska Mość – odezwał się Idrys nad ramieniem Cefwyna. Król czuł, jak mocno wali mu serce. Przez chwilę nie potrafił dobyć głosu, potem odetchnął głębiej i powiedział spokojnie, opanowanym tonem:

–Doceniam twoją troskę, bracie, lecz Tristen nie nalega, byśmy używali magii. Ostrzega tylko, iż mogą w nas mierzyć nieprzyjazne moce.

Niejedno podejrzliwe spojrzenie pobiegło w stronę Tristena oraz Emuina, który z rękoma schowanymi w rękawach gapił się na posadzkę podwyższenia.

–Ty i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, Lanfarnesse – rzekł Cefwyn, nie mogąc oprzeć się wrażeń, iż cały sojusz, ba, całe królestwo chwieje się w posadach. – Cóż nam rzekniesz?

Pelumer zaczerpnął powietrza.

–Przybyłem tu, dotrzymując danego przyrzeczenia, Wasza Królewska Mość. Rody mój i Marhanenów pierwsze wystąpiły przeciwko Sihhijczykom. Wy zostaliście królami, my zaś najwierniejszymi poddanymi na samym obrzeżu Marny. Czarodziejów darzę wielkim szacunkiem. Zbyt blisko nich mieszkam i zbyt długo. Nie podoba mi się za bardzo posyłanie moich ludzi w zgiełk bitwy. Lanfarnesse wspomóż cię na pewno swymi łucznikami, najlepszymi strzelcami, wszelako przychyliam się do pomysłu z fortyfikacjami.

–Nie! – znów zabrał głos Tristen. – Nie wytrzymają. Ani jeden człowiek nie oстане przy życiu, panie. Trzeba będzie walczyć z materią i Cieniami. Dostateczna liczba żołnierzy może odeprzeć nawet mojego wroga, gdyż bez posłusznych mu ludzi nie ma on żadnej materii, a jeśli jego ludzie zostaną wystraszeni, i on się cofnie. A przynajmniej straci część swojej siły. Gdy jego ludzie zostaną zatrzymani, on też się zatrzyma, przynajmniej w świecie materialnym. Nie możecie jednak zamieniać żołnierzy na mury.

–Wcale a wcale mi się to nie podoba – oświadczył Sulrigan.

–To jakieś szaleństwo, Wasza Królewska Mość. Czyż można walczyć mieczem z bałwochwalczymi gustami? My prowadzimy przecież wojnę z Aseyneddinem. Powinniśmy wykorzeń wszelkie wpływy, bezbożne wpływy, powinniśmy oczyścić nasz kraj z

plugastwa, odrzucając rady tych, którzy to wstrętne plugastwo w naszym kraju szerzą.

–Warto rozpatrzyć radę Tristena – uciął ostro Cefwyn, ponieważ teraz, kiedy już została wygłoszona, musiał bacznie pilnować, by wojna z Elwynimami i wojna Tristena nie zlały się w jedno w wyobrażeniach lordów. – Proponuję, mój panie, byśmy to uczynili.

–Czary i Elwynimi – mruknął Sulriggeran. – Na mą duszę, miłościwy panie, my nie...

–Ostrzeżenie o czarach! A to są sprzymierzeńcy, którzy sprzeciwiają się naruszeniu naszych granic!

–To heretycy, miłościwy panie! Jakże nam przysięgać razem z heretykami?!

–Na błogosławionych bogów, w imieniu, których mnie namaszczone, mój panie, albo będziesz mnie słuchał, albo zostaniesz odprzysiężony. Dochowuj wierności sojusznikom tego królestwa, a jeśli nie, zaczekaj przy swoim kominku na wyniki obrad, by później się ze mną rozmówić. I ostrzegam, jeżeli nie stawisz się na wezwanie, gdy moja prowincja zostanie zaatakowana, jeżeli będę mógł liczyć jedynie na Gueleńczyków i wojska południa, jakie uda mi się zebrać, wówczas módl się za naszych wrogów zza rzeki, skoro, bowiem zwyciężę, zapukam do twych bram, mój panie, stawiając pytania, na które trzeba ci będzie udzielić odpowiedzi. Nie wątpię w szczerą intencję lorda Tristena, a jeśli jego rady stoją czasem w sprzeczności z moimi planami, i tak jestem gotów je rozpatrywać, podejmując odpowiednie środki ostrożności. Będę popierał Elwynimów, którzy opowiedzą się po naszej stronie; odrzucenie ich pomocy byłoby oznaką nierozwagi i głupoty, toteż nie myślę jej odrzucać! Olmern już teraz znalazł się w kłopotliwym położeniu, nie może się wycofać. Sądzę również, że i Ivanor przy nas pozostanie. Lord Cevulirn rozumie chyba moje argumenty.

–Racja – rzekł lord Sovrag – możesz na nas liczyć, Wasza Królewska Mość.

–I na kawalerię, miłościwy panie – dodał Cevulirn, ściskając wąskie wargi.

–Kawalerię oraz piechotę – oświadczył Umanon – skoro tylko zdołamy się zebrać, miłościwy panie.

–Stanę przy tobie – stwierdził Pelumer głucho. – Gdy tak wielu poniesie klęskę, i my nie ocalejemy. Ale boję się o nas, bardzo się boję, miłościwy panie.

Cefwyn trząsł się ze złości na Pelumera, ze złości na Sulriggerana i ze złości na Efanora, czego próbował nie okazywać, wspierając się o stół.

–Bracie?

–Słucham, Wasza Królewska Mość.

Na bogów, znów to denerwujące zachowanie, nacechowane dbałością o konwenanse.

–Obejmiesz w moim imieniu Henas’amef? Będziesz tu moją prawą ręką, moim wicekrólem, by służyć mi i zbierać wojska? Wysłuchasz rad co do kroków, jakie należy podjąć, jeżeli sprawy przyjmą niepożądany obrót? Kiedy tylko uznasz za stosowne powrócić do stolicy, uczyn tak, niemniej wolałbym mieć cię tutaj, koło siebie, na tyle blisko, byś mógł mnie wspomóc.

–Gdyby nadciągnęli lordowie z północy, miłościwy panie?

–Tak. W razie potrzeby... Lordowie Ylesuinu, ustalamy spotkanie w Arys-Emwy na Równinie Leweńskiej w czas pełnego księżyca. Lub prędzej, jeśli zajdzie potrzeba. Zanim odjedziecie, zostawcie mi rachunki za spodziewane koszty. W czasie przejazdu przez Amefel obierajcie miejsca, gdzie zapłoną ognie sygnałowe, ja uczynię podobnie w oddalonych wioskach. Niechaj czujki liczą sobie po pięć osób, dobrze wyposażcie i skryjcie pod płótnami. Lada dzień może załamać się pogoda, a będzie to dla nich długie, męczące strażowanie.

Pochyliły się głowy, Pelumera powoli, Sulriggana na samym końcu, i to nieznacznie.

Dłonie Cefwyna nie przestawały się trząść. O bogowie, bogowie, myślał, mniemając wprzód, że to wściekłość, potem jednak rozpoznając uczucie strachu. Dlaczegoż tak mi spieszo, zadawał sobie pytanie, by wypłoszyć tę groźbę z ukrycia? Mogłaby czaić się nieco dłużej, dając nam więcej czasu, czasu na zebranie północnych lordów. Efanor mógł mieć rację... Czasami mu się to zdarza.

Północni lordowie pokroju Sulriggana, a przynajmniej ludzie opowiadający się twardo za quinaltem, byli naturalnymi sprzymierzeńcami Sulriggana. Ten skończony głupiec będzie stawał okoniem w każdej sytuacji. Śmie mi się sprzeciwiać nawet w tej sali, w obliczu groźby wiszącej nad królestwem. Lepiej, żeby powinęła mu się noga, i to szybko.

–Bracie – rzekł Efanor – za twoim przyzwoleniem pošlę osobnego gońca po połowę naszych gueleńskich wojsk regularnych. Staną w odwodzie w Henas’amef, by w razie konieczności wspomóc Waszą Królewską Mość.

Cefwyn spojrzał na pochmurną twarz Efanora, domyślając się jego motywów, przypuszczając, że księżę przy pomocy takich ludzi jak Sulriggan w równym stopniu pragnie odgrodzić się od Amefiriczyków, co służyć królowi pomocą. Gdyby posłał po nich w którejś ciężkiej godzinie, Efanor mógłby mu ich nawet odmówić – rzecz wcale niewykuczona. Największym strachem napawała Cefwyna możliwość, że Efanor, zauważywszy obronne niedostatki Henas’amef i osaczony przez swego kapłana, poczuje się obowiązany do zawarcia pokoju z Aseynezzinem, porzucenia Ninevrise i oddania pogańskiego Amefel Elwynimom w zamian za pokój w czasie jego własnego panowania nad ortodoksyjnymi z gruntu prowincjami.

Były to jednak tylko spekulacje. Nie cenił aż tak nisko swego sprytnego braciszka, którego kiedyś kochał, kiedyś, gdy ich wrogiem był dziadek.

Efanor nie dał mu niczego – niczego – o czym wcześniej myślał, na co się zgodził i co zamierzał. Efanor nie zaproponował żadnego rozwiązania, jeśli nie liczyć pomysłu ze sprowadzeniem regularnych wojsk gueleńskich, które, pod wodzą swych oficerów, pozwoliłyby nowemu następcy tronu Ylesuinu rozporządzać quinaltyńskimi oddziałami.

–Wezwij ich – powiedział do Efanora. – Wezwij też przy okazji lorda Maudyna. – Był to, pominąwszy Idrysa, najbardziej doświadczony ylesuiński oficer. – Nie możemy obaj jednocześnie ryzykować życia. Wiem, że rzuciłbyś się na pomoc, gdybym cię potrzebował. Ale zabraniam ci tego. Zabraniam, słyszysz? Wyślesz Maudyna.

Coś jakby wyraz winy – a może gryzący wstyd? – odbiło się na twarzy Efanora, który pochylał głowę. Schodząc z podwyższenia, Cefwyn poklepał księcia po ramieniu i uściśnął mu rękę. Emuin zawsze twierdził, że jeśli się chce, by ktoś dał z siebie wszystko, należy tego po nim oczekiwać. I – własna, ponura myśl Cefwyna – czynić to w miarę publicznie.

Pokonał następnie, korzystając z okazji, resztę stopni – przy czym rozpaczliwie pragnął, by noga spisywała się jak należy, aby mógł przekonać lordów, że nic mu nie będzie. Nie bolała aż tak bardzo. Za dwa dni zdoła jeździć wierzchem, myślał, owinięty dostateczną ilością bandaży. Do najbliższej pełni księżyca rana powinna się zagoić.

Wychwalanym przez Efanora quinaltynom nie wiodło się tymczasem najlepiej w wyjednywaniu modlitwami spokoju na pograniczu. Czy rzecz była w przeznaczeniu, czy też w działaniach trudnej do określenia liczby czarodziejów; serce podchodziło Cefwynowi do gardła na myśl o ruszeniu w bój, dysponując między innymi bronią w postaci nader widomych czarów, znacznie bardziej widomych od obecności bogów na polu bitwy. A skoro sam Tristen przyznawał się do strachu, i Cefwyn zląkł się nie na żarty.

Zmienić plany? Zdać się na niewyuczone umiejętności Tristena? Na jego przypuszczenia, które przecież przypuszczeniami nie są?

W pewnym sensie, w zawierusze czarów będących prawdopodobnie pojęciem wykraczającym poza proste wyobrażenia Gueleńczyków, Tristen mógł okazać się ich najgorszym sojusznikiem lub najlepszą obroną. Ranę, której ból spędzał mu sen z powiek, odniósł wtedy, gdy odesłał Tristena. Dopóki nie odesłał Tristena, żył jego ojciec. Nękany ciągłym bólem, wyczerpany na ciele i umyśle, stopniowo zaczął traktować obecność Tristena z dziecinną wręcz przesądnością; obawiał się, iż równie wielką, jaką Efanor demonstrował odnośnie swoich bogów. Cefwyn chciał wiedzieć, gdzie przebywa Tristen. Zaczął czuć się bezpiecznie tylko wówczas, kiedy Tristen znajdował się w pobliżu. Tristen przyprowadził mu Elwynimów, co było czymś więcej niżli tylko sprzyjającą okolicznością. Tristen przyprowadził mu Ninevrise, krzyżując plany złej siły. Lekceważenie przestróg Tristena zawsze było zgubne w skutkach, więc najdobitniejszą z nich wziął teraz głęboko do

serca.

Wiedział, co Idrys musiał pomyśleć, wyczuł jego niepokój, gdy ni stąd, ni zowąd zaczął improwizować na temat uzgodnionych wcześniej szczegółowo planów, i to nie zażywszy odpowiednio długiego snu, co Idrys zapewne mu wypomni. Idrys będzie miał mu do powiedzenia wiele twardych słów w komentarzu do wydarzeń tego ranka, aczkolwiek odnowił przysięgę bez żadnych pytań czy obiekcji.

Tymczasem lordowie drapali się przypuszczalnie po głowie, usiłując odgadnąć, czy byli świadkami prawdziwej zmiany planów, czy też przemyślnie opracowanego manewru, mającego skierować ich obiekcje na odmienne tory, ku ugodzie z czarami i Elwynimami, nie do przyjęcia w żadnych innych okolicznościach.

Król ujął dłoń Ninevrise i opuściła salę prywatnym wyjściem, prowadzącym prosto do schodów, którymi regentka mogła dostać się do swego strzeżonego apartamentu, on zaś do własnych komnat, w poszukiwaniu spokoju i odpoczynku. Noga, jakkolwiek nie odmawiała mu posłuszeństwa, bolała nieznośnie wskutek długiego chodzenia i stania, tak, że ból zaczął przyćmiewać jego myśli. Zaledwie minął drzwi, kiedy paź, biegnąc, przyniósł mu laskę, cały zafrasowany – czyżby jego niedola była aż tak ewidentna? Względnie ukryty przed wścibskimi oczyma, podążał za Ninevrise i jej eskortą na górę, ku własnemu piętru i komnacie, gdzie mógłby do woli utykać, krzywić się i zamartwiać, czy rzeczywiście będzie w stanie dosiąść konia w wymaganym czasie. Nie można przecież posyłać armii na wojnę o takiej skali bez wodza. Król powinien siedzieć na koniu i dowodzić bitwą.

–Panie mój – rzekła Ninevrise, ociągając się na schodach przed wyjściem na swoje piętro. –
Panie mój?

Czuł chłodne powietrze na twarzy. Ninevrise wyglądała na zatroskaną, jakby nie był w stanie przemierzyć korytarza. Ninevrise, której plany, życie i dobro (podobnie jak wszystkich innych) od niego zależały.

–Wspinaczka – stwierdził, dysząc ciężko – to niełatwa sprawa.

–Wycofałeś się z tego, co wcześniej powiedziałaś. – Czyżby go oskarżała? Zadawała pytanie? Targały nim wątpliwości. Spróbował ująć sprawę w jak najkorzystniejszym świetle.

–Wierzę Tristenowi – powiedział, opierając się na lasce. – Moje wcześniejsze plany nie uległy całkowitej zmianie. Nadal zamierzamy zaprowadzić porządek w całym nadrzecznym pasie. Skoro jednak pewność każe Tristenowi nalegać, ja mu wierzę. On wie o pewnych rzeczach. – To zabrzmiało głupio. Nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć.

–Chyba rzeczywiście wie – zgodziła się Ninevrise, po czym dodała cichym, nieśmiałym głosem: – Poza tym naprawdę jest twoim przyjacielem. To widać. Teraz już w ciebie nie wątpię.

Powiedziawszy to, ścigana przez gwardzistów, pomknęła szparko, na górę.

Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem. Zauważył czekające strażę i Idrysa będącego świadkiem jego zamyślenia, zagryzł, zatem wargę i, zstąpiwszy ze schodów, ruszył ku swoim drzwiom.

I swojej jakże źle dobranej parze gwardzistów, o których zwolnieniu myślał wprowadzić już z samego rana, lecz nie chciał zawczasu zdradzać swoich intencji.

Teraz zatrzymał się i spojrzał na dwóch delikwentów, na Iwanima Eriona Nethę i młodzieńca z Olmernu, Denyna Kei's-sona.

–Dobrze mi służyliście – oświadczył niskim głosem. – Zapłaciliście już za popełnione wykroczenie. Wydałem waszym wodzom rozporządzenia, by szykowali się na wojnę. Ivanor zdążył na krótki odpoczynek do domu, Olmern natomiast będzie naprawiał łodzie. Jeśli pragniecie dołączyć do swoich lordów, proszę bardzo. Możecie także pozostać w mojej służbie i stanąć w polu pod sztandarem Smoczej Gwardii lub Księżęcej Gwardii, do wyboru. Przebaczam wam. Bezwarunkowo. Przyznaję także patent oficerski.

Wszedł do środka, zbliżył się do kominka... nie sam, nigdy do końca sam; słyszał za sobą kroki Idrysa.

Wszystko roztrwonilem, pomyślał. Wyzbyłem się całej siły, jaką tu zebrałem. W bogach nadzieja, że nie wymyślą żadnych wymówek i zdołam ich na powrót pozbierać... albo przestanę być królem, a to królestwo wkrótce upadnie.

Obejrzał się i zobaczył pełną dezaprobaty minę Idrysa.

–Cóż tam, Idrysie? Odjęło ci mowę? Czyżbym nareszcie zdołał cię zadziwić?

–Pozostawiając sobie jedynie garstkę Gueleńczyków, Olmerneńczyków i Amefińczyków do obrony? Nie znajduję nic, przed czym mógłbym cię jeszcze przestrzec, Wasza Królewska Mość. Ubiegłeś wszystkie moje przestrogi.

Rozzłościło go to stwierdzenie, przez chwilę milczał. Wnet jednak ochłonął i skinął głową.

–Skoro tak mówisz. Niemniej raz na jakiś czas postępuję tak, jak mi się podoba, Idrysie.

–Mam tego pełną świadomość.

–Wielkoduszność jest dobrą cechą króla, czyż nie, o ile ma on zaufanego człowieka, który czuwa nad odbiorcami tej wielkoduszności?

–Dałeś mi wiele powodów do czuwania, Wasza Królewska Mość, w nazbyt wielu miejscach, nad bezpieczeństwem zarówno twej osoby, jak i królestwa.

–Odtąd będę starał się poprawić. Chcesz mnie może opuścić? Masz prawo, bez uprzedzenia. Równie dobrze mógłbym spożytkować twoje talenty w stolicy.

–Panie mój. – Idrys potrząsnął głową, z wyrzutem widocznym w ciemnych oczach. – Opuścić cię w takich okolicznościach? Jakżebym mógł? Czyż nie składałem przysięgi?

–Jesteś mi potrzebny. Na wszystkich bogów, stanowisz moją drugą naturę, Idrysie. Co byś mi doradził, zakładając, że jestem za wojną i zrobiłem to, co zrobiłem... mając po temu istotne powody?

–Żebyś nad wyraz ostrożnie poczynał sobie z wrogami, panie, wewnętrznymi i zewnętrznymi. Jeśli już wdasz się w wojnę, nie zostawiaj za sobą żadnych niedociągnięć, które by cię w przyszłości nękały, bez względu na uroczę prośby twojej narzeczonej. Strzeż się kapłana twego brata, a w szczególności Orien Aswydd i jej siostry.

–Co z Sovragiera?

–Nie może teraz bezpiecznie przejść przez Marne. Będzie się trzymał rozkazów.

–Pelumer?

–Nigdy nie wplątał się w żadną awanturę. Do wszystkich się uśmiecha. Z nikim nie szuka zwady. W wojnach z Sihhijczykami jego ojciec siedział w przytulnym Lanfarnesse i walczył poprzez odmowę wsparcia sihhijskiego sprzymierzeńca. Pelumer ma słabą pamięć, panie.

–Zauważyłem.

–Można śmiało założyć, że Lanfarnesse jest równie lojalny, co skała twarda, a zatem, podobnie jak skała, woli nie ruszać się z miejsca. Dragoni z Lanfarnesse to już inna sprawa. Nie nadają się do walki w szczerym polu. Pelumer wnosi tu bardzo mądre obiekcje, gdybyś jednak poprosił go, by użyczył ci swych ludzi choćby na wyprawę do Marny, uzyskałbyś sporą ich liczbę. Lecz Pelumer powiada, iż tym razem pośle łuczników w zgiełk bitwy. Nie widzę powodu, by nie ufać jego słowu, Wasza Królewska Mość. Lanfarnescy żołnierze są świetnie przeszkoleni.

–Przyznajesz, że w naradzie uczestniczył jeden uczciwy człowiek? Przyznajesz, że Tristen mówi prawdę?

–Przynajmniej tak mu się zdaje – stwierdził Idrys takim tonem, jakby nie zauważał ironii. Choć było chyba inaczej. Cefwyn oddalił go machnięciem ręki i opadł ciężko na krzesło.

Nie pozostało mu nic prócz wojny, od czasu, kiedy przyjął rękę lady regentki.

Tegoż samego popołudnia, na dziedzińcu przed stajnią, elwynimscy lordowie wraz ze świtą zakładali koniom siodła, a u zachodnich drzwi czekały wierzchowce Cevulirna. Sovrag

wyruszył nad rzekę, aby, jak twierdził, obejrzeć łodzie. Odjechał w południe wraz z dwoma zaprzężonymi w woły wozami, wioząc olinowanie, smołę i sezonowane drewno. Lordowie z południa zwijali swe obozy z nie mniejszym pośpiechem niż ten, z jakim je rozkładali. Uwen powiedział, że jeśli nie chce się czekać w nieskończoność, zanim mistrz Peygan, zbrojmistrz, wywiąże się z rozmaitych zadań, jakie mu zlecił miłościwy pan, należy jak najwcześniej doń zawitać, gdyż przyzwoite wyekwipowanie młodego lorda na wojnę zabiera sporo czasu.

Uwen od lat znał Peygana, który razem z Cefwynem przybył ze stolicy, ażeby przejąć pogrążoną w ruinie zbrojownię – tak Uwen twierdził, gdy maszerowali przez dziedziniec.

–Wszędzie wałęsały się szczury, z tych, co to rynsztunek skórzany ogryzają. Stary zbrojmistrz pił na umór dniami i nocami, a w księgach taki chaos panował, że, na bogów, mocno byś się zadziwił.

–I co się z nim stało? – zapytał Tristen.

–Ech, w siną dal się wyprawił, gdyśmy przyjechali, i nikt go więcej nie oglądał. Myślę sobie, że staruszek uskarzać się nie chciał. Ten łotr, Heryn, paprał w księgach, jak mu – się podobało, stary zbrojmistrz zaś wiedział, że winien zdać sprawę królowi. Nic ino pił, bojąc się słać raport o faktycznym stanie rzeczy. Zbrojmistrze, w razie gdybyś nie wiedział, panie, to wszystko urzędnicy koronni, mistrz i uczenie jednako, przeto żadnego łotra ze zgrai Heryna tutaj nie uświadczysz.

–Oni należą do króla?

–Tak samo jak oręż tu składowany, panie, przynajmniej z nazwy. Zawiadywać tym wszystkim mają lordowie, a koronni zbrojmistrze księgi prowadzą. No i dzisiaj księgi są prowadzone. Nikt tu wrabiać mistrza Peygana nie zamierza. Gdy coś się połamie, nikt tego na listę nie wpisze.

Wspięli się na schody i dotarli do miejsca, które Tristena fascynowało i napawało lękiem już od pierwszego dnia, kiedy tu zawitał; do miejsca wypełnionego Słowami szmerzącymi o Wojnie, Stali i Krwi; do miejsca zawierającego z jednej strony rzędy poukładanego oręża, zwisającego ze ścian i z wieszaków, z drugiej – szeregi chorągwi oklapniętych w nieruchomym szyku.

Pragnął obrócić się w progu i wybiec z tego miejsca, nie przyjąwszy niczego, co mu proponowało. Nie znosił kolczugi, którą kazano mu wkładać, chociaż uratowała mu życie, nic dziwnego zatem, że nie chciał przywdziewać jeszcze cięższej bądź obszerniejszej zbroi. Nade wszystko lękał się jednak obecności metalu i panujących tutaj ciemności.

Uwen nigdy dotąd nie miał lepszego uzbrojenia od tego, jakie teraz mógł sobie wybrać ze składu, nie dziwił więc jego doskonały nastrój. Uwen świadczył się stosownym papierem, który Idrys osobiście wręczył Tristenowi, przydzielając go do Smoczej Gwardii.

Od czasu do czasu entuzjazm Uwena kazał młodzieńcowi spoglądać na sprawy innymi poniekąd oczyma: to wcale nie zbroja groziła, że go udusi, ale więzy skutków, jakie nań nakładała. Oręż bynajmniej nie napełniał Tristena strachem, ale umiejętności drzemiące w jego własnych rękach.

–Ciężka zbroja – mówił Uwen. – Płyty i kolczugi. Jeśli jakimś trafem ktoś cię prosto w ramię zdzieli, panie, jak to w bitewnym gąszczu bywa często, albo, gdy cię grot lancy ukłuje, o wiele lepiej, żebyś na sobie miał płytę. Król by teraz nie kuśtykał – dodał. – gdyby w tej bitwie zasłonił uda solidnymi nabiodrkami, zamiast wkładać te przeklęte bryczesy do lekkiej jazdy.

Tristen wsłuchiwał się w ów swoisty język. Objawiały mu się nazwy broni i części uzbrojenia; Uwen miał rację, mimo że nie wyglądał na człowieka mającego w zwyczaju pędzić konno na złamanie karku.

–Ale powiedz – zapytał Tristen, kiedy czekali na służących w przyciemnionej, pełnej ech sali – czy jesteś teraz szczęśliwszy, Uwenie?

Parsknął śmiechem.

–Panie, jam jest rodowity Gueleńczyk. Zawsześmy szli w środku linii, czy to wśród jazdy ciężkozbrojnej, czy też ciężkiej piechoty. Dopiero gdym posiwiiał, strzec mi kazali młodych lordów, co to w mrok czmychają w samej kolczej koszulinie i na skradzionym koniu.

Tristen sądził, że Uwen nie powinien z tego żartować. Zdawał sobie sprawę z pochopności owego postępku, mając nadzieję, że Uwen nie wyruszy w ślad za nim, jeśli przyjdzie mu powtórzyć tamten wyczyn – taką właśnie odpowiedzialnością obarczył go Cefwyn, przydzielając mu Uwena.

I Peygan podszedł do nich, przywitał się, zerknął na trzymany przez Uwena papier i wręczył go chłopakowi, a ten z kolei zaniósł go siedzącemu u wejścia urzędnikowi. Mistrz Peygan obejrzał Tristena od stóp do głów, by na koniec wymruczeć:

–Rosłyś, panie.

Potem, za pomocą wysłużonego sznura, zdjął szybkimi ruchami miarę kończyn i szerokość barków.

–Z tego, co tu mam, niewiele się nada – stwierdził zbrójmistrz. – Mówię o rynsztunku, do którego mam zaufanie. Jego Królewska Mość wydał precyzyjne rozkazy i trzeba mi przyznać, nie będzie to złoto ni pozłota, lordzie strażniku, nic pięknego ani nawet z jednego kompletu. Tego nie mogę zagwarantować. Ręczę atoli za jakość i dopasowanie.

–Nie mam nic przeciwko – odparł Tristen. – Proszę się tylko postarać, panie... aby była lekka. Chciałbym się upewnić. – Rzadko sprzeciwiał się cudzym decyzjom. Tym razem

jednak czuł strach pomimo słów otuchy Uwena.

–Zbroja pojedynkowa, lordzie Ynefel.

–Tak, panie. Jeśli wola. I cokolwiek Uwen zechce. Chcę, żeby był bezpieczny.

Peygan potarł podbródek i podrapał się po rozczochranych włosach – były już mocno przyprószone siwizną, podobnie jak włosy Uwena. Tristen stał, patrząc, gdy Peygan obmierał jego towarzysza.

–Hm – mruknął zbrojmistrz, po czym odszedł.

Tristen usiadł więc i czekał wraz z Uwenem niespełna dwie godziny; w tym czasie Peygan, najwidoczniej załatwiając kilka zamówień naraz, krzątał się wkoło i zaznaczał ten i ów rzemień spośród tych przyniesionych mu przez asystenta, a człowiek będący wedle słów Uwena synem Peygana siedział na ławie, obstukując szeregiem osobliwych przyrządów i młotków wybrane przez zbrojmistrza akcesoria.

Ostatecznie Peygan wrócił z naręczem rynsztunku i zrzucił wszystko na pobliską ławkę.

–Trochę to stare – rzekł, wskazując na doskonały okaz brygantyny. – Ale wciąż w dobrym stanie, chociaż powiadają... – Zawahał się. – Powiadają, że to sihijska robota, lordzie strażniku.

Tristen nie poczuł swędzenia w palcach, gdy jej dotykał. Była czarna, nosiła ślady znoszenia, różniła się od tych, jakich używali Gueleńczycy. Niemniej przypadła mu do gustu.

–Panie – bąknął Uwen z powątpiewaniem – to piękny pancerzyk, lecz wiele się zmieniło ostatnimi czasy. Ten jest już przestarzały.

–Podobnie jak ja – stwierdził Tristen. – Czyż nie tak mówią?

Nie żeby od razu polubił broń, lecz tylko ten element rynsztunku dawał mu niejakiemu poczucie bezpieczeństwa.

–Nierzęsto – zauważył mistrz Peygan – spotyka się dzisiaj taki jedwab. Ponoć sprowadzano go z za morza. Prawdę powiedziawszy, co poniektórzy boją się tej brygantyny.

Tristen spojrział na nią w szarej przestrzeni, ale była tam zupełnie niewidoczna.

–Nie ma w niej niczego złego – powiedział. – Choć takie rzeczy bywają zmienne. – Była miła w dotyku. Czego nie dało się powiedzieć o jego kolczudze. – Chętnie ją przymierzę. – Uwen spoglądał markotnie. – Wiem, co robię, Uwenie.

Uwen przekrzywił głowę i pokiwał smętnie.

–Niechże więc będzie, panie.

Paski i rzemienie przetykanej jedwabiem brygantyny były sfatygowane i należało je podreperować, Uwen natomiast nadal nie dostał swego rynsztunku, wobec czego czekali. W zbrojowni niosły się echa wchodzących i wychodzących pomocników Peygana, którzy teraz, w popołudniowej wrzawie i krzątaninie, wybierali dla Gueleńczyków, amefińskich sierżantów i adiutantów żądany przez nich ekwipunek oraz zliczali namioty, wozy i tym podobne rzeczy pozostawiane przez wyjeżdżających lordów.

Przy stole obok wejścia urzędnicy mistrza Peygana prowadzili skrupulatny rejestr wnoszonych i wnoszonych przedmiotów. Przed drzwiami zatrzymały się wozy i do środka wtaszczo naręcza pik, długie strzały w pęczkach po dwadzieścia sztuk, a ponadto puklerze, popręgi, upręże, proporce i inne, dziwniejsze części ekwipunków. Wszystko to przybywało z magazynu zbrojowni i zaplecza magazynowego zbrojowni; całość przepływała obok urzędnika, który w pocie czoła i ze zdumiewającą wprawą dokonywał wpisów w rozmaitych, poukładanych na stole kodeksach, podczas gdy stopy z zamówieniami piętrzyły się z drugiej strony, a zastępca głównego urzędnika popędzał do biegu dziesiątki krzepkich chłopaków wraz z terminującymi urzędnikami, którzy odczytywali zamówienia.

Zapanował rwetes, gdyż paziowie lordów domagali się, by bezzwłocznie pochowano ich ekwipunek wobec gromadzących się, zwiastujących deszcz chmur, na co urzędnik Peygana informował rzeczonych paziów, że nic nie wejdzie ani nie wyjdzie ze składu bez dokładnego wpisu dokonywanego na pisemną prośbę, trafiającą na wierzch stosu.

Tymczasem amefińskie kompanie przygotowywały się do musztry, przy czym ktoś się skarżył, że jedna ze skrzyń z puklerzami została wpisana i zabrana razem z czyimś ekwipunkiem.

Dźwigając dziwnie wyglądające płyty, podszedł do nich młodzieniec z urzędniczą miną, by oznajmić, że muszą wybrać rzędy dla dwóch koni, oraz zapytać, czy Tristen aprobeje to, co on znalazł, i czy wobec tego może dołączyć upręże do reszty wyposażenia.

Tristen nie miał zielonego pojęcia. Nigdy nie stykał się z końską zbroją, lecz Uwen orzekł, że te są bardzo dobre, rzecz oczywista, aczkolwiek zachodzi pomyłka co do liczby koni, chyba, że w grę wchodzi jeden zapasowy.

Potem nadbiegł kolejny chłopiec z tabliczką i powiedział, że rysuje herb dla człowieka malującego tarczę, zapytując, czy godło zostało właściwie rozmieszczone.

Na to Tristen potrafił już odpowiedzieć – wyjaśnił, że Gwiazda powinna być odrobinę większa, a Wieża nad nią nieco mniejsza. Chłopiec pognał co żywo, aby poinformować malarza. Uwen przypuszczał, że wyszyją mu kropierz dla konia; podobno koń podarowany przez Cefwyna jeszcze nie przybył na zamek, a sztandar mający poprzedzać Tristena był tym samym, który swego czasu rozwinięto w sali zamkowej.

Panowało nieopisane wręcz poruszenie, tłum przewalał się częstokroć wokół siedzących Tristena i Uwena, toteż młodzieniec wpadł na pomysł, żeby powiadomić urzędników, dokąd idzie, po czym udał się do sąsiadującej ze zbrojownią kuźni. Wyszli na chłodne powietrze, by po chwili ponownie zanurzyć się w gorącu i dymie.

Tristen lubił patrzeć na pracę kowali: w zachwyty wprawiały go krzesane iskry, a przede wszystkim widok metalu, rozgrzanego, niemalże przezroczystego. Kręcił się po kuźni, póki miał wymówkę, lecz kowale i kołodzieje byli nie mniej zapracowani od zbrojmistrza, jako że kilku lordów, niezależnie od siebie, jak się wydawało, opóźniało wcześniej naprawy rozmaitych środków transportu, sądząc, iż będą one trwały aż do ich przyjazdu do domu.

Teraz pozostawiali jednak swe wozy pod opieką wozaków, a Korona nie zamierzała ich przyjąć w złym stanie, wobec czego wozacy byli sfrustrowani, podejrzewając, że ktoś podłożył im świnię.

Uszy drażnił zadziwiający wprost zlepek hałasów, nie tylko brzęk młotów, ale klótnie i pokrzykiwania. Przedmioty parzyły w ręce, wiatr zawiewał i wciskał do oczu kłęby dymu, powrócili więc do względnie spokojnej zbrojowni, gdzie znów usiedli na ławie pod ścianą, by nie tamować strumienia wbiegających i wybiegających interesantów.

Nastali się, nasiedzieli i naczekali ponad miarę. Zbliżała się pora kolacji, którą Tristen zamierzał spożyć znacznie wcześniej. Chciał już poprosić Uwena o przyniesienie jakiejś książki, lecz Uwen się nudził, gdy on czytał, toteż z westchnieniem zmienił zdanie.

–Niejedno dziwo jużem w życiu widział – mówił ktoś nieopodal – alem nigdy nie pomyślał, że Elwynimi przymierze z nami zawrą.

–Zimą. – Tristen znał ten głos. Lord Pelumer prawdopodobnie zjawił się w czasie ich nieobecności. Pelumer rozmawiał z kimś poza wieszakiem z rynsztunkami. – Nie ukrywam, że wcale mi się to nie podoba.

–Czarne siły, oto z czym mamy do czynienia... Cmentarny pył i pajęczyny za sprzymierzeńca. Osobiście wolałbym człowieka, w którego żyłach płynie bardziej naturalna krew. Pierwej duchy, potem ta elwynimska wybranka! Król zważa na twe słowa. Odwiedźże go od tego szaleństwa.

–Ech, ze smutkiem muszę stwierdzić, że nie na moje słowa król dzisiaj zważa.

Uwen poderwał się, by wstać. Tristen powstrzymał go dotknięciem w ramię. Teraz już wiedział, że ów pierwszy głos należał do Sulriggana.

–Skoro wchodzimy w konszachty ze starcem z wieży, martwym przecie, czegoż się tedy spodziewać? – pytał Sulriggan. – Ten Tristen jest Sihhijczykiem. W całym Elwynorze płynie sihhijaska krew. Bogowie wiedzą, czym to się zakończy. Zwróciłeś uwagę na oczy narzeczonej, Lanfarnesse? Są szare. Szare, jako tu stoję.

–Nie podoba mi się, przyznać muszę, obrót, jaki przybierają sprawy – rzekł Pelumer. – Byliśmy sąsiadami Althalen, my w Lanfarnesse. Las Marna pokrywa sporą połąć, przez wschód już zapomnianą. Ale my pamiętamy. Są tam rzeczy, których obłaskawić się nie da, choćby same tego chciały. Zakładam, iż jedną z nich jest nowy lord Ynefel.

To zapiekło. Tristen nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. Najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy z jego obecności. Najwidoczniej powiedzieli coś, czego nigdy nie powiedzieliby mu prosto w twarz i co by ich wprawiło w konsternację, gdyby się dowiedzieli, że ich podsłuchał.

Wówczas ktoś, chyba jeden z posługaczy, zauważył szeptem:

–On tu jest, panowie. Uważajcie, co mówicie.

–Tutaj? – Wyobraził sobie, jak się rozglądają, toteż, nie widząc innego wyjścia, postanowił dać im do zrozumienia, że rzeczywiście ich słyszy. Powstał z ławki stojącej wzdłuż wieszaków z toporami i ukazał im się, jak mniemał, z łagodnym, o ile nie przyjacielskim wyrazem twarzy.

–Witam panów – powiedział.

–Ludzi szpiegujesz, ha? – zapytał Pelumer ze wzgardą.

–Bynajmniej nie rozmyślnie, panie.

–Bez ogródek ci rzeknę: plan, jaki przedstawiłeś, mój panie, wcale mi się nie podoba. Ujmę to w łagodnych słowach. Nie podoba mi się założenie, że stanie się to w Emwy, i nie uśmiecha mi się rozpoczęcie kampanii o tej porze roku.

–Księżyc będzie na nowiu, gdy to się stanie, panie. Mogę się mylić, ale sądzę, że to się zdarzy właśnie wtedy.

–On sądzi, że to się zdarzy właśnie wtedy – wtrącił Sulrigger. – Wybierasz się na łowy? Uprawiasz hazard? Oddajesz się jakimkolwiek pospolitym przyjemnościom, lordzie pajęczej wieży? A może cały twój czas pochłaniają gonitwy po gościńcach i zmyślanie tajemniczych przepowiedni?

–Czytam, panie. Karmię gołębie. I tym podobne rzeczy. – Wiedział, że się z nim drocą. Nie widział powodu, by polować, uprawiać hazard lub zachowywać się podobnie jak Sulrigger, a wyglądało na to, iż tylko takie zachowanie Sulriggera aprobuje.

Z jakiejś przyczyny Sulrigger nie podłapał jednak słów Tristena, by się zeń dalej naigrawać. Na poczerwieniałym nagle obliczu odmalował się gniew. Dumnym krokiem wyszedł raptownie ze zbrojowni.

–Należało mu się, Ynefel – orzekł Pelumer. – Przyjmij moje przeprosiny, choćby za niedyskrecję. Co do założeń strategii, jestem pewien, możemy się nie zgadzać, a zarazem nie gniewać.

–Ja się nie gniewam, panie. Przykro mi, że on się gniewa.

–Człowiek to nieprzejednany, lordzie Ynefel. Słuchałem go, ponieważ, przez wzgląd na Jego Królewską Mość, chciałem się dowiedzieć, do czego on zmierza. Jeśli chcesz, to mi nie wierz, masz przecie swój rozum.

–Panie, nie widzę powodu, by wątpić w twoje słowa. Starzec zagryzł wargę i począł żuć białe wąsiska, wyglądając na zafrasowanego, pogrążonego w rozmyślaniach.

–No, cóż – odezwał się na koniec. – Gruby błąd by popełnił, atakując cię z bronią. Uważał cię najwyraźniej za łatwiejszą zdobycz. Chyba chciał, byś dał się nakłonić wybiegiem do pojedynku, co pod królewskim dachem jest niezgodne z prawem, o ile sobie przypominasz. Wygrałeś tę batalię, panie. Gratuluję.

Po tych słowach Pelumer wyszedł, zatrzymawszy w progu urzędnika, by zabrać jakiś papier.

–Nie pojmuje tego – stwierdził Tristen.

–Lord Pelumer chyba miał na myśli, żeś przepłoszył Jego Miłość – odpowiedział Uwen. – Atoli Sulrigger nie jest skończonym głupcem. Bitwy w Emwy nie widział. Przybył, gdy już po wszystkim było, i skumał się zaraz z księciem Efanorem. Nie oglądał cię w boju, panie. Ale coś mi się zdaje, że wie już, w jak wielkich mógł znaleźć się opałach.

Tristen chciałby nareszcie pojąć. Fakt, że ów człowiek nie darzył go przyjaźnią, nie mógł dziwić. Ale czemu pragnął z nim walczyć? Jaki cel mu przyświecał? Sulrigger usiłował uciec się do wybiegu i zerwać łączące go z Cefwynem więzy przyjaźni – to było zrozumiałe.

Nie wiedział jednak, czy należy ostrzec o tym króla. Wydawało się, że skomplikowane Reguły rządzą zachowaniem ludzi, a także sposobem, w jaki oni respektują władzę lub ją naruszają, sami ustalając dla siebie wzorce postępowania.

Nie rozumiał tych Reguł. Zauważał jedynie ich obecność. Dziwna złośliwość Sulriggera wprowadziła go w osłupienie. Wydawało się, że wspólna taktyka łączy zło cechujące Hasufina ze złem właściwym temu człowiekowi. Tristena ogarniał niepokój na myśl, że Sulrigger stoi najbliżej Efanora, jeśli nie liczyć wiadomego kapłana.

Efanor zapewne nie lubił Tristena. Sulrigger, przynajmniej on, może za wiedzą księcia, może bez jego wiedzy, usiłował po cichu przeciągnąć Pelumera na drugą stronę.

Nie miał pewności, gdzie w tych okolicznościach doszukiwać się Słuszności. Czy Słusznym

będzie powiadamianie Emuina, który z pewnością powiadomi Cefwyna, co wywoła spór z Efanorem, przysparzając w rezultacie trosk i tak już dotkniętemu bólem królowi?

Wydawało mu się, że sam sobie poradzi z tym problemem. Przecież Sulrigan salwował się ucieczką.

A zatem postanowił nie wspominać o tym Cefwynowi w czasie spotkania. Cefwyn nie gniewał się na niego, co bardzo Tristena ucieszyło. Po to właściwie odwiedził komnatę Cefwyna, by przeprosić za wywołane podczas narady zamieszanie, lecz Cefwyn ujął tylko jego dłoń i zapewnił, że wszystko w porządku i Tristen słusznie przemawiał w takiej sytuacji.

Zaprosił młodzieńca na filiżankę herbaty i od razu zapytał o zbroję; Tristen oświadczył, iż bardzo mu się podoba.

Cefwyn powiadomił go następnie, iż rozkazał Hamanowi dobrać konie również dla Uwena, ponieważ, jak wyjaśnił, honor króla nie zezwala, by dowódca gwardii przybocznej lorda Ylesuinu wybierał sobie wierzchowce na chybił trafił ze stajni. Darował Uwenowi dwójkę koni i zapewniał im wikt, jak widniało w pisemnym rozporządzeniu, dopóki Ynefel będzie trzymał swe wierzchowce w stajniach Henas'amef.

Był to wielce szczodry dar, co nie ulegało żadnej wątpliwości. Był to kolejny z serii darów, jakimi Cefwyn obsypywał go w następstwie swoich zaręczyn z regentką, i Tristen nie wiedział, co to naprawdę oznacza.

–Gdybym miał po temu środki – powiedział, zmartwiony i zakłopotany – sam bym się o niego zatroszczył. Ale nie mogę i jestem bardzo wdzięczny.

–Gdybym miał ochotę obciążać cię administrowaniem prowincją – odparł Cefwyn – przysięgam, że bym przekazał ci Amefel, a Orien Aswydd kazał pakować manele. Rzecz jednak w tym, iż uważam to za nader skromną zapłatę za całą prowincję Ylesuinu. Konie już przybyły, jak powiadamia mnie Haman. Będziesz oczywiście potrzebował stajennych, chorążych, ich koni i wikt dla nich. No i wikt dla twojej służby.

Tristenowi z trudem mieściło się to w głowie; nie rozumiał, czym podyktowane jest takie a nie inne zachowanie Cefwyna. Być może król usiłował się go pozbyć, co nie było niegrzeczne, a może nawet działało się w samą porę. Mimo wszystko nie mógł oprzeć się wrażeniu, że podarki i hojność poprzedzają złe wieści i zwiastują rozłąkę.

–Nie jestem lordem w żadnym znaczeniu tego słowa. Wystarczy mi sam Uwen.

–No tak, jesteś dalece bardziej pożyteczny i dalece mniej kosztowny w utrzymaniu od, dajmy na to, Amefela. A cóż myślisz o Orien? Ma dworskie maniery? Czy wprost przeciwnie?

–Idrys ci powiedział.

–Istotnie, mój drogi przyjacielu, Idrys mi powiedział. Pragnę tylko wiedzieć, czy chcesz wnieść przeciwko niej jakąś skargę.

–Wiem, że nie powinienem tam chodzić. Gdy się spostrzegłem, już tam byłem. Ale gwardziści okazali się ode mnie mądrzejsi: powiadomili Idrysa i on po mnie przyszedł.

–Idrys twierdzi, żeś sam zdołał uciec. Ja okazałem znacznie mniej rozsądku.

Był to żart, lecz Cefwyn wcale się nie śmiał, wobec czego i Tristen zachował powagę. Wątpił, czy mógłby cokolwiek zakomunikować Cefwynowi, o czym ten już by nie wiedział, aczkolwiek nie sądził, że zdoła tak łatwo wybaczyć Orien, jak wybaczył strażnikom przy bramie, Idrysowi i tym wszystkim, którzy wyrządzili mu taką czy inną krzywdę. Postępek Orien wydawał się bardziej przemyślany, podyktowany intrygą, której do końca nie rozumiał ani nie chciał zrozumieć. Niemniej rzekł:

–Nie mam pojęcia, czego chciała.

Cefwyn spojrzał nań dziwnym wzrokiem.

–Ja natomiast sądzę, że wiem – powiedział, jakby Tristen wykazał się pewną bezmyślnością, nawet jak na niego. Jednakże poza tą ewidentną konkluzją uważał, że za tamtym zajściem kryło się coś o wiele bardziej znamiennego niż spisek mający zwabić go do... czegoś, co uzmysławiał sobie nader niewyraźnie. Nie zamierzał wszakże wszczynać tego wieczoru dyskusji, gdyż Cefwyn wyglądał na wycieńczonego, dręczonego bólem. – Już ja pogadam z Orien – obiecał Tristenowi. – Świadom jestem jej irytacji.

–Powinieneś odpocząć – zauważył Tristen.

–Niczego bardziej nie pragnę – odrzekł Cefwyn, deklarując zamiar udania się do łóżka, jak przystało na przykładnego narzeczonego, zatem Tristen przeprosił króla i przemierzył salę w stronę własnej komnaty.

Od ubiegłej nocy ból trapiący Cefwyna zdawał się wciąż przybierać na sile. Tristen przyglądał się temu z ciężkim sercem, cień padał na całe przygotowania. Własne doświadczenie nie pozwalało mu wyobrazić sobie, jak ostry ból wiąże się z tak głęboką raną, lecz oblicze Cefwyna wyraźnie zbladło i lśniło od potu. Tristen gorąco pragnął posiadać Maurylową wprawę w uśmierzaniu bólu i leczeniu ran. Ale jej nie posiadał.

Troska o Cefwyna wprawiła go w na tyle posępny nastrój, że zrezygnowałby z kolacji, jednakże Uwen tak się rozradował na wieść o koniach i osobistym wglądzie króla w jego sprawy, że niepodobna było pozostawać markotnym.

Tak więc spożył kolację w salonie wraz z Uwenem i czterema służącymi, którzy, odkąd powrócił z Althalen, lubili posiedzieć przy stole i poplotkować. Tego wieczoru Tristen dowiedział się na przykład, że osobisty kucharz lorda Sulriggana znacznie przesolił jedno z

dań na uczcie zaręczynowej i Sulrigan zwał winę na wiedźmy, lecz służący przychyłali się do opinii, że sprawców należałoby poszukać wśród kuchennych posługaczy.

Tristen przyłapał się na śmiechu – znacznie poprawił mu się humor. Czuł niewielkie wyrzuty sumienia, ponieważ było to złe zachowanie, acz mało szkodliwe. Uwen i służący prawdopodobnie wymienili się już historyjkami, no i zapowiadało się, że niepowodzenie lorda Sulriganana w zbrojowni także obiegnie zamek, znajdując szczególny poklask w kuchniach.

Wśród czeladzi krążyły też opinie na temat Ninevrise: z wielkim zainteresowaniem obserwowano kobietę mającą zostać, jeśli już nie królową, to kimś o bardzo zbliżonej pozycji.

Ogólnie przyznawano, aczkolwiek z dużą ostrożnością, że jest to nad wyraz uprzejma i łaskawa dama, która, co więcej, wykazała się taktem, nie utyskując na wełniany koc, chociaż jej skóra nie znosiła niczego prócz wełny jagnięcej z pierwszej strzyży: była przecież księżniczką, jak dowodziła czeladź, więc słudzy musieli posłać po dodatkowe płótna, aby oprawić wszystkie koce, dopóki nie znajdą się odpowiednie.

Tristen miał prawo czuć się skonsternowany faktem, że taka informacja stała się źródłem pospolitych plotek, Uwen przypomniał mu jednak o tym, o czym mówił od samego początku: reputacja lorda u służby jest nie mniej ważna od tej, jaką cieszy się on wśród równych sobie, ponieważ ta pierwsza natychmiast staje się udziałem tych drugich. A zatem początki Ninevrise należały do udanych, przynajmniej, jeśli chodzi o służbę doceniającą jej należyte zachowanie i przychylność wobec dobrych intencji personelu.

Gdy kończyli wieczerzę, rozległ się pomruk gromu. Tego dnia chmury przetoczyły się po niebie, roniąc jeno kilka kropel deszczu, by zrzucić swój balast gdzieś nad Guelessarem. Farmerzy z południa i zachodu mieli niewątpliwie powody do zadowolenia, podobnie jak lordowie na czele swych orszaków, którzy, pozostawiwszy namioty razem z resztą bagaży, rozjechali się już do domów.

Tristen ze swej strony uznał, że noc ta doskonale nadaje się do posiedzenia przy kominku, więc otoczywszy się już wszelkimi wygodami, wciąż myśląc o niedoli Cefwyna, postanowił spróbować nieco magii; choć próba łąco mogła spalić na panewce, chciał sprawdzić, czy osiągnie jakikolwiek rezultat. Dobrze samopoczucie Cefwyna było czymś, czego bardzo chciał – a to mogło pomóc. Mauryl przecież powiedział, że najłatwiej jest uczynić rzeczy takimi, jakimi chcą być.

Pozapalał więc w swoim pokoju świece – zawsze myślał o komnacie sypialnej jako o swoim pokoju, w odróżnieniu od przyległego pomieszczenia, gdzie krzątała się czeladź i gdzie przesiadywał Uwen, gawędząc z nimi albo z będącymi po służbie gwardzistami. Zwykle łączące pokoje drzwi stały otworem, lecz Tristen zamknął je na tę noc, tłumacząc, iż uda się wcześniej na spoczynek i sam o siebie zadba, tak, że służący i Uwen mogą sobie grać w

kości lub robić, cokolwiek im się żywnie spodoba.

Ściągnął z półki Książkę i usiadł, żeby poczytać w blasku paleniska. Stronica nachylała się ku gorącej poświacie i po chwili Tristen, jak to niegdyś zwykł czynić Mauryl, patrzył w płomienie, wymyślając obrazki na ogniu. Dostrzegał przeważnie twarze, które raptem zaczęły przypominać twarze z Ynefel, choć nie miał najmniejszej ochoty ich przywoływać.

Zamiast tego usiłował myśleć o Cefwynie i jego ranie, mającej się zagoić. Maurylowi nie sprawiało to najmniejszego wysiłku, a on pragnął jedynie, na początek, by Cefwyn mógł odpocząć bez bólu, a później bez bólu chodzić.

Dmuchał wiatr, zaszumiał w kominie i rozkołysał płomienie. Tristen nabrał podejrzeń.

Wtedy usłyszał grzechotanie przy okiennej zasuwce.

Nabrał jeszcze większych podejrzeń.

Zamknął Książkę. Rozległo się pukanie w szybę, jakiego nigdy nie słyszał; zrazu nie wyobrażał sobie, co może ono oznaczać pośrodku nocy, na górnym piętrze, aż wreszcie – chociaż nie myślał o niej już od dobrych kilku nocy – przypomniał sobie Sowę.

Z Książką w ręce powstał znad paleniska, po czym zbliżył się do okna. Pukanie ciągle nie cichło, zachowywało dziwny rytm. W blasku dochodzącym z wnętrza komnaty dojrzał gołębia na wąskim, spadzistym gzymsie pod oknem.

Zostawił tam wcześniej chleb, lecz o tej porze gołębie nigdy nie szukały pożywienia.

Trudno mu było uznać to za naturalne zachowanie, tym bardziej, że chleb zniknął z parapetu, co zauważył w tej samej strudze światła.

Puk. Ptak dziobnął szybę, być może zwabiony blaskiem. Puk, puk. Stracił równowagę na gzymsie i zatrzepotał skrzydłami, aby ją odzyskać.

Puk. Puk, puk.

Ptak się niecierpliwił. Puk, puk, puk. Puk, puk. Chciał się dostać do środka. Tristen znał tego ptaka. Kto wie, czy z jakiegoś nieznanego powodu nie postanowił przyjąć swej porcji chleba bezpośrednio z jego ręki? Na pewno chciał coś zjeść. Tristen musiałby otworzyć szybę, wszelako dręczyła go niepewność.

Stuknął w szybę paznokciem, by się przekonać, czy ptak odleci. Głupie ptaszysko, pomyślał. Gołąb tymczasem dziobał szkło z coraz większym zapamiętaniem, machając skrzydłami. Potem dał nura w ciemności.

Bardzo dziwne, pomyślał. Wtem, zupełnie niespodziewanie, ptak nadleciał z powrotem i z

takim impetem uderzył o okno, że do szyby przylepiło się pierze. Znikł. Upadł w mrok – połamany. Tristen widział w blasku ognia plamę na szkle i resztki puchu.

Drżał na całym ciele.

Co więcej, wiedział, kto ponosi za to odpowiedzialność i że był to figiel, nic tylko złośliwy, okrutny figiel z wykorzystaniem stworzenia, w którym Tristen, powodowany dobrymi intencjami, obudził zaufanie do tego okna.

Czuł gniew. Czuł wielki gniew.

–Hasufinie – zwrócił się śmiało ku ciemnościom, w stronę Wiatru – nie wykazałeś się odwagą. Nie pokazałeś mi niczego nowego. Spotkałem człowieka podobnego do ciebie, próżnego, podstępnego i łgarza.

–Toż to był jeno ptak – odparł Wiatr. – Lepiej martw się o inne rzeczy.

Hasufin usiłował napędzić mu stracha. Zasuwka zagrzechotała, szyba wygięła się do tyłu i do przodu.

–Masz o wiele więcej do stracenia – stwierdził Wiatr, po czym zniknął, łupnąwszy jeszcze raz o okno.

Zaczęło siąpić, przelotna mżawka ochlapała okno kropelkami, splukując piórka i krew.

Rozdział trzydziesty

Nastał jeden z tych jedwabistych, atlasowych poranków, z kałużami na dziedzińcu, z pachnącym świeżością powietrzem, z różowymi i srebrzystymi obłokami, usiłującymi zabarwić się pozłotą – nie sposób było, ze względu na wesołość Uwena, upadać na duchu.

Uwen miał rację: poranek rzeczywiście zachęcał, by przemknąć po tylnych schodach i poprzez ciepłe i hałaśliwe kuchnie, by poprosić o śniadanie prosto z pieców, z chlebem wprost parzącym w ręce, obfitą porcją masła i z pełnymi herbaty dzbankami, które dziewczyny z kuchni wyniosły im na schody. Zarówno herbata, jak i chleb mocno parowały w chłodnym porannym powietrzu, a ciepłe powietrze z kuchni niosło niemal tak miłe zapachy, jak samo smakowanie jedzenia.

Postanowił nie martwić Uwena historią z ptakiem. Uwen chciał rozmawiać o koniach, nie mogąc ukryć ogarniającego go podniecenia. Tak więc i Tristen czekał z niecierpliwością na wycieczkę na pastwiska, a kiedy już dzbanki trafiły z powrotem do kuchni, zanim jeszcze ustąpił chłód poranka, ruszyli bezzwłocznie do stajni.

Tristen dosiadł Petelly’ego, natomiast Uwen swego ulubionego gniadosza, Gerę, która dzisiaj stanowiła już jego własność, na dobre, podobnie jak Petelly stanowił własność

Tristena. Przyjemność, jaką Uwen czerpał z posiadania owego pięknego wierzchowca, potęgował fakt, iż człowiek ten nigdy nie miał własnego konia i nie spodziewał się go kiedykolwiek posiadać, nie mówiąc już o tym, że miałby mu się trafić tak dorodny okaz.

–Ano, szczęście mi przyniósł, panie – stwierdził Uwen. – Rzeknij tam Jego Królewskiej Mości, bo ze mną nieczęsto on rozprawia, żem zadowolony, a jakże, wielce zadowolony i klnę się na życie, nie przyjdzie mu tej hojności żałować.

–Powtórzę mu – odparł Tristen. Wyjechali poza bramę i puścili się główną ulicą, mijając pierwszych śmiazków, którzy wyszli z domów tego niesamowicie cichego poranka.

Zeszłego dnia dwór w Zeide rozbrzmiewał zgiełkiem krzątania, lecz teraz dotarli do samej miejskiej bramy, napotkawszy zaledwie garstkę wozów i rzemieślników otwierających sklepiki.

Wypadli za bramę, a tam, gdzie uprzednio znajdowały się obozy lordów, na strатовanej ziemi stała jedynie grupka koni obok kilku wozów. W błocie widniały głębokie bruzdy kolein i ślady kopyt rozchodzących się w rozmaitych kierunkach; jedne zmierzały na południe, inne na wschód.

Rzecz najdziwniejsza, drzewa... W czasie jednej nocy okryły się czerwienią i brązem, podobnie jak trawa nabrała wcześniej złotobrazowego odcienia.

–Lordowie z pogranicza odjechali – zauważył Tristen, gdy posuwali się wzdłuż muru na wschód, ku pastwiskom. – Tak tu teraz goło. To mnie przeraża, Uwenie. Liście, wszystkie liście umierają.

–No cóż, chłopcze, to jasne, że umierają. Jest jesień.

–Jesień? – Słowo to kojarzyło się z brązowymi i opadającymi liśćmi. Jak Zima. Jak śniegi, białe i głębokie.

–Ano, chłopcze. Cóżby innego?

–Ale wrócą później?

–Na Wiosnę? Oczywiście, że wrócą.

Uwen wybuchnął śmiechem, a on poczuł się głupio. Naturalnie, że wracały. Raptem pojął, że musiały wracać. Ostatnimi czasy rzadziej się zdarzało, by Słowo tej rozciągłości wyskoczyło doń z ukrycia, gdzie do tej pory czaiło się, niezrozumiane. To oczywiste: nadeszła jesień, a ziąb stanowił element zachodzących zmian; niebawem mogły spaść Śniegi.

Fascynująca myśl.

Ostatecznie zbliżyli się do serii wybiegów dla ogierów, odgradzonych od siebie wysokimi żywopłotami i solidnymi parkanami, gdzie chowano ciężkie rumaki, olbrzymie zwierzęta z kopytami wielkości półmisków i łbami o rozmiarach koszów na jabłka. Równie cudowne i potężne zwierzęta Tristen dotychczas nader rzadko oglądał: widział wielkiego karosza Cefwyna, Kanwy'ego, oraz siwka Umanona – obydwaj stajenni wyprowadzili właśnie na plac do ćwiczeń.

Zeskoczyli z siodła przy stajniach wybudowanych równolegle z wybiegami, nieco dalej przy drodze, powierzając Petelly'ego i gniadosza pod opiekę jednego z chłopaków Hamana, po czym, we wskazanym przez chłopca kierunku, ruszyli dróżką obrzeżoną wysokimi krzewami, zagłębiając się w labirynt wybiegów rozdzielonych rzędami starych żywopłotów. Na mijanych wybiegach chłopcy z wiadrami rozczesywali, przycinali i zaplatali grzywy kilku koni; na jednym kowal z pomocą pewnej liczby adeptów i stajennych oglądał kopyta i sprawdzał stan ogromnych podków, jakie nosiły ciężkie konie. Nie było to wcale takie łatwe zadanie: rumak wcale nie zamierzał podnieść nogi.

Przyglądali się z zaciekawieniem, aż podjechał do nich z tyłu starszy człowiek na kucu, by oznajmić, że konie, po które przyjechali, znajdują się tuż obok i on ich do nich zaprowadzi.

Następny ogrodzony wybieg, niedaleko skrzyżowania drózek, zawierał konia tak łudzaco przypominającego Kanwy'ego, że Tristen pomyślał, iż właśnie to zwierzę widzi – wielkiego, czarnego jegomościa z bujnym włosiem nad dużymi kopytami. Gdy koń podniósł łeb, nie dało się dostrzec oczu, były tylko chrapy nakryte gęstwą włosów, przez które przebijały się uszy. Tristen nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

–Zdałoby się go przystrzyc – orzekł mężczyzna, ześliznąwszy się opodal z kuca. – Nazywa się Dys... Dysarys, ale wołamy nań Dys. Kanwy Jego Królewskiej Mości to jego rodzony brat, a ich siostra, Aryny, pasie się teraz na wzgórzach. Jego Królewska Mość nie zamierza narażać jej na szwank, lordzie strażniku, co to, to nie. Zawołam ujeżdżacza.

Aby wywiązać się ze swej zapowiedzi, starszy człowiek musiał odprowadzić kuca w dół jednej z bocznych drózek. Tristen wyciągnął rękę, a Dys podszedł, by obwąchać mu palce i obejrzeć go spod swoich kudłów.

–Na bogów, cóż za zwierzę – zauważył Uwen z szacunkiem. – Piękny, piękny młodzieniec.

Tristen wiedział, że Uwen niecierpliwi się, by zobaczyć, co też mu przygotowano.

Sięgnął dalej ręką, lecz Dys odsunął się, machnąwszy gęstym ogonem i tupnąwszy potężnym kopytem.

Z sąsiedniego wybiegu przyszedł ujeżdżacz, mężczyzna w średnim wieku, który przedstawił się cichym głosem:

–Aswys, panie. Razem z nim tu przybyłem i chyba razem z nim trochę tu pobędę, z łaski

Jego Królewskiej Mości. Opiekuję się Dysem, ale także Cassamem, ot, tamtym, co twemu słudze przypada.

–Bardzo mnie to cieszy, panie – powiedział Tristen. – Dziękuję.

Koń ponownie się zbliżył, snadź przyzwyczajony do ujeżdżacza, który pogłaskał masywny kark, wyciągnięty ponad żerdzią ogrodzenia. Tristen, obserwując nastawienie Aswysa do koni, nie wątpił w umiejętności tego człowieka. Cefwyn nie przyjąłby nikogo bez odpowiednich kwalifikacji, a Tristen nie dostrzegał niczego podejrzanego w sposobie, w jaki ów mężczyzna patrzył na wierzchowca.

–Krnąbrna to sztuka – rzekł Aswys – jeśli ktoś ma ciężką rękę, panie, ale starczy ino trochę popuścić, z miejsca będzie się słuchał. – W głosie ujeżdżacza Tristen wychwycił troskę, która malowała się również na jego twarzy. – Mam go okulbaczyć, panie, za pozwoleniem?

Ujeżdżacz chciał, aby dosiadł rumaka, nie zwlekając dłużej. Żywił nadzieję, że Tristen polubi i doceni tego konia. Widać było, jak dumny jest i przywiązany do swego wierzchowca, którego nigdy nie będzie posiadał na własność, gdyż Cefwyn darował Dysa lordowi bez ziemi i – Sulrigan stwierdził to dzień wcześniej – ze złą reputacją.

–Proszę bardzo – przyzwolił Tristen, na skutek czego mężczyzna wypogodził się nieznacznie, każąc chłopcom założyć uprząż na Dysa, a samemu prowadząc ich do drugiego z powierzonych mu koni.

W zagrodzie przebywał kary dereszowaty wałach, którego Cefwyn wybrał dla Uwena, jegomość z przepiękną atłasową sierścią; Cassam, nie omieszkał ich poinformować przewodnik, także pochodził z królewskich stajni; nie był co prawda krewniakiem Kanwy’ego i Aryny, aczkolwiek pochodził od klaczy marisalskiej klaczy i gueleńskiego ogiera.

–Czy i jego możemy siodłać, panie? – zapytał Uwen z nadzieją w głosie, a kiedy przygotowywano uprząż, Tristen wrócił na poprzedni wybieg: klaskanie wielkich kopyt w błocie za żywoplotem powiedziało mu, iż Dys nie godzi się na założenie siodła.

Kiedy dotarł na miejsce, Dys wietrzył nozdrzami, a następnie przebiegł wszcz zagrodę; ze względu na rozmiary wydawał się poruszać wolno, lecz w rzeczywistości miał lekki chód.

Chłopcy przeskoczyli przez ogrodzenie.

Wówczas pojawił się ujeżdżacz i gwizdnął na rumaka. Przechylił się między żerdziami i gwizdnął ponownie. Dys przytruchtał na wezwanie, dając się pochwycić.

Ujeżdżacz przypiął łańcuch do uździenicy i szarpnął zań, gdy Dys, poirytowany, targnął łbem w stronę chłopców, którzy zza ogrodzenia przynieśli resztę uprzęży – nie zamierzając ich pokąsać, co nie uszło uwagi Tristena pochylonego ponad górną żerdzią. Dys nie znoził obcych na swoim wybiegu i łatwo się płoszył, nawet, gdy siodłaniem zajmował się człowiek,

któremu ufał. Dys śledził baczny wzrokiem wszelki ruch wokół siebie, pragnąc utrzymać wszystkich intruzów, łącznie z tym przy ogrodzeniu, w zasięgu wzroku. Skóra drżała mu na przednich nogach, chrapy były rozdęte, a nawet ze swojego oddalonego miejsca Tristen widział, jak Dys zaczyna się pocić.

Ujeżdżacz przewidział taki właśnie rozwój wypadków, kiedy posyłał chłopców do zagrody, chcąc pokazać Tristenowi to, czego młody i uparty lord mógłby nie zrozumieć w formie ustnych ostrzeżeń.

Ten lord jednak rozumiał. Ujeżdżacz przywołał go do siebie. Tristen precyzyjnie się między żerdziami ogrodzenia, pozostając przez cały czas w polu widzenia Dysa, na co rumak, parskając i wężąc, zniżył łeb i wyciągnął szyję, aby dokładnie obwąchać nieznanego. Dys zajmował się jego palcami i kaftanem, gdy przynoszono kamienny blok, pomocny przy wsiadaniu.

Przez moment Tristen nie wierzył w panujący spokój.

–Dajcie mi szczotkę – poprosił, a gdy podał mu ją ujeżdżacz, wytarł szyję i boki konia, którego na koniec pogłaskał. Przejechał dłońmi po nogach Dysa i, ufając kolczudze założonej pod kaftan, pozwolił obwąchać się po plecach i wokół twarzy!

Potem delikatnie ujął cugle, odbił się od kamiennego bloku i wskoczył na siodło.

Dys cofnął się o kilka kroków, spokojnie zatoczył koło. Brakowało mu cugli, toteż targał łbem, by zdobyć większą swobodę ruchu. Bezskutecznie.

Lekka, zwrotna Gery wymagała innego kierowania, jednakowoż Tristenowi objawiła się częściowo Nazwa – Nazwa, a nie Słowo. W miarę jak nabierali prędkości, krążąc po wybiegu, Dys reagował na różne rozkazy, potrząsając głową, gdy stopniowo Tristen popuszczał mu cugli. Chłopcy otworzyli bramkę i Tristen wyskoczył na dróżkę między zagrodami, ścigany przez chłopaków i ujadającego psa-przybłądę.

Po obu stronach drzewa zlewały się w rozmytą smugę. Dotarli wreszcie na łąki, gdzie zwykle wypasano owce. Tristen ćwiczył zwroty, kiedy bezrozumny kundel, wysforowawszy się przed chłopców, omal nie popadł w kłopoty. Dys wierzgnął, capnął psiaka i przewrócił; od tej chwili pies zachowywał bezpieczną odległość, gdy Dys przemierzał łąkę wzdłuż i wszerz.

Po pewnym czasie Tristen pozwolił rumakowi pędzić, gdzie popadnie, a ten skierował się akurat w stronę Ynefel. Młodzieńcowi narzuciła się prosta myśl, by tak jechać i jechać, i jechać, by niejako uciec, zabierając z sobą także Dysa tam, gdzie nie musiałby robić tego, do czego zmierzała cała jego egzystencja; gdzie mógłby być bezpieczny, wolny, niezmuszany do czynienia krzywdy. Zaczynał lubić tego konia – ale nie tego, czym go uczynił trening. Ani tego, do czego obaj zostali stworzeni.

Dotarli do krańca łąk, gdzie ciągnęło się ogrodzenie. Kiedy Tristen wrócił, dostrzegł Uwena na dereszowatym wałachu.

Dys przyjął obecność swego kompana ze stajni z umiarkowanym spokojem.

Chwilowa nerwowość oraz lekkie szarpanie za wędzidła szybko minęły i na krótkim odcinku dwa konie jechały obok siebie. Dys zaczynał poprawnie reagować na ruchy cugli, wychodził na prowadzenie i oddawał je bez żadnych dąsów, nie przejmował się nierównym gruntem ani jadącym koło niego dereszem.

Jeździli dosyć długo, aż konie oblały się potem, lecz mając na uwadze fakt, że nie dalej jak wczoraj przybyły na miejsce, spędziwszy wiele dni w drodze, zawrócili.

Wierzchowce oddychały równo, trącały się nawzajem, jakby podobała im się ta krótka wycieczka.

Ujeżdżacz przestał już chyba wątpić w ich umiejętności, pomyślał Tristen, zwracając ku niemu Dysa przy bramce wybiegu. Jeden z chłopców zauważył, nie chcąc zapewne, Tristen był tego pewien, zostać podsłuchanym, że Sihhijczyków znano z zauraczania koni, a on właśnie zauroczył Dysa.

Przewidując, że będą mieli dziś do czynienia z końmi oraz błotem, żaden z nich nie włożył swych najlepszych ubrań, wobec czego mogli teraz pomóc w rozsiodłaniu i wyszczotkowaniu rumaków – ku niepomjernemu zaskoczeniu chłopców, którzy zazwyczaj sami wykonywali te czynności za lordów i ich sługi.

Aswys tymczasem mówił do nich obu, rozwodząc się na tym, jak to Dys spóźniał się z przyjściem na świat i jak to Cass, gdyż tak zdrobniale nazywano dereszowatego karosza, lubił pakować się w kłopoty – będąc jednolatkiem, zapadł się po szyję w bagnie, a rok później porwał go prąd wezbranej po burzy rzeki.

–Trzymaj go z dala od wody – brzmiała rada Aswysa odnośnie Cassa. – Pójdzie na dno, choć jest zbyt uparty, by umierać.

Tristen polubił Aswysa, który przeistoczył się z ostrożnego, zatroskanego i nieszczęśliwego człowieka w – jak się wyraził Uwen – kompana od kielicha. Ponadto był Gueleńczykiem, co również nie uszło uwagi Uwena. Nie żeby amefińskim chłopakom brakowało smykałki do koni, mówił, ale Gueleńczycy porozumiewali się ponoć z bojowymi rumakami specjalnym językiem.

Uwenowi Cass bardzo przypadł do gustu, podobnie jak Tristenowi Dys. Młodzieniec jednakże nadal czuł sympatię do Petelly'ego; w powrotnej drodze do grodu dał mu do zrozumienia, że nadal cieszy się on jego łaską. Uwen oświadczył, mając na myśli Cassa, że w życiu nie siedział na lepszym wierzchowcu.

–Lubię zwłaszcza te wielkie – stwierdził Uwen, kiedy pędzili ulicami – bo nie są tak skore do figli. Gdyby ci jednak przypadł jakiś krnąbrny osobnik, ho, ho! Jeździł ja na takim jednym za moich beztroskich lat młodzieńczych. Stajenni siodło mu chcieli zarzucić, a on rozwalił budę kopytami, mnie zaś i czterech chłopaków za płot przegnał. Na bogów, założył mi on za skórę. Cztery lata żem go miał pod sobą, póki przekłęty Chomaggar nie przedziurawił mu serca. Myślałem, że oczy wypłaczę.

Tristen wierzył, że to szczerą prawdą. Wyjechali na wzgórze, wzięli kąpiel i przebrali ubrania, po czym godzinami rozmawiali o koniach.

Nie widział dotąd tak bezgranicznie szczęśliwego Uwena. Usiadł i pod jego czujnym okiem napisał list do Cefwyna, podkreślając, jak bardzo są zadowoleni i jak dobre otrzymali zwierzęta. Gdy Uwen zaniósł list, strażę przy drzwiach powiadomiły go, że Cefwyn śpi, co było pomyślną wiadomością, oraz że Emuin dał mu proszek nasenny, co pomyślną wiadomością nie było.

Tristen pomyślał jednak, że Cefwyn ucieszy się z listu czy z jakiegokolwiek innego wyrazu radości. Choć nie wiedział, czy to coś da, usiadł przy ogniu i zaczął w myślach składać Cefwynowi jak najlepsze życzenia... Składać je ze wszystkich sił.

Tego wieczoru ponownie zamknął wewnętrzne drzwi, pragnąc spokoju, a zarazem dając Uwenowi sposobność załatwienia swoich osobistych spraw. Od wczoraj zostało mu nieco chleba, który teraz wystawił dla odwiedzających parapet gołębi, jakby bardziej niż zwykle nieśmiały, może nawet wystraszonych. Zastanawiał się, czy za oknem nie unosi się jeszcze zapach krwi. Odczekał chwilę, po czym dał za wygraną i w gasnącym blasku słońca położył na stole swoją Książkę oraz mały przybornik Mauryła.

Przyszło mu na myśl, że skoro Maurył wręczył mu dwa podarunki, nie tylko w Książce może drzemać magia. Albo, nowa myśl, oba dary należy z sobą połączyć.

Niemniej lusterko było tylko lusterkiem, wypolerowanym na połysk srebrem. Odbijało wyłącznie jego wizerunek, Tristena Niczy-jego-syna, bynajmniej nie strasliwego sihijskiego lorda, a już na pewno nie potężnego maga.

Dumał, czyby nie odwiedzić Emuina z Książką i lusterkiem i nie zapytać go – tyle, że nie wiedział, o co właściwie miałby go pytać oraz jaki związek łączy jedno z drugim. Raz już dzisiaj okazał bezmyślność, aczkolwiek Uwen śmiał się z niego dość umiarkowanie w czasie pogawędki o spadających liściach. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: nie pojmował rzeczy jak normalni ludzie.

Wciąż na próżno szukał zrozumienia; lusterko, odbijając wieczorne promienie słońca, niczego mu nie mówiło. Wbił wzrok w Książkę, przekartkował kilka stron, by w efekcie, patrząc na wiekowy pergamin i zszarganą, wysłużoną skórę obwoluty, wrócić wspomnieniami do Ynefel, wspomnieniami mogącymi ściągnąć nań niebezpieczeństwo.

Wtem wyczuł coś na podobieństwo obecności Emuina, chociaż Emuin był nad wyraz surowy i natychmiast go beształ, gdy wkraczał w szarą przestrzeń. Odebrał wrażenie wielu zapalonych świec oraz bólu w stawach, co kazało mu przypuszczać, że Emuin odmawiał modlitwy, gdzieś w pobliżu; może się tam pośliznął?

W tle wychwycił jednak jeszcze jedną obecność; podejrzewał, że to Ninevrise, której myśli nie mógł wyraźnie odczytać, choć lękał się, iż krążą wokół Althalen, co również wiązało się z niebezpieczeństwem.

–Bądź ostrożna – przestrzegł.

Obecność szybko się wycofała, wystraszona albo zakłopotana.

Była prześliczna. Była niezwykle roztropna, biorąc pod uwagę młody wiek, tudzież odważna. Pragnął ją zobaczyć. Pragnął z nią porozmawiać, opowiedzieć choćby o koniach oraz... wymienić spostrzeżenia odnośnie szarej przestrzeni, o groźbach tam czyhających, ponieważ znał jej zdrowy rozsądek i chciał wysłuchać zdania kogoś, kto ma z nim, choć trochę wspólnego. Uważał ją za bezpieczne wrota do tajemnic, jakie chowały przed nim kobiety – pragnął jedynie siedzieć i śledzić ją bacznym spojrzeniem, tak jak dzisiaj zaczął patrzeć na jesień. Pragnął jej słuchać i pozwolić, by mu ona, wydająca się o wiele życzliwszą i uczciwszą osobą od Orien Aswydd, objawiła wszystko, czym tak naprawdę jest.

Ale nie mógł udać się do niej w odwiedzin. Nie pozwalała na to przyzwoitość: on był mężczyzną, ona narzeczoną króla. Tak chyba wyglądał świat: mężczyźni najwidoczniej nie mogli pozostawać sam na sam z damami. Nawet Cefwyna obowiązywał ten zakaz do dnia zaślubin. Co potem, nie miał pewności. Ona zawsze należeć będzie do Cefwyna: tak to już jest, gdy kobiety i mężczyźni łączą się w pary... Normalni mężczyźni, dopowiedział sobie w duchu z uczuciem bólu, którego nigdy nie potrafił się wyzbyć. Normalni ludzie, a nie, jak wyraził się Sulrigger, cmentarny pył i pajęczyny.

Cóż bowiem, jeśli nie to, mogłaby Ninevrise lub ktokolwiek inny tak naprawdę w nim zobaczyć? Co mógł zobaczyć ktoś, kto z przyczyn znanych Tristenowi, jak Cefwyn, czy z powodu przydzielenia do jego służby, jak Uwen, nie wybaczył mu ucieczki z miasta? Ci, którzy znali Tristena dostatecznie długo, przewyciężyli swój strach, lecz bali się go wszyscy pozostali. I Ninevrise bała się go z początku.

Kiedy już zostanie przy Cefwynie, król poświęci jej sporą część i tak już ograniczonego czasu. A zatem niewykluczone, że Tristen straci obydwój, a w najlepszym razie ich wolne chwile będą należeć do rzadkości. A zatem to, dlatego Cefwyn wręczał mu upominki i usiłował przyzwyczaić go do życia na własną rękę.

Dobrze, że będzie miał przy sobie Uwena. Ale czyż wszyscy odchodzą, zawsze, szczerze obsypywani darami, właśnie wtedy, gdy ład i szczęście wreszcie zaczynają dominować?

Być może na skutek przygnębiającego i intrygującego charakteru tej myśli, a może po prostu wobec ogólnej dekoncentracji, coś nie dawało mu spokoju, kiedy próbował czytać, coś, co wciąż mu umykało.

I nie przypominało Ninevrise. Zląkł się, że ma to coś więcej wspólnego z Ynefel i Althalen, wobec czego próbował czymś innym zająć myśli, jakkolwiek – o ile w ogóle potrafił oceniać takie rzeczy – wrażenie dochodziło raczej ze wschodu niż z zachodu, gdzie wznosiły się ruiny Althalen. Ze wschodniego kierunku wydawały się zazwyczaj nadpływać myśli Emuina.

Raptem... ostry ból przeszył jego czaszkę, tuż nad karkiem; Tristen przytknął rękę w to miejsce i przechylił się gwałtownie nad skrajem stołu, szarpnięty nieznośnym rwaniem.

Nigdy dotąd nie czuł czegoś podobnego. Zrobiło mu się słabo, uchwycił zapach wosku, jakby przelały się świece. Oczy zaszyły mu mgłą, z trudnością oddychał.

Widział kamień, szary kamień. Srebrną, ośmioramienną gwiazdę.

–Mistrzu Emuinie – zawołał, ośmielając się wejść do szarej przestrzeni, gdyż to, co się z nim działo, było czymś nadzwyczajnym, a oprócz tego w grę wchodziły świece. Zdało mu się, że słyszy echa głosów. Ujrzał błękitne światła, rozmieszczone w równych odstępach. Ujrzał sihijską gwiazdę, rozjarzoną białą, złowróżbną poświatą. Usłyszał odgłosy kroków, rozchodzące się echami w jakiejś klatce schodowej.

Z ledwością zaczerpnął tchu i zdołał wstać, wspierając się o blat stołu. Przeszedł do sąsiedniej komnaty, minął poruszonych służących i wydostał się do przedpokoju. Gwardziści, zapytani, powiadomili go, że Uwen zszedł na dół do kuchni.

–Jakiś kłopot, panie? – jeden zagadnął.

–Nie wiem. Wiecie może, gdzie jest mistrz Emuin?

–Tędy nie przechodził, panie. Bracia tu się kręcili, ale bez niego zeszli na dół.

W odróżnieniu od Cefwyna i Tristena, Emuin nie miał stałej eskorty. Jego pokoje mieściły się po drugiej stronie sali, obserwowane, co najwyżej przez gwardzistów strzegących drzwi Tristena i króla. Podeszedł i potrząsnął klamką z nadzieją, że nic nie dolega starcowi, może tylko zły sen. Nikt jednak nie podeszedł do drzwi i nikt ich nie otworzył. Jego gwardziści natychmiast weszli do środka, by pobieżnie przeszukać wnętrze.

–Ani śladu, panie – stwierdził jeden.

Tristen zaczął się martwić.

–Chyba powinniśmy kazać służbie na dole rozpocząć poszukiwania.

–A w czym bieda, panie?

–Ból. Dotkliwy... Miejsce ze świecami, z mnóstwem świec.

–Kaplica – oświadczył jeden, co brzmiało nader sensownie. – Możemy posłać po terantynów, panie.

–Zróbcie tak – powiedział. – Zapytajcie braci. Może oni coś wiedzą.

Bracia nie wiedzieli. Nie wiedzieli też terantyni z kaplicy przy dziedzińcu. Zanim gwardziści powrócili z tym niewesołym raportem, Tristen zdążył wypytać strażników pełniących wartę pod drzwiami Cefwyna, czy czegoś nie zauważyli, a skoro żaden nie zamierzał przeszkadzać królowi w i tak niedostatecznym odpoczynku, jeden z nich udał się do lorda kapitana Kerdina, który, wszcząwszy poszukiwania na większą skalę, przyszedł zapytać Tristena, co widział i słyszał, a także, co wywołało w nim strach o Emuina.

Ból w głowie nie ustępował, rozpraszał uwagę. Tak samo jak swąd świec i wrażenie wilgoci, pozostające w jawnej sprzeczności z rzeczywistym otoczeniem.

Idrys wszedł na górę, gdzie dowiedział się o zaszłych wypadkach.

–Kaplica bryaltynów – obwieścił na wieść o świecach, po czym odesłał jednego z gwardzistów Cefwyna, Denyna, który pognął na dół w kierunku tejże kaplicy.

Idrys schodził po stopniach znacznie stateczniejszym krokiem, a Tristen posuwał się za nim jak cień, targany nieznośnym bólem. Ogarniał go coraz większy strach, którego natury nie potrafił wyjaśnić Idrysowi, nie okazującemu nigdy nadmiernej cierpliwości wobec majaków i sennych koszmarów. Teraz przynajmniej słuchał Tristena, pokonując główne wschodnie schody, a potem schodząc jeszcze głębiej, ku drzwiom, których młodzieniec nie odkrył w czasie swych dawniejszych wypraw badawczych. Po dwóch zakrętach znaleźli się na małym dziedzińcu, tonącym w cieniu, jak się dowiedział, nieużywanej już Wschodniej Bramy. Pośrodku owego dziedzińca stał sędziwy budynek, skromny i prosty – nad okalającym plac murem górowały spichlerze i magazyny, które niegdyś odwiedził.

Wkroczyli do chłodnego, tchnącego wilgocią wnętrza, gdzie rozlegały się dokładnie takie same echa głosów, jakie niedawno słyszał.

–To właśnie to miejsce – zawyrokował Tristen. – To właśnie tutaj. – Gromadka bryaltyńskich mnichów nadbiegła wspartym na kolumnach korytarzem, który zniknął przy wąskich, skąpo oświetlonych schodach.

–Hej, wy! – zawołał Idrys ostro, na co mnisi skulili się, pochylając głowy. Ich twarze w przeważającej części zakrywały kaptury.

–Lordzie komendancie – rzekł jeden z tych zakapturzonych mnichów, rozwierając ramiona w

błagalnym geście. – Mistrz Emuin... pośliznął się i skaleczył w głowę. Proszę. Jeden z waszych ludzi...

Idrys wyminął ich, zanim człowiek skończył mówić. Tristen ruszył za żołnierzem, w dół i w dół kamiennymi schodami, gdzie swąd świec i tchnienie wilgoci jak ułał pasowały do tego, co wcześniej czuł. Głowa ciągle pękała mu z bólu, który dopiero, co zaczął z lekka popuszczać, szedł z wyciągniętą do ściany ręką, aby nie zgubić drogi. Niewiele widział u podnóża schodów, gdzie Emuin leżał w ramionach bryaltyńskiego mnicha – przytomny, pomyślał Tristen, chociaż wokół rozlało się sporo krwi. Krew spływała po szatach Emuina, poplamiała mnicha i usiłującego pomóc gwardzistę, którego Idrys wcześniej tu posłał.

–Mistrzu Emuinie. – Tristen osunął się na kolana i dotknął dłoni starca, pytając jednocześnie w dwóch światach:

–Panie, czy mnie słyszysz?

Naokoło kłębiły się Cienie, groźne i złośliwe. Emuin z całych sił starał się coś mu zakomunikować. Tristen uściśnął jego rękę, która wydawała się bardzo zimna w materialnym świecie, z trudem wyczuwalna w krainie Cieni.

–Tristenie – odezwał się Emuin słabym głosem. – Cienie. Nikczemna... nikczemna... rzecz...

Idrys przyklęknął, złapał za ramię Emuina i odwrócił go, by obejrzeć tył głowy, odsuwając okrwawione włosy i opatrunek z przesiąkniętej krwią tkaniny. Widok, jaki przedstawił się oczom Idrysa, przywołał grymas na jego oblicze.

–Biegnij po chirurga! Do kroćset katów, głupcze, ruszaj!

Gwardzista pobiegł. Tyle tu było krwi. Istna kałuża.

–Już posłano po pomoc – rzekł Tristen, trzymając się blisko Emuina w szarym miejscu. – Mistrzu Emuinie, bądź dzielny. Zostań przy mnie. Zostań. Nie pozwolę ci odejść.

W owej szarości Emuin słuchał jego słów. Powiedział:

–Widziałem, jak nadchodzi. Próbowałem znaleźć drogę... Próbowałem wybadać, co go wiąże... On ma Miejsce. Znalazł sobie otwarte drzwi. Bądź ostrożny, bądź ostrożny.

Tristen nie chciał pozwolić Emuinowi umierać. Stracił już lorda regenta. Tym razem rozpoznawał ową czarną krawędzi nici ciemności jako samą śmierć, więc walczył ze wszystkich sił.

Ludzie przyszedli i ludzie odeszli – Ostatecznie Uwen potrząsnął nim, każąc mu puścić mistrza Emuina, gdyż pojawił się chirurg, aby zaszyć ranę.

A zatem puścił. Nadal miał problemy z przebicciem wzrokiem mroku. Małe pomieszczenie, pomimo wszystkich świec, wydawało się nienaturalnie przyćmione.

Płomienie paliły się ze zwyczajnym wigorem, a jednak nie rzucały światła na kamienie wokół Tristena. Kiedy wyszli na zewnątrz, Uwen chwycił go za ramię. Kiedy zanoszono Emuina do Zeide i na górne piętro, szedł z tyłu. Kiedy chirurg operował, siedział za drzwiami i próbował wypowiedzianymi w duchu życzeniami przywrócić Emuinowi zdrowie, gdyż nic więcej nie był w stanie uczynić.

Emuin ani razu nie stracił przytomności, lecz mało brakowało. Gdy chirurg pozwolił im wszystkim wreszcie wejść do środka, jakże starzec był blady, jakże osłabiony. Obwiązano mu głowę bandażem. Chirurg rozmawiał półszepem z Idrysem, mówiąc, że kość została złamana, a takie rany rzadko się goją.

Emuin wszakże słuchał, leżąc w łóżku, blady jak płótno, krańcowo wyczerpany.

Tristen nie zwracał uwagi na Idrysa i medyka.

Poszedł do łóżka. Tristen miał świadomość, że Emuin jest oszołomiony... i przestraszony, bez ustanku recytując poezję czy coś w tym rodzaju.

–To modlitwy – dał mu do zrozumienia Emuin, a w jego głosie pojawiła się mieszanina gorczy i strachu. – Porzuciłem czary. Porzuciłem je, by znaleźć nową drogę. No i postarzałem się na tym świecie. Pozwoliłem sobie na starość, żeby odnaleźć jakąś świętość, toteż nie jestem już tym, kim byłem niegdyś. Nie mogę walczyć z twoim wrogiem. Wybacz mi, chłopcze. Jedno, co mi pozostało, to zstąpić z tej krawędzi z nadzieją, że jest coś więcej.

–Nie! – odparł Tristen gniewnie. – Nie, mistrzu Emuinie. Jesteś mi potrzebny.

–Jakież cholerne prawo pozwala ci mnie potrzebować?! Do diabła z nim, do diabła! Ależ czuję się ociężały... Ależ zmęczony...

Zapytaj go, odezwał się lodowaty głos, Idrysa, jak pomyślał, zapytaj go, czy się przewrócił albo czy to był wypadek.

–Czy to był wypadek, mistrzu Emuinie? – spytał posłusznie.

–Do licha, nie wiem. To pasuje do tego człowieka. Mości kruk zawsze podnosi kości, zawsze szuka kłopotów. Cefwyn i Efanor. Bystre chłopaki. Jeden i drugi... bardzo bystre chłopaki... Cholerne szkraby. Czyś wiedział, że wypuścili trzy owce w wielkiej sali?

–On nie wie, co się stało, zwrócił się Tristen spokojnie do Idrysa, nie mogąc go zobaczyć, aczkolwiek wiedząc, że stoi obok. Ogarnięty strachem, ścisnął dłoń Emuina, aż zląkł się, że zadaje mu ból, lecz krawędź dawała się zbliżyć do nich obu. – Jesteś za blisko, panie.

Wróć, proszę!

–To mój spokój, do cholery! Zasłużyłem na niego. Zostaw mnie wreszcie.

–Nie, panie. Nie! Cefwyn cię potrzebuje. Posłuchaj mnie.

–Jestem, przyznaję, co cię chyba zadowoli, miernym czarodziejem. Jestem stary, wyszedłem z wprawy, straciłem cierpliwość, nie mogę się już parać tymi rzeczami, oto mój straszny sekret. Nie, jest jeszcze jeden gorszy: nigdy nie byłem dobry. Mauryl o tym wiedział. Nie zwracaj się do mnie. Jedną, jedyną nadzieję pokładam w tym, że istnieją gdzieś bogowie, że istnieje zbawienie; innych nadziei nie mam, chłopcze, wszystkie dawno przysły. Słyszałeś przecież – Nie wyjdę z tego z pomocą naturalnych środków. Jeśli miałbym się uleczyć, to tylko czarną magią, a wtedy zostałbym potępiony. Mam na sumieniu morderstwo i jestem stary. Zostanę potępiony.

Tristen nie wiedział nic o potępieniu. Widział nadchodzącą Śmierć, czarną krawędź, której Emuin z rozmysłem poszukiwał, a on nie mógł jej osiągnąć.

–Wydobrzejesz, panie. Tylko ty pozostałeś. Próbowałem pomóc Cefwynowi. Nic mi się nie udaje! Nigdy nic...

Gdzieś na zewnątrz wszczął się jakiś tumult. Tristen nie wiedział, co mógłby oznaczać. Lekceważył hałas, dopóki nie ujrzał, jak w materialnym świecie Emuin patrzy albo próbuje popatrzeć w stronę drzwi.

–Ogień! – ktoś krzyczał, a Idrys poderwał się na równe nogi. – Ogień, kapitanie, w całym zamku pełno dymu!

–Do licha! – usłyszał Emuina; westchnięcie równie jak słowo wyraźne. Następne zabrzmiało głośniejsze. – Cefwyn?

Rzeczywiście, niósł się zapach dymu, aczkolwiek nikły, który Tristen początkowo wziął za powiew od komina. Słyszał otwieranie i zamykanie drzwi. Widział, jak Idrys odchodzi w pośpiechu. Czuł niepokój miotający Emuinem, gdy zza zamkniętych drzwi dolatywały pokrzykiwania Idrysa. Emuin się bał. Emuin miał świadomość, poprzez niego, jeśli już nie inaczej.

Opuścił łóżko Emuina i po minięciu kilkorga drzwi wrócił na zamek, gdzie czekał Uwen. Służba stała po kątach, wszyscy wpatrywali się bacznie w najodleglejsze schody dla czeladzi, skąd buchały kłęby dymu. Być może z kuchni: tam ogień miał największą szansę wystrzelić, zająć cały dół i całą fasadę budynku.

–Panie – rzekł Uwen, czekając chyba na rozkazy, lecz Tristen nie miał pojęcia, co robić. Nazbyt wiele nieszczęścia w jednej chwili. Może powinni zapewnić bezpieczeństwo Emuinowi i Cefwynowi... lecz Emuin mógłby nie znieść uciążliwych przenosin, a poza tym,

który kierunek gwarantował bezpieczne schronienie?

–Gdzie to jest? – zapytał. Wyglądało na to, że nikt nie wie. Ruszył ku głównym schodom, nie zasnutym na razie dymem. Powstrzymał pragnącego mu towarzyszyć Uwena. – Zostań na górze. Nie pozwól rozejść się służbie. Prawdopodobnie będziemy musieli znieść na dół Cefwyna i Emuina. Dowiem się wszystkiego.

Pognał samotnie ku centralnym schodom, tym za komnatami Cefwyna, przypuszczając, że królewscy gwardziści, nieobecni na swych stanowiskach, przebywają wewnątrz, przygotowując się do zabrania Cefwyna w bezpieczne miejsce. Był już w połowie schodów, gdy z góry dogonił go głos Cefwyna:

–Tristenie! Co się pali?

Cefwyn, pozbawiony eskorty, stał w luźnej szacie, trzymając się słupka balustrady na podeście schodów. Zanim Tristen zdążył odpowiedzieć, zupełnie niespodziewanie, Cefwyn po prostu... upadł; dłoń jego ześlizgnęła się ze stopni, a on upadał i upadał.

Tristen rzucił się w jego kierunku i pochwycił Cefwyna w ramiona, lecz na schodach była krew, na nim była krew, a król omdlał.

Z góry doleciał odgłos ciężkich butów.

–Panie – zaczął Uwen, zginając się, by udzielić pomocy.

–Gdzie są królewscy gwardziści?

–Nie wiem, panie, Idrys...

–Znajdź Idrysa! – Zbyt wiele zła się dokonywało. Bał się znieść Cefwyna na dół, wystawiony na całe to zamieszanie bez obstawy, bez ochrony, której doświadczał każdej godziny. – Gdziekolwiek jest ogień, tam będzie Idrys. Dowiedz się, gdzie się pali. Sam go zaniosę. No, prędeż!

–Tak, panie! – odpowiedział Uwen, po czym puścił się schodami w dół.

Tristen spróbował podźwignąć Cefwyna. Niemal mu się udało, choć Cefwyn był zupełnie bezwładny i nieporęcznie ułożony na schodach. Wkrótce jednak z góry zbiegli gwardziści Cefwyna i pomogli unieść głowę króla, tak by Tristen zdołał umieścić pod leżącym kolano i ramiona, a następnie powstać.

Poniósł Cefwyna w górę schodami, podczas gdy gwardziści próbowali mu pomóc, bladzi i usiłujący wyrazić swoją skruchę – emu, gdyż król niczego nie słyszał. Tristen obrócił tylko ramię wyminął ich w obawie, że niosąc Cefwyna, wzmacza jeszcze ból w jego nodze.

Cefwyn stanowił nieruchomy, bezwładny ciężar, trudny do przeniesienia, gdy Tristen manewrował wśród drzwi królewskich apartamentów. Gdy jego but obsunął się nieznacznie na posadzce, zdał sobie sprawę, że pośliznął się na krwi. Nie wypuszczał z uchwytu niestawiającego oporu ciężaru, przechodząc przez kolejne drzwi do sypialni, by po ostatnim, chwiejnym podejściu i z heroicznym wysiłkiem ułożyć Cefwyna ostrożnie na łożu.

W tejże chwili pojawił się Annas, jednym spojrzeniem objął całą scenę i począł wydawać pазiom szybkie rozkazy, by przynieśli wodę i ręczniki. Gwardziści próbowali równocześnie wytłumaczyć Tristenowi, że starali się oszacować zagrożenie związane z dymem buchającym z drugiej klatki schodowej, że sądzili, iż Cefwyn śpi i że w żadnym innym przypadku nie opuściliby swego posterunku.

Przybiegli paziowie z ręcznikami. Za Tristenem pojawił się zadyszany Idrys, cuchnąc dymem, z twarzą umorusaną sadzą. Zerknął bystro na nogę Cefwyna i nakazał obwiązać ją ciasno bandażami.

–Niebawem przyjdzie medyk – powiedział.

–Upadł na schodach – oznajmił Tristen, z trudem łapiąc oddech. – Usłyszał alarm...

–Gdzie, u licha, były wtedy strażę? – zapytał Idrys, przyciskając płócienny tampon do rany, toteż strażnicy zaczęli się tłumaczyć od nowa, lecz przerwało im nadejście Efanora, który przeklinał gwardzistów i pytał, co się wydarzyło.

–W kuchni wybuchł pożar – stwierdził Idrys lakonicznie.

–Co się wydarzyło mojemu bratu, mój panie!

–Głupota! Do diaska, gdzież ten człowiek polazł? Annasie! Potrzeba więcej ręczników! Upadł na schodach, Wasza Książęca Mość. Posłaliśmy po chirurga. Skoro już chcesz pomóc królowi, Wasza Wysokość, spróbuj wypłoszyć chirurga z kryjówki. Niedawno opatrywał mistrza Emuina, który również przewrócił się na schodach, przypuszczalnie przebywa w swej rezydencji. Nie widziałem go przy ogniu.

Efanor odwrócił się i odszedł bez słowa.

–Za chwilę zjawi się tu ten wścibski kapłan – stwierdził Idrys. Docisnął do rany Iniany opatrunek. Krew wsiąkała w prześcieradło. Zewnętrzne szwy puściły i nie wszystka wypływająca krew była czerwona. – Cholera! Lordzie Tristenie! Wyjdź na salę i przydziel gwardzistów Emuinowi, księciu Efanorowi i lady regentce. Bogowie wiedzą, czy za chwilę z nieba nie sfruną żaby.

–Tak, panie. – Tristen wybiegł na zewnątrz, złapał jednego czy dwu własnych służących, każąc im dowiedzieć się, jak przedstawia się sprawa na dole. Posłał na górę oszołomionego gwardzistę Cefwyna z zadaniem zmobilizowania czuwających nad regentką

straży do wyjątkowej czujności i nie popełniania żadnego błędu; pomyślał, iż na tę ostatnią kwestię gwardzista położy szczególny nacisk. Jednemu z własnych gwardzistów polecił powiększyć wartę przy drzwiach Cefwyna, drugiemu – przydzielić dodatkową eskortę Efanorowi, który, Tristen miał nadzieję, szukał teraz medyka.

Żaby z nieba. Idrys miał na myśli zło wszelkiego nieprawdopodobnego rodzaju. Zbyt wiele niedoli naraz. Tristen spróbował dosięgnąć Emuina. Zawołał nań ze swego miejsca w szarej przestrzeni, starzec jednakże toczył własny bój. Młodzieniec zamierzał właśnie przyjść mu z pomocą, gdy podszedł do niego Uwen.

–Jego Królewska Mość się przebudził – powiedział. – Nie czuje się wszak dobrze, panie, ciężka z nim sprawa. Kapitan nalega, byś przyszedł jak najprędzej.

Biegiem niemal dotarł do królewskich komnat, gdzie Idrys nadal czuwał przy łożu Cefwyna. Twarz króla powlekała się bielą, lecz oczy były otwarte. Przybył medyk, ten sam, który zszywał Emuina.

–Tristenie. – Młodzieniec ujął wyciągniętą przez Cefwyna rękę, pragnąc usilnie, by ból ustał, a rana się zagoiła, aczkolwiek jego pragnienia okazywały się bezskuteczne. Usta króla zbiegły się w wąską linię, pot wystąpił na białą twarz.

–Nie umiem tego, co umiał Mauryl – rzekł cichym głosem, by tylko Cefwyn go usłyszał. – Bardzo tego żałuję. Mauryl mógłby uśmierzyć ból. Ale próbowałem.

–Emuin twierdzi, że nie jesteś czarodziejem. – Cefwyn trzymał jego dłoń w bolesnym uchwycie. – Nie wymagam, byś nim został. Ogień ugaszony?

–Tłuszcz w kuchni, miłościwy panie – wtrącił Idrys.

–A spodziewałem się czegoś bardziej ekscytującego – rzekł Cefwyn. Omal nie stracił przytomności, musiał kilkakrotnie głęboko odetchnąć, zanim zapytał: – Emuin. Co z Emuinem?

–Schody są ostatnio wrogo nastawione – odparł Idrys. – Mistrz Emuin się przewrócił, Wasza Królewska Mość. Wyjdzie z tego, ale teraz w nie lepszym jest niż ty stanie.

Wyglądało na to, że Cefwyn usnął. Był strasznie blady, jakby ulepiony z wosku.

–Pozwólmym zasnąć Jego Królewskiej Mości – oświadczył medyk. – Zsuńcie zasłony. I wszyscy stąd wyjdźcie. Żegnam, lordowie. – Przy łożu ustawił słoń wypełniony jakimś białym i ruchliwym paskudztwem.

–Ejże, zabierz to z tego pomieszczenia, mój panie – rzekł Idrys.

–Rana ropyje, lordzie komendancie. Ciało gnije. Oczyszczą je robaki.

–Żadnych przeklętych robaków, mój panie. Precz!

–Ależ ciało gnije. Ostrzegam, igrasz z jego życiem!

–Zabierzcie go stąd! – rozkazał Idrys. – Wołajcie mistrza Hamana.

–Pójdę do księcia.

–A idź do diabła! Nie pozwolę, byś go dotykał! Już by chodził, gdybyś miał, choć tyle rozumu, co te przeklęte robaki. Precz!

Tristen wciągnął głęboko powietrze, kiedy medyk, pozbierawszy swe butelki, wyszedł.

–Miłościwy pan nie lubi lorda medyka, lordzie komendancie – wtrącił Uwen, pochylając głowę. – Przysięgał nie przypuścić go już nigdy do lorda Tristena.

–I słusznie – odrzekł Idrys, po czym poprawił poduszkę pod kolanem Cefwyna. – A teraz wyjdźcie. Wszyscy! Annas ma tu robotę, a reszta... precz!

Ogień w kuchni zagaszono, jak powiedział Uwen, posypując go piaskiem za radą kuchmistrzynie. Włosy szefa kuchni zapaliły się, a trzech chłopców odniosło poważne obrażenia. Wszędzie zalegał piasek, naniesiony wiadrami z kuźni, każdą ścianę i rondel pokrywała warstwa sadzy. Według raportu ogień wybuchł, gdy na nocnej zmianie przysnął jeden z kuchcików.

–Nic się tu nie pitrasilo – mówił Uwen – jeno chleb na rano dorastał. Ponoć ni z tego, ni z owego przewrócił się garnek z tłuszczem i wszystko na węgle ściekło. A potem rozpętało się tu istne piekło. Nikt już nie wie, panie, czy to pies jakowyś do kuchni wleciał i postrącał garnki, czyli co innego, lecz kuchmistrzynie miała cholernego farta, to pewna. Czeka nas kielbasa z dziedzina, jutro zaś ognisko i kociołki. Ależ mamy bałagan!

Tristen z braku zajęcia spacerował od ściany do ściany – nie był w stanie nic zrobić. Emuin trzymał się o własnych siłach i wyklinał go za rozpraszenie jego uwagi, narzekając na nieprzychylne wpływy. Wystąpiło zaburzenie w eterze, twierdził, czego Tristen nie rozumiał, pamiętał jednak o gołębiu i grzechoczącej zasuwce. Za oknami panowały ciemności, a on wałęsał się i w każdym wydarzeniu doszukiwał się interwencji nieprzyjaciela – bał się zwracać na siebie uwagę Hasufina, jak również tego, że Hasufin śmieje się z nich teraz do rozpuku. Skoro zasuwka przy oknie mogła zagrzechotać, wmawiał sobie, równie dobrze mógł się zakołysać i przewrócić rondel.

Nie zapobiegł tragedii swoją mizerną próbą czarowania. Doznane niepowodzenie dręczyło go i skłaniało do rozmyślań, czy aby to nie on ponosi winy za zaistniałe nieszczęścia. Od czasu do czasu przemierzał salę i pytał gwardzistów o samopoczucie Cefwyna, nie usłyszał wszakże żadnych nowin prócz jednej: przybył mistrz Haman, obejrzał ranę i oświadczył, że umie robić okłady, jakie się przykłada koniom, potrafi także zszywać rany, ale na tym

kończą się jego kompetencje.

Zgodnie ze słowami gwardzistów i treścią krążących po zamku plotek, Idris wówczas zapytał:

–Czy konie na ogół zdrowieją?

–Tak, panie – odparł mu Haman.

Wtedy Idris kazał Hamanowi przynieść wszystko, co niezbędne. Wieść ta nie ucieszyła księcia Efanora, który ponownie przysłał medyka wraz z dwoma gwardzistami oraz rozkazem dla Idrysa, by zgodził się na kurację chirurga. Idris powiadomił gwardzistów i medyka, że ich życiu będzie grozić poważne niebezpieczeństwo, jeśli nie ustąpią.

Tak więc powrócili do księcia Efanora, aby zdać z tego raport.

Upłynęło sporo czasu, Haman wielokrotnie wchodził i wychodził, ta z dołu wciąż napływały smugi dymu – wiele komnat wietrzono, uchyliwszy okna, lecz swąd dymu czepiał się wszystkiego, toteż czeladź owijała płótnami kosztowne ubrania i uszczelniała szmatkami wieka kufrów. Emuin do pewnego stopnia wydobrał, tak przynajmniej utrzymywali służący, gdyż poprosił o herbatę. Ze względu na ból głowy nie dawał się ruszyć z miejsca, przeklinając służbę i każąc zacnym terantyńskim braciom pozapalać świece w sanktuarium.

Co można przez to zyskać? – zastanawiał się Tristen, kiedy o tym usłyszał, zachodząc w głowę, czy przypadkiem rozum nie szwankuje Emuinowi lub czy starzec liczy na to swoje zbawienie. Gdy doń zszedł, Emuin rzeczywiście pokraśniał na twarzy, lecz stracił niejako część swej substancji, o ile to było możliwe.

–Panie – zapytał Tristen – czy chcesz więcej świec tutaj? A jak nie, to co mógłbym zrobić?

–Prosiłem braci, żeby zapalili świece – zwierzył się Emuin Tristenowi cicho, niemal niedosłyszalnym szeptem – by się stąd wynieśli, zanim oszaleję. Czy już świt?

–Jeszcze nie.

–Czy i ty to czujesz...? Nie! Nie wolno ci tam patrzeć. Wystrzegaj się tego Miejsca. Coś tu się skrada. Już tu jest. Święci bogowie, jest tutaj!

–Czuję coś strasznego, jakąś nieprawidłowość. Z powietrzem jest coś nie tak, panie. – Ukląkł i ujął zimną dłoń Emuina, który jednak ani o cal nie poruszył głową, jakby dokuczał mu wielki ból; chyba też wcale nie słuchał Tristena, tak jak nikt go nie słuchał, kiedy udzielał rozpaczliwych ostrzeżeń o najstraszniejszych niebezpieczeństwach. – To nie chce się zatrzymać, panie. Jest coraz gorzej. Moje okno trzeszczało. A jeden z moich ptaków zabił się o szybę.

–Sięga dalej i dalej – szepnął Emuin, tak cichutko, że Tristen musiał przysunąć bliżej ucho. – Chce mnie dorwać. Chce mojej śmierci, bom porzucił bractwo. Chce mnie dorwać, to pewne. Chce, bym umarł tutaj, w tym miejscu, przeklęty na wieki. Mógłby to wykorzystać. Kolejny szczebel drabiny.

–Mauryl zwykle używał Słowa, a wtedy do wieży powracał spokój. Czy znasz któreś z tych Słów, panie?

–Brak mi teraz sił, by o nich myśleć. Pozwól, że trochę odpocznę. Głowa pęka mi z bólu.

Tristen pogłaskał czoło Emuina, nader delikatnie, pragnąc, by ból minął. Jakkolwiek podobna próba z czarodziejem pokroju Emuina musiała zakrawać na bezczelność.

–Jeśli moje życzenia są w stanie cokolwiek pomóc, panie, możesz na nie liczyć.

–Mają moc sprawczą – wyszeptał Emuin, ale nie poruszył głową, nie odemknął powiek. – Mają większą moc sprawczą, niżli przypuszczasz, młody lordzie. Wystarczającą, by utrzymać mnie przy życiu. Niech cię lichy weźmie!

–Tak, panie – odparł Tristen, przypisując słowa starca jego narastającej senności i nieustępliwemu bólowi.

–Cefwyn – dodał jeszcze Emuin. – Uważaj na Cefwyna. Młody głupiec.

Tristen nie wiedział, kogo właściwie Emuin nazwał głupcem, niemniej przytaknął, wstał i udał się do komnaty króla.

Gwardziści, zachowujący się nad wyraz spokojnie i poprawnie, odkąd Idrys porozmawiał z nimi na osobności, powiedzieli tylko, że król skarży się trochę na ból, a Idrys pozwolił mu wejść do środka, kiedy tylko sobie tego zażyczy.

Młodzieniec chciał odwiedzić Cefwyna, lecz wszędzie doznawał równie silnego uczucia zagrożenia. Wyglądało na to, że wręcz przenosi je ze sobą.

Wtem na schodach powstał jakiś zamęt, pewna liczba żołnierzy ze Smoczej Gwardii wspinała się na wyższe piętro. Straże Cefwyna i wszyscy obecni z niepokojem kierowali wzrok w tamtym kierunku.

Albowiem nie tylko gwardziści śpieszyli na górę. Był też Efanor. Jego kapłan. A każdy z odmalowaną na obliczu determinacją. Lord komendant Gwywyn. Dlaczego właśnie na to piętro? – pomyślał najpierw Tristen, po czym doznał oświecenia: Ninevrise.

Efanor nie pochwalał jej obecności. Kapłan nie znosił Elwynimów. Gwywyn zawsze był lojalny względem Inareddrina.

–Uwienie! – zawołał Tristen, po czym zwrócił się do strażników: – Powiedzcie Idrysowi. Efanor wystąpił przeciwko lady. Razem z Gwywynem. Szybko! – Sam rzucił się ku schodom w ślad za gwardzistami, którzy tuż przed nim wdrapali się na piętro Ninevrise.

Pobiegł zaraz za nimi, by wnet dogonić Efanora i kapłana.

Szli oni jako jedni z ostatnich w świecie kapłanów niosących świece bądź srebrne i złote naczynia.

–Wasza Lordowska Mość – zapytał Tristen – co się stało?

–Czary – odparł Efanor, obrzucając go spłoszonym spojrzeniem. – Ale ty poznasz, o co chodzi.

–Tak, panie, poznam. Nie ma potrzeby niepokoić lady.

Zobaczył, jak żołnierze ze Smoczej Gwardii z Gwywynem na czele odsuwają spod drzwi Ninevrise zwyczajnego sierżanta z Gwardii Książęcej oraz pozostałych strażników.

Wchodzili do środka, a Tristen za nimi, by zapobiec skrzywdzeniu lady, gdy w tym czasie w opanowanym przez intruzów przedpokoju garstka wystraszonej amefińskiej służby próbowała stanąć pomiędzy Ninevrise a gueleńskim księciem, zbrojnymi żołnierzami i kapłanem quinaltynów.

–Tam jest! – zakrzyknął kapłan z tylnego szeregu. – Tam się zło ukrywa! Tam macie czarownicę!

–Nie, panie! – wpadł mu w słowo Tristen, przepychając się między gwardzistami i lordem komendantem. – To pomyłka, panie!– rzekł do lorda Gwywyna. – Stójcie. Zawołałem Idrysa. Już tu idzie. Poczekajcie na niego.

–Na Idrysa rzucono urok, jako i na króla! – zagrzmiął kapłan.– A ten tu to Sihhijczyk, nie patrzcie mu w oczy! Lepiej go aresztujcie! Wszystkich do aresztu!

Gwywynem szarpały poważne wątpliwości. Tristen przeszył go spojrzeniem, lecz kapłan napierał do przodu i raptownie sychnął mu w twarz szczypiącym w oczy popiołem. Gwardziści minęli go, a słudzy wrzasnęli w przestraszu.

–Co to ma znaczyć? – rozległ się głos Idrysa i nagle coś łupnęło o ścianę i osunęło się z brzękiem na ziemię: gwardzista zagradzający Idrysowi drogę. – Wy! Na korytarz! A teraz reszta, wynosić się stąd! Na miłościwych bogów, czyście postradali zmysły?

–Ty najwidoczniej postradałeś swoje, lordzie komendancie!– krzyknął doń Efanor. – Pociągam cię do odpowiedzialności... pociągam cię do odpowiedzialności za życie mojego brata!

–Król wcale nie umarł! – odkrzyknął mu Idrys. – Do cholery, odłóżcie broń!

–Nie! – znowu wmieszał się kapłan. – Umieściłeś króla w kręgu szkodliwych wpływów, lordzie komendancie, a między innymi mam na myśli tego tu człowieka! Aresztujcie ich razem z kobietą!

Idrys poruszył się, okręcił na pięcie i stanął plecami do ściany, bokiem do Tristena; w jego dłoni błysnął sztylet. Tristen nie chciał dobywać broni. Wydawało mu się, iż kiedy to się już stanie, nie będzie mógł racjonalnie myśleć, zagroził więc tylko drogę gwardzistom – ludziom, którzy nie przejawiali ochoty, by się z nim szamotać. Sprowadzeni przez Idrysa żołnierze Gwardii Książęcej, popychali i potracali żołnierzy Smoczej Gwardii, przybyłych wraz z Efanorem i Gwywynem. Obok Idrysa pojawił się Uwen: przepchał się do przodu i z obnażonym mieczem stanął naprzeciwko Gwywyna i jego ludzi. Za Uwenem przedarli się szybko Erion Netha i Denyn Kei's-son – bez zbroi, ze zmierzwionymi czuprynami, nie dopiętymi koszulami, zasłaniając się gołymi mieczami. Oni i stojący za nimi ludzie, wszyscy z Gwardii Książęcej, sprawiali wrażenie, jakby, dopiero co wyrwani z łóżek, pochwycili spiesznie za broń.

–Stać, wszyscy stać! – zawołał Idrys. – Przekłęci głupcy! Wasza Wysokość, Jego Królewska Mość ma się całkiem dobrze. Niechybnie cię spyta, panie, jakim prawem dopuściłeś się tej nieprzemyślanej napaści. Toż to czyste szaleństwo! Odłóżcie miecze, powiadam! Odłóżcie je, i to zaraz!

–Ja nie przyjmuję od ciebie rozkazów, mój panie! – rzekł Efanor. – Dopóki nie usłyszę słowa z ust króla i nie zobaczę jego oczu, dopóty nie będę ci wierzył. I rzetelny medyk, a nie weterynarz, będzie opiekować się Jego Królewską Mością. Zamierzam również uporządkować pozostałe sprawy, poczynawszy od wyjaśnienia przyczyn wypadku w bryaltyńskiej kaplicy, przyczyn pożaru tudzież przyczyn, dla których mój brat leży teraz na granicy życia i śmierci w kilka godzin po zaręczynach, w czasie, których tak wiele oddano elwynimskiej wiedźmie!

–Oskarżasz mnie o czary? – krzyknęła Ninevrise. – Bardzo dobrze, drogi panie! – Porwała małą książeczkę ze stolika i uniosła do góry. – Mam tu twój podarunek, jaśnie panie szwagrze, czytam twój podarunek w poszukiwaniu twojej prawdy i twojej wiary! Nie wiedziałam, że wiąże się ona z takim zachowaniem!

–Nie słuchaj jej! – wołał kapłan.

–Ha, a więc jestem aż tak niebezpieczna? Odesłałam wszystkich moich ludzi! Zaufałam wam! Przysięga Jego Królewskiej Mości gwarantuje mi bezpieczeństwo, z jego własnej woli mogę w tej komnacie cieszyć się prywatnością!

–Dosyc tego! – mówił Gwywyn, apelując o prawdę i rozsądne argumenty, lecz jego słowa utonęły w generalnej wrzawie, gdy kapłan wrzeszczał, gdy Ninevrise krzyczała.

Raptem ludzie zaczęli się potrącać, stał zabrzęczała o stal... Podstawę czaszki Tristena przeszył ostry ból, Emuin dawał znać o sobie... przyciągając go, ostrzegając... Usłyszał... Małe i gniewne, na wschodzie... wręcz na wyciągnięcie ręki. Śmiertelnie niebezpieczne. Krok w ciemności, palące się świece, płomień świec; nie czerwień ognia, nie błękit amuletów, ale czarny kopeć z nikłą aureolą rozjarzonej bieli, dym wznoszący się wąskimi smugami... ponad trzepotem skrzydeł... cieni i skrzydeł...

–Wschód – usłyszał głos Emuina. – Zło... grozi królowi. Schody. Wschodnie schody przy dużej sali...

Nie potrafił złapać tchu, by przemówić, ból płoszył myśli. Wiedział tylko, że nie wolno mu opuścić lady i że potrzebuje pomocy, Precisnąwszy się między Uwenem i Erionem, pochwyił Ninevrise za nadgarstek. Uszy puchły mu od jazgotu służby, Efanor wołał, by go ktoś powstrzymał. Żołnierze przystąpili do wykonania rozkazu, lecz Uwen i Erion osłonili Tristena mieczami, trzymając na dystans pewną liczbę gwardzistów, podczas gdy on sam przemykał z Ninevrise obok Efanora i lorda Gwywyna, by w chwilę potem znaleźć się wśród Gwardii Książęcej.

Nie tu jednak zmierzał, oślepiiony bólem głowy i tak udręczony cierpieniem Emuina, że omal nie padł na kolana. Dotarł do schodów. Ninevrise wzburzonym głosem zasypywała go pytaniami. Zdał sobie sprawę, że trzyma ją zbyt mocno, toteż puścił ją, pragnąc, by mu towarzyszyła. Słyszając dobiegającą z góry głośną kłótnię Idrysa i Gwywyna, zbiegał, a ona z nim razem, w dół i w dół, schodami...

Miał świadomość panującego w dolnej sali poruszenia, ludzie z przestraszeniem wytrzeszczali na przebiegających oczy, niektórzy usiłowali wydobyć z nich odpowiedzi.

Tristen dostrzegł przed sobą i wschodnie schody, teraz już nie potrzebował Emuina. Sam wiedział. Czuł to, nieznacznie łaskoczące powietrze, niemniej obecność napawająca lękiem.

–Co się dzieje? – sapnęła Ninevrise. Podciągnęła spódnicę, próbując dogonić go na schodach, kiedy kierował się na wyższe piętro. Strażnicy pod drzwiami komnaty Orien popatrzyli na nich ze strachem.

–Panowie – rzekł, starając się, by to zabrzmiało spokojnie i; i rzeczowo – otwórzcie te drzwi. Natychmiast.

Gwardziści usłuchali. Tristen nigdy dotąd nie przekroczył progu przedpokoju lady Orien. Teraz razem z Ninevrise i żołnierzami przeszedł poza owe wewnętrzne drzwi. Powitały go strachliwe okrzyki kobiet. Na skutek równoczesnego otwarcia wewnętrznych i zewnętrznych drzwi, zimny wiatr wpadł z ciemności nocy poprzez otwarty na oścież lufcik, dmuchając ostrymi oparami perfum. Płomień świec zamigotały na wietrze, rzucając cienie na grupę odzianych na czarno kobiet, patrzących ze zdumieniem i zarazem przerażeniem.

Przed nimi poukładano na stole świece, miskę z czymś ciemnym, i rude rozplecione

warkocze i kolczastą gałązkę. Wśród kobiet Tristen i wyczuwał obecność, a najgłośniejszą wydała mu się Orien Aswydd, która mierzyła go zimnym, twardym spojrzeniem, gdy po jej twarzy pełgało światło jednej jedynej świecy, gdyż wypaliły się już wszystkie stojące w pobliżu.

Bądź przeklęty! – powiedziała Orien i oto szara przestrzeń rozbłysła, powietrze mocniej łaskotało.

Czy to Orien Aswydd? – zapytała Ninevrise. – Czy to Orien Aswydd, która zabijała moich wysłanników?

Wynoś się! – krzyknęła do niej Orien, a potem dodała ze strachem: – Nie zbliżaj się do mnie!

Ninevrise wprowadziła gniew do szarego świata, rzuciła się na Orien, a pozostałe kobiety pierzchyły na boki. Wszędzie wokół rozsypały się Cienie. Tristen doznawał przykrego uczucia. Powietrze drżało, szarość falowała niczym kotara, łopotała jak skrzydła. Gniew był mile widziany.

–Nie! – wrzasnął Tristen i, chwyciwszy skraj stołu, przewrócił go przed kobietami.

W świetle sączącym się od drzwi świece, miska i cała reszta lądowała na ziemi. Z rozlanego wosku ogień przerzucił się na spódnicę jednej z kobiet, która z piskiem usiłowała go zdusić.

Blask ognia rzucił refleksy na żelazo w dłoni Orien. Tristen ujrzał je i odwrócił Ninevrise, gdy Orien okrążyła róg stołu, po czym uchylił się, gdy druga z kobiet pchnęła w jego kierunku ostrze noża. Źle mierzyła, pomyślał, i bez trudności złapał nadgarstek kobiety (w takich chwilach zdawało się, że czas biegnie wolniej) – w zupełnej niemal ciemności, ponieważ jeden z gwardzistów zgasił palącą się tkaninę, podczas gdy drugi zapobiegał ucieczce pozostałych niewiast. Tristen zabrał nóż i wyswobodził napastniczkę, to znaczy oddał ją pod straż gwardzistów.

Orien tymczasem leżała w kłębowisku ciemnych spódnic, Ninevrise, obutą w pantofel stopką, przyciskała jej dłoń do ziemi. Znalazł się następny nóż – gwardziści odkrywali, że stanowią one uzbrojenie większości kobiet. Ninevrise z całej siły przydeptywała rękę, a Orien usiłowała ucaścić ją paznokciami za kostkę i przewrócić, szarpiąc za spódnicę.

Tristen pochylił się i wyciągnął nóż ze zmiażdżonej dłoni, potem chwycił Orien za przegub i postawił ją na nogi, niezbyt delikatnie.

–Bądź przeklęty! – Oczy Orien płonęły wściekłością i strachem. Szamotała się, więc ją puścił. – Bądź przeklęty! – Wypowiedziała kilka Słów, lecz nie towarzyszył im żaden dźwięk. Wicher wpadł do komnaty.

–Wielkie nieba – mruknął jeden z gwardzistów.

–Chyba powinniście ją stąd zabrać – oświadczył Tristen. Wypowiedziała przecież Nazwy. Nie wiedział, co oznaczały. Nie wiązał się z nimi żaden obraz, tylko ciemność. Po tym porywie wichru w powietrzu nie wisiała już tak wielka groźba, lecz zimny wiatr nadal zawiewał przez otwarty lufcik. – Zamknij okno, panie. Myślę, że lepiej, aby było zamknięte.

–Na mą duszę, ani nam się nie śniło, panie – rzekł niepewnym tonem najwyższy rangą gwardzista, gdy reszta zaganiała do rogu pięć kobiet, gdzie dalsze przejście uniemożliwiały im ciemnoszare draperie i pozłacany sznur. Jedyne światło wpadało do środka z sali przez otwarte szeroko drzwi, ale i ono było przyćmione.

Raptem szarpnęło coś szarością, tym razem jednak był to Emuin, zadowolony pomimo obolałej głowy, zadowolony z przebiegu wydarzeń, chociaż na Tristena uderzyły poty i poczuł, jak komnata wiruje wokół niego w przebłyску świadomości.

–Tak to już bywa, gdy jest się własnością Marhanena – stwierdziła Orien, masując obolały przegub. Pozostałe świece w dziwny sposób oświetlały jej twarz. Nie wydawała się już piękna, tylko straszna i złowieszcza; takie właśnie oblicze zwróciła ku Ninevrise. – To ty przede wszystkim powinnaś się wstydzić.

–Wasza Miłość – odparła Ninevrise lodowatym tonem – popełniłaś gruby błąd. – Spojrzała na gwardzistów. – Chciałabym wezwać bryaltynów, gdyż sama nie posiadam gruntownej wiedzy w tych sprawach. Ale sądzę, że powinni oni zobaczyć to pomieszczenie i te przedmioty, zanim zostaną stąd uprzątnięte. Jestem pewna, że niektóre z nich są w stanie wyrzucić dużą krzywdę. Wiem bowiem, co oznaczają. W Elwynorze objęte są zakazem. Zapewniam was, panowie, ja się tym nigdy nie parałam, ani też mój ojciec.

Obecnie w komnacie oprócz czterech gwardzistów zebrało się więcej osób. Nadszedł lord kapitan Kerdin i księżę Efanor, zaciskając palce na amulecie i wiodąc za sobą hufiec quinaltyńskich kapłanów.

–Tu się odprawiało czary – skonstatował Efanor. – Przyzywało nadziemskie moce. Aresztujcie ich.

–Dufam, że tym razem nie masz mnie na myśli, Wasza Wysokość – zauważyła Ninevrise. – Albo lorda Tristena.

–Nie, Wasza Miłość. – Rysy twarzy Efanora były ściągnięte. – Obawiam się, że pomyliliśmy źródło. Ale skoro wiedziałaś, dokąd iść, rodzi się pytanie, czemu tak długo zwlekałaś?

–Wasza Wysokość... – zaczęła, zniecierpliwiona.

–Wasza Księżęca Mość – wtrącił Tristen. – Sam nie potrafiłem odnaleźć źródła, a przecież jestem Sihhijczykiem. Ledwie udało się to mistrzowi Emuinowi, chociaż to czarodziej.

–Kapłan – sprostował cierpko Efanor. Tristen przypomniał sobie, jak niegdyś Cefwyn mu doradzał, by nigdy nie wchodził w spory z księciem Efanorem na tematy kapłanów, zatem zrezygnował z dalszych argumentów.

–To gniazdo występku – mruknął kapłan Efanora – i powinno się spalić wszystkie te kobiety.– Niektóre z niewiast zaczęły pochlipywać. Ale nie Orien.

–Nie, panie – zaprotestował Tristen układnym tonem, po czym dodał, wiedząc, iż stawia ich przed dylematem zwierzchności: – Myślę, że Jego Królewska Mość powinien zdecydować, co z nimi uczynić.

To ich uciszyło.

–Do wartowni z nimi – zakomenderował Efanor. – Przydzielić im strażę i zapalić wokoło świece. Wasza Miłość, przyjmij moje przeprosiny.

–Przyjmuję, Wasza Wysokość – odparła Ninevrise i podała mu dłoń, którą Efanor ujął z ociąganiem i pocałował ostrożnie. – Dziękuję, Wasza Wysokość. Jeśli zechcesz zaprowadzić mnie do Jego Królewskiej Mości, będę mocno zobowiązana. Tak się boję.

–Pani – rzekł Efanor i, co Tristen uznałby wcześniej na górze za rzecz wysoce nieprawdopodobną, odszedł z lady u ramienia, mijając kapłanów i gwardzistów, jakby był z nią w dobrej i przyjaznej komitywie.

Tristen zerknął na lorda kapitana, zdezorientowany. Na twarzy Kerdina również gościł wyraz powątpiewania. Tristen sądził jednak, iż Ninevrise zachowała się bardzo mądrze, każąc Efanorowi przypomnieć sobie o dobrych manierach. Co więcej, nie upokorzyła go, chociaż mogła. Efanor o tym wiedział.

Mądre zachowania nigdy nie uchodziły jego uwagi. Mógł je przynajmniej podziwiać. Widział, jak gwardziści zbierają kobiety, by zabrać je do wartowni, co napełniało go smutkiem: sam w niej niegdyś przebywał, a Orien zapewne nie spodoba się to miejsce.

Wpatrywała się w niego hardym wzrokiem. Przypuszczalnie gniewała się na wspomnienie o lordzie Herynie. Wykazała się wielką odwagą, atakując Cefwyna, choć mógł ją zauważyć przynajmniej jeden czarodziej. No i wątpił, czy to czary stłukły głowę mistrza Emuina.

–Sądzę – podsunął myśl Uwenowi i lordowi Kerdinowi – że w bryaltyńskiej kaplicy ktoś napadł na mistrza Emuina. Niekoniecznie któryś z braci, lecz wątpię, by mistrz Emuin pośliznął się na schodach. Sądzę, że ktoś pomagał lady Orien, zarówno w kaplicy, jak i w kuchni.

–Jeśli mistrz Emuin wykaraska się z tego – stwierdził kapitan Kerdin – nie chciałbym być na miejscu tej osoby, lordzie strażniku. Obawiam się, że oprócz ciebie on nadaje się najbardziej do zbadania tej sprawy. Ale zapytam opata i kuchcików, kto wchodził i

wychodził.

Tristen powiódł niespokojnym spojrzeniem po komnacie, po twarzach kobiet. Oczy Orien wciąż ciskały błyskawice. Nadal kipiało w niej zło. Nadal wrzał gniew. Czuł to, gdy, szukając dla siebie jakiegoś zajęcia, postanowił dowiedzieć się, czy Cefwynowi i Emuinowi nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Wyszedł na korytarz: i zszedł po schodach na dół.

Uwen trzymał się blisko niego, opowiadając, jak to księżę Efanor ostatecznie dał posłuch argumentacji Idrysa i jak później Idrys wraz z Gwywynem poszli razem do króla, by się przekonać o jego stanie zdrowia.

Kiedy jednak zszedł do dolnej sali, doświadczył tego samego uczucia – strasznego uczucia, którego doznał uprzednio, gdy niespodziewanie rozpoznał kierunek wskazujący miejsce, gdzie dokonywały się knowania Orien. W dalszym ciągu w tamtym kierunku czaiło się coś niedobrego.

–Panie? – zapytał Uwen, gdy Tristen przystanął. Głos Uwena dochodził z bardzo daleka. Odbierane uczucie przytłaczało swą siłą: to było tam, na końcu sali, na dolnym piętrze. – Panie? – powtórzył Uwen.

To właśnie miejsce obudziło w nim niepokój, gdy odwiedził je i po raz pierwszy; miejsce, gdzie marmurowe płyty ustępowały wiekowym kamieniom.

Linie. Linie murarzy.

–Nie ruszaj się stąd – powiedział do Uwena, a kiedy ten zaprotestował, powołując się na bezpieczeństwo Tristena, młodzieniec powtórzył: – Nie ruszaj się stąd! – Począł samotnie przemierzać salę, mijając innych ludzi, mijając służących. – Uciekajcie stąd – mówił, a słudzy, sprawiający wrażenie przestraszonych, czmychali, nie zwlekając.

Szedł i szedł, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie zmieniał się wygląd posadzki.

Ujrzał salę obwieszoną starymi sztandarami, a następnie zaczął wypatrywać pod stopami linii, z jakimi spotkał się już w Althalen.

Linie były ledwo widoczne, jarzyły się bladą poświatą. Uniósł wzrok i popatrzył na wypełnione chorągwiami ściany, słysząc furkot skrzydeł, setek skrzydeł. Dostrzegł poruszenie wśród Cieni zwisających niczym stare draperie, przycupniętych na krokwiach, rozkładających skrzydła na podobieństwo wielkich ptaków; cały korytarz drżał i chybotał wraz z gnieźdzącą się w każdym zakamarku ciemnością. Skrzydła zaczęły się rozpościerać, Cienie – zrywać do lotu i odgrażać Tristenowi, który cofnął się poza coraz mniej bezpieczną linię, szukając w myślach Słów, jakich używał Mauryl, zaklęć czy czegokolwiek, czym posługiwał się czarodziej.

–Tristenie – rozległ się głos Emuina. – Tristenie! Nie podchodź! Trzymaj się mnie... i ratuj,

bo upadam! Przytrzymaj mnie!

–Tak, panie – odparł, wyczuwając w szarej przestrzeni bezpośrednią bliskość Emuina. Mędrzec stawał się silniejszy i silniejszy, błękitna linia u stóp młodzieńca jarzyła się jaśniej i jaśniej, aż zapłonęła, aż błysnęła białym światłem. Cienie były już tylko chorągwiemi, znikło też miejsce wypełnione trzepotem skrzydeł...

–Panie! – wołał Uwen. Nie posłuchał rozkazu, przybył z nagim mieczem w ręku, by stanąć przy nim, oglądając ściany pełne wypłowiałych chorągwi. – Co tu się dzieje, panie? Ktosik się tu ukrywa?

Mistrz Emuin nie umarł. Wycofał się, tak że Tristen z ledwością wyczuwał jego obecność, lecz coś uległo zmianie odnośnie tej obecności. Była teraz o wiele cieplejsza, pełna wigoru, bardziej materialna, o ile w szarym królestwie takie określenie miało rację bytu. Nigdy nie widział Mauryla. Nigdy nie słyszał Mauryla w sposób, jaki nauczył go Emuin – prawdopodobnie Mauryl mógłby w tym miejscu okazać się straszną postacią. Emuin nią nie był, a przynajmniej nie w stosunku do niego.

–Już poszedł – zwrócił się do Uwena. Odetchnął z ulgą. – Nikogo tu nie ma. Powinniśmy pójść teraz na górę.

Kiedy Cefwyn wreszcie się obudził, wokół jego łoża zebrało się bardzo wielu ludzi. Przez okna wpadały promienie słońca, a zatem z pewnością spał dobrą chwilę. Powoli zamrugał, zdumiony na widok stojących naokoło Idrysa, Tristena, Ninevise i Efanora.

Nie pamiętał, co robił przed pójściem do łóżka, lecz gdy poruszył nogą, będącą dotychczas źródłem wielkiej niedoli, okazało się, że wprawdzie rana się nie zagoiła, jednak nie odczuwa już tak nieznośnego bólu.

–Cóż to za okazja? – zapytał, stwierdzając z zażenowaniem, że jest przedmiotem bacznej obserwacji. – Pani. – Z pewnością nie wyglądał najlepiej. Musiał mieć zmierzwiłone włosy. Przeczesał je dłonią i poczuł, jak niewytłumaczalnie słaba jest jego ręka.

Zjawił się Annas z miską zupy, mówiąc, że kuchnia nie będzie funkcjonować jak należy, póki nie zostaną umyte wszystkie garnki. Cefwyn nie wiedział, co to oznacza, a kiedy próbował ułożyć pytanie, podszedł paż i podłożył mu poduszkę pod plecy, gdy drugi trzymał przed nim miskę i łyżkę, zamierzając podawać mu zupę do ust w obecności tych wszystkich świadków.

–Nie! – sprzeciwił się ostro, machnięciem ręki odprawiając zupę, łyżkę i chłopca. – Co to ma znaczyć?

–Urok więdźmy – odrzekł Efanor, który usiadł odwrotnie na krześle, ułożywszy ramię na oparciu.

Cefwyn nie był przygotowany do wydawania opinii na temat Efanora czy wiedźm.

–To znaczy Orien Aswydd – powiedziała Ninevrise. – Mistrz Emuin rozbił głowę, ale mówi, że wkrótce dojdzie do siebie.

–Ja czuję się dobrze – oświadczył Cefwyn. – Możecie być pewni, że czuję się dobrze. Co wy tu wszyscy robicie?

–Powinieneś czuć się już o wiele lepiej – rzekł Idrys.

–Tak też będzie, jeśli przestanie się na mnie gapić choć połowa tych ludzi. – Nie pojmował, skąd wzięło się jego osłabienie. Nie I miał ochoty na zupę. Przede wszystkim marzył o spaniu. Postanowił na chwilę zamknąć oczy. – Oglądałeś konia, Tristenie? I co o nim myślisz?

–Piękne zwierzę, panie.

–To dobrze – mruknął Cefwyn.

Przypomniawszy sobie, że w tym całym towarzystwie znajduje się jego narzeczona, na dodatek razem z bratem, co wydawało się mało prawdopodobne, zatem po raz wtóry spróbował unieść powieki, by przekonać się, czy to prawda.

–Wybaczcie mi, nie zamierzam znowu zasypiać.

Oczy się zamknęły. Czuł, jak poruszają się koło niego, słyszał, jak rozmawiają o nim po cichu, a Annas mówi, że na razie wleją zupę z powrotem do garnka, gdzie poczeka na króla. Cefwyn chętnie by umknął tej zupie. Ale umknąć Annasowi nie było wcale tak łatwo. Nauczył się tego – na kolanie Annasa.

Czy miał zjeść owsiankę? Pomyślał o promieniach słońca wpadających przez okno swego dzieciństwa.

Ale to było głupie. Lub zaczarowane. Tego szczególnego poranka, kiedy miał sześć lub siedem lat, słyszał głosy większości ludzi, którzy mieli się w przyszłości liczyć w jego życiu. A więc był to nader ważny sen, chociaż teraz nie znał ich imion. Niemniej wiedział, że je pozna, kiedyś, i że będzie o tym śnie pamiętał, gdy już dorośnie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W ciągu dwóch dni pojawił się Mróz i osadził Szron na czarnych dachówkach Zeide za oknem Tristena. Młodzieniec otworzył lufcik, by zbadać dziwną białą otulinę, przekonując się, jak zimne jest powietrze, a szron śliski, zimny i zgoła nadzwyczajny. Wypełniając swoje poranne obowiązki, ludzie krzatali się po wąskim, widocznym z jego okna fragmencie dziedzińca, przy czym z ich ust dobywała się biała para. Podobnie jak z jego ust, gdy stał

przy szybie.

–Popatrz! – zwrócił się do Uwena, z głupia frant, zauroczony tym cudnym zjawiskiem. Uwen wyrżał na zewnątrz. – Dlaczego tak się dzieje? – zapytał, na co mężczyzna podrapał się po zarośniętym podbródku.

–Bo jest zimno.

–Ale dlaczego?

–Chyba nie mam na to odpowiedzi. Nigdy nie pytał kogoś, kto by wiedział. To pytanie dla mędrca. Oddech jest ciepły. Konie tak robią, ino się zgrzeją.

–Wydychają parę?

–Ajuści.

–To bardzo dziwne – skonstatował Tristen, po czym chuchnął na szybę.

Zamiast ubrać się na śniadanie, obserwował czary. Z chęcią zapytałby mistrza Emuina o parę i lód, lecz starzec rzadko się budził, chyba żeby coś zjeść, a wtedy męczył go tak wielki ból głowy, że Tristen wolał się doń nie zbliżać. Emuin gniewał się na Tristena, był przygnębiony i nie chciał się z nikim widywać. W kaplicy kapłani bez ustanku zanosili modły, przypisując uzdrowienie Emuina cudownej łasce bogów, jednakże starzec nazywał teraz siebie potępionym i powiedział, że sam sobie jest winien, bo nierozważnie wrócił w pobliże Tristena.

To bolało, lecz młodzieniec z dystansem podchodził do tej wypowiedzi, uważając, że kiedy czarodziej wróci do zdrowia, co się przecież stanie, powróci mu pogodniejszy nastrój.

Tymczasem Emuin zwierzył mu się, iż pracuje nad swoim uzdrowieniem, aczkolwiek proces ten trwa powoli, gdyż mnóstwo sił, jakimi dysponował, przekazał królowi.

Cefwyn chodził już o własnych siłach. Wypytywał się, według relacji Annasa, o stan kuchni, o poparzonych chłopców i o to, co się dzieje z Orien Aswydd; Idrys wyłuszczył mu tę drażliwą kwestię i wyjaśnił powody, dla których nie chciała się goić rana na nodze. Potem król złożył wizytę mistrzowi Emuinowi, podpierając się znieawidzoną laską, przy czym Emuin gniewnie zaznaczył, uniósłszy jedną z sinych powiek, że Jego Królewska Mość powinien być uczynić tak wcześniej, a nie przewracać się na schodach jak cholerny głupiec.

Wnet na dół zeszła Ninevise, mniej swarliwie nastawiona, by zaparzyć Cefwynowi herbatę i roztoczyć nad nim swą opiekę, podobnie jak Idrys i Annas – no i Tristen, gdy reszta wyszła już z komnaty. Dostarczył Cefwynowi, podobnie jak zeszłego dnia, raporty z pastwisk fci zbrojowni. Tristen zamyślał nawet, podczas zbierania radosnych wieści dla króla, czyby nie donieść mu również o zamieniających się w parę oddechach i coraz zimniejszym

powietrzu, ale w końcu doszedł do wniosku, że tak pospolite cuda prawdopodobnie nie rozweselą Cefwyna.

Rozporządzenia wydawali teraz Annas i Idrys, pilnując ładu całym gospodarstwie. Czeladź dźwigała wodę po schodach, by wymyć wszystko, co zabrudził dym, przy czym wyszło na jaw, że pokrył on warstwą brudu nawet z pozoru czyste ściany. Kuchmistrzynie poustawiała na dziedzińcu balie i rozpałała ogniska, podczas gdy słudzy wynosili do wyszorowania okopcone gary i stoły. Mistrz budowniczy obejrzał wnikliwie belki i cegły w kuchni, po czym wydał robotnikom szereg rozkazów. Stos osmalonego drewna z kuchni służył do podtrzymania ognia na dziedzińcu, a zapachy gotowanych potraw walczyły z ciągle obecnym swądem dymu.

Tej nocy wichur smagał twierdzą – hałaśliwy, zimny wichur, zmuszający do zapalenia wszystkich ogni; chociaż grzechotał drzwiami i oknami, wydawał się niezłośliwy. Cefwyn, wraz z innymi, zaprosił do siebie Tristena. Siedział przy kominku w wygodnym krześle, z nogą na podnóżku, owinięty kołdrą, z kielichem wina w ręku i w otoczeniu, jak powiedział, przyjaciół: Ninevrise z Mar-golis zeszły na dół, gdy Tristen, Idrys i Annas już tam byli.

Efanor, cichszy niż kiedykolwiek dotychczas, nadszedł, gdy Ninevrise czytała na głos poezję, usiadł i słuchał, by po chwili podejść i położyć dłoń na ramieniu Cefwyna, pytając go cichym głosem o samopoczucie oraz życząc zarówno jemu, jak i jego damie wszystkiego najlepszego.

Harfiarz przygrywał, nikt się nie kłócił, nikt nie wspominał Orien Aswydd. Przez cały wieczór Efanor czuł się niezręcznie, lecz nie odchodził, odnosząc się z szacunkiem do lady, która, kiedy się dość wcześnie żegnała, ujęła jego dłonie, popatrzyła nań uważnie i powiedziała z powagą, tak by wszyscy słyszeli:

–Dziękuję.

Efanor chyba nie wiedział, jak ma zareagować. Zarumienił się mocno i wpił wzrok w ziemię, jakby usiłował cokolwiek powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

Ostatecznie rzekł:

–Pani. – Po czym wyszedł.

Idrys patrzył z ukosa na Cefwyna. Cefwyn patrzył w stronę drzwi – albo na patrzącą na drzwi Ninevrise. Tristen zastanawiał się, co też Efanor zamierzał powiedzieć, zdając sobie nagle sprawę, że wstrzymuje oddech.

Następnego dnia liście grubą warstwą pokryły ziemię. Tristen wyprowadził Dysa i ruszył na łąki, mijając po drodze sad z drzewami o nagich gałęziach, zaścielony stosami liści, które wyfruwały spod olbrzymich kopyt wierzchowca. On na Dysie, a Uwen na Cassie ścigali zającą po łące. W końcu szarak ukrył się w chaszczach, a oni wrócili na koniach

buchających parą w mroźnym, popołudniowym powietrzu.

Ku swemu zaskoczeniu i rozpaczy gwardzistów Cefwyn odwiedził stajnie przy pastwiskach. Dosiadał Danvy'ego, pilnowany przez konną eskortę. Mróz szczypał go w bladą twarz, lecz król miał czerwone policzki i doskonały humor.

–A, tutaj jesteś! – zawołał, nieznacznie pocierając nogę. – Danvy stąpa całkiem równo i spokojnie, a i mi idzie o wiele, wiele łatwiej niż tydzień temu. Obudziłem się dziś, nie czując prawie bólu. Co prawda, dam sobie na razie spokój z Kanwym, ale rad bym przejechać się z tobą tam i z powrotem.

–Będzie mi miło – odrzekł Tristen, po czym on, Cefwyn, Uwen oraz konni gwardziści przejechali spory kawałek pastwiska dla owiec.

–Jak ci się podoba ten młokos? – zapytał Cefwyn.

Tristen zrozumiał, że chodzi o konia, którego dosiadał.

–To szlachetne zwierzę. – Poklepał Dysa po karku. Gdyby ktoś zapytał, który koń jest który, mógłby odróżnić Dysa od Kanwy'ego, I lecz większość ludzi byłaby w rozterce, pomyślał. – Bardzo go lubię. I bardzo dziękuję.

Cefwyn opowiadał o dorastaniu Dysa i linii jego przodków, i jak to Dys przyszedł na świat pewnego mroźnego poranka. Z ich ust dobywały się kłęby pary. Cefwyn wkrótce się zmęczył, ale Tristen przypuszczał, iż Cefwyn nad podziw szybko dochodzi do formy.

–Jego Królewska Mość dobrze wyglądał – ocenił później Uwen. – Można by pomyśleć, że nie trza mu żadnych lasek.

Tristen cieszył się z tego powodu. Nastrój mu się wszakże pogorszył, gdy zaraz po powrocie do Zeide odwiedził Emuina, który ledwo odmykał oczy. Ujął jego dłoń, ukląkł przy nim i szepnął mu do ucha, tak by zacni, troszczący się o chorego bracia niczego nie usłyszeli:

–Wiem, co zrobiłeś, mistrzu Emuinie. Cefwyn zdrowieje bardzo szybko, ale teraz musisz zadbać o siebie. Czy mnie słyszysz, panie?

Emuin nie dawał po sobie poznać, by cokolwiek doń docierało. Przemóżny lęk zdjął Tristena. Sądził, że powinien być w stanie zrobić coś więcej. Pragnął, ażeby obaj, Cefwyn i Emuin, wrócili do zdrowia. Emuin wyszczupłał, włosy mu zupełnie zbieleły, przypominał teraz Mauryła. Jakkolwiek twarze różniły się od siebie, było coś w starcu, co budziło odległe wspomnienia i mówiło, chociaż nie pokrywało się to dokładnie z prawdą, nie każdego dnia, że teraz i Emuin posiadał pewną cechę Mauryła, pewną jakby świetlistość.

–Mistrzu Emuinie. – Ręka Emuina była niezwykle krucha, niezwykle gładka, jak gdyby

zaczynała przypominać delikatny jedwab lub kurz na starych deskach, który palcom Tristena kojarzy! się z domem, z Ynefel. – Mistrzu Emuinie, jestem przy tobie. Jeżeli jest coś we mnie, czym mógłbyś się posłużyć, jeżeli jest cokolwiek, co mógłbym dać lub ty mógłbyś wziąć, a co nie przeszkodzi mi w wypełnieniu intencji Mauryla... to ja tu jestem. Czy mnie słyszysz, panie? Chcę, żebyś uleczył teraz siebie samego.

–Łatwiej powiedzieć, niż wykonać – nadeszła odpowiedź. Zdało mu się, że w pobliżu wszystko straciło ostrość; naokoło pokazywały się linie Zeide, to przymglone, to znów jaśniejsze, błękitne. – On wciąż pragnie dostać się do środka.

–Do środka? – zapytał. – Czemu do środka, panie? Czemu nie skrzywdzi nas na zewnątrz? – Było to na tyle rozsądne pytanie, że aż się zastanowił, dlaczego nie zadał go nigdy Maurylowi. I czemu, pomyślał, wieczorem? I czemu pod dachem?

–Osobliwe pytanie – rzekł Emuin, – Co wyróżnia budynki? Domy? Sadyby?

–Mieszkają w nich ludzie. – Jakby siedział obok Mauryla: pytanie, odpowiedź – Niemądry chłopiec, powiedziałby Mauryl. Ale może jego pytania, o ile nie odpowiedzi, stały się już mądrzejsze?

–Mieszkają w nich ludzie – Emuin powtórzył zdławionym głosem; linie błyszczą jasno. – My je czymś obdarzamy, a wtedy stają się dla nas Miejscami. I nie może stać się nam krzywda.– w pewien sposób... dopóty te Miejsca dla nas istnieją, nawet w naszych snach. Musimy pogwałcić własne sanktuarium, aby zdołano nas skrzywdzić... w pewien sposób. Ale twoje Miejsce należy także do niego. A jego Miejsce... do ciebie.

–Masz na myśli Ynefel, panie?

–Owszem, Ynefel. – Tristen poczuł, jak poruszają się palce Emuina. A potem zaczynają drętwieć. – Będę się trzymał. Zrobiłem, co mogłem. Boję się tego, czym naprawdę jesteś. Ale nie zamierzam cię nadwątlić jakimkolwiek pytaniem czy jakąkolwiek przeszkodą. Rób to, do czego zostałeś Zawezwany i Uformowany.

–Boisz się, czym jestem, panie... A zatem wiesz, czym jestem? Czy możesz mi odpowiedzieć choć na to? Możesz mnie przestrzec, co mógłbym zrobić niewłaściwie?

–Nie – odparł Emuin. – Chyba nie mogę. Trudno mi myśleć o tych rzeczach. Trudno mi przewidzieć...

Nie jestem w stanie przewidzieć, co zamyślasz robić, powiedział Mauryl. Deszcz w kałużach. Deszcz na parapecie. Światło błyskawicy. Czyżbyś nie umiał myśleć o konsekwencjach, Tristenie? A on odpowiedział... Staram się.

–Nigdy nie przyjąłeś nieprzyjaciela do serca – podjął Emuin.

–Nigdy nie szukałeś wraz z nim kompromisu. I nigdy tego nie rób. Nigdy tego nie rób, chłopcze. A teraz odejdz. Nie nękać mnie dłużej. Dość pracy przede mną.

Znów był w komnacie. Ścierpła mu noga. Emuin leżał w nie gorszym ani w nie lepszym stanie niż przedtem. Pomyślał, że słyszał głos Mauryła. Albo że dotknął czegoś, czym jest Maurył. Lub był.

Wstał po cichu. Bracia pochylili głowy na swój uniżony sposób. Odpowiadając na ukłon, Tristen poczuł schowany pod koszulą amulet – kółeczko, które dał mu Cefwyn, a które on sam dostał od Emuina. Nigdy się nie uwidaczniało w drugim świecie. Przypomniał sobie teraz o nim tylko dlatego, że należało do Emuina i stanowiło swoistą ochronę.

Ale teraz to on ochraniał Emuina, Podobnie jak już wcześniej Cefwyna.

Nie jestem w stanie przewidzieć, powiedział Maurył, co zamyślasz robić.

Pomyśl o konsekwencjach, Tristenie.

Także następny dzień zaświtał, mroząc oddechy. Na dziedzińcu utworzyła się ślizgawka, na której przewrócił się jeden ze służących, rozcinając sobie głowę. Mistrz Haman musiał ją opatrzyć, ponieważ nadworny medyk wyjechał zły i w niełasce – w kompanii lorda Sulriggana, głosiła plotka, udającego się do stolicy. Jeden kłopot mniej, jak przeważnie mówiono.

Cefwyn zwołał naradę wojenną, mającą się odbyć w południe w jego apartamencie.

Tristen był w rozterce, lecz Idrys powiedział, że powinien przyjść, więc przyszedł. Wśród obecnych nie zabrakło także Efanora, Ninevrise, lorda kapitana Kerdina i lorda komendanta Gwywyna. Nie pokazał się jednak żaden z amefińskich lordów (wszyscy pilnowali zbiorów) oraz ludzi Sovraga, którzy, stacjonując nad rzeką, jak powiedział Cefwyn na wstępie, przysyłali wiadomości z kilku punktów dzienną pocztą kurierską; król rozesał gońców do wiosek i amefińskich lordów.

Na stole obiadowym piętrzyła się sterta mapek; przybyły tej nocy, jak oświadczył Idrys, a naniesiono na nie każdą większą skałę, każdy pagórek – wszystko, co ludzie Ninevrise wypatrzyli w okolicy Równiny Leweńskiej, na północ i zachód od ruin w Emwy. Za pośrednictwem gueleńskich kurierów lord Tasien zasyłał Ninevrise wiadomość: spotkał się z nadrzeczanami od lorda Sovraga, którzy spławiali rzeką zaopatrzenie i donosili o bezpiecznym brzegu. To samo mówiły wiadomości od Sovraga.

W swym liście do Ninevrise lord Tasien meldował również, że z pomocą amefińskich wieśniaków, dostarczających im wozów, udało się zbudować mur i okopać obóz. Tasien zawiadamiał, że jego ludzie śpią już pod namiotami, kopią fortyfikacje i oczekują na wieści z głębi Elwynoru; wspominał też o braku śladów jakichkolwiek wrogich sił po tej stronie rzeki.

Efanor nieznacznie kiwał głową, być może zdumiony, że otrzymują ten raport właśnie od earla Cassissanu – nie cieszącego się sławą wielkiego dobroczyńcy – wątpiąc osobiście, by można było polegać na słowie lorda Tasienu. Efanor nic jednak nie mówił, dopiero później nadmienił, wielce (jak na niego) potulnie, że to rzecz dziwna, nader dziwna, by w naradzie wojennej uczestniczyła kobieta, aczkolwiek Elwynimi to utalentowani ludzie i mają dużo doświadczenia – co kazało Tristenowi zadać sobie w duchu pytanie, gdzie Elwynimi do tej pory walczyli; zatrzymał jednak to pytanie dla siebie.

Ogólnie rzecz biorąc, zachowanie Efanora było bardzo poprawne. Gwywyn nie wychylał się z żadną aluzją na temat wydarzeń z nocy zakłóconej pożarem. Zrazu wydawał się skrępowany, lecz w miarę trwania obrad wyraźnie się odprężył, gdyż jego rady roztrząsano z równą wnikliwością, jak rady innych.

–Niejednego wstyd tu zżera – Uwen zauważył później, po skończonej naradzie. – Z tego, com słyszał, tamtej nocy, kiedy się to wszystko zaczęło, u quinaltynów odbyło się zebranie, modły i tym podobne, a medyk w napadzie histerii wykrzykiwał, że Jego Królewska Mość umiera. Ja myślę, że książę spodziewał się śmierci króla, skoro odesłano medyka. Nie wątpię, że medyk sporo nabroił w tym względzie. Prócz tego kapłani tłumaczyli służbie, jakoby ktoś urok na króla rzucił. Czym bym się nie przejmował, panie, acz nie podoba mi się robota tego kapłana. – Potem Uwen przytoczył kolejną przyczynę swych zmartwień: – Jestem Gueleńczykiem, nawykłym co nieco do tych quinaltyńskich kapłanów i ich polityki. Nie ma nic wspólnego z modlitwami. A czarodziejów to oni nie lubią.

–Dlaczego? – zapytał Tristen.

–A to z tej racji, że w ich przekonaniu bogowie porządkują świat w zgodzie z własnym planem, a czarodzieje w parady im wchodzą. Nie cierpią ich i niejednego ubili. Na twoim miejscu, panie, miałbym się na baczności i trzymał od nich z daleka.

Wydawało się Tristenowi, że Idrys ostrzegał go w podobnych słowach, więc powtórzył mu wieczorem na osobności domniemania Uwena. Idrys kiwnął głową i powiedział:

–Gwardia Jego Królewskiej Mości ma baczenie na tego kapłana, lordzie strażniku, możesz mi wierzyć. – Potem, co nie leżało w jego zwyczaju, przytrzymał Tristena, by z nim jeszcze pomówić. – Dzielnie się spisałeś, lordzie Ynefel, tamtej nocy.

–Dlatego, że złapałem Orien, panie?

–Między innymi. Muszę ci powiedzieć, że skłonny byłem podejrzewać kogoś ze stronników lorda Heryna. Czarodziejskie ingerencje nieczęsto uważam za racjonalne powody.

–Wątpię, czy ktoś posłużył się magią, by skrzywdzić mistrza Emuina, panie. Sądzę, że nie chcieli zostać przez niego zobaczeni.

–Zobaczeni?

–No właśnie. Czary mogą sprawić, że ktoś upadnie na schodach, ale Orien nie byłaby chyba w stanie tego zrobić. A już z pewnością magia nie rozbije nikomu głowy.

–Z pewnością – powtórzył Idris, a na jego pociągłej, zarośniętej i poważnej twarzy odbił się frasunek. – Magia rodzi we mnie, obawiam się, znacznie więcej wątpliwości niż pewności, lordzie strażniku. Jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że Emuin stanie na nogi przed pełnią księżyca?

–Boję się, że jest bardzo małe, panie. Emuin chyba pomaga przede wszystkim Cefwynowi.

–Nikommu tego nie mów.

–Tak, panie.

–A więc lady Aswydd kazała komuś napaść na Emuina?

–Tak samo, myślę, ktoś polecił Orien, by to zrobiła. Mauryl mówił, że łatwo jest zakląć coś, by się zachowywało, jak i bez zaklęcia może się zachować.

Idrys milczał przez moment.

–Czyli że musimy brać pod uwagę czary, co?

–Tak, panie, czary Hasufina.

–Hasufina Heltaina?

–Nie znam jego całego imienia, panie, ale sprawił, że ptak wleciał na moje okno. I zginął. A w dolnej sali, w sali z chorągwiami... prawie zniknęły linie, które chronią to miejsce. Emuin je odnowił.

Tristen rozmyślnie postanowił się zwierzyć, sprawdzając Idrysa i jego dalekowzroczność. A Idrys nie wykrzykiwał w zniecierpliwieniu ani nie odchodził, tylko mierzył go spokojnym spojrzeniem.

–Orien Aswydd zdrowo narozrabiwała, nieprawdaż? Cóż wobec tego radzisz, coż mamy z nią uczynić?

Idrys teraz jego z kolei poddawał sprawdzianowi, chcąc wiedzieć, czy Tristen wykaże się znamionującą lorda stanowczością.

Cefwyn wcale jej nie potępił. Cefwyn nie zbadał jeszcze tej sprawy. Albo się przed tym wzdragał.

Tristen także. Co innego pole bitwy, a co innego wyrachowane zabijanie. Lord, pomyślał, powinien posiadać umiejętności w tej dziedzinie. Nawet Sowa musiała zjadać myszy.

–Zostawmy to na razie, panie – rzekł Idrys. – Czyżbym wprowadził cię w zakłopotanie? Sądziłem, żeś nie dał się oczarować wdziękowi lady.

–Przynajmniej – stwierdził Tristen, przy czym drżały mu ręce – nie powinna umierać śmiercią Heryna. – Już się szykował, by przyznać Idrysowi rację i oświadczyć, że Orien powinna umrzeć, gdy wtem pomyślał o lordzie regencie, który również był czarodziejem. – Tyle, że kiedy zostanie pochowana, kiedy umrze, będzie jak Hasufin. Może się z nim sprzymierzyć. Połączą ją więzy z tym miejscem. Myślę, że to byłoby niebezpieczne.

Nie dał Idrysowi tego, pomyślał, co Idrys pragnął otrzymać.

–Czyli że zostanie tu na stałe?

–Panie, o ile rozumiem...ona jest słabszą czarownicą od Leciwej Syes z Emwy. O wiele słabszą. Sądzę, że zdołała jedynie wpuścić do środka Hasufina, może trochę mu pomogła. Chyba nas nienawidzi. Ale nie trzymałbym tych kobiet razem. Rozdzieliłbym je i wysłał gdzieś daleko stąd.

–A co z więzami rodzinnymi? Tutaj przecież pochowano Heryna. Niewesoła myśl.

–Nie mam pojęcia, panie. O ile mi wiadomo, on tu zawsze będzie miał Miejsce. Ale ja bym go przeniósł. Pogrzebał między zacnymi braćmi. Między zakonnikami.

–Zakonnikami.

–Tak myślę, panie. Taka jest moja rada.

–Wykopywanie nieboszczyków – mruknął Idrys. – Zakonnicy. To mi się wcale a wcale nie podoba, młody panie. A więc oświeć mnie, kto to zrobił. Kto podłożył ogień? Kto rozbił Emuinowi głowę?

–Nie jestem czarodziejem, panie.

–Zupełnie jak Emuin, który zawsze unika trudnych pytań. – Idrys zbierał się do odejścia.

–Panie – powstrzymał go Tristen, gdy przypomniała mu się pewna dziwna rzecz. Przemówił. Zwrócił na siebie uwagę Idrysa. Po chwili wahania podjął: – Na obiedzie danie lorda Sulriggana było przesolone. Wściekał się na kucharza.

–Rzeczywiście?

–Chłopcy z kuchni splatali kucharzowi figla. – Zdumienie budził w nim fakt, że taka błahostka mogła wyrządzić tyle szkody. – Musiał kipieć gniewem. A Sulrigan właśnie wyjeżdżał.

Idrys zaczerpnął powietrza.

–Rozgniewany kucharz, no, no. Sulrigan. A co z tą drugą sprawą, lordzie Ynefel? Kto uderzył mistrza Emuina?

–Nie wiem, panie. Tego naprawdę nie wiem.

–To amefińska kaplica – rzekł Idrys. – Lord Heryn miał swoje powiązania. Tak samo jak Orien. Na rozmaitych szczeblach. Wystarczy już tego, co mi powiedziałaś, lordzie Ynefel. Okazałeś się wielce pomocny.

–Ale... – Straszna myśl przyszła Tristenowi do głowy, która nie nurtowała go wcześniej. Idrys po raz trzeci szykował się do odejścia, teraz znów się zatrzymał. – Panie, Orien wie o wyjeździe lordów. Wie o Równinie Leweńskiej i pełni księżyca... musiała się dowiedzieć.

–Kucharz Sulriggana miałby przekazywać wiadomości od lady Aswydd? – zdziwił się Idrys.
– Mało prawdopodobne. No i nie ten kierunek. Bryaltyński kapłan, hm... lub ktoś z nim w zmowie...

–Nie, panie. Nie o to chodzi. Lady Aswydd nie potrzebuje wcale posłańca. Hasufinowi też nie trzeba żadnego. Ona mogła już donieść Hasufinowi. Hasufin doniesie Aseyneeddinowi za rzeką. Aseyneeddin zna to miejsce. Wie, kiedy nastanie ten dzień. Ruszy więc wcześniej, panie. Przekroczy rzekę w Emwy i zdobędzie obóz lorda Tasienu. Wciąż twierdzę, że stanie się to, gdy księżyc będzie w nowiu.

Na doskonale nieruchomej twarzy Idrysa nie odbijało się żadne uczucie.

–Nikommu o tym ani słowa. Bez względu na to, jak wy, czarodzieje, mówicie o takich rzeczach, zatrzymaj to dla siebie.

–Panie. – Tristen pomyślał o ptaku i kucharzu, oraz o tym, że bardzo małe rzeczy mogą się ruszać nawet wbrew własnej woli. – Panie, dobrze się stało, że nadworny medyk wyjechał wraz z Sulrigganem.

–Jeszcze jeden przeklęty guślarz?

–Nie, panie. Rozgniewany człowiek. Rzeczy stają się takimi, jakimi chcą się stać. Ale ten ptak nie chciał zderzyć się z szybą. Gdyby chciał, sprawa byłaby łatwa. Idrys odszedł bez dalszej zwłoki – do Cefwyna, o czym Tristen był przekonany. Zdawało mu się, że niewiele czasu im pozostało. O nowiu pomyślał bez żadnej racjonalnej przyczyny.

Przypomniał sobie rachunki Mauryła. Obliczenia faz księżyca.

Nigdy ich nie pojmował. Ale czy rozumiał obecnie w większym stopniu niż kiedyś dokonania murarzy i czarodziejów? Wiedział tylko, że coś okropnego zagraża Amefel, zagraża Cefwynowi, a teLraz, z premedytacją, jemu samemu.

–Powiedział... że to się zdarzy prędzej – powtórzył Cefwyn i usiadł. – Niech to licho! Niech licho porwie tę kobietę!

–Nie miałbym nic przeciwko temu.

–To by już niczego nie zmieniło. – Wszystko, o czym rozmawiali na naradzie: liczby, szacowanie zaopatrzenia, logistyka, przewalało się teraz przez jego głowę. – Czemu chociaż Emuin nie dostrzegł, co się święci, skoro już Tristen niczego nie zauważył?

–Nie sposób teraz zgadnąć, aczkolwiek mości szara szata nie palił się zbytnio do stosowania czarów. Być może nie czynił tego... co czynią czarodzieje? Być może lady Orien nie uczyniła tego, o co posądza ją lord Tristen, opierając swe podejrzenia nie wiem na czym, może na rozmowach z ptakami i słuchaniu żab? To dalece wykracza poza moje

kompetencje, Wasza Królewska Mość, lecz dziwaczne przestrogi Tristena okazywały się w przeszłości nie całkiem pozbawione racji.

–Tej jednej powinienem być wysłuchać. Kazałem mu milczeć. Próbowałem uciszyć go podczas narady, myśląc, że jest...

–Nieodpowiedzialny?

–Niewinny. – W komnacie panował jakiś zaduch.

Cefwyn potarł nogę, obolałą i zarazem diabelnie swędzącą przy gojeniu, zapytując się w duchu, jak wiele mu potrzeba do osiągnięcia bodaj cienia dawnej formy, z uporem sumując w zakamarkach umysłu te same liczby, które sumowano w czasie narady, zastanawiając się, czy w ciągu trzech dni on zdąży nabrać sił, a tabor – dotrzeć na równinę. Strach przebiegł mu po skórze, z rodzaju tych uzasadnionych, który sugerował istnienie dodatkowych kłopotów, jakie mógł wcześniej przewidzieć.

–Czyż nie mówiłem... – zaczął Idrys.

–Och, ty zawsze mówiłeś, mości kuku. A ja za mało słuchałem.

–On nadal jest durniem. Aczkolwiek na polu bitwy świetnie się orientuje. Na naradzie wykazuje zrozumienie. Powiada, że Orien, żywa czy martwa, nie powinna tu przebywać. Że jej brat nie powinien tu być pogrzebany. Ani nikt z wrogim nastawieniem. Chyba jest zdania, choć mi się już w głowie od tego mieszało, iż każda wroga osoba, nie tylko czarodziej, może zostać przez czarodzieja wykorzystana przeciwko nam.

–Na miłujących bogów, są i zawsze będą jakieś animozje.

–I mnie się tak wydaje. Może odniosłem mylne wrażenie, ale Tristen upierał się co do dwóch rzeczy: po pierwsze, poprzez Orien Aseyneeddin zna nasze plany, czyli zdaje sobie sprawę, skłonny jestem przypuszczać, z misji lorda Hauryddda w Elwynorze, z budowy fortyfikacji w Emwy, z dokładnego dnia, kiedy zamierzamy przystąpić do działań. Po wtóre, Orien Aswydd i Heryn muszą się stąd wynieść... przy czym Heryn do poświęconej ziemi.

–Do poświęconej ziemi? Heryn?!

Idrys uniósł powoli rękę.

–Zapewniam Waszą Królewską Mość, to nie moja fantazja.

–Powiedział, że lord regent musi pozostać w Althalen. Podobno przybył specjalnie po to, aby tam umrzeć.

–Zmagamy się z nieboszczykami, miłościwy panie. Skorzystałbym z rady kogoś, kto

powinien znać się na tych sprawach.

Cefwyn zaczerpnął głęboko powietrza i potrząsnął głową. Raptem nasunęła mu się przerażająca myśl.

–Czaszki wiszące nad bramą. Niechaj towarzyszą Herynowi Aswyddowi i spoczną w jednym grobowcu. Jeszcze dziś wieczór.

–Trzeba będzie sporego wozu – stwierdził Idrys – dla Aswyddów i jego ofiar.

–To powinno wystarczyć. Zapal ogień sygnałowe i przekaż wiadomości. Chcę mieć pisemne powiadomienia dla mojego brata, dla Tristena, dla lady... i dla Sovraga nad rzeką. Powinny wyruszyć razem. Tymczasem jednak każ zapalać ogień.

Wczesnym wieczorem Tristen siedział obok okna, trzymając zamkniętą Książkę i patrząc, jak na wzgórzach, jeden po drugim, strzelają ognie. Krótkie spojrzenie na pismo powiedziało mu, że wie niewiele więcej niż ostatnio. Potem zaczęły błyskać płomienie. I przyszedł Uwen z twarzą zaczerwienioną od mroźnego wiatru, radosny... dopóki nie zauważył Tristena.

–Panie? – zapytał.

–Wyruszamy. Stało się.

Uwen wstrzymał oddech, strząsnął płaszcz z ramion i włożył go pod pachę.

–Czy tak powiedział miłościwy pan?

–Ognie. Widzisz te ognie?

Uwen zbliżył się do okna i wyjrzał w ciemności.

–Zdaje się, że lordowie butów po podróży zzuć jeszcze nie zdążyli – rzekł, po czym ułożył płaszcz na ławie. – Tedy nie poszła rzecz w zwłokę.

–Powiadomiłem o tym Cefwyna, co powinienem był pojąć znacznie wcześniej, już kiedy dowiedziałem się prawdy o Orien Aswydd. Oni zostaną powiadomieni. Szkoda, bo już dawno mogłem się domyślić. Szybciej zrozumieć.

–Oni? Oni... Elwynimi.

–Aseyneddin.

–Aseyneddin wie już, powiadasz?

–Zna dzień. Zna miejsce. Lordowi Tasielowi grozi wielkie niebezpieczeństwo.

–A może być go tak... ostrzegł, czarodziejskim sposobem?

–Wątpię, czy to by się powiodło Emuinowi. A on... przecież potrafi o wiele więcej. Szkoda, że nie wiedziałem. Szkoda, że tego nie dostrzegłem, Uwenie.

–Czym innym miałaś zaprzątniętą głowę, panie.

Uwen pocieszał go, gdyż tak nakazywał mu obowiązek. A Tristenowi kazał on nie ściągać na Uwena zbyt wielkiego niebezpieczeństwa, nie przysparzać mu trosk ani nie wzbudzać w nim strachu, który mógł tą drogą zakraść się w szeregi służby i wojska. Tristen usiłował uporządkować myśli i odzyskać spokój ducha.

Niemniej fakt, że nie zrozumiał wszystkiego w porę, wskazywał na przyczyny inne od tej podanej przez Uwena; magia nie objawiła mu na czas odpowiedzi, Słowa nie odkryły swej zawartości. Ślepa, naiwna wiara, w której jechał do Althalen, spodziewając się olśnienia, zawiodła go na manowce, a przygnębiające implikacje wróżyły na przyszłość dalsze niepowodzenia. Czuł się poniekąd zdradzony, nie wiedząc przy tym, co jeszcze może się w nim ujawnić.

Miał ochotę cisnąć gniewnie Książką o blat stołu, lecz się zmi-tygował i odłożył ją ostrożnie.

–Nie mogę się z nią rozstawać. To sprawa nadrzędna, Uwenie. Dbaj, bym jej gdzieś nie zostawił. Nie mam ani krzty zdolności do zapamiętywania czegokolwiek. – Dygotały mu ręce, wsparł je więc o stół w nadziei, że Uwen niczego nie spostrzeże. – Bardzo ważne rzeczy uszły mej uwagi. Albo się przede mną schowały.

–Po prawdzie, jużemy gotowi, panie. Dziwno mi trochę, nie przeczę, bom się spodziewałem kilku dni jeszcze, ale nic więcej. Pomnij moje słowa: dotrzemy na miejsce, zsiądziemy i będziemy czekać. Sporom się na to już w życiu napatrzył... Może masz chęć na filiżankę herbaty?

–Czemu nie? – odparł. Uwen podszedł do kominka, rozgrzebał węgle i podsunął imbryk.

Gdy to robił, służba wpuściła jednego z młodych paziów Cefwyna, który z poważną miną wręczył mu zalakowaną kopertę. Spisana w pośpiechu treść brzmiała następująco:

Drogi przyjacielu, wyruszamy. Wozy wyjadą jeszcze dzisiejszej nocy. Zapalono ogień sygnałowe, zgodnie z twoją radą. Nie wahaj się, jeśli zechcesz zwierzyć mi się z nowych myśli. Powiniennem być podczas narady wysłuchać twego ostrzeżenia. Nie sądź, że następne również zlekceważę. Powiadom swoich domowników. Po zmianie warty bądź przygotowany, by znieść bagaże pod zachodnie drzwi, gdzie wóz będzie czekać.

Moich Domowników, pomyślał Tristen. Było to Słowo objawiające mu się teraz we wszystkich swych aspektach. W skład jego Domowników wchodzili Uwen i służący, z których wszyscy już zadeklarowali gotowość do wyruszenia z nim na wojnę; należało

doliczyć kilka zmian przydzielonych mu straży. Następnie dochodziły konie z rzędami oraz opiekująca się nimi czeladź. Dzień wcześniej chłopcy mistrza Peygana przynieśli mu do komnaty zbroję i tarczę, podobnie jak poprzednio wnosili rynsztunek wszystkich lordów, by zaopiekowali się nim osobiście ich słudzy. Tegoż popołudnia cały koński ekwipunek miał zostać zaniesiony do Aswysa i złożony w przystajennych magazynach, gdzie było więcej miejsca niż w zbrojowniach twierdzy. Niemniej jednak lance i tym podobny oręż przechowywano w fortecznej zbrojowni i w przyległych do niej zabudowaniach. Wydzielono cały wóz, jak się Tristen dowiedział, tylko po to, by przewiózł jego służbę, namiot i ekwipunek; imion i wozaków, dobranych przez Uwena nie dalej jak wczoraj, młodzieniec nie zdążył jeszcze zapamiętać. Oprócz koni, na których mieli pojechać, oprócz ich rynsztunku, jak również rzędów Dysa i Cassa, będących pod opieką Aswysa, zaopatrzono go w bukłaki z wodą i ziarno dla wierzchowców oraz dla zwierząt zaprzęgowych, czyli we wszystko niezbędne, jeśli chcieli spokojnie dotrzeć na miejsce i poczekać na uzupełnienie zapasów z Henas'amef. Lista zabieranych dóbr była przeogromna. Tristen znał każdy jej podpunkt.

Jeszcze nie znalazł tylko chorążego. A chorągiew znaczyła niemało, nawet jeśli miał w swej kompanii, łącznie z Uwenem, ledwie siedemnastu żołnierzy, którzy w czasie bitwy potrzebowali wiedzieć, gdzie w danej chwili znajduje się sztandar. Cefwyn pragnął, by ze względu na to, co sobą przedstawia, łopotał w całej okazałości. Ktoś musiał więc go nieść, co niewiele różniło się od wyroku śmierci. Aseyneeddin zechce go zdobyć możliwie jak najszybciej.

–Chorągiew – mruknął z głębokim westchnieniem.

–Już ty się tym nie kłopotz, panie – odrzekł Uwen, jak zwykle spokojnie. – Kogoś się znajdzie. Czy to rozkazy?

–Wyruszamy, panie? – zapytał Tassand. Słudzy, idąc za paziem, zjawili się pod drzwiami sypialni, gdzie przystanęli; cztery skupione twarze. Z bardziej szlachetną, skromną i życzliwą gromadką ludzi Tristen nie miał nigdy do czynienia. – Czy to już?

–Tak – potwierdził. Doznał wrażenia, że podłoga ucieka mu spod nóg, kiedy jednym jedynym słowem wprowadził w ruch całą maszynę. Swoboda wyboru, jaką posiadał, lub wydawało mu się, że posiada, przepadła.

A może ją teraz uzyskał? Sam tego nie wiedział.

–Oj, nie wyśpimy się dzisiaj – zauważył Uwen radośnie. – Na jutro zapowiada się drzemka na wozie lub w siodle, jako wypadnie. Każę Lusinowi zejść na tę szarugę, niech pobudzi furmanów. Lepiej zwijajmy się czym prędzej, bo wozy gotowe powjeżdżać jeden na drugiego na tym tycim dziedzińcu. Nuże Tassand, bierzcie się do roboty! Chłopcze – zwrócił się do wciąż czekającego pazia – nie sądzę, by pan mój odpowiedź miał jakąś prócz tej, że się do wyjazdu gotujemy.

Zapalono ogień, o czym wspomniano w liście, a wszystko dlatego, że Idrys opowiedział Cefwynowi o jego niepokojach związanych z Orien. Wystarczyły mgliste domysły, a już wiadomość wzywająca lordów i mieszkańców wiosek mknęła przez kraj, wprawdzie nie z prędkością, z jaką czarodzieje ostrzegają się nawzajem, lecz tak szybko, jak ludzie potrafią rozpalać ogniska i jak lordowie będą w stanie znów wyruszyć w drogę, ledwie powróciwszy do rodzinnych prowincji, nie mając czasu na przygotowania – tym razem nie musieli jednak podróżować z wozami.

Przynajmniej, pocieszał się w duchu, przynajmniej Cefwyn uwierzył mu bez zastrzeżeń, pomimo niechęci, z jaką musiał przyjąć zmianę założeń, dowiedziawszy się o uczynku Orien. Wszelako zawiodła go magia albo to on zawiodł, być może wskutek niepowodzeń z Książką. A może, po prostu, czary nieprzyjaciela były silniejsze – nie miał pojęcia.

Rozdział trzydziesty drugi

Tej nocy nie sposób było zasnąć, cały podwórzec trzął się od turkotu ciężkich kół.

Gdy po krótkim, acz krzepiącym odpoczynku, jeszcze przed wschodem słońca, Tristen wstał z łóżka, okazało się, iż mimo niezwykłej pory nikt w Zeide już nie śpi. Zjadł zimne śniadanie, gdy tymczasem służba pakowała do skórzanej torby zbroję, której nie musiał zakładać, póki nie będą narażeni na większe niebezpieczeństwo niż to, jakie grozi zwykle na ulicach Henas' amef. Na dziedzińcu przy zachodnich schodach czekał już przypuszczalnie wóz, który razem z trzema innymi zwoził po ciemku ze wzgórza wymagany ekwipunek lordów. Ponownie przyszła kolej na służbę i gwardzistów Tristena, znów mogli znosić po schodach pakunki; jeden z konnych gwardzistów i Tassand, umiejący czytać (przynajmniej wykazy), mieli odprowadzić na dół wóz i porównać jego zawartość ze sporządzonym spisem, upewniając się, że pomagający przy rozładunku ludzie umieszczają wszystko na właściwym w szeregu wozie.

Był to ich ostatni ładunek, zawierał osobiste wyposażenie Tristena i Uwena.

Młodzieniec założył kolczugę, czarny watowany kaftan – nowy, co wymusiła przygoda w Althalen – zabrał Książkę z wciśniętym do środka lusterkiem, umieścił ją w najbezpieczniejszym według niego miejscu, czyli obok pasa, a wreszcie zasznurował kaftan. Znad kominka ściągnął miecz, gdzie spoczywał on niemal przez cały czas, odkąd Tristen przywiózł go do domu – raz tylko Uwen zdjął z niego miarę, by w zbrojowni dobrano dlań pochwę, przyslaną potem wraz z mocnym skórzanym pasem, który teraz zapiął.

Na sam koniec zarzucił ciężki płaszcz na ramiona i wciągnął rękawice jeździeckie, które zgodnie z zapewnieniem Uwena miał docenić na mroźnym powietrzu.

Ostatecznie nie zostało już nic do roboty prócz przyglądania się, jak czeladź gasi świece i ogień w palenisku. Wszyscy po raz ostatni rozglądali się wokół, nie wiedząc, czy spotkają się tu jeszcze kiedyś w tym samym składzie.

Później w otoczeniu służby, wraz z Uwenem i Lusinem, który najdłużej był przy nim spośród wszystkich gwardzistów, Tristen zszedł po schodach na podwórzec, gdzie zgodnie z ustaloną kolejnością przyprawiano konie.

Poza obrębem miejskich murów, na miejscu dawnych obozowisk lordów, czekał już na nich osobisty wóz z woźnicami, również w wyznaczonym przez protokół miejscu. Tabory stały w długiej linii, gdyż gueleńska gwardia i amefiński kontyngent nie wieźli z sobą tylko własnego ekwipunku, ale też eskortowali pojazdy z ekwipunkiem nieobecnych lordów i ich żołnierzy.

Na ich wóz zostały już załadowane rynsztunki i przywiezione ze stajni przy pastwiskach uprząże, za które odpowiadał sam Aswys i których załadunku doglądał – tak przynajmniej zaplanowano, przy założeniu, że Aswys zdoła dotrzeć do wozu.

–Przybędzie – zapewniał Uwen. – To przecie człowiek króla i przepuścić go muszą. Spokojna głowa, panie. Żadna to bieda w porównaniu z szeregowcami próbującymi w czas burzy swój rynsztunek znaleźć.

Wozy o grubych osiach toczyły się przez pół nocy, co potwierdzić mógł każdy próbujący zasnąć, a większość z nich ładowano tylko raz, jak się okazało, przy spichlerzu, przy czym miały zostać opróżnione dopiero w docelowym obozie; z pewnej ich liczby chciano już na pierwszym obozowisku rozdzielić ziarno wśród innych wozów, by puste mogły natychmiast wrócić do Henas'amef, tam znów zabrać towar i ruszyć z powrotem.

Wyżywienie tak wielu koni, gdy ryzyko ataku wykluczało zatrzymywanie się na dłuższe popasy, nie było łatwą sprawą; podobnie jak wy karmienie w tym samym czasie wszystkich ludzi. Potrzeba taszczenia drewna na opał, ze względu na niebezpieczeństwo związane z przeczesywaniem okolicy, dodatkowo wpłynęła na zwiększenie liczby wozów, a ciężkie wehikuly toczyły się z tą samą prędkością, z jaką spaceruje człowiek; nigdy szybciej, często wolniej. Oznaczało to, że dystans przemierzany przez jeźdźca na lekkim koniu w ciągu dnia był trzy do pięciu razy dłuższy od tego, jaki w tym czasie pokonywały obładowane wozy, a jeżeliby doświadczony jeździec na zaprawionym wierzchowcu chciał pokonać dany dystans jednym ciągiem, zamiast w czasie trzech lub czterech dni ponawianego wysiłku, mógł pokonać nawet sześciokrotnie dłuższą odległość niż wozy – zakładając, że wynikające z wielodniowej wędrówki nadwerężenie zaprzęgów, kół i osi nie spowoduje dalszych opóźnień.

Zaopatrzenie musiało dotrzeć na czas: należało uniknąć sytuacji, w której luźne zastępy konnicy ruszają do boju bez wsparcia piechoty albo czekająca na broń piechota skarży się na głód i brak schronienia przed jesiennymi deszczami. Jak powiedział Cefwyn, przy czym jego słowa brzmiały nader sensownie, nie była to zwykła potyczka, ale wojna na pełną skalę: Tristen w tej sprawie przyznawał mu słusność.

A zatem Gueleńczycy i Amefińczycy posuwali się z konieczności z równą szybkością, co tabory z ekwipunkiem i amefińska piechota. Liczono, że ognie sygnałowe, palone w całym

kraju, zmobilizują amefińskich wieśniaków do chwycenia za broń, lecz każdy żywił w sercu głęboką nadzieję na pośpieszny marsz lekkiej konnicy z południa – żołnierze lekkiej jazdy mieli po dwa konie. Umanon na czele drugiego kontyngentu ciężkiej konnicy nie mógł dorównać szybkością Cevulirnowi, jednakże bojowe rumaki Imorimów biegły kłusem po dobrych drogach, a diuk Lanfarnesse, którego zastępy składały się głównie z łuczników i piechoty, miał do przebycia najmniejszą odległość.

Takie właśnie obliczenia poczyniono zeszłego dnia na ostatniej odprawie u Cefwyna, przy czym przedstawiono szczegółowy opis każdego wozu, podając szerokości łoża, kwalifikując dany wóz jako ciężki lub lekki, przyznając do zaprzęgu woły albo konie. Nadzieje na suche drogi okazały się płonne, aczkolwiek nie spadły ulewne deszcze.

Jeśli Tristen miał rację, jeśli naprawdę miał rację, im prędzej dotrą nad rzekę, tym większa będzie szansa, że lord Tasiem przeżyje, a most zostanie utrzymany. Garnizon Tasiem uzyskał już wzmocnienie, jeśli bowiem uda się utrzymać most, co lady Ninevrise oznajmiła podczas narady, zwiększy się prawdopodobieństwo, że jej stronnicy zza rzeki powstaną przeciwko Ascynddinowi i doprowadzą do wojny domowej, a nie do wojny między Elwynorem i Yle-i suinem. Z taką możliwością wiązano największe nadzieje, gdyż oznaczała ona stosunkowo niewielki rozlew krwi i szansę na koniec wojny przed nastaniem zimy. Takimi nadziejami łudzili się przynajmniej Cefwyn i Ninevrise.

Tristen nie wierzył jednak osobiście w taki rozwój wypadków, jako że Hasufin mógł znaleźć posłuch nie tylko u Aseynddina; kto wie, czy w Elwynorze nie było więcej czarodziejów? Przepuszczalnie byli.

Orien mogła wygadać się Hasufinowi ze wszystkiego – sposobem, który Tristen powinien był zdemaskować wiele dni wcześniej. A to oznaczało niewesołe następstwa: siostrzeniec Sovraga eskortował lorda Haurydda do El wy noru, o czym Aseynddin najprawdopodobniej dowiedział się pośrednio od Orien. Aseynddin mógł odnaleźć Haurydda i poznać imiona tych ludzi, z którymi Haurydd miał nadzieję się spotkać.

W takim przypadku, zanim elwynimscy przyjaciele Ninevrise zdołają opracować szczegółowe plany, wpadną w sidła Aseynddina. Wówczas Cefwyn nie będzie mógł liczyć na żadne wsparcie z tej strony, o ile kiedykolwiek wchodziło ono w rachubę.

Okute żelaznymi obręczami koła wozów turkotały po bruku, psy szczekały, ludzie pokrzykiwali.

Uwen czuł się jak ryba w wodzie. Wybrał odpowiednie konie dla użyczonych lady Ninevrise świty: dwóch młodych amefińskich dam o dobrej reputacji i ich ojców, wywodzących się z niezamożnej arystokracji, którym przydzielono dorodne konie pod wierzch z królewskiej stajni. Czeladź zamkowa zadbała o namiot regentki, jej bagaże i prowiant, natomiast dwóm damom i ich ojcom nie przydzielono żadnej służby, nie ciążyły nad nimi poważniejsze obowiązki od zdobycia wierzchowców – jakkolwiek nikt z całej czwórki, szlachty

mieszczkańskiej, nie miał bladego pojęcia o koniach. Wyłącznym zadaniem dam było dbanie o reputację Ninevrise, ojcowie natomiast towarzyszyli im gwoźli przyzwoitości.

Gdy na widnokręgu błysnęły pierwsze promyki wschodzącego słońca, zaczęto wyciągać i rozwijać chorągwie. Stajenni wzięli się za wyprowadzanie koni. Uwen zniknął wraz z jednym pacholkiem, by po chwili wrócić z Petellym i swoim wierzchowcem, prowadząc za sobą człowieka z twarzą pokrytą szramami, który wiódł za kantar konia i trzymał w ręku zwinięty sztandar. Człowiek ów odezwał się niskim i nieco nieśmiałym głosem:

–Jestem Andas Andas'-son, panie. Z polecenia Jego Królewskiej Mości mam nieść twoją chorągiew. Od osiemnastu lat służę w królewskiej dragonii. Sierżant zna mnie dobrze.

–Dobry to człowiek – stwierdził Uwen po cichu. – I poczciwy. Będzie już jedenaście lat, jak go znam. Nie da sobie w kaszę dmuchać.

–W takim razie – rzekł Tristen – dziękuję, Andasie Andas'-sonie. – Był przeświadczony... mocno przeświadczony, że człowiek ten nie zejdzie z pola bitwy. Czyżby sam tego nie wiedział?

Także Uwen nie chciał go opuścić. Ani jego słudzy. Ani inni. Nie rozumiał dlaczego. Najciężej przychodziło mu zrozumienie determinacji, z jaką ktoś podejmował się pełnić funkcję chorążego u obcego lorda. Powiedział sobie, że gdyby Andas'-son przeżył, a on był w stanie oddać mu jakąś przysługę, nie omieszkałby tego uczynić. Niemniej los nie obdarzył Andas '-sona tą łaską.

Kiedy stajenny podprowadził Petelly'ego, Tristen potarł chrapy i pogłaskał kark konia; w tym czasie Petelly toczył wokoło obwiedzionymi bielą oczyma i nadstawiał uszu na panujący harmider. Para z oddechów zmieszała się ze światłem latarni niesionej przez przechodzącego mężczyznę. Na Tristena spływał spokój, gdy czuł pod rękoma sierść Petelly'ego. Wspiął się na siodło i z tego położonego wyżej punktu widokowego, poza cieniami wozów, zwierząt i ludzi, poza migotem latarni, dostrzegł poranną zorzę, bladą poświatę nad spadzistymi dachami i wysokimi murami Zeide.

W tym momencie wzniesiono okrzyki. W drzwiach stanęli Cef-wyn i Efanor, wyciągnęli w górę złączone ręce i uścisnęli się gorąco, bez zwykłej formalności. Potem rozdzielili się na schodach. Efanor pozostawał jako obrońca miasta, obierając komendę nad gwardią, Cefwyn natomiast, gdy Idrys podjechał blisko podnóża schodów, ruszył w stronę swego wierzchowca.

Następnie, w otoczeniu dam, zeszła Nin'cvrisć, a stajenni przyprowadzili im konie. Cefwyn dosiadł gniadego Danvy'ego, Idrys podjechał do króla, a Ninevrise i jej damy, korzystając z asysty pacholków, wspinały się na siodła. Załopotana chorągiew ze Smokiem – czerwona, złocista i szara, miejscami, gdzie przeświecał przez nią blask latarni, przezroczyta. Zewsząd dobiegały okrzyki. Wydeła się Wieża regentki, co również zostało przyjęte

aplauzem.

Petelly zaczynał się niecierpliwić, targał wędzidło i przyglądał się wszystkiemu, co się ruszało. Tristen usiłował utrzymać go w ordynku, gdy Uwen wspinał się na swego rumaka.

Stajenni, chłopcy Aswysa, podali im tarcze, które mieli dźwigać podczas przemarszu przez miasto.

Następnie obaj podjechali do przypisanego im miejsca, blisko króla. Tristen nie dostrzegając na razie Cefwyna, za to widział jego gwardię przyboczną oraz Ninevrise. W pobliżu stali Erion Netha i Denyn Kei's-son; Erion trzymał krótką lancę z rodzaju tych, jakie preferowali Iwanimi, a Denyn – miecz z krzywą głownią i mały puklerz, popularny wśród ludzi z nadrzecza. Garstkę gueleńskich gwardzistów uzbrojono jak żołnierzy lekkiej jazdy, aczkolwiek dodano im ciężkie kawaleryjskie tarcze.

Znienacka wzniosły się kolejne wiwaty. Tristen zrazu nie rozumiał przyczyny, wnet jednak spostrzegł, jak na wietrze wydymają się emblematy Wieży i Gwiazdy, osobiście blade w spływających znad murów promieniach słońca – rozwinięto jego własną chorągiew.

Ponad zgiełk wzbił się raptownie jęk rogu, za czym trzech chorążych ruszyło za bramę i w dół ulicami miasta, nie pędząc na łeb na szyję, lecz jadąc ze śmiertelną powagą. Rozdzwoniły się dzwony, których zawodzenie dochodziło zarówno od strony twierdzy, jak i każdej z bram miejskich, płosząc wszelkie ptactwo, jakie wciąż mogło drzemać w wieżycach.

Zebrani wzdłuż ulicy mieszczanie krzyczeli i machali rękoma. W momencie przejścia sztandarów z tłumów wyrwali się chłopcy, biegnąc razem z wojskiem – chłopcy zbyt młodzi, by zaciągnąć się pod komendę amefińskich lordów, chłopcy ściskający łuki i machający starymi mieczami, chłopcy czasem bez żadnej broni w ręku. Młodzieńcy biegli uparcie i nie zamierzali ich odstępować, chociaż Tristen widział, że matki i ojcowie nawołują ich do powrotu. Potem zobaczył, jak spora gromada odrywa się od tłumy w ślad za chorążymi, a kiedy wojska wyjechały za bramę i skręciły w prawo, wzdłuż długiej, długiej linii wozów, chłopcy wysypali się za mury i biegli równolegle z jadącymi na przedzie jeźdźcami.

Do pościgu dołączyły kundły. Kilka zbłąkanych owiec wałęsało się między wozami, wchodząc w drogę koniom, lecz, poganiane przez psy, umykały z powrotem poza linię pojazdów.

W ciemnościach tuż za miejskimi bramami czekały zaciągi z miasta i okolicznych wiosek; za plecami kilku konnych lordów czerniała chmara piechurów z Amefel. Amefińska chorągiew z Orłem zajęła wnet miejsce za głównym oddziałem, wraz z osobnymi sztandarami kilku earłów oraz, bardziej z tyłu, proporcami poszczególnych zastępów pod dowództwem poruczników i sierżantów.

Tristen minął swój wóz umieszczony blisko czoła kolumny: obok niego truchtał Aswys z

dwoma chłopakami oraz Dys i Cass; nie brakło też Tassanda tudzież reszty służby. Lusin razem z pozostałą piętnastką gueleńskich gwardzistów – czterema zmianami pilnującymi jego komnat, teraz na koniach – zajął wyznaczone mu miejsce za gwardzistami króla; Królewską Smoczą Gwardią dowodził Gwy-wyn, jadący zaraz za czołem pochodu.

Jednakże Lusin i pozostałych piętnastu żołnierzy podlegało bezpośrednio dowództwu Uwena, ze względu na jego rynsztunek i stanowisko gueleńskiego oficera oraz na fakt, że piastował on, choć tytuł ten był czysto honorowy, z czego Tristen zdawał sobie sprawę, funkcję kapitana niemal nie istniejących sił zbrojnych Ynefel i Althalen.

Kiedy Cefwyn darował mu wierzchowce, Uwen powiedział, promieniejąc radością, że nie może pojąć, jakim cudem zaszedł tak wysoko, będąc chłopem z wioski, a nie potomkiem szlacheckiego rodu. Teraz nawet dowodził ludźmi.

Tristen wolałby jednak, by Uwen i pozostali służący mu ludzie, zamiast zdobywać tytuły i zaszczyty, po prostu zachowali życie. Kariera Uwena wywoływała w nim poczucie winy, której w zasadzie do końca nie rozumiał, aczkolwiek nie dlatego, że pragnienie bezpieczeństwa dla Uwena stanowiło coś złego, ale ponieważ tak wiele musiał przemyśleć i zrozumieć, iż nie mógł pozwolić sobie na troski – których po prostu nie umiał się pozbyć – o swych domowników i zależnych od niego ludzi.

Jakże się różnił od lordów południa, rozmyślał, jadąc w królewskim szeregu obok Cefwyna i Ninevrise, patrząc na trzy chorągwie powiewające z łopotem na porannym wietrze. Różnił się od Cefwyna, który przyszedł na świat, aby zostać królem. Nie łączyły go, jak innych, więzi na dobre i na złe. On je skradł, zapożyczył, przybrał jedynie kształt Człowieka, chociaż miał do wypełnienia tylko jedną misję, odkąd Mauryl powołał go na ten świat – misję niebezpieczną, nic zatem nie usprawiedliwiało jego pobłażliwości, gdy Ludzie zacieśniali z nim podobne więzi. Przecież groziły im straszniejsze rzeczy, niż mogli sobie wyobrazić. Uwen – jakże śmiały, zawsze wiedział, gdzie jakie rzeczy powinny się znajdować i co należy zrobić, aby pokierować ludźmi i końmi: tego ranka tchnął spokojem na resztę domowników, a przecież Uwen ze swym zdrowym rozsądkiem wydawał tylko rozkazy, które ktoś wcześniej wydał jemu i które tak czy inaczej żołnierze umieli wykonać.

Niemniej, pomyślał Tristen, Uwen miał dużo wyraźniejsze niż inni przeczucie, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo, wielce różniące się od czegokolwiek, co znali, a mimo to nie rozsiewał wokół strachu: Uwen pocieszył nawet jego, gdy upadł rankiem na duchu, kiedy wszystkie łączące go z ludźmi więzi sumowały się razem i przytłaczały; poza tym Uwen wykazywał swego rodzaju odwagę, jakiej Tristen u siebie nie znajdował.

Powiedział to wyraźnie, tak jak wyraźnie to rozumiał, że jeśli na polu bitwy zdołają pokonać sojuszników Hasufina, zapobiegną prawdopodobnie wcielaniu się w życie jego rozkazów – jakkolwiek tego ranka Tristen dostrzegł wokół siebie koszt całej operacji: ludzi oderwanych od zbiorów, młodzieńców nie mających wyobrażenia, z czym przyjdzie im się zmierzyć... Ninevrise i Cefwyna, sprzeczącą się na temat jej obecności na polu bitwy. Ninevrise

oświadczyła ni z tego, ni z owego, że nie pozostanie w obozie, gdy już dojdzie do walki, co Cefwyn wcześniej przewidział, gdyż odparł oschle, kiedy jechali bok w bok:

–Dlatego właśnie wyposażyłem twą eskortę w cztery cholernie dobre konie.

–Nie dopuszczajmy myśli o porażce, panie – powiedziała.

–Wcale nie myślę o porażce! Myślę o ludziach, którzy być może polegną dla spełnienia twego kaprysu, pani, dla twojej chęci obejrzenia bitwy.

–To z mojego powodu ludzie w Emwy ryzykują życie... panie! Posunę się, jak można najdalej, gdyż jestem im coś winna!

–Najdalej możesz posunąć się do obozu, kobieto, bez odrywania uwagi dzielnych, godnych zaufania ludzi, którzy by cię musieli bronić! Nie będziesz wydawać rozkazów w czasie bitwy! Lepiej powierz te sprawy ludziom z doświadczeniem!

Kłótnia się przeciągała, wymieniono jeszcze kilka cierpkich zdań, lecz nic nie postanowiono. Tristen podzielał opinię Cefwyna: i też pragnął, by Ninevrise pozostała w obozie, i chętnie by jej o tym powiedział, gdyby wypad do szarej przestrzeni nie wiązał się z takim niebezpieczeństwem. Poza tym nie chciał się mieszać między króla i a regentkę. W grę wchodziła tu kolej na więź, której podtrzymywaniu Tristen nie mógł teraz poświęcić żadnej myśli. Ninevrise stanowiła I jedno więcej istnienie mające przeciwstawić się istnieniom pchniętym przeciwko nim przez Hasufina. Wszelako nie była Emuinem, I a bez względu na to, kim był jej ojciec, Ninevrise nie posiadała; żadnych jego zdolności.

Ani on sam. Okazał się za słaby, by wspomóc starca w Althalen, ponosił odpowiedzialność nie tylko za zapalenie ogni sygnałowych na wiele dni wcześniej przed wyznaczoną przez króla porą. Wmieszał Cefwyna i jego ludzi w batalię Mauryła, odciągając ich od wojny i Ninevrise, a prowokując do rozgrywek prowadzonych przez regenta, I Emuina i Mauryła.

Tak naprawdę nie wiedział, czy batalia Mauryła zakończy się na Równinie Leweńskiej – podobnie jak nie wiedział, czy przypad-I kiem nie skończy się tam jego istnienie. Wydawało mu się, że po tym I wszystkim na nic się już nie przyda Maurylowi, a magia czarodzieja i ulegnie wyczerpaniu, na dobre i na złe, jak mawiał Uwen.

Podczas wielogodzinnych przygotowań miał sporo czasu na rozmyślania o przeróżnych strasznych rzeczach. Teraz obserwował I drogę ponad uszami Petelly'ego i poza ruchomą kurtyną wzdętego jedwabiu – czarnego, białego, czerwonego i złotego. A skoro Ninevrise i Cefwyn toczyli gorące spory, uznał za stosowne nie wtrącać się do ich rozmów, odzywając się tylko do Uwena. Jego zdanie przeważało w dyskusji. Tak się przynajmniej Cefwynowi zdawało, jako że Ninevrise przyznała, iż udział jej w bezpośrednim starciu nie należy do najszcześniejszych pomysłów, choć mogłaby zająć pozycję na punkcie obserwacyjnym, gotowa wysłać gońców z wiadomościami do toczących bój oficerów w przypadku zauważenia niespodziewanego okrążającego manewru przeciwnika. A wiedziała, o czym

mówi. Podobno studiowała. Czytała tych samych autorów strategicznych opracowań.

Czytała Tashanena.

–Uznałam – powiedziała – że przystoi mi wiedzieć, co robię i o co proszę, gdy powierzam pewnej liczbie ludzi wykonanie pewnych zadań, Wasza Królewska Mość.

–Nie przestajesz mnie zadziwiać – odparł.

–Ufam, że nie będziesz się nigdy dziwił mojej kompetencji, panie.

I cóż tu począć z taką kobietą? Jego szanowna matka nigdy nie odpowiadała ojcu w ten sposób.

–Widzę, że przede mną lata spędzone na odkrywaniu wciąż nowych tajemnic. – Lepiej było nie pozwalać Ninevrise na zbyt wiele. – Pochwalam twój pociąg do wiedzy, pani, gdybyś jednak należała do mężczyzn darzonych przeze mnie przyjaźnią, a nie dowodziła nigdy wcześniej żadną bitwą, stałabyś na wzgórzu w otoczeniu wyłącznie przybocznej straży.

Oczekiwał błysku w oczach. Nastąpiło tylko spokojne kiwnięcie głową.

–Bardzo dobrze.

–Nie ustąpię.

–Słusznie, panie. A czy przyjmujesz rady?

–Od moich kapitanów, zbrojmistrza, koniuszych, sług i paziów, pani, ale tylko uzasadnione.

–A od swojej żony?

–Och, jakżeby inaczej? Jakżeby inaczej? Zobacz... Tam, z przodu, to droga na Sagany, a to sztandary wiosek Sagany i Pacewys. – Pomachał ręką, gdy dołączył do nich chłopski hufiec. Pochylił się z grzbietu Danvy'ego i pozdrowił ludzi, skinieniem głowy odpowiadając na ich ukłony oraz, zgodnie z wprowadzonym przez siebie zwyczajem, który początkowo przerażał jego gwardzistów, podał rękę jasnookiemu młodzieńcowi na koniu, miejscowemu arystokracie, thanowi z Sagany, jedynemu jeźdźcowi w całym przybyłym oddziale. Na moment splotły się palce, po czym konie odskoczyły od siebie. – Lordzie Ard wysie, wstąpcie do szeregu za proporcem Lysalina.

–Wasza Królewska Mość – Ard wys oddał honor Cefwyna. – Wasza Miłość – pozdrowił Ninevrise. Na koniec popatrzył na Tristena: – Panie.

Przy każdej większej bocznej drodze, czasami nawet u wylotów owczych ścieżek, chłopcy i mężczyźni wzmacniali królewskie wojsko. W tle za mężczyznami z Sagany pochlipywała garstka kobiet i starców, powiewając chustkami oraz, pomyślał Cefwyn, przedmiotami, w

obliczu których pobożni czuli się nieswojo. Miejscowi wieśniacy wskazywali na chorągwie i machali rękoma. Przy rowie biegnącym wzdłuż gościńca stało grono staruszków z psami i owcami, uchylając z szacunkiem kapeluszy.

–Jesteśmy w mniejszości – wycedził Idrys półszeptem.

–Zamilcz, kuku – odparł Cefwyn dźwięcznym gueleńskim akcentem. – Gdzie twe maniery?

–Na bogów, powinieneś siedzieć bezpieczny w stolicy.

–Powiniennem mieć więcej Gueleńczyków. Ale na wsi nie darzono szczególną miłością Aswyddów i ich podatków. Wznoszą na naszą cześć radosne okrzyki, czyżbyś nie słyszał, Idrysie?

–Póki co, panie. Dobrze, że paż niesie twoją tarczę, powiadam. Obyś nie musiał jej używać.

–Phi! – odparł Cefwyn z grymasem na twarzy, pocierając nogę, która rozboleła go, odkąd sięgnął, by uściskać dłoń młodego thane'a.

–Staniemy na odpoczynek? – zapytała Ninevrise. Potrząsnął głową.

–Później. – Miał przed oczyma całą mapę postojów, podobnie jak wyuczył się imion wszystkich bez wyjątku miejscowych lordów. Zaznajamiał się z tą przeklętą drogą w czasie snów, najczęściej koszmarnych. – Tristenie?

–Wasza Królewska Mość.

–Jak tam nasza sytuacja?

–Panie?

–Z czasem.

–Nie widzę niczego gorszego, panie. Nie widzę niczego. Nie śmiałem patrzeć. To by mu powiedziało, gdzie jesteście.

–Aseyneddinowi? – zapytał Cefwyn.

–Poprzez niego Aseyneddinowi, owszem.

Tristen mówił bardzo niewiele; i nie chciał mówić więcej, pomyślał Cefwyn. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że Tristen nasłuchuje, o ile nie czyni... czegoś, co jest domeną czarodziejów. Uwen podrzemywał w siodle. Król, na nieszczęście, nie mógł.

Ani Tristen, jak się zdawało. Niemniej wesoła pogawędka z nim nie wchodziła w rachubę, bo jeżeli dokonywały się właśnie jakieś czary – których źródłem była bądź to jego szarooka

narzeczona, przebierająca palcami po srebrnych amuletach i sznurach paciorków, bądź Tristen, wodzący spojrzeniem po horyzontach tego lub innego świata – nie chciał w niczym przeszkadzać.

Z każdym nowym wzmocnieniem wydłużała się kolumna wojska. Około południa Tristen usłyszał, że ostatnie wozy chyba już wreszcie wyjechały poza mury miasta, a oni później po południu będą zmuszeni zatrzymać się tylko po to, aby zdobyć pewność, iż ostatnie w szeregu pojazdy – te z ziarnem, mające dotrzeć do samego Emwy – zdołają dojechać do obozowiska, zanim się zupełnie ściemni. Ekwipunek lordów, bojowe rumaki i broń rozdzielono pomiędzy zastępy pieszych na wypadek ataku, chociaż istniało po temu nader nikłe prawdopodobieństwo, dopóty przejeżdżali przez własne terytorium. W niewielkiej odległości od poszczególnych jednostek jechały wozy z ich namiotami.

Dzień był ładny, w południe wiał lekki wiaterek, a po południu, zgodnie z planem, rozbito obóz na wysokim wzniesieniu przy drodze – tutaj wzdłuż gościńca płynął strumień o nazwie, według mapy, Massitbrook. Musieli tu przebyć bród, który, jak sugerowali wozacy, mógł okazać się trudną próbą dla jadących z tyłu ciężkich wozów. Kiedy pierwszy przejechał na drugą stronę, najbliższym jednostkom wydano rozkaz, by żołnierze usunęli łopatami kamienie i wyrównali obie skarpy. Ludzie sarkali, niemniej wyznaczone oddziały przystąpiły do pracy, podczas gdy sierżanci odmierzali krokami rozkład obozu, a ludzie wbijali w ziemię lance, aby zaznaczyć przebieg drózek.

Wszystko to jest niczym Słowo, pomyślał Tristen. Każda bez wyjątku czynność napotykała w jego umyśle na zrozumienie. Wzniesiono namiot króla, potem namiot regentki.

Przy wozie Tristena pętało się dwóch amefińskich chłopców, którzy, przypadłszy do jego stóp, przysięgali szorować garnki, podawać i nosić, jak się wyrazili, dla wielkiego lorda.

–Chcemy być żołnierzami, panie – rzekł jeden. – Mam piętnaście lat. Tak samo jak mój kuzyn.

–Wydają się bardzo mali – powiedział Tristen do Uwena.

–Ano – odparł Uwen, dodając opryskliwie: – Ino spróbujcie i coś buchnąć, głuptasy, na żer rybom rzucę. Ściągać mi zaraz ten (namiot! Rozłożyć płótno...! Trzynaście wiosen. Najwyżej. I żaden do domu nie wróci, jeśli ich przegonimy.

–Znasz ich?

–Na bogów, ma się rozumieć – odparł Uwen, potrząsając głową. – Co rano w lustrze ich widuję. Jeśli nas co złego nie spotka, tedy i oni cało skórę wyniosą... Ejże, poczekajcie z tym jeszcze! Odsuńcie się i popatrzcie, jak zwinięty jest namiot. Skoro marzy wam się żołnierka, po ciemku przed świtem złożycie go tak samo, inaczej sierżant takim was poczęstuje kopniakiem, że przed wieczorem nie zejdzie wam z dupy siny odcisk podeszwy...! Zdadzą ci się, panie. Czeladź nazbyt wiele ma na głowie, by ją jeszcze do

plócien i brudnych rondli pędzić.

Nie mogę brać odpowiedzialności za kolejne dwa istnienia, myślał Tristen, nękany coraz większym strachem. Nic jednak nie odrzekł. Odszedł, by sprawdzić, jak się mają Petelty i Dysa, lecz Aswys wraz ze swymi chłopakami rozsiodłali już Petelty'ego i odprowadzili na skraj obozu, tak więc podreptał z powrotem, aby przyrzuć się widowisku rozpinania namiotu; dwóm nowo przyjętym chłopcom przyszła teraz w sukurs kolejna dwójka, wszyscy wbijali młotkami kołki, naprężali odciąg i prostowali maszty.

Nad całą operacją pieczę sprawowali gwardziści wraz z Uwenem, którzy nie potrzebowali rady od kogoś, kto nigdy nie widział rozbijanego namiotu. Tristen stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, gdy dotaczały się następne wozy, by w miejscu oznaczonym dwoma włóczyniami wyrzucać płótna ze swych trzewi rytmiczną kaskadą tobołków. Amefińscy gwardziści gwizdali i pokrzykiwali, po czym łapali swoje namioty i zaczęli je rozstawiać, zadziwiająco oszczędnie gospodarując siłami.

Tristen nie był jedynym lordem, który się zetknął z natrętnymi pomocnikami: razem z wozami nadciągali chłopcy z miast i wiosek, a jeden zbłąkany pies za nic nie dawał się odgonić – należał do jednego z chłopców i nie zamierzał go opuścić.

Z kolejnego wozu na skrzyżowaniach obozowych alejek wyrzucano drewno na opał.

Mężczyźni i chłopcy porywali całe naręczą, jakby miało zabraknąć.

Dwaj nowi pomocnicy Tristena nanieśli dość drewna i wzięli się za rozpalanie ogniska, a on sam usiadł w namiocie na zabranym ze swego apartamentu rozkładanym krzeselku, żeby wychylić w spokoju filiżankę herbaty, podczas gdy nadjeżdżały wciąż nowe wozy.

Obóz rozrastał się nader szybko we wszystkich kierunkach, poza zasięg wzroku Tristena, jakby tempo marszu przekładało się bezpośrednio na tempo dystrybucji i rozstawiania namiotów. Obrzeże obozowiska miało się powiększać w miarę przybywania wozów z zaopatrzeniem, lecz w środku pomieściła się już większość ludzi; ci, którzy najdłużej maszerowali z głównym trzonem armii, rozkładali się obozem najwcześniej, ci zaś, co dołączyli na końcu – najpóźniej. Początkowo obóz budowano wokół włóczyni określających rzędy namiotów, potem zaczęły tworzyć się sekcje przy chorągwiach, przy czym sztandary lordów powtykano co ćwierć obwodu, natomiast te oznaczające wioski tak rozstawiano, by nadchodzący ludzie wiedzieli, gdzie mają wznosić swoje namioty. Płonęły ogniska, żołnierze pili herbatę i przyrządzali posiłki, każda jednostka – zespół namiotów – osobno.

Podobnie jak dowodzący lordowie: wszyscy niemal gwardziści spożywali posiłek w jednym miejscu, lecz Królewska Smocza Gwardia posiadała oddzielny namiot, przylegający do trzech lordowskich namiotów; lord komendant Gwy wyn i lord kapitan Kerdin dowodzili nie tylko swoimi żołnierzami, ale też ochotnikami z Gwardii Książęcej, którzy wyruszyli wraz z nimi na wojnę. Z polecenia Annasa służba Tristena dołączyła do królewskiej czeladzi, by

razem z nimi przygotować kolację.

Kiedy słońce zaczęło chować się za horyzontem, nadjeżdżały już tylko najcięższe pojazdy, rozpoczynał się też wstępny rozdział ziarna. Zrzucanie worów z wozu nie zaczęło bynajmniej od królewskiego namiotu, tylko od krańca obozowiska, kierując się ku środkowi.

Z toczącej się fury worki z ziarnem strącano wprost w ramiona żołnierzy z pobliskich namiotów, a młody pisarczyk na stosie w przedniej części wozu zaznaczał na tabliczce wydane ilości.

Oczom Tristena przedstawiał się niesamowity widok. Wszystko szło bardzo sprawnie, zważywszy na liczbę krzątających się ludzi, spośród których wielu nie znało musztry. Znali ją jednak doświadczeni żołnierze i oni to właśnie wyrzaskiwali, w zależności od sytuacji, wskazówki albo przekleństwa.

Cefwyn zaprosił Tristena do siebie na kolację; zaprosił także Uwena z Idrysem, lady regentką oraz jej dwie towarzyszki, tak że namiot pękał w szwach, każdy przyniósł z sobą składane krzesło, za stół natomiast posłużyła, ułożona na dwóch kufrach, oprawa na mapy, zdolna utrzymać jedynie garnki, z których nakładano sobie jedzenie. Młode damy były z początku bardzo lękliwe i nie miały pojęcia, jak się zachować, lecz Ninevrise, niczym się nie przejmując, włożyła do miski pajdę twardego chleba i kazała Annasowi zalać ją gulaszem.

Wówczas damy doszły do wniosku, że to jest właśnie należyte zachowanie.

Tristen pomyślał, że są równie młode, jak on w momencie przybycia do Amefel.

Był to prosty, spożywany z pośpiechem posiłek, niemniej smakował wybornie po bezsennej nocy oraz dniu pełnym rozstań i umiarkowanego zamętu. Tak samo smakowało wino. Tristen obserwował ściągnięte oblicze Cefwyna i jego rękę, która co i rusz skradała się chyłkiem ku nodze. Jednakże nieco po kilku łykach wina ból w nodze króla wydawał się mniejszy.

Przyszedł Idrys, by zjeść swoją kolację. Z zewnątrz dolatywały zapachy ognisk i przyrządzanych potraw. Ktoś daleko miał fujarkę, na której grał po cichu, acz z wprawą. Siedzieli w cieple i w miłym towarzystwie, gawędząc o minionym dniu, pogodzie i ogólnej sytuacji, raz po raz wysłuchując raportów. Gwywyn i Kerdin zajmowali się teraz obozem, a Idrys, na którego barkach spoczywała pokaźna część wysiłku związanego z organizacją pochodu wojska, rozprostował swe długie nogi i odprężył się, wychylając dwa kubki wina.

Raz pojawił się Gwywyn z meldunkiem, że wywiadowcy natknęli się na gońca powracającego z posterunku w ruinach Emwy, skąd do obozu Tasienu było najbliżej. Donosili oni, zbadawszy całą okolicę aż po sam brzeg rzeki, iż pole za Emwy jest puste, a ich linia przemarszu do Emwy i na Równinę Leweńską wydaje się bezpieczna. Aseyneeddin nie przepawił się przez rzekę, co było bardzo pomyślną wiadomością.

Z tejże okazji wychylnono po trzecim kubku wina, rozjaśniły się oblicza. Na koniec lady powiedziała, że udaje się już na spoczynek, w czym zawtórowała jej reszta zgromadzonych.

–Przed świtem musimy zwinąć obóz – przypomniał im Cefwyn, gdy zbierali się, by wyjść w ciemność nocy, Ninevrise w stronę północną, Tristen – południową.

Wtem jeździec nadleciał gościńcem niczym wicher, a sądząc po stukocie kopyt, dotarł pod samą płachtę wejścia. Na zewnątrz gwardziści krzyknęli gniewnie, lecz jeździec pomknął dalej, tętent kopyt milkł z wolna.

Cefwyn zerwał się z krzesła. Idrys wyprzedził go, lecz do środka wchodził już jeden z gueleńskich gwardzistów.

–Miłościwy panie – rzekł, zmieszany i zły.

I choć minęła krótka chwila, następny jeździec przemknął jak burza, ścigany okrzykami rozgniewanych gwardzistów.

Cefwyn rzucił przekleństwo, wyminął zadającego pytania Idrysa i próbującego udzielić mu odpowiedzi żołnierza... by znieruchomieć u wejścia do namiotu.

Tristen podszedł, by stanąć u boku Cefwyna. Jedyne osobiwość jaką udało mu się wypatrzeć, wiązała się z jego własnym sztandarem, który stał dotychczas samotnie, w pewnym oddaleniu od Smoka Marhanenów i Orła Amefińczyków z Henas'amef.

Teraz bardzo blisko sterczały z ziemi drzewca chorągwi z emblematami amefińskich wiosek, przesłaniając miejscami czarny sztandar Tristena.

Kolejny jeździec pędził galopem przez obóz, godło wioski powiewało na ostrzu trzymanej przezeń włóczni.

–Do licha! – rzucił Idrys ze złością. Chciał wyjść.

–Nie – powstrzymał go Cefwyn. Potem zwrócił się do gwardzistów: – Żadnych swarów!

Człowiek przeleciał obok nich i cisnął włócznią, skutkiem czego astępny sztandar wbił się obok sihijskiej chorągwi.

Tuż za konnym nadciągnął pieszy zastęp i oto nowe cztery jroporce zatknęto przy Wieży i Gwieździe. Udając, że nie widzą gwardzistów ani króla, intruzi powtykali drzewca, pieczołowicie prostując i wzmacniając wcześniej zatknęte sztandary. Potem odwrócili się i odeszli.

–Niech ich zaraza wydusi! – mruknął Idrys.

Tristen czuł chłód, samotność i poniekąd wyrzuty sumienia, gdyż zrozumiał, że niniejszym

wymówiono posłuszeństwo Cefwynowi i opowiedziano się przy jego chorągwi, czego wcale nie pragnął i z czym nie wiedział, co począć. Prawdopodobnie powinien teraz coś powiedzieć, zaprotestować, nie znał jednak przyczyn całego zdarzenia, a słowa więzły mu w gardle.

–Orien – mruknął Cefwyn. – Przeklęta jędza! – Nadjeżdżał następny jeździec.

–Musimy położyć temu kres – stwierdził Idrys, a Gwywyn, Kerdin oraz spora liczba gueleńskich gwardzistów zbliżyli się do nich, opuściwszy swój namiot.

–Nic nie róbcie! – rozkazał jednak Cefwyn. – Nie dopuszczę do żadnych rozłamów!

Król przepchnął się koło nich z powrotem do wnętrza namiotu i zanim Annas zdążył interweniować, dołał sobie wina i opadł na krzesło. W blasku świec grymas niezadowolenia błędził po jego twarzy. Tristen stanął przed nim z niepewną miną.

–Co powinienem zrobić? – zapytał. Tyle goryczy i złości mieściło się w wejrzeniu, jakim zmierzył go Cefwyn, tyle dławiącej złości, że przy niej Tristen czuł się dotknięty, speszony i wystraszony. – Mogę ich powstrzymać? Tak zrobię. Pójdę z nimi porozmawiać.

Przez chwilę Cefwyn, niezdolny wykrztusić słowa, siedział z ręką zaciśniętą na poręczy krzesła. Potem westchnął przeciągle i pokiwał głową.

–Nie.

–Pójdę z Idrysem.

–Nie – powtórzył Cefwyn i obrzucił go jadowitym spojrzeniem, wypaczonym, Tristen miał nadzieję, w świetle latarni. – Tak wyglądają fakty. Jestem Marhanenem. Nie jestem kochany. A Orien Aswydd znalazła swego pełnomocnika. Najwyraźniej jakimś sposobem przekazała wiadomość, by to wszystko ukartować.

–Każdy z nich jest Amefińczykiem – odezwał się Idrys od wejścia. – Wasza Królewska Mość raczy przypomnieć sobie o więziach łączących Amefińczyków z Althalen. Dobrze, że w ogóle ruszą zjednoczeni pod jednym wodzem.

–I oby ruszyli na bitwę. A jeśli tak się stanie... jeśli tak się stanie, bardzo dobrze. Powiedziałem kiedyś, że chętnie uczyniłbym z ciebie lorda Amefel.

–W Amefel też są dobrzy ludzie – rzekł Tristen ostrożnie – a jeżeli nie będzie już Aswyddów, no to... któryś z nich mógłby oczekiwać, prawda...?

–W takim razie niech amefińscy lordowie posłużą się władzą, aby temu zapobiec – uciał Cefwyn, po czym dodał, zerkając na dwie towarzyszące Ninevrise amefińskie damy: – Jakoś nie widzę, by którykolwiek kwapił się do tego. Earlowie boją się pospółstwa... Po

cóż się martwić, ci ludzie uznali przecież zwierzchność lojalnego nam człowieka. Orien pragnęła nas skłócić, lecz nie spełnią się jej życzenia, gdyż nie okażę zawiści, a Tristen jest moim przyjacielem. Dalej, pozabierajcie swoje krzesła, spokojnych snów. Zapewniam was, że ja będę spał jak kamień. Oni rozwiali już moje wątpliwości i, chyba że jakiś amefiński earl ośmieli się wejść mi w paradę, postawię cię ponad nimi, Tristenie. Patrz na to jak na zapowiedź niedoli, a nie beneficjum. Na początku radziłbym ci wyznaczyć poborcę podatkowego, który nie jest lichwiarzem.

–Ależ ja się nie znam na tych sprawach – zaproponował Tristen.

–A zatem wyznacysz obeznanych ludzi. Z pewnością nie nabroisz więcej niż Aswyddowie.

–Nie chcę, by szło za mną więcej ludzi – oświadczył Tristen. – Mam ich dosyć, Wasza Królewska Mość. Więcej mi nie potrzeba.

–Idźcie spać, powiadam. – Cefwyn poruszył swoją okaleczoną nogą i skrzyżował wyciągnięte kończyny. – Pragnę odpocząć... Moja łaskawa pani, proszę o wybaczenie, że nie jestem dzisiaj przykładnym gospodarzem.

–Powinniśmy pójść do naszych namiotów – powiedziała Ninevrise, po czym wszyscy ruszyli do wyjścia. Uwen zabrał dwa krzesła, a amefińskie damy dźwignęły pozostałe, lecz Annas powstrzymał je, przywołując równocześnie pazia do pomocy.

–Idrysie – zapytał Tristen drżącym głosem, skoro Cefwyn powiedział, że nie zajmie się tą sprawą. – Idrysie, co mam teraz począć?

Mężczyzna spojrział nań ze zwykłą sobie oziębłością... a mimo to z niewielką zmianą w swoim nastawieniu.

–Uświadom ich, żeś jest przyjacielem króla.

Rada wydawała się mądra. Tristen skinął głową i wyszedł na zewnątrz, ustępując miejsca przy wyjściu Ninevrise.

Ninevrise spojrziała nań uważnie, na wpół skryta w cieniu, na wpół oświetlona blaskiem ogniska, stojąc niedaleko sztandarów.

–Lordzie Tristenie – rzuciła.

–Pani.

Ninevrise jakby zmieniła zdanie na temat rozmowy, potem zmieniła je ponownie i z ostrożnością podeszła bliżej.

–Nasz wróg – zaczęła, a potem sprostowała: – Twój wróg. Czy on jest tam dzisiaj?

Tristen nie tyle bał się szarej przestrzeni, co jej nie ufał. I nie zaglądnął.

–Jest tam bez wątpienia – odparł. – Jak zawsze.

–A w Althalen?

–Trudno powiedzieć, pani. – Pomyślał wówczas, że tego się właśnie lękała: ani słowem nie zaprotestowała, kiedy na miejsce jednego z obozowisk wybrano okolicę w sąsiedztwie Althalen, niemniej widział jej twarz podczas narady, gdy dopracowywano podobne szczegóły, widział jej ściśnięte wargi, wykrzywione w nagłej obawie. – Ale nie wyczuwam tam niczego niepokojącego. Inaczej bym powiedział. Cefwyn pytał mnie o to. – Nie było to głośne pytanie, ledwie spojrzenie, kiedy odmierzali odległości. – Gdybym coś wyczuł, na pewno bym tego nie ukrywał.

Wydawała się uspokojona. Przyszło mu na myśl, że od umiejętności sięgnięcia wzrokiem do Ynefel, wymagającej jedynie chęci, gorsza jest być może niezdolność do dostrzegania odległych miejsc przy jednoczesnym wyczuwaniu grózb w szarym świecie.

Ninevrise nie była silną czarodziejką – może tylko na razie. Prawdopodobnie widziała tylko tyle, by doświadczyć strachu.

–Zdołasz przynajmniej – powiedział – wyczuć nadchodzące niebezpieczeństwo. Podobnie jak czułaś je tamtej nocy. Wówczas powiadom Cefwyna. I mnie. Ale ja i tak chyba będę już wiedział.

Spojrzała nań bacznie, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

–Bądź także moim przyjacielem – poprosiła. – Męczy mnie to widzenie. Nie wiem, kiedy i gdzie coś zobaczę. I co to będzie za obraz. Boję się tu spać... ale w Althalen może być jeszcze gorzej, a zeszłej nocy nie zmrużyłam oka...

Łzy napłynęły jej do oczu, usta drgały. Dotknął i puścił jej dłoń.

U wejścia do namiotu ukazał się cień.

Idrys.

Tristen spojrzał w jego stronę.

–Panie – powiedział, czując się niczym przyłapany na gorącym uczynku, jak zawsze w obecności tego człowieka.

Pojawił się Uwen, pojawiły się damy do towarzystwa Ninevrise, zatem Tristen uklonił się lekko i wrócił do swojego namiotu, gdzie w świetle latarni Uwen pomógł mu zrzucić uciążliwą kolczugę, a służba pomagała przy zżuciu butów i zdejmowaniu ubrania. Na koniec

Uwen położył się spać w swej części namiotu i wnet zaczął chrapać, wyczerpany ciężkim dniem. Głosy czeladzi cichły z każdą chwilą.

Tristen siedział przez pewien czas, usiłując w blasku latarni, dopóki wzrok nie zaczął mu zachodzić mgłą, czytać swoją Książkę. Wertował kartka po kartce w poszukiwaniu słów, mogących przekazać mu jakieś zrozumiałe treści.

Ciszę nocy zakłócały wszakże kroki osób przechodzących koło namiotu.

Nie miał wątpliwości, gdy zdmuchnął płomyk latarni i ułożył się w łóżku, co się dzieje na zewnątrz. Gwardziści z rozkazu Cefwyna nie interweniowali, ponieważ Cefwyn nie zamierzał doprowadzać do kłótni wewnątrz armii. Doszło już przecież do niemal katastrofalnej scysji między oddziałami gueleńskich gwardzistów w sprawie Orien Aswydd, do konfrontacji, która zasiała między obiema jednostkami ziarno nieufności, którą Idrysowi i Gwy wynowi tylko częściowo udało się przełamać. Nikt nie mógł pozwolić sobie na drugą zwadę, tym razem pomiędzy Gueleńczykami i Amefińczykami.

Tristen nie wiedział, jak się powinien zachować. Wyglądało na to, że zawiódł pod każdym względem. Nie należało wykluczać, iż wróg już teraz wyciąga swe macki, by wprowadzać zamęt, bodaj w niewielkim stopniu, chcąc przyśpieszyć ich klęskę. Nie wiedział też, jak zapobiec dezercjom nękającym Cefwyna... tudzież nieustającemu wzrostowi liczby jego własnych popleczników, którzy budzili w nim strach i zewsząd mu się naprzykrzali.

Rankiem, gdy pierwsze promienie słońca rozjaśniły obóz, co najmniej czterdzieści proporców poszczególnych wiosek niczym las otaczało sihijską chorągiew. Smok Marhanenów także nie stał osamotniony, ponieważ żołnierze przenieśli proporce gueleńskich jednostek i zatknęli je w szeregu obok czerwono-złotej chorągwi Cefwyna, rzucając wyzwanie Ame-fińczykom. Tristen, wyszedłszy z namiotu przy pierwszych oznakach poruszenia, poznał, co oznacza ten widok.

–No, no – mruknął Cefwyn, przyglądając się wszystkiemu z progu swego namiotu, wielce poruszony.

–Zwijać obóz! – zarządził Idrys, a wtedy wszędzie naokoło zaczęły opadać namioty, podobnie jak opadły już, pomimo szarówki, w sąsiednim rzędzie. Szybko i sprawnie zebrano w stosy liny odciągowe i kołki, potem powiązano płachty namiotów, a gotowe toboły rozłożono wzdłuż dróżki, którą miał przejechać wóz, by je pozabierać. Cefwyn stał smagany chłodnym porannym wiatrem, a Tristen dotrzymywał mu towarzystwa. Stajenni przyprowadzili im konie, lecz Cefwyn nie zamierzał jeszcze wsiadać, a zatem nie wsiadł nikt inny.

Ostatecznie na miejscu namiotów, jak okiem sięgnąć, pozostały wyłącznie konie i ludzie. Minęła ustalona wcześniej pora wyjazdu. Oddziały nic tylko stały, a skoro okazało się, że stały jedynie z woli króla, czekając na jego rozkaz, zaległa nienaturalna cisza, która

ogarnęła najpierw szyki gwardzistów, potem cały obóz.

–Guelen! – Na ten okrzyk Idrysa gueleńscy żołnierze, którzy spali w pobliżu namiotów dowódców, a potem zgrupowali się bezładnie przy chorągwiach, teraz postąpili do przodu. Idrys wykrzykiwał gniewne rozkazy; chorążowie zanieśli swoje sztandary do poszczególnych jednostek i Gueleńscy stanęli w ordynku.

Wówczas, choć nikt im nie wydał rozkazu, nie chcąc chyba jednak zostać w tyle, Amefińczycy runęli ławą, bez ładu i składu, by wśród zgiełku odzyskać swoje proporce. Były krzyki, doszło do przepychania i wszczęła się bójka, gdy ludzie cisnęli się po swoje sztandary, a Gueleńscy poszturchiwali ich, robiąc miejsce dla króla i jego kompanii.

Tristen przez chwilę przypatrywał się bezradnie, by wreszcie – rozumiejąc symboliczny wydźwięk tej szamotaniny – domyślić się, co w tym całym rozgardiaszu może przykuć uwagę Gueleńczyków i Amefińczyków. Odebrał sihijską chorągiew Andasowi, który strzegł jej do tej pory, po czym zaniósł ją samotnie na miejsce, gdzie wcześniej stał królewski namiot. Drzewce miało ostre zakończenie; Tristen wbił je z rozmachem w ziemię tuż przy Smoku Cefwyna, pochyło, tak by się skrzyżowały oba drzewca.

Podniosły się szmery, utarczki zamarły. Tristen nie potrafił dobyć głosu. Podszedł do Cefwyna i obaj uścisnęli się na oczach całej armii. W górę wzbily się radosne okrzyki, Cefwyn wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu i jeszcze raz objął Tristena.

Atmosfera natychmiast uległa poprawie. Tristen po raz trzeci uściskał Cefwyna, aby tę atmosferę ostatecznie oczyścić, przy czym w oczach Cefwyna błyszcząły łzy, usta jego były ściśnięte.

–Na koń! – zawołał Idrys, wymachując mieczem. – Każdy dystrykt wedle kolejności! Ruszać się! Mamy opóźnienie, panowie! Ruszać się, ruszać, ruszać!

Chyba miał wszystkich na myśli. Cefwyn odszedł do swojego wierzchowca, a Tristen wrócił szybko do parobka, który trzymał Petelly'ego, ujął wodze i wskoczył na siodło. Wóz dotychczas nic mógł przejechać przez ciżbę, teraz jednak, kiedy żołnierze rozbiegli się na przydzielone im miejsca, nareszcie nadjeżdżał. Andas odebrał sihijską chorągiew, ponieważ chorążowie ze Smokiem i Wieża regentki podnieśli już swoje własne.

Sztandary rozdęły się na wietrze. Poranne słońce przeświecało złociście między lekkimi obłokami. Do ruszającego króla dołączyła Ninevrise, kiedy chorążowie wspięli się na siodła i wysunęli do przodu. Wnet podjechał do nich Tristen, a Andas z sihijskim sztandarem zajął należne mu miejsce na lewo od pozostałych dwóch chorążych. Teraz gwardia zaczęła dosiadać koni, potem kolej przyszła na amefińskich lordów. Zanim opuszczono teren obozu, gueleńska gwardia, oba rywalizujące z sobą regimenty i żołnierze zawodowi, podjęli tę samą co ostatnio pieśń marszową, pokrzykując gromko i maszerując w żywym tempie.

Już wkrótce z tyłu wśród amefińskich szeregów buchnęła inna pieśń i w dalszej drodze

wojska usiłowały się przekrzyczeć.

Tristen jechał w pogodnym humorze. Wiedział, że udało mu się coś zyskać, a to, co było zepsute, teraz zostało naprawione. Cefwyn śmiał się i żartował z nim, z Idrysem i z regentką. Świt rozścielał na gościńcu błyszczący kobierzec, wydłużając cienie maszerujących na zachód żołnierzy, oblewając blaskiem przedmioty, których zwyczajne kolory nabierały odmiennych, zgoła czarodziejskich odcieni. Ten ranek nie nastrajał do niczego złego.

Wtedy jednak wzrok Tristena spoczął na widnokręgu po północnej i wschodniej stronie nieba, a tam poranek nie malował się już tak jaskrawo. Miał ochotę, miał nieprzepartą ochotę spojrzeć swym wewnętrznym okiem, lecz zdawał sobie sprawę, że tego właśnie nie powinien robić.

Przemierzali gościńiec w takim kierunku, że wciąż widzieli rąbek tego cienia, którego nie sposób było zapomnieć. Sielski nastrój Tristena został zmacony, a jego rozterki od czasu do czasu niepokoiły pozostałych. Nikt nie zadawał wszakże żadnych pytań, być może ze strachu przed odpowiedzią.

–Czy i ty widzisz, jak horyzont powleka się cieniem? – zapytał Uwena, kiedy zatrzymali się na odpoczynek. Miał nadzieję, że to naturalne zjawisko. Skoro zaskoczyła go jesień, również inne rzeczy miały do tego prawo, objawiając mu Słowa, z jakimi się dotąd nie spotkał.

Uwen spojrzał we wskazanym przezeń kierunku i odpowiedział, że widzi wyłącznie skrawek chmury, która nie jest aż taka czarna.

W czasie tej przerwy podszedł do Ninevrise i rzekł, wbijając wzrok w trawę pod nogami:

–Pani, jeśli zapragniesz dzisiaj spojrzeć do tego drugiego miejsca, oprzyj się pokusie. Opieraj się jej ze wszystkich sił.

–Czemu? – zapytała Ninevrise, przestraszona. – Co widzisz?

–Nic, co by nam już zagrażało. Tylko bądź rozważna. Normalni ludzie niczego nie dostrzegali. Także Cefwyn. Nawet Ninevrise zawiodła. Tak więc Tristen jechał markotny, nie mogąc się z nikim podzielić swoją wiedzą, gdy tymczasem powoli, chyłkiem, linia cienia zaczęła opasywać widnokrąg niczym smuga dymu, niczym zwiastun nadciągającej nocy.

Odnosił wrażenie, że się przybliża, rozszerza.

Napotkali hufce z kolejnych czterech wiosek. Dojeżdżali, oświadczył Cefwyn, do granic Amefel, gdzie niegdyś tętniło życiem sporo wsi, teraz jednak ostały się tylko nieliczne; gdzie na horyzoncie ciągnęły się lasy, a dróg było mało.

Jak wynikało z obliczeń Cefwyna, tego ranka powinni zacząć napotykać lordów z południa. Tak się jednak nie stało; wesołość, z jaką rozpoczęli marsz, malała z każdą upływającą godziną, kiedy zaś słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a oni nie rozbijali obozu ani nie dostrzegali żadnego znaku sprzymierzeńców zarówno na przedzie, jak i z tyłu i na południu, troska zaczęła odbijać się na twarzach żołnierzy, a Cefwyn i Idrys rzucali częste, niespokojne spojrzenia na południe; Tristen spoglądał na zachód.

–Możemy zaczekać na nich jeden dzień – stwierdził Idrys. – Możemy, Wasza Królewska Mość.

Wtedy Ninevrise zauważyła:

–Lord Tasien czekać nie może.

–I nam nie wolno – dodał Tristen, ponieważ była to prawda, w którą nie wątpił.

Rozdział trzydziesty trzeci

Zewsząd otaczały ich teraz łąki i porośnięte lasem pagórki – pofałdowany teren wznosił się stopniowo w stronę Althalen, a w tej zdradliwej krainie, podobnie jak wokół Kruczego Wierchu, mogła czyhać w zasadzce cała armia. Nocą dostali wprawdzie wiadomość, że droga jest bezpieczna, lecz stan ów mógł w każdej chwili ulec zmianie, jeśli elwynimskie wojska wylądują po tej stronie rzeki.

Cefwyn przesunął się na grzbiecie Danvy’ego, by ulżyć zranionej nodze, a zarazem sprawdzić, czy unosząc się o pół piędzi nad siodło, będzie w stanie sięgnąć dalej wzrokiem.

Mieli znaczne spóźnienie. Nie chciał wydawać kolumnie rozkazu do przedwczesnego postoju przed miejscem planowanego obozowiska. Zaczynał zadawać sobie w duchu pytania, czy mądrze robi, nie zatrzymując się wcześniej, i czy nie popełnili błędu przy szacowaniu tempa przemarszu, co mogło zmniejszyć ich szansę na spotkanie z pozostałymi hufcami i okazać się naprawdę zgubne w skutkach, jeśli armia będzie posuwać się wolniej, niż zakładano.

Żołnierze ciężkiej jazdy nie rozstali się dzisiaj z tarczami i bronią, aczkolwiek nie przywdziali też pełnej zbroi, natomiast ciężkie rumaki bojowe, trzymane przez pachołków, dźwigały co prawda siodła, lecz nie niosły jeźdźców ani pełnych zbroi i rzędów. Zgodnie z opracowanym planem, w momencie minięcia pierwszego obozowiska, a zwłaszcza z chwilą znalezienia się w sąsiedztwie Althalen, wojsko będzie się zachowywać, jakby wjechało na wrogie terytorium, na którym w każdej chwili można spodziewać się ataku. Konie lekkiej jazdy przez cały dzień niosły jeźdźców, ciężkie rumaki przynajmniej nieznacznie obciążono. Piechota od południowego odpoczynku maszerowała z tarczami i włóczniami, pościągawszy je z wozów – zawsze można zrewidować te plany, by zwiększyć szybkość, niemniej podróżowanie bez choćby częściowej gotowości bojowej przez terytorium niepewne nie tylko ze względu na bliskość nawiedzonych ruin Althalen wiązało się z coraz to większym ryzykiem. Na falistym terenie nie tylko końce kolumny, oddalone o kilka godzin od przednich

szeregów, znikwały z pola widzenia, po prostu z powodu długości samej kolumny: częstokroć nawet bliższe oddziały ginęły sprzed oczu na krętym i pofalowanym gościńcu. Wozów z ekwipunkiem i zaopatrzeniem broniła niewielka ariergarda, a cała linia wojsk, w tym oddziały piechurów, upstrzona była jeźdźcami, którzy w razie napaści mogli zawezwać pomoc, aby ogon armii nie został odcięty w taki sposób, że czoło będzie nieświadome rozgrywającej się z tyłu walki.

Gdyby nieprzyjaciel zdołał pozbawić ich ekwipunku, namiotów i zaopatrzenia, znaleźliby się w rozpaczliwej sytuacji, a wielu żołnierzy nie przeżyłoby ucieczki i przegrupowania pod Henas'amef. Ryzyko związane było nie tyle z wzbranianiem żołnierzom cięższego uzbrojenia w obliczu zdarzających się najazdów, jak ten Caswyd-diana-a przecież regent obozował w Althalen nie zauważony przez ludzi przeszukujących wzgórze – co z trudnym terenem. Tristen ostrzegał, że Aseyneeddin zna ich zamiary i szczegóły planów: wkładali ogromny wysiłek, pędząc na nieprzyjaciela, który robił dokładnie to samo z pomocą tajemniczego wroga Tristena, wroga zdolnego zabić Mauryła Gestauriena – cóż za okropna myśl!

Nazajutrz musieli wcześniej wyruszyć. Musieli dotrzeć do obozu lorda Tasiena przy moście w Emwy, aby zatrzymać Aseyneeddina w Elwynorze; a przy najmniej, jeśli przybędą za późno, musieli uczynić cokolwiek, ażeby nie spotkać się z Aseyneeddinem w miejscu wybranym przez elwynimskiego lorda bądź sprzymierzonego z nim czarodzieja.

Czary. A raczej czarna magia. Po raz pierwszy użył tego określenia z rozmysłem. Jeśli się w ogóle do czegoś odnosiła, owa mroczna sztuka, o której Emuin podczas swych wykładów wspominał z konieczności księciu krainy z taką a nie inną przeszłością – odnosiła się do tego ducha, do tej... istoty wzbudzającej w Tristenie strach.

Zagrażali im wszak również śmiertelni wrogowie, wobec czego fatalnym rozwiązaniem mogło się okazać panikowanie i męczenie wojska tudzież nużenie koni, których w marszu używali ciężkozbrojni jeźdźcy, oraz rumaków bojowych, mających ich ponieść – pod obciążeniem pełnej zbroi i na o wiele krótszą odległość – do walki. Nie wolno też było ryzykować połamaniem wozów i zaprzęgów na skutek pośpiesznej i nierozważnej jazdy – to tak jakby strącić je na rzecz wroga.

Król odwrócił się do Tristena, by zapytać go o zdanie... i ujrzał, że młodzieniec teraz równie często, co przedtem na zachód, spogląda w stronę Marny.

W stronę Ynefel, pomyślał. Natura uchybień Tristena stawała się przejrzysta, jaką nigdy nie była do tego stopnia wobec ścian maskujących ich kierunek.

–Jeśli to cię uszczęśliwi – rzekł Cefwyn, bojąc się tej uwagi, którą Tristen kierował na zachód – kiedy już uporamy się z problemem Elwynimów, zgodzę się na wiosnę załatwić sprawę Ynefel. Proszę cię z tej racji, przyjacielu, gdyż przysięgałeś być moim przyjacielem, odwlekaj, co tylko możesz odwlec. Łodzie Sovraga zapewnią ci i twoim siłom bezpieczną przeprawę do Ynefel, jeśli już będziesz musiał wyruszyć. Żadnego przemarszu przez te

partie Marny. Udało ci się co prawda przeżyć ów las pod opieką Mauryła, ale nie myśl, by tam ponownie wchodzić w pojedynkę. I nigdy się nie zastanawiaj, czyby nas nie opuścić. Wesprę cię w razie konieczności, teraz jednak potrzeba mi twego wsparcia. Jesteś moimi oczyma, którymi mogę śledzić wroga. Jeżeli mnie zawiedziesz, oślepnę. Pojmujesz?

Tristen podniósł nań wzrok i wskazał palcem na północny zachód, tam gdzie las ustępował miejsca równinom.

–Spotka się z nami jeszcze przed Emwy.

Możliwe, że Tristen nie usłyszał ani słowa z tego, co mówił.

–Jesteś pewien? – zapytał.

–Tak – odparł Tristen beznamiętnie. – Tak, przez cały dzień się tego obawiałem. A teraz już wiem. Szkoda.

Oznaczało to zgubę Tasiena, niemal na pewno. Cefwyn poczuł ukłucie w sercu, rozejrzał się, by zobaczyć, kto jedzie w zasięgu słuchu. Idrys. Ninevrise rozmawiała z jednym z przydzielonych jej do ochrony gueleńskich gwardzistów, zatem nic nie słyszała.

–Kolejna wizja Mauryła?

Tristen potrząsnął głową.

–Moja, panie.

–Czyżby więc poległ lord Tasien?

–Myślę, że tak, panie. Odczuwam to jako pewność. Od godzin mnie to nękało.

Ta nowina przyprawiała wręcz o szaleństwo. Nie chciał w nią uwierzyć.

–Wobec tego Aseyneddin przeprowił się przez rzekę. Tak wynika z twoich wieści.

–Tak, panie.

–Nie mów nic Jej Miłości, na razie nikomu ani słowa. Nawet Uwenowi. Dopóki ja tego nie powiem.

–Tak, panie.

–A więc przeprowili się przez rzekę. Do licha! – Cefwyn podniósł wzrok na wzgórze, za którymi znikli jadący na południe wywiadowcy. – Gdzie lord Cevulirn? I kiedy się z nim spotkamy? – zapytał z odziedziczonym po ojcu brakiem szacunku do wszelkiego rodzaju wizji, a jednocześnie w nadziei, że czary się nie sprawdzą lub trafi się w nich wyjątek. –

Przedstaw mi tę wizję i oszczędź moim zwiadowcom trudów.

Tristenem wstrząsnął zimny dreszcz, skulił ramiona.

–Nie, wolałbym niczego nie mówić, Wasza Królewska Mość. Nie widzę ich. Ale widzę cień nad ziemią... na zachodzie i północy. To niedobrze. To bardzo niedobrze.

–Cień. Masz na myśli czary?

–Tak, panie. Czyli tak czy inaczej Cień.

Cefwyn zapatrzył się na zachodni widnokrąg, ale niczego nie zauważył.

–Widzisz jeno złe wieści, nigdy dobrych? Mam rację? Cóż zatem widzisz?

–Rzeczy, których dotyka czarodziej. Mój wróg jest z Aseyneedinem. Jest w Ynefel.

–Jeden przy moście, jeden w sercu Marny! Czyż może być w dwóch miejscach równocześnie?

–Wątpię, czy jest w Althalen. Mam nadzieję, mam wielką nadzieję, że Althalen to bezpieczne miejsce. Bo jeśli nie...

–Bo jeśli nie? Jesteśmy skazani, by rozbić tam dzisiaj obóz. Zamierzamy tam spędzić noc i minąć ruiny, nie zmuszeni do odpierania wrogiej napaści. Skoro dostrzegłeś możliwość zagrożenia, czemuś nic mi nie mówił?

–Powiedziałbym, panie, gdybym sądził, że on tam jest. Ale nie sądzę. A jazda na przełaj trwa znacznie dłużej... Nie wiem jednak, gdzie znajduje się Cevulirn.

Czarodzieje. Wystarczy, by się człowiek zawahał. Kiedy Tristen zatapiał się w myślach, zapominał o wszelkich wymogach etykiety i uzgodnieniach, o wszystkim, co ich łączyło – po prostu mówił, w co wierzył; i w co Cefwyn zaczynał coraz bardziej wierzyć. Sam nagle doznał wizji, on, w żyłach którego płynęła pragmatyczna krew Marhanenów; on – ścigający iluzorycznych wrogów Tristena przemierzając prowincję pełną starożytnych zabobonów, na wpół zapomnianych bogów i namacalnej wprost magii.

Dość zadrapać Amefińczyka, by poląła się czarodziejska krew. A jeśli walczył wraz z Amefińczykami przeciwko czemuś, co usiłowało odzyskać swe pradawne włości – rodziło się uzasadnione podejrzenie, że miesza się do wojny czarodziejów. Tylko sobie zawdzięczał, że sihijska chorągiew, czarna i złowieszcza, łopotą teraz obok Smoka Marhanenów. Tylko sobie zawdzięczał, że chłopstwo, ośmielone upadkiem Aswyddów i wzrostem znaczenia własnych lordów, garnęło się pod sztandar Tristena. To było jeszcze do zniesienia.

Niemniej jednak w Guelessarze i w północnych prowincjach mieszkali poczciwi, zacni i lojalni ludzie, którzy wpadną w popłoch na wieść o istocie przymierza swego króla, nawet jeśli ich król zwycięży.

A jeśli ich król straci prowincje – i schroni się w sercu Ylesuinu, porzuciwszy Amefel na pastwę czarnych nocy i będących na ich usługach Elwynimów – złamie przysięgę daną własnemu narodowi. Pisk mordowanych dzieci prześladował dziadka po grobową deskę. Na dobre imię bogów, cóż będzie jego odtąd prześladowało?

–Jeździec – rzekł Tristen, co król zauważył w tym samym momencie. Od wzgórz pędził ku nim cwałem jeden ze zwiadowców.

Kolejne złe wieści? – pytał Cefwyn samego siebie. Na takie się nastawił. Idrys okręcił się w siodle, również przygotowany na złe nowiny. Gwywyn i Ninevrise podjechali bliżej.

Człowiek, żołnierz Gwardii Książęcej (wszyscy zwiadowcy wywodzili się z tego regimentu) zwolnił i zrównał się z nimi.

–Miłościwy panie – wysapał, podczas gdy jego wierzchowiec dyszał z wysiłku. – Miłościwy panie... chmura kurzu na południowej stronie... wielki pas kurzu, panie. Mój towarzysz pojechał, żeby to sprawdzić.

–Cofnij się i znajdź Qwyll's-sona. Niech powiadomi szeregowych. Niech wiadomość przechodzi od jeźdźca do jeźdźca.

–Tak, panie. – Mężczyzna szarpnął za wodze i cofnął się wzdłuż kolumny.

–Być może to Cevulirn – rzekł Cefwyn. – Byłaby to nader pomyślna wiadomość.

–Z pewnością lepsza niż podobne widoki na północ od nas – mruknął Idrys. Jadąc niedaleko Tristena, dosłyszał jego rozmowę z królem. A Idrys prędzej wierzył złym niżli dobrym wiadomościom. Zawsze.

–Skoro nadjeżdżają z południa, muszą to być nasi – powiedziała Ninevrise.

Tristen stwierdził z powagą:

–To są nasi, pani. Ale znajdujemy się od nich na północ. Lepiej, żeby mieli pewność, kim jesteśmy.

I to powiedział Tristen? Najwyraźniej objawiło mu się coś jeszcze, i to w przeciągu kilku zaledwie dni.

Przed królem Marhanenem również otwierały się nowe możliwości.

A jeśli Mauryl powołał do życia autora Sztuki Wojny! Czyżby u jego boku jechał teraz

anonimowo ów światły narrator tego prastarego tekstu?

Życie to nie cholerna poezja. Przecież Tashanen był inżynierem i strategiem. Wspominał ostatnią naradę przed odjazdem baronów. Gdy tak jechali obok siebie, szykując się na spotkanie, Cefwyn uzmysławiał sobie, iż Tristen zna się jednak na strategii, a już z pewnością umie posługiwać się mieczem. Uwen twierdzi, że nie jest mu obca też włócznia, że lubi dosiadać Dysa i doskonale rozumie się ze zwierzęciem. To Sihhijczycy sprowadzili do kraju ciężkie rumaki, czemuż zatem Tristen miałby ich nie znać?

Tristen zabierał głos w sprawie wałów ziemnych. Sprzeciwiał się fortyfikacjom. I wszyscy zginięci, powiedział wówczas, a myśmy go zlekceważyli. Doradzał nam, do cholery, w jedynej kwestii, jakiej nie potrafiła rozstrzygnąć księga Tashanena, jedynej kwestii, jaką najbardziej pragnąłem wyjaśnić, a wcale nie słuchałem, co mówi.

Tashanen nie poruszył tej kwestii w swej książce, gdyż Sihhijczycy w jego epoce znali ją od podszewki. Wynałazł sztukę oblęż-niczą, mającą zastosowanie przeciwko wrogom, którzy stosują biegle pozostałe sihhijskie taktyki. Tashanen miał całą podstawową wiedzę – o jakiej traktowały spalone w Althalen księgi – dlaczegóż więc miałby rozpisywać się na temat zastosowania magii przyrodzonej jego rasie? Ten temat poruszały inne opracowania. Z czymkolwiek człowiek się rodzi, zawsze istnieje sposób, by to lepiej wykorzystać: i tym właśnie chciał się zająć w swej pracy. Spisy wał jedynie nowe idee, nie zaś stare i przebrzmiałe. Czemuż Sihhijczyk czy ktokolwiek inny winien spisywać rzeczy oczywiste?

Cóż mnie odwiodło od słuchania Tristena?

Czyżbyśmy wszyscy byli ślepi? Czyż to kolejny cios zadany nam przez jego wroga, za pośrednictwem Orien Aswydd?

Co może zrobić człowiek, zadawał sobie dalsze pytania, bez owej wiedzy, przyrodzonej, jak się wyraził Emuin, rasie Tristena?

Uderzyć na wojsko z krwi i kości? To było do wykonania. Inne możliwości? Żadnych nie widział. Zapatrzony w sihhijski tekst, nie wziął do serca przestrogi Tristena; dostrzegał wyłącznie zagrożenia związane z konfrontacją z Tristenem podczas narady. Zauroczony sihhijskimi umiejętnościami prowadzenia wojny, posłał ludzi na z góry stracony, beznadziejny przyczółek, mający stanowić obronę przed czarodziejską mocą.

Pozwolił, by pobratymiec jego narzeczonej popełnił śmiertelny błąd. Tasien zmagął się z nieprzyjacielem jak umiał najlepiej, nie darzony ani krztą zaufania przez gueleńskich królów. Jednakże będąc władcą, Cefwyn powinien był z większą siłą argumentować z Tasieniem, zamiast od razu zgadzać się na jego plan i (niech mu bogowie wybaczą) przyozdobić go swymi chłopięcymi fantazjami.

Szańce w zielnym ogródku. Łaskawi bogowie, czemu nie ruszyłem głową?

Z drugiej strony, jakie mógł przedsięwziąć kroki przeciwko czarodziejskiej napaści, nie wysyłając tam Emuina ani Tristena, a przecież obie te możliwości nie wchodziły w rachubę? Jakże kroki może przedsięwziąć teraz, wobec ataku sił, o których wiedział, że ruszyły już na nich wszystkich?

I jak tu przekazać Ninevrise wiadomość o Tasienie?

Owiany pióropuszem migoczącego w słońcu kurzu, pędząc w dół wyniosłości terenu, nadlatywał z południa drugi ze zwiadowców.

–Ivanimi! – zawołał, gdy się już dostatecznie zbliżył. – Widziałem chorągwie i światło na ich hełmach!

Zaledwie przyjechał wywiadowca, słońce ożywiło kolory na zachodzie, tak że wszyscy mogli zobaczyć na widnokręgu następnego pióropusz kurzu, znacznie dalej za pierwszym.

–To chyba Umanon – spekulował Cefwyn na głos, czując, jak wstępuje w niego nowy duch.

Idrys, równie szybko kojarzący fakty, cofnął się wzdłuż kolumny i wydał rozkazy: dwóch następnych zwiadowców puściło się na przelaj we wskazanym kierunku, tym razem by powitać zagubione oddziały.

–Chwała bogom – odetchnął Cefwyn, ostatecznie pewny, że odnalazły się przynajmniej dwa spośród brakujących hufców.

W ciągu godziny na szczyt biegnącego wzdłuż traktu wzniesienia wspięli się jeźdźcy z południa – skłębiona fala chyżych lekkobrojdnych Ivanimów. Za nimi stateczniejszym krokiem nadciągali ich sojusznicy z Imoru, ciemna masa jeźdźców i bojowych rumaków na przedzie. Cefwyn odetchnął z ulgą na widok błyszczących w promieniach słońca sztandarów.

–A więc dwóch już mamy – stwierdził w zasięgu słuchu Tristena. – Teraz, święci bogowie, niech jeszcze przybędzie Pelu-mer, a wtedy...

Olmernerńczykom przypuszczalnie się powiodło, pomyślał Tri-sten, słysząc życzenie Cefwyna. Nie miał, co prawda, bezwzględnej pewności, aczkolwiek nie wyczuwał na północnym wschodzie żadnej wrogiej działalności, co skłaniało go do założenia, iż nieprzyjaciel nie poszedł w tamtą stronę. Przejście nie zamknięte przed Aseyneddinem drogo ich kosztowało, owe dwa mosty na wschód od dystryktu Emwy, które wedle zamierzeń Cefwyna miały uczynić inwazję z obrzeżonego lasem zachodu jedynym rozwiązaniem, gdyby Aseyneddin zapragnął prędko przeprowadzić się do Amefel. Tasien zginął. Ełwynimi przeprowili się wcześniej tamtędy i skazali na zagładę. Każda następna rebeliancka armia, która zechce zagrozić Henas'amef, będzie zmuszona przybyć drogą przez Emwy i się z nimi spotkać.

Ta część planów się udawała, miał nadzieję. Cefwyn wyznaczył kursujących w dwie strony gońców, którzy codziennie przybywali do Henas'amef z terenów położonych w górze rzeki, bardziej na wschód. Taki właśnie goniec powinien dotrzeć do Henas'amef zeszłej nocy. Efanor był w następstwie zobligowany posłać jednego żołnierza na północ, ku rzece, a drugiego na zachód, w ślad za wojskiem, z raportem dla Cefwyna o Sovragu i sytuacji na pograniczu.

System gońców Cefwyna był, przyznawał w duchu Tristen, bardzo mądrze obmyślony; uwalniał go od konieczności podejmowania prób nawiązania kontaktu z Emuinem, stanowiących najbardziej lekkomyślną rzecz, jakiej mógł się dopuścić, z wyjątkiem rozmowy z samym Hasufinem. Tego ranka królewscy kurierzy odłączyli od armii i pomknęli prosto na północ, by odszukać Sovraga i zanieść kolejne wiadomości zarówno od Cefwyna, jak i Ninevrise, uspokajające i dodające otuchy Amefińczykom z nadrzecznych wiosek, zapewniające ich, że nie są pozostawieni na łasce losu i że nie powinni bać się Sovraga, równocześnie nakazując wieśniakom bezzwłocznie powiadomić króla, gdyby Aseyneeddin przeprowadził się tamtędy jakimś mało prawdopodobnym teraz trafem – w takim przypadku inaczej należałoby przeprowadzić obronę prowincji.

Zapalane na wzgórzach ognie sprowadziły Cevulirna i Umanona, co stanowiło kolejny cudowny przebłysk dalekowzroczości króla: jednoczesne powiadomienie obu baronów i ich połączenie się w marszu z kolumną Cefwyna zależało od prawidłowego wyliczenia odległości, co Cefwyn uczynił zawczasu, i precyzyjnego oszacowania prędkości, z jaką będą się poruszały poszczególne hufce, zakładając, że w ogóle zauważą ognie sygnałowe i raczą wymaszerować.

Jak na kogoś, kto nie miał dostępu do szarej przestrzeni, Cefwyn sprawnie sobie poczynał. W szarości należy bowiem wystrzegać się czarodziejów, a ważne jest, by to umieć. Starał się nigdy o tym nie zapominać i nigdy nie ulegać temu, co widzi.

A szare miejsce nieustannie próbowało go zwabić. Wypełniały je cienie, światła i szepty. Teraz, gdy słońce rozświetlało ziemię i oblewało wzgórza pożłotą, gdy nadjeżdżali ich sprzymierzeńcy, Tristen czuł, że brakujące fragmenty, które musiały istnieć, wreszcie się z sobą zeszyły.

Wszelako odnośnie Pelumera nie doznawał owego poczucia pewności, które ogarniało go, kiedy myślał o przybyciu Cevulirna i Umanona. Szlak Pelumera przebiegał przez mroczne obrzeże Marny, a Tristen nie miał ochoty wpatrywać się zbyt głęboko lub długo w tamtą stronę.

Cevulirn dojechał o zachodzie słońca z łopoczącym Białym Koniem, prowadząc obok siebie rumaka bojowego, jako że każdy żołnierz w jego kompanii wiódł luzaka z przytroczonymi do siodła lancą, tarczą i niewielką ilość prowiantu.

Południowi jeźdźcy postępowali tak od wieków, bezustannie przesiadając się z konia na

konia. Gdy Cefwyn wyjaśnił to Tristenowi, obserwując zbliżającą się kawalkadę, w głowie młodzieńca dojrzała uśpiona dotąd myśl, że tak jest w istocie, że na najdłuższe wyprawy zabierają oni po dwa, a nawet po trzy zapasowe wierzchowce. Ujrzał to tak wyraźnie, że omal nie objawiło mu się Słowo – czuł się swojsko wśród Iwanimów, gdyż pojmował ich sposób myślenia, aczkolwiek mgliście rozumiał tego przyczynę.

Cefwyn wytłumaczył na oczekaniu Cevulirnowi, gdzie powinien dołączyć do kolumny – przysługiwało mu zaszczytne miejsce tuż za Amefińczykami, gospodarzami tej prowincji, a przed Umanonem, którego ubiegł. Król wskazał mu także, gdzie powinny być jego rumaki, gdzie wagon, a gdzie dlań zabrane namioty.

–Wasza Królewska Mość odbiera pracę skrybom – rzekł Cevulirn, unosząc z lekka brew. Podczas przygotowań baronowie nie mogli się oprzeć zdumieniu, gdy Cefwyn bez problemów zapamiętywał nawet najdrobniejsze szczegóły.

–Wieczorem zapraszam do siebie! – rzucił jeszcze Cefwyn, odsyłając lorda. – Napijemy się wina i omówimy cały ten pośpiech!

W chwilę potem zjawił się Umanon – jego ludzie podróżowali na modłę Iwanimów, prowadząc zastęp ciężkich koni.

–Miłościwy panie! – krzyknął Umanon. – Ledwie do domu zajechał! Ino com napalił w kominku!

–Wszystko wyjaśnię wieczorem! – odparł Cefwyn. – Nie jest z nami najgorzej. Dzięki bogom, żeśmy się spotkali! Swoją obecnością znacznie poprawisz nastroje, Wasza Miłość! Znajdź mnie zaraz, gdy rozbijecie namioty! – Cefwyn także jego poinformował o liczebności wojsk i miejscu na obóz, po czym Umanon odjechał, by, odebrawszy osobisty bagaż, zająć wyznaczone mu w kolumnie miejsce.

Ten dzień wycisnął na Cefwynie swe piętno. Król rozpoczął go w podobnym stylu, jak poprzedni, trzymając się mocno w siodle, teraz jednak, chociaż dopiero co usłyszał dobre wiadomości, w oczach Tristena z trudem zachowywał odwagę i opanowanie, pomimo łagodnego chodu Danvy'ego. Danvy szarpnął w lewo i w prawo, gdy zbliżyła się gromada obcych koni, lecz Cefwyn szybko ją uspokoił, za cenę bólu.

–To już niedaleko – zauważył Tristen, tylko tak mogąc go pocieszyć, jeśli bowiem na świecie istniała bodaj jedna droga, którą znał, była to ta właśnie droga; a jeśli istniało choćby jedno miejsce, które tej nocy kojarzyło mu się z ogniskiem, był nim Althalen.

Zmrok już zapadł na dobre, kiedy dotarli w okolicę, gdzie planowali rozbić obóz, zatrzymując się poza obrębem Althalen i po drugiej stronie gościńca, by nikt przypadkowo nie wtargnął, jak wyraził się Cefwyn, na przeklętą ziemię. Tristen zsiadł z konia z wielką ulgą. Wozy dopiero zaczynały zjeżdżać, a te najmniej istotne miały nadciągać pod eskortą konnicy do późnych godzin nocnych.

–Niechaj proporce jednostek zostaną przy jednostkach! – zakrzyknął Cefwyn, pragnąc zapobiec zamieszkom podobnym do tych, jakie odbyły się poprzedniej nocy. – Każcie wszystkim trzymać chorągwie w należytych porządku. Od tego miejsca w każdej chwili możemy napotkać wroga!

Ninevrise nie zsiadała z konia, więc Tristen zbliżył się do niej, by sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Równocześnie do regentki podszedł Cefwyn.

–Pani? – spytał król.

–Tutaj znajduje się grób mego ojca – powiedziała. – Chciałabym podjechać choć na obrzeże ruin, panie, choć na chwilę tam się zatrzymać, jeśli nie sprowadzę tym jakiegoś nieszczęścia na obóz. Ale czuję... Pragnę, panie.

Tristen stał w pobliżu, gotów wyciągnąć rękę, by pomóc zsiąść Ninę vrise. Wiedział, że Cefwynowi nie uśmiecha się taka prośba i że Cefwyn, chcąc zadowolić regentkę, ponownie wskoczy na Danvy'ego, skrzyknie gwardię i pojedzie, nie zważając na ból. Nie wysłałby Ninevrise z samą tylko eskortą.

–Pojadę z tobą – oświadczył Cefwyn bez słowa sprzeciwu.

–Panie – wmieszał się Tristen. – Wasza Królewska Mość, w tym miejscu umiem dostrzec rzeczy, jakich nikt inny nie dostrzeże i przed jakimi nikt inny was nie obroni. Mogę wziąć Uwena i moich gwardzistów.

Gdy Cefwyn spojrzał na Tristena, jakby zadumany, wyraz zmęczenia i wdzięczności zagościł na jego twarzy.

–Weź połowę swoich – rzekł – oraz sześciu ze Smoczej Gwardii. My tu musimy jeszcze rozbić namioty... I miej się na baczności. W tej sprawie ufam ci jak nikomu innemu, ale na miłość boską, na miłość boską i przez wzgląd na złożoną przysięgę, miej się na baczności!

–Tak, panie. – Tristen ruszył w stronę Petelly'ego, wydając po drodze rozkazy Uwenowi, zadowolony z rozsądnej postawy Cefwyna; z równą wyrazistością, z jaką widział zachodzące słońce, czuł w skrytości serca, jak usilna i zarazem uzasadniona jest prośba Ninevrise.

Wspiął się na siodło, a tymczasem Uwen pozbierał użyczonych przez Cefwyna ludzi. Przecieli gościniec, na którym, zdawałoby się, nieskończona linia konnych i piechurów rozciągała się hen, poza zasięg wzroku, wjechali na łąki, minęli rzadki zagajnik, wydostali się na następną trawiastą przestrzeń, zapuszczając się wciąż dalej i dalej, znikając z oczu żołnierzom w obozie, aż znaleźli się mniej więcej w miejscu, gdzie owej strasznej, deszczowej nocy spotkali Uwena, mając na karku wojska Caswyddiana.

Uwen okazywał niepokój. Także pozostali żołnierze. Być może, pomyślał Tristen, sam

powinien czuć strach na widok wichrowych pasemek biegnących po trawie, z których jedno maleńkie pozostawiało nader chaotyczny, cieniutki ślad. Znał to dziecko. Nie widząc wcale postaci, przyglądał się jego swawolom.

–Coś tu jest – stwierdziła Ninevrise.

–Owszem, ale nie patrz zbyt wnikliwie. Ona nie lubi, gdy się ją przyłapie... Uwienie, to dziecko więdźmy z Emwy. Mała dziewczynka. Cieszę się z tego spotkania. Ma na imię Seddiwy.

–Starucha?

–Wątpię, czy to dziecko umarło, kiedy spaliła się wioska. Chyba umarła dawno, dawno temu. Nie wiem, co każe mi tak myśleć, ale przebywają tu też inni wieśniacy, a ci nie są już tak przyjacielscy czy szczęśliwi... Ale nic nam nie zrobią. Ona jest silniejsza niżby można przypuszczać.

–Na bogów – bąknął Uwen, gdy przed nimi na trawie odcisnęły się cztery wyraźne ślady, wskazując właściwą drogę. – Czy to te paski w trawie?

–Tak, te.

–Panie, mam nadzieję, że wiesz, dokąd idziemy.

Światło umykało im teraz bardzo szybko i żołnierze mieli niewesołe miny: byli wyczerpani, od dwóch dni na szlaku, a mogli przecież, gdyby nie ta wyprawa, siedzieć sobie teraz przy ognisku i popijać z kamratami wino, czekając na kolację. Z polecenia Cefwyna musieli jednak wyruszyć, częściej sięgając rękoma po amulety niż po broń. Peteily prychnął i poderwał łeb, gdy duszek smyrgnął mu spod kopyt, a potem przemknął pod brzuchem konia jednego z gwardzistów. Wierzchowiec stanął dęba, natomiast jeździec, najstrachliwszy w całej kompanii, walczył, by poskromić zwierzę.

–Zachowuj się! – rzekł Tristen stanowczo, po czym wierzganie ustało.

Przejeżdżali wśród drzewek, z których każde zostało złamane w połowie wysokości pnia. Z trawy tu i ówdzie wystawały kamienie.

Jeden z żołnierzy Smoczej Gwardii szarpnął raptownie cuglami, by nie wjechać na coś, co leżało w trawie. Łamiącym się głosem oznajmił:

–To trup, lordzie strażnika.

–Ludzie Caswyddiana – orzekła Ninevrise w miarę spokojnie, aczkolwiek ton jej głosu był wyższy niż zazwyczaj. – Czy coś nam tu grozi, lordzie Tristenie? Czy ich duchy mogą nam zrobić krzywdę?

Trudne pytanie. Niemniej...

–Nie, nie sędzę. Mieszkańcy Emwy trzymają to miejsce dla siebie.

Zaczęli wspinać się na długi, niedogodny grzbiet wzniesienia, gdzie przewróciło się ongi dwóch ludzi. Deszcze nie zdążyły zmyć bruzd, jakie zostawili na stoku. Dotarli wreszcie na miejsce, skąd rozciągał się widok na ruiny, nad wyraz rozległe pod przykryciem drzew, zarośli i łąk. Chociaż na dole chłodem przejmowały ich podmuchy wiatru, powietrze na tym odsłoniętym grzbiecie było całkiem spokojne, podnoszące niejako na duchu. Wszystkich ogarniało tu uczucie spokoju, jakiego nie doświadczali wcześniej, kusząc każdego, kto posiadał zdolność patrzenia w ten inny sposób, do zatrzymania się i zerknięcia w owym ostatnim momencie gasnącego światła.

Ninevrise zapytała urywanym głosem:

–Ojczy? Ojczy, czy to ty?

W tejże chwili uwagę Tristena przykuła pewna zmiana w tym drugim Miejsku, jakby czyjaś obecność. Spojrzawszy przelotnie, zobaczył blady błękit i łagodną pozłotę. Zaryzykował i zerknął ponownie, by ujrzeć Linie ruin – linie na ziemi, które w godzinie śmierci regenta mętniały bardzo szybko, a teraz, jaskrawe, rozcapierzały się we wszystkich kierunkach. Jaśniej i jaśniej gorzały w szarówce, w miarę jak gasło ziemskie światło, aż rozplómiły krainę wewnętrznego spojrzenia. W miejscach przecięcia zapalały się dalsze linie, które z kolei przecinały następne, niczym ogień pochłaniający hubkę, błękitny i ciemnozłoty, tworzący, jak okiem sięgnąć splecione uporządkowane formy, sieć zachodzących na siebie prostokątów – wszędzie na trawie i w krzakach.

Rękodzieło starca, pomyślał, zdumiony i uspokojony. Mimo późnej pory ziemia ciągle emanowała światło. Cienie przepływały wzdłuż murów, teraz jednak trzymały się z dala od linii. Ludzie naokoło błyszczeli w jego oczach niby gwiazdozbiór na niebie; wtedy ziemskie spojrzenie powiedziało mu, że to wcale nie ludzie, ale noszone przez nich amulety, błogosławione przedmioty, przedmioty wymyślone dla ochrony przed złem także na jego piersi lśnił amulet Emuina, pośrodku światła, którym był on sam.

Owo lśnienie także wydawało się sprawką starca, aczkolwiek żaden z żołnierzy, nawet Uwen, nie dostrzegał chyba, co się wokół dzieje. Tylko lady Ninevrise rozglądała się zdziwiona po okolicy.

–To dzieło twego ojca! – powiedział. – Widzisz, pani? Jeszcze nie zginął!

–Widzę – przyznała, przykładając do ust zaplecione dłonie. – Naprawdę widzę!

–Co, lordzie strażniku? – zapytał gwardzista. Uwen jednak wtrącił spokojnie:

–Co widzi mój pan, nie jest złe, cokolwiek to jest. Trzeba poczekać. On się stara.

–Nie – rzekł Tristen, by dodać otuchy ludziom. – Nie jest źle. To bezpieczne miejsce. Bardzo bezpieczne.

Wszystkie te Linie, jak tamtej nocy, pokazywały mu, czym niegdyś był Althalen, teraz jasny jak blask ogniska, mówiąc, gdzie biegła ulica, gdzie ciągnęły się mury, któredy można było przejść przez labirynt, choć wyrosły tu chaszczce i zakryły gołą ziemię.

Kiedy o tym pomyślał, Nazwa, której stary człowiek nie potrafił mu zdradzić, brzmiała w powietrzu, niesłyszalna; Pytanie, na które starzec znał odpowiedź, odbijało się echem w szarości, a Linie na ziemi uniosły się, tworząc widmowe ściany i arkady, sale pełne ludzi, którzy przechadzali się w przepysznych strojach, jedli delikatne potrawy, wybuchali śmiechem i spacerowali po ogrodach; tuż obok płynęła rzeka, na której kołysały się łodzie, łodzie z kolorowymi żaglami oraz figurkami potworów i ptaków na dziobach. Nie wiedział, czy może tę Nazwę wypowiedzieć, co uczynił starzec, niemniej słyszał, jak jej dzwonienie rozplywa się po świecie.

To nie Althalen, pomyślał nagle, świadom, że bardzo szybko wpada w szarą przestrzeń... Jednak... nie był już... w Althalen.

Rzeka toczyła mroczne wody. Wiedział, dokąd ta rzeka płynie, znalazł się nagle w niebezpieczeństwie. Wzbił się do szarej przestrzeni i fatalnie pobłądził, wpadł w pułapkę zastawioną przez starego i chytrego wroga, wciąż umiającego postawić na swoim.

Postanowił odeprzeć atak. Przesunął się przed Ninevrise, w pojedynkę zagrządzając drogę nieprzyjacielowi, ale nie przyjmując jego wizji...

Ledwie o tym pomyślał, natychmiast odnalazł znane sobie miejsce widokowe, na zewnątrz, na balustradzie w Ynefel, o zachodzie słońca. Rozpoznał swój gołębnik, szpiczaste zwieńczenie wielkiej sali po drugiej stronie dziedzińca – najwyższy punkt twierdzy.

Zauważył własne okno, rogowe szyby mieniły się jasno w półmroku, jakby tam siedział, zaczytany w blasku świecy – ale przy otwartych okiennicach. To było lekkomyślne. I niebezpieczne.

Widział swoje okno, widział swój dom, poznawał znajdujący się poniżej gabinet, gdzie przechowywał książki – mnóstwo, mnóstwo książek. Oszołomiony, pomyślał, że to nigdy nie odpowiadało prawdzie.

Raptem szczyty Ynefel rozbrzmiały Słowem; niby je słyszał, niby go nie słyszał, ograniczony w swoim śnie dziwnymi barierami. Na dźwięk owego Słowa cały ten wspaniały budynek zatrzęsł się i znieruchomiał.

Stał na balustradzie, gdzie kiedyś wyszedł – gdzie wyjdzie – nago na deszcz.

Oglądał stąd wszystkie budynki – ulegając złudzeniu tętniącego życiem, rozłożonego u stóp

Ynefel miasta, złudzeniu ulic pełnych krzątanimy, rodzających skojarzenia z Henas 'amef.

Owego dnia gród ten nie nazywał się Ynefel. Miał inną Nazwę. Tak jak on. Przybył tam z pomocą Mauryła, by zburzyć ową cytadelę.

Był zły, nie wiedział tylko dlaczego i o co. Złość w nim narastała, a kiedy osiągnęła punkt, w którym musiał dać jej upust lub umrzeć, dał jej upust.

Podczas tego upustu wichur szalał po salach, porywał mężczyzn w ich strojnych szatach, kobiety w jaskrawych sukniach, dzieci razem z zabawkami, by zakręcić wszystkimi wokół wieżyc, ciskając jednych na drugich, z jasnego świata w szarą przestrzeń, gdzie się miotali, zagubieni i wystraszeni.

Niektórzy, bardziej zdeterminowani i dysponujący większą mocą, zdołali powrócić do swego poprzedniego domu, gdzie spojerali ze ścian, zastygli w kamieniu. Niektórzy zaś stali się Cieniami, wściekłymi bądź wylekłymi, albo po prostu zabląkanymi, jęcząc na wiatrach, które niosły je poprzez szare światło, póki ciemniejsze Cienie ich nie wyłapały, jednego po drugim, by pożreć ich sny, nadzieje, a nawet materię. Wszelako wszystkie szukające u niego wytchnienia Cienie wdychały wydychał do woli, dzięki nim powściągając gniew zagłuszający zdrowy rozsądek. Dzięki nim nauczył się... lepszych rzeczy.

Obok stał pewien młodzieniec w szarych szatach – człowiek, który teraz zniknął. Zagarnął dla siebie mury, lasy i rzekę, wypełniając uczynioną przez niego pustkę. Dokonało się. Całe Miasto przepadło. Został tylko on. I wieża Ynefel.

Twarze patrzyły ze ścian, przepływające istnienia rozgrzewały ciało niczym wino.

Zaczął dygotać. Chciał wiedzieć... kto się tego dopuścił i czy rzeczywiście on sam mógł to wszystko zapoczątkować.

Niemniej ze swego oblicza ani swoich myśli niczego nie potrafił odczytać.

Żył niegdyś – albo będzie żył – w tym małym pokoiku z rogowymi szybami. Przybył na prośbę Mauryła, od razu poznając, że jego wrogiem jest ów człowiek, który stał przedtem obok niego, młodzieniec w szarych szatach – z nim to zmagał się wszelkimi dostępnymi środkami, wprzegając nawet do pomocy dawnych mieszkańców Ynefel.

Pragnął poznać swoją tożsamość. Pragnął ujrzeć twarz człowieka, który wchłonałby cały świat, byle zwyciężyć szarego młodzieńca.

Zapytał Mauryła – albo pewnego dnia zapyta – czy widzi swoją twarz. Pomyślał, że chytrze postępuje w tym śnie, próbując sztuczki, dzięki której sen mógł odsłonić także jego własne oblicze.

We śnie wszakże nie miał lustra, nigdzie go nie było, aż wreszcie, wciąż w tym śnie, pojawił

się nagle we własnym pokoju – lub swoim przyszłym pokoju – by znaleźć na nocnym stoliku małe srebrne lustro. Oplatały go kosmyki cienia, stawiały opór; pasemka czepiały się powierzchni, gdy to lustro podnosił, lecz w końcu pierzchnęły, okazało się bowiem, że nie ma zamiaru ulec.

Zachował się chytrze. Pozyskał we śnie darowane mu przez Mauryla lustro; kiedy je wszak odnalazł, przeniósł się raptownie na dziedziniec przy kuchennych drzwiach i beczce z deszczówką.

Zapadał zmierzch i nawet za pomocą lustra nie mógł dostrzec niczego więcej ponad to, co zobaczył swego czasu w beczce: obrys własnej postaci, obrys z twarzą zakrytą cieniem.

Tak więc sen wywiódł go w pole i nie chciał, bez względu na zastosowane sztuczki, ukazać mu niczego więcej.

Znów siedział na grzbiecie Petelley'ego. Przytykał ręce do warg. Wiedział, że obserwują go ludzie. Przebył całą tę odległość z przeszłości, bez towarzystwa żyjących i bez towarzystwa umarłych. I niczego, niczego się nie dowiedział.

Znalazł powód do strachu – i wobec tego strachu właśnie, powodowany, myślał teraz, odrazą do okrucieństw Hasufina, rozgorzał jego straszliwy gniew.

A kiedy ów gniew zaczął kipieć – przynajmniej we śnie – z ludzkich żywotów utworzył kamienie, z gniewu zaś – zaprawę dla swej fortecy.

Mogła to być iluzja. Mauryl mówił, że nie trzeba bać się snów, że nie zawsze zawierają prawdę. Tristen sądził, iż Mauryl brał czynny udział w minionych wydarzeniach.

Starzec powiedział... że Hasufin posłuży się nawet jego snami.

Starzec postanowił objąć Althalen w posiadanie, toteż wszędzie naokoło Tristena, teraz, skoro oderwał się od Ynefel, rozciągały się świadectwa potęgi starego człowieka.

Bezsprzecznie Hasufin nie był w stanie uczynić coś tak pięknym, co więcej, dostarczyć tak przyjemnych wrażeń, wrażeń bezpieczeństwa i swojskości.

Aczkolwiek istnieniu twarzy z Ynefel, o których znów myślał, nie mógł zaprzeczyć. Czasami wydawało się, że poruszają się nocą – gdy wichur huczał, galerie trzeszczały, kiedy drżały płomyki świeczek.

Ynefel, gdzie zawsze czuł ciepło i domową atmosferę, było strasznym miejscem, gdyż on – on! – uczynił tam coś niewyobrażalnego i niszczycielskiego.

–Panie – rzekł Uwen, podjeżdżając bliżej. – Panie?

Nie mógł się poruszyć. Nie mógł odwrócić wzroku od tej mozaiki błyszczących linii, czując się mniejszym, niż powinien być – mniej mądrym, mniej życzliwym, mniej... zdolnym do stworzenia czegoś podobnego, czegoś tak pięknego i jasnego w szarym świecie.

Jego rękodzieło... różniło się od tego, co tu widział.

Ludzie czuli przed nim strach. Wszyscy ludzie mądrze postępowali, czując przed nim strach.

Uwen zdołał jakoś pochwycić wodze i obrócić Petelly'ego, kiedy więc popatrzył w przeciwnym kierunku, uświadomił sobie, że u jego boku stoi Ninevrise, a wokół zgromadzili się gwardziści, trzymając ręce na broni, choć nie było żadnego wroga, przed którym mogliby go obronić.

Poklepał krak Petelly'ego.

–Dam sobie radę, Uwenie – powiedział możliwie spokojnym głosem.

–Panie – oświadczyła Ninevrise, również wystraszona, jak przypuszczał. – Niczego nie widziałem. Niczego złego tutaj nie widziałam.

–Zatem zło, jeśli istnieje, jest we mnie.

–Nie pleć głupstw, panie – rzekł Uwen dobitnie, a następnie przechylił się w siodle i przełożył lejce nad łbem Petelly'ego, przy czym Tristen musiał się wyprostować. Petelly uniósł głowę, utrudniając manewr, lecz on już odzyskał wodze, osadził szarpiącego to w lewo, to w prawo wierzchowca, a kiedy ich niewielki oddziałek zwrócił się z powrotem w stronę obozowiska, i on ruszył ze spokojem drogą, którą tu przybyli, wśród wzgórz coraz ciemniejszych po zachodzie słońca, ostatecznie przecinając gościniec i wjeżdżając na zatłoczoną główną alejkę w obozie, do którego wciąż nie przestali napływać ludzie z wozami.

Zaraz po drugiej stronie Tristen zwrócił się do żołnierzy:

–To, co zobaczyłem... To, co zobaczyłem, nie wróży wam niczego złego. – Wiedział, że swym zachowaniem mógł wzbudzić strach wśród wojska. – Proszę, byście o niczym nie wspominali. Sam o wszystkim opowiem Jego Królewskiej Mości, kiedy znajdę odpowiedź.

Noga bolała, bolała tak bardzo, że najgorętszym życzeniem Cefwyna był kubek wina, żadna tam kolacja, bez względu na starania kucharzy. Dawno zapadł zmierzch, po Tristenie i Ninevrise wszelki słuch zaginał, wobec czego debatował, czy obrazić regentkę, posyłając po nią ludzi, czy też siedzieć i się zamartwiać.

Jednakowoż sam widok Umanona i Cevulirna podnosił na duchu oraz przekonywał, że ma tak wielu ludzi pod ręką, iż żaden wrogий zwiadowca nie ośmieli się podejść za blisko, a elwynimscy rebelian-ci, jeśli zechcą popробować się z Tristenem, niełatwo namierzą jego

mały oddział. Siedź spokojnie, wmawiał sobie. Niech się dowiedzą, czego chcą się dowiedzieć, tymi swoimi sposobami. Posyłanie ludzi, by mieszały się w sprawy czarodziejów, nie jest niczym mądrym.

Posłanie dwóch najcenniejszych dlań osób na spotkanie z czarami dręczyło go bez ustanku.

Zbyt mało wszak ufał dotąd Tristenowi. Czyż mógł sprawować rządy, przeszkadzając swym najlepszym doradcom, niezależnie od przerażającej natury ich dociekań?

Poza królewskim namiotem Biały Koń Iwanimów oraz Koło Imoru Lenuaimu łopotały na lekkim wietrze wspólnie ze Smokiem, Wieżą i Gwiazdą, jak również amefińskim Orłem.

Wozy należące do gueleńskich żołdaków wyrzucały swoją zawartość. Diukowie Ivanoru i Imoru rozbili namioty w tym samym co król szeregu, namiot Tristena zaś stał po drugiej stronie, obok namiotu Gwywyna, będącego ośrodkiem dowodzenia Smoczej i Książęcej Gwardii. Tej nocy nie rozpalano ognisk w namiotach szeregowych żołnierzy, tak by utrudnić ewentualnym szpiegom, którzy mogliby podkraść się na okoliczne wzgórza, oszacowanie ich sił. Ognie zapalano na zewnątrz, kucharze uwijali się przy kotłach, gotując zupę i wypakowując twarde chleb przywieziony z miasta. Zwyczajni ludzie nie powinni mieć powodów do narzekania na barani gulasz i dostatek piwa do przepłukania gardeł – bardzo dobrego piwa, czego Cefwyn osobiście dopilnował. Aczkolwiek podanego w ilościach wykluczających pijaństwo.

W tym obozie panowała bardziej posępna atmosfera, nastrój wielkiej powagi, gdyż następnego dnia czekałich ostateczny marsz albo prosto do boju, albo by się okopać na przedpolu wroga i prowadzić odtąd wojnę pozycyjną.

Zgodnie z najświeższym raportem Idrysa, który dokonywał obchodów obozu, tym razem ład zapanował szybciej i był większy niż zeszłej nocy. Niewprawni wieśniacy, przygarnięci pod amefiński sztandar, wykonywali rozkazy lordów i oficerów oraz naśladowali przykład żołnierzy, wychodząc z bynajmniej nie bezpodstawnego założenia, że ich życie już wkrótce zależeć będzie od wyuczonych umiejętności. Początkowo niefrasobliwe zachowanie Amefińczyków uległo tego wieczoru znaczącej poprawie, a jednostki z dwóch amefińskich wsi położonych w dolinie Hawwy przeprowadzały musztrę nawet po zmroku w świetle latarni, co było nadmiarem gorliwości, jak powiedział Idrys, z czym Cefwyn się zgadzał: lepiej nie przemęczać ludzi.

Tymczasem Kerdin Qwyll's-son donosił, że gueleńscy żołnierze wmieszali się między Amefińczyków, rwąc oczy nienagannym zachowaniem i instruując wszystkich, którzy chcieli słuchać. Kilku oficerów siedziało Wokół ognisk, gdzie gorliwie i z czcią nagabywali ich rozsądni amefińscy młodzieńcy, pragnący dożyć starości.

Wśród nich, zwabieni do ognisk, przebywali także jeźdźcy Ce-vulirna, wprawiani od dzieciństwa w jeździe po kraju i nauczaniu wiejskich dzieciaków, o której godzinie kończy się

służba na dworze Cevulirna. Sprawnie i szybko doprowadzili do porządku niewielką amefińską część korralu dla koni, po czym i oni przysiedli się do ognia, by słuchać i snuć opowieści. Podobnie postąpili żołnierze z Imoru, przeważnie mieszczenie, dobrze zorganizowani i wyszkoleni; ci synowie kupców i handlarzy co dziewiąty dzień odbywali musztrę, a spośród kupieckich synów każdy, kogo stać było na konia i czeladź, z dumą i pieczołowitością doglądał swego ekwipunku – lud wyniosły, odmienny od jeźdźców Cevulirna, którzy, gdyby zaczęło płynąć piwo, mogli zacząć zachowywać się ze znacznie mniejszą rezerwą niż ich blady, odziany na szaro dowódca.

Wciąż jednak czekano na wieści od Pelumera i na posłańca od Olmerneńczyków.

Cefwyn po raz trzeci wyszedł przed namiot i zbliżył się do ogniska, gdzie jego własna kuchmistrzyni przygotowywała stawę dla lordów, kiedy to na głównej alejce rozbrzmiał głośny tętent: Tristen i Ninevrise wraz z eskortą wracali cało i zdrowo do obozu.

Wówczas pierzchy jego obawy, zwłaszcza gdy w blasku ogniska ujrzął oblicza uczestników wycieczki, a Ninevrise zeskoczyła z siodła i podbiegła doń, mówiąc, że w Althalen sprawy wyglądają bardzo dobrze.

–To było cudowne – powiedziała, ujmując jego wyciągnięte dłonie. – To było cudowne. Szkoda, że nie widziałeś...

–Wątpię, czy mógłbym – przerwał jej, świadomy otaczających go Gueleńczyków i zastanawiając się, ile z tego, co już zdążyła powiedzieć lub zobaczyć, mogło trafić do ortodoksyjnych uszu. Ale nie chciał, by jego słowa zabrzmiały jak skarga.

–Tutaj chroni nas lord regent – oznajmił Tristen. – Miałem rację. Zdobył Althalen i utrzymuje pozycję. Umarli tam ludzie lojalni wobec regenta, a także jego wrogowie, lecz najwięcej mieszkańców wsi Emwy. Oni popierają lorda regenta. Myślę, że cały czas go popierają.

–Przynosili nam żywność, gdyśmy się tam ukrywali – powiedziała Ninevrise. – Nie zdradzili nas żołnierzom Caswyddiana. Mieszkańcy Emwy byli dobrymi ludźmi.

–Niech więc bogowie dadzą im wieczny odpoczynek – rzekł Cefwyn, choć nie wiedział, czy nie powinien przypadkiem bardziej przemyśleć swego życzenia. Ci umarli nie zaznali spokoju, jak twierdził Tristen, i nigdy już nie zazną.

Na twarzy Tristena malowało się przygnębienie, gdy odprowadzał Petelly'ego w stronę parobka. Potem stanął, zapatrzony w dal, błysk zrozumienia rozświetlał jego ciemne oczy, zimne i przejrzyste w blasku ogniska, jakby nasłuchiwał jakichś odległych głosów.

–Cóż tam? – Cefwyn ośmielił się zadać pytanie, które powinno paść już wcześniej, podczas narady. Postanowił naprawić swoje błędy. I powiedzieć Ninevrise, co wiedział.

–Kłopoty – odparł Tristen. – Kłopoty. Panie, popełniłem dziś bardzo niebezpieczną pomyłkę.

On mnie zaniósł do Ynefel. Postąpiłem bardzo niemądrze. Omal wszystkiego nie straciłem.

–Co przez to zyskał? – Nie musiał pytać, o kogo chodzi Tristenowi. I nie zamierzał być pobłażliwy. – Tristenie?

–Niewiele, mam nadzieję. Może wiedzę o mnie? Nie są? Idzie by połączył się z nami lord Pelumer. Mój wróg już wyruszył prosto na nas.

–Co z Tasiem? – zapytała Ninevrise, wystraszona, patrząc na Tristena.

No i Tristen się wygadał. Bogowie wiedzą, co mu się jeszcze wypsnęło.

–Zachodzi obawa, że lord Tasiem zginął – rzekł Cefwyn, delikatnie. – Pani, to tylko przypuszczenie Tristena. W tej chwili...

–...to już pewne – wtrącił Tristen. Złość zawrzała w Cefwynie: znosił jakoś maniery Tristena, lecz nie mógł ścierpieć, kiedy mu przerywano, zwłaszcza w ważnych momentach.

Wówczas coś się stało, coś się najwyraźniej stało. Tristen patrzył na Ninevrise, a Ninevrise popatrzyła na Tristena, podnosząc momentalnie do ust zaciśnięte pięści; a potem... potem było coś jeszcze – co sam mógłby zrobić, wiadomość, pocieszenie – wszystko to przepłynęło falami, które dostrzegał, acz nie mógł ich dotknąć ani poczuć.

Wzbierał w nim gniew.

A mimo to... czyż mogli postąpić inaczej? Czyż Tristen mógł nie być tą szlachetną istotą, jaką był zawsze, ze swymi niemożliwymi pytaniami i niemożliwym zachowaniem?

Nie potrafił zganić Tristena. Odwrócił się i pokuśtykał z powrotem do namiotu.

Ninevrise dogoniła spiesznie króla i szła u jego boku, delikatnie, niemal pieszczotliwie podając mu rękę, przynajmniej okazując respekt królewskiej osobie, jakiego nie raczył okazać jego przyjaciel.

Tristen odezwał się z tyłu:

–Panie, już wiem. On ma Tasiem i wszystkich jego ludzi, Wasza Królewska Mość. Jeśli go pokonamy... być może zdołamy im pomóc.

Król się odwrócił.

–Cóż takiego zrobisz? Wskrzesisz ich z umarłych? – Cefwyn sam nie wiedział, jak bardzo jest rozgniewany. Już po sekundzie żałował wypowiedzianych słów. Bał się ich znaczenia.

Tristen tymczasem odpowiedział spokojnie, jakby gniew był mu obojętny:

–Nie, Wasza Królewska Mość.

–Noga mnie boli – mruknął, odwrócił się i ruszył do namiotu razem z Ninevrise. Obejrzał się jeszcze na stojącego przy ognisku Tristena. – Chodźże, usiądziesz ze mną. Napijemy się czegoś. Nie zważaj na moje humory. Drżałem ze strachu o ciebie.

— Tak, panie – odparł Tristen potulnie i wszedł do namiotu, gdzie jak zwykle brakowało krzeseł, ale zanim zdążyli zająć się tym problemem, jeden z tych tajemniczych sygnałów, jakie padają zwykle w podobnych sytuacjach, przyzwał dwóch chłopców ze służby Tristena, którzy przynieśli mu krzesło.

Zaraz potem ukazał się Umanon z paziem niosącym krzesło i kubek, przedmiotami nieodzownymi, gdyż nawet w królewskim namiocie nie starczało ich dla wszystkich gości.

Nadszedł również Cevulirn, a Annas pogonił królewskich paziów, udręczonych chłopaków, do uzupełniania wina w każdym wyciągniętym kubku; Tristen swój dostał od Annasa.

–Panowie – zaczął Cefwyn, siadając z westchnieniem i prostując obolałą nogę. – Zaraz podadzą kolację. Tymczasem jednak usiądźcie, proście o wszelkie wygody. Żałuję, że nie dane wam było pobyc dłużej w domu, ale doszło do zdrady w Henas' amef, plany zostały ujawnione i dziś wieczór wróg osaczył lorda Tasięna, niech bogowie przygarną jego nieszczęsną duszę, jak informuje nas Tristen, powołując się na źródła... Ale nie chciałbym was przerażać, szanowni panowie.

–Zdrada – mruknął Cevulirn. – Ze strony Aswyddów? Cefwyn pokiwał smętnie głową.

–Jesteś bystrzejszy od swego króla, mój panie, i stąd moje kalectwo. Które nie przeszkadza mi w jeździe. Ani nie powstrzyma mnie od odpowiedzi na tę agresję. Dlatego też was zwołałem. A wy posłuchaliście w doskonałym porządku. Tristen twierdzi, że w Althalen nie czai się już tak wielka groźba.

–Możemy bez obaw rozbić tu namioty – oświadczył Tristen. – Ale przed świtem musimy stąd odjechać.

–Moi ludzie zmęczeni się jazdą – zaprotestował Umanon. – Skoro wróg przeprowił się przez rzekę, zechce złupić obóz. A nam trzeba jeszcze znaleźć Pelumera.

–Pelumer do nas nie dotrze – powiedział Tristen – a nieprzyjaciel nie będzie zwlekać. Jest coraz bliżej. Rozbił obóz, jak sądzę, ale... nie na dłużej, niż to konieczne.

W namiocie zaległa krępująca cisza. Słudzy zaczęli wnosić jedzenie, zatrzymali się jednak w miejscu.

–Zdyscyplinowana armia – mówił Umanon, marszcząc brwi z niedowierzaniem – która jest zdolna kontynuować marsz, nie skorzystawszy z okazji na splądrowanie zdobytego obozu?

Nie takie słuchy doszły mnie o Aseyneddinie. Lord strażnik snuje domysły, czy też dysponuje pewną wiedzą? I skąd ta nowina o Lanfarnesse?

–Już późno – stwierdził Tristen. – Nie wolno nam na niego czekać. Nie wolno, panie.

–Czarna magia – rzekł Cefwyn, myśląc, że sam o niczym nie ma pojęcia. – Gdyby wpadł w jakąś pułapkę... lord Tristen by nas powiadomił.

–Nie mogę przebić go wzrokiem – oznajmił Tristen.

–Czego? – zapytał Umanon. – Lasu Marna?

–Boję się – mówił dalej Tristen – sięgać w tamtą stronę. Ale Aseyneddin stawia nam czoło. Jutro. Bo cała moc Hasufina do tego zmierza. Ci ludzie uderzą, gdyż Hasufin każe im uderzyć. Nie postąpią tak, jak ludzie mogliby postąpić w innym wypadku.

–Odkryliśmy – wtrącił Cefwyn szybko, żeby Tristen nie zdążył powiedzieć czegoś więcej, co mogłoby przerazić rozsądnych ludzi – zdradę, panowie. I czary. Orien Aswydd ujawniła nasze plany, wobec czego ułożyliśmy nowe.

Wtem Tristen zerwał się na równe nogi, kierując wzrok w inną stronę, w kierunku północno-wschodnim, chociaż pozostali obecni widzieli tam wyłącznie puste płótno namiotu.

–Na miłość boską! – odezwał się Umanon i nawet Cevulirn wyglądał na wystraszonego. Cefwyn natychmiast powstał i chwycił Tristena za ramię.

–Tristenie, usiądź. Czy coś nie tak? Czy chciałbyś coś powiedzieć?

–Nie – uciał Tristen krótko, po czym bez słowa pożegnania, wbrew dworskim manierom, odsunął się na bok i wyszedł z namiotu.

Uwen z nieszczęśliwą miną pochwycił miecze swój i Tristena, po czym wyskoczył za młodzieńcem. Słudzy stali zmieszani z talerzami w rękach.

Cefwyn ruszył do wyjścia.

–Wasza Królewska Mość. – Idrys spotkał na zewnątrz Tristena, wyraźnie nie aprobując takiego szalonego zachowania, ale nie uczynił niczego, żeby go powstrzymać.

Tristen stał przy ognisku, wołając o swego konia, potem pobiegł wzdłuż namiotów obozową dróżką – na północ. Uwen dogonił go i próbował wcisnąć mu broń do ręki, ale nadaremnie.

–Ten człowiek postradał zmysły – zawyrokował Umanon za plecami Cefwyna.

–Idrysie – rzekł król – zatrzymaj go, na bogów! – Nagle zdał sobie sprawę, jakim krwawym sposobem Idrys mógłby zapobiec wydarzeniu, które stanowiłoby zagrożenie dla niego lub

armii, więc złapał go za rękaw, zanim ten się poruszył. – Nie, przygotuj mi konia i postaw gwardię na nogi.

–Jakże to tak, Wasza Królewska Mość? Nie powinienes!

–Przyprowadź mi konia, powiedziałem, do kroćset!

Wrócił z powrotem do namiotu, kulejąc i złorzecząc w trakcie zmagania ze zbroją, gdy tymczasem koń i gwardia były już w drodze. Pomagał mu Erion Netha, wyręczając tym samym zajmującego się gwardzistami Idrysa; Cefwyn z niecierpliwością znosił niezgrabność wynikłą z nieznamośności rzeczy. Umanon i Cevulirn, którzy przed przybyciem na kolację nie pozbyli się całości uzbrojenia, gnali już za Tristenem. Ninevrise ponaglała zaniepokojonych paziów, by nie tracili głowy, tylko ratowali jedzenie – mimo coraz większego chaosu zachowywała zimną krew – cokolwiek się wydarzy, mężczyźni mający prawdopodobnie przed sobą kolejną uciążliwą galopadę powrócą, chcąc napęcznieć czymś brzuchy.

On wcale nie postradał zmysłów, wmawiał sobie Cefwyn, czując ucisk w żołądku. Nie postradał zmysłów, a wszystko, co robi, robi dla naszego dobra. Gdyby zechciał, mógłby wyprowadzić z armii Amefiń-czyków. Gdyby zechciał, mógłby nazajutrz zostać królem Elwynoru. Ale czasem mieszało mu się w głowie. Niech go lichy porwie!

Zaledwie jednak wyszedł z namiotu, podbiegł gueleński żołnierz, wołając:

–Miłościwy panie!

W tejże chwili ujrzał jeźdźców pędzących ciemną obozową alejką, a wraz z nimi Tristena.

–Panie mój – rzekł Erion, lecz Cefwyn widział ze swojego miejsca, iż nie ma po co gonić w ciemnościach, tym bardziej że bolała go noga, chociaż tyle zachodu kosztowało go przywdzianie zbroi. Tristen, Uwen, Cevulirn i Umanon, wszyscy powracali w świetle kilku innych osób.

–Cóż to jest? – zapytała Ninevrise, wpatrując się w mrok. Nagle dodała: – Och, miłościwi bogowie! – Minęła króla biegiem, podczas gdy on, ze względu na chromą nogę i królewską godność, obserwował tylko całe zdarzenie i zapytywał się w duchu, kogóż w imię bogów znaleziono.

Już sam fakt, że Ninevrise rozpoznała kogoś z przybyłych, coś oznaczał, o ile nie chodziło o jakieś czarodziejskie dziwactwo mające związek z Tristenem lub grobem jej ojca – myśl tę jednak musiał odrzucić, gdyż troska regentki dotyczyła tylko jednego jeźdźcy, człowieka, którego koń dreptał ze zwieszonym łbem, pokaszując. Wokół owego jeźdźcy i całej kompanii zaczęły się zbierać tłumy, ludzie wstawali od ognisk i wypełniali alejkę.

Niebawem trzeba było nie tyle eskortować nieznanego, co oczyszczać drogę z ludzi przed nim i przed Ninévrise. Tristen jechał na przedzie, wiodąc, nie ulegało chyba

wątpliwości, posłańca; zanim jeszcze procesja zatrzymała się przed królewskim namiotem, Cefwyna tknęło złowieszcze przeczucie.

Jeździec ześliznął się z siodła, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Gwardziści, wśród nich Uwen, podtrzymali go i ponieśli. Ninevrise również chciała pomóc, acz bezskutecznie.

–Lord Tasien... – zaczął mężczyzna swój raport, wyężając wzrok, by dojrzeć Ninevrise. – Pani... Lord Tasien nie żyje... Wszyscy nie żyją... Wiatry... i ciemność... To przyszło zza rzeki...

Uwen strząsnął płaszcz z ramion i okrył nim człowieka, który dygotał i byłby upadł, gdyby nie wsparcie pomocnych rąk.

–Rebelianci – podjął żołnierz, trzęsąc się jak w febrze. – Pani, pani, miałem jechać... jechać po pomoc... po króla... kiedy to się zaczęło... Wiatry...

–Do środka, do środka – przerwał mu Cefwyn, świadom zbiegowiska pospolitych żołnierzy, którzy dość już słyszeli, by zasiać panikę w obozie. Będą krążyć plotki. Ludzie musieli już o wszystkim wiedzieć i wiadomość obiegnie obóz lotem błyskawicy. – Podejmiesz odpowiednie kroki! – zwrócił się do Gwywyna. – Znamy wiadomość. Wyruszamy wcześniej do boju... Do licha!

Wniesiono młodzieńca do namiotu, gdzie było jasno i ciepło; na prośbę Tristena posadzono go na jego własnym krześle. Annas podał mu kubek wina, Tristen przytrzymał rozdygotane ręce, natomiast Ninevrise, nie zważając na swoje dostojęstwo, przyklęknęła i położyła dłoń na kolanie mężczyzny.

–Palisane – zapytała – czy się przeprawili? Czy przeszli przez rzekę? Czy ktoś jeszcze przeżył?

–Oni... – Człowiek uniósł głowę i spojrzał ze strachem w oczy Tristena, patrzył w nie i patrzył, gdy tymczasem Tristen przytrzymywał mu ręce na kubku. Zachęcony przez młodzieńca, łyknął wina, po czym jego oddech zdawał się wyrównywać.

–Czary – powiedział. – Zobaczyłem ten obóz... Nie byłem pewien... Nie miałem pewności, czy znajdę tu przyjaciół...

–Co widziałeś? – spytał Cefwyn. – Mów do rzeczy, człowieku. Twoja pani słucha.

–Ja... się zgubiłem. Nie wiedziałem na drodze, w którą jadę stronę. Wschód i zachód mieszały się ze sobą, choć słońce stało na niebie... Zgubiłem słońce, pani. Zmieniło się. – Mężczyzna usiłował powstrzymać drżenie, po raz trzeci napił się wina. – Było południe. A słońce pociemniało. A oni się przeprawiali. Wiały wiatry. Mój pan nie mógł ich powstrzymać. Tak wielu ich było...

–Kiedy opuściłeś pole bitwy? – zapytał Idrys lodowatym tonem.

Elwynim skierował nań wylęknione spojrzenie, zaczął się trząść jeszcze bardziej i dzwonić zębami. Tristen położył mu ręce na ramionach.

–Dokąd pojechałeś? – zapytał.

–Pani. – Mężczyzna popatrzył na Ninevrise. Regentka przypadła do niego.

–Czyż mogłeś tak szybko przebyć tak długą drogę? – zapytała Ninevrise. – Bez pomocy?

–Otrzymał pomoc – stwierdził Tristen.

–Jaką pomoc? – zdziwił się Cefwyn. Król nie powinien okazywać niewiedzy. Jego ludzie powinni go informować. – Do licha, cóż ci jeszcze wiadomo...? Tristenie, co więcej?

Tristen odszedł na bok, stanął i wlepił wzrok w płótno namiotu.

–Odpowiadaj królowi – warknął Idrys – sihijski lordzie! Przysięgałeś mu przyjaźń. O co ci chodzi?

–O Ciebie.

–Znowuż ataku dostał – stwierdził Uwen z wyrazem udręczenia. – Panowie, toż to kolejny atak. Jeden miał tamoj, na zewnątrz, ale one mijają.

Posłaniec wrzasnął, a kubek wypadł mu z dłoni, oblewając czerwoną strugą zaścielający ziemię dywanik. Upadł, rozkrzyżowany na płamie. I miał rany – mnóstwo ran.

–Na bogów! – jęknął paż. – Na miłościwych bogów!

–Czary – mruknął Umanon, a wszyscy obecni, nawet służba, przeżegnali się, by odpędzić złe moce. Twarz Ninevrise powlekła się szarością.

–Tristenie – rzekł Cefwyn. – Co się dzieje? Powiedz mi, co widzisz? Czymże jest ów Ciebie?

–Złem – powiedział Cevulirn.

–Tristenie! – Cefwyn chwycił młodzieńca za ramię, zmuszając go do uwagi.

–Aseyneddin zapewnił mu Miejsce – oświadczył Tristen. – A on musi mieć Miejsce. Cienie są z reguły tchórzliwe. Ale ten jeden... ten jeden... jest bardzo...

–Tristenie!

–Lord regent nie wpuścił go do tego Miejsca tutaj. Jednak... on może poszukać sobie

innych, nawet tutaj. Próbuje. Ludziom w obozie nie wolno go słuchać. To Hasufin przysłał tego człowieka. Pomógł mu w szarej przestrzeni, żeby mógł nas zobaczyć. Żeby nas zobaczył i poznał naszą siłę.

–Tristenie! – Cefwyn potrząsnął nim, świadom strachu ogarniającego lordów, świadom pielęgnowanych przez kapłanów zabobonów i namacalnej trwogi, jaką ów posłaniec zdążył już wywołać.

–On się przesuwają – rzekł Tristen cicho. – Porusza. Drzewa w Marnie są jego Miejscem. Kamienie rzeki są jego Miejscem. A Droga zmienia się i porusza. Wszystkie rzeczy... zmieniają się z każdą chwilą. On się zbliża. Chociaż woli drzewa.

–O czym on mówi? – zapytał Umanon. – Miłościwy panie, czy ty coś rozumiesz?

–Zaprowadzę go do łóżka, Wasza Królewska Mość – zaoferował się Uwen.

–Nie! – zaprotestował Tristen. – Nie, Cefwynie. Posłuchaj. Musimy wyruszyć i ich zatrzymać.

–Teraz? Po nocy? Tristenie, ludzie są wyczerpani. Wiążą nas przyziemne ograniczenia.

Argument ten trafiał do przekonania Tristena. Choć nikt więcej go nie rozumiał.

–W obozie wybuchnie panika – zauważył Cevulirn, wodząc wokół dzikim spojrzeniem, zatrzymując je na służbie. – Ani pary z gęby na temat tej śmierci, słyszycie? – Było to powiedziane bardzo głośno i ostro jak na Cevulirna, aż ciarki przechodziły po plecach. – Panie, musimy rozesłać ludzi po obozie, aby uciszeli plotki. Przyjazd tego człowieka widziało wiele osób.

–Musimy ruszać – rzekł Tristen, potrząsając głową, niemalże szeptem. – Nic już nie pomoże Tasielowi. Wróg ciągle się zbliża. Jest Miejsce, gdzie się musimy z nim spotkać. Ale to Miejsce może stać się bliższe, gorsze dla nas. Musimy jechać.

–Teraz? – zapytał Umanon cierpko, na co Tristen przeszył go swym zamglonym wzrokiem i powiedział:

–Emwy nam pomoże.

Cevulirn zmarszczył czoło, nie mniej nachmurzył się Umanon. Podrywanie do marszu wyczerpanych ludzi na podstawie takiej rady w nadziei na przyłapanie Elwynimów w jakimś pod czarodziejskim względem niekorzystnym dla nich położeniu mogło być ich ostatnią deską ratunku. Albo zgubą. W podobnych chwilach Tristen nigdy nie wykazywał się zdrowym rozsądkiem. Sam fakt, że Tristen mógł coś zrobić, nie oznaczał od razu, że inni ludzie mogli zrobić to samo.

–Nie – odparł w końcu Cefwyn, podjąwszy decyzję. – Ze względu na zmęczenie, nie możemy. Rankiem, przed świtem, wyruszymy z konnicą i piechotą w możliwie szybkim tempie. Do walki staniemy w dobrej kondycji. Lady Ninevrise obejmie dowództwo w obozie... Tristenie?

Bez żadnego „za pozwoleniem, Wasza Królewska Mość” – Tristen po prostu... wyszedł z następującym mu na pięty Uwenem.

Objawiła mu się Odległość i brakowało mu oddechu. Idąc do swego namiotu, minął poruszonych gwardzistów i służących.

Nie miał pojęcia, że podąża za nim Uwen. Kiedy jednak znalazł się w swym zacisznym namiocie, złapał drugi oddech i przetarł oczy, a gdy się odwrócił, Uwen wlepił weń wzrok.

Drżąc, wzruszył ramionami, jakby to nic nie znaczyło.

Wtedy znów ogarnął go cień, zatem chwycił się masztu i stał o niego oparty, tylko po części czując ręce Uwena, który mocno potrząsnął nim za ramiona. Zobaczył, że dwóch chłopaków jakimś sposobem odzyskało krzesło z namiotu Cefwyna.

–Uwienie, poproś ich, żeby sobie poszli, proszę.

Uwen objął Tristena ramieniem i zaprowadził do krzesła, przekazując sługom w możliwie łagodnych słowach jego prośbę. Tristen usiadł. Zauważył, że zmyślni słudzy, nie wiadomo jak zwiędziawszy się o takiej potrzebie, przygotowali mu zbroję – sędziwą brygantynę, najbardziej mu się podobającą spośród całego wyposażenia zbrojowni, a to z powodu swobody ruchu, jaką oferowała. Tak właśnie powinno być. Miecz, którym się posłuży, miał już przypasany.

Odpiął ów miecz od pasa i siedział, trzymając go na rękach.

–Panie – rzekł Uwen i ukląkł przed Tristenem, kładąc mu dłoń na kolano.

–Uwienie – wyszeptał. – Odejdź.

–Tylko mnie wysłuchaj, panie, tylko mnie wysłuchaj. Cóż ja mam z tobą począć? Nie dość, że na wojennej wyprawie, to jeszcze te twoje napady. Cóż mam począć, ha? Cóż pocznę, gdy pewien Elwynim wymierzy ci w łeb, a ty będziesz stał i gapił się na niego? Nic, coś zrobił, nie napędziło mi jeszcze pietra, panie, ale to... Tego się boję. Nie lubię, gdy w czas bitwy to robisz. Skoro jutro w bój nam przyjdzie ruszyć... nie wolno ci tego robić.

–To się nie zdarzy.

–Nieskorom do tych ruin jechał. Złe miałem przeczucia.

–To się już nie zdarzy, Uwenie! – Uwen chciał się podnieść, lecz Tristen złapał go z taką siłą za ramię, że gwardzista wykrzywił twarz. – Uwenie, nie pójdziesz do Cefwyna. Nie pójdziesz.

–Tak jest, panie – bąknął Uwen niechętnie, a wtedy Tristen zwolnił uchwyt.

–Proszę – rzekł ostrożnie. Jakże wiele wysiłku kosztowało zmaganie się z miłością... które, bardziej niż cokolwiek, przysparzało rozterek i sprawiało ból. – Proszę, Uwenie, uwierz mi i zaufaj. Wiem, co robię.

–Rzeknij mi, co mam zrobić, panie, a to zrobię.

Trzymał przed sobą miecz schowany do pochwy, kołysząc się z lekka i wpatrując w ogień, jak to czynił niejednokrotnie przy kominku Mauryła.

–Jutro o właściwej porze będę wiedział, co należy zrobić. O to się nie bój.

–A ja z ciebie oka nie spuszczę, choćby nie wiem co, niech mi bogowie dopomogą. Tylko, panie, oddaj mi miecz.

–Nie.

–Panie, wcale a wcale mi się nie podoba, gdy tak siedzisz, nie będąc całkiem przy zdrowych zmysłach.

–Proszę – powiedział Tristen, gdyż powróciła szarość i nie mógł już poradzić sobie z oboma miejscami równocześnie. – Proszę, Uwenie!

Mimo wszystko Uwen spróbował wyrwać miecz Tristenowi, młodzieniec wszakże przycisnął go do piersi i jego opiekun musiał zaniechać dalszych prób.

Raptem Tristen doznał uczucia spokoju, znalazł się w czasie, gdzie jego myśli były białymi snami, ni to w przeszłości, ni to w przyszłości; wrażenie ciepła łączyło się ze świadomością obecności Emuina szybującego w pobliskiej szarości – obecności dającej, niby cień szat Mauryła, poczucie bezpieczeństwa; nic dziwnego zatem, że gorąco pragnął zanurzyć się w owej szarej przestrzeni.

Kałuże i krople deszczu, kręgi na wodzie i mknące obłoki... Gołębie i słoma, i furkot setki skrzydeł... Blask świec i ciepło, i brzęk naczyń przy kolacji...

Skrzypienie zakurzonych schodów i galerii, głowy maskaronów oraz, dostrzeżone za rogową szybą, złote słońce...

–Srebro – mruknął po powrocie z tego Miejsca, wspominając czarne kosmyki i srebrne lustro. Zastanawiał się, gdzie jeszcze mógłby znaleźć srebro, aż nagle przyłożył dłoń do

piersi, tam bowiem, na łańcuszku, wisiał amulet, który wprzód nosił Emuin, zanim darował go Cefwynowi i zanim król dał go jemu z kolei.

Zdjął teraz srebrny wisior, należący dawniej do dwóch dobrze mu życzących osób, spośród których jeden w wyrażaniu życzeń miał wprawę. Wysunął miecz z pochwy.

–Panie – zapytał Uwen ściszym i wylękłym głosem, zrywając się ze swego krzesła – cóż to znowu ma znaczyć, w imię dobrych bogów?

Tristen nie miał czasu wyjaśniać. Wyciągnął przed siebie terantyńskie kółko i nawlókł je na klingę miecza. Nie widząc innego sposobu przytwierdzenia kółka na stałe, wygiął je, aż oba zgięte końce spotkały się po drugiej stronie jelca – użył całej siły palców, by wygiąć je, ukształtować, a potem obwiązać rękojeść łańcuszkiem.

Kiedy podniósł wzrok na Uwena, ten przypatrywał mu się z mieszaniną ciekawości i strachu.

–Hm, srebro. Na jakiegoż to stwora chcesz z tym zapolować, panie?

Tristen nie miał pojęcia, dlaczego właśnie srebro ma mu pomóc, aczkolwiek w tamtym Miejscu wystrzegały się go ciemne kosmyki.

Poza tym błyszczało. Uspokajało. Sprawiało dobre wrażenie. Mauryl czynił również dziwne rzeczy. Gołębie o tym wiedziały. Stare myszy w ścianach wiedziały. On wiedział. Czy żywe istoty nie wyczuwają, nie rozpoznają, kiedy coś jest dobre? Chciał zapytać Emuina, jak to naprawdę wygląda, lecz Emuin odpłynął w dal, ponagliwszy go być może: dotknięcie było nad wyraz subtelne.

Wodził palcami po żelaznej głowicy i wysłużonej, obwiązanej skórą rękojeści.

Rękojeść była wprawdzie stara, lecz klinga nowa i mocna, o czym zapewniał zbrojmistrz; jego dłonie i przecucie przyszłych zdarzeń podpowiadały, że ostrze to ukuto w ogniu, by przynosiło chwałę, noszono, by chyłkiem mordowało, i wreszcie je powołano, by broniło dwóch królów, martwego i żywego, władane ręką człowieka, który sam nie należał ani do żyjących, ani do zmarłych. Tak wielkie nagromadzenie nieprawdopodobieństwa usprawiedliwiało wszelkie dziwactwa, o jakich mógłby pomyśleć, oraz potrzebę atakowania Cienia pozbawionego materii.

–Uwienie, masz przy sobie swój kozik?

–Ano, panie. – Uwen wyciągnął z pasa nożyk o malutkim ostrzu i wręczył go Tristenowi. Spiczastą końcówką, jakby pisał piórem po pergaminie, Tristen zaczął ryć na powierzchni klingi. Uwen zaglądał mu przez ramię.

Znaki: litery. Na jednej stronie wydrapał z mazołem napis „Stellyrhas” – Iluzja, na przeciwnej niezgrabnym pismem wygrawerował: „Merhas” – Prawda. W jakim to było języku, zrazu nie

wiedział, niemniej w jednym lub drugim świecie słowa te miały znaczenie. Czynienie nacięć na metalu przychodziło z niemałym trudem. Nóż się stępił. Bolały palce. Tristen, choć pot wystąpił mu na czoło, kontynuował jednak swe dzieło.

Nareszcie zaczął, powoli i z wielkim wysiłkiem, poszerzać owe litery, ledwie dostrzegalne dla oka.

Uwen obserwował w milczeniu, być może bojąc się mu przeszkadzać, chociaż Tristen nie miałby teraz nic przeciwko temu: wykonywał zwyczajną czynność, myśli jego były uporządkowane. Starszy wierzchem dłoni zalewający mu twarz pot, podjął pracę, przyozdabiając całość ornamentem, przez wzgląd na piękno, gdyż nie robił niczego przypadkowo. Był zdeterminowany w swym działaniu, nie opuszczało go bowiem niejasne wrażenie groźby wiszącej w obu światach: materialnym i niematerialnym.

Uwen być może oczekiwał jakiejś magii. Po dłuższym czasie dał jednak za wygraną i usiadł na swym łóżku.

–Powinieneś się przespać – rzekł mu Tristen. – Powinieneś odpocząć.

–Zamyślasz cosik zrobić, panie?

–Dziś już nie – odparł. Przetarł dłonią grawerunek. Znaki na metalu wiły się węzowo; wydawało się, że nareszcie przybrały odpowiednią formę.

–Skończone? – zapytał Emuin, z wysiłkiem, z miejsca oddalonego o dwa dni drogi.

Tristen przez cały czas zdawał sobie sprawę z obecności Emuina, a przynajmniej wiedział, że w ciągu kilku ostatnich chwil przebywał on w pobliżu. Litery lśniły pod palcami, przeplatając się ze sobą tu i ówdzie, jakby nanizane jedna na drugą.

–Czy postępuję właściwie? – zapytał Emuina. – Czy też postępuję głupio? Bałem się dzisiaj, mistrzu Emuinie. Zobaczyłem Ynefel. Prawie tam byłem. Wpadłem w jego pułapkę, a nie miałem żadnej broni... Nie mogłem tego tam zabrać.

–Klinga też ma swoją nazwę – szepnął Emuin, ignorując pytanie. Obecność Emuina w szarości szybko stawała się wyblakła, ledwo namacalna, rozpaczliwa. – On będzie wiedział. To stara galasjeńska szarada. Ta klinga kryje odpowiedź. W niczym więcej pomóc ci nie mogę. Jesteś ostatnią galasjeńską iluzją, Człowieku Klingi, i kto wie, czy nie najszlachetniejszą. Wiążę wielkie nadzieje z dziełem Mauryła. Nadzieje... Chłopcze... chłopcze. Pokazał ci...? Pokazał ci...?

–Co, panie? Co miał mi pokazać?

Emuin zaczął mówić. Tak się przynajmniej Tristenowi wydawało. Obecność jednak zniknęła. Bezapelacyjnie, ostatecznie, wątle nici łączące go z Henas'amef pękały, tkanina rozplatała

się, tworząc rozdarcia i dziury. Tristen nie mógł sięgnąć grodu. Próbował, ale przeniósł się tylko do misternej mozaiki Linii i świateł, jaką stanowił Althalen. Tam właśnie został przyciągnięty. Ale nie do Emuina.

Starzec wprawdzie nie umarł, pomyślał Tristen, znajdował się jednak u kresu sił, jakie zebrał był w sobie. Tristen lękał się o Emuina, który, nie grzesząc przecież hartem ducha, zdobył się na odwagę, by walczyć nie o swoje zdrowie, ale o zdrowie Cefwyna. Lękał się o nich wszystkich – a nie wiedział, co Emuin miał na myśli ani nawet jak tu się zjawił. Nie ulegało jedynie wątpliwości, że Henas 'amef nadal nic nie zagraża i że Althalen stało się bezpieczne, dając im schronienie w obrębie granic swojego wpływu...

To właśnie Althalen pozwoliło mu wytchnąć od Cienia i przerwać na pewien czas walkę.

To właśnie Althalen zapewni nazajutrz bezpieczeństwo regentce. To właśnie Althalen zabrało posłańca, dając mu odpoczynek.

Jemu wszak nie wolno było się tam chować. Nie po to Mauryl Zaweźwał go na świat, by tutaj szukał schronienia.

Wziął głęboki oddech. Zatopił twarz w dłoniach i przetarł oczy, po czym odrzucił głowę do tyłu, wyczerpany, nie wiedząc, wyłączwszy Althalen, skąd ma czerpać siły – bynajmniej nie odwagę na jutrzejszy dzień, ale zwyczajną siłę, by wsiąść na konia i pojechać; liczył na niego Cefwyn, liczył na niego Emuin, liczyła nań regentka oraz, w inny i dużo bardziej osobisty sposób, Uwen.

Uwen już drzemał – jakże łatwo zasnął i jakże spał niewinnie: Tristen zazdrościł mu tej zdolności; też chciałby spać zwyczajnie, a nie wyruszać nocami w podróże do gorszych i dziwniejszych miejsc niż za dnia i prowadzić nowe boje, po których nie budził się wypoczęty.

Niemniej od świtu dzieliło go kilka godzin, a skoro mógł cokolwiek jeszcze zrobić, musiał spróbować. Pozostawał mu Althalen, o ile umiałby się nim posłużyć, o ile dałby się skusić na wizję podobną do tej, jakiej doznał na obrzeżu ruin.

O sobie wiedział tylko, że nie jest dobry – albo że nie był dobry, kiedyś, dawno temu.

Wiedział o sobie, że za obecny stan Ynefel sam ponosi osobistą odpowiedzialność.

Wiedział ponadto, że nie dość, iż zabił swego wroga, ale wykorzystał po temu niewinnych.

Chociaż... może mu się zdawało, że to wszystko wie? Nie posiadał żadnej mapy, która byłaby mu drogowskazem w szarej przestrzeni. Żadne pisane Słowo nie mówiło mu, co jest Prawdą, a co Iluzją.

Oba pojęcia rozdzielił przed chwilą mieczem. Posiadał też Książkę Mauryla i jego lusterko – pomimo wrażenia, że tylko miecz może mu pomóc, wątpił, czy było to intencją Mauryla.

Miecz nie stanowił przecież, pomyślał, daru Mauryła.

Pozostało mu jeszcze parę godzin. Dopiero gdy te godziny upłyną, będzie mógł mówić o ewentualnej porażce. A zatem, podczas gdy Uwen spał twardo, gdy spała służba, a nawet gwardziści podrzemy wali, przysunął krzesło bliżej masztu namiotu, gdzie jaśniał blask lampki.

Usiadł razem z Książką i otworzył ją w zaznaczonym przez lusterko miejscu. Zamrugał, oślepiony snopem jaskrawego, odbitego światła, toteż w taki sposób przesunął lusterko, aby nie odbijało wiszącej u góry lampki, tylko stronicę z Książki.

W owym odbiciu litery biegły w odwrotną stronę – nie pomagając mu bynajmniej w ich zrozumieniu, wywołując jednak wrażenie działania słabej magii. Zastanawiał się, czy wszystkie litery zachowują się podobnie we wszystkich lusterkach albo czy to lusterko posiada jakieś szczególne cechy i czy wreszcie, po prostu, nie ma ono tylko odbijać jedynie jego twarzy.

Lusterko ukazywało mu teraz zmienioną twarz. Twarz naznaczoną zmartwieniem. Szczuplejszą twarz i nie tak bladą jak niegdyś. Nigdy nie dał sobie ściąć włosów, które obecnie opadały poniżej ramion. Nie zdawał sobie sprawy z ich długości. Nie wiedział, że to oblicze jest zdolne do takich min. Znał wszelkie odmiany wyrazu twarzy Uwena, podczas gdy jego własne oblicze kryło przed nim sekrety. Wyglądało to – podobnie jak oglądanie łokcia – na sporą niedogodność.

Nie bądź głuptasem, rzekłby Maurył. Tak mało masz czasu. Znowu błędzisz w obłokach.

Odbicie w beczce z deszczówką. Padające zza ramienia smugi światła. Obraz nieba.

Cień chłopca, który nie jest chłopcem. Wówczas nie wiedział, jak się zobaczyć. Nie posiadał mocy.

Zastanawiał się, czym jest w szarej przestrzeni. Ledwie o tym pomyślał, zobaczył.

zobaczył...

Światło.

Zamknął oczy i powrócił, serce waliło mu głośno. Było tak jasne – tak jasne, że aż parzyło; oparzyło go w rękę.

Jakże ciężko było utrzymać lusterko. Mógł jednak przywołać do niego światło. Mógł zobaczyć własną twarz, oślepiająco jasną, wzbudzającą trwogę ową jasnością. Mógł zabrać lusterko do tego Miejsca.

Zastanawiał się, czy nie mógłby zabrać też Książki – albo uzyskać tam jej odbicia – a kiedy

tak się zastanawiał, blask lusterka, niczym rozjarzona kula, niczym odbłask metalu, padł na jedną ze stronic.

Zabranie lusterka do szarej przestrzeni i przywołanie światła z powrotem na stronicę stanowiło jego pierwszą czarodziejską sztuczkę uwieczoną powodzeniem – przeniesienie z miejsca na miejsce światła i jego odbicia.

A więc wiedział teraz coś, czego nie wiedział jeszcze niedawno; usiłował, choć przychodziło mu to z trudem, poradzić sobie z obydwoma Miejscami naraz, w jednym ręku trzymając Książkę, w drugim – lusterko. Aż nareszcie, w szarości przestrzeni, którą do świata materii ściągnęło lusterko, patrząc wyłącznie na jego błyszczącą powierzchnię, sięgając do szarego miejsca – w utrzymanym w ręku zwierciadelku ujrzał Książkę.

Jednakże odbity obraz Książki był zamazany w tym lustrze, dopóki w szarym miejscu nie nastawił go jedną ręką pod odpowiednim kątem, a drugą ręką nie przesunął Książki, tak by w szarym świecie mógł widzieć odbicie stronicy.

Wtenczas poznał litery. Wtenczas zrozumiał, co znaczą.

To z pomysłu Ludzi – było napisane – Czas został podzielony: a to dlatego, by mogli pamiętać i by ich życiem rządził porządek. Niemniej to tylko wynalazek Ludzi, a przecież Czas w swej postaci żadną miarą podzielony nie jest. To samo rzecz można o Miejscu. Istnienie więcej niż jednego Miejsca jest pomysłem Ludzi: a to dlatego...

...że oni w to wierzą. Miejsce jednak żadną miarą podzielone nie jest. Kto te rzeczy pojmie, zrozumie też, jak wielkie są Czas i Miejsce, które znacznie więcej zawierają w sobie od tego, co kiedykolwiek podzielili i nazwali Ludzie...

Już nie czytał. Słowa przychodziły mu po prostu na myśl, rozbrzmiewały echami, zanim padł na nie jego wzrok. Obejmował myślą wciąż kolejne strony, rozpoznając kwestie, o których traktowała Książka. Sam je spisał... Albo też spisze.

Tak to właśnie zostało zaplanowane – dla kogoś, kto potrafił przemieszczać rzeczy między szarą przestrzenią a materialnym światem.

Opuścił Książkę i złożył ją na lusterku, potem znów chwycił miecz: nie potrzebował broni, ale czegoś, na czym mógłby się podeprzeć, rozmyślając.

Tak też się obudził – pochylony nad mieczem, czując ręce Uwena. Kiedy uniósł głowę, Uwen wysunął mu miecz spomiędzy palców i odłożył ostrożnie na bok.

–Już czas, panie – powiedział. – U sąsiadów lampki płoną. Jego Królewska Mość zbroję swą przyobleka, rumaki bojowe wyprowadzić też kazał. Wyruszamy, nie zwijając obozu. Lady będzie tu czuwać. Zwiadowcy niczego nie zoczyli, choć to może i lepiej, nie wiem. Strasznie niechętnie cię budzę, panie, ale nie ma już zwyczajnie czasu.

Wedle słów Uwena – pozostało niewiele czasu. Chociaż poznane kołatały w jego myślach, schylił się, by ściągnąć swoje powszednie buty. Potem wstał.

Rozdział trzydziesty czwarty

Wyciągał cierpliwie ręce, gdy Uwen pomagał mu przywdziać zbroję, nadal w blasku lampki, z wielką dokładnością zawiązując rzemyki. Najpierw jedną, później drugą nogę Tristen zagłębił w pancerne trzewiki, które Tassand zręcznie dopinał, wykorzystując odpowiednie otworki. Uwen przypasał mu broń, miecz i sztylet, a dodatkowo wsunął niewielki nożyk w specjalną pochwę przy bucie.

Zjedzono niezwykle skromne śniadanie: skórka chleba, łyk wina – nie wymagało to rozpalania ognisk i nie obciążało ciała. Tak powiedział Uwen. Tristen przyznawał mu rację.

Książka Mauryla – jego Książka – nie dodawała mu wcale otuchy, w takim mianowicie sensie, że teraz rozumiał to, co Hasufin rozumiał przez cały czas, i wiedział, czego Hasufin chce.

Przejrzał na wylot zamierzenia Hasufina: czarodziej pragnął zniweczyć dzieła Mauryla: na początek jego, lecz potem, och, znacznie więcej.

Hasufin pragnął powrotu Galasjenów, to po wtóre.

Po trzecie, potrzebował wystarczającej ilości materii, by skorzystać z zawartości Książki. Owe pragnienia stanowiły przejrzyste wytłumaczenie tego, co było, i tego, co mogło się stać. Ale na tym nie wyczerpywała się lista celów Hasufina. Resztę Tristen mógł sobie wyobrazić. Z tejże właśnie przyczyny odeszła go ochota na śniadanie i pojawiła się pewność, że bez względu na to, jaką zbroję założy, Hasufin w czasie bitwy użyje przeciwko niemu każdego możliwego oręża – ponieważ Hasufin, o czym wiedział na pewno, niezbyt przejmował się losem Aseyneeddina, którym manewrował wedle własnych upodobań.

Wszystko, wszystko, co ich tam spotka, stanie się z woli Hasufina, materialnego tak długo, jak Ludzie będą chętni lub zdolni do boju; w jakże wielu miejscach.

Zgadywał nawet, co się o niego otarło tamtej nocy, kiedy spał na Drodze w lesie Marna, i czemu zdjął go wówczas tak wielki strach. Był to, w pewnym dziwnym sensie, on sam.

Jednakże tym razem musiał przemóc ów wyczuwalny strach, przed którym dawniej uciekał. A z tym, co na niego czekało, musiał się spotkać – oraz pójść tam, gdzie pchnie go konieczność.

Cieszył się, że Uwen nie widział tego, co on zobaczył. Nie zgodziłby się za żadną cenę, ażeby i w nim obudziło się podobne zrozumienie, albo w Idrysie, Cevulirnie lub Umanonie; ani nawet w Pelumerze, który, ciągnąc obrzeżem Marny, nie wiadomo w jaki koszmar wprowadził swoje wojska.

Ani wreszcie w Sovragu, gdyż mógł on, przy sprzyjających okolicznościach, jeszcze przybyć, by od strony rzeki uderzyć na Elwynimów. Tristen w to wszakże powątpiewał: Olmemeńczycy musieli przeciąć Marne, jeśli chcieli dostać się aż tu, za Emwy, płynąc wodnym szlakiem, lecz las zapewne nie przepuściłby ich łatwo.

Pomimo strachu Tristen z niecierpliwością oczekiwał finałowej rozgrywki. Pewna część jego ludzkiej istoty tęskniła za konfrontacją z nieprzyjaciółmi Ninevrise, pragnęła poczuć tę demoniczną pewność siebie oraz świadomość przyszłych wydarzeń, które czuł wcześniej, mając miecz w dłoni. Nigdzie indziej ani w żadnej innej chwili nie doznał podobnych wrażeń.

Bez widocznego powodu łzy wezbrały mu w oczach i popłynęły po twarzy. Stał je bezwiednie.

–Panie?

Uwen sądził, że Tristen płacze ze strachu. On jednak płakał na wspomnienie delikatności Mauryla, którą tylko on widział; płakał za Cefwyna i płakał, myśląc o życzliwości Uwena, jakiej on sam nie posiadał. Wiedział, do czego jest zdolny. Wiedział, co zrobił i wiedział, że nie może, ze względu na naturę sił wyzwolonych przez Hasufina, odnieść pełnego zwycięstwa.

Jeśli jakaś katastrofa przydarzy się tym, których kochał, to on ją sprowokuje, bo tylko...

Bo tylko jedna rzecz mu pozostawała. Poza nią... niczego dla siebie nie widział; chciał jej jednak: nie mógł dłużej grać na zwłokę, odwlekać sprawy, czynić wysiłków w poznawaniu kolejnych znaczeń; nie mógł również znieść brzemienia coraz większej rzeszy swych domowników i stronników – ludzi szukających u niego zrozumienia i sprawiedliwości, ludzi chcących poświęcić się za niego, ludzi, którzy nie znali jego prawdziwej natury, nie zajrzeli mu do serca, nie wiedzieli... nie wiedzieli, że radował się w owej strasznej chwili, kiedy miecz frunął w jego ręku niczym żywa istota, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

–No, co mogłem, to zrobiłem – rzekł Uwen, sprawdzając zamocowanie naramiennika. Potem spojrzał mu w oczy. – Panie, uważaj dziś na siebie.

–To ty na siebie uważaj – odparł Tristen. – Obiecuj, że będziesz na siebie uważać, tyle możesz chyba dla mnie zrobić. Rozpoznasz nadejście odpowiedniej pory, Uwenie, a wtedy bez wstydu będziesz mógł się wycofać. Wiem, że to najtrudniejszy rozkaz, jaki mogę ci wydać, ale nie jedź za mną zbyt daleko.

–Zanim tam dotrę, ani myślę pokazywać pleców, panie. Uwen postanowił nie słuchać.

Osobliwie zaciekawiony, Tristen sięgnął ku siedzibie białych snów i pochwycił nieco oślepiającej, kojącej światłości. Nabrała kształtu w jego dłoni, jarząc się bielą i błękitem; przełożył ją do drugiej ręki i począł przerzucać z dłoni do dłoni, tą niewielką dawką iluzji ubielając ziemię i płótno namiotu.

Była to, jego zdaniem, iluzja zdolna napędzić strachu każdemu Człowiekowi, gdyż ludzie nie dostrzegali zazwyczaj owej zbieżności tego, co Tutaj, i tego, co Tam.

Przez chwilę blade litery na mieczu błyskały żywym blaskiem.

Zakończył iluzję.

–Na bogów – mruknął Uwen.

–Uwenie, wierz mi, jestem zdolny pójść tam, gdzie ty pójść nie możesz. Gdzie tobie nie wolno.

–I tak spróbuję, panie.

–Wiem, ale proszę, byś tego zaniechał. Mógłbyś narazić mnie na niebezpieczeństwo. Musiałbym bronić nas obu.

–W takim razie to ja proszę, byś się, panie, wycofał. Albo mi przyrzekniesz, że się cofniesz, albo ja przyrzeknę tuż za tobą stanąć. A jam niezwyczajny danego słowa łamać.

Jeszcze wczoraj bez wahania zgodziłby się z Uwenem. Teraz jednak każde przywiązywanie się do jednego bądź do drugiego świata wiązało się z szeregiem zagrożeń.

Drobna iluzja, jaką się posłużył w celu przestraszenia Uwena, nie stanowiła skutecznej broni przeciwko czarownikowi posiadającemu umiejętność Formowania, a więc i Deformowania.

–Uwenie... nie. Nie dam ci takiego przyrzeczenia. Przyrzekam tylko, że będę się starał. Ale mogą tam czyhać straszne rzeczy, Uwenie. Mogą znaleźć się przyczyny, dla których powinieneś z miejsca rzucić się do ucieczki. Uwierz w nie, kiedy je zobaczysz.

–Konie czekają, panie – odparł Uwen. – Słyszałem tupot kopyt.

A zatem i Uwen, na swój sposób, przejrzał iluzję, za którą kryło się Ostrze.

–Uwenie, przysięgam... przysięgam, będziesz mógł mnie wezwać, a także odesłać. Tej mocy ci użyczam, wiedząc, że nie mam lepszego stróża.

Niełatwo było przywołać strach na oblicze Uwena. Teraz jednak Uwen przestraszył się wyraźnie.

–Żaden ze mnie kapłan, panie.

–Dobry z ciebie człowiek. Z taką łatwością rozróżniasz dobro i zło. Mnie się to nie udaje. Mauryl zawsze mawiał, że jestem głupcem.

–I ty je rozróżniasz, oczywiście – zaproponował Uwen, śmiejąc się niepewnie. – A głupcem

bynajmniej nie jesteś, rzecz to pewna, panie.

–Ale przysięgam, że ich nie rozumiem. Zbyt krótko żyję na tym świecie, by być mądrym. Dlatego zdaję się na ciebie, jeśli chodzi o moje odejście i przyjście. Zawezwij mnie tylko wtedy, jeśli naprawdę zapragniesz mojego powrotu. Wówczas będę wiedział, że przynajmniej jeden człowiek chce, bym żył. Wtenczas być może wrócę do tego świata. Lecz zanim mnie zawezwiesz, dwa razy się namyśl.

–Teraz już prawisz niemądrze. Jego Królewska Mość za nic w świecie by cię nie odesłał.

–Cefwyn nie podejrzewa, do czego jestem zdolny. Nie kierują też nim czyste pobudki. Ale twoim ufam. Nie próbuj się uchylać, Uwenie. Daję ci moc wezwania mnie z powrotem. Nie możesz mi odmówić. Ajeślibyś poległ, Uwenie... kto mnie wówczas zawezwie? Sam więc widzisz, nie wolno ci umrzeć.

–Panie... – Uwen otworzył i zamknął usta. – Chytra to była sztuczka i podła.

–Cefwyn mnie ich nauczył – odparł Tristen, zabrał Książkę i wyszedł na zewnątrz. Rzeczywiście, konie dźwigające rynsztunek zostały już przyprowadzone; Dys i Cass, ozdobione czarnymi kropierzami, zlewały się z ciemnością nocy.

–Panie – przywitał go Aswys, ujeżdżacz.

–Jestem gotów – powiedział Tristen i cisnął Książkę w płomienie ogniska.

–Panie mój! – wykrzyknął Uwen.

Karty rozbłysły wzdłuż brzegów i poczęły brązowieć. Atrament długo nie znikał, ale w końcu i on przepadł.

–Nie dostanie jej – rzekł Tristen. – Ani Książki, ani lusterka. – Podeszedł do Dysa, który gryzł wędzidło, zdenerwowany nudą. Oblicze wierzchowca osłonięto żelaznym naczółkiem, ukazującym jedynie błysk ślepi i maleńki kawałek nosa. Tristen poklepał go po szyi, założył pancerne rękawice i zaczekał, dopóki z namiotu nie wyszedł Cefwyn z Idrysem. Kanwy stał już przyszykowany, podobnie jak rumak Idrysa, Kandyn. Gdy Cefwyn wspiął się na siodło, Tristen wziął lejce od Aswysa i, idąc za przykładem króla i nie unosząc się wyniosłą dumą, pomógł sobie przy wsiadaniu kamiennym podnóżkiem, by nie przekrzywił mu się popręg.

Przełożył stopę ponad wysokim tylnym łękiem i zasiadł w siodle, odsuwając nogę, aby Aswys raz jeszcze sprawdził popręg. Uwen w tym czasie dosiadał Cassa.

Tassand przyniósł Tristenowi hełm, a pozostali słudzy podali mu tarczę. Lusin, preferujący maczugę, miał jechać w drugiej linii i ze względu na niedostatek konnych adiutantów wieźć lancę Tristena; lancy Uwena pilnował Syllan. Jeden z nabytych ostatnio chłopaków z wyrazem czci na twarzy przyniósł Uwenowi rękawice, po czym czmychnął co prędzej w

trwodze, gdy Cass kłapnął w jego stronę zębami.

Dys zazwyczaj wymachiwał ogonem. Dzisiaj został mu on dla bezpieczeństwa zapleciony i podwinięty, a koń poruszał się, wyginając i grzechocząc chroniącymi kark płytkami ladrowania, rzemyki zbroi przechodziły przez kropierz. Biała Gwiazda i Wieża, przedstawione pos'rodku jego czarnej tarczy oraz na rozdzielonej pasem tarczy Uwena, pływały w ciemności, gdy z tyłu Smok Cefwyna wił się i falował na tle płonącego ogniska.

Jeszcze dalej zamajaczyły w mroku Koło i Biały Koń: nadjeżdżał Umanon z Cevulirnem.

Ninevrise wyszła ze swego namiotu, włożywszy kolczugę i przy-pasawszy miecz – wszystko to należało niegdyś do jej ojca. Za nią wyłoniły się damy, chorąży i para amefińskich lordów, która ich strzegła.

–Wróc cało – powiedziała, każąc chorążemu siadać na konia. Potem zwróciła się do Cefwyna: – Wolałabym raczej być na tym wzgórzu. Wolałabym być bliżej.

–Jeżeli bitwa dotrze aż tutaj, co nie jest wykluczone, ty nie walcz, pani, tylko wskakuj na koń i uciekaj. Mój brat posiada mnóstwo doskonałych zalet, a nadto gród warowny. Wokół jego sztandaru skupi się cała północna armia, jeśli wojna zajdzie aż tak daleko.

–Tylko nie przekazuj mnie jak rękawicy! To ciebie zamierzam poślubić, panie, więc pojedę za tobą!

–Z bożą pomocą wyjdziemy z tego cało, pani. – Obrócił Kanwy'ego i ruszył miarowym krokiem ku obrzeżom obozu.

–Powodzenia! – zawołała Ninevrise do odjeżdżających. – Niech was bogowie prowadzą! Lordzie Ynefel, uważaj na siebie!

Chorążowie pochylili się z siodła i złapali swoje sztandary, ciężka gueleńska jazda i Amefińczycy ustawiali się w ordynku, formując kolumnę. Siodła trzeszczały, kopyta miarowo i cicho kłaskały na stratowanej ziemi obozowej alejki, podczas gdy kolejne szeregi mijały stanowiska wartownicze i wjeżdżały na gościniec do Emwy.

Na wschodzie świt malował niebo: a na zachodzie...

Nawet nocą ów cień płożył się na widnokręgu. Tristen nie musiał wcale patrzeć w jego kierunku poprzez szarą przestrzeń, aby go dostrzec. Jechał bok w bok z Cefwynem, na zachód, poprzedzany jedynie przez chorążych.

Droga była szeroka, a nocne powietrze – rześkie, nic dziwnego zatem, że Dys rwał się do biegu, trzeba było jednak dostosować się do marszu piechoty; lada chwila mogli natknąć się na elwynimskie wojsko, które przeszło po moście i zdruzgotało linie obrony Tasiena.

–Aseyneeddin będzie szedł gościńcem – oświadczył Tristen królowi, kiedy ten zamierzał rozesłać zwiadowców. – Ma powody, by lękać się Althalen... i wątpię, czy nawet mimo namów Hasufina zechce podzielić los Caswyddiana. A choćby i tak, nie weźmie z zaskoczenia obozu Ninevrise. Nie posyłaj ludzi w kierunku ruin.

–Czyż mam ryzykować życie ludzi, słuchając twej rady? Ona nie ma możliwości obrony. Ktoś ją musi ostrzec.

–Obóz jest bardzo dobrze chroniony. Zwiadowcy, których wyślesz do ruin, nie pąwrócą, panie. Zginą, jeśli ich wyślesz. Błagam, byś tego nie czynił. Są bezbronni. My byliśmy bezpieczni, ale oni nie będą. Wystarczą wartownicy. Ojciec ją obroni.

Cefwyn nabrał powietrza w płuca, zamierzał zaprotestować, lecz tylko potrząsnął głową, posyłając zwiadowców na czoło, gościńcem. Idris okazywał niezadowolenie. Cefwyn wysłuchał jednak prośby Tristena.

Długo przyszło im maszerować, przy czym Dys i Kanwy jechały obok spokojnie, lecz Kandy i wierzchowiec Umanona taką zapalały do siebie niechęcią, że Umanon musiał odsunąć się w stronę pobocza drogi.

Cass nie przejawiał żadnych animozji: konie Uwena i Idrisa mieszkały w jednej stajni z Kanwym i Dysem, razem też je szkolono. Łagodność Cassa kontrastowała z zachowaniem Dysa, młodego, po raz pierwszy biorącego udział w wyprawie wojennej, nieustannie zwracającego na siebie uwagę: szarpał za cugle, usiłując wysforować się przed Kanwy'ego, czego Tristen mu zabraniał, lub ciągnął w bok, by drażnić Cassa. Tristen zawsze w porę odczytywał jego intencje i nie pozwalał mu się przemęczać. Dys, dzieląc zdanie jeźdźca, zdawał się wyczuwać, że powód, dla którego przyszedł na świat, wnet mu się objawi, coś, czemu dotąd nie stawiał czoła, czego nie skosztował. Dys także czekał na ów dzień, nie wiedząc tak do końca, na co właściwie czeka. Ciągłe powstrzymywanie zapędów konia zajmowało Tristenowi ręce i pozwalało zapomnieć o obawach: w tym względzie młodzieniec cieszył się z harców Dysa i mimo uszu przelatywały mu słowa rozmawiających lordów.

Z tego jednak, co zdołał podsłuchać z toczących się za nim rozmów, wynikało, iż maszerujący możliwie szybkim krokiem pod sztandarem Orła Amefińczycy, szczególnie piechurzy, są mniej liczni, niż zakładano, i brakuje im wsparcia łuczników, na których również wcześniej liczono – a wszystko z powodu nieobecności Pelumera. Cała armia musiała się dostosować do tempa marszu piechurów.

Wozy tego dnia miały się nigdzie nie ruszać: Ninevrise, objąwszy skutek zmiany planów komendę w obozie, przygotowywała się do zwinięcia namiotów i wyruszenia na Równinę Leweńską, leżącą zaraz za Emwy, w przypadku ucieczki Aseyneeddina, lub do spalenia bagaży i zgromadzenia wewnątrz obozu koni, wołów i ludzi, gdyby bitwa przebiegała niepomyślnie i zaczęło wyglądać na to, że Aseyneeddin zechce zdobyć obóz.

Wyznaczono już gońców, którzy mieli wrócić do regentki zaraz po zorientowaniu się w sytuacji, jaka ukształtuje się, gdy wojska zbliżą się do Emwy.

Słońce, szare słońce, stało już wysoko na niebie, kiedy wojsko zbliżyło się do szeregu wzniesień poprzedzających zakręt ku Emwy-Arys.

Nagle w oddali dostrzegli pojedynczego osiodłanego konia – skubał badyle przy drodze, aczkolwiek w pobliżu nie było żadnego człowieka. Kiedy podjechali bliżej, zwierzę uniosło łeb, nie przestając przeżuwać wiechcia trawy.

–Jeden z naszych – stwierdził Idrys. – Koń Pela'nny'ego. Po jeźdźcu, jednym z gueleńskich zwiadowców, nie było ani śladu.

–Martwy lub w niewoli – skonstatował Uwen spokojnym tonem. Koń, skoro padł jeździec, biegł w kierunku znanych sobie pastwisk, ale zatrzymał się, gdy strach go opuścił; pewnie wędrówka do domu zajęłaby mu jeszcze kilka dni, pomyślał Tristen. Jeden z lekkobrojnych żołnierzy przedniej straży przytruchtał w pobliże, złapał zwierzę i uwolnił je z cugli, aby się w nie przypadkiem nie zaplątało, po czym wysłał je na tyły kolumny.

Gdy minęli następne wzniesienie, zerwał się zachodni wiatr, dmuchając koniom w pyski. Oczom ukazała się linia drzew rosnących poza niewielką grupką pagórków, które Tristen tak dobrze pamiętał. W tym właśnie lesie spotkał Leciwą Syes. Las z fontanną. No i zalegał tam Cień, widoczny dlań jak na dłoni.

–Tam – oznajmił Tristen, czując ciarki na ciele. – Tamto miejsce. Tam się to ma stać.

–Świetne miejsce na zasadzkę – powiedział Idrys. – Też o nim myślałem. Jeśli nie skręcimy na przełaj, będziemy musieli tamtędy przejść. Tak wygląda ich plan. A droga na przełaj oznacza labirynt pagórków i lasów. Raz już tędy jechałem.

Rozgorzały dyskusje. Umanom i Cevulirn podjechali bliżej. Nikt nie przejawiał ochoty do zanurzenia się w ów zielony cień, nie posławszy uprzednio zwiadowców. Niektórzy obstawali, by skrótem dotrzeć do Emwy, lecz Idrys sprzeciwił się temu, gdyż teren był trudny i umożliwiał urządzenie zasadzek małym kosztem ludzi.

–Których zapewne rozstawiono kilka – rzekł Cefwyn. – Earlowi Aseyneeddinowi ochoczo pomagają Saendelianie.

–Bandyci – skonstatował Umanon. – Bandyci i rabusie.

–Chociaż dobrze uzbrojeni – dodał Idrys.

Ale przecież, pomyślał Tristen, poskramiając niesfornego Dysa, przecież żadna dyskusja nie ma obecnie sensu. Nie ulegało kwestii, że teren jest wrogi. Posłać tam człowieka, to jak skazać go na śmierć. Odwiedzanie teraz szarego miejsca wiązało się z dużym ryzykiem,

niemniej zajrzał, by ze zdumieniem odkryć, iż jest osobliwie puste, bardzo, bardzo puste. Musieli iść przed siebie. Lordowie debatowali nad innymi możliwościami, ale do wyboru mieli wyłącznie walkę i powrót do Althalen, gdzie z dużo większymi szansami mogli odpierać atak w obozie.

Coś się ukrywało w tej szarej pustce, kryjąc równocześnie coś w owych odległych lasach. Coś w szarym miejscu było zarówno cieniem... jak i mgielną szarością, krążącą wedle woli. Mauryl nie zdołał tego powstrzymać. Porażkę poniósł też Emuin. To coś składało się z niematerii, a objawiało na podobieństwo wiatru.

Natomiast to, co czekało w lesie, było w pełni materialne, grubą warstwą zalegało pod liśćmi.

–Tristenie? – usłyszał pytanie Cefwyna. Głos nie dobiegał jednak z szarej przestrzeni. W głosie tym dało się wyczuć troskę. – Tristenie, czy ty mnie słyszysz?

W czasie chwilowej rozterki coś niby cień rzuciło się na niego. Nie było co. Coś, co chciało go złapać, pochwycić, bezbronnego, i unieść do Ynefel. Odskoczył czym prędzej, czując, jak serce kołocze mu o żebra; w materialnym świecie Dys wierzgnął, chcąc się uwolnić.

Każde wtargnięcie do iluzji mogło się teraz okazać zgubne. Cień podszedł nader blisko, co mu powiedziało, że i w tym świecie natkną się wcześniej na wrogów, niedaleko czał się Aseyneddin.

–Znowu ma atak – rzekł Uwen.

–Nie – odparł Tristen, próbując odgradzić się od chcącej go zabrać istoty, Ignąc do tego miejsca, do potężnego końskiego grzbietu. Nie zamykał oczu, wypalając w wyobraźni światło ziemskiego nieba i zacienione kształty wzgórz i lasów. Cefwyn, Uwen i Idrys byli blisko pod ręką. Nie zamierzali go skrzywdzić.

Ta druga rzecz chciała go odczynić – o ile nie udałoby jej się posłużyć nim przeciwko tym, których bezpieczeństwa pragnął najbardziej. Przeciwko całemu dziełu Mauryla na świecie. On pragnął, by zostało zniszczone, a kajdany wiążące jego wolę – usunięte.

–Tristenie.

–Nie, panie, wybacz mi. – Niełatwo mu było mówić pod przygniatającym go ciężarem, a musiał jeszcze trzymać Dysa, gdyż zwierzę czuło spowodowane napięciem mięśni drżenie jego nóg i rąk, walcząc bez ustanku, by się ruszyć. Nie opuszczaj nas, prosił go Cefwyn. Nie opuszczaj nas. Usiłował ich więc nie opuścić. Z całych sił usiłował zachować na tym świecie przytomność umysłu.

–Tam czeka Aseyneddin, Wasza Królewska Mość. W lesie. Nie mam co do tego wątpliwości.

Z nagłą dreszcz nim wstrząsnął. Ponownie wśliznął się w to groźne miejsce, gdzie wyczuł w powietrzu, jak podczas burzy, uderzenie gromu.

Wydarł się stamtąd przy akompaniamencie grzmotów, które rozniosły się echemi po świecie, lecz dwóch jadących opodal lordów niczego nie zauważyło: wciąż rozmawiali o strategii i zasadzce, podczas gdy on wyczuwał zasadzkę u samych korzeni wzgórz. Wyczuwał poruszenie wśród Cieni skrytych pod liśćmi lasu Marna, gdy tymczasem lordowie zastanawiali się, czy jego ostrzeżenie dotyczyło wrogów z krwi i kości i czy nie dałoby się ich jakoś zaatakować, nie ryzykując wejściem w las.

–Jeśli nie zechcą wyjść z lasu – mówił Idris – można by wykurzyć ich ogniem. Twój dziadek nie miałby żadnych skrupułów.

–To ludzie mojej pani – odrzekł Cefwyn, odrzucając pomysł. – Nie wszyscy zapewne są tu z własnej woli. Towarzyszy nam dzisiaj jej chorągiew, mości kruku. Żadnych ogni.

–Ależ to buntownicy – obstawał Idris.

–Żadnych ogni, mości kruku. Nie będę prowadził wojny w taki sposób.

–Nawet z czarodziejami, panie? A czy nasi wrogowie okażą skrupuły? Nie będziemy tam wchodzić. Wykurzymy ich z lasu, jeśli tam są w istocie.

–Są tam – rzekł Cefwyn.

–A Tristen jest tutaj – powiedział Idris. – To rzeczywiście daje nam pewność, Wasza Królewska Mość. I wierzę w jego ostrzeżenia. Ale wątpię w słuszność rady. Nie pakujemy się w to pochopnie i na oślep.

–On nie jest ślepy – zaproponował Cefwyn.

Tuż nad ich głowami zaszumiały skrzydła. Jakiś cień przemknął w powietrzu. Konie parsknęły i rzuciły łbami, przestraszone. Triste-nowi serce podskoczyło z radości, gdyż rozpoznał ptaka.

–Sowo! – zawołał prosto w niebo. – Sowo, gdzie jesteś?

–Bogowie! – sapnął Uwen, a ludzie wokół niego rzucali przekleństwa.

–Diabły raczej! – ktoś powiedział.

Tristen wyciągnął jednak wysoko rękę i Sowa wylądowała na jego pięści, rozcapierzyła na chwilę swe wspaniałe, zaokrąglone skrzydła, po czym odleciała, zaiste niczym Cień w jasnym świetle dnia.

–Niech nas bogowie bronią – odezwał się król.

–To prawda, niech nas bogowie bronią – mruknął opodal Idrys. – Niech nas bogowie bronią, Wasza Królewska Mość, ale... to chyba nasz sprzymierzeniec.

–A czemuż miałby nim nie być? – odparł Cefwyn. – Czy kogokolwiek skrzywdził? Co? Co, mości kruku? Czy kogoś z nas skrzywdził?

–Za Sową! – zakomenderował Tristen, ponieważ dostrzegał wyraźnie ścieżkę ptaka, podobnie jak jego ostrzeżenie było równie wyraźne, co rozświetlająca niebo błyskawica.

Skoro zasadzka przestała być tajemnicą, ćma ludzi i koni zaczęła wylewać się strumieniem spomiędzy drzew. Strumień się rozszerzał, wprzód wypełniając drogę, potem rozkładając skrzydła na boki, jakby jakieś wielkie stworzenie szykowało się do lotu.

–Aseyneddin zatrzasnął pułapkę! – krzyknął Umanon. – Pamiętaj o flankach, miłościwy panie! On zechce zająć wzgórze!

Ich armia także potrzebowała przestrzeni, by rozwinąć skrzydła – potrzebowała równiny i okolicznych wzgórz, usytuowanych naprzeciwko ciemnej linii lasu. A nie znana była jeszcze, ze względu na drzewa, liczebność wrogiej armii.

Kanwy szamotał się, by popuścić mu wodzy. Dys gryzł wędzidło. Wszędzie wokoło zafalowały szeregi, gdy wiatr z zachodu szarpnął chorągwiami. Chorążowie Cefwyna, Tristena i Ninevrise, wszyscy pośrodku, Umanon i Cevulirn po bokach – posuwali się do przodu; wzgórze wszakże przybrały nienaturalny wygląd na tle południowego, perłowoszarego nieba, wyostrzyły się brzegi, jakby wycięto je z aksamitu; a drzewa wciąż dyszały sekretami.

–Panie! – rzekł Tristen, z trudnością panując nad wierzchowcem. – Oni już zajęli wzgórze, panie... Już tam są, na lewo i prawo, gdzie musimy przejść!

Cefwyn nie zadawał pytań.

–Cevulirn! – krzyknął, gestem ręki posyłając lorda Ivanimów i jego lekką jazdę w kierunku wzgórz po lewej stronie. – Umanon!

–Jego wysłał na prawą flankę. Pchnął gońca do jadących z tyłu amefińskich lordów.

„Idźcie za moim sztandarem” – brzmiała wiadomość dla Amefinczyków. Gońcy posłani w ślad za Umanonem i Cevulirnem mieli do przekazania: „Zepchnijcie ich na wschód, odciągnijcie od lasu! Przebijemy się środkiem! Nie pozwólcie, by nas otoczyli!” Dys szarpał za cugle, dysząc ciężko i rwąc wędzidło, toteż Tristen popuścił mu nieco wodzy – tymczasem, zniecka, lekka elwynim-ska konnica wysypała się zza wzgórz i pędziła, aby ich osaczyć, prosto na Umanona i Cevulirna. Zwarty środek, nadal wychodzący z lasu, potężniał za tymi dwoma lotnymi skrzydłami, usiłującymi zamknąć ich w swych objęciach.

Zagrażało im niebezpieczeństwo podobnie szybkiego oskrzydlenia, przez jakie przebijali się, by uratować ojca Cefwyna. Dys walczył z wężidłem, potrząsając karkiem, aż zagrzechotały płytki ladrowania, miotając się na boki i potrącając Cassa, który również wyrywał się na wolność.

–Kopie! – krzyknął Cefwyn; zagrały trąbki. – Kopie! Ruszali do boju.

Tristen po raz pierwszy miał okazję zastosować w praktyce umiejętności wyniesione z placu ćwiczeń pod Henas'a-mef, gdzie pobierał lekcje u U wena. Wiedza jednak, niczym Słowo, zawsze mu towarzyszyła, zawsze była przy nim. Pochylił głowę i opuścił maskę przyłbicy, ręką trzymającą tarczę ujął lejce, a następnie zerknął poprzez wąskie okienko hełmu, sięgając po kopię. Wsunęło mu ją do dłoni: Lusin przyskoczył do jego boku – koń uderzył o konia – po czym cofnął się do swego szeregu. Tristen schwycił mocno jesionowe drzewce i uniósł je wysoko, gotując się do szarży; poprawił też uchwyt na tarczy. Dys ciągnął za cugle, przygotowania do bitwy pochłaniały całą jego uwagę.

Żołnierze Cevulirna i Umanona starli się z elwynimskimi skrzydłami, dwa niemal równoczesne uderzenia młotów.

–Pędem w sam ich środek! – mówił Cefwyn chorążym i jeźdźcom, którzy mieli przekazać dalej jego słowa. – Niech ludzie widzą sztandary! Przełamcie linię i objeďte ich od tyłu! Proporce jednostek... niechże będą rozwinięte, na miłość boską! Przebijcie się, za nimi i wokół! Na miłość boską!

Cefwyn spał Kanwy'ego. Tristen wypuścił cugle, wzmacniając uchwyt na tarczy i pozwalając, by Dysem kierowały teraz wyłącznie jego kolana.

Dys poszedł w cwał... jakby gonił króliki na łące, jakby ścigał liście i wiatr na drodze.

Uwen pędził przy Tristenie, również uzbrojony w tarczę, również osłonięty hełmem, również szykując kopię do uderzenia. Grzmot przetaczał się po ziemi, tętent setek kopyt wielkości talerzy; wierzchowce, niby kowalskie miechy, sapały potężnym unisono. Świat zawężił się do ruchomego obrazu linii tarcz oraz lasu, widocznych poprzez szczelinę w przyłbicy.

–Sihjijski książę – ozwał się Wiatr ponad szalonym tętentem. – Pamiętaj o Galasjenach. Ilu spośród tych bezmyślnych Ludzi zabijesz? Lepiej zaraz zawróć. Twój przyjaciele zachowają życie. Możesz im to zapewnić. Możesz ich wszystkich uratować. Czyżbyś' niczego się nie nauczył... ostatnim razem? Ja wiem, jak to się zakończy. Ale ty nie wiesz...! prawda?

Cień rozrósł się nad drzewami, ponad przypominającą las włóczni linią przeciwnika. Coś pulsowało w powietrzu, nikle i daleko na ciemnym zachodzie, jakby gdzieś biło wielkie serce. A może to tylko rumaki nabierały szybkości? Zewsząd dobiegał szcęk metalu, jakby na nierównościach drogi podrygiwały wozy pełne garnków. Niemniej grzmot narastał, pulsował i kołatał niczym serce.

W jego polu widzenia pokazała się Sowa, przeleciała ponad chorągwiami, które ciemniały w cieniu.

Niech widzą sztandary, powiedział Cefwyn. A przecież w ciemności Ludzie niczego nie zobaczą. Ludzie stracą orientację w bitwie i pomieszają szyki.

Tristen wyrwał białe światło z szarego miejsca i rozwał je dokoła siebie, wokół Uwena, Cefwyna i Idrysa. Blask dotarł do chorągwich, wpełził na drzewca sztandarów, zaśnił na krawędziach chorągwi i zalał ich powierzchnię – biel, czerwień i złoto błyszcząły jasno w przyćmionym świetle.

–Ach – rzekł Wiatr. – Smok wespół z sihijską Gwiazdą... Cóż to był za widok, kiedy sihijski król i Marhanen ruszali na wojnę! I proszę, historia się powtarza. – Głos wypełnił mu uszy. Kurz, wpadając przez szparę wizjera, szczypał w oczy i wyciskał łzy, a nie sposób było ich przetrzeć. Mógł tylko mrugać. – A co z zemstą za Elfwna, sihijski książę? Mauryl cię wszak nie wzywał, byś ratował Marhanenów. Mauryl cię nigdy nie wzywał, mój książę, żebyś całował zdrajców po rękach. Oni powinni drzeć na sam twój widok!

Bliżej i bliżej. Dostrzegał już tarcze jeźdźców naprzeciwko... Dostrzegł, poprzez mrok, jak pochyła się las włóczni, zatem i swoją pochylił.

–Sihhijski królu – zawył Wiatr – ty pochodzisz z zachodu. Użyczę ci pomocy, jakiej winien był ci użyć Mauryl. Zaczekaj, chcesz ich? Uczynię z tych twoich stworzeń władców ziemi. Każdy z nich zostanie królem i będzie żył tysiąc lat. Mogę to dla ciebie zwić. Tylko jedź. Nie poprzestawaj! Twoje zachowanie, teraz i zawsze, zależne jest od mej woli. Teraz należysz do mnie. Mauryl cię stracił. Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj się...

Światło dnia na tyle przygasło, że z trudem dostrzegali tarcze przeciwników... Lecz sztandary nadal błyszcząły, nadal tam były.

–Tristenie! – usłyszał okrzyk Cefwyna, a wtedy odetchnął, nabierając powietrza do ciała zeszywniałego w owym deprymującym ułamku chwili, kiedy zawodziły go zmysły podczas wycia wiatru.

–On ma na imię Hasufin! – odkrzyknął, rozwiewając tajemnicę. – To kłamca, Cefwynie! Wciąż mówi mi kłamstwa!

–Sztandar króla Elwynocu! – zawołał Cefwyn raptownie. Rzeczywiście, pośrodku szeregów wroga lśniła blado biała Gwiazda na czarnym polu. – Ten sztandar do nich nie należy! – wrzasnął. – Tam jest Aseyneddin! Zabierzmy mu go!

–Aseyneddin – powiedział Wiatr – powita swego prawdziwego króla, sihijskiego władcę, na którego on i jego ojcowie czekali. Człowiek ten padnie na kolana u twoich stóp. Już ja dopilnuję, żeby tak się stało. Bądź tym królem! Nie powstrzymasz już tego. Nikt nie musi umierać.

No więc zrób tak! – chciał powiedzieć. Przypomniał sobie jednak przestrożę regenta, by nigdy nie słuchał, a zwłaszcza nie odpowiadał.

–Nie chcę z tobą walczyć – mówił Wiatr – naprawdę nie chcę, mój ty źle nauczony sihijski lordzie. A zatem nie będę. Przybądź do mnie, kiedy z nim skończysz...
Poczekam. Chorągiew Aseyneeddina również migotała bladym, nienaturalnym blaskiem w ciemnościach, Iluzją światła – niczym więcej i niczym mniej od tego, co sam potrafił zrobić: przejaw wpływów Hasufina na świecie.

W tejże jednak chwili nowa obecność dotarła do jego świadomości, odległa, zrozpaczona i śmiertelna, z którą bój toczył Hasufin – ze zdziwieniem stwierdził, że jest w stanie ją wyczuć, podobnie jak wyczuwał macki Hasufinowej potęgi, rozciągające się nad lasem, będące pułapką dla każdego Człowieka, który ośmieliłby się weń zapuścić. Pelumer, pomyślał. Pelumer usiłujący uciec z obrzeży Marny.

Zbliżała się tarcza wroga z błyszczącym bielą Gryfem. Tristen złożył się kopią. Od strony coraz bliższych elwynimskich szeregów niosło się dzikie wycie, żelazo błyszczało w iluzorycznej poświacie, jaką oblał ich Tristen. Zad Dysa parł do przodu z niespożytą siłą. Po lewej stronie pędził Uwen. Cefwyn znajdował się na prawo, gdy włócznia ze zgrzytem ześlizgnęła się po tarczy Tristena, szeregi zwarły się z grzmotem, a całe jego ramię zdrętwiało na moment.

Kopia wygięła się i poszła w drzazgi, kolejna włócznia zachręściła na tarczy, a kiedy odrzucał ułomek kopii, minął go koń bez jeźdźca. Zasłonił się przed ciosem żołnierza z drugiej linii, wyszarpując miecz ze skórzanej pochwy.

Gueleńskie klingi i buzdygany huczały wokół, jako że zaraz za ciężką jazdą uderzyły oddziały lżejszej konnicy i piechurów. Elwynimscy jeźdźcy, którym nie powiódł się manewr wycofania, splątali się razem z ciemną masą własnej elwynimskiej piechoty, najeżonej bronią i próbującej dać odpór guleńskiej jeździe.

Tristen pchnął Dysa w największą cizbę pieszych, rozpostarł naokoło światło iluzji, obejmując nim również walczących w pobliżu jeźdźców – był to nieszkodliwy pokaz, lecz ludzie wpadli w popłoch i pękły wrogie szeregi.

Ruszyli za nim żołnierze na koniach... Miał tego świadomość, podobnie jak znał położenie żołnierzy z Lanfarnesse i wiedział, że amefińskie zastępy włączają się za nim do walki. Dys tratował ludzi usiłujących dźgać pikami, nie zatrzymując się ani na chwilę, choć ciężko dyszał – jego ogromne podkute kopyta nic sobie nie robiły z żywych ani martwych, z krzaków ani nierówności gruntu. Tristen rąbał wokół siebie mieczem, strącał z siodeł wchodzących mu w drogę żołnierzy, wycinając ścieżkę, posyłając Dysa to w jedną, to w drugą stronę, raz na lewo, raz na prawo od nadchodzących wrogów i groźnej stali. Miecz jego płonął białym ogniem, gdy nim wywijał. Dys lśnił, jakby zalała ich biała poświata. Srebrzyste smugi błądziły po klindze, mieniając mu się w oczach.

Raptem osiągnęli zdumiewającą pustkę w południowej ciemności, przed nimi był tylko las – przebili się przez elwynimskie linie i Tristen okręcił Dysa, aby ruszyć prosto na salwujących się ucieczką ludzi. Trzon wojsk Aseyneeddina rozpadł się na dwie części, konie z pustymi siodłami przemykały ku drzewom, powiększając zamęt i miażdżąc lekkozbrojnych żołnierzy, biegnących w tym samym kierunku, a wszystko przy wtórze niewyobrażalnego szczęku mieczy i toporów. Ściana amefińskich piechurów spychała przeciwnika, a ciężka jazda nie przestawała napierać na flanki rozkrojonych sił Aseyneeddina.

Wicher zaskowyczał z boku, wzbijając chmurę kurzu. Chorągwie ze Smokiem były niczym krople jasnej krwi na tle fatalnie zbitych do kupy czarnych i białych proporców, pośrodku których powiewał sztandar elwynimskiego wodza.

Nieoczekiwanie wielki cień zastłonił wszystko, co Tristen mógł dojrzeć, z diaboliczną szybkością zaciemniając ziemię i powietrze. Takie samo niebezpieczeństwo groziło teraz zarówno ludziom Cefwyna, jak i otoczonym nieprzyjaciołom, a nadejście Cienia w to miejsce było niczym koszmar, który na nieszczęście przyszło mu oglądać z daleka, gdyż nie mógł się przedrzeć przez zaporę przerażonych wrogów – pogromieni i ogarnięci paniką, stanowili przeszkodę nie do pokonania.

Chlastał mieczem na lewo i prawo, ślepy na wszystko prócz owego skrawka czerwieni w obrębie wizjera. Cefwyn nie był w stanie żadnym ludzkim sposobem uzmysłowić sobie, co mu zagraża – mógłby tę nagłą ciemność złożyć na karb przepływającej po niebie chmury, słonych kropel potu w oczach, zamglenia wzroku wskutek wysiłku. Cefwyn nie mógł jednak dostrzec prawdziwej istoty rzeczy, ani też jej zrozumieć.

On tam jednak był, w obu światach naraz, każąc mroźnym wiatrom pod osłoną nienaturalnej pomroki szarpać płaszcze i targać końskie grzywy. Tristen słyszał, jak z niego szydzi. Ludzie, zrozumiałwszy nareszcie wiszącą nad nimi groźbę, zadzierali głowy, tracąc zainteresowanie bitwą. Niektórzy wznosili włócznie i miecze, by odgrażać zimnym ciemnościom – nawet Elwynimi zaprzestawali walki, wystraszeni. Bitwa Ludzi poczęła zamierać, w miarę jak owiewały ich tumany gryzącego w oczy kurzu. W samym powietrzu zaroilo się nagle od liści, gałązek, trawy, skrawków ubrania, całych gałęzi, frunących proporców.

–Hasufinie! – zakrzyknął Tristen w stronę Wiatru. – Oto jestem! Zostaw ich w spokoju! Jeśli nie zachowasz żadnych zakładników, nie łudź się nadzieją, że zapanujesz nade mną! Proszę bardzo, słucham! Będę słuchał, dopóty zdołasz przykuwać moją uwagę! Mów do mnie, Hasufinie! Tutaj jestem!

Wzmógł się głuchy szum wiatrów, narastały krzyki ludzi i wizgi koni, które stanęły mu na drodze, gdy ruszyło ku niemu owo zaćmienie świata. Niektórzy Ludzie stanęli, by walczyć, lecz on ich przewrócił. Inni uciekali, ale i oni zostali przewracani.

W cieniu błyszczło teraz białe światło, za którym widniały jedynie drzewa i czarne sylwetki

zabitych. Na jego ścieżce nadal znajdowali się żywi Ludzie – ludzie Cefwyna. Aby odwrócić jego uwagę od króla, mógł mu tylko wymyślać, krzycząc prosto w twarz; ale wtedy on przetoczył się przez ludzi, których Tristen znał, którzy niegdyś się z nim śmiali i dzielili prowiantem. Jednym z nich był Brogi, dzielnie usiłujący dostać się do króla. Drugim – Kerdin Qwyll's-son, a wraz z nim jego sługa.

–Ukaż się! – zawołał Tristen pod adresem Wiatru, przybierając postawę obojętności.

Dys trzął się pod nim i próbował ustawić bokiem do gwałtownych podmuchów, chociaż nie odwracał się przed żadnym śmiertelnym wrogiem, lecz Tristen ścisnął go piętami i kolanami, każąc mu stawić czoło wicherze, ściągając na siebie obecność – gdyż teraz ją wyczuwał – która nadchodziła chętnie i bez oporu, niczym światło, jakie Tristen przyciągał na dłonie. Mignęła mu jego własna czarna chorągiew, przesuwająca się z tyłu do przodu. Andas Andas'-son pędził w samo serce Cienia, lewą rękę zaciskał na drzewcu sztandaru, w prawej dzierżył miecz. Nie mógł jednakże dotrzeć do celu. Czarny sztandar pochylił się wstecz i na bok pod wpływem podmuchu, który omal nie wyrzucił jeźdźca z siodła. Andas'-son zmagął się z chorągwią, lecz runął jego wierzchowiec. Cień zawahał się nad nim, a wtedy Andas'-son wstał i przeszył mieczem powietrze.

–Nie zatrzymuj się! – zawołał Tristen, ironicznie, usilnie. – Tchorzu! Chodź do mnie!

Andasson, jego koń i cała reszta – wszystko zatoneło w białym blasku, jakby świat rozdarł się niby tkanina, a biała nicość prześwieciła na zewnątrz, przenikliwa, poprzez z każdą chwilą szerszą i bliższą szczelinę. Na jej krawędzi konie stawały dęba i rzucały się do panicznej ucieczki, tratując przy tym zabitych i umierających. Piesi porzucali tarcze i oręż i biegli, dopóki światłość nie przeszła nad nimi, wszystkich uśmiercając.

–Panie – krzyknął Uwen tuż za Tristenem, któremu serce zamarło, gdy zauważył, że i jego sługa stoi na ścieżce śmierci. Patrzył teraz bezpośrednio na chybotliwy, rozmazany płomień w samym środku szczeliny. Ogłuszały go ryki wichrów. Dys, odmawiając posłuszeństwa, wspiął się na zadnie nogi.

Tristen ścisnął miecz i po raz pierwszy naprawdę użył ostróg, by zmusić Dysa do uległości, aczkolwiek wierzchowiec chyba pogodził się z szaleństwem swego pana i z własnej woli ruszył ku rozpalonemu źródłu światła.

Odniosł wrażenie, jakby przeszedł przez wodę. Rzeczy poza tą granicą wydawały się zniekształcone, niemniej w obrębie światła doskonale wyraźne – Tristen widział leżące na ziemi ciała ludzi i koni. Uderzały go lecące z wiatrem leśne szczątki, nie wypuszczał jednak z dłoni przepasanego srebrem miecza, a światło, bynajmniej nie iluzoryczne w tym miejscu, tak silnie błyszczało na srebrze, że zaczęła mu dymić rękawica. Litery na klindze lśniły bielą:

Prawda i Iluzja.

Wokoło dostrzegał postrzępione kształty, które wirowały niczym porwane szmaty, piszcząc

przerażonymi głosami, by ulecieć na wietrze. Tristen i Dys byli jedynymi żywymi istotami w obrębie światła.

Wówczas... wówczas wiatr ustał. Zaległa cisza. Martwota. Głusza, jakby stracił słuch.

Samotność, białe światło, żadnych innych żywych stworzeń.

–Ha, tu jesteś – odezwał się Cień w owej ciszy, a ton tego głosu tulił, pieścił, gdy wiatr owiewał Tristena i Dysa, pieszczotliwy i delikatny. – Tutaj jesteś, mój książę. Tutaj jestem też ja. Przyjmij zapewnienie mojej przyjaźni. Chętnie cię nią obdarzę. O nic innego nie proszę. Mogę ukazać ci pragnienia twego serca. Proś, o co zechcesz, a ja ci to dam.

Czas się zatrzymał, a następnie zaczął płynąć w bok. Cały świat wydawał się rozciągnięty wokół niego. Próbował wydostać się z płonącego światła z powrotem do szarości, uciekając się do iluzji, którą był on sam, i do prawdy, jaką było pole bitwy niedaleko Emwy.

Tamto miejsce zapadło jednak przed nim w zawrotną otchłań. Znajdował się gdzieś indziej.

Z dali dobiegł syk niczym szept liści przed burzą. Zza mgielnej zasłony wyłoniły się wieżycy Ynefel, a on stał na skalnym występie naprzeciwko twierdzy, choć przecież wiedział, że twierdza stoi samotnie.

Wtem ziemia zadrżała z głuchym pomrukiem, wśród ryku wiatrów i wody zaczęła pękać pod nim skała. Miał miecz, lecz nie mógł nim walczyć ze swym wrogiem w tym miejscu.

Lasem targnął wiatr – ujrzał samego siebie na białych kamieniach Drogi, śpiącego pośród drzew, nad brzegiem strumyka. Jego Książka tam była.

–Tristenie z Ynefel – doleciał szept z ciemności, a przez liścieprzebiło się światło. – Tristenie, żadną miarą nie chcę z tobą walczyć. Nigdy nie chciałem. Zapomnij o zamiarach względem mnie i przejdź przez światło. Spotkaj się z Maurylem. Możesz znów go odnaleźć. Nie zabraknie ci siły.

Przypomniawszy sobie liście na dziedzińcu, liście wirujące i unoszące się z kurzem, przybierając postać człowieka. Przypomniawszy też sobie, że Czas jest jednym czasem, a Miejsce jednym miejscem.

Wciąż siedział na Dysie, na wyłożonym płytami dziedzińcu. Zobaczył młodzieńca siedzącego na schodach, usiłującego przeczytać Książkę. Zobaczył twarz Mauryla spozierającego ze ściany – młodzieniec nie baczył na grożące mu niebezpieczeństwo. No i Książka tam była, na kolanach młodzieńca, ryzykownie blisko Hasufina.

Nader szybko cień ścian połączył się z cieniem wieży i wydłużył na kamieniach dziedzińca. Dotknął murów, objąwszy cały podwórzec, a Tristen wiedział, że każdego zwyczajnego dnia powinien już o tej porze być pod dachem, zejść z balustrady lub wrócić z dziedzińca...

Ale myślał zupełnie tak, jak tamten młodzieniec. Czekał na niego wróg. I na Książkę pilnowaną przez młodzieńca.

–Weź mu ją – rzekł Wiatr. – A może ja mam to zrobić? Wiatr zadał gwałtownie, poderwał uschłe liście z narożnika przy murze, a liście te wlatywały wyżej i wyżej, tanecznym krokiem zbliżając się w stronę wieży – w stronę młodzieńca, który, gdy wiatr powtórnie zatańczył, zadrżał, trzymając Książkę w rękach, ręce zaś między kolanami. Twarze osadzone w murze spoglądały z niepokojem, z rozpaczą, mówiąc głosem równie wielkim, co sam wichur: „Uważaj, głupcze, uważaj. I uciekaj!”

Młodzieniec podniósł wzrok na mury ponad głową... i zerwał się na równe nogi. Twarz Mauryła przyglądała mu się z wysoka, kamienna jak pozostałe, z rozdziawionymi ustami i gniewną miną.

Młodzieniec zszedł chwiejnie ze środkowego stopnia, przewrócił się i podniósł, wpatrzony na kamienne oblicze. Cofał się dalej i dalej, zabierając w czasie ucieczki Książkę.

Rozległ się dziwnie ludzki dźwięk, który rozpoczął się jak wiatr, a zakończył spazmatycznym szlochaniem kogoś pogrążonego w smutku – dźwięk odległy, jakby niosło go echo z jakiejś głębiny. Być może z realnego świata. Być może to młodzieniec wydawał ów dźwięk. Być może nawet on sam.

–Tristenie – znów ozwał się Wiatr. – Ynefel to przynależne ci miejsce, twój dom, sihijska duszo, a ja jestem twym pobratymcem – no cóż, bądźmy uczciwi: przynajmniej jestem bardziej gościnny od Ludzi. Świat na zewnątrz nie oferuje niczego, co byłoby warte posiadania – nie takim jak my. Bądź rozsądny. Oszczędź temu młodzieńcowi kłopotów... i smutku. Zechcesz spojrzeć w przyszłość? Może przyszłość cię przekona.

–Nie jestem twoim pobratymcem – odparł Tristen ze złością, na przekór dręczącym go wątpliwościom, wątpliwościom rodzącym pytania: „To kim właściwie jestem? I kim będę?”

–Bronią. To wszystko. Tylko tym zawsze byłeś, mój książę. Mauryl cię wykorzystał. Ludzie cię wykorzystują... i to całkiem nierozsądnie, trzeba przyznać. Zawsze nękały cię pytania. Więc pytaj. Odpowiem... Albo dokonaj zmian. Za pomocą Książki, jeśli ją zabierzesz, na pewno ci się uda. Możesz być wszędzie, gdzie już byłeś. Tylko przyszłość ulegnie zmianie. Pragniesz uwolnić Mauryła? Proszę bardzo. Będzie mi wszystko jedno, byle poprawił maniery. Ale ty możesz to zmienić. Jestem pewien, że potrafisz.

Zobaczył światło... światło, które ujrzał u zarania wszystkiego.

Po drugiej stronie tego światła znajdował się kominek Mauryła. Mógł przejść przez sam środek paleniska. Znów by tam był, aby przeżyć pierwszą ze swych najbezpieczniejszych nocy, najprzyjemniejszych nocy całego życia, powitany głosem Mauryła i okryty jego płaszczem.

Znów by tam był. Mauryl znowu by żył, wzywając go z ognia.

Myślał o bibliotece, o ciepłych kolorach wyblakłych tapiserii, o drewnianych galeriach i rusztowaniach. Myślał o pokrytej zmarszczkami twarzy Mauryla i jego białej brodzie.

Myślał o pochylonym nad obliczeniami Maurylu, o chroboczącej końcówce pióra i wyschniętych literkach na pergaminie, będących częścią tak realnej wizji, jakby stał właśnie za ramieniem czarodzieja. Mógł przejść na drugą stronę. Mógł stanąć w gabinecie. Mógł być świadkiem w chwili, gdy Mauryl go Wzywał. Ogień sprawiał wrażenie kurtyny. Niemal słyszał głos Mauryla. To był ten moment. Znowu mógł wszystko odzyskać.

Na zawsze.

–Widzisz? – mówił Wiatr. – Wszelkie pozory podlegają zmianom. Chcesz przywrócić, co było? Jesteś z zachodu, nie ze wschodu. Nigdy się nie bój tego, czym byłeś. Opromienia cię chwała. Sięgnij na samo dno myśli. Spójrz na świt naszego ludu. Twoje imię...

–Moje imię! – wykrzyknął.

–...brzmi Tristen, Tristen, Tristen!

Skrzydła – miał pewność, że należały do Sowy – przecinały przed nim powietrze. A on... on przeniósł ich w Czasie, podążając za Sową, ścigając Sowę tam, gdzie było jej miejsce.

Usłyszał tupot podkutych kopyt. Poczuł pod sobą miarowe stąpanie Dysa. Widział frunącą z przodu Sowę, czarną na tle jądra owej białej światłości, która spłynęła nań z nagłą. Tym razem nie było żadnych podchodów, żadnego pozorowanego ataku. Wiatr omotał go zimnem i dźwiękiem.

–Barrakkecie! – zajęczał. – Barrakkecie, Królobójco, posłuchaj mnie, tylko mnie posłuchaj... Wreszcie cię poznałem! Siewco Śmierci, nazbyt wielki jesteś, by być zabawką Mauryla... Posłuchaj mnie...

Usiłował utrzymać miecz w ręku – schwycił jego ziemską postać i pchnął klingę prosto w serce światła; miecz trafił w niematerię, rozciął ją z hukiem, wrzask poniósł się w ciemności; srebro, paląc się, oparzyło go w rękę.

Chłód przejął Tristena, kiedy on, Dys i Sowa stracili się nawzajem. Zakręcił się w ciemności, donikąd, bezkształtny i zmarznięty. Nie miał chęci się ruszać, myśleć czy nawet śnić – niczego nie pragnął.

–Panie! Tristenie, chłopcze! Tristenie!

Koń parsknął głośno. Tristen wyczuwał wielkie, ciemne kopyta przy swojej głowie.

Coś sphywało po jego twarzy, koń dyszał mu w oczy. Oglądał świat obrócony pod dziwnym kątem.

Panowała cisza.

–Panie. – Kolejne parsknięcie. Tupot i szczęk zbroi nieopodal. Ujrzał cień, poczuł dotyk dłoni na swej twarzy, dłoni parzącej w policzek, tak była ciepła.

Wówczas silne ramiona pochwyciły go i spróbowwały dźwignąć.

–Panie, pomóżże mi co nieco. Ejże, sam rzekłeś, że mnie usłuchasz. Dalej, wróc do mnie, panie. Nie bądź łgarzem.

Odległy głos należał do Uwena, który potrzebował chyba pomocy, tak więc, zobligowany do próby, wzięwszy głęboki oddech, Tristen starał się spełnić jego prośbę, co wymagało słuchania, poruszania się i zadawania sobie bólu.

Zobaczył oblicze Uwena, brudne i okrwawione, ze śladami wilgoci na policzkach, ciemne na tle ołowianego nieba. Zalegała tak głęboka cisza, tak bardzo głęboka cisza, że słyszał poruszenia Cassa i Dysa.

Wsluchiwał się w szelest wiatru wśród listowia. Świat... obfitował w takie bogactwo faktur, kolorów, widoków, kształtów, dźwięków, substancji... Wszystko zalewało go falą, a przy oddychaniu, gdy chciał wchłonać wszystkie te wrażenia naraz, czuł ciężar na piersi.

–Och, panie – rzekł Uwen. – Pewien byłem, żeś zginął, patrzyłem i patrzyłem.

Tristen pozbył się szczątków tarczy z lewego ramienia. Poruszył palcami prawej dłoni i uzmysłowił sobie, że nadal trzyma miecz.

Klinga była postrzępiona i błyszcząca wzdłuż jednej krawędzi, jakby strawił ją ogień.

Srebrne kółko wtopiło się w gardę rękojeści, skórzane paski zwisały luźno, srebrzyste pismo lśniło, biegnąc środkiem klingi. Próbował rozluźnić uchwyt, a wtedy odpadła większa część rękawicy, jakby zgniła skutkiem upływu wielu lat. Skóra w tych miejscach odchodziła od ciała, ukazując świeżą, surową tkanę.

Usiłował powstać, podparty na mieczu, lecz Uwen odebrał go i osobiście pomógł mu się podnieść.

Na całym polu bitwy ciała ludzi i koni leżały pokotami, oprócz trupów byli tylko oni.

–Zwyciężyliśmy – powiedział Uwen. – Bogowie wiedzą jak, aleśmy zwyciężyli, panie. Umanon i Cevulirn zajęli wzgórze i zdjęli nam z karku zasadzkę. Potem natarła amefińska piechota, Lanfarnesse wreszcie nadciągnął, a na ostatek regentka z taborami. Tyle że

ciebie trudno było znaleźć.

–Czy Cefwyn jest bezpieczny?

–Ano, panie. – Uwen uniósł rękę, w której trzymał miecz Tristena. – Widzisz sztandar Jego Królewskiej Mości, jasny jak dzień, tam, bliżej środka?

Tristen odetchnął i skierował swoje chwiejne kroki w stronę owego błyszczącego w blasku słońca miejsca – niebo co prawda spowijały szare chmury, lecz sztandar lśnił wyraźnie kontrastującymi ze sobą kolorami, był bardziej realny, niż świat kiedykolwiek się wydawał.

Poluzowały się części zbroi, jedna dzwoniła mu na ramieniu, druga obijała się o nogę.

–Nawet nie próbuj, panie – napomniął go Uwen, nie pozwalając mu iść dalej. – Tylko spokojnie, spokojnie. Lepiej nie chodzić po tym polu, panie. Pozwól podsadzić się na konia. Dam sobie radę.

Skinął głową machinalnie, pozwalając, by Uwen obrócił go w kierunku Dysa, który, wyczerpany, dał się łatwo złapać. Uwen złożył ręce w kształt strzemienia i podniósł Tristena na tyle, że zdołał on wspiąć się na siodło. Następnie, z chrząknięciem i stęknieniem, Uwen podźwignął się do siodła, niezgrabnie przybierając pozycję do jazdy. Tristen poczekał, a po chwili Dys ruszył z miejsca, z własnej woli, razem z Cassem, wolno.

Wszędzie wokół siebie widzieli pole usłane trupami, aż dotarli do miejsca, gdzie upadł Tristen. Dalej na ziemi było niemal pusto.

–Tu się zatrzymał? – zapytał Uwena. – Tu się zatrzymał Wiatr?

–Ano, panie, ledwo zawirował w bok i cię porwał, przestało wiać. Jeden wielki wrzask i zniknął, zabrawszy z sobą kilku swoich. No i naszych, niech bogowie mają ich w swej opiece. Andas nie żyje. Jużem myślał, żeś na dobre przepadł, panie. I że mnie los podobny czeka. Zdawało się, że to coś idzie prosto na nas. Cass jednak bryknął jak głupiec, a kiedym wrócił na poszukiwania, drogę chyba zmylić musiałem, bom cię przecież teraz z daleka zoczył i odnalazł. Obok stał poczciwy Dys, skubał sobie trawę.

Tristen spojrzał na blade, zwyczajnie zachmurzone niebo.

–Cóż za rzecz to była, panie?

Tristen pokręcił z wolna głową. Na określenie istoty tej rzeczy brakowało mu Słowa, nie znalazłby go również Uwen. Skierował Dysa ku miejscu, gdzie powiewała czerwona chorągiew Cefwyna, widząc, że dołączył właśnie do niej sztandar Ninevrise.

Ziemia wzdłuż krawędzi lasu i na wzgórzach przedstawiała upiorny widok: oderwane kawałki zbroi i ciała zalegały splątanymi stosami wszędzie, gdzie wrzał zażarty bój.

Niektórzy jęczeli lub prosili o wodę, inni wołali pomocy, której oni nie mogli im udzielić.

Daleko od nich, wśród pobitych, poruszali się ludzie, przynosząc, Tristen miał nadzieję, pomoc potrzebującym.

Wjechali na niewielki pagórek, gdzie rośło jedno drzewo i leżał zabity koń. Jeden człowiek trzymał drugiego w ramionach. Mieli na sobie czerwone barwy gueleńskich oddziałów.

Erion i Denyn. Iwanim, sam ranny, podtrzymywał młodzieńca, kołysząc się w przód i w tył. Podniósł na nich wzrok, kiedy się zatrzymali.

–Chodźcie z nami – rzekł Tristen łagodnym tonem. – Zabierzemy was do króla.

–Wkrótce tam pójde – odparł Erion cicho i pochylił głowę ku piersi młodzieńca, nie mając nic więcej do powiedzenia.

Tristen zwlekał przez chwilę, marząc, żeby zadziałała jakaś magia, żeby istniał cud, którego mógłby dokonać; nie było jednak żadnego: młodzieniec nie żył – a on chciał żyć.

Ruszył dalej z Uwenem. Dostrzegł lanfarneski sztandar z Czaplą oraz amefińskiego Orła, zatkniętego na pobliskim wzgórku. Biały Koń i Koło powiewały na stoku kolejnego wzniesienia. Podjechali do poszarpanej chorągwi ze Smokiem Marhanenów, przy której zebrała się grupka zmęczonych ludzi.

Otoczyli ich Gueleńscy. Zobaczył, jak odwracają się ku niemu twarze tych, co stali najbliżej Cefwyna. Dłonie sięgały ku rękojeściom broni. Sądził, że go nie poznali, podniósł więc wolną rękę, by pokazać, iż niczego w niej nie ma... Zauważył oblicze Cefwyna, również naznaczone strachem.

–Cefwynie – rzekł, zsiadając z konia.

Był tam również Idrys, chwycił króla za ramię, gdy ten ruszył ku Tristenowi, lecz Cefwyn strząsnął jego dłoń, podszedł do Tristena i uścisnął mu rękę, ostrożnie, jakby się bał, że ją złamie.

–Zgubiłem tarczę – powiedział Tristen, czując, że serce zaczyna mu bić normalnym rytmem. – I hełm. Nie wiem gdzie, panie.

–Na bogów. – Cefwyn uściskał go ze zgrzytem metalu. Tristen zadrżał, gdy król wypuścił go z ramion. – Ty głupcze – rzekł Cefwyn delikatnie. – Ty wielki głupcze... jego już nie ma. Aseyneeddin nie żyje, cała jego cholerna armia poszła w rozsypkę, niektórzy zaciągnęli się pod sztandar mojej pani! Chodź, chodź. Zbliżają się pozostali. Pelumer się odnalazł... Poblądził w lasach, ku swej wielkiej zgryzocie...

–To nie jego wina.

–Święci bogowie... Czarodzieje. Nie, przecież wiedziałem. Ninevise dostała wiadomość od Sovraga; jego kuzyn został zniszczony, zabity, a sam Sovrag nie mógł dostać się w górę Lenuaimu. Jakaś ciemność zaległa nad rzeką, a kiedy trwała, łodzie gubiły kierunek... Pomimo to zburzyli most w Emwy. Rebelianci, którzy nam umknęli, nie przeprawią się na swoją stronę... Na bogów, czy ty się dobrze czujesz, Tristenie?

Podniósł rękę i przetarł oczy.

–Nic mi nie jest.

Potem odszedł. Uwen prowadził za nim Cassa i Dysa.

Nie miał pojęcia, dokąd teraz się udać. Pomyślał, że chętnie się na chwilę zdrzemnie.

Od dawna nie dane mu było zażyć prawdziwego snu.

–Emuinie – zapytał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Jedynie wrażenie obecności, ale bardzo ulotne. Być może Emuin właśnie spał.

–Dokąd to zmierzasz, panie? – spytał Uwen. – Zdaje się, że będą zjeżdżać wozy, płótno namiotu ochroni nas przed słońcem. Zachmurzyło się, chyba wieczorem deszcz spadnie.

Tristen spojrzał na niebo, na zwyczajne, szare od spodu chmury. Potem zerknął na las. Sowa odleciała, będąc Cieniem, między drzewa, gdzie czuła się pewniej. On jednak wiedział, dokąd tak naprawdę poleciała Sowa. Poleciała nad rzeką, gdzie małe stworzonka nie poukrywały się w kryjówkach, spłoszone. Sowa poczeka do nocy. Taka już była natura Sowy, podobnie jak królowie byli królami, lordowie lordami, a ludzie pokroju Uwena Lewen's-sona zawsze pozostawali wierni.

Nie dostrzegł żadnego cienia na niebie. Żadnego na widnokręgu. Nie wiedział, jak ma odpowiedzieć na pytanie Uwena, ale przyszło mu do głowy, że usiądzie sobie na kamieniach przy drodze, poczeka i zobaczy, jak będzie wyglądał świat Ludzi.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/